

P.S. HERYTIERA
[PIZGACZ]

EXTINGUISH
the HEAT

RUNDA
PIATA

be!
YA! editored



P.S. HERYTIERA
[PIZGACZ]

EXTINGUISH
the HEAT

RUNDA
PIĄTA

be!
YA!

editored



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Redaktor: Beata Stefaniak-Maślanka

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

https://beya.pl/user/opinie/exthe1_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0416-3

Copyright © P.S. Herytiera 2023

- [Poleć książkę na Facebook.com](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Prolog

Nie wiedziałam, w którym momencie zawiniłam. Zawsze starałam się myśleć o wszystkim. Wszystko zaplanować i trzymać się utartego schematu. Czułam się wtedy bezpieczna i spokojna. A potem pojawiłeś się Ty. Och, Bóg mi świadkiem, że akurat tego nie zaplanowałam w żadnym aspekcie. Po prostu zagościłeś w moim życiu, osaczając mnie. Swą obecnością nasyciłeś powietrze, którym wcześniej błogo oddychałam. Przybyłeś, a wraz z Tobą przybył i on. Mrok.

Szczerzył ostre kły, z bezczelnym uśmiechem patrząc mi prosto w oczy. Odbierał zdolność logicznego myślenia. Wykańczał mnie, by później pomóc mi odzyskać dech i uderzyć ze zdwojoną siłą. Bawił się mną. Byłam jedynie kukielką na sznurkach, wykonującą każdy rozkaz bez głębszego namysłu. Ale wraz z mrokiem przyszła również światłość. Piękna, barwna i seraficzna. Zniewałala mnie swym niebiańskim urokiem, w którym się całkowicie zatrafiłam. Bezapelacyjnie się jej oddałam.

I wtedy, gdy to zrozumiałam, pojęłam w końcu, w którym momencie popełniłam błąd. W którym momencie upadłam. Byłam tak cholernie naiwna. Ślepo Ignęłam do światłości, nie mając pojęcia, że to ona wykańczała mnie najbardziej. I dopiero potem zdałam sobie sprawę, że to ona pociągała za sznurki, że to ona zamieniła rześkie powietrze w trujący gaz. Że to ona odbierała mi zmysły, raniła jak nikt inny i stała się dla mnie czymś, bez czego nie umiałam żyć. Zabijała mnie i przywracała do życia. Uzależniła od siebie, od swojego ciepła, a ja dawałam jej na to przyzwolenie. Zgodziłam się, by mnie zgubiła, bo jakiś głupi głosik we mnie podpowiadał mi, że to Ty mnie odnajdziesz. Nikt mnie jednak nie poinformował, że to właśnie Ty byłeś tą światłością.

Wiele razy Cię o coś prosiłam, ale to będzie ten ostatni raz. Ostatnia prośba przed naszą zagładą. Przed piekłem, jakie dla nas przygotowali. Bo już czekają.

Kiedy ostatecznie się poddamy, zdmuchnij popiół z mojego pokierszowanego serca. Bo wreszcie przyjdzie ten czas, kiedy nic nam nie zostanie.

ROZDZIAŁ 1.

Uśmiech miłych wspomnień

— Jeśli nie wstaniesz w ciągu czterech sekund, przysięgam, że nie będzie miło. — Głos mojego brata odbił się echem od beżowych ścian pokoju, a ja naprawdę miałam ochotę wyciąć mu struny głosowe tępymi nożyczkami.

Jęknęłam cicho pod nosem, a następnie odwróciłam się tyłem do drzwi, w których stał, i szczerzej nakryłam się ciepłą kołdrą. Nie chciało mi się nawet otworzyć oka i marnować na niego cennej energii, którą mogłam przeznaczyć na to, by wrócić do swojego przerwane bardzo miłego snu. Theodor chyba jednak miał inne zdanie, bo głośne, pełne irytacji westchnienie wydostało się spomiędzy jego warg. Resztkami sił chwyciłam jedną z poduszek i przycisnęłam ją do twarzy, po czym położyłam na niej ramię.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał znudzonym tonem mój brat.

Czułam na sobie jego pełen politowania wzrok, ale nie przejęłam się tym za bardzo.

— Wyobrażam sobie, że jestem jedynaczką — odburknęłam przytłumionym głosem. — Mam dziś wolny dzień, więc odejdz stąd i daj mi spać albo skończysz na chodniku za oknem.

— Och, chodnik i tak wydaje się przyjemniejszym miejscem niż twój pokój godny królowej lodu — odrzekł sarkastycznie. Chwilę później usłyszałam jego kroki. Najwyraźniej wszedł do mojej sypialni. — I jeśli to zrobisz, spóźnisz się.

— Niby na co? — zapytałam, w końcu odsuwając poduszkę.

Lekko uniosłam powieki, by na niego spojrzeć, zamknęłam je jednak z prędkością światła, bo Theo podszedł do okna, a następnie z premedytacją odsunął ciężkie zasłony. Promienie słoneczne uderzyły w moją twarz. Jęknęłam cierpiętniczo, przekręcając się na brzuch i ponownie wciskając głowę w sporych rozmiarów poduszkę. Poczułam się, jakby ktoś mnie oślepił.

Nienawidziłam swojego brata w każdym tego słowa znaczeniu. Jedynym powodem, dla którego jeszcze nie rzuciłam w niego lampką stojącą na szafce nocnej obok mojego łóżka, było to, że nie chciało mi się wyciągnąć ręki.

— Theo, nie muszę dziś iść ani na uczelnię, ani do Bensona, więc mam dzień wolny — wytłumaczyłam mu jak niedorozwiniętemu dzieciakowi, czując narastającą irytację. — Chcę spać, więc wyjdź z tego pokoju, bo jak Kota kocham, po śniadaniu wbiję ci żarówkę w gardło.

Moja groźba niestety nie podziałała, bo Theo bez słowa zerwał ze mnie ciepłą kołdrę. Uderzył we mnie chłód i ciało automatycznie pokryło mi się gęsią skórką. Miałam na sobie jedynie krótkie spodenki i za dużą koszulkę. Przekląłam szpetnie pod nosem, wyobrażając sobie swojego brata w klatce z dzikimi goryłami. W końcu jednak podparłam się łokciem o materac dużego łóżka i z wielkim wysiłkiem spojrzałam na Theodora.

W przeciwieństwie do mnie był już ubrany. Zmarszczyłam groźnie brwi, jeszcze lekko zamglonym wzrokiem taksując jego sylwetkę. Stał przede mną z dłońmi w kieszeniach swoich luźnych ciemnoniebieskich jeansów z szerokim czarnym paskiem. Nogawki podwinął, przez co było widać jego długie białe skarpety. Na stopach miał białe air force'y, co oznaczało, że zapewne wrócił z porannych zakupów. Zerknęłam na jego bordową, lekko za dużą bluzę Fila z białymi rękawami, którą wetknął w spodnie. Uniosłam brew z poważnym wyrazem twarzy.

— Dlaczego jesteś już ubrany o tak wczesnej godzinie, i to w dniu, kiedy zrobiliśmy sobie wolne? — zapytałam podejrzliwie, obserwując go uważnie.

Palcami, na których widniały trzy srebrne obrączki, odgarnął swoje czekoladowe włosy sięgające mu mniej więcej do połowy twarzy. Wiesznie miał z nimi problem, bo wpadały mu do oczu.

Jednak w tej sytuacji większy problem miał chyba ze mną.

— Bo jest już pierwsza, a ja musiałem iść na zakupy, żebyśmy nie zdechli z głodu — odparł sfrustrowany. — A jeśli dłużej będziesz tak leżeć i mnie irytować, to spóźnisz się na terapię.

— Mam terapię we wtorki, jakbyś zapomniał — warknęłam groźnie, ponieważ całkowicie mnie rozbudził, i to przez taką głupotę. Fakt, może się nie spodziewałam, że jest już tak późno, ale po kilku dniach pracowania i uczenia się zasłużyłam na chwilę dla siebie! — Więc wyjdź z tego pokoju i pozwól mi spać, zanim zachce mi się wstać i powyrywać ci włosy za tę bezsensowną pobudkę.

Już miałam z powrotem się położyć, kiedy ponownie zatrzymał mnie jego głos. Wtedy jak nigdy wcześniej chciałam zmienić brata.

— Victoria, przecież na ostatnim spotkaniu Sylvia mówiła, że nie da rady w kolejny wtorek, więc wizyta jest dzisiaj — jęknął, na co otworzyłam szerzej oczy.

Cholera! Zupełnie zapomniałam, że Sylvia wybierała się na urlop do Portugalii. Przecież przypominała mi o tym tyle razy!

Przez chwilę z tępą miną wpatrywałam się w niewzruszonego Theo, aż w końcu uniosłam się do siadu, a następnie klęknęłam na materacu, wyrzucając ręce w powietrze.

— I czemu mnie nie budzisz, kretynie, tylko stoisz jak słup?! — zawołałam, chcąc wyjść z tej sytuacji z twarzą, ale nie za bardzo mi się to udało.

Kątem oka dostrzegłam, jak Theo wznosi wzrok ku niebu, zapewne błagając o jeszcze odrobinę cierpliwości.

W ekspresowym tempie zerwałam się z łóżka i podbiegłam do trzydrzwiowej szafy naprzeciw nas. Bez namysłu wyciągnęłam z niej swoje ulubione czarne jeansy oraz luźną białą koszulę w poziome czarne paski. Czułam na sobie wzrok rozbawionego Theo, kiedy niczym huragan rozrzucałam wokół swoje rzeczy.

— Na którą to jest? — zapytałam, wyjmując z szuflady biały stanik z koronką.

— Na drugą — odpowiedział, przez co wymamrotałam coś niezrozumiałego pod nosem.

Ja i moje szczęście, cudownie!

— Mogłeś obudzić mnie wcześniej — mruknęłam, chociaż doskonale wiedziałam, że вина leży tylko po mojej stronie. Mogłam nastawić budzik i w ogóle o tym pamiętać.

Theo ponownie ciężko westchnął.

— Masz dwadzieścia dwa lata, a nie dwanaście. Sama musisz o takich rzeczach pamiętać.

Przewróciłam tylko oczami na jego słowa, powstrzymując się od ostentacyjnego prychnięcia. Kiedy już zebrałam wszystkie rzeczy, chwyciłam je pod pachę i z przyspieszonym oddechem odwróciłam się w stronę brata, który z rękami skrzyżowanymi na klatce piersiowej opierał się tyłem o parapet dużego okna. Patrzył na mnie z wyraźną kpiną i najwyraźniej bawiła go moja nieporadność. Uniosłam hardo głowę, opierając wolną rękę na biodrze.

— Mam ci przypomnieć, kto w tym domu ogarnia dosłownie wszystko? Od zakupów po rachunki? — zapytałam bojowo, na co uśmiechnął się kwaśno. — Gdyby nie ja, przepadłbyś.

— Och, oczywiście — odparł z udawanym przejęciem. Po tych słowach sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął białego samsunga. Z nonszalancją rzucił okiem na wyświetlacz, po czym znów spojrzął na mnie. — Zostało ci coś około pięćdziesięciu minut. Tik-tak.

Zasnurowałam usta, czując, jak pojawia się we mnie ochota, by dokończyć mordę z zimną krwią. Nic jednak nie powiedziałam, bo nie miałam czasu. Dusząc w sobie całą złość i frustrację, wypadłam z pokoju przy akompaniamencie rechotu Theo. Przebiegłam przez wąski korytarzyk i wparowałam do łazienki. W ekspresowym tempie zrzuciłam piżamę i zostałaam jedynie w ciemnych figach. Szybko wciągnęłam na siebie ubrania.

Niemal jęknęłam, kiedy odwróciłam się w stronę dużego prostokątnego lustra zawieszonego nad umywalką. Wyglądałam okropnie z opuchniętymi oczami i potarganymi włosami. Czułam się tak, jakby ktoś przemielił mnie przez maszynkę do mięsa. Cały ten tydzień był strasznie męczący, co dało się zauważyć na mojej twarzy. Nie zwlekając dłużej, spięłam włosy w luźny kok i zaczęłam szorować zęby, w międzyczasie otwierając pierwszą szufladę pod umywalką, w której już nie mieściły się moje kosmetyki.

To był jeden z szybszych makijaży, jakie wykonałam. Jako studentka miałam w tym naprawdę sporą wprawę. Po kilkunutowej walce z włosami odłożyłam prostownicę. Czarne jak noc kosmyki opadły luźno na moje ramiona. Sięgały mi już do połowy pleców, choć jeszcze niedawno ledwo dotykały ramion. Poprawiłam przedziałek na środku głowy, po

czym ostatni raz oceniłam swoje odbicie. Byłam z siebie dumna, że w niecałe pół godziny zdołałam dojść ze sobą do ładu.

Opuściłam łazienkę, w której pozostawiłam niezły bałagan. Z salonu dochodziły już odgłosy telewizora, więc wiedziałam, że zaległ tam mój brat. Wróciłam do swojej sypialni, gdzie szybko zapiełam łańcuszek na szyi, zegarek na nadgarstku i użyłam swoich ulubionych perfum o zapachu czereśni. Zgarnęłam jeszcze telefon z poduszki, ale nie miałam czasu, aby sprawdzać powiadomienia, więc tylko wrzuciłam go do torebki.

— Nie zjesz? — zapytał mój brat, kiedy weszłam do salonu połączonego z kuchnią.

Siedział na białej kanapie i nawet na mnie nie spojrzął. Wzrok miał utkwiony w ekranie dużego telewizora stojącego na niskiej szafce. Obok niego leżał Kot, pochrapując cicho.

— Nie mam czasu — odparłam, mijając go, i podeszłam do drzwi po przeciwnej stronie dużego pomieszczenia.

Szybko rzuciłam okiem na kilka par butów stojących w rzędzie. Nie chciało mi się szukać niczego w szafce, więc chwyciłam klasyczne czarne szpilki, które lubiłam.

— Tabletki — przypomniał mi Theo, na co uniosłam brwi i szeroko otworzyłam oczy, bo kompletnie zapomniałam o tak ważnej kwestii.

Pacnęłam się dłonią w czoło.

— Planujesz coś dziś robić? — zapytałam, podchodząc do kuchennego blatu, na którym leżało kilka rzeczy, w tym trzy białe opakowania z lekami.

Theodor wzruszył ramionami, ze znudzoną miną przerzucając kanały.

— Już zrobiłem, co miałem — westchnął. — Więc na razie siedzę w domu, ale może potem skoczę na miasto. Nie wiem.

— Erik wczoraj dzwonił — rzuciłam, wyciągając z każdego pojemniczka po jednej pastylce. — Zapytał, czy nie wpadniemy dziś na kolację.

— Jestem za. — Skinął głową, na co uniosłam kącik ust.

Połknęłam wszystkie tabletki i wróciłam do drzwi, gdzie włożyłam czarny płaszcz, który sięgał mi prawie do kostek. Wyciągnęłam włosy zza kołnierza i zawiesiłam torebkę na ramieniu.

— Idę. Będę za jakieś dwie godziny — powiadomiłam brata.

Znudzony zasalutował mi z przesadną ekspresją, ale nawet nie ukrywał, że bardziej zajmujący ode mnie jest dla niego Gordon Ramsey na ekranie telewizora. W takich chwilach przypominał mi naszą mamę.

Oprócz patykowatych rąk odziedziczył po niej uwielbienie do *Kuchennych koszmarów Gordona Ramseya*.

— O, i lepiej nie wchodź do łazienki. Nie spodoba ci się.

— Victo...

Nie dając mu skończyć, rozbawiona wyskoczyłam na klatkę i zatrzaśnięłam za sobą drzwi.

Odrzuciłam włosy do tyłu i spojrzałam na zegarek. Miałam piętnaście minut. *Cudownie*.

Kiedy pokonałam dwa ciągi schodów, otworzyłam drzwi kamienicy i wyszłam na zewnątrz. Rześkie powietrze uderzyło mnie w twarz, wywołując przyjemne ciarki na moich plecach.

Pogoda w mieście Lewiston w stanie Maine była taka, jaką obecnie lubiłam najbardziej. Było słonecznie, ale chłodno i mimo że od dziecka kochałam upały, tutejszy klimat mnie oczarował. Uwielbiałam to niebo zaciągnięte chmurami, przez które przebijały się promyki słońca, kochałam lekki wiaterek rozwiewający moje włosy i mroźne powietrze.

Żałując, że nie mam czasu na wolniejszy spacer, z dłońmi w kieszeniach płaszcz ruszyłam w stronę przystanku. Jesień w Lewiston była nadzwyczajna, a fakt, że rozgościła się już na dobre, napawał mnie dziwnym zadowoleniem. Miałam cichą nadzieję, że uda mi się jeszcze zapalić papierosa przed przyjazdem autobusu, ale nie wyszło. Poczulałam się lekko podenerwowana, bo nie miałam fajki w ustach od kilkunastu godzin. Z mniejszym entuzjazmem wsiałam do prawie pustego autobusu i zajęłam wolne miejsce przy oknie, po czym wyjęłam telefon z torebki.

Zaczęłam odpisywać na wiadomości i posprawdzałam powiadomienia. Gabinet Sylvii znajdował się dwadzieścia minut drogi od naszego mieszkania, toteż wiedziałam, że na pewno się spóźnię. Plus były godziny szczytu, co oznaczało niezłe korki, szczególnie że moja terapeutka przyjmowała w samym centrum Lewiston, a z obrzeży, gdzie z Theo mieszkaliśmy, nie było tak łatwo się wydostać. Ostatnie pięć minut przesiedziałam z lekko nachmurzoną miną, z irytacją wpatrując się w równe uliczki i ładne kamienice za oknem. Byłam bez śniadania, bez filiżanki kawy oraz bez porannego papierosa.

Gdy wysiałam z autobusu, poczułam ulgę. Miałam dwie minuty spóźnienia, a budynek, w którym urzędowała Sylvia, znajdował się niecałe trzy minutki drogi z przystanku. Szybko popędziłam w tamtą stronę.

Niestety moje płuca nie były już płucami dwunastolatki, więc kiedy wchodziłam przez szklane drzwi do ciepłego wnętrza, myślałam, że wyzionę ducha. Nie upadłam na podłogę tylko dlatego, że w pomieszczeniu prócz mnie były jeszcze dwie osoby: recepcjonistka Kate siedząca za drewnianym biurkiem i nieznajoma kobieta na kanapie po drugiej stronie, czytająca jakieś pismo.

— Victoria! — zawołała Kate, kiedy tylko mnie zauważyła.

Niziutka, rudowłosa dziewczyna mniej więcej w moim wieku wstała zza zawałonego dokumentami biurka, przywołując na pulchną twarz szczerzy uśmiech, którego nie odwzajemniłam.

— Miło cię widzieć. — Podeszła do mnie i uściśnięła mi dłoń, tak jak robiła to zawsze.

— Ciebie również — odparłam, starając się nie sapać jej w czoło. — Wybacz, że się spóźniłam, ale zasnęłam i... — zaczęłam, a Kate tylko cicho się roześmiała, kręcąc głową.

— Wiem, wiem — przerwała mi. — Twój brat dzwonił wcześniej. Powiadomił mnie już, że się spóźnisz. Sylvia wie.

— Och — mruknęłam, analizując jej słowa. — Cóż, w takim razie należy mu się za to dobry obiad.

Kate znów zaczęła się śmiać.

— Sylvia czeka u siebie — poinformowała, wskazując dłonią na korytarz obok.

Mimo że na początku miałam opory przed przychodzeniem tam i moje wspomnienia z tamtego etapu nie były zbyt przyjemne, po czasie to miejsce w dziwny sposób zaczęło mnie uspokajać. Znajdowała się tam spora poczekalnia urządzona w odcieniach ciemnego brązu oraz beżu, w której była umiejscowiona recepcja zarządzana przez Kate. Pod jedną ze ścian stały duża mlecznobiała kanapa i dwa fotele do kompletu. Oprócz tego było tam wiele regałów z książkami, po które chętnie sięgałam, czekając na swoją kolej, a na ciemnych ścianach wisiało sporo obrazów. Z opowieści Kate, z którą czasami gawędziłam, czekając na wizytę, dowiedziałam się, że namalowali je pacjenci Sylvii. Niektóre prezentowały się naprawdę imponująco. Były kolorowe i biło z nich szczęście. Znalazło się tu też kilka takich, które już na pierwszy rzut oka wywoływały gęsią skórkę, ale w sumie dodawały temu miejscu uroku i magii.

W końcu stanęłam przed odpowiednimi drzwiami na końcu korytarza, a znajomy dreszcz przebiegł po moich plecach. Chodziłam na terapię już od ponad dwóch lat, a mimo to dziwne myśli i niepokój wciąż tliły się w mojej głowie. Ilekroć znajdowałam się w tym miejscu, ogarniało mnie to nieznośne uczucie. Chociaż wiedziałam, że po czasie jest inaczej, że jest lepiej... w mojej głowie zawsze pojawiały się niechciane wspomnienia z pierwszych wizyt.

A przecież to wszystko było po to, by nie pamiętać, czyż nie? Bo wszystkie moje starania były po to, aby zapomnieć.

Zacisnęłam dłonie w pięści, starając się odgonić denerwujące myśli, i pewnie zapukałam w drzwi. Z chłodną miną odkaszlnęłam, po raz milionowy czytając napis na umieszczonej na nich tabliczce. „Doktor Sylvia Iversen”. Nienawidziłam tego słowa. Doktor. Dlaczego doktor? Doktor leczy ludzi chorych.

Przecież jesteś cho...

Z zamyślenia wyrwała mnie sama Sylvia, która nagle pojawiła się w progu i utkwiała w mojej twarzy spojrzenie czekoladowych oczu.

— Już myślałam, że zaczęłaś mieć mnie dość i się wymigałaś — powitała mnie swoim ciepłym, uspokajającym głosem.

Rozluźniłam się. Uśmiechnęłam się delikatnie, kiedy gestem dłoni zaprosiła mnie do środka, otwierając szerzej drzwi.

— Nigdy nie odpuściłabym sobie tej przyjemności, by znów zostać przez ciebie przemaglowaną — odparłam z lekkim przekąsem, wchodząc do gabinetu.

Kobieta jedynie cicho parsknęła, zamykając za mną drzwi.

— Czyżbym słyszała w twoim głosie ironię? — zapytała z cwanim uśmiechem, podchodząc do swojego biurka, podczas gdy ja skierowałam się w stronę podłużnej kanapy znajdującej się przy ścianie naprzeciwko.

— Skądże — droczyłam się z nią.

Zrzuciłam z siebie płaszcz i jak zwykle rozejrzałam się po dobrze mi znanym pomieszczeniu, które stylem niewiele różniło się od poczekalni. Brąz musiał być chyba ulubionym kolorem Sylvii, ponieważ na palcach jednej ręki mogłabym zliczyć rzeczy, które miały inną barwę. Brązy i beże zdecydowanie dominowały, począwszy od ścian i podłóg, a na leżącej na biurku podkładce w kolorze kawy skończywszy.

Sylvia emanowała spokojem ducha i pewnością, więc jej gabinet do niej pasował.

— Proszę, usiądź — powiedziała, jednocześnie wertując papiery w szafce obok swojego biurka. Chyba czegoś szukała.

Zrobiłam to, o co poprosiła. Zająłam miejsce i założyłam nogę na nogę. Odgarnęłam kosmyk włosów za ucho i spojrzałam na kobietę, która w końcu się wyprostowała. W dłoni trzymała dobrze mi znany czarny notes. Był jej nieodłącznym atrybutem i aż strach pomyśleć, co się w nim znajdowało. Poprawiła jasne garniturowe spodnie i znów posłała mi promienny uśmiech. Szybko zgarnęła pióro z biurka, po czym podeszła do swojego fotela ustawionego naprzeciw mnie w dosyć bliskiej odległości. Jak zawsze usiadła na nim, również zakładając nogę na nogę, i otworzyła notesik.

— Jak ci minął czas od naszego poprzedniego spotkania, Victorio? — zapytała pogodnie, przerzucając kolejne kartki.

Wzruszyłam ramionami, mimo że Sylvia nawet na mnie nie patrzyła, a następnie zatrzymałam wzrok na ohydnej figurce ryby na jej biurku. Wiedziałam, że był to ręcznie wykonany prezent od jakiegoś dzieciaka, któremu pomogła, ale ja za nic w świecie nie zgodziłabym się na trzymanie takiego paskudztwa na widoku. Ta ryba była naprawdę odrażająca.

— W sumie w porządku — odparłam neutralnie, odwracając spojrzenie od figurki. Znów przeniosłam je na kobietę, która tym razem wpatrywała się we mnie. Ponownie poczułam się tak, jak gdyby przeskanowała mnie na wylot i znała już odpowiedzi na dosłownie każde pytanie. To było strasznie męczące. — Zaliczyłam ostatnio egzamin na uczelni. Przeczytałam dwie książki i uhm... nauczyłam się robić dobrą tartę cytrynową. I jest całkiem niezła... Chyba mogę uznać to za dobrze spędzone dni — westchnęłam, kończąc swoją krótką spowiedź sztucznym uśmiechem, ponieważ nie cierpiałam tych standardowych pytań. — Moje życie jest takie ekscytujące.

Po moich słowach Sylvia tylko się uśmiechnęła, kręcąc delikatnie głową. Po dwóch latach doskonale wiedziała, jak radzić sobie z moim sarkazmem i uszczypliwościami, których nie szczędziłam jej w tym niewielkich rozmiarów pokoju. Często robiłam to nieświadomie, choć musiałam przyznać, że czasami zdarzało mi się sięgać po nie z premedytacją.

To nie tak, że nie lubiłam Sylvii. Wręcz przeciwnie, naprawdę darzyłam ją wielką sympatią, jednak dni... bywały różne.

Kobieta nakreśliła coś w swoim notesie, co nie umknęło mojej uwadze. Jej króciutkie brązowe loczki podskakiwały, gdy poruszała głową.

— Jak w pracy? — zapytała.

— Bez zarzutów. Benson nadal jest nieznośny, ale dostaję fajne profity. Ostatnio przywieźli nową kolekcję od Armaniego. Moja szafa jest bogatsza o kilka par szpilek i sporo sukienek — odparłam, a humor lekko mi się poprawił. Mimo że nienawidziłam swojego szefa, nie zamieniłabym tej roboty na inną. — Chyba jest dobrze.

— Chyba? — dopytała, unosząc zawadiacko brew, a wyglądało to tak komicznie, że nie mogłam się powstrzymać i parsknęłam cichym śmiechem.

— Chyba na pewno — dopowiedziałam.

Sylvia milczała przez chwilę, a jej mina uległa nieznacznej zmianie. Znów wpatrywała się w swój notes jak chrześcijanin w Biblię, a ja wlepiłam wzrok w jej twarz.

Pani Iversen może nie była przykładem klasycznej piękności, ale trzeba było być głupim i ślepym, aby nie zauważyć, że coś w sobie ma. Mimo prawie pięćdziesięciu lat wyglądała młodo. Miała puciołową twarz i chyba to sprawiało, że robiła wrażenie empatycznej, ale jej wielkie czekoladowe oczy okryte wachlarzem gęstych rzęs potrafiły przeświecić człowieka na wskroś.

W końcu spomiędzy pełnych ust mojej terapeutki wydostało się ciche westchnienie. Wiedziałam, że sielanka powoli dobiega końca. Atmosfera stała się cięższa, a wszystko wokół, włącznie z samą Sylvią, jakby przygasło. Uniosłam brwi i mimo że nie czułam się pewnie ani bezpiecznie, nie dałam tego po sobie poznać.

Jak zwykle zresztą.

— Chciałabym dziś porozmawiać z tobą o czymś konkretnym — zaczęła spokojnie Sylvia, splatając dłonie i delikatnie pochyłając się w moją stronę. — O czymś, o czym dawno nie rozmawialiśmy.

— Jak zawsze — odparłam.

Między nami znów zapanowała cisza, podczas której zrobiłam się jeszcze bardziej niespokojna. Zwilżyłam językiem suche usta.

— Jutro jest czwarta rocznica śmierci twojego ojca.

Poczułam, jak moje serce zamiera, aby po chwili puścić się w galop, prawdopodobnie mający na celu wykończenie mnie. Moje ciało zastygło w całkowitym bezruchu, kiedy wpatrywałam się w oczy Sylvii, w których widziałam pewność i spokój. Kolejne sekundy mijały, a kobieta czekała na moją reakcję. Jednak nie doczekała się jej od razu. Prawdę mówiąc, nie doczekała się jej także po minucie. Czułam każdy swój powolny oddech, gdy starałam się okiełznać natrętne myśli, które całkowicie mnie sparaliżowały.

W końcu mrugnęłam kilkukrotnie, ponieważ moje oczy zaszyły lekką mgiełką. W gardle nieprzyjemnie mnie drapało. Podparłam się dłońmi o kanapę, na której siedziałam, starając się zmienić pozycję, co nie było łatwe, ponieważ moje ciało było dziwnie odrętwiałe. Wiedziałam, że te nerwowe ruchy ujawniają mój stan, ale nic nie mogłam na to poradzić. Poczułam dziwną potrzebę zmiany miejsca, ponieważ ta cholerna kanapa stała się nieznośnie niewygodna.

Sekundy uciekały, a ja doskonale wiedziałam, ile ich minęło. Jak ja nie znośiłam liczyć czasu i tego, że wciąż to robię. Wiedziałam, że nie mogę milczeć wiecznie, chociaż naprawdę tego chciałam, bo niby co mogłam jeszcze powiedzieć?

— Tak — odparłam w końcu lekko zachrypniętym głosem. Figurka obrzydliwej ryby wlepiła we mnie wielkie ślepia dokładnie tak samo jak kobieta naprzeciwko. Nie mogąc tego dłużej wytrzymać, spuściłam wzrok na swoje dłonie ułożone na udach. — Tak, wiem.

— Jak się z tym czujesz? — zapytała Sylvia, a mnie nie udało się powstrzymać przewrócenia oczami.

Z niewzruszoną miną uniosłam głowę. To pytanie lekko mnie zirytowało.

— A jak mam się czuć? — burknęłam z wyczuwalnym sarkazmem, utrzymując z terapeutką kontakt wzrokowy.

W moich oczach musiała dostrzec oskarżenie i wyrzut, ale pozostała spokojna. Jak zawsze.

— Jest tak samo jak trzy lata temu. I dwa. I rok.

— Czyli? — zapytała.

Poczułam nagłą potrzebę wyjścia z tego cholernego cichego pokoju. Wiedziałam jednak, że to byłoby nie w porządku, więc z wielkim trudem zdusiłam w sobie chęć bycia opryskliwą i ciężko westchnęłam, wzruszając ramionami.

— Cóż... Mój ojciec nie żyje. Nie wiem, jak mam to opisać — mruknęłam cicho.

Sylvia nie odpowiedziała od razu, ale wciąż czułam jej poważne spojrzenie na swojej twarzy. Nie chciałam łąpać z nią kontaktu wzrokowego. Straciłam na to ochotę, a jedyne, czego w tamtej chwili potrzebowałam, to papierosa i filiżanki czarnej jak noc kawy.

Oczywiście, że wiedziałam, co stało się tego cholernego piętnastego października. Te datę wraz z inną miałam wrytą bardzo głęboko w swoim umyśle, ale nie chciałam o tym rozmawiać. Nie potrzebowałam o tym rozmawiać.

— Victoria — z zamyślenia wyrwał mnie cichy i spokojny głos Sylvii. — Pamiętaj, o czym rozmawiałyśmy. Nie katuj się myślami. Mów o nich. Wyrzuć je z siebie, zamiast z nimi walczyć.

Przymknęłam powieki, wypuszczając z siebie pełen frustracji, zmęczenia i niechęci jęk. Przez cholerne dwa lata wałkowałyśmy to samo i byłam tym wszystkim zmęczona, chociaż to Sylvia musiała się nieźle natrudzić, aby cokolwiek ze mnie wydobyć. To wszystko było... To męczyło. Myślenie o tym, mówienie, zastanawianie się, ale tylko tak mogłam się oczyścić. Sprawić sobie mentalne *katharsis* i uwolnić się od demonów, które siedziały głęboko we mnie, nadal pociągając za sznurki. Potrzebowałam odkupienia, a słowa były jak deszcz. Zmywały ze mnie ten cały brud, ale czasami nie miałam po prostu siły, aby w tym deszczu stać. Tak było ze mną zawsze. Zawsze chciałam się schować pod dach, wolałam tkwić w nieporządku.

Westchnęłam ciężko, poddając się.

— Staram się o tym nie myśleć — zaczęłam cicho, wzruszając ramionami, aby pokazać, że to dla mnie nic wielkiego. Tyle że choć potrafiłam kłamać jak z nut, samej siebie nie umiałam oszukać. A co dopiero Sylvii. — Chodzę do pracy, żyję swoim życiem i chcę pokazać, że wszystko jest okej, ale jest tak jak co roku. Im bliżej tego dnia, tym bardziej... — zamilkłam na chwilę, odchylając głowę. Starałam się powiedzieć to, co ciążyło mojej udręczonej duszy, ale jak zwykle nie potrafiłam. — Wciąż mam to przed oczami. To jest wryte w mojej głowie i nie potrafię się tego pozbyć.

— Czego? — zapytała spokojnie kobieta.

Zimny pot znów oblał mi plecy.

— Po tym, jak wyjechaliśmy z Culver City, dzwonił codziennie. Codziennie jeden telefon o szóstej po południu. Czasami trochę później. Niekiedy wcześniej, ale zawsze był ten cholerny telefon. Tak minęły całe wakacje i cały wrzesień. Codziennie z nim rozmawiałam. Śmiałam się i opowiadałam, jak jest w Maine, aż w końcu... — Przełknęłam ciężko ślinę, a wspomnienia uderzyły we mnie ze zdwojoną mocą, burząc wszystkie mury, jakie wzniosłam. Jak ja nienawidziłam tego pierdolego ścierwa.

— Aż w końcu piętnastego października nie zadzwonił — dopowiedziała za mnie cicho Sylvia, na co zasznurowałam usta i sztywno wzruszyłam ramionami.

— Aż w końcu nie zadzwonił — powtórzyłam beznamiętnym tonem. — Nie zadzwonił. I mimo że wiedziałam, co to oznacza, chciałam się ludzić. Mimo że telefon milczał, ja wpatrywałam się w niego przez cholerne cztery godziny. Wmawiałam sobie, że może padła mu bateria albo dostał ważne wezwanie z posterunku. Ale podświadomie znałam prawdę. Był coraz słabszy. I nie chciał pokazywać tego ani mnie, ani Theo, ale ja wiedziałam. Jego głos nie był już taki energiczny i wesoły, a rozmowy tak długie jak na początku.

Znów miałam ten widok przed oczami. Minęły cholerne cztery lata, a ja pamiętałam to wszystko, jak gdyby wydarzyło się zaledwie godzinę wcześniej.

Z jednej strony nienawidziłam siebie za to, bo zdarzały się momenty, kiedy oddałabym wszystko, aby o tym zapomnieć. A kiedy przychodziły, nienawidziłam siebie jeszcze bardziej, bo byłam samolubna.

— Tak jak obiecaliśmy, nie przylecieliśmy do Culver City na jego pogrzeb — szepnęłam. — Nie poleciliśmy tam ani razu.

Ani razu od czterech cholernych lat.

— Poinformował cię o tym jego lekarz? — dopytała.

Skinęłam głową.

Kiedy prawie dwa lata wcześniej w grudniu zapisałam się na terapię, Sylvia przeprowadziła ze mną, Erikiem i Theo mały wywiad środowiskowy. Przez to dowiedziała się nieco o moim życiu, aby jakoś mi... chyba pomóc. Działała pomału, nie chcąc rzucać mnie na głęboką wodę, ale bywały takie dni jak ten, gdy musiałam wracać do tego wszystkiego, aby spróbować w końcu jakoś się z tym pogodzić.

Byłam jej cholernie wdzięczna za to, co dla mnie robi i jak bardzo się stara, abym ogarnęła swoje życie. Byłam bałaganem, który usiłowała posprzątać.

Każdy chciał go posprzątać i jak na złość nikt nie potrafił.

— Tak — mruknęłam. — Kilka godzin później zadzwonił jego lekarz i przyjaciel. Ojciec... — zacięłam się, bo coś znowu ukłuło mnie boleśnie w okolicy żeber. — Ojciec Mii.

— Mii Roberts? — zapytała, a ja potwierdziłam kiwnięciem głowy.

Kiedy wypowiedziała jej imię i nazwisko, nieprzyjemne uczucie rozlało się w moim wnętrzu. Nijak nie dałam jednak tego po sobie poznać. Starałam się zachować powagę, znowu spoglądając na swoje zadbane, długie paznokcie.

— Wiesz, co u niej?

— Nie rozmawiałam z nią od ponad trzech lat — odparłam, znów krzyżując spojrzenie z panią doktor. — Kiedy ostatni raz gadałam z Chrisem przez telefon, wspomniał, że jest okej. Podobno nadal mieszka w Culver City i żyje jej się dobrze. Ale to było około pół roku temu... nie wiem, jak jest teraz.

— Żałujesz tego, że nie masz z nią już kontaktu? — zapytała Sylvia, odchylając się na fotelu.

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadałam, ponieważ zastanawiałam się nad tym, jak mam ubrać w słowa odpowiedź. Temat Mii Roberts, mojej byłej przyjaciółki z czasów szkolnych, również nie należał do łatwych. Prawdę mówiąc, cała moja przeszłość w Culver City była tematem tabu.

Mimo że minęło tak wiele czasu, to wszystko nadal się za mną ciągnęło. Wiedziałam jednak, że jeśli nie uporządkuję tego z Sylvią, nie uporządkuję nigdy. Czułam pulsujący ból prawej skroni, moje myśli nie chciały się uspokoić. Ilekroć do tego wracałyśmy, wszystko mi się mieszało, a jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że tylko rozmawiając o tym, mogę odzyskać spokój ducha zagubiony lata wcześniej.

— Mia od zawsze była dla mnie kimś ważnym — zaczęłam ze słyszalnym zmęczeniem w głosie. Splotłam ze sobą dłonie, nawiązując kontakt wzrokowy ze skupioną Sylvią, która uważnie mnie słuchała. — I zawsze będzie. Była moją przyjaciółką i pomogła mi w wielu momentach, ale jednocześnie wiem, że nic nie trwa wiecznie. Ona poszła w swoją stronę, a ja w swoją. I niczyja w tym вина.

Zaczęło się tak jak zawsze. Po moim wyjeździe do Maine cztery lata wcześniej rozmawialiśmy prawie codziennie. Czy to przez telefon, czy na wideoczacie. Ja opowiadałam jej, co u mnie i jak wygląda moja adaptacja w nowym mieście, a ona relacjonowała, co dzieje się w Culver City. Wtedy była ze swoim chłopakiem Lukiem Mitchellem. Nie wiedziałam, czy nadal są razem. Mimo że już się z nią nie przyjaźniłam, miałam szczerą nadzieję, że tak, bo cholernie do siebie pasowali.

Potem nie było już tak samo. Kiedy zaczęły się studia, miałyśmy mało czasu. Rozmowy zamieniły się w sporadycznie wymieniane SMS-y. Gdy się zorientowałam, co się dzieje, okazało się, że nie rozmawialiśmy ze sobą od miesiąca.

Najgorsze było to, że doskonale widziałam, jak się od siebie oddalamy, i nic z tym nie robiłam. Mijały kolejne miesiące, kiedy wysłałyśmy sobie życzenia urodzinowe czy świąteczne, aż w końcu... i to się urwało. Od ponad trzech lat nie miałam z Mią żadnego kontaktu. Ona żyła w Culver City, ja w Lewiston. Ona studiowała i pracowała, ja również rzuciłam się w wir obowiązków. Powtarzałam sobie, że tak musiało być, że nie miałyśmy już po piętnaście lat. Szkolne przyjaźnie nie trwają wiecznie, a kontakty wygasają.

Czasem kiedy siadałam w nocy w łóżku, przeglądałam nasze stare fotografie i wspominałam czasy, gdy wszystko było takie proste, uśmiechałam się pod nosem i tęskniłam. Potem przychodziło zrozumienie, że takie jest życie. Wszystko idzie dalej i naprzód. Dorastaliśmy, rozumieliśmy więcej i usamodzielnialiśmy się, ale, co najważniejsze, zapominaliśmy. Oczywiście, że pozostawały wspomnienia, które wywoływały uśmiech na twarzy, i to było piękne. Jednak zapomnienie przychodziło, aby zrobić miejsce nowym przeżyciom i doświadczeniom, które czekały na naszej drodze.

— Mówisz o tym z dziwnym spokojem — mruknęła Sylvia, na co wygodniej się oparłam.

— Takie jest życie. Ty nie miałaś żadnych przyjaciółek, z którymi nie masz już kontaktu? — odbiłam piłeczkę, unosząc hardo brew. — Każdy musi pójść w swoją stronę.

— Owszem, ale trzeba odróżniać wyparcie od pogodzenia się — zauważyła trafnie, a delikatny uśmieszek wpełzł na jej usta. — Jak jest w twoim przypadku?

— Jeśli chodzi o Mię, jestem z tym w pełni pogodzona — odpowiedziałam szczerze.

— A jeśli chodzi o pozostałych bliskich ci ludzi z twojego rodzinnego miasta? — zapytała wprost, na co mina mi trochę zrzędała.

Odcchrząknęłam cicho, a noga znów zaczęła mi nerwowo podrygiwać. Dziwny dreszcz przebiegł wzdłuż mojego kręgosłupa. Poczułam silną irytację, chociaż tak naprawdę nie miałam powodu, by tak się czuć. W końcu grzebanie w moim życiu było jej pracą. Mimo to z zaciętą miną zacisnęłam wargi, unosząc brwi i posyłając terapeutce niezbyt miłe spojrzenie. Cała moja postawa wyrażała chęć wszczęcia burdy i buntu. Chociaż przyzwyczaiałam się już do huśtawek nastroju, nadal zadziwiało mnie to, jak potężne i szybkie potrafiły być.

— Czy cała dzisiejsza sesja nosi tytuł „o wspomnieniach z Culver City”? — zapytałam nieco ostrzejszym tonem, niż miałam w zamiarze. — Urocze, nie powiem, ale nieco niepotrzebne. Minęły cztery lata. Może skupmy się na teraźniejszości?

— Już na pierwszym spotkaniu powiedziałam ci, że aby było dobrze teraz, musisz pogodzić się z przeszłością i umieć o niej rozmawiać bez chęci rozszarpania komuś gardła — odpowiedziała mi równie zgryźliwie, nieco mnie gasząc. — A pamiętasz, w jakim byłeś wtedy stanie. Te sesje nie mają na celu sprawić, że zapomnisz. Mają pomóc ci pogodzić się z pewnymi rzeczami i je zaakceptować.

— Ale po co rozgrzebywać moją przeszłość? — zapytałam, gdy Sylvia zamknęła swój notatnik z długopisem pomiędzy kartkami i odrzuciła go na biurko. Ten gest nie oznaczał niczego dobrego.

— A twoja przeszłość nie jest częścią ciebie? — odbiła piłeczkę z nutką sarkazmu, na co przewróciłam oczami.

Bełkot.

— Jest, ale mnie nie definiuje — odrzekłam nonszalancko. — To, co było, już minęło.

— Skoro już minęło, to możesz o tym rozmawiać bez zbytniego wczuwania się. — Mimo że jej ton pozostał poważny, wyczułam w nim dziwną kpinę. Wygięła usta w uśmiešku zadowolenia, gdy groźnie zmrużyłam oczy. — Czyż nie?

Zapanowała chwilowa cisza i tylko na siebie patrzyłyśmy.

— Nienawidzę twojego niekonwencjonalnego podejścia do swojego zawodu — poddałam się w końcu i niczym ostatnia męczennica odchyliłam głowę na oparcie kanapy. Swoim zachowaniem wywołałam śmiech Sylwii.

Czasami naprawdę nie cierpiałam tego, że nie była jak inne psycholożki i nie stosowała typowej psychologicznej gadki, pozostając przy relacji pacjent – lekarz. Zamiast tego chciała słuchać o dosłownie wszystkim, była wścibska i na moje nieszczęście cholernie ją polubiłam.

— Ta rozmowa mnie męczy.

— Ty męczysz mnie od dwóch lat — dopiekła mi. — A mimo to jakoś nadal cię lubię.

Wyprostowałam się, patrząc na nią z uniesioną brwią.

— Powinni odebrać ci prawo wykonywania tego zawodu — burknęłam, opierając łokcie na kolanach. Usilnie starałam się poukładać w głowie myśli, aby zacząć mówić, ale nijak mi to nie wychodziło. — Moi dawni przyjaciele z rodzinnego miasta, o których opowiadałam ci na jednym z pierwszych spotkań, jakoś sobie radzą. To chyba najważniejsze.

— To znaczy?

— Nie mam kontaktu z nikim stamtąd — przyznałam się szczerze, znów czując się dziwnie przytłoczona. — O wszystkim, co się u nich dzieje, dowiadywałam się od Chrisa. Też nie jest z nimi tak blisko jak kiedyś, ale zawsze wiedział, co u nich. Nie rozmawiałam z nim od prawie pół roku, więc nie znam aktualności. Podobno Laura ze Scottem mieszkają na Florydzie, a Cameron zaczął znowu studia gdzieś w Nowym Jorku. Matt uległ rodzicom i dalej studiuje prawo. Też wyjechał z Culver City, ale nie mam pojęcia dokąd. Była dziewczyna mojego brata, Jasmine, została na miejscu, tak jak Mia i Luke. Chris świetnie sobie radzi we Francji. Inni znajomi ze szkoły porozjeżdżali się po świecie. Mój wujek Garry dalej mieszka tam, gdzie dawniej.

— Rozmawiałaś z nimi po swoim wyjeździe?

— Tylko na początku. Od dłuższego czasu jest cisza, ale tak jak mówiłam. Taka kolej rzeczy.

Kiedy wspominałam swoich przyjaciół z czasów, gdy chodziłam do ogólniaka, zawsze się uśmiechałam. Jeśli chodzi o nich, wygrałam los na loterii. Ale tak jak w przypadku Mii, nic nie trwa wiecznie. Straciliśmy

ze sobą kontakt, bo większość z nas chciała wyjechać i zacząć życie od nowa. Dorosłość nigdy nie pyta o pozwolenie, po prostu włazi ludziom w życie z buciarami i zabiera wszystko. Pozostały mi wspomnienia, tamte lata były jednym z najlepszych okresów w moim życiu. Miałam przy sobie wspaniałych ludzi, o których myślałam tylko dobrze, i liczyłam, że oni też się uśmiechają, wspominając mnie.

Ale to wszystko działo się ponad cztery lata temu.

— A chłopak, przez którego to wszystko się zaczęło?

Nie mogłam opanować bladego uśmiechu, który wkrał się na moje wargi po pytaniu Sylvii. Z dziwnym zakłopotaniem, które nie towarzyszyło mi często, spuściłam wzrok na kolana, przygryzając dolną wargę. Bawiłam się palcami, a cisza, o dziwo, wcale mi nie przeszkadzała.

Po kilkudziesięciu długich sekundach, podczas których nie myślałam tak naprawdę o niczym, w końcu westchnęłam cicho i popatrzyłam na swoją terapeutkę, znów hamując uśmiech. Kobieta przyglądała mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

— Cóż to za uśmiech? — dopytała.

— Jaki uśmiech? — udałam głupią, a kąciki moich ust mimowolnie poszybowały w górę.

— Ten uśmiech.

— Otóż... — zaczęłam rozbawiona z uniesionymi brwiami — ...to uśmiech miłych wspomnień.

Czy mógłby być inny, skoro chodziło o niego?

Nathaniel Gabriel Shey.

To zabawne, że po ponad czterech latach wystarczyło jedno pytanie o tego chłopaka, aby wprawić mnie w taki stan. Minęły cztery lata, a ja wciąż pamiętałam. Pamiętałam dosłownie wszystko, bo jak mogłabym zapomnieć? Jak mogłabym nie pamiętać tego wcielenia kłopotów, dla którego sprzedałabym duszę diabłu? I choć minęło tak wiele czasu, czułam milion innych emocji i wiele rzeczy odeszło w zapomnienie, on pozostał w mojej pamięci. Bo jego nie mogłabym zapomnieć.

Wystarczyło jedno pytanie, a przed oczami miałam jego obraz. Obraz mojego prywatnego ideału. Widziałam w wyobraźni, jak w swoich nieodłącznych czarnych jeansach, czerwonej bluzie z kapturem i tego samego koloru converse'ach wspina się po rynnie do mojego pokoju. Niemal czułam pod palcami jego miękkie ciemnobrązowe włosy, które

zawsze żyły swoim życiem. Niemal czułam zapach papierosów, mięty i wody kolońskiej.

Było też coś, czego najbardziej nie potrafiłam zapomnieć.

Tę oczy.

Czarne niczym noc. Puste, a jednocześnie tak głębokie, że się w nich zapadałam. Wciągały mnie, elektryzowały, magnetyzowały. Nigdy mniej, zawsze więcej. Z każdym kolejnym spotkaniem, dotykiem, spojrzeniem. Szatan stworzony przez bogów.

— Chyba ktoś tu odleciał — mruknęła zadowolona Sylvia, na co zaśmiałam się cicho pod nosem.

— Możliwe — rzuciłam, unosząc kąciuki ust.

— Wspomniałaś o nim tylko raz. Na swojej pierwszej wizycie — powiedziała nagle, na co skinęłam głową. — Nigdy o nim nie opowiadasz i nagle po dwóch latach wystarczy jedno pytanie, a ty szczerzysz się jak nigdy.

— Mogłabyś zapytać o niego nawet po dwudziestu latach, a zareago-
wałabym tak samo.

— Więc kim był ten chłopak i co takiego zrobił?

Och, Sylvio. Był wszystkim.

— Był kimś, kto otworzył mi oczy.

Nie widziałam go ani nie rozmawiałam z nim od czterech lat. Nie wiedziałam, co się u niego działo. Chris wspominał coś o tym, że nadal mieszka w Culver City, i na tym moja wiedza się kończyła. Nasze ostatnie spotkanie było w moim domu w dniu wyjazdu do Maine.

Nathaniel należał do tej dobrej przeszłości. Pamiętałam chwile, kiedy był dla mnie wszystkim, moim powietrzem, wodą, ogniem, wiatrem. Wszystkim, co się liczyło, jasnością i ciemnością. Pamiętałam każdy moment. Każdy pocałunek i dotyk, każdą sekundę, gdy unosiłam się nad ziemią, ale i każdą, kiedy spadałam na dno, a potem jeszcze niżej. Mimo że minęły cztery lata, mimo że wszyscy dorośliśmy, każde z nas poszło w swoją stronę i zaczęło żyć własnym życiem... on na zawsze pozostał nieodłącznym elementem mojego.

Był ze mną zawsze. Zapisany w mojej głowie i duszy.

Mimo że nie czułam już do niego tego, co kiedyś, mimo że oboje ruszyliśmy do przodu, zawsze pamiętałam. Pamiętałam człowieka, który pokazał mi wszystkie aspekty życia. Zarówno te dobre, jak i złe. Pokazał

mi odcienie szarości, a nie tylko czerń i biel. Był pierwszym chłopakiem, który tak wiele dla mnie znaczył. Chociaż spotkałam po nim kilku następnych, z którymi wszystko wydawało się prostsze, nikt nie był taki jak on. Choć byli miłsi, liczyli się z moimi uczuciami i łatwiej było nam się zrozumieć, nikt nie dorównywał mu nawet w połowie.

Nathaniel był po prostu Nathanielem. Kimś nie do podrobienia.

— Pierwsze zauroczenie? — zaśmiała się Sylvia, na co i ja się uśmiechnęłam.

Obserwowałam małe drobinki kurzu unoszące się w powietrzu, idealnie widoczne w blasku promieni słonecznych. Bez namysłu wstałam z kanapy, rozprostowując obolałe kości. Z delikatnym uśmiechem podszłam do okna. Czułam poważny wzrok terapeutki na swoich plecach, gdy przymknęłam oczy, relaksując się.

Pierwszy raz od bardzo dawna nie potrzebowałam papierosów czy kawy. Nie potrzebowałam wyrzucać z siebie przekleństw ani wyłamywać palców ze stawów. Pierwszy raz od dawna poczułam dziwny spokój. Nie wiedziałam, czy to za sprawą całej tej rozmowy, wzmianki o nim albo o moich przyjaciółach, ale spokój opanował mnie całą. Tego właśnie chciałam. *Spokoju.*

— To nie było tylko zauroczenie — odezwałam się po długiej chwili, a mój głos był dziwnie przytłumiony. Odległy, jakby odszedł ode mnie w krainę słońca i zastąpiło go jego własne echo. Chyba tak się wtedy czułam. Jak echo samej siebie.

— Miłość? — zapytała, co wywołało moje ciche parsknięcie.

— Też nie — odparłam, kąpiąc się w promieniach słonecznych. — Dla mnie to było coś, czego nie potrafiłabym zamknąć w jednym słowie.

— Aż tak?

— Więcej — poprawiłam ją. — Nawet jeślibym chciała, nie potrafiłabym ci powiedzieć, co nas łączyło.

Nikt by nie potrafił.

— Tęsknisz za nim?

To pytanie sprawiło, że znów uciekłam myślami w przeszłość. Tęskniłam za nimi wszystkimi. Za kochaną Laurą Moore, która była naszym promyczkiem, i za Lukiem Mitchellem. Za tym cwaniakiem, Scottem Hayesem, za którym przepadałam. Za Mattem Donovanem, który zabijał poczuciem humoru. Za szarmanckim Cameronem Wilsonem oraz

za pozbawioną hamulców Ashley Manson. Za Mią Roberts, która była dla mnie jak siostra. Za Chrisem Adamsem, z którym w przedszkolu zawarłam pakt przyjaźni na wieki. Nawet za cholerną Jasmine Sharewood, miłością mojego brata i moją nemezis, którą skrycie nawet lubiłam.

I za *nim*.

Przeżyłam z nimi tak wiele. Poznałam z nimi życie, ale to już przeszłość. Przeszłość, którą ceniłam i pamiętałam, ale którą pozostawiłam za sobą. Nie byliśmy już tymi dziećmi sprzed czterech lat. Dorośliśmy.

Spojrzałam przez okno na jasne niebo i lekko się uśmiechnęłam.

— Jest dobrze. Wszystko się kiedyś kończy — odparłam spokojnie.

— Grunt to umieć się z tym pogodzić — dodała Sylvia.

Skinęłam głową.

— Chyba wszyscy się pogodziliśmy. Mam nowe życie. Nowych przyjaciół, pracę i wspomnienia. Oni zapewne mają to samo. Każdy wybrał swoją ścieżkę, Sylvio. I ja wybrałam swoją.

— Więc jeszcze raz — zaczęła po chwili kobieta. — Cieszysz się, że wyjechałaś z Culver City?

Westchnęłam cicho, wbijając wzrok w ulicę za oknem. Po kilku sekundach na mojej twarzy znów pojawił się uśmiech. Ale nie był to uśmiech szczęścia czy radości. Nie był to również uśmiech smutku. Był to... po prostu uśmiech.

— Wyjazd z Culver City powstrzymał mnie od upadku i uratował moją psychikę — powiedziałam cicho. — To miasto mnie niszczyło. Było piekłem...

— Ale? — dopytała Sylvia, która oczywiście wyczuła w mojej odpowiedzi drugie dno.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

— Ale czy cieszyłabyś się, gdybyś opuściła piekło, skoro zostawiłaś w nim diabła, dla którego zrobiłabyś wszystko?

Słońce chyliło się ku horyzontowi, kiedy z dłońmi wciśniętymi w kieszenie płaszcz spacerowałam po Lewiston. Było już po piątej i na dworze zrobiło się zimniej, więc moje nagie stopy w szpilkach całkowicie zamarzły. Nie przeszkadzało mi to jednak w tym, aby przez prawie dwie godziny krążyć bez celu po mieście. To był jeden z tych dni, gdy

wybierało się tę dłuższą drogę do domu. Błądziłam więc po kolejnych przecznicach, odkrywając nieznane mi dotąd zakątki.

Nagle telefon w mojej kieszeni zawibrował. Zatrzymałam się i skostniałymi dłońmi wyciągnęłam swojego złotego iPhone'a.

Theo: Zaraz wychodzę do Erika. Będziesz?

Wcześniej napisałam mu, że wrócę później, zupełnie zapomniałam jednak o kolacji u Erika. Wiedziałam, że powinnam pójść. Przez nawal obowiązków ostatnio widywaliśmy się rzadko, ale chyba nie miałam nastroju na takie spotkanie. Nie chciałam zepsuć im wieczoru, więc po chwili namysłu postanowiłam zrezygnować. Westchnęłam cicho i zaczęłam wystukiwać odpowiedź.

Victoria: muszę załatwić jeszcze kilka spraw. idź sam i powiedz, że wpadnę do niego w tygodniu. wrócę do mieszkania za jakąś godzinę.

Nie czekałam długo na wiadomość zwrotną.

Theo: Okej. Nie chodź długo sama.

Przewróciłam oczami na tego tatuśkowatego, troszczącego się Theo, który pomimo tego, że o mnie dbał, nadal pozostawał kretynem. Wcisnęłam telefon z powrotem do kieszeni. Byłam niecałe trzy przecznice od swojej kamienicy, ale nie chciałam jeszcze wracać. Bez zastanowienia ruszyłam w stronę parku, w którym również nie spotkałam zbyt wielu osób. To lubiłam w Lewiston, było spokojne i bezpieczne, a tego chciałam. Tego potrzebowałam.

Minęłam dwoje starszków siedzących na ławce, którzy trzymali się za ręce. Uśmiechnęłam się i podeszłam do fontanny na środku wyłożonego kostką placu. Wzdychając, usiadłam na jej brzegu i spojrzałam na jasno podświetloną wodę wylewającą się z wielkiej kamiennej ryby. Wszędzie te paskudne ryby.

— Może to jakiś znak? — wymamrotałam sama do siebie.

Moje myśli same wróciły do wizyty u Sylvii, która była niełatwa, ale naprawdę oczyszczająca. Nie lubiłam tematu mojego rodzinnego miasta. Wiązało się z nim zbyt wiele wspomnień. Przecież teraz byłam szczęśliwa, miałam dobrze płatną pracę, mieszkałam ze swoim irytującym, aczkolwiek kochanym bratem, który po śmierci rodziców stał się dla

mnie kimś na ich wzór. Z naszej dwójki to on był osobą, która myślała zdroworozsądkowo. W końcu wszystko było w porządku. Miałam fajne koleżanki i od czasu do czasu jakiegoś adoratora, a do tego Erik nam pomagał. Już dawno nie było złych dni. Ruszyłam do przodu.

Czasem, tak jak dziś w gabinecie Sylvii, wędrowałam myślami w przeszłość. Do moich przyjaciół. Do niego.

Ale potem wracałam do rzeczywistości. Do nowego życia bez nich, bo takie właśnie wybrałam.

ROZDZIAŁ 2.

Poezja to Victoria

Spacer po wizycie u Sylvii okazał się niezbyt mądrym posunięciem, bo choć oczyściłam umysł z myśli, chyba się przeziębiam. Kiedy przekroczyłam próg naszego mieszkania, czułam się psychicznie i fizycznie wycieńczona. Z naciskiem na fizycznie. Mój nos przypominał sople lodu.

Ledwo udało mi się otworzyć drzwi, bo dłonie tak mi zdrętwiały, że miałam problem z utrzymaniem klucza. Dopiero po dwóch minutach w ciepłym mieszkaniu mogłam poruszyć stopami. Zapaliłam światło w kuchni i zdjęłam płaszcz oraz szpilki. Delikatnie odłożyłam buty na miejsce, z rozczeniem zerknąwszy na mieniące się różowym złotem „LV” na podeszwie. Plus pracy dla Bensona.

W mieszkaniu panowała cisza. Theo był już u Erika na kolacji, więc czekał mnie samotny wieczór. Już miałam podejść w stronę kuchennego blatu, gdy nagle z korytarza po lewej, który prowadził do pokoi i łazienek, wyłonił się Kot. Wielki nowofundland powoli kroczył po jasnych panelach, przeciągając się i ziewając, co oznaczało, że właśnie obudził się ze swojej wieczornej drzemki. Uśmiechnęłam się szeroko i podeszłam do zwierzaka, marszcząc nos. Przykucnęłam przy nim, chwyciłam go za pysk i zaczęłam drapać za uszami.

— Hej, staruszkule — przywitałam się miękkiem głosem. Delikatnie gładziłam jego czarną, szorstką już sierść, na której były widoczne pasma siwizny. — Co dziś robiłeś, jak mnie nie było? — zapytałam, spoglądając w jego błyszczące brązowe oczy.

Kot znowu ziewnął, a ja się uśmiechnęłam. Ostatni raz dotknęłam jego siwych wąsów i wstałam.

— Brałeś już witaminy? — kontynuowałam, przechodząc do kuchni, w której panował porządek.

Kot w tym samym czasie podszedł do kanapy w salonie i na nią wskoczył, wciąż obserwując moje poczynania.

Zegarek na wyświetlaczu piekarnika wbudowanego w ściankę wskazywał ósmą jedenaście. Przez dłuższą chwilę bezmyślnie wpatrywałam się w swoje długie paznokcie. Do rzeczywistości przywrócił mnie dopiero przypominający warknięcie odgłos wydobywający się z mojego żołądka, który głośno domagał się pożywienia. Przez cały dzień zjadłam jedynie pół rogalika, którego kupiłam w piekarni podczas spaceru. Wiedziałam, że gdyby Theo się o tym dowiedział, zebrałabym niezłe cięgi.

— Chyba czas coś sobie ogarnąć — rzuciłam ni to w przestrzeń, ni to do Kota.

Odepchnęłam się od blatu i rozejrzałam po jasnej kuchni. Została zaprojektowana na kształt litery „L”, a na jej środku stała wysoka wyspa kuchenna z dwoma drewnianymi krzesłami barowymi, która oddzielała pomieszczenie od salonu. Dominowała tam biel przełamana dodatkami w kolorze ciepłego drewna.

Podeszłam do grafitowego zlewu i chwyciłam jedną z czystych misek leżących na suszarce do naczyń. Napełniłam ją płatkami, a później zalałam je mlekiem.

Stanąłam przy blacie i powoli spożywałam posiłek, wpatrując się w brązowe mleko i rozmoknięte chrupki czekoladowe. Wsłuchiwałam się w ciszę przerywaną tylko chrapaniem Kota, który znów zasnął. Lubiłam ciszę. Cisza była w porządku. Była lepsza od chaosu.

Kiedy skończyłam jeść, poczułam się naprawdę zmęczona, choć niewiele tego dnia zrobiłam. Być może wpłynęła na to wizyta u Sylvii? A może po prostu miałam gorszy dzień? Bez namysłu ruszyłam korytarzem w stronę swojej sypialni, która znajdowała się dokładnie naprzeciwko sypialni mojego brata. Dalej były jedynie dwie pary drzwi prowadzące do łazienki i toalety.

Nie chciało mi się sprzątać bałaganu, który zostawiłam rano. Postanowiłam go zignorować i podeszłam do wielkiej szafy, która mimo swoich rozmiarów nie mieściła już moich ubrań. Ten fakt doprowadzał Theo do szału, ponieważ i tak zajmowałam większość mebli w mieszkaniu. Jedynym pomieszczeniem, gdzie nie miałam powciskanych swoich

ciuchów, był jego pokój, ale coś czułam, że i to mogło w przyszłości ulec zmianie.

Przebrałam się w szare spodnie dresowe i za dużą bluzę. Poczułam się zdecydowanie lepiej, gdy w wygodnym ubraniu wróciłam do salonu. Opadłam z ulgą na miękką kanapę, na której leżał Kot. Włączyłam sporych rozmiarów plazmę, naciągając na siebie puszysty koc. Bez namysłu wybrałam pierwszy lepszy dramat, nawet nie przeczytawszy opisu.

Przez następne cztery godziny nie zrobiłam nic produktywnego. Obejrzałam film, który okazał się ścierwem, i wyszłam z Kotem na szybki spacer, podczas którego ponownie odmroziłam sobie tyłek. Leżąc nieumyta z rozmazanym makijażem i włosami spiętymi w kok w swoim łóżku o jedenastej pięćdziesiąt pięć, nie myślałam za wiele. Przez ciężkie zasłony nie przebijało się światło z zewnątrz. Byłam tylko ja, w ciszy i ciemności.

Trwałam tak do momentu, gdy usłyszałam przekręcanie klucza w zamku w drzwiach wejściowych. Te od mojej sypialni były uchylone, więc mogłam wychwycić każdy dźwięk. Wiedziałam, że to Theo, dlatego nie ruszyłam się nawet odrobinę. Z dłońmi splecionymi na brzuchu wpatrywałam się w sufit. Mój brat ciężko odetchnął i rzucił klucze na stolik. Minęło kilka sekund, nim odgłos jego kroków rozniósł się po korytarzu. Nie odezwałam się. Nie miałam na to siły, a i on zapewne był zmęczony.

Często bywaliśmy zmęczeni.

Myślałam, że Theo pójdzie albo do siebie, albo do łazienki, ale tak się nie stało. Zamiast tego usłyszałam skrzypnięcie drzwi do mojej sypialni, a następnie wyczułam jego obecność.

— Victoria? — zapytał cicho, a w jego zachrypniętym głosie usłyszałam niemal niewykrywalną nutkę obawy.

Wiedziałam, że nawet gdyby bardzo się starał, nie pozbyłby się jej. Dałam mu zbyt wiele powodów do niepokoju.

— Jestem, nie musisz się martwić — wyszeptalam, a moje słowa rozplynęły się w mroku.

Theo westchnął z ulgą.

— Czemu nie śpisz? — zapytał nieco głośniejszym głosem.

— Niedawno się położyłam — odparłam szczerze. — I w sumie to trochę myślę, nie myśląc — dodałam po chwili, na co Theo cicho się zaśmiał.

Potem znów zamilkliśmy i wydawało mi się, że pożegna się i pójdzie do siebie, jednak nie miał takiego zamiaru. Ruszył w moją stronę, a ja automatycznie przesunęłam się ze środka łóżka na jego prawą część. Czułam, jak materac się ugiął, kiedy Theo się na nim położył. Z westchnieniem oparł głowę na poduszce. Zapach jego perfum dotarł do moich nozdrzy, przez co lekko się uśmiechnęłam. Poczułam nostalgię, ponieważ używał ich jeszcze w Culver City.

Kolejne minuty upływały nam w błogiej ciszy. Oboje patrzyliśmy przed siebie, każde pogrążone we własnych myślach. *Byłam zmęczona.*

— Jadłaś, gdy wróciłaś? — upewnił się Theo miękkim, ale i stanowczym tonem. To nie znikало nigdy.

Skinęłam głową, co zapewne wyczuł.

— Tak, jak przyszedłam — odparłam, bo ostatnie, czego chciałam, to aby znów zaczął się przejmować. — Co u Erika? — zapytałam, by zmienić temat na weselszy.

Theo chwilę się zastanowił.

— Po staremu. Pytał, czemu nie przyszedłaś — mruknął, przez co automatycznie zrobiło mi się głupio.

Mimo że do niedawna oboje odwiedzaliśmy go przynajmniej raz w tygodniu, ponieważ mieszkał stosunkowo blisko, nie lubiłam się nie pojawiać, kiedy nas zapraszał. W końcu był rodziną. Przełknęłam ślinę, zapisując sobie w głowie, aby następnego dnia do niego zadzwonić i wpaść z wizytą przy najbliższej okazji.

— Niezbyt dobrze czułam się po rozmowie z Sylvią. Musiałam pobyc sama — odparłam szczerze i teraz to ja poczułam, jak skinął głową.

Nie zapytał. Nigdy nie wypytywał o moją terapię. Byłam mu za to cholernie wdzięczna.

— Już północ — wyszeptał niemal niesłyszalnie.

Przekreściłam głowę i zerknęłam w ciemności na kontury jego twarzy. Patrzył na lekko podświetlony cyferblat zegarka stojącego na szafce nocnej po swojej stronie. Ja też na niego spojrzałam i wychwyciłam wzrokiem same zera. Theo przełknął ślinę, jego brązowo-zielone tęczęwki załśniły w ciemności. Jednak te oczy, które zawsze były moją podporą, nie świeciły tym blaskiem, którym powinny. One wyrażały coś innego. Wyrażały smutek.

— Piętnasty października — wyszeptałam.

Poczułam, jak moje serce i oddech przyspieszają w ten sposób, w jaki przyspieszały tylko dwa razy w roku.

— Właśnie mijają cztery lata, odkąd odszedł.

Właśnie zaczynał się dzień czwartej rocznicy śmierci naszego ojca, który do końca swojego życia pozostał w Culver City i na którego pogrzebie nas nie było. Alexandra Rodrigueza, którego wykończył cholerny rak. Nie wspieraliśmy go ani mu nie pomagaliśmy.

Byliśmy po drugiej stronie Ameryki, bo chcieliśmy się odciąć od przeszłości. Musieliśmy wyjechać, żeby się ratować, i chociaż stale powtarzałam sobie, że wybraliśmy dobrze, przeprowadzając się do Lewiston, nie potrafiłam wybaczyć sobie tego, że nie było nas przy nim, gdy umierał. Nieważne, że wiele razy powtarzał nam, jak się cieszy z tego, że jesteście w Maine.

Skłamałabym, mówiąc, że mi go nie brakuje. Brakowało mi go tak samo, jak brakowało mi mamy. Tęskniłam za swoim dzieciństwem, kiedy czułam się kochana i potrzebna. Kiedy miałam rodziców. Strata zawsze boli, czasami mniej, czasami bardziej. Ta wypalała dziury w moim sercu. Choć minęły cztery cholerne lata, rany się nie zasklepiły.

Próbowałam uspokoić się miarowymi oddechami, bo całe moje ciało zaczęło drżeć.

— Czasami zastanawiam się, jak by wyglądało nasze życie, gdyby oni nadal żyli — szepnął Theo zachrypniętym głosem. Ból nasilał się z każdą sekundą. — Jak wyglądałoby to wszystko. Czy mieszkalibyśmy tu, w Culver City czy jeszcze gdzieś indziej. Jak byłoby na święta i jak przebiegałyby różne odwiedziny. Minęły cztery lata, a te myśli dopadają mnie tak często.

Drżenie jego głosu zdradzało, ile kosztowało go mówienie mi tego. Nie rozmawialiśmy o tym za często. Właściwie nie rozmawialiśmy o tym wcale, ale właśnie takie chwile jak ta odkrywały to, co pozostawało zakryte. W takich momentach, w ciemności, słowa same wypływały z naszych ust. Znowu zderzyłam się ze smutnymi oczami Theo. Choć rozmawialiśmy o czymś tak trudnym, żadne z nas nie płakało.

My już nie płakaliśmy.

— Pewnie niektóre sprawy potoczyłyby się inaczej — powiedziałam, powoli mrugając. Krew szumiała w moich uszach, a nieprzyjemna gula w gardle utrudniała wypowiedanie słów. — To wszystko byłoby lepsze.

— Tego nie wiesz — odparł, na co delikatnie uniosłam kącik ust, zdobywając się na zmęczony uśmiech.

— Prawda jest taka, że wszystko z nimi było lepsze — mruknęłam, przyciskając policzek do ciepłej poduszki. — Mimo że jesteśmy dorośli i minęły cztery lata... to nie zniknie. To uczucie, że mogłoby być inaczej.

Kiedyś mieliśmy tak wiele. A potem zostaliśmy z niczym.

— Pamiętasz nasze liceum? — zapytał nagle, na co uśmiech na mojej twarzy powiększył się jeszcze bardziej.

Parsknęłam pod nosem.

— Wszystkie szczegóły, Theo — zaśmiałam się cicho, co sprawiło, że i on się uśmiechnął.

— Czasami chciałbym się do niego cofnąć, mimo że skończyłem już studia.

— Chyba taka kolej rzeczy. — Wzruszyłam ramionami. — Tęsknimy, ale trzeba żyć dalej, prawda?

Często myślałam o tym, że życie nie jest usłane różami. Nie zatrzymywało się w miejscu, bo człowiek tak sobie zażyczył. Biegło coraz szybciej, nie pozwalając nam zwolnić, wciągało nas bez pytania. Moje dzieciństwo oraz czas nastoletni wspominałam najlepiej. Potem wszystko runęło, ale wiedziałam, że trzeba ponownie odnaleźć szczęście, nawet jeśli ktoś je zdeptał i zakopał głęboko w ziemi. Po części mnie i Theo to się udało. Kupiliśmy sporych rozmiarów zadbane mieszkanie w spokojnej okolicy, każde z nas zdobyło dobrze płatną pracę, mieliśmy przyjaciół i Erika, którego traktowaliśmy jak ojca przez to, że on traktował nas jak własne dzieci. A jednak zawsze było to *coś*.

Coś, czego nie potrafiliśmy znaleźć.

— Chyba trzeba — odparł z wymuszonym uśmiechem Theo.

Czułam, że nie chce kontynuować tej rozmowy, zresztą ja też nie miałam ochoty. Więc nie odpowiedziałam.

Mój brat nadal nie zamierzał iść do siebie, toteż ze ściśniętym gardłem położyłam głowę na poduszce i okryłam nas puchatą kołdrą. Nie protestował.

Kolejne minuty mijały, słyszałam nasze miarowe oddechy, a moje powieki robiły się coraz cięższe. Byłam już na granicy snu, gdy nagle przypomniała mi się rozmowa z Sylwią. Niewiele myśląc, zapytałam:

— Żałujesz, że wyjechałeś z Culver City?

To pytanie, w przeciwieństwie do wszystkich innych, nie rozplynęło się w powietrzu. Wręcz przeciwnie, zatrzymało się między nami, ciężąc w niemości, która za nic nie chciała go pochłonąć.

Nawet nie zdziwiło mnie to, że Theo nie odpowiedział.

Mogłam uznać, że już śpi, ale byłam jego siostrą i znałam go. Może lepiej niż on sam siebie. Theodor nie spał. On nie odpowiedział, bo nie chciał odpowiedzieć. Oboje znaleźliśmy prawdę.

Mimo że nigdy nie powiedział tego na głos, Theo żałował. Żałował każdego dnia.

Gdy byłam w liceum, nienawidziłam śród. Kiedy zaczęłam pracować, odkryłam, że poniedziałki są zdecydowanie gorsze. W poniedziałki uświadamiałam sobie, jak bardzo nie chce mi się robić rzeczy, które muszę robić.

Mój budzik jak we wszystkie dni robocze zadzwonił punkt szósta i jak zwykle skończyło się tym, że zasnęłam. „Zamknę oczy tylko na minutę” nigdy nie kończyło się minutą. Tak więc o siódmej rano klęłam jak szewc, zasuwając srebrny zamek czarnej, przylegającej do ciała sukienki marki Dior. Była ładna, wygodna, sięgała mi sporo przed kolano i miała długie rękawy. Kiedy już cudem się z nią uporałam, dokończyłam swój dzienny makijaż. Ostatnie, czego potrzebowałam, to paplanina Bensona o mojej niekompetencji i braku umiejętności nastawiania budzika.

Jak strzała wpadłam do kuchni, gdzie siedział już ubrany i odświeżony Theo, popijając swoją herbatę. Popatrzył na mnie z kpiącym uśmiechem.

— Uważaj, bo upadniesz — mruknął złośliwie, na co posłałam mu piorunujące spojrzenie, szybko chwytając pudełko z tabletkami.

— Uważaj, bo zaraz ty upadniesz. Z moją pomocą — dociełam mu, wyciągając pastylki.

W ekspresowym tempie je zażyłam, a następnie chwyciłam swoją czarną torebkę od Hermesa, do której szybko wpackowałam potrzebne rzeczy. Ostatni raz poprawiłam włosy związane w ciasny kucyk.

— O której dziś kończysz? — zapytał Theo, kiedy zakładałam płaszcz, również z butiku Diora.

— O drugiej — odparłam, tracąc dech. *Może ten karnet na siłownię nie był takim złym pomysłem?* — O drugiej trzydzieści idę na uczelnię, bo dziś mają mi wyznaczyć termin ostatniego egzaminu, a na trzecią mam fryzjera.

Po tych słowach wyciągnęłam szpilki z szafy, w której trzymaliśmy okrycia wierzchnie oraz buty. Cóż, w sumie ja trzymałam, bo osiemdziesiąt procent rzeczy, które ją wypełniały, należało do mnie. To nie moja wina, że znów nie było w niej miejsca!

Pożegnałam się z Theo oraz z Kotem, po czym prędko wyszłam z mieszkania. Po drodze spotkałam naszą sąsiadkę, która życzyła mi dobrego dnia.

Siedząc w taksówce, która wiozła mnie do Starbucksa znajdującego się najbliżej siedziby firmy, sprawdzałam nieodczytane wiadomości oraz skrzynkę pocztową. Kiedy miałam już schować iPhone'a, ten zawibrował, powiadamiając mnie o nowej wiadomości.

Noah: Dziś wieczór. Dobra kolacja, wino, ty i ja. Nie przyjmuję odmowy.

Uśmiechnęłam się lekko, przeczytawszy tę wiadomość. Od razu odpisałam.

Victoria: ależ romantyk.

Victoria: niestety dziś nie mogę. mam dziś sporo na głowie.

Mogłam się z nim spotkać, ale miałam już plany, bo ten wieczór postanowiłam spędzić z Theo. Poza tym wiedziałam, że będę zmęczona po całym dniu pracy, a nie chciałam, aby Noah mnie taką widział. Był moim dobrym znajomym, którego poznałam kilka miesięcy wcześniej podczas jednej z imprez służbowych. Był cztery lata starszy i od razu zrobił na mnie wrażenie swoją kulturą osobistą i poczuciem humoru. Pracował dla jednego z oddziałów „New York Timesa” i okazał się naprawdę w porządku, toteż przebywanie w jego towarzystwie było dla mnie przyjemnością, ale tamtego dnia nie miałam na to czasu.

Noah: Przykro mi to słyszeć, ale może w tym tygodniu dasz się wyciągnąć do restauracji?

Victoria: z przyjemnością.

Z uśmiechem na ustach schowałam telefon. Wręczyłam kierowcy odpowiednią sumę, kiedy podwiózł mnie pod samego Starbucksa. Oczywiście kolejka w środku była niebotyczna, ale dzięki znajomości z panią kierownicą, z którą kiedyś chodziłam na fitness podczas jednej z moich „sportowych faz”, obyło się bez czekania.

— Jesteś cudowna! — zawołałam, kiedy drobna brunetka po trzydziestce podała mi przez blat podstawkę z trzema wysokimi kubkami.

— Nie upadnij po drodze! — zawołała na odchodne ze śmiechem, na co przewróciłam oczami.

Mogłaby przybić sobie piątkę z moim bratem.

Popędziłam w stronę biura. Jakimś cudem udało mi się uniknąć spóźnienia. Dokładnie o siódmej czterdzieści cztery przeszłam przez główne drzwi, o mało nie wypluwając płuc. Uśmiechnęłam się miło do Marka, jednego z ochroniarzy, a następnie ruszyłam do windy, mijając po drodze recepcję. Wokół widziałam mnóstwo nieznanych i znajomych twarzy.

Jadąc na dziewiąte piętro, ostrożnie trzymałam podstawkę z kawami. Drugą dłonią wyciągnęłam telefon z torebki. Szybko sprawdziłam grafik i wszystko, co miałam zaplanowane na ten nieszczęsny poniedziałek. Z ulgą stwierdziłam, że nie było tego tak dużo.

Odetchnęłam, gdy wyszłam z dusznej windy, i pomknęłam korytarzem przed siebie. Uśmiechałam się sztucznie, witając się z napotkanymi osobami, aż w końcu dotarłam do swojego królestwa.

— Jak ja nienawidzę poniedziałków! — warknęłam, wyrzucając wolną rękę w powietrze.

Hannah, która siedziała przy swoim biurku, pisząc coś na tablecie, uśmiechnęła się cwaniacko pod nosem.

— Czyżbyś wczoraj zabalowała? — zapytała, przez co zmrużyłam groźnie oczy.

— Hannah — rzuciłam ostrzegawczo.

— No co? — obruszyła się, w końcu unosząc głowę, a jej miodowe oczy zaślniły. — Wiesz, jak się kończy jedna lampka za dużo przy uroczych nieznanym. Nikt nie ocenia, ja to nawet zazdroszczę.

Przewróciłam oczami i pozwoliłam sobie na głupi uśmiech. Tak naprawdę spędziłam niedzielę z Theo i Erikiem, w porozciąganych piżamach graliśmy w scrabble.

Odstawiłam podkładkę z kawami i torebkę na swoje biurko, a następnie ściągnęłam płaszcz i odwiesiłam go na wieszak.

— Czy Drakula już przybył? — zapytałam, z ostentacyjną miną spoglądając na znajdujące się pomiędzy naszymi biurkami ciemne drewniane drzwi, które prowadziły do gabinetu dyrektora do spraw reklamy.

Hannah pokręciła głową.

— Jeszcze nie. Masz czas, żeby schować szyję — mruknęła, na co parsknęłam śmiechem.

Chwyliłam jeden z kubków z kawą i podałam jej, a ona przyjęła go z uśmiechem wdzięczności.

— Jesteś moją królową, wiesz o tym, prawda?

— Wiem — odparłam.

Hannah Jefferson była zdecydowanie jedną z najlepszych osób pracujących w całej firmie. Uwielbiałam jej niekonwencjonalne podejście do życia, brak instynktu samozachowawczego oraz świetne poczucie humoru i cięte riposty. Nie sposób było jej nie zauważyć, bo Hannah promieniała. Niektórzy ludzie mają w sobie to coś, co po prostu przyciąga i hipnotyzuje. Ona miała to razy pięć. Potrafiła na przykład wypowiedzieć się o czymś krytycznie wśród ludzi, którzy byli danym tematem oczarowani, i zrobić to elegancko. Co więcej, potrafiła tych ludzi przekonać do swojego zdania dzięki bogatemu zasobowi słownictwa i wysoko rozwiniętej umiejętności posługiwania się perswazją.

Stwierdzenie, że jest piękna, byłoby sporym niedopowiedzeniem. Miała śliczne, bujne blond włosy poskręcane w sprężynki, miodowe oczy i dołeczki w policzkach. Jej styl był odważny, ale nigdy wyzywający. Lubiła ciemne kolory, a buty na platformach tak wysokich, że nie było mowy, abym im podołała, nie stanowiły dla niej problemu.

— Idziesz dziś do tego fryzjera? — zapytała, kiedy w końcu usiadłam przy biurku.

Sięgnęłam po swoją kawę, a ostatni napój postawiłam jak zawsze na drukarce. Skinęłam głową.

— To co? Znowu blond, jak ostatnio?

Posłałam jej ostrzegawcze spojrzenie, kiedy perfidnie zachichotała. Nie chciałam wracać do tematu mojego spontanicznego rozjaśnienia włosów, które miało miejsce trzy miesiące wcześniej, i to z kilku powodów.

— Czy możemy o tym nie wspomnieć... — urwałam, kiedy szklane drzwi otworzyły się z impetem i naszym oczom ukazał się niski, przysadzisty mężczyzna po czterdziestce, którego nienawidziłam bardziej niż swojej nauczycielki historii z liceum.

— Nie gadać, tylko brać się do roboty — warknął na powitanie i pewnym krokiem ruszył przed siebie.

Patrzyłam na niego ze swojego miejsca przy biurku, starając się nie wykrzywić twarzy w grymasie. Mężczyzna, nie obdarzywszy nas ani jednym spojrzeniem, zgarnął swoją kawę. Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, nim przebije nosem sufit, jeśli będzie tak zadzierał tę głowę, aby pokazać swoją wyższość. Zerknęłam na Hannah, która po kryjomu przewróciła oczami, zasłaniając się kubkiem. Uśmiechnęłam się pod nosem. Wątpiłam w to, że chociaż jedna osoba w całej firmie lubiła George'a Bensona, który grzał ciepłą posadkę dyrektora marketingu. Z pewnością był największym kutasem w Lewiston.

— Clark, Martha zaraz wyśle ci dwie umowy. W czwartek podpisujemy kontrakt z Hiszpanami i chcę to po angielsku na dziś, ponieważ musimy jeszcze wprowadzić poprawki — burknął, ale i tak na mnie nie popatrzył. Zamiast tego otworzył drzwi do swojego gabinetu. — I masz przełożyć dzisiejsze spotkanie z Pattersonem. Mamy dziś sesję, na której muszę być, więc się nie wyrobię — mamrotał, a ja szybko notowałam wszystko w głowie i na swoim iPadzie. — Potem skopiuj i przynieś mi umowy, które podpisaliśmy z Luxury w zeszłym miesiącu.

— Oczywiście, panie Benson — odparłam, starając się, by mój głos brzmiał miło.

— A ty, Jefferson — wskazał palcem na dziewczynę, która niezbyt przejęta popatrzyła na niego ze sztucznym uśmiechem — za pięć minut u mnie. Wychodzimy dziś na spotkanie i idziesz ze mną.

— Oczywiście — odparła lekko przesłodzonym tonem, czego facet nie wyczuł, bo trzasnął drzwiami.

W końcu odetchnęłam. Sam jego widok przyprawiał o mdłości.

— Kutas — burknęła cicho Hannah. — Czekam, aż zwolni się miejsce jednej z asystentek prezesa.

— Naprawdę mnie z nim zostawisz? — zapłakałam teatralnie, spoglądając na nią jak smutny szczeniak, na co wzruszyła ramionami.

— Ludzi zostawia się przez całe życie, mała.

Gdy trzy lata wcześniej zatrudniłam się w firmie, Hannah była pierwszą osobą, którą poznałam, i tak się złożyło, że złapałyśmy niezły kontakt. Często się spotykałyśmy i chodziłyśmy na imprezy, ponieważ Jefferson okazała się naprawdę rozrywkowa. Poza tym była niesamowicie ambitna. Jej cel był jasny: zostać asystentką prezesa, a następnie dyrektorem handlowym. Była bestią i nie miała sobie równych.

Prawdę mówiąc, nikt nie sądził, że ja zostanę w tej firmie na stałe. Ja sama tego nie zakładałam. Hardey's Company, w której pracowałam, miała duże znaczenie w świecie mody. Zajmowała się wszystkim od strony technicznej. Była odpowiedzialna za reklamę największych domów mody na świecie. Jej główna siedziba mieściła się w Nowym Jorku, a filie, w tym jedna w Lewiston, były rozsiane po całej Ameryce.

Nigdy nie widziałam siebie w takim miejscu. Mogłam powiedzieć o sobie wiele, ale ekspertem modowym nie byłam. O moim zatrudnieniu zadecydował przypadek. W końcu jako studentka pierwszego roku lingwistyki nie miałam zbyt wiele doświadczenia, ale szukałam pracy. W Hardey's Company potrzebowali tłumacza, więc wysłałam CV, nie oczekując, że mnie przyjmą. Akurat szukano jednej asystentki dla Bensaona po tym, jak poprzednia odeszła. Początki nie były łatwe, ale mimo że nienawidziłam tego człowieka całym sercem, grzechem byłoby zrezygnować z takiej roboty. Nie wspominając o częstych prezentach w postaci bajecznie drogich ubrań, wynagrodzenie było... naprawdę spore. Z naciskiem na „naprawdę” i „spore”.

Pasował mi mój zakres obowiązków. Zajmowałam się jedynie papierkową robotą, ponieważ reprezentatywną częścią naszego teamu była Hannah. Nie miałam nic przeciwko temu.

— Tak że — zaczęła Jefferson, wyrzucając pusty pojemnik po kawie i strzelając palcami — do roboty, Clark.

— Kocham życie. — Uśmiechnęłam się nieszczerze, rozkładając ręce.

Następne cztery godziny spędziłam na tłumaczeniu umowy, którą nasza firma miała zawrzeć z pewną firmą z Hiszpanii. Przez nieobecność szefa cały dzień pracowało mi się dobrze. W międzyczasie zjadłam lunch i pogadałam przy tym w bufecie ze znajomymi.

Również o pierwszej trzydzięci opadłam na wygodny fotel przy swoim biurku, wdychając. Potrzebowałam chwili oddechu, ale niestety

szklane drzwi znów się otworzyły, a moim oczom ukazała się burza rudych włosów.

— Victoria — rzuciła oschle Rose, która pracowała w dziale logistyki. Kiwnęłam głową.

— Co tam?

— Przyszłam ci tylko powiedzieć, że Apollinaire jest w firmie. I chce się z tobą widzieć — poinformowała, na co rozszerzyłam oczy.

Na moje wargi wpłynął szczery uśmiech.

— Kiedy wrócił? — zapytałam z rosnącym podekscytowaniem. Wstałam z fotela.

— Właśnie przyjechał — odparła, zakładając ręce na piersi. — Rozmawiał przed chwilą z prezesem, a teraz siedzi w pracowni.

— Cudownie — powiedziałam, a dziewczyna skinęła tylko głową.

Bez pożegnania wyszła z pomieszczenia, co mnie nie zdziwiło, bo nie pałałyśmy do siebie sympatią, ale to nie zmieniało faktu, że minimum kultury by się jej przydało.

Nadal się uśmiechając, wyszłam z gabinetu. Droga dłużyła mi się niemiłosiernie, ale w końcu udało mi się dojechać na dwunaste piętro, skąd szybko pognałam do odpowiedniego pomieszczenia. Tak się spieszyłam, że o mało nie przewróciłam się na laminowanych płytkach. Zapukałam dwa razy w odpowiednie drzwi. Nie minęła chwila, a usłyszałam charakterystyczne *per favore, entra*. Delikatnie uchyliłam drzwi i zajrzałam samą głową do gabinetu.

Jak zwykle w tamtym miejscu nie umiałam skupić na niczym wzroku, bo wszędzie było wszystkiego pełno. Tysiące kolorów wypełniały przestrzeń pracowni. Stosy tkanin, koronek, koralików oraz innych materiałów piętrzyły się w całym pokoju. Na wieszakach w rogach pomieszczenia wisiały przeróżne kreacje, a projekty naszkicowane na kartkach były poprzyczepiane na ścianach, meblach oraz na podłodze. Szkicowniki, ołówki i miarki również były wszędzie. Mimo że gościłam tam dosyć często, magia tego miejsca za każdym razem robiła na mnie wrażenie.

— Moje objawienie! — Do moich uszu dotarł wysoki głos z włoskim akcentem, przez który poczułam rozlewające się we mnie ciepło.

Spojrzałam na Apollinaire'a, który stał obok wielkich okien z widokiem na miasto i pogodnie się do mnie uśmiechał. Rozłożył ręce, aby po chwili je złożyć.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

— Można? — zapytałam.

Chwilę później stałam pośrodku pracowni, mocno ściskana przez niższego mężczyznę. Apollinaire miał pięćdziesiąt osiem lat, ale wciąż wyglądał na czterdzieści. Czarna koszula Bottega Veneta w abstrakcyjne wzory perfekcyjnie układała się na jego piersi. Miał ciepłe brązowe oczy i siwe włosy, które zawsze pozostawały w idealnym nieporządku. Był ode mnie niższy o pół głowy, a przez moje szpilki ta różnica wynosiła jeszcze więcej. Prawie łamał mi zębra i mimo że czułam okropny dyskomfort spowodowany tym dotykiem, postanowiłam wytrzymać, ponieważ nie widzieliśmy się od niemal trzech miesięcy. Był jedną z niewielu osób, na których szczerze mi zależało, i niesamowicie się za nim stęskniłam.

Gdy się ode mnie oderwał, położył dłonie na moich ramionach i przyjaźnie je ścisnął.

— Moje objawienie — powtórzył, z zachwytem obserwując każdy cal mojej twarzy. Czułam się doceniona i podziwiana za każdym razem, kiedy to robił. — Jakim cudem z dnia na dzień inspirujesz coraz bardziej?

— Tak już mam — odparłam narcystycznie z udawaną próżnością, która może nie była tak do końca udawana, a potem znów się uśmiechnęłam. — Czemu nie wspominałeś, że przyjeżdżasz? Nikt mi nic nie powiedział!

— Nikt ci nic nie powiedział, bo nikt nie wiedział — odparł swoim miękkim głosem, pocierając dłonią siwy, idealnie przystrzyżony zarost. — Wróciłem z Mediolanu dziś rano. I musiałem tu zajrzeć.

— I jak było w Mediolanie? — zapytałam naprawdę podekscytowana, kiedy mężczyzna szarmancko zaproponował mi ramię.

Chwyliłam je, a on delikatnie położył dłoń na moich palcach. Poprowadził mnie w stronę wieszaków przy ścianie. Uważnie obserwowałam jego profil, kiedy spoglądał przed siebie, wzdychając.

— Jak to w Mediolanie, moja droga — odparł. — Jeśli można zakochać się w jakimś mieście, jest to właśnie to miasto. Ale muszę szczerze przyznać, że ciągle obserwowanie tych samych rzeczy niebywale mnie znużyło — powiedział z typowym dla siebie patosem, na co miałam ochotę się roześmiać. Czasami przypominał postać wyciągniętą z kreskówki. — Codziennie te same twarze na wybiegach odziane w sztukę.

Codziennie ta spowijająca mnie monotoność. Dlatego tak dobrze widzieć moje objawienie.

— Ach tak? — Uniosłam zawadiacko brew.

— Nawet nie wiesz, ile sztuki stworzono tam tylko i wyłącznie dla ciebie — odparł, na co przygryzłam wewnętrzną stronę policzka, starając się nie wyglądać na rozanieloną. — Tylko ty byłabyś w stanie dobrze tę sztukę przedstawić.

— Oboje wiemy, że to nie moja bajka — mruknęłam.

Jasne, cudownie było usłyszeć coś takiego od jednego z najwybitniejszych ludzi w świecie mody. Apollinaire nie bez powodu był przez wielu nazywany bogiem. Może nie obecnie, ale jeszcze dziesięć lat wcześniej królował jako projektant. Dowiedziałam się o tym, gdy pierwszego dnia pracy przekroczyłam próg firmy i choć od ponad pięciu lat nie pracował w swoim fachu, nadal był uważany za autorytet i ikonę.

Większość rzeczy, jaka przytrafiła mi się w tej firmie, działa się z przypadku. Tak też było w kwestii poznania Apollinaire'a. Po prostu kiedyś zламаłam obcas jednej ze swoich szpilek akurat przy drzwiach jego pracowni. Apollinaire był w siedzibie firmy, co nie zdarzało się zbyt często. Tamten dzień był okropny, bo miałam straszego pecha, więc się popłakałam, a on to zauważył. Nigdy nie sądziłam, że osoby w tej branży są miłe, ale on szybko zmienił moją opinię. Prócz chusteczki na otarcie łez dostałam w prezencie parę cudownych butów Repetto oraz zaproszenie na herbatę w pracowni. To właśnie wtedy powiedział, że zobaczył swoje objawienie, i tak już zostało.

— Mało kto jest tobie równy, moja droga — rzekł z uznaniem, a ja znowu się speszyłam i spuściłam wzrok. — Powinnaś błyszczeć! Bo błyszczysz.

Pokręciłam z rozbawieniem głową. Mógł mówić, co chciał, ale znałam prawdę. Naoglądałam się tych wszystkich dziewczyn z wybiegów i widziałam te, które otaczały mnie w firmie. Doskonale wiedziałam, jak wygląda piękno świata mody. Ani trochę do tego nie pasowałam i odpowiadało mi to.

Apollinaire znał mnie prawie dwa lata. Był moim przyjacielem, chociaż nadal nie wiedziałam, jakim cudem udało mi się zaskarbić sobie sympatię człowieka tak szanowanego i podziwianego jak on, skoro nie zrobiłam nic w tym kierunku. On był niesamowity, a ja byłam zwykłą

Victorią Clark. Czułam się wyróżniona, kiedy powtarzał, że jestem jego objawieniem, chociaż czasem miałam z tego powodu nieprzyjemności, bo ludzie mi zazdrościli.

— Błyszczę, powiadasz? — zapytałam wyzywająco, znów unosząc brew.

Zanim się zorientował, co zamierzam, podeszłam do stolika, na którym leżały różne materiały. Nie robiąc sobie nic z tego, że się wygłupiam, gdy patrzy na mnie sam Apollinaire, chwyciłam długą tkaninę. Zarzuciłam ją sobie na ramiona, wywołując tym śmiech mężczyzny. Bawiąc się w najlepsze, przymknęłam powieki i otuliłam się materiałem tak delikatnym i przyjemnym, że chciałam zostać w nim już na zawsze. Zapewne kosztował tyle, ile całe moje mieszkanie.

Zerknęłam przez ramię, przyciskając podbródek do barku, i spojrzałam na Apollinaire'a spod rzęs, a następnie znów odchyliłam głowę, okręcając się tkaniną jeszcze bardziej.

— Rubin jest stworzony dla ciebie — westchnął. Czułam na swojej twarzy jego czujne spojrzenie. — To nie ty dopasowujesz się do kolorów, Victorio. To one dopasowują się do ciebie. Ty świecisz, moja droga.

— Ja jedynie odbijam światło — mruknęłam z przekąsem, po czym chwyciłam leżący obok czarny kapelusz, który zapewne należał do Apollinaire'a. Może to było nietaktowne, ale i tak założyłam go na głowę.

— Chciałem powiedzieć, że jesteś poezją. Ale prawda jest taka, że poezja to Victoria.

Przymknęłam powieki, czując światło fluorescencyjne na twarzy. Ktoś obok mnie krzychał. Ktoś szeptał, a ktoś inny wymawiał niezrozumiałe dla mnie słowa. Czułam ciała tańczące wokół mnie. Czułam ich zapach. Ich dłonie na moim ciele. Pomruki i zachwyty. Badali moje ciało, chcąc poznać każdy szczegół. Chcąc się nim napawać, zachwycać i je podziwiać. Tylko moje ciało, nigdy duszę. Świat przestał istnieć, oczy pozostały zamknięte. Nie przerwałam, nie wyszłam. Stałam pośrodku zachwyconego tłumu, który z każdą sekundą napierał na mnie coraz bardziej. Słodki moęt spływał po moich wargach i brodzie, tworząc ścieżki na szyi i dekolcie. Pojono mnie nim, abym nie musiała unosić ręki. Wystarczyło, że tam stałam. Ze byłam. I to wystarczało i mnie. Słodki zapach nicości. Gorzki smak ciemności.

— Victoria, jesteś piękna — szeptali.

Och nie! Oni krzyczeli. Krzyczeli, by każdy usłyszał!

— *Jesteś taka niesamowita — tknął rozpaczliwie ten jeden szczególny głos, ponieważ tak mocno go to dotykało. Bolało go to tak bardzo, że chciał płakać. Zawsze mi powtarzał, że moje piękno go boli.*

Nie płacz! Przecież tu jestem. Tylko dla ciebie. Dla ciebie i twoich przyjaciół.

— *Jesteś poetką, Victoria.*

— Victoria? — Głos mężczyzny przywrócił mnie do rzeczywistości.

Pomrugałam szybko. Rozejrzałam się wokoło, czując mocne bicie serca. Zmarszczyłam brwi, spuszczać wzrok na swoje drżące dłonie zaciśnięte na bordowym materiale. Kiedy zdałam sobie sprawę, gdzie jestem, odetchnęłam z ulgą.

To tylko wspomnienie.

Zdjęłam tkaninę ze swoich ramion i lekko otumaniona odłożyłam ją na miejsce razem z kapeluszem. Chciałam nie dać po sobie niczego poznać, więc z wymuszonym uśmiechem spojrzałam na Apollinaire'a. Obserwował mnie wyraźnie zmartwiony.

— Moja droga, czy wszystko w porządku? — zapytał z troską.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej, kiwając głową.

— Tak, oczywiście — odparłam z mocą. — Jak mogłoby być inaczej, skoro w końcu cię widzę? Co u twojej żony?

Nawet jeśli mężczyzna nieco się zmieszał, nie dał tego po sobie poznać. Przywołał na twarz swój szelmowski uśmiech i cały się rozpromienił.

— Moja muza ma się dobrze — odparł. — Przyjechała razem ze mną.

Uwielbiałam, jak o niej mówił. Z oddaniem, czcią i uwielbieniem. Była w wieku Apollinaire'a, a pobrali się czterdzieści lat wcześniej.

— Pozdrów ją — poprosiłam, na co skinął głową. — Szyłeś coś ciekawego? Twój ostatni wielki projekt?

— Powiedziałem ci już, co będzie moim ostatnim projektem. Największym w mojej karierze.

Uśmiechnęłam się lekko, znów chcąc zamaskować onieśmienie. Apollinaire był dla mnie mentorem, człowiekiem, który pokazywał, że po marzenia nie należy iść, trzeba po nie biec. Był kimś, na kim mogłam polegać, jednak w pewnych kwestiach przesadzał. Rzucił słowa na wiatr. Nie mogłam być niczym objawieniem. Ani Apollinaire'a, ani nikogo innego. *Nigdy.*

Bo ktoś tak szpetny w środku nie mógł być piękny.

— Moim ostatnim i największym projektem będzie twoja suknia ślubna.

— Zaraz odpadną mi ręce — zaczął narzekać Theo, kiedy położył cztery siatki z zakupami na blacie w kuchni.

Przewróciłam oczami.

— Och, nie bądź takim jęczydłem — mruknęłam, odkładając na blat zaledwie jedną małą reklamówkę, na co spojrział na mnie spod byka.

Byłam zmęczona po całym dniu w firmie i z powodu stresu spowodowanego wyznaczeniem terminu egzaminu na uczelni. Nawet wizyta u fryzjera nie była taka przyjemna jak zawsze, chociaż Monica zrobiła mi idealny masaż głowy. Moje włosy zostały znów potraktowane czarną farbą. Brąz zniknął z nich od razu po przeprowadzce do Maine.

— Telefon — mruknął mój brat, na co posłałam mu znaczące spojrzenie, ponieważ nie dało się nie usłyszeć dzwonka.

Westchnęłam cicho, ignorując pobołowanie brzucha z powodu zbyt dużego obiadu, który wcisnęłam w siebie godzinę wcześniej w restauracji, gdzie poszliśmy z Theo. Chwyciłam iPhone'a i wcisnęłam przycisk, w międzyczasie drugą dłonią rozpinając guziki płaszcza.

— Tak? — zaczęłam neutralnym tonem, ponieważ nie miałam pojęcia, kto dzwoni.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Zmarszczyłam brwi.

— Witam — nagle do moich uszu dotarł ciężki męski głos. — Czy rozmawiam z panią Victorią Clark?

— Tak, a o co chodzi? — zapytałam, wyplątując się z płaszcza. Rzuciłam go na biały fotel obok, nie odrywając telefonu od ucha.

— Nazywam się Federico Gueva i dzwonię z prywatnej kancelarii prawnej w Culver City — przedstawił się mężczyzna.

Wtedy moje serce się zatrzymało.

W pierwszej chwili myślałam, że się przesłyszałam, że to pomyłka. Nie potrafiłam wyrwać się z letargu, a cisza stawała się coraz bardziej głucha. Pustym wzrokiem wpatrywałam się przed siebie, co chyba zmarwiło Theo, ponieważ przerwał ściąganie butów i spojrział na mnie z niepokojem. Zmarszczył brwi, bez słów pytając, co się stało.

Dopiero wtedy się ocknęłam.

— Culver City? Przepraszam, o co chodzi? — zapytałam zdenerwowana, nawiązując kontakt wzrokowy z bratem, który zaciekawiony tym, że wymówiłam nazwę naszej rodzinnej miejscowości, wskazał na mój telefon. Dał mi tym samym sygnał, abym przełączyła na tryb głośnomówiący.

Zrobiłam to i oboje wpatrzyliśmy się w urządzenie.

— Dzwonię w sprawie testamentu Alexandra Rodrigueza — powiedział, potęgując nasz szok.

— Przepraszam, ale to musi być pomyłka — odparłam poważnym tonem. — Sprawa testamentu naszego ojca została załatwiona cztery lata temu. Od razu po jego śmierci — wyjaśniłam.

Doskonale pamiętałam dzień, gdy odebraliśmy podobny telefon. Tylko wtedy to miało sens. Testament naszego ojca, w którym zapisał połowę majątku mnie i Theo, a drugą połowę swojej rodzinie w Australii, był już wyjaśnioną sprawą. Nie byliśmy na jego odczytywaniu, o co prosił ojciec, ponieważ nie chciał, abyśmy przyjeżdżali w tym celu do Culver City.

Ten telefon musiał być po prostu pomyłką.

— Cóż, po części tak — odpowiedział mężczyzna. — Pierwsza część testamentu została odczytana tuż po śmierci pani ojca, tak jak sobie tego zażyczył. Jednak pozostaje jeszcze sprawa tej drugiej.

— Drugiej? — zapytałam zdziwiona, czując coraz większy ucisk w żołądku.

— Tak, drugiej części, o której pani ojciec kazał poinformować dopiero dzień po czwartej rocznicy swojej śmierci.

Do tamtej pory myślałam, że domino, które kiedyś uruchomiło się pod wpływem moich decyzji, to już zamknięty temat, że gra się skończyła. Ten telefon mi uświadomił, jak bardzo się myliłam. To wcale się nie skończyło. Jeden krzywo ustawiony klocek sprawił, że stanęliśmy w miejscu. Tamtego dnia, po czterech latach spokoju, ten klocek w końcu się przewrócił, a domino ruszyło dalej. Z mocą większą niż kiedykolwiek wcześniej.

Gra znów się toczyła. Piony i figury ponownie ustawiono na szachownicy.

— I ta część wymaga osobistej wizyty zarówno pani, jak i pani brata w Culver City.

Trzy dni samozagłady

— Przecież to bzdura.

Westchnęłam, przymykając ciężkie powieki. Moje ciało i głowa miały dość. Wbiłam się mocniej w skórzane oparcie kanapy.

— Tego nie wiemy — odezwał się cicho Theo.

Miałam ochotę przekląć go za to, że nadal chciał ciągnąć tę prowadzącą donikąd debatę.

Wydawało mi się, że z nas trojga tylko ja miałam całkowicie gdzieś temat, który wałkowaliśmy od dobrych kilkudziesięciu minut. Przez pół godziny trwania tego cyrku nie odezwałam się ani razu. Chciałam udać się do swojej sypialni i przygotować się do ostatniego egzaminu dzielącego mnie od zakończenia mojego studenckiego życia, które od dawnego studenckiego nie przypominało.

Ciekawe, czy wzięłam wszystkie potrzebne książki z biblioteki...

— Cóż, Theo. Nietrudno się domyślić, że to stek bzdur. — Z letargu ponownie wyrwał mnie pełen powagi głos Erika.

Naprawdę dostawałam już białej gorączki. Westchnęłam z irytacją, gdy zerknęłam na siedzącego przy wyspie kuchennej Theo. Minę miał nietęgą, ale nadal zawziętą, co jasno dawało mi do zrozumienia, że nie zamierzał kończyć tej głupiej rozmowy.

Erik patrzył to na niego, to na mnie, a jego cienkie wargi wykrzywiały się w grymasie niezadowolenia. Nawet nie próbował tego ukryć. Materiał jasnego swetra napiął się na jego szerokich ramionach. Cóż, przynajmniej z pożytkiem wykorzystywał karnet na siłownię, który podarowałam mu miesiąc wcześniej na urodziny. Tyle dobrego.

— Victoria, bądźmy rozsądni — mruknął.

Ten poważny ton znałam aż za dobrze, niegdyś używał go w stosunku do mnie naprawdę często.

— Erik, ale to wy zachowujecie się nierozsądnie, bo prowadzicie jeszcze tę głupią rozmowę — fuknęłam sfrustrowana. — Prawdę mówiąc, ja mam to totalnie gdzieś. Jak tylko przyszedłeś, oznajmiłam, że nie zamierzam się na ten temat wypowiadać, bo nie mam nic do powiedzenia. A wy pieprzycie o tym od trzydziestu minut.

— Ponieważ chcę, żeby to wszystko było jasne.

Był zły, a ja naprawdę zastanawiałam się, o co tyle krzyku.

— Czego od nas oczekujesz? — zapytałam i wzruszyłam ramionami. — Inaczej. Czego oczekujesz ode mnie? — Poślałam mu pytające spojrzenie. Coraz trudniej było mi ukryć rosnącą irytację.

— Zdrowego rozsądku — odrzekł i wskazał brodą na Theo. — Bo u twojego brata tego nie widzę.

Zauważyłam, jak Theodor przewraca oczami, a następnie otwiera usta.

— Erik, to nie takie proste...

— Nie, Theo. To jest bajecznie proste! — przerwałam mu gwałtownie. — Przejmujesz się czymś, co nie ma sensu. Nawet nie chce mi się poruszać tego tematu, bo to mija się z celem, a ty ciągle drażysz, jakby to miało jakieś znaczenie.

Słyszac moje słowa, Theodor zmrużył złowrogo oczy. Jego nozdrza rozszerzyły się, gdy posyłał mi nieprzyjemne spojrzenie. Atmosfera, która od początku była ciężka, w tamtym momencie stała się stutonowym kamieniem.

— Bo ma znaczenie...

— Co ma znaczenie? — przerwał mu Erik. — Chcesz mi powiedzieć, że zadzwonił do was jakiś adwokat, o którym nigdy nie słyszeliście, nagał wam o rzekomej drugiej części testamentu waszego ojca i kazał przyjechać do Culver City, ponieważ Alexander sobie tego zażyczył? Przecież on nie chciał nawet, byście przyjeżdżali na jego pogrzeb! I wy się jeszcze zastanawiacie? Jak mam brać was na poważnie, skoro słyszę takie gówno?

Ten zarzut mnie rozeźlił, bo Erik wrzucił nas do jednego worka.

— Po pierwsze — zaczęłam, wstając gwałtownie z miejsca — to on się zastanawia. Nie my. — Wskazałam palcem na Theo, który wykrzywił

wargi z pogardą. — I szczerze? Nie wiem, po co w ogóle prowadzimy tę rozmowę. Nie ma tematu.

— Jest, ponieważ ten ktoś, kto postanowił zrobić sobie taki dowcip, wie dużo o waszej rodzinie i bawi się waszym kosztem. A to jest temat, Victorio. I to poważny. Wygadywał bzdury, ale wie o śmierci waszego ojca, testamentie i zapewne o dokumentach, które was dotyczą. Które są poufne! — zawołał Erik, gestykulując dłonią. Zawsze tak robił, gdy był zdenerwowany.

Skrzyżowałam ręce na piersi, odwracając głowę.

— A skąd, do cholery, jesteś taki pewny, że to bzdury?! — wybuchnął nagle Theo, zrywając się ze swojego krzesła.

Oboje z Erikim spojrzeliśmy na niego. To nie miało prawa skończyć się dobrze. Nie, skoro wszyscy byliśmy tak zdenerwowani i każde z nas miało odmienną opinię na ten temat.

— Czemu cały czas starasz się nas przekonać, że to wszystko jest bujdą? — zapytał ostro Theo, na co Erik zaśmiał się gorzko.

Ich oczy ciskały gromy.

— Theo, pomyśl. Od śmierci waszego ojca minęły cztery lata. Cztery cholerne lata i ty naprawdę wierzysz, że istnieje jakaś druga część testamentu? Ba! Że ten testament wymaga waszej osobistej wizyty w Culver City, chociaż wasz ojciec stanowczo zakazywał wam tam wracać? I że chciał, abyście dowiedzieli się o tej magicznej drugiej części dokładnie dzień po czwartej rocznicy jego śmierci? — zakpił. — Theo, to śmierdzi jakąś machlojką!

— Czemu nie pozwalasz nam uwierzyć, że to może nie kłamstwo, co? — warknął mój brat, tracąc resztki cierpliwości.

— Bo nie chcę, żebyście się rozczarowali! Dlaczego chcesz rozdrapywać stare rany?!

— A dlaczego ty jesteś taki oburzony?!

— Bo ktoś jawnie wtrąca się w nasze rodzinne sprawy i węszy tam, gdzie nie powinien!

Erik, chcąc się jakoś uspokoić, otarł pot z czoła. Przez chwilę w pomieszczeniu było słycać jedynie nasze głośne oddechy. Wpatrywałam się w swoje jasne jeansy, maltretując zębami wewnętrzną stronę policzka.

— Wiedziałbym, gdyby Alexander coś takiego planował — odezwał się ponownie Erik. Był znacznie bardziej spokojny i mówił ciszej. — Ale nie wspomniał o tym ani słowem.

— Może nie miałeś wiedzieć — upierał się Theo.

— Przyjeżdżając tu z wami cztery lata temu, wziąłem za was odpowiedzialność. Oddał mi was pod opiekę. Dobrze wiecie, że byłem z nim w stałym kontakcie. Uwierz, Theodorze. Gdyby to była prawda, wiedziałbym.

Czułam, że jest źle, bo kiedy Erik uciekał się do mówienia takim tonem i używał naszych pełnych imion, zazwyczaj oznaczało to, że był rozczarowany. Poczułam złość, bo żyliśmy sobie z Theo w spokoju, robiąc to, co zawsze, a wszystko zmienił jeden pieprzony telefon, który odebrałam dwa dni wcześniej.

Kiedy niejaki Federico Gueva zadzwonił do nas z wiadomością o rzeckomej drugiej części testamentu naszego ojca, poczułam, jakby świat znów zwałił mi się na głowę. Byłam pewna, że skoro od razu po śmierci taty wszystkie sprawy papierkowe zostały załatwione, to nigdy więcej nie będę musiała wracać do tego bolesnego tematu. Byłam w szoku, ale trwało to tylko przez chwilę.

Niestety nie mogłam powiedzieć tego samego o Theo. W jego oczach znów wyszłam na tę złą i sceptycznie nastawioną, bo podeszłam do tego znacznie mniej emocjonalnie niż on. Prawdę mówiąc, nie podeszłam do tego z żadnymi emocjami, bo to nie miało znaczenia.

Dlaczego miałabym się tym przejąć? Bo ktoś nagle wspomniał o Culver City cztery lata po śmierci rodziców i naszej wyprowadzce? Moją jedyną reakcją na informację, że mamy przylecieć, było parsknięcie śmiechem. Już dawno zaczęłam nowe życie. Nie miałam zamiaru z tego zrezygnować, dlatego nawet nie myślałam o tej sprawie. Choć może powinnam była podejść do tego z otwartą głową.

Moja rozmowa z panem Guewą zakończyła się szybciej, niż zapewne przypuszczał. Nie myślałam nad tym, czy to pomyłka, kłamstwo, próba oszustwa, czy jeszcze coś innego, po prostu nie chciałam o tym więcej słuchać. Temat Culver City był dla mnie zamknięty, więc się rozłączyłam, nawet nie żegnając się z adwokatem. Rzuciłam telefonem i wróciłam do rozpakowywania zakupów.

Na moje nieszczęście prawnik nie poddał się za pierwszym razem, zadzwonił ponownie. Wtedy odebrał Theo, a ja wyszłam z sa-

lonu, nie chcąc słuchać tych bredni. Pragnęłam, aby mój brat szybko go spławił, bo do tamtej chwili myślałam, że ma podobne zdanie do mojego. Niestety się pomyliłam. Theodor rozmawiał z nim ponad dwadzieścia minut i zainteresował się tym tematem bardziej, niż powinien. Co więcej, choć nie powiedział tego na głos, wiedziałam, że uwierzył w to gównu.

Jeszcze tego samego dnia wybuchła między nami potężna kłótnia. Może to głupie, ale uważałam, że mnie zdradził, skoro chciał grzebać w przeszłości.

Po tamtej kłótni nie odzywaliśmy się do siebie przez dwa dni, a telefon milczał, więc miałam głupią nadzieję, że po prostu zapomnimy o sprawie. Ta nadzieja umarła, kiedy w środę rano na skrzynkę pocztową Theo przysłano jakieś pliki. Właśnie wtedy zaczęłam się zastanawiać, czy to jednak nie jest prawda, bo na skanach dokumentów, w których było wyraźnie napisane, że testament Alexandra Rodrigueza zawierał dwie części, widniał podpis naszego ojca. Do tego było tam jeszcze kilka umów, które miały to uwiarygodnić.

Moje wahanie trwało dwie sekundy. Potem wrócił zdrowy rozsądek i brak zainteresowania tematem. Jeszcze tego samego dnia stwierdziłam, że musimy powiadomić o tym Erika, a on... cóż. Nie był zbyt zadowolony z faktu, że Theo rozmawiał z jakimś adwokatem o naszych prywatnych sprawach.

Nagle mój brat odchrząknął.

— Mamy dokumenty, które to potwierdzają — wypalił. — Jeśli je ze mną przejrzysz, zobaczysz, że to może być prawda.

To właśnie różniło mnie od Theo. Podczas gdy ja nie chciałam o tym wszystkim słyszeć, on już znał na pamięć każdy dokument przysłany przez kancelarię, w której pracował Gueva. Chciał wierzyć w to, że adwokat mówił prawdę, bo dla niego temat Culver City nigdy nie został zamknięty, a ja nie mogłam go za to winić.

To przeze mnie wyjechał.

— Jakie dokumenty? — zdziwił się Erik. — Pokaż mi je wszystkie. Parsknęłam cicho pod nosem, z niedowierzaniem kręcąc głową.

— Po co to robisz? — zapytałam znacznie ciszej, ale wcale nie spokojniej. Toczyłam niemą bitwę na spojrzenia z Theo, który unióśł brwi. — Po co chcesz się w to bawić?

Nie miałam już siły się hamować. Victoria jak zwykle musiała brnąć w gówno.

— Bo interesuje mnie to, co nasz ojciec chciał nam przekazać — odpowiedział mój brat, również nie spuszczać z tonu. — Bo nie wyrzekam się przeszłości. W przeciwieństwie do ciebie, ja podchodzę do wielu rzeczy chłodno i nie odrzucam niczego tylko dlatego, że mam niemiłe wspomnienia. Tu chodzi o kwestie prawne, Victoria, a to nie przelewki. Mnie też nie jest łatwo, ale staram się zachowywać dorośle. Tu chodzi o nasze Culver City.

Zacisnęłam lewą dłoń w pięść, czując coraz szybsze kołatanie serca. Nienawidziłam się z nim kłócić, ale tak cholernie mnie denerwował!

— Nie ma żadnego *naszego* Culver City — wyplułam z siebie.

— Nie bądź żalosna — fuknął, patrząc na mnie spod przymrużonych powiek.

— Po co? Po co chcesz wracać do przeszłości? Sam mi to odradzałeś, więc teraz nie dziw się, że tak się zachowuję.

— Istnieje zasadnicza różnica między cofaniem się w życiu a zachowywaniem się jak tchórz, który boi się stawić czoła pewnym wydarzeniom. Odradzałem ci to pierwsze, ale nie sądziłem, że wybierzesz to drugie.

Zamilkłam, patrząc mu w oczy, w których widziałam wściekłość. Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co powiedział. Dopiero po krótkiej chwili zamrugał szybko powiekami, rozluźniając ciało.

Mnie już tego wystarczyło. Bez zbędnych słów ruszyłam w stronę swojego pokoju. Na szczęście brat mnie nie zatrzymał. Wpadłam do swojej sypialni i zatrzęsłam drzwiami z głośnym hukiem. Zdążyłam pogodzić się z przeszłością, wcale nie zachowywałam się jak tchórz. Pogodziłam się z ich stratą, ze stratą ich wszystkich. Wiodłam nowe życie, lepsze, bez bólu. Dawałam sobie radę mimo świadomości, że kiedyś miałam wszystko. Nie chciałam wiedzieć, co było w tym testamencie, nawet gdyby okazał się prawdziwy.

Nie ma Culver City. Jest Maine. Jest Lewiston.

Byłam tchórzem?

— Pieprzcie się wszyscy — warknęłam pod nosem.

Przyłożyłam dłonie do zamkniętych oczu, głośno wydychając powietrze.

Miałam nadzieję, że Erik przemówi Theo do rozsądku i ten cyrk się skończy, a nawet jeśli nie, to i tak nie planowałam nigdzie jechać. Nie mogłam wrócić do... nie mogłam tam wrócić. Nie po to stamtąd wyjechałam. Nie po to obiecywałam ojcu, że zacznę na nowo. Nie po to... nie po to odcięłam się od... od nich. Nie mogłam wrócić do nich po tak długim czasie milczenia.

Uświadomiłam sobie, że mogłabym spotkać Mię, szkolnych znajomych, Parkera, Na...

— Nie — warknęłam pod nosem, zaciskając dłonie w pięści z taką siłą, że poczułam, jak niemal pękają mi paznokcie.

Nie jesteś tchórzem.

Ojciec nie mógł być tak egoistyczny, dlatego w to nie uwierzyłam. Nie chciałby dla nas czegoś takiego. Nie mógł chcieć mnie tym zniszczyć.

Usiadłam na łóżku, głęboko oddychając, i przymknęłam oczy. Spuściłam głowę i niezdolna do dalszej walki pierwszy raz od bardzo dawna pozwoliłam, aby wspomnienia szturmem wdarły się do mojej głowy, by zalały ją jak ulewny deszcz. Mój rodzinny dom, liceum, chodnik prowadzący do parku, Chris i Mia w moim pokoju, imprezy z piwem w dłoni, śmiech, wypadki nad jeziorem, *jego twarz...*

— Proszę, nie — wyszeptałam do siebie.

Wplątałam palce w potargane włosy i z całej siły za nie pociągnęłam, aby przyćmić ból psychiczny tym lepszym, fizycznym. Dusiałam się tym, że znów tracę kontrolę, że znów jestem w rozsypce.

Nie wiedziałam, ile czasu spędziłam w takiej pozycji, bo mój umysł całkowicie się wyłączył. Beznamiętnym wzrokiem obserwowałam szpary pomiędzy jasnymi panelami, wsłuchując się w swój oddech, który powoli się uspokajał.

Pociągnęłam nosem, gdy nagle ktoś cicho zapukał do drzwi mojej sypialni. Automatycznie zeszytywniałam, czując nagły przypływ złości, i choć kosztowało mnie to okropnie dużo, zmusiłam się, by moja twarz wyrażała obojętność.

— Proszę — rzuciłam sucho, nawet nie zerkając w stronę drzwi.

Usłyszałam delikatne skrzypnięcie i nie musiałam nawet zgadywać, kto to. Wiedziałam, że Erik, bo Theo był zbyt zdenerwowany, aby rozmawiać. Ta świadomość nieco mnie rozluźniła.

Najbardziej bałam się tego, że Theo w końcu powie mi, że wraca. Przecież mógł lecieć sam, w niczym go nie ograniczałam. Podświadomie podejrzewałam jednak, że beze mnie by tego nie zrobił, i to paradoksalnie dobijało mnie jeszcze bardziej.

Wszystko robił dla mnie. Nawet to, czego nie chciał.

Czułam poważny wzrok Erika na swojej twarzy. Po kilku sekundach milczenia mężczyzna zrobił kilka kroków i usiadł obok mnie na łóżku. Dalej wpatrywałam się w ścianę naprzeciwko, a moja chłodna postawa zapewne nie ułatwiała mu zadania.

Nie mogę wrócić. Nie namawiaj mnie do tego.

— Theo nie chciał tego powiedzieć — odezwał się w końcu. Jego głos był dużo bardziej spokojny i wyważony niż wcześniej w salonie.

— Wiem — odparłam szczerze. Wiedziałam, że Theo tego nie chciał.

— Pokazał mi dokumenty.

— I co? — zapytałam sucho.

Gardło mnie bolało, ale nawet w jednej setnej nie tak bardzo, jak bolała mnie głowa.

Moje pytanie zawisło w powietrzu. Erik nie odpowiedział od razu, zamiast tego dłuższą chwilę się zastanawiał, co uświadomiło mi, że jego zdanie na dziewięćdziesiąt pięć procent uległo zmianie.

— Szczerze? — zapytał. — Teraz już nic nie wiem.

Tymi słowami przyciągnął mój wzrok. Zdziwiłam się, rzadko kiedy Erik nie wiedział, co zrobić. Od zawsze był tym rozsądnym. Z upływem lat to się nie zmieniało, tak jak cały Erik. Jego włosy pokryła mocniejsza siwizna, a na twarzy zawitało kilka nowych zmarszczek, ale poza tym był wciąż taki sam. Jedynie jego oczy już nie świeciły się tak jak wtedy, gdy patrzył na moją mamę.

Pomógł nam jak nikt inny, był z nami na dobre i na złe, chociaż wcale nie musiał, bo formalnie nie byliśmy rodziną. Był naszym aniołem stróżem i nigdy we mnie nie zwątpił mimo tego, że wiele razy dałam mu dobry powód.

Znów ogarnęło mnie zmęczenie. Wszystko za sprawą jednego pieprzonego telefonu.

— Kiedy do mnie zadzwoniłaś, byłem pewny, że to wszystko to głupi żart. Że ktoś wmieszał się w sprawy, w które nie powinien. Ale teraz... zastanawiam się... zastanawiam...

— Zastanawiasz się, jak mi powiedzieć, że to wszystko może być prawdą. Choć sam nie chcesz tego do siebie dopuścić — dokończyłam za niego.

Theo zasiał w nim ziarno niepewności, bo to mogła być prawda. Ja sama zdawałam sobie z tego sprawę, chociaż było mi to tak bardzo nie na rękę.

— Nie wiem jak. Nie wiem czemu... — zaczął, kręcąc głową. — Ale te dokumenty istnieją. Pliki, które miał jedynie twój ojciec, co oznacza, że musiał je im przekazać. Nie wiem, Victoria. Nie mam pojęcia.

Parsknęłam kpiąco pod nosem.

— Theo chyba w to wierzy — dodał. — Przekonywał mnie, że te dokumenty mogą być prawdziwe. On nie mówi tego na głos, ale...

— Bo on chce wrócić do Culver City — wtrąciłam się i skrzyżowałam z nim spojrzenie. — Oboje to wiemy.

Culver City. Dopiero w tym momencie zaczęło do mnie docierać, że powrót do tego miasta stał się realną możliwością. Powrót do miasta, które przypominało mi o przygodzie życia z czarnookim chłopakiem z szatańskim uśmiechem.

— On chce poznać prawdę, Victoria — powiedział Erik. — On po prostu chce wiedzieć i nie możesz go za to winić. Wiesz, jak ważny był dla niego Alexander.

— A oprócz tego chce wrócić do Culver City, bo żałuje, że przyjechał do Maine, ale się do tego nie przyzna — powiedziałam, a gdy usłyszałam te słowa wypowiedziane na głos, poczułam żółć w gardle. — Nie był tam od czterech lat. I to przeze mnie, bo ja nie chcę wrócić.

— Nie wiesz tego — spróbował mnie pocieszyć, ale na niewiele się to zdało.

Uśmiechnęłam się blado, wdzięczna za to, że starał się być miły. Tylko to i tak nie zmieniało faktu, że z mojej winy cierpiała osoba, na której zależało mi najbardziej i która poświęciła się dla mnie.

— Wszyscy wiemy, jak jest, Erik — westchnęłam, zachowując obojętny wyraz twarzy. — Wiesz, jeszcze za czasów, kiedy chodziliśmy do szkoły średniej, ludzie uważali mnie za tę rozsądniejszą. Bo w końcu byłam dziewczyną, która nie robiła problemów. Theo był tym cichym, zdolowanym chłopakiem z ostatniej ławki, który palił papierosy i grał w gry. Mieli co do niego mniejsze oczekiwania.

— To było chyba w czasach, kiedy się nie znaliśmy — dociął mi, na co parsknęłam. — Sprawiałaś więcej problemów niż wojsko.

— Fakt. — Uśmiechnęłam się kwaśno. — Tak było przed przerwą świąteczną w kwietniu, kiedy chodziłam do trzeciej klasy. Potem sprawy się lekko skomplikowały.

Potem poznałam *jego*.

— Ale to nieistotne. Przez ten dziwny mit, że dziewczyna zawsze jest tą grzeczniejszą, każdy uważał, że jestem lepsza. Ale wiesz co? To nieprawda — powiedziałam bez cienia smutku w głosie. — Oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że z naszej dwójki to Theo jest tym lepszym. I ty wiesz dlaczego.

— Victoria... — zaczął ciężko, chcąc skończyć ten nieprzyjemny temat, ale mu na to nie pozwoliłam.

— Każdy by mnie wtedy zostawił, ale nie on. Dlatego trudno mi patrzeć na niego ze świadomością, że żałuje tego wyjazdu. Nie mówi tego na głos, ale żałuje. Kiedy podejmowaliśmy tę decyzję, chciał wyjechać, ale to się szybko zmieniło. Chciałby wrócić, tylko tego nie mówi. I nie mówi również tego, że chce tam teraz lecieć. Ale ja go znam. Chce dowiedzieć się prawdy, a mnie to jest niepotrzebne. Nie chcę tego.

— On bez ciebie nie polecą.

— Wiem. — Kiwnęłam głową. — Naprawdę pragnę, aby był szczęśliwy, ale ja nie mogę tam wrócić nawet na jeden dzień. Nie dam rady, Erik. Nie chcę wracać do Culver City.

— Theo to wie — westchnął, chwytając moją dłoń.

Mimo że miał to być gest wsparcia, poczułam się niekomfortowo. Nie lubiłam, gdy ktoś mnie dotykał. Cała zeszywniałam i skupiłam się tylko na tym, aby nie wyrwać ręki.

— Przecież do niczego cię nie zmusi. Nadal jest szansa, że to tylko stek bzdur i ktoś naprawdę miesza się w sprawy, w które nie powinien.

— A co, jeśli to jest prawdą? — spytałam, wznosząc oczy ku niebu. — I co, jeśli przeze mnie tam nie polecimy? Wyrzuty sumienia z powodu tego, co Theo przeze mnie przeszedł, już i tak nie dają mi spać po nocach. Nie chcę, by znów z czegoś rezygnował.

— Theo zrozumie. Cokolwiek wybierzesz — ponownie westchnął. — Nigdy nie będzie miał do ciebie pretensji o to, że nie poleciałaś.

— Wiem. I wiem, że na to nie zasługuję.

Wolałabym, żeby Theo się wściekł, aby wykrzyczał mi w twarz, ile przeze mnie przeszedł i ile musiał odpuścić. Aby mnie zniechęcił za to, że to z mojego powodu wyjechał, mimo że sam się zgodził i nikt go nie zmuszał. Aby wydarł się i wypomniał mi każdy problem, jaki spowodowałam w Maine. Wolałabym to zamiast tego, że zawsze był przy mnie i nigdy nie robił mi wyrzutów. W Maine miał znajomych, świetną pracę, skończył dobre studia i spotykał się z dziewczynami, ale to nigdy nie było to, co w Culver City. Żaden przyjaciel nie był G, żadna praca nie wygrywała z hakowaniem w pokoju, a żadne studia nie równały się Culver High School. Ale główny powód, dla którego tak bardzo nienawidziłam siebie za wszystko, przez co z mojej winy przeszedł, był taki, że żadna dziewczyna nie była Jasmine Sharewood. I może był szczęśliwy, ale nie najszczęśliwszy, a Theo tak bardzo na to zasługiwał.

— Niezależnie od tego, co wybierzesz... jesteśmy rodziną. Rodzina nie potępia — znów spróbował mnie pocieszyć.

— A chyba powinna.

Erik zacisnął mocniej palce, ale to było dla mnie za wiele, więc wysunęłam dłoń z bladym uśmiechem. Nie zraziło go to, bo wiedział, jakie mam podejście do kontaktu fizycznego i jak bardzo go nie lubię.

— Spróbuję przekonać Theo, aby poleciał sam — zdecydowałam.

Jeśli miałoby go to uszczęśliwić, to nie byłabym zła, nawet gdyby wrócił tam na stałe. Gdyby się tam przeprowadził. Może i w Maine miał nowe życie, ale w przeciwieństwie do mnie on wolał swoje stare. Chciałam, aby był szczęśliwy, tylko to się dla mnie liczyło.

Po kilku minutach, które spędziliśmy w ciszy, Erik oznajmił mi, że już na niego czas. Na odchodne powiedział jeszcze, że sprawdzi tę całą kancelarię i samego Guewę. Wciąż miał znajomości w Culver City, więc nie był to dla niego problem, aby wykonać kilka telefonów.

Gdy wyszedł, jeszcze chwilę siedziałam w samotności i w końcu postanowiłam się przebrać. Mimochodem zerknęłam na korytarz. Na przeciw wejścia do mojej sypialni stał Theo i obserwował mnie nieodgadnionym wzrokiem. Nie wyglądał na złego, w jego spojrzeniu nie było ani krzty negatywnych emocji. Nie było tam rozczarowania, złości czy żalu. Było coś innego. *Pogodzenie*. Wiedział, że nie polecę.

Jest najważniejszą osobą w twoim życiu. Możesz to dla niego zrobić.

Ale nie umiem...

— Przepraszam za to, co powiedziałem — zaczął spokojnie. — Nie miałem tego na myśli.

— Wiem, Theo.

— Nie jestem zły, Victoria — mruknął. Nie był zły, nie był nawet rozdrażniony. Był nad wyraz spokojny, a to łamało mnie na kawałki. — Rozumiem, że nie chcesz tam wracać i że być może nie obchodzi cię, co jest w testamencie. Wiem to i rozumiem. Ale jesteśmy rodziną. Ty zostajesz, więc ja też zostaję.

— Przecież możesz lecieć sam — wychrypiałam w końcu. — Nawet na kilka dni.

Nawet na zawsze, jeśli tylko by cię to uszczęśliwiło.

Theo nie odpowiedział. Zamiast tego uniósł kącik ust, a następnie chwycił za klamkę drzwi do swojej sypialni i przekręcił ją.

— Dobranoc, Vic.

Zniknął za białymi drzwiami, a ja jeszcze przez dłuższy czas tępo się w nie wpatrywałam. Wtedy dotarło do mnie, dlaczego nie chciał nawet rozważać opcji, aby lecieć beze mnie.

Theo wiedział, że jeśli poleci tam sam chociażby na kilka dni, już nie wróci do Maine. Ani do mnie.

Następne dwa dni minęły szybko i spokojnie. W pracy panował całkowity rozgardiasz przez wyjście nowej kolekcji jednego z projektantów, dla którego firmy pracowaliśmy. Wracałam ledwo żywa, jadłam i szłam spać, w międzyczasie próbując uczyć się do egzaminu, którego termin zbliżał się nieuchronnie, a ja musiałam go zdać, aby skończyć studia i mieć to wszystko z głowy. Przez własną głupotę to przedłużyłam. Całe szczęście, że Erik miał znajomości.

Atmosfera w domu uległa znacznej poprawie. Rozmawiałam normalnie z Theo, który odpuścił temat testamentu, mimo że adwokat jeszcze kilka razy chciał się z nim skontaktować. Ta kwestia powoli odchodziła w zapomnienie. Nie miałam czasu, aby o tym myśleć, a Theo również był zajęty. Mimo że czułam wyrzuty sumienia, wiedziałam, że tak jest lepiej.

W końcu nadeszła sobota, która była dla mnie ratunkiem. Wreszcie mogłam odetchnąć od tłumaczenia kolejnych umów, słuchania durnych formułek i noszenia kawy oraz wieszaków z sukienkami. Kiedy

o pierwszej odebrałam telefon od Hannah, która zaproponowała dobrą imprezę, humor poprawił mi się jeszcze bardziej.

Było już sporo po jedenastej w nocy, kiedy w bordowej sukience od Prady zestawionej z czarnymi, naprawdę wysokimi szpilkami siedziałam w jednym z najpopularniejszych klubów w Maine wraz z kilkoma znajomymi z pracy. Hannah zajmowała miejsce obok mnie. Wyglądała niesamowicie seksownie w kusej skórzanej sukience. Zabawa była naprawdę przednia, a towarzystwo już nieźle popiło, przez co było jeszcze weselej.

Powoli sączyłam swój sok pomarańczowy, słuchając najnowszych plotek z ust Violetty, która zawsze wiedziała wszystko o wszystkich. Firmowy bufet był kopalnią wiedzy.

— Teraz pora na taniec, kochana! — usłyszałam nagle przy swoim uchu, a następnie poczułam dwie silne ręce, które objęły mnie w talii i pociągnęły w górę.

Sprawnie, ale nie gwałtownie wysunęłam się z objęć kolegi, ponieważ znów poczułam się niekomfortowo. Zgodziłam się jednak na taniec i nim się obejrzałam, wirowałam z Filipem na ciemnym parkiecie.

Potrzebowałam rozluźnienia się po pracy i trudnych emocjach w domu. Bawiłam się i tańczyłam, i może byłam w tym wszystkim trochę egoistyczna, bo w końcu cieszyłam się z tego, że Theo odpuścił. Mogłam pójść na jakiś kompromis, ale tego nie zrobiłam. Byłam egoistką. Egoistką w za drogich na własną kieszeń butach. Najgorsze w tym wszystkim było to, że o tym wiedziałam, a i tak czułam się zadowolona.

Culver City mnie do siebie nie ściągnęło. Mimo że próbowało.

Siedziałam przy barze na jednym z wysokich stołków, stukając palcami o lśniący blat, ponieważ nagle wszyscy mi gdzieś poznikali.

— Czy mogę się przysiąść?

Uniosłam wzrok na średniego wzrostu mężczyznę, który na oko był już grubo po czterdziestce. Ubrany w czarny, dobrze skrojony garnitur, prezentował się nienagannie, a złoty rolex na jego nadgarstku sugerował, że musi być naprawdę bogaty. W dłoni trzymał szklaneczkę z niedopitą whisky.

Z beznamietną miną spojrzałam w jego brązowe oczy.

— Nie jestem właścicielką tych miejsc. — Obojętnie wzruszyłam ramionami.

Utkwiłam wzrok w półce z alkoholami, a mężczyzna przysiadł się, odstawiając szklankę na blat.

— Czemu siedzisz sama? — zaczął rozmowę, na co miałam ochotę przewrócić oczami, ponieważ w przeciwieństwie do niego nie byłam zainteresowana.

— Bo lubię samotność — odparłam, nawet na niego nie zerknąwszy.

— Cóż, to chyba przeszkadzam — zaśmiał się.

— Tak — odparłam bez ogródek.

Mężczyzna chyba pomyślał, że żartuję, ponieważ jeszcze głośniejsze się roześmiał. Śmierdział drogim alkoholem, cygarami i piżmem.

Starałam się skupić na muzyce, podrygując jedną nogą. Wzrokiem wodziłam za słodkim kelnerem, który krążył za barem, rozlewając drinki, zbierając napiwki i mrugając zawadiacko do niektórych pań. W tym do mnie. Dwukrotnie.

Uśmiechnęłam się lekko, z rozbawieniem kręcąc głową. Był ładny, w moim typie, przynajmniej na jedną noc. A może...

— Czy mogę postawić ci drinka?

Mężczyzna obok znów zakłócił mój spokój. Naprawdę zaczęło mnie to drażnić.

— Nie piję — odpowiedziałam szczerze i zerknęłam na jego twarz. Był przystojny. Miał ostre rysy, wąskie usta i poważną posturę. — I nie jestem zainteresowana nowymi znajomościami.

— Cóż, może jednak skusiłabyś się na...

— Jeśli chcesz tego, o czym oboje teraz myślimy, to muszę cię rozczarować, ale mam chłopaka — wymyśliłam na poczekaniu, zeskakując z wysokiego stołka.

— Tak? — zapytał z lekką irytacją, co potwierdziło moje podejrzenia, że myślał jedynie o szybkim numerku z dwa razy młodszą dziewczyną. Co było smutne, ponieważ na jego palcu serdecznym lśniła złota obrączka. — To niby gdzie teraz jest?

— To nie twoja sprawa, ale jeśli chcesz wiedzieć, jest tutaj — mruknęłam, wskazując dłonią na parkiet.

Mężczyzna zaśmiał się sprośnie, co naprawdę mnie obrzydziło, i pokręcił głową.

— Och, już cię opuścił? — rzucił.

Przewróciłam oczami, wybuchając sztucznym śmiechem.

— Nie muszę się nikomu tłumaczyć, a zwłaszcza obcym typom w klubie.

Byłam na skraju wybuchu. Nieznajomy natręt oblizal wargi, spoglądając na mój uwydatniony przez sukienkę biust.

— Czy mi się wydaje, czy go tu nie ma?

— Wydaje ci się — odpowiedziałam.

Co za próżność i nonszalancja. W tamtej chwili naprawdę współczułam jego żonie.

— Więc jak ma na imię ten szczęśliwiec?

Patrzył mi w oczy, a jego wzrok był naprawdę zuchwały i po prostu obleśny. Mimo to zachowałam kamienną twarz. Kolejne sekundy mijaly, aż w końcu uniosłam z wyższością głowę.

— Nathaniel.

To imię wypłynęło spomiędzy moich warg, nim zdążyłam pomyśleć. Poczułam, jak zasycha mi w gardle, a moje ciało drętwieje. Mężczyzna zmarszczył brwi, więc szybko przywołałam się do porządku.

Dlaczego to cholerne imię było pierwszym, jakie przyszło mi na myśl?

— A ty lepiej wracaj do żony, zamiast stawiać drinki małodatom — dodałam znacznie ciszej, odchodząc od baru.

Postanowiłam zapomnieć o tym incydencie. Przywołałam na twarz wyczyny uśmiech i znów ruszyłam w stronę parkietu, gdzie wirowała Hannah.

To był przypadek. Wcale nie chodziło mi o *niego*.

Potem bawiłam się naprawdę dobrze. Było już sporo po pierwszej w nocy, kiedy siedziałam w swojej łoży, rozmawiając z nieźle wstawionym Ralphem, gdy mój iPhone zawibrował. Przeczytałam treść wiadomości i uśmiech spełzył z moich warg.

Erik: Sprawdziłem wszystko. Federico Gueva to dobry znajomy mojego kolegi ze starej kliniki. Pracuje w jednej z kancelarii w Culver City i jest kimś naprawdę zaufanym. I nie wiem, co dalej, Victoria, ale jeśli tak, ten testament to prawda. Nie chcę sugerować ci niczego, ale jeśli wasz ojciec zrobił to wszystko tylko po to, żebyście byli na jego odczytaniu, to musi być coś naprawdę ważnego. Theo o tym nie wie, bo stwierdziłem, że najpierw poinformuję ciebie.

Poczułam, jakby ktoś wylał mi na głowę kubel zimnej wody. Znów miałam wrażenie, że tracę władzę nad kończynami. To nie mogło dziać się naprawdę.

Dlaczego mój ojciec nam to zrobił? Przecież nie mieliśmy niczego cennego. Moja rodzina była zamożna, ale nie przesadnie, a cały majątek już został podzielony. Nie chciałam wracać do Culver City i nie chciałam być przy odczytywaniu testamentu, który ponownie miał mi uświadomić, że nie mam ojca ani matki. Że straciłam wszystko. Niby coś w jebanym testamencie miało mi to wynagrodzić?!

— Victoria, wszystko okej? — wybełkotał Ralph, który zauważył zmianę mojego nastroju.

Nadal wydawało mi się, że tonę. Wszystko w mojej głowie krzyczało. Czułam się, jakbym była uwięziona pomiędzy ścianami, które chciały zmiażdżyć mi głowę.

Mimo to przywołałam na twarz piękny uśmiech.

— Jasne, wszystko w porządku — odparłam. — Opowiesz mi o tym nowym projekcie, który zaczyna twój dział?

Niby nic się nie zmieniło. Wokół mnie nadal krążyło pełno pijanych, śmiejących się ludzi. Tylko ogłuszająca muzyka stała się nie do zniesienia, tak jak odór alkoholu i potu. Skrzywiłam się nieznacznie, blokując telefon i odkładając go na stół.

Już nic tej nocy nie było takie samo. Cały czas miałam w głowie treść wiadomości Erika. *To się, kurwa, dzieje naprawdę.*

Byłam przerażona tym, co dalej. Theo nie wiedział, a ja nie musiałam mu nic mówić. Erik też by tego nie zrobił, gdybym go o to poprosiła. Wtedy cała sprawa odeszłaby w zapomnienie. Wszystko mogłoby być tak, jak dawniej, znów żylibyśmy w spokoju. Wystarczyło tylko niczego nie mówić Theo...

Wycieńczona przed trzecią nad ranem wspinałam się po schodach naszej kamienicy. Taksówka z moimi przyjaciółmi, z którymi wróciłam, już dawno odjechała.

Kiedy stanęłam przed ciemnymi drzwiami, spojrzałam na nie niepewnie. Dopiero po dobrych kilkudziesięciu sekundach wyciągnęłam klucze z kieszeni swojego czarnego płaszcza. Najciszej, jak mogłam, aby nie zbudzić Theo, weszłam do domu. W kuchni świeciły się dwie lampki ledowe. Ściągnęłam buty i zaczęłam zsuwać z siebie płaszcz.

— Jak impreza?

Podsłoczyłam w miejscu, słysząc za plecami głos brata. Odwróciłam się w jego stronę, próbując dostrzec go w półmroku.

Leżał na kanapie pod kocem i cicho śmiał się z mojej reakcji. Przewróciłam oczami, bo naprawdę czasami miałam go dość.

— Jak kiedyś dostanę zawału, to będzie twoja wina — warknęłam niezbyt miło. Odwiesiłam płaszcz na wieszak.

— Dobrze się bawiłaś? — zapytał, na co znów miałam ochotę przewrócić oczami, ale tego nie zrobiłam.

Dobrze wiedziałam, o co mu chodzi, w końcu ten temat był przerażający przy każdym moim wyjściu. Powinnam była się spodziewać, że będzie na mnie czekał, aby mnie skontrolować. Naprawdę zachowywał się jak nadopiekuńczy tatuś... Ale dałam mu do tego powody, więc nigdy nie narzekałam. Przynajmniej nie na głos.

— Nie piłam, Theo — mruknęłam z automatu.

Weszłam do kuchni.

— Nie insynuuję tego — odparł, ale i tak wiedziałam, że poczuł ulgę. Pokręciłam głową, odkładając swoje rzeczy.

— Ani nie robiłam innych rzeczy.

— Tego też nie insynuuję — mruknął. — I wiem to, Vic. Ufam ci.

Westchnęłam. *Ufam ci*. Oczywiście, że mi ufał. Jak na złość znów przypomniałam sobie o wiadomości od Erika. Zębami skubałam policzki, a kiedy poczułam na języku metaliczny posmak krwi, cicho jęknęłam.

Theo podniósł się z kanapy. Miał na sobie jasne dresy i szeroką koszulkę, te ubrania służyły mu za piżamę. Przejechał dłońmi po nieuczesanych włosach. Skupiłam wzrok na tatuażach, które pokrywały jego przedramiona.

Mieliśmy w Maine wszystko, czego było nam trzeba. Odcieśliśmy się od tamtego pierdolonego toksycznego miasta. Kochałam swojego brata najmocniej na świecie, chciałam jego szczęścia. W Lewiston zaczął od nowa, nie zamierzałam tego psuć.

Albo tylko tak to sobie tłumaczyłam, aby usprawiedliwić jakoś swój egoizm.

— Idę spać — mruknął. — Nie kręć się za długo.

Pożegnał się, a następnie ruszył w stronę korytarza. Czułam, jak serce bije mi już gdzieś w gardle, a moje dłonie drżały ze stresu. Chciałam dla niego jak najlepiej, tak jak on dla mnie. Przecież zawsze o to chodziło.

Obserwowałam, jak z każdym kolejnym krokiem Theo oddala się coraz bardziej. Już nawet nie mogłam powiedzieć, że biję się z myślą-

mi. To była walka na śmierć i życie. Moja klatka piersiowa wznosiła się i opadała w zawrotnym tempie, kiedy to, co słuszne, ścierało się we mnie z tym, czego chciałam.

Zrobił dla ciebie tak wiele.

— Zgadzam się.

Moje słowa zawisły w powietrzu, a czas się zatrzymał.

Nie wierzyłam, że właśnie to powiedziałam. Moje myśli były chaosem, a ja byłam bałaganem.

Theo zatrzymał się w miejscu, po czym zdezorientowany odwrócił się w moją stronę. Nie wiedziałam, czy to sen, czy może jednak nie. Była trzecia w nocy, byłam zmęczona, ale pewna tego, że mój brat zasługuje na całe dobro świata. Chyba tylko to popchnęło mnie do tego, co miałam zamiar zrobić.

— Na co? — zapytał ze zdziwieniem.

Nie potrafiłam na niego spojrzeć. Wątpliwości oplatały mnie jak diabelskie sidła.

Możesz jeszcze zrezygnować. Przecież zawsze byłaś egoistką.

— Polećmy do Culver City na odczytanie testamentu.

Po moich słowach nastąpiła głucha cisza, podczas której czułam na sobie wzrok Theo. Był w szoku.

Czy podpisałam tym wyrok na siebie i swoją duszę? Być może, ale kim bym była, gdybym okłamała swojego brata? Obiecałam samej sobie i jemu, że już nigdy tego nie zrobię. I chociaż to jeszcze nawet do mnie nie dotarło, w głębi serca przeczuwałam, że moja decyzja oznacza dla mnie samozagładę.

Kolejne sekundy mijały, a cisza stawała się zbyt niekomfortowa. Theo chciał coś powiedzieć, ale jedynie zamykał i otwierał usta, kręcąc przy tym głową. Wiedziałam, że go zaskoczyłam. Zaskoczyłam nawet samą siebie.

Minęło kilka minut, nim Theodor głośno westchnął i odgarnął włosy z twarzy.

— Co się stało, że zmieniłaś zdanie? — zapytał.

Wzruszyłam ramionami. Żeby to wytłumaczyć, potrzebowałam Erika.

— Zrozumiałam kilka rzeczy — odparłam wymijająco, stukając palcem w blat kuchenny, co było moim sposobem na uspokojenie się. — Polećmy tam na kilka dni. Dosłownie trzy, może cztery, dowiemy się, czego chcą, i wrócimy. I zapomnimy o sprawie.

— Jesteś pewna, Victoria? — zapytał. — Wiesz, że do niczego cię nie zmuszam. Nie musimy tam lecieć.

— Wiem — odpowiedziałam szczerze, przelitykając ślinę. — Ale sam mówiłeś, że nie można być całe życie tchórzem.

Bo byłam nim. Byłam nim od pieprzonych czterech lat.

— Victoria, naprawdę się zastanów. Wiesz, że tu chodzi o Culver City. Nie byliśmy tam od czterech lat. Nie widzieliśmy... pewnych ludzi od czterech lat, a możemy ich spotkać nawet przez przypadek — tłumaczył powoli, jakbym tego nie rozumiała. Ale prawda była taka, że rozumiałam lepiej niż on. — Nie widzieliśmy naszego domu od czterech lat.

— Ojciec musiał mieć dobry powód, aby nas tam ściągnąć. Więc musimy się dowiedzieć jaki.

Wciąż mnie nie interesowało, co jest w tym przeklętym testamencie. Chciałam to zrobić, aby uszczęśliwić Theo, nawet jeśli na szali leżało wszystko.

Znów zapanowała cisza i tylko na siebie patrzyliśmy. Ktoś mógłby uznać, że dramatyzowaliśmy, że to przecież nie było nic wielkiego, ale ludzie nie wiedzieli tego, co my. Mało kto znał naszą historię i był świadomy, co kryło się za nazwą naszego rodzinnego miasta, z którego przed czterema laty uciekliśmy.

— Więc trzy dni w Culver City? — zapytał.

Skinęłam głowę. Podpisałam na sobie wyrok. Trzy dni samozagłady.

— Trzy dni w Culver City.

Z biegiem lat coraz większą katorgą stawało się dla mnie robienie czegoś, co wiązało się z płaszczaniem się przed kimś. W liceum była to standardowa taktyka, często musiałam podlizać się nauczycielom, aby zdać. Im starsza byłam, tym bardziej rosła moja duma. Szczególnie gdy chodziło o osobę, której nie lubiłam.

— Prosisz o za dużo — bąknął mężczyzna, nawet na mnie nie patrząc.

Wciąż klepał coś na swoim głupim laptopie, siedząc za tym głupim biurkiem, ubrany w głupi garnitur od Armaniego, pijąc tę swoją głupią kawę i mając tę swoją głupią minę. Miałam ochotę przewrócić oczami. Powstrzymałam się tylko dlatego, że był moim szefem, a ja nie chciałam stracić pracy.

Zmusiłam się do uśmiechu, poprawiając się na niewygodnym fotelu. Siedziałam naprzeciw niego dopiero od pięciu minut, a już miałam ochotę zwymiotować.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odpowiedziałam miło. — Ale bardzo potrzebuję tego wolnego tygodnia. Muszę udać się do Kalifornii w sprawie testamentu mojego ojca. To naprawdę bardzo ważna sprawa. Wie pan, że gdyby tak nie było, nigdy bym o to nie poprosiła.

— Nie może pojechać ktoś inny? — zapytał.

Uwierz, Benson. Też bym tego chciała.

— Muszę lecieć razem z bratem. To pilne.

Mężczyzna spojrział na mnie nieprzychylnym okiem, przez co poczułam się jak pod skanerem.

Bądźże człowiekiem.

W końcu westchnął i przewrócił oczami.

— Od jutra do piątku, tak? — zapytał, na co rozszerzyłam oczy w zdziwieniu, ale pokiwałam głową. — W porządku. Zgadzam się, ale masz odrobić tę nieobecność. A teraz wyjdź i bierz się do roboty.

— Dziękuję — mruknęłam z wdzięcznością.

Opuściłam pomieszczenie, a gdy tylko drzwi się za mną zamknęły, przeklełam go pod nosem. Byłam mu wdzięczna, że dał mi kolejny mały urlop, ale nadal go nie lubiłam.

Hannah, która siedziała za swoim biurkiem, spojrzała na mnie bawczo.

— Zgodził się? — zapytała, na co pokiwałam głową. — Cholera, Drakula musi mieć dobry humor.

Uśmiechnęłam się i usiadłam na swoim krześle.

— A po co w ogóle wracasz do rodzinnego miasta? — dopytała.

Wiedziała tylko tyle, że potrzebuję wolnego, aby polecieć do Kalifornii.

— Sprawy rodzinne. Nic poważnego.

Tak, nic poważnego, ale i tak nie śpisz przez to wszystko po nocach.

To nie tak, że nie ufałam Hannah, mówiłam jej naprawdę wiele rzeczy i uważałam ją za osobę zaufaną, jednak moja przeszłość i wszystkie sprawy związane z moim rodzinnym miastem były czymś, o czym nie chciałam opowiadać nikomu.

— Smutno, że wyjeżdżasz. Będzie bez ciebie nudno — bąknęła, na co uniosłam kącik ust.

Reszta czasu w pracy minęła tak jak zwykle. Byłam zmęczona, kiedy tłukłam się autobusem do domu, ale gdy po czwartej otworzyłam drzwi do naszego mieszkania, poczułam się lepiej. Zrzuciłam szpilki, wydając przy tym bliżej nieokreślony dźwięk, który można by porównać do odgłosów wydawanych przez rodzącą fokę. To spowodowało, że siedzący przy stole Theo oblał się herbatą. Kot zaczął głośno szczekać wybudzony ze snu. Może byłam okropna, ale poprawiło mi to humor.

— Chryste Panie! — krzyknął mój brat. — Możesz nie wydawać nagle takich dźwięków? Przestraszyłem się, że już po mnie przyszli. — Odstawił kubek na stolik i spojrzał na swoją zalaną herbatą bluzę.

Po jego słowach wredny uśmieszek wykwitł na moich wargach. Kot przestał już szczekać, bo chyba zauważył, że to ja i nic mi nie jest. Theodor przeciągnął mokrą bluzę przez głowę. Został w czarnych spodniach z łańcuchami przy kieszeniach i w za dużej koszulce z logo jakiegoś zespołu rockowego.

— Nie przesadzaj — rzuciłam. — Nie miałeś dzisiaj później skończyć?

— Zwolniłem się wcześniej, aby zabukować bilety na jutro.

Zastygłam w bezruchu z dłonią zaciśniętą na rączce lodówki. Gdy tylko poruszał ten temat, czułam się, jakbym miała zwymiotować, ale nie chciałam dać tego po sobie poznać. Theo widział, że źle to znoszę, bo mnie znał, ale pewnie nie wyobrażał sobie, jak bardzo źle.

Aby ukryć zdenerwowanie, zrobiłam to, co wychodziło mi najlepiej. Odchrząknęłam i automatycznie przywołałam na twarz uśmiech. Otworzyłam lodówkę, czując na plecach palące spojrzenie brata.

— O której? — zapytałam tak, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

— O trzeciej — odpowiedział. — Wziąłem klasę biznesową, bo nie mam zamiaru cisnąć się w ekonomicznej — stwierdził nonszalancko, na co skinęłam głową, ponieważ miał rację. — Musimy się spakować — dodał, a ja znów tylko pokiwałam, szukając wzrokiem czegoś do zjedzenia. — I dzwoniłem już do Erika. Jutro zawiezie nas na lotnisko i zabierze Kota do siebie. Dziś wieczorem powinien wpaść.

— To dobrze — odparłam beznamiętnie i zamknęłam lodówkę. Straciłam apetyt.

— Victoria, na pewno chcesz tam lecieć? — zapytał.

Nie.

— Musimy to załatwić, aby mieć spokój — rzuciłam tylko, nie odpowiadając wprost na jego pytanie. — Może rzeczywiście jest to coś ważnego. Trzeba sprawdzić. — Odwróciłam się w jego stronę i oparłam się tyłem o lodówkę, zakładając ręce na piersi. — Nie dramatyzujmy, to tylko trzy dni. Żadnych niespodzianek. Lecimy tam, załatwiamy, co mamy załatwić, i wracamy do Maine. Trzy dni.

— Trzy dni — powtórzył. — W kancelarii jesteśmy umówieni na czwartek. Zarezerwowałem też hotel.

— Super. Fajnie, że o wszystkim pomyślałeś — ucięłam.

Nie chciałam, aby nasza rozmowa przez przypadek zesłała na temat naszego rodzinnego domu, który od czterech lat stał pusty. Nie wiedziałam, co nas czeka ani co poczuje, kiedy zobaczą to cholerne miasto. Nie byłam ani trochę gotowa. Do tego przerażała mnie myśl, że mogę spotkać tam kogoś z *nich*. Postanowiłam wyrzucić to z głowy. Liczyłam, że nikt się nie dowie o naszym krótkim pobycie w Culver City. W końcu ile rzeczy mogło się wydarzyć w ciągu głupich trzech dni?

To miało być ostateczne zamknięcie tego rozdziału.

— To co? Czas się pakować, tak? — zapytał mój brat, posyłając mi figlarny uśmiech.

Nie chciałam zabijać jego entuzjazmu, więc też się uśmiechnęłam.

— Szybko nam pójdzie. Mamy wprawę w pakowaniu.

Theo słabo się zaśmiał.

— Zmieścisz się w jedną walizkę?

Przewróciłam oczami na jego pytanie, przedrzeźniając jego głos i mimikę.

— Nie bądź taki zabawny.

Ale z tą jedną walizką mogło być ciężko...

— Na pewno wszystko wzięliście? — dopytywał Erik, kiedy staliśmy przed wejściem na jedno z lotnisk w Maine.

Theo wyciągał właśnie nasze dwie niewielkich rozmiarów walizki z bagażnika srebrnego mercedesa, a ja głaskałam Kota. Nienawidziłam się z nim rozstawać na dłużej niż kilka godzin.

— Tak — mruknęłam, ponieważ męczyły mnie już te pytania.

— Victoria, masz...

— Tak, mam leki — nie dałam mu dokończyć, bo wiedziałam, że chciał zapytać właśnie o to. Ostatni raz pocałowałam Kota w nos i wstałam. — Za trzy dni wracamy. Nie lecimy na koniec świata.

— Ale nadal nie jestem przekonany... — zawahał się. — Powinienem lecieć z wami. To wszystko...

— Jesteśmy już duzi — wtrącił się mój brat. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne Dolce Gabbana, które podarowałam mu na święta. Pasowały mu. — Poradzimy sobie. I to przecież nie tak, że właściwie się tam wychowaliśmy...

— Theo, wiesz, że nie o to chodzi. Po prostu...

— Spokojnie — ucięłam. — Wszystko będzie dobrze.

Erik westchnął i skinął głową, odpuszczając temat.

Theo podał mi moją walizkę, a ja chwyciłam jej rączkę. Spojrzałam na Erika, kiedy przyciągnął mnie do mocnego uścisku. Zacisnęłam szczękę, walcząc z samą sobą, aby się nie odsunąć. Mimo że było to dla mnie niekomfortowe, chciałam pozwolić mu na ten gest.

Czułam się trochę zmęczona, bo poprzedniej nocy silne bóle brzucha spowodowane stresem nie dały mi zmrzyć oka ani na sekundę. Dlatego miałam nadzieję, że podczas kilkugodzinnego lotu odeśpię i zdołam się chociaż trochę psychicznie przygotować.

— Zadzwońcie od razu, jak wylądujecie — powtórzył setny raz Erik, gdy już wypuścił nas z objęć. — I informujcie mnie na bieżąco.

— Jak zawsze — zapewnił go Theo. — Musimy już iść. Wracamy niedługo. Wszystko będzie dobrze.

Erik skinął głową, a kiedy w końcu się pożegnaliśmy, ja i Theodor przeszliśmy przez drzwi lotniska. Wszędzie kręcili się ludzie, którzy gdzieś się spieszyli. Nie pamiętałam momentu odprawy ani tego, jak wchodziliśmy na pokład samolotu. W mojej głowie była tylko jedna myśl. *Culver City*. Niedługo znów miałam chodzić po tych dobrze mi znanych ulicach. Miałam znaleźć się w miejscu, z którego uciekałam. W miejscu, gdzie żyły osoby, za które kilka lat wcześniej mogłam zabić, i to nie było snem.

To się działo.

— Dobrze się czujesz? — zapytał mój brat, kiedy siedzieliśmy już w samolocie, a stewardessy chodziły po pokładzie.

Nie odpowiedziałam. Zamiast tego spojrzałam na siedzenie przed sobą, czując coraz większy ból brzucha i narastającą panikę.

— Theo — zaczęłam pustym głosem — my naprawdę lecimy do Culver City.

Wracaliśmy do... domu.

ROZDZIAŁ 4.

Dziewięć par oczu

Często zastanawiałam się, co będę czuć, jeśli kiedykolwiek tam wrócę.

To wcale nie było tak, że w ogóle o tym nie myślałam. Oczywiście, starałam się żyć teraźniejszością i odciąć się od przeszłości, ale na moim niebie nie zawsze świeciło słońce.

Te myśli czasami były silniejsze ode mnie. Myślałam o tym, choć wcale nie chciałam. Zastanawiałam się, mimo że bolało. Rozważałam różne opcje i tworzyłam w głowie scenariusze pod tytułem „co by było, gdyby...”. I nienawidziłam samej siebie za to, że to robiłam.

Wtedy zdawałam sobie sprawę z tego, że ludzie są masochistami i najwidoczniej sadyzm świata nie jest dla nich wystarczający. Ludzie są masochistami, bo potrafią myśleć.

Ja też byłam masochistką, gdy zastanawiałam się, co bym czuła, gdybym jakimś nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu wróciła do Culver City.

I nie wiedziałam, jak to się stało, ale po ponad czterech latach poznałam odpowiedź na to pytanie.

Nie czułam niczego.

Stałam na lotnisku w Los Angeles oddalonym od mojej rodzinnej miejscowości o niespełna trzysta mil. Uparcie wpatrywałam się w wielki zegar nad głównym wejściem, który wskazywał dziesiątą trzydzieści siedem wieczorem. Wskazówki poruszały się niebывale wolno, przez co wydawało mi się, że każda sekunda trwa przynajmniej dwie minuty. Nie miałam żadnego, kurwa, pojęcia, co ja właściwie robiłam. Może dopadło mnie zmęczenie kilkugodzinnym lotem, podczas którego

ani ja, ani Theo nie wypowiedzieliśmy ani słowa. Może to strefy czasowe. Niby trzy godziny, ale zawsze coś...

A może byłam trochę, ale tylko trochę przerażona faktem, że właśnie, do kurwy, znalazłam się dwadzieścia minut drogi od Culver City.

Rozejrzałam się dookoła. Lotnisko, jak to lotnisko, było zatłoczone i głośnie. Nic nie mogłam poradzić na to, że w mojej głowie pojawiły się cholerne wspomnienia momentu, kiedy znajdowałam się tam ostatni raz. Wtedy wylatywałam z Culver City do Maine. Dotarło do mnie, że to lotnisko było miejscem, gdzie po raz ostatni widziałam się z tatą. Gdzie ostatni raz go przytuliłam.

Wzrokiem poszukałam Theo, który miał odebrać nasze bagaże. Na szczęście pojawił się w pobliżu dość szybko, ciągnąc za sobą dwie czarne walizki na kółkach. Na jego twarzy błąkał się uśmiech, był spokojny. Chciałam wziąć z niego przykład, więc kiedy do mnie podszedł, starałam się zachowywać normalnie.

— Taksówka już czeka — poinformował mnie.

Poprawiłam na ramieniu torebkę, w której mieliśmy wszystkie najważniejsze rzeczy, i skinęłam głową.

— To dobrze — odparłam słabo. To mnie zdenerwowało. *Masz dwadzieścia dwa lata, do kurwy!* Odchrząknęłam i posłałam bratu chłodne spojrzenie. — Możemy iść.

— Wiesz — zaczął chłopak, kiedy zmierzaliśmy w stronę wielkich przeszklonych drzwi lotniska. — Jestem ciekawy, jak to się potoczy, jeśli mam być szczery.

— Twoja szczerość często wpędza nas w kłopoty — odpowiedziałam zaczepnie, aby jakoś rozluźnić atmosferę. — A jak się ma potoczyć? Szybko wszystko załatwimy i po sprawie.

— I po sprawie — powtórzył pogodnie Theo.

Ten sukinsyn miał tak dobry humor, że aż mnie to irytowało.

W końcu stanęliśmy przed drzwiami, które automatycznie się odsunęły. Spojrzałam na profil swojego brata. Theo uniósł kącik ust i w tym samym czasie zrobiliśmy kilka kroków do przodu, wychodząc na zewnątrz.

Już nie było odwrotu.

Ciepłe kalifornijskie powietrze, które pachniało jak wakacje, dzieciństwo i dom, uderzyło mnie w twarz. Przymknęłam powieki, oczekując

wielkiego uczucia nostalgii, ale nie było ono tak mocne, jak się spodziewałam. Nie słyszałam niczego wokół, jakby wszyscy ludzie dookoła wraz z moim bratem po prostu zniknęli.

Dopiero kilka sekund później postanowiłam otworzyć oczy. Myślałam, że zniosłam to wyjątkowo dobrze, ale wszystko zmieniło się w momencie, gdy spojrzałam w niebo. Wtedy nie obchodziło mnie już nic.

Nagle z mojej głowy zniknęły nieprzyjemne myśli. To, że jestem w Culver City, że wszystko mogło się skomplikować, a sprawa testamentu wciąż była niezamknięta. Że być może miałam rozdrapać stare rany. To wszystko zniknęło, kiedy tylko uniosłam wzrok.

Było przed jedenastą, więc zobaczyłam nad sobą księżyc, wielki i jasny. Niebo było całkowicie czarne, chmury zniknęły, a miliony gwiazd odznaczały się na firmamencie, tworząc niesamowity i tak znajomy widok, który był porażający. Zapewne nie powinnam była tak myśleć, ale... ale nie potrafiłam przestać. Nie umiałam oderwać wzroku od tego cudu. I chociaż wszyscy ludzie na świecie dzielili jedno niebo, wiedziałam, że tylko w Kalifornii było ono tak olśniewające. Nawet po czterech latach w Maine to się nie zmieniło.

Nie wiedziałam czemu, ale właśnie to cholerne niebo sprawiło, że po kilku dniach stresu w końcu poczułam dziwny spokój. Kalifornijskie niebo wciąż lśniło dla mnie gwiazdami, których nie było nigdzie indziej.

— Prawie zapomniałem, jak to wygląda. — Cichy głos Theo wyrwał mnie z letargu.

Nie spojrzałam na niego, ale wiedziałam, że i on nie patrzył na mnie. Również obserwował nieskończoność.

— Tak — przyznałam cicho, a lewy kącik moich ust nie wiedzieć czemu poszybował ku górze. — W Maine cały czas są chmury.

— A nawet gdy ich nie ma, gwiazdy nie świecą tak jasno — wyszeptał. W jego głosie wyczułam spokój, który zapanował również we mnie. — I nie jest ich tak dużo.

Ten moment był tak kruchy, cichy i delikatny, że nie chciałam tego przerywać, ale musiałam, aby nie dać się temu pochłonąć. Mieliśmy cel...

— Są noce w Lewiston, gdy jest ich jeszcze więcej — szepnęłam, ale nawet mnie samej to nie przekonało.

Theo się jednak nie zraził.

— Jest tak ciepło — westchnął z rozmarzeniem. — Zapomniałem, że tu nawet w październiku można chodzić w krótkim rękawku.

Miał rację, w Maine w lecie zdarzało mi się opatulać od stóp do głów. Prawdę mówiąc, tam ciepło było jedynie od maja do września, o ile „ciepłem” można nazwać temperaturę około dwudziestu trzech stopni. Wietrzna pogoda była tam czymś normalnym, tak jak normalne były przymrozki, deszcz i chłód, do którego zdążyłam się już przyzwyczać, a nawet go polubiłam. Jednak stojąc na tym cholernym lotnisku o jedenastej w nocy dwudziestego szóstego października, ubrana w za dużą bluzę Theo i dresy, brutalnie uświadomiłam sobie, że pogodę w Maine można lubić, ale pogodę w Kalifornii się kocha.

— Chodźmy, Vic. — Theodor zerknął na mnie kątem oka. — Tak-sówka przyjechała.

Chciałam mu powiedzieć, żeby poczekał, żeby dał mi jeszcze czas, abym mogła się tym napawać, ale szybko skarciłam za to samą siebie. Nie mogłam się tak wczuwać, to było ulotne, więc tylko potaknęłam.

— Chodźmy.

Sprawnym krokiem ruszyliśmy parkingiem w stronę żółtej taksówki stojącej przed jednym z wejść. Po drodze ani razu nie popatrzyłam na niebo. Zająłam miejsce z tyłu, podczas gdy mój brat razem ze starszym taksówkarzem ładowali nasze walizki do bagażnika. W ciszy przysłuchiwałam się jakiejś smętnej popowej piosence lecącej w radiu. Po minucie Theo usiadł obok mnie, a taksówkarz za kierownicą.

— Dokąd jedziemy? — zapytał wesoło kierowca, a nasze oczy spotkały się w lusterku.

Uśmiechnął się sympatycznie, ale nie odpowiedziałam mu tym samym. Weseli ludzie często mnie irytowali, bo niby czemu byli tacy weseli? I czemu w tej pierdolonej Kalifornii ludzie błyszczeli, podczas gdy w Maine panował cień? *Kurwa*.

Theo jeszcze raz się do mnie uśmiechnął, po czym zacisnął swoje długie palce na mojej dłoni, którą oparłam na siedzeniu pomiędzy nami. Był chyba jedyną osobą, której dotyk nie przeszkadzał mi tak, bym czuła potrzebę odsunięcia się. Oczywiście dalej było to dla mnie niekomfortowe, ale do zniesienia, ponieważ jemu ufałam. Chłód jego srebrnych obrączek nieco mi pomógł.

— Do Culver City.

Zazgrzytałam zębami na dźwięk nazwy miejscowości. Za to kierowca wyraźnie się ucieszył, bo wydał z siebie dziwny jęk ekscytacji. Przewróciłam oczami i wbiłam wzrok w widok za szybą.

— Culver City. Moje miasto! — zawołał. — Kocham je. Jest takie piękne. Takie kolorowe.

Przymknęłam powieki, powstrzymując westchnienie. Oczywiście, musieliśmy trafić na taksówkarza, który tam mieszka. *Cudownie*.

— Państwo są stąd? — zapytał, gdy wyjeżdżał z zatłoczonego parkingu.

— Tak — odparł mój brat. — Tutaj się wychowaliśmy, ale cztery lata temu przenieśliśmy się do Maine. Na studia. I tam żyjemy.

— Ach, młodzi — westchnął kierowca. — Zawsze chcą wyjeżdżać. Ale rozumiem, to niezbyt duże miasteczko. Są inne, większe i dające lepsze perspektywy. W końcu każdy chce sięgać po gwiazdy. Szkoda tylko, że czasami ludzie zapominają o tym, że przecież księżyc jest na wyciągnięcie ręki.

Te słowa sprawiły, że zerknęłam na tył głowy taksówkarza. Wydał się taki szczęśliwy i zadowolony, chociaż był już zapewne po pięćdziesiątce i wioził gdzieś właśnie dwie osoby o jedenastej wieczorem, zamiast spać w ciepłym łóżku. Ludzie w takiej sytuacji powinni być źli, markotni, milczący, a po podróży brać horrendalne napiwki. Ale on nie — rzucał mądrościami i wciąż się uśmiechał. Prychnęłam cicho pod nosem, kręcąc głową.

Theo zaczął rozmawiać z facetem, a ja znów pograżyłam się we własnych myślach.

Każda kolejna przebyta mila powodowała skurcz w moim żołądku. Theo ani na chwilę nie puszczał mojej dłoni. Z każdą minutą jeszcze bardziej zaciskał na niej palce. Zaczął się stresować.

W końcu wjechaliśmy na drogę, która prowadziła bezpośrednio do Culver City. Wiedziałam to, znałam ją. Te latarnie, równa nawierzchnia asfaltu. Zostały nam trzy, może cztery mile. Wgapiałam się w ciemny las, przez który jechaliśmy, i próbowałam się uspokoić. Szło mi gorzej niż źle, ale przynajmniej się starałam.

I nagle zobaczyłam *to*.

Nie jechaliśmy szybko. Stwierdziłabym, że jechaliśmy boleśnie wolno, zważywszy na to, że na szosie nie było innego samochodu, ale w tamtym momencie to było jak nagroda. A może kara?

Mimo mroku dostrzegłam wąską uliczkę, która prowadziła w głąb lasu. Uliczkę, która wiodła do rodzinnego domu Nathaniela. Patrzyłam na nią przez dosłownie dwie sekundy. Dwie sekundy, a potem mineliśmy ją i znów widziałam jedynie las. Ale wspomnienia potrafiły przedrzeć się nawet przez największą gęstwinię.

Ciała splecione ze sobą. Oddech dla oddechu. Dotyk za dotyk. Usta przy ustach.

Zacisnęłam powieki, nie chcąc dopuścić do siebie tych obrazów, ale było za późno.

Księżyc świecił jasno na niebie, a jego blask wpadał do salonu przez wielkie okna. Rozlewał się jak płynne srebro na ciemnej podłodze. Oświetlał każdą skazę, każdą niedoskonałość. Oświetlał nasze splecione ze sobą ciała. Byliśmy tylko my, nasze dłonie, usta, oddechy, dotyk, wzrok, smak. Tylko my. Leżeliśmy na podłodze, wokół walały się nasze ubrania, które kilkadziesiąt minut wcześniej z siebie zrzucaliśmy. Tylko my dwoje i księżyc, który wyrzywał nas z objęć ciemności. Ale on zachował naszą tajemnicę i nie ujawnił nikomu naszej obecności.

Cicho westchnęłam. Drżałam z zimna, a jednocześnie było mi niebywale gorąco. Jego nagie, spocone ciało również dygotało, choć emanowało ciepłem. Piosenka Bon Jovi pobrzmiwała cicho w tle, zapętlona, tak aby odtwarzała się bez końca. Milczeliśmy, napawając się tym intymnym momentem. Delikatnie gładziłam dłońią miękkie włosy chłopaka, który leżał na mnie z głową wciśniętą w zagłębienie mojej szyi. Czułam się bezpieczna. Czułam wszystko, dzięki niemu i dla niego. Tylko dla niego. Dla niego żyłam. Dla niego oddychałam.

Obserwowałam biały sufit, nie przestając przeplatać pomiędzy palcami jego miękkich włosów. Wdychałam jego zapach. Był taki cudowny. Poczulałam, jak chłopak się wierci, a następnie unosi głowę. Kiedy spojrzałam w jego oczy, przepadałam. Przepadałam po raz kolejny dla tego czarnookiego upadłego anioła.

Wpatrywałam się w niego jak w dzieło sztuki. W arcydzieło, którym był. Które się podziwiał. Był tak niesamowicie piękny, że to bolało. Obserwowałam każdy cal jego twarzy, chcąc ją lepiej zapamiętać, chociaż jej obraz i tak na zawsze wyrył się w mojej głowie i w sercu. Te idealne szlachetne rysy, które mogłyby przecinać stal, prosty nos i gładkie policzki.

Uniosłam drugą rękę, która do tej pory leżała na jego plecach, i delikatnie dotknęłam nią jego lekko zaczerwienionej skóry. Badałam palcami każdą bliznę, a potem niezbyt pełne, cudownie kształtne usta opuchnięte od długich pocałunków.

Patrzył na mnie.

— *Chcę dać ci każdą gwiazdę, Victoria — szepnął nagle, a jego cichy głos otulił moje nagie ciało.*

Puste oczy chłopaka lśniły. Nie za mocno, ale widziałam w nich drobne iskierki. Jakby ktoś odpalił na pustyni fajerwerki, które mieniącymi się kolorami oświetliły każde ziarenko piasku. Zawsze uważałam, że są piękne, bo miały głębię, dla której oddałam całą siebie. Każdy pieprzony fragment mojego ciała należał do tych oczu. Należał do niego.

Był piękny. Boże, jaki on był piękny.

— *Już mi ją dałeś — odparłam równie cicho i się uśmiechnęłam.*

Położyłam mu dłonie na policzkach i pogładziłam kciukiem jego dolną wargę. Jego twarz pozostała poważna. Badał wzrokiem moje oczy, jak gdyby czytał książkę, bo dla niego byłam otwartą księgą.

— *Nie. — Pokręcił głową. Kropelki potu osadziły się na jego czole i włosach. — Chcę dać ci każdą.*

— *Nie rozumiem — wyszeptalam, marszcząc brwi.*

— *Chcę dać ci każdą gwiazdę.*

— *Nie możesz. — Zaśmiałam się cicho. Byłam taka szczęśliwa. — Ich jest nieskończenie wiele.*

— *Dlatego to zrobię — odparł, a jego jabłko Adama zadrżało. — Zdobędę każdą. Ukradnę każdą.*

Przymknął powieki, nachylając się w moją stronę. Oparł swoje czoło na moim, a moja klatka piersiowa unosiła się i opadała coraz szybciej. Palcami błędziłam po jego włosach i plecach, chcąc zbadać każdy cal tej perfekcji.

Mojej perfekcji. Perfekcji, jaką był Nathaniel Gabriel Shey.

— *A gdy już to zrobię, dam ci nieskończoność.*

— *Victoria? — Podniesiony głos mojego brata dotarł do mnie jak z za grubej szyby.*

Pokręciłam szybko głową, aby pozbyć się wspomnień. Moje serce, które już niemal wyskakiwało mi z piersi, chyba nie zamierzało zwolnić. Czułam, jak obrzydliwe palce strachu zaciskają się na mojej szyi, utrudniając mi normalne oddychanie.

Byłam na siebie zła, bo minęły cholerne cztery lata, a wystarczyło, abym zobaczyła głupią ulicę, i wszystko wracało. Nasza ostatnia wspólna noc, kiedy kochaliśmy się na podłodze w jego opuszczonym domu za miastem. To wtedy zaprosił mnie na mój prywatny bal. Po tym, jak

wyleciałam do Maine, Bon Jovi nigdy już nie gościł na moich składankach, a róże ani razu nie pojawiły się w naszym mieszkaniu.

— Witamy w Culver City! — zawołał wesoło taksówkarz.

Bez zastanowienia uniosłam głowę i wyjrzałam przez przednią szybę.

Podświetlona ledami sporych rozmiarów drewniana tablica informująca o wjeździe do Culver City wyglądała dokładnie tak samo jak przed czterema laty. Jechaliśmy asfaltową drogą, która lekko się wznosiła, przez co miałam idealny widok na panoramę miasta. *Mojego rodzinnego miasta.*

Nic się nie zmieniło, jakby te cztery lata nie istniały. Jakby Culver City, w którym dorosłam, zatrzymało się w czasie specjalnie dla mnie i czekało na mój powrót, aby powitać mnie tym znajomym widokiem. Setki żółtych i białych świateł odznaczały się na tle czarnego nieba. Wszystko było takie, jakie miało być.

Wjechaliśmy do centrum, tam również nic się nie zmieniło. Nie potrafiłam jasno określić, jak się czułam, gdy patrzyłam na te znajome drogi i uliczki, chodniki, drzewa, znaki. Jak zwykle nie było tam zbyt dużego ruchu. Większość sklepów była już zamknięta, w pobliżu jednego zobaczyłam ledwo kilku roześmianych nastolatków.

Podczas tej podróży z jednej strony chciałam na chwilę odpuścić i pozwolić sobie powspominać, a z drugiej miałam cholerną ochotę wrzasnąć do taksówkarza, by zawrócił, a następnie wsiąść do samolotu do Maine i ponownie spróbować nie pamiętać.

Prawie zapomniałam o Theo, który wciąż ścisnął moją dłoń. Zerknęłam w jego stronę, a on jak urzeczony spoglądał przez szybę. Uśmiechał się w sposób, którego nie widziałam u niego od bardzo dawna. Nie chciałam tego przerywać, więc nie odezwałam się ani słowem.

Kilkanaście minut później taksówka się zatrzymała. Zmarszczyłam brwi na widok starego, ale zadbanego budynku, przed którym staliśmy.

— The Culver Hotel? — przeczytałam na głos napis nad wejściem pomalowany złotą farbą. Zerknęłam na zadowolonego Theo. — Ty bucu.

— Zawsze chciałem wiedzieć, jak to jest spędzić noc w tym hotelu — odparł. — A że mnie stać, to sobie teraz spełnię marzenie.

— Idiota — parsknęłam.

The Culver Hotel był jednym z najdroższych hoteli — o ile nie najdroższym — w całym mieście. Nigdy w nim nie byłam, ale mogłam

się domyślić, że Theodor „nie-lecę-ekonomiczną-bo-nie-będę-się-tam-męczył” Clark zarezerwuje pobyt właśnie tam.

W końcu było nas na to stać. Żyliśmy na trochę wyższym poziomie niż większość ludzi w naszym wieku. Ja pracowałam w filii jednej z najlepiej prosperujących firm w branży modowej w całym kraju, a Theo grzał ciepłą posadkę w firmie Microsoftu, toteż zarabiał jeszcze lepiej ode mnie. Duża w tym była zasługa Erika, który miał naprawdę sporą wiedzę o życiu i pomógł nam jak najlepiej przygotować się do samodzielności. Poza tym otrzymaliśmy niemały spadek po rodzicach, więc w kwestiach finansowych nie mieliśmy się czym martwić.

Opuściliśmy taksówkę. Głośno odetchnęłam, przymykając oczy. W tym miejscu nawet powietrze pachniało inaczej. Na zewnątrz nadal było ciepło, choć wietrznie.

— Bardzo panu dziękujemy — powiedział Theo do taksówkarza, kiedy ten pomógł mu wyciągnąć bagaże.

— Nie ma problemu — odparł uśmiechnięty mężczyzna. — Mam nadzieję, że pobyt w Culver City będzie dla państwa przyjemny! — zawołał z radością, a na jego pulchnej twarzy znów wykwitł uśmiech. Przez brak szyi wyglądał jak człowiek kciuk. Pogwizdując, wsiadł do taksówki.

Westchnęłam ciężko, spoglądając na Theo, który dalej się uśmiechał.

— Optymiści budzą we mnie irytację — podsumowałam ze śmiertelnie poważną miną, na co mój brat zaśmiał się głośno.

— Za to ty powinnaś uśmiechać się trochę więcej. I być trochę miłsza dla ludzi — zaproponował.

Popatrzyłam na niego z oburzeniem.

— Przecież jestem!

— Wydaje mi się, że jeszcze pół roku, a będziesz mogła rywalizować z babcią Bellą w pluciu jadem na odległość.

Nim zdążyłam odpowiedzieć, Theo ruszył w stronę hotelu. Przewróciłam oczami i poszłam za nim.

Wewnątrz było naprawdę luksusowo, ale czułam się tak padnięta, że marzyłam tylko o łóżku. Po wstępnych formalnościach konsjerż w eleganckim garniturze dał nam karty do drzwi. Szybko się z nim pożegnaliśmy i ruszyliśmy za bagażowym, który wnosił nasze walizki. W windzie prawie zasnąłam uwieszona na barku Theo.

Wreszcie dotarliśmy pod apartament z numerem siedemdziesiąt dwa.

W środku było ładnie, ekskluzywnie i... złoto. Właściciele naprawdę musieli lubić ten kolor. Znajdowaliśmy się w pomieszczeniu, które pełniło funkcję salonu. Stały tam dwie kanapy z poduszkami, na białej ścianie wisiał duży telewizor, a prócz tego zobaczyłam jeszcze stolik, kilka lamp oraz barek i komodę. Po przeciwnych stronach salonu znajdowały się dwie pary drzwi, które zapewne prowadziły do pokoi.

— Państwa bagaże — powiedział młody boy hotelowy, stawiając walizki przy wysokim stoliku. — W razie jakichkolwiek pytań proszę wzywać obsługę.

Podziękowaliśmy i wręczyliśmy chłopakowi napiwek.

— Zajmuję ten po prawej — oznajmiłam, gdy zostaliśmy sami. W naszym mieszkaniu również wybrałam pokój po prawej. Bez zbędnego gadania chwyciłam swoją walizkę i ruszyłam w stronę zamkniętych drzwi. — Idę od razu spać, więc dobranoc.

— Dobranoc.

Sypialnia była ładna, duża i kolorystycznie pasowała do salonu. Po-deszłam do wielkiego łóżka z bordową pościelą i rzuciłam na nie torebkę. Po dwóch jego stronach znajdowały się szafki nocne, a prócz tego był tam jeszcze fotel ze stolikiem i regał z książkami.

Jak najszybciej zaciągnęłam ciężkie zasłony, aby odciąć się od widoku na ulicę Culver City. Nie chciałam oglądać tego miasta dłużej, niż było to konieczne.

Wyjęłam z walizki kosmetyczkę i ubrania, po czym ruszyłam w stronę swojej prywatnej łazienki. Była zwykła, czarno-biała, z wielką wanną na złotych nóżkach. Stanęłam przed dużym lustrem, spoglądając na swoje odbicie. Skrzywiłam się, było po mnie widać zmęczenie.

Po wieczornej pielęgnacji i zmuszeniu się do kąpieli wróciłam do sypialni, gdzie schowałam się pod ciepłą kołdrą. Podejrzewałam, że pomimo wycieńczenia i wygodnego łóżka ta noc będzie należała do nieprzespanych. Przejrzałam powiadomienia w telefonie. W oczy rzuciły mi się wiadomości od Noaha, który przypominał o kolacji. Pokręciłam głową, odrzucając urządzenie. Nie chciało mi się odpisywać.

Skończyło się tak, jak zakładałam. Wgapiałam się w sufit, nie potrafiąc zamknąć oczu na więcej niż czterdzieści sekund. Nadal trudno

mi było uwierzyć, że znajduję się właśnie w Culver City, w swoim rodzinnym mieście.

— Pierdolenie — zakłęłam pod nosem i usiadłam.

Po omacku zaczęłam grzebać w torebce. Szybko znalazłam w niej paczkę papierosów. Na palcach ruszyłam w stronę okien, bo wcześniej zauważyłam, że pokój ma balkon.

Wiatr i chłód uderzyły we mnie od razu po tym, jak otworzyłam drzwi. Miałam na sobie tylko za dużą koszulkę z rękawami do łokci i majtki. Przymknęłam szklane drzwi i podeszłam do barierki, po czym się o nie oparłam. Nie tracąc czasu, wsadziłam papierosa pomiędzy wargi. Szybko odpałiłam fajkę i głęboko się zaciągnęłam.

Uspokajając swój oddech oraz serce, patrzyłam na miasto, które już dawno spało. Miałam na nie dobry widok z szóstego piętra. Nie wiedziałam, co dalej. Co nas czeka i co będzie w tym cholernym testamencie ani co się stanie, jeśli... jeśli przypadkiem spotkamy któreś z nich. Może byłam okropna i bezduszna, ale prosiłam tylko o jedno.

O to, żebyśmy ich nie spotkali.

Byłam egoistyczną żoną, w końcu kiedyś znaczyli dla nas tak wiele. Pomagali mi po śmierci mamy. Powinnam była zrobić wszystko, aby się z nimi skontaktować, skoro wróciłam do tego miasta, ale ja potrafiłam modlić się tylko o to, by ich nie zobaczyć. Minęło zbyt wiele czasu, to byłoby... dziwne. Każde z nas żyło własnym życiem i nie miałam zamiaru tego psuć. Wszyscy to sobie poukładaliśmy. W Culver City mieszkało czternaście tysięcy osób, ale los lubił sobie ze mnie żartować, więc nie zdziwiłabym się, gdybym natknęła się na kogoś znajomego nawet przed hotelem.

Najbardziej bałam się zobaczyć jego.

Nie widzieliśmy się od czterech lat. Zmieniliśmy się.

Ta myśl wywołała kwaśny uśmiech na mojej twarzy. To była przeszłość, gdy się poznaliśmy, on miał dwadzieścia lat, a ja byłam ledwie siedemnastolatką. Prychnęłam, spoglądając na gwiazdy. Wydawało mi się, że z każdą minutą na niebie było ich coraz więcej.

Znów pomyślałam o tym jednym zdaniu.

„Dam ci nieskończoność”.

Mogłam przewidzieć, że tak się to skończy, przecież mieliśmy na nazwisko Clark. Tak było już w podstawówce. Może i ustawiony na dziewiątą budzik Theo zadzwonił, ale co z tego, skoro mój brat go zignorował i wyłączył telefon. Nawet nie byłam zdziwiona, kiedy po przebudzeniu na zegarku ujrzałam godzinę dwunastą siedemnaście.

— Theo, jak mogłeś wyłączyć budzik i, do chuja, telefon, zamiast po prostu ustawić drzemkę? — zapytałam takim tonem, jakbym zwracała się do czterolatka.

Nadal w piżamach i lekko zaspani siedzieliśmy naprzeciw siebie na kanapach w salonie apartamentu. Theodor wbił wzrok w kolana, nerwowo drapiąc się po karku. Jego włosy sterczały we wszystkie strony, przez co wyglądał jak zużyty mop.

— Wydawało mi się, że zamknę oczy tylko na trzy minuty i zaraz się obudzę — odparł zbolalym głosem.

Przewróciłam oczami, bo nawet nie chciało mi się tego komentować.

— I tak spotkanie w kancelarii będzie dopiero jutro. Dziś mamy wolny dzień, więc niczego nie straciliśmy.

— Aż mi się czasy liceum przypomniały — westchnęłam.

— O przepraszam bardzo! — zawołał urażony. — W liceum to ja nawet nie ustawiałem budzika.

Pokręciłam z politowaniem głową, a lekki uśmieszek wkraśl się na moją twarz, bo Theo to... to po prostu był Theo.

Westchnęłam, kładąc łokieć na wezgielciu kanapy i opierając brodę na dłoni. Spojrzałam na niego z powątpiewaniem. Tak jak się spodziewałam, zasnęłam dopiero po siódmej rano. Po papierosie wróciłam do pokoju, ale sen nie przychodził, więc spędziłam kilka godzin na graniu w Temple Run.

— Ubieraj się i wyskoczmy do jakiejś restauracji. Potem możemy odwiedzić stare śmieci — zarządził mój brat.

Przełknęłam ślinę, tak aby tego nie dostrzegł. Właśnie tego się obawiałam. Nie chciałam niczego odwiedzać ani nigdzie wychodzić. Najchętniej przesiedziałabym te trzy dni w apartamencie i udała się jedynie na spotkanie z prawnikiem. Widok z okna wystarczał mi w stu procentach, wolałam zmniejszyć do minimum prawdopodobieństwo spotkania kogoś znajomego.

— Uhm, nie moglibyśmy czegoś zamówić do pokoju? — zapytałam neutralnym tonem, nie chcąc zdradzać tego, że właśnie zaczęłam panikować. — Nie wyspałam się.

— Victoria — zaczął Theo, a po jego minie wywnioskowałam, że domyślił się prawdy. — Nie możesz się bać chodzić po tym mieście.

— Och, daj spokój — prychnęłam nonszalancko, chcąc pokazać swoją obojętność. *Jak zawsze.* — Niczego się nie boję — skłamałam pewnie, patrząc prosto w jego brązowo-zielone oczy.

Nienawidziłam tego robić. Nie jemu. Nawet w tak błahych sprawach, bo w końcu coś mu obiecałam.

— Victoria, to nasze rodzinne miasto — odparł spokojnie. — Tu się wychowaliśmy, więc możemy pójść coś zjeść, a potem położyć bez celu. Nie wiem, może moglibyśmy pójść do parku albo do kina. W końcu będziemy tu tylko trzy dni. Nie musimy od razu robić wycieczki po wszystkich budzących sentyment miejscach, ale... chociaż trochę.

Spojrzałam na niego niepewnie. Na swoje nieszczęście miałam do niego słabość i nie potrafiłam odmówić, kiedy patrzył na mnie tymi błyszczącymi oczami. Próbowалам się pocieszyć tym, że przecież był środek tygodnia i możliwość spotkania kogoś znajomego była niewielka.

Nie jesteś tchórzem.

— Okej — zgodziłam się. Mój ton był obojętny. Opanowałam go do perfekcji. — Ale ty płacisz za żarcie. To przez ciebie straciłam śniadanie w bufecie.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyłam w kierunku swojej sypialni. Gdy zamykałam za sobą drzwi, usłyszałam jeszcze tylko coś o babci Arabelli, starej pannie i pluciu jadem.

Po standardowym porannym rytuale — zapaleniu papierosa i wypiciu kawy — zaczęłam się zbierać. Brałam prysznic przez ponad pół godziny, aby się odprężyć, ale dało mi to niewiele. W końcu musiałam zagaścić ruchy, bo wiedziałam, że za kilka minut mój brat zacznie się denerwować.

Sprawnie wysuszyłam włosy, a kiedy się malowałam, Theo naszedł mnie jedynie trzy razy. Pogoda za oknem, jak na Kalifornię przystało, była słoneczna. *A to nowość.* Po chwili namysłu zdecydowałam się na komplet marki Kenzo w odcieniu głębokiej czerni. Składały się na niego

sięgające do kostek szwedcy oraz luźna marynarka z głębokim, wąskim dekoltem zapinana na dwa guziki. Do tego włożyłam klasyczne czarne szpilki na wysokim obcasie.

— Ile jeszcze, Boże! — jęknął Theo z salonu, kiedy malowałam usta burgundową pomadką. — Zaraz tu umrę. Z głodu, kurwa, i to będzie tylko i wyłącznie twoja wina. Chcesz mieć mnie na sumieniu?

— Nie robi mi to różnicy — rzuciłam nieprzejęta. — Mam ładną czarną sukienkę. Włożę na pogrzeb.

— Ciekawe, ile by za ciebie dali na jakimś pchlim targu — wymamrotał do siebie mój brat.

W pełni gotowa odłożyłam pomadkę i ruszyłam w jego stronę. Leżał rozwalony na kanapie, z jedną nogą przewieszoną przez oparcie, a drugą stojącą na podłodze. Patrzył w sufit, więc odchrząknęłam.

— Wreszcie — westchnął i wstał.

Miał na sobie koszulę Lacoste w cienkie pionowe paski w białym i bladeżółtym kolorze, którą wsadził w luźne jasne jeansy w stylu vintage. Podwinął nogawki, spod których było widać wysokie skarpety i air force'y z żółtymi znaczkami Nike.

Kiwnęłam głową z uznaniem.

— Nawet wyglądasz jak człowiek, a nie zdarza ci się to często — mruknęłam, chwytając torebkę.

— A i tak każda twoja koleżanka ślini się na mój widok — przypomniał mi.

Puściłam to mimo uszu, bo nie miałam kontrargumentu. Theo od czasów liceum bardzo się zmienił. Nie był już flakowatym, wiecznie ubranym na czarno chłopcem z beanie wciśniętą na głowę. Wydoroślał i zmienił styl, a to sprawiło, że przyciągał spojrzenia kobiet. Wiele było w tym mojej zasługi, ponieważ odkąd pracowałam u Bensona, przynosiłam mu ubrania i często go stylizowałam.

Gdy wyszliśmy z hotelu, uderzył mnie widok Culver City za dnia. Odgłosy ulicy mieszały się z rozmowami ludzi wędrujących po chodnikach i warkotem przejeżdżających po asfalcie samochodów. Sklepy i kawiarnie były pootwierane, słońce świeciło jasno, na niebie nie dostrzegłam ani jednej chmury.

— Stare, dobre Culver City — ucieszył się Theo i głęboko wciągnął powietrze.

— Jest za gorąco. — Skrzywiłam się z niesmakiem i wsunęłam na nos cienkie okulary przeciwsłoneczne z czarnymi szklami.

— Naprawdę, im starsza jesteś, tym bardziej przypominasz naszą babkę — stwierdził i również założył okulary. Były takie same jak moje, ale miały żółte szkła. — Jak tak dalej pójdzie, na starość nie będą chciały podchodzić do ciebie nawet koty.

— Wolę psy, więc nie mam nic przeciwko — odparłam zgrzyliwie. — To co? Którą restaurację wybierasz?

Chciałam mieć to z głowy. Zarówno jedzenie, jak i spacer.

— Jak to którą? — zapytał, unosząc kącik ust. — Jak dawniej. Idziemy na pizzę do Killer's Cave.

Poczułam ucisk pod żebrami. Oczywiście, że musiał wybrać naszą ulubioną restaurację z czasów ogólniaka, w której tak często przesiadywaliśmy. Zobaczyłam w jego oku błysk, ale nie chciałam dać mu satysfakcji, więc skinęłam głową.

Piętnaście minut później byliśmy na miejscu i gdy tylko przekroczyłam próg, zrobiło mi się niedobrze. Knajpa nie zmieniła się ani odrobinę. Jak dawniej panował w niej półmrok, okna były zakryte, na ścianach widniały rozbryzgi sztucznej krwi, a nad każdym stolikiem dookoła lampy była obwiązana lina wisielca. Mój wzrok od razu padł na pusty stolik, który zawsze okupowaliśmy z Mią i Chrisem. Zaciśnęłam szczękę i z wysoko uniesioną głową ruszyłam na drugi koniec sali.

Mimo że na początku nie byłam zbyt dobrze nastawiona do tego wyjścia, spędziliśmy ten czas naprawdę dobrze, jedząc, śmiejąc się i rozmawiając. Przez chwilę czułam się tak, jakbyśmy wcale nie byli w Culver City.

Albo jakbyśmy nigdy nie wyjechali.

Zduśiłam tę myśl w zarodku.

W Killer's Cave siedzieliśmy dobre dwie godziny, a kiedy wyszliśmy, było już po czwartej. Nie poszliśmy od razu do hotelu, tak jak chciałam na początku. Zdecydowaliśmy się na krótki spacer po mieście, co oczywiście było pomysłem mojego brata.

— Powiem ci teraz coś niezbyt przyjemnego — mruknął nagle Theo, gdy mijaliśmy kino.

Spojrzałam na niego zza ciemnych szkieł.

— Brzmi poważnie, skoro dajesz taką informację — parsknęłam.

— Zastanawiam się, czy nie powinniśmy pójść na cmentarz.

Poczułam, że tracę oddech, a moje serce zaczyna wybijać nierówny rytm. Mimo to nie zatrzymałam się, chociaż moje kości nieco zeszywniały. Przez dłuższą chwilę milczałam, wpatrując się pusto przed siebie pod czujnym okiem mojego brata.

— Nie wiem — odpowiedziałam w końcu szczerze, lekko kuląc ramiona. — Szczerze, też o tym myślałam dziś w nocy, jak wyszłam na papierosa. Ale nie chciałam ci o tym mówić. Z jednej strony wiem, że powinniśmy, ale z drugiej naprawdę się boję.

— Ta, ja też — westchnął. Włożył ręce do kieszeni jeansów. — I, hej, ile razy ci już mówiłem, żebyś tyle nie paliła?

Przewróciłam oczami, unosząc kącik ust. Jego oburzenie było naprawdę zabawne.

— To, że ty rzuciłeś, nie znaczy, że możesz umoralniać innych — odparłam, choć nie miałam ochoty znowu zaczynać tematu papierosów. — Nie bądź nawracającym każdego hipokrytą.

Nijak tego nie skomentował. Już w ogóle się nie odezwał i porzucił temat cmentarza, za co byłam mu wdzięczna. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Nawet w Maine o tym myślałam, w końcu odwiedziłam grób mamy zaledwie kilka razy, a u taty nie byłam wcale, ale tak bardzo się bałam...

Nasza ukochana mama...

Pokręciłam głową, przełykając gulę rosnącą mi w gardle. To nie był czas na takie przemyślenia.

Odwiedziliśmy miejscowy park, w którym spędziliśmy trzydzieści minut w przyjemnej ciszy, obserwując ludzi dookoła. Wszystko było tak, jak cztery lata wcześniej.

Wpół do szóstej udaliśmy się do kawiarenki, w której nigdy wcześniej nie byłam. Kiedy przekroczyliśmy próg, od razu uderzył we mnie zapach kawy, cynamonu i ciastek. Z głośników cicho grała muzyka z lat pięćdziesiątych. Wskazałam głową na stolik przy dużym oknie, przez które mogłam obserwować powoli zachodzące słońce. Zajęliśmy miejsca i wtedy zza moich pleców rozbrzmiał donośny okrzyk:

— Victoria?!

Do kurwy.

Nie wiedziałam, co mam zrobić, ale moje ciało zareagowało instynktownie. Odwróciłam się w stronę głosu i prawie wbiło mnie w ziemię, kiedy ujrzałam przed sobą wysoką brunetkę. Znajome ciemne oczy

okryte wachlarzem sztucznych rzęs wpatrywały się we mnie z niedowierzaniem. Moja mina musiała być podobna.

Staralam się przełknąć ślinę, aby cokolwiek powiedzieć, ale miałam z tym problem.

Naprawdę? Dlaczego ja?

— Ashley? — wychrypiałam w końcu, a na twarzy dziewczyny wykwitł śliczny uśmiech.

Ashley Manson stała przede mną w delikatnej czerwonej sukience z koronką i w sandałkach. Uderzyło mnie to, bo pamiętałam ją w kusych spódniczkach, skórce i szpilkach na platformach wysokości widelców. Włosy miała spięte w niedbały kok, jej twarz zdobił delikatny makijaż, a spojrzenie nie było tak bezwstydne jak kiedyś. *Wydoroślała*. Ashley cholerna Manson.

Dziewczyna kręciła głową, starając się coś powiedzieć, ale jej nie wyszło, więc po prostu ruszyła w moją stronę. Nie zdążyłam zaprotestować, gdy przyciągnęła mnie do niedźwiedziego uścisku. Woń jej lawendowych perfum dotarła do moich nozdrzy, kiedy zeszytniałam w jej ramionach, pragnąc jak najszybciej się odsunąć. Czułam się źle z tym dotykiem, choć kiedyś byłyśmy dobrymi koleżankami.

Sekundy dłużyły mi się jak godziny, ale na szczęście Ashley w końcu mnie puściła. Jej dłonie jednak wciąż znajdowały się na moich ramionach. Patrzyła na mnie z uśmiechem.

— Jak ty... — płątała się, nie wiedząc, jak zacząć. — Kiedy wróciłaś? Myślałam, że siedzisz w Maine!

— Bo tak jest — potwierdziłam, otrząsając się z otępienia. — Ale musieliśmy na chwilę wrócić. Sprawy rodzinne.

Manson pokiwała głową, a następnie znów zlustrowała moje ciało.

— Wyglądasz... wow — zacięła się, na co delikatnie uniosłam kącik ust, bo to, żeby Ashley Manson zabrakło słów, było zjawiskiem niemożliwym. — Gdzie twoje bluzy?

— Gdzie twoje skórzane staniki? — odbiłam pięteczkę, unosząc brew, a dziewczyna szczerze się roześmiała.

Tak znajome.

— Stara Clark — westchnęła z lekką nostalgią. — Na ile wróciłaś?

— Zostajemy do piątku. Aż wszystko załatwimy — odparłam, na co Ashley zmarszczyła brwi.

W końcu spojrzała na stojącego za mną Theo, którego wcześniej nawet nie zauważyła. A może go nie poznała? Otworzyła szerzej oczy.

— Nie ma opcji, że to Theo pierdolony Clark! — zawołała, a chwilę potem rzuciła mu się na szyję.

Chłopak zaśmiał się cicho. Trochę zazdrościłam mu tego, że gdy go uścisnęła, z pewnością czuł się dużo bardziej komfortowo niż ja.

— Naprawdę was nie poznałam. Jak zwykle przyszedłam po kawę, a tu taka niespodzianka — powiedziała, przytulając się do boku Theo, który objął ją w talii. — Wyglądacie... cholera. Jak żywcem wyjęci z „Vogue’a”. To zaskakujące jak na Clarków.

Uśmiechnęłam się lekko, słysząc ten komplement. Nie chciałam spotkać nikogo znajomego, ale gdy patrzyłam na Ashley, która była taka znajoma, rodzinna i nasza, to wszystko wydało mi się... mniej straszne, niż sobie wyobrażałam. Może dlatego, że w liceum się kolegowaliśmy, ale nigdy się nie przyjaźniłyśmy. Nie łączyło nas aż tak wiele wspomnień, co zdecydowanie ułatwiło mi to spotkanie.

— Usiądziesz z nami? — zapytał Theo.

Nie byłam o to zła, bo złapałam się na tym, że naprawdę zapragnęłam spędzić z nią trochę czasu.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wtedy dostrzegłam w niej tę dawną pewność siebie. Usiadłam przy oknie, a Manson zajęła krzesło obok mnie. Theo, który był bardziej niż zadowolony, wyładował naprzeciwko nas. Kiedyś mi wyznał, że zawsze lubił Ashley za jej szczerość i brak hamulców. Doceniał takie osoby.

Złożyliśmy zamówienie u jednej z kelnerek i przez chwilę milczeliśmy. Na początku bałam się, że będzie niezręcznie, ale wcale tak nie było. Ashley patrzyła to na mnie, to na Theo, a potem westchnęła, splatając dłonie.

— Więc? — zapytała. — Opowiadajcie, jak tam u was.

— Dobrze — odparłam. — Mieszkamy w Lewiston. Na obrzeżach, co naprawdę nam pasuje.

— Mieszkacie razem? — upewniła się dziewczyna, na co potaknęliśmy. — To naprawdę świetnie. I jak tam jest?

— Zimno — odpowiedział od razu Theo. — A ty? Nadal tu mieszkasz?

— Tak. — Pokiwała głową. — Poszłam na uniwersytet w San Diego. To jakieś sto trzydzieści mil od Culver City, więc często byłam w domu.

Rozważałam, czy nie zostać tam na stałe, ale jednak tutaj mam znajomych i nie za bardzo chciałam się stąd ruszać.

— Pracujesz gdzieś? — zapytałam, na co dziewczyna wyděła usta. Ten odruch równieŹ był znajomy. — Nie pytałam, czy nadal to robisz — dodałam z lekkim rozbawieniem, widząc jej wzrok i formujący się na jej ustach uśmieszek.

— Ale i tak miałaś to na myśli.

MoŹe.

— Nie. Nie jestem juŹ damą do towarzystwa — rzuciła, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie, i to była właŹnie cała Ashley Manson. — Stwierdziłam, Źe jestem juŹ za stara, by się w to bawić, więc skończyłam ekonomię i teraz siedzę w miejscowym banku jako asystentka prezesa. Nie jest to praca marzeń, ale dobrze płacą i żyje mi się w porządku.

Trudno było mi to sobie wyobrazić, Ashley Manson i nudna praca. Ona zawsze była odważna, nie było zadania, którego by nie wykonała, i nie było słów, które bałaby się powiedzieć na głos. Ashley jako jedna z nielicznych osób w tym mieście była naprawdę szczerą.

— Wow, Clark. Nigdy nie sądziłam, Źe zdecydujesz się na taką posadkę. Gratuluje. Hardey's Company to bardzo znana firma — powiedziała z uznaniem, gdy wyjaśniłam jej, gdzie pracuję i co robię.

— Dziękuję.

— To teraz ty opowiadaj, Manson — mruknął zaczepnie Theo. — Co się u ciebie dzieło?

Pogrążyliśmy się w rozmowie. Gawędziliśmy o tym, co robiliśmy przez te cztery lata, nie zahaczając o poważne tematy. Skupiliśmy się na pracy, na tym, jak mieszkamy oraz czym zajmujemy się na co dzień. Wymieniliśmy się kilkoma zabawnymi anegdotkami, a w międzyczasie przyniesiono nam nasze zamówienia.

Ze smakiem jadłam swoją szarlotkę, kiedy Ashley mówiła o tym, jak kupiła sobie kota. Było naprawdę miło. Usta Manson się nie zamykały, a my starannie omijaliśmy draŹliwe tematy, jak początki mojego Źycia w Maine. Theo czuwał i gdy tylko rozmowa schodziła na te tory, szybko zmieniał wątek.

— A ty, Vic? — zapytała w pewnym momencie Ashley, gdy opowiedziała nam więcej o swojej uczelni. — Jakie studia ostatecznie skończyłaś?

— Lingwistyka stosowana — odparłam od razu, pomijając to, że jeszcze ich nie skończyłam. Nie chciałam tłumaczyć, dlaczego jeszcze jestem studentką i nie zamknęłam tego etapu w czerwcu jak większość adeptów z naszego rocznika.

— Oczywiście — zaśmiała się. — Niech zgadnę. Hiszpański i francuski?

— Bingo. — Kiwnęłam głową. — Chciałam też ogarnąć coś z niemieckim, ale się poddałam, gdy otworzyłam słownik.

Moja kawa powoli się kończyła, ale zupełnie nie odczuwałam wpływu czasu. Manson ani razu nie poruszyła tematu moich rodziców ani Mii czy Chrisa. Nie wiem, czy zrobiła to świadomie, ale sprawiła, że pobyt w Culver City nagle stał się dla mnie dużo prostszy.

W końcu dziewczyna westchnęła, poprawiając się na krześle, a następnie wlepiła w nas świdrujące spojrzenie.

Uniosłam jedną brew.

— Co? — zapytałam, kiedy tak dziwnie nas obserwowała.

— To już czas na to pytanie — mruknęła z tajemniczym uśmiechem. — Więc... macie kogoś?

Zastygłam ze szklanką kawy przy ustach, a Theo parsknął cichym śmiechem. Ashley zawsze była bezpośrednia.

— Cóż, jestem wolny, jeśli to jakaś propozycja — odparł pewny siebie, mrugnawszy do niej zawadiacko, na co wybuchnęła śmiechem i przewróciła oczami. — A ty?

— Nah, związki nie są dla mnie. — Machnęła nonszalancko dłonią. — Vic?

— Nie — odpowiedziałam bez wahania. — Wolna i niezależna — dodałam żartobliwie, odgarniając włosy z ramienia.

Ashley uśmiechnęła się cwani, kiwając głową.

— Oczywiście, że tak. W końcu to przecież Nate był...

Gdy zorientowała się, co powiedziała, urwała w połowie zdania, a jej oczy rozszerzyły się do wielkości spodków. Zacisnęłam mocniej palce na szklance, ale poza tym nawet się nie poruszyłam. Moja mina nie zmieniła się ani odrobinę, dalej była neutralna, choć czułam, że zjedzona wcześniej szarlotka podeszła mi do gardła.

Zapanowała nieprzyjemna cisza. Atmosfera cały czas gęstniała, a Manson przytknęła dłoń do ust.

— Jeju, Vic. Przepraszam, ja... — zacięła się, a ja nagle poczułam złość. Pokręciłam głową, patrząc jej prosto w oczy.

— Nie masz za co — odparłam zbyt ostrym tonem, za co wymierzyłam sobie w myślach policzek, bo nie miałam prawa się tak odzywać. Odetchnęłam spokojniej. — To nie tak, że nikt nie może wypowiadać jego imienia w moim towarzystwie — wyjaśniłam jak dzieciom. — To nie Voldemort, Ashley.

— Wiem, tylko że... No wiesz.

— Wiem — ucięłam, by jak najszybciej zakończyć ten temat. Wzruszyłam nonszalancko ramionami. — Wszyscy wiedzą, że coś nas kiedyś łączyło, i okej. Tylko że to się skończyło, a wy nie musicie być tacy przewrażliwieni na tym punkcie. Każde z nas poszło w swoją stronę i to jest w porządku.

— Rozmawiałaś z nim? — zapytała prosto z mostu, a mój żołądek zacisnął się jeszcze bardziej.

Ogarnęła mnie panika, ale zmusiłam się, by odpowiedzieć:

— Nie.

Ashley westchnęła, rozglądając się wokół, jakby chciała się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje.

Odetchnęłam cicho, unosząc wzrok na Theo, który bacznie mnie obserwował. Nie znosiłam tego uczucia. Każda rozmowa o przeszłości... o *nim*, o rodzicach, o Mii...

Przestań.

Ashley nachyliła się w naszą stronę, kładąc łokcie na blacie. Wyraz jej twarzy był poważny i czułam, że się spięła.

— Spotkacie się z nimi? — zapytała, patrząc to na mnie, to na Theo.

— Nie — odparłam bez wahania, a mój ton był poważny i ostry. — Minęły cztery lata, nie mamy kontaktu, Ashley. Nie będziemy tego zmieniać.

— Nie macie kontaktu? — zdziwiła się, marszcząc brwi. — Serio? Czyli to prawda, że wszystko się rozpieprzyło — szepnęła niemal niesłyszalnie.

— Co się rozpieprzyło? — zapytał zaskoczony Theo. — Co masz na myśli?

Dziewczyna znów zamyśliła się na chwilę, a ja zastanawiałam się, czy opuszczenie tego lokalu nie byłoby dobrym pomysłem. Jednak było już za późno.

— Uhm, jakieś dwa lata temu byłam na wakacjach w Jacksonville — zaczęła cicho. — Zaliczyłam wszystkie egzaminy, więc postanowiłam wyluzować i wyjechać na trochę. I tak się złożyło, że w jednym z klubów spotkałam Matta.

— Matta? — zdziwił się Theo. — Donovaną?

— Tak. — Kiwnęła głową. — Na początku nie ogarnęłam, kim jest. W końcu nie spędzałam z nim za wiele czasu, a minęły dwa lata. Później go skojarzyłam, bo jak byliśmy w liceum, to nieumiejętnie mnie podrywał. I przypominałam sobie, że trzymał się z Nate'em. — Zrobiła krótką przerwę. — Potem coś wypiliśmy i zaczęliśmy wspominać, a jemu rozwiązał się język. Powiedział, że wszystko się skomplikowało i że to nie miało tak wyglądać. Podobno Cameron ostro pożarł się o coś z Sheyem jakoś rok po waszym wyjeździe. I od tego czasu nie jest za kolorowo. Szczerze, mieszkam tu na stałe, a Nate'a czy Mię widziałam może z pięć razy, i to przez przypadek. Nie mam kompletnie pojęcia, co u nich. Z tego, co mówił Matt, on też niewiele wie, chociaż starał się zachować kontakt, ale wiecie, jak jest. Jedynie ze Scottem i Laurą widywał się częściej, tylko że oni też zaczęli życie z daleka od Culver City. Ponoć przez kłótnię Camerona z Sheyem wszystko się jeszcze bardziej posypało. Matt mówił, że było naprawdę źle i przestali się spotykać.

— Nie wiesz, o co się pokłócili? — zapytał Theo, którego ledwo słyszałam.

Szumiało mi w głowie.

— Nie mam pojęcia. Matt nie chciał mi powiedzieć. Mruknął tylko coś o jakiejś... Naomi? Chyba tak. Ale to tyle.

— Naomi? — zdziwił się mój brat.

— Tak — potwierdziła. — Ale to było dwa lata temu. Nie wiem, jak jest teraz. Chociaż jeśli wtedy nie chcieli się ze sobą widywać, to być może nie mają już kontaktu. Ale nie wiem tego na sto procent. Dlatego zapytałam, czy macie zamiar się z nimi spotkać.

Nie miałam pojęcia, jak zinterpretować te wszystkie informacje. Czułam nieprzyjemnie znajome uczucie drętwienia mięśni. Właśnie tego starałam się uniknąć, rozgrzebywania starych ran i myślenia.

Westchnęłam cicho, starając się zrozumieć jedną rzecz. Nie miałam pojęcia, że chłopaki się pokłócili, a przez to cała reszta również straciła

kontakt. Przecież jeszcze pół roku wcześniej sam Chris mówił, że... Właśnie. Chris!

— Niemożliwe, Ashley — odezwała się nagle.

W duchu skarciłam samą siebie, bo powinnam była odpuścić, ale było już za późno.

Po moich słowach głowy Manson i Theo natychmiast obróciły się w moją stronę. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywałam się w blat, ale pod stołem zaciskałam dłonie w pięści, niemal łamiąc sobie paznokcie.

— Kilka miesięcy temu rozmawiałam z Chrisem — wyjaśniłam. Czulałam, jakbym traciła dostęp do świeżego powietrza. — Nic mi o tym nie mówił. Powiedział tylko, że każdy ruszył do przodu, ale nie wspominał o żadnej kłótni. Na pewno by wiedział. Powiedziałby mi.

— Nie wiem, Clark. — Wzruszyła ramionami. — Mówię tylko to, czego dowiedziałam się od Matta.

To nie mogło być prawdą, bo niby dlaczego Adams miałby to zataić? Tylko czemu Matt miałby mówić nieprawdę? *Cholera*. Nie potrafiłam wyobrazić sobie tego, że oni wszyscy nie mają ze sobą kontaktu. Przecież byli dla siebie jak rodzina, przetrwali tak wiele. Przetrwali cholerną Darcy Wilson, a rozdzieliła ich jakaś dziwna kłótnia? I kim była, do cholery, Naomi?

To już nie jest twoja sprawa. Odpuść.

— Mówiłam wam już — westchnęła cicho, kręcąc głową. — Wszystko się rozpieprzyło.

Tak, co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości.

Dochodziła siódma trzydzieści, kiedy leżałam nieruchomo w swojej tymczasowej sypialni w hotelu, wpatrując się w śnieżnobiały sufit. Gdy wróciliśmy z miasta, zaszyłam się sama w pokoju. Z łóżka wstałam jedynie do łazienki i na papierosa.

W głowie cały czas odtwarzałam słowa Ashley na temat moich dawnych przyjaciół z Culver City. Staralam się zrozumieć, o co mogło chodzić. W pewnym momencie przeklełam cicho pod nosem, przecierając zmęczoną twarz. Zaczęłam żałować, że w ogóle wróciłam. Culver City przynosiło ludziom więcej smutku niż szczęścia.

Nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić, znów wstałam z miękkiego materaca i chwyciłam paczkę papierosów. Na moje nieszczęście okazała

się pusta. Jęknęłam, ale wiedziałam, że nie dam rady wytrzymać do rana, więc zdecydowałam się udać do sklepu.

Byłam już przebrana w ciepły dres i puchatą, za dużą bluzę z kapturem, włosy miałam w nieładzie, ale zupełnie mnie to nie obchodziło. Nie informując Theo, wyszłam z apartamentu. On również nie wychylał nosa ze swojej sypialni, ale był inny, twardszy. Wiedziałam, że sobie poradzi. Z pewnością przyjął rewelacje Ashley dużo lepiej niż ja. W sumie co tu było do przyjęcia? Przecież to już nawet nie była moja sprawa, nie dotyczyło mnie to i nie powinnam była się tym interesować.

Na zewnątrz było już ciemno, ale niezbyt zimno.

Małe delikatesy znajdowały się niedaleko. Przechadzałam się powoli między regałami, bo poczułam ochotę na jakąś przekąskę. Przystanęłam na dziale ze słodyczami, gdy nagle moją uwagę zwrócił nieznajomy dzieciak. Był szczupły i dość wysoki, wyglądał na nie więcej niż trzynaście lat.

Stałam za półką, więc mnie nie zauważył, kiedy nerwowo rozejrzał się po pustej alejce. Szybko chwycił dwa batony i wcisnął je do kieszeni czarnej bluzy, a następnie zarzucił jej kaptur na głowę i odwrócił się w stronę wyjścia ze sklepu.

Przewróciłam oczami, ponieważ nienawidziłam kradzieży. Jasne, nie byłam święta, ale im więcej miałam lat, tym lepiej rozumiałam, jak głupie i nieodpowiedzialne było takie zachowanie.

Aby wyjść ze sklepu, dzieciak musiał mnie minąć, ale nie miałam zamiaru mu na to pozwolić. Gdy się zbliżył, wyszłam zza rogu i zastąpiłam mu drogę. Wyhamował w ostatniej chwili, zadarł głowę i spojrzał na moją twarz. Spod kaptura jego za dużej bluzy wystawało kilka brązowych kosmyków, które opadały mu na czoło. Miał kwadratową szczękę i wielkie zielone oczy, które patrzyły na mnie pytająco i nieco niechętnie.

— Przepraszam, ale chcę przejść — burknął cicho. Głos miał jeszcze dziecięcy, ale nie przesadnie.

Spuścił wzrok i zrobił krok w lewo, więc ja zrobiłam krok w prawo i znowu zablokowałam mu przejście. Dzieciak chciał wyminąć mnie z drugiej strony, ale znów mu przeszkodziłam. To sprawiło, że zerknął na mnie gniewnie i zmarszczył gęste, ciemne brwi.

— O co ci chodzi? — zapytał nerwowo. — Chcę wyjść.

— Najpierw pokaż, co masz w kieszeni — powiedziałam wprost i założyłam rękę na piersi.

Moje słowa chyba go zszokowały, bo z lekkim strachem rozszerzył oczy, ale chciał grać niewzruszonego. Odchrząknął i butnie na mnie spojrział.

— Nie wiem, o co ci chodzi, nie mam nic w kieszeniach — mruknął, ale jego głos nie był już tak pewny, choć usilnie starał się to ukryć.

— Więc pokaż.

— Nie będę ci nic pokazywał — zaperzył się, a delikatny rumieniec wkradł się na jego blade policzki. — Nie znam cię. Zacznę krzyczeć, jeśli mnie nie przepuścisz.

— Droga wolna, wtedy przyjdzie tu pracownik sklepu i sobie porozmawiamy — odparłam niewzruszona i z nonszalancją spojrzałam na swoje długie paznokcie.

Dzieciaka wyraźnie zdenerwowały moje słowa, bo zacisnął szczękę, a następnie przewrócił oczami.

— Tak jak mówiłem, nie wiem, o co ci chodzi — burknął i odwrócił się z zamiarem odejścia.

Nie zrobił nawet jednego kroku, bo szybko złapałam go za kaptur i przyciągnęłam z powrotem do siebie. Dzieciak syknął i z oburzeniem na twarzy odwrócił się w moją stronę. Kaptur spadł z jego głowy, ukazując potargane ciemnobrązowe włosy.

— O co ci chodzi, babo?! — zawołał, a jego głos lekko się załamał.

— O to, *gnójku*, że też byłam w twoim wieku i podjęłam kilka głupich decyzji, aby komuś zaimponować. Zdarzyło mi się wynieść coś ze sklepu, ale okropnie tego żałowałam — powiedziałam poważnie.

— Ale ja... — chciał iść dalej w zaparte, jednak mu na to nie pozwoliłam.

— Masz dwie opcje. — Wskazałam na niego palcem, a moja mina była śmiertelnie poważna. — Albo grzecznie mi się przyznasz, przeprosisz i odłożysz na miejsce rzeczy, które zabrałeś, a ja może miłosiernie ci daruję, albo zaraz zawołam kierownika i będziesz się tłumaczyć przed nim, przed rodzicami i przed policją.

Przez kilka sekund toczyliśmy bitwę na spojrzenia. Młody był zacięty, ale nie miał ze mną szans, o czym wiedziałam już w momencie, gdy przewrócił oczami i nieco spokojniał.

— Ale to tylko batony... — mruknął cicho.

— Zaczyna się od batonów, a kończy na okradaniu domów — odpowiedziałam.

Chłopiec zmarszczył brwi i posłał mi zdziwione spojrzenie.

— Mówisz jak czterdziestoletnia matka — westchnął, ale posłusznie wyjął z kieszeni bluzy słodycze i podał mi je, gdy wyciągnęłam rękę. — A nie wyglądasz na czterdzieści. Chyba że zrobiłaś dużo operacji plastycznych.

Przewróciłam oczami. Jak na swój młody wiek był mocno irytujący i uszczypliwy.

— Mam dwadzieścia dwa i zero botoksu — odparłam, a następnie zlustrowałam go wzrokiem. — Dlaczego chciałeś to ukraść? Nie masz pieniędzy?

Wątpiłam w tę wersję wydarzeń, ponieważ nie wyglądał na biednego. Był czysty i zadbany, miał ładne ubrania i białe air force'y na stopach.

— Mam — odpowiedział, potwierdzając moje przypuszczenia.

— Więc co? Mama zabrania ci jeść słodyczy? — zakpiłam.

Chłopiec lekko się zmieszał i spuścił wzrok. Schował dłonie do kieszeni czarnych jeansów, wzruszając ramionami.

— Nie, ale... — zawiesił się.

— Ale?

— Jestem ciekawy, jakie to uczucie — odpowiedział, a rumieńce na jego policzkach nabrały jeszcze intensywniejszego koloru. — Chłopaki z klasy często coś kradną. Ja nigdy tego nie robiłem i przez to się ze mnie śmiali. Powiedziałem, że dam radę. Czekają na mnie przed wejściem. Teraz nie dadzą mi żyć. Chciałem im zaimponować.

Spojrzałam na jego zbolałą minę. Wyglądał tak, jakby skazano go na ścięcie. Nagle zrobiło mi się go szkoda, bo wiedziałam, jakie dzieciaki w tym wieku mogą być nieprzyjemne.

— Ten świat schodzi na psy, a twoje pokolenie jest stracone — skomentowałam, nim zdążyłam się chociażby zastanowić nad swoimi słowami. Gdy zdałam sobie sprawę z tego, co powiedziałam, jęknęłam w duchu. — Boże, mówię jak moja matka — westchnęłam i znów zawiesiłam wzrok na jego sterczących w różne strony kosmykach. — Ile ty masz w ogóle lat?

— Jedenaście — odparł i spojrzał na mnie ze szczerą skruchą w oczach. Był dość wyrośnięty jak na swój wiek. — Powiesz kierownikowi?

— A skąd mam wiedzieć, że nie będziesz chciał zrobić tego ponownie?

— Nie będę, spokojnie — zapewnił. — Teraz to nie będę miał nawet komu zaimponować.

— Dlaczego tak bardzo chcesz się przypodobać jakimś gnojkom? — zapytałam i zaczęłam przechadzać się wzdłuż alejki.

Dzieciak chodził za mną i wyglądał jak zbity pies.

— A byłaś kiedyś w piątej klasie? — jęknął. — To szkoła przetrwania!

— Ludzie, którzy kradną, to kryminaliści. Dalej już tylko heroina.

— Ale ja mam jedenaście lat. — Zmarszczył brwi.

Machnęłam ręką.

— Zaczyna się w młodym wieku.

— Możesz nie mówić o tym nikomu? — poprosił mnie.

Spojrzałam na niego nieprzekonana.

— Nie chcę, żeby brat się dowiedział. Będzie musiał specjalnie przyjeżdżać tu z pracy.

Westchnęłam i zerknęłam na batony w swoich dłoniach.

— Dlatego właśnie nie lubię dzieci — mruknęłam, ale skinęłam głową. — Dobrze, daruję ci to.

Jego zielone oczy błysnęły.

— Ale jeśli obiecasz mi, że już nigdy tego nie zrobisz.

— Obiecuję! — powiedział od razu. Uśmiechnął się szeroko i dopiero wtedy dostrzegłam, że ma niewielką przerwę pomiędzy jedynkami.

Odwrociłam się, aby zdusić w sobie uśmiech, i ruszyłam w kierunku kas. Ku mojemu zdziwieniu dzieciak szedł zaraz za mną.

— Jesteś stąd? — zapytał, zrównując ze mną krok. Miał naprawdę długie nogi.

— Tak, ale mieszkam gdzie indziej — odpowiedziałam zdawkowo. — Przyjechałam w sprawach rodzinnych.

Pokiwał głową. Nie wiedziałam, dlaczego za mną poszedł i stał przy mnie w kolejce do kasy, ale... nie przeszkadzało mi to. Choć naprawdę nie lubiłam dzieci.

Przy kasie kupiłam dwa batony i dodatkowo trzy paczki papierosów Black Devil.

— Palenie niszczy kondycję — odezwał się dzieciak, gdy wrzuciłam zakupy do małej reklamówki. — Tak mówi mój brat, a on się zna, bo chodzi na siłownię.

— To masz mądrego brata — mruknąłam w odpowiedzi.

Skierowaliśmy się w stronę wyjścia ze sklepu. Lekko się zdziwiłam, gdy bez zastanowienia otworzył mi drzwi i czekał, aż przejdę. Zrobiło to na mnie wrażenie, bo w tym wieku raczej nie dba się o takie rzeczy. Był naprawdę dobrze wychowany.

Wyszliśmy na zewnątrz i przystanęliśmy na parkingu. Chłopiec znów zmarkotniał, wbił wzrok w swoje buty i miętolił w palcach brzeg bluzy. Westchnęłam i rozejrzałam się wokół. Od razu zobaczyłam bandę kilku dzieciaków z rowerami, które stały niedaleko nas i patrzyły w naszą stronę.

— I co teraz? — zapytałam, spoglądając na niego z góry.

— Wrócę do nich, powiem, że się nie udało, i przygotuję się na publiczne wyśmianie i na to, że do ukończenia szkoły będę kozłem ofiarnym. — Wzruszył ramionami.

Naprawdę było mi go szkoda. Niewiele myśląc, wyjęłam z reklamówki jednego batona i wyciągnęłam w jego stronę. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale przyjął go.

— Wydajesz się inteligentny — powiedziałam. — Następnym razem, gdy będziesz chciał komuś zaimponować, użyj mózgu, a nie zniżaj się do takiego poziomu.

Po tych słowach nachyliłam się nad nim i widowiskowo przycisnęłam usta do jego zarumienionego policzka. Ukradkiem zerknęłam na bandę chłopaków niedaleko. Wpatrywali się w nas z szeroko otwartymi ustami.

Odsunęłam się z głośnym cmoknięciem. Na policzku chłopca odznaczał się ślad mojej ciemnej szminki. Dzieciak wpatrywał się w moją twarz.

— Gdy nie jesteś małym gówniarzem, to jesteś nawet sympatyczny — rzuciłam z lekkim uśmiechem i skinęłam głową. — Powodzenia, gnojku.

Chłopiec zszokowany stał nadal w tym samym miejscu, czerwieniąc się jeszcze bardziej. Posłałam mu ostatni uśmiech i się odwróciłam, a następnie ruszyłam w stronę chodnika. Widziałam, jak reszta jego kolegów podjeżdża do niego na rowerach, a ostatnie, co usłyszałam, to: „Kurczę, stary! Jak to zrobisz?!”

Zaśmiałam się i zniknęłam za rogiem sklepu. Miałam nadzieję, że trochę mu pomogłam, wydawał się naprawdę fajny, a ja wiedziałam, jak ważne w tym wieku jest poczucie bycia akceptowanym.

Wróciłam do hotelu i przemknęłam do swojego pokoju.

Stojąc na balkonie, zaciągnęłam się ciepłym, świeżym powietrzem. Oparłam się o barierki, odpaliłam fajkę i zapatrzyłam się na gwiazdzone niebo. Księżyc świecił bardzo jasno.

Właśnie wtedy naszła mnie ta myśl. Ten pomysł zrodził się w mojej głowie w jednej sekundzie i może było to nierozsądne, może mogłam rozpaść się po tym jeszcze bardziej, ale postanowiłam się nie zastanawiać. Niemal natychmiast zgasiałam papierosa w popielniczce i weszłam z powrotem do pokoju.

Szybko przeszłam przez sypialnię, nie zabrałam ze sobą nawet telefonu. Salon był pusty i cichy, co oznaczało, że Theo siedział u siebie. Nie siląc się na pukanie, weszłam do jego pokoju. Leżał na łóżku, w swetrze i dresach, czytając Camusa.

Spojrzał na mnie jak na głupka. Zapewne zdziwiło go moje nagłe wtargnięcie.

— A tobie co? — zapytał ze zdziwieniem, kładąc wciąż otwartą książkę na swoim torsie.

Serce biło mi w gardle.

— Chodźmy tam — powiedziałam ściśniętym głosem.

— Ale gdzie? — dopytał, nadal nie rozumiejąc.

— Do nich.

To było jak zapałka wrzucona do kanistra z benzyną. Jego oczy rozbłysły dziwnym blaskiem i niemal natychmiast odrzucił na bok książkę.

— Jesteś pewna? — zapytał poważnie.

— Nie — odpowiedziałam szczerze. — Ale jeśli nie zrobimy tego teraz, nie zrobimy nigdy.

Bo może mieliśmy po dwadzieścia dwa lata i zbyt wiele wspomnień, ale kiedy o północy w kompletnej ciszy pokonywaliśmy kolejne alejki na miejscowym cmentarzu, znów byliśmy jedynie zagubionymi dziećmi, które straciły zdecydowanie zbyt wiele. Nie odzywaliśmy się do siebie, bo to nie było konieczne. Po prostu szliśmy tą cholerną drogą, którą szłam ostatnio cztery lata temu, gdy najważniejsza osoba w moim życiu odeszła.

Nogi z każdym kolejnym krokiem ciążyły mi coraz bardziej, a głowa stawała się otępiała. Otaczały mnie setki pomników. Na niektórych świeciły się małe znicze. Gdzieniegdzie widziałam kwiaty, niektóre jeszcze świeże, inne już wysuszone.

Prócz nas nie było tam żywej duszy.

W końcu dotarliśmy. Zatrzymałam się, a mój wzrok padł na dwa pomniki z białego granitu, które znajdowały się tuż obok siebie. Wcześniej był tam tylko jeden.

JOSELINE ARABELLA CLARK
NIEODŻAŁOWANEJ PAMIĘCI MATKA,
CÓRKA I PRZYJACIÓŁKA

Moje oczy zapiekły, gdy przeczytałam te słowa, a pod spodem datę jej urodzenia oraz śmierci. Minęły ponad cztery lata, a ja... tak strasznie za nią tęskniłam. Każdego dnia zabijałam w sobie tę tęsknotę, żal do losu i złość, że kazano mi żyć bez niej. Że odebrano mi kogoś, kto był dla mnie tak ważny. Jej już nie było i wszystko, co mi po niej zostało, to kawałek cholernego marmuru.

Pokręciłam głową, a następnie spojrzałam na drugi nagrobek. Na płycie również widniał złoty grawer, dokładnie taki sam jak na nagrobku mamy.

ALEXANDER RODRIGUEZ

Przeniosłam wzrok na Theo, który z nieodgadnioną miną obserwował pomniki.

Uniosłam lekko kąciki ust, a gdy znów spojrzałam na tablice, w moim wnętrzu rozlało się ciepło.

— Cześć, mamó — wyszeptalam.

— Cześć, tato — dodał Theo.

I może nam nie odpowiedzieli, ale kiedy gwiazdy stały się jeszcze jaśniejsze, a noc mniej mroczna, poczułam, że są z nami.

Zawsze byli.

— Zawsze musisz się spóźniać? — zapytał zdenerwowany Theo, kiedy następnego dnia po długim wybieraniu się wyszłam ze swojej sypialni.

— Nie przesadzaj — mruknęłam nonszalancko. — Mam jeszcze czterdzieści minut.

— Tylko czterdzieści minut — burknął, na co miałam ochotę przewrócić oczami, ale cudem się powstrzymałam.

Od samego rana niezmiernie mnie irytował. Wiedziałam, że się stresuje, bo w końcu nadszedł dzień spotkania w kancelarii. Od kiedy wstał, wędrował po całym apartamencie w tę i z powrotem, co jakiś czas na mnie warcząc i wściekając się, że przygotowanie się tyle mi zajmuje. Wiedziałam, że tak odreagowuje stres, ale powoli zaczynałam mieć tego dość. Wytknęłam mu, że przez niego nabawię się wrzodów żołądka, gdy poganiał mnie przy śniadaniu. Nie czułam potrzeby, by się spieszyć. Chodziło tylko o spadek, o którym nie wiedzieliśmy, o nic więcej.

Podeszłam do dużego lustra w salonie, aby ostatni raz ocenić, czy dobrze wyglądam. Miałam na sobie beżowe materiałowe spodnie z wysokim stanem, które ładnie przylegały do moich bioder i ud, a rozszerzały się lekko od kolan w dół. Dostałam je od Theo na urodziny, a mój tyłek wyglądał w nich niezmiernie. Dopasowałam do nich czarny opinający ciało golf z długim rękawem, a na stopy wsunęłam czarne szpilki. Mój makijaż prezentował się ładnie i elegancko. Włosy zostawiłam rozpuszczone, luźno opadające na ramiona. Założyłam jeszcze długie srebrne kolczyki. Efekt zdecydowanie mi się podobał.

— Czy możemy już wyjść? — zapytał Theo, podając mi płaszcz. Nie włożyłam go, tylko zarzuciłam na ramiona. Miał taki sam kolor jak spodnie, sięgał mi za kolana, a jego guziki były czarne. — Proszę. Nie chcę się spóźnić, Victoria.

— Theo, spokojnie — westchnęłam, zerkając na niego. — Nie spóźnimy się.

— Po prostu to dla mnie ważne — wyznał, po raz setny poprawiając włosy. — Chcę, żeby wszystko było w porządku.

— I będzie — zapewniłam go.

— Dobrze wyglądam?

Również miał na sobie czarny golf, nieco grubszy od mojego, a do tego czarne spodnie i skórzany pasek. Włożył jeszcze tego samego koloru, nieco dłuższą marynarkę. Jego włosy tworzyły artystyczny nieład.

Uniosłam brwi z uznaniem.

— Wyglądasz jak żywcem wyjęty z *Rodziny Adamsów* — powiedziałam, czym nareszcie udało mi się go nieco rozluźnić. — A teraz chodź wreszcie, bo przez ciebie się spóźnimy. Jak zawsze.

Uber już czekał pod hotelem. Podczas jazdy milczeliśmy, bo Theo był spięty i zdenerwowany, a ja nie chciałam go bardziej stresować. Nie

byłam zupełnie spokojna, ale zdecydowanie bardziej niż on. Nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić, by go wesprzeć, zmusiłam się i zacisnęłam palce na jego dłoni. Nic nie powiedział, nawet na mnie nie spojrzął, ale wiedziałam, że ze mną jest, bo ścisnął moje palce z taką siłą, że wbił mi w skórę swoje srebrne obrączki. Nie przeszkadzało mi to.

Kilkanaście minut później zatrzymaliśmy się pod podanym adresem. Oboje wysiedliśmy z pojazdu. Ze zmarszczonymi brwiami rozejrzałam się po przyjemnie wyglądającej okolicy. Nie byłam tam nigdy wcześniej i nie dostrzegłam wielu domów. Budynek, którego adres przekazał nam prawnik, znajdował się po przeciwnej stronie ulicy. Była to ogromna biała rezydencja z wysokim żywopłotem wokół. Nie wyglądała jak kancelaria prawna, chociaż mogłam się mylić.

— To na pewno dobry adres? — zapytałam, spoglądając na brata, który również ze zdziwieniem patrzył na dom.

— Tak. — Skinął głową. — Może jest prywatna albo coś?

— Może. — Wzruszyłam ramionami.

Bez zwłoki przeszłam przez ulicę, a Theo zaraz za mną. Spojrzałam na domofon przy furtce i nacisnęłam przycisk. Dzwonek cicho zabręczał. Nie minęła chwila, a dźwięk ustał, ale nikt nic nie odpowiedział. Odchrząknęłam, a następnie zdębiałam, kiedy kamera na ogrodzeniu poruszyła się i skierowała się wprost na nas.

— Dzień dobry — zaczęłam, zastanawiając się, czy to w ogóle ma sens. *Co za idiotyzm.* — My na spotkanie z panem Federikiem Guewą. Victoria i Theodor Clarkowie.

Ledwo skończyłam mówić, a wielka brama zaczęła się automatycznie otwierać. Zirytowana spojrzałam na milczącego Theo.

— Naprawdę mam nadzieję, że załatwimy to szybko, bo się wkurwię — rzuciłam zła i ruszyłam chodnikiem w stronę domu.

Theo poszedł za mną. Ogród był imponujący, wszystko emanowało bogactwem. Nie zdążyliśmy nawet zapukać w wielkie drewniane drzwi, kiedy one same się otworzyły, ukazując w progu niskiego starszego mężczyznę we fraku.

Uśmiechnął się miło w naszą stronę, kiwając głową.

— Witam — powiedział ochryple, otwierając szerzej drzwi. — Pan Gueva już na państwa czeka. Zapraszam.

Nadal zdziwiona, przekroczyłam próg, a w ślad za mną poszedł Theo. Mężczyzna zamknął za nami i wskazał dłonią na długi korytarz. Dom był naprawdę gustownie i elegancko urządzone, meble wyglądały na drogie, na brązowych ścianach zamontowano złote kandelabry, a brylantowe żyrandole zwisały z sufitu. Po naszej lewej znajdowały się szerokie schody prowadzące na piętro. Było dziwnie cicho, spokojnie i ani trochę mi się to nie podobało.

Nieważne. Im szybciej, tym lepiej. Chciałam to załatwić i wracać do domu. Do Maine.

Mężczyzna ruszył korytarzem, ale kiedy chciałam pójść za nim, w całym pomieszczeniu rozbrzmiał standardowy dzwonek iPhone'a. Szybko wyciągnęłam z torebki swój telefon.

— Przepraszam bardzo, ale muszę odebrać — powiedziałam, patrząc na nieznanego.

— Oczywiście — odparł spokojnie. — Ostatnie drzwi po lewej — dodał, wskazując na korytarz.

Nawiązałam kontakt wzrokowy z Theo.

— Wszystko okej. Idź — rzuciłam pewnie. — Będę za trzy minuty.

Pokiwał głową i razem z facetem się oddalili. Odetchnęłam cicho, przejeżdżając palcem po ekranie, i przyłożyłam telefon do ucha.

— Victoria? — Znajomy męski głos wywołał lekki uśmiech na mojej twarzy.

— Hej, Noah.

— Czy to prawda, że wyjechałaś? — zapytał zdziwiony.

— Skąd wiesz? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

Nie mówiłam mu, że wyjeżdżam, bo nie czułam takiej potrzeby.

— Właśnie wyszedłem z twojej firmy — wytłumaczył. — Wpadłem, aby wyciągnąć cię na kawę, ale Hannah powiedziała, że wyjechałaś na kilka dni.

— Tak, musiałam polecieć do swojego rodzinnego miasta. Ja i Theo musimy załatwić kilka spraw — wyjaśniłam, unosząc kącik ust. To urocze, że tak się interesował.

— Ach, rozumiem. Kiedy wracasz?

— A co? Już tęsknisz? — droczyłam się, starając się powstrzymać uśmiech, kiedy jego cichy, gardłowy śmiech dotarł do mojego ucha.

— Oczywiście, zbyt długo cię nie widziałem — odparł od razu. — Nadal czekam na obiecaną kolację.

— Cóż, wracam w piątek, więc w sobotę oczekuję cię przed drzwiami mojego mieszkania z butelką wina w ręce.

— Przecież nie pijesz.

— Och, tylko to wyłapałeś? — Uniosłam brew, a Noah znów się roześmiał.

— W porządku. Wszystko, czego tylko sobie zażyczysz — zgodził się. — Nie przeszkadzam ci już. Uważaj na siebie i do soboty.

— Do soboty — pożegnałam się.

Czułam, że potrzebuję jego towarzystwa. Kogoś, kto nie miał żadnego powiązania z Culver City.

Poprawiłam płaszcz na ramionach i ruszyłam przed siebie oświetlonym korytarzem. Mój oddech przyspieszył, kiedy odnalazłam odpowiednie drzwi. Przez chwilę wpatrywałam się w ciemne drewno, czując rosnący stres, ale nie mogłam być tchórzem, więc zebrawszy w sobie wszystkie siły oraz całą odwagę, nacisnęłam złotą klamkę.

Jakie było moje zdziwienie, kiedy niemal od razu po wejściu do środka wpadłam na twardy tors swojego brata, który chyba w tym samym momencie chciał wyjść. Odbiłam się i poleciałam lekko do tyłu. Potrząsnęłam głową i spojrzałam na Theo.

Wtedy naprawdę się przestraszyłam, bo dostrzegłam jego blade policzki, przerażenie i wzrok, który błagał: „Nie idź dalej”.

— Co ty... — wyszeptałam, bez zastanowienia zerkając ponad jego ramieniem na pomieszczenie.

W tej samej sekundzie zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście mogłam nie iść. Mogłam nie patrzeć, mogłam uciec, zniknąć i nigdy nie wrócić.

Wpatrywało się we mnie dziewięć par oczu. Dziewięć osób, za które kiedyś oddałabym życie, teraz znajdowało się w tym samym pokoju co ja i nie kryło zaskoczenia tą sytuacją.

Dziewięć osób, które cztery lata wcześniej były mi bliższe niż ktokolwiek inny.

ROZDZIAŁ 5.

Gra w chaos

Wielu katolików uważa, że Bóg ma dla każdego swój osobisty plan. W pewnym sensie na tym polega wiara, na oddaniu się i zaufaniu Stwórcy. Jeśli jakkolwiek Bóg rzeczywiście istniał, to tamtego dnia musiał się cieszyć, że w niego nie wierzę. Bo gdyby miał dla mnie *taki* plan, bez zastanowienia wybrałabym się do Raju z tasakiem. Już wolałam, aby nikt nie miał dla mnie żadnych planów. Nawet ja sama.

Jako mała dziewczynka często miewałam dziwne koszmary. Z czasem z tego wyrosłam, ale niektóre z tych snów pamiętałam jeszcze przez lata. Choć spędzały mi sen z powiek, miały jeden plus. Z koszmarów mogłam się obudzić.

Tamtego dnia naprawdę pragnęłam, aby to wszystko okazało się jedynie realistycznym koszmarem. Chciałam obudzić się we własnym pokoju i odetchnąć po uświadomieniu sobie, że to się nie działo naprawdę.

To nie miało prawa się dziać.

Jedno spojrzenie. Drugie. Zmrużenie powiek. Cichy oddech. Dreżąca cisza. Wybudzenie nie nadeszło, bo nie mogłam obudzić się z rzeczywistości.

Nie potrafiłam się poruszyć, za to czułam każdy najmniejszy nerw w swoim ciele, każdą pulsującą komórkę, każdy jeżący się na karku włoszek. Stałam tam z kamienną twarzą, uczestnicząc w czymś, co miało się nigdy nie wydarzyć.

Tamtego dnia stałam w pokoju pełnym przeszłości, a *oni* znajdowali się tam razem ze mną.

Widziałam ich. Widziałam ich wszystkich.

Chociażbym chciała opuścić wzrok, nie potrafiłam. Nie mogłam tego zrobić, mimo że czułam, jak wpatruje się we mnie dziewięć par oczu, które wypalały we mnie dziury.

Moje spojrzenie padło najpierw na niską brunetkę o wielkich oczach, która siedziała na długiej kanapie. Jej wargi były rozchylone, a znajome tęczyki emanowały ciepłem i blaskiem. Były jak słońce, bo ona była słońcem, naszym słoneczkiem. Ten blask nie był już jednak taki sam jak dawniej, stał się jakby przygaszony, ale nadal go widziałam, bo Laura Moore cała błyszczała. Nie zmieniła się za mocno, jedynie nieco wyrosła. Skróciła trochę swoje brązowe włosy, jej twarz stała się bardziej blada, ale to wciąż była ona.

Kątem oka dostrzegłam nagły ruch po jej prawej stronie. Scott Hayes wstał ze swojego miejsca na kanapie, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy. Jego barki ukryte pod skórzaną kurtką wydały mi się jeszcze szersze niż kiedyś.

Powoli popatrzyłam dalej, na bladą twarz Matta Donovana, który kilka lat wcześniej potrafił rozbawić mnie do łez, nawet jeśli nie odezwał się ani słowem. Stał obok jednego z jasnych filarów z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała. Jego blond włosy były nieco dłuższe, niż zapamiętałam. Wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć.

Ale nikt nic nie mówił.

— W końcu jesteśmy w komplecie. — Nieznajomy głos rozległ się gdzieś obok, ale nawet nie próbowałam poszukać jego źródła.

Widziałam jedynie te dziewięć par oczu.

Przesunęłam wzrok z Matta na Camerona Wilsona, który stał w znacznej odległości od reszty, jakby chciał się zdystansować. Miał na sobie elegancki płaszcz i również na mnie patrzył. Nadal zapierał dech w piersiach. Nie zmienił się ani odrobinę, jakby czas go nie dosięgnął. Jak zwykle nienagannym wyglądem i postawą przyćmiewał wszystkich wokół. Jego zdziwione zielone oczy taksowały mnie od stóp po czubek głowy.

Była tam również osoba, która zupełnie mnie zignorowała, ponieważ wpatrywała się w mojego brata. Jasmine Sharewood wyglądała dokładnie tak samo jak cztery lata wcześniej. Stała w tym pokoju w swoich nieodłącznych kozakach, z chłodną miną, która wyrażała coś na kształt niedowierzania. Jej blond włosy były nieco dłuższe i wpadały bardziej

w platynę niż w złoto. Poza tym się nie zmieniła — dawna miłość mojego brata i dziewczyna, która nie знаła słowa „nie”.

Nawet nie musiałam patrzeć na Theo, by wiedzieć, że i on nie widział teraz nikogo poza nią. Była jego pierwszą miłością, mógłby za nią zabić.

Kiedyś wszyscy mogliśmy za siebie zabić.

Przełknęłam ślinę, kiedy spoglądałam na przeciwną stronę pokoju. Od razu napotkałam niebieskie oczy, które się we mnie wpatrywały.

Takie znajome. Tak bardzo znajome.

Mimo że minęły cztery lata, ten jasny, przejrzysty błękit, który mógł się równać tylko z kolorem oceanu, poznałabym nawet na krańcu świata. Te oczy oddawały jej charakter, bo była jak ocean. Piękna, niebezpieczna i nieokiełznana. Nikt nie mógł jej zatrzymać. Nikt *nie potrafił* jej zatrzymać. Byłam pewna, że gdy mrugnęła, a jej gęste, długie rzęsy poruszyły się, gdzieś daleko stąd rozpętywał się właśnie huragan. Przez tak wiele lat była dla mnie jak siostra, jak rodzina. *Mia. Mia Roberts*. Chciałabym powiedzieć, że była taka, jak ją zapamiętałam, ale nie była. Była *piękniejsza*. Złote włosy kaskadami opadały na jej ramiona, układając się w śliczne fale, których kiedyś tak bardzo jej zazdrościłam. Twarz nadal miała porcelanową, makijaż idealnie wykonany, spojrzenie zabójcze.

Mia pomruwała, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Zdecydowała się wstać z fotela, nawet na chwilę nie spuszczać ze mnie wzroku. Wtedy moją głowę zalała fala wspomnień i emocji, które próbowałam pogrzebać głęboko w sobie. Bo to wciąż była *moja Mia*, z którą nie rozmawiałam od trzech lat. Moja Mia, z którą obiecałyśmy sobie przyjaźń aż po grób, by finalnie każda z nas poszła w swoją stronę.

Stojąc w tym cholernym pomieszczeniu pełnym świecących się kandelabrow, nie patrzyłyśmy na siebie z miłością, tęsknotą czy nawet z cholernymi wyrzutami. Obserwowałyśmy siebie tak, jakbyśmy wcale się nie znały. Jej niebieskie oczy, choć piękne, emanowały chłodem, dokładnie tak jak moje. Prawda była taka, że po czterech latach nie było już Victorii Clark i Mii Roberts. Była Victoria Clark. I Mia Roberts.

Wtedy dotarło do mnie, że *moja Mia* nie była już *moją Mią*.

Nie mogłam dłużej patrzeć w jej oczy, więc z niewzruszoną miną spoglądałam na dwóch chłopaków, a raczej młodych mężczyzn, którzy zajmowali jedną kanapę. Tylko w jednych oczach ujrzałam to, czego nie dostrzegłam w żadnych innych, bo tylko one miały w sobie tę samą moc,

jaką miały cztery lata wcześniej. Piwne, piękne i tak bardzo świetliste. Chris Adams, którego niesforne loki jak zawsze żyły własnym życiem, wpatrywał się we mnie z paletą emocji na twarzy.

Po mojej wyprowadzce to z nim najdłużej utrzymywałam kontakt, chociaż ostatni raz rozmawialiśmy w maju. Po czterech latach widziałam go pierwszy raz na żywo. Mój kochany Chris, który jeździł srebrnym jaguarem, słuchał NSYNC i jadł brokuly z sosem czekoladowym. Tyle że po tamtym Chrisie z liceum nie został nawet ślad. Teraz siedział przede mną młody mężczyzna w oranżowym garniturze i białym golfie. Nie zobaczyłam w nim tego chłopca, który nigdy nie przychodził na pierwszą lekcję. *Bo tego chłopca już nie było.*

Miejsce obok niego zajmował nie kto inny jak Luke Mitchell, którego wszyscy od zawsze nazywaliśmy Parkerem, chociaż nie wiedziałam dlaczego. W przeszłości chłopak mojej najlepszej przyjaciółki. Z niezrozumiałych powodów poczułam nadzieję, że chociaż to się nie zmieniło. On również patrzył to na mnie, to na Theo, a jego czekoladowo-złote tęczyówki się iskrzyły.

Nie słyszałam niczego prócz piszczenia w uszach. Wydawało mi się, że stałam tam przez wiele godzin, ale podświadomość podpowiadała mi, że minęły zaledwie sekundy, odkąd przekroczyłam próg tego cholernego pokoju. Powinnam była uciec jak tchórz i nigdy nie wracać. Minęło tyle miesięcy, tyle dni i w końcu spotkaliśmy się w przypadkowy czwartek cztery lata później.

Pomyślałam, że już nie może być gorzej, ale wtedy poczułam na swoim ciele to spojrzenie. Spojrzenie, które lata wcześniej mnie zniewoliło.

On również tam był.

Pozbawiona sił popatrzyłam na wysokiego chłopaka, który stał pod ścianą. Znów widziałam obraz, który tak często nawiedzał mnie w snach. Obraz, który wyrył się w mojej pamięci jak pierwsza modlitwa. Obraz człowieka, który dawno temu był moją perfekcją.

Przed czterema laty był moim *wszystkim* w każdym tego słowa znaczeniu. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek zobaczę go na jawie. Nawiedzał mnie w snach, może już nie tak często jak kiedyś, ale były noce, gdy wydawało mi się, że leży obok mnie. Widziałam osobę, która przed kilkoma laty sprawiła, że poznałam definicję słowa „życie”. Osobę,

która była najlepszym i najgorszym, która była bielą i czernią, cudownym i okropnym wspomnieniem.

Widziałam Nathaniela Gabriela Sheya.

Minęły cztery lata, a on wciąż był taki sam. Jak kiedyś ubrany w czarne jeansy, białe buty Nike oraz czarną luźną koszulkę z rękawami do łokci. *Jego ulubiony krój.* Wydał mi się jakby wyższy i większy, miał szersze ramiona. Na szyi wciąż nosił srebrny łańcuszek z krzyżykiem.

Nathaniel Gabriel Shey. Wyglądał tak jak w moich snach, te same ostre rysy twarzy i kości policzkowe, które mogłyby przecinać papier. Ten sam prosty nos, po którym tak często przesuwalam opuszkami palców. Te niezbyt pełne, ale niesamowicie kształtne wargi, których smakowałam jako nastolatka. Były takie miękkie. Kiedyś uważałam, że stworzono je właśnie dla moich ust. *Kiedyś.* Te same włosy w odcieniu bardzo ciemnego brązu, które w swoim nieładzie prezentowały się jak najbardziej uporządkowana rzecz na świecie. Paradoks. Tym był, składał się ze sprzeczności.

Moje serce uderzyło mocniej, a potem się zatrzymało, bo nasze spojrzenia się spotkały. Wspomnienia wróciły.

Musiałam jeszcze raz go dotknąć. Ostatni raz posmakować tych ust. Może to było egoistyczne, ale potrzebowałam tego. Jak ostatniego oddechu. Nate chwilę nad czymś myślał, po czym z poważną miną zaczął iść w moją stronę. Nie oddychałam i nie ruszałam się. Potrafiłam jedynie na niego patrzeć, a moje serce uderzało coraz głośniej z każdym jego kolejnym krokiem. W końcu zatrzymał się tuż przede mną, a znajomy zapach wypełnił mnie całą. Jego woda kolońska, guma miętowa i dym papierosowy. Zapach pasujący tylko do niego. Do mojego Nate'a. Z wyczekiwaniem patrzyłam mu w oczy, czując coraz większy ucisk w żołądku, a on badał wzrokiem moją twarz, ale z jego spojrzenia nie dało się nic wyczytać. Jak zwykle. Tylko patrzył. Skanował mnie. Każdy cal.

A potem nagle nachylił się do mnie. Przymknęłam powieki, bo nie byłam w stanie sobie z tym poradzić. Tak bardzo go uwielbiałam. Tak mocno, że to aż bolało. I nie tylko fizycznie. Palilo mnie od środka. Bolały mnie wszystkie kości i mięśnie. Ten ból odcinał mi dopływ tlenu. Bogowie, był wszystkim.

I kiedy myślałam, że zaraz znów posmakuję tych warg, poczułam delikatne muśnięcie jego ust na swoim czole. Zadrżałam. To było jak dotyk skrzydełek motyla. Delikatne, czule i jedyne w swoim rodzaju. Jego wargi spoczęły w tym

miejscu na kilka sekund, które dla mnie mogłyby trwać już zawsze. Poczułam lzy wypływające mi spod przymkniętych powiek.

Panie, jeśli istniejeś, dopomóż.

Później był już tylko chłód. Odsunął się, a ja już nie czułam jego dotyku. Nie czułam tego ciepła i zapachu. Nie czułam Nathaniela Gabriela Sheya. Jak przez mgłę słyszałam jego kroki, a kiedy jakoś zdołałam otworzyć zapłakane oczy, ujrzałam go w drzwiach prowadzących do wyjścia z kuchni. Ostatni raz skrzyżowaliśmy spojrzenia, kiedy ze swoim typowym wyrazem twarzy uniósł kącik ust. Wiedziałam, że to był ostatni raz, gdy go widzę.

— Cześć, Clark.

Wtedy odszedł.

Te cholerne czarne oczy. Kiedyś zrobiłabym wszystko, byleby tylko spojrzały na mnie z tymi iskrami, które tak uwielbiałam. Ani przed nim, ani po nim... nigdy nie spotkałam osoby mającej chociaż w połowie tak niesamowite oczy. Czarne, lśniące i puste, a jednocześnie z głębią, która pochłaniała. Tak jak w przypadku Mii, jego oczy odzwierciedlały jego charakter. On nie prosił o zgodę, wystarczyło w nie spojrzeć i było się po drugiej stronie. Potem już tylko się tonęło. Bez próśb o ratunek, ale przegrana nigdy nie smakowała tak dobrze. Bo tak naprawdę nie pragnęło się wygrać.

Dla niego ludzie chcieli przegrywać.

Zamrugałam, wrywając się z transu. Staliśmy bez słowa, jakby ktoś przyspawał nas do ziemi. Patrzył mi prosto w oczy, a ja... nie potrafiłam odwrócić wzroku. Jego lekko wystające jabłko Adama zadrżało, gdy przełknął ślinę.

Spojrzałam na niego uważniej i wtedy dostrzegłam to, czego nie zauważałam na pierwszy rzut oka. To, jak się zmienił. Kiedy wyjechałam, miał dwadzieścia jeden lat i było w nim więcej chłopca. Teraz był... inny. *Doroślejszy*. Choć dawniej wydawało mi się, że jego rysy nie mogą wyostrzyć się bardziej, myliłam się. Linia jego szczęki teraz była ostra jak brzytwa, a na policzkach nie miał śladu zarostu. Pamiętałam, jak bardzo go nie cierpiał, golił się codziennie. To najwyraźniej mu pozostało. Przez to, jak wyrósł i zmężniał, wyglądał jeszcze bardziej idealnie niż przed czterema laty. Był *niesamowity*.

Ale mimo tych subtelnych zmian na jego twarzy wciąż malowało się to samo. Powaga i chłód, którymi przerażał, znajoma kpina, wrogość i cynizm. W jego oczach widziałam zdziwienie, ale prócz tego nie było

tam nic więcej. Żadnych iskierek, ani krzty emocji. Jego oczy były czarne, matowe i chłodne, a ich spojrzenie mnie bolało, ponieważ...

Ponieważ patrzył na mnie tak, jakby to wszystko, co w przeszłości wydarzyło się między nami, nigdy nie zaszło.

I najgorsze w tym wszystkim było to, że ja obserwowałam go takim samym wzrokiem.

Staliśmy w tym przeklętym pomieszczeniu z minami wyrażającymi martwe nic. Obrzucając się spojrzeniami, które były obojętne, chociaż kiedyś nasze oczy przy sobie krzyczały. Jakbyśmy byli dwojgiem obcych sobie osób.

Dokładnie pamiętałam moment, kiedy zobaczyliśmy się pierwszy raz po półrocznej przerwie na mojej imprezie urodzinowej w domu Chrisa. Po tym, jak kilka miesięcy wcześniej wybrał walkę zamiast mnie. Wtedy mimo niechęci był między nami żar, a w każdym spojrzeniu czuć było napięcie. Teraz nie było niczego, ponieważ minęły cztery lata. Ogień wygasł, spaliły się w nim uczucia, został tylko popiół. W końcu nic nie mogło trwać wiecznie.

Został tylko popiół.

— W takim razie możemy zaczynać.

Po tych słowach poczułam, jakby świat ponownie wrócił na swoje miejsce. Wszystko zaczęło robić się coraz bardziej wyraźne. *Tylko kto to powiedział?* Zamrugałam powiekami i zwilżyłam suche oczy, przerywając kontakt wzrokowy z Nathanielem. Odwróciłam głowę, choć wciąż czułam jego spojrzenie na swoim ciele.

Popatrzyłam na nieznanomego mężczyznę, który stał przy wejściu do pokoju. Z szerokim uśmiechem wyminął mnie i mojego brata, a następnie zatrzymał się w odległości kilku stóp od nas. Stał wśród nas i z zainteresowaniem nam się przyglądał.

Mężczyzna miał około sześćdziesięciu lat, a może i więcej, trudno było ocenić. Miał na sobie czarny, idealnie skrojony garnitur i wypastowane lakierki. Na lewym nadgarstku nosił zegarek ze skórzanym paskiem. Jego kwadratową twarz pokrywały zmarszczki, a zaczesane do tyłu włosy błyszczały siwizną.

Po minach reszty wywnioskowałam, że również go nie znają. Wszyscy w pokoju patrzyli na mężczyznę i coś podpowiadało mi, że nikt z nas nie miał pojęcia, o co w tym chodzi.

Nieznajomy westchnął, a następnie cicho się zaśmiał, nie ukrywając swojej radości. Sekundę później do pokoju weszło czterech innych dobrze zbudowanych mężczyzn ubranych na czarno, którzy stanęli w kątach, łypiąc na nas groźnie. Zmarszczyłam brwi, czując się coraz bardziej zdezorientowana. Na koniec do pomieszczenia wszedł kolejny facet w ładnym granatowym garniturze. Był młodszy od pierwszego nieznajomego i trzymał neseser. Skierował się do długiego mahoniowego stołu obok kominka.

Mężczyzna w czarnym garniturze nagle obrócił się ku mnie. Nawiązałyśmy kontakt wzrokowy, a zadowolenie, jakie dostrzegłam w jego oczach, naprawdę mnie przeraziło. Wydawał się dziwnie podekscytowany, jakby mój widok wprowadził go w stan ekstazy. Nie miałam pojęcia, kim jest, ale on wyglądał, jakby znał mnie doskonale, a to potęgowało mój strach.

Nieznajomy położył dłoń na piersi i pochylił się lekko w moją stronę. Złoty sygnet błysnął na jego palcu serdecznym.

Nie zareagowałam.

— Miło mi, że zdecydowała się pani nas odwiedzić, panno Clark — odezwał się. — Przez długi czas oczekiwałem tej wizyty. Oczywiście tak samo czekałem na spotkanie z każdym z was — dodał, a następnie odwrócił się w stronę reszty. Zaraz później jednak znów zwrócił się do mnie, wciąż nie przestając się uśmiechać. — Jednak to pani odwiedziny sprawiły mi największą radość. Nie sądziłem, że zgodzi się pani zaszczyścić mnie swoją obecnością.

Nic nie rozumiejąc, wpatrywałam się w jego szare oczy. Złość wywołana dezorientacją znów zapłonęła w moim wnętrzu. Chociaż serce waliło mi jak młotem, hardo uniosłam głowę i posłałam obcemu mężczyźnie chłodne spojrzenie. Naprawdę wiele kosztowało mnie zachowanie obojętności.

— Przyjechałam na odczytanie testamentu — powiedziałam, a mój ostry ton musiał być wystarczająco wymowny, ponieważ uśmiech mężczyzny stał się bardziej wymuszony.

Jego cienkie usta zacisnęły się, gdy splótł dłonie za plecami.

Nie spozjrzałam na nikogo z obecnych i chyba tylko to pozwoliło mi zachować trzeźwość umysłu. Nieznajomy powoli podszedł do jednego z okrągłych stoliczków, na którym palił się kolejny złoty kandelabr. Jedna świeczka zgasła, więc wyciągnął paczkę zapalek z szuflady i ponownie ją zapalił.

Nie wierzyłam w to, co się działo. Ta sytuacja była irracjonalna. To nie miało prawa się dziać, los tak nie działał, nie na taką skalę. To nie był pieprzony film, tylko życie.

Chyba że los miał pomocnika.

— Gdzie testament? — zapytałam jeszcze ostrzejszym tonem, mrużąc powieki. Moje oczy niczym sztylety wbijały się w plecy mężczyzny.

Nie odpowiedział od razu, bo był zajęty obserwowaniem zapalanej świeczki.

Atmosfera gęstniała z każdą sekundą i wydawało mi się, że wszyscy zaczęliśmy ciężko oddychać. Mężczyzna westchnął, aż w końcu znów skrzyżował ze mną spojrzenie. Już nie tak empatyczne jak wcześniej.

— Wybacz, Victorio, ale musiałem jakoś was tu sprowadzić.

To zdanie wystarczyło, aby wszystko wokół mnie znów zawirowało. Wpatrywałam się z niewzruszoną miną w człowieka, którego imienia i nazwiska nawet nie znałam. Przecież dzwonił do nas prawnik z Culver City, który posiadał tyle dokumentów i podpisy mojego ojca. To nie mogło... ten testament musiał istnieć!

— Widzisz, Federico Gueva, który do was zadzwonił i poinformował o rzekomym testamencie, naprawdę był prawnikiem waszego ojca — zaczął. — Sporządził testament Alexandra Rodrigueza jeszcze przed jego śmiercią. Testament, którego treść poznaliście cztery lata temu. Zajmował się również jego innymi sprawami, co oznacza, że miał wiele dokumentów i podpisów.

Nie, nie, nie.

— Ale Federico Gueva jednocześnie od lat pracuje dla mnie.

Przymknęłam powieki, kręcąc głową.

— Poleciłem mu, by zadzwonił do was i poprosił o to, żebyście przyjechali do Culver City. Druga część testamentu waszego ojca...

— Nie istnieje — dokończył mój brat. Jego głos był wyprany z emocji.

— Tak — odrzekł mężczyzna. — Gueva sporządził kilka dokumentów z podpisami waszego ojca, aby uwiarygodnić tę sprawę. Nie było to problemem, Alexander, jak już mówiłem, był jego długoletnim klientem.

Spojrzałam na Chrisa, który podniósł się ze swojego miejsca. Na jego twarzy malowało się niezrozumienie. Wpatrywał się we mnie tak, jakby chciał, abym wszystko mu wyjaśniła. Poczułam nieprzyjemny ucisk

w żołądku, więc z obojętną miną odwróciłam wzrok. Znów patrzyłam na nieznanego.

Nie wierzyłam, że złamałam swoją żelazną zasadę po nic.

Ze złością zacisnęłam zęby, bo wrzało we mnie, ale nie chciałam tego pokazywać. Z każdą sekundą ciśnienie mi rośnie, ale musiałam zachować trzeźwość umysłu. Chciałam się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, a następnie uciec jak najdalej.

A może niewiedza była lepszym rozwiązaniem? Z perspektywy czasu — prawdopodobnie tak.

— Po co to wszystko? — zapytałam. — Po co to zrobiłeś?

— Tak jak mówiłem — westchnął. — Musiałem was jakoś tutaj ściągnąć.

Nikt o zdrowych zmysłach nie wymyśliłby takiej intrygi, aby ściągnąć dwie osoby do Kalifornii. Igrał z naszymi uczuciami jak psychopata. Bezwiednie spozierałam na swoich byłych przyjaciół.

— Ściągnąłeś tu nas wszystkich. — Po pokoju rozniósł się poważny męski głos.

Zaschło mi w gardle. Skupiłam się na Cameronie, który z dłonią w kieszeni płaszcza patrzył na mężczyznę. Gołym okiem było widać, że jest zły, choć starał się to ukryć.

Nim zdołałam pomyśleć, zerknęłam na Nathaniela. Wbił zimny wzrok w Camerona, który nie obdarzył go ani jednym spojrzeniem. Dotarło do mnie, że to, co powiedziała nam Ashley, było prawdą. Nathaniel patrzył na swojego byłego przyjaciela tak, jak patrzył na mnie na początku naszej relacji.

Nate wyczuł mój wzrok. Nasze spojrzenia zderzyły się jak dwa bataliony. W głowie usłyszałam huk. Kiedyś takie zderzenie wywołałoby lawinę motylków w moim brzuchu, ale wtedy nie poczułam nic. Dosłownie nic. Z beznamiętną miną przez kilka sekund obserwowałam chłopaka, który wydawał się znudzony.

Potem znów popatrzyłam na Camerona, a ten zacisnął szczękę. Nie miałam już siły na bycie cierpliwą, bo tak bardzo chciałam stamtąd wyjść.

— Tak, Cameronie — odparł obcy mężczyzna, kiwając głową. — Zrobiłem to.

Wilson był na skraju wybuchu, co nieco mnie zdziwiło, bo on zawsze był tym opanowanym i cierpliwym. Od reszty odróżniało go to, że dla niego argument słowa przeważał nad argumentem siły.

— Poczekaj — odezwał się nagle Scott, którego głos brzmiał jak dawniej. Uniósł dłoń, jakby starał się przetworzyć to, co usłyszał. — Czyli nas też ściągnąłeś tutaj podstępem? Nie ma żadnych nowych dowodów odnośnie do wypadku Laury sprzed czterech lat?

Wtedy zdałam sobie sprawę, że wszyscy byliśmy w tej samej sytuacji. Wszystkich nas oszukano.

Zszokowana patrzyłam to na Scotta, to na Laurę. Nawet nie chciałam wiedzieć, co jeszcze wymyślił, aby inni również przyjechali.

Parker jak zelektryzowany uniósł się z miejsca, nie kryjąc złości. Gdy obserwowałam, jak nasze emocje wymykają się spod kontroli, dotarło do mnie, że los nie miał nic wspólnego z naszym cholernym spotkaniem po latach. Los nigdy by nam tego nie zrobił. Zrobił nam to człowiek, którego nawet nie znaliśmy.

Pozostawało jedno pytanie. Po co?

— Kim ty w ogóle jesteś? — Ostre warknięcie Luke'a wywołało ciarki na moich plecach.

Mitchell nigdy nie był oazą spokoju, a w tamtym momencie po prostu buzował. Byłam pewna, że gdyby nie dłoń Mii, która zacisnęła się na jego ramieniu, chłopak ruszyłby w stronę mężczyzny. Roberts lekko przyciągnęła go do siebie. Luke zacisnął szczękę, ale posłusznie ustąpił i zrobił krok w tył.

Mężczyzna w czarnym garniturze zaczął mnie irytować. Irytowała mnie jego nonszalancja i to, że był zupełnie nieprzejęty, a nawet bawiła go ta cała sytuacja. Zrobiło mi się niedobrze.

— Och, tak. Wybaczcie mi — powiedział z udawaną skruchą. — Powinienem być zacząć od samego początku. Nazywam się Vincent Bartholomé Foix i niezmiernie się cieszę, że po dwóch miesiącach zmagania zdołałem was znaleźć i sprowadzić do miejsca, w którym się właśnie znajdujemy.

Los nie miał pomocnika. Los miał wroga.

— Ważniejsze pytanie — wtrąciłam się, nawiązując kontakt wzrokowy z mężczyzną, w którego oczach dostrzegłam fascynację. — Po co to zrobiłeś?

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to właśnie to pytanie wywoła chaos. Czy gdybym wiedziała, zadalałabym je?

Vincent uśmiechnął się serdecznie, niemal błogo, a następnie uniósł dłoń i zatoczył nią okrąg w powietrzu.

— Bo tylko ja mogę dać wam odpowiedzi na pytania, których jeszcze nawet sobie nie zadaliście — odparł znacznie ciszej.

Wydawało mi się, że chciał grać z nami w grę, której zasady znał tylko on i w którą nie chciał grać nikt inny. *Gra w chaos.*

— Ale które w końcu sobie zadacie — dodał, a jego słowa zawisły w powietrzu jak chmura dymu papierosowego na siarczystym mrozie.

Chaos.

— Bawisz się w Boga? — włączył się do rozmowy mój brat.

Mimowolnie zerknęłam na Jasmine, której niebieskie oczy ciągle obserwowały Theo. W tamtej chwili cholernie jej współczułam, bo wyglądała tak, jakby chciała uciec. Musiała poczuć, że na nią patrzę, bo jej wzrok z mojego brata przeniósł się na mnie. Jej elektryzujące spojrzenie wywołało dreszcz, który przebiegł wzdłuż mojego kręgosłupa, więc szybko przekręciłam głowę.

— Oczywiście, że nie — odparł mężczyzna. — Takie zabawy zwykle źle się kończą, a ja wolę dmuchać na zimne.

— W takim razie skąd wiesz, jakie pytania sobie zadamy? — parsknął prześmiewczo Theo.

— Och, one już zostały zadane. Wiele lat temu. — Mężczyzna wzruszył ramionami. — Tylko wy jeszcze ich sobie nie zadaliście.

Westchnęłam ciężko, bo niewiedza mnie drażniła. Wszystko wewnątrz mnie krzyczało i miałam coraz większe trudności z poskrośnięciem emocji. Wydawało mi się, że ten pokój żyje własnym życiem. Prawie czułam, jak przyklejam się do podłogi, która nie pozwalała mi ruszyć się chociażby o krok, jak przestrzeń kurczy się, jak tracę dostęp do świeżego powietrza i zdolność racjonalnego myślenia.

Gdybym była mądra, wyszłabym stamtąd od razu.

— Zastanawia mnie, czemu nikt z was nie zadał jeszcze najważniejszego pytania — dokończył, nadal się uśmiechając, a mnie od tego uśmiechu zaczynało mdlić.

— Czego chcesz w zamian za odpowiedzi?

To było jak porażenie. Poczułam paraliż w każdej komórce i ból każdego nerwu. *Ten głos*. Ten, którego nie dane mi było słuchać od czterech lat, a który kiedyś był moim ulubionym. Ten, który pomagał mi usnąć, pozwalał śmiać się, płakać, ten, o który błagałam. Był taki, jak go zapamiętałam, głęboki i cierpki. Z tą znajomą chrypką, od której każdy włoszek jeżył się na mojej skórze. Może był nieco bardziej burkliwy, ale miał w sobie dawną szczerłość. Jego głos zawsze był szczerzy. Wtedy, gdy się śmiał, nawet sarkastycznie. Wtedy, kiedy z jego ust padały przekleństwa. Wtedy, gdy nie miał humoru i był wściekły. Wtedy, gdy w swojej sypialni mówił do mnie te wszystkie rzeczy.

Był jak jego oczy. Ciężki, głęboki i porywający. Nie ukrywał, ile Nathaniel przepił, przepalił i wyrzucił z siebie przekleństw.

Wszyscy popatrzyliśmy na Sheya, ale on jak zwykle nic sobie z tego nie zrobił. Wciąż lekko znudzonym wzrokiem obserwował Vincenta, który po jego słowach uśmiechnął się jeszcze szerzej, ukazując śnieżnobiałe zęby.

— Nathaniel Shey — mruknął Foix, a ja znów w środku się skuliłam. Nie chciałam tego słyszeć. *Nigdy więcej*.

— Dlaczego nie dziwi mnie to, że akurat ty się odezwałeś?

Nathaniel uniósł brwi, spoglądając z góry na mężczyznę. *Zawsze wyżej od innych*.

— Jeśli naprawdę spędziłeś dwa miesiące, aby nas tu ściągnąć... — szepnęła Laura, której mina wyrażała to, jak zawzięcie o czymś myślała. — Zrobiłeś to po coś. Bo czegoś od nas chcesz.

— Intelkt jak zawsze niezawodny, panno Moore — powiedział z uznaniem Vincent, lekko ukloniwszy się w jej stronę na znak uznania. — Cóż, w pewnym sensie ma pani rację.

— Skąd ty nas w ogóle znasz? — zapytał w końcu Chris. Nerwowym ruchem odgarnął niesforny lok z czoła. — Nie przypominam sobie, abyśmy kiedykolwiek się spotkali.

— Bo się nie spotkalіśmy — odpowiedział wprost mężczyzna. — Sam dowiedziałem się o waszym istnieniu dwa miesiące temu.

— I postanowiłeś poznać nas osobiście? — zakpił Cameron, którego złość nie opuściła ani na chwilę. Założył ręce na piersi, unosząc hardo głowę.

— Postanowiłem złożyć wam ofertę — oznajmił Vincent. — Nie do odrzucenia. Poza tym lubię poznawać nowych ludzi.

— Jaką, do cholery, ofertę?! — wzburzył się Scott.

— Przysługa za odpowiedź na pytania — odparł, na co Wilson głośno westchnął, unosząc ręce w geście poddania się.

— Mam dość tego cyrku — warknął. — Bawcie się w to beze mnie.

Chłopak ruszył w naszą stronę. Każdy z nas go obserwował, kiedy z zaciętą miną mijal Vincenta, który nadal nie stracił pogodnego uśmiechu. Cameron był już przy drzwiach, gdy nagle mężczyzna znów się odezwał:

— Skoro jesteś taki zdenerwowany i zamierzasz stąd wyjść, to pewnie informacja, gdzie aktualnie znajduje się twoja siostra, jest ci niepotrzebna.

Po tych słowach Cameron się zatrzymał. Jego klatka piersiowa powoli unosiła się i opadała, a gdy tak stał, przypominał posąg. W całym pokoju zapanowała idealna cisza. Spojrzałam ze zdziwieniem na Vincenta, który nie tracąc pogodnego nastawienia, uśmiechał się w stronę Wilsona. Przeraziło mnie to, co powiedział. Wiedział o Darcy więcej niż jej brat, a przynajmniej tak wywnioskowałam po reakcji Camerona. Co jeszcze wiedział? I skąd?

W końcu ciszę przerwał sam Wilson. Odetchnął i spojrzał na Vincenta.

— Darcy mnie nie obchodzi — powiedział, a jego głos wyrażał spokój i pogodzenie. — Nie obchodzi mnie, co się z nią dzieje ani gdzie jest. I tak jest już od paru ładnych lat, Vincencie. Masz rację, nie baw się w Boga, bo ci to nie wychodzi — prawie wypluł z siebie imię mężczyzny.

Foix unióśł brwi z uznaniem i mimo wszystko dalej się uśmiechał. Nie miał zamiaru odpuścić.

— Ale mnie nie chodzi o Darcy, Cameronie.

Wilson znów zastygł, dokładnie tak samo jak ja. Cameron miał jeszcze jedną siostrę? Och, to naprawdę było niespodziewane, nikt nigdy mi tego nie powiedział. Popatrzyłam na swoich dawnych przyjaciół i jakież było moje zdziwienie, kiedy zauważyłam na ich twarzach szok nie mniejszy od mojego. Mimowolnie zerknęłam na Nathaniela. Byłam pewna, że on wiedział, przecież byli tak blisko. Shey jednak zmarszczył równe brwi i przez sekundę widziałam, że jest zdezorientowany, choć szybko zamaskował to obojętnością.

Nie rozumiałam, jakim cudem nie wiedzieli. W końcu znali się już wtedy, kiedy Wilson z Darcy i rodzicami mieszkał w Culver City.

Cameron i Vincent nie odwrócili od siebie wzroku nawet na sekundę. Chłopak przełknął ciężko ślinę, kręcąc głową z niedowierzaniem i lekkim przerażeniem. *Z przerażeniem.*

— Skąd ty... — wychrypiął słabo.

— Cóż. — Mężczyzna wzruszył ramionami. — Powiedzmy, że nie jestem w tej zabawie w Boga taki zły. Więc teraz wróć na miejsce i pozwól mi dokończyć.

Spodziewałam się wszystkiego, ale nie tego, że po siedmiu sekundach nieprzerwanego kontaktu wzrokowego Wilson bez słowa sprzeciwu odwróci się, a następnie wróci na swoje miejsce w znacznej odległości od reszty.

Vincent z uśmiechem klasnął w dłonie.

— Kontynuując — zaczął ponownie — chciałbym złożyć wam ofertę. Dla każdego w tym pokoju będzie ona niebywale atrakcyjna. Ja wam dam odpowiedzi na pewne pytania... bądź przydatne wskazówki, a wy w zamian zrobicie coś dla mnie.

— Co? — zapytałam wprost.

Musiałam być spokojna i rzeczowa. Tylko tak mogłam opanować chaos w głowie i szybciej to skończyć.

— Zdobędziecie coś dla mnie — mruknął, robiąc kilka kroków po pokoju. Nie patrzył na nikogo, jakby nagle się zamyślił. Obrzucił wzrokiem regały z książkami. — Coś, co jest dla mnie ważne.

— Dlaczego my? — zapytał Matt.

— Ponieważ przez swoją historię i powiązania z pewnymi ludźmi macie idealne predyspozycje, aby to zrobić — odparł, wkładając dłoń do kieszeni spodni.

— Stoimy w pomieszczeniu, które jest warte jakiś milion dolarów z hakiem — rzuciłam niedbale. — Obstawiam więc, że nie należysz do biednych osób.

— Być może nie należę. — Uśmiechnął się, a jego oczy znów zaśniły.

— Więc po co się trudziłeś, aby nas tu ściągnąć, skoro za odpowiednią cenę *tę ważną rzecz* mogłoby dla ciebie zdobyć wielu ludzi?

To nie miało sensu.

Jak nic, co działo się tu już od dobrych kilkudziesięciu minut.

— Teraz czuję się urażony, Victorio — powiedział z teatralnym oburzeniem, kładąc dłoń na klatce piersiowej. — Myślisz, że tego nie próbowałem?

— Cóż, właśnie się dowiedziałam, że testament mojego ojca, przez który tu przyjechałam, nie istnieje. Stoję w pomieszczeniu z ludźmi, których nie widziałam przez cztery lata, bo ty sobie tak wymyśliłeś. Wybacz, że nie potrafię zrozumieć tego, co siedzi w twojej, za przeproszeniem, popierdolonej głowie.

A czasami, no nie wiem, Victoria... można się po prostu zamknąć?

Po moich słowach nastąpiła cisza. Czułam na sobie spojrzenia reszty. Może ich zaskoczyłam, ale przypuszczałam, że oni uważali tak samo. Wszyscy zostaliśmy oszukani, nawet ten cholerny czarnooki brunet, który w tamtym momencie też na mnie patrzył, a jego trudno było oszukać.

Vincent spojrział na mnie z uznaniem i pochylił się w moją stronę.

— Kłaniam się nisko — mruknął, unosząc kącik ust. — Nie mogę powiedzieć, że nie masz racji, bo jest w tym trochę prawdy. Uwierz, Victoria. Za to, ile wydałem, aby zdobyć moją *ważną rzecz*, mógłbym urządzić dziesięć takich pomieszczeń. — Zrobił zamaszty ruch ręką. — A mimo to właśnie stoję tu z wami i nadal jej nie mam. Czy to nie jest wymowne?

— I niby my mamy ją zdobyć? — Mój ton ociekał kpina.

W tamtym momencie, mimo absurdu tej sytuacji, naprawdę mnie rozbawił.

Facet wydawał się podejrzany. Byłam pewna, że nie działał do końca legalnie. Nawet nie chciałam wiedzieć, czym się zajmuje. Tacy jak on za pieniądze mogli kupić wielu ludzi, którzy odwaliliby brudną robotę za nich, a Vincent Foix mimo wszystko nagimnastykował się, aby ściągnąć nas. NAS. To było dużo głupsze niż głupie.

Wtedy naprawdę zaczęłam się zastanawiać, czy on nie ma problemów z głową. Może mieliśmy do czynienia z osobą poważnie chorą?

— Co my tak właściwie mamy zdobyć? — zapytał zdezorientowany Scott.

— Raczej ukraść — wtrącił się Matt, na co Laura jęknęła, ukrywając twarz w dłoniach.

— Znów zapominacie o ważniejszym pytaniu — odparł tajemniczo mężczyzna.

— Od kogo mamy to zdobyć — odezwał się Nathaniel, a ja poczułam ochotę, by urwać komuś głowę. Najlepiej samej sobie.

Vincent znów się wyszczerzył, odwracając się w stronę nieprzejętego Sheya, który nawet na niego nie patrzył. Ze zbławozaną miną obser-

wował jakiś obraz na ścianie. Był tak bardzo niezainteresowany tym wszystkim, że zastanawiałam się, czemu nie wyszedł. Wyglądał, jakby znalazł się na spotkaniu spółdzielni mieszkaniowej, na którym omawia się wymianę okien w bloku.

— Otóż to. — Vincent pokiwał głową. — Otóż to, Nathanielu.

Mimo że powiedział to bezpośrednio do niego, Shey nie zaszczylił go ani jednym spojrzeniem. Dalej obserwował obraz. W tamtej chwili przypominał tego tajemniczego chłopaka, którego poznałam dawno temu w kwietniu, kiedy Luke zaoferował mi podwózkę do domu. Może z wyglądu się zmienił, może stał się dojrzały, ale w środku wciąż miał w sobie coś z tamtego zepsutego gówniarza.

Jak my wszyscy, Victorio.

— Więc od kogo? — zapytałam, aby jak najszybciej pozbyć się nieprzyjemnych myśli z głowy.

Po usłyszeniu odpowiedzi stwierdziłam, że mogłam jednak dalej myśleć. Nawet godzinami.

— Od Brooklyna White'a.

Te dwa słowa wystarczyły, abym popatrzyła na niego jak na przybysza z innego wymiaru. Scott jęknął, łapiąc się za głowę, a reszta zamarła. Prócz Nathaniela *oczywiście*, chociaż i on w końcu spojrzął na mężczyznę.

Nie wierzyłam, że Vincent naprawdę to powiedział. Brooklyn White. Nie słyszałam tego nazwiska bardzo długo i nie chciałam słyszeć już nigdy w życiu. Nienawidziłam tego człowieka, który przed pięcioma laty wykańczał mnie psychicznie swoim niezdrowym zainteresowaniem mną i Nathanielem. Prześladował mnie od naszego pierwszego spotkania. Zmusił Nathaniela do walki.

Walki, którą Shey wygrał. Dla mnie.

— Ty jesteś ostro popieprzony, stary — rzucił w końcu Donovan, a jego głos stał się o oktawę wyższy. — Wiesz, kim jest Brooklyn White?

— Wiem, że cztery lata temu zabrał mi coś, co należało do mnie, a następnie rozplynał się w powietrzu.

Ostre warknięcie mężczyzny sprawiło, że wyrwałam się z chwilowego letargu i popatrzyłam na niego. Nie uśmiechał się już życzliwie, a jego dotychczas wesołe spojrzenie stało się bardzo nieprzyjemne. Przelknęłam ślinę, zerkając na Matta, który cofnął się o krok przez ten nagły

wybuch. Już chyba nikt z nas nie miał złudzeń, że znaleźliśmy się w naprawdę popierdolonej sytuacji.

— A ja mam zamiar to odzyskać — dodał łagodniej Foix. Wyglądał, jakby sam skarcił się w myślach. — I chciałbym, abyście mi w tym pomogli.

— Niby jak? — zapytał Chris, wkładając ręce do kieszeni spodni. — Co my możemy w tej sprawie?

— W tej sprawie więcej niż wszyscy ludzie razem wzięci w tym zapomnianym przez Boga mieście.

Tego już było dla mnie za wiele.

— Okej, świetnie — powiedziałam w końcu. Uśmiechnęłam się cierpko i nawiązałam kontakt wzrokowy z mężczyzną. — Wiesz, rozumiem, że ta rzecz jest dla ciebie bardzo ważna i chcesz ją odzyskać, ale jeśli chodzi o mnie, to naprawdę źle trafiłeś.

— Nie wydaje mi się — odparł nieprzejęty.

— Nie mam już siedemnastu lat, aby znowu babrać się w tym gównie — warknęłam sucho, kręcąc głową. Nie potrafiłam spojrzeć na resztę, chociaż wiedziałam, że oni mnie obserwowali. — Nie jestem już taka głupia i nie dam sobie zniszczyć życia. Nie mam zamiaru brać w tym udziału, chociażbyś znał odpowiedź na każde moje pytanie.

— Victorio...

— Nie — przerwałam mu. — Skończyłam.

Bez ociągania się zmusiłam swoje odrętwiałe nogi do ruchu, co nie było proste, ale moja potrzeba opuszczenia tego pomieszczenia była ogromna. Nie wiedziałam, co chce zrobić mój brat, to była jednak jego decyzja. Mógł zostać i dać się w to wciągnąć albo pójść ze mną, wrócić do domu i zapomnieć. Naprawdę chciałam, aby wybrał drugą opcję, jak ja. Nie byłam już dzieciakiem, który nie potrafił dokonywać rozsądnych wyborów. Wcześniej miałam z tym problem, ale nie po tych wszystkich wydarzeniach. Zrobiłam krok w stronę drzwi.

— Wiesz, że wychodząc z tego pomieszczenia, tracisz szansę na jakąkolwiek informację o waszej matce?

Zastygłam w miejscu, pustym wzrokiem wpatrując się w drzwi. Trwałam w zawieszeniu przez jakiś czas, dopóki nie przetworzyłam jego słów. A kiedy to się stało, naszła mnie niebywała ochota, aby go uderzyć.

Odetchnęłam i dopiero wtedy zorientowałam się, że wstrzymywałam powietrze. Płuca mnie paliły, dokładnie tak jak paliła mnie skóra na dłoniach. Nie chciałam się odwracać, najchętniej bym stamtąd wyszła, trzaskając na odchodne drzwiami, ale wiedziałam, że to nie powstrzymałoby mężczyzny, który zaczął zatruwać nasze umysły i chciał zebrać plony w postaci naszej zgody na swój chory plan. Teraz już wiedziałam, jak musiał się czuć Cameron.

Ze śmiertelnie poważną miną odwróciłam się w końcu w stronę uśmiechniętego Vincenta. Nie chciałam pokazywać, ile złości obudził we mnie swoimi słowami, ile poczułam w sobie nienawiści do niego, do tego miasta i paradoksalnie do wszystkich jego mieszkańców.

Nie myślałam za wiele, kiedy powoli ruszyłam w kierunku mężczyzny. Ciszę przerywał jedynie stukot moich szpilek. Patrzyłam z pogardą prosto w jego oczy, ale mimo to Vincent ani na chwilę nie stracił pogody ducha. Bawił się nami, bo wydawało mu się, że wyprzedza nas o trzy kroki. Zatrzymałam się dwie stopy od niego.

Moje wysokie obcasy sprawiły, że byliśmy tego samego wzrostu. Nieprzyjemna woń piżma dotarła do moich nozdrzy.

— Nie jestem już naiwną dziewczynką, aby można było sterować mną jak marionetką. Nie jestem pionkiem w niczych rękach. Może jeszcze kilka lat temu to by przeszło — wycedziłam przez zęby. — Ale teraz nie przejdzie. Wiesz dlaczego?

— Dlaczego? — zapytał szczerze zaciekawiony.

— Bo nasza matka nie żyje — odparłam wprost, a lekkość, z jaką to powiedziałam, zaskoczyła mnie samą. — I teraz mam gdzieś to, co masz mi do powiedzenia na jej temat, bo prawda jest taka, że gównie wiesz. Nie chcę poznawać jej sekretów ani wydarzeń, które jej dotyczyły, a o których nie wiem. Bo jeśli nam o tym nie powiedziała, to znaczy, że nie chciała, abyśmy wiedzieli. Szanuję to i nie potrzebuję żadnych odpowiedzi. Chociażby był milion pytań do zadania.

Po moich słowach uśmiech spelzł z warg mężczyzny. Zadowolilo mnie to. Musiałam to zakończyć i wydawało mi się, że dosadnie pokazałam mu, że jeśli chodzi o mnie, temat jest zamknięty. Po kolejnych trzech sekundach postanowiłam się odwrócić i odejść. Ciągłe obserwowana ruszyłam w stronę drzwi, ale nie wyszłam, bo Vincent mi na to nie pozwolił.

— O czym ty mówisz? — zapytał ze zdziwieniem, na co parsknęłam kpiącym śmiechem.

Nie mogłam się powstrzymać.

— Boże, jeśli już nas wszystkich sprawdzasz, to rób to porządnie — zadrwiłam i zerknęłam na niego przez ramię. — Nasza matka nie żyje, a ja nie mam zamiaru grzebać w jej prywatnych sprawach.

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wyraz twarzy mężczyzny zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni. Wszystkie zmarszczki, które pojawiły się na jego niskim czole pod wpływem dezorientacji, nagle się wygładziły. Jego szare oczy znów zaiskrzyły i ponownie zobaczyłam w nich tę dziwną fascynację. Pokręcił z rozbawieniem głową, a ja poczułam frustrację. Nie potrafiłam go rozgryźć, ale było mi to niepotrzebne, bo przecież miałam zamiar wyjść i już nigdy go nie zobaczyć.

Przewróciłam oczami, ponownie odwracając wzrok, aby nie patrzeć na jego twarz. Ruszyłam do drzwi.

— Racja, Joseline Arabella Clark nie żyje od czterech lat — zaczął. — Po takim czasie żadna informacja nie byłaby już ciekawa.

Chaos.

— Ale po co miałbym dawać wam informacje o Joseline, skoro mogę dać wam te, które dotyczą waszej biologicznej matki?

Moja dłoń zatrzymała się na futrynie drzwi, przez które już prawie przechodziłam. Gdybym się nie przytrzymała, prawdopodobnie bym upadła. Poczułam się tak, jakby ktoś właśnie do mnie strzelił, a kula trafiła w sam środek mojej klatki piersiowej. Moje płuca się zbuntowały i nie chciały przyjąć żadnego wdechu.

Nie wierzyłam, że to usłyszałam. Nie mogłam pojąć, że ktokolwiek był w stanie zrobić coś takiego jak to, co ten człowiek robił mnie i Theo. Perfidne kłamstwo i wykorzystanie tragedii, jaką jest śmierć matki. Wszystko dlatego, że czegoś zapragnął. Tego było za wiele, ona opuściła nas ledwo cztery lata wcześniej. W moim ciele zapłonęła furia. Pragnęłam okładać go metalowym prętem aż do utraty tchu.

Mógł mówić o mnie, co chciał. Mógł uważać się za wszechwiedzącego, zadawać pytania i odpowiadać na te, na które odpowiedź znał jedynie ten mistyczny Bóg. Mógł nawet posiadać wszystkie informacje na mój temat, ale nie miał pierdolonego prawa mówić tak o mojej mamie i kłamać w ten sposób. *Nie na jej temat.*

Nagły hałas za mną sprawił, że bezwiednie spojrzałam przez ramię. Zobaczyłam, jak mój brat w trzech krokach podszedł do Vincenta i złapał go brutalnie za poły drogiej marynarki. Nie widziałam twarzy Theo, ale po spiętych mięśniach jego pleców mogłam wywnioskować, jak bardzo się wściekł. Z dużą siłą popchnął starszego mężczyznę na jeden z drewnianych filarów. Foix jęknął, gdy jego plecy uderzyły w twardą powierzchnię. Wiedziałam, że mój brat przestał się kontrolować, a jednocześnie nie potrafiłam go powstrzymać.

Obserwowałam tę scenę jakby zza grubej szyby, wszystko było rozmazane i głuche. Gdzieś w tle wychwytiłam krótki pisk Laury, a reszta zebranych podniosła się ze swoich miejsc, aby w każdej chwili móc interweniować.

Spojrzałam na Vincenta, na którego twarzy nie malowało się nawet zaskoczenie, o strachu nie wspominając. Wciąż się, kurwa, uśmiechał, chociaż mój brat chciał go zabić. Theo z kolei przypominał zwierzę gotowe do ataku. Nie tylko ja to zauważyłam, bo nie minęła sekunda, a odgłos odbezpieczanej broni rozniósł się echem po pomieszczeniu.

Zamarłam, kiedy przeniosłam wzrok na czterech rosyjskich mężczyzn rozstawionych w rogach pokoju, którzy weszli wcześniej i o których obecności zdążyłam już zapomnieć. Dalej stali na swoich miejscach i wszystko było dokładnie tak samo, z tą różnicą, że teraz każdy z nich trzymał w dłoni Glocka. Wszystkie cztery były wycelowane w mojego brata.

Rozchyliłam drżące wargi, wpatrując się to w Theo, który mimo że widział, co się właśnie dzieje, nadal nie puścił Vincenta, to w pistolety. Wydawało mi się, że szybkie bicie mojego serca słyszał każdy w pokoju. Nie mogłam pozwolić na to, by mojemu bratu spadł włos z głowy. *Theo, dlaczego go, do kurwy, nie puszczasz?!*

Wszyscy zastygliśmy w oczekiwaniu na rozwój sytuacji. Nasze nierówne i ciężkie oddechy mieszały się ze sobą.

Zrób coś.

— Theo — wyszeptalam łamiącym się głosem, wpatrując się błagalnie w jego twarz.

Vincent uniósł brew, spoglądając na chłopaka z niemym pytaniem „co masz zamiar zrobić?”. Theodor nie poruszył się ani o cal, wciąż przyciskał go do filaru.

— Theo, proszę cię — ponowiłam próbę, czując, że ledwo wydobywam z siebie głos.

Chyba tylko to sprawiło, że Theo ciężko przełknął ślinę, a następnie nieco poluźnił uścisk na marynarce Vincenta, by po chwili całkowicie ją puścić. Mężczyzna uśmiechnął się, kiedy mój brat uniósł palec wskazujący i wbił go w jego tors, z obrzydzeniem patrząc mu w oczy.

— Nigdy więcej nie wypowiesz ponownie tych słów, rozumiesz? — powiedział Theo głosem tak zimnym i przerażającym, że poczułam ciarki na plecach.

To był ten ton. Ton, który słyszałam tylko raz.

— *Jeśli jeszcze raz cię przy niej zobaczę, zabiję cię — gdzieś w tle rozległ się męski głos.*

Znałam go. Znałam? Wszystko było takie rozmyte i niewyraźne. Wręcz zabawne. Zachichotałam. Albo raczej zachichotałam w myślach. Tak? Moje pokryte brokatem powieki opadały ze znużenia. Chciałam pójść spać, ale nie mogłam się ruszyć. Byłam zbyt zmęczona. Nie czułam kończyn i materaca, na którym leżałam. Głowa wtapiała mi się w miękką poduszkę, a moje loki były wszędzie i laskotały mnie w nos. Śmierdziały alkoholem, dymem papierosowym i były wilgotne. Czyżbym tej nocy pływała w tym basenie? Och, być może. Posklejały się od szampana i płynnego brokatu, który iskrzył się pomiędzy ich czarnymi pasmami. Taki kolorowy! To było zabawne. Wszystko było zabawne, ale chciałam już pójść spać. Czy mogłam pójść spać? Tak. Było mi tak przyjemnie. Tak wygodnie.

— *Muszę cię zmartwić, ale chyba nie ty o tym decydujesz — odpowiedział z rozbawieniem drugi głos.*

O tak! Ten głos znałam na pewno. To był jego głos! Mój ulubiony!

— *Uwierz, teraz ja — odparł ten groźniejszy i bardziej przerażający. Ściągnęłam usta, chcąc prychnąć, ale wyszło mi z tego marne piśnięcie. Ten ktoś był bardzo, bardzo zły. — Wypierdalaj stąd.*

Brzydkie słowo!

— *Nie uratujesz kogoś, kto tego ratunku nie chce — znów mój ukochany głos. Chciałam, aby ze mną został. Tylko on wiedział, jak głupie i bezsensowne było to wszystko. — Ona już tonie. Nie uratujesz jej. Pozwól jej się utopić. Tylko tak zmniejszysz jej cierpienie.*

Potem nie odezwał się już nikt, a moje powieki, które i tak były zamknięte, ciążyły mi coraz bardziej. Powoli odlatywałam w swój ukochany spokojny

świat, w którym uczucie nicości było piękniejsze od każdej błyskotki, jaką miałam na swoim ciele. W świat nieświadomości. Ostatnie, co zarejestrowałam, to dotyk na moich plecach i czyjaś ręka pod moimi kolanami. Ktoś uniósł mnie z miękkiego łóżka, przyciskając do swojego torsu w opiekuńczym geście.

Była już tylko ciemność.

Zamrugalam, powracając do rzeczywistości. Chciałam jak najszybciej wyrzucić z głowy niechciane wspomnienie.

Mój wzrok znów padł na Theo i Vincenta, którzy nadal stali w tej samej pozycji. Niemal zachłysnęłam się powietrzem, które szybko wtłaczałam do płuc. Jak ja tego nienawidziłam. Dopiero po chwili zorientowałam się, jak mocno zaciskam dłonie w pięści. Zerknęłam na nie i wyprostowałam skostniałe palce. *Wszystko jest dobrze.*

Pokiwałam głową, chcąc przekonać samą siebie, a potem uniosłam ją i napotkałam czarne tęczówki. Znów zastygłam w bezruchu, kiedy zorientowałam się, że Shey patrzy prosto na mnie. Jego mina jak dawniej nie zdradzała absolutnie niczego, ale zmarszczone brwi mówiły mi, że nad czymś się zastanawia. Wydawało mi się, że stara się coś wyłapać. Znów pojawiło się we mnie to cholerne uczucie, że czyta w moich myślach. Zawsze tak patrzył, jakby każdy mój sekret nie był już sekretem.

Nie podobało mi się to, więc odchrząknęłam i uniosłam hardo głowę. Automatycznie przybrałam najbardziej obojętny wyraz twarzy, na jaki było mnie stać. Nie miałam siły, by myśleć jeszcze *o nim*.

Nie chciałam, by moje sekrety przestały być sekretami.

Odwrociłam wzrok w tym samym momencie, gdy Theo odsunął się od Vincenta. Patrzyłam na bladą, nadal zdenerwowaną twarz brata, kiedy ten zaczął iść w moim kierunku. Wpatrywał się w coś ponad moim ramieniem, nieprzejęty tym, że glocki dalej były wycelowane w jego głowę. Poczułam się lepiej dopiero wtedy, gdy stanął obok mnie. Musieliśmy stamtąd wyjść.

— Theodorze, nie spodziewałam się po tobie takiego braku ogłady — mruknął Vincent. Odszedł od filaru, poprawiając przy tym marynarkę, która nieco się pogniotła. Stanął na swoim poprzednim miejscu, kręcąc z niezadowolaniem głową. — Ale rozumiem. Emocje zrobiły swoje.

— Po prostu tak reaguję na pierdolenie głupot — odparł cierpko Theo.

— Ach tak. — Vincent skinął głową w odpowiedzi, a następnie uniósł dłoni.

Jak na zawołanie cztery Glocki zostały schowane, a ja odetchnęłam cicho. Pierwszy raz znalazłam się w takiej sytuacji, gdy ktoś do kogoś mierzył. Może byłam oswojona z bronią palną, bo mój ojciec pracował w policji i bywałam na strzelnicy, ale świadomość, że ktoś obcy i niebezpieczny był w stanie nacisnąć spust i skrzywdzić mojego brata, mnie zmroziła. Pierwszy raz mierzono do mojego Theo. Był najważniejszą osobą w moim życiu i myśl, że coś mogłoby mu się stać, sprawiła, że żółć podeszła mi do gardła. Na szczęście nic mu już nie groziło.

Cóż, groziło, ale przynajmniej nie zagrażały mu Glocki.

Wszyscy staliśmy w ciszy na swoich miejscach. Większość patrzyła na Vincenta, ale niebieskie oczy Jasmine były utkwione w moim bracie. Wpatrywała się w niego z dziwnym... niezrozumieniem.

— Pamiętaj, że przemoc to nie rozwiązanie. — Vincent zabrzmiał jak oburzony ojciec, a Theodor pokręcił głową, znów się denerwując.

— Theo — zaczęłam uspokajająco, na co mój brat prychnął, odwracając wzrok, ale posłusznie odpuścił.

Ja również byłam wściekła, że ten człowiek śmiał powiedzieć coś takiego, ale pozostałam na tyle przytomna, by rozumieć powagę sytuacji i to, że nadal znajdowaliśmy się w jego domu. Nie mogliśmy się tam na niego rzucić. Zwłaszcza że w pokoju stali mężczyźni z pistoletami, które w każdej chwili mogli w nas wycelować. Dlatego najrozsądniejszą opcją było wyjście z tego przeklętego budynku.

Vincent miał jednak co do nas inne plany. Zrozumiałam, że nie odpuści, kiedy skierował na mnie wzrok. *Sukinsyn.*

— Victorio, kiedy macie urodziny? — spytał nagle.

— Co? — odpowiedziałam głupio.

— Kiedy ty i Theo się urodziliście? — ponowił spokojnie pytanie, nie tracąc cierpliwości.

Za to ja szybko ją traciłam.

— Po co mam ci to mówić, skoro zapewne znasz nawet mój rozmiar buta?

W reakcji na moją odpowiedź mężczyzna zaśmiał się tubalnie, odchylając głowę i kładąc dłoń na klatce piersiowej. Potem uśmiechnął się i znów wrócił do mnie spojrzeniem. On nawet na złośliwości nie reagował tak, jak powinien.

— Powiedz to, Victorio — poprosił, ale tym razem jego głos był nieco bardziej stanowczy. — Chcę się upewnić.

Nie miałam pojęcia, dlaczego w ogóle podjęłam ten temat. Zastanawiałam się, do czego jeszcze mógłby się posunąć ten człowiek, aby dostać to, czego chciał. Domyślałam się, że zapewne do wielu rzeczy, ale nie miałam zamiaru w niczym mu pomagać.

To tylko ta popieprzona ciekawość.

— Dwunastego stycznia — odpowiedziałam cicho.

— A rok? — dopytał, co zirytowało mnie jeszcze bardziej.

— Dziewięćdziesiąty dziewiąty.

— W jakim mieście?

Przysięgam, że zaraz rozpierdolę ci twarz pogrzebaczem.

— W Culver City — warknęłam.

— Otóż to. — Skinął głową z zadowoleniem, a następnie się odwrócił.

Uważnie obserwowałam, jak powoli szedł do dużego stołu stojącego pod jedną ze ścian. Dopiero gdy tam dotarł, przypomniałam sobie o drugim facecie, który przyszedł wcześniej. Siedział spokojnie na jednym z krzeseł, a jego neseser leżał na blacie tuż przed nim. Minę miał raczej znudzoną, jakby to, co się działo, było dla niego codziennością. Vincent wyciągnął dłoń. Nie musiał nic mówić, ponieważ gość w granatowym garniturze wiedział, co ma robić. Wyjął cienką brązową teczkę i podał mu ją.

— Wiecie — zaczął Vincent — nie mogę wam powiedzieć, dlaczego wybrałem akurat was i jaką rzecz chcę odzyskać. Przynajmniej do momentu, gdy zgodzicie się ze mną współpracować. Muszę być ostrożny, ale kiedy już się zdecydujecie, wtedy wam powiem. Jednak... — zawahał się, wertując dokumenty — ...lubię być przygotowany i mieć asa w rękawie. Dlatego musiałem zebrać o was pewne informacje. I o waszych rodzinach.

— O, to może jako jedyny wiesz, gdzie jest teraz mój biologiczny ojciec, psychopato — zakpił Matt.

Najwyraźniej też zaczęło go to denerwować.

Vincent puścił ten komentarz mimo uszu.

— Moi ludzie zaczęli szukać i trafili na coś niesamowicie interesującego. — Po tych słowach otworzył teczkę, a następnie położył ją na małym stoliczku obok siebie. Już wtedy coś podpowiadało mi, że ten uśmiech, który mi posłał, zapamiętam do końca życia. — A mianowicie na to, że Joseline Arabella Clark dwunastego stycznia tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiątego dziewiątego roku była na spotkaniu z rektorem uczelni Colorado State University w Fort Collins w stanie Kolorado. Prawie tysiąc sto mil od Culver City.

Zamrugałam powoli, starając się przyswoić to, co właśnie powiedział, ale nie byłam w stanie. Mężczyzna stale na mnie patrzył, nie kryjąc uśmiechu. Ręce opadły mi wzdłuż ciała.

— Kłamiesz — tylko to udało mi się z siebie wydusić. Głos miałam obcy, jakby wcale nie był mój. Moje oczy zaszyły lekką mgiełką, kiedy wbijałam wzrok w Vincenta. — Dlaczego kłamiesz?

— Sama zobacz — mruknął, wskazując dłonią na otwartą teczkę.

Nawet się nie zawahałam, po prostu ruszyłam w tamtą stronę, nie spuszczając wzroku z teczki. Nie obchodziło mnie to, czy Theo idzie za mną, czy nie, nie interesował mnie nikt inny. Wszyscy w pokoju zniknęli z samym Vincentem na czele, bo ważne było dla mnie już tylko to, aby upewnić się, że skłamał. Nie starałam się zrozumieć jego słów, bo one były kłamstwem. Chciałam na własne oczy zobaczyć, że w tym ścierwie były same bzdury, by zaśmiać się Vincentowi w twarz.

Z perspektywy czasu miałam ochotę śmiać się z samej siebie, bo czego ja tak właściwie się spodziewałam, skoro to była jego teczka? On wiedział, co w niej jest, a gdybym ja to wiedziała, nigdy bym tam nie podeszła. Nigdy nie zbliżyłabym się do tego przekłętą stolika i nie spojrzełabym na ten pierdolony świstek, który był dla mnie wyrokiem śmierci.

Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

Zobaczyłam stary, nieco podniszczony dokument z jakiejś kroniki. Czerwona pieczętka publicznego uniwersytetu w stanie Kolorado umiejscowiona w rogu kartki nieco się rozmazała. W pierwszej rubryce widniała data: „12 stycznia 1999 roku”. Następnie miejscowość: „Fort Collins w stanie Kolorado”. Później opis wydarzenia: „Spotkanie studentów Loyola Marymount University z rektorem uczelni Colorado State University Michaeliem Connorem”.

Pod tym było zdjęcie. Zdjęcie przedstawiające moją matkę oraz kilku innych ludzi pod jakimś budynkiem. Od razu ją rozpoznałam, choć nie miała zbyt wielu zdjęć z młodości. W tamtym roku skończyła dokładnie dwadzieścia siedem lat i była taka śliczna. Fotografia miała swoje lata, ale doskonale widziałam piękną twarz mamy. Jej niebieskie tęczówki lśniły, a usta rozciągały się w najpiękniejszym uśmiechu, jaki

mógł dostać ten świat. Była taka młoda. Długie do pasa blond włosy opadały kaskadami na jej ramiona okryte niebieskim sweterkiem. *Moja mama. Taka słiczna.*

A potem przypomniało mi się, co się właśnie dzieje.

— Czy wygląda ci tu na osobę w dziewiątym miesiącu ciąży? — Niewyraźny głos dotarł do mnie jakby z dużej odległości. Był nieco zniekształcony i nie potrafiłam do końca wyłapać, czy ktoś naprawdę do mnie mówi, czy to mój wymysł. Umiałam tylko wpatrywać się w to przekłete zdjęcie. — Albo na kobietę, która właśnie urodziła?

Opuszkami palców dotykałam zdjęcia, aby upewnić się, że naprawdę tam jest. Chociaż chyba wolałabym, by okazało się marnym wytworem mojej popierdolonej głowy.

— Wymyśliłeś fałszywy testament, aby mnie tu ściągnąć — warknęłam cicho, nawet nie patrząc na Vincenta, którego zaczęłam szczerze nienawidzić. — Myślisz, że w to uwierzę?

Chcę do domu. Chcę do mamy.

— Możesz zadzwonić do tego uniwersytetu w Kolorado — powiedział spokojnie, a jego głos zaczął burzyć bezpieczne mury, które wybudowałam w swojej głowie. — Możesz tam nawet pojechać. Poprosić w bibliotece o kronikę z roku dziewięćdziesiątego dziewiątego. Znajdziesz w niej podpis Joseline Clark z dwunastego stycznia. Możesz obejrzeć zdjęcia z tego dnia, była na każdym. Możesz wejść do najgłębszych archiwów tej szkoły i również to znajdziesz. Możesz poprosić o film dokumentalny z dwa tysiące piątego, w którym są wspomnienia uniwersytetu i jest udokumentowany tamten dzień. Możesz odwiedzić Loyola Marymount University, uczelnię, gdzie uczyła się twoja matka, poprosić o informacje o wydarzeniach z dwunastego stycznia dziewięćdziesiątego dziewiątego i usłyszysz, że niejaka Joseline Arabella Clark pojechała do Fort Collins na spotkanie z rektorem uczelni w Kolorado, panem Michaeliem Connorem. Możesz zrobić to wszystko, a nawet więcej. Nieważne, co wybierzesz, nie zmienia to faktu, że ona tam była. Dokładnie tego dnia i tego roku. Nieco to dziwne, że tego samego dnia w Culver City na świat przyszły bliźniaki, których matka znajdowała się tysiąc mil dalej.

Nie. Nie, to się nie dzieje. To sen. Zaraz się obudzę.

— Ale... najciekawsze jest to, że była tam z pewnym małżeństwem o wdzięcznym nazwisku...

Proszę. Chcę się obudzić. Proszę.

— Shey.

Teczka, którą chciałam wziąć do rąk, opadła z powrotem na stolik. Popatrzyłam na Vincenta, którego szare tęczęwki lśniły pod wpływem emocji. Moje były puste, bo niczego nie czułam.

Nie wiem, ile tak stałam w zaćmieniu, ale kiedy ponownie uniosłam głowę, natrafiłam na spojrzenie Nathaniela. Jego wargi były zacisnięte w wąską linię. Odepchnął się od ściany i zrobił kilka kroków w naszą stronę. Gdy szedł, wyglądał jak huragan, który miał zniszczyć połowę planety. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości, nie spuszczać wzroku z teczki.

Wszystko wokół przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie interesował mnie Vincent, miałam gdzieś spojrzenia reszty. Zwiesiłam głowę nad stolikiem, a włosy opadły mi po obu stronach twarzy.

Patrzyłam na niebieskie oczy mojej mamy, kręcąc delikatnie głową. To była moja mama i nikt nie miał prawa mówić inaczej. Ktokolwiek to robił, bluźnił. Wszyscy kłamali, bo byli bandą popierdolonych świrów. Miałam swój świat, który był prawdziwy.

Zacisnęłam z wściekłością szczękę, ponieważ byłam o krok od wykrzyczenia im, jak cholernie ich nienawidzę. Wtedy mój wzrok padł na kobietę, która stała tuż obok mojej mamy. Rozchyliłam lekko wargi, czując, jak moje gardło się wysusza, a myśli gdzieś uciekają.

Była tam, taka inna. Młodsza i zdrowa. Jej długie włosy miały dokładnie taki sam kolor jak *jego*. A uśmiech kołło serce.

Lily.

Lily Evans. Matka Nathaniela stała obok mojej mamy, uśmiechając się od ucha do ucha. Rozluźniłam palce, które do tej pory bezwiednie zaciskałam na kantach stoliczka, po czym odsunęłam się od niego. Czułam, jakby ktoś właśnie rzucał we mnie gorącymi kamieniami. Nie zarejestrowałam tego, że płaszcz spadł mi z ramion na perski dywan. Automatycznie stawiałam krok za krokiem w tył, z odrazą patrząc na teczkę. Chwilę później byłam już prawie po drugiej stronie pomieszczenia.

Nathaniel i Theo szybko podeszli do stolika. Wbili wzrok w zdjęcie, a kiedy z twarzy mojego brata odpłynęły kolory, zacisnęłam powieki.

Rozbolał mnie brzuch. To nie mogło się dziać... To Joseline Arabella Clark była naszą matką. To ona urodziła mnie i mojego brata, to wszystko musiało być sfalszowane. Te zdjęcia, pieczętka... Ona nas kochała.

Nie było nikogo innego. Przecież mieliśmy zdjęcia, gdy ja i Theo byliśmy mali. Przecież widziałam zdjęcia, gdy była w ciąży...

Zastygłam ze wzrokiem wbitym tępo w jedną z książek na półce, przy której stałam. Zdjęcia mamy z okresu, kiedy była z nami w ciąży. Musiały takie być. Musiałam kiedyś widzieć je w albumie.

Więc dlaczego nie mogłam przypomnieć sobie ani jednego?

— Gdy zacząłem zbierać o was informacje, z każdym kolejnym krokiem widziałem i wiedziałem coraz więcej. Do tej pory jestem w szoku, jak to wszystko się ze sobą łączy. Jakby był to... Boski plan.

Znów ten głos, który zniszczył mój spokój. Był początkiem chaosu. Ale to, co nastąpiło później, okazało się dużo gorsze niż chaos. Wszystko miało się dopiero zacząć. Vincent tylko odpalił zapałkę, dokładnie jak wtedy, gdy zapalił zgasłą świeczkę.

Wznicił ogień z popiołu.

Obserwował każde z nas po kolei. Każdy pionek. Jak strateg wpatrujący się w szachownicę.

— Tylko ja mogę dać wam odpowiedzi na pewne pytania. Wskazówki — zaczął z pasją i spojrział na Mię — na przykład dlaczego pewnego feralnego dnia wyrządzono ci krzywdę, moje dziecko. Bo to nie była tylko zemsta na Nathanielu i Luke’u za przegraną walkę. — Następnie popatrzył na Camerona. — Mogę powiedzieć, gdzie znajduje się twoja rodzina — zwrócił się do niego, na co Wilson spuścił głowę, przymykając z bólem powieki. — Nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego do szkoły, w której od zawsze jest sześćdziesiąt miejsc na rok, w dwa tysiące siedemnastym przyjęto wyjątkowo sześćdziesiąt jeden osób? — zapytał cicho, patrząc na Chrisa, który chciał się odezwać, ale tylko otwierał i zamykał usta, spomiędzy których nic się nie wydostało. — Bo pewien chłopak z Kalifornii nie miał wystarczającej liczby punktów, a i tak się dostał.

Kolejny zbity pion.

— Dlaczego tamtego wieczoru w klubie spotkałeś akurat ją. I dlaczego powiedziałeś jej wszystko — mruknął tajemniczo, wpatrując się w Matta, który otworzył szeroko oczy, robiąc krok do tyłu. — Do tej pory nie wiecie, kto spowodował ten tragiczny wypadek — ciągnął, przenosząc wzrok na Scotta i Laurę.

Cisza. Nikt nie potrafił nic powiedzieć.

— Kto wykupił cię przed Death Fight, Nathanielu? Dzięki komu jesteś wolny? — zapytał z poważną miną, wpatrując się w profil Sheya, który z zaciśniętą szczęką obserwował fotografię naszych matek. — Kto ma taką władzę, że sam Venom nie mógł mu odmówić? — Szare oczy mężczyzny znów spoczęły na mnie. — I dlaczego Joseline Arabella Clark nigdy nie powiedziała wam, że nie jest waszą biologiczną matką?

Przymknęłam powieki. W tamtym momencie wszystkie mury runęły.

— Jeśli mi pomożecie, ja pomogę wam.

Runęło wszystko.

Wielki spoiler historii

Jak większość ludzi lubiłam ciszę. Wolałam ją od hałasu, bo napawała mnie spokojem. Jednak rzadko kiedy jej doświadczałam. Przywykłam już do tego, że głosy w mojej głowie nigdy nie milkły, wręcz przeciwnie, mieszały się ze sobą i nie dawały mi od siebie odpocząć. Momenty, gdy ich nie słyszałam, mogłam policzyć na palcach jednej ręki.

Zdarzały się jednak takie chwile, kiedy nawet w całkowitej ciszy nie potrafiłam się uspokoić. Wtedy, choć głosy milczały, wszystko stawało się zbyt głośne. To uświadamiało mi, że to nie hałas krzyczy najgłośniej. Często cisza jest głośniejsza od wrzasku.

Taki moment przyszedł również wtedy, kiedy stałam w gronie swoich dawnych przyjaciół w domu Vincenta. Mimo że w mojej głowie panowała pustka, wydawało mi się, że ktoś krzyczy mi nad uchem. Na kilka minut czas się zatrzymał i razem z nim zatrzymałam się ja.

Z kamienną twarzą wpatrywałam się w jeden z obrazów. Przedstawiał dwie nagie kobiety leżące na polanie. Ich ciała stykały się, włosy miały splecione, wzrok płomienny. Ukryte w wysokiej trawie, emanowały spokojem, którego ja w tamtej chwili zupełnie nie czułam.

Jak na złość nikt nie chciał przerwać ciszy. Wszyscy byliśmy jakby przyspawani do podłogi, a nasze spojrzenia prześlizgiwały się po pomieszczeniu. Przesunęłam wzrokiem po twarzach zebranych. Byli dla mnie tak znajomi i tak obcy jednocześnie.

W końcu popatrzyłam na człowieka, który odebrał mi spokój. Człowieka, o którego istnieniu dowiedziałam się kilkadziesiąt minut wcześniej. Vincent Foix uśmiechał się od ucha do ucha. Tryskał zadowoleniem,

podczas gdy ja czułam się tak, jakby ktoś przywiązał stutonowy kamień do mojej nogi, a następnie wyrzucił mnie za burtę statku na środku Atlantyku. *Tonęłam*.

„Jeśli mi pomożecie, ja pomogę wam”.

— Cóż — jak na ironię to Vincent zlitował się nad nami i postanowił przerwać ciszę — wiem, że jest to dla was spory szok.

— Och, naprawdę? — rzucił Matt z nieukrywaną kpina. W jego niebieskich oczach była złość. — Tak uważasz?

— Ale po co ta niepotrzebna złośliwość? Matthew, chcę wam tylko pomóc.

Ta odpowiedź jeszcze bardziej nakręciła Donovana. Poczułam dysonans, bo zapamiętałam go jako wiecznie szczęśliwego chłopca. Chyba nigdy nie widziałam go w takim stanie.

— Pomóc? — parsknął Scott. — To nie jest pomoc. To jest mącenie nam w głowach — warknął, gestykulując nerwowo. — Nie mamy pojęcia, kim jesteś, a ty wiesz o nas wszystko.

— Nie mogę się nie zgodzić. — Vincent skinął, nie przejmując się naszym wrogim nastawieniem. — Aczkolwiek...

— Nie. Nie ma żadnego „aczkolwiek” — przerwał mu stanowczo Scott, którego głos nieco się obniżył. — Nikt o zdrowych zmysłach nie zadałby sobie tyle trudu, aby zrobić coś takiego. Nawet nas nie znasz, a sprowadziłeś nas do jednego miejsca w tym samym czasie, chociaż wszyscy byliśmy rozsiani po całej pierdolonej Ameryce. Nie ma mowy, nie wchodzimy w to, a wiesz dlaczego? Bo każde z nas ma normalne życie. A ty jesteś tylko popieprzonym kolesiem, który ma zdecydowanie za dużo pieniędzy i nie wie, co robić z wolnym czasem. To nie jest pierdolony film o Bondzie. Starasz się nas zmanipulować i chwytasz się ważnych dla nas spraw. Nie masz prawa nas okłamywać, żeby spełnić swoje chore fantazje!

Po trafiających w sedno słowach Scotta zapanowała cisza. Chłopak miał rację, Vincent nie miał prawa tak mieszać. Czułam się, jakby ktoś wsadził mi rozżarzone żelazo w przetyk.

Foix nawet na sekundę nie wyszedł z roli, a uśmiech nie spełził z jego twarzy. W tamtej chwili zaczęłam się zastanawiać, czy on aby na pewno nie jest chory. To nie było możliwe, by w takim bałaganie być tak spokojnym. Z dłońmi splecionymi za plecami przechadzał się po drogocennym perskim dywanie.

— To wy jesteście ode mnie zależni bardziej niż ja od was.

Coś w jego cichym głosie sprawiło, że uniosłam na niego wzrok.

— Zaproponowałem wam to, tak by każda ze stron była zadowolona. Każde z nas coś by dostało. Jeśli się nie zgodzicie, w porządku. To wasza decyzja i nie zamierzam was do niczego zmuszać.

To nigdy nie była nasza decyzja.

— Ale jeśli nie zdecydujecie się na współpracę ze mną, straciecie dużo więcej niż ja.

— Dlaczego? — zapytał cicho Theo.

— Jeśli się nie zgodzicie, ja będę szukał dalej, aż w końcu znajdę jakąś opcję. Wy natomiast... — przerwał na moment z niewzruszoną miną, po czym kontynuował: — ...będziecie żyć ze świadomością, że zrezygnowaliście z prawdopodobnie jedynej szansy, aby dowiedzieć się prawdy.

Znowu spojrzałam na teczkę z aktami uniwersytetu w Kolorado, która spokojnie leżała na stoliku.

Naszą biologiczną matką była Joseline Arabella Clark. Urodziła nas, wychowała i kochała.

Przeniosłam zmęczony wzrok na chłopaka, który stał obok stolika. Z nieodgadzionym wyrazem twarzy wpatrywał się w dokument. Przypominał kamień, nie mogłam wyłapać nawet tego, czy oddychał. Naszła mnie nagle ogromna ochota, aby się zaśmiać.

Chociaż wszystko właśnie wywracało się na drugą stronę, oczy Nathaniela Sheya pozostały zimne.

Zatraciłam się w obserwowaniu go i zastanawianiu się, co poczuł, gdy zobaczył na zdjęciu swoją nieżyjącą już matkę obok mojej. Potem czas znowu się zatrzymał, bo spojrzenie jego oczu przeniosło się na moją twarz.

Mieliśmy podobnie obojętne miny. Między nami była już tylko obojętność. Z tamtych dni, gdy oddałam mu swoją duszę i ciało, nie pozostało nic. Nie było jak w filmie. Nie było w tym niczego więcej, bo my nie byliśmy czymś *więcej*. To nie była telenowela, w której po kilku latach dawni kochankowie wpadają sobie w ramiona. To była rzeczywistość, w której zostały nam co najwyżej miłe wspomnienia. Może moje serce ścisnęło się trochę mocniej, kiedy po raz pierwszy po latach ujrzałam jego idealną twarz, ale na tym się skończyło. Nie chciałam, aby przeszłość wróciła. Jakimś cudem wiedziałam, że on czuje to samo.

— Nie musicie dawać mi odpowiedzi teraz — przerwał ciszę Vincent. Wyrwałam się z zamyślenia i odwróciłam głowę, przerywając kontakt wzrokowy z Nathanielem.

To, co powiedział, to kłamstwa, ale czy w każdym kłamstwie nie kryje się ziarenko prawdy?

— Wiem, że to dla was szok — powtórzył mężczyzna. — Musicie to przemyśleć i przedyskutować. Ktoś z was może się zgodzić, a ktoś nie. Uszanuję każdą decyzję. Wybór należy do was. Prawda za drobną pomoc.

— To nie jest drobna pomoc — mruknął cicho Luke. Patrzył na Vincenta z obrzydzeniem w oczach. — Nie mówisz nam wszystkiego z jakiegoś powodu, a Brooklyn to nie jest człowiek, z którym można pogrywać. Nie wiem, skąd jesteś, ale widać, że nie stąd.

— Owszem, nie jestem stąd — odparł Vincent. Jego głos znów wydawał mi się dziwnie przytłumiony, jakby oddalony. Może to ja się oddalałam? A może już utonęłam? — Już to mówiłem, ale powtórzę. White ma coś, co należy do mnie, a wy mieliście z nim bezpośredni kontakt, co różni was od ludzi, z którymi współpracuję bądź współpracowałem. Powiem wam więcej, jeśli się zdecydujecie, bo wprowadzanie was w sprawę teraz mija się z celem. Nie lubię tracić czasu na niepotrzebne pogawędki.

— Chyba powinniśmy wiedzieć, w co się mamy wpakować, nim rzeczywiście się w to wpakujemy — powiedział rozsądnie mój brat.

— Nie tym razem — mruknął Vincent. — Victorio?

Uniosłam głowę, popatrzyłam prosto w jego szare oczy i znenawidziłam ten kolor. Czułam na sobie wzrok każdej osoby w tamtym przeklętym pomieszczeniu. Czułam spojrzenie swojego zatroskanego brata, nieodgadnione spojrzenia Chrisa, Matta, Luke'a. Czułam spojrzenie Mii Roberts, która tamtego dnia nie odezwała się ani słowem, a ja nie wiedziałam, czy bardziej się z tego powodu smuciłam, czy cieszyłam. Czułam spojrzenia Camerona i Jasmine. A kiedy poczułam na sobie również spojrzenie Nathaniela, wiedziałam, że to koniec. Wcisnęłam niewidzialny przełącznik w głowie. Bezradność, którą czułam, zastąpił chłód. Nawet nie musiałam kontrolować wyrazu twarzy, bo przez te cztery lata, które minęły, opanowałam to do perfekcji.

Bez słowa odnalazłam wzrokiem swój płaszcz, który leżał na podłodze. Nie mogłam tam dłużej zostać, więc zebrałam w sobie wszystkie

siły i z wysoko uniesioną głową pewnym krokiem podeszłam do niego. Schyliłam się i podniosłam go, a następnie strzepnęłam i zgrabnym ruchem zarzuciłam sobie na ramię.

Nie popatrzyłam na nikogo, wyszłam z pokoju, stukając szpilkami. Nie odwróciłam się ani razu. Gdy dotarłam do wyjścia z budynku, mężczyzna we fraku, który godzinę wcześniej otworzył nam drzwi, uśmiechnął się miło.

— Do widzenia, panno Clark — powiedział tylko.

Przekroczyłam próg domu, nie odpowiadając.

Świeże powietrze uderzyło w moją twarz, ale to mi nie pomogło. Nie czekając, bez udziału świadomości ruszyłam w stronę otwartej bramy. Wyszłam na równy chodnik, a potem szłam dalej. Byle jak najdalej, prosto przed siebie. Mijały mnie uśmiechnięte dzieciaki, które jadły watek cukrową, nastolatki z telefonami i papierosami w ustach, dorośli z teczkami w dłoniach, mężczyźni i kobiety w garniturach i garsonkach, spieszący się gdzieś i ocierający spocone twarze, a ja szłam dalej. Dwudziestodwulatka z pustym spojrzeniem w zdecydowanie zbyt wysokich szpilkach.

Gdy po kilkudziesięciu minutach spaceru w końcu się zatrzymałam, nie wiedziałam, gdzie jestem. Słońce zaszło już dawno, a niebo robiło się coraz ciemniejsze. Nie miałam przy sobie torebki ani telefonu.

Zastanawiałam się, co dalej. Theo był już prawdopodobnie w naszym hotelu albo... albo może siedział gdzieś z nimi? Jęknęłam, tak bardzo chciałam znaleźć się w Maine. Miałam dwadzieścia dwa lata i cały ten syf pełen kłamstw i przekrętów za sobą.

Ale... jeśli Vincent miał rację? Co, jeśli mama tak naprawdę... co, jeśli ona nie była naszą biologiczną matką?

— Nie — warknęłam sama do siebie, lekko pociągając za końcówki swoich włosów. — Nie będziesz mieszać mi w głowie.

Joseline Clark była naszą matką. Miałam dosyć osób, które niby chciały mi pomóc, a tak naprawdę wykorzystywały mnie do własnych celów. Przejechałam się na tym w Culver City i przejechałam się na tym w Maine. Obiecałam sobie, że więcej na to nie pozwolę. Nikt nie będzie się bawić Victorią Clark.

Tylko że... ziarno niepewności zostało zasiane. Zdjęcie mojej matki z Lily Evans w dniu naszych narodzin, Kolorado, jej podpis i brak

fotografii Joseline z okresu ciąży... Ale przecież nasze matki nawet się nie zna...

Zastygłam w bezruchu, czując, jak całe moje ciało zamiera, gdy dopadło mnie to wspomnienie. Wspomnienie z jednego z najgorszych dni mojego życia. Wspomnienie z pogrzebu mamy.

— *Była pani jej lekarką.*

Kobieta skinęła głową, a jej uśmiech lekko przygasł. Doskonale ją pamiętałam. To ona weszła po Lily, by zabrać ją na badania po naszej rozmowie. Nie miałam pojęcia, jak ma na imię, a co dopiero na nazwisko, ale wiedziałam, że to była ona. Co robiła na pogrzebie mojej mamy?

— *Tak* — *mruknęła, spuszczać wzrok.* — *Lily była... niezwykłą osobą. Nie wiem, dlaczego takie rzeczy spotykają tak dobrych ludzi. Mówię tu też, rzecz jasna, o twojej mamie. Naprawdę bardzo mi przykro.*

Kiwnęłam niemrawo głową, nie wiedząc, co miałabym na to odpowiedzieć. Każdy tak mówił i to nic nie zmieniało.

— *Tak, ale skąd znała pani moją mamę?* — *zapytałam ze zmarszczonymi brwiami.* — *Bo musiała ją pani znać, skoro pani tu przyszła.*

Kobieta wyraźnie się zmieszała. Spuściła wzrok na swoje czarne rękawiczki, które przeplatała między palcami, podczas gdy ja wciąż na nią patrzyłam. Nie miałam zamiaru odpuszczać. Kolejni ludzie wymijali nas w drodze do wyjścia z cementarza i czułam, że ona też chciałaby sobie pójść. Ale tu chodziło o moją mamę.

W końcu kobieta westchnęła, znów krzyżując ze mną spojrzenie.

— *Joseline często odwiedzała Lily.*

Szok, jaki przeżyłam, gdy to powiedziała, musiał odbić się na mojej twarzy, bo zmieszała się jeszcze bardziej.

— *Ślucham?* — *zapytałam, myśląc, że się przesyłszalam, ale ona tylko skinęła głową.*

Jakim cudem mama odwiedzała Lily, skoro jej nie znała? Przecież nie znała rodziny Nate'a.

— *Joseline często przyjeżdżała do Lily, ale jej odwiedziny... odbywały się na nieco innych zasadach. Za każdym razem klinika informowała syna Lily — Nathaniela — o tym, kto odwiedził jego mamę. Takie były procedury. Tylko wtedy, kiedy przyjeżdżała Joseline, nie powiadaliśmy go o tym. To był taki mały układ pomiędzy mną a twoją matką. Powiedzmy, że... miałam u niej dług, który musiałam spłacić.*

— *Znały się?* — *zapytałam w szoku, na co potaknęła.* — *Skąd?*

— *Och, tego nie wiem. — Pokręciła głową. — Ale przyjeżdżała do niej przynajmniej raz na dwa miesiące, odkąd Lily trafiła do kliniki.*

— *Przyjeżdżała tam od dwóch lat?*

Nie, to nie mogło być prawdą. Mama by mi powiedziała.

— *Tak.*

— O mój Boże — wyszeptalam sama do siebie, przykładając drżącą dłoń do ust.

Słabo pamiętałam dzień pogrzebu mamy, ale wspomnienie rozmowy z lekarką Lily musiało wyryć się w mojej głowie. Wtedy miałam tyle problemów, że odpuściłam temat. Nie chciałam grzebać w prywatnych sprawach mamy, ale skoro odwiedzała Lily w szpitalu, to istniało spore prawdopodobieństwo, że zdjęcie Vincenta było prawdziwe, a co za tym idzie... akt uczelni z Kolorado również.

Niewidzialna dłoń zacisnęła się na mojej szyi.

— Nie, to niemożliwe — szeptałam gorączkowo pod nosem, kręcąc głową jak w transie. — To niemożliwe...

Było już za późno, bo ziarenko niepewności zaczęło właśnie kiełkować.

Nasza matka знаła rodziców Sheya. Nasza matka w dniu naszych urodzin znajdowała się tysiąc mil od Culver City. Nasza matka to przed nami ukrywała.

A co, jeśli Joseline Arabella Clark naprawdę kłamała?

Cicho zamknęłam za sobą drzwi, gdy weszłam do pogrążonego w mroku apartamentu hotelowego. Stałam w bezruchu kilkanaście sekund, a potem westchnęłam i spojrzałam na sufit.

— Polecam wódkę zamiast wzdychania. Działa lepiej.

Nawet nie drgnęłam, kiedy cichy głos rozniósł się po pomieszczeniu. Nadal wpatrywałam się w sufit.

— Tak — mruknęłam. — Gdybym piła, zapewne zerowałabym właśnie półlitrowkę.

— Półlitrowkę? — zapytał zdziwiony. — Starzejesz się. Kiedyś byłby przynajmniej litr.

Uniosłam kącik ust. Pokręciłam głową i popatrzyłam na Theo, który siedział na kanapie w pogrążonym w ciemności pokoju. Prawie pusta butelka tequili stała na małym stoliczku naprzeciw niego.

Spodziewałam się, że zastanę go w takim stanie.

Theo podniósł butelkę w akcie toastu i spojrział na mnie z krzywym uśmiechem.

— Za uroczy wyjazd — rzucił kpiąco i chociaż starał się grać niewzruszonego, w jego głosie było słycać gorycz.

Nie odpowiedziałam, tylko patrzyłam, jak jednym haustem wypił potężną ilość alkoholu. Nawet się nie skrzywił. Dalej w płaszczu zajęłam miejsce na drugiej kanapie naprzeciw niego. Nie zerknął na mnie, obserwowwał resztki bezbarwnego trunku w naczyniu i był nieźle wstawiony. Wyglądał kiepsko w pomiętych ubraniach, z czerwonymi policzkami i potarganymi włosami. Czarna marynarka leżała u jego stóp. Obok zobaczyłam swoją torebkę, którą na szczęście zabrał.

Pochyliłam się i oparłam łokcie na kolanach.

— Zostałeś tam z nimi dłużej? — zapytałam w końcu.

Pokręcił głową, analizując etykietę na butelce.

— Nie. Wyszedłem niedługo po tobie.

— Mówili coś jeszcze?

— Nikt się nie odezwał.

Skinęłam, przyswajając jego słowa. Okręcałam na palcu wskazującym złotą obrączkę wysadzaną kryształkami Swarovskiego, którą dostałam na dwudzieste urodziny od Erika.

— Tak strasznie cię przepraszam. — Westchnął ciężko.

Jego słowa nieźle mnie zdziwiły. Zmarszczyłam brwi, gdy z duszą na ramieniu przecierał zaczerwienioną twarz.

— Od początku miałaś rację. Nie powinniśmy nigdy tu wracać, a ja jak zwykle zjebałem przez ciekawość. Przepraszam, Victoria.

— Nie musisz przepraszać. To nie twoja wina — zapewniłam go szczerze. — Co teraz zrobimy?

Theo wzruszył nonszalancko ramionami.

— A co mamy zrobić? Jutro wieczorem mamy samolot do Maine. Musimy chyba zacząć się pakować.

Jego postawa zdziwiła mnie jeszcze bardziej. To nie była odpowiedź, jakiej się po nim spodziewałam. To była odpowiedź, jakiej spodziewałabym się po sobie. To ja byłam tą sceptyczną malkontentką, która nie chciała wracać do rodzinnego miasta.

W tamtej chwili żałowałam, że nie mogę pić, bo najchętniej opróżniłabym cały hotelowy barek. Trzeźwość umysłu była dobra, ale jej zachowanie bywało cholernie trudne.

Znów przetarłam dłonią twarz, nie martwiąc się o makijaż, który zapewne został już zrujnowany. W głowie toczyłam bitwę sama ze sobą, bo wiedziałam, że muszę powiedzieć Theo o tym, że Joseline naprawdę знаła mamę Nathaniela.

Theodor chyba zauważył moje zdenerwowanie, bo poczułam na twarzy jego spojrzenie.

— Victoria?

Wzrokiem wypalałam dziury w stoliku między nami. Moje palce lekko drżały, dokładnie jak oddech.

— Victoria, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że...

— A co, jeśli to prawda?

Splotłam ze sobą dłonie i spojrzałam w błyszczące oczy brata. Patrzył na mnie tak, jakby nie widział mnie nigdy wcześniej.

— Oszalałaś — stwierdził, z niedowierzaniem kręcąc głową. — Oszalałaś.

— Nie, Theo. To... — zaczęłam, ale przerwał mi, z hukiem odstawiając butelkę na stolik.

Siłą powstrzymałam się od przewrócenia oczami.

— Nie — warknął ostro. — Naprawdę masz zamiar uwierzyć jakiemuś obcemu psycholowi? — zapytał. Rozczarowanie w jego głosie było doskonale słyszalne, ale nawet mnie to nie uderzyło. — To chore, Victoria. Typ kłamie, bo czegoś od nas chce, a ty głupio w to wierzysz. Otwórz oczy, Vic. Facet podrobił dokumenty, żebyśmy tu przyjechali! Myślisz, że podrobienie papierka i zdjęcia byłoby dla niego wyzwaniem?! — Zerwał się na równe nogi i spojrzał na mnie z góry, dygocząc z nerwów. — Facet wie, że straciliśmy rodziców. Starał się zagrać na naszych uczuciach. Na twoich — dodał i ruszył przez salon. — Nasza matka, tak jak pół miasta, nienawidziła Sheyów, ale pewnie nawet ich bliżej nie znała. Czemu miałaby spotykać się z mamą Nate'a? To nie ma sensu. Opuść.

— Znała.

Mój szept był cichy, ale Theo go usłyszał. Zatrzymał się w miejscu i zerknął na mnie przez ramię. Widziałam, że jest zdezorientowany.

— Co? — zapytał, jakby chciał się upewnić, że to powiedziałam. Przełknęłam ślinę, kiwając głową. Nie było już odwrotu.

— Mama ich знаła — powtórzyłam głośniejszym głosem. — Rodzinę Sheya. Na pewno jego matkę.

— O czym ty mówisz?

Theo wrócił na swoje miejsce, a ja zaczęłam opowiadać. Powiedziałam mu o tym, jak Jasmine zawiozła mnie do kliniki, w której poznałam Lily Evans, a potem o rozmowie, jaką odbyłam z lekarką mamy Nathaniela na cmentarzu.

Kiedy skończyłam, Theo wpatrywał się we mnie z nieodgadnioną miną. Chciałam, aby coś powiedział, ale jak na złość milczał. W pewnej chwili zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno kontaktuje, bo nie poruszył się od czterech minut.

— Niemożliwe — skwitował w końcu i parsknął śmiechem. — Musiało ci się coś pomylić. Skoro pogrzeb był cztery lata temu, a ona mówiła o trzech latach wstecz, to znaczy, że...

— Mama jeździła do niej już wtedy, gdy mieliśmy po piętnaście lat — dokończyłam za niego, a uśmiech automatycznie spełził z jego warg. — Czyli wtedy, kiedy ja nie znałam jeszcze Nate'a.

Minęło siedem sekund ciszy, a potem Theo wyrzucił ręce w powietrze.

— I mówisz mi to dopiero teraz?! — zawył, a ja nie zdołałam powstrzymać przewrócenia oczami. — Wiesz o tym od czterech lat i co?! I nic?!

— Nie wiedziałam, że to istotne. — Wzruszyłam ramionami. — Wyszłam z założenia, że to była sprawa mamy, i chyba nie do końca w to wierzyłam. Nie wiem, kurwa.

— Twoje założenie było niezmiernie chujowe — burknął.

Obserwowałam, jak nerwowo skubie dolną wargę, uparczywie nad czymś myśląc. Znowu usiadł i podwinął rękawy golfu.

— To nic nie znaczy — dodał po chwili, ale jego głos nie brzmiał nawet w połowie tak pewnie jak wcześniej. — Może poznały się na krótko przed chorobą Lily?

— Tylko dlatego mama nic nie powiedziała, gdy odkryła, że spotykam się z Nate'em? Nie zdradziła mi nic, nawet kiedy wspomniałam jej o śmierci jego mamy.

Theo nie odpowiedział, bo chyba nie wiedział, jak ma odpowiedzieć, więc kontynuowałam:

— Nasze mamy się znały, więc... więc co, jeśli to wszystko jest prawdą? Ten papierek, zdjęcie i to, że mamy nie było wtedy w Culver City... Co, jeśli on mówi prawdę? Co, jeśli nasza mama nie była...

— Victoria — przerwał mi, krzyżując ze mną spojrzenie. — Uważaj na to, co mówisz.

W moim gardle wyrosła gęła, jakby całe moje ciało broniło się przed wypowiedzeniem tego, co miałam na końcu języka. Jednak mój umysł był zawzięty.

— Co, jeśli Joseline nie była naszą biologiczną matką?

Gdy to powiedziałam, poczułam się jak najgorsze ścierwo na całym pieprzonym świecie. Jak mogłam mówić tak o mamie, która nas kochała i która zginęła w tragicznym wypadku przed czterema laty? Czy ja naprawdę głośno kwestionowałam to, że była naszą matką?!

Dlatego byłam tym gorszym dzieckiem. Theo mógł myśleć swoje, ale nigdy nie odważyłby się powiedzieć takich rzeczy na głos. Byłam głównianą córką.

Chłopak przecesał palcami rozczochrane włosy.

— Okej, możemy zadzwonić do wujka Garry'ego albo do babci Belli. Zapytajmy ich.

— Spotykali się z nami przez lata, widzieli nas na pogrzebie naszej matki i jakoś nikt nic nie powiedział. Milczeli przez tyle lat. Myślisz, że teraz powiedzą prawdę? Albo, jeśli nawet to potwierdzą, to czy powiedzą *całą* prawdę?

Poczułam rosnącą złość, bo jeśli to wszystko w jakiś irracjonalny sposób miało okazać się prawdą, oszukała nas nie tylko mama.

— Skąd masz pewność, że Vincent powie prawdę? Nie znamy go.

— Nie mam pewności — odpowiedziałam od razu. — Ale nie zna nas. Inaczej niż nasza rodzina, ma gdzieś nasze uczucia, więc szansa, że powie nam prawdę, jest większa. Bo nie będzie go interesowało to, co z tym dalej zrobimy.

— Wierzysz mu? — zapytał po chwili, na co pokręciłam głową.

— Nikomu nie wierzę, ale chcę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

— Dlaczego? Przecież nigdy nie chciałaś rozdrapywać starych ran. Więc dlaczego tak ci na tym zależy?

Nie odpowiedziałam od razu, a zamiast tego przeniosłam wzrok na prawie pustą butelkę alkoholu. Kropla tequili spływała w dół po ścianie.

Kropelki różowej wódki błyszczą na rozgrzanej skórze mojego brzucha. Mieniały się w świetle kryształowych żyrandoli. Czulałam, jak ześlizgują się po bokach mojego ciała, aby skończyć na satynowej pościeli. Zaśmiałam się cicho, przymykając ciężkie powieki. Było mi tak wspaniale. Niczego więcej nie chciałam. Bawić się. Bawić się i błyszczeć! Lśnić w słońcu i chować się przed chmurami. Zachichotałam cicho, kiedy czujny ciepły język zaczął zlizywać drogi alkohol z mojej skóry. Błyszczcie!

Zacisnęłam szczękę, odwracając wzrok od naczynia. Westchnęłam, chcąc pozbyć się tych wspomnień. Ostatnimi czasy nachodziły mnie coraz częściej.

Zależało mi z wielu powodów, tyle że jeden królował na tej liście. Nie odpowiedziałam, ale Theo wiedział. *Zawsze wiedział.*

— Jesteś ciekawa, co łączyło naszą rodzinę z rodziną Sheya — stwierdził głośno, a ja nie zaprzeczyłam.

Miał rację.

— Chciała mnie wysłać na drugi koniec świata, bo się z nim zadawałam — mruknęłam. — A sama w tym czasie odwiedzała jego matkę. A jeśli to wszystko jest prawdą, to znała ją już na studiach. Chcę wiedzieć, co się między nimi wydarzyło.

— Jeśli to prawda — zauważył z rezerwą Theo.

— Jeśli — zgodziłam się.

Nie wiedziałam, jaka jest prawda i czy Vincent nie chciał wykorzystać mojej naiwności. Mogłam jedynie liczyć na to, że po wszystkim coś się wyjaśni. A może sprawy miały jeszcze bardziej się skomplikować?

— Okej, zrobimy tak — zaczął. — Jutro zadzwonię do uczelni w Kolorado. Jeśli mama rzeczywiście wtedy tam była, wchodzimy w to. A jeżeli Vincent skłamał, spieprzamy z tego miasta i trzymamy się jak najdalej od tego gówna.

— A jeśli mówił prawdę, to co dalej? — zapytałam.

Zdenerwowany chłopak przełknął ślinę, a ja wiedziałam, co to oznacza. *Och, kurwa.*

— Wtedy dzwonimy do reszty. I modlimy się o cud.

Reszta. Prawda oznaczała pierwszą od czterech lat rozmowę z naszymi byłymi przyjaciółmi. Rozmowę z Parkerem, Laurą, Mattem... z Mią. Prawda oznaczała *współpracę* z nimi.

Przełknęłam ślinę, czując, jak moje serce przyspiesza. Założyłam ręce na piersi, aby ukryć drżenie dłoni.

— W porządku — rzuciłam z udawaną obojętnością i wstałam z miejsca. — Jutro się okaże.

Nie mówiąc nic więcej, przeszłam do swojej sypialni. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, czego bardziej chciałam: aby to, co powiedział nam Vincent, okazało się prawdą czy bezczelnym kłamstwem.

Tamtej nocy znów nie spałam. Siedziałam z paczką papierosów na balkonie, obserwując gwiazdy. Zresztą nie tylko ja nie mogłam zmrużyć oka. Odgłos nalewania wódki do szklanki raz po raz przerywał ciszę i odbijał się echem od ścian apartamentu.

— Tak, to wszystko. Bardzo dziękuję za rozmowę. Miłego dnia.

Theo zakończył trwające prawie dwadzieścia minut połączenie. Spięta obserwowałam jego twarz, gdy tępo wpatrywał się w zgaszony wyświetlacz. Jego przedłużające się milczenie zaczęło mnie denerwować. Od rozmowy, którą przeprowadził właśnie z jedną z sekretarek Colorado State University w Fort Collins, zależało wiele. Prawdę mówiąc, zależało od niej wszystko.

— I? — ponagliłam go. Zacisnęłam dłonie na podłokietniku kanapy, na której siedziałam. — Co powiedziała?

— To prawda.

Nie. Kurwa, nie.

— Sekretarka sprawdziła kronikę — mruknął i schował telefon do kieszeni ciemnozielonych spodni. — Tak, dwunastego stycznia dziewięćdziesiątego dziewiątego Joseline Clark była na spotkaniu z rektorem uczelni w Kolorado. Vincent mówił prawdę.

Wydawało mi się, że zaczęłam dryfować pomiędzy rzeczywistością a snem, zawieszona w odmetach nicości.

Theo się nie poruszył ani nawet głębiej nie odetchnął. Jego białe palce ścisnęły telefon tak mocno, jakby miały go zmiażdżyć. Nie lubiłam patrzeć na niego w takim stanie. Twarz miał popielatą, a przekrwione

oczy i głębokie sińce pod nimi przypominały o nieprzespanej nocy. Włosy miał tłuste i śmierdział alkoholem.

Przejechałam koniuszkiem języka po spierzchniętych wargach. Theo już nie wierzył, że to wszystko było pomyłką albo oszustwem Vincenta. *Ona kłamała.* W zakamarkach umysłu brałam pod uwagę taką wersję, a ten telefon to potwierdził. Byłam na to przygotowana bardziej niż mój brat. On był lepszy, bo wierzył, ale przez wiarę wiele się traciło. Był tego żywym dowodem.

Próbowałam coś powiedzieć, zrobić cokolwiek, ale moje ciało i umysł nie chciały współpracować. Bo co mogłam powiedzieć? Właśnie potwierdziło się to, że nasza matka nie była naszą biologiczną matką, a co za tym idzie, przez osiemnaście lat nas okłamywała. Tak samo jak reszta naszej rodziny.

Prychnęłam pod nosem. Może byłam w pieprzonym śnie? W końcu już raz postradałam zmysły. Może to ciąg dalszy?

— Czyli w skrócie. Naszej matki nie było przy naszych narodzinach — podsumowałam beznamiętnym głosem i wzruszyłam ramionami. — Ja pierdołę.

— Co mamy teraz zrobić?

Jego pusty głos miażdżył moje wnętrze. Theo znów wbijał w telefon smętne spojrzenie. Nie wiedziałam, jak mam mu odpowiedzieć, ale gra ruszyła i nadeszła nasza kolej, by wykonać ruch.

Postanowiłam udawać silną, aby jakoś wesprzeć Theo, więc zdusiłam w sobie emocje i zacisnęłam szczękę. Zrobiłam głęboki wdech, nim odważyłam się wypowiedzieć zdanie, którego zdecydowanie wypowiadać nie chciałam.

Ale czy było inne wyjście?

— Musimy zadzwonić do reszty — powiedziałam pewnie. — Musimy z nimi porozmawiać i zapytać, co zamierzają zrobić. A potem podjąć jakąś decyzję.

Przerażała mnie wizja tej rozmowy, ale to było jedyne słuszne posunięcie. W końcu ta sprawa nie dotyczyła tylko mnie i Theo.

— Masz rację — przyznał słabo mój brat, w końcu patrząc mi w oczy. Moje słowa chyba dodały mu otuchy. — Może zadzwonię do Chrisa? To chyba będzie najlepsza opcja.

Skinęłam głową, w duchu dziękując mu, że to on postanowił zadzwonić. Mimo że z Chrisem miałam jakiś kontakt, to byłoby dla mnie

niekomfortowe. Z przyspieszonym oddechem obserwowałam, jak Theo szuka numeru do Adamsa, choć gdyby poprosił, wyrecytowałabym go z pamięci. Przecież dawno temu wybierałam go kilkanaście razy dziennie. Nadal miał numery ich wszystkich. Ja również, choć nie wiedziałam, czy wciąż są aktualne.

I miałam tam też ten jeden, *szczególny*.

— Cześć, Chris. — Z zamyślenia wyrwał mnie neutralny głos mojego brata. Stał przy oknie, obserwując ulicę. — Tak. Tak, to ja — mruknął z lekkim rozbawieniem. — Tak, wiem. Kupa czasu. Dzwonię, bo musimy porozmawiać, wiesz? Wszyscy. Musimy to wszystko ogarnąć. Powinniśmy się spotkać i pogadać.

Przymknęłam powieki, wypuszczając drżący oddech, aby się uspokoić. *Spotkać i pogadać. Spotkać i pogadać.*

— Tak, to chyba będzie najlepszy pomysł. Uhm, wydaje mi się, że... moglibyście przyjść do nas? — bardziej zapytał, niż stwierdził. Spojrzał na mnie pytająco, a ja skinęłam głową. — Zatrzymaliśmy się w The Culver Hotel. O której? Wydaje mi się, że około dwunastej byłoby w porządku, ale nie wiem, czy będzie pasowało reszcie... Okej, będę czekał. Tak. Numer pokoju to siedemdziesiąt dwa. Tak, w razie czego dzwoń. Cześć.

Rozmowa się zakończyła, a Theo westchnął i odrzucił telefon na jedną z kanap. Chwilę milczeliśmy, ciszę przerywały jedynie nasze przyspieszone oddechy.

— Chris powiedział, że zajmie się powiadomieniem reszty — mruknął, wsadzając ręce do kieszeni spodni. — Niedługo mi odpisze, ale wstępnie jesteśmy umówieni.

— W porządku — odparłam spokojnie, tyle że spokojna byłam jedynie na zewnątrz. W środku krzyczałam.

Cztery godziny czekania.

— Idę do siebie. Prześpij się jeszcze trochę. Źle wyglądasz — rzuciłam niezbyt miło.

Wstałam i nie patrząc na Theo, przeszłam do swojej sypialni. Zatrzasnęłam za sobą drzwi nieco mocniej, niż planowałam. Przymknęłam powieki i oparłam się tyłem o drewniane skrzydło, zaciskając z całej siły dłonie w pięści. Tak cholernie się bałam tego spotkania. Jak miałam spojrzeć Mii w oczy? Jak miałam z nią rozmawiać, skoro nasze postanowienie „siostry na wieki” złamałyśmy przed trzema laty?

Jak miałam spojrzeć w *jego* oczy, skoro cztery lata temu w moim domu pożegnaliśmy się na zawsze?

Wydałam z siebie żałosny jęk. W końcu nie wytrzymałam, zjechałam plecami po drzwiach, usiadłam na podłodze i ukryłam twarz w dłoniach.

Czy mieliśmy się zachowywać normalnie? A może udać, że nic się nie wydarzyło? Czy raczej traktować siebie nawzajem jak starych, dobrych znajomych? Niewiedza wywoływała we mnie panikę.

Nie wiedziałam, czy bardziej chciałam mieć już to wszystko za sobą, czy sprawić, by to spotkanie nigdy nie nadeszło.

— Wydajesz się dziwnie spokojna — powiedział Theo.

Zerknęłam na niego przez ramię, gdy stanął w progu mojej sypialni. Wyglądał dużo lepiej niż cztery godziny wcześniej, wziął prysznic i ułożył włosy. Znoszony dres zastąpił luźnymi kremowymi spodniami oraz białą koszulą z rękawami do łokci w żółto-czarne niesymetryczne wzory. Pierwsze dwa guziki zostawił jak zawsze odpięte.

Wzruszyłam ramionami, powracając do malowania ust błyszczkiem.

— Stres to wybór, a ja już dawno przestałam podejmować złe decyzje. Tobie też radzę — mruknęłam trochę ostrzej, niż miałam w zamiarze.

W myślach się za to skarciłam. Może wyglądałam na niewzruszoną, ale w środku czułam się tak, jakbym miała za chwilę zwymiotować.

Theo głośno westchnął, a następnie wszedł do pokoju. W pełni skupiona na swoim zadaniu wpatrywałam się w małe lustro w swojej dłoni, podczas gdy chłopak usiadł na łóżku obok mnie. Nie odezwał się, tylko noga mu podrygiwała.

Zirytowana zacisnęłam szczękę, kiedy piąty raz postanowił rozwiązać i zawiązać sznurówkę swojego żółtego converse'a. Czarę goryczy przelało jego setne westchnienie.

— Przestań — warknęłam, odkładając lustro na szafkę nocną.

Theo spojrzął na mnie ze zdziwieniem.

— Przecież nic nie robię — burknął cicho.

— Zaraz wytupiesz dziurę do apartamentu pod nami.

Chyba żaden tik na świecie nie był tak irytujący, jak to cholerne tupanie. Przez całe liceum musiałam się męczyć z Chrisem, który na

każdej lekcji robił w ławce kilka mil, ponieważ jego stopa nie mogła powstrzymać się od nałogowego odbijania się od ziemi.

Theo oparł łokcie na kolanach, nerwowo bawiąc się czarnym sznurkiem bransoletki na kościstym nadgarstku. Gdy popatrzyłam na niego — skulonego i tak bardzo rozdygotanego — coś nieprzyjemnie ścisnęło się w moim wnętrzu.

— Theo — powiedziałam, po czym chwyciłam zabłąkany kosmyk jego włosów i zaczesalam go do tyłu, ściągając tym samym na siebie jego uwagę. — Spokojnie.

Chłopak skrzywił się, posyłając mi gorzki uśmiech.

— Trzy godziny temu potwierdziło się, że naszej matki nie było przy naszych narodzinach, a za niecałą godzinę mają nas odwiedzić ludzie, z którymi nie rozmawialiśmy od czterech lat. W tym moja była dziewczyna. Jeśli ty jesteś spokojna, to zajeżdźcie ci gratuluję. Najwidoczniej ja nie podejmuję tak doskonałych wyborów jak ty.

Cóż, on również nie był szczególnie miły, gdy się stresował. Zacisnęłam usta w wąską linię. Theo okazał się mistrzem w grze w „jak spieprzyć nastrój Victorii Clark w siedem sekund”.

— Właśnie mam się spotkać z moją byłą najlepszą przyjaciółką i z moim byłym niedoszłym chłopakiem. Nie tylko ty masz przejebane — mruknęłam obojętnie.

Podeszłam do dużego lustra w łazience. Byłam dumna z tego, jak udało mi się zamaskować ślady dwóch nieprzespanych nocy. Wygładziłam zmarszczkę z pudru na swoim policzku i zaczęłam powoli rozczesywać jeszcze lekko wilgotne włosy.

Theo stanął w progu łazienki, krzyżując ręce na klatce piersiowej.

— Myślisz, że jak to będzie wyglądać? — zapytał nagle, a ja na chwilę znieruchomiałam. — Będzie niezręcznie?

Coś nieprzyjemnego rozlało się po moim wnętrzu jak jad.

— Nie wiem — wyznałam w końcu szczerze, powracając do rozczesywania włosów. — To bardzo prawdopodobne. Nie gadaliśmy od czterech lat.

Poprawiłam jedwabny top na cieniutkich ramiączkach w odcieniu butelkowej zieleni. Natarczywy wzrok Theo naprawdę zaczął mnie irytować. Chyba wydawało mu się, że znam odpowiedzi na wszystkie pytania, podczas gdy tak naprawdę prawie rzygałam ze stresu.

— Przebukowałem nam lot do Maine — powiedział nagle. — Na niedzielę wieczorem. Nawet jeśli zostaniemy tu dłużej, to i tak musimy wrócić, aby zabrać rzeczy i pozalać sprawy z pracą i twoimi studiami.

— Theo, nie wiemy jeszcze, czy tu zostaniemy.

— Dlatego powiedziałem „jeśli zostaniemy” — rzucił od niechcienia, po czym odbił się od framugi i posłał mi nieprzychylnie spojrzenie. — I zielony to nie twój kolor. — Z tymi słowami wyszedł z mojej sypialni.

Westchnęłam ciężko, przewracając oczami, a następnie oparłam się o umywalkę.

Dasz radę.

Piętnaście minut później weszłam do salonu w pełni gotowa, wcześniej włożywszy czarną marynarkę. Theo nie było w pomieszczeniu. Poprawiłam złote łańcuszki na szyi, które były widoczne przez wycięty dekolt topu, i usiadłam na jednej z kanap. Wyciągnęłam telefon z kieszeni czarnych jeansów i zerknęłam na wyświetlacz. Zostało pół godziny.

Z każdą mijającą chwilą mój żołądek kurczył się coraz bardziej i nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Błąkałam się od okna do okna, od drzwi do drzwi, stukając szpilkami po drewnianej podłodze.

Dziesięć minut przed dwunastą Theo wyszedł z pokoju. Nie odezwał się ani słowem, gdy usiadł obok mnie na kanapie. Spojrzałam na jego odkryte przedramię, odnajdując wzrokiem jeden z moich ulubionych tatuaży. Malunek przedstawiał minimalistyczny papierowy samolot z małą literką „v” na skrzydle. Lubiłam jego tatuaże, bo były czarne, proste i rozsiane po jego rękach i torsie w nieregularnych odstępach.

Nagle poczułam pieczenie na żebrach pod lewą piersią. Tam również krył się tatuaż, którego nie oglądałam zbyt często...

— Wiesz, może się pomodlimy czy coś — wypalił nagle Theo, na co zmarszczyłam brwi i popatrzyłam na niego jak na idiotę.

— Oboje jesteśmy niewierzący.

— Możemy też pomedytować. — Wzruszył ramionami.

Uniosłam kąciki ust, trącając go łokciem w bok. Wtedy usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

Och, czyżby ktoś zapukał do mojej mogiły?

Zacisnęłam dłoń na podłokietniku. Przełknęłam ślinę i poważnie spojrzałam na Theo, który cicho chrząknął. Jego mina w przeciwieństwie

do mojej wyrażała czyste przerażenie. Ja nie mogłam pokazać, jak się boję, musiałam zamaskować nawet najmniejszą emocję.

— Godzina zero, co? — zażartował, ale w jego głosie nie było ani krzty rozbawienia.

Uniosłam dumnie głowę, kiedy wstał z miejsca, ale mój spokój był tylko pozorny. Jego każdy kolejny krok przybliżał mój zawal serca. *Przecież to tylko spotkanie ze starymi znajomymi. Tylko.*

Spojrzałam w stronę drzwi w tym samym momencie, gdy Theo je otworzył. Zobaczyłam Chrisa i Laurę, którzy stali z przodu. Theo uśmiechnął się miło, a następnie gestem ręki zaprosił ich do środka.

— Od kiedy jesteście tacy punktualni? — zapytał z udawanym rozbawieniem.

Laura i Chris weszli, a za nimi to samo zrobili również Scott i Matt.

— Stwierdziłem, że trzeba nad tym popracować, kiedy dwudziesty drugi raz spóźniłem się na własne urodziny — odparł śmiertelnie poważnie Adams. Nie minęła jednak chwila, gdy jego piękną twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Chłopak uniósł ręce. — Theodor pieprzony Clark.

— To ja — odparł mój brat.

Po tych słowach Chris zamknął go w niemal braterskim uścisku. Było w tym coś, co dziwnie mnie ukłuło, bo w oczach obydwu chłopaków kryły się smutek i nostalgia.

— A ze mną to się już nie przywitasz? — zapytała ze swoim uroczym uśmiechem Laura i trąciła Theo w ramię.

Mojemu bratu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Szybko przyciągnął ją do siebie. Choć był bardzo szczupły, brunetka całkowicie zniknęła w jego ramionach.

— Z tobą zawsze — odparł miękko.

Nie zdziwiło mnie to, bo do Laury należało mówić jak najdelikatniej.

— Clark, gdzie twoja czapka? — zapytał zaczepnie Scott ze swoim charakterystycznym uśmieszkiem.

Theo odsunął się od Laury i popatrzył na Hayesa spod zmrużonych powiek.

— Gdzie twoja skórzana kurtka? — odplącił mu, a następnie zbił z chłopakiem piątkę. To samo zrobił z Mattem.

Gdy skończyli się witać, wiedziałam, że nadeszła moja kolej.

Zgrabnie wstałam z miejsca, wciąż zachowując obojętną minę. Znów uderzyło mnie to, że naprawdę minęły cztery lata od naszego ostatniego spotkania. Widać to było w ich doroślejszych twarzach, lekko zmienionych fryzurach i w sposobie ubierania się. Czulałam się dziwnie, ponieważ byli tacy znajomi i tacy obcy zarazem.

Scott uśmiechnął się delikatnie.

— Niezniszczalna Victoria Clark — westchnął cicho.

Wystarczyło spojrzeć w te wesołe ciemnobrązowe oczy, aby dostrzec, że to wciąż ten sam dzieciak, który wpadał w błoto w środku lasu.

— We własnej osobie — odparłam z udawaną wyższością, przez co nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Poczułam panikę, gdy ruszył w moją stronę, ale wiedziałam, że nie mogę tego pokazać. Przytulił mnie, a ja miałam ochotę się odsunąć, ale nie chciałam robić niepotrzebnego zamieszania. Ciepło jego ciała było znajome, czulałam się jednak cholernie niekomfortowo przez ten dotyk. Scott zaczął kołysać mną na boki i potrząsać jak lalką.

— Cieszę się, że tu jesteś — powiedział cicho, a moje gardło się ścisnęło, bo naprawdę wyglądał, jakby szczerze cieszył go mój widok.

Oni wszyscy tak wyglądali. Poczułam się przez to jak ścierwo, bo ja po powrocie do Culver City błagałam tylko o to, aby przypadkiem ich nie spotkać.

W końcu Hayes się odsunął, ale nie zdążyłam odetchnąć z ulgą, bo znów poczułam obejmujące mnie ramiona, a następnie moje stopy oderwały się od ziemi. Matt okręcił się ze mną wokół własnej osi, a ja nie zaprotestowałam, choć chciałam uciec na drugi koniec pomieszczenia.

Po dłuższej chwili zostałam odstawiona na podłogę.

Ciemnoniebieskie oczy chłopaka błyszczały, a na jego ustach rozciągał się ten dobrze mi znany uśmiešek rozrabiaki. Matt Donovan był jak dzieciak z podstawówki i choć miał te dwadzieścia pięć lat, wciąż pozostawał rozbrykanym chłopcem z rumianymi policzkami.

Uniosłam kącik ust i przejechałam palcami po jego blond włosach, lekko je czochrając. Ku mojemu zdziwieniu przyszło mi to dość naturalnie.

— Nie wierzę, że nad nimi zapanowałaś — mruknęłam.

Na jego głowie zamiast dawnego nieokiełznanego buszu widniał ładny *quiff*.

— Muszę jakoś wyglądać dla moich panienek — odparł z uśmiechem godnym okładki.

— Dla kogo? — zakpiła Laura.

Matt westchnął z politowaniem, a ja spjrzałam we fiołkowe oczy Moore. Ciągle emanowała ciepłem, a gdy mnie przytuliła, mój dyskomfort był nieco mniejszy niż przy chłopakach, choć wciąż mi towarzyszył. Dalej używała tych samych perfum i nadal miała więcej siły niż niejeden chłopak. Rozświetlała każdy mrok.

— Dobrze widzieć cię w takiej świetnej formie — wyszeptała, gdy się odsunęła.

— Ciebie też — odparłam tylko, bo nie wiedziałam, co innego mogłabym powiedzieć. Było lepiej, niż się spodziewałam.

Westchnęłam cicho, spoglądając na ostatniego gościa. Jego znałam najlepiej.

Nie zmienił się za wiele od ostatniego razu, gdy rozmawiałam z nim przez Skype'a. Jednak na przestrzeni czterech lat zmienił się ogromnie.

O Chrisie Adamsie można było powiedzieć wiele. W szkole średniej był bezapelacyjnie osobą, którą chciał być każdy. Nie chodziło nawet o to, że spał na pieniądzach, miał trzy piętra w domu, a do szkoły jeździł nowym jaguarem. Chodziło o jego pewność siebie, która onieśmiała. Chris nie bał się być sobą w świecie, w którym każdy pragnął być kimś innym. Nie bał się być miły, nie bał się szczerości, nie bał się pokazywać uczuć.

Dlatego kiedyś traktowałam go jak brata.

Po czterech latach stał przede mną młody mężczyzna, którego loki były modnie zaczesane, a jeden kędziorek zawadiacko opadał na czoło. Zawsze był wysokim dryblasem bez cienia mięśni i akurat to się nie zmieniło. Wyglądał świetnie w dopasowanym bordowym garniturze w złote motylki i białej koszuli z rozpiętymi dwoma guzikami. Przy jednej kieszeni zaczepił metalowy łańcuszek, który ciągnął się aż do czarnego paska z logo Louis Vuitton.

Poczułam, że szczerze za nim tęskniłam, bo był moim drugim bratem. Mógł nosić garnitury, modelować włosy jak do okładki „Vogue’a”, studiować na prestiżowym uniwersytecie, ale to wciąż był Adams z liceum.

— Długo cię nie widziałem na rodzinnych kolacjach — zaczął z nadmierną dramaturgią.

Zapomniałam, jaki jego głos był przyjemny dla ucha.

Spojrzałam w jego piwne oczy, które kojarzyły mi się z domem.

— Nie jadam żab — odparłam na pozór chłodnym tonem.

Chłopak wzruszył ramionami, nie wychodząc z roli.

— Mamy też ślimaki — powiedział, jak gdyby mówił o pogodzie.

Uśmiechnął się, a ja znów przez chwilę miałam siedemnaście lat.

Nie minęła sekunda i pewnie ruszył w moją stronę. Bez zastanowienia objął mnie i przyciągnął do siebie z taką mocą, że między nasze ciała nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki.

Chciałabym móc powiedzieć, że zabrał dyskomfort, że jego dotyk mi nie przeszkadzał, ale byłam tak zepsuta, że i tym razem pragnęłam jak najszybciej się odsunąć. Chociaż pachniał lasem, wanilią i domem.

Nie było już dotyku, który dawałby mi komfort.

Mimo to przyciskałam zimny nos do rozgrzanej skóry szyi Chrisa. Chciałam zachować ten moment na zawsze w swojej pamięci, bo to mógł być ostatni raz. Kiedy to, co dawniej mieliśmy na co dzień, stało się na wagę złota?

Chris nadal mnie przytulał, a ja czułam się coraz gorzej, więc delikatnie się od niego oderwałam. Chłopak uśmiechnął się promiennie. Nie wiedział, co przeżywam, ile obrzydzenia do siebie we mnie siedzi.

— The Culver Hotel? — zapytał zaczepnie Adams. — Zamieniasz się w bananowe dziecko? Myślałem, że to moja rola.

— Powiedz to panu „nie będę spał byle gdzie” — odparłam, wskazując głową Theo.

Chris pociągnął mnie za sobą na kanapę. Nie mogłam skupić się na niczym innym niż to, że ciągle trzymał moją dłoń. Zastanawiałam się, jak ją zabrać, nie sprawiając mu przykrości. Byłam paskudnym człowiekiem.

Scott z Laurą usiedli na kanapie naprzeciw nas, Matt zajął miejsce na jednym z foteli. Theo nadal stał, opierając się tyłem o parapet okna.

Byłam dumna z tego, że mój stres gdzieś uleciał, choć w głębi duszy wiedziałam, że to tylko pozory. Wciąż we mnie siedział, po prostu to nie tej części swoich byłych przyjaciół się bałam.

— Więc — zapytał Matt z psotnym uśmiechem — jak tam życie w Maine? Bo widzę, że wiecie wam się nieźle.

— Cóż, jest... — zaczął Theo i zerknął na mnie przelotnie — ... zimno.

Och, zamknij się.

— Jest okej — wtrąciłam się szybko. — Skończyliśmy studia i pracujemy. Wynajmujemy razem mieszkanie w Lewiston.

Małe kłamstwo. Theo skończył studia.

— To wspaniale! — ucieszyła się szczerze Laura. — My zamieszkaliśmy w Tampie na Florydzie.

Splotła dłonie, więc przelotnie na nie spojrzałam. Nie zauważyłam obrączki, co mnie zdziwiło, bo ona i Scott zaręczyli się dawno temu. Myślałam, że nie będą chcieli długo zwlekać i są już dawno po ślubie.

— Pracujemy — dodał Scott. — Laura w banku, a ja w domu. Lubię mieć coś swojego.

— Pan „znam-wszystkich-ludzi” nie lubi pracy z ludźmi. Typowe — prychnął z bezczelnym uśmiechem Matt, na co Scott strzelił w jego stronę palcami, ale i tak się uśmiechnął. — Cóż, z was wszystkich to chyba mam najciekawsze życie, nudziarze.

— Och, tak? — zapytałam, unosząc brew.

Odetchnęłam, gdy Chris w końcu puścił moją dłoń, aby nalać sobie wody do szklanki, która stała na stoliku.

Matt rozwalił się wygodnie na fotelu.

— Tak — potwierdził. — W końcu to ja jestem tu seksownym panem prawnikiem podróżującym po całym świecie.

— Po pierwsze — zaczął Scott, uśmiechając się perfidnie w jego stronę — nie jesteś prawnikiem, bo zawałiłeś ostatni rok studiów, a po drugie, nie podróżujesz po całym świecie. Jedyne po Ameryce, i to w obrębie trzech stanów, jak wracasz do rodziców.

Matt obruszył się na jego słowa i ze zbulwersowaną miną pokazał mu środkowy palec. Scott z triumfem opadł na oparcie kanapy, a Laura przewróciła oczami na ich dziecinne sprzeczki.

Te docinki, kłótnie, dogryzanie sobie... to wszystko było tak przyjemnie znajome.

— Przyjechaliście do hotelu razem? — zapytałam.

— Tak — odpowiedziała Laura. — Chris zadzwonił do mnie i trochę pogadaliśmy. Wiedzieliśmy, że wypadałoby się spotkać. My też planowaliśmy do was zadzwonić. Wiecie, wyjaśnić to wszystko. — Westchnęła, skubiąc palcami rękaw swojej koronkowej bluzki. — Ja zadzwoniłam do Matta i zdecydowaliśmy się we czwórkę do was przyjechać.

Powiadomiłam również Camerona, ale on powiedział, że przyjedzie sam troszkę później.

Pokiwałam głową.

— A reszta? — zapytałam z neutralną miną.

Atmosfera stawała się coraz gęstsza. Uśmiech spelzł z warg Matta, Scott zacisnął szczękę, a Laura odchrząknęła nerwowo. Chris szybko przejął pałeczkę.

— Napisałem do Mii — powiedział, ale jego głos nie był taki wesoły i radosny jak wcześniej. Jego oczy lekko przygasty, uśmiech stał się bardziej wymuszony. — Przyjedzie razem z Lukiem, Jasmine i Nate'em. Niedługo powinni być.

Skinęłam głową, nie chcąc dać po sobie poznać, że znów mam ochotę wyrzygać żołądek. Również zmusiłam się do uśmiechu, powracając spojrzeniem do reszty. Oni też wyglądali na zdenerwowanych, ale to nie była moja sprawa, więc nie pytałam.

Ciszę nagle przerwał Scott, który cicho się zaśmiał. Jednak w tym śmiechu nie było ani grama radości czy rozbawienia. Był to raczej suchy rechot, nieco ironiczny.

— No to obstawiamy — zaczął. Poziom jadu w jego głosie mnie zszokował. — Ile minut minie, zanim się pokłócą?

— Scott, przestań — szepnęła Laura. Popatrzyła na niego karcąco, na co wzruszył nonszalancko ramionami.

— No co? Taka prawda — odparł.

— On ma rację, wiesz o tym — wtrącił się Matt, który również nie był już tak uśmiechnięty jak wcześniej. — Ja obstawiam sekundy i będzie jeden wielki krzyk.

— Od razu zaznaczam, że jeśli ktoś zacznie się do nas rzucać, to nie będę siedział cicho — burknął chłodno Scott. — I jebie mnie to, czy znowu się pożremy, czy nie.

— Proszę, nie kłóć się z nimi — błagała Laura. — Ty też. — Spojrzała na Matta, który przewrócił oczami, ale tego nie skomentował. — Po prostu spokojnie porozmawiajmy.

— Wiesz, że to raczej niemożliwe — mruknął Scott. — Jak Nate i Cameron się spotykają, nie da się już normalnie gadać. Nie po tym wszystkim. Nie będzie jak kiedyś, bo to już nie są ci sami ludzie.

W ciszy przysłuchiwałam się ich rozmowie, zastanawiając się, o co takiego poszło, że byli ze sobą tak skłóceni. Nie zamierzałam jednak być wścibska.

— Więc... — odezwał się Chris, który chciał chyba jakoś rozładować atmosferę, ale lekkie drżenie jego głosu zdradzało, że i on był spięty. — Jak ten psychol was tu ściągnął? Ja dostałem list, że muszę odebrać stare dokumenty mojego ojca, co było totalnie dziwaczne, bo nie mam z nim kontaktu od pięciu lat. Ale typ był naprawdę przekonujący. Podał się za jego prawnika.

— My dostaliśmy telefon, że są nowe dowody w sprawie wypadku Laury — mruknął Scott.

— Do mnie zadzwonił, że są jakieś nieścisłości w związku ze sprzedażą mojego mieszkania w Culver City — poinformował Matt. — Posrana akcja. Nigdy nie sądziłem, że chodzi o to, żeby nas wszystkich tu sprowadzić.

— Jezu Chryste, co za dno — podsumowała Laura.

Powróciłam wzrokiem do profilu Chrisa. Chłopak pokrzepiająco się uśmiechnął.

— Cóż, mam nadzieję, że to jakoś ogarniemy, bo cała ta sytuacja jest... — Jego wypowiedź przerwało ciche pukanie do drzwi.

Och, kurwa.

Wszyscy jak na zawołanie spojrzeliśmy w tamtą stronę. Czułam, że obieg krwi w moim ciele się zatrzymuje. Już dawno nie miałam takiego problemu z zachowaniem obojętności. Z Chrisem utrzymywałam kontakt, może z Laurą, Scottem i Mattem nie, ale nie przeszkadzało nam to w luźnej rozmowie. Z osobami za drzwiami mogło być inaczej.

Wiedziałam, że stał tam chłopak, który wyrzucił moje życie do góry nogami. Chłopak, którego miałam nigdy więcej nie spotkać. Rozstaliśmy się w przyjaznych stosunkach, bez krzyków i kłótni, więc dlaczego było ze mną tak źle?

Theo przełknął ślinę, on również się denerwował przez pewną wysoką, niebieskooką blondynkę, która niegdyś była dla niego całym światem. Odchrząknął i odprowadzony wzrokiem przez wszystkich w pomieszczeniu podszedł do drzwi.

A potem je otworzył i stanął z boku, aby tylko na nich nie spojrzeć.

Zawiesiłam wzrok na dwóch dziewczynach, które przekroczyły próg. Obie miały włosy w kolorze blond, jedna platynowe, podchodzące pod kolor szary z ciemnym odrostem u nasady, druga wpadające w złoto. Po wejściu stanęły niepewnie obok siebie.

Theo obserwował Sharewood z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Jasmine obdarowała go krótkim, jakby nieśmiałym spojrzeniem i szybko odwróciła głowę. Jej twarz przybrała oschły wyraz, niebieskie oczy stały się beznamiętne.

Mój brat znów odchrząknął cicho i również odwrócił wzrok. Posłał Mii wymuszony uśmiech.

— Cześć — przywitał się miło, na co blondynka nerwowo uniosła kącik ust.

Wsadziła dłoń do kieszeni męskiej skórzanej kurtki, którą miała na sobie. Była na nią o wiele za duża, ale i tak wyglądała w niej ślicznie.

— Cześć — odparła, a ja poczułam, jakby coś ścięło mnie z nóg, mimo że przecież siedziałam.

To był pierwszy raz od lat, kiedy usłyszałam jej delikatny głos. Wyglądała tak jak zawsze, luźno, ale elegancko w czarnych jeansach i beżowym topie. Tępo wpatrywałam się w jej twarz, piękne oczy, ostre rysy i ładne usta. Doskonale pamiętałam te wszystkie momenty, kiedy wyplakiwałam się w jej ramię, bo w moim życiu coś się pieprzyło, kiedy się śmiałyśmy i kiedy się złościłyśmy.

Pamiętałam te chwile, gdy nazywałam ją siostrą.

Mia jakby wyczuła, że ją obserwuję, bo obróciła głowę, a nasze spojrzenia się skrzyżowały. Jej niebieskie oczy lekko załśniły, kiedy wpatrywałyśmy się w siebie w całkowitym milczeniu. Sama nie wiedziałam, co chcę zrobić. Odezwąć się, przytulić, przeprosić? Zastanawiałam się, czy ona czuje to samo.

Jednak rzeczywistość była, jaka była. Mia zdecydowała się tylko na beznamiętne uniesienie kącika ust, a potem odwróciła wzrok.

Czy nie tak właśnie miało to wyglądać? Przecież już się nie przyjaźniłyśmy.

Zachowując obojętność, przeniósłam spojrzenie na chłopaków, którzy chwilę wcześniej weszli do pokoju. Luke Mitchell niewiele się zmienił. Przemknął wzrokiem po twarzach wszystkich obecnych. W końcu

z poważną miną podał rękę Theo. Był przy tym niebywale zachowawczy i... oschły.

A potem znów zobaczyłam *jego*.

Pusty wzrok chłopaka nie zatrzymał się na nikim nawet na milisekundę. Z obojętną miną przywitał się skinieniem głowy z moim bratem, a następnie stanął obok Jasmine i wsadził ręce do kieszeni spodni. *Och, kurwa*. Nie mogłam powstrzymać się przed zlustrowaniem jego sylwetki. *On* był jak magnes. Nieważne, czy miał lat dziewiętnaście, czy dwadzieścia pięć.

Był ubrany w czarne spodnie oraz tego samego koloru luźną, wkładaną przez głowę bluzę z kapturem, spod której wystawała biała koszulka. Na stopach miał biało-czarne buty Nike, a na jego opalonej szyi dostrzegłam nie jeden, ale dwa medaliki.

Odziany w czerń, z bijącym od niego chłodem i obojętnością wyglądał tak jak kiedyś. *Idealnie*.

Kiedy już miał na mnie spojrzeć, szybko odwróciłam wzrok i popatrzyłam na brata, który zamykał drzwi. Ze znużeniem uniosłam brodę i wygodnie rozsiadłam się na kanapie.

— Super, że już jesteście — odezwał się nagle Chris, wstając z miejsca. — Dobrze was widzieć.

Chłopak przywitał się uściskiem dłoni z Nathanielem i Parkerem, a następnie wziął w ramiona Mię, która delikatnie się uśmiechnęła, ale ten uśmiech nie sięgał jej oczu. Z Jasmine przywitał się skinieniem głowy, bo... to Jasmine. Scott i Matt zrobili podobnie. Laura za to z ciepłym uśmiechem przytuliła się do każdego. W objęciach Sharewood pozostała nieco dłużej.

Wiedziałam, że nie mogę siedzieć jak kołek, więc zebrawszy w sobie całą odwagę, wstałam i poprawiłam marynarkę. Musiałam zachować neutralność i pokazać, że to wszystko to dla mnie pestka.

Jest dobrze. W końcu nie mdleję i nie rzygam jednocześnie. Jeszcze.

To był ten niezręczny moment, kiedy znów nie wiedziałam, co mam zrobić. Podejść i się przytulić? Uścisnąć dłonie? Coś powiedzieć? Nie miałam, kurwa, pojęcia, więc po prostu stałam w miejscu z założonymi na piersi rękami. Oni również wyglądali, jakby ta sytuacja była dla nich niekomfortowa. Naprawdę nie wiedziałam, co by było, gdyby nie Laura i Chris, którzy uratowali sytuację.

— Jest już Cameron? — zapytał nagle Luke, patrząc na mojego brata.

— Nie, jeszcze go nie... — Wypowiedź Theo przerwało ponowne pukanie do drzwi i wszyscy spojrzeliśmy w ich kierunku. — Już jest.

Jasmine, Mia, Luke i Shey ruszyli do przodu, aby nie stać w przejściu, ale zatrzymali się w bezpiecznej odległości ode mnie, Matta i Scotta, którzy nadal siedzieli na swoich miejscach.

Mój brat po raz trzeci otworzył drzwi i tym samym wpuścił do środka wysokiego bruneta w czarnym płaszczu do kostek. Cameron spojrzał na niego z lekkim uśmiechem, a następnie sprawnie ściągnął czarne skórzane rękawiczki, schował je do kieszeni i przywitał się z Theo uściśkiem dłoni.

— Cześć — powiedział Theodor.

Cameron z gracją godną księcia jakiejś zapomnianej wyspy wszedł do środka i rozejrzał się po pokoju. Kątem oka zerknęłam na Sheya, ale ten nie patrzył w stronę swojego... byłego przyjaciela? Ze znudzoną miną opierał się bokiem o ścianę.

— Och, jak za starych, dobrych czasów — rzucił Wilson, charakterystycznie akcentując poszczególne słowa.

— Nie bądź złośliwy — upomniała go Laura, kiedy chłopak przywitał się z nią cmoknięciem w policzek.

— Czasami muszę — odparł niezrażony.

Kiedy skrzyżował spojrzenie z Chrisem, uśmiechnął się szerzej. Wyciągnął w jego stronę dłoń, którą Adams potrząsała. Na pozór obojętnie, ale po jego czerwonym karku widziałam, że się zestresował. Szybko wycofał rękę, odchrząkując.

Następnie Cameron bez wahania podszedł do Mii i Jasmine. Również przywitali się muśnięciem policzków. Ani razu nie popatrzył na Luke'a i Nathaniela, zupełnie jakby nie istnieli. Oni zresztą potraktowali go tak samo.

Czyli potwierdziło się to, co mówiła Ashley, i to było smutne. Wyjeżdżając, zostawiłam paczkę przyjaciół, a w tamtym momencie część z nich wyglądała tak, jakby za karę oddychali tym samym powietrzem.

Cameron w końcu spojrzał na mnie, a gdy to zrobił, na jego pięknej twarzy znów wymalował się delikatny uśmiech. Uniosłam pytająco brew, kiedy znalazł się tuż przede mną, z nieodgadnioną miną wpatrując się w moją marynarkę. Jego zielone oczy pozostały czujne.

— Czy mnie się wydaje, czy kradniesz mi styl? — zapytał swoim niemal patetycznym tonem, unosząc brew.

Wzruszyłam ramionami.

— Czasami muszę — spaugowałam jego wcześniejsze słowa.

Uśmiech chłopaka się powiększył. Złapał moją prawą dłoń i złożył na niej krótki pocałunek, nie tracąc ze mną kontaktu wzrokowego. Przewróciłam oczami, unosząc kącik ust.

Trwało to sekundę, po czym wyprostował się i spojrzał na resztę, przywołując na twarz beznamiętną minę. Bez słowa usiadł na kanapie naprzeciwko Scotta, a następnie elegancko założył nogę na nogę, jedną rękę kładąc na oparciu sofy.

Stwierdzenie, że było niezręcznie, to kurewskie niedopowiedzenie.

Przez pierwszą minutę nikt się nie odezwał, bo nikt nie chciał tam być. Popatrzyłam na Chrisa, który pokręcił głową, spuszcżając wzrok. *Świetnie*, skoro sam Adams wymiękł, to nie wiedziałam, czy była jeszcze jakakolwiek nadzieja. Napięcie rosło z każdą sekundą. Zastanawiałam się, czy nie zacząć rozmowy jako pierwsza, w końcu to my ich zaprosiliśmy. Nadal byłam jednak zbyt dumną Victorią Clark. *Kurwa*.

— No dobrze — mruknął nagle Cameron, przez co prawie podskoczyłam w miejscu. Przyciągnął uwagę każdego w pomieszczeniu. Każdego z wyjątkiem Sheya. — Zastanawiam się, czy może zrobić się jeszcze bardziej niezręcznie, czy to już apogeum.

— Cameron... — jęknęła Laura, przymykając powieki.

— Możesz się chociaż raz zamknąć? — warknął Luke, spoglądając na Camerona z niebezpiecznymi ognikami w czekoladowo-złotyach oczach.

Mia szturchnęła go lekko w łokieć.

Cameron niezbyt przejął się jego słowami i wzruszył ramionami z nonszalancją.

— Mówię, jak jest.

— Każdy człowiek ma pewną zdolność. Potrafi się zamknąć, kiedy trzeba. Podobno jesteś inteligentny, więc weź ją czasem wykorzystaj. — Głos Sheya miał temperaturę zera absolutnego.

Zacisnęłam szczękę, przyglądając się jego oziębłej minie, kiedy miazdzącym wzrokiem taksował Wilsona. Dalej opierał się bokiem o ścianę z rękami założonymi na klatce piersiowej.

— Ludzie posiadają też zdolność myślenia — odparł niewzruszony Cameron, uśmiechając się ze sztuczną słodyczą. — Też mógłbyś czasem jej użyć. Chociaż z samodzielnym myśleniem to masz spory problem.

— Czy możemy pogadać i mieć to z głowy? — wtrącił się Scott.

— Wciąż stosujesz zasadę niewtrącania się? — zapytał zaczepnie Cameron, a Hayes się spiął.

Zerwał się na równe nogi i wskazał na niego palcem.

— Odpierdol się ode mnie — warknął, na co uniosłam brwi. — To nie jest moja bezsensowna wojna, tylko wasza. Nie wpierdalaj mnie w to.

— Wow, gdybyś miał takie podejście wcześniej — prychnął cicho Luke, kpiąco się uśmiechając.

— Hej, hej! — zawołał Matt, również podnosząc się z miejsca. Spojrzał wrogo na Mitchella. — Sam lepszy nie byłeś, a podobno jesteś najlepszym przyjacielem.

— Raczej wiernym pieskiem bez własnego zdania — fuknął Cameron.

— Ty to się możesz pierdo... — zaczął Luke.

Nagle przerwał mu głośny krzyk Laury:

— Możecie się już wszyscy zamknąć?! Nie chcę nic mówić, ale jakiś obcy facet sprowadził nas specjalnie do Culver City, aby zlecić nam odebranie chuj wie czego od typa, który przysporzył nam więcej kłopotów niż ktokolwiek inny w tym pieprzonym mieście! Nie wiadomo, skąd tyle się o nas dowiedział! Grzebał w naszej przeszłości, zapewne zna odpowiedzi na pytania, na które sami nie potrafimy sobie odpowiedzieć, a wy zaczynacie pieprzyć o głupotach i kłócić się o byle gówno jak pięciolatki?! Poważnie?! Czy nie moglibyście chociaż raz opanować hormonów i przez chwilę poudawać, że jesteście dorośli?!

Po wybuchu Laury zapanowała cisza, nikt nawet głośniejszo nie odechnął. Oddech dziewczyny przyspieszył, drżała, zaciskając drobne dłonie w pięści. Jej oczy ciskały gromy we wszystkie strony. Nie ma co, miała dziewczyna charyzmę. Zawsze matkowała wszystkim i to ona stawiała chłopaków do pionu. Jasmine z kolei jeszcze bardziej ich podjudzała, jakby miała ochotę obejrzyć przedstawienie, przegryzając popcorn.

Scott z Mattem spojrzeli po sobie i posłusznie usiedli. Kpiący uśmiešek zniknął z warg Camerona. Zastąpił go poważny wyraz twarzy, któremu towarzyszyła nawet lekka skrucha.

— Dobra — zaczął Chris, który najwidoczniej poczuł się pewniej. — Wiemy, że Vincent jest popieprzony. Grzebał w naszych papierach i pewnie ma różne dojsčia. Nie można go lekceważyć.

— Nie czujecie, jak to wszystko śmierdzi? — zapytała nagle Jasmine. — To brzmi jak jedna wielka bajka. Nawet nie powinniśmy się nad tym zastanawiać. To...

— Prawda — przerwałam jej.

Wszystkie spojrzenia skoncentrowały się na mojej twarzy, co lekko mnie zdenerwowało, ale zachowałam maskę obojętności. W końcu tylko to mi pozostało...

— Co? — zapytał zszokowany Chris.

— Dzwoniliśmy dziś do uniwersytetu w Kolorado. Potwierdzili słowa Vincenta. W naszym przypadku mówił prawdę.

— Poczekaj. — Matt uniósł dłoń, patrząc na mnie z niedowierzaniem. — Co zrobili?

— Wielki spoiler historii — mruknął nagle Theo, który opierał się plecami o drzwi z rękami założonymi na piersi. — Naszej matki nie było przy naszych narodzinach. Przebijemy niesamowity cud Boży i niepokalane poczęcie?

Coś mi się wydawało, że jego zgryźliwość wiązała się z wysoką blondynką, która ignorowała jego obecność. Chciałam wrócić do tematu, ale powstrzymały mnie przed tym czarne oczy.

Przysięgam, że starałam się odwrócić, nie zerknąć na niego i zignorować go, ale coś kazało mi skrzyżować z nim spojrzenie. Od czterech lat nikt nie patrzył na mnie tak okropnie prześwietlającym wzrokiem, jakby znał moje myśli. Jakby przywłaszczał sobie moją duszę i rozbierał moje ciało.

Nie miał do tego prawa. Już nie, więc bez wahania popatrzyłam gdzie indziej. Moja głowa była zamknięta dla każdego z zewnątrz. Nikt nie mógł w niej mącić.

— Vincent miał rację co do nas — powiedziała cicho. — A to znaczy, że mógł mówić prawdę i w waszym przypadku, choć tego nie wiem. Ale myślę, że on wie o nas coś, czego nie wiemy my.

— I mamy zamiar się tego dowiedzieć — dodał Theo, na co skinęłam.

— Chcecie mu pomóc? — zapytała Laura z lekkim niedowierzaniem.

— Tak.

I tak gorzej już być nie mogło.

— Dlatego po was zadzwoniliśmy — kontynuowałam — to od was zależy, co z tym zrobicie. Chcecie czy nie, on czegoś się dowiedział. I nie wiem, czy grzebanie w przeszłości jest dobrym pomysłem, ale nie zamierzam stać bezczynnie, kiedy ktoś śmieje mi się w twarz.

Znów zapanowała cisza, podczas której każdy pogrążył się w swoich myślach. Pytające spojrzenia przecinały powietrze.

— Czyli mu wierzysz?

Uniosłam wzrok na Mię, która wpatrywała się we mnie pytająco. To był pierwszy raz, kiedy odezwała się bezpośrednio do mnie. Westchnęłam cicho, wzruszając ramionami.

— Ja już nie mam komu wierzyć.

Mia zasznurowała usta i spuściła głowę, a w tym samym czasie Matt podniósł się z miejsca, nerwowo przeczesując dłonią włosy.

— Okej — zaczął — powiedzmy, że w to wejdziemy. Co dalej? Przecież żadne z nas nic nie wie. Nie wiemy nawet, gdzie znajduje się w tej chwili Brooklyn. Nie wiemy, jakiej rzeczy chce Vincent i czy rzeczywiście ta rzecz kiedykolwiek należała do niego. A jeśli chce ją ukraść? Sam mówił, że opłaceni ludzie nie dali rady tego zdobyć, a przypominam, że nie jesteśmy pieprzonym FBI. To nie jest film! Co, jeśli... nie wiem, na przykład chodzi mu o prochy? Nie mam zamiaru iść siedzieć przez takie coś.

— Nie chodzi o prochy. — Luke przewrócił oczami, wzdychając z politowaniem.

— Skąd wiesz, panie znawco? — zapytał bojowo Donovan.

— Widziałeś jego dom? — odpowiedział pytaniem na pytanie Parker. — Albo jego ochroniarzy? Albo obrazy na ścianach warte kilkadziesiąt tysięcy? Gdyby chciał prochy, to na pewno by ich nie kradł, wierz mi.

— Czyli zgadzasz się, że to będzie kradzież? Wybornie — zakpił Matt i znów usiadł na swoim miejscu. Wyrzucił ręce w powietrze. — Okej. Wchodzę w to.

Spojrzałam na niego jak na idiotę.

— Serio? — zapytałam. — Więc po co ten wykład?

— Dla zasady — odparł, a ja tego nie skomentowałam, bo naprawdę nie dało się skomentować Matta Donovana. — W sądzie najwyżej powiem, że zostałam zmuszony.

— Ty idioto. — Jasmine chwyciła się za głowę.

— Ja również się na to piszę — wtrącił się Cameron, niespiesznie wyciągając rękawiczki z kieszeni płaszcza.

— My też — powiedział nagle Scott.

Laura odrzuciła głowę w tył, patrząc na niego jak na kretyna.

— Bo co? — zapytała zdziwiona.

— Bo ktoś chciał cię zabić — odpowiedział poważnie, na co dziewczyna pokręciła głową, ale nijak tego nie skomentowała. — Przysięgam, że wyrównam rachunki, i to zrobię.

Moore skinęła, chociaż nie wydawała się przekonana do tego pomysłu.

— Też w to wchodzię — rzuciła Jasmine, przez co Nathaniel obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

Nawet na niego nie zerknęła.

— Jak wy, to i ja — obwieścił wszem wobec Chris, unosząc dłonie ku górze.

— My także — zakomunikował Luke, na co Mia potaknęła.

A potem wszyscy popatrzyliśmy wyczekująco na Sheya.

Nie odpowiedział od razu, a zamiast tego głęboko westchnął. Spojrzał najpierw w oczy Luke'a, który ponaglająco uniósł brwi, a potem na Jasmine, która kiwnęła głową. Zacisnął szczękę, powstrzymując się od przewrócenia oczami.

— Naprawdę chce wam się w to bawić? — zapytał ponuro, a kiedy nie otrzymał odpowiedzi, odchylił głowę. — Wiecie, jakoś naprawdę nie chce mi się znów dla kogoś pracować. Z doświadczenia wiem, że to nikomu nie wychodzi na dobre.

— Naprawdę nie chcesz wiedzieć, kto cię wtedy wykupił i do kogo należysz? — dodał Scott, na co Shey się spiął.

Gdyby wzrok mógł zabijać, Scott wachałby już kwiatki od spodu.

— Do nikogo nie należę — warknął zimno Nathaniel. — Możemy zrobić tak. Wejdę w to dopiero wtedy, gdy dowiem się, o co gramy. I co mamy odzyskać. Inaczej nie ma opcji.

Przystaliśmy na ten warunek. Coś podpowiadało mi, że dla Vincenta to Nathaniel był kluczowym graczem. Jego odmowa mogła pokrzyżować plany mężczyzny.

Zgodziłam się, bo nie miałam nic do stracenia. Tamtego dnia zostałam pozbawiona ostatniej rzeczy, którą miałam. *Wiary*. Wiary w to, że ludzie, których kochałam, byli ze mną szczerzy.

— Okej, więc jesteśmy w tym wszyscy — mruknął Chris. — Jak powiadomimy tego świra?

— Cóż, wątpię, że ktokolwiek z was ma bezpośredni kontakt do Vincenta, więc można zadzwonić do tego prawnika, z którym rozmawialiśmy — zauważył mądrze Theo.

— Zadzwon i umówcie się na spotkanie — mruknęłam. — Ja idę zapalić.

Theo skinął, a ja z ulgą przeszłam do sypialni. Przymknęłam powieki, kiedy zamknęłam za sobą drzwi i odcięłam się od wzroku swoich byłych przyjaciół. Szybko zgarnęłam paczkę i zapalniczkę z szafki nocnej i wyszłam na balkon, gdzie zaciągnęłam się świeżym powietrzem. Dopiero przy wyjmowaniu papierosa zorientowałam się, jak mocno drżą mi ręce.

Raz po raz zaciągałam się nikotyną, obserwując panoramę miasta. Wydawało mi się, że to wszystko było irracjonalnym snem, z którego zaraz miałam się obudzić.

Nagle usłyszałam, jak przymknięte drzwi ponownie się otwierają. Byłam przekonana, że to Theo, i już miałam powiedzieć mu, że jeszcze nie skończyłam, gdy usłyszałam cichy głos:

— Można?

Zamarłam z papierosem pomiędzy wargami, a następnie się odwróciłam. Mia stała w progu z delikatnym uśmiechem na ustach. Wyglądała na niepewną.

Och, kurwa mać.

Szybko wyrwałam się z szoku i pokiwałam głową.

— Jasne — mruknęłam, czując przyspieszone bicie serca.

Odwróciłam się z powrotem, jeszcze głębiej zaciągając się papierosem, a ona stanęła obok mnie. Zaciśnęła dłonie na szczebelkach barierki i również spojrzała na widok przed nami. Czułam jej spięte mięśnie, ale nawet gdybym chciała, nie potrafiłam odezwać się pierwsza. Nie spodziewałam się, że za mną pójdzie. Nie byłam na to gotowa, ale czy na takie coś można być w ogóle gotowym?

— Nadal palisz — mruknęła nagle, a ja ledwo zdusiłam w sobie jęk.

Dziewczyna z bladym uśmiechem wpatrywała się to we mnie, to w fajkę w mojej dłoni.

— Tak, niestety jeszcze więcej niż kiedyś. Nie mam w sobie tyle samozaparcia, ile Theo.

— Theo rzucił? — zapytała szczerze zaskoczona. — Człowiek, który od czternastego roku życia wypalał pół paczki dziennie?

— Tak — odparłam, unosząc niemal niewidocznie kącik ust.

— Wow. — Zamyśliła się, marszcząc nos w zabawny sposób. — Prędzej spodziewałabym się, że Chris rzuci imprezowanie.

— Niemożliwe. — Pokręciłam głową, spoglądając na tłącego się papierosa. — Tego dewianta nie da się wyleczyć.

— Co racja, to racja.

Znów zapanowała między nami cisza, ale ku mojemu zdziwieniu nie była tak niezręczna, jak przypuszczałam. Zastanawiałam się, w którym wymiarze się znajduję, skoro rozmawiałam z Mią Roberts. Może to, że sama postanowiła do mnie przyjść, dobrze rokowało?

Przestań, jesteś tu na chwilę.

— Bardzo mi przykro, Victoria — wyszeptwała.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

— Przez co?

— Przez sprawę z twoją mamą — odpowiedziała. W tamtym momencie jej niebieskie oczy wyrażały jedynie współczucie.

Litość. Jak ja nienawidziłam pierdolonej litości.

— Ta — bąknęłam i zgasiłam papierosa. — Powinam się do tego przyzwyczać. Szczerość w rodzinie Clarków to śliski temat. — Mój głos ociekał jadem, ale Mii to nie zraziło.

— Wiem, że ta cała sprawa jest dziwna, ale szybko dowiemy się, o co w tym chodzi. Zobaczysz. — Jej słowa zabrzmiały jak obietnica.

Nawiązałam z nią kontakt wzrokowy i przez moment, przez dosłownie sekundę... czułam się, jakby te cztery lata nigdy nas nie rozdzieliły. Mia uśmiechnęła się, kiwając głową, jakby chciała dodać mi otuchy, i w dziwny sposób jej się to udało. Chociaż gadałyśmy tylko o papierosach i o tym, że moja matka nie była moją matką, co było naprawdę niezłym połączeniem.

— Dziękuję — odparłam cicho.

Byłam jej wdzięczna jak nikomu innemu. Byłam jej wdzięczna, bo uwierzyłam w to, że poznam prawdę.

— Nie ma za co. A teraz wracajmy. Pewnie czekają.

Skinęłam i w milczeniu wróciłyśmy do salonu. W pomieszczeniu toczyła się cicha konwersacja, na całe szczęście już bez złych emocji.

— Jutro o dwunastej w jego domu — obwieścił Theo, kiedy tylko mnie zobaczył.

Pokiwałam głową. *A więc jutro o dwunastej.*

— Było mi niezmiernie miło, ale będę się już zbierał. — Cameron wstał z miejsca.

— My też — powiedział Scott, patrząc na Laurę i Matta.

— Tak, to dobry moment, aby się ewakuować... — zaczął Donovan, ale przerwał mu dzwonek hotelowego telefonu.

Theo szybko go odebrał.

— Tak? W porządku, przekażę jej. Zaraz tam będzie.

— Co jest? — zapytałam, kiedy odłożył słuchawkę.

— Ktoś zostawił dla ciebie paczkę. Czeka w recepcji — powiadomił mnie.

Zaskoczyło mnie to.

— O, to nas odprowadzisz — ucieszył się Chris.

Miałam ochotę rozszarpać mu gardło za jego wybitnie inteligentny pomysł, ale zamiast tego tylko skinęłam głową.

Wszyscy szybko pożegnali się z Theo, a następnie wyszliśmy na korytarz. Szłam obok Chrisa w stronę wind, ale myślami byłam dalej na balkonie, gdzie rozmawiałam z Mią.

Przez roztargnienie nie zauważyłam nawet tego, że drzwi windy otworzyły się chwilę wcześniej i większość czekała już w środku. Zakląłam szpetnie w duszy, kiedy zorientowałam się, że stoję obok Nathaniela. Jak najszybciej chciałam wejść do windy, ale gdy tylko postawiłam tam stopę, coś zapiszczało. Od razu się cofnęłam, marszcząc brwi.

— Co do... — zaczęłam, bo na małym ekranie nad guzikami z numerami pięter wyskoczył czerwony komunikat.

„Maksymalne obciążenie”.

Maksymalne, kurwa, obciążenie.

— Cóż — zaczęłam, nie wiedząc, co zrobić.

Ze zdenerwowaniem, którego nie dałam po sobie poznać, spojrzałam na Nathaniela. Stał w bezpiecznej odległości ze zblazowaną miną. Tylko my nie wsiedliśmy do środka.

— Pojedziemy następną.

O Boże, o kurwa.

I może tylko mi się wydawało, ale dostrzegłam, że ta sytuacja rozbiła naszych znajomych. Na pewno nie wydawało mi się za to, że Luke cwanie się uśmiechnął, wciskając przycisk, aby drzwi windy szybciej się zasunęły.

— W takim razie miłej podróży — rzucił na odchodne, a cztery sekundy później drzwi się zamknęły.

Ktoś postawiony naprawdę wysoko musiał sobie ze mnie kpić. Zostaliśmy sami na korytarzu w niezręcznej — przynajmniej dla mnie — ciszy. Zerknęłam na Nathaniela kątem oka, gdy podszedł do windy obok i wcisnął przycisk przywołujący. Ignorował mnie. Założyłam ręce na piersi, obserwując błagalnie drzwi windy.

Boże, po co ja wychodziłam? Mogłam wystać po to Theo. Albo zamienić się z kimś miejscem. Albo może iść schodami?

Do kurwy, czym ja się denerwowałam? To tylko przejażdżka windą. Kilka pięter i tyle! A może miałam zacząć rozmowę? Jak powinno rozmawiać się z byłym niedoszłym chłopakiem? *Boże święty, będę rzygać. Tak, obrzygam ściany windy. Może obrzygam i jego? Nie chcę go obrzygać.*

— Nie to, że cię pospieszam, ale masz zamiar wsiąść? — Z letargu wyrwał mnie zniecierpliwiony głos chłopaka.

Zamrugałam i dopiero wtedy zorientowałam się, że stoi już w windzie. Z dłońmi w kieszeniach spodni patrzył mi prosto w oczy i czekał, aż wejść do środka.

Och, za jakie grzechy.

— Miałam ochotę jeszcze trochę popodziwiać aranżację ścian — mruknęłam, wskazując ręką na otoczenie. — To złoto nie pasuje do podłogi.

Nathaniel nawet tego nie skomentował, tylko ciężko westchnął. Weszłam do windy, zachowując przy tym jak największy dystans. Chłopak wcisnął odpowiedni guzik. Oboje obserwowaliśmy zamykające się drzwi, a ja czułam się tak, jakby ściany chciały zmiażdżyć mi mózg.

Wiedziałam już, co zrobić. Stać, nie odzywać się, przetrwać. Znajdowałam się w bezpiecznej odległości od niego, a winda była duża. Nie czułam jego zapachu i bliskości, której naprawdę nie chciałam. To nieco mnie podbudowało. Byliśmy starymi znajomymi.

— Zawsze jak jadę windą, to zastanawiam się, czy sznur zaraz nie pęknie i czy nie spadniemy, a potem rozbijemy się gdzieś w piwnicy.

Dlaczego ty umiesz mówić?

— Też właśnie o tym myślałem.

Nie kontrolując swoich ruchów, obróciłam głowę w jego stronę. Nie patrzył na mnie, obserwował drzwi przed sobą, wyglądając przy tym jak jedna z rzeźb Myrona. Nawet nie drgnął, chociaż zapewne czuł mój wzrok. Zastanawiałam się, czy aby na pewno to powiedział. Może się przesłyszałam?

— Więc miej nadzieję, że nie pęknie, gdy będziesz wracać na górę — dodał.

Drzwi w końcu otworzyły się na parterze. Chciałam skonać, kiedy Nathaniel, wychodząc, spojrzał na mnie przez ramię i uniósł kpiąco kącik ust. Było to prawie niewidoczne, ale ten pierdolony uśmiezek rozpoznałabym wszędzie. Potem chłopak zniknął za rogiem windy.

Tamtego dnia musiałam zjeżdżać do recepcji po raz drugi, bo zanim zdążyłam wyjść z szoku, drzwi ponownie się zamknęły, a winda wjechała na siódme piętro, ponieważ ktoś ją przywołał.

Czy on naprawdę...

— Ty dupku — warknęłam sama do siebie, gdy przetworzyłam słowa Nathaniela.

Ludzie stojący w windzie odsunęli się ode mnie na bezpieczną odległość.

Mieć asa kier

Wsadziłam wciąż tłącego się papierosa pomiędzy wargi i z niewzruszoną miną wpatrywałam się w dom Vincenta. Przypominał muzeum, do którego ani trochę nie chciało mi się wybierać. Przechyliłam lekko głowę, wydmuchując resztki dymu.

— Gotowa na spotkanie? — zapytał Theo, który stał po mojej prawej stronie. Dłonie wsadził do kieszeni luźnych spodni w kratkę Burberry.

Prychnęłam lekko pod nosem.

— Theo, nie mów jak jakiś tajny agent — mruknęłam, przewracając oczami, bo wyczułam w jego głosie dziwny dramatyzm. — To nie jest kolejny film z Liamem Neesonem.

— No mam nadzieję. Jeśliby tak było, zapewne skończylibyśmy uprowadzeni. Typ jest niesamowicie chujowym opiekunem.

Spojrzeliliśmy na siebie w tym samym momencie. Theodor zachował powagę przez może pięć sekund, nim lekkie uniesienie kącika ust zdradziło jego rozbawienie. Pokręciłam z niemocą głową, obserwując brązowo-zielone oczy brata, które tamtego dnia były czujne. W przeciwieństwie do mnie Theo odespał ciężkie noce, jego twarz była wypoczęta, włosy ładnie ułożone.

Słońce świeciło wysoko na niebie, przez co czułam pot spływający mi po plecach. Mimo że moja koszula w kolorze musztardowym była w miarę luźna, jej rękawy sięgały mi do łokci, a pierwszy guzik zostawiłam odpięty, nadal czułam, jakbym miała się ugotować. Zdecydowanie za bardzo przyzwyczaiałam się do temperatur w Maine.

— Boże, ale ty jesteś głupi — westchnęłam ciężko, wyrzucając niedopałek papierosa na chodnik. Przydeptałam go białym air force'em z niską cholewką. — Reszta już jest?

— Z tego, co napisał mi Chris, są wszyscy oprócz Camerona — odpowiedział.

Przygryzłam wewnętrzną stronę policzka, spoglądając na pomiętą kartkę, na której zaciskałam palce.

— Zabawne. Dziś mieliśmy siedzieć już w Maine.

— Boki zrywać — sarknęłam, przewracając oczami.

— Powiadomiłaś swojego kochasia, że nici z waszego spotkania? — zakpił równie nieprzyjemnym tonem.

— Tak, poinformowałam Noaha o tym, że się nie spotkamy — poprawiłam go.

Naprawdę nie rozumiałam, dlaczego Theo tak bardzo go nie lubi, ale przestałam pytać, gdy po raz czwarty odpowiedział „bo tak”. Byłam zirytowana, bo sobotę miałam spędzić miło właśnie z Noahem, a nie z Vincentem i swoimi byłymi przyjaciółmi.

Ignorując skurcz w żołądku, spojrzałam na świstek w swojej dłoni, który na początku był elegancką kartką w odcieniu śnieżnej bieli. Po moim wielokrotnym zginaniu i odginaniu stał się pomiętym kawałkiem gówna. Jednak mimo to nadal wyraźnie odznaczały się na nim słowa napisane pochyłym pismem:

Niezmiernie dziękuję Ci za chęć dalszej współpracy, Victorio.

Vincent

Czarny atrament raził mnie w oczy. Nadal zastanawiałam się, jak Foix wysłał tę kartkę do naszego hotelu. W końcu od momentu, gdy Theo wykonał telefon do Guevy, do chwili powiadomienia nas o czekającej na mnie w recepcji paczce minęło może z pięć minut. Wstrząsnął mną również fakt, że Vincent wiedział, gdzie się zatrzymaliśmy. Dotarło do mnie, jak potężnym człowiekiem musi być.

Czułam się, jakbym miała zwymiotować jajka sadzone, które jedliśmy z Theo na śniadanie.

Zacisnęłam usta w wąską linię i poczułam smak swojego wiśniowego błyszczyka. Ze złością zmiętałam kartkę i wcisnęłam ją do kieszeni swoich jasnych spodni w stylu mom jeans.

— O. Jest i on — powiedział nagle Theo.

Patrzył na coś po drugiej stronie ulicy, więc spojrzałam w to miejsce. Z żółtej taksówki wysiadał właśnie Cameron Wilson, który jak zwykle prezentował się dostojnie. Podziwiałam to, że w taki upał ma na sobie czarny płaszcz i gruby sweter.

Kiedy nas zauważył, na jego usta wkradł się mały uśmiešek. Szybko się rozejrzał i przeszedł przez asfaltową ulicę.

— Witam, moje drogie zabłąkane dusze — odezwał się, kiedy znalazł się już po naszej stronie chodnika.

Byłam mu wdzięczna za to, że jedynie skinął głową na powitanie i oszczędził mi zbędnego kontaktu fizycznego. Założyłam ręce na piersi, lustrując go wzrokiem.

— Jakim cudem jeszcze się nie ugotowałeś? — zapytałam lekko poirytowana.

Zerknęłam najpierw na swoje ręce, a później na gołe przedramiona Theo, który miał na sobie czarną koszulkę z rękawami do łokci.

— Cóż, Victorio. Z przykrością stwierdzam, że spadła ci odporność na ciepło. Taka pogoda w Kalifornii to prawie mróz — mruknął, mrużąc lekko jedno oko, na co tylko pokręciłam głową. — Czy reszta rybek z ferajny już jest?

Theo potwierdził:

— Czekają już w środku.

— Bosko. — Cameron zacmokał z udawanym zadowoleniem.

Dziwnie było usłyszeć, jak wyraża się o swoich najlepszych przyjaciółach w ten sposób. Jednak czy oni dalej się przyjaźnili? Cameron z Nathanielem byli dla siebie jak bracia, przetrwali razem wiele i nie pokłóciliby się o pierdołę. Dużo się zmieniło, odkąd pożegnałam ich cztery lata wcześniej, ale to już nie była moja sprawa.

— Chodźmy. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej — rzuciłam.

— Wchodzimy do paszczy lwa — zażartował Cameron.

Mnie nie było do śmiechu.

— To się skończy albo bardzo dobrze, albo bardzo źle — mruknął cicho mój brat.

— Możemy jeszcze zrezygnować — kontynuował Wilson. — I walczyć o życie.

Przewróciłam oczami przez tę zbędną dramaturgię.

— Jesteście idiotami — podsumowałam i ruszyłam przodem.

Pozłacana brama była otwarta, więc bez problemu weszliśmy na teren posesji. Czułam, jakby w moim żołądku stado gazeli wystraszone przez drapieżnika zerwało się do biegu. Sama tego chciałam, więc teraz musiałam sama się z tym zmierzyć.

Chociaż może nie tak do końca sama...

Przeszliśmy przez ogród pełen egzotycznych roślin i wspięliśmy się we trójkę po schodach. Theo wzruszył ramionami, a następnie chwycił metalową kołatkę i zastukał nią trzy razy. Nie minęło dziesięć sekund, a w progu przywitał nas ten sam mężczyzna co ostatnio.

— Witam — odezwał się miło. — Pan Vincent wraz z państwa przyjaciółmi czeka już w bibliotece.

— „Przyjaciółmi”? — parsknął Wilson sam do siebie.

Postanowiłam tego nie komentować.

Cameron i Theo przepuścili mnie w drzwiach, więc z rezerwą weszłam pierwsza. Nieprzyjemny dreszcz przeszył moje ciało, kiedy do moich nozdrzy dotarł zapach topiącego się wosku.

Starałam się robić dobrą minę do złej gry, gdy szliśmy korytarzem za kamerdynerem. Przywołałam na twarz maskę obojętności, chcąc pokazać, że mnie to nie rusza, choć z każdym krokiem było mi coraz trudniej.

Mężczyzna zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do pomieszczenia, w którym rozmawialiśmy dwa dni wcześniej. Spojrzałam nieufnie na jego uśmiech, a następnie, starając się nie wyrzygać własnego żołądka, weszłam do środka.

Przeżyłam małe *déjà vu*. Kto wie, może gdybym ostatnim razem tam nie weszła, nic by się nie stało i od czwartku wieczorem siedziałabym spokojnie w Maine?

Nie musiałam się rozglądać, aby zauważyć swoich dawnych przyjaciół. Scott z Laurą, Chrisem i Mattem siedzieli na jednej z kanap. Naprzeciw nich na wielkim fotelu zobaczyłam Jasmine z niewzruszoną miną i założonymi na piersi rękami. Nie zaszczyciła mnie ani jednym spojrzeniem, była zbyt zajęta obserwowaniem swoich paznokci. Mia z Lukiem zajmowali dwa krzesła obok siebie przy małym drewnianym stoliczku, na którym paliła się wysoka świeca. Milczeli.

Ścisnął mi się żołądek, kiedy Mia delikatnie uśmiechnęła się w moją stronę, kiwając na powitanie głową. Może lekko niepewnie, może bez

zbytniej radości, ale zrobiła to. To wszystko sprawiło, że poczułam się w tym wszystkim mniej sama. Może żadne z nas nie było samo.

W pierwszej chwili nie dostrzegłam tylko jednej osoby, która nigdy nie lubiła przebywać w tłumie. Nathaniel Shey stał obok filaru, opierając się o niego barkiem. Ręce miał założone na klatce piersiowej, a jego postawa wyrażała skrajne znudzenie. Był ubrany w szeroką białą bluzę z kapturem, spod której wystawał skrawek czarnej koszulki, w czarne jeansy i białe air force'y z zielonym znaczkiem. Włosy miał zmierzwione, jakby często przejeżdżał po nich palcami.

Przed oczami znów stanęło mi wspomnienie z windy i byłam pewna, że na jego twarzy zobaczę ten parszywy uśmiech.

Na szczęście to był chyba tylko wytwór mojej wyobraźni, bo kiedy chłopak na mnie spojrzał, jego mina pozostała chłodna i obojętna, a usta nie drgnęły ani odrobinę. Również zachowałam powagę i odwróciłam wzrok. Nie musiałam patrzeć na niego dłużej, niż było to konieczne.

— Och, Victorio! — Donośny głos sprawił, że drgnęłam.

Vincent stojący przy długim stole spojrzał na mnie z radością, a następnie zaklaskał i bez chwili wahania ruszył w moją stronę. Przygryzłam policzek, aby nic nie wydostało się z moich ust, choć tyle rzeczy chciałam z siebie wyrzucić. Pragnęłam wykrzyknąć mu w twarz, że wszystko zniszczył, że to przez niego ponownie jestem w tym mieście, ale tego nie zrobiłam. Zaciśnęłam zęby tak mocno, że poczułam metaliczny smak krwi.

Foix zatrzymał się przy mnie i chwycił moją dłoń w obie ręce.

— Ogromnie miło mi ponownie cię tu gościć — powiedział, a coś w jego oczach mówiło mi, że jest szczerzy.

Albo był dobrym aktorem.

— Chciałabym powiedzieć to samo, ale niestety nie mogę — odparłam oschle, wrywając dłoń. Nie zamierzałam być suką na pokaz, na pewno nie planowałam jednak być dla niego uprzejma.

Vincent nie przejął się moim podejściem. Podczas gdy on się uśmiechał, ja wpatrywałam się w niego z odrazą. Czułam ostry zapach jego wody kolońskiej. Był ekstrawagancki, a przy tym wyrafinowany i tajemniczy. Był jak tamto pomieszczenie, drogie i ekskluzywne, pełne przepychu, z ogromną liczbą książek, których treści nie znał nikt.

Zastanawiałam się, ile stracę, pomagając mu.

— Niezmiernie się cieszę, że przystałaś na moją propozycję — mruknął znacznie ciszej, jakby chciał, abym usłyszała to tylko ja. — Mam nadzieję, że mój list dotarł.

— Jeśli „listem” nazywasz jedno zdanie — odpowiedziałam, unosząc hardo głowę — to tak, dotarł. Nie będę pytać, skąd wiesz, gdzie mieszkam.

Po moich słowach parsknął niskim śmiechem i w końcu oderwał ode mnie wzrok.

— Może to i lepiej — odparł. — Theo. Cameron. Miło was widzieć.

Zacisnęłam ze złością szczękę. Vincent miał w sobie coś, co niesamowicie działało mi na nerwy. Może była to ta dziwna radość, a może patetyczność? Najbardziej jednak drażniło mnie to, że z jakiegoś powodu wybrał mnie na swoją ulubienicę. Od momentu, gdy przekroczyłam próg tego pomieszczenia trzy dni wcześniej, wydawało mi się, że podchodzi do mnie inaczej niż do reszty. Wciąż używał miłych słówek, patrzył na mnie z zachwytem, a potem ta karteczka... Nie rozumiałam, dlaczego to ja dostąpiłam tego wątpliwego zaszczytu. Nie byłam nikim szczególnym, wiedział coś o każdym z nas i od każdego czegoś chciał.

Oderwałam od niego wzrok i w końcu rozejrzałam się po pomieszczeniu. W jego rogach dostrzegłam czterech roślących mężczyzn, tych samych, którzy podczas naszego poprzedniego spotkania celowali w Theo. Przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz, kiedy to wspomnienie pojawiło się w mojej głowie.

— Usiądźcie, proszę. — Głos Vincenta oderwał mnie od tych cholernych myśli.

Obejrzałam się na brata, który kiwnął głową w stronę wolnej kanapy. Znajdowała się tuż obok tej, na której siedział uśmiechnięty od ucha do ucha Chris w dopasowanym garniturze w kolorze brudnego różu i w białym golfie. We troje tam ruszyliśmy i to był naprawdę czysty przypadek, że spojrzenia moje i Sheya się spotkały. To się po prostu stało.

W pierwszej chwili chciałam się odwrócić, ale szybko zrozumiałam, że nie mam się czego bać. W końcu to był *tylko* Shey. Sukinsyn patrzył na mnie chłodno, niewzruszony, więc odwdzięczyłam mu się tym samym. Bo dlaczego miałam się przejmować? Byliśmy historią.

Myślałam, że odwróci wzrok, ale on wciąż patrzył. Patrzył, jak podchodzi do kanapy. Patrzył, jak na niej siadam pomiędzy Theo a Came-

ronem. Patrzył, jak zakładam nogę na nogę, i ani na chwilę nie spuścił wzroku.

— Cieszę się, że jesteśmy już wszyscy — odezwał się gdzieś w tle Vincent, jednak niezbyt się tym przejęłam.

Shey zaczął mnie irytować. Po co ciągle tak patrzył? Nie mógł być bezczelny gdzie indziej? Wydawało mi się, że czeka tylko na to, aż się ugnę i spuszcze wzrok, ale ja, zamiast to zrobić, wyzywająco uniosłam brwi i posłałam mu równie chłodne spojrzenie. Pozornie nie zareagował, ale dostrzegłam, że jego oczy błysnęły zdziwieniem.

Dopiero wtedy zauważyłam, że jest naprawdę zmęczony. Oczy miał zaczerwienione i podkrążone, do tego był nieco bladejszy, ale mimo to...

Wygląda gorąco.

Zakłęłam szpetnie pod nosem przez swoje głupie myśli. Uważałam go za przystojnego, choć to już nic dla mnie nie znaczyło. Luźna obserwacja i stwierdzenie faktu.

Wygląda lepiej niż kiedyś.

— Wiedziałem, że jesteście inteligentni. Dlatego się zgodziliście — dotarła do mnie końcówka wypowiedzi Vincenta.

Mężczyzna z zadowoleniem splótł dłonie za plecami, a następnie powolnym krokiem zaczął spacerować po dywanie. Wciąż czułam ucisk na krtani. Spojrzenie Sheya mnie dekoncentrowało, naprawdę nie wiedziałam, o co mu chodzi. Przecież łączył nas tylko wspólny interes.

— A skoro się zgodziliśmy, teraz ty powiedz, czego chcesz — zażądał Scott.

Vincent tylko się uśmiechnął. Stanął tuż przy fotelu Jasmine, która spojrzała na niego z dołu, a następnie widowiskowo przewróciła oczami, czego mężczyzna nie mógł zobaczyć. Może to było idiotyczne, ale właśnie taka głupota sprawiła, że kąciki ust każdego z nas lekko się uniosły. Nawet Cameron musiał udąć, że drapie się po nosie, aby zamaskować uśmiech.

Tylko Theo nie wydawał się rozbawiony. On nigdy nie patrzył na nią tak, jak inni.

Bo nie wszystkie uczucia wypalały się na zawsze.

Męczyło go, gdy odwracała wzrok, cierpiał, bo nie zamieniła z nim ani jednego słowa. Bolało go to i słabo to ukrywał. Zastanawiałam się, czy Jasmine też tak na niego reaguje. Czy dalej coś do niego czuła? Przecież

minęły lata... Najsmutniejsze było to, że nie rozstali się dlatego, że nie chcieli być razem. Rozstali się przez odległość.

— Znowu pytanie, które nie jest najważniejsze — powiedział spokojnie Vincent.

— Cóż, dla mnie na przykład to pytanie jest bardzo ważne, bo nie mam zamiaru pójść siedzieć tylko dlatego, że chcesz zdobyć jakieś nielegalne gówno — wyprzedził Scotta Matt.

Ku naszemu zdziwieniu Vincent tylko cicho się zaśmiał, kręcąc głową. Cóż, ja osobiście nie widziałam w tym niczego zabawnego. Chyba każde z nas zgadzało się z Donovanem. To nie była zabawa. Nie, skoro nieznajomy facet przeprowadził śledztwo na temat naszego prywatnego życia. I nie, jeśli celowali do mojego brata.

— Zapewniam cię, Matthew, że to, co chcę odzyskać, nie jest nielegalne — odrzekł poważnie, ale jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

— Więc co to jest? — drążył Cameron. Z elegancją założył nogę na nogę, a jedną rękę położył na oparciu sofy tuż za moimi plecami.

— Walizka — odpowiedział po chwili ciszy Vincent.

— Hm, walizka — powtórzył Cameron. — A co się znajduje w tej walizce?

— To nieisto... — zaczął mężczyzna.

Nagle przerwał mu niski głos:

— Jeśli wypowiesz to słowo, w dziesięć sekund wyjdę z tego domu. Więc lepiej dwa razy się zastanów. — Ton Sheya był nad wyraz spokojny, ale przez to brzmiał jeszcze bardziej przerażająco. Nathaniel wydawał się poważny i opanowany, jednak wystarczyło zerknąć w jego martwe oczy, aby zrozumieć, że nie żartuje.

Vincent wpatrzył się w twarz Sheya, a jego uśmiech lekko przygasł. Widziałam, że toczy sam ze sobą wojnę, ponieważ wiedział, że Nathaniel może w każdej chwili wyjść, a z pewnością było mu to nie na rękę. To Shey miał największe powiązania z Brooklynem i choć Foix wyglądała na człowieka, któremu nie stawia się warunków, Nathaniel miał w tamtym momencie przewagę.

Vincent odchrząknął.

— Dobrze więc — zgodził się i choć starał się grać niewzruszonego, w jego głosie wyczułam ledwo słyszalne podenerwowanie. — W walizce nie ma żadnych nielegalnych rzeczy. Prawdę powiedziawszy, dla osób

trzech jej zawartość niewiele znaczy, ale dla mnie jest niesamowicie ważna i ma wartość sentymentalną. W walizce znajdują się pamiątki po mojej zmarłej matce.

Zmarszczyłam brwi, słysząc tę odpowiedź. Wydawało mi się, że Vincent sobie z nami pogrywa, a po skończonych minach reszty wywnioskowałam, że również tak uważają.

— To tyle? — zapytał Matt. — Ściągnąłeś nas tutaj, żeby odzyskać magnes na lodówkę?

Słowa Donovanana wyraźnie rozdrażniły mężczyznę, bo zacisnął usta w wąską linię i posłał mu piorunujące spojrzenie, od którego zrobiło mi się zimniej.

— To nie żaden magnes na lodówkę — powiedział oschle. — W walizce jest sporo prywatnych rzeczy mojej matki. Nasz rodzinny dom spłonął w pożarze. Niestety była wtedy w środku. Wszystko strawił ogień, przetrwało zaledwie kilka rzeczy, które są w tej walizce. To jedyne pamiątki.

Na jego ustach błąkał się smutny uśmiech, ale choć była to straszna historia, nie potrafiłam mu współczuć. Wzbudzał we mnie zbyt wiele negatywnych emocji. Nie miałam pewności, czy nas nie oszukuje, ale coś podpowiadało mi, że mówił prawdę.

Trochę zaskoczyło mnie to, że te wszystkie starania, jakie podjął, były po to, aby odzyskać kilka na pozór nieistotnych rzeczy. Jednak czy mogłam mu się dziwić? Na jego miejscu pewnie zrobiłabym to samo. Poruszyłabym niebo i ziemię, aby odzyskać coś, co przypominało mi o mamie... a raczej o kobiecie, która mnie wychowała.

Zacisnęłam szczękę, bo dopadła mnie bolesna myśl.

— Okej — powiedziała Laura. — W porządku. Mamy odnaleźć walizkę. Znajduje się u Brooklyna White'a, tak?

Vincent skinął głową, ale na wzmiankę o Brooklynie jego uśmiech stał się bardziej wymuszony.

— Ukradł ci ją?

— Zabranie czyjejs rzeczy bez pozwolenia to kradzież, więc tak. Ukradł.

— Wcześniej powiedziałaś, że twoi ludzie nie dali rady mu jej odebrać — ciągnęła, mądrze dobierając słowa. — Więc dlaczego my?

Po tym pytaniu oczy Vincenta zaświeciły się, jakby tylko na to czekał.

— I tu przechodzimy do sedna sprawy. — Klasnął z zadowoleniem w dłoń. — Widzicie, tu nie chodzi o to, że ja nie potrafiłem mu jej odebrać. Ja niestety nie mogłem mu jej odebrać. I nadal nie mogę.

— Dlaczego? — zainteresował się mój brat.

— Ponieważ od czterech lat nie mam pojęcia, gdzie Brooklyn się znajduje.

Po tych słowach przez dobre dziesięć sekund nikt nic nie powiedział. Rozchyliłam szerzej oczy, mając nadzieję, że on tylko zażartował, jednak przedłużająca się cisza rozwiewała wątpliwości. Mówił prawdę.

Jasmine prawie zachłysnęła się powietrzem, Luke z całej siły uderzył się dłonią w twarz i zwiesił głowę. Reszta patrzyła na Vincenta jak na idiotę. Mnie przemknęło przez głowę, że ta myśl o filmie z Neesonem nie była jednak taka głupia.

— Poczekaj, kurwa, bo... — zaczął Chris, jakby chciał to jakoś stworzyć — chcesz powiedzieć, że ty i twoi ludzie szukacie go od czterech lat i nadal go nie znaleźliście? Ludzie, którzy zapewne są wyszkoleni do takich zadań? Którzy się tym zajmują zawodowo?

— To właśnie powiedziałem — odparł Vincent, niezbyt przejęty naszą reakcją.

Jego szczerłość wprawiła Adamsa w chwilowe osłupienie, ale ten stan nie trwał długo. Moment później oczy chłopaka powiększyły się do niebotycznych rozmiarów. Wyrzucił ręce w powietrze i krzyknął:

— I NIBY JAK MY MAMY GO ZNALEŹĆ?!

Piskliwy wrzask Chrisa sprawił, że się skrzywiłam. Chyba znalazłam kolejną zaletę niepalenia papierosów, Chris miał naprawdę mocne płuca. Może jego pytanie było uzasadnione, ale mógł ściszyć głos o kilka decybeli, bo szyby w oknach zadrżały.

Cameron zacisnął szczękę, przykładając palec do ucha. Vincent, podobnie jak ja, lekko się skrzywił, ale nie wydawał się zły na Adamsa. Wręcz przeciwnie, jego usta wygięły się pod wpływem wyraźnie widocznego rozbawienia.

— Dlatego właśnie was tu ściągnąłem — rzekł spokojnie.

— Nie chcę się wtrącać, ale... jak mamy to zrobić? — zapytałam nagle, unosząc głowę. — Nie wydaje mi się, by był wśród nas Harry Houdini. Nie wyciągniemy ci Brooklyna ot tak, z kapelusza. Skoro

ludzie, którzy zajmują się tropieniem innych, go nie znaleźli, to chyba sięgnąłeś nas tu na darmo.

Vincent spojrział mi prosto w oczy, a jego uśmiech lekko przygaśł. Westchnął cicho i ruszył w kierunku dużego okna, ponownie splatając dłonie za plecami, co było chyba pewnego rodzaju odruchem.

— Zawsze miałem bardzo dobre stosunki z Brooklynem — zaczął, co upewniło mnie w przekonaniu, że zna White'a. — Pracował dla Anthony'ego, z którym robiłem interesy.

— Dla kogo? — zapytał zdziwiony Luke.

— Dla Venoma — odpowiedział Nathaniel, uprzedzając Vincenta.

Wszyscy jak na zawołanie spojrzeliśmy na chłopaka. Nie zmienił pozycji i wciąż wyglądał tak przerażająco spokojnie. Foix uśmiechnął się delikatnie i skinął głową.

— Masz rację. Oczywiście, że to wiesz, bo przecież dla niego pracowałeś. — Zaśmiał się cicho, ale Nathaniel nie podzielał jego rozbowienia. — Tak, Anthony to Venom. — Zamilkł na moment, po czym zaczął opowiadać: — Poznałem Brooklyna, kiedy miał dwadzieścia lat. Anthony był od dłuższego czasu moim dobrym znajomym. Pomagał mi z interesami na Zachodzie. Przygarnął Brooklyna, gdy ten był bezdomny i nie miał grosza przy duszy. Zaopiekował się nim. Traktował go jak własnego syna. Wziął pod swoje skrzydła, a za to Brooklyn stał się dla niego najbardziej oddaną osobą, jaką miał w swoim otoczeniu. Anthony miał siedem córek i żadnego męskiego potomka, więc nikt go nie zdziwiło, że chciał, aby to Brooklyn go zastąpił — dodał i westchnął ciężko.

Nie sądziłam, że Brooklyn miał taką przeszłość, ale nie było mi go szkoda. Jego przekrwione od prochów oczy i zapadnięte policzki nadal nawiedzały mnie w koszmarach.

Zastanawiałam się, czy Nathaniel o tym wiedział. Chłopak wpatrywał się w Vincenta z lekkim zaciekawieniem, więc wywnioskowałam, że nie miał pojęcia. Trochę mnie to zdziwiło, bo w końcu siedział w tym przez wiele lat. Być może znowu w to wszedł, w końcu nie widziałam go szmat czasu i nie miałam pojęcia, co u niego. Takie sytuacje jak ta pokazywały, ile jeszcze nie odkryliśmy. Ile spraw było zamkniętych w tym mahoniowym pudełku, do którego kluczyk musieliśmy zdobyć.

— Brooklyn nie był złym człowiekiem. Był oddany, ale Anthony rozwinął w nim jedną przekłątą cechę. Stał się zbyt dumny. Przerosły go jego własne ambicje. Chciał więcej i więcej. Anthony oddał mu całe Culver City na własność, a sam zajął się ważniejszymi sprawami. Ja byłem wtedy we Francji, skąd zresztą pochodzę. Tam prowadziłem swoje interesy — przerwał na moment. — Niestety w końcu Anthony zrobił coś, czego nie powinien był robić.

— Co zrobił? — zapytał Theo.

— Anthony myślał, że oszuka śmierć — odparł, przez co moją skórę pokryła gęsia skórka. — Zawsze był dumny. Zawsze chciał mieć ostatnie słowo. Był zbyt wyniosły i to go zgubiło. Zadarł z ludźmi, z którymi nie powinien był zadzierać, bo chciał pokazać, ile może. To było cztery lata temu. Wróciłem akurat do Culver City w interesach. Jak zawsze miałem ze sobą walizkę. Jeździłem z nią wszędzie i każdy wiedział, że ma dla mnie dużą wartość. Dzięki niej czułem bliskość matki. — Głos Vincenta nie był już tak radosny jak wcześniej, męczyzna mówił z mniejszą ekspresją, przygarbił się, a przy tym wydawał się spięty.

Zrobiło mi się niedobrze.

— Anthony przebywał w swoim domu za miastem z całą rodziną. To się stało w nocy, gdy wszyscy spali. Wtedy zjawili się ludzie człowieka, z którego Anthony chciał zakpić. — Kolejne westchnienie. Kolejny pełen napięcia oddech, który wyrażał bezradność, złość i tyle żalu... — Na jego oczach wyróżnęli mu całą rodzinę.

Przymknęłam powieki, czując żółć w gardle.

— Bez skrupułów poderżnęli gardła jego córkom, a on na to parzył. Najstarsza miała dwadzieścia pięć lat, a najmłodsza zaledwie siedem. Zamordowali je wszystkie. Potem zabili jego żonę, całą ochronę i pomoc domową. Wszystkich. I kazali mu patrzeć. Najgorsze było to, że jego nie tknęli. Nie zrobili mu nic. Po godzinie zostawili go w domu z czterdziestoma trupami. Był jedyną żywą osobą w całej posiadłości, kiedy następnego dnia znalazł go Brooklyn. Ale to już nie był Venom, którego znaleźliśmy.

Nie byłam pewna, czy chcę usłyszeć dalszą część tej historii. Może nie pałałam do Venoma sympatią... cholera, nienawidziłam go za to, że postanowił zrobić z Nathaniela maszynę do zabijania i zarabiania pieniędzy. Wykorzystał biednego chłopca, któremu zachorowała matka...

nikt jednak nie zasłużył na taką tragedię. To była jego rodzina, która zapewne niczym nie zawiniła. Niewinni ludzie zostali zamordowani na jego oczach, i to przez niego.

Był skurwielem, złamał Nathaniela, bawił się ludzkim życiem. To on zasługiwał na karę, nie jego bliscy. Ale czy ich śmierć nie była dla niego największą karą?

— Kiedy go znaleźli, próbował igłą i nitką przyszyć głowę swojej żony do reszty jej ciała. — Vincent cicho parsknął, choć to, co powiedział, nie było ani trochę zabawne. Ta informacja spowodowała, że przytknęłam sobie dłoń do ust i starałam się nie zwymiotować. — Anthony był, jaki był, ale kochał swoją rodzinę. Odebrali mu to, co było dla niego najważniejsze, więc nie wytrzymał. Dwa dni później zamknięto go w zakładzie psychiatrycznym, w którym siedzi do dziś. Postradał zmysły. Od tamtej pory nie ma z nim żadnego kontaktu.

— Na mieście rozniosła się plotka, że po prostu wyjechał... — powiedział cicho Luke, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Dla nich wszystkich był to taki sam szok jak dla mnie.

— Oczywiście, że tak — potwierdził Vincent. — Ludzie, którzy byli za to odpowiedzialni, zadbali, aby nikt nie dowiedział się prawdy. Oni nie potrzebują rozgłosu. Nikt nie mógł wiedzieć, że dwanaście mil od Culver City odbyła się rzeź. Pozbyto się trupów, zatarto wszystkie ślady, a Anthony'ego ubezwłasnowolniono i zamknięto w szpitalu gdzieś na północy Ameryki. Nie mogli go po prostu zabić. Nie, bo *go* zlekceważył.

— Kogo? — zapytała Laura.

— Człowieka, z którym zadarł. Pochodzi z Włoch. Nie znacie go.

— A co ma z tym wspólnego Brooklyn? — zapytał Scott.

— Przestraszył się. Anthony był dla niego jak ojciec, a poza tym White był jego prawą ręką. Bał się, że przyjdą i po niego. Zaczął wariować. Wszędzie węszył spisek. Nie mógł spać po nocach, powtarzał, że zabijają go we śnie. Zamykał się we własnej sypialni na klucz. Wynajmował coraz więcej ludzi do ochrony. Chciałem mu pomóc. Wiedziałem, jak ważny był dla niego Anthony, ale on uznał, że ja również byłem z nimi w zмовie, i... uciekł.

— Uciekł i zabrał walizkę — dokończył za niego Cameron.

— Przyszedł do mnie tamtej nocy, prosząc o pomoc. Wpuściłem go do własnego domu. Zaopiekowałem się nim, a on... — głos mężczyzny

zdradzał coraz większą wściekłość — ...strzelił do mnie. Bez wahania, chociaż znaliśmy się dwadzieścia lat. Strzelił, bo ubzdurał sobie, że zabije mnie, zanim ja zabiję jego. Myślał, że nie żyję, ale wziął walizkę, bo chciał mieć jakieś zabezpieczenie. Wiedział, jak ważna jest dla mnie jej zawartość. A potem uciekł i od tamtego czasu nikt go nie widział.

Wszyscy w ciszy analizowaliśmy jego słowa. Zmroziło mnie, gdy pomyślałam, że Nathaniel był kiedyś częścią tego świata. Pokręciłam głową z niedowierzaniem i mimowolnie spojrzałam na chłopaka, który z obojętnym wyrazem twarzy obserwował Vincenta.

Zastanawiało mnie, o czym wtedy myślał. Jego twarz była jak niezapisana kartka papieru, ale choć na pierwszy rzut oka nie było tego widać, wydawał się spięty. Pewnie nie chciał pokazać, jak ta opowieść na niego wpłynęła, ale ja to wiedziałam, bo jego rysy jeszcze się wyostrzyły. Chyba wciąż miałam ten cholerny nawyk dostrzegania tych niemal niezauważalnych oznak i przypisywania im znaczenia.

A może po prostu coś mi się ubzdurało?

Odwrociłam wzrok od kamiennej twarzy Nathaniela.

Mina Vincenta nie zdradzała w tamtej chwili ani śladu złych emocji czy smutku, malował się na niej pogodny uśmiech. Nie wyglądał na kogoś, kto właśnie opowiedział tragiczną historię o tym, jak jego przyjacielowi wyrznęli całą rodzinę. Jego opanowanie było jednocześnie przerażające i godne podziwu.

— Dalej nie wiemy, co my mamy z tym wspólnego — powiedział Matt.

Ta makabryczna opowieść sprawiła, że atmosfera stała się bardziej ponura. Wydawało mi się, że nawet świeczki w kandelabrach płoną słabiej.

— Mieliście z Brooklynem bezpośredni kontakt. Może nie wszyscy, ale część z was — mruknął, a jego wzrok zatrzymał się na Luke'u.

Mitchell odwrócił wzrok, przełykając lekko ślinę, co nie uszło mojej uwadze. Nagle przypomniałam sobie, jak razem spotkaliśmy Venoma. Przypadkiem się dowiedziałam, że Luke w przeszłości handlował dla niego narkotykami. Vincent też o tym wiedział.

Mina Mii wskazywała, że ona raczej nie była tego świadoma. Zdezorientowana patrzyła na Mitchella, który tylko pokręcił głową, posyłając jej uspokajający uśmiech.

Uważnie obserwowałam każdy pierścionek na swoim palcu, aby opanować stres. Zaczęłam sobie uświadamiać, że przez swoją szczerłość i chęć uzyskania odpowiedzi władowałam siebie i Theo w niesamowite gówno. Ludzie, którzy otaczali Vincenta, nie byli dobrzy. Narażaliśmy się, chociaż kiedyś obiecałam ojcu, a potem Erikowi, że będę unikać niebezpiecznych sytuacji.

— I co w związku z tym? — zapytał Cameron.

— Pytałem i szukałem ludzi, którzy mogli mieć jakiegokolwiek informacje o Brooklynie. Jego pracowników, znajomych. Nie miał rodziny. Miał jedynie Anthony’ego, z którym nie można się dogadać. — Głos Vincenta rozległ się gdzieś za moimi plecami, ale był rozmyty. *Niewyraźny*. Czułam się jak we śnie. — Chciałem się dowiedzieć, gdzie on jest. Przez cztery lata robiłem tylko to. Pragnąłem tego jak niczego innego. Dowiedzieć się, gdzie uciekł z moją własnością.

— Nie znajdziemy go. Wiesz o tym — odezwał się cicho Scott.

Chociaż nikt nic nie powiedział, wszyscy się z nim zgodziliśmy. Może i kiedyś mieliśmy kontakt z Brooklynem, ale to niczego nie zmieniało. Vincent nie patrzył realistycznie, miał w głowie plan nie do zrealizowania, bo był ogromnie zdesperowany. Nie mógł pogodzić się z tym, że znalazł się na przegranej pozycji.

Wiedzieliśmy to wszyscy. Wszyscy, z wyjątkiem samego Vincenta.

— Wiem — odparł Foix, a jego głos stopniowo stawał się coraz bardziej wyraźny. — Grono ludzi, którymi otaczał się Brooklyn, było bardzo wąskie. Nikt z nich nie wie, gdzie się podział. Jakby... rozpułnął się w powietrzu. I kiedy ostatnia osoba zawiodła, a ja straciłem już nadzieję, odpowiedź przyszła sama.

Wtedy doznałam olśnienia. Wiedziałam, co powie.

— Odpowiedź w postaci pewnej walki, która odbyła się przed pięcioma laty.

To było jak uderzenie obuchem. Moja głowa wystrzeliła w górę dokładnie w tym samym momencie, gdy poczułam wzrok Nathaniela. Nasze spojrzenia zderzyły się niczym dwa czołgi na polu bitwy. Zaschło mi w gardle.

Nie wiedziałam, co mam zrobić, więc tylko wpatrywałam się w jego puste, matowe oczy, których spojrzenie z sekundy na sekundę stawało się coraz bardziej przesywające. Wydawało mi się, że ktoś lub coś chce

rozbić mnie jeszcze mocniej, i trudno było mi z tym walczyć. Nathaniel ani na sekundę nie odwrócił wzroku i to było jak rozmowa bez słów.

Oboje wiedzieliśmy, że Vincent przywoła walkę Nathaniela z Codym Nixonem, jeszcze zanim to powiedział. Walkę o moją wolność, do której doprowadził Brooklyn. Słyszałam krew szumiącą mi w uszach i to, jak powoli biło moje serce.

— I co ma wspólnego z tym ta walka? — zapytał na pozór spokojnie Luke.

Znów słyszałam to jak przez mgłę. Wyraźne były tylko czarne tęczęwki chłopaka po drugiej stronie pokoju. Tylko one sprawiały, że całkiem nie odpływałam.

— Cóż. — Głos Vincenta przebił się do mojej świadomości. Wydawało mi się, że tkwię w bańce, w której prócz mnie były tylko tamte czarne oczy i ten głos. — Kiedy usłyszałam, że niejaki Nathaniel Shey wygrał wolność pewnej dziewczyny, którą interesował się Brooklyn, zrozumiałem, że nie ma sensu szukać White'a. Bo i tak go nie znajdę. On jest jak szczur, chowa się w ściekach i pojawia wtedy, kiedy sam tego chce.

— Nie chcesz, żebyśmy go znaleźli... — wyszeptał Theo.

— Jego się nie da znaleźć. Chcę, aby to on znalazł was.

— Dlaczego myślisz, że będzie chciał nas znaleźć? Nie jesteśmy dla niego istotni — powiedziała gdzieś w oddali Mia.

Ani na sekundę nie przerwałam kontaktu wzrokowego z Nathanielem. Czas spowolnił.

Już nie obchodziło mnie, co kto mówi. Skupiałam się jedynie na tym odcieniu czerni i na głosie za moimi plecami. Tylko te dwa elementy były istotne. Pierwszy sprawiał, że zachowałam świadomość, podczas gdy drugi kopał dla mnie mogiłę.

— Brooklyn ma asa w rękawie w postaci walizki. Ale my również mamy jednego w zanadrzu. I to bardzo cennego. Bo zawsze warto mieć asa kier.

— Co jest tym asem? — zapytał Theo.

Vincent nie musiał odpowiadać. Znałam odpowiedź, bo znalazłam ją w oczach Sheya, zanim w końcu powoli przesunął wzrok z mojej twarzy na coś nade mną. W tym samym momencie poczułam męskie dłonie, które zacisnęły się na moich barkach.

— Dawne zauroczenie.

Sygnet na palcu mężczyzny dotknął skóry na mojej szyi. Był tak zimny, że miałam wrażenie, jakby właśnie przystawiono mi nóż do gardła. Mimo że nadal wpatrywałam się w Nathaniela, który wbił wzrok w Vincenta, czułam na sobie spojrzenia wszystkich wokół.

— Chyba sobie w tym momencie żartujesz. — Śmiertelnie poważny głos mojego brata przeciął powietrze. Theo zerwał się na równe nogi i nie musiałam na niego patrzeć, aby wiedzieć, że właśnie spojrzeniem morduje Foixa. — Nie pozwolę, żebyś zrobił z mojej siostry mięso armatnie — warknął, a ton, jakiego użył, wywołał ciarki na moim ciele.

— Nie śmiałbym — odparł Vincent, nadal trzymając dłonie na moich barkach. — Znam prawdę. Brooklyn doprowadził do tego, że Nathaniel zgodził się na walkę dedykowaną. Kiedy ją wygrałeś — tu zwrócił się do Sheya — wielu ludzi zaczęło z Brooklyna żartować, a jego duma na tym ucierpiała. Znienawidził was wszystkich. Naprawdę mu się spodobałaś, Victorio — dodał, mocniej ścisnąwszy moje barki — ale z uwagi na zasadę nie mógł się do ciebie zbliżyć. Przez to był jeszcze bardziej wściekły. Paradoksalnie staliście się chyba jedynymi ludźmi, do których żywił uczucia. Nawet jeśli te uczucia sprawiały, że miał ochotę was powybijać.

Vincent westchnął i w końcu ściągnął dłonie z mojego ciała. Czułam, jakby sygnetem wypalili na mnie znamię. Jakby mnie oznaczył.

— Brooklyn nie jest głupi. Wie, co się dzieje w Culver City. Wie, że go szukam, więc wszyscy moi ludzie są spaleni na starcie. Ale na razie nie jest świadomy tego, że was znalazłem i że pracujecie dla mnie. Nie wie również, że ja sam jestem w Culver City. Wszyscy uważają, że siedzę aktualnie we Francji. — Zrobił krótką przerwę, a po chwili podjął wątek: — Brooklyn wiedział, że Victoria wyjechała i straciła kontakt z Nathanielem. Że się porozjeżdżaliście. Plotki to najszybsza droga, którą przekazuje się informacje w tym mieście. Dlatego wkrótce dowie się również, że wróciliście. On kocha zamieszanie. Kiedy coś się dzieje, ciekawość zjada go od środka, więc...

— Więc co? — dopytał Cameron.

— Więc macie go sprowokować do tego, aby tu wrócił.

W tym momencie chyba każde z nas miało już dość. Pomrugałam powiekami, czując, że oczy mnie pieką. Spuściłam wzrok z twarzy Nathaniela.

— Jak niby mamy to zrobić? — jęknął Matt, przykładając dłoń do skroni.

— To już pozostawiam wam. Wierzę w waszą inwencję twórczą — odparł z radością mężczyzna. — Jestem pewny, że z Nathanielem, który z nim wygrał, przez co Brooklyn poczuł, że bezczelnie z niego zakpiono, i z Victorią, która była jego małą obsesją, coś wymyślicie.

— To jest grubymi nićmi szyte — westchnął Scott. — Cały ten plan jest niepewny i opiera się na domysłach i przypuszczeniach. Brooklyn może się już nimi nie interesować. Nie wiesz, czy to się uda.

— Owszem. Nie wiem, ale aktualnie nie mam lepszego rozwiązania.
Kolejny pion się poruszył.

— Dlatego musicie się postarać — dodał.

Po wysłuchaniu rewelacji, jakie przekazał nam Vincent, poczułam, że muszę pobyć sama, pozbierać myśli. Zapytałam mężczyznę, gdzie mogę zapalić, i wyszłam z pomieszczenia, pozostawiając resztę w środku.

Pokręciłam ze zrezygnowaniem głową, kiedy pięć minut później stanęłam na patio i zapaliłam papierosa. Nie przyniósł mi ukojenia. Przeszłam kilka kroków do przodu, a deski pod moimi stopami skrzyptały. Oparłam się bokiem o jedną z kolumn, na których wspierało się zadaszenie.

Patio było ładne i duże, wykończone elegancko z wykorzystaniem ciemnego drewna i białego marmuru. Stało tam kilka foteli, a przy nich znajdował się średniej wielkości stół. Po pokonaniu pięciu schodków można było zejść do ogromnego ogrodu pełnego egzotycznej roślinności.

Zamyśliłam się. Nie wiedziałam, czy to wszystko ma sens. Czułam tyle obaw, ale chęć poznania prawdy o mojej rodzinie była zbyt wielka. Czy plan Vincenta mógł się w ogóle powieść?

Zacisnęłam palce na paczce papierosów, którą trzymałam w dłoni. Wokół było spokojnie i cicho, i to było tak odległe od tego, jak się czułam. Wyciągnęłam rękę, aby strzepnąć nadmiar popiołu na trawę, a potem ponownie się zaciągnęłam.

— Wiesz, że papieros skraca życie o siedem minut? — usłyszałam za sobą cichy, zachrypnięty głos.

Uniosłam wzrok, a dłoń ze spalającym się papierosem zastygła przy mojej twarzy.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że się przesłyszałam. W mojej klatce piersiowej coś zaświszczało i nie wiedziałam, czy to wina papierosów, czy szoku. To było dziwne, słyszeć, jak zwraca się bezpośrednio do mnie w rzeczywistości, a nie w snach.

Nawet pomimo upływającego czasu wciąż uwielbiałam jego głos. Był po prostu ładny i zawsze towarzyszyła mu chryпка, jakby Nathaniel właśnie spalił paczkę papierosów i dał się do jakiejś rockowej piosenki przez godzinę. Pasował do niego. Nieważne, czy straszyl nim, jakby chciał obudzić umarłego, czy przechodził do gorącego szeptu, którym niegdyś często mnie karmił.

W tamtym momencie ten głos sprawił, że nagle znów to poczułam: nie miałam się czego bać. *Bo to w końcu Nate*. Dlaczego miałabym się obawiać człowieka, który pokazał mi tyle wspaniałych rzeczy? Dlaczego miałabym obawiać się kogoś, z kim łączyło mnie tyle miłych wspomnień?

Moje wargi rozciągnęły się w delikatnym, szczerym uśmiechu. To stało się takie proste.

Powoli przekręciłam głowę i spojrzałam przez ramię na Nathaniela. Stał w otwartych drzwiach tarasowych, wyluzowany, z dłońmi schowanymi w kieszeniach jeansów.

— A nie o pięć? — zażartowałam, unosząc brew.

Bar, w którym pracował Luke, wieczór, tamta rozmowa wieki temu. Tak świetnie to pamiętałam.

Po moich słowach chłopak niemal niezauważalnie uniósł lewy kącik ust. To na pewno mi się nie przywidziało. Ani na chwilę nie przestał taksować mojej twarzy tym swoim przenikliwym wzrokiem, a napięcie, jakie się między nami wytworzyło, wcale nie było nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie, wydawało mi się, że z każdą sekundą jest prościej.

Wszystko się *uspokajało*.

— Nie, siedem — pozostał w pełni poważny, na co skinęłam głową, udając, że po namyśle się z nim zgadzam. — Ale na szczęście wiem też, co wydłuża o czternaście.

Wtedy już nie mogłam się powstrzymać. Głośno parsknęłam szczerym śmiechem. To ciągle był on. Cholerny i jedyny w swoim rodzaju Nathaniel Shey.

Pokręciłam z rozbawieniem głową, ponownie zerkając na ogród, a Nate podszedł bliżej. Nie wiem, jak to zrobił, ale poczułam się o wiele lepiej niż wtedy, kiedy paliłam w samotności.

— Cały Nathaniel Shey — mruknęłam z rozbawieniem, ponownie przykładając papierosa do ust.

Zaciągnęłam się, a on stanął obok w odległości jakichś sześciu stóp. Również wpatrywał się w ogród, nadal z dłońmi w kieszeniach. Milczeliśmy i, o dziwo, nie było niezręcznie. Gdy w przeszłości wyobrażałam sobie taką sytuację, byłam pewna, że zaczęłabym wariować, że nie byłibyśmy w stanie na siebie spojrzeć. W końcu *go zostawiłam*.

Myślałam tak jeszcze kwadrans wcześniej, ale kiedy pojawił się na tym cholernym patio i rzucił tekstem o papierosach i seksie, poczułam się swobodnie. Jakbyśmy byli dobrymi znajomymi, którzy od czasu do czasu dzwonią do siebie, aby porozmawiać o dzieciach i powspominać stare czasy.

Nie mieliśmy powodów, aby czuć do siebie nienawiść. Nie rozstaliśmy się w gniewie, łączyły nas wspólna przeszłość i wspomnienia. I to nie było smutne, było... piękne.

— Papierosa? — zapytałam, wyciągając paczkę w stronę Nathaniela.

Chłopak spojrzał najpierw na mój zachęcający uśmiech, a następnie na fajki w mojej dłoni i ponownie uniośł kącik ust.

Jeśli Bóg istnieje, to Shey jest z pewnością jego ulubieńcem.

To też się nie zmieniło. Kiedyś Nathaniel bardzo rzadko się uśmiechał, ale gdy to robił, słońce świeciło na niebie trochę jaśniej, wiatr wiał trochę słabiej, a ptaki śpiewały nieco głośniej. Jego uśmiech, choć nie dosięgał oczu, mógł wywołać noc spadających gwiazd. Ten uniesiony kącik ust... to było takie *znajome* i niesamowite. Znów widziałam go z bliska. Jego wystające kości policzkowe, prosty nos, kształtne usta. Każde znamię, każdą bliznę na nieskazitelnej skórze. Patrzył na mnie, a ja nie umiałam nic wyczytać z jego oczu. Prędzej przetłumaczyłabym encyklopedię po łacinie, niż odgadła, co siedzi w jego głowie.

Zmarszczyłam brwi, kiedy chłopak nachylił się lekko w moją stronę, nadal zachowując dystans, z czego się cieszyłam. Miał dziwny wyraz twarzy, jakby właśnie szykował się do wyjawienia mi tajemnicy narodowej. Może to nie była odpowiednia chwila, ale prawie parsknęłam śmiechem.

— Teraz cię zaskoczę — szepnął z nutką kpiny w głosie.

— Nie umiesz zaskakiwać — odszepnęłam, marszcząc przy tym nos.

— Już nie palę.

Nawet nie próbowałam ukryć szoku. Musiałam wyglądać naprawdę zabawnie, bo znów uniósł kąciki ust. Wyprostował się i powrócił do obserwowania ogrodu.

Wpatrywałam się w niego jak w egzotyczne zwierzę. Czy ja się prześlasytałam? To nie było możliwe, by chłopak, który spalał paczkę w dwa dni, przestał palić. Jego nieodłącznym atrybutem były czerwone marlboro. Pokręciłam głową, rozszerzając oczy i cofając dłoń.

— Jednak umiesz zaskakiwać — poprawiłam się. — Żartujesz czy jesteś poważny?

Wyrzuciłam peta na trawę, po czym bojowo wzięłam się pod boki i odwróciłam przodem do niego. Zmrużyłam powieki, patrząc na jego profil.

— Nieładnie tak śmiecić niedopałkami — mruknął, ignorując moje pytanie. Nawet na mnie nie zerknął, tylko wyciągnął dłoń z kieszeni i palcem wskazał niedopałek na trawie.

— Nathaniel — powiedziałam poważnie, ale nic nie mogłam poradzić na coraz szerszy uśmiech na mojej twarzy.

Nathaniel. Nathaniel. Nathaniel.

Tak dobrze było wymawiać to imię, gdy był obok, do niego, a nie w opowieściach o nim.

— No co? — zapytał i widziałam, że świetnie się bawi. — Nie wierzysz w moją przemianę? Teraz jestem oburzony — dodał ze sztucznym gniewem, który po chwili przerodził się na powrót w obojętność. — Jeden papieros skraca życie o siedem minut. Wziąłem sobie do serca własną radę. Rzuciłem trzy lata temu.

Wiedziałałam, że mówi szczerze. Nie sądziłam, że kiedyś nastanie taki dzień, gdy Nathaniel Shey pozbędzie się ze swojego życia papierosów. Dawniej były jego małym uzależnieniem, jak te cholerne miętowe gumy, które żuł nałogowo. Tak dobrze pamiętałam te wszystkie drobiazgi.

Byłam na siebie zła, że poczułam lekki smutek. Powinnam była się cieszyć, że już się nie truje. To lepiej, naprawdę, ale... ale to znów uświadomiło mi, jak wszystko się zmieniło. Papierosy to była ta *nasza rzecz*.

Opuściłam ręce wzdłuż ciała i delikatnie się uśmiechnęłam.

— Dobrze, że rzuciłeś — skomentowałam. — Gratuluję wytrwałości. Pożyjesz dłużej.

Chłopak spojrział kątem oka na mnie, a następnie na ogród.

— Każdy tak mówi — odparł.

— I każdy ma rację.

Spotkanie z dawnymi przyjaciółmi w naszym apartamencie, mimo moich obaw, wypadło przyjemnie, ale to nie było to samo, co z Nathanielem. Okazało się, że możemy rozmawiać normalnie. To był powiew świeżości, coś dobrego po całej tej stypie trwającej od kilku dni.

Z nostalgią spojrzałam na jego profil. Nie po to, żeby oceniać czy podziwiać. Patrzyłam na niego, by go zrozumieć, bo jedno było pewne... Nathaniel dorósł.

— Co u ciebie, Nate? — Mój głos był znacznie cichszy i spokojniejszy. Naprawdę ciekawiło mnie to, jak mu się żyło i jak się czuł.

Chłopak przez chwilę myślał nad odpowiedzią, wpatrując się w duże oczko wodne niedaleko, po którym pływały cztery kaczki. Oparłam tył głowy o kolumnę i czekałam.

— Okej — odparł prosto, wzruszając ramionami. — Chyba po staremu.

— Nadal pracujesz w warsztacie? — zapytałam, na co przytaknął.

— Tak, Mark niedługo odchodzi na emeryturę i chce mi przekazać cały warsztat — odpowiedział, jakby to było nic, ale te słowa wywołały szeroki uśmiech na mojej twarzy.

— Cholera, to duża rzecz. Gratuluję — powiedziałam szczerze.

Od zawsze wiedziałam, że uwielbia tę robotę, a coś swojego to nie było co.

Skinął głową, choć nie pokazał entuzjazmu. Cóż, to też nowością nie było. Wyrażanie emocji u Nathaniela Sheya było... no, zwykle tego nie było.

— Tak — zgodził się. Po chwili milczenia znów na mnie spojrzął. — A co w twoim wielkim świecie?

Uśmiechnęłam się z rezerwą, a coś w jego oczach sprawiło, że odwróciłam wzrok. Mój wielki świat poza Culver City. Nie chciałam rozmawiać o Maine, nie z nim. Pokochałam Lewiston, miałam tam wielu znajomych, dobrą pracę, mieszkanie, ale... nie chciałam poruszać tego tematu, bo to przez Maine wszystko się rozpadło.

Założyłam ręce na piersi, jakbym chciała odgrodzić się od niewygodnych pytań.

— Też po staremu — mruknęłam. — Kończę studia, pracuję... Mieszkam z Theo w Lewiston. Erik zamieszkał niedaleko. Nie jest źle, tak myślę.

— Jeszcze nie skończyłaś studiów? — zapytał.

Poczułam, jak coś zaciska się w moim żołądku.

— Ehm, nie — odpowiedziałam szczerze. Czułam jego przenikliwe spojrzenie na twarzy i zaczęłam bardziej się stresować. Jak ja nienawidziłam o tym rozmawiać. — Przez pewne sprawy musiałam przełożyć egzamin końcowy. Ale w przyszłym miesiącu skończę, mam wyznaczony termin. Jeśli zdam, to odbiorę dyplom — wytłumaczyłam.

Chłopak skinął głową i nie drążył. Lubiłam w Nathanielu Sheyu to, że wiedział, kiedy uciąć temat.

— Zostałaś przy lingwistyce?

Może to tylko ja i moje wyobrażenia, ale naprawdę wydawał się tym zainteresowany.

To było miłe.

— Tak — odparłam, na co odetchnął, jakby mu ulżyło.

Zmarszczyłam brwi.

— Co?

— Nic, po prostu cieszę się, że nie wybrałaś czegoś z matematyką — mruknął, a kpiący uśmiešek wykwitł na jego wargach.

Zmrużyłam groźnie oczy i z oburzeniem otworzyłam usta.

— Hej! — zawołałam bojowo. — Prawda jest taka, że jestem wybitna z matematyki. I ty to wiesz.

— Wybitne były twoje oceny z tego przedmiotu.

— Kutas — burknęłam.

Niemal niezauważalne uśmiechy, które błąkały się na naszych ustach, jasno pokazywały, że żadne z nas nie poczuło się urażone. Było *tak normalnie*.

Nie mieliśmy już w sobie tej pasji, jaką czuliśmy przed czterema laty. Kiedyś było między nami to coś, czego nie potrafiłam zamknąć w jednym słowie. Mieliśmy swój mały świat, który kolorowaliśmy własnymi kredkami. I to było piękne. *Było*. Nasza rozmowa tamtego dnia na patio nie była rozmową dawnych kochanków. Po raz kolejny dotarło do mnie, że Nathaniel jest dla mnie bardzo ważny, ale stał się przeszłością, kochanym wspomnieniem. Nie czułam motylków w brzuchu, kiedy stał obok. Nie czułam dawnego podekscytowania. Chciałam po prostu się

dowiedzieć, co u niego, jak się trzyma i czy daje sobie radę. Zależało mi na jego szczęściu. Uczucia poznikały, ale nie zniknęło to, że mieliśmy wspólną przeszłość. Zaakceptowaliśmy to i ruszyliśmy do przodu.

— Jak myślisz? — zapytałam w końcu, a mój głos nie był już tak spokojny jak wcześniej. — To wszystko ma sens?

Nathaniel wydawał się jedyną osobą, której odpowiedź mogła mnie uspokoić, bo jego podejście było najrozsądniejsze. Chciał podjąć decyzję, czy w to wchodzi, dopiero wtedy, gdy pozna szczegóły, podczas gdy my zgodziliśmy się w ciemno, skuszeni obietnicą uzyskania informacji. On przez znaczną część swojego życia był zależny od kogoś i nie zamierzał ponownie popełnić podobnego błędu.

— Nie wiem — odparł ze zmęczeniem w głosie, jakby przez kilkanaście sekund ciszy postarzał się o kilka lat. Z obojętnością spojrzął przed siebie.

— Myślałam, że wiesz o Venomie i Brooklynie.

— Powiedzmy, że od jakiegoś czasu nie siedzę w tym tak bardzo jak kiedyś.

Użyło mi. Był zbyt dobry, by obracać się w tym popieprzonym świecie, który wciągnął go, kiedy był jeszcze dzieciakiem. Chciał dobrze, ale zaufał niewłaściwym ludziom i musiał płacić za to przez długie lata. Po chwili jednak ulga, jaką poczułam, przerodziła się w strach. Czy powinien znowu w to wchodzić i pracować dla faceta, który się w tym babrał?

Przełknęłam ślinę, aby zwilżyć suche gardło.

— To co? — zapytałam. — Wchodzisz w to?

Z jednej strony nie chciałam, aby potwierdził, a z drugiej nie wyobrażałam sobie, że mielibyśmy zrobić to bez niego. Nawet jeśli on i Cameron skakali sobie do gardeł.

Kolejne sekundy mijały i w pewnej chwili pomyślałam, że nie otrzymam odpowiedzi.

— Wczoraj, gdy spotkaliśmy się u was w hotelu, byłem pewny, że się nie zgodzę — zaczął spokojnie, choć czułam, że jest spięty.

— A dziś?

— A dziś okazało się, że właściwie niewiele wiem o ludziach, dla których przez tyle czasu musiałem pracować. I nie wiem czegoś o... mamie. A ja nie lubię nie wiedzieć.

Ze ściśniętym gardłem spojrzałam w jego duże oczy, gdy obserwował mnie z góry.

— Czyli się zgadzasz? — zapytałam.

Naprawdę nie wiedziałam, jakiej odpowiedzi oczekuję.

— Tak.

Pokiwałam głową. Czyli byliśmy w tym wszyscy.

— Nasze matki się znały — mruknęłam po chwili milczenia. — Jakim, kurwa, cudem?

— Wiesz co? — zapytał nagle, kiedy oboje wpatrywaliśmy się w ogród. — Po tym wszystkim, co tu się stało, nawet mnie to nie dziwi.

Parsknęłam cichym śmiechem.

— Victoria?

Szybko odwróciłam się w stronę drzwi, w których stał mój brat.

Posłał mi zdziwione spojrzenie, na co przewróciłam oczami. Na szczęście szybko się opamiętał, jeszcze zanim Shey również odwrócił się w jego stronę.

— Taksówka już przyjechała — mruknął, podchodząc. — Musimy wrócić wcześniej, żeby się spakować. Jutro mamy samolot.

— Wracacie do Maine? — zainteresował się Nathaniel, na co skinęłam głową.

— Musimy pozłatwiać sprawy w pracy i wziąć więcej rzeczy. Przygotować się na pobyt w Culver City. W końcu nie wiemy, ile czasu tu spędzimy.

— Przylatujemy z powrotem w środę — dodał Theo.

Nathaniel pokiwał głową.

— Chcesz się pożegnać z resztą? — zapytał mój brat.

— Nie, możemy już iść, skoro taksówka czeka — stwierdziłam, odwracając się w stronę Sheya. Nie miałam ochoty wracać do nich wszystkich. — Pożegnaj ich ode mnie.

— Zapewne tego nie zrobię, ale w porządku — mruknął, co wywołało lekki uśmiech na mojej twarzy.

Przewróciłam oczami.

— W takim razie do następnego spotkania — rzucił Theo, a następnie mocno uścisnął dłoń Nathaniela.

Shey kiwnął głową i spojrzał na mnie.

Poczułam, że chciałabym podziękować mu za tę rozmowę. Za to, że sam z siebie przyszedł, aby ze mną pogadać i pokazać mi, że między nami może być w porządku i nie muszę się stresować. Jednak szybko odsunęłam od siebie tę myśl.

— Do zobaczenia, Nate — powiedziałam cicho i blado się uśmiechnęłam.

Nie odpowiedział, tylko kolejny raz kiwnął głową. W milczeniu ruszył w kierunku drzwi. Obserwowałam jego szerokie barki, które poruszały się przy każdym jego kroku.

— O, i się nie przeraż, jak tam wrócisz — zawołał Theo, na co Shey spojrział na niego przez ramię. — Matt jest właśnie w trakcie wygłoszenia monologu o tym, że Vincent mógłby sfingować swoją śmierć, żeby ściągnąć Brooklyna.

Nathaniel zacisnął usta w wąską linię i z politowaniem pokręcił głową.

— Dzięki za ostrzeżenie.

Potem zniknął we wnętrzu domu. Pozostawił po sobie zapach miłych wspomnień i ciepło, które czułam wewnątrz. Uśmiechnęłam się sama do siebie, co nie umknęło mojemu bratu. Spojrzałam na niego z opóźnionym refleksem.

— Co? — zapytałam, bo jego mina była przerażająca. Wyglądał jak hobbit. — Jezu, nie patrz się tak. To straszne.

— Jak bardzo niezręcznie było, hm? — Wyszczrzył się.

Przewróciłam oczami, a następnie wyminęłam go i weszłam do domu.

— Nie rozmawiam z tobą! — zawołałam, a on zaczął się śmiać.

Sęk w tym, że nie było w ogóle.

Gdybym jednak wiedziała, co będzie dalej, pewnie wolałabym, aby było niezręcznie.

— Erik, nie było nas kilka dni. Nie miesiący — mamrotałam z twarzą wgniecioną w tors mężczyzny. Wiedziałam, że tęsknił, ale pragnęłam, by jak najszybciej mnie puścił. — Odbierasz mi tlen.

— Przepraszam, że się stęskniłem. — W końcu się ode mnie oderwał i posłał mi promienny uśmiech.

Spojrzałam w stronę kuchni, gdzie Theo bawił się z Kotem, który też cieszył się z naszego powrotu.

Przylecieliśmy do Maine godzinę wcześniej i od razu przyjechaliśmy do naszego mieszkania, gdzie czekał na nas Erik. Pogoda w Lewiston była nieco inna niż w Kalifornii, bardziej pochmurna. Nigdy mi to nie przeszkadzało, ale po pięciu dniach w Culver City odczuwałam dyskomfort.

— W Culver City już nie ma telefonów? Mielicieście dzwonić codziennie — zapytał zaczepnie, na co uśmiech spelzł z moich warg. To samo stało się z twarzą Theo, co niestety nie uszło uwadze Erika. — Coś się stało?

Przez dłuższą chwilę oboje milczeliśmy, aż w końcu Theo szturchnął mnie łokciem w rękę. Popatrzyłam na niego spod byka. W takich sytuacjach zachowywał się jak pięciolatek. Jeśli działo się coś, o czym trzeba było powiadomić Erika, i oznaczało to konieczność zmierzenia się z jego spojrzeniem, to zawsze spadało na mnie. No bo jakżeby inaczej!

— Musimy porozmawiać — mruknęłam w końcu.

Atmosfera stała się ciężka.

— Słucham — powiedział, zakładając ręce na piersi. — Co się stało w Culver City?

Odetchnęłam cicho, bo poczułam się jak mała dziewczynka, która musi się tłumaczyć. Miałam dwadzieścia dwa lata, a nie dwanaście, do kurwy! Stojący obok Theo był zajęty podziwianiem swojego obuwia.

— Musimy przenieść się na pewien czas do Culver City — wyrzuciłam z siebie na jednym wydechu.

Erik przez chwilę milczał, jakby mnie nie usłyszał.

— Słucham? — zapytał w końcu.

— Mamy tam pewną sprawę do załatwienia. Nic poważnego, po prostu... musimy być na miejscu — odparłam zdawkowo.

Mężczyzna zdziwiony zamrugał, a następnie parsknął suchym śmiechem.

Oho.

— Przepraszam, żartujesz sobie teraz ze mnie, tak? — zapytał ze złością, nokautując mnie spojrzeniem. — Co z testamentem?

Chciałam mu powiedzieć całą prawdę o Vincencie, ale nie mogłam. Podczas lotu stwierdziliśmy, że lepiej będzie, jeśli zachowamy to w sekrecie. Gdyby znał prawdę, zapewne zamknąłby nas w piwnicy. Poza tym nie chcieliśmy go informować o kłamstwach mamy, o tym całym

syfie w naszej rodzinie. Był dla nas bardzo ważny i zależało nam na jego bezpieczeństwie.

— Erik, musisz nam zaufać — poprosiłam spokojnie, ale on był coraz bardziej wściekły.

— Victoria, nie mydl mi oczu! Co się dzieje?

— Nic się nie dzieje. Z testamentem wszystko załatwione. Chodziło o... dokumenty po nim i po mamie. Nie wiem, czemu tata tak to wymyślił, ale już się nie dowiem. Najważniejsze, że temat zakończony. A ten wyjazd... po prostu mamy w Culver City kilka niedomkniętych spraw z naszymi znajomymi, których spotkaliśmy tam zupełnym przypadkiem. Proszę, zrozum to.

Może to nie była w stu procentach prawda, ale nie było to również kłamstwo. *Chyba*. Jednak właśnie to sprawiło, że wzrok mężczyzny lekko złagodniał.

— Na jak długo chcecie lecieć? — zapytał.

— Nie wiem. Dwa, może trzy tygodnie? Musimy sobie poukładać pewne rzeczy, których nie poukładaliśmy przed wyjazdem. Nie masz się czym martwić.

To już było kłamstwem, miał się czym martwić. Cholernie.

— Victoria, obiecałem waszemu ojcu, że nie pozwolę wam wplątać się w kłopoty. Wy mu obiecaliście, że nie będziecie ryzykować...

— I nie będziemy — zapewniłam go szybko. Kłamałam, patrząc mu prosto w oczy. — Po prostu nam zaufaj.

Cisza, która wypełniła pokój, była pełna napięcia. Kochał nas, a my kochaliśmy jego, i chciał dla nas jak najlepiej, ale nie mógł nas kontrolować we wszystkim. To był nasz wybór i nie powinien próbować wymóc na nas pozostania w Lewiston ze względu na obietnicę złożoną naszemu ojcu.

W końcu Erik westchnął, kiwając głową.

— Nie popieram tego. Nie chcę tego, ale jesteście dorośli. Sami o sobie decydujecie — mruknął, a ja poczułam ucisk w klatce piersiowej, gdy usłyszałam jego cierpki ton. — Zrobicie, co zechcecie. Mam tylko nadzieję, że to przemyśleliście. — Z tymi słowami przeszedł przez mieszkanie, a potem do naszych uszu dotarł odgłos zamykanych drzwi.

Przymknęłam powieki, ponieważ nie tak to sobie zaplanowałam. Nie zapytał, kiedy chcemy wyjechać, nawet się nie pożegnał. *Kurwa*. Było źle.

— Cudownie — mruknął sarkastycznie Theo. Strzelił z karku i ruszył przez korytarz.

Spojrzałam na niego z opóźnionym refleksem, marszcząc brwi.

— Gdzie ty idziesz? — zapytałam.

— Za trzy dni wracamy do Culver City i nie wiemy, na ile — burknął.

Czemu musimy być dla siebie tacy nieprzyjemni?

— Muszę wszystko pozłatwiać. Musimy mieć gdzie mieszkać, jak tam wrócimy.

— Mieszkać?

— Chyba nie myślałaś, że będziemy siedzieć w hotelu. Stać nas, ale bez przesady.

Gdy zniknął za rogiem, usłyszałam jeszcze jedno zdanie, które wyprowadziło mnie z równowagi.

— Wracamy do naszego domu.

Bezkresny ocean obojętności

— Dzieci powinny mieć zakaz wstępu do samolotów. Przysięgam, że widok tych płaczących kaszojadów doprowadza mnie do szału. Moim zdaniem do siódmego roku życia powinny żyć na oddzielnej wyspie, gdzie walczyłyby o przetrwanie. Wygrałyby najsilniejsze, które mogłyby potem dołączyć do normalnego społeczeństwa. I fajnie byłoby, jakby to jeszcze transmitowano na żywo...

Kolejne już tego dnia westchnienie wydostało się z moich ust, kiedy znów usłyszałam gderanie Theo. Niczym ostatnia męczennica szłam po terenie lotniska w Los Angeles, ciągnąc za sobą dwie wielkie walizki na kółkach. Mój brat dreptał gdzieś za mną.

— Sześć godzin kopania w fotel — mamrotał jak najęty. — Szczeniak sześć godzin kopał w mój fotel, a jego matka co? Nawet nie zareagowała, tylko grała w Candy Crush Saga!

Zatrzymałam się nagle, przez co Theo prawie wpadł na moje plecy. Odwróciłam się w jego stronę i posłałam mu piorunujące spojrzenie.

— Theo, zamknij się w końcu — warknęłam. — Jestem po prawie sześciogodzinnym locie, który spędziłam na słuchaniu twojego głędzenia. Do tego jestem zmęczona, głodna i obolała. Jedyne, czego teraz pragnę, to położyć się spać, ale zapewne tego nie zrobię, bo mamy zbyt wiele na głowie. W dodatku Erik, czyli jedyna bliska nam osoba na tym świecie, obraził się na nas za to, że wracamy do Culver City, a ja nie wiem, jak to naprawić. Więc proszę, nie dobijaj mnie jeszcze bardziej i się zamknij!

Mój brat złowrogo zmrużył oczy. Rozumiałam, że może być zły, bo w samolocie jakiś gówniarz wybrał akurat jego fotel do maltretowania,

ale miałam już dość jego wywodów o dzieciach. Oboje mieliśmy dosyć tamtego dnia. Włosy Theodora sterczały w cztery światy strony, oczy miał podkrążone, a jedno z nich drgało mu dziwacznie, jakby jego powieka skakała na skakance, bo wypił za dużo energetyków. W czarnym komplecie Adidas wyglądał jak ostatni dres z osiedla. Ja pewnie prezentowałam się podobnie.

Poprawiłam sportową torbę przewieszoną przez ramię i znów ruszyłam w stronę wyjścia. Byłam o krok od tego, by zacząć mordować, gdy nagle drogę zablokowali mi kobieta z mężczyzną. Mówili, a raczej krzyczeli, po niemiecku, nie zwracając uwagi na to, że blokują przejście.

Zmielełam w ustach przekleństwo i wyminęłam ich. Theo szybko znalazł się obok mnie.

— Chciałabym tylko, aby ludzie nie byli irytujący. Czy proszę o tak wiele? — wymamrotałam gorzko pod nosem, szarpiąc mocniej za rączki swoich walizek. — Jesteśmy na lotnisku, a nie w kawiarni. Tu wszyscy się spieszą, do kurwy.

— Myślisz, że Erik jest na nas bardzo zły? — zapytał Theo.

Miałam ochotę zaśpiewać z radości, bo w końcu nie mówił o dzieciach.

— Jest — odpowiedziałam szczerze. — Ale nie mam siły teraz się tym przejmować.

Od momentu naszego powrotu do Maine i rozmowy w mieszkaniu Erik ani razu nas nie odwiedził. Nie przyjechał, by się z nami pożegnać, chociaż do Lewiston mieliśmy wrócić najwcześniej za kilkanaście dni. Bolała mnie świadomość, że jedna z najważniejszych dla mnie osób prawdopodobnie była mną rozczarowana i zawiedziona, ale miałam inne zmartwienia na głowie. Może byłam niewdzięcznicą, wiedziałam jednak, że Erik nie ma prawa za nas decydować. Martwił się, ale to był nasz wybór.

— Trochę głupio mi z tym, że go okłamujemy. Dużo dla nas zrobił.

— Uwierz, wiem o tym najlepiej — wyszeptałam sucho. — Ale jesteśmy dorośli i mamy prawo mieć swoje sprawy. Mamy po dwadzieścia dwa lata. Za niecałe trzy miesiące dwadzieścia trzy. Nie jesteśmy już dziećmi. Erik jest zły, ale mu przejdzie. Przecież zaoferował, że zajmie się Kotem i naszym mieszkaniem.

— Bo go poprosiłem — westchnął mój brat. — Ale masz rację.

Ze złością dmuchnęłam w irytujący mnie kosmyk włosów, który wy dostał się z mojego luźnego koka. Szłam tak szybko, że Theo ledwo

dotrzymywał mi kroku. Pragnęłam jak najprędzej wydostać się z tego zapyziałego lotniska. Wróciłam do Kalifornii dwadzieścia minut wcześniej, a już miałam jej dość.

— Pogdera, pogdera i przestanie — dodałam. — To nie tak, że nagle się od nas odwróci. Wiesz, że tego nie zrobi, i nie musisz się tym martwić. A my przecież nie przeprowadzamy się do Culver City na stałe. Jesteśmy tu w celach... służbowych.

— Służbowych? — Theodor uniósł brew, a na jego twarzy uformował się uśmiech.

Widząc to, również lekko uniosłam kącik ust.

— Tak. Służbowych — powtórzyłam. — A teraz chodź już, bo taksówka nie będzie czekać na nas wiecznie. Umieram z głodu.

Po ciężkiej przeprawie w końcu wyszliśmy na zewnątrz. Zmrużyłam powieki, bo promienie słońca mnie oślepiły. Poczułam ciepło na zziębniętej skórze i przyjemny zapach delikatnego wiatru.

Znowu to samo.

— Pogodzie w Kalifornii może równać się chyba tylko pizza z ananasem — mruknął Theo.

Spojrzałam na niego z ukosa, gdy z przymkniętymi powiekami i bladym uśmiechem wyciągnął smukłą szyję w stronę słońca. Wyglądał dużo spokojniej, jakby to cholerne słońce zabierało całą złą energię.

Jakby zabierało chłód Maine.

Pokręciłam głową, ponieważ to była niesamowicie głupia i nietrafiona myśl. A to, że ja sama poczułam dziwny spokój? To zmęczenie spowodowane lotem. Tak, *zmęczenie*.

— Nie obrażaj Kalifornii — rzuciłam, bo to było pierwsze, co przyszło mi do głowy.

Czułam się zagubiona. Kiedy tydzień wcześniej pierwszy raz wylądowaliśmy w Kalifornii, chciałam jak najszybciej lecieć z powrotem. Teraz ponownie stałam w tym miejscu, wiedząc, że zostanę na dłużej, i choć miałam z Kalifornią na pieńku, nic nie mogłam poradzić na to, że słońce świeciło tam jaśniej niż gdziekolwiek indziej. Niż w Maine.

Nie porównuj Culver City i swojego nowego domu.

— Chodź — burknęłam. — Widzę naszą taksówkę.

Szturchnęłam Theo łokciem w bok i razem zaczęliśmy iść w kierunku vana. Mieliśmy cztery walizki i dwie duże torby sportowe, więc

musieliśmy zamówić większą taryfę. Kiedy byliśmy już obok pojazdu, wysiadł z niego taksówkarz. Z opóźnionym refleksem spojrzałam na jego twarz i zorientowałam się, że to ten sam facet, który przyjechał po nas poprzednio.

Niski i pulchny mężczyzna po pięćdziesiątce popatrzył na nas z uśmiechem, który powiększył się jeszcze bardziej, gdy rozpoznał nasze twarze.

— A niech mnie kule biją! — zawołał radośnie, poprawiając czapkę z daszkiem. — To znowu państwo!

— Dzień dobry — przywitał się miło Theo, a ja skinęłam niemrawo głową.

— Dzień dobry. Państwo znów do Culver City? — zapytał, otwierając bagażnik.

Nie miałam pojęcia, dlaczego taksówkarze zawsze chcieli rozmawiać. Zwykle wsiadając, nawet nie znaliśmy imienia kierowcy, a po piętnastominutowej jeździe można było opowiedzieć cały jego życiorys. Dlatego wołałam ubera.

— Tak — odparł mój brat, kiedy razem pakowali nasze bagaże. — Zostajemy w Culver City na dłużej. Sprawy rodzinne.

— O, to wspaniale — ucieszył się mężczyzna. — Akurat wracają państwo na festyn.

Festyn?

— Jaki festyn? — nie udało mi się pohamować ciekawości.

— Dzień Culver City — odparł pogodnie. — Takie wydarzenie organizowane od trzech lat. To bardzo fajna zabawa. Chodzę tam co roku z mężem i córką. Jest wielki koncert z wieloma artystami. Otwiera się dużo straganów z różnymi zabawkami, budek z jedzeniem i przyjeżdża wesołe miasteczko. Tego dnia każdy kończy pracę wcześniej, a w szkołach nie ma lekcji. Naprawdę bardzo fajna atrakcja. Za niecałe dwa tygodnie.

Uniosłam brew ze zdziwieniem, ponieważ kiedy tam mieszkaliśmy, Culver City było najnudniejszym miejscem na świecie. Cóż, jeśli chodziło o legalne wydarzenia.

— Świetnie, a jak my tu mieszkaliśmy, to wyczynem był występ kołędników na święta Bożego Narodzenia — skwitował kwaśno Theo, przewracając oczami, na co parsknęłam.

Ci kołędnicy byli naprawdę okropni.

— No kiedyś tak było, ale nowy burmistrz wprowadził wiele zmian — odparł taksówkarz, zamykając bagażnik.

Te słowa zdziwiły mnie bardziej niż wzmianka o festynie. Nowy burmistrz?

— Culver City ma nowego burmistrza? — zapytał zszokowany Theo. — Sharewood już nim nie jest?

— Nie jest. — Mężczyzna strzepnął dłonie. — Trzy lata temu przegrał wybory. Został posądzony o korupcję. Teraz burmistrzem jest Jack Patterson.

— Jack Patterson? On uczył kiedyś w Culver High School? Literatury? — upewniłam się.

— Tak — potwierdził. — Uczył panią?

— Tak, w czwartej klasie.

Lubiłam pana Pattersona, ponieważ był miły, choć wymagający. Przywrócił mi wiarę w autorów i książkowe klasyki, których przedtem nie znosiłam. Co za zwrot akcji, myślałam, że Sharewood umrze jako cholerny burmistrz Culver City.

Czy to aby na pewno było to samo miejsce, które zostawiliśmy przed czterema laty?

Wsiadliśmy i jak poprzednio zajęliśmy miejsca z tyłu. Mężczyzna wyjechał z parkingu, opowiadając coś o wygranym meczu piłki nożnej.

Sprawdziłam powiadomienia w swoim telefonie. Uśmiechnęłam się, gdy przeczytałam złośliwą wiadomość Hannah obrażającą naszego szefa. Nie był szczęśliwy z powodu mojego urlopu, choć zobowiązałam się w przypadku kryzysu pracować zdalnie. Mimo to byłam niemal pewna, że gdyby nie wstawiennictwo Apollinaire'a, straciłabym robotę. W przeciwieństwie do przełożonych Theo, który mógł wziąć sobie tyle wolnego, ile chciał, mój szef był kutasem.

Dostałam również wiadomość od Erika, że od razu po powrocie z pracy zabrał Kota do siebie. Był tak zły, że nie zapytał nawet o to, czy dotarliśmy.

W radiu leciała jakaś popowa piosenka. Ruch nie był duży, więc kolejne mile przemierzaliśmy wyjątkowo szybko. Znowu czułam to samo zdenerwowanie, które towarzyszyło mi poprzednio. To przekłete miasto działało tak za każdym razem. Ponownie mój wzrok padł na tę pierdołoną uliczkę, która prowadziła w głąb lasu. Droga do *jego* domu.

— *Nie chcę, żeby ta noc się skończyła. Nigdy.*

— *Więc nigdy się nie skończy.*

Zacisnęłam szczękę, natychmiast odwracając wzrok od widoku za oknem, który przywoływał zbyt wiele wspomnień. *Tego już nie było.*

Poczułam złość na samą siebie. Nawet nie zarejestrowałam momentu, gdy z całej siły zacisnęłam dłonie na materiale swojej czarnej bluzy. Za to zauważył to mój brat i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Wszystko okej? — zapytał.

Tak, było okej. Dlaczego miałoby nie być? *Zawsze było okej.*

— Tak — odpowiedziałam i automatycznie zrobiłam neutralną minę. — Jestem po prostu zmęczona.

— Niedługo będziemy — zapewnił mnie.

Nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

— Właśnie — wtrącił cicho taksówkarz, lekko pochylając głowę w naszą stronę. — Zaraz będziemy w Culver City. Pod jaki adres mam jechać?

Z kamienną twarzą zignorowałam żółć, jaką poczułam w gardle, gdy Theo odpowiedział, podając nazwę ulicy, przy której mieścił się nasz dom rodzinny. Nie słyszałam tego adresu od czterech lat. Poczułam, jakby wszystko wokół było ze szkła, jakby każdy atom rozbijał się na coraz mniejsze cząsteczki.

Theodor obliznął dolną wargę, nerwowo patrząc na tył głowy taksówkarza. On również się stresował, nawet nie chciał na mnie spojrzeć. Był dużo gorszy ode mnie w ukrywaniu emocji.

— Ach, piękna okolica — powiedział niczego nieświadomy mężczyzna. — Jedna z lepszych w Culver City, jeśli mam być szczerzy.

Ani ja, ani Theo nie odpowiedzieliśmy. Byłam kurewsko zdenerwowana po tym, jak mój brat mi zakomunikował, że jego zdaniem najlepszą opcją jest powrót do naszego rodzinnego domu. Nie byłam tam od czterech lat, ale zdawałam sobie sprawę, że to najlepsze rozwiązanie. Spędzenie miesiąca w hotelu byłoby zupełnie nieekonomiczne.

Starałam się przekonać Theo do jakiegoś taniego motelu, ale był nieugięty. Znów powtarzał to, co w przypadku Culver City: że nie mogę się bać miejsca, gdzie się wychowywaliśmy. Może to była prawda, ale... *kurwa.* Na samą myśl o tym, że mam wrócić do domu, po prostu mnie paraliżowało. To był dom, w którym żyliśmy z rodzicami, a ich już nie

było. Wypełniały go wspomnienia i bałam się swojej reakcji po takim czasie, a do tego wiedziałam, że tata spędził tam swoje ostatnie dni.

— Witamy w Culver City. Ponownie — podśpiewywał taksówkarz, a mój wzrok samoistnie padł na tablicę informującą o wjeździe do miasta. — Tym razem na dłużej.

Z każdą kolejną minutą jazdy żołądek kurczył mi się coraz bardziej. Zaciśnęłam z całej siły szczękę, opierając się łokciem o drzwi, kiedy taksówkarz skręcił na skrzyżowaniu w drogę, którą niemal codziennie jeździłam do szkoły. Przy poprzednim pobycie celowo unikałam tej części miasta.

W końcu zobaczyłam znajomą okolicę i wydawało mi się, że znów jestem w którymś z moich niesamowicie realnych snów. To wszystko było takie samo jak kiedyś. Te same wysokie drzewa po obu stronach ulicy, równy chodnik, prosta, asfaltowa szosa. Te same znajome domy naszych byłych sąsiadów. Nadal potrafiłam wymienić nazwiska ich wszystkich. Dzieci jak zwykle zmierzały do osiedlowego parku, aby się pobawić. Dokładnie tak jak kiedyś ja i Theo z naszymi kolegami i koleżankami z dzieciństwa.

Nawet się nie zorientowałam, w którym momencie samochód się zatrzymał.

— Victoria.

Lekkie szturchnięcie w ramię sprawiło, że spojrzałam na Theo. Zdernowany przelknął ślinę, przez co jego jabłko Adama się poruszyło.

— Jesteśmy już.

Wiedziałam, że nie mogę siedzieć w tym samochodzie wiecznie, ale chyba właśnie tego wtedy chciałam. Moje serce biło z zastraszającą prędkością i obawiałam się, czy nie wyskoczy mi z piersi. Sytuacji nie poprawił fakt, że kierowca wyłączył silnik, a następnie z pogodnym pogwizdywaniem wysiadł z samochodu.

— Victoria, to nasz dom — szepnęła miękko Theo, na co zaciśnęłam dłonie w pięści. — Nie możemy się go wiecznie bać.

— Maine jest naszym domem — warknęłam sucho, czując przyływ złości. — Tu jesteśmy na chwilę.

Nie dałam mu odpowiedzieć, z obojętną miną wysiadłam z auta i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Nie miałam zamiaru więcej się zadreć. Te nerwy i emocje, jakie mną zawiadnęły, zaczęły mnie wkurwiać. Dawno nie czułam się tak,

jak w tym cholernym Culver City. W Maine potrafiłam być twarda i przyjmowałam sprawy na chłodno, a w Kalifornii traciłam tę zdolność, choć przecież nie byłam już małą, wystraszoną dziewczynką. Byłam niezależna, bo życie nauczyło mnie, że to ja decyduję o swoim losie. Nie raz próbowano mnie złamać i nikomu się nie udało. Odkąd nauczyłam się trzymać emocje na wodzy, zrozumiałam, że jestem niezniszczalna.

Wspomnienia nic nie znaczyły.

Okolica jak zawsze była spokojna. Zaciągnęłam się świeżym powietrzem i odwróciłam w stronę *naszego domu*. Mimo starań, by mnie to nie ruszyło, poczułam się tak, jakby nagle piorun uderzył w ziemię tuż przede mną.

Sporych rozmiarów dwupiętrowy budynek z poddaszem nadal wyglądał tak, jak go zapamiętałam. Dom typowo w stylu amerykańskim, z ciemną dachówką, pomalowany jasną farbą. Wszystkie w okolicy prezentowały się bardzo podobnie, ale ten był wyjątkowy.

Co nieco się jednak zmieniło. Nieskoszona trawa była tak wysoka, że zasłaniała ganek. Kwiaty, które dawniej kwitły w ogrodzie, uschły, a drzewka ozdobne rozrosły się w różne strony, ponieważ nikt ich nie przycinał. Przez to dom wyglądał na zaniedbany, opuszczony i to było takie... smutne. Kiedyś prezentował się idealnie. Mama dbała o swoje rośliny, które były zdrowe i nawodnione. Dobrze pamiętałam, jak zmuszała nas do pomocy.

Kiedyś tego nienawidziłam, ale tamtego dnia oddałabym wszystko, aby do tego wrócić.

— Oj, chyba długo nikt tu nie mieszkał — skomentował taksówkarz.

— Ta — mruknął Theo, który sekundę wcześniej wysiadł z samochodu.

Ściągnęłam wargi w wąską linię i przeniosłam wzrok na brata i taksówkarza, którzy właśnie kończyli wypakowywać walizki.

— Proszę — powiedział nagle mężczyzna, wręczając Theodorowi białą wizytówkę, którą wcześniej wyciągnął z kieszeni. — Jeśli będą państwo potrzebować podwiezienia, to proszę dzwonić na ten numer. Od razu przyjadę. Mam na imię Filip, przy okazji.

— Dziękujemy bardzo — odpowiedział szczerze mój brat.

Właśnie zawarliśmy nową znajomość. Mimo że taksówkarz mnie irytował, była to jedna z lepszych rzeczy, jakie przydarzyły mi się w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

— To ja już wam nie przeszkadzam. Do zobaczenia i miłego pobytu w Culver City! — zawołał radośnie mężczyzna, uprzejmie unosząc swoją czapkę z daszkiem.

Nie minęło pół minuty i odjechał.

Ani ja, ani Theo nie kwapiliśmy się, by zacząć rozmowę. Przejechałam językiem po dolnej wardze i westchnęłam z rozdrażnieniem, kiedy cisza zaczęła nam ciążyć.

— Nie przedłużajmy tej gównianej sytuacji — rzuciłam zachrypniętym głosem.

Miałam dość tej dramaturgii, to był tylko głupi dom.

Theo nie skomentował, po prostu ruszył w stronę zamkniętej bramy. Z kieszeni spodni wyciągnął pęk kluczy, które cały czas mieliśmy ze sobą w Maine. Były ukryte w tej jednej szufladzie, do której nigdy nie zaglądałam. Przelknęłam ślinę, widząc znajomy breloczek z palmą.

Mój brat ręcznie otworzył bramę. Kiedy tam mieszkaliśmy, nie zamykaliśmy jej, ponieważ to była bardzo spokojna okolica. Theodor zarzucił torbę na ramię i chwycił bagaże, po czym na mnie zerknął.

— Czas pozwiedzać.

Wszedł na posesję. Odetchnęłam ciężko i również zabrałam swoje bagaże. Chciało mi się rzygać, ale nie mogłam pokazać, że ledwo daję sobie radę. Musiałam być ponad to, musiałam pozbyć się emocji.

Gdy szłam do drzwi wejściowych, czułam się obco. Wszystko było zimne i zapuszczone, na ganku nie stała jak dawniej ławka ze stoliczkiem.

Theo otworzył drzwi, a zawiasy lekko zaskrzypiały, gdy popchnął skrzydło. Bez słowa wszedł do środka, zostawiwszy walizki na zewnątrz. Jego ciężkie kroki dudniły echem w mojej głowie. Idąc za przykładem brata, również odstawiłam bagaże i przekroczyłam próg.

Zobaczenie domu z zewnątrz było jak uderzenie piorunem, ale po wejściu do niego miałam wrażenie, jakby posadzono mnie na krześle elektrycznym.

To prawie na pewno było złudzenie, ale od razu poczułam znajomy zapach, który panował tylko w tym miejscu. Pachniało skoszoną trawą, ciastem cynamonowym i mamą. *Nasza mama*. Stawiałam krok za krokiem, uważnie przyglądając się znajomym beżowym ścianom. Wszystkie meble zakryto białymi prześcieradłami, a ogromne lustro było zakurzone i trochę brudne, przez co zniekształcało moje odbicie.

Szłam dalej. Chłonełam wzrokiem wszystko, jak gdybym była tam pierwszy raz.

Weszłam do salonu i poczułam, że się łamię. Ciężkie zasłony zakrywały okna, nie pozwalając promieniom słonecznym przedrzeć się do środka. Tak jak w korytarzu, wszystkie meble były przykryte tkaninami. Zakurzona półka nad kominkiem świeciła pustkami, nie było na niej już żadnych fotografii. Dywany były schowane, kryształowe żyrandole mamy wyłączone, o obrazach, które niegdyś wisały na ścianach, przypominały tylko tkwiące gdzieś haczyki. Było cicho, pusto i zimno.

Było smutno.

Kiedy już wystarczająco długo nastalam się w salonie, ruszyłam w stronę kuchni. Słyszałam jedynie swój szybki oddech i powolne kroki. W ulubionym pomieszczeniu mamy również było pusto.

Wtedy już nie wytrzymałam. Złamałam się, wspomnienia mnie zbombardowały. Przed oczami stanął mi obraz momentu, kiedy mama gotowała, a ja siedziałam na krześle obok, wymieniając się z nią plotkami. Gdy piłam kawę przed szkołą, gdy karmiłam Kota.

Tego już nie było. Nie było mojej mamy, która codziennie rano przed pracą stała przy ekspresie do kawy w swoim szlafroku z włosami splecionymi w warkocz. Nie było porannej wymiany zdań na temat tego, że Theo to leniwy idiota, którego nie mogę zbudzić do szkoły. Nie było tego, bo nie było *jej*.

Po kilku minutach zmusiłam się, by ruszyć dalej i zajrzeć do łazienki na parterze połączonej z pralnią i suszarnią, w której zawsze się ukrywałam, gdy jako dziecko z Theo, Mią i Chrisem bawiłam się w chowanego.

Kiedy popatrzyłam na drewniane schody, było jeszcze gorzej. Dobrą minutę zmuszałam się, aby wejść na piętro. Chwycałam dłonią barierkę, badając palcami jej fakturę, i postawiłam pierwszy krok. Stopień nie wydał z siebie żadnego skrzypnięcia. Pokonałam schody i znalazłam się na początku długiego korytarza.

Uśmiechnęłam się, mijając po drodze półkę z książkami stojącą przy ścianie, za którą pewnego razu ukrywałam się przed mamą, gdy wymknęłam się z domu i musiałam wrócić. Również była zakryta jakimś materiałem.

Głęboko oddychałam, wdychając zapach domu. W końcu przystanąłam przed białymi drzwiami.

— *Osiemnaście lat razem* — rzuciłam z bladym uśmiechem, czując ukłucie w klatce piersiowej. — *To było dobre osiemnaście lat.*

A następnie zamknęłam drzwi. Przez chwilę wpatrywałam się w nie w kompletnej ciszy.

Tak jak ostatniego dnia przed wylotem do Maine, patrzyłam na białe skrzydło drzwi, stojąc dosłownie w tym samym miejscu. Powoli uniosłam dłoń do okrągłej gałki, przekręciłam ją i usłyszałam, jak zamek ustępuje. Trzy długie sekundy później popchnęłam drzwi i spojrzałam na pomieszczenie, które przez osiemnaście lat było moim prywatnym schronem. Miejscem, gdzie byłam w stu procentach sobą i gdzie spędzałam dziewięćdziesiąt procent czasu. Kącik moich ust lekko drgnął.

Tam również wszystko było pozastłaniane prześcieradłami, ale meble wciąż stały w tych samych miejscach co kiedyś. Rolety zasłaniały okna. Podejrzewałam, że od dnia naszego wyjazdu nikt ich nie podnosił.

W ciszy podeszłam do łóżka, które stało po prawej. Delikatnie dotknęłam metalowej rurki przy jego końcu. To tam jadłam, uczyłam się, oglądałam filmy i płakałam.

Przeszłam przez pokój i otworzyłam drzwi do łazienki, a mój uśmiech się powiększył. To cholerne pomieszczenie było pewnego rodzaju ringiem, bo liczba kłótni i bijatyk, które odbyłam w nim z Theo, przekraczała dziesiątki tysięcy. Nasza wspólna łazienka była miejscem, gdzie mój podkład mieszał się z pastą do zębów Theo i z naszą krwią, gdy się biliśmy.

Zaśmiałam się cicho i z lekką nostalgią dotknęłam umywalki, nad którą wisiało wielkie kwadratowe lustro. Przejrzałam się w nim, wspominając te wszystkie lata, gdy dzień w dzień szykowałam się tam do szkoły.

Nagle usłyszałam szmer dochodzący zza drzwi prowadzących do pokoju Theo. Niewiele myśląc, otworzyłam je.

W środku stał mój brat. Jego sypialnia wyglądała tak jak reszta domu, wszystko było pochowane i przykryte. Theodor zatrzymał się przy biurku. Zobaczyłam, jak przejechał palcami po materiale, którym było zasłonięte, a następnie ściągnął go gwałtownym ruchem. Kurz uniósł się w powietrze.

— *Trochę przy nim pograłem* — wyszeptał zachrypniętym głosem i z rozbawieniem zapukał dwa razy w blat.

— *Błagam cię. Trochę? Nie można było cię stąd wyciągnąć* — parsknęłam cicho, zakładając ręce na piersi.

Kiedyś wydawało mi się, że Theo był przyspawany do tego biurka. Już nie grał tak dużo jak wcześniej, ale czasami mu się zdarzało.

— Trzeba odkręcić wodę — mruknął nagle. — Włączyć prąd, sprawdzić ogrzewanie i instalacje. I posprzątać. Cztery lata nikt tu nic nie robił.

— Wujek Garry czasem zaglądał.

— Tak. Ale od czterech lat nikt tu nie mieszkał.

Gdy wyjechaliśmy do Maine, tata zajmował się domem. Po jego śmierci budynek został pusty, a od czasu do czasu przyjeżdżał brat mamy. Sprawdzał, czy wszystko w porządku i czy nikt nieproszony się tam nie kręci. Po śmierci rodziców dom przypadł mnie i Theo, a mój brat od razu zaznaczył, że nie chce go sprzedawać. Ja nie miałam nic przeciwko, było mi to obojętne, bo wiedziałam, że nie wrócę do Culver City.

O ironio.

— Ogarniemy tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Przecież nie zostajemy tu na długo — przypomniałam mu.

Przecież... tak. Tylko na chwilę.

— Tak, masz rację — westchnął zdławionym głosem i na szczęście postanowił zmienić temat. — Trzeba zadzwonić do reszty. Wymyślić jakiś plan.

W końcu po to tu jesteśmy, tak?

— Zadzwonię do Chrisa — powiedziałam nagle, zaskakując tym i jego, i siebie.

Może nie mieliśmy już takiej relacji jak kiedyś, ale to wciąż był Chris pieprzony Adams. Szybko wybrałam jego numer. Trzy sygnały później usłyszałam tryskający zadowoleniem głos:

— Od pół roku nie widziałem tego numeru na wyświetlaczu. — Adams zacmokał z udawanym oburzeniem, na co przewróciłam oczami.

— Czuj się zaszczycony.

— Czuję się. Czym zasłużyłem sobie na to, że Victoria Clark do mnie zadzwoniła?

— Jesteś już w Culver City?

— Tak. Wczoraj wylądowałem. Zatrzymałem się u wujostwa.

Nie tylko my nie mieliśmy pozałatwianych spraw tam, gdzie mieszkaliśmy. Większości nie było już w Culver City. Chris musiał wrócić do Paryża, Laura ze Scottem na Florydę, a Matt i Cameron również wyjechali, by zorganizować urlopy.

— Wiesz, co z innymi? — zapytałam.

— Mam kontakt tylko z Laurą i Mią. Wszyscy już wrócili, nie wiem tylko, co z Wilsonem. Im szybciej się spotkamy, tym lepiej. Zadzwoń do nich i coś zorganizuję.

— Dzięki, Chris.

— Zawsze do usług, słońce.

Potem rozłączył się, a ja odsunęłam iPhone'a od ucha i zerknęłam na wyświetlacz z lekkim uśmiechem.

— I co? — zapytał Theo.

Skrzyżowałam z nim spojrzenie i wzruszyłam ramionami.

— Chyba właśnie zaczynamy zabawę.

— Okej, jestem pełny — jęknął Theo. Odrzucił kawałek pizzy do pudełka, które leżało na stoliku przed nami. Westchnął ciężko, a następnie poprawił się w fotelu.

Siedzieliśmy w salonie, w którym posprzątaaliśmy. Ogarnęliśmy dom tak, aby nadawał się do użytku. Pozdejnowaliśmy prześcieradła z mebli, włączyliśmy prąd i wodę, posprawdzaliśmy instalacje. Odkurzyliśmy, umyliśmy podłogę i przewietrzyliśmy wszystkie pomieszczenia. Było kilka usterek, które musieliśmy naprawić, na przykład wymieniliśmy żarówki, ale nie zamierzaliśmy przesadzać. To miejsce miało służyć nam jedynie przez miesiąc, więc nie kwapiliśmy się, aby bardziej się wysilać czy zajrzeć na strych do pudeł z rzeczami i pamiątkami.

To... nie było konieczne.

— Już zapomniałem, jakie te kanapy są wygodne — westchnął Theo.

— To pewnie dlatego zasypiałam za każdym razem, gdy starałam się tu uczyć — mruknęłam z pełnymi ustami, przeżuając kawałek pizzy z pepperoni.

Całe szczęście, że Killer's Cave dowoziła pizzę, bo gdyby nie to, musiałabym zjeść przeterminowane o dwa lata płatki albo iść coś upolować.

— Jestem prawie pewny, że meble nie miały z tym nic wspólnego — dociął mi z kpiącym uśmieszkiem.

Rzuciłam w niego opakowaniem po sosie pomidorowym. Chłopak zrobił szybki unik i zaśmiał się cicho.

— Chris napisał — powiedziałam, kiedy zerknęłam na powiadomienia w telefonie. — Jutro o piątej mamy się spotkać w barze u Luke’a.

— Dalej tam pracuje? — Mój brat ze zdziwieniem uniósł brwi.

— Najwidoczniej.

Odrzuciłam telefon na kanapę i wytarłam dłonie w koc. Zamknęłam pudełko z niedojedzoną pizzą i poprawiłam krótkie spodenki do spania, czując, że moje powieki robią się coraz cięższe.

— Chyba idę spać — mruknęłam.

Theo spojrział na mnie zmrużonymi oczami.

— Pierwsza po czterech latach noc w starym łóżku? — parsknął, gdy wstałam z kanapy.

— Będzie wybornie — rzuciłam z przekąsem. — Poza tym...

Przerwał mi dziwny odgłos dobiegający zza drzwi tarasowych. Na początku myślałam, że się przesłyszałam, ale mój brat również musiał go usłyszeć, bo zerknął w tamtą stronę ze zmarszczonymi brwiami.

— Czy ty też... — zapytałam, a dźwięk się powtórzył. Jakby ktoś coś tam przewrócił.

Już nie mieliśmy wątpliwości. Theo z szybkością rakiety zerwał się z kanapy i chwycił pogrzebacz, który stał obok kominka. Zdenerwowana starałam się wypatrzeć coś za szybą, ale większą jej część zakrywała gruba zasłona. Theodor powoli ruszył do drzwi. Knykcie niemal pobiełały mu od zaciskania palców na metalowym pręcie. Spojrział na mnie pytająco, ale ja tylko wzruszyłam ramionami.

Odgłos znów się powtórzył, ale tym razem był głośniejszy. Mój brat już się nie wahał, szybko odchylił zasłonę i błyskawicznie otworzył drzwi. Uniósł pogrzebacz nad głowę, jakby chciał zaatakować intruza.

Głośny pisk niemal mnie ogłuszył, więc szybko zatkałam usta dłońmi, aby nic więcej się z nich nie wydostało. Dopiero po sekundzie rozumiałam, że to nie ja piszczałam.

— Nie włamuję się! Nie jestem złodziejką!

Zdziwiona spojrzałam na Theo, który zmarszczył brwi, cofając głowę. Nadal ścisnął uniesiony wysoko pogrzebacz.

Jakież było moje zdziwienie, gdy na tarasie dostrzegłam średniego wzrostu dziewczynę, która w jednej dłoni trzymała latarkę. Światło z wnętrza domu wydobyło z mroku jej sylwetkę. Na jej twarzy malo-

wało się przerażenie, oddychała głośno i chyba się trzęsała. Miała na sobie zielony dres z Adidasa i różowe crocsy, a jej brązowe włosy były nieuczesane i splątane.

— Co, do kurwy? — wyprzedził mnie z pytaniem mój brat, obserwując wystraszoną dziewczynę. — Kim ty, do cholery, jesteś? — Opuścił dłoń, w której trzymał pogrzebacz, ale nadal był ostrożny.

Nieznajoma, widząc to, odetchnęła z ulgą i zrobiła niepewny krok w naszą stronę. Wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Cóż, raczej nie była płatnym mordercą. Zdobyła się nawet na lekki uśmiech, który chyba miał pokazać, że ma pokojowe zamiary. Jednak ani ja, ani Theo go nie odwzajemniliśmy.

— Alice Carson — przedstawiła się. Jej głos był nieco skrzekliwy. — Mieszkam dwa domy dalej.

— I co niby robisz w naszym domu? — zapytał Theo, wymachując ręką z pogrzebaczem.

— Od kiedy się wprowadziłam, ten dom stał pusty, a dziś zauważyłam zapalone światła. Myślałam, że może ktoś się włamał. Więc chciałam sprawdzić — tłumaczyła, raz po raz chichocząc nerwowo.

Theo ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na to, co trzymała w dłoni.

— I chciałaś zaatakować bandytów latarką? — zapytał.

Dziewczyna zacisnęła usta w wąską linię, wruszając ramionami.

— Nie do końca to przemyślałam — wymamrotała speszona.

Musiała być nieźle szurnięta, skoro zdecydowała się przyjść do cudzego domu o jedenastej w nocy, by przepędzić dzikich lokatorów, i to sama. Przecież gdyby ktoś taki rzeczywiście był w środku, to mogłoby się dla niej katastrofalnie skończyć.

Theo pokręcił głową z politowaniem, ale i z ulgą, i odrzucił pogrzebacz w stronę kominka.

— Cóż, nie jesteśmy bandytami — odezwałam się w końcu, a ona na mnie spojrzała. — To nasz dom.

— Kupiliście go? — zapytała i już wiedziałam, dlaczego zdecydowała się przyjść.

Była zbyt ciekawska, by usiedzieć w domu.

— Należy do nas od zawsze — mruknął Theo. — Przyjechaliśmy tu na trochę.

— Och — jęknęła, drapiąc się w tył głowy. Przeszłowała z nogi na nogę, a jej crocsy cicho skrzypiały. — Więc pewnie jesteście rodzeństwem Clarków? Tym, które wyjechało zaraz po śmierci Joseline Clark?

Skrzyżowałam ręce na piersi i siłą powstrzymałam się od prychnięcia.
To tak teraz o nas mówią?

— Tak. To my — odparł Theo.

— Bardzomiło mi was poznać. Szkoda tylko, że w takich okolicznościach. Uch, przepraszam za to — wymamrotała ze skruczą, poprawiając dres.

— Cóż, następnym razem można zadzwonić dzwonkiem — rzucił Theo z lekkim rozbawieniem, na co uniosłam kącik ust, bo dziewczyna jeszcze bardziej się zawstydziła.

— Tak, jasne. Mieszkam pod numerem czterysta dwadzieścia osiem, jak coś. Gdybyście czegoś potrzebowali, to wiecie. Do mnie jak w dym! — Zaśmiała się nerwowo i wykonała jakiś dziwny ruch rękami, jakby odganiała chrabąszcza. — Znaczą bez dymu. Nie lubię ognia.

— Ta. Chcesz wyjść... drzwiami? — zapytałam, ale znów machnęła ręką.

— Nah, świeże powietrze dobrze mi zrobi! — zawołała wysokim głosem. Zażenowanie wyciekało z niej przez pory skóry. Zaczęła iść tyłem, machając dłonią z latarką, która nadal była włączona. — Jeszcze raz przepraszam za najście i wiecie, jak coś, to do mnie jak w dy... — nie skończyła, ponieważ zrobiła o jeden krok w tył za dużo i spadła z tarasu.

Z głuchym krzykiem zniknęła w gęstej, wysokiej trawie. Zamarliśmy, a po chwili wyjrzeliśmy, aby sprawdzić, co z nią. Nie było jej widać, ale po jakichś trzydziestu sekundach nagle wyciągnęła w górę dłoń ze świecącą latarką.

— Nic mi nie jest! — krzyknęła.

Trawa zaczęła się poruszać, gdy niezgrabnie zbierała się z ziemi. Zaczęła kręcić się w kółko z jednym crocsem w dłoni, podczas gdy my dalej staliśmy w progu, obserwując jej chaotyczne ruchy.

— Żyj! Nic mi nie jest. — Sztucznie się uśmiechnęła, przyciskając but do piersi. Jej twarz oblała się rumieńcem. — No to cześć — powiedziała jeszcze, a następnie zaczęła torować sobie drogę przez trawę. I tyle ją widzieliśmy.

Przez kolejne pół minuty żadne z nas się nie poruszyło.

— Wow — mruknęłam w końcu, a Theo był chyba zbyt zdezorientowany, aby na mnie spojrzeć. — Już jak tu mieszkaliśmy, żyli tu ludzie pojebani, ale teraz chyba brakuje skali.

— Miasto świrów — skwitował cicho mój brat, po czym oboje odsunęliśmy się od drzwi, które szybkim ruchem zamknął.

Zanim przeszłam do swojej sypialni, upewniłam się, że drzwi wyjściowe są zamknięte, aby nie mieć już żadnych niespodziewanych gości. Następnie szybko pożegnałam się z Theo, który oglądał coś na swoim laptopie.

Stałam już przy wejściu do swojego pokoju, gdy nagle z dłonią na klamce przekreśliłam głowę. Mój wzrok padł na dalszą część korytarza.

Pokój mamy.

Jedyne pomieszczenie, w którym jeszcze nie byłam i do którego nie chciałam wchodzić. Nie podołałabym temu i nie zamierzałam się tym katować. I tak wszystko w tym domu przypominało mi o niej, a zobaczenie łóżka, w którym spała, foteli, na których siedziała, garderoby, w której się przebierała... to byłoby za dużo.

Odsunęłam od siebie nieprzyjemne myśli i szybko weszłam do swojego pokoju. Obok szafy stały moje walizki. Wszystkie były otwarte, a część rzeczy wyjęłam, więc panował tam drobny bałagan. Zdecydowałam się nie rozpakowywać bagaży do końca, bo po co, skoro zatrzymaliśmy się w naszym domu tylko na chwilę. Pomieszczenie miało w sobie więcej życia po tym, jak je posprzątałam i pościęłam prześcieradła. Na łóżku leżała pościel, którą wyciągnęliśmy z Theo z pokoju gościnnego.

Z dziwnym uczuciem w brzuchu wśliznęłam się pod kołdrę. Kiedy moje plecy dotknęły tak dobrze mi znanego materaca, przełknęłam ślinę. Uwielbiałam swój pokój w Maine, łóżko także, ale to... było inne.

Z jękiem ulgi ułożyłam głowę na poduszce. Znów byłam tylko ja, cisza i wspomnienia.

A potem mój wzrok padł na okno. To przeklęte okno.

Z lekko uniesionymi kącikami ust podeszłam do okna, a do mojego umysłu wróciło tyle wspomnień. Wychodzenie po rynnie, palenie papierosów, nocne oglądanie gwiazd, kiedy siedziałam na parapecie.

Pokręciłam z uśmiechem głową, a następnie zasunęłam rolety. Wszystko się kiedyś kończy.

Znów spoglądałam na sufit.

— Kurwa.

Jednak, o dziwo, tej nocy spałam lepiej niż przez ostatnie pół roku.

— Czy ty będziesz kiedyś gotowa na czas?! — zawołał mój brat, wchodząc do łazienki, w której starałam się skoncentrować na pomalowaniu ust czerwoną pomadką.

— Nie — odparłam sucho.

Theo jęknął cierpiętniczo, a następnie wyszedł z pomieszczenia, wyrzucając przy tym ręce w powietrze. Przewróciłam oczami, w końcu odłożyłam pomadkę i w pełni gotowa zerknęłam w lustro.

Poprawiłam rozpuszczone, wyprostowane włosy, które pachniały moim ulubionym szamponem. Miałam na sobie bordowe materiałowe spodnie z wysokim stanem zapinane na złoty guzik, które ładnie układały się na moich nogach. Do tego biały przylegający golf z cienkiej tkaniny. Szybko zapięłam jeszcze długie kolczyki i wyszłam z łazienki.

Theo, który leżał na moim łóżku, jęknął z ulgą.

— W końcu! — zawołał, zrywając się z miejsca. — Ile można się zbierać? Filip już czeka. — Spojrzał na mnie z rozdrażnieniem, poprawiając kremową bluzę z estetycznym malunkiem *Stworzenia Adama*, spod której wystawał kołnierzyk białej koszuli.

— To zabrzmiało, jakbyśmy mieli prywatnego kierowcę.

— Mamy prywatnego taksówkarza — poprawił mnie.

Z walizki wyciągnęłam czarne szpilki z paskiem na kostce. Były wysokie i cholernie niewygodne, ale za to wydłużały nogi. Włożyłam je, choć i tak moje spodnie zakrywały je w całości.

Wcisnęłam na nos okulary przeciwsłoneczne w stylu retro z wąskimi prostokątnymi szklami, chwyciłam małą skórzaną torebkę z cienkim paskiem i w końcu udało nam się zejść na dół.

Było ładnie, słonecznie i ciepło. Żółta taksówka czekała już na ulicy. Mój brat zamknął drzwi domu i schował klucze do kieszeni czarnych jeansów.

— Witam moich ulubionych pasażerów! — zawołał wesoło Filip, kiedy wsiedliśmy na tyły taksówki.

Theo podał mi odpowiedni adres i samochód ruszył. Nie odzywałam się zbyt wiele, tylko patrzyłam na widoki za szybą. Tak minęło mi piętnaście minut.

Zerknęłam na budynek, przed którym się zatrzymaliśmy. Nie zmienił się ani trochę, nadal miał ten sam czerwony neon, a jasna farba odłaziła od ścian. Na parkingu stało kilka aut.

— Miłego dnia! — zawołał na odchodne mężczyzna, kiedy po opłaceniu kursu wysiedliśmy z auta.

Z westchnieniem popatrzyliśmy na lokal, a następnie na siebie.

— Będzie zabawnie — rzucił z ironią mój brat.

Pokręciłam głową. Może nie denerwowałam się spotkaniem z resztą tak jak wcześniej, ale nadal było mi niedobrze. Chciałam ruszyć za Theo, gdy nagle coś sobie przypomniałam. Niewiele myśląc, spojrzałam na starą kamienicę widoczną z miejsca, gdzie stałam. Przed nią na małym parkingu dostrzegłam kilka samochodów, ale nigdzie tego jednego konkretnego. Przełknęłam ślinę.

Kamienica Sheya.

Wszystko było takie, jak zapamiętałam. Zastanawiałam się, czy nadal tam mieszka. Zaciśnęłam szczękę, kiedy do mojego umysłu zaczęły wdzierać się te wszystkie wspomnienia...

— Victoria? Idziesz?

Wyrwałam się z letargu, gdy usłyszałam głos Theo. Stał już przy drzwiach, patrząc na mnie ponaglająco. Odsunęłam od siebie myśli i siłą się na nonszalancję, ruszyłam w jego kierunku. Mimo że w środku się trzęsłam. Mimo że pamiętałam. Mimo że chyba znów chciałam znaleźć się w tym cholernym mieszkaniu.

— Wszystko gra? — zapytał Theo, gdy do niego podeszłam.

— Tak — skłamałam bez zająknięcia. Ściągnęłam okulary i weszłam do budynku.

W środku również nic się nie zmieniło. Długi, ciemny korytarz śmierdział wilgocią i stęchlizną, jakby coś tam umarło. Kłęby dymu papierosowego wisiały w powietrzu. Moje szpilki zapadały się w ciemnej wykładzinie, kiedy szłam przed siebie. Czułam się dziwnie, mniej zdenerwowana, a bardziej... znudzona i podekscytowana jednocześnie.

W końcu dotarliśmy do głównej sali i przez chwilę znów poczułam się, jakbym miała siedemnaście lat. Przy okrągłych stolikach siedziało

kilku starszych typów popijających piwo, w tle grał stary rock, długi bar po prawej lśnił w sztucznym świetle.

Westchnęłam cicho, wzrokiem szukając dawnych znajomych. Nie było trudno ich znaleźć, bo wiedziałam, że będą zajmować to głupie miejsce przy barze. *Tak jak zawsze*. Pierwsza zauważyła nas Laura, która nam pomachała. Bez ociągania się ruszyliśmy w ich stronę.

Luke stał za barem, co dało mi odpowiedź na pytanie, czy nadal tam pracuje. Na wysokich stołkach barowych siedzieli Mia, Chris, Laura, Scott oraz Jasmine i Matt. Cameron stał obok Laury, a Nathaniel ze znużoną miną opierał się o filar nieco dalej. Gołym okiem było widać, że nie interesuje go to wszystko, co dzieje się wokół. Ręce miał założone na klatce piersiowej, włosy mocno zmierzwiłone. Z przymkniętymi oczami odchyłał głowę, przez co uwydatniło się jego wystające jabłko Adama. Wyglądał dobrze w czarnych spodniach i karmelowej bluzie z kapturem, która na przodzie miała niewielki napis „Nike”.

— No wreszcie! — zawołał Donovan, kiedy podeszliśmy do baru.

To sprawiło, że Shey otworzył oczy. Wiedziałam, że na mnie spojrzął.

— Ile można na was czekać? — westchnął z udawanym oburzeniem Scott.

— Do skutku — odparłam, na co przewrócił oczami, ale się uśmiechnął.

Ustał mi miejsca, więc usiadłam pomiędzy Laurą, która wciąż promiennie się do mnie uśmiechała, a Jasmine, która nawet na sekundę nie oderwała wzroku od kufła z piwem.

Ciekawa rozbieżność.

Czułam, że atmosfera jest gęsta, i coś mi się wydawało, że przed naszym przyjazdem musiało dojść do jakiegoś spięcia, ponieważ wszyscy siedzieli w ciszy. Luke z zawziętą miną polerował kufle, uśmiech Laury wydał mi się lekko wymuszony, Cameron i Shey wyglądali, jak gdyby mieli wybuchnąć tylko dlatego, że oddychają tym samym powietrzem. Może i Nathaniel nie był już tym chłopakiem co przed czterema laty, ale pewne rzeczy się nie zmieniły. Wiedziałam, że jest zły, bo miał mocno zaciśniętą szczękę i napięte mięśnie barków.

Zdałam sobie sprawę z tego, że ich nastrój mi się udzielił, bo nie mogłam się doczekać momentu, gdy opuszczę tę knajpę.

— Coś podać? — przerwał ciszę Luke.

Zawiesiłam wzrok na jego czekoladowo-złotyach oczach, w których jak zawsze igrały zadziorne iskierki. Nie zmienił się przez te cztery lata, może stał się trochę bardziej barczysty, a włosy miał nieco krótsze. Był ubrany jak dawniej w czarne jeansy i koszulkę z logo jakiegoś zespołu rockowego.

Zmrużyłam lekko powieki, przywołując na twarz dziarski uśmieszek.

— A piwo nadal smakuje tu jak szczyzny? — zapytałam, drocząc się, a on na chwilę przestał wycierać kufel.

Przez pierwsze kilka sekund patrzył na mnie z poważnym wyrazem twarzy. Chciał wygrać ze mną bitwę na spojrzenia, ale przegrał w momencie, gdy zmarszczyłam nos. Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu.

— A czy kiedyś tak nie smakowało, Clark? — odparł zaczepnie, więc ja również się uśmiechnęłam.

Niestety atmosfera się nie poprawiła. Po chwilowym rozbłysku znów zapanowała cisza i obojętność. Bezkresny ocean obojętności.

— To daj sok, od którego nie dostanę jakiejś dziwnej wysypki — mruknęłam, na co chłopak pokiwał głową.

— Niczego nie obiecuję — odpowiedział, puszczając mi oczko, a następnie spojrzał na Theo, który właśnie witał się z Nathanielem uściśkiem dłoni. — A dla ciebie co?

— Może być to piwo o smaku szczyzn — odparł.

Kątem oka zauważyłam, że wargi Jasmine niemal niezauważalnie drgnęły, ale dalej nic nie powiedziała. Nie uniosła nawet wzroku, aby przywitać się z Theo. Rozumiałam ją, była z moim bratem blisko, chociaż nie znali się za długo, i z pewnością boleśnie przeżyła rozstanie. Tak samo jak on — Theodor nie zawierał zbyt wielu nowych znajomości i nie był dobry w utrzymywaniu kontaktów, ale gdy już komuś zaufał, to... och, oddawał siebie całego.

Luke postawił na blacie przede mną wysoką szklankę z ciemnofioletową cieczą w środku. Uniosłam brew, spoglądając na niego pytająco.

— Nie zatruję się? — zakpiłam, unosząc napój do ust.

— Luz, znam numer na pogotowie — pocieszył mnie żartobliwym tonem, na co przewróciłam oczami.

Upiłam łyk soku, który imitował porzeczkowy.

— Ohyda — skwitowałam z kamienną twarzą.

— Gorzej — zgodził się Parker, na co znów się uśmiechnęłam.

Jak ja lubiłam tego sukinsyna.

Theo dostał swoje piwo i znów zapanowała cisza. Na szczęście tym razem to Cameron postanowił szybko ją przerwać.

— Czy możemy już zacząć i mieć to z głowy? — zapytał.

Nie wiedziałam, że to możliwe, ale napięcie jeszcze się zwiększyło, gdy rzucaliśmy sobie nawzajem posępne spojrzenia. To nie byliśmy dawni my, teraz każdy z nas był taki... obcy. Theo jednym haustem wypił połowę zawartości kufła, Chris nie rzucił żartem, Laura nie uśmiechnęła się promiennie. Nawet Nathaniel nie był takim Nathanielem jak wcześniej. Mój stres przerodził się w gniew, bo nie to zostawiłam w Culver City. To były jakieś marne ochłapy, żalosna imitacja tego, co mieliśmy kiedyś. Zacisnęłam szczękę, prostując się na stołku.

— Okej, niby jak mamy to załatwić? — zaczął Luke, nerwowo rozglądając się wokół. — Vincent przez cztery lata próbował go znaleźć. Jak, do cholery, my mamy to zrobić?

— Nie słyszałeś go? — mruknął kwaśno Scott, chwytając kufel. — Mamy się postarać. Stary kretyń. Jakby to było takie proste.

— Nie wiemy nawet, jak do niego dotrzeć — mruknęła Laura.

Ja sama też nie miałam pojęcia, jak ściągnąć Brooklyna do Culver City, skoro nie wiedzieliśmy, gdzie on się właściwie znajduje.

— Czekajcie, wy teraz tak na serio? — odezwał się nagle Matt. Wydawał się zdezorientowany.

— Z czym? — zapytał Theo.

— Przecież to oczywiste. Jak go tu ściągnąć — odparł, jakby mówił o pogodzie.

— Czyli? — ponagliła zainteresowana Mia.

— Pomyślcie przez chwilę — mruknął, pochylając się na swoim stołku. — Jaka jedna rzecz sprawiała, że się pojawiał? Chociażby był na drugim końcu Ameryki. Jakiego wydarzenia w Culver City nie opuścił ani razu? W dwa tysiące szesnastym przyleciał specjalnie z Europy.

Matt był poważny i skupiony, co było do niego niepodobne, ale w dziwny sposób mi tym zaimponował. Przeniosłam wzrok na twarze reszty, aby zobaczyć, czy tylko ja nie rozumiem. Inni również wydawali się zdezorientowani. Zastanawiałam się, czy to my jesteśmy głupi, czy Matt zyskał kilka punktów IQ.

Nagle oczy Luke'a się rozszerzyły. Niemal widziałam, jak żarówka zapala się nad jego głową, jakby był bohaterem kreskówki.

— Walki Nate’a.

Matt się uśmiechnął.

— Bingo.

Niewiele myśląc, spojrzałam na Nathaniela, który z nieodgadnionym wyrazem twarzy patrzył na Donovana. Nie potrafiłam stwierdzić, jak zareagował na pomysł Matta, bo jego mina wyrażała... nic.

— Faktycznie — powiedział Scott, jakby to było oczywiste. — Był na każdej.

— A odkąd Nate nie walczy, nie pojawiał się w Culver City — dodał zadowolony Matt.

Nie walczy.

— Rany, nie wierzę, że sami na to nie wpadliście — ciągnął Donovan. — Ja pomyślałem o tym już wtedy, gdy byliśmy u Vincenta, ale nie odzywałem się, bo byłem pewny, że wy też to wiecie. A podobno to ja jestem tym najgłupszym! — Z zadowoleniem uniósł swoje piwo.

— Ale skąd pewność, że walka go ściągnie? — zastanawiała się głośno Mia. — Nawet nie wiemy, czy nadal się tym interesuje. Ani czy ta informacja do niego dotrze.

— Vincent powiedział, że Brooklyn ma tu wtyki. Jeśli wieść dojdzie do odpowiednich osób, Brooklyn też się dowie — wtrąciła się Laura.

— Otóż to — potaknął Donovan. — Więc jeśli chcemy go ściągnąć, Nate musi zgodzić się na walkę. A my musimy zrobić z tego najbardziej oczekiwane wydarzenie w Culver City. Gdy rozpowiemy, że Nate znowu wchodzi do podziemia, nie będzie osoby, która się o tym nie dowie.

Nawet Jasmine, która do tej pory wyglądała na niezainteresowaną i tylko słuchała, spojrzała na Sheya. Mój puls nieco przyspieszył, bo byłam wewnętrznie rozdarta. To jasne, że nie chciałam, aby walczył. W końcu uwolnił się od tego syfu i byłam z tego powodu szczęśliwa jak diabli. Nie miałam pojęcia, dlaczego zupełnie zrezygnował z walk, choć powtarzał, że to kocha, ale nie musiałam tego wiedzieć, dopóki się o siebie troszczył. Nie chciałam nawet myśleć o tym, co siedziało mu w głowie w tamtej chwili, skoro wiedział, że to od niego wszystko zależy.

W końcu wyrwał się z tego toksycznego świata, a my oczekiwaliśmy, że tam wróci. Tak nie zachowywali się przyjaciele, nawet byli. Chyba wszyscy doszliśmy do podobnych wniosków. Scott odchrząknął nerwowo, kiedy cisza zaczęła się przedłużać.

— Znaczy... stary. Wiadomo, nikt cię do niczego nie zmusza i jeśli nie chcesz, to znajdziemy jakieś inne rozwiązanie — powiedział pewnie.

— Scott ma rację — odezwał się nagle Cameron, szokując tym nas wszystkich. Z obojętnością skrzyżował spojrzenie z Sheyem, który odchylił lekko głowę. — Jeśli nie chcesz brać w tym udziału, to koniec tematu.

To było dziwne, zważywszy na to, że ich stosunki nie były najlepsze. Mimo to Wilson był w tamtym momencie naprawdę bardzo w porządku.

Nathaniel nie odpowiadał przez dłuższą chwilę, a ja podziwiałam, że pomimo takiej sytuacji zachował spokój. Minęły dobre dwie minuty, nim w końcu ciężko westchnął.

— Nie walczyłem od czterech lat — rzucił cierpko.

Jego zachrypnięty głos znów sprawił, że poczułam dreszcze.

— Ale jesteś w lepszej formie niż kiedykolwiek wcześniej — odparł Luke, na co Nathaniel przewrócił oczami.

Poczułam, że to nie fair ryzykować jego zdrowie, a może życie. Zaciśnęłam dłoń na szklance z sokiem i już miałam się sprzeciwić, gdy nagle poczułam spojrzenie Nathaniela na swojej twarzy. Trwało to dosłownie sekundę i nie zdążyłam nawet odpowiedzieć mu tym samym, bo znów popatrzył na resztę.

— Okej, mogę zgodzić się na jedną walkę — powiedział poważnie, a ja zamknęłam usta. — Ale jak wy sobie to wyobrażacie? — zapytał chłodno, wkładając dłoń do kieszeni spodni. — Nie walczyłem od czterech lat. Nie byłem na żadnej walce od tego czasu, wy również. Są nowi zawodnicy. Pewnie nowe zasady po tym, jak Venom zniknął. Nie wiemy niczego, więc jak chcecie to zrobić?

Nie, nie. Ty się nie zgadasz.

— Stary, jesteś Nathaniel Shey — powiedział Matt, jakby sam Shey o tym zapomniał. — Jeszcze pięć lat temu goście z innych miast przyjeżdżali specjalnie na twoje walki. Jeśli ogłosisz, że wracasz, ludzie zwariują.

— Nie może ogłosić, że wraca — wtrącił się Theo. — To musi być jedna walka. Nate nie może pozwolić im myśleć, że to coś na dłużej. Ludzie muszą poczuć, że to wydarzenie premium, coś spektakularnego i wyjątkowego. To ich zainteresuje.

Nie, nie. On w ogóle nie ma walczyć.

— Najlepiej by było, gdybyś walczył z kimś, kto teraz przyciąga uwagę — mruknął Cameron. — Kiedyś ty byłeś najpopularniejszym zawodnikiem, teraz też musi jakiś być.

— Tak jak mówiłem — burknął Shey — nic nie wiemy. Jesteśmy cztery lata w plecty.

— Nie chcę znowu się wymądrzać, ale mamy tu kogoś, kto zna organizatorów — mruknął Matt i oparł dłonie na barkach Scotta z taką siłą, że Hayes aż podskoczył.

— Co? — zapytał głupio.

— Siedziałeś kiedyś w organizacji walk. Masz kontakty. Możesz podzwonić — mówił Donovan.

— No niby tak...

— Okej, a jak już znajdziemy tego zawodnika, to co? — odezwała się w końcu Jasmine. Jej mina była sceptyczna. — Nate go magicznie spotka i powie: „o, hej, co powiesz na walkę”? — rzuciła z ironią sztucznie wesołym głosem, a następnie powróciła do normalnego tonu: — Trzeba mieć powód.

— Najpierw dowiedzmy się, kto jest teraz najlepszym zawodnikiem. Zajmę się tym — poinformował Scott.

— Ale co potem? Nawet jeśli zorganizujemy walkę, skąd będziemy wiedzieć, że Brooklyn się dowie?

— Trzeba nam kogoś, kto zna wielu ludzi. Kogoś, kto rozpuści plotki, a dalej to już samo pójdzie — zaczął Parker. Nie minęła chwila, a jego oczy rozbłysły. — Kogoś, kto mimo tego, że na co dzień siedzi kilka tysięcy mil stąd, nadal zna połowę Kalifornii. — Jego wzrok zatrzymał się na Chrisie, który bawił się serwetką.

Adams uniósł głowę dopiero wtedy, gdy wokół zapanowała idealna cisza. Zmarszczył brwi, kiedy zauważył, że wszyscy na niego patrzą, a następnie przewrócił oczami.

— I bądź tu popularny — westchnął teatralnie, ale wiedzieliśmy, że to już załatwione.

Chris znał tylu ludzi, że nie umiałabym nawet do tylu policzyć. Był charyzmatyczny, cholernie pewny siebie i sprytny, gdy zechciał, więc wiedziałam, że bez problemu znajdzie się w odpowiednim kręgu. Do tego umiał podkręcać oczekiwania jak nikt. To było pewne, że wiadomość o walce Nathaniela dotrze do ludzi Brooklyna.

Głowa parowała mi od nadmiaru informacji, a ohydny sok porzeczkowy pozostawił w moim gardle nieprzyjemny posmak. Tyle rzeczy mogło pójść źle, najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że Shey miał ryzykować najbardziej. Znowu musiał się bić, i to z najlepszym. Skąd pewność, że wygra? Może nowi zawodnicy byli lepsi, może mogła mu się stać krzywda? Było tak wiele pytań, od których zrobiło mi się niedobrze.

Odwrociłam głowę i napotkałam ostre spojrzenie Nathaniela.

Obserwował mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Mimo emocji niewzruszona patrzyłam w jego przekrwione i mocniej podkrążone oczy, w których kiedyś wiedziałam gwiazdy. Teraz nie było tam nic. Nic nie błyszczało, nic nie świeciło. Były zimne, puste i tak bardzo obojętne.

Pragnęłam, by coś powiedział, aby nie zgodził się na tę przeklętą walkę. Aby nie ryzykował dla wszystkich, ale on milczał. Wtedy, gdy na mnie patrzył, i wtedy, gdy się odwrócił.

Coś mówiło mi, że wcale tego nie chce, że nie chce walczyć. Nikt by go nie zmusił, więc dlaczego nic nie powiedział? Czemu się zgodził?

— Okej — mruknęła Mia. — Powiedzmy, że ta walka się odbędzie. Brooklyn się dowie i jakimś cudem się pokaże. I wtedy co? Mamy dać Vincentowi znać, by się nim zajął?

— Nie. Przecież Brooklyn nie pojawi się tam z walizką i nawet jeśli Vincent go dopadnie, to mała szansa, że ją odda — odrzekł rozsądnie Cameron. — Trzeba będzie ją inaczej odebrać.

Pomrugałam szybko powiekami, odrywając wzrok od Nathaniela.

— Tylko jak? — zapytała Laura.

— Tak jak mówił Vincent. Dawne zauroczenie — powiedział cicho Donovan. Patrzył na mnie niepewnie, jakby lekko zawstydzony.

Czułam na sobie spojrzenia wszystkich prócz Nathaniela. Odchrząknęłam, aby mój głos nie zdradził, że to mnie przygniotło, i z obojętną miną uniosłam brwi.

— A niby jak mam to zrobić? — zapytałam. — Ostatni raz widziałam go jakieś pięć lat temu. Może mnie nawet nie pamiętać. Jego obsesja mogła minąć. Choć to utrudniłoby wszystko, mam, kurwa, wielką nadzieję, że tak się stało.

— Cóż, nawet jeśli Brooklyn już nie jest tobą zainteresowany, w co wątpię, to i tak będzie chciał się z tobą spotkać, gdy rozniesie się plotka,

że wróciłaś do Culver City — odezwał się Luke. Coś w jego głosie zdradzało, że nie był z tego powodu zadowolony.

— Niby dlaczego? — zapytałam.

— Bo nienawidzi Nate'a, więc będzie miał pole do popisu, by się zemścić. — Jego głos stał się jeszcze bardziej ponury, co w tamtej chwili zbiło mnie z tropu. Dokładnie tak samo jak widok śmiertelnie poważnych twarzy Laury, Scotta, Matta, Camerona i nawet samego Sheya, który mocno zacisnął szczękę.

— Co to znaczy? — Miałam złe przeczucia. *Bardzo złe.*

— To, że nie jesteś już nietykalna w Culver City. Więc Brooklyn może pokazać Nathanielowi, że jego wysiłek, by cię ochronić, poszedł na marne.

Zaniemówiłam. Nie wiedziałam, jak zareagować, bo przecież Nathaniel lata wcześniej wygrał dla mnie walkę i tym samym otrzymałam immunitet. Co się, do cholery, zmieniło?!

— Kochanie — zaczęła Laura — jesteś nietykalna, jeśli tu mieszkasz. Przeprowadziłaś się, więc immunitet stracił ważność. I nawet gdybyś z powrotem zamieszkała w Culver City, nie odzyskałabyś tego statusu. Ktoś znowu musiałby dla ciebie wygrać.

— Więc Brooklyn... — zaczęłam.

— Wie, że wyjechałaś — wtrącił się cicho Cameron. — To sukinsyn, który nie umie przegrywać. Jeśli dowie się, że wróciłaś, będzie mógł zrobić, co zechce, i tym samym odegrać się na Nathanielu.

— Kurwa — zakląłam.

Nie chciałam powtórki z rozrywki, nie chciałam znów być zagrożona. Brooklyn nie był przypadkowym chłopakiem z osiedla. Był psychopatą uzależnionym od narkotyków, który miał do czynienia z pieprzoną mafią. Gdy poznałam historię Vincenta, zaczął mnie jeszcze bardziej przerażać.

W myślach policzyłam do dziesięciu, aby się nieco uspokoić i nie pokazać, jak mnie to ruszyło.

— Nie wystawimy Victorii na niebezpieczeństwo. Nie ma opcji — warknął nagle mój brat.

— Oczywiście, że nie — zapewniła Laura. — Ale jak to rozegrać?

— Przecież to oczywiste — odezwał się znów Matt.

Jasmine spojrzała na niego jawnie rozdrażniona.

— Dla ciebie ostatnio wszystko jest oczywiste. Możesz mówić od razu, o co ci chodzi? — warknęła. — To, że nagle zacząłeś używać mózgu, nie oznacza, że my w tym samym czasie nauczyliśmy się czytać w myślach.

— Nie musisz być niemila — fuknął, ale posłusznie kontynuował: — Brooklyn musi wiedzieć, że też tu jesteś, by był jeszcze bardziej zmotywowany. Dlatego musisz się zakręcić w różnych miejscach, pokazać. Kiedyś często widywano cię z Nate'em, więc ludzie cię znają.

— A gdy Brooklyn wróci, to co mam zrobić? — zapytałam.

— Musisz pokazać, że jesteś po jego stronie.

Poczułam, jak moje serce zamiera, kiedy usłyszałam cichy głos Nathaniela. Uniosłam na niego wzrok. Stał bokiem do mnie, beznamiętnie wpatrując się w kolekcję butelek tanich alkoholi na ścianie za barem. Nie posłał mi ani jednego spojrzenia.

— Dokładnie. Tylko wtedy ci zaufa i być może to jest droga do tego, aby się dowiedzieć, gdzie jest ta cholerna walizka z magnesem z Alabamy — westchnął Matt, nie szczędząc sobie kpiny w głosie. — Siłą jej nie dostaniemy. Potrzeba sprytu.

— A kiedy się dowiemy, gdzie jest, dowie się też Vincent. I sam zrobi resztę — dodał Luke, a potem szybko wypił szota, którego przygotował sobie wcześniej. — Tylko czy każde z nas w to wchodzi?

— A mamy wybór? — zapytał Matt.

I tak to się skończyło.

Wiedzieliśmy już, co robić. Jasne stało się, dlaczego Vincentowi tak bardzo zależało i na mnie, i na Nathanielu. Tak jak powiedział — znaczyliśmy coś dla Brooklyna. Uniosłam wzrok i popatrzyłam na profil Sheya. Nie pokazywał tego, ale czułam, że i dla niego nie jest to łatwe.

Mimo że siedzieliśmy w tym wszyscy, nigdy nie czułam się bardziej samotna w towarzystwie tych ludzi. Atmosfera nie była dobra, nie czuliśmy się ze sobą tak komfortowo jak kiedyś. Ustaliliśmy, kto co ma dalej robić, wymieniliśmy się wątpliwościami i przekazaliśmy sobie suche informacje, nic poza tym. Kiedyś byliśmy rodziną, a teraz zachowywaliśmy się jak banda nieznajomych.

Kiedy zakończyliśmy rozmowę, nie zostaliśmy, aby pogadać o czymś innym, powspominać albo poplotkować. Choć kilka dni wcześniej w naszym apartamencie przywitaliśmy się stosunkowo ciepło jak na to, że nie kontaktowaliśmy się przez cztery lata, tamtego dnia było inaczej.

Byliśmy jak dym papierosowy rozplywający się w powietrzu. Znikaliśmy z rzucanymi w eter słowami pożegnania.

Wyszliśmy z baru, w którym kiedyś spędzaliśmy wolne chwile, śmiejąc się i pijąc. Wyszliśmy i rozeszliśmy się każde w swoją stronę bez ostatnich spojrzeń, uśmiechów czy zapewnienia, że niedługo się zobaczymy.

Byliśmy dla siebie tylko wspomnieniami i tylko wspomnienia mieliśmy. Wspomnienia lepszych czasów.

Westchnęłam ciężko, ponownie spoglądając na budynek przed sobą. Nie wiedziałam, czy dobrze robię, ale nie chciałam myśleć o konsekwencjach tej decyzji.

Pokręciłam głową, znów spuszczać wzrok na telefon, który leżał na moich udach. Jeszcze raz przejrzałam wiadomości z ostatniej godziny.

Victoria: hej, luke. tu victoria. nie wiem, czy dalej masz mój numer.

Luke: Oczywiście, że mam Clark. Coś się stało?

Victoria: mam pytanie, czy wiesz może, gdzie jest nate?

Luke: Z tego co wiem to jest w pracy

Zablokowałam urządzenie, odchylając głowę i uderzając nią w załówek. Nie miałam pojęcia, co ja, do cholery, najlepszego wyprawiam. Nie wiedziałam, co robię w tej przeklętej taksówce przed warsztatem Sheya.

Po naszej rozmowie w barze dzień wcześniej nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Wciąż zastanawiałam się, dlaczego Nathaniel zgodził się na walkę. Po długich bataliach, jakie toczyłam sama ze sobą, doszłam do wniosku, że nie mogę tego tak zostawić. Był dorosły i podejmował własne decyzje, ale chciałam, by wiedział, że nie musi ryzykować specjalnie dla nas, że spróbujemy znaleźć inne wyjście. Nie był tak zdeterminowany, by zdobyć odpowiedzi na swoje pytania, jak my. To on się wahał, czy w to wchodzić, a teraz, dla zaspokojenia naszej ciekawości, miał ryzykować życie i zdrowie?!

— Victoria, ja cię bardzo lubię i nie chcę w żaden sposób cię pospieszać, ale stoimy tu już od dziesięciu minut — odezwał się cicho i niepewnie Filip. — Ja mam pracę.

— Wiem, przepraszam — westchnęłam ciężko. — Tylko nie wiem, czy nie lepiej będzie, jak odwieziesz mnie do domu. Chyba zrobię głupotę, jeśli tam pójdę.

— Cóż — zaczął, zerknąwszy na mnie przez ramię — lepiej coś zrobić i przez chwilę żałować niż nie spróbować i przez resztę życia zastanawiać się, co by było gdyby.

Te słowa sprawiły, że minutę później stałam przed dużymi metalowymi drzwiami warsztatu, w którym pracował Nathaniel. Dziękowałam samej sobie, że zdecydowałam się założyć wysokie czarne kozaki na grubym obcasie, które sięgały mi aż do kolan i trochę ukrywały ich drżenie. Szybko wrzuciłam telefon do kieszeni czarnego płaszcza do kostek, który zostawiłam rozpięty. Poprawiłam tego samego koloru koronkowy bralet, który wsadziłam w obcisłą spódnicę Prady w czarno-białą kratkę.

Ostatni raz głęboko westchnęłam i lekko zapukałam. Weszłam do środka, ściągając z nosa okulary przeciwsłoneczne. Tam również nic się nie zmieniło. Narzędzia walały się wszędzie, a dwa rozebrane samochody stały na środku. Zapach smaru i benzyny dotarł do moich nozdrzy, gdy weszłam głębiej.

Już miałam się głośniejszym odezwać, ale nagle usłyszałam kobiecy perlisty śmiech. Chwilę potem w drzwiach po lewej pojawiła się szczupła dziewczyna. Zamilkła, gdy mnie zobaczyła, ale wielki uśmiech pozostał na jej ślicznej twarzy, kiedy skinęła w moją stronę, robiąc kilka kroków do przodu.

— Dzień dobry — powiedziała miło. Jej głos był ładny. Delikatny i wysoki jak u księżniczki Disneya. Zresztą trochę tak wyglądała.

— Dzień dobry — odpowiedziałam, zaciskając palce na swoich markowych okularach. — Czy zastałam Nathaniela Sheya?

Och, jaki ona miała śliczny uśmiech.

— Tak. Jest — potwierdziła. Zwiewna różowa sukienka pasowała do jej bladej, prawie białej skóry. — Przyszła pani w sprawie samochodu?

— Nie — zaprzeczyłam, kręcąc głową. — Nathaniel to mój dawny znajomy.

Po moich słowach uśmiech dziewczyny lekko przygasł, ale nie na długo. Miała przepiękne rude włosy, które układały się w fale i sięgały jej do połowy pleców. Podskakiwały przy każdym jej kroku.

— Rozumiem — odparła z lekką rezerwą.

Musiałam to zrobić.

— Pani tu pracuje? — zapytałam.

Na moje pytanie nieznajoma, która miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, zachichotała i mogłam przysiąc, że to wywołało gdzieś na świecie pierdoloną tęczę. Kto, do kurwy, tak uroczo się śmiał?

Ona.

— Och, nie. Jestem narzeczoną Nate'a.

To tylko impuls

Nie miałam pojęcia, o co chodzi z tym warsztatem, ale coś było z nim na pewno nie tak.

Poczułam, jakby zatrzymały się moje funkcje życiowe. Obserwowałam drobną, rudowłosą dziewczynę, której słowa sprawiły, że miałam ochotę uderzyć głową w ścianę. To znaczy nie od razu, dopiero po głębszym przemyśleniu, bo w pierwszej chwili byłam zbyt zdezorientowana, by w ogóle cokolwiek zrobić.

Chyba tylko dzięki temu uderzeniu mogłabym się wtedy ogarnąć. „Jestem narzeczoną Nate’a”. *Narzeczoną.*

Zastanawiałam się, czy to się wydarzyło naprawdę, bo moje zmysły w tamtym momencie mnie zawodziły. W mojej głowie powstały aż trzy wyjaśnienia tej surrealistycznej, w moim mniemaniu, sytuacji.

Pierwsze było takie, że to żart. Że dziewczyna po wypowiedzeniu tych... szokujących słów wybuchnie śmiechem i poinformuje mnie, że tylko się zgrywa.

Drugie zakładało, że w tym zakładzie jakimś cudem pracował jeszcze jeden chłopak o wdzięcznym imieniu Nathaniel i nazwisku Shey.

Trzecie z kolei oznaczałoby, że ona naprawdę jest narzeczoną Nathaniela.

Nie wiedziałam dlaczego, skoro nic mnie już nie łączyło z Sheyem, a on był wolnym człowiekiem, tliła się we mnie maleńka iskierka nadziei na to, że to pierwsza opcja jest tą właściwą. Nieznajoma pozostała jednak poważna i to sprawiło, że powróciłam do rzeczywistości, do tego przekłętą warsztatu, w którym byliśmy tylko ja i ta dziewczyna.

Dziewczyna, która jednym zdaniem zmiotła mnie z powierzchni ziemi. Trudne było opanowanie tego, co się we mnie rozszalało, bo nawet nie potrafiłam tego określić.

Nathaniel miał narzeczoną. Nie dziewczynę, nie potencjalną kandydatkę na partnerkę. Miał pierdoloną narzeczoną!

— Och. — Krótkie westchnienie wyrwało się z moich ust po kilku sekundach ciszy.

I może udało mi się to ukryć, ale w środku czułam się tak, jakbym stała pośrodku huraganu. Przyglądałam się jego... *narzeczonej*, która naprawdę wyglądała jak królewna. Chciałabym móc powiedzieć, że była przeciętna i po prostu *zwyyczajna*, ale nie była. *Och, Boże, nie była.*

Czułam, jak ogień trawi mnie od środka. Moje myśli płonęły, kiedy patrzyłam na nią, jak stała ze splecionymi za plecami rękami, z delikatnym i wdzięcznym uśmiechem, wyglądając tak niewinnie i pięknie jednocześnie. Mogłaby być nimfą z baśni.

— Szukasz Nate'a? — spytała nieco ostrożniej, nadal wyglądała jednak tak subtelnie i po prostu... *miło. Kurwa, miło.*

Skinęłam głową, wciąż się nie odzywając. W głowie dalej miałam to jedno słowo. *Naręczona*. Byłam tam ciałem, ale nie duchem.

Dziewczyna, widząc moje lekkie zmieszanie, uśmiechnęła się łagodnie.

— Tak — wychrypiałam w końcu. — Można tak powiedzieć.

Przyjrzałam się jej dokładniej. Mimo że jej oczy miały chłodny lazuruowy odcień, wydawały się takie ciepłe... były jasne i przejrzyste jak krople morskiej wody. Długie rzęsy rzucały cień na jej zarumienione policzki. Miała idealnie zadarty mały nos, nieprzesadnie pełne usta w kolorze dojrzewających truskawek i lekko szpiczastą brodę. Wyglądała jak laleczka w tej różowej sukience z bufiastymi rękawami w małe białe kwiatki, która sięgała jej do połowy uda, i w białych balerinkach. Skojarzyła mi się z łabędziem gotowym do rozłożenia skrzydeł. Nawet go przypominała z tą smukłą szyją i bladą, porcelanową cerą z lekkimi różowymi tonami.

Największe wrażenie robiły jednak jej włosy. Gęste, płomienne kosmyki, których odcień wpadał w pomarańczowy, falami opadały na jej plecy. Siegały jej do bioder, a z boku wetknęła w nie kryształową spinkę. Byłam pewna, że nie dało się przejść obok niej obojętnie.

Była przepiękna.

Była śliczna w swojej naturalności z prawie zerowym makijażem.

Była narzeczoną Nathaniela. Nathaniel ją miał. Ona miała *jego*.

Ta myśl spowodowała, że wróciłam na ziemię. Mimo że minęło zaledwie kilka sekund, czułam się, jakbym stała w tym warsztacie wieki.

Zbierając w sobie całą siłę, odetchnęłam i się wyprostowałam. Uniosłam lekko brodę i zrobiłam najbardziej neutralną minę, na jaką było mnie stać. Mój wzrok wyraźnie ją peszył, bo nerwowo się uśmiechnęła, ukazując równe białe zęby. Kołysała się w przód i w tył na stopach. Przypominała małą dziewczynkę, która przechadza się boso po łące.

Po kolejnej sekundzie ciszy odetchnęła cicho, kiwając delikatnie głową.

— Jeśli chcesz, mogę go zawołać — zaproponowała.

To było takie frustrujące, jej sympatyczna twarz i miły głos. Miałam ochotę stamtąd wyjść.

Już otwierałam usta, aby podziękować jej za pomoc i odejść, gdy nagle zza drzwi dotarł do nas jakiś dźwięk. Automatycznie zerknęłam w tamtą stronę. Odgłos się powtórzył, a chwilę później w progu stanął chłopak, dla którego tam przyjechałam.

Nathaniel wszedł do środka, niosąc jakąś niewielką część do samochodu, na której skupiał wzrok. Wydawało mi się, że stawia kroki w rytmie, w jakim bije moje serce. Ciężko, powoli, z napięciem. Sekundę później uniósł głowę i jego oczy zatrzymały się na dziewczynie, która również na niego popatrzyła.

Potem, mimo że próbowałam tego uniknąć, nasze spojrzenia zderzyły się ze sobą pośrodku dużego warsztatu, łącząc się tak, jak łączą się dwie krople wody w szklance. Wtopiły się w siebie.

Shey przystanął niedaleko rudowłosej. Nie wiedziałam właściwie, dlaczego tak mocno się denerwuję. To wszystko wydawało się znajome, znów staliśmy w jego warsztacie, a on jak zwykle miał na sobie czarne spodnie i białą luźną koszulkę wybrudzoną smarem. Mięśnie jego przedramion się napięły, widziałam jego żyły i ścięgna. Na czole lśniły mu maleńkie kropelki potu, które lekko zlepiły jego brązowe włosy.

I wszystko byłoby takie samo jak kiedyś, gdyby nie to, że prócz nas dwojga w pomieszczeniu był ktoś jeszcze. Jego *narzeczoną*.

Nie odwróciłam wzroku, choć może powinnam była to zrobić. Jego twarz nie wyrażała niczego, ale w tym się od niego nie różniłam. Chociaż utrzymanie obojętnej miny było dla mnie jak przebiegnięcie stumilowego maratonu, nie zламаłam się. *Nigdy tego nie robiłam.* Bez żadnej pierdolonej emocji patrzyłam mu w oczy, uniósłszy lekko podbródek i mocniej zacisnąwszy palce na okularach. Cali my. Jedno dumniejsze od drugiego.

Oczy milczały, tak jak milczały usta.

Może dla mnie czas się zatrzymał, ale rzeczywistość miała to gdzieś.

Nagle rudowłosa dziewczyna ruszyła w stronę Nathaniela. Chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, jakie napięcie powstało między mną a nim. Podeszwy jej balerinek prawie niesłyszalnie odbijały się od brudnej podłogi. I to było takie inne. Inne od ciężkich, pewnych kroków Sheya, inne od moich, szybkich i nerwowych. Jej kroki były ciche i drobnuteńkie. Patrzyłam zimno, jak kładzie dłoń na przedramieniu chłopaka. Zacisnęła palce na jego ręce, a on nawet nie drgnął.

Dotknęła go.

Uśmiechnęła się, patrząc z dołu na jego twarz. Wtedy dotarło do mnie, jaka jest drobna. Nathaniel był niesamowicie wysoki. Ja bez szpilek sięgałam mu zaledwie do brody. Ona dosięgała mu do klatki piersiowej, a jej dłoń w porównaniu z jego była taka mała i blada.

— Nate. Ktoś do ciebie — powiedziała.

Obserwowałam jej idealny profil, podczas gdy wzrok chłopaka wypalał mi dziury w ciele.

— Może nas sobie przedstawisz?

Niemal niewidocznie uniosłam brew, zastanawiając się, dlaczego on wciąż milczy. Zerknęłam mu w oczy. Był niewzruszony, zimny i obojętny, ale cały czas patrzył na mnie. Nie poświęcił nawet odrobiny uwagi swojej *narzeczonej*.

Co mam robić? Co zrobić dalej?

Przyszła do mnie odpowiedź, która przychodziła zawsze. Każdego dnia.

Rób to, co umiesz najlepiej. Kłam.

Więc wcisnęłam przełącznik.

Przywołałam na twarz delikatny uśmiech i znów spojrzałam na dziewczynę.

— Och, przepraszam. Zapomniałam się przedstawić — powiedziałam serdecznie, z najmiłszym wyrazem twarzy, na jaki było mnie stać. Bez żadnej ironii czy sarkazmu, ot tak, miły ton. — Mam na imię Victoria.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać, bo nie miałam pojęcia, czy Nathaniel coś jej o mnie mówił. Może byłam tematem tabu w ich... związku? Ale nie zamierzałam kłamać, nawet jeśli moja szczerłość miała postawić Sheya w niezręcznej sytuacji. *Ups.*

— Severine — przedstawiła się dziewczyna. Nawet jej imię brzmiało niebiańsko. — Nate? — Trąciła chłopaka łokciem w brzuch.

To podziałało, bo Nathaniel zamrugał, ale jego mina nie zmieniła się ani trochę. Nie był ani bardziej nerwowy, ani spokojniejszy. Spojrzał z góry na swoją *narzeczoną*.

Och, jak to cudownie brzmi.

Powstrzymałam kwaśny uśmiech, czując nagły przypływ gniewu, choć nie miałam się o co gniewać. To było nieuzasadnione. Tak samo nieuzasadnione jak ten ucisk w moim żołądku, gdy Nathaniel odłożył to, co trzymał, na ziemię, a następnie popatrzył na Severine i uniósł kącik ust.

— Tak, to Victoria Clark — odezwał się nagle, a ja poczułam przezywający mnie prąd, gdy usłyszałam ten zachrypnięty głos.

Clark.

Tak jak kiedyś, a jednak inaczej.

Rudowłosa skinęła głową. Kątem oka zauważyłam, jak jej długie palce ścisnęły jego nadgarstek. Z ekscytacją błysnęła białymi zębami.

— Jesteś przyjaciółką Nate'a? — zapytała naprawdę zaciekawiona. — Nigdy mi o tobie nie wspominał.

Och. Nigdy nie wspominał.

— Można powiedzieć, że jestem starą znajomą — odpowiedziałam szybko, nim niechciane myśli zaległy się w mojej głowie jak najgorsze robactwo. Nadal uśmiechając się w stronę dziewczyny, położyłam płasko dłoń na klatce piersiowej. — Mieszkam aktualnie w Maine, ale wychowałam się tu. A teraz wróciłam z krótką wizytą i tak odwiedzam dawnych znajomych.

„Nigdy mi o tobie nie wspominał”.

W końcu nic nas już nie łączyło, mieliśmy piękne wspomnienia, ale na tym koniec. Nie musiał mówić o mnie innym. Powtarzałam sobie to

w głowie jak mantrę, ale i tak nie mogłam opanować wszechogarniającego smutku, jaki mnie dopadł. Czy jednak mogłam go winić? Byliśmy tylko przeszłością.

Miałam ochotę splunąć samej sobie w twarz. Po co marnowałam na to energię i się tym przejmowałam? Nie byłoby mnie w tym cholernym mieście, gdyby nie to, że chciałam poznać prawdę o mamie. Minęły cztery lata.

Jesteś żenująca. Zmień to, jesteś ponad.

— Aha. Wróciłaś w jakiejś konkretnej sprawie? Oczywiście nie chcę być wścibska, ale Culver City to chyba raczej nudne miasto.

Nie wychodząc z roli, mimochodem zerknęłam na Sheya w tym samym momencie, w którym on spojrzał na mnie. Znów poczułam napięcie, bo nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie miałam pojęcia, czy dziewczyna jest zaznajomiona ze wszystkimi rewelacjami, które dotyczyły naszego życia. Nie wiedziałam, czy Nathaniel opowiedział jej o Vincencie, naszym planie i przeszłości.

Obstawiałam, że wie, w końcu była jego narzeczoną. Nie chciałam jednak wypaplać czegoś, czego nie powinnam. Z na pozór obojętną miną patrzyłam na Nathaniela, którego oczy były chłodne, ale w pewnym momencie to zauważyłam. To była sekunda, *przebłysk*.

Wyczułam, że się spał, choć stojąca obok niego dziewczyna nie zdawała sobie z tego sprawy. Dotarło do mnie, co to oznacza.

Ona nie wiedziała.

Wyrwałam się z transu i znów spojrzałam na twarz niczego nieświadomej Severine.

— Wróciłam na trochę z bratem, bo mamy kilka spraw rodzinnych do załatwienia. A poza tym chciałam odwiedzić swoich starych przyjaciół. Trochę mnie tu nie było, więc tak sobie spaceruję i zwiedzam to nasze Culver City — kłamałam bez zająknięcia, a w reakcji na moje lekko patetyczne zakończenie dziewczyna cicho się zaśmiała. — Coś mi podpowiadało, że Nate nadal tu pracuje, więc postanowiłam zajrzeć. I dobrze się złożyło, bo mogłam cię poznać. Bardzo mi z tego powodu miło.

Pierwsze kłamstwo. Drugie kłamstwo. Gdzie kończyło się trzecie, a zaczynała prawda?

Twarc dziewczyny rozpromieniła się jeszcze bardziej, a wszystko wokół zawirowało od tego jej pierdolonego szczęścia. Za to Nathaniel

najwyraźniej postawił sobie za cel przewiercenie mnie wzrokiem na wylot. Nie miałam zamiaru dać mu się sprowokować, więc nie zaszczycałam go już ani jednym spojrzeniem.

— To bardzo miłe, dziękuję. — Severine z wdzięcznością kiwnęła głową. — Też bardzo miło mi cię poznać, Victorio.

Potaknęłam, a gdy zapadła irytująca cisza, postanowiłam zrobić coś głupiego. Dobrze wiedziałam, że powinnam była odpuścić i wyjść, ale coś kazało mi zostać. W mojej głowie odezwał się irytujący głosik, który pchnął mnie do tego, aby uprzejmie się uśmiechnąć, postarać się o swobodny ton i obojętną postawę.

— Och, zapomniałabym — powiedziałam i spojrzałam prosto w oczy Nathaniela — gratuluję z okazji zaręczyn.

To było takie dziwne, mówić na głos o tym, że Nathaniel Gabriel Shey miał wkrótce wziąć ślub.

Chyba nie zdawał sobie sprawy, że o tym wiem, bo delikatnie zmarszczył brwi. Mistrzowsko wytrzymałam jego spojrzenie, a mój uśmiech musiał go zdezorientować. Dawniej potrafił czytać ze mnie jak z otwartej książki, tylko że... tylko że w tamtym momencie wcale nie wyglądało na to, że wciąż to potrafi.

Nadal patrzył w moje oczy, jakby chciał poznać każdą moją myśl, każdy sekret i grzech, jaki popełniłam. Ja jednak dawno wzniosłam mury, przez które trudno było się przebić. Nawet sam Nathaniel Shey tego nie potrafił, dlatego nie wyczytał niczego.

Po chwili jego czarne tęczówki znów stały się matowe. Dokładnie tak jak te brązowo-zielone.

— Dziękujemy bardzo — odezwała się Severine, więc oderwałam wzrok od jej *narzeczonego* i popatrzyłam w jej niebieskie oczy. Wydawała się szczerą i szczęśliwą.

Zaczęłam jej zazdrościć tego melodyjnego, delikatnego głosu. Tak bardzo różnił się od mojego, który brzmiał jak zachrypnięty, cichy charkot. Setki wypalonych fajek i noce spędzane na zdzieraniu gardła do krwi nie poszły na marne.

Pokiwałam głową, nie mówiąc nic więcej. Wtedy nagle twarz dziewczyny się rozjaśniła, jakby coś do niej dotarło.

— Och, pewnie chcecie porozmawiać! — zawołała. — Długo się nie widzieliście, więc nie będę przeszkadzać...

— Naprawdę nie musisz... — wtrąciłam się. Prawdę mówiąc, straciłam ochotę na jakąkolwiek rozmowę z Nathanielem. — Jestem tylko przejazdem...

— Daj spokój, to nic — ucieła i przeniosła spojrzenie na Sheya. — Kochanie?

Kochanie.

Zacisnęłam palce na okularach tak mocno, że prawie je połamalam. Postanowiłam ukradkiem na nich zerknąć.

To było tak niesamowicie trudne, patrzeć, jak idealnie razem wyglądają. Była taka niska i drobniutka przy wysokim, barczystym Sheyu. Wciąż ścisnęła jego nadgarstek swoimi szczupłymi palcami, a jej wielkie oczy obserwowały go z uczuciem, gdy spoglądał na nią z góry. Była filigranowa, urocza i słodka, a on był zimny, niewzruszony i piękny. Jak pierdolona para z filmu rodem z Hollywood.

Zrobiło mi się niedobrze od tego mdlącego widoku.

— Zadzwońię do Sabine. Nie będę wam przeszkadzać — poinformowała Nathaniela, po czym wspięła się na palce i złożyła delikatny pocałunek na lewym kąciku jego ust.

Katowałam samą siebie, patrząc na to, i czułam się tak, jakby ktoś uderzył mnie łomem w brzuch.

Severine ostatni raz uśmiechnęła się w moją stronę, aby kilka sekund później zniknąć za drzwiami.

Zostaliśmy sami w pełnej napięcia ciszy. Chyba byłam w zbyt wielkim szoku, aby od razu się odezwać. Tak, to tylko szok. *Tylko.*

Nathaniel z nieodgadnioną miną wytarł brudne ręce w szmatkę i po dłuższej chwili wbił wzrok w moją twarz. Coś nieprzyjemnie szarpnęło mnie w żołądku, bo zdałam sobie sprawę, że nie powinnam była tam przyjeżdżać. Shey westchnął, prostując się i wciskając materiał w tylną kieszeń jeansów. Nie mogłam go rozpracować, bo znów pokazał mi tylko obojętność.

— Coś się stało? — zapytał cicho.

Skoro już tam byłam, to mogłam skończyć to, co zaczęłam. Odchrząknęłam.

— Chciałam pogadać — mruknęłam, wkładając ręce do kieszeni płaszcza. — Wiesz o czym.

Chłopak zawahał się lekko, a następnie spojrział na drzwi, za którymi zniknęła Severine. Było widać, że intensywnie się nad czymś zastanawia, ale po chwili skinął głową.

— Więc chodź — rzucił.

Ruszył w moją stronę, ale na mnie nie patrzył, wzrok miał utkwiony gdzieś za mną. Wyminął mnie, a ja przez pierwsze kilka sekund ani drgnęłam, zastanawiając się, czy jestem gotowa na jakąkolwiek rozmowę. Po dojściu do wniosku, że absolutnie, kurwa, nie, obróciłam się i powłócząc nogami, podążyłam za nim.

Stał na zewnątrz, plecami do mnie, z dłońmi w kieszeniach jeansów. Zatrzymałam się obok niego w bezpiecznej odległości, również spoglądając na ulicę przed nami. Nie czułam jego zapachu i to było w porządku. *W porządku.*

Niewiele myśląc, wyciągnęłam paczkę papierosów z kieszeni płaszcza. O dziwo spokojnymi dłońmi wyjęłam jedną fajkę, wsadziłam ją pomiędzy wargi i odpaliłam. Jedną ręką objęłam się w tali, a w drugiej trzymałam papierosa.

Zastanawiałam się, kto pęknie pierwszy. Ku mojemu zaskoczeniu nie byłam to ja.

— Zapytaj w końcu — powiedział nagle.

Nie zareagowałam gwałtownie, jedynie spojrzałam na niego kątem oka.

Gdybym mogła na zawsze zapamiętać pewne obrazy, aby pokazać je innym, chciałabym zapisać tamten. Chciałabym pokazać ludziom, jak wyglądał Nathaniel tamtego dnia, gdy kalifornijskie słońce padało prosto na jego lekko zmęczoną twarz. Kiedy pustym wzrokiem wpatrywał się przed siebie, a długie rzęsy rzucały cień na jego policzki. Z nieułożonymi ciemnobrązowymi włosami, których odcień podchodził pod czerń. Z tymi wszystkimi małymi bliznami, które w promieniach słońca stawały się jeszcze bardziej widoczne i były tak bardzo jego. Chciałam zapamiętać ten widok.

Choć wcale nie powinnam.

— O co? — grałam na czas.

Wypuścił z siebie ciche westchnienie.

— Wiesz o co.

Znów spojrzałam na ulicę przed nami i zaciągnęłam się papierosem.

— Trochę mnie to zdziwiło, ale to chyba dobry wybór — odpowiedziałam beznamiętnym tonem. Musiałam przestać zachowywać się tak, jakby to było coś ważnego. — Wydaje się... kochana.

— Jest — odparł od razu. Był w tym szczery.

Pierdol się, Clark. Wylącz uczucia.

— I jest prześliczna — dodałam, nie wiedząc nawet, czemu kontynuuję tę rozmowę.

Nathaniel był lekko spięty, ale nie przesadnie.

— Tak, jest — powtórzył.

Skinęłam głową ni to do siebie, ni do niego, grając niewzruszoną i popalając papierosa.

— To dobrze, że ją masz — powiedziałam i, co mnie zdziwiło, to było szczere. — Miłość uskrzydla i te inne gówna, czyż nie?

Nathaniel w pierwszej chwili nie odpowiedział. Wyczułam, że jego ciało spięło się jeszcze bardziej. Nasze głowy odwróciły się w tym samym momencie.

— W końcu zapanował spokój — odparł tak cicho, że ledwie go usłyszałam. — I chyba o to tu chodzi. O spokój.

— Tak, o to też chodzi — mruknęłam równie cicho, nawet nie wiedząc, jakim cudem ta rozmowa przybrała taki obrót, ale czułam, że... że to było po prostu potrzebne. — Ale głównie powinno chodzić o szczęście.

Właśnie wtedy dotarło do mnie, jak bardzo poukładał sobie życie. Ten chłopak, który kiedyś był definicją problemów i ulubieńcem policji, dorósł. Miał narzeczoną, dobrą pracę, przyjaciół i skończył z nielegalnym światem. Musiał klęknąć przed Severine na kolano, dać jej pierścionek i powiedzieć, że ją kocha i chce spędzić z nią resztę życia. *Że ją kocha.*

Pomimo tego, że nagle dopadła mnie chęć rzucenia czymś w ścianę, poczułam się tak... dobrze. Jakbym właśnie pozbyła się ciężaru, który spoczywał na swoich ramionach od czasu mojego wyjazdu z Culver City i przez te lata w Maine.

Teraz byłam pewna, że Nathaniel jest szczęśliwy, tak jak mi obiecał przy naszym pożegnaniu. Nie był już tym dawnym złamanym i skomplikowanym chłopakiem, którego znałam. Był młodym mężczyzną, który niedługo miał stać się mężem mającym żonę, dom, dziecko i kosiarkę. I to było w porządku, bo zasługiwał na spokój, na szczęście, na miłość.

Poczułam do siebie odrazę, bo ta myśl wywołała we mnie mimo wszystko dziwny smutek. Powinnam była się jedynie cieszyć. Kurwa, byłam tak bardzo popieprzona. Nienawidziłam siebie. Od czterech lat i z każdym dniem coraz bardziej.

— Zaslugujesz na szczęście. Dlatego powinieneś się wycofać — powiedziała spokojnie, choć w mojej głowie rozpełtał się huragan.

Wciąż patrzyliśmy sobie w oczy, a ja nie potrafiłam się odwrócić. Papieros zgaśł między moimi palcami.

Nathaniel zmarszczył brwi, jakby nie rozumiał, o czym mówię.

— Z czego? — zapytał zbity z tropu.

— Z tego całego syfu dotyczącego Vincenta.

Wiedziałałam, że usłyszy. Zawsze słyszał to, co chciałam mu powiedzieć. Nawet wtedy, gdy nie używałam słów.

— Victoria... — zaczął, ale nie dałam mu skończyć.

— Ułożyłeś sobie życie. Masz szczęście, narzeczoną, spokój... Naprawdę chcesz to wszystko zepsuć? Przez człowieka, który skusił nas jakimiś odpowiedziami? Przez niepewny plan? Zastanów się. Czy to się w ogóle opłaca?

— To moja decyzja — uciął twardo, a jego mięśnie się napięły. — Myślałem, że znamy się na tyle, byś wiedziała, że jestem ostatnim człowiekiem, który robi coś przez kogoś.

Przewróciłam oczami.

— Tak, tak i tak dalej. Już to kiedyś słyszałam. Nie raz — sarknęłam i postanowiłam przyjąć inną taktykę: — Nate, ona nawet o tym nie wie. Chcesz ją okłamywać?

Shey odwrócił ode mnie wzrok.

— To nie jest twoja sprawa — powiedział ostrzej, bo najwyraźniej go zdenerwowałam.

Wyciągnęłam kolejnego papierosa i spokojnie go odpaliłam. Musiałam odciągnąć Sheya od tego pomysłu, a czasy, kiedy jego nieprzyjemny ton mnie odstraszał, już dawno minęły. Przełknęłam ślinę i pomasowałam czoło. Dlaczego z nim nigdy nic nie mogło być proste?

— Nate, nie walcz. Odpuść. Wyrwałeś się z tego gówna. Nie wchodź w to ponownie.

Długo nie odpowiadał, co uznałam za dobry znak. Może to właśnie do niego dotarło? Postanowiłam na niego spojrzeć, ale to okazało się

błędem, bo jego oczy były porażającym chłodem, wrogością i dziwnym... rozczarowaniem? Wyglądał, jakby był zawiedziony.

Zacisnęłam szczękę, bo nie sądziłam, że będzie do mnie tak nastawiony.

— Więc dlaczego ty w tym jesteś, hm? — zapytał nagle, a jego ostry głos przeciął powietrze jak brzytwa.

Nie słyszałam tego tonu od kilku lat. Kiedyś skuliłabym się w sobie, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie zrobił na mnie większego wrażenia. Miałam ochotę przewrócić oczami. Dlaczego mimo upływu czasu znów ze sobą walczyliśmy?

— Dlaczego znów się w to ładujesz? — dodał cierpko. — Dlaczego przyjechałaś tu z Maine, chociaż obiecałaś sobie, że nigdy nie wrócisz do Culver City? Dlaczego nie odpuszczisz, żeby nie burzyć swojego spokoju?

Bo jestem popieprzonym bałaganem i nie mam nic do stracenia, wszystko już straciłam. Ale tego wiedzieć nie możesz.

— Bo tu chodzi o moją matkę — odpowiedziałam bez zająknięcia.

— O moją też, gdybyś zapomniała — rzucił, a irytacja na jego twarzy była jeszcze lepiej widoczna.

Łamał się — wiedziałam to, bo zaczął pokazywać emocje, a tylko w takich chwilach to robił. Ja pozostałam niewzruszona i coś mi podpowiadało, że to nie tylko ta rozmowa wywołała jego irytację.

— Nikt nigdy nie musiał mi mówić, co mam robić, bo ja to wiem — warknął. — I umiem o sobie zadbać, więc przestań być hipokrytką. Załatwimy to szybko, odnajdziemy tę walizkę, dowiemy się prawdy i każde z nas wróci do swojego życia.

— Jesteś pewny, że na tym się skończy? — zapytał równie oschłym tonem.

Nathaniel przez dłuższą chwilę milczał, ale zaczął wpatrywać się we mnie jeszcze intensywniej. Jakby chciał coś wyłapać, czegoś się dopatrzeć, nie miałam tylko pojęcia czego. Nagle w jego oczach zabłyśła wściekłość, co mnie zdziwiło, bo nic nie zrobiłam. Ta rozmowa nie była taka, by miał powód się o nią złościć, a mimo to stał przede mną w furii. Jego knykcie pobiegały od zaciskania dłoni w pięści.

Otworzyłam szerzej oczy, zastanawiając się, co się stało. Wtedy chyba się opamiętał, bo odchrząknął i odwrócił wzrok.

— Tak, bo sam to skończę — rzucił znów obojętnie.

Miał większe wahania nastrojów ode mnie, co uznałam za dość zabawne.

— Nie możesz być tego pewny — odparłam ze stoickim spokojem.

— Koniec tematu — uciął oschle, a ja zrozumiałam, że nawet gdybym zamknęła go w piwnicy i przywiązała do kaloryfera, nie zmieniłoby to jego zdania.

— Będziesz żałować — skwitowałam pewna swoich słów.

— Nie wiesz tego — odrzekł znacznie ciszej. — Wracam do Severine.

Nie odpowiedziałam, tylko patrzyłam, jak wyciąga z tylnej kieszeni szmatkę. Przez ten ruch długi do łokcia rękaw jego koszulki nieco się podwinął. Zmarszczyłam brwi, gdy dostrzegłam szereg czarnych znaków, które były umiejscowione po wewnętrznej stronie jego lewego ramienia, tuż nad zgięciem łokcia. Po sekundzie materiał znowu zakrył to miejsce. Nawet nie zdążyłam się temu przyjrzeć.

Czy... czy Nathaniel miał tatuaż? Nie, to nie było możliwe, zapewne to był tylko ślad po smarze... Nathaniel nie miał tatuaży, bo ich nie znosił.

Zacisnęłam szczękę, czując, jak piecze mnie skóra w miejscu, gdzie znajdował się mój tatuaż, który wykonałam ponad cztery lata wcześniej. Do tej pory pamiętałam dokładnie tamten moment, gdy Nathaniel zabrał mnie do studia. Decyzja, by to zrobić, była jedną z najbardziej spontanicznych w moim życiu.

Siłą opanowałam się, aby nie dotknąć swoich żeber, gdzie widniał malunek konstelacji Skorpiona.

Jego znak zodiaku...

— Powinnaś już jechać — z letargu wyrwał mnie głos chłopaka — nic nie wskórasz.

Nieświadomie popatrzyłam na jego twarz. Nie posławszy mi ani jednego spojrzenia, ruszył z powrotem do warsztatu. Nawet się nie pożegnał, zniknął za drzwiami i tyle go widziałam.

— Cudownie — szepnęłam pod nosem.

Nie dość, że nie przekonałam go do tego, aby zrezygnował, to jeszcze go wkurzyłam, a na dodatek przypadkiem poznałam miłość jego życia. *Miłość jego życia*. Severine.

Ja byłam tylko dziewczyną z przeszłości, o której nie raczył jej nawet wspomnieć.

Znów poczułam przypływ gniewu. A proszę bardzo! Niech sobie walczy i okłamuje swoją *narzeczoną*, skoro mu się tak podoba. Chciałam jedynie pomóc, ale nie miałam zamiaru robić niczego na siłę i znosić jego fochów.

— Kretyn — burknęłam pod nosem. Uniosłam hardo głowę i z niezwruszoną miną wcisnęłam na nos okulary.

Zdecydowałam się nie dzwonić po taksówkę, tylko się przejść, ponieważ to zawsze mnie relaksowało. Niewiele myśląc, ruszyłam w stronę centrum.

Kilkanaście minut później dotarłam tam, wypaliwszy po drodze cztery papierosy. Ze zgrozą zobaczyłam, że moja paczka jest pusta, więc postanowiłam pójść do sklepu. Na myśl o braku fajek robiłam się podenerwowana.

Zakupy zajęły mi niecałe pięć minut. Wyszłam na zewnątrz i włożyłam okulary. Odpaliłam papierosa i postanowiłam, że najwyższy czas, aby udać się do domu. Już miałam ruszyć chodnikiem przed siebie, gdy nagle niedaleko zauważyłam znajomą postać.

Wysoki, chudy dzieciak w czarnych jeansach i za dużej czerwonej koszulce z rękawami do łokci siedział na chodniku za sklepem. Od razu rozpoznałam w nim chłopca, który chciał ukraść batony, gdy kupowałam papierosy podczas swojej pierwszej wizyty w Culver City. Siedział lekko skulony, obejmując ramionami zgięte w kolanach nogi. Jego brązowymi włosami co jakiś czas targał wiatr. Przygryzłam wewnętrzną stronę policzka, zastanawiając się, co zrobić. W pierwszej chwili chciałam odejść, ale coś mi nie pozwalało.

Warknęłam pod nosem na swoją cikliwość i ruszyłam w kierunku chłopaka. Młody mnie nawet nie zauważył, był zbyt pochłonięty obserwowaniem swoich kolan. Zatrzymałam się obok i spojrzałam na niego z góry.

— Znowu się spotykamy, gnojku — powiedziałam i wydmuchnęłam dym.

Chłopiec drgnął z przestraczem i uniósł na mnie wzrok. Strach na jego twarzy szybko zmienił się w zdziwienie, a następnie w radość. Jego cienkie usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, a zielone oczy wesoło zalśniły. Od razu wyglądał lepiej.

Nie powiedziałabym tego głośno, ale to mnie lekko rozculiło. *Lekko.*

— O kurczę, myślałem, że się już nie zobaczymy — powiedział. — Co tu robisz?

— Byłam w sklepie.

Chłopiec spojrział na prawie wypaloną fajkę pomiędzy moimi palcami.

— Znowu papierosy? — Skrzywił się. — Po nich się śmierdzi.

Przewróciłam oczami, ale postanowiłam tego nie komentować, bo miał trochę racji. Ostatni raz się zaciągnęłam, wyrzuciłam niedopałek i przydeptałam go butem.

— Więc — zaczęłam, wskazując na niego brodą — dlaczego tu siedzisz i wyglądasz tak depresyjnie? Znowu dzieciaki ze szkoły ci dokucają?

Nie wiedziałam, czemu to mnie interesuje, nawet nie znałam tego dzieciaka. Po prostu miał w sobie coś, co sprawiało, że... że chciałam, aby było u niego w porządku. To było dziwne.

Młody westchnął i smętnie spuścił wzrok.

— Nie, to nie to. Dzięki tobie w szkole jest teraz lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Chłopaki myślą, że wyrwałam starszą dziewczynę. Uratowałam moją reputację.

Ledwie zdusiłam śmiech, słysząc jego słowa, bo to mnie niezłe rozbawiło. Nie chciałam jednak, aby pomyślał, że z niego kpię.

— To chyba dobrze — odparłam zdawkowo. — Więc dlaczego wyglądasz, jakby zdechł ci chomik?

Dzieciak przez chwilę nie odpowiadał, a uśmiech spelzł z moich warg. Wytrzeszczyłam oczy.

— Błagam, nie mów, że zdechł ci chomik — powiedziałam śmiertelnie poważnie.

Młody pokręcił głową, a mnie od razu ulżyło.

— Wiesz, możesz mi nie mówić, jeśli nie chcesz, ale życie pokazało mi już wiele razy, że czasami dobrze wygadać się nieznanemu. Trochę już chodzę po tym świecie...

— Bo jednak jesteś stara? — zapytał z zaczepnym błyskiem w oku, zerkając na mnie z dołu.

Zmarszczyłam groźnie brwi.

— Uważaj, gnojku — ostrzegłam, na co znów się szerzej uśmiechnął.

— Pokłóciłem się z bratem — szepnął w końcu smętnie.

Poczułam dziwny ciężar na sercu, bo wyglądał na naprawdę przybitego. Chwilę milczeliśmy, a potem nagle odetchnęłam i zrobiłam krok w jego stronę. Podtrzymałam swoją spódnicę, by się nie podwinęła, i usiadłam na krawężniku obok niego.

Chłopiec spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

— Pobrudzisz sobie ubranie — zauważył. — A wygląda na drogie.

— To tylko ubranie. — Wzruszyłam ramionami i wyprostowałam nogi. Skrzyżowałam je w kostkach i założyłam ręce na piersi. — Wypierze się.

— Bardzo ładnie wyglądasz — powiedział.

Przesunęłam okulary na głowę i spojrzałam mu w oczy z delikatnym uśmiechem.

— Ostatnio wyglądałaś jak menel.

Uśmiech od razu spełził mi z warg, a dzieciak znowu się wyszczerzył. Pokręciłam głową.

— Po kim jesteś takim gnojkiem, gnojku?

— Babcia mówi, że po bracie — odparł i jak na zawołanie znów posmutniał.

Wpatrywałam się w jego profil.

— O co się pokłóciliście?

— Mój brat ma dziewczynę.

— I nie lubisz jej? — dopytywałam.

Nerwowo przejechał dłońmi po swoich nogach.

— Nie, tylko... — zaciął się. — Ona traktuje mnie jak jakiegoś pięciolatka. Mówi do mnie tak, jakbym nic nie rozumiał, i kupuje mi jakieś durne zabawki. Gdy przychodzi do nas do domu, to chcę jak najszybciej stamtąd wyjść, bo czuję, że moja inteligencja spada o połowę — zalił się, a ja znów musiałam powstrzymać uśmiech. — I chce się ze mną na siłę zaprzyjaźnić, a ja tego nie potrzebuję, bo nie lubię poznawać nowych ludzi. Wstydzę się. I jest strasznie denerwująca. Czasami wydaje mi się, że jest głupsza ode mnie.

Nie potrafiłam się powstrzymać i lekko się uśmiechnęłam. Ten dzieciak był naprawdę zabawny i bardzo inteligentny jak na swój wiek.

— I o to pokłóciłeś się z bratem?

— Tak — potwierdził. — Mam jedenaście lat, mogę zostać sam w domu po szkole, ale ona powiedziała, że jestem za mały. Przyjechała i chciała zabrać mnie ze sobą do fryzjera, żebyśmy spędzili ze sobą czas,

a ja nie miałem na to ochoty, bo byłem zmęczony po lekcjach. A ta miała tego nie rozumie — westchnął zirytowany, a ja przygryzłam dolną wargę, aby nie parsknąć śmiechem. — Powiedziałem jej, że nigdzie nie jadę, a ona poskarżyła się mojemu bratu. Powiedział, żebym to dla niego zrobił, ale ja nie chciałem, więc zaczęliśmy się kłócić. Miałem dość, wyszedłem z domu i przyjechałem autobusem tutaj.

— Rodzina nie wie, że tu jesteś? — zapytałam.

Pokręcił głową.

— Wiesz, że to gówniane zachowanie, prawda? Pewnie się martwią.

— Wiem — powiedział szczerze. Wylewały się z niego skrucha i poczucie winy. — Ale odkąd ona się pojawiła w naszym życiu, to wszystko jest nie tak. We wszystkim miesza, chociaż o niczym nie ma pojęcia. Mam już dość, a mój brat ciągle ją usprawiedliwia, chociaż widzę, że też go często irytuje. Nawet nie wiem, dlaczego są razem.

— To akurat nie twoja sprawa — mruknęłam. — Są razem i musisz to zaakceptować, ale możesz mieć swoje granice. Nie musisz się zgadzać na wszystko, ale zamiast kłócić się z bratem, powinieneś spokojnie z nim porozmawiać i wytłumaczyć mu, co czujesz. Na dziewięćdziesiąt procent to zrozumie. Uwierz, wiem z doświadczenia.

— Masz brata? — zainteresował się.

— I to bliźniaka — odpowiedziałam. — Dlatego wiem, jak czasami jest ciężko. To jego dziewczyna, nie twoja. Akceptuj ją, aby nie smucić brata, ale nie rób niczego wbrew sobie. I będzie dobrze.

— Chyba masz rację — westchnął.

— A przede wszystkim nie możesz tak znikać i nie dawać znaku życia — skarciłam go, na co skulił się jeszcze bardziej. — Wiem, że czasami trudno jest sobie poradzić z emocjami, ale pewnie twoja rodzina odchodzi od zmysłów. Zadzwoń do nich i powiedz, że jesteś bezpieczny. Masz telefon czy ci pożyczyc?

— Mam.

Kiwnęłam głową i podniosłam się z ziemi. Poprawiłam torebkę na ramieniu i spojrzałam na niego z góry.

— I trochę więcej uśmiechu, gnojku.

Chłopak jak na zawołanie wyszczerzył się od ucha do ucha, przez co i ja uniosłam kącik ust. Odwróciłam się i zrobiłam trzy kroki, gdy nagle usłyszałam jego cichy głos.

— Dziękuję.

Przystanąłam w miejscu, bo poczułam coś dziwnego. Nie potrafiłam opisać tego uczucia, jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. Przełknęłam ślinę i ponownie ruszyłam w stronę chodnika. Ani razu nie odwróciłam się za siebie. Dopiero kilka minut później zorientowałam się, że nie znam nawet jego imienia. No cóż, prawdopodobnie i tak miałam go już nie zobaczyć.

Planowałam udać się do domu, gdy nagle dostrzegłam znajomy samochód, a obok niego jeszcze bardziej znajomą osobę.

Bordowa mazda nadal prezentowała się tak dobrze jak przed czterema laty, a jej widok sprawił, że na moje usta wkraść się nieznaczny uśmiešek. W końcu to tym samochodem jeździłam do szkoły, na imprezy i na zakupy. Jeździłam nim równie często jak swoim starym, pocziwym mercedesem, którego ojciec sprzedał po naszym wyjeździe.

Mia wkładała zakupy z wózka do bagażnika. Wyglądała ślicznie w białych jeansach z wysokim stanem i pudroworóżowej bluzie z kapturem. Jej długie włosy były spięte w niedbały kok, z którego wydostało się kilka pasm, a na nosie miała duże okulary przeciwsłoneczne.

Przyszły mi do głowy dwie opcje. Pierwszą od razu skreśliłam. Może nie byliśmy już przyjaciółkami, ale nie zamierzałam odejść tak, jakbym jej nie zauważyła. Cicho westchnęłam i ruszyłam w stronę dziewczyny. Byłam lekko podenerwowana, ale naprawdę chciałam z nią porozmawiać.

— Hej — przywitałam się, kiedy podeszłam na tyle blisko, by mnie usłyszała.

Mia odwróciła się ze zgrzewką wody w rękach. Przez krótką chwilę obserwowała mnie ze zdziwieniem, aż w końcu jej pomalowane błyszczkiem usta rozciągnęły się w szczerym uśmiechu.

— Victoria, hej — odpowiedziała.

Mój wzrok padł na wodę, a następnie na dwie duże siatki w wózku sklepowym, który stał obok niej.

— Daj, pomogę ci — zaoferowałam.

Sprawnie zapakowałyśmy zakupy do jej auta, a kiedy Mia zamknęła bagażnik, odwróciła się do mnie z uśmiechem.

— Dziękuję — powiedziała, przesuwając okulary na głowę, tak jak ja chwilę wcześniej. — Co tu robisz?

— Kupowałam papierosy. Widzę, że szykuje się coś dużego — mruknęłam, wskazując dłonią na zapakowany do pełna bagażnik.

— Tak — odparła. — Mama Luke’a i jej nowy chłopak przyjeżdżają w poniedziałek na kolację. Chcę zrobić coś smacznego.

Szok na mojej twarzy musiał być naprawdę widoczny, bo Mia zaśmiała się z mojej reakcji.

— Tak. Maddie jakoś przewyciężyła awersję do koloru blond — powiedziała i było widać, że ją to cieszy.

Cóż, ja też się ucieszyłam, bo nadal doskonale pamiętałam, jak przed czterema laty wybuchła między nami nasza największa kłótnia. I to wszystko przez ten cholerny kolor włosów. Z perspektywy czasu chciało mi się z tego śmiać, bo to było niebywale głupie.

— Czyli się układa? — zapytałam.

— Chyba tak.

Zamilkłyśmy, a ja zaczęłam intensywnie nad czymś myśleć. Nie mogłam wiecznie wypierać przeszłości i bać się zrobić w tym przeklętym mieście czegokolwiek. Poczułam, że naprawdę nie chcę, aby moja relacja z Mią ograniczała się jedynie do współpracy podczas realizacji planu łączącego się z Vincentem i okazjonalnych rozmów. Może nie byliśmy już przyjaciółkami, ale to nie oznaczało, że cała nasza wspólna historia została wymazana. Chciałam wiedzieć, co u niej, i być wobec niej w porządku.

Zdecydowałam się, po czym znów spojrzałam jej w oczy, przerywając ciszę:

— Jesteś teraz zajęta?

— Nie, a co? — odparła pytaniem na pytanie.

— Cóż, tak sobie pomyślałam, że może chciałabyś wpaść do mnie na kawę? — zapytałam, czując, jak mój żołądek skręca się pod wpływem nagłego stresu. — Oczywiście, jeśli chcesz i masz czas.

Nie odpowiedziała od razu, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy ona myśli podobnie do mnie. Może miała inne podejście do naszej relacji i nie chciała wychodzić poza neutralne stosunki?

Uniosłam wzrok na jej twarz i prawie zachłysnęłam się powietrzem, gdy dostrzegłam jej zadowolenie i radość, z jaką na mnie patrzyła.

— Bardzo chętnie — odparła pewnie. — Przyjechałaś taksówką?

— Przyszłam tu na piechotę.

— Okej, to pojedziemy moim samochodem.

Zgodziłam się. Roberts szybko odstawiła wózek sklepowy, a następnie obie wsiadłyśmy do auta z uśmiechami na twarzach. I, o dziwo, mój też był szczery.

— Nadal nieźle się trzyma — mruknęłam z uznaniem, przejeżdżając palcami po desce rozdzielczej.

— Nate ma na nią oko — odpowiedziała. — Dobrze mieć przyjaciela mechanika.

Zdziwiło mnie to określenie, ale postanowiłam pominąć to milczeniem.

— Co u twojego taty? — zmieniłam temat. — Dalej pracuje w szpitalu?

— Tak — potwierdziła i wyjechała z parkingu. — Ma nową dziewczynę. Crystal. Jest bardzo miła. I nie jest w moim wieku, co stanowi miłą odmianę — zakpiła.

— Akceptujesz? — zapytałam zaczepnie.

Przewróciła oczami, ale psotny uśmiech wykwitł na jej twarzy. Mia nie lubiła partnerek swojego ojca. Po śmierci mamy stała się strasznie wybredna i złościła się, gdy ktoś nieodpowiedni, oczywiście według niej, kręcił się przy jej ukochanym tatusiu.

— Nie jest zła. Są razem od prawie dwóch lat. Jest miła i umie gotować. Przeniosła się tu z Los Angeles, bo miała dość dużego miasta. I pracuje w Culver High School.

— Cieszę się, że twój tata kogoś znalazł.

— Ja też — powiedziała. — Jak jeszcze z nim mieszkałam, to było w porządku, bo nie był sam. Ale gdy wyprowadziłam się do Luke'a, czułam się samotny. Starałam się go często odwiedzać, ale widziałam, że brakuje mu drugiej osoby. Odkąd spotyka się z Crystal, znów jest szczęśliwy i radosny. I to cieszy mnie najbardziej.

— Mieszkaś z Lukiem? — zapytałam zaciekawiona, na co przytaknęła, przygryzając dolną wargę.

— Tak. Trzy lata temu postanowiliśmy, że to już dobry moment, i wprowadziłam się do jego mieszkania. W końcu jesteśmy razem już od pięciu lat.

To było takie zaskakujące, ale w tym dobrym sensie. Mia i Luke byli dla siebie stworzeni i cieszyłam się, że im się układa. Mimo że oboje mieli trudne charaktery, a ich związek był dość wybuchowy, wiedziałam, że to było to. Dobrze, że razem żyli i się wspierali. Tak jak Scott i Laura, którzy byli zaręczeni. Zupełnie jak Nathaniel i Severine. *Zaręczeni...*

Mój wzrok mimochodem padł na lewą dłoń Mii, która spoczywała na kierownicy. Na jej palcu wskazującym widniały dwa pierścionki, ale nie było niczego na serdecznym.

— To co? — zapytałam, aby się upewnić. — Pierścionek już był?

— Nie — odparła od razu i mimo że chyba nie chciała tego pokazać, lekko spochmurniała. — Nie spieszymy się.

— Cóż, to chyba w porządku — odpowiedziałam nieco niepewnie.

— Ta — burknęła.

Po drodze podrzuciłyśmy zakupy Mii do mieszkania Luke'a. Podczas jazdy do mnie prawie się nie odzywałyśmy. Bałam się, że cisza będzie krępująca, ale nie była. Wręcz przeciwnie, czułam się naprawdę komfortowo, gdy słuchałyśmy piosenek z płyty Harry'ego Stylesa, którego twórczość Mia wręcz uwielbiała.

Kilkanaście minut później Roberts zaparkowała na podjeździe pod moim domem. Uniosła wysoko brwi, patrząc na zarośniętą trawą i paprociami ogród. Wywnioskowałam, że nie bywała w okolicy zbyt często.

— Tak, trochę zarosło — mruknęłam z niechęcią, gdy zgasiła silnik.

— Trochę.

Obie wysiadłyśmy z auta, a następnie weszłyśmy do domu. Mojego brata nie było, ponieważ postanowił spotkać się ze starymi przyjaciółmi, w tym z G. Mia rozglądała się wokoło z przejęciem i skupiała się na każdym drobiazgu. W końcu były dni, kiedy to był również jej dom...

— Pójdę zrobić kawę — rzuciłam cicho, aby dać jej czas na oswojenie się.

Całe szczęście, że tego samego ranka wybraliśmy się z Theo na zakupy i wygrzebaliśmy z pudeł garnki, sztućce i zastawę. Włączyłam ekspres i oparłam się dłońmi o blat. Wpatrywałam się w pracujące urządzenie, jakby to miało przyspieszyć jego działanie, gdy nagle usłyszałam za sobą kroki.

— Sporo tu wspomnień — odezwała się nagle Mia.

— Trochę jest. — Spojrzałam na nią przez ramię.

Wargi dziewczyny rozciągnęły się w przepięknym, szczerym uśmiechu i to wystarczyło, abym poczuła się szczęśliwsza. Troszeczkę, ale i tak było to miłe uczucie.

Mia oparła się o wyspę kuchenną i zerknęła na ekspres.

— Dla mnie... — zaczęła, ale nie musiała kończyć.

— Dużą z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru — dokończyłam za nią automatycznie, nawet się nie zastanawiając.

Zmarszczyła brwi, a następnie nieśmiało uniosła kącik ust.

— Nadal pamiętasz? — zapytała z lekkim niedowierzaniem.

— Jasne. Chyba że preferencje się zmieniły? — Już nawet nie próbowałam ukryć uśmiechu, bo uśmiechanie się do niej było takie... łatwe.

— Jeśli nie zmieniły się i u ciebie, to zgaduję, że nadal nie słodzisz — odpowiedziała, a ja poczułam ucisk w okolicach żeber, bo i ona *pamiętała*.

— Dokładnie tak, panno Roberts. — Puściłam jej oczko, na co zaśmiała się, a ja do niej dołączyłam.

I ten śmiech zatańczył na blacie kuchennym, na ścianach i krzesłach, rozprzestrzeniając się po całym domu. Pierwszy raz od bardzo dawna wewnątrz tego budynku ożyło. Nie sądziłam, że Mia pamiętała takie drobnostki, ale przecież ta dziewczyna była nie do podrobienia. Przez tę głupotkę gdzieś głęboko we mnie zatliła się mała iskierka nadziei. Może...

Może nie wszystko było stracone?

Równie szybko, jak o tym pomyślałam, odsunęłam tę myśl od siebie. Miałam być w Culver City miesiąc, może trochę dłużej. Nie mogłam pozwolić sobie na powrót do przeszłości.

Jesteś ponad to. Wylącz to.

Ze ściśniętym gardłem zrobiłam dwie kawy. Przeszliśmy do salonu i usiadłyśmy na kanapie obok siebie.

— Byłaś na mieście tylko po fajki? — zapytała nagle.

Spuściłam wzrok na swój kubek, skrobiąc paznokciem po jego uchwycie. To pytanie przywołało w mojej głowie sytuację z warsztatu. Przez chwilę zastanawiałam się, czy poruszać ten temat, ale byłam tak niezdrowo ciekawa, że potrzebowałam z kimś porozmawiać. Nie chciałam się zwierzać, bo tego nienawidziłam, chciałam po prostu... pogadać.

Mia obserwowała mnie ze zmartwioną miną. Zmusiłam się, by moja twarz wyrażała obojętność, i wzruszyłam ramionami.

— Papierosy były drugie na mojej liście — odezwałam się w końcu, a mój ton był papierowy i nijaki. — Chciałam pogadać z Sheyem.

Dziewczyna milczała, uważnie mnie słuchając i nie popędzając.

— Napisałam wcześniej do Luke'a, bo nie wiedziałam, gdzie jest Nate. Odpisał, że w pracy, więc tam poszłam. I... spotkałam Severine.

— Och.

Zapewne tego się nie spodziewała. Uniosłam wzrok na jej twarz i wtedy zrozumiałam, że ją zna. Ba! Może nawet się przyjaźniły? Ta

myśl sprawiła, że ogarnęła mnie chęć, by rozwalić czyjąś głowę o maskę samochodu. Znów poczułam przez to obrzydzenie do samej siebie, bo nie miałam prawa tak myśleć.

Mia nadal milczała, patrząc na moją niewzruszoną twarz.

— Przyszła pierwsza. Wyjaśniła mi, kim jest, i cóż... skłamałabym, mówiąc, że to mnie nie zdziwiło.

— Domyślałam się, że musiałaś być w szoku — zaczęła powoli, na co parsknęłam chłodnym śmiechem. Na szczęście to zignorowała. — Wiesz, jestem teraz trochę rozdarta... Z jednej strony którekolwiek z nas mogło ci o tym powiedzieć, ale z drugiej strony to sprawa Nate'a...

— Nie — zaprzeczyłam od razu. — Bardzo dobrze, że mi nie powiedzieliście. To są jego prywatne sprawy i wpięprzanie się w nie jest złym pomysłem. Dobrze się stało.

Czyli oni wszyscy wiedzieli.

Mia uśmiechnęła się lekko, upijając łyk kawy, i posłała mi tak wymowne spojrzenie, że ściągnęłam brwi.

— Co? — zapytałam zdziwiona, na co tylko pokręciła delikatnie głową, a uśmiech nadal nie schodził z jej warg.

— Nic, po prostu to trochę zabawne i... miłe? — zawiesiła się. — Może minęły cztery lata, ale z tego, co widzę, jeśli chodzi o twoje podejście do Nate'a, niewiele się zmieniło.

— A co to ma znaczyć?

— Zawsze chciałaś, żeby czuł się jak najbardziej komfortowo. Czasami troszczyłaś się o niego bardziej niż o siebie. Nigdy nie pozwoliłaś, aby ktokolwiek powiedział albo zrobił coś, co mogłoby ten jego komfort zaburzyć. Jeśli mogło się tak stać, ostrożnie dobierałaś słowa, by go nie wystraszyć i żeby otworzył się przed tobą na tyle, na ile sam chce. A on otwierał się coraz bardziej. Robiłaś wszystko, aby nie stracić jego krucho go zaufania — wyjaśniła. — To zabawne, że pomimo upływu czasu dalej starasz się to robić. I miłe, bo to znaczy, że go szanujesz.

Wpatrywałam się w jej twarz, zastanawiając się, czy naprawdę to było aż tak widoczne. Miała rację, zawsze chciałam, aby czuł się przy mnie komfortowo, chociaż zdarzyło mi się kilka gaf, jak wyciągnięcie czegoś o jego przeszłości od jego przyjaciół czy zachowanie w sekrecie wizyty u Lily. Nie chciałam stracić zaufania Nathaniela, bo było dla mnie niesamowicie cenne.

Nawet się nie zorientowałam, że po czterech latach wciąż to robię. To było dla mnie po prostu normalne i słuszne.

Odechrząknęłam, czując się przytłoczona.

— Cóż, możesz mieć trochę racji... — zaczęłam, na co jej uśmiech się powiększył. — Od zawsze miał problemy z ufnością i był skryty. Dlatego tak mnie zszokowało, że ma... — urwałam, bo jakoś trudno było mi to wymówić.

— Narzeczoną? — dokończyła za mnie.

Westchnęłam i skinęłam głową. Już nie lubiłam tego słowa.

— Po prostu to dziwne — mruknęłam cicho. — Nie zrozum mnie źle. Naprawdę cieszę się, że odnalazł szczęście i spokój. Cholera, cieszę się bardziej, niż powinnam, ale to... to Nate. Może żyję wspomnieniami, ale dla mnie to dalej ten sam chłopak, który nie wiąże się emocjonalnie z prawie nikim. A tu nagle... narzeczoną. I tak, wiem, że ma prawie dwadzieścia pięć lat i pewnie chce się ustatkować, ale to jest... No wiesz, świadomość, że klęknął przed kimś na kolano i powiedział tej osobie, jak bardzo ją kocha i że chce spędzić z nią resztę życia... Chwilę mi zajmie, zanim przyzwyczaję się do nowego stanu rzeczy. Dlatego mi z tym tak dziwnie.

Kurwa, to brzmiało tak żałośnie, że zaczęłam nienawidzić się jeszcze bardziej. Mia zapewne nie wiedziała, jak odpowiedzieć na mój wywód.

— Pewnie teraz uważasz mnie za emocjonalnie pustą i zazdrośną wariatkę, która dopowiada sobie rzeczy i nie umie ogarnąć, że ludzie się zmieniają — dodałam, nadal na nią nie patrząc. — Nie martw się, sama chyba też tak o sobie myślę.

— Tak naprawdę myślę, że możesz mieć wiele racji — odezwała się. Była opanowana i głęboko się nad czymś zastanawiała. — Wiesz, po twoim wyjeździe trochę się zmieniło — zaczęła.

Zmarszczyłam brwi, bo jej słowa wzbudziły we mnie niepokój.

— Kiedy razem z Theo wylecieliście do Maine, a potem z Culver City wyjechali też Cameron, Chris, Matt i Laura ze Scottem... zostaliśmy tu sami. Ja, Luke, Jasmine i Nate. — Przełknęła ślinę. — Nie mieliśmy już tego, co kiedyś. Nie mieliśmy was wszystkich, przez co bardziej się do siebie zbliżyliśmy. Tak, Luke był moim chłopakiem. Moja relacja z Nate'em bywała... różna.

Uniosłam kącik ust. Mówiąc „różna”, miała na myśli to, że dawniej chciała wydrapać mu oczy za każdym razem, gdy go widziała.

— Ale był dla mnie dużym wsparciem po... sytuacji z Nixonem — dodała ciszej.

Zacisnęłam usta w wąską linię. Przed oczami stanął mi moment, gdy znaleźliśmy ją w domu naszego kolegi ze szkoły. Nigdy sobie nie wybaczyłam, że nie było mnie przy niej, kiedy przeżywała jeden z najgorszych okresów w swoim życiu.

— Do tego był dla Luke'a jak brat, no i wy dwoje... — zaczęła, kręcąc palcem, ponieważ nie wiedziała, jak ubrać w słowa to, co chciała powiedzieć.

— Mieliśmy momenty — uratowałam ją z opresji.

Zaśmiała się pod nosem, kiwając głową.

— Dokładnie — zgodziła się. — Z Jasmine łączyło mnie jedynie to, że była przyjaciółką Luke'a, no i dziewczyną Theo, ale gdy wszystko się rozpadło... Nigdy nie sądziłam, że uznam Jasmine za swoją przyjaciółkę, ale tak jest. Kocham ją i cieszę się, że dałyśmy sobie szansę. Tak samo jest z Nate'em. Kocham go jak własnego brata i zrobię dla niego wszystko. I dlatego nie będę mogła odpowiedzieć na niektóre z pytań, które pewnie chcesz mi zadać.

Te słowa mnie zdziwiły. Niby widziałam, że jej relacja z Jasmine i Sheyem się poprawiła, bo na wszystkie spotkania przyjeżdżali razem, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że byli ze sobą aż tak blisko. Może to było irracjonalne, ale... nawet się ucieszyłam. Żadne z nich nie zostało samo, bo mieli siebie nawzajem.

Chociaż trudno było mi uwierzyć w przyjaźń Mii i Jasmine, to nie mogłam się nie uśmiechnąć.

— Ja to rozumiem, Mia, i nie mam zamiaru cię wypytywać — zapewniłam ją, a jej wyraźnie ulżyło. — Nie zaproponowałam ci tej kawy, aby zrobić wywiad środowiskowy. Chciałam po prostu spędzić z tobą trochę czasu.

Moje słowa były szczerze i starałam się, aby moja mina również to wyrażała, choć nie było to proste. Po czterech latach maska obojętności właściwie przyrosła mi do twarzy.

Na szczęście Mia chyba mi uwierzyła, a jej oczy błysnęły. To wszystko było takie delikatne, pełne czułości i *nasze*. Takie jak kiedyś.

— Trochę się zmieniło. Ale to nie oznacza, że zmieniło się wszystko. *Bo niektóre rzeczy się po prostu nie zmieniają.*

Już chciałam coś odpowiedzieć, ale nie zdążyłam, bo znów mnie uprzedziła:

— Severine i Nate poznali się trzy lata temu. No, ponad trzy. Od pół roku są narzeczeństwem. Jeśli chodzi o nich, to chyba tylko tyle mogę ci powiedzieć. Wybacz.

To w niej niegdyś uwielbiałam, jej lojalność. Przyjaźniła się z Sheyem, więc nie zamierzała mówić o jego prywatnych sprawach bez jego wiedzy, ale jednocześnie przez wzgląd na naszą dawną relację nie chciała zostawić mnie bez odpowiedzi. Wiedziała, że mam tendencję do rozkładania wszystkiego na części pierwsze.

Uśmiechnęłam się blado.

— Cóż, to chyba dobrze — mruknęłam. — Wydaje się... miła.

Kurwa, *miła*.

— Tak, Severine jest kochana — odparła od razu, ale jej ton był jakiś... dziwny.

Zareagowała tak samo jak Shey, gdy powiedziałam mu, że Severine wydaje się kochana.

— I jest śliczna.

— Mała modelka — zgodziła się ze mną.

— Przyjaźnisz się z nią? — zapytałam w końcu, bo nie mogłam się powstrzymać.

Mia przez chwilę nie odpowiadała, a w końcu odparła:

— Przyjaźń to za duże słowo, ale bardzo ją lubię.

— To dobrze, że jest miła. Shey miał już jedną sukę i to wystarczy. — Pokiwałam głową.

Mia cicho się zaśmiała. Czulałam, jak ciężka atmosfera nieco się rozładowuje. Chyba obu nam poprawiły się nastroje.

— No więc, Clark? — zapytała zaczepnie dziewczyna, unosząc zadziornie brew. — Opowiadaj, jak tam w Maine.

I tak to się zaczęło. Nie wiedziałam, kiedy wypitą kawę zastąpiła herbata, a następnie kolejne gorące i zimne napoje. Gdy byłam jeszcze w Maine i myślałam o spotkaniu z Mią Roberts, wydawało mi się, że na sto procent byłoby niezręcznie. Kiedyś bałam się, że może Mia się zmieniła, że może nie umiałybyśmy rozmawiać swobodnie, że nie miałyśmy wspólnych tematów. Niepotrzebnie, bo było lepiej, niż mogłabym sobie wyobrazić.

Dobre dwie godziny siedziałyśmy na kanapie, gadając o wszystkim i niczym. Opowiedziałam jej o Maine, o mojej pracy i nowych znajomych. Mia nie wierzyła, że dałam się wciągnąć do świata mody. Wspominałam o przeróżnych rzeczach, pomijając te nieprzyjemne. Starłam się jak najmniej skupiać na pierwszych dwóch latach w Lewiston, w zasadzie od razu przeskoczyłam do dwóch ostatnich. Gadałam, co mi ślina na język przyniosła. Paplałam o różnych pokazach mody, mojej awersji do modelek, o tym, co działo się u Erika i Kota, oraz o Theo, nie odmawiając sobie przyjemności sprzedania jej kilku zenujących historyjek.

Mia za to chętnie opowiadała o swoich studiach. Studiowała kosmologię, do czego przekonał ją ojciec, i miała staż w klinice, na który pomógł jej się dostać. Była bardzo zadowolona. Tak jak ja omijałam temat pierwszych miesięcy w Maine, tak ona omijała tematy dotyczące Nathaniela czy Jasmine. Za to mówiła sporo o Parkerze. O ich wspólnym życiu, o pogodzeniu się z jego matką i co rusz nowych mężczyznach Maddie.

Nim się zorientowałyśmy, nastąpiła pora kolacji, którą postanowiłyśmy zjeść razem. Zaczęłyśmy przygotowywać naleśniki. Ja zrobiłam ciasto, a Mia je smażyła. Już dawno nie czułam się tak wolna od irytujących myśli. Zjadłam też dużo więcej niż zazwyczaj, obie wcisnęłyśmy w siebie po sześć naleśników.

Wciąż gadałyśmy, jakbyśmy w ten jeden wieczór chciały nadrobić cztery lata. Żadna z nas nie poruszyła tematu tego, że urwał nam się kontakt. Chyba obie zdawałyśmy sobie sprawę, że to nie była pora na taką konwersację. Tamtego dnia potrzebowaliśmy lekkiego i luźnego spotkania.

W pewnej chwili drzwi frontowe się otworzyły i do domu wszedł Theo. Spojrzał na nas z opóźnionym refleksem, po czym obrzucił wzrokiem syf na stole i resztki jedzenia na talerzach. Zapewne był zdziwiony widokiem Mii, ale postanowił zachować to dla siebie.

Westchnął tylko i założył ręce na piersi.

— Wyglądacie jak utuczone prosiaki — skwitował, na co przewróciłam oczami i wystawiłam w jego stronę środkowy palec.

— Masz szczęście, że jestem zbyt zmęczona, aby ci odpowiedzieć — jęknęła Mia, poprawiając się na krześle.

Ucieszyłam się, bo nie zauważyłam, by miała problem z jedzeniem. Nie sprawdzała kaloryczności na każdej etykiecie sosu, wcinała tyle, ile była w stanie. Miałam nadzieję, że na dobre pożegnała temat anoreksji.

Theo roześmiał się i podszedł do niej. Nachylił się nad nią i przywitał ją buziakiem w policzek.

— Jesteś zmęczona jedzeniem? — zapytał zaczepnie, na co skinęła głową.

— Zdziwiłbyś się, jak męcząca może być ta czynność. Przydałaby mi się dwugodzinna drzemka.

Theo prychnął, czochrając jej włosy. Tym razem nie powstrzymała wiązanki przekleństw. Starła się ściągnąć jego dłoń, ale chłopak był silniejszy.

— Cztery lata, a on nadal jest kretynek — wymamrotała, gdy Theo z rechem udał się do swojej sypialni.

Poprawiłam szare dresy, w które przebrałam się wcześniej.

— To mój brat. Spodziewałaś się czegoś innego? — zapytałam retorycznie.

W tej samej chwili telefon Mii zawibrował, więc sprawdziła powiadomienie.

— Oho, mój książę wzywa — mruknęła z przekąsem, ale dostrzegłam na jej twarzy dobrze mi znaną czułość. — Chyba się stęsknił.

— Czekaj, aż królowa wróci do zamku.

— Już po dziesiątej, będę się zbierać — powiedziała, na co wytrzeszczyłam oczy i wyjrzałam przez okno.

Rzeczywiście, było ciemno, nieco światła dawały jedynie latarnie uliczne.

Obie wstałyśmy i powłócząc nogami, ruszyłyśmy do drzwi wyjściowych. Mia miała problem, by się schylić, gdy chciała włożyć buty. Przyglądałam się jej z uśmiechem. Kiedy się wyprostowała, jej wesołość gdzieś znikła, oczy lekko przygasły i wydawała się intensywnie nad czymś myśleć.

Uśmiechnęła się lekko, ale widziałam, że ten uśmiech był wymuszony. Zastanawiałam się, czy myślała o tym, o czym myślałam ja.

Czy chciała mnie przytulić.

I choć spędziłyśmy cudowny dzień, liczyłam, że tego nie zrobi.

— To był miły dzień. Cieszę się, że spędziłyśmy go razem — powiedziała, a ja delikatnie się uśmiechnęłam, znów czując przyjemne ciepło w całym ciele.

Pokiwałam głową, zakładając ręce na piersi.

— Też się cieszę.

Mia otworzyła drzwi, ale nim wyszła, spojrzała na mnie przez ramię ostatni raz.

— Po prostu pamiętaj. Niektóre rzeczy się nie zmieniają.

Patrzyłam, jak podchodzi do mazdy, wsiada do niej i odjeżdża.

Chwilę tak stałam nieco skołowana.

— Miałaś dobry dzień?

Drgnęłam, gdy cichy głos Theo rozległ się tuż za mną.

— Można tak powiedzieć — odpowiedziałam i w końcu zamknęłam drzwi.

Theodor stał w korytarzu, opierając się bokiem o ścianę. Przebrał się już w dresy i rozciągniętą koszulkę, włosy miał mokre.

— Można zaliczyć go do tych lepszych w Culver City — dodałam.

— Bardzo się cieszę. — Uśmiechnął się. — Suszarka już wysuszyła pranie, więc pójdę je poskładać.

— Zostań. Ja to zrobię. Ty idź coś zjeść — zatrzymałam go.

Zgodził się.

A kiedy składałam nasze ubrania, a potem wkładałam swoje do walizek i patrzyłam na eleganckie koszule, drogie spodnie i koronkowe bralety... Kiedy pomyślałam o swoich wysokich butach, markowych płaszczach i marynarkach, coś do mnie dotarło. Tamtego dnia było tak samo. Tak samo jak pewnego dnia przed ponad czterema laty, kiedy pierwszy raz ujrzałam Darcy Wilson. Dokładnie w tym samym warsztacie. Wtedy byłam tam ja, a ona szukała Nathaniela. Weszła do środka w swoim drogim płaszczu, stukając szpilkami. Wyglądała tak elegancko, hardo i inaczej ode mnie.

Byłam Darcy Wilson. A Severine była mną. Victorią Clark sprzed czterech lat, która już nie istniała.

Następny dzień zaczął się jak każdy inny. Wstałam około jedenastej, zjadłam śniadanie i posprzątałam w domu. Wypaliłam kilka papierosów i pomogłam Theo uruchomić telewizor. Gdy szukaliśmy na strychu rzeczy do salonu, nawet nie zerknęłam w stronę kartonów ze swoim imieniem.

Po szóstej leżeliśmy w salonie na jednej kanapie, oglądając setny raz *To właśnie miłość*, gdy dostałam SMS-a.

Laura: Hejka vic! Scott wczoraj spotkał się z ludźmi od walk i już wszystko wie. Macie czas z theo aby tak za godzinę spotkać się w barze u luke'a?

Pokazałam wiadomość bratu, a on kiwnął głową. Znowu przestawało być spokojnie.

Victoria: jasne. będziemy.

— Idę się zbierać — powiedziałam.

Theo postanowił obejrzeć do końca ten durny film. Nie cierpiałam go.

Wzięłam szybki prysznic, zastanawiając się, jak to wszystko przebiegnie i jak będę się czuć w towarzystwie Mii i Sheya. Nathaniel chyba był na mnie obrażony, choć dalej nie wiedziałam, co było tego powodem.

Gdy wyszłam z kabiny, czułam się dużo lepiej. Szybko wykonałam stonowany makijaż, stawiając na jeden odważny akcent — ciemnoczerwone usta. Wysuszyłam włosy i zrobiłam idealny przedziałek na środku głowy.

W sypialni włożyłam swoje ulubione ciemnobrązowe szwedy z wysokim stanem i jasnobieżowy przylegający golf z długimi rękawami. Wskoczyłam w jasne klasyczne szpilki. Gdy uznałam, że wyglądam nieźle, zdecydowałam się wyjść z pokoju.

— Theo?! — zawołałam, schodząc po schodach. W międzyczasie wcisnęłam do niewielkiej torebki swój telefon.

— Tu jestem! — odpowiedział z holu.

Czekał na mnie przy drzwiach wyjściowych. Podeszłam do wieszaka i ściągnęłam jeden z trzech płaszczy, które tam wisiały. Wybrałam beżowy z Chanel. Był ciepły, elegancki i sięgał mi prawie do kostek.

Spojrzałam na Theo, który prezentował się bardzo dobrze w żółtej, lekko za dużej koszuli w pstrokate wzory z niezapiętymi trzema guzikami. Również włożył długi jasny płaszcz. Wyglądał, jakby przybył z lat osiemdziesiątych, i pasowało mu to.

Taksówki jeszcze nie było, ale postanowiliśmy poczekać na ganku.

Theo zamknął drzwi i wsunął mi kluczyki do torebki.

— Byłem dziś w wypożyczalni. Od jutra będziemy mieć samochód. Nie możemy wciąż jeździć taksówkami, bo to strasznie nieopłacalne.

— Jaki wybrałeś? — zapytałam od niechcenia, bo i tak wiedziałam, że nie będę go prowadziła.

Theo błysnął zębami w uśmiechu.

— Oczywiście, że mercedesa — odparł z zadowoleniem.

Przewróciłam oczami. *Typowe.*

Po dwóch minutach podjechała taksówka, więc ruszyliśmy w jej stronę. Głośny okrzyk nieopodal sprawił jednak, że oboje zatrzymaliśmy się w pół drogi. Spojrzeliśmy w kierunku domu niedaleko. Na podwórku stała Alice, dziewczyna, która dwa dni wcześniej włamała się nam na taras. Brązowe włosy znów miała w nieładzie i szeroko się uśmiechała. Mimo późnej pory w jednej dłoni trzymała zraszacz podłączony do długiego węża ogrodowego, a drugą gorliwie do nas machała. Przemknęło mi przez myśl, że od tego machania wyłamie sobie rękę ze stawu.

Skinęliśmy na przywitanie, a dziewczyna chyba niechcący przełączyła coś w zraszaczu, bo zaczął tryskać wodą dookoła i spory strumień uderzył ją w twarz. Krzyknęła głośno i zaczęła mocować się z urządzeniem, które nie chciało się wyłączyć i wypluwało z siebie wodę w każdym kierunku. Po dziesięciu sekundach była przemoczona do suchej nitki.

Musieliśmy z Theo mieć naprawdę głupie miny. Przez kilka sekund obserwowaliśmy, jak Alice przegrywa ze zraszaczem, a następnie wrzuczyliśmy ramionami i wsiedliśmy do taksówki.

Kierowcą nie był Filip, tylko jakiś inny mężczyzna. Wołałam naszego miłego taksówkarza.

Nie odzywaliśmy się do siebie, bo chyba oboje pograżyliśmy się we własnych myślach. Dwadzieścia minut później weszliśmy do baru z czerwonym neonem. Zemdliło mnie, gdy poczułam ten zapach. Stęchlizna i dym papierosowy nie były zbyt dobrym połączeniem.

Jak zwykle większość naszych znajomych już na nas czekała. Tym razem zajęli jeden z większych stolików. Za długim barem stali Luke wraz z Laurą, która zapewne mu pomagała. Mia z Jasmine siedziały na wysokich stołkach, a dalej miejsca zajęli Scott i Matt z niezainteresowanym niczym Cameronem. Nigdzie nie widziałam Chrisa i Sheya.

Miałam jeszcze trochę czasu, aby się psychicznie przygotować. *Dobrze.*

Wraz z Theo podeszliśmy najpierw do baru, aby przywitać się z Lukiem i Laurą. Oboje uśmiechnęli się na nasz widok.

— Cześć, kochanie! — zawołała Moore.

Nachyliła się nad blatem i nim zdążyłam zareagować, cmoknęła mnie w policzek. Zacisnęłam dłoń w kieszeni płaszcza, ale zmusiłam

się do bladego uśmiechu. Poczułam nagłą potrzebę, aby odsunąć się jak najdalej, ale postarałam się ją zdusić.

Niczego nieświadoma Laura wróciła do nalewania piwa, więc spojrzałam na Mitchella, który posłał mi cwany uśmieszek.

— A ja nie dostanę całusa na przywitanie? — droczył się i zacmokał w powietrzu.

Niewiele myśląc, pocałowałam wewnątrz swojej prawej dłoni, a następnie uderzyłam nią w policzek chłopaka. Nie było to mocne, ale i tak odgłos plaśnięcia rozniósł się po sali, a głowa Luke'a odskoczyła. Trzech starszych mężczyzn siedzących niedaleko roześmiało się chrapliwie. Laura wybuchnęła perlistym śmiechem, a Parker skrzywił się, rozmasowując obolałe policzek. Popatrzył na mnie gniewnie, ale wiedziałam, że nie jest zły.

— Zołza — burknął.

— Ale tylko twoja — odparłam, aby się przymilić.

Podziałało, bo zatrzepotał zalotnie rękami i przyłożył dłoń do skroni, udając, że mdleje.

— Pomagasz dziś? — zapytał Laurę Theo.

— Zginąłby beze mnie — odparła, na co Luke trącił ją łokciem w bok. — Zaraz skończymy i do was przyjdziemy. Idźcie, idźcie.

Ruszyliśmy do stolika. Uśmiechnęłam się lekko do Mii, która odpowiedziała mi tym samym, a jej oczy znów rozbłyły.

Cameron jak zwykle uraczył mnie pięknym uśmiechem, więc postanowiłam sięść pomiędzy nim a Mattem. Theo również zajął miejsce i wydawało mi się, że specjalnie wybrał to najbardziej oddalone od Jasmine. Dziewczyna nawet na niego nie spojrzała.

— Rodzeństwo Clarków w końcu do nas dotarło — rzucił Matt. — Już chciałem wzywać pomoc. Bałem się, że leżycie gdzieś w krzakach.

— Leżałeś w krzakach więcej razy niż my wszyscy razem wzięci — dociął mu Scott, na co Matt zmrużył powieki.

— Kłamstwo — wyartykułował, uderzając pięścią w stół. Grał groźnego prawnika, ale nikt się na to nie nabrał, posłaliśmy mu jedynie pobłażliwe uśmiechy.

— Stary, nie jesteśmy na sali sądowej, a ty nie umiesz pić — kontynuował Scott.

Znów zaczęły przepychankę słowną. Obserwowałabym to dalej, gdyby nie fakt, że poczułam, jak silne ramiona objęły mnie od tyłu. Cała

zesztywniałam i automatycznie wyrwałam się z objęć Chrisa. Szybko odwróciłam się w jego stronę. Wydawał się lekko zdezorientowany moim zachowaniem.

— Przepraszam — powiedział. — Chyba cię przestraszyłem.

Cholera. Nie chciałam, aby poczuł się niekomfortowo, ale nie umiałam zareagować inaczej. Nawet jeśli przygotowałam się na dotyk, był on dla mnie trudny, a kontakt fizyczny z zaskoczenia powodował, że momentalnie robiło mi się niedobrze.

Choć moje wewnętrzności ścisnęły się boleśnie, zmusiłam się do uśmiechu.

— Już myślałam, że po mnie przyszli — postarałam się zażartować, aby oczyścić atmosferę, co mi się udało.

Chris uśmiechnął się promiennie.

— Na szczęście to tylko twój wspaniały przyjaciel, który się stęsknił.

— To dlaczego mnie nie odwiedzasz? — zapytałam.

Wyglądał zjawiskowo w dopasowanym garniturze w kwiatowe wzory oraz przylegającej czarnej koszulce pod rozpiętą marynarką. Jego włosy były stylowo zaczesane, a jeden lok opadał mu zawadiacko na czoło.

— Ach tak? — rzucił bojowo, unosząc jedną z równych brwi. — W takim razie jutro przyjeżdżam i się mnie nie pozbędziesz ani na sekundę.

— W porządku — zgodziłam się bez zająknięcia.

Zrobiłabym wszystko, aby w tamtej chwili pozbyć się wyrzutów sumienia. Brzydziłam się samą sobą. Byłam na siebie zła, że dotyk niegdyś najbliższych mi osób również był dla mnie nie do zaakceptowania. Stałam się wybrakowana.

Moje myśli rozproszył Cameron, który okręcił się na krześle i z nieodgadnią miną skupił uwagę na Chrisie. Adams chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Albo nie chciał tego dostrzec?

— Witaj, Christopherze — powiedział szarmancko Wilson.

Chris spojrzał mu w oczy i przełknął ślinę. Chociaż starał się grać niewzruszonego, widziałam, jak jego uszy i kark lekko różowieją.

— Cameron. — Skinął.

Obserwowałam to jednego, to drugiego i nie wiedziałam, czy to tylko moje zwidy, czy naprawdę było między nimi dziwne napięcie. Nagle Cameron uniósł kącik swoich idealnie wykrojonych ust, co spowodowało, że Chris rozchylił powieki i niemal natychmiast odwrócił głowę. Wilson rozbawiony tą reakcją starał się ukryć pełen zadowolenia uśmieszek.

— Dawno przyjechaliście? — zapytał z paniką w głosie Adams, parząc na mnie z niemym wołaniem o pomoc.

Cameron postanowił się zlitować, bo parsknął tylko dzwięcznym śmiechem. Przestał katować biednego Chrisa, odwróciwszy się do nas plecami.

— Przed chwilą — odpowiedziałam. Mnie też chciało się śmiać.

Przez moment przysłuchiwałam się rozmowie Matta, Scotta i Theo, aż w końcu do stolika podeszli Luke z Laurą. Chris usiadł na miejscu obok mojego brata.

— Dobra, teraz możemy — powiedział Luke.

— A Nate? — zapytała Mia.

Mitchell pokręcił głową. Zdziwiło mnie to, że chcieli zaczynać rozmowę bez niego. Dlaczego jeszcze go nie było?

— Dzwoniłem do niego i wszystko już wie, nie musimy czekać — zapewnił Luke. — Scott, mów.

Wszyscy przenieśliśmy wzrok na Hayesa. Spowaźniał i odchrząknął.

— Było ciężko, ale dowiedziałem się, co i jak — zaczął. — Trochę podrażyłem i dostałem informację, że najbardziej popularnym zawodnikiem jest Patrick Sanchez. Pochodzi z Brazylii i od kiedy odszedł Nate, to on tu króluje.

Spojrzałam po innych. Im to nazwisko chyba również nic nie mówiło.

— Podobno najczęściej można go spotkać w klubie Venoma, w którym kiedyś pracowałem — dodał. — Jeśli chcemy go znaleźć, trzeba celować tam.

— Czyli na dniach musimy się tam wybrać? — zapytała Mia.

— Znajomy, który jest tam teraz barmanem, ma nam dać znać, jak Sanchez się pojawi.

— A potem? — wtrąciłam się.

Scott westchnął.

— A potem będziemy żałować i dziękować jednocześnie, że Nate jest porywczy — odparł z mniejszym entuzjazmem.

— A tak w ogóle gdzie jest Nate? — zapytał Theo.

— Zaraz będzie. Napisał mi, że już jedzie — powiedział Luke, a następnie zerknął w kierunku wejścia do sali. — O wilku mowa.

Sekundę później uśmiech zamarł na jego ustach, dokładnie tak jak u reszty. Scottowi wymsknęło się ciche „o kurwa”, więc zdziwiona obró-

ciłam się na stołku, aby zobaczyć, co wywołało takie poruszenie. I gdy tylko to zrobiłam, zrozumiałam, że ten wieczór będzie katorgą.

Ponieważ tak, stał tam Nathaniel, ubrany w czarne jeansy i tego samego koloru za duży sweter, spod którego wystawała biała koszulka pasująca mu do białych air force'ów, a przy nim... stała Severine.

Nie wiedziałam, co zrobić, i chyba inni również. Słyszałam, że przestali oddychać. Nie mogłam odwrócić oczu od nowo przybyłych. Trzymali się za ręce, a dziewczyna szeroko się uśmiechała, obrzucając bacznym spojrzeniem całą salę. W końcu odnalazła wzrokiem nasz stolik, a jej uśmiech jeszcze się powiększył.

Shey popatrzył na nas z jak zwykle obojętną miną. W końcu Severine pociągnęła go za rękę w naszym kierunku.

Wyglądała doskonale w jasnych jeansach, które opinały jej szczupłe nogi, welurowym różowym sweterku, który odkrywał jej zgrabne ramiona, i czarnych trampkach. Włosy miała rozpuszczone z wetkniętą w nie jasną spinką.

Otrząsnęłam się z szoku i spojrzałam na resztę. Mia posyłała Luke'owi jakieś tajemnicze sygnały, gromiąc go wzrokiem, a on jedynie bezradnie rozłożył ręce z tępym wyrazem twarzy. Theo wyglądał na bardziej zdezorientowanego niż zszokowanego, bo nie wiedział, że Nathaniel ma narzeczoną. Poza nim wiedzieli wszyscy. Nawet po Chrisie widziałam, że ją zna. Każde z nich ją znało.

Wydawało mi się, że czas zaczął zwalniać. Ich kroki, gdy podchodzili w naszą stronę, były coraz wolniejsze. Moja głowa zaczęła nieprzyjemnie pulsować od nadmiaru myśli. Wydawało mi się, że właśnie znalazłam się w pierdolonym dziewiątym kręgu piekła. O ile nie niżej.

W końcu Nathaniel i Severine dotarli do naszego stolika, przy którym panowała cisza. Miałam ochotę walić głową ścianę, bo było tak niezręcznie. Shey w ciszy patrzył na Luke'a, tocząc z nim jedną z tych ich niemych rozmów. Na całe szczęście ten pierdolony kataklizm przerwała Laura.

— Severine! — zawołała zbyt piskliwie nawet jak na nią.

Przez pierwsze kilka sekund jedynie otwierała i zamykała usta. Severine chyba myślała, że to z powodu zaskoczenia, więc szybko podeszła do Moore i objęła ją. Była mniej więcej jej wzrostu i jej również nie brakowało siły. Laura wyglądała na nieco zmieszaną, gdy odwzajemniała uścisk.

Potem ocknął się również Cameron i z gracją podszedł do dziewczyny.

— Miło cię widzieć, Severine — przywitał się uprzejmie, ale zdecydował się jedynie na podanie jej dłoni, co dziewczyna i tak przyjęła z szerokim uśmiechem.

Reszta również wyrwała się z transu. Severine wymieniła uścisk dłoni z Chrisem, cmoknęła w policzek Parkera i przytuliła na powitanie Mię, a Jasmine rzuciła w jej stronę krótkie „cześć”.

W końcu wzrok dziewczyny padł na mnie, a uśmiech nadal tańczył na jej wargach.

W tamtej chwili wymyśliłam dwie opcje. Albo dalej siedzieć jak sparaliżowana i tkwić w swojej bezpiecznej bańce, albo ostatecznie dojechać się psychicznie. A że byłam masochistką, wybór był prosty.

Pstryk. Znowu przelącznik.

— Severine! — zawołałam i wstałam ze swojego miejsca. Uśmiechnęłam się w jej stronę, wyciągając dłoń. — Miło mi cię znowu widzieć.

Wiedziałam, że wszyscy doznali szoku. Specjalnie podkreśliłam słowo „znowu”, aby się ogarnęli i nie robili jeszcze większej szopki. Już i tak wiedziałam, że czeka mnie piekło i cyrk na kółkach w jednym, ale nie miałam zamiaru grać roli pierwszego błazna.

Dziewczyna po moich słowach uśmiechnęła się promiennie i z mocą potrząsnęła moją dłońią. Jej skóra była delikatna. Czułam, jakbym dotykała kruchego szkła.

— Mnie również — odpowiedziała.

Zdawała się nie zwracać uwagi na miny reszty. Spojrzała na Theo. Wyglądał jak ja na każdej matematyce w liceum. Tyle że nie płakał.

— A my się chyba jeszcze nie znamy. Jestem Severine — przywitała się.

— Theo. — Potrząsnął dłońią rudowłosej. — Jesteś...

— Moją narzeczoną.

Wszystkie spojrzenia, prócz mojego, przeniosły się na Sheya, który w końcu postanowił się odezwać. *Moją narzeczoną*. Theo niemal zachłyśnął się śliną. Cóż, mogłam go poinformować. Dobrą chwilę zajęło mu ocknięcie się z szoku.

— Aha, gratuluję — powiedział tylko.

A ja stałam z przyklejonym do ust uśmiechem i obojętnymi oczami. Z każdą uciekającą sekundą coraz bardziej nie chciałam tam być. Nadal nie popatrzyłam na Sheya.

Wszyscy zajęli swoje miejsca, a Laura z Lukiem stwierdzili, że pój-
dą po piwo i soki. Zakłęłam w duchu, gdy zerknęłam na jedyne wolne
miejsce pomiędzy moim bratem a Mią, które po chwili zajął Nathaniel.
I nie, nie musiałam się zastanawiać, gdzie siądzie Severine, bo od razu
wśliznęła się na kolana Sheya, który przecież był jej *narzeczonym*.

Chyba jeszcze ani razu nie żałowałam tak bardzo tego, że nie mogę
pić alkoholu. Bo miałam na to kurewską ochotę.

Dziewczyna zgrabnie usiadła bokiem na kolanach Nathaniela, wtu-
lając się w jego ciało, a on objął ją ramieniem. Nie mogłam się powstrzy-
mać i spojrzałam na jego twarz. Wyglądał jak zawsze, ponuro i obojęt-
nie. Beznamiętny wzrok utkwił w odkrytym barku swojej narzeczonej.
Severine zdawała się tego nie zauważać, z podekscytowaniem patrzyła
na znajomych. Ich twarze nadal wyrażały... niepewność.

— Mam nadzieję, że nie macie mi tego za złe, ale Nate powiedział
mi, że idzie się z wami spotkać, i musiałam tu przyjść. Niesamowicie
się za wami tęskniłam — powiedziała.

Chryste, dlaczego ona była taka miła? Nie mogła być psychopatyczną
suką jak Darcy? Wtedy łatwiej byłoby mi jej nie lubić...

Stop. Znow to robisz. Stajesz się jeszcze bardziej żałowna.

Powinam była się cieszyć, że Shey w końcu znalazł kogoś dobre-
go. Poza tym byłam ponad to, powinam była się zamknąć, opanować
mdłości, jakie mnie dopadły, i zachowywać się kulturalnie.

— Nic się nie stało, Severine — powiedział z kurtuazją Cameron. —
Bardzo nam miło, że przyszłaś z Nathanielem.

To mnie zdziwiło, w końcu Shey był pokłócony z Cameronem. Cze-
kałam na jakąś ciętą odpowiedź Nathaniela, bo odgryzał się za każdym
razem, gdy tylko Wilson się odzywał, ale nic takiego się nie wydarzyło.
Shey nawet na niego nie spojrzał, jedynie spał się bardziej, ale rudo-
włosa nie zauważyła i tego. Czyli o ich kłótni też nie wiedziała?

Zaczęłam podejrzewać, że oni wszyscy mają więcej tajemnic, niż
mogłoby się wydawać.

Jakim cudem wlaźłam w takie gównno?

— Był jakiś powód, że tak nagle wszyscy postanowiliście przyje-
chać? — zapytała szczerze zaciekawiona. — Raczej rzadko zaglądacie
do Culver City.

Och, cholera.

— Mamy sprawy do pozalutowania, więc zgadaliśmy się wszyscy, aby przyjechać w tym samym czasie i się spotkać — z opresji uratował nas Scott. — No wiesz, trzeba wykorzystać okazję.

Miałam ochotę parsknąć śmiechem na te słowa.

— To dobrze. Fajnie was razem zobaczyć — powiedziała szczerze Severine, a ja poczułam, że jej wzrok ląduje na mojej twarzy. — I cieszę się podwójnie, bo mogłam poznać Victorię.

Kurwa.

— To wy się znacie? — zapytał niby od niechcienia Matt.

Kątem oka zobaczyłam, jak Scott uderza go pięścią w udo. Donovan zacisnął szczękę, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

W pełni panując nad sobą, spojrzałam w niebieskie oczy Severine. Uniosłam kącik ust, aby dać jej do zrozumienia, że jej słowa mnie uradowały. Prawda była zupełnie inna, choć naprawdę chciałam się cieszyć.

Patrzyłam na jej śliczną buzię, mając nadzieję, że ktoś mnie za chwilę zastrzeli.

— Tak, Victoria przyszła wczoraj do warsztatu i na szczęście tam byłam, więc mogłam ją poznać — odrzekła Severine.

Skinęłam głową, bo nie chciałam nic więcej mówić.

— O ku... — wymsknęło się Mattowi, ale Scott na szczęście walnął go raz jeszcze. Tym razem nieco mocniej.

Severine wciągnęła resztę w miłą i luźną pogawędkę, która była tak naprawdę o niczym. Wypytywała Scotta o Florydę, a Matta o studia. W końcu Parker i Laura wrócili. Mimo że mój sok smakował jak siki, od razu wypiałam połowę.

O dziwo, los okazał się dla mnie nieco łaskawszy, niż myślałam, bo tamtego wieczoru stało się coś, co bardzo poprawiło mi humor. Gdy rudowłosa rozsiadła się na kolanach Sheya, byłam traktowana jak księżniczka i rozpieszczana. Cameron raz po raz komplementował moje włosy i nowy styl ubierania się, Matt rzucał w moją stronę coraz to wymyślniejsze żarty, nawet Jasmine się do mnie uśmiechała. Krzywo, bo krzywo, ale jednak. Nie miałam bladego pojęcia, po co to robili, ale to było... miłe. Lubiłam być adorowana i chyba tylko dzięki temu wytrzymałam ten cały cyrk.

Byli tacy kochani.

Nathaniel za to nie odezwał się ani razu. Wyglądał jak posąg, pozostając przez cały czas w jednej pozycji. Oprócz tego, że jego narzeczona siedziała mu na kolanach, a on na początku ją objął, nie zobaczyłam między nimi oznak bliskości. Przynajmniej nie z jego strony. Przez większość czasu ręce trzymał sztywno i nie reagował na to, że go przytulała czy głaskała. Nawet się nie uśmiechał.

Przez pierwsze dwadzieścia minut nie było tragicznie. Poza tym, że ujawniła się kolejna zaleta Severine. Potrafiła świetnie podtrzymywać rozmowę. Była radosna i miła, a przy tym naprawdę ciekawa, co działo się u reszty. I to było w porządku, dopóki interesowała się innymi.

— Więc... Victoria, Theo — powiedziała nagle, patrząc to na mnie, to na mojego brata, który nadal był lekko skołowany. — Mieszkacie w Maine, tak?

Znów miło się uśmiechnęłam, kiwając głową. Tak naprawdę chciałam połamać sobie palce.

— Tak — przytaknęłam. — Przeprowadziliśmy się cztery lata temu.

— Mogę wiedzieć, czemu akurat Maine? — dopytała.

Nie.

Przestań, Victoria — skarciłam samą siebie w myślach.

— To ulubiony stan naszej mamy — odpowiedziałam, czując suchość w gardle.

Spojrzałam z nietęgą miną na pustą szklankę przed sobą. Luke musiał to wylapać, bo nie minęła chwila, a znalazł się obok mnie i dołał mi napoju. Popatrzyłam na niego z wdzięcznością. Zawadiacko mrugnął i wrócił na miejsce obok Mii.

Upiłam łyk.

— Zawsze chciała, abyśmy tam studiowali. I mają dobre uczelnie — powiedziałam.

— Mieszka tam z wami? — zapytała niczego nieświadoma dziewczyna.

Właśnie wtedy zobaczyłam pierwszą reakcję u Nathaniela. Lekko się spiął, a jego wzrok uniósł się z barku Severine na bok jej twarzy. Jego czarne oczy nadal pozostały puste, ale szczękę zacisnął mocniej niż zazwyczaj.

Przygryzłam policzek, czując współczujące spojrzenia reszty. Mimo że minęło kilka lat, dalej wołałam unikać tego tematu.

— Ona... — Odchrząknęłam i zrobiłam obojętną minę. — Mama zginęła w wypadku przed naszym wyjazdem. Potrącił ją pijany kierowca.

Uśmiech automatycznie spełził z twarzy Severine, a jej oczy przygasły. To wyglądało, jakby ktoś właśnie uśmiercił Dzwoneczka. I to piłą mechaniczną.

— Bardzo mi przykro — powiedziała szczerze, na co skinęłam głową, ale nie miałam ochoty tego komentować.

Przez następne dziesięć minut znowu był spokój, a konwersacja, w której jedynie ja i Shey niemal wcale się nie udzielaliśmy, jakoś się toczyła.

Tylko że Severine miała jeden irytujący mankament. Nie odpuszczała.

— Nie wybaczę Nate'owi, że nigdy mi o tobie nie wspomniał — odezwała się nagle, a ja poczułam, że żołądek podchodzi mi do gardła. Spojrzałam na nią sceptycznie, bo nie wiedziałam, do czego zmierza. — Byliście przyjaciółmi?

Nasi znajomi zeszytnieli. Wiedziałam, że nie chcieli się wtrącać, bo to był drażliwy temat. Zerknęłam na Nathaniela, oczekując, że w końcu zabierze głos i coś powie, ale jak na złość on również milczał. Nawet na mnie nie patrzył, tylko ze znużeniem wlepił wzrok w kufel.

Czułam na sobie spojrzenia wszystkich pozostałych na czele z Severine. Miałam pierdoloną ochotę rozplnąć się w powietrzu jak dym papierosowy, bo co ja niby miałam zrobić? Co powiedzieć? Nie znała mnie, naszej historii i nie wiedziała, co się stało. Miałam kłamać jej prosto w twarz? Wyznać prawdę?

Moje ciało zapłonęło nienawiścią do Sheya za to, że zrzucił to na mnie. Za maską uśmiechu i nonszalancji zgrzytałam zębami, przeżywając wewnętrzne konwulsje.

Nigdy więcej nie dam się zrobić w coś takiego — pomyślałam i tak sobie postanowiłam.

— Tak — powiedziałam w końcu, mając nadzieję, że to jej wystarczy.
No ale gdzieżby.

— O! — zawołała, a jej oczy zaślniły. — Jak się poznaliście?

Byłam w jakimś programie telewizyjnym? Ktoś miał zaraz wyjść z ukrycia z kamerą i mikrofonami, aby powiedzieć, że dałam się wkręcić? Naprawdę na to czekałam, bo ośmieszenie w publicznej telewizji byłoby lepsze niż katusze, które przeżywałam.

Liczyłam, że Shey w końcu się wtrąci i mnie uratuje, ale ten siedział i nie było po nim widać, by w ogóle oddychał. Theo nerwowo siorbał swoje piwo, Cameron posłał mi jakby przeproszające spojrzenie, a Nathaniel zachował się jak ostatni skurwiel.

W końcu zdecydowałam się na delikatny uśmiech.

— Nie jestem ciekawą historią. — Pokręciłam głową.

Gdybym była, wiedziałabyś.

— Przyjaźniłaś się z Nate'em — ciągnęła dziewczyna, chyba nie zauważywszy, jak ciężka była atmosfera. — Musisz być.

— Poznali się przeze mnie — odezwał się nagle Parker, a ja chyba nigdy nie byłam mu wdzięczna tak bardzo, jak w tamtej chwili.

Spojrzałam na niego, dziękując mu wzrokiem. Patrzył na Severine, obejmując jednym ramieniem spiętą Mię.

— Victorii kiedyś uciekł autobus. Zaoferowałam podwózkę, a po drodze musiałem spotkać się z Nate'em, więc tak wyszło, że i oni się poznali.

— Tak, potem ja przez przypadek wpadłem na Vic — do rozmowy wtrącił się Scott. — Zgubiła się w nocy na przedmieściach, więc jej pomogłem. Luke mi powiedział, że to jego znajoma.

— A potem była impreza u Luke'a, na którą przyszła, i tak jakoś wszyscy się poznaliśmy — dodała Laura, uśmiechając się pogodnie. — I od tamtej pory trzymaliśmy się razem.

— Vic zapoznała nas również z Theo, Mią i Chrisem — wtrącił się Matt.

— Tak, trzymaliśmy się razem. Wszyscy się przyjaźniliśmy — rzucił uśmiechnięty Chris.

— A potem, wiadomo, studia i tak dalej — mruknęła Mia, machając lekceważąco ręką. — Trochę spraw się na siebie nałożyło, Vic z Theo przeżyli tragedię i wszystko się skomplikowało.

— I wyjechaliśmy do Maine — dopowiedział Theo.

— Wiadomo, staraliśmy się utrzymywać kontakt, ale odległość robi swoje. — Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy do rozmowy włączyła się Jasmine. Z niewzruszoną miną przyglądała się Severine. — Nie opowiadaliśmy ci, bo tu nie było żadnych niepotrzebnych dram.

— Ale właśnie teraz tu razem siedzimy, czyż nie? — dorzucił Cameron, unosząc kufel z piwem. — I za to powinniśmy wypić — wznioł toast, a zauroczona opowieścią rudowłosa ochoczo przytaknęła.

Jak w amoku chwyciłam swój sok i również upiłam łyk.

Myślałam, że zostałam sama, bo Shey był skurwielem i zostawił mi wyjaśnienie wszystkiego Severine. Nie musiałam tego robić, zostałam wyręczona. Tego, co poczułam do swoich znajomych, nie mogłam nazwać wdzięcznością, to było coś więcej. Gdybym potrafiła płakać, to mogłam przysiąc, że łyzy lałyby się właśnie strumieniami po moich policzkach.

W ciszy przysłuchiwałam się pogawędce, w jaką Cameron wciągnął Severine, aby więcej mnie nieświadomie nie dręczyła. Cała reszta również zasypywała ją pytaniami, by odwrócić jej uwagę od tematu mojej znajomości z Nathanielem.

Opowiedzieli za mnie moją historię, bo wiedzieli, że to dla mnie trudne. Zrobili to dla mnie. Razem. Wszyscy.

Spojrzałam na Nathaniela, który wyglądał, jakby zapomniał o moim istnieniu. W moim wnętrzu zawrzało. Ta cała sytuacja była jego pierdołoną winą. Nie powiedział prawdy własnej narzeczonej, a potem nawet nie raczył się odezwać, gdy Severine przyparła mnie do muru. Siedział sobie jak gdyby nigdy nic i nawet nie starał się grać kogoś, komu zależy.

Zacisnęłam szczękę, z wściekłością wpatrując się w jego twarz. Nigdy nie sądziłam, że znów poczuję do niego nienawiść. Złość rozsadzała mi żyły i miałam ochotę uderzyć jego głową w stół.

Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł. Och, Shey nadal milczał? W porządku.

— Hej, Severine? — zaczęłam, przywołując na twarz najmiłszy uśmiech, na jaki było mnie stać.

Rudowłosa spojrzała na mnie z zaciekawieniem, ponieważ od początku spotkania ani razu nie odezwałam się pierwsza. Położyłam łokieć na blacie, a następnie oparłam podbródek na dłoni. Wiedziałam, że nasi znajomi byli zaskoczeni, bo wszyscy ucichli.

— Tak? — zapytała.

— Może opowiesz, jak poznałaś się z Nathanielem?

Bingo.

Niemal w tym samym momencie poczułam spojrzenie Sheya na swojej twarzy. Ojej, czyli jednak tam był? Postanowiłam zachować się jak on i nawet nie zerknęłam w jego kierunku. Całą uwagę skupiłam na Severine, która chyba nie zdawała sobie sprawy, że siedziała na kolanach tykającej bomby.

Wytrzymywałam pałący wzrok Nathaniela, który przypuszczalnie chciał mnie zamordować, a co więcej, czułam ogromną satysfakcję. Nic tak go nie denerwowało, jak mówienie o jego przeszłości i sprawach prywatnych.

Kątem oka dostrzegłam, że Cameron z uśmiechem satysfakcji patrzy na byłego przyjaciela. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie przesadziłam, ale dostrzegłam, że nikt nie próbował ratować Sheya, czyli chyba nie mieli nic przeciwko, abym dała mu małą nauczkę. Nawet Parker wydawał się dziwnie zadowolony, dlatego porzuciłam te myśli.

Zastanawiałam się, czy Nathaniel w końcu się odezwie, czy pozwoli swojej narzeczonej, aby opowiedziała mi o ich związku. Ruda chyba nie mogła się doczekać, aż będzie mogła zacząć mówić, bo jej oczy błyszczały z ekscytacji.

— Cóż, no więc to było ponad trzy lata temu. Przyleciałam tu z Nowego Jorku na wakacje do taty — zaczęła z zadowoleniem. — Byłam na spacerze w pobliskim parku razem ze swoim psem. Niestety zerwał mi się ze smyczy. Jest duży i nie dałam rady go utrzymać. — Zaśmiała się. — Kilka godzin go szukałam, ale przepadł jak kamień w wodę. Zauważyłam go dopiero wieczorem, siedział na ławce z pewnym brunetem. Oczywiście to był Nate.

I to było to. Ta jedna sekunda, gdy mój wzrok uciekł w bok i zderzył się z płonącym spojrzeniem Sheya. Czerń jego tęczywek była tak intensywna, że przypominały czarną dziurę. Wydawało mi się, że czuję, jak jego mięśnie drżą pod wpływem tłumionej wściekłości. Po moich plecach przeszedł dreszcz i znów pomyślałam, że może przesadziłam. Wyglądał przerażająco, jakby chciał mnie unicestwić siłą woli.

Chwilę później przypomniałam sobie jednak, że się nie odezwał, by pomóc mi się wykręcić od odpowiedzi na pytania Severine. Wyrzuty sumienia zniknęły. Z obojętnością wymalowaną na twarzy wróciłam do obserwowania błyszczących oczu jego narzeczonej.

— Byłam taka szczęśliwa, że znalazłam swojego psa, że nawet nie zwróciłam na niego uwagi. Dopiero potem dotarło do mnie, że to Nate go znalazł i przypilnował. Chciałam mu podziękować, ale dostałam niemiły wykład na temat tego, że trzeba dbać o swoje zwierzaki. To było niesamowicie wredne i chamskie, więc nawet mu nie podziękowałam, po prostu sobie poszłam. Kilka dni później spotkałam go w kawiarni. Siedział sam. Wiedziałam, że to on, i chociaż byłam na niego wściekła,

to poprosiłam kelnerkę, aby zaniosiła mu kawę. Może byłam zła, ale znalazł mojego psa i chciałam się odwdziżyć.

No już. Złam się, przerwij jej. Wiem, że cię to męczy. Nie każ mi robić tego dalej.

— Więc dostał tę kawę i tak rzucaliśmy sobie ukradkowe spojrzenia — ciągnęła, a mnie coraz trudniej było tego słuchać ze świadomością, jak bardzo źle musi się czuć Nathaniel. Przecież tak bardzo nienawidził takich sytuacji. — A potem, nie wiedzieć czemu, przysiadłam się do jego stolika. Po prostu czułam, że muszę to zrobić. Dalej był sceptycznie nastawiony, ale zgodził się, gdy zaproponowałam kolejne spotkanie. A potem kolejne i kolejne. I tak to poszło. Spotykaliśmy się, aż w końcu poprosił mnie, abym została jego dziewczyną, a ja oczywiście się zgodziłam. Pół roku temu postanowiliśmy się zaręczyć.

— Piękna historia — podsumowałam.

Miałam dość. To już nie dawało mi satysfakcji. Może wygrałam tę głupią walkę, ale nie chciałam tego ciągnąć. Nie, skoro wiedziałam, jakie było to dla niego niekomfortowe.

Miałam nadzieję, że dziewczyna zrozumie, że nie musi dalej opowiadać, bo moja ciekawość została zaspokojona, ale ona wciąż mówiła.

— Cóż, od zawsze byliśmy nieco inni, więc i nasze zaręczyny były inne — relacjonowała w najlepsze. — Nie było wielkich wyznań miłości, klęczenia ani nawet pierścionka. Po prostu zadecydowaliśmy, że możemy się pobrać, skoro chcemy spędzić ze sobą resztę życia.

Niektóre rzeczy się nie zmieniają.

— Mieszkacie razem? — zainteresował się Theo.

Spojrzałam na niego, chcąc wbić mu widelec w gardło.

Severine zamrugała, lekko się pesząc.

— Ehm, nie — odparła ciszej. — Moi rodzice są strasznymi tradycjonalistami. Zostałam wychowana według pewnych zasad, między innymi tej, że razem można mieszkać po ślubie, więc mieszkam u taty. Poza tym Nate mieszka z bratem i nie byłoby tam dla mnie miejsca.

Zmarszczyłam brwi i zerknęłam na Sheya, który znów wbijał puste spojrzenie w kufel.

Pamiętałam plan Nathaniela. Gdy wyjeżdżałam, powiedział mi, że ściągnie do siebie swojego młodszego brata, który mieszkał u dziadków w Kanadzie. Niestety nie dowiedziałam się, czy rzeczywiście to zrobił,

bo urwał nam się kontakt. Poczułam radość, cieszyłam się, że udało mu się zbliżyć z bratem, ponieważ Charlie był dla niego bardzo ważny.

Niektóre rzeczy się nie zmieniają, ale wtedy inne stają się nie do poznania.

— Masz brata? — zapytał zdziwiony Theo, zwracając się do Sheya.

Naprawdę nie chciałam już tego kontynuować. Miny reszty wskazywały, że oni również.

Severine gorliwie pokiwała głową.

— Tak, ma na imię Charlie i chodzi do podstawówki. Cudowny chłopak — westchnęła. — Tak że... nie mieszkamy jeszcze razem. Ale to się zmieni po ślubie. Chciałabym, aby odbył się na wiosnę.

Na wiosnę. Tkwiłam w zawieszaniu. Na wiosnę miał być *mężem*. Zostało kilka miesięcy.

— Żyje nam się naprawdę dobrze — ciągnęła i chyba jako jedyna cieszyła się z tej rozmowy. — Jestem taka szczęśliwa, że spotkałam na swojej drodze Nate'a.

Gra się skończyła, Shey do samego końca jej nie przerwał. Nie złamał się, pozwolił Severine dokończyć. Wygrałam, ale nigdy nie czułam się tak bardzo pokonana.

— Za to też wypijmy — wtrącił się Cameron, aby zakończyć temat. — Za szczęście i spokój.

Shczęście i spokój.

— A ty, Vic? — zapytała, kiedy wypili.

Nie chciałam dalej rozmawiać. Czułam się paskudnie.

— Co ja? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

— Masz kogoś w Maine?

Życie było paskudne. Naprawdę paskudne i moi znajomi też byli paskudni. Miałam ochotę wydlubać im oczy za te ciekawskie spojrzenia. Wyjątkiem był mój brat, który jedynie wznosił wzrok ku niebu, oraz Shey, który wyglądał tak, jakby nie rejestrował obecności innych osób.

Nie chciałam spowiadać się... jej, ale Theo chyba uznał to za okazję do żartów, bo zachichotał w swój kufel z piwem.

— Bo to jednego — bąknął, a ja zapragnęłam wyszarpać go za tę jego głupią czuprynę.

Po jego słowach spojrzenia kierowane w moją stronę stały się jeszcze intensywniejsze. Sok mi się skończył, a Luke mi nie dołał. Czy wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie?

— Nie, nie mam — odpowiedziałam szczerze.

Nic nie mogłam poradzić na to, że moja postawa względem Severine stała się chłodniejsza, ale dziewczyna zaczynała być coraz bardziej irytująca z tą swoją ciekawością. Zastanawiałam się, jak Nathaniel, który należał do osób skrytych, to wytrzymywał, bo ona była nie do opanowania.

— Poważnie? — zapytała ze zdziwieniem. — Wybacz moje zszokowanie, ale się nie spodziewałam. W końcu jesteś prześliczna. Taka elegancka, poukładana i wydajesz się strasznie inteligentna. Takie osoby jak ty rzadko kiedy są same.

— Cóż — zaczęłam, zastanawiając się, jak odpowiednio dobrać słowa. — Nie jestem fanką... zobowiązań.

Naprawdę miałam nadzieję, że taka odpowiedź ją usatysfakcjonuje, bo innej nie miałam zamiaru udzielać. Niestety mój brat był idiotą.

— Mogłabyś się w końcu zdecydować na kogoś, bo aż żal patrzeć na tych biedaków pełnych nadziei na to, że mają u ciebie szanse — rzucił i posłał mi wredny uśmiezek. Jego oczy błyszczały satysfakcją.

Zesztywniałam. W tamtej chwili oddałabym wszystko za supermoce, które pozwoliłyby mi zabić Theo wzrokiem. Dlaczego on też musiał mnie tak męczyć?

Na twarzy Severine wymalowało się lekkie zakłopotanie, gdy dotarł do niej sens słów mojego brata.

— Och, to chyba dobrze... — Wzruszyła ramionami. — Każdy żyje, jak chce, czyż nie?

A czy ja cię pytałam o opinię?

Przestań, ona tylko chciała być miła.

Prawda była taka, że nie potrafiłam być w związku. Nawet nie chciałam w nim być, choć już dawno mogłam związać się z Noahem. Nie byłam głupia, znałam jego intencje. Noah był kochany, czarujący, przystojny, bogaty i bardzo się o mnie troszczył. Ale byłam emocjonalną kaleką i zamiast szansy na trwałą relację wybierałam przygodny seks z nieznanymi, których spotykałam w klubach. Nie angażowałam się uczuciowo, ponieważ nie czułam takiej potrzeby. W moim świecie byłam tylko ja, a oprócz mnie Theo, Erik i Kot oraz moja praca. Nie chciałam tego zmieniać.

Niezręczną ciszę postanowił przerwać Matt.

— Och, to dobrze się składa. — Zaczekał i objął mnie ramieniem. Uśmiechnął się zawadiacko w moją stronę. — Ja również nie jestem fanem długotrwałych relacji. Co ty na to, aby założyć wspólnie antyklub i celebrować to we dwoje? — Jego brwi zafalowały.

Uśmiechnęłam się krzywo i położyłam dłoń na jego twarzy, odpychając go od siebie. Wywołałam tym ogólny śmiech. Mój bohater Cameron ponownie zgrabnie zmienił temat, aby odciągnąć ode mnie uwagę Severine.

Poczułam, że muszę zapalić, więc podniosłam się z miejsca i po oznajmieniu reszcie, że niedługo wrócę, zarzuciłam płaszcz na ramiona i wyszłam z baru. Na zewnątrz było ciemno, jedynie światła neonów i latarni przebijały się przez mrok. Odpaliłam papierosa i aby się uspokoić, zaczęłam liczyć zaciągnięcia.

Z przymkniętymi powiekami stałam tyłem do baru. Chciałam, aby wszystkie troski i zmartwienia rozplynęły się wraz z dymem, ale nie było to takie proste.

Nate to historia. To, co robi, nijak na ciebie nie wpływa.

Tak bardzo chciałam w to wierzyć. Nic nas nie łączyło, a tego wieczoru pokazał mi, jak bardzo mnie nie szanuje. Pierdolony egoista!

— Jesteś z siebie zadowolona? — Zza pleców dotarł do mnie głos Sheya i w pierwszej chwili wydawało mi się, że rozbrzmiał tylko w mojej głowie.

Miałam nadzieję, że po prostu za dużo o nim myślałam, ale coś podpowiadało mi, że chłopak naprawdę za mną stoi.

Nawet nie otworzyłam oczu. Uniosłam lewą dłoń, a następnie odchyliłam ją do tyłu i wskazałam na budynek baru.

— Wypaliłam ponad pół papierosa i zaczęłam się uspokajać, ale jeśli jeszcze przez chwilę będziesz stał w odległości mniejszej niż dziesięć jardów, to będę musiała wypalić pół paczki — warknęłam lodowato, czując wzbierający we mnie na nowo gniew. — Więc wróć, skąd przyszedłeś.

— Po co było to przedstawienie w środku? — zapytał cierpko.

Jego słowa sprawiły, że parsknęłam gorzkim śmiechem, po czym postanowiłam się odwrócić.

Wyglądał tak cholernie idealnie z tymi swoimi nieułożonymi włosami, perfekcyjnymi rysami twarzy i podkrążonymi oczami. Tak bardzo go za to nienawidziłam, za to wszystko i za więcej! Byłam bałaganem, a on

doprowadził się do porządku. Miał wszystko to, czego ja nie potrafiłam zdobyć, bo byłam zbyt popierdolona. Miał spokój, szczęście, miłość, prawdziwych przyjaciół.

Nienawidziłam go. Tak bardzo go nienawidziłam. Nienawidziłam siebie.

— Nie zwalaj winy na mnie — syknęłam, wyrzucając niedopałek papierosa. Ze złością wpatrywałam się w jego puste oczy. — To ty nie raczyłeś powiedzieć o mnie swojej narzeczonej, a potem zostawiłeś mnie z jej pytaniami. Tak się nie robi, Shey.

Drgnął, ale jego twarz pozostała niewzruszona.

— Więc dlaczego nie odpowiedziałś? — zapytał bojowo.

Miałam ochotę go uderzyć.

— Cóż, skoro nie wie o Vincencie, to podejrzewam, że nie wie także o twojej przeszłości. Czy się mylę? — zapytałam z przekąsem, a on nic nie powiedział, co oznaczało, że mam rację. — Nie chcę cię martwić, ale te pieprzone walki i nielegalny syf to kawał naszej historii. Boże, przez to znowu się tu spotkaliśmy. Skąd miałam wiedzieć, co powinnam powiedzieć, a czego nie? Nic nie wiem! — Z każdą sekundą mówiłam coraz głośniej. — To tobie powinno zależeć, a nie mnie. To nie ja jestem jej narzeczoną!

Patrzyłam na niego z wściekłością, zdając sobie sprawę z tego, że i on czuje to samo w stosunku do mnie. W głowie mi zahuczało, kiedy zrobił kilka nerwowych kroków w moim kierunku.

— Mogłaś mówić, co chciałaś. Dałem ci wolną rękę — odparł, na co histerycznie się zaśmiałam.

— Żeby potem słuchać twoich, pożał się Boże, pretensji? Wiesz, raczej podziękuję — sarknęłam. — Nie dziw się, że zachowałam się jak suka, skoro sam byłeś chujem.

— Pewne rzeczy się nie zmieniają, co? — zapytał z ironią. — Zawsze byłaś rozwydrzona.

Te słowa spowodowały, że coś we mnie wybuchło. Niewiele myśląc, ruszyłam w jego stronę. Zatrzymałam się w minimalnej odległości naprzeciwko niego, cały czas patrząc z furią na jego twarz. Wbiłam palec wskazujący w jego twardy tors. Takich emocji nie czułam już dawno, każda komórka mojego ciała pulsowała, ciężko dyszałam i miałam ochotę go rozszarpać.

On też patrzył na mnie tak, jakby chciał mnie zmieść z powierzchni ziemi. Jego barki szybko się unosiły i opadały, a oczy ciskały pioruny.

Tak bardzo go nie znosiłam.

— Nigdy więcej tak do mnie nie mów — warknęłam.

— Bo co? — zapytał, zadzierając brodę.

— Jesteś tak samo, kurwa, egocentryczny jak cztery lata temu. Myślisz tylko o sobie! Nic się nie zmieniło. Nic, do kurwy!

Nathaniel westchnął ciężko, a ja poczułam jego ciepły oddech na swojej twarzy.

Właśnie wtedy doszło do mnie, jak blisko siebie stoimy.

Już nie było mowy o przestrzeni osobistej, nasze klatki piersiowe były przyciśnięte do siebie, tak że nie dałoby się wetknąć pomiędzy nas nawet kartki papieru. Nasze nosy dzieliły cale, gdy głośno oddychaliśmy w swoje twarze.

Dopiero wtedy poczułam ten zapach, który dotarł do moich nozdrzy, i pierwszy raz od czterech lat nie był on jedynie moim wyobrażeniem. Nadal używał tej samej wody kolońskiej. Bogowie, poznałabym ją wszędzie. I te pieprzone miętowe gumy, wciąż je żuł. Brakowało tylko woni dymu papierosowego, ale jeszcze przed chwilą ja sama paliłam, więc czułam go na języku.

Jak cztery lata wcześniej.

On również wyglądał, jakby to zauważył, bo delikatnie zamrugnął. Powinno być się odsunąć, on miał narzeczoną, a ja bałagan w głowie i w życiu. Byliśmy historią i mieliśmy wspólny cel, na tym się kończyło. Ale mimo tego... nie potrafiłam odejść chociażby o krok. Przyrosłam do ziemi i jedyne, co widziałam, to czerń jego oczu.

Nie mogłam się uwolnić od jego elektryzującego spojrzenia, które na moje nieszczęście zaczęło mnie wciągać w nicość. Czułam ciepło bijące od jego ciała, gdy górował nade mną pomimo moich wysokich szpilek. Zarejestrowałam jeszcze szybkie bicie swojego serca.

Tak jak kiedyś.

Wtedy usłyszałam, że drzwi baru się otwierają. Jak oparzona odskoczyłam od Nathaniela. Spuściłam wzrok na ziemię, pozwalając, by włosy opadły po bokach mojej twarzy.

Co ja, do kurwy, wyprawiałam?!

Modliłam się w duchu o to, aby był to ktoś obcy, ale usłyszałam znajomy głos.

— Victoria? Nate? — zapytała Severine, a potem do moich uszu dotarł odgłos jej szybkich kroków. — Wszystko w porządku?

— Tak — odpowiedziałam od razu. — Ech, po prostu... zgubiłam pierścionek i staram się go znaleźć — skłamałam.

Na potwierdzenie swoich słów rozejrzałam się wokoło, cały czas patrząc w dół.

Poczułam się podle, bo jedyne, o czym myślałam, to czy odskoczyłam w porę i czy nas przyłapała. Chociaż nie zrobiliśmy niczego złego, dopadły mnie wyrzuty sumienia. To był... to nie powinno było mieć miejsca! Byliśmy na siebie źli, a oboje należeliśmy do osób impulsywnych. Tak, to tylko impuls.

— Ojej, to zaraz go poszukamy! — zawołała i dopiero to sprawiło, że uniosłam wzrok.

Na moje nieszczęście wszyscy wyszli na zewnątrz razem z nią. Po moich słowach zaczęli szukać mojego pierścionka. Odetchnęłam w duchu, bo to znaczyło, że nic nie widzieli.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że Nathaniel stoi kilkanaście stóp dalej plecami do nas. Również musiał odskoczyć, gdy tylko usłyszał głos Severine. Przełknęłam ślinę, skupiając się na rudowłosej.

— Nie przejmuj się — powiedziałam. — Zgubił się, to się zgubił. Szukaliśmy. Nie ma go.

— Znajdziemy, spokojnie — zapewniła mnie, chodząc w tę i z powrotem ze wzrokiem wbitym w ziemię.

— Naprawdę nie ma potrzeby — spanikowałam, ale dziewczyna była nieustępliwa.

— Znalazłam! — zawołała nagle Mia, na co wszyscy spojrzeliśmy w jej stronę.

Pozostali poszukiwacze z uznaniem, a ja ze zdziwieniem.

Roberts schyliła się i podniosła z kostki mały lśniący przedmiot. Z uśmiechem podeszła i wyciągnęła do mnie dłoń ze srebrną obrączką, która oczywiście nie była moja. Skrzyżowałam z nią spojrzenie, kiedy ze spokojem mi się przypatrywała.

— To ten? — zapytała z nadzieją.

Wtedy to dostrzegłam, malutką iskierkę w jej niebieskich oczach i brak jednego z dwóch pierścionków na palcu wskazującym jej dłoni. *Ona wiedziała.*

Ze ściśniętym gardłem niemal niewidocznie skinęłam głową.

— Ten. Dziękuję — odpowiedziałam, biorąc jej obrączkę.

Szybko wsunęłam ją na palec. Mia ostatni raz się uśmiechnęła i podeszła do niczego nieświadomego Luke'a.

— Och, skoro już wszystko załatwione, to... — zaczęła Severine, ale nie dane jej było skończyć.

— Jedziemy. Musimy odebrać Charliego od kolegi — rzucił chłodno Shey i niczym duch przemknął między nami.

Nie minęła chwila, a widziałam już tylko jego plecy. Zaciśnęłam szczękę i szybko odwróciłam głowę. Severine zmarszczyła brwi.

— Co... — zaczęła, ale zrezygnowała, widząc, że i tak nie wygra.

Kątem oka obserwowałam, jak Shey wsiada do jakiegoś czarnego, nieznanego mi chevroleta, który stał na parkingu obok audi Luke'a.

Severine podrapała się po głowie i z pięknym uśmiechem kiwnęła w naszą stronę.

— Cóż, chyba w takim razie muszę się pożegnać. Bardzo miło było was zobaczyć. Mam nadzieję, że szybko to powtórzymy!

Następnie z gracją baletnicy pobiegła do auta, w którym za kierownicą czekał już Nathaniel. Nie minęły cztery sekundy i z piskiem opon odjechali spod baru.

Wszyscy spojrzeli po sobie zdezorientowani, a ja utkwiałam wzrok w czerwonym neonie nad wejściem do baru.

I tylko moje serce biło trochę szybciej.

ROZDZIAŁ 10.

Upadek w nicość

Ze zblazowaną miną i przekleństwami cisnącymi się na usta podeszłam do drzwi wejściowych. Wstałam jakieś dwie minuty wcześniej, więc nie mogłam powiedzieć o sobie, bym miała trzeźwy umysł. Cóż, „wstałam” było raczej nieodpowiednim słowem, lepiej pasowałoby: „zostałam brutalnie zerwana z łóżka przez osobę, która chyba miała ochotę zamęczyć dzwonek, wciskając go czterdzieści razy z rzędu”.

Nawet nie zdziwiło mnie to, że po otwarciu drzwi ujrzałam tryskającą zadowoleniem twarz swojego kompana ze szkolnej ławki.

— Chris Adams właśnie zaszczyił ten dom swoją obecnością!

Skrzywiłam się, słysząc okrzyk chłopaka. Z szerokim uśmiechem radośnie wyrzucił ręce w górę. Przez dłuższą chwilę nie odpowiadałam, ale mimo to jego uśmiech nie zmalał ani odrobinę.

W końcu odchyliłam się na piętach i zerknęłam na zegar ścienny obok drzwi w korytarzu. Pomrugałam, aby wyostrzyć sobie obraz, i niemal jęknęłam.

— Chris, jest za piętnaście dziewiąta! — zawołałam załamana. — Co ty tu robisz bladym świtem?

— Aktualnie czekam, aż pewna zaspana żoźła wpuści mnie do swojego domu — odpowiedział sarkastycznie, unosząc brew. — I ta żoźła mogłaby być miłsza.

Przewróciłam oczami, ale posłusznie wpuściłam go do środka. Nie zdążyłam nawet zamknąć drzwi, a Chris prawie mnie zmiażdżył w niedźwiedzim uścisku. Jęknęłam cicho, ale ten odgłos został stłumiony

przez jego tors. Momentalnie się rozbudziłam, moje ciało zeszywniało, a w głowie zapaliła mi się czerwona lampka.

Na szczęście dość szybko jak na siebie wypuścił mnie z objęć, więc automatycznie zrobiłam krok w tył. Chyba nie zauważył mojej reakcji.

— Tak lepiej — odpowiedział usatysfakcjonowany. — Strasznie tu zarosło. Ledwo znalazłem chodnik.

Westchnęłam. Każdy musiał to mówić?

— Tak, wiem.

Odkąd przyjechaliśmy, już kilka razy przeszło mi przez myśl, by doprowadzić do porządku cały ogródek z przodu i z tyłu domu. Mielśmy z Theo niczego nie ruszać, bo przecież przylecieliśmy tylko na chwilę, ale dzień wcześniej z ciekawości poszłam do garażu, aby sprawdzić, czy kosiarka i narzędzia ogrodowe nadal tam są...

— Gdzie Theo? — zapytał szczerze zaciekawiony Chris.

— Cóż, z tego powodu, że jest środek nocy, zapewne przewraca się na drugi bok — zakpiłam. — Skoro już wymieniliśmy się grzecznościami, to powiesz mi, co tu robisz? O dziewiątej? W niedzielę? W dzień Boży, gdy powinno się spać do południa?

— Przecież nie jesteś wierząca — przypomniał mi, uśmiechając się złośliwie.

Powstrzymałam komentarz, który miałam na końcu języka.

— Chris — ostrzegłam, na co uniośł ręce w obronnym geście. W jego oczach nadal tliła się iskierka rozbawienia i zadowolenia.

— Hej! Wczoraj w barze u Luke'a sama powiedziałaś, że cię nie odwiedzam — przypomniał mi. — A ja obiecałem, że dziś się ode mnie nie opędzisz. Oto jestem.

Wróciłam pamięcią do poprzedniego dnia i dopiero po kilku sekundach zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście tak było. Wyleciało mi to z głowy, ale miałam dobre usprawiedliwienie. Sobota była trudna, a koniec naszego spotkania w barze okazał się... zastanawiający.

Szybko pokręciłam głową, starając się odpędzić te myśli. Wystarczająco nagłowiłam się nad tym w nocy.

— Nigdy nie rzucasz słów na wiatr, co? — zapytałam, trącając go lekko łokciem w bok, aby rozładować napięcie.

Zachichotał tym swoim zabawnym charkotem, który brzmiał, jakby cieszyła się hiena z astmą, i który przeważnie bawił mnie bardziej niż jego żarty.

— Przeważnie tak — potwierdził. — Chyba że chodzi o dietę i odstawienie energetyków. Wtedy sytuacja ulega zmianie.

Parsknęłam szczerym śmiechem i zaprosiłam go w głąb domu. Wyglądał inaczej niż podczas naszych poprzednich spotkań, bo nie miał na sobie garnituru, tylko jasne jeansy i czerwoną bluzę. W tym wydaniu znowu przypominał tamtego uroczego chłopca z liceum, którego pamiętałam. Wyglądał świetnie, zresztą Adams, dzięki swojej zabójczej pewności siebie, wyglądał świetnie nawet w worku na ziemniaki, a wiedziałam to stąd, że w piątej klasie był to jego strój na Halloween.

— Chris, wiesz... naprawdę się cieszę, że tu jesteś. Ale musiałeś przyjść o dziewiątej?

Poszłam spać po czwartej, a i tak spałam kiepsko. Zanim zasnęłam, kręciłam się na łóżku przez dobre kilkadziesiąt minut, bo męczyły mnie myśli na temat poprzedniego wieczoru.

Adams nadal błyskał białymi zębami i jak dziecko kołysał się na piętach.

— Pomyślałem, że możemy zjeść razem śniadanie — powiedział w końcu.

— Chris, ja zazwyczaj śniadania jem po dwunastej — jęknęłam.

Nie było mowy, abym się go pozbyła, nawet gdybym chciała. Przecież miałam do czynienia z Chrisem Adamsem. Łatwiej było pozbyć się roju szerszeni, a poza tym cieszyłam się, że go widzę.

— To jakiś progres. — Wzruszył ramionami. — Kiedyś w ogóle ich nie jadłaś i od razu zabierałaś się za obiad.

Uśmiechnęłam się delikatnie.

— W takim razie mam ochotę na jajka sadzone — westchnęłam, kapitulując. — Chodź.

Uśmiech Chrisa powiększył się jeszcze bardziej. Słyszałam, jak chłopak podąża korytarzem zaraz za mną.

— To powiesz mi, czemu pojawiłeś się tak wcześniej? — zapytałam, kiedy znaleźliśmy się w kuchni.

Odwrociłam się przodem do niego. Z uśmiechem rozglądał się po wnętrzu domu dokładnie tak samo, jak Mia dwa dni wcześniej. On również miał wiele wspomnień związanych z tym miejscem.

— Mówiłem ci, że zatrzymałem się u wujostwa — zaczął. — U siostry mamy. Jest okej, ale staram się nie przesiadywać tam za długo. Poza tym oni wszyscy wstają o szóstej nawet w niedzielę, więc i mnie się udziela.

— Wstałeś o szóstej? — zapytałam z niedowierzaniem. Trudno było mi sobie wyobrazić, że ktoś był w stanie wyciągnąć go z łóżka przed dwunastą.

Skrzywił się, jakbym właśnie powiedziała coś, co go głęboko znieśmaczyło i zdziwiło.

— Zwariowałaś? — fuknął. — Wstałem dwadzieścia minut temu i jak tylko się dowiedziałem, że na śniadanie jest zupa z soczewicy, postanowiłem od razu do ciebie przyjechać.

Teraz to ja uniosłam brew, spoglądając na niego z wyrazem twarzy podobnym do tego, z jakim on patrzył na mnie.

— Czyli przyszedłeś tu tylko po to, aby zwiać przed soczewicą? — zapytałam oschle.

— A spodziewałaś się czegoś innego? — odparł poważnie, jednak nie udało mu się ukryć tej iskierki błyszczącej w jego piwnych oczach.

Sekundę później sam skapitulował i szeroko się uśmiechnął. Nie mogłam się powstrzymać i uniosłam kąciuki ust, kręcąc głową.

— Ty idioto.

— To co? Zabieramy się do pracy? Jestem głodny jak wilk. — Na potwierdzenie swoich słów położył dłonie na swoim szczupłym brzuchu.

Zawsze zazdrościłam mu metabolizmu, jadł za trzech i nie tył. Nic a nic.

— Gotuj, a ja pójdę się trochę ogarnąć.

— Powinnaś — dodał zaczepnie, podchodząc do ekspresu. — Wyglądasz jak miotła.

Niewiele myśląc, strzeliłam mu otwartą dłońią w kark, na co zgiął się wpół. Uśmiechnęłam się złośliwie, bo od podstawówki tego nienawidził i nic się nie zmieniło.

W końcu powlokłam się w stronę schodów. Taka niedziela chyba mi odpowiadała.

Nie chciałam przyznać tego głośno, ale Chris miał rację. Wyglądałam jak miotła z potarganym kokiem i opuchniętą twarzą. Dobre piętnaście minut zajęło mi doprowadzenie się do porządku. Rozczesałam włosy, umyłam zęby i ochlapałam twarz zimną wodą. Piżamę zmieniłam na szare dresy i bordową bluzę z kapturem.

W dużo lepszym nastroju wróciłam do Chrisa, włożywszy wcześniej ciepłe skarpetki. Gdy wchodziłam do kuchni, stał tyłem do mnie, pichcąc coś przy blacie, więc skorzystałam z okazji — ze wstrzymanym oddechem doskoczyłam do niego i uszczypnęłam jego boki. Chłopak podskoczył w miejscu, piszcząc o dwie oktawy wyższym głosem, i natychmiast obrócił się w moją stronę z nożem i łyżką w dłoniach.

Uśmiechnęłam się bezczelnie, kiedy wbił we mnie wzrok.

— No kurwa, bardzo zabawne. No boki zrywać! — zawołał z udawanym entuzjazmem. — Wiesz, że mogłem cię dźgnąć? — zapytał, podsuwając mi przed twarz nóż.

Przewróciłam oczami, odtrącając ręką narzędzie.

— Chris, ty nie umiesz trafić nawet w nieruszający się przedmiot — prychnęłam.

— Chcesz się założyć? — postraszył, a ja nie mogłam zareagować na to inaczej niż pełnym politowania uśmiechem.

Razem zajęliśmy się przygotowaniem posiłku. Chris pokroił chleb i warzywa, a ja posmarowałam kanapki i usmażyłam jajka. Wywiązała się między nami krótka rozmowa na temat tego, co robił, kiedy przyjechał do Culver City i zatrzymał się u wujostwa. Nie było w tym nic ciekawego, ale chętnie słuchałam, co jakiś czas zadając pytanie, ponieważ strasznie tęskniłam za jego paplaniną. W tle cicho pobrzmiwała akustyczna składanka Arctic Monkeys.

— A co u twojej mamy? — zapytałam zaciekawiona.

— W porządku — odparł lakonicznie, a dźwięki, jakie wydawał ekspres, mieszały się ze skwierczeniem jajek. — Ciągłe przesiaduje w pracowni. Siłą trzeba ją stamtąd wyciągać, żeby chociaż zjadła. Nigdy nie widziałem jej tak zafiksowanej i zaangażowanej, chociaż wiesz, jak uwielbia swoją pracę — zamyślił się na chwilę. — Wydaje mi się, że to Paryż tak na nią wpływa. Kocha to miasto. Cieszy się, że wyjechała. Teraz uważa, że Culver City ją ograniczało i mieszkała tu ze względu na ojca.

Przełknęłam ślinę.

— Jak zareagowała na to, że tu wracasz?

— W sumie nijak. Powiedziałem jej, że mam kilka spraw do załatwienia. No wiesz, Vincent ściągnął mnie tu tym, że są jakieś niedomknięte sprawy w związku z moim ojcem. Paryż tak ją zaabsorbował, że nie wypytywała.

— A ty jak się tam teraz odnajdujesz? Nadal jesteś zakochany w mieście miłości? — zapytałam.

Chris był jedyną osobą z paczki z Culver City, z którą miałam jakikolwiek kontakt, dlatego też wiedziałam co nieco o niektórych sprawach. Na przykład o tym, jak bardzo polubił swoją uczelnię, i o tym, że mieszkał w wielkiej rezydencji pod Paryżem ze swoją matką, chociaż miał plany przenieść się do małego mieszkanca w centrum i powoli się usamodzielnic. Kiedy z nim rozmawiałam, zawsze był taki szczęśliwy. Więc i ja grałam szczęśliwą, bo nie potrafiłam zabić jego entuzjazmu.

— Nigdy nie sądziłem, że Europa jest taka ciekawa — zaczął. — Francja... tyle tam różnych kultur. Lubię na to patrzeć. Wiesz, wcześniej wydawało mi się, że nigdy nie poczuję się tak dobrze poza Culver City. A Paryż jest cudowny.

— Ale? — zapytałam, bo nie usłyszałam w jego głosie takiej pewności, z jaką dawniej o tym mówił.

Przez chwilę mi nie odpowiadał, więc zmarszczyłam brwi i spojrzałam na niego w tym samym momencie, gdy on popatrzył na mnie. Jego piwne oczy lekko przygasły, ale uśmiech nadal tkwił na jego różowych wargach. Tyle że i on był smutny.

— Ale w Kalifornii muzyka brzmi jakoś ładniej.

Nie odpowiedziałam, jedynie wpatrywałam się w jego oczy przez dłuższą chwilę. W pewnym sensie to rozumiałam. Dla niego muzyka grała ładniej, a dla mnie gwiazdy świeciły jaśniej.

Ale to był tylko sentyment, nic więcej.

Zmusiłam się do uśmiechu, a potem się odwróciłam, aby wyłożyć jajka na talerz. W kuchni zapanowała dziwna atmosfera, ale Chris nie pozwolił jej rozgościć się na dłużej, więc minutę później znów beztrudnie gawędziliśmy na różne tematy. Opowiadał mi o swoich znajomych, uczelni, studenckim życiu. O różnych głupotkach i o rzeczach ważnych.

— Myślałaś trochę o tym wszystkim? — zagaił w pewnym momencie, kiedy siedzieliśmy już przy wyspie kuchennej i konsumowaliśmy śniadanie.

— O czym? — zapytałam z pełnymi ustami, na co parsknął śmiechem, popijając swoją kawę.

— No wiesz. O całej tej sprawie z Vincentem.

Nagle nie do końca przeżuty kęs zaczął mi straszliwie ciążyć. Poczułam ochotę, aby wypluć go z powrotem na talerz. Wiedziałam jednak, że to byłoby przesadą, więc z trudem go przełknęłam. Pomidor zsunął się z wierzchu mojej kanapki i spadł mi na spódnie. Zakłęłam cicho, a Chris podał mi chusteczkę.

— Szczerze? — zaczęłam, koncentrując się bardziej na wytarciu plamy niż na jego wpatrujących się we mnie oczach. — Może to głupie, ale częściej staram się o tym nie myśleć niż myśleć.

Rzuciłam zmiętą w kulkę chusteczkę na blat i z niechęcią spojrzałam na niedojedzoną kanapkę. Chyba straciłam apetyt. Coś czułam, że lada moment Adams zacznie zadawać bardziej precyzyjne pytania, co nie było mi ani trochę na rękę.

— Ja wiem, że robimy to wszystko po coś — zaczęłam głosem wyzutym z emocji. — To właśnie dlatego znowu tu jesteście. Mimo że to jest cholernie dziwne, a ja ani trochę nie ufam temu człowiekowi... nie wybaczyłamby sobie, gdybym nie spróbowała dowiedzieć się prawdy.

— Naprawdę uważasz, że Joseline nie była waszą biologiczną matką?

Właśnie tego pytania się bałam. Już to, że wypowiedział je na głos, sprawiło, że włosy zjeżyły mi się na karku. Staralam się omijać ten temat, bo byłam pieprzonym tchórzem.

Powoli odetchnęłam, licząc w myślach do dziesięciu. Chris znał mnie kiedyś lepiej, niż ja znałam samą siebie. Może wygadanie się nie było takim złym pomysłem? Pokiwałam głową i pozwoliłam, by te okropne myśli wylały się z głębin mojego umysłu.

— Na samym początku byłam przekonana, że to niemożliwe, ale potem te wszystkie dowody... — zaczęłam cicho. — Ona była naszą mamą. Zawsze nią była i na zawsze pozostanie. Dlatego nie wiem, czemu to robię. Nie powinnam drażnić, ale te wszystkie informacje od Vincenta... Jeśli Joseline całe życie kłamała, muszę wiedzieć dlaczego. I czemu cała moja rodzina kłamała wraz z nią.

To przerażało mnie bardziej niż Vincent, Brooklyn i Venom razem wzięci. Oni byli niczym w porównaniu z palącą myślą, którą starałam się wyprzeć, że całe moje życie było kłamstwem. A jeśli było, to rodziło kolejne pytania...

W takim razie kto jest naszą biologiczną matką?

Poczułam, jak zjedzona wcześniej kanapka cofnęła mi się do gardła.

— Wiem, że może powinnam to zostawić, ale muszę wiedzieć — westchnęłam, a następnie zwiesiłam głowę. — Jestem popieprzona.

Zaśmiałam się w duchu z tego stwierdzenia. Byłam bardziej, niż im wszystkim się wydawało.

— Nie jesteś, Vic — odpowiedział od razu. — Wy z Theo macie najgorzej. Chodzi o waszą matkę i o waszą tożsamość... Tu nawet nie można powiedzieć, że masz prawo się tak czuć. Ty powinnaś się tak czuć, bo to po prostu popieprzone!

Nie wiedziałam, czy to przez jego dobór słów, czy przez historię w jego głosie, ale moje wargi zadrżały. Nagle poczułam, jak zacisnął palce na mojej dłoni. W tamtej chwili nie pragnęłam niczego innego bardziej niż tego, aby poczuć się tak jak przed czterema laty. Chciałam, aby ten dotyk sprawił, że zrobi mi się lżej.

Ale nie miałam już siedemnastu lat, więc ta bliskość spowodowała jedynie, że spięłam się ze stresu i poczułam żółć w gardle. Chciało mi się wymiotować i musiałam jak najszybciej się wyrwać.

— Wszystko się ułoży, Vic — niemal wyszeptał. — Uda się nam. Nam wszystkim.

Ale ja mogłam myśleć jedynie o tym, że chcę, by mnie puścił.

Skinęłam głowę. Chris posłał mi ciepły uśmiech, a potem powrócił do jedzenia swojego śniadania, na co odetchnęłam z ulgą. Szybko włożyłam dłonie pod uda, aby już mnie nie dotknął.

Adams chyba chciał zmienić temat, bo zaczął gderać coś o swojej ciotce, która każe mu jeść szparagi, a on nienawidzi szparagów. Słuchałam go jednym uchem, wciąż starając się uspokoić.

— Fajnie wczoraj było — odezwał się nagle, czym wyrwał mnie z transu. — Tylko szkoda, że tak krótko.

Prawie udławiłam się kanapką. Chłopak przyglądał mi się kątem oka, podczas gdy ja wpatrywałam się bez emocji w swój talerz.

— Tak, fajnie — burknęłam, starając się, aby mój głos brzmiał neutralnie.

— Nie mówiłaś, że znasz Severine — powiedział cicho, jakby starał się wy badać teren.

Na dźwięk tego imienia znów straciłam ochotę na tę przeklętą kanapkę, którą próbowałam zmęczyć od dziesięciu minut. Odchrząknęłam, z obojętną miną wzruszając ramionami.

— Ty też nie mówiłeś, że ją znasz — odbiłam piłeczkę.

Mój przytyk sprawił, że lekko się zawstydził i spuścił wzrok. Skarciłam się za to w myślach, bo nie taki był mój zamiar, nie chciałam mu niczego wyrzucać.

Cudownie! Jeszcze tego mi brakowało, aby Adams stracił humor. Potrafiłam zabić entuzjazm każdego.

— Czuję się teraz głupio. Powiniennem być ci powiedzieć — mruknął mętnie.

— Chris, to ich sprawa — odparłam pewnie. — Dobrze, że mi nie powiedziałeś. To nie tak, że należy mi się jakieś specjalne traktowanie, Boże. Nie widzieliśmy się od czterech lat, każde z nas poszło w swoją stronę i każde ma prawo ułożyć sobie życie po swojemu. Jasne, Nate zawsze będzie dla mnie ważny przez wzgląd na naszą przeszłość, ale to tylko przeszłość. Teraz nic nas już nie łączy poza sprawą z Vincentem. Niech się wiąże z księżniczką Disneya, jego sprawa.

Ostatnie zdanie wypłynęło ze mnie, nim zdążyłam o nim pomyśleć, ale ten temat coraz bardziej mnie irytował. To była decyzja Sheya, że chciał się ożenić z laleczką, która promieniowała szczęściem i uśmiechała się pewnie nawet przez sen.

Ona przynajmniej jest miła, Vicky.

Na szczęście Chris postanowił tego nie skomentować.

— Tak, tylko jest mi głupio, bo ja wiedziałem, że są razem, od kiedy się ze sobą związali — mruknął tak cicho, że ledwo go usłyszałam. — Czyli od jakichś trzech lat.

Och. To było dla mnie zaskoczeniem, bo nie pisał ani słowa podczas wszystkich naszych rozmów, gdy byłam w Maine.

— Cóż. — Odchrząknęłam. — Nadal nie masz powodów do zadreżania się — zapewniłam go, ale mój głos stał się jeszcze bardziej beznamiętny niż wcześniej.

— Poznałem ją, kiedy jakiś czas po przeprowadzce do Paryża wróciłem z mamą do Culver City, aby odwiedzić rodzinę — ciągnął, choć naprawdę nie chciałam kontynuować tego tematu.

Zamierzałam mu powiedzieć, że nie musi się tłumaczyć, ale nie dał mi dojść do głosu.

— Jakoś tak się złożyło, że Laura ze Scottem też tu akurat byli. Cameron już tu nie mieszkał, a Matt studiował. Wszyscy umówiliśmy

się jak zwykle w barze u Luke'a i... Nate przyszedł z Severine — wymamrotał. — Inni już o nich wiedzieli, ale dla mnie to był niezły szok, kiedy przedstawiła się jako jego dziewczyna.

Wtedy jeszcze dziewczyna.

— Była bardzo miła. W sumie nadal jest. Taki wesoły karzełek — mruknął ni to z rozbawieniem, ni z rozczuleniem. — Wyglądali razem fajnie i Nate wydawał się zadowolony z tego, że tak wyszło. Przynajmniej takie miałem wrażenie. Wiesz, dalej był Sheyem, ale nie zachowywał się już tak zgryźliwie jak kiedyś. Od razu wyłapałem, że o niczym nie wiedziała. O naszej przeszłości ani o tobie. Nate nic jej nie powiedział, więc to zaakceptowałem, bo to nie moja sprawa. I było okej, ale i tak mnie to zaskoczyło.

— Dlaczego? — zapytałam, marszcząc brwi. — Nate zasługuje na szczęście, a skoro ona mu je daje, to dlaczego każdy jest taki zdziwiony?

Chris przełknął głośno ślinę i choć starał się, abym tego nie zauważyła, wyczułam, że się spiął. Czyli było coś, o czym mi nie powiedział. Speszony wwiercał wzrok w swój talerz, podczas gdy ja z obojętną miną patrzyłam na jego prosty nos. W końcu znów odchrząknął.

— Nie jesteśmy zdziwieni tym, że jest szczęśliwy. Znaczy, ja nie jestem — zaczął powoli. — Szokujące było to, że zaufał komuś na dłużej. I to komuś na dobrą sprawę... przypadkowemu. Przecież go znasz.

Może przesadzałam, ale czułam, że nie mówi mi całej prawdy. To zdenierowanie, unikanie mojego spojrzenia, wykręcanie palców pod blatem.

Mimo to chciałam mu pomóc, bo naprawdę nie miałam ochoty drażnić, więc przywołałam na twarz pogodny uśmiech. Jak zawsze wyszło mi to *idealnie*.

— Niby tak, ale każdy się zmienia — skomentowałam sztucznie beztroskim głosem. — A poza tym Severine jest kochana. Strasznie miła.

Ile razy ja już powiedziałam?

— Tak — burknął niemrawo Chris.

Uniosłam brwi, bo gdy mówiłam tak o tej dziewczynie, każdy się ze mną zgadzał. Tylko że to zawsze było dziwaczne.

— Ale? — dopytałam.

— Tak, jest kochana i w ogóle... Nie znam jej za dobrze. Tylko kilka razy się z nią widziałem i nie rozmawialiśmy za wiele. Wydaje się naprawdę miła i sympatyczna. Widać, że muchy by nie skrzywdziła,

i w ogóle... Wszyscy ją lubią. W końcu jest takim chodzącym zadowoleniem, ale... — zablokował się, na co spojrzałam na niego ponaglająco.

— Ale? — ponowiłam pytanie.

Westchnął i posłał mi znużone spojrzenie.

— No nie powiesz mi, że nie jest trochę głupiutka.

Skłamałabym mówiąc, że jego słowa mnie nie zaskoczyły. Wiedziałam, że Chris jest bezpośredni, ale nie sądziłam, że aż tak.

Chłopak, widząc moją reakcję, szybko uniósł ręce w obronnym geście i zaczął ponownie trajkotać:

— Wiesz, że nie lubię oceniać ludzi. Nie chcę mówić o niej źle, bo nie znam jej za dobrze, ale te kilka razy wystarczyło, aby... — jęknął męczeńsko — ...nie chcę tak o niej myśleć, ale to się dzieje samo z siebie. Tak, jest miła. Tak, nigdy nie chce dla nikogo źle i stara się być sympatyczna dla każdego, a reszta ją uwielbia, ale po prostu... wydaje mi się taka dziecinnie naiwna i... no po prostu głupia. Lubię ją i nigdy nie zrobiła mi niczego złego, ale za każdym razem, jak z nią gadam, wydaje mi się, że rozmawiam z dziewczynką, która żyje w swojej własnej bajce, z dala od rzeczywistości, i wszystko widzi w jasnych barwach. Tak, tak, potrzebujemy optymistów, wszyscy znamy tę gównianą gadkę, ale czasami robi się to aż irytujące. A poza tym jest tak niesamowicie wścibska i chce wszystko wiedzieć. Trzeba jej odpowiadać i tłumaczyć. To wygląda tak, jakby po prostu niczego się nie domyślała i niczego nie zauważała. Jakby z tym swoim radosnym uśmiechem i różowymi okularami na nosie nie dostrzegała rzeczywistości — wyrzucał z siebie słowa tak szybko, że niektóre fragmenty jego wypowiedzi były dla mnie niezbyt zrozumiałe, i nawet trochę się przy tym zapowietrzył.

Och, to było naprawdę... zadziwiające i nie bardzo wiedziałam, jak zareagować, więc tylko tępo wpatrywałam się w jego twarz.

Adams, widząc moje zawieszenie, jęknął, a następnie zaczął babrać widelcem w swoich jajkach sadzonych.

— W sumie wiesz co? — Zmarszczył brwi. — Zapomnij. Gadam głupoty, nie znam jej. Może ma doktorat z medycyny, zna łącinę, język migowy, a na wakacje jeździ do Afryki, aby pomagać tamtejszym dzieciom z językiem angielskim! Nie mam prawa jej oceniać.

Naprawdę chciałam, by mylił się co do tej dziewczyny, ale prawda była taka, że choć prawie jej nie znałam, zgadzałam się z nim. Severi-

ne wydawała się miła i kochana, ale podczas naszej rozmowy w barze o wszystko wypytywała, nie widziała naszego zmieszania i nie wyczuła, że atmosfera była napięta... Chris trafił w sedno: była niedomyślna i wścibska.

Nie chciałam wyjść na sukę. Pokręciłam lekko głową, czując, jak cierpnie mi kark.

— Jak bardzo okropna będę, jeśli się z tobą zgodzę? — zapytałam.

Chris spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Ty możesz to powiedzieć, ja nie bardzo, bo widziałam się z nią dwa razy.

— Boże, kamień z serca. — Odetchnąłem z prawdziwą ulgą, kładąc dłoń na klatce piersiowej. — Już myślałem, że tylko ja jestem okropny.

Pacnęłam go w ramię, jednak kąciki moich ust się uniosły. Chris, o wiele bardziej rozluźniony, pokręcił głową, upijając łyk kawy.

— Ale skoro Nate z nią jest, to znaczy, że ma coś w sobie. — Wzruszyłam ramionami.

— Może i tak, chyba tylko my jesteśmy uprzedzeni. Reszta wydaje się ją uwielbiać.

Skrzywiłam się nieznacznie. *To niech ją uwielbiają.*

— To dobrze. Jest w końcu dziewczyną Sheya — odparłam beznamiętnie, zachowując kamienną twarz.

— Narzeczoną — poprawił mnie Adams.

Puściłam to mimo uszu, bo nagle o czymś sobie przypomniałam.

— Hej, wiedziałeś, że Shey mieszka ze swoim bratem? — zapytałam.

Chris pokiwał głową.

— Tak, przyjechał do niego krótko po waszym wyjeździe — odrzekł. — Widziałem się z nim raz, gdy był dużo mniejszy. Mieszkają razem u Nate'a. Wydawał się uroczy, ale nieco nieśmiały.

Zamyśliłam się. Byłam ciekawa, czy kiedyś go poznam, ale szybko skarciłam się za te myśli. Niby dlaczego miałabym poznać kogokolwiek z jego rodziny?

Dokończyliśmy posiłek, nie poruszając więcej tematu Sheya. Jakoś nie chciałam o nim debatować, więc kiedy skończyliśmy jeść, zaczęliśmy sprzątać. Lekko spanikowana spojrzałam w stronę jednej z szuflad, w której były schowane moje leki, a niczego nieświadomy Chris wkładał naczynia do zmywarki. Przygryzłam dolną wargę, myśląc nad tym, jak

je wziąć, aby tego nie zauważył. W końcu to nie była jedna pastylka witamin.

Odchrząknęłam, robiąc neutralną minę.

— Pójdiesz do góry po mój telefon? — poprosiłam chłopaka. —
Leży na szafce nocnej. Ja nastawię wodę na herbatę.

— Aż tak bardzo nie chce ci się ruszać? — zapytał zaczepnie, ale posłusznie zaczął wycierać dłonie w ściereczkę.

Przewróciłam oczami.

— Przecież wiem, że chcesz zobaczyć mój pokój i trochę pozwiedzać — odparłam sprytnie.

Chris się zaśmiał i ruszył w kierunku schodów. Spojrzałam na niego przez ramię.

— Zrobię miłą pobudkę Theo.

Uważnie patrzyłam, jak wspina się po schodach, a kiedy się upewniłam, że jest już na piętrze, szybko podeszłam do szuflady. Były w niej tylko leki, w większości moje. Wyjęłam odpowiednie, włożyłam naraz do ust i popiłam je wodą. Zdążyłam schować wszystkie pudełka i jak gdyby nigdy nie włączyłam czajnik elektryczny.

Gdy Chris wrócił, pakowałam resztę brudnych naczyń do zmywarki.

— Twój brat wstanie dziś prawdopodobnie lewą nogą! — zawołał śpiwnie. — Masz.

W wyciągniętej dłoni trzymał mój telefon.

— Dziękuję — odpowiedziałam i z uśmiechem schowałam iPhone'a do kieszeni.

— Mogłabyś powkładać te ciuchy do szafy. I przynieść kilka rzeczy. Strasznie tam pusto.

— To niepotrzebne — odparłam chłodno. — I tak zostajemy tu tylko na chwilę.

— Ach, no tak.

Przenieśliśmy się do salonu. Włączyłam telewizor i usiedliśmy na kanapie, rozmawiając o pracy chłopaka. Dorabiał w weekendy w znanym klubie w Paryżu jako DJ.

Po kilkunastu minutach po schodach zszedł Theo w czarnych dresach i szerokiej koszulce. Z rozczochranymi włosami wyglądał uroczo, tylko jego skwaszona mina nie pasowała do tego obrazka. Ziewnął głośno, mierząc zadowolonego Chrisa niechętnym spojrzeniem.

— Kiedyś ktoś naprawdę zabije cię za twój wrodzony talent do irytowania wszystkich wokół — burknął.

— Pora wstawać, słoneczko! Szkoda tak pięknego dnia — zaświergotał Adams.

Mój brat chyba jednak nie był w humorze, bo bez chwili zastanowienia porwał poduszkę z fotela, a następnie z niemałą siłą cisnął nią w Chrisa. Ten nie zdążył się obronić, więc dostał prosto w twarz. Kubek z herbatą w jego dłoni przechylił się, a nieco ciepłego napoju wylało się na jeansy chłopaka.

Theo z zadowoleniem opadł na drugą kanapę przy akompaniamencie cichych przekleństw Adamsa.

— Sadysta! — zawołał Chris.

— Szkoda, że ta herbata nie była wrząca — odpowiedział mój brat.

Starałam się skupić na programie w telewizji, gdy Chris nagle zagwizdał z uznaniem, przyjrawszy się odkrytym przedramionom Theodora.

— Nie wiedziałem, że podobają ci się tatuaże. Nieźle są.

— Dzięki — rzucił Theo.

Następnie Adams spojrzał na mnie.

— A kiedy ty sobie jakiś zrobisz, hm? — zapytał, unosząc brew.

Zachowałam zimną krew i nawet nie drgnęłam. Zaledwie kilka osób wiedziało o tym, że na moich żebrach widnieje już pewien malunek...

— To nie dla mnie — odparłam wymijająco, zmieniając ze znużeniem kanał w telewizji.

Na szczęście z opresji wybawił mnie mój brat:

— Nasze auto dziś będzie.

Skinęłam głową niezbyt zainteresowana. W końcu i tak prowadzić je miał tylko on.

Znów wyłączyłam się z rozmowy, podczas gdy Chris i Theo debatowali nad tatuażami mojego brata. Zastanawiałam się, czy nie popełniłam błędu, spędzając czas najpierw z Mią, a później z Chrisem. Wiedziałam, że nie mogę znów się przywiązywać. Dla własnego dobra powinnam była załatwić szybko sprawę z Vincentem i *wrócić do domu*.

Nawet jeśli myśl o tym przynosiła mi dziwny dyskomfort.

Zacisnęłam szczękę, a następnie spojrzałam na wciąż paplającego Chrisa. Postanowiłam się wtrącić, aby zająć głowę czymś innym niż te nieprzyjemne myśli.

— Hej, Chris — wychrypiałam, a chłopak popatrzył na mnie pytająco. — Łączy cię coś z Cameronem?

Po moim pytaniu uśmiech spelzł z jego twarzy, a zastąpił go dziwny grymas... chyba zawstydzenia. Zakłopotany przeniósł wzrok na kubek z herbatą, a jego uszy stały się różowe.

— Skąd to pytanie? — zapytał nieco bardziej piskliwym głosem niż dotąd.

— Wczoraj w barze wydawałeś się przy nim zawstydzony.

Wystarczyło, by Wilson spojrzął na Chrisa, a ten już czerwienił się jak dorodna piwonia, co było do niego niepodobne. Ten chłopak dawniej nie wiedział, co to wstyd, zwłaszcza gdy chodziło o ładnych chłopców. Tymczasem na Camerona reagował nawet mocniej niż przed czterema laty.

— Tak nie było — bronił się.

— Mnie tam się wydawało, że było — droczyłam się, obserwując żyłą pulsującą na jego szyi.

— Mnie również — dołączył się Theo.

Chris jęknął, a następnie wyrzucił ręce w powietrze, podrywając się z kanapy.

— A ty myślisz, że ja wiem?! — zawył, o mało nie wylewając swojej herbaty. — Typa na oczy kilka lat nie widziałem, a ten posyła mi jakieś dziwne uśmiešky i jest tak cholernie wyrafinowany z tymi swoimi płaszczami, golfami i szerokimi ramionami! Tak kurewsko mnie irytuje ta jego pewność siebie i ta nonszalancja, i... i... i on cały! Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, chcę tylko, żeby przestał! Doprowadza mnie do szału! Mam go dość i nie mogę na niego patrzeć!

W szoku obserwowałam, jak powoli uspokaja się po swoim nagłym wybuchu. Och, spodziewałam się emocjonalnej reakcji, ale nie tak nagłej i gwałtownej. Nie wiedzieć czemu zachciało mi się śmiać, ale zdusiłam to w sobie, aby jeszcze bardziej go nie denerwować. Po prostu był tak zabawny w tej całej grze w „nie cierpię Camerona Wilsona”... Zielonooki przystojniak wydawał się pierwszą osobą, przy której Adams tracił pewność siebie, a Wilson chyba to wiedział i celowo go podpuszczał.

Theo nie był tak wyrozumiały jak ja, bo zaczął cicho rechotać. Chris, któremu drgało już jedno oko, niemal zabił go spojrzeniem. Przez to i ja musiałam zatuszować swoje parsknięcie udawanym atakiem kaszlu.

— Co cię tak bawi, Theodorze? — syknął Adams przez zaciśnięte zęby.

— Cztery lata temu wam się nie udało, choć było blisko — zaczął rozbawiony. — Ale teraz daję wam trzy tygodnie i wylądujecie w łóżku.

Theo powiedział to tak beztrzesko i lekko, jakby mówił o pogodzie. Chris wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, a jego oczy urosły do rozmiaru piłeczek golfowych. Upiłam łyk herbaty i obserwowałam zacięty wyraz twarzy swojego dawnego przyjaciela.

— Nigdy w życiu nie tknąłbym Wilsona — powiedział dobitnie Adams. Wskazał palcem na Theo, który ze śmiechem uniósł ręce. — I prędzej piekło zamarznie, niż on tknie mnie. Jasne?

— Jak słońce — odpowiedział melodyjnie mój brat.

Zacisnęłam zęby z całej siły, aby nie parsknąć śmiechem.

Chris odstawił kubek z herbatą, a następnie z wysoko uniesioną głową wymaszerował z salonu i udał się do łazienki. Kiedy zniknął nam z pola widzenia, Theo spojrzął na mnie z zawadiackim uśmiechem.

Uniosłam pytająco brew.

— Dziesięć docłów, że prześpią się ze sobą do końca miesiąca — zaproponował chytrze.

Zamyśliłam się. Był siódmy listopada, a ja byłam gównianą przyjaciółką.

— Podbijam do dwudziestu — westchnęłam. — Chris nie jest taki łatwy, jak się może wydawać. Jeśli się uprze, to nic go nie przekona. I nie wiesz, czy Cameron w ogóle czegoś chce. Według mnie on tylko się z nim droczy.

Theo spojrzął na mnie z politowaniem, tak jakbym właśnie powiedziała mu, że Ziemia jest płaska.

— Czy ty nie widzisz, jak Cameron na niego patrzy? — zapytał rozbawiony. — Cztery lata temu może sobie z nim pogrywał, ale nie tak. Chyba miał dziewczynę, więc było wiadomo, że nic z tego nie będzie. Teraz jest prawdopodobnie wolny. Za każdym razem, jak się spotykamy, patrzy głównie na Chrisa. I to takim wzrokiem.

— Niby jakim? — spytałam z lekkim powątpiewaniem.

Cholera, naprawdę tak było? Poważnie zaczęłam się obawiać o swoje dwadzieścia dolarów.

— Jakby chciał zębami zerwać z Chrisa ten pstrokaty garnitur — parsknął, krzyżując dłonie za głową. — Dlatego daję im góra miesiąc.

Jeśli Cameron dalej będzie się tak zachowywać, Chris nie da rady się opanować. Na starcie wygrałem zakład.

— Jeszcze zobaczymy.

Czułam, że to będzie ciekawe.

Porzuciliśmy konwersację, bo nadal obrażony Chris wrócił do salonu. Aby nie katować go dalej, zmieniłam temat i zaczęliśmy rozmawiać o starych znajomych ze szkoły. Adams tylko przez pierwsze trzy minuty grał niezainteresowanego, nim zaczął obgadywać niemal każdego ucznia z naszego rocznika.

To był miły dzień, pełen śmiechu, krzyku i rozmów. Nie zahaczaliśmy już o Vincenta, Severine czy nieszczęsnego Camerona. Chcieliśmy utrzymać wesołą atmosferę i nam się to udało. Po produkty na obiad pojechaliśmy samochodem z wypożyczalni, który został podstawiony pod nasz dom. Był to ładny dwuletni mercedes benz w białym kolorze. Podobał mi się.

Chris wrócił do siebie dopiero po jedenastej w nocy. Myślałam, że ten dzień coś we mnie zmieni, że poczuję się inaczej, ale gdy przytulał mnie na pożegnanie, znów marzyłam tylko o tym, aby jak najszybciej się odsunął. Zaczynałam tracić nadzieję, że uda mi się kiedykolwiek naprawić samą siebie.

Ale było dobrze.

Niestety spokój nie trwał długo.

Bo były też te złe dni.

Taki dzień nadszedł w poniedziałek. Już kładąc się do łóżka po wizycie Adamsa, wiedziałam, że coś jest nie tak, że za długo było dobrze. Dopadł mnie znajomy niepokój, a wkrótce potem lęk chwycił mnie za gardło. Nie mogłam zasnąć, choć byłam wyczerpana. Moje serce waliło tak głośno, że ten odgłos niósł się echem po całym pokoju, i mdliło mnie ze stresu. Wtedy już wiedziałam, że znowu zacznie się ciąg złych dni.

Tak długo już ich nie miałam. Od dwóch miesięcy nie było żadnego złego dnia i to było takie cudowne. Kłaść się spać bez lęku, nie bać się zamknąć oczu.

Gdy obudziłam się w poniedziałek, nie mogłam wstać z łóżka. Nie wiedziałam, która jest godzina, bo nie potrafiłam wyciągnąć ręki, aby się-

gnąc po telefon z szafki nocnej. Ciężka puchowa kołdra mnie przygniotła, gdy leżałam nieruchomo na boku na wygodnym materacu. Patrzyłam tępo w jakiś punkt przed sobą, na którym i tak się nie skupiałam. Nie miałam siły psychicznej, aby się na nim skoncentrować.

Nie miałam siły, aby wstać. Nie miałam siły, aby pójść do łazienki, umyć zęby i się przebrać. Nie miałam siły, aby skorzystać z toalety, choć mój pęcherz nalegał. Nie miałam siły, aby przekręcić się na drugi bok.

Bolał mnie każdy fragment ciała, każdy oddech powodował palenie w gardle. Czułam się ciężka i otępiała, jakby ktoś wetknął rozżarzone żelazo w mój przełyk. Nie miałam siły oddychać.

Nie chciałam oddychać.

Nigdy nie pamiętałam za wiele ze złych dni. Wszystko było jak za mgłą, godziny zlewały się w jedną plamę, rejestrowałam z każdej co najwyżej kilka sekund. Jakbym to nie ja uczestniczyła w tych wydarzeniach. Schemat zawsze był ten sam.

Pamiętałam to, że nieruchomo leżałam w łóżku. Byłam w stanie przeleżeć w jednej pozycji kilkanaście godzin. Theo był przy mnie. Wiedział, co oznaczają moje złe dni. Wtedy brałam więcej leków. Mój psychiatra tak zalecił. Trochę mnie otumaniały, ale to było dobre. Przy najmniej ciało bolało mniej. Zazwyczaj go nie czułam. Nie wiedziałam, gdzie kończą się moje ręce, a zaczynają barki. Nie czułam płuc, serca, kończyn. Podczas złych dni zaczynałam płakać. Nie robiłam tego, kiedy było dobrze. Czasami wydawało mi się, że nawet tego nie umiem, ale kiedy przychodziły złe dni, łzy bólu same spływały po moich policzkach. To tak strasznie bolało.

Pierwszy raz popłakałam się, gdy musiałam wstać do toalety. Nawet nie wiedziałam, kiedy mój cichy szloch rozniósł się po całym pokoju. Pamiętałam, jak paliła mnie twarz i jak szybko oddychałam. Płakałam, gdy Theo niósł mnie do łazienki. Kiedy pomagał mi skorzystać z toalety. Kiedy mył mi dłonie i przemywał chłodną wodą moją opuchniętą twarz. Pamiętałam swoje odbicie w lustrze, na widok którego znów zaczęłam głośniejsze płakać. Pamiętałam skołtunione, tłuste włosy, ogromne, fioletowe sińce pod oczami oraz spierzchnięte usta. Pamiętałam to, jak Theo próbował nakarmić mnie zupą, której nie mogłam przełknąć. Pamiętałam, jak popijałam kolejne kolorowe tabletki.

Pamiętałam ponowny upadek w nicość.

Podczas złych dni nie spałam za wiele. Czasami udawało mi się prze-
spać dwie godziny w nocy, a niekiedy nie zamykałam powiek na dłużej
niż trzy sekundy. Nie odzywałam się, bo nie chciało mi się otwierać ust.
To było tak strasznie męczące, męczyło mnie bycie zmęczoną.

Theo nie wychodził wtedy z domu, był zawsze przy mnie, sprawdza-
jąc, czy czegoś nie potrzebuję i czy wzięłam kolejne tabletki. Czułam
się tak okropnie. Byłam beznadziejnym ciężarem i nie zasługiwałam
na to, aby kogokolwiek przy sobie mieć, a zwłaszcza Theo. Był dla mnie
za dobry. Obciążałam go. Byłam taka okropna, byłam najgorszym, co
mogło spotkać człowieka.

Właśnie w tym stanie spędziłam cały poniedziałek i cały wtorek.

Trzeciego dnia było nieco lepiej. Potrafiłam sama wstać do łazienki,
Theo nie musiał mnie tam zanosić. Wtedy też pierwszy raz od trzech
dni wyszłam ze swojego pokoju, chociaż bardzo tego nie chciałam, ale
zależało na tym mojemu bratu. Zaproponował to, zgodziłam się, a on się
uśmiechnął. Pierwszy raz od początku złych dni. Zniósł mnie ostrożnie
po schodach i wyszliśmy na taras. Moja głowa zaboląła od nadmiaru
świeżego powietrza i słońca. Mimo że było bardzo ciepło, mocno opa-
tulałam się puchatym kocem, bo moje ciało drżało z zimna.

Czwarty dzień był jeszcze lepszy. Pierwszy raz od niedzieli wzięłam
prysznic bez pomocy Theo. Chciałam zmyć z siebie wszystko, cały bród
z zewnątrz i z wewnątrz. Wszystkie toksyny, które we mnie zalegały. Ale
kiedy strumienie wody nie przynosiły mi wymarzonego ukojenia, zdałam
sobie sprawę, że nie mogłam ich z siebie wyplenić. Bo to ja byłam toksyną.

Theo wyglądał na szczęśliwego, widziałam to i tego nie rozumiałam.
Zawsze był ze mnie taki dumny, kiedy złe dni mijały, a ja zaczynałam
wykonywać te wszystkie zwykłe czynności, które nadal tak cholernie
mnie męczyły. Chyba tylko dla niego chciałam to robić. Jego oczy błysz-
czały, gdy samodzielnie chwyciłam szczoteczkę do zębów, wycisnęłam
na nią pastę i włożyłam do ust. I tylko ze względu na niego ostatkiem
sił powstrzymywałam cisnące mi się do oczu łzy, a potem spinałam się
w sobie, aby nie opuścić ręki.

Już nie przyjmowałam pięciu tabletek, tylko trzy, Theo skrzętnie tego
pilnował. Nie wiedziałam, co biorę, po prostu łykałam to, co mi dawał.
Wzięłabym wszystko, co by mi dał. Ufałam mu bardziej niż sobie, niż
komukolwiek na świecie.

Gdy za oknem słońce chyliło się już ku zachodowi, leżałam na swoim łóżku, jednak nie tak nieświadomie jak wcześniej. Czułam się świeża, choć moja pościel nadal cuchnęła potem. W zmarzniętych dłoniach trzymałam kubek z herbatą. Byłam już przytomna, może nie w stu procentach, ale mój umysł zaczął kontaktować.

W moim pokoju był okropny bałagan, wszędzie wałały się opakowania po lekach, ubrania i buty. Drzwi do łazienki i do pokoju Theo były otwarte. Chciał mieć mnie na oku nawet wtedy, gdy szedł spać do siebie.

Spojrzałam na telefon, którego nie dotykałam od czterech dni. Nie wiele myśląc, sięgnęłam po urządzenie. Ekran się podświetlił, a moim oczom ukazały się dziesiątki powiadomień. Serce zabiło mi szybciej, więc od razu odrzuciłam iPhone'a na materac. Jeszcze nie, jeszcze nie byłam gotowa, aby powrócić do świata. Byłam za słaba na to, by znów kłamać, wymigiwać się i udawać, że jest dobrze.

Z zamyślenia wyrwało mnie ciche skrzypnięcie drzwi. Theo wszedł do pokoju i uśmiechnął się słabo. Podeszedł do mojego łóżka, a następnie usiadł na skraju materaca. Był zmartwiony i to mnie zaniepokoiło.

— Coś się stało? — zapytałam, krzywiąc się na dźwięk własnego głosu. Przez kilkudniowe milczenie był jeszcze bardziej zachrypnięty i jakby obcy.

Theo westchnął, przejeżdżając językiem po dolnej wardze.

— Nic, tylko... Dzwoniła do mnie Laura. Pytała, dlaczego się nie odzywamy.

Przełknęłam ślinę, starając się zachować neutralną minę i grać niezmartwioną.

— Co jej powiedziałaś? — zapytałam. Było mi znów niedobrze.

— Pierwszy raz zadzwoniła do mnie we wtorek. Pytała się, czy wszystko gra, bo nie odpisywałaś ani jej, ani Chrisowi na wiadomości, a ja też nie miałem jakoś tego głowy. Powiedziałem, że się rozchorowałaś i nie masz siły gadać. Grypa — dodał z błędym uśmiechem. — Potem dzwoniли jeszcze kilka razy. Laura, Chris, a nawet Mia. Chciała wiedzieć, czy wszystko u ciebie okej, bo się dowiedziała, że źle się czujesz. Cameron też pisał, a wczoraj... — urwał, na co spojrzałam na niego z uniesioną brwią.

— Wczoraj co?

W tym świetle, w czarnych dresach oraz za dużej bluzy i ze zmartwioną twarzą, wyglądał na dziesięć lat starszego. Miał podkrążone oczy,

ponieważ od kilku dni zamiast spać, wołał mnie pilnować. Był wycieńczony, a ja doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że to wszystko było wyłącznie moją winą.

Zabijałam osobę, która była dla mnie całym światem. Zabijałam ją, bo byłam bałaganem i miałam problemy, z którymi nie umiałam sobie poradzić. Tak bardzo nie zasługiwałam na silnego Theo. Powinien był odejść, zostawić mnie i zacząć żyć tak, jak na to zasługiwał. Ograniczałam go.

Poczucie winy wypalało mnie od środka, więc zacisnęłam zęby i przybrałam obojętną pozę, bo tylko tak potrafiłam jeszcze funkcjonować. Chciałam mu pokazać, że nie jest ze mną aż tak źle, że się staram, ale nie miałam na to siły, bo byłam żalosną miernotą.

— Wczoraj przyszli do nas Chris, Matt i Laura. Chcieli cię odwiedzić — odparł cicho, a ja czułam, że tracę oddech. — Byłaś wtedy w pokoju. To było wieczorem. Słyszałaś dzwonek?

Pokręciłam głową. Wieczorem czułam się źle, bo schodziła ze mnie ostatnia dawka leków. Nie rejestrowałam za wiele.

— Powiedziałem, że śpisz, bo jesteś strasznie zmęczona. Uwierzyli i sobie poszli. Ale dziś Laura zadzwoniła znowu, bo... kolega Scotta dał znać, że dzisiaj w klubie jest ten zawodnik, z którym ma walczyć Nate. Chcą tam pójść, aby jakoś to załatwić.

To było jak kubeł lodowatej wody. Mieliśmy tyle do zrobienia, przecież Vincent czekał. Wkładałam wiele wysiłku w to, aby zachować niewzruszony wyraz twarzy, ale czułam, jak coś rozrywa mnie od środka.

— To dobrze. Im szybciej, tym lepiej — mruknęłam dziwnie obcym głosem.

— Idą tam wszyscy, więc wypadałoby, aby któreś z nas też było. Stąd moje pytanie, czy zostaniesz dzisiaj sama. Obiecuję, że wrócę najszybciej, jak tylko się da. Wiedzą, że jesteś chora, więc nikt nie będzie wypytywał.

To była moja jedyna szansa. Szansa na to, aby pokazać Theo, że nie jestem jedynie problemem. I chociaż wszystko w moim ciele krzyczało, zacisnęłam szczękę, bo podjęłam decyzję.

Nie rób tego. Jesteś za słaba. Będziesz tylko przeszkadzać. Lepiej zostać w domu, w ciepłym łóżku, i zapomnieć. Odpocznij.

Pieprz się. Nie dam ci tej choleralnej satysfakcji.

— Pójdę z wami — powiedziałam, o dziwo, pewnym głosem.

Reakcja Theo była natychmiastowa.

— Nie ma mowy.

Miałam jeszcze o to walczyć? Miałam w ogóle na to chęć? *Boże święty. Nie walcz. Nie warto. Sama chcesz zostać w domu. W łóżku. W bezpiecznym miejscu.*

— Theo, czuję się dobrze — skłamałam. — Nie chcę leżeć i myśleć. To nie tak, że trzeba wokół mnie skakać. Nie jestem cho... nie jestem niesprawna — poprawiłam się. — To wyjdzie mi na dobre. Pozwól mi iść z wami. Będzie dobrze. Proszę.

Musiałam być ze stali, bo pomimo tego, że każdym słowem zadawałam sobie cios pod żebra, ani drgnęłam.

Theo w zamyśleniu skubał dolną wargę. Nie dziwiłam się, że miał obiekcje, bo byłam jedną wielką niewiadomą. Ani on, ani ja nie wiedzieliśmy, kiedy nastąpi kolejny kryzys. Chciałam mu pokazać, że sobie poradzę, chociaż sama nie wiedziałam, czy to mogło się udać. Chociaż nie miałam siły, aby wstać.

— Jesteś tego pewna? — zapytał.

Ignorując ból, pokiwałam głową. Przybrałam niewzruszony wyraz twarzy, jakby to nic mnie nie kosztowało. A kosztowało tak strasznie dużo.

Theo westchnął, a ja wiedziałam, że się udało. W jego oczach mimo wszystko dostrzegłam zmartwienie i niepewność.

— Dobrze, pójdziesz z nami. Weźmiesz jedną z tabletek na uspokojenie, dobrze? Na wypadek kolejnego ataku — oznajmił, a ja potaknęłam. — Będziesz po niej trochę przymulona, ale najwyżej powiemy, że jeszcze się nie wykurowałaś i jedziesz na przeciwbólowych. Jeśli źle się poczujesz, masz mi od razu powiedzieć, jasne?

— Dobrze — obiecałam, choć nie byłam z nim w stu procentach szczerą.

Ciąg złych dni przebiegał różnie. Trzy lata wcześniej zdarzało się, że było ich kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt z rzędu. Z czasem zaczęło się to zmieniać, a częstotliwość, z jaką przychodziły, zmalała. Stało się tak głównie za sprawą mocnych leków i terapii. Przerabialiśmy to już dziesiątki razy. Złe dni były jak choroba. Musiałam ją przejść i po wszystkim walczyć jeszcze mocniej, aby się nie nasilała.

— Wystarczy ci godzina na wybranie się?

— A może być godzina z kawałkiem? — zapytałam nieśmiało, na co Theo posłał mi lekki uśmiech i skinął głową.

— Może być godzina z kawałkiem — potwierdził, a następnie wstał. — Ja też pójdę się zbierać. Jeśli trzeba będzie ci w czymś pomóc, to wołaj, dobrze?

— Dobrze.

Theo wyszedł z mojego pokoju.

Dasz radę. Dasz radę. Dasz radę.

Powtarzając to pod nosem, ociężale wstałam z łóżka. Nadal czułam się, jakbym była na granicy. Zacisnęłam szczękę i podeszłam do swojej walizki, choć najchętniej zostałabym w dresie. Nie chciałam jednak, aby nasi znajomi widzieli mnie w takim stanie.

Piętnaście trudnych minut później miałam już na sobie elegancką czarną sukienkę od Karla Lagerfelda. Była prosta, przylegająca do ciała i sięgała mi do połowy uda, a jej rękawy kończyły się przy łokciach. Dzięki złotym wstawkom i guzikom robiła wrażenie.

Postanowiłam się pomalować i to było trudniejsze niż ubranie się, bo dwa razy rozplakałam się z bezsilności, przez co musiałam zaczynać od nowa. Po kilkudziesięciu minutach w końcu się udało. Co prawda mój makijaż nie był górnych lotów, ale choć trochę ukrył zmęczenie widoczne na mojej twarzy.

Uczesałam włosy i przygryzając dolną wargę niemal do krwi, zakładałam złote pierścionki i długie kolczyki z diamentami. Byłam taka żałosna.

Z jękiem włożyłam czarne szpilki, a gdy się wyprostowałam, czułam się tak, jakbym przebiegła maraton.

Nie cierpiałam tego stanu, gdy nie byłam w stanie zrobić czegoś nie ze względu na słabość fizyczną, ale psychiczną. To był najgorszy rodzaj tortury. Zacisnęłam powieki, przykładając dłonie do pulsujących skroń. Wiedziałam, że się poddałam, wyczerpałam cały zapas energii. Nie miałam siły, żeby wstać czy chociażby z powrotem się przebrać. Powoli osunęłam się na materac, gdy nagle drzwi znów się otworzyły.

W progu stanął mój brat, w pełni gotowy, w jasnych spodniach i kremowym swetrze, spod którego wystawał biały kołnierzyk koszuli. Nadal wyglądał na zmęczonego, ale nie na zamęczonego, a to był plus. Spojrzałam mu w oczy i dostrzegłam, z jaką dumą na mnie patrzył, ponieważ zdołałam sama się wyszykować. Był taki szczęśliwy z tego powodu, a ja

poczułam się, jakby dał mi cios prosto w twarz. Zaciskając zęby, usiadłam i westchnęłam.

— Jesteś już gotowa? — zapytał, na co pokiwałam głową. — W takim razie chodź. Jedziemy.

Zdusiłam w sobie jęk, kiedy wstawałam z łóżka. Powłóczyłam nogami, idąc w stronę wyjścia. Nie dbałam o to, by wziąć torebkę czy telefon. Nie zgasilałam nawet światła, po prostu szłam za Theo, pierwszy raz od kilku dni pokonując taką długą trasę sama, a każdy krok był dla mnie jak uderzenie stopą w ścianę.

Theo już cierpliwie czekał przed drzwiami wyjściowymi z moim długim czarnym płaszczem, więc zacisnęłam dłoń w pięść i zmusiłam się do uniesienia kącika ust. Chyba uwierzył, że dam radę, bo ucieszył się jeszcze bardziej. Bez słów odwróciłam się tyłem, bezwiednie unosząc ramiona, i pozwoliłam mu założyć okrycie na moje plecy.

To było dobre, było w porządku. Kłamstwa pomagały poczuć się lepiej.

— Masz. — Podał mi małą ziołową tabletkę. Bez słowa włożyłam ją do ust, wiedząc, że muszę poczekać, aż się rozpuści. — Dobrze, chodź. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

Na zewnątrz było ciemno, a ja nawet nie wiedziałam, którą mamy godzinę. Gdyby nie Theo, nie miałabym pojęcia, jaki to dzień. *Czwartek*. Czwarty dzień złych dni. Latarnie były włączone, a w oknach innych domów widziałam światła. Biały mercedes stał zaparkowany na podjeździe, więc gdy Theo otworzył mi drzwi, bez słowa wśliznęłam się do środka. Kiedy zapinałam pas, musiałam odwrócić się i patrzeć w górę, aby żadna łza nie wydostała się z moich oczu. Każdy krok był piekłem. Czułam się tak, jakbym stąpała po rozżarzonych węglach, a gdy oddychałam, wydawało mi się, że wdycham trujący gaz. Jednak z całych sił starałam się utrzymać beznamiętną maskę.

Jest dobrze. Wszystko jest w porządku.

Mój brat odpalił silnik i wyjechał spod naszego domu. Pustym wzrokiem wpatrywałam się w obrazy za szybą, w radiu leciał jakiś popowy hit, a światła odbijały się od pokrytej skórą kremowej tapicerki.

— Jedziemy od razu pod ten klub — powiedział nagle Theo po dłuższej chwili ciszy. — Reszta już jest. Czekają na nas.

Nie odpowiedziałam, jedynie skinęłam głową. W głębi duszy zaczęłam żałować, że porwałam się z motyką na słońce. W moim stanie

okłamywanie jednej osoby było wyczynem, więc czy okłamanie dziecięciu jednocześnie było w ogóle wykonalne? Wzięłam uspokajający oddech. Nie uspokoił mnie.

Resztę drogi pokonaliśmy w ciszy, aż w końcu dotarliśmy do celu. Obojętnie patrzyłam, jak Theo wjeżdża w krętą, obskurną uliczkę obsadzoną po obu stronach krzewami, o które nikt nie dbał. Okolica nadal napawała lękiem. Przed gigantycznym budynkiem z wieloma oknami, które świeciły się różnymi kolorami przez neony w środku, znajdowało się mnóstwo samochodów. Do wejścia utworzyła się już długa kolejka ludzi, a ja nawet w samochodzie słyszałam dudniącą muzykę.

Lokal wyglądał dokładnie tak jak przed laty. Niestety źle go wspominałam, klub DEATH kojarzył mi się przede wszystkim z Brooklynem.

— Tyle razy słyszałam o tym miejscu, ale jakoś nigdy tu nie byłem — przyznał się Theo.

Zerknęłam na niego kątem oka, ale nie odpowiedziałam. Oddałabym wszystko, aby móc powiedzieć to samo. Im dłużej wpatrywałam się w budynek, tym bardziej uświadamiałam sobie, że moja przeszłość, którą tak bardzo chciałam od siebie odsunąć, znów do mnie powraca.

Chłopak zaparkował, otworzył mi drzwi, a ja niezgrabnie wysiadłam. Lekko się zachwiałam przez nagły zawrót głowy. Theo spojrzął na mnie zmartwiony, przytrzymując mnie za łokieć.

— Wszystko w porządku? — zapytał zdenerwowany.

— Tak — skłamałam, a na moje usta wypłynął uspokajający uśmiech. — Dawno się nie ruszałam. Ale jest okej.

— Jeśli coś będzie się działo, powiedz mi — poprosił, więc ponownie skinęłam głową.

Mój brat rozejrzał się wokół, po czym westchnął, wskazując na drugą stronę parkingu.

— Tam są — mruknął, więc automatycznie tam spojrzałam. — Chodźmy — zarządził, a ja potulnie wykonałam jego polecenie.

Rzeczywiście, pod jednym z rozłożystych drzew przy swoich samochodach stali nasi znajomi. Włożyłam ręce do kieszeni płaszcza i krzycząc w środku, przywołałam na twarz najbardziej beztroską minę, na jaką było mnie stać. Kiedy byliśmy kilka jardów od nich, Laura nas zauważyła i ochoczo nam pomachała, zwracając uwagę reszty.

Jest dobrze. Czujesz się dobrze.

— W końcu jesteście! — zawołała radośnie, a następnie krokiem godnym baletnicy ruszyła w naszą stronę.

— Jesteśmy — odparł Theo, kiedy znaleźliśmy się tuż przy nich. Uparcie wpatrywałam się w jego profil, aby nie mierzyć się ze spojrzeniami, które poczułam na swoim ciele. — Korki i te sprawy.

— To dobrze, że dotarliście — mruknęła Laura. — Hej, Vic — zaczęła, a ja wiedziałam, że jeśli nadal będę tak mocno zaciskać dłonie w pięści, to popękają mi paznokcie. — Już dobrze się czujesz? Theo mówił, że okropnie zachorowałaś. Myśleliśmy, że nie przyjedziesz.

I co niby miałam zrobić? Wiedziałam, że muszę odpowiedzieć, aby nie wzbudzać podejrzeń. Z kamienną twarzą spojrzałam w ciepłe, jasne oczy dziewczyny, które patrzyły na mnie z namacalną wręcz troską i to było tak cholernie tragiczne, bo ona się martwiła. Tak kurewsko się martwiła, więc zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby uruchomić to, co jeszcze mnie ratowało. *Przełącznik*.

Delikatnie się uśmiechnęłam i pokiwałam głową.

— Tak, dopadł mnie jakiś wirus, ale już jest w miarę okej — powiedziałam pewnym głosem, który tak bardzo różnił się od tego, którego używałam w domu. I choć to bolało każdą komórkę mojego ciała, kątem oka dostrzegłam, że Theo znów się uśmiecha. — Ale tych czterech dni to prawie nie pamiętam. Zupełnie, jakby trwały kilka sekund.

Cóż, nie skłamałaś.

— Nadal nie za dobrze wyglądasz — mruknął Scott, kładąc dłonie na biodrach Laury. Zmartwiony patrzył na moją twarz. — Musiało cię dopaść coś potwornego.

— Tak — mruknęłam. Tu miał rację.

W końcu zdecydowałam się zerknąć na innych. Miałam ochotę rwać sobie włosy z głowy, gdy rozumiałam, że wszyscy są zaniepokojeni i patrzą na mnie badawczo. Nawet Jasmine, która stała najbardziej z boku, niedaleko Camerona, obserwowała mnie z... troską. Chris wyglądał, jakby chciał mnie przytulić, ale na szczęście sobie darował. Miałam nadzieję, że moja „choroba” powstrzyma ich przed zbliżaniem się do mnie. Czułam, że nie dałabym rady wytrzymać jeszcze bliskości fizycznej.

Dopiero po chwili dostrzegłam ostatniego z wybranych. Jako jedyny nie patrzył na mnie, tylko klikał coś w swoim telefonie. Jego głowa była skierowana w dół, na wyświetlacz, po którym zgrabnie przejeżdżał

długimi palcami. Jasność ekranu sprawiała, że jego twarz w ciemności lekko się podświetliła, ale nadal nie mogłam w pełni go zobaczyć, ponieważ był za daleko i stał bokiem. Wyglądał na dziwnie zdenerwowanego.

— Na pewno pójdziesz z nami? — zapytał w końcu Cameron, opuszczając ręce wzdłuż ciała. Podszedł bliżej mnie, przypatrując się mojej twarzy. — Wyglądasz, jakby jedno dmuchnięcie mogło zmieść cię z powierzchni ziemi.

I chyba był to najbardziej trafny opis tego, jak się wtedy czułam.

Wysiliłam się na cichy, gardłowy śmiech.

— Jestem na takiej ilości przeciwbólowych, że trochę nie kontaktuję. Jak będę upadać, to mnie złapiesz? — zapytałam, zawadiacko biorąc się pod boki. Boże, to było takie trudne.

Cameron odpowiedział mi swoim najpiękniejszym uśmiechem.

— Oczywiście.

— Kochanie, kiedy cię tak złapało? — wtrącił się Chris, również do mnie podchodząc. — W niedzielę było jeszcze dobrze.

— Wieczorem już było średnio, a w poniedziałek tragedia. — Przy najmniej w tym nie kłamałam. Cały czas patrzyłam mu w oczy, bez zawahania wypowiadając kolejne kłamstwa z uspokajającym uśmiechem na ustach, który był tak zadziwiająco prawdziwy, że zmylił nawet Chrisa. — Ale jest już lepiej. Musiałam wyrwać się z domu. Ciągle tylko spałam. Muszę rozprostować kości.

Po minach naszych znajomych poznałam, że uwierzyli, ale niby czemu mieliby tego nie zrobić? Przecież było dobrze, a ja odetchnęłam z ulgą.

Starałam się skupić na czymś innym, by nie myśleć o tym, jak paskudnie się czuję. Zaczęłam się przyglądać Chrisowi i może tylko mi się wydawało, ale wyglądał, jakby chciał znaleźć się jak najdalej od Camerona. Camerona, który zaczepnie się uśmiechał, zjeżdżając wzrokiem jego ciało okryte liliowym garniturem. Adams usilnie to ignorował, unosząc hardo głowę, choć jego szyję pokrył rumieniec, co, jak zdążyłam się zorientować, niezwykle ucieszyło Theo.

Pieprzony zakład — przemknęło mi przez głowę niewyraźne wspomnienie.

— Czyli możemy iść? — zapytał Parker, patrząc na Scotta. — Ten cały Sanchez jest w środku?

— Tak, mój kolega potwierdził — odparł Hayes. — Wyjdzie po nas, żebyśmy nie musieli stać w kolejce — dodał, a następnie popatrzył sceptycznie na Sheya. — Nate?

Wszyscy, w tym ja, spojrzeliśmy na Nathaniela, który nadal stał w tym samym miejscu, z coraz większą złością pisząc coś na swoim telefonie. Zmarszczyłam brwi, bo nie wydawało się, by słuchał. Z rozdrażnieniem zablokował urządzenie i w pewnym momencie odniosłam wrażenie, że zaraz zmiażdży je w dłoni. Na szczęście oszczędził komórkę i w końcu uniósł głowę, po czym spojrzął kolejno na nas. Zobaczyłam go nieco wyraźniej, chociaż ciemność nadal częściowo skrywała jego idealną twarz. Jednak z mrokiem było mu lepiej. Pasował do niego.

Wyglądał porażająco i przerażająco, dokładnie tak jak przy naszych pierwszych spotkaniach lata wcześniej. Gołym okiem było widać, że nie jest ani trochę w humorze. Bez cienia emocji schował urządzenie w przedniej kieszeni czarnych spodni. Kątem oka zlustrowałam jego sylwetkę. Miał na sobie jeszcze czarny, oversize'owy polar z kołnierzem i krótkim suwakiem, który pozostawił rozpięty. Wystawała spod niego biała koszulka, która pasowała do jego butów w tym samym kolorze. Wyglądał dobrze. Cholernie dobrze i odnotował to nawet mój zjechany przez leki mózg.

Nathaniel przejechał dłonią po swoich zmierzwionych włosach i poprawił srebrny krzyżyk zawieszony na szyi. Dostrzegłam sygnet na jego palcu serdecznym. Wciąż go nosił, zupełnie tak jak przed laty. Skrzyżował spojrzenie ze Scottem, prostując się i unosząc głowę. W tamtym momencie wyglądał jeszcze potężniej. *Cholera*.

— Rozpoznasz go? — zapytał Hayesa, choć brzmiało to raczej jak warknięcie.

Jego głos był cierpki, zachrypnięty i naprawdę nieprzyjemny. Nie miałam pojęcia, co było przyczyną jego złego humoru, ale jeśli nadal był tak porywczy jak dawniej, to lepiej było, aby nikt nie podchodził do niego na odległość pięciu jardów. Kiedyś w takich chwilach można było stracić zęby.

I głowę.

— Vin nam pokaże — odpowiedział Scott, mocniej obejmując Laurę.

Shey nic już nie powiedział, jedynie przekreślił się lekko i to była sekunda. Dosłownie jedna sekunda, gdy jego wzrok padł na moją twarz,

a ja nie zdążyłam odwrócić głowy, więc nasze spojrzenia się spotkały. Wtedy to poczułam. Nienawidziłam tego za każdym razem, kiedy to się działo. Tego dziwnego dreszczu, który przebiegał wzdłuż mojego kręgosłupa jak najgorsza zaraza. Jakbym tę reakcję miała zapisaną we krwi. Nie znosiłam patrzeć w te czarne tęczęwki, które były tak... tak intensywne. Powinnam była od razu się odwrócić, od razu to skończyć, ale właśnie wtedy, gdy jego spojrzenie spoczęło na mojej twarzy, zauważyłam, że jego brew drgnęła, a coś w wyrazie twarzy dziwnie się załamało. Nie potrafiłam tego bliżej określić, więc jak najszybciej się odwróciłam, starając się zachować obojętną minę. To nie był dzień, kiedy mogłam pozwolić sobie na coś takiego. Nie, gdy byłam *w tym* stanie.

— Okej, to idziemy — zdecydował niczego nieświadomy Matt i ruszył w stronę dużego budynku.

Wciąż czułam to palące spojrzenie czarnych oczu. Nie miałam pojęcia, o co mu chodziło, i zaczął mnie tym irytować. Tak, może nie wyglądałam wybitnie, a moja twarz wyrażała zmęczenie, co i tak nawet w jednej setnej nie oddawało mojego obecnego stanu, ale nie musiał się na mnie tak gapić. Chyba mina mnie zdradziła, bo w końcu sobie odpuścił i zaczął iść w stronę baru, zachowując możliwie największą odległość ode mnie. W sumie się nie dziwiłam, po tym, co ostatnio między nami zaszło, sama miałam ochotę nie zbliżać się do niego na odległość mili. Kiedyś był chamem, nie liczył się z niczymi uczuciami, a na końcu to i tak przed nim trzeba było się płaszczyć. Czyżby do tego wrócił?

Czyli bez zmian od czterech lat.

Nadal nie wiedziałam, co się stało między nami w tamtą sobotę w barze u Parkera. Owszem, byłam wściekła, bo on zachowywał się tak jak dawniej, w początkach naszej znajomości. Był taki irytujący z tą swoją nonszalancją, z tym całym byciem oschłym sukinsynem... ale to nie powinno było doprowadzić mnie do takiego stanu! Zostawił mnie samą, a potem miał pretensje, że się postawiłam. Momentami tak cholernie go nienawidziłam... ale kiedy znalazłam się tak blisko niego, wdychając ten znajomy, a jednak inny zapach, czując jego ciepło, czując jego oddech na swojej twarzy...

Boże, ja zwariowałam. Te leki wyżarły mi mózg.

Nathaniel był sukinsynem. I może czasami za nim tęskniłam, ale w gruncie rzeczy to dobrze, że nie miałam z nim już kontaktu. Nie

wytrzymałabym, sama myśl o nim była tak denerwująca! Jak on cały! Miałam ochotę złapać go za te jego śliczne brązowe włoski i sprawić, aby nie były już takie śliczne. Miał pierdoloną narzeczoną, którą powinien był się zająć, zamiast gapić się na mnie.

— Hej, Vic! Poczekaj na nas!

Zdezorientowana pomrugałam powiekami i zatrzymałam się w miejscu, słysząc głos Laury.

Dopiero gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że stara się mnie dogonić, razem ze Scottem, Mattem i Theo. Reszta szła rozproszona po całym parkingu. Zdałam sobie sprawę z tego, że wyprzedziłam ich o dobrych kilkadziesiąt kroków. Ze zdziwieniem zerknęłam na Sheya, który niewzruszony maszerował kilka jardów przed nami, a następnie znów na Laurę, która w końcu znalazła się obok mnie.

— Jezu Chryste, jeszcze chwilę wcześniej ledwo trzymałaś się na nogach, a teraz uprawiasz sprint? — zapytał zdziwiony Scott. — Co ty za leki bierzesz?

Lekko zszokowana stwierdziłam, że z niewiadomych powodów poczułam nagły zastrzyk energii. Jakby ktoś zdjął ogromny głaz z mojej klatki piersiowej. Kolejne kroki nie sprawiały mi już bólu, a mój przyspieszony oddech nie był oznaką zbliżającego się ataku. Wręcz przeciwnie, dziwnej euforii. Theo posłał mi pytające spojrzenie, ale pokręciłam głową, ponieważ nie czułam się źle. Byłam skołowana, a wyjaśnienie było jedno.

Naprawdę wariowałam.

Po chwili już bez ekscesów szłam z nimi ramię w ramię. Nagle Theo zmarszczył brwi, wskazując na idącego przed nami w dużej odległości Nathaniela. Nawet z dystansu widzieliśmy, że jego mocno napięte mięśnie niemal rozrywały ładny polar w stylu vintage. Jego ciężki chód miał w sobie coś mrocznego i niezbyt przyjaznego. Znów poczułam w sobie gniew. *Sukinsyn.*

— A temu co? — zapytał cicho mój brat, choć nie było szans, by Shey go usłyszał.

Laura krótko parsknęła, kręcąc głową.

— Kłopoty w rajku — odparła niezbyt przejęta.

Zmarszczyłam brwi ze zdziwieniem. Kłopoty w rajku?

Severine. Och.

Wtedy zrozumiałam — jego złość była zapewne wynikiem tego, że się pokłócili. To dlatego patrzył z nienawiścią na ten telefon i wyglądał jak tykająca bomba.

No cóż, to nie moja bajka i nie moje kłopoty z księżniczką.

Przestań być suką.

W końcu podeszliśmy do ochroniarzy przy wejściu, a Scott zadzwonił do kolegi, który szybko po nas przyszedł. Dzięki niemu weszliśmy bez kolejki, ignorując protesty czekających.

W środku było pełno migających świateł, dymu papierosowego i ludzi. *Tak dużo ludzi.* Zapach potu i alkoholu lekko mnie dusił, a głośnie muzyka drażniła nerwy. Znowu poczułam się tak, jakby ktoś mnie przejechał. Nagły zastrzyk energii przyplącałam takim zjazdem, że musiałam podtrzymać się kolumny obok, aby nie upaść. Zwróciło to uwagę Matta, który spojrzał na mnie zmartwiony.

— Wszystko gra? — zapytał głośno, aby przekrzyczeć muzykę.

Pokiwałam głową.

Kolega Scotta skierował nas do łoży, która była do naszej dyspozycji. Znajdowała się w niej długa, obita czerwoną skórą kanapa w kształcie litery „L” stojąca przy prostokątnym stole. Mieliśmy stamtąd idealny widok na parkiet, gdzie bawili się ludzie, dla których weekend rozpoczął się już w czwartek. Theo pomógł mi zdjąć płaszcz, a ja z ulgą usiadłam, ponieważ moje kolana i dłonie zaczęły nerwowo drżeć. Tak bardzo chciałam do domu.

Mia z gracją zajęła miejsce obok mnie, uśmiechając się w moją stronę, na co odpowiedziałam jej mizernym uniesieniem kącików ust, a następnie skupiłam wzrok na jednym z pierścionków na swoim palcu. Była to srebrna obrączka, która należała do Roberts i która uratowała mi życie w poprzednią sobotę. Od tamtego zdarzenia wciąż ją nosiłam. Spojrzenie dziewczyny również powędrowało ku moim palcom i mogłam przysiąc, że na jej twarzy pojawił się maleńki łobuzerski uśmieszek.

— Dobra — powiedział Luke, zwracając na siebie uwagę wszystkich w łoży. Na kanapie prócz mnie i Mii siedziała Laura, która objęła Roberts ramionami od tyłu. — My idziemy rozejrzeć się za Sanchezem w tamtej części — mruknął, patrząc w prawo i wskazując na siebie, Theo oraz niezainteresowanego Sheya, który z zamyśloną miną stał przy wejściu do łoży. — Matt i Scott pójdą tam, a Jasmine, Chris i Cameron w tamtą

stronę — mówiąc to, pokazywał kierunki, w których mieli się udać. — A wy na razie poczekajcie tu — dodał, zwracając się do mnie, Laury i Mii.

Nawet nie miałam siły protestować.

Zostałyśmy same, bo reszta poszła jeszcze do baru, by kolega Scotta opisał im dokładniej, jak wygląda nasza... ofiara.

— Mam nadzieję, że to wszystko wypali, a Nate nie zrobi niczego głupiego — zaczęła Moore, przytulając się do boku Mii. — Jest dziś taki zdenerwowany.

— Jest taki od kilku dni — odrzekła Roberts. — Właściwie od naszego ostatniego spotkania w barze Luke'a. Denerwuje się o byle głupotę i na każdego warczy. To zaczyna się robić nie do wytrzymania.

Starałam się ich nie słuchać i skupić się na uspokojeniu oddechu i ignorowaniu bólu w klatce piersiowej.

— Może ma gorsze dni — zamyśliła się Laura. — Wiesz, o co pokłócił się z Severine?

— Nie wiem — odpowiedziała, ale w jej głosie wyczułam rezerwę, jakby nie chciała powiedzieć za dużo. Mimo to brzmiała, jakby mówiła szczerze.

Czułam, że mój kolejny atak jest coraz bliżej. Było źle, bardzo źle.

— Vic? Gdzie idziesz? — Jak zza szyby dotarł do mnie przytłumiony głos Laury.

Obie patrzyły na mnie, nic nie rozumiejąc, gdy bezwiednie podniosłam się z kanapy i skierowałam się w stronę wyjścia z łoży. Moje nogi były jak z waty i resztkami sił powstrzymywałam się przed upadkiem. Było mi tak duszno i słabo, jakby ktoś zamknął mnie w samochodzie w niewyobrażalnym upale. Wszystko, czego dotykały moje dłonie, parzyło.

— Idę do baru po wodę — mruknęłam pierwsze, co przyszło mi na myśl. Nie spojrzałam na dziewczyny, bo nie wiedziałam, czy jestem w stanie dalej utrzymać swoją maskę obojętności.

— Pójdziemy z tobą — zaproponowała delikatnie Moore, ale natychmiast pokręciłam głową.

Włosy opadły mi na twarz, a kilka poczułam na swoich spierzchniętych wargach.

— Pójdę sama. Zostańcie tu w razie czego — ucięłam, schodząc po dwóch schodkach.

— Ale Vic... — zaczęła któraś za mną. Nie wiedziałam która.

Weszłam w tłum spoconych i rozgrzanych ciał. Nie rejestrowałam nawet, w którą stronę zmierzam, chciałam się stamtąd wydostać, wyjść na zewnątrz. Obraz zaczął mi się zamazywać, światła zlewały się w jedną plamę. Ludzie uśmiechali się do mnie, tańcząc i wrzeszcząc, gdy mijałam ich na drżących nogach. Załkałam cicho, jednak z moich oczu nie wydostała się ani jedna łza.

To było to, jedna z najgorszych możliwych chwil. Ta sekunda, która dzieli człowieka od płaczu, gdy jeszcze z tym walczy. Poczułam ten ucisk w klatce piersiowej, kiedy nie ma się już siły, miałam świadomość, że zaraz nastąpi wybuch. Bo tak naprawdę wybuch nie jest najgorszy. Najgorsza jest zawsze ta jedna poprzedzająca go sekunda. Sekunda, gdy każdy fragment ciała i umysłu boli tak bardzo, jak nie bolał jeszcze nigdy wcześniej i nie zaboli nigdy później.

W końcu udało mi się wyjść z tłumu. Znalazłam się przed długim, podświetlonym na niebiesko barem, głośno dysząc i próbując złapać chociaż odrobinę powietrza. Słaniając się na nogach, oparłam się o blat łóckami, przełknęłam żółć w gardle i podtrzymałam się, aby nie upaść. Młody barman podszedł do mnie zgrabnym krokiem, ale kiedy zobaczył moją twarz, otworzył szerzej oczy.

— Wszystko okej? — zapytał, przekrzykując głośną muzykę. — Potrzebujesz pomocy?

— Wody — niemal wycharczałam i z bólem zacisnęłam szczękę. — Potrzebuję wody.

Chłopak, który był chyba trochę młodszy ode mnie, energicznie pokiwał głową, chwycił szklankę i napełnił mineralną. Bez słów podał mi ją, a ja wypijałam wodę niemal jednym haustem, czując się tak, jakbym piła najdroższe wino świata. Palenie w moim gardle nieco się zmniejszyło. Kiedy skończyłam, znowu podsunęłam szklankę w jego stronę. Bez słowa napełnił ją drugi raz, a ja znów wypijałam do dna.

— Na pewno nie potrzebujesz pomocy? — zapytał przejęty. — Jesteś tu z kimś? Przepraszam, ale naprawdę źle wyglądasz i chyba ledwo trzymasz się na nogach.

— Jest okej, zaraz mi przejdzie — zapewniłam, choć wcale nie byłam przekonana.

Barman pokiwał głową i wrócił do swojej pracy, czułam jednak, że co jakiś czas mi się przygląda. Niepokój, który dopadł mnie chwilę

wcześniej, nieco zelżał, ale wciąż trzęsły mi się nogi. Tak jak radziła Sylvia, starałam się skupić na oddechu, co gównie dało, ale było lepsze niż nic. Starłam wierzchem dłoni kilka kropel potu z czoła. Choć niemal się gotowałam, jednocześnie było mi tak zimno, że miałam gęsią skórkę.

Gdybym była wierząca, właśnie modliłabym się o łaskę dla swojej duszy.

— Wyglądasz jak śmierć.

Miałam ochotę zakląć pod nosem i tylko cudem się powstrzymałam. Zacisnęłam dłonie na pustej szklance po wodzie, aby ukryć ich drżenie. Staralam się ignorować jego upierdliwy wzrok, ukrywając twarz za zasłoną włosów. Chyba próbowałam uaktywnić w sobie zdolności telekinetyczne, bo ze wszystkich sił chciałam, by zniknął. Niestety mi nie wyszło, wciąż czułam jego obecność. Przygryzłam policzek niemal do krwi, licząc te pieprzone oddechy.

Nie mogłam się złamać. Nie tam i nie przy nim.

Zaciskając szczękę, cicho odetchnęłam. Zmusiłam się, by moja twarz przybrała beznamiętny wyraz, i odchyliłam głowę. Znów wcisnęłam przełącznik, bo nikt nie mógł wiedzieć, że sobie nie radzę. Ta myśl spowodowała, że wylała się ze mnie obojętność.

— Mógłbyś zaszczyścić swoim towarzystwem kogoś innego? Byłoby mi miło — dociełam mu oschłym tonem i spojrzałam na niego z nieukrywany rozdrażnieniem.

Shey stał w odległości jakichś dziesięciu stóp ode mnie, tak jak ja opierając się łokciami o blat, odwrócony w moją stronę. Nie miałam siły na kolejne słowne przepychanki, po prostu patrzyłam na niego, jakby był jakimś punktem na niebie, który mało mnie obchodził.

— Nie miałaś kogoś szukać? — zapytałam. — Może zajmiesz się swoim zadaniem i zostawisz mnie w spokoju?

— Poradzą sobie przez chwilę beze mnie. — Wzruszył ramionami, a następnie zawołał barmana, który moment wcześniej nalewał mi wody.

Chłopak szybko do nas podszedł, znów posyłając mi zmartwione spojrzenie. Zachowałam kamienną twarz, kiedy skinęłam głową, aby dać mu znać, że nic mi nie jest. *Bo nie było, wszystko było dobrze. Musiało być.* I chociaż chwilę wcześniej sekundy dzieliły mnie od załamania, nie mogłam pozwolić, aby to zdarzyło się przy Sheyu. Nawet gdyby łyż zaczęły wypalać mi oczodoły.

Nathaniel zerknął obojętnie na barmana.

— Dwa razy wódka z red bullem — rzucił, a następnie spojrzął na pustą szklankę w mojej dłoni. — I cała butelka mineralnej.

Przewróciłam oczami, ale nie skomentowałam. Barman wyciągnął butelkę wody spod lady i postawił ją obok mojej szklanki. Zaczął przygotowywać drinki dla Sheya, a ja nalałam wody do szklanki. Wypiłam do połowy.

Między nami zapanowała nieprzyjemna cisza. Wyobrażałam sobie, że go tam nie ma. Po chwili dwa wysokie kieliszki wypełnione żółtawym trunkiem stały tuż przed chłopakiem. Od razu sięgnął po jeden.

— To najgorsze, co można zafundować swojej wątrobie i sercu — mruknęłam, nim zdążyłam się powstrzymać.

Shey spojrzął na mnie bez emocji.

— Ale za to jakie smaczne — odparł nonszalancko, po czym szybkim ruchem uniósł kieliszek do ust i przechylił. Nawet się nie skrzywił, kiedy odstawiał go z powrotem na blat.

Pokręciłam głową na ten popis, nie komentując. Nienawidziłam tego drinka, chociaż były dni, gdy piłam go codziennie. Zacisnęłam szczękę, aby odpędzić od siebie te myśli. Ostatnie, czego wtedy potrzebowałam, to powrót przeklętych wspomnień. Ponownie upiłam łyk wody, mając nadzieję, że Nathaniel wyzeruje drugi kieliszek i sobie pójdzie, ale przecież ja nigdy nie mogłam mieć tego, na co liczyłam.

— Byłaś chora? — zapytał nagle, ot tak, jakby pytał o pogodę.

Po jego słowach znieruchomiałam, a następnie lekko się spięłam, mocniej zaciskając dłonie na ściankach szklanki. Udało mi się utrzymać taki sam wyraz twarzy, gdy chłopak patrzył na mnie kątem oka. Ignorując palenie w przetyku, skinęłam głową.

— Skąd wiesz? Wydawało mi się, że niezbyt skupiałeś się na naszej rozmowie przed wejściem — mruknęłam, również grając niezainteresowaną.

— Luke coś wcześniej wspominał — odrzekł, a jego zachrypnięty głos był tak bezbarwny jak woda, którą piłam. Nie zdradzał niczego.

Ale czy to mogło mnie dziwić?

— Tak, byłam — odpowiedziałam w końcu. — Albo jakiś paskudny wirus, albo zatrucie pokarmowe — skłamałam bez zająknięcia. — Okropna sprawa.

Obracał palcem wskazującym kieliszek, który kręcił się po wypolerowanym blacie. Nie wiedzieć czemu moje serce przyspieszyło bicie, a atmosfera wokół zrobiła się cięższa.

— Żle wyglądasz — skomentował, na co prychnęłam pod nosem.

— Umiesz człowieka pocieszyć — odparłam, uśmiechając się kwaśno.

— Mogłaś zostać w domu — ciągnął bez emocji. — Jeszcze kogoś zarazisz.

Na całe szczęście tym nie dało się zarazić. Nie było mi na rękę, że uparcie ciągnął ten temat, i musiałam to jak najszybciej uciąć.

— Miejmy nadzieję, że nie — mruknęłam, dolewając sobie wody. — Dlatego trzymam się od wszystkich z daleka. Jest już dobrze.

— Ten wirus musiał być naprawdę okropny, co?

Gdy to powiedział, coś w końcu we mnie pękło, więc spojrzałam na jego twarz. Nadal na mnie nie patrzył, z obojętną miną opierał się o blat, lustrując wzrokiem rząd butelek na ścianie przed nami. Jego brązowe włosy były w całkowitym nieładzie, znając życie, ciągle je mierzwił. Często to robił, gdy się denerwował. Wydawał się taki niewzruszony, taki swobodny, jakby wszystko było mu wolno, a to, jak się zachowywał, ani trochę mi się nie podobało. Wiedział, że na niego patrzę, ale jemu nie chciało się spojrzeć na mnie. Bawił się mną, a ja naprawdę nie lubiłam, gdy ktoś to robił. Już od lat nikt nie miał do tego prawa.

Nagle padło na nas białe światło emitowane przez jeden z ruchomych reflektorów. Dzięki temu doskonale to zobaczyłam. Wyraźne sińce pod jego oczami, przekrwione białka i lekko poszarzałą cerę, jakby był zmęczony i nie za wiele spał. Sekundę później snop światła się przesunął i znów ogarnął nas mrok.

Uniosłam brew.

— Ty również nie wyglądasz, jakbyś żył pełnią życia — powiedziałam i to spowodowało, że w końcu wywołałam w nim jakąś reakcję.

Bingo.

Powoli przekręcił głowę w moją stronę, podczas gdy ja nadal z powagą wpatrywałam się w jego oczy. Popatrzyliśmy na siebie, jakby skała uderzyła o skałę. Jego szczęka zacisnęła się jeszcze bardziej, a spojrzenie z beznamietnego stało się ostre i chłodne. Ja też zachowałam swoją zimną maskę niezainteresowania. Atmosfera między nami zgęstniała, muzyka zrobiła się jakby mniej słyszalna i nie czułam już, że jest tam

taki tłum. Kolorowe światła co jakiś czas padały na nasze twarze, gdy w ciszy na siebie patrzyliśmy.

— Źle spałem — odparł.

I był w tym tak cholernie dobry, że nie wiedziałam, czy skłamał, czy nie. Jego głos znów brzmiał czysto i prześlizgiwał się między atomami powietrza, by następnie rozpuścić się bez śladu. Nathaniel był mistrzem w nieukazywaniu emocji i choć przed laty strasznie mnie to drażniło, po czasie doskonale rozumiałam, dlaczego to robił. Tak było prościej, więc postępowałam tak samo.

Nagle Shey lekko nachylił się w moją stronę, nie było to jednak inwazyjne, bo nadal pozostawaliśmy w bezpiecznej odległości. Mimo to poczułam żółć w gardle.

— Nie wierzę w twoją chorobę — powiedział tak cicho i głęboko, że dreszcz przeszył moje ciało.

Nie potrafiłam spuścić wzroku z jego czarnych oczu, które się we mnie wpatrywały. Nie myśląc nad tym, co robię, również nieznacznie pochyliłam się w jego stronę. Uważnie obserwowałam, jak światła neonów odbijają się w jego czarnych tęczęwkach, rozświetlając lód. Poczułam ochotę, by patrzeć na to w nieskończoność.

— Nie wierzę w twoje niewyspanie się — powiedziałam to równie cicho i delikatnie jak on.

Starałam się odgonić niepotrzebne myśli. Mogłam być spokojna, przecież Nathaniel o niczym nie wiedział. Mógł jedynie gdybać, bo chciał mnie zdenerwować. Wyglądałam jak po ciężkiej chorobie i nie miał podstaw, aby myśleć, że było inaczej.

A on znów błdził. Błdził wzrokiem po mojej twarzy, badając ją, jakby czegoś szukał. Jakby starał się coś znaleźć. Szukał czegoś tak, jak samotny człowiek szuka przyjaciela. Jak rodzic zagubionego dziecka, jak wysuszony kwiat upragnionej kropli wody. Patrzył na mnie dokładnie tak samo jak wtedy podczas naszej rozmowy u Vincenta na patio. Jak w warsztacie, gdy poznałam Severine. Jak w momencie, gdy przyciśnięci do siebie przed klubem oddychaliśmy sobie prosto w usta. On szukał, a ja nie wiedziałam czego.

I może to zmęczenie. Może leki, może cała ta sytuacja, w której się znalazłam, ale to wszystko nagle stało się takie nijakie. Nic nie miało znaczenia. To, co powiem. To, co zrobię. Wszystko zlało się w czarną plamę.

A on wciąż szukał. I denerwował się, bo chyba nie mógł tego odnaleźć.

— Czego tak ciągle szukasz tymi oczami? — wyszeptałam w końcu, bo udawanie, że tego nie widzę, już nie miało sensu.

Nic nie miało sensu. Nathaniel też to wiedział, bo gdy tylko się odezwałam, poddał się. I widziałam każdą milisekundę jego porażki.

— Czegoś, czego już nie ma. — Jego cichy, niemal niesłyszalny szept rozplynął się w powietrzu, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Potem wszystko zniknęło. Zniknął jego wzrok, gdy odwrócił głowę, zniknęła jego elektryzująca bliskość, kiedy wyprostował się, a następnie wyciągnął portfel i rzucił banknot na ladę. I zniknął on sam, kiedy nie popatrzywszy już na mnie, po prostu odszedł i wtopił się w tłum ludzi. Jednak nie zniknęło to, jak się wtedy czułam.

Roztrzęsiona dopiłam swoją wodę i zastanawiałam się, co zrobić dalej. Przeklinałam Sheya za to, że rozmowa z nim jeszcze pogorszyła mój stan. Musiałam odetchnąć i pobyć sama. I zapalić. Tak, zapalić. Poczułam dręczący głód nikotyny, do której nie miałam dostępu przez kilka dni. Nie zabrałam swojej paczki, ale uznałam, że to nie problem.

Ponownie przepchnęłam się przez tłum i wyszłam z klubu. Na zewnątrz głęboko zaciągnęłam się świeżym powietrzem, po czym rozejrzałam się wokoło. Nie miałam płaszcza i choć nie było bardzo zimno, lekko się wzdrygnęłam. Z rozdrażnieniem przyglądałam się ludziom przed klubem, aż w końcu dostrzegłam grupkę pięciu młodych chłopaków, którzy palili niedaleko. Skierowałam się do nich, poprawiając włosy, które opadły mi na twarz. Zmusiłam się do uśmiechu.

— Hej — przywitałam się, ściągając na siebie ich uwagę. — Czy mogłabym papierosa? — zapytałam, a jeden z chłopaków od razu sięgnął dłonią do kieszeni czerwonej kurtki.

— Dla pięknej pani zawsze — odpowiedział szarmancko.

Miałam ochotę parsknąć kpiąco, ale na szczęście dałam radę się powstrzymać.

Chłopak otworzył paczkę i wyciągnął ją do mnie. Wzięłam jedną fajkę, a w tym samym czasie trzech jego kolegów wyjęło zapalniczki. Przysunęli je w moją stronę, więc odpaliłam papierosa od blondyna z dołeczkami w policzkach, ponieważ stał najbliżej mnie. Chyba chciał coś powiedzieć, jednak nie pozwoliłam mu na to. Bez słowa się odwróciłam i odeszłam w kierunku parkingu. Gdy tylko znalazłam się odpowiednio

daleko, mój wymuszony uśmiech zgasł, ramiona mi się przygarbiły, a dłoń znów zaczęła drżeć.

Krażyłam z odpaloną fajką przez jakieś trzy minuty, ale nie zrobiło mi się lepiej. Znalazłam inną grupkę palących i z pięknym uśmiechem wyciągnęłam od nich kolejnego papierosa. Kiedyś ten uśmiech niemal przrósł mi do twarzy. W końcu *oni* tak lubili go oglądać i wiedziałam, że dzięki niemu zawsze dostawałam to, czego chciałam. Warknęłam pod nosem, kręcąc głową, a kiedy byłam w połowie trzeciej wydebnionej fajki i zawędrowałam do połowy ciemnego parkingu, usłyszałam znajomy głos.

— Nie chce mi się słuchać twoich krzyków.

Znieruchomiałam, bo rozpoznałam cierpki ton Sheya. Powoli odwróciłam się w jego stronę i zobaczyłam go opierającego się bokiem o mazdę Mii. Z tej odległości nie widziałam dokładnie jego twarzy, ale to, jak mówił, wskazywało, że jest wściekły. Przy uchu trzymał telefon, a jedną dłoń zacisnął w pięść. Zrobiło mi się głupio, bo mimo że znalazłam się tam przypadkiem, i tak poczułam się jak natręt. Nie lubiłam podsłuchiwać.

— Wiesz co? — zapytał nagle, a ton jego głosu wciąż był tak zimny i nieprzyjemny, że współczułam jego rozmówcy.

Starłam się w ciszy odejść o kilka kroków, ale to nic nie dało, bo mówił dość głośno.

— Szczerze, już jebie mnie, co sobie myślisz. Naprawdę mnie to nie obchodzi. I zostaw go w spokoju, jeśli nie chce spędzać z tobą czasu, to go do tego nie zmuszaj. To twoja wina i jeśli myślisz, że stanę po twojej stronie, to się mylisz. I możesz wrzeszczeć sobie, ile chcesz. Pogadamy, jak się uspokoisz. Cześć.

Zacisnęłam zęby. Kluczyłam niezgrabnie pomiędzy kolejnymi autami, aby odejść jak najdalej i jak najszybciej, ale oczywiście nazywałam się Victoria Clark, a pech był pierdoloną nieodłączną częścią mojego życia.

— Victoria?

Ponownie znieruchomiałam, kiedy cierpki głos Nathaniela rozległ się za moimi plecami. Przymknęłam oczy, bezgłośnie klnąc pod nosem, a następnie niewzruszona powoli odwróciłam się w stronę chłopaka, który z telefonem w dłoni patrzył na mnie. Odchrząknęłam cicho i przystawiłam papierosa do ust, aby się zaciągnąć i uspokoić nerwy.

Boże, czy ja zawsze musiałam mieć takie szczęście? Na tak ogromnym parkingu musiałam wpaść akurat na Sheya, który był wściekły po

jakiejś nieprzyjemnej rozmowie telefonicznej? I który zapewne miał zamiar wyżyć się na mnie? Komu ja tak podpadłam w poprzednim wcieleniu?

— Co tam? — zapytałam jak gdyby nigdy nic, choć to było cholernie głupie, zważywszy na to, jak wyglądała nasza wcześniejsza rozmowa przy barze.

Jego mina była nieodgadniona. Bez słowa wsadził telefon do kieszeni spodni, a następnie spojrział na papierosa w mojej dłoni. Dosłownie przez sekundę widziałam u niego zawahanie, a potem nagle ruszył pewnie w moją stronę. Jego oczy płonęły, był naprawdę wściekły. Błyskawicznie pokonał dzielący nas dystans, podczas gdy ja wrosłam w ziemię. Zatrzymał się w odległości trzech stóp ode mnie, wyciągając dłoń.

— Daj papierosa — powiedział, a jego ton sugerował, że każdy, kto odważyłby się sprzeciwić, skończyłby z głową wciśniętą w chodnik.

— Ale ty nie palisz — mruknęłam, na co wciągnął gwałtownie powietrze, nie cofając ręki.

— Victoria, wiem, co robię, a czego nie. — Niemal drżał ze złości. Przypominał wulkan na sekundę przed erupcją. — Więc, proszę, do kurwy, daj mi tego papierosa — wycedził przez zęby.

Och, kurwa.

Powinłam była to zrobić. Naprawdę powinłam była oddać mu tego pieprzonego papierosa i modlić się, by jakimś cudem burza przeszła bokiem, ale przypominałam sobie jego słowa u Vincenta. Rzucił przed trzema laty. Trzy lata bez papierosów i miał to zmarnować?

Panie, naprawdę powinłam była się leczyć. Shey przy naszych ostatnich spotkaniach był dla mnie okropny i zupełnie się mną nie przejmował, więc powinłam była odplacić mu tym samym, tylko że... Tylko że nie mogłam pozwolić, by się truł, skoro to pokonał. Czułam się okropnie nieswojo, gdy tak stał i patrzył na mnie jak drapieżnik na ofiarę, chcąc, abym oddała mu swojego papierosa, ale decyzja została podjęta.

Patrząc mu prosto w oczy, upuściłam nie do końca wypalonego papierosa na ziemię, a następnie z całej siły przydepnęłam go butem. I chociaż serce mnie zabolowało, to jeszcze poprawiłam, rozcierając go podeszwą. Oboje obserwowaliśmy pozostałości po fajce, po czym spojrziałam na kamienną twarz Nathaniela i rozłożyłam ręce, jakby właśnie stało się coś niespodziewanego.

— Ojoj — powiedziałam jedynie, bo tylko na to było mnie w tamtej chwili stać — wypadło.

Shey jakby w zwolnionym tempie uniósł wzrok z resztek papierosa na moją twarz, a ja przestałam oddychać. Już wcześniej wydawało mi się, że jest wściekły, ale po tej sytuacji wyglądał, jakby wpadł w furję. Jego czarne tęczówki pociemniały o jakieś trzy odcienie, choć nie wydawało się to możliwe. Wyglądał, jakby nie żył, nawet nie oddychał, bo jego ramiona się nie unosiły. A może nie mógł, bo w środku już wybuchł? Nie miałam pojęcia! Już dawno temu wyzbyłam się strachu, ale gdy stałam przed nim, a on był w takim stanie, miałam ochotę uciec gdzie pieprz rośnie.

Nathaniel cicho odetchnął, wypuszczając całe zalegające w płucach powietrze.

— W porządku — syknął przez zaciśnięte zęby. — Sam pójde poszukać.

Nim zrozumiałam, o co mu chodzi, szybko mnie wyminął i ruszył w stronę ludzi przed klubem. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z tego, co kombinuje. Otworzyłam szeroko oczy i niewiele myśląc, zaczęłam za nim biec, aby go dogonić. Szedł tak szybko, że w swoich wysokich butach miałam problem za nim nadążyć.

— Nate, daj spokój! — zawołałam lekko spanikowana, gdy już dreptałam obok niego. — Nie palisz od trzech lat. Nie psuj tego. To nie jest tego warte!

Ale on nie słuchał, zupełnie nie zwracał na mnie uwagi. Nadal szedł przez parking, a ja naprawdę nie wiedziałam, co zrobić, więc bez zastanowienia wybiegłam przed niego i zastąpiłam mu drogę. Staralam się sprawić, by na mnie spojrzął, ale on znów spróbował mnie minąć. Dopadłam go i zacisnęłam palce na rękawach jego polaru. Wyrwał się, a ja znów zastąpiłam mu drogę, i tak kilka razy. Wciąż patrzyłam na niego z dołu, powtarzając w kółko te same słowa, ale on nawet nie udawał, że słucha. Nie interesowało mnie to, jak blisko niego się znalazłam. Chciałam jedynie wyrwać go z transu. Po kolejnych sekundach mojego oporu chłopak w końcu westchnął, a następnie mając gdzieś to, że stoję naprzeciw niego, jak taran ruszył do przodu.

Zaczęłam stawiać szybkie kroki w tył, potykając się o własne nogi. Nathaniel nie przejął się tym, że nie wyrabiam, napierał dalej. Po ko-

lejnycy dwóch jardach moje mięśnie nie wytrzymały. Potknęłam się i w ostatniej chwili chwyciłam się jego polaru, przygotowując się mentalnie na to, że wyrznię głową o asfalt. Tak się jednak nie stało, bo nagle poczułam, jak dwie silne dłonie zacisnęły się po obu stronach mojej talii.

Wszystko się zatrzymało, a my zastygliśmy w naprawdę niezręcznej pozycji. Moje nogi były wyprostowane i złączone. Nie stałam już pewnie na całych podszewkach butów, jedynie moje obcasy dotykały podłoża. Wyprostowałam się jak struna, bojąc się puścić polar Sheya, którego chwyciłam się jak ostatniej deski ratunku. Nathaniel stał w rozkroku, nachylając się nade mną i przytrzymując mnie wyprostowanymi rękami.

Cudownie.

— Daj mi tam pójsć — warknął.

Jęknęłam, w głębi duszy licząc na to, że moja głowa jest dalej od ziemi, niż mi się wydawało. Oby moje włosy nie dotykały tej brudnej kostki.

— Nie — upierałam się przy swoim.

Patrzyłam na twarz Sheya, błagając w myślach, by mnie nie puścił. Czułam jego duże dłonie na swojej talii i to, jak jego palce coraz mocniej wbijały się w boki mojego ciała. Zdusiłam w sobie jęk bólu, obserwując jego pełne wściekłości oczy. Znajomy zapach jego wody kolońskiej dotarł do moich nozdrzy, ale nie skupiłam się na tym, bo jedyne, czego chciałam, to aby odpuścił.

— Czemu ci na tym tak zależy? — zapytał, nie poruszywszy się ani o cal. I całe szczęście, bo jeden zły ruch i mogłabym leżeć płackiem na brudnej ziemi.

— Miałabym wyrzuty sumienia, że znów palisz — odparłam, starając się brzmieć i wyglądać na tyle godnie, na ile pozwalała mi ta sytuacja.

Czyli nieszczególnie.

— To nie byłaby twoja wina.

— Tak, ale wiedziałabym, że mogłam cię powstrzymać.

Na szczęście chyba ktoś, kto sprawował nade mną pieczę, w końcu miał dobry dzień. Nathaniel cicho westchnął, co przyjąłam z ulgą, a jego twarz nieco złagodniała. Przewrócił oczami i jeszcze mocniej zacisnął dłonie na moim ciele, po czym pociągnął mnie do góry. Poruszyłam nogami i stanęłam pewnie, kiedy się wyprostowaliśmy. Oboje przez chwilę milczeliśmy. Nie zorientowałam się nawet, że nadal zaciskam palce na jego polarze.

— Ale ty wiesz, że możesz mnie już puścić? — zapytał niby beznamiętnie po tym, jak znacząco spojrzął na moje białe knykcie, ale gdzieś w kącikach jego ust czaił się niemal niewidoczny uśmiech.

Pokręciłam głową, nadal zaszokowana i niepewna.

— Daj mi sekundę — odparłam nieco zbyt piskliwie, przez co już się nie hamował i po prostu parsknął śmiechem. Czułam, jak jego ciało powoli się rozluźnia. — Nigdzie nie pójdziesz?

— Victoria... — zaczął, ale nie dałam mu skończyć.

Popatrzyłam mu w oczy z powagą, podczas gdy on obserwował coś obok nas.

— Obiecujesz, że nie pójdziesz? — ponowiłam prośbę niemal błagalnie.

Tak, mogliśmy się kłócić i nie tolerować, ale nie było opcji, abym pozwoliła mu wrócić do nałogu. Nie mogłabym spojrzeć sobie w twarz, a już i tak miałam z tym problem. Może to do mnie nie pasowało i zachowywałam się żałośnie, ale w tamtej chwili mnie to nie interesowało.

Shey westchnął ciężko, a następnie popatrzył na mnie z góry. Coś w jego oczach sprawiło, że nieco się uspokoiłam. Nie płonęły już złymi emocjami.

— Tak, nie pójde tam — powiedział poważnie i wiedziałam, że nie kłamie.

Powoli puściłam jego ubranie i odeszłam o krok, rozprostowując obojętne palce. Nathaniel znów westchnął, obserwując mnie ze znudzeniem.

— Zadowolona? — zapytał, na co pokiwałam głową z uśmiechem satysfakcji.

Przewrócił oczami, ale zdecydował się tego nie komentować.

— W takim razie kończmy ten cyrk i wracajmy, bo pewnie nas już szuka... — zaczął, ale nie skończył, bo przerwał mu męski głos obok nas.

— O cholera. Nathaniel Shey.

Oboje jak na zawołanie spojrzeliśmy w jego kierunku, aby zobaczyć dość wysokiego i postawnego młodego mężczyznę, który właśnie zmierzał w naszą stronę z szerokim uśmiechem. Obok niego szło jeszcze czterech innych facetów, równie dużych i barczystych, ale mniej wysportowanych. Spięłam się, kiedy zatrzymali się w odległości kilkunastu stóp od nas. Nieznajomy nie wydawał się dużo starszy, oceniałabym, że był przed trzydziestką. Miał oliwkową karnację, obcięte na zapałkę

brązowe włosy i wiele tatuaży na przedramionach. Jego ciemne oczy niebezpiecznie zaświeciły się na widok Nathaniela.

Miałam nadzieję, że on i Shey są znajomymi. Inaczej mogło być nieciekawie, bo staliśmy w sporej odległości od ludzi przed barem. Było ciemno, a oni mieli przewagę liczebną. Nathaniel niestety nie wyglądał, jakby ich kojarzył. To sprawiło, że zrobiło mi się słabo ze stresu. Przed laty czułam się z nim najbezpieczniej na świecie i wiedziałam, że umie się obronić, ale nie był niezniszczalny, a ja potrafiłam myśleć realnie. Nie wiedziałam, czy Nathaniel czuł to samo, co ja, ale nawet jeśli tak, to oczywiście nie dał tego po sobie poznać. Spojrzał obojętnie na mężczyznę, który go rozpoznał, ignorując jego towarzyszy.

— Znamy się? — zapytał oschle, unosząc brew. Patrzył na nieznanego tak, jakby oceniał, czy warto z nim rozmawiać.

— Ty może mnie nie, ale ja ciebie tak — odpowiedział z uśmiechem. Był przystojny, ale dosyć przerażający. I strasznie umięśniony. — Jestem Patrick Sanchez.

Czuć się bezpiecznie

Miałam nadzieję, że ktoś sobie ze mnie kpi.

Zmusiłam się, by nie dać po sobie poznać, że rusza mnie to nazwisko. Właśnie znaleźli nas człowiek, którego szukaliśmy. Nowy najlepszy zawodnik w Culver City. Zerknęłam na Nathaniela, który również wydawał się obojętny. Jego mina nie zdradzała zupełnie niczego, chociaż w oczach rozbłysła mu dziwna iskra. Po krótkiej chwili uniósł kąciki ust, ale było to tak kpiarskie, że nawet ślepiec by to dostrzegł.

— Ach tak. Coś słyszałem — mruknął.

Było w tym tyle lekceważenia, że wydawało się, jakby splunął Sanchezowi w twarz. Mężczyźni to się wyraźnie nie spodobało, bo napiął szerokie ramiona. Chyba starał się nie pokazać tego po sobie, ale ukrywanie emocji nie wychodziło mu nawet w jednej setnej tak dobrze jak Sheyowi, który wyglądał, jakby ta sytuacja go bawiła. Cudownie, że jego to bawiło, bo ja miałam posmak wymiocin w gardle. Staliśmy tam sami, ich było pięciu, a w dodatku wyglądali, jakby właśnie wyszli z pudła na przepustkę.

— Cóż za zaszczyt. Co robi taka legenda w tym miejscu? — zapytał z przekąsem Patrick, starając się zagrać w grę Nathaniela, ale wypadło to dosyć żałośnie.

Shey nonszalancję i kpinę miał we krwi.

— Odwiedzam starych znajomych — odparł jak gdyby nigdy nic.

— Z fajnym towarzystwem — dopowiedział cicho Patrick, gdy jego wzrok spoczął na mnie.

Takie spojrzenia nie były dla mnie niczym nowym, ale mimo to zrobiło mi się nieprzyjemnie. Jeden z kolegów Sancheza gapił się w dość

nachalny sposób, skupiając uwagę na moich odkrytych nogach, ale reszta na szczęście nie poszła w jego ślady. Z kamienną twarzą założyłam ręce na piersi, aby ukryć swoje zdenerwowanie. Wyszło mi idealnie, ale jedna osoba dostrzegła, że wcale nie czuję się dobrze.

To znów stało się tak nagle, jakby za sprawą dziwnego impulsu. Nathaniel posłał mi spojrzenie, a ja wiedziałam, co mam zrobić. Gdy powoli uniosłam rękę, niemal od razu znalazłam się przy jego boku i wcisnęłam się w jego ciepłe ciało z zaciętą miną i wzrokiem wbitym w Patricka. Shey z nonszalancją objął mnie ramieniem, a ja przywołałam na twarz chłód i obojętność. W tym samym momencie obleśny mężczyzna przestał na mnie patrzeć, a Patrick przeniósł wzrok na niewzruszonego Nathaniela.

A w tym wszystkim byłam ja, czująca ciepło ciała Sheya, zapach jego wody kolońskiej, i choć nie chciałam się do tego przyznać, przegrałam.

Czułam się bezpiecznie.

Gdy po prostu mnie obejmował. Gdy jego ramię spoczywało na moich barkach i widziałam jego dużą dłoń przy swojej głowie. Gdy czułam jego tętno tuż przy swoich ustach. Poczułam się bezpiecznie, bo mogliśmy toczyć wojny i wytaczać przeciw sobie najgorsze działa, ale to nigdy nie zmieniało faktu, że przy nim nic mi nie groziło. Bo on właśnie taki był. Przed czterema laty mogłam tkwić po pas w gównie, a gdy tylko brał mnie w ramiona, strach, stres i zdenerwowanie tak po prostu ze mnie ulatywały. Po tych pieprzonych czterech latach znów byłam w tym miejscu i znów czułam się bezpieczna.

Bo to było *tych* miejscem, a gdy sobie to uświadomiłam, miałam ochotę podciąć sobie żyły.

— Jesteś jednym z zawodników, tak? — zapytał Shey, ale jego ton zdradzał, że jakoś nie bardzo go to obchodzi.

To zdecydowanie nie spodobało się Patrickowi. Irytowała go nonszalancja Nathaniela.

— Najlepszym z zawodników — poprawił go z dumą.

Poczułam, jak Shey uśmiecha się przy mojej twarzy, więc postanowiłam się włączyć i również wygięłam usta w kpiącym uśmiešku.

Zauważył, a mój uśmiech rozdrażnił go jeszcze bardziej.

— Legendarny Shey. Ile to już minęło od twojej ostatniej walki? Pięć lat?

— Cztery — poprawił go spokojnie Nathaniel.

Podczas gdy Patrick robił się coraz bardziej nerwowy, Shey był oazą spokoju.

— Nie planujesz wrócić? — zapytał, niby mimochodem robiąc krok w naszą stronę.

Żołądek mnie rozbolał, ale moja twarz ani drgnęła. Nathaniel lekko zacieśnił swój uścisk, musiał poczuć mój stres. Nie wiedziałam, czy jestem mu wdzięczna za ten gest, czy wręcz przeciwnie. Odbierałam zbyt wiele bodźców.

— Nie lubię powrotów do cyrku, chyba rozumiesz — odpowiedział z lekkim rozbawieniem, na co Sanchez zmarszczył brwi.

— Co?

— Widziałem kilka ostatnich walk — wyjaśnił od niechcienia Shey. Wiedziałam, że kłamie, bo mówił, że nie śledził ich, odkąd odciął się od tego syfu. Jednak wtedy uwierzyłby mu największy krętacz na świecie.

— To już nie jest boks. To jego marna imitacja. Dobre walki w Culver City skończyły się pięć lat temu.

— Myślisz tak, bo nie widziałeś moich walk — rzucił Sanchez, unosząc hardo głowę.

Chciał pokazać swoją wyższość? Być może, ale to Nathaniel był zawsze o trzy kroki przed każdym.

— Ależ widziałem.

To zdanie było jak kij wsadzony w mrowisko. Patrick już nie udawał, po prostu ruszył w stronę Sheya z wściekłością wypisaną na twarzy. Nathaniel zabrał ramię i szybkim ruchem pociągnął mnie za rękę, po czym stanął przede mną, całkowicie mnie zasłaniając. Nie spuścił przy tym Patricka z oczu, a Sanchez, który był niemal jego wzrostu, zatrzymał się tuż przed nim. Z szybko bijącym sercem obserwowałam go zza ramienia Nathaniela, czując rosnącą złość. Zaczął mnie okropnie irytować, ale najbardziej drażniła mnie myśl, że gdyby zaczęli się bić, Shey nie miałby szans. Pięciu na jednego, to nie miało prawa się udać. Było mi niedobrze i marzyłam tylko o tym, aby ktoś przyszedł na ten cholerny parking i to przerwał, nim na dobre się rozpocznie.

— Uważasz się za lepszego, co? — zadrwił Patrick, patrząc prosto w oczy Sheya.

Nie widziałam twarzy Nathaniela, ale mogłam wywnioskować, że niezbyt się przejął postawą swojego przeciwnika.

Ledwo powstrzymałam przewrócenie oczami. Panie, on był samobójcą.
— Nie uważam. — Wzruszył ramionami. — Ale fanem twoich walk nie jestem. Przykro mi. Jesteś tu najlepszy, bo reszta jest jeszcze gorsza.

Tak, Nate. Jeszcze zwyzrywaj mu matkę.

Oczy Sancheza płonęły gniewem, a ja chciałam wyparować i znaleźć się w domu.

— Skoro tak myślisz, to może pozwolił mi zmierzyć się z kimś dobrym, co? Z legendą. — Ostatnie słowo niemal z siebie wypułł. — Tyle się o tobie mówi. Ludzie nadal ci uwielbiają, choć moim zdaniem nie-słusznie. Może czas pokazać, że nie bez powodu jesteś uznawany za najlepszego?

Nathaniel udawał niezainteresowanego.

— Nie walczę już. I nie mam zamiaru do tego wracać.

— A co powiesz na jedną walkę? — zaproponował Sanchez. — Walka wieczoru. Tylko ty i ja. Powiedzmy, że będziesz tam jako... gość honorowy. Bez deklaracji powrotu na ring. To będzie dla mnie zaszczyt — kpił, ale było widać, że męczy go zraniona duma.

— Dlaczego tak ci na tym zależy? — zapytał Shey. — Przecież jesteś najlepszy, więc bądź sobie nadal. Ja jestem na emeryturze. Po co ci to?

— Bo chcę pokazać wszystkim, że wcale nie jesteś niepokonany.

Zapadła cisza, mężczyźni tylko się sobie nawzajem przyglądali. Spuściłam wzrok i dopiero wtedy zwróciłam uwagę na to, że znów zacisnęłam palce na polarze Sheya. Nie mogłam wyprostować dłoni i nie mogłam poprosić o to, aby się na to nie zgadzał. By nie wracał do tego syfu.

To był Nathaniel Shey. Czy cokolwiek kiedykolwiek powstrzymało go przed tym, co chciał zrobić?

— Skoro tak ci na tym zależy... mogę się zgodzić.

Kurwa.

Nie widziałam Sancheza, ale czułam, że szczerzy się w pełnym satysfakcji uśmiechu, choć odpowiedź Sheya była pełnym łaski i politowania splunięciem. Znow chciało mi się wymiotować.

— Doskonale — mruknął z zadowoleniem. — Organizatorzy są inni niż wtedy, gdy walczyłeś, ale i tak cię znają. Ktoś od nich odezwie się do ciebie, aby przekazać szczegóły. Będą wniebowzięci, że wielki Nathaniel Shey znow zawalczy. Jutro powinieneś znać już datę. Walka powinna odbyć się w przyszłym tygodniu.

— Dobrze. — Shey odpowiadał półsłówkami, jakby było mu wszystko jedno.

— Nie mogę się już doczekać, legendo — zakpił znów Sanchez, a potem poczułam, że się odsuwa. Jego ciężkie kroki odbiły się echem w mojej głowie. — Do zobaczenia. Twojej towarzyszce również.

Nie powstrzymałam się przed przewróceniem oczami, kiedy na mnie spojrział. Na szczęście zdecydował się tego nie skomentować, jedynie uniósł kącik ust. Mężczyźni powoli odeszli, zostawiając nas samych. Po kilkunastu sekundach było już zupełnie cicho. Milczeliśmy, a moje skostniałe dłonie wciąż zaciskały się na ubraniu Nathaniela. Gdy to do mnie dotarło, zreflektowałam się i je cofnęłam.

Po kolejnej minucie chłopak w końcu westchnął, kręcąc głową.

— Naprawdę liczyłem, że to będzie ktoś mądry — mruknął. — No cóż, przeliczyłem się.

Z tymi słowami odwrócił się w moją stronę. Napotkał moje pełne rozdrażnienia spojrzenie. Byłam wściekła przez to, że ta walka stała się już czymś rzeczywistym, nie tylko głupim planem. Moja postawa musiała go zdziwić, bo z rezerwą cofnął głowę.

— Ech, wszystko do... — zaczął zdezorientowany, ale głośny wrzask nie dał mu dokończyć.

— Czy wyście powariowali?!

Oboje jak na zawołanie popatrzyliśmy na Laurę, która właśnie zmierziała w naszym kierunku. Za nią szła cała reszta wesołej gromadki. Wszyscy wydawali się wściekli. Mia z zaciętą miną niosła mój płaszcz, a wzrok Theo niemal wypalał dziury w moim czole. Wydawało mi się, że parło ku nam stado rozwścieczonych byków, które chciały nadziać nas na najbliższe drzewa. Kiedy znaleźli się tuż przy nas, nie dali nam dojść do głosu.

— Czy wam już ostatecznie padło na łeb?! — zawołała Moore, kipiąc gniewem. — Victoria idzie sobie do baru, a potem znika jak kamień w wodę! Ty łąsisz z chłopakami, a nagle nigdzie cię nie ma! — wyła, wskazując palcem na niewzruszonego Nate'a. — I nie graj takiego niezainteresowanego, ty idioto!

— Kurwa mać, co tu się dzieje — zaklął Scott. — Was nie ma, Sanchez podobno wyszedł wcześniej. Latamy i szukamy was jak kretyni.

— Barman powiedział, że brunetka w sukience prawie zeszła przed barem, a Victorii wszędzie brak! — zawołał Donovan. — Już myśleliśmy, że leżysz gdzieś w krzakach!

— Do tego nawet nie ma tu człowieka, po którego przyszlismy — rzucił gniewnie Parker. Wyglądał, jakby siłą się powstrzymywał, by nie podejść do Nate'a i nie urwać mu głowy. — Od dwudziestu minut was szukamy. Nie to, że coś, ale moglibyście mieć przy sobie telefony!

— Co wy tu w ogóle robicie? — zapytała Mia.

Kiedy oczy wszystkich były zwrócone na nas, niemal jednocześnie spojrzeliśmy na siebie. Czarne tęczęwki zaślniły, a ja miałam dość.

— Cóż — zaczął Nathaniel. — Chyba mam walkę w przyszłym tygodniu.

Po tych słowach zapanowała kilkudziesięciosekundowa cisza. Nie miałam zamiaru brać udziału w tej rozmowie, więc tylko teatralnie wskazałam ręką na resztę.

— No dawaj, panie porywcy — rzuciłam do Sheya takim tonem, jakim matka zwraca się do niesfornego dziecka, aby wytłumaczyło się przed ojcem z wybryków. — Ja nie zamierzam o tym opowiadać.

Nathaniel przewrócił oczami, a po chwili streścił całe zdarzenie.

Gdy skończył mówić, zaczął się cyrk. Laura się odpaliła i chyba jako jedyna nie zdawałam sobie sprawy z tego, że przerwanie jej było niemożliwe.

— Wiecie co? Zastanawiam się, czy nie zapomnieliście o dość przydatnej umiejętności, jaką jest myślenie. Naprawdę ostatnimi czasy wątpię, byście z niej korzystali. W sumie wątpię nawet, czy w tych ślicznych główkach jest taki narząd jak mózg. Jesteście niemożliwi! Naprawdę niemożliwi! Czy wy chociaż przez chwilę moglibyście nie zachowywać się jak wariaci i zacząć kierować się instynktem samozachowawczym? Od zawsze wiedziałam, że z tym u was ciężko, ale nie sądziłam, że aż tak!

Westchnęłam, kiedy dalsza część kazania płynęła z ust dziewczyny niczym woda z wodospadu. Na początku miałam nadzieję, że oberwie się tylko Sheyowi, przeliczyłam się jednak, bo mnie też nie minęła reprimenda. Moore wyglądała tak samo jak Joseline, gdy nas karciała za różne przewinienia, a ja czułam się jak dziecko na dywaniku u dyrektora. Czyli wszystko się zgadzało. *No, prawie*. Nie miałam piętnastu lat, tylko dwadzieścia dwa, a dziewczyna, która prawila mi kazanie, była zaledwie

trzy lata starsza ode mnie. I nie byliśmy w szkole, tylko pod klubem. Jednak reszta jak najbardziej pasowała.

— Dobra, po tobie, Nate, to jeszcze można było się tego spodziewać. Wszyscy wiemy, że masz posrany pomysł średnio raz na godzinę, a w dodatku odruchy masochisty i jesteś idiotą. Do tego nie znasz takiego pojęcia, jak „zdrowy rozsądek”. Ale ty, Victoria, naprawdę mnie zaskoczyłaś. Nie sądziłam, że czerpiesz rozrywkę z igrania z losem i lubisz przyprawiać ludzi o zawał. Razem jesteście nie do wytrzymania, słowo daję!

I tak dalej przez kolejny kwadrans. Byłam w szoku, że Moore zna tyle słów. Tych niecenzuralnych również, bo dawno nikt mnie tak nie obraził, a przynajmniej nie tyloma wyszukаныmi epitetami. Ledwo zdusiłam w sobie chęć przewrócenia oczami przez jej dramatyczny ton, kiedy tak moralizowała, stojąc tuż przed nami, gestykulując i wymachując dłońmi we wszystkie strony. Pozostali nasi znajomi również byli na nas źli, więc pozwolili Laurze się wyżyć, aby uniknąć obowiązku zbesztania nas.

Po następnych pięciu minutach miałam nadzieję, że to koniec, bo Laura przestała mówić na dwie sekundy. Ale niestety... znów zrobiła głębszy wdech, co oznaczało, że jeszcze sobie posłuchamy. Połowy z tego, co mówiła, i tak nie rozumiałam przez szybkość, z jaką wyrzucała z siebie słowa. No i cóż, szczerze powiedziawszy, po tym, jak po raz tysięczny wytknęła nam głupotę, przestałam się skupiać na sensie jej wypowiedzi.

Postanowiłam przyjąć postawę swojego towarzysza. Shey już na samym początku ze znudzoną miną oparł się o samochód Mii, założył ręce na piersi i wbił wzrok w gorączkującą się Laurę. Gołym okiem było widać, że nie ma zamiaru ani jej przerywać, ani przejmować się jej wybuchem. Po prostu czekał, a jego idealna twarz pozostała niewzruszona. Nie pozostało mi nic innego niż zrobienie tego samego, więc w ciszy zajęłam miejsce obok niego. Wraz z moim kompanem w tej *haniebniej* dla naszych znajomych — a szczególnie dla Moore — zbrodni staliśmy od piętnastu minut oparci tyłem o maskę samochodu Mii.

W końcu ktoś wysoko postawiony chyba zdecydował się nade mną ulitować, bo po kolejnych kilku zdaniach Laura znów zrobiła głęboki wdech, ale już się nie odezwała. Zapanowała cisza, a atmosfera nadal

była ciężka jak stutonowy kamień. Milczenie przerwała osoba, która zawsze wykazywała się masochizmem i brakiem hamulców.

— I jak? Skończyłaś już kazanie? — odezwał się Nathaniel z cynizmem w głosie.

Ze stłumionym jękiem przymknęłam powieki. Chciałam jechać do domu po tym zdecydowanie trudnym wieczorze, ale nadal tkwiłam na parkingu przed zatłoczonym klubem w towarzystwie mojego brata, wściekłej Laury i całej reszty, a ten idiota jeszcze pogarszał sprawę!

Zacisnęłam szczękę i powoli odwróciłam głowę w jego kierunku. Wiedziałam, że czuł moją chęć mordy, ale wtedy obchodziłam go tak, jak obchodziło go wszystko inne na świecie. Czyli w ogóle. Z zatrwającą pewnością siebie i brakiem jakiegokolwiek emocji w czarnych oczach patrzył wyzywająco na Moore, jakby chciał ją jeszcze bardziej zdenerwować.

Miałam ochotę uderzyć go w ten jego prosty nos, a Laura zapewne w jakieś inne miejsce jego niewzruszonej twarzy. I tak zapewne by się stało, gdyby do akcji nie wkroczył Scott. Wiedział, że jego narzeczona znów jest na skraju, więc dzielnie wyminął Matta i Camerona, którzy przyglądali się całej sytuacji z bezpiecznej odległości, i podszedł do Moore, jakby była jakimś dzikim zwierzęciem, które musiał ujarzmić, aby nie odgryzło komuś ręki.

— Kochanie, spokojnie — zaczął cicho, łapiąc jej dłoń. — Skoro już powiedziałaś to, co wszyscy myślimy, może teraz pozwolisz, żebyśmy pogadali i zdecydowali, co dalej?

Po kilku sekundach denerwującej ciszy dziewczyna w końcu cicho westchnęła, a wyraz jej twarzy złagodniał. Jęknęła cicho, opierając się głową o tors Scotta.

— Okej, mój wybuch się skończył — mruknęła, a jej głos nie był tak piskliwy i donośny jak wcześniej. — Ale nadal jestem na was wściekła. Wszyscy się martwiliśmy. Mogło wam się coś stać. Nie po to przyszliśmy tu wszyscy razem, żebyście gdzieś nam znikali. Przestraszyliście nas i zachowaliście się nieodpowiedzialnie.

— A co było nieodpowiedzialnego w tym, że dorośli ludzie wyszli przed klub? — sarknął Shey, nie siląc się na miły ton.

Wtedy już nie byłam w stanie się powstrzymać. Ze złością się wyprostowałam, a następnie z całej siły uderzyłam go pięścią w ramię. Pomimo mojej kondycji cios musiał być mocny, bo chłopak zacisnął

szczękę, a moje palce zapiekły żywym ogniem. Jednak ani ja, ani on nie daliśmy tego po sobie poznać. Jego oczy płonęły, kiedy na mnie spojrział, ale zamiast się ugiąć, odpowiedziałam mu tym samym.

— Weź ty się już zamknij — warknęłam.

— Zgadzam się! — dodał Donovan, ale kiedy tylko Nathaniel na niego popatrzył, schował się za stojącym obok Chrisem.

— Czyli spotkaliście go, zaczęliście rozmawiać i po prostu ci to zaproponował? — odezwał się w końcu Parker. — Tak bez powodu?

— Pogadaliśmy i po prostu to zaproponował — odparł niewzruszony Shey, wbijając w niego wzrok.

Luke nie był przekonany.

— I tak po prostu... — zaczął.

Naprawdę chciałam jechać do domu, a ta rozmowa przypominała rozmowę dwóch przedszkolaków, więc przestałam się hamować.

— Jak ten baran zaczął go prowokować, to aż się rwał! — zawołałam z rozdrażnieniem, wskazując palcem na Sheya, na co wszyscy od razu na mnie spojrzeli. W tym sam Shey, który odtrącił mój palec i przewrócił oczami. Z rosnącą irytacją wyrzuciłam ręce w powietrze. — Nieważne jak, ważne, że ta gówniana walka się odbędzie! Umówiliśmy się, Nate wraca tylko na jedną walkę, jutro dostaniemy termin! Koniec historii, a teraz jedźmy do domu!

Czułam, jak ulatuje ze mnie całe powietrze. Z westchnieniem opuściłam ręce wzdłuż ciała. Naprawdę nie miałam już siły tam stać.

— Czyli go podpuściłeś? — zapytał w końcu Luke, a Shey potaknął. — Czemu mnie to nie dziwi.

— Cholera, jeśli walka ma być w przyszłym tygodniu, to mamy strasznie mało czasu — wtrącił się Scott. — Trzeba zadzwonić do Thiaga. I pozałatwić wszystko na treningach. Jasmine, zajmiesz się tym?

Dziewczyna skinęła głową.

— Czekaj, powiedzieliście, że to Patrick was znalazł — odezwał się Cameron, który dotąd stał cicho pomiędzy Theo i Mattem. Taksował wzrokiem to mnie, to Sheya. — Ale jakim cudem wy się tu w ogóle znaleźliście, skoro wszyscy mieliśmy go szukać w środku?

Och, kurwa.

Tego pytania się nie spodziewałam, a chyba powinnam, bo w końcu to było zastanawiające. Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć, bo

doprowadziła nas do tego seria przypadków, którą trudno było wytłumaczyć! Wszyscy czekali na odpowiedź.

Odchrząknęłam, odrzucając myśl, by spojrzeć na Sheya. Już i bez tego wystarczająco się irytowałam. Wzruszyłam ramionami i popatrzyłam na Camerona, w którego oczach dostrzegłam iskierkę ciekawości. *Dupek*.

— To wyszło przypadkiem — zaczęłam głosem pozbawionym emocji. — Żle się poczułam po lekach, więc poszłam do baru po wodę, a potem zdecydowałam się na papierosa i napatoczył się Nate. Mieliliśmy wracać razem do środka, ale zaczepił nas Patrick. Resztę historii już znacie.

Przynajmniej nie kłamałam, może nie powiedziałam pewnych rzeczy, ale to nie było nic wielkiego. W końcu nie musieli wiedzieć o wszystkim, nie byłam małym dzieckiem. Nathaniel chyba w pełni mnie popierał, bo po moim wyjaśnieniu nie odezwał się ani słowem, a to zwykle oznaczało, że się zgadza na daną wersję wydarzeń.

— A ty nie miałeś szukać w środku? — zapytał Parker Sheya, gdy przeanalizował moje słowa. — Powiedziałeś nam, że idziesz rozejrzeć się przy barze.

Oj, rozejrzał się. I już wiedziałam, czemu mnie tam znalazł, kiedy starałam się uspokoić.

— Dostałem telefon. Wyszedłem na zewnątrz, bo było za głośno — odpowiedział bez zająknięcia Nate.

Nie byłam pewna, czy wiedział o tym, że podsłuchiwałam kawałek jego rozmowy. Jeśli nie, to nie miałam zamiaru mu o tym mówić. Nie chciałam ryzykować głową, a poza tym nawet nie wiedziałam, z kim rozmawiał. Głupi głosik w moim umyśle bezustannie podpowiadał mi, że to z Severine, ale starałam się go uciszać za każdym razem, gdy tylko się odzywał. Chyba nie rozmawiałby takim tonem ze swoją narzeczoną? Byłabym ostatnią suką, gdybym przyznała się otwarcie, że chciałabym, aby to ona okazała się adresatką jego słów.

Boże, byłam okropna. Powinnam była im kibicować i chcieć dla nich jak najlepiej, a tymczasem ja miałam cichą nadzieję, że Nathaniel na nią warczał. Laura wcześniej wspominała o kłopotach w rajcu...

Naprawdę musiałam przestać.

— To okej. — Dziwną ciszę, jaka zapanowała między nami, postanowił przerwać Matt. Uśmiechnął się pogodnie i puścił do mnie oczko. — Najważniejsze, że wszystko jest załatwione. Teraz trzeba skupić się na

walce. Jeśli jutro podadzą datę, to za dwa dni będzie wiedziała połowa Culver City. — Po tych słowach spojrział na Chrisa. — Ty zrób swoje.

— Jak zawsze — odparł Adams, ukazując białe zęby w cwany uśmiešku.

Kątem oka dostrzegłam, jak Cameron unosi kącik ust.

— Informacja szybko się rozniesie — odezwała się w końcu Laura, której chyba przeszła złość. — Miejmy nadzieję, że tydzień wystarczy, żeby dotarła do Brooklyna. I że on postanowi tu przyjechać.

Pomyślałam, że kolejny tydzień będzie naprawdę trudny.

— Dobra, to wszystko załatwione, możemy... — zaczął Matt, ale przerwał mu dźwięk dzwonka telefonu Nathaniela.

Drgnęłam, kiedy poczułam, że Shey się prostuje. Wyciągnął telefon z kieszeni i zerknął na wyświetlacz. Może tylko mi się wydawało, ale mogłabym przysiąc, że zaklął pod nosem. Bez słowa odszedł na bok, w międzyczasie przykładając urządzenie do ucha.

Zaczęliśmy wymieniać standardowe pożegnania, gdy nagle dotarł do nas podniesiony głos Sheya.

— Jak to go, kurwa, nie ma?! — warknął lodowatym tonem.

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeliśmy w jego kierunku. Stał kilkanaście stóp od nas i wyglądał na zdenerwowanego. Głośno oddychał i mocno przyciskał telefon do ucha.

— To, kurwa, jedenastolatek, chyba łatwo zauważyć, że go nie ma — kontynuował coraz bardziej wściekły.

Nawet z odległości widziałam, że szybko oddycha i ma rozbiegany wzrok.

Zdezorientowana spojrzałam na resztę, ale oni również wydawali się zdziwieni. Parker zmarszczył brwi, a w jego oczach dostrzegłam niepokój.

— Cholera, chyba chodzi o Charliego — zaklął.

Szybko połączyłam kropki. Mówił o bracie Sheya.

Nathaniel głośno odetchnął i zwiesił głowę, przyciskając dłoń do skroni.

— Dobrze, zaraz wrócę — powiedział dużo ciszej, ale nie mniej nerwowo. — Będę za kilka minut, czekaj na mnie.

Z tymi słowami rozłączył się i opuścił rękę z telefonem. Nie czekał ani chwili, z palcami zaciśniętymi na iPhone ruszył w naszym kierunku i od razu odnalazł wzrokiem Parkera.

— Jedziesz ze mną — poinformował go tak szorstkim i władcym tonem, że chyba nikt nie byłby w stanie mu się sprzeciwić.

Luke zresztą nie zamierzał tego robić, bo tylko potaknął i spojrzął na zdeorientowaną Mię.

— Wrócisz z Laurą i Scottem? — zapytał i zerknął na Moore.

Laura od razu gorliwie pokiwała głową. Roberts nie odpowiedziała, tylko wywiercała wzrokiem dziury w czole Nathaniela.

— Co się stało? — spytała wyraźnie zdenerwowana. — Coś z Charliem?

Normalny człowiek coś by odpowiedział, ale to nadal był Nathaniel Shey. Wyciągnięcie od niego odpowiedzi zwykle było trudne, ale otrzymanie jej w sytuacji, gdy był tak podenerwowany, graniczyło z cudem. Więc nawet się nie zdziwiłam, kiedy całkowicie zignorował Mię, a następnie szybko wsiadł do jej samochodu na miejsce kierowcy. Jasmine bez słowa pożegnania wśliznęła się na tylną kanapę.

Luke westchnął i było widać, że też się zestresował.

— Pewnie znowu uciekł — westchnął i pocałował Mię w czoło. — Będę dzwonić.

Następnie pożegnał nas wszystkich skinieniem głowy i podążył w ślad za przyjaciółmi, wsiadając do samochodu. Chociaż obiecałam sobie, że tego nie zrobię, popatrzyłam na Nathaniela, kiedy zapalał silnik. On też się odwrócił, jakby to wyczuł. Nasze spojrzenia znów się spotkały. Wtedy przypomniałam sobie to, jak objął mnie ramieniem, kiedy zauważył, jak bardzo niekomfortowo czułam się w obecności Patricka i jego kumpli. To, jak bez zastanowienia pociągnął mnie za siebie i stanął przede mną, gdy wściekły Sanchez ruszył w naszą stronę. To, jak obejmował mnie mocniej, kiedy wyłapywał, że jest mi źle. To, że znów poczułam się tak głupio bezpiecznie. Dokładnie tak jak wtedy, gdy trzymał mnie w ramionach przed czterema laty.

Patrzyliśmy sobie w oczy przez dosłownie sekundę, ale ta sekunda wystarczyła. W tej sekundzie zobaczyłam i zrozumiałam tak wiele. Następnie Nathaniel bez cienia emocji ruszył. Obserwowałam, jak mazda znika w ciemności nocy.

Musiałam wrócić do rzeczywistości.

Wyglądało na to, że młodszy brat Nathaniela sprawia kłopoty. Cóż, można było się tego spodziewać, to nazwisko i krew płynąca w jego żyłach do czegoś zobowiązywały. Zerknęłam na resztę.

— Charlie daje popalić? — zapytała zaniepokojona Laura.

— Ostatnio Nate ma z nim trochę problemów — potaknęła Mia, a po jej minie wywnioskowałam, że nie chce powiedzieć nic więcej.

Inni również to wyłapali i nie zadawali pytań.

Pożegnaliśmy się po raz kolejny i wszyscy zaczęli pakować się do swoich samochodów. Scott i Laura jeszcze gadali o czymś z Theo, dlatego gdy Mia posłała mi ciepły uśmiech, postanowiłam wykorzystać okazję. Podeszłam do niej i ściągnęłam sobie z palca jej obrączkę.

— To chyba należy do ciebie — mruknęłam, wkładając sporo energii w to, aby ukryć swoje zażenowanie.

Podalam jej obrączkę, a uśmiech dziewczyny jeszcze się poszerzył. Spojrzała na mnie spod rzęs i lekko przechyliła głowę.

— A przypadkiem nie do ciebie? Podobno zgubiłaś — zażartowała, ale przyjęła obrączkę i wsunęła ją na swój palec.

Powstrzymałam się od przewrócenia oczami i splotłam ręce na klatce piersiowej. Czułam usilną potrzebę, aby jej wytłumaczyć, co tam się stało i że pomiędzy mną a Sheyem do niczego nie doszło.

— Bardzo dziękuję ci za to, że mi pomogłaś. I nie chcę, byś wyciągała jakieś błędne wnioski odnośnie do tamtego wieczoru i tego, że byłam sama z Nate'em na zewnątrz, my po prostu... — zaczęłam chaotycznie, ale Mia od razu pokręciła głową.

— Nie musisz mi się tłumaczyć, pewnie mieliście do obgadania różne rzeczy. Nate zachował się wtedy... nie za fajnie. — Podrapała się po karku. — Chciałam ci pomóc, aby nikt nie dopytywał. Szczególnie Severine.

Zignorowałam usilną chęć przewrócenia oczami, gdy usłyszałam to imię.

— Ona nie wie o wielu rzeczach, ale chyba już to zauważyłaś — kontynuowała i przeczesła dłońmi swoje lekko splątane włosy. Rozejrzała się, czy aby na pewno nikt nas nie słyszy, a potem i tak ściszyła głos. — Poznałam ją, gdy związała się z Nate'em, a stało się to naprawdę szybko. Byliśmy z Lukiem w niezłym szoku, kiedy przedstawił ją nam jako swoją dziewczynę, ale zaakceptowaliśmy to, bo to była jego decyzja. Nate ma prawo do układania swojego życia, jak chce...

— Mia, nie musisz mi tego tłumaczyć — powiedziałam od razu.

Nie chciałam, aby czuła przymus zwierzenia mi się. Roberts pokręciła głową.

— Wiem, ale chcę ci to powiedzieć — wyznała, więc już jej nie przerywałam. — Lubię ją, bo jest sympatyczna, ale nigdy nie trzymałam się z nią bardzo blisko. Chyba właśnie przez fakt, że nie wie o wielu rzeczach. Nate powiedział nam raz, że mamy nie poruszać przy niej tematu przeszłości. Dlatego nie wie o... o tobie. — Przełknęła ślinę. Nie byłam nawet zła. *Byłam tylko wspomnieniem.* — Ale to nie zmienia faktu, że Severine jest w porządku i zasługuje na dobre traktowanie.

Nie skomentowałam jej słów. Wiedziałam, że ma rację, Severine nie była niczemu winna i Nathaniel był przy niej szczęśliwy. Poza tym mieli wziąć ślub. Ja byłam przeszłością, ona terażniejszością i przyszłością.

— Niestety Charlie nie za bardzo się z nią dogaduje — mruknęła bardziej do siebie niż do mnie. — Mam nadzieję, że szybko go znajdą i wszystko się ułoży.

— Mia! — zawołał Scott, więc obie na niego spojrzaliśmy. Stał przy SUV-ie. — Jedziemy.

Roberts potaknęła i znów zerknęła w moim kierunku, a ja zaczęłam się bać, że mnie przytuli. Na szczęście zdecydowała się jedynie na uśmiech i skinięcie brodą, a następnie ruszyła w stronę reszty. Pozostali też wybrali pożegnanie na odległość. Chris posłał mi buziaka w powietrzu i władował się do taksówki, a ja odetchnęłam z ulgą.

Byłam wybrakowana.

Coś ścisnęło mnie w środku, bo wiedziałam, że czeka mnie kolejna nieprzyjemna rozmowa na temat mojego zachowania. Laura może próbowała grać złą, ale wiedziałam, że szybko nam wybaczyła. Niestety był ktoś, kto — byłam tego pewna — tak łatwo mi nie odpuści.

Na miękkich nogach ruszyłam w stronę naszego auta. Wsiadłam, zatrzasnęłam za sobą drzwi i od razu tego pożałowałam, bo poczułam się tak, jakbym odcięła sobie tlen. Nie musiałam nawet patrzeć w kierunku Theo, aby wiedzieć, że jest wściekły, ale i tak to zrobiłam. Przygryzłam wargę, kiedy mój wzrok padł na jego dłonie zaciśnięte na kierownicy. Nawet na mnie nie zerknął, po prostu odpalił silnik i zaczął jechać.

Wyjechał z parkingu i ruszył ulicą, podczas gdy ja nadal przypatrywałam się jego zaciśniętej szczęce. Cudownie, był tak zły, że nie chciał rozmawiać.

Popisałaś się, Clark. Naprawdę.

Byłam coraz bardziej zirytowana, kiedy kolejne minuty mijały, a on nadal nie odezwał się ani słowem. Atmosfera stała się paskudna, a skoro to była moja wina, to ja musiałam to naprawić.

— Wiem, że zniknęłam bez słowa, Theo, i przepraszam — mruknęłam zachrypniętym głosem. Chciało mi się rzygać. — Nie chciałam cię zmartwić.

— Ale zmartwiłaś — powiedział chłodno, a ja zacisnęłam szczękę.

— Po prostu źle się poczułam i poszłam do baru, a potem musiałam wyjść na papierosa. Nie chciałam, żebyś się martwił.

— Wiem, Victoria — odparł, a jego ton nadal był lodowaty. Dalej na mnie nie patrzył. — Wiem, że nie chciałaś mnie zmartwić, ale to nie zmienia faktu, że wiesz, jak się rzeczy mają. Bałem się.

— Wiem — odpowiedziałam i pierwszy raz od dawna poczułam skruchę.

Było mi głupio, przecież mogłam przed papierosem po prostu powiadomić Mię czy Laurę, że wychodzę na zewnątrz, i poprosić, aby przekazały to mojemu bratu. Theo nie był nadopiekuńczy, zawsze chciał, abym czuła się komfortowo. Opiekował się mną jak nikt inny na świecie, a podczas moich złych dni starał się jeszcze bardziej. Miał powód, by mnie bardziej pilnować.

Bo kiedyś złe dni nie przebiegały tak łagodnie, a ja nie bałam się zrobić sobie krzywdy.

Theo nadal nie był w dobrym humorze, ale jego mięśnie nie były już tak spięte, a wzrok taki ostry. Westchnęłam ciężko i zmusiłam się, by dotknąć jego dłoni, którą obejmował drążek zmiany biegów. Wiedział, ile musiało mnie to kosztować, więc spojrzał na mnie łagodniej.

Theo był moim schronem. Jedynym, jaki miałam. Był bezpieczną wyspą na wzburzonym morzu, a ja przysparzałam mu zmartwień. Byłam taka okropna. Tak bardzo na niego nie zasługiwałam.

— Przepraszam, Theo.

Mówiłam szczerze i tak samo szczerze nienawidziłam siebie za to, jak mój głos był wyprany z emocji. Mimo że próbowałam to zmienić, nadal był przezroczysty i pusty jak niezapisana kartka papieru. Jednak Theo nigdy się o to nie gniewał. Wiedział, że taka jestem, że jestem pusta w środku. Że mam jedynie ładną buzię, ale brudne wnętrze.

— To już nie wróci — zapewniłam go. — Nie będzie tak jak kiedyś. Obiecuję.

Mój brat błado się uśmiechnął, a następnie odwrócił głowę w stronę przedniej szyby i znów skupił wzrok na jezdni.

— Wiem — odparł niemal niesłyszalnie.

Nie miałam pojęcia, czy każde z nas tak naprawdę nie próbowało przekonać siebie. Odsunęłam rękę i znów poczułam, jak wraca mi powietrze. Znosiłam tylko swój dotyk.

Zerknęłam na okno i nie wiedzieć czemu myślami wróciłam do Sheya. Zastanawiałam się, co robi i czy znalazł już swojego brata. Rozmyślałam również nad rozmową z Mią. Zaczęłam nieco współczuć Severine, że nie dogadywała się z bratem Nathaniela, w końcu wiedziałam, jak wiele Charlie dla niego znaczył, zawsze tak ładnie o nim mówił. Ta sytuacja przypomniła mi o dzieciaku, którego dwa razy przypadkowo spotkałam. Jego historia była podobna, również nie dogadywał się z dziewczyną swojego...

Zamarłam. Gdybym była postacią w kreskówce, zapewne nad moją głową pojawiłaby się zapalona żarówka. Mój mózg wszedł na wyższe obroty i zaczęłam łączyć wątki. Wiek się zgadzał... Nie dogadywał się z dziewczyną starszego brata, był wygadany i inteligentny. To nie mógł być przypadek, gnojek od kradzionych batonów musiał być Charliem Sheyem! Jakim cudem wcześniej na to nie wpadłam?!

— Theo, musimy gdzieś pojechać — powiedziałam, uparczywie myśląc nad tym, gdzie mógł podziać się ten cholerny dzieciak. Miałam pewne podejrzenia i coś czułam, że są trafne.

Mój brat spojrział na mnie ze zdziwieniem.

— Niby gdzie?

— Kojarzysz ten mały sklepik niedaleko kina?

— Ale po co...

— Jedź! — nakazałam.

Theodor nie dopytywał, tylko od razu gwałtownie skręcił.

Nie znałam bliżej chłopca od batonów, w sumie rozmawiałam z nim dwa razy, ale poczułam, że muszę go znaleźć. Nie ze względu na Nathaniela, ale na to, że dzieciak miał tylko jedenaście lat, było późno i ciemno, a w Culver City kręciło się wielu dziwnych typów. Nie chciałam, by

coś mu się stało. Wyrzuty sumienia by mnie zabiły, gdybym wiedziała, że byłam w stanie coś zrobić, ale nie zrobiłam. Cóż, mogłam się mylić i to niekoniecznie był młodszy brat Sheya, ale musiałam to sprawdzić.

Na szczęście Theo dojechał na miejsce dość szybko. Wjechał na pusty parking oświetlony przez kilka latarni i zrobił jedno kółko, podczas gdy ja wyęczałam wzrok, aby cokolwiek dostrzec. Patrzył na mnie jak na skończoną kretynkę, ale nie przejmowałam się tym. Niestety nikogo nie zauważyłam i zaczęłam wątpić w to, że dzieciak tam jest. Zrozumiałam, że postąpiłam jak idiotka. Czy naprawdę myślałam, że znajdę go tak szybko po zaledwie dwóch spotkaniach? To przecież pewnie nawet nie był Charlie, tylko jakieś inne dziecko, które o tej porze spało w najlepsze w swoim domu!

— Powiesz mi, co my tu, do cholery, robimy? — zapytał w końcu Theo i się zatrzymał.

Westchnęłam i pokręciłam głową.

— Coś mi się wydawało, ale chyba przyjechaliśmy tu na darmo — wyznałam i machnęłam ręką. — Nieważne, możemy...

Urwałam w połowie, gdy nagle zauważyłam niewyraźną postać słabo widoczną w świetle latarni. Chłopiec z kapturem na głowie siedział skulony na krawężniku dokładnie w tym samym miejscu, gdzie znalazłam go ostatnim razem.

— Cholera! — zakląłam.

Odpięłam pas i wystrzeliłam z samochodu jak z procy. Szybko ruszyłam w kierunku dzieciaka. Już z daleka po grzywce i białych air force'ach poznałam, że to on.

— Czy ty zwariowałeś?! — zawołałam wściekła.

Dzieciak podskoczył w miejscu i z przerażeniem spojrział w moją stronę. Nawet mnie samą zaskoczył mój wybuch i to, jak szybko waliło mi serce. Jednak najbardziej zdziwiła mnie ta niespodziewana ulga, którą poczułam, gdy zobaczyłam go całego i zdrowego. To było popieprzone, bo nawet go nie znałam! Jednak w tamtej chwili nie miało to znaczenia.

Chłopak wyglądał na wystraszonego, ale gdy zerknął na moją twarz, chyba mnie rozpoznał, ponieważ przymknął powieki z widoczną ulgą i położył dłoń na klatce piersiowej. Moment później spojrział na mnie groźnie.

— Wystraszyłaś mnie — powiedział z wyrzutem. Poprawił kaptur czarnej bluzy na głowie, gdy stanęłam obok niego. — Co tu robisz?

— Co ja tu robię?! — zawołałam i wzięłam się pod boki. Moje oczy ciaskały w niego gromy. Już nawet nie próbowałam zapanować nad swoimi emocjami, miałam ochotę go rozszarpać. — Czy ty postradałeś zmysły, gnojku?! Jest już późno, jest ciemno, a ty uciekasz z domu i nie dajesz znaku życia?! Czy ty jesteś poważny?! Wszyscy się o ciebie martwią, z twoim bratem na czele!

Po moim wybuchu spojrział na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Powoli podniósł się z ziemi i zrobił krok w tył, jakby chciał mi pokazać, że poczuł względem mnie jakieś negatywne emocje. Wpatrywał się we mnie ze zdziwieniem i nieufnością.

— Chwila, chwila — mruknął. — Skąd wiesz, że uciekłem? I skąd wiesz, że mój brat się martwi?

Znów chciałam zacząć krzyczeć, ale wtedy uświadomiłam sobie, że dzieciak nie wie o tym, że znam Nathaniela, i mógł poczuć się bardzo zdezorientowany. To sprawiło, że nieco się uspokoiłam i głośno westchnęłam. Nie byłam już tak bojowo nastawiona.

— Znam twojego brata, Charlie — odpowiedziałam, na co wytrzeszczył oczy.

— Skąd znasz moje imię?! — zawołał i znów cofnął się o krok.

Nie chciałam go przestraszyć, więc szybko przystąpiłam do tłumaczeń.

— Słuchaj, nie wiedziałam o tym wcześniej — zaczęłam. — Myślałam, że jesteś zwykłym dzieciakiem, którego spotkałam dwa razy przypadkiem, i tyle. Dziś spotkałam się w klubie z twoim bratem i naszymi znajomymi. Ktoś do niego zadzwonił i powiedział, że jego brat uciekł. Zmartwił się i pojechał cię szukać. Na początku tego nie skojarzyłam, ale potem połączyłam kropki i zrozumiałam, że jesteś bratem Nathaniela Sheya.

Moje słowa nieco go uspokoiły, choć dalej wyglądał na nieprzekonanego.

— Skąd wiedziałas, że tu jestem?

— Nie wiedziałam, po prostu obstawiałam. Ostatnim razem jak uciekłeś, też tu byłeś. I całe szczęście, że o tym pomyślałam. Jest już późno, a ty zachowujesz się niepoważnie! Wiesz, ile rzeczy mogło ci się stać?! — znów uniosłam głos, patrząc na niego z wyrzutem.

Chłopak był już spokojny, a w jego wielkich zielonych oczach dostrzegłam tonę skruchy. Zwiesił głowę i zaczął bawić się swoimi palcami.

— No bo... — zająknął się. — No bo ja się pokłóciłem z Severine... — zaczął i pierwszy raz na dźwięk tego imienia nie miałam ochoty uderzyć głową w ścianę. Gnojek był w tamtym momencie ważniejszy.

— To nie powód, aby uciekać i nie dawać znaku życia! — krzyknęłam, na co jeszcze bardziej się skulił. Od razu skarciłam za to samą siebie. Był już wystarczająco zdenerwowany i nie powinnam była mu dokładać stresu. Westchnęłam. — Nate wie, gdzie jesteś?

Dzieciak pokręcił głową.

— A masz telefon?

Znów przecząca odpowiedź.

Zacząłam się zastanawiać nad najlepszym rozwiązaniem. Bóg wie ile tam siedział, a było coraz chłodniej. Nathaniela raczej nie było w domu, pewnie jeździł po mieście z Lukiem i szukał brata. Poza tym czułam się coraz gorzej i nogi odmawiały mi już posłuszeństwa. Musiałam pomyśleć, a Charlie musiał się ogrzać i uspokoić.

— Dobra, zrobimy tak — zaczęłam. — Pojedziemy teraz do mojego domu, zadzwonimy po twojego brata i na spokojnie wszystko mu wytłumaczysz, a potem będziesz się modlił, aby cię nie zabił. Co ty na to?

Widziałam, że moja propozycja jest mu na rękę, bo spojrzał na mnie z uśmiechem i szybko pokiwał głową. Westchnęłam i ruszyłam w stronę samochodu, a gnojek od razu znalazł się u mojego boku. Theo stał przed mercedesem z głupią miną, patrząc to na mnie, to na chłopca.

— Co do... — zaczął, ale szybko się powstrzymał, gdy skarciłam go wzrokiem. — Kto to jest?

— Brat Sheya — odparłam, na co wytrzeszczył oczy i już otwierał usta, ale pokręciłam głową. — Później ci to wyjaśnię. Charlie — zwróciłam się do chłopca i wskazałam na Theodora — to mój brat Theo.

Chłopiec uśmiechnął się i wyciągnął rękę w kierunku Theo. Mój brat przez chwilę patrzył na nią w zawieszeniu, ale w końcu otrząsnął się z szoku i uściśnął ją.

— Siadaj z tyłu — rzuciłam.

Theo otworzył mi drzwi, a młody od razu wsiadł. Gdy mój brat zamknął za nim drzwi, spojrzał na mnie pytająco, ale znów tylko pokręciłam głową. Musieliśmy najpierw pojechać do domu, bo umierałam w tych cholernych szpilkach.

Wsiadliśmy i zerknęłam na Charliego przez ramię. Siedział zapięty pasem z dłońmi skrzyżowanymi na kolanach, a na jego ustach błąkał się półuśmiech. Ściągnął kaptur, a jego włosy były zmierzwiłone i sterczały na wszystkie strony. Patrzył na mnie z zadowoleniem i rumieńcami na policzkach i było w tym coś tak uroczego, że ledwo zdusiłam uśmiech.

— Musisz zapiąć pas — poinformował mnie. — Nate zawsze każe mi zapinać pas.

Na te słowa w mojej głowie pojawiło się kilka wspomnień z okresu, kiedy Shey i mnie kazał zapinać pas. Zazwyczaj było tak wtedy, gdy to ja prowadziłam, ponieważ mi nie ufał. Znów powstrzymałam uśmiech i odwróciłam się na fotelu. Posłusznie naciągnęłam pas, a w tym samym czasie Theo ostrożnie wyjechał z parkingu.

— Zachowałeś się nieodpowiedzialnie — mruknęłam, chwytając telefon Theo, aby zmienić piosenkę lecącą z głośników.

— Wiem, nie powinienem tak uciekać — przyznał cicho i w jego głosie znów usłyszałam skrucę.

— Tak, to również, ale zachowałeś się nieodpowiedzialnie, wsiadając z nami do tego samochodu — westchnęłam i odłożyłam telefon, gdy włączyłam *Imagine* Johna Lennona.

— Lubię tę piosenkę. Nate ją często puszcza.

Znów zerknęłam na niego przez ramię i zdecydowałam się puścić tę uwagę mimo uszu. To była tylko durna piosenka.

— Przecież nawet nas nie znasz, rozmawialiśmy dopiero dwa razy — wróciłam do poprzedniego tematu. — Wsiadłeś z nieznajomymi dorosłymi do ich samochodu. Tak się nie robi, to niebezpieczne.

— Przecież cię znam — powiedział ze zmarszczonymi brwiami. — I znasz Nate'a.

— Mogłam skłamać! — zawołałam, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. — Nie możesz być taki łatwowierny! Przecież mogłabym być psychopatką, która chce ci zrobić krzywdę!

Mój wywód chyba nie zrobił na nim większego wrażenia, bo tylko machnął ręką i wyrzwał przez szybę.

— O to się nie martwię, znając mojego brata, znalazłby mnie w dieście minut i jeszcze cię pobił.

Przewróciłam oczami, ale chcąc nie chcąc, musiałam przyznać mu rację. Nathaniel był bardzo opiekuńczy w stosunku do osób, na

których mu zależało. Przeszukałby każdy dom w Kalifornii, byleby go znaleźć.

— Poza tym z tobą czuję się bezpiecznie — odezwał się cicho.

— Co? — Zmarszczyłam brwi.

Charlie spojrział na mnie ze spokojnym uśmiechem, a jego oczy błyszczały tak pięknie i uroczo, że coś dziwnie ścisnęło się w mojej klatce piersiowej.

— Masz w sobie coś takiego, że z tobą to jest proste.

Mówił pewnie i z przekonaniem, choć zupełnie go nie rozumiałam.

— Co jest ze mną proste?

— Czuć się bezpiecznie.

Zamilkłam i tylko się w niego wpatrywałam. Zaskoczył mnie tą odpowiedzią, ponieważ dało się o mnie powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że można było czuć się ze mną bezpiecznie. Często wpadałam na dziwne pomysły, a z czasem mój instynkt samozachowawczy całkowicie zanikł. Do tego nie trawiłam większości osób na tym świecie i gdybym mogła, to podpisałabym jakiś papier, aby nikt się do mnie nie odzywał. W dodatku nienawidziłam dzieci, byłam lekkomyślna i nie potrafiłam się obronić. Jakim cudem ktokolwiek mógł czuć się przy mnie bezpiecznie?

Z kamienną twarzą ostatni raz spojrzałam mu w oczy, a następnie wcisnęłam się w swój fotel. Do końca drogi już żadne z nas się nie odezwało.

Theo zaparkował przed naszym domem. Wszyscy wysiedliśmy, po czym skierowaliśmy się do drzwi. Charlie ciągle szedł obok mnie, rozglądając się z zaciekawieniem.

— Macie tu bardzo...

— Tak, tak, jest dużo trawy — powiedziałam bardziej nerwowo, niż miałam w zamiarze. Wiedziałam, że wytknie nam zaniedbany ogród, bo dosłownie każdy to robił!

Weszliśmy do domu i ściągnęłam szpilki. Już dawno nie czułam takiej ulgi... To było tak, jakby ktoś dał mi nowe życie.

— Mogę do łazienki? — zapytał Charlie. Wyglądał, jakby czuł się komfortowo, i cieszyło mnie to bardziej, niż powinno.

— Tak, Theo cię zaprowadzi.

Obaj przeszli do łazienki na parterze, a ja weszłam do kuchni. Zaczęłam nalewać soku do szklanki, a po kilkunastu sekundach do pomieszczenia wkroczył mój brat. Założył ręce na piersi i spojrzał na mnie tak surowym wzrokiem, że zrobiło mi się zimniej.

— Skąd go znasz? — zapytał.

Pokrótkie wyjaśniłam mu wszystko i opowiedziałam o naszych ostatnich spotkaniach, pomijając fakt, że gnojek chciał ukraść batony. To postanowiłam zostawić dla siebie. Theo uważnie mnie wysłuchał, a gdy skończyłam, kiwnął głową z uznaniem.

— To dobrze, że o tym pomyślałaś. Mogło mu się coś stać — mruknął i upił łyk soku. — Ale dziwię się, że tak późno to ogarnęłaś. Przecież to jest młodsza wersja Sheya. Tylko z jasnymi oczami.

— Co ty mówisz? — Zmarszczyłam brwi. W międzyczasie zaczęłam podgrzewać w mikrofalce naleśniki, które Theo usmażył rano. — Są zupełnie różni.

Chłopak spojrzał na mnie z politowaniem.

— Przyjrzyj mu się. Od razu widać. — Odstawił szklankę na stół. — To co z nim zrobimy?

— Trzeba zadzwonić po Nate'a, żeby po niego przyjechał — mruknęłam i oparłam ręce na biodrach. — Na razie niech siedzi tutaj.

— Masz rację. Pójdę po niego zadzwonić. Chyba mam gdzieś numer.

Theo wyszedł z kuchni, po drodze mijając Charliego, który wrócił z łazienki. Chłopiec spojrzał na mnie z uśmiechem i usiadł na stołku przy wyspie kuchennej. Wyjęłam talerz z naleśnikami i postawiłam go przed dzieciakiem. Wiedziałam, że jest głodny, bo od razu zaświeciły mu się oczy, a kiedy przysunęłam mu przed nos słóiczek z kremem czekoladowym i marmoladę, wyglądał, jakby nie potrzebował niczego więcej do szczęścia.

— Jedz, bo pewnie jesteś głodny — mruknęłam, a Charlie zabrał się za przygotowywanie sobie posiłku. — Teraz sobie pogadamy.

— Nie powinno się mówić i jeść jednocześnie, można się zadławić — odparł.

Zmrużyłam groźnie oczy.

— Nie testuj mojej cierpliwości, gnojku — ostrzegłam go. — W takim razie będziesz mówił w przerwach od jedzenia.

Nalałam soku pomarańczowego do szklanki i podałam mu ją.

— Kiedy uciekłeś?

Chłopiec nie odpowiedział od razu, najpierw przełknął i odłożył widelec. Był naprawdę dobrze wychowany.

— Jakies dwie godziny temu. Pokręciłem się trochę po mieście i poszedłem pod ten sklep. Lubię tam siedzieć, to takie moje miejsce.

— Dlaczego uciekłeś?

To pytanie nie było już dla niego takie proste. Zawiesił się na chwilę ze wzrokiem wbitym w naleśnika. Chwyciłam szklankę z sokiem i oparłam się tyłem o zlew, przyglądając mu się czujnie. Może byłam wścibska i go przepytywałam, ale złościło mnie, że zachował się tak lekkomyślnie. Choć wcale nie powinno, bo to nie był mój brat!

Zerknął na mnie spod rzęs.

— Znasz Severine? Dziewczynę Nate'a? — zapytał, a ja potaknęłam. — No to mówiłem ci już wcześniej, że się nie dogadujemy. I chciałem robić tak, jak radziłaś, naprawdę! — zawołał heroicznie. — Ale... no nie umiem! Ona mnie tak strasznie denerwuje i jest taka... taka wkurzająca no!

— Uciekłeś przez nią?

— Dziś mnie pilnowała. — Przewrócił oczami. Przez chwilę poczułam, jakby stał przede mną sam Nathaniel. No, jego miniaturowa wersja. — Nate powiedział, że musi pojechać do kolegów, i zapytał, czy mógłbym zostać z Severine, bo pani Jones, nasza sąsiadka, u której często zostaję na noc, gdzieś wyjechała. Mówiłem mu, że mogę zostać sam, ale chciałem, żeby przyszła Severine... więc przyszła. Na początku myślałem, że będzie okej, bo musiałem się uczyć na test z historii, który jest jutro, ale...

— Ale co? — dopytałam.

Charlie ze złością wyrzucił ręce w powietrze.

— Ale ona jest nienormalna! — zawołał z oburzeniem. — Chciałem tylko się pouczyć w spokoju, żeby zdać ten test, a ona ciągle gadała! Bez przerwy coś mówiła i mi przeszkadzała, chociaż uczyłem się w pokoju Nate'a. Mogła sobie obejrzeć film, ale nie. Musiała siedzieć obok mnie, zabierała mi książki, zadawała durne pytania, a gdy poprosiłem, żeby mnie zostawiła, to jeszcze miała pretensje! A potem się okazało, że zaprosiła jakąś swoją głupią przyjaciółkę, gadały i się śmiały, i nie mogłem się skupić. Były głośno, nawet jak prosiłem, żeby się uciszyły.

— I się z nią pokłóciłeś? — zgadywałam.

— No bo w końcu nie wytrzymałem i trochę się zdenerwowałem... — mruknął, a jego uszy się zaczerwieniły.

Spojrzałam na niego intensywniej, gdy usilnie starał się uciec gdzieś wzrokiem.

— Gnojku — powiedziałam ostrzegawczo. — Co zrobisz?

— Powiedziałem jej, że gdyby można było strzelać do głupoty, to ona musiałaby się chować, bo dostawałaby strzał przynajmniej pięć razy dziennie.

Otworzyłam szerzej oczy. Spodziewałam się wszystkiego, ale nie tego! Skarciłam samą siebie, bo poczułam, że chciałabym to zobaczyć. Jedenastolatek wyzywający starszą dziewczynę, która na dodatek spotyka się z jego bratem, i to wyzywający ją w taki sposób... to było dla mnie nie do wyobrażenia. Do tamtej chwili wydawało mi się, że jestem uprzedzona, ale Charlie był kolejną osobą, która uważała, że Severine nie należy do najmądrzejszych. Może rzeczywiście coś w tym było? W końcu znał ją lepiej ode mnie.

Chciałam go skarcić, jednak trochę go rozumiałam. Zamierzał tylko w spokoju się pouczyć, a ona mu to uniemożliwiła. W ciszy wpatrywałam się w jego czerwone uszy. Katował widelcem niedojedzonego naleśnika. Przez dobrą minutę żadne z nas się nie odezwało. Wreszcie wypuściłam powietrze i odstawiłam szklankę na blat.

— Rozumiem twoje zdenerwowanie — powiedziałam, a chłopiec spojrzał na mnie z nadzieją w zielonych oczach. — Z moim temperamentem postąpiłabym podobnie. Próbowaleś na spokojnie, ona nie posłuchała i nie uszanowała tego, więc miałeś prawo tak zareagować. Mogłeś nawet wyjść na chwilę, aby ochłonać, ale to nie jest powód, aby uciekać i nie dawać znaku życia. Twój bliscy się martwią. Nate się martwi.

— Ta, pewnie weźmie jej stronę albo będzie próbował mnie przekonać, że chciała dobrze — burknął pod nosem, grzebiąc łyżeczką w słoniczku z marmoladą.

— Tak to wygląda?

— Zazwyczaj. Nie lubi o tym rozmawiać. Chce po prostu, żebyśmy dobrze ze sobą żyli, ale z tą wariatką to trudne.

Zamyśliłam się na chwilę. Przypomniała mi się rozmowa Nathaniela, którą podsłuchiwałam pod klubem. Byłam prawie pewna, że rozmawiał

z Severine, która zadzwoniła do niego, aby mu się poskarżyć. Przygryzłam policzek i oparłam się łokciami o wyspę kuchenną, po której drugiej stronie siedział Charlie. Wyczuł, że mu się przyglądam, więc w końcu na mnie zerknął.

— Słyszałam rozmowę Nate'a z Severine — zaczęłam cicho. — Powiedział jej, że ta sytuacja to pewnie jej wina. Wziął twoją stronę.

Oczy chłopca rozblęły.

— Poważnie?

Potaknęłam. Jego radość nie trwała jednak długo.

— Kurczę, a ja znowu uciekłem. Pewnie go zawiodłem...

— Często tak znikasz?

— Lubię być sam, żeby pomyśleć. Nie lubię towarzystwa. Samotność mnie uspokaja.

W tym aspekcie go rozumiałam, ponieważ miałam podobnie. Ja również lubiłam znikać, aby być sama ze sobą.

— Nie ma nic złego w byciu samemu, ale musisz mówić to Nate'owi i być z nim szczerą. Sam wiesz, że Nate również lubi samotność. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko, o ile mu to powiesz i będziesz z nim w kontakcie. Jesteś jeszcze młody.

— Skąd ty w ogóle znasz mojego brata?

To pytanie niezłe mnie zagięło, choć powinnam była przewidzieć, że prędzej czy później je zada. Nie mogłam powiedzieć mu prawdy. Nie miał pojęcia, że wiedziałam o jego istnieniu już od kilku lat i że po części to dzięki mnie przeprowadził się do Culver City. Zduśliłam w sobie głupią chęć, aby mu o tym opowiedzieć, i błado się uśmiechnęłam. W końcu wróciłam tylko na chwilę i nie byłam już dla Nate'a nikim szczególnym.

— Jestem jego starą znajomą. Poznaliśmy się jeszcze przed moją przeprowadzką i czasami spotykaliśmy się na imprezach. Mieliśmy wspólnych przyjaciół, to dlatego — odpowiedziałam wymijająco, a kiedy zobaczyłam, że chce o coś dopytać, szybko wskazałam na naleśniki. — Jedz, bo ci wystygną.

Posłusznie wrócił do jedzenia. W tym samym czasie ja zaczęłam sprzątać kuchnię i, o dziwo, nie czułam się niezręcznie. Wręcz przeciwnie, zrobiło się całkiem przyjemnie, gdy pochwalił naleśniki Theo i dodał, że to jedno z jego ulubionych dań. Chyba mówił prawdę, bo zjadł siedem sztuk i nie wyglądał na najedzonego.

— A jak ty się w ogóle nazywasz?

Zdziwiona jego pytaniem zerknęłam na niego przez ramię. Dalej siedział na swoim miejscu, popijając sok. Dopiero wtedy zrozumiałam, że faktycznie nie podałam mu swojego imienia. Wytarłam rękę w szmatkę.

— Mam na imię Victoria.

Charlie uśmiechnął się i wyciągnął do mnie dłoń.

— Jestem Charlie, miło mi.

Nieufnie zerknęłam na wyciągniętą rękę chłopca i na jego zachęcający uśmiech. To było głupie, ale na swój sposób... urocze? Patrząc mu prosto w oczy, uściśnęłam jego dłoń.

— To dziwne, Nate nigdy nie wspominał o żadnej Victorii.

Zachowałam kamienną twarz, choć znów zrobiło mi się przykro. Byłam tylko *jakąś* Victorią.

Wtedy usłyszeliśmy dzwonek do drzwi. Zabrałam rękę i spojrzałam na Theo, który zbiegł po schodach.

— To pewnie Nate — poinformował i poszedł otworzyć.

Charlie znów się zestresował.

— Ale nie powiesz mu o batonach, nie? — zapytał z nadzieją.

— Masz moje słowo — obiecałam. — Ale jeśli kiedykolwiek chociażby pomyślisz o tym, aby zrobić coś podobnego, wyślę mu anonimowy donos. Na razie trzymajmy się wersji, że pożyczyłeś ode mnie kilka dolarów, bo zabrakło ci do zakupów. I tak się poznaliśmy.

Zgodził się. Słyszałam odgłos otwieranych drzwi i cichej rozmowy. Charlie wstał z krzesła i odetchnął. Choć nie byłam winna, i mnie udzieliło się jego zdenerwowanie. Byłam dorosła, do cholery, nie miałam się czego bać!

Po chwili do pomieszczenia wszedł Nathaniel. Wyglądał tak samo jak pod klubem, z tą różnicą, że jego włosy były bardziej zmierzwione, a twarz wydała mi się jeszcze bardziej zmęczona. Był zdenerwowany, ale gdy tylko zobaczył swojego brata, przymknął powieki i odetchnął z ulgą.

— Charlie, cholera jasna — powiedział i zdziwiło mnie to, jak miękko i delikatnie to zabrzmiało.

Byłam pewna, że użyje swojego standardowego lodowatego tonu, od którego człowiekowi chciało się rzygać, ale był nad wyraz spokojny. Łatwo było wyprowadzić go z równowagi byle głupotą, a ucieczka

młodsze go brata zapewne mocno go zmartwiła. Jego głos był mimo to opanowany i naprawdę przyjemny dla ucha. Poczułam dreszcz, bo w tamtej chwili dopadły mnie wspomnienia tego, gdy mówił tak do mnie przed laty. Kiedy był zrelaksowany i szczęśliwy.

Zduśiłam w sobie te myśli.

— Nic ci nie jest? — zapytał i podszedł do chłopca, a następnie kucnął tuż przed nim i złapał jego ramiona. Badał wzrokiem twarz Charliego, jakby chciał się upewnić, że jest cały. — Dlaczego znowu nie wzięłaś telefonu?

— Zapomniałem — powiedział ze skruczą chłopiec. — Przepraszam, nie chciałem, żebyś się martwił.

Nathaniel westchnął i przez chwilę milczał. Znowu poczułam coś dziwnego, gdy zobaczyłam, jak obserwuje brata. Jego twarz pozostała spokojna, a oczy... pierwszy raz od mojego powrotu do Culver City jego oczy nie były tak matowe i puste. Nie świeciły, ale były takie... takie spokojne. Ten widok hipnotyzował.

Shey skinął głową.

— Porozmawiamy w domu — mruknął i wstał.

W tym samym momencie do pomieszczenia razem z Theo weszła Severine ubrana w jasnoróżową sukienkę i biały płaszcz. Gdy spojrzała na młodszego Sheya, odetchnęła z ulgą i przyłożyła dłoń do klatki piersiowej.

— Charlie, jak dobrze, że nic ci nie jest! — zawołała.

W sekundzie znalazła się przy chłopcu i zamknęła go szczelnie w ramionach. Kosmyki jej gęstych rudych włosów podpiętych diamentową spinką całkowicie zasłoniły twarz młodego. Widziałam, że poczuł się niekomfortowo, ale dzielnie wytrzymał jej tulenie. W tym również mogłam przybić mu piątkę, miałam podobnie. W końcu dziewczyna oderwała się od niego i ucałowała go mocno w czoło.

Byłam niemal pewna, że Charlie się skrzywił, ale idealnie to zamaskował.

— Tak okropnie mnie wystraszyłeś! — zawołała.

— Tiaa, przepraszam — mruknął, a następnie znowu na mnie spojrzał i szeroko się uśmiechnął. — Na szczęście Victoria mnie znalazła!

Po jego słowach uwaga wszystkich w pomieszczeniu skupiła się na mnie. Nawet Theo stojący w progu z rękami założonymi na piersi uniósł

brwi. Poczułam się niekomfortowo, ale zachowałam obojętny wyraz twarzy. Chcąc nie chcąc, zerknęłam na Nathaniela, którego wzrok znów wypalał dziury w moim czole. Jego mina nic mi nie mówiła i nie miałam pojęcia, jak to odebrać. Był na mnie zły, że wtrąciłam się w jego prywatne sprawy? Zadowolony, że znalazłam jego młodszego brata? Miałam nadzieję, że ta druga opcja jest właściwa.

Severine uśmiechnęła się promiennie. Wciąż trzymała dłoń na ramieniu Charliego i przyciskała go do swojego boku.

— Victoria, nawet nie wiem, jak mamy ci dziękować — powiedziała, a ton jej głosu wskazywał, że mówi w stu procentach szczerze. Patrzyła na mnie z radością, a na jej policzkach wykwitły urocze i zarazem obrzydliwe rumieńce.

Przezań.

— To nic wielkiego, cieszę się, że mogłam pomóc. — Wzruszyłam ramionami.

— Ale dziwna historia — westchnęła. — To, że przypadkiem spotkaliście się z Charliem wcześniej i że od razu wiedziałaś, gdzie go szukać. Dokładnie tak, jakby to było przeznaczenie! Naprawdę ci dziękujemy. Byliśmy z Nate'em okropnie zmartwieni. Jesteśmy trochę przewrażliwieni, jeśli chodzi o Charliego, bo bardzo go kochamy!

Nie wiedząc, jak miałabym inaczej zareagować na te słowa, tylko potaknęłam. Nie miałam pojęcia, ile powiedział im Theo, ale wydawało mi się, że przekazał wszystko to, co opowiedziałam mu wcześniej.

Wciąż czułam na sobie przesywający wzrok Nathaniela. Miałam nadzieję, że on, Severine i Charlie jak najszybciej opuszczą nasz dom, ale Shey miał oczywiście inne plany.

— Severine, idźcie do samochodu — rzucił cichym głosem, nadal na mnie patrząc.

Rudowłosa nie zamierzała protestować, pokiwała głową i ostatni raz uśmiechnęła się w moją stronę. Odeszła krok w tył i pociągnęła za sobą chłopca, ale ten szybko jej się wyrwał i nim zdążyłam zareagować, z całej siły przycisnął się do mojego ciała, obejmując mnie mocno ramionami. To było tak niespodziewane, że w pierwszej chwili nie wiedziałam, jak to odebrać. Jak na swój wiek był bardzo silny. Wcisnął policzek w moje ramię i czułam, że się uśmiecha.

— Dziękuję, Victoria — powiedział cicho. — Za wszystko.

Starałam się zachować niewzruszoną minę, ale było to coraz trudniejsze. Charlie naruszył moją przestrzeń osobistą, która była dla mnie świętością, ale najgorsze w tej sytuacji było to, że... że nie przeszkadzało mi to tak mocno, jak mogłoby. Tak, czułam się lekko niekomfortowo, ale to uczucie było porównywalne z tym, co czułam przy Theo. Mogłam to wytrzymać, w mojej głowie nie było myśli, aby jak najszybciej się od niego oderwać.

Dlatego też zareagowałam instynktownie. Nawet nie wiedziałam, kiedy moje ramiona się uniosły, a następnie również objęłam chłopca. Zrobiłam to dużo delikatniej i mniej pewnie niż on, ale to było... czułam, że to było właściwe. Przycisnęłam policzek do czubka jego głowy i wtedy zrozumiałam, że to już za wiele, dlatego lekko, ale pewnie go od siebie odsunęłam. Charlie wyszczerzył się do mnie, a jego oczy błyszczały. Ani trochę nie przypominały matowych i martwych oczu jego brata. Patrzył na mnie z dziecięcą radością i szczerością.

— Mam nadzieję, że szybko się zobaczymy — powiedział.

Odchrząknęłam i się odsunęłam, a następnie założyłam ręce na piersi, aby powstał między nami wyraźny dystans. Pozwoliłam sobie na za dużo.

— Ja wręcz przeciwnie, gnojku — mruknęłam, ale drgający kącik ust zdradzał moje rozbawienie.

Charlie również to zauważył, bo roześmiał się cicho.

— Cześć, Victoria.

Nie czekając na Severine, ruszył w stronę drzwi wyjściowych, w międzyczasie żegnając się z moim bratem. Niezrażona dziewczyna uśmiechnęła się do mnie i podążyła za chłopcem. Theo stwierdził, że ich odprowadzi, więc po kilku sekundach w kuchni zostaliśmy tylko ja i Nathaniel.

Nagle atmosfera stała się cięższa, ale wiedziałam, że konfrontacja z nim była nieunikniona. W końcu chodziło o jego brata. Niechętnie uniosłam na niego wzrok i nawet nie zdziwiło mnie to, że na mnie patrzy. Westchnęłam i mocniej objęłam się ramionami. Stwierdziłam jednak, że to nie ja powinnam zacząć. Skoro chciał zostać ze mną sam na sam, to w porządku, ale nie miałam zamiaru ułatwiać mu tej rozmowy. Z obojętną miną uniosłam brwi, aby pokazać mu, że czekam.

To zadziało.

— Theo powiedział mi, że pierwszy raz spotkałaś go kilkanaście dni temu w jakimś sklepie — zaczął na pozór spokojnie, ale jego głos zdradzał, że się denerwuje. — To prawda?

Jakoś mnie to nie obeszło, ponieważ nie miałam powodów, aby się go bać.

— Tak — potwierdziłam. — Zabrakło mu kilku dolarów, a ja stałam za nim w kolejce do kasy, więc mu pożyczyłam. Potem on otworzył mi drzwi w sklepie i tak od słowa do słowa zaczęliśmy rozmawiać.

— Wiedziałaś, że jest moim bratem? — zapytał wprost, a ja westchnęłam.

Mogłam się domyślić, że zacznie dochodzenie. Po tylu latach nadal był tak bardzo nieufny.

— Nie, Nate — odparłam spokojnie, patrząc mu prosto w oczy. — Połączyłam fakty dopiero dziś i domyśliłam się, gdzie może być. Okazało się, że miałam rację. Zabraliśmy go, bo nie chciałam, żeby coś mu się stało. To tyle.

Chłopak przez chwilę milczał, analizując moje słowa. W jego oczach widziałam, że intensywnie nad czymś myśli. Miałam nadzieję, że nie będzie wszczynał kłótni, ponieważ to było ostatnie, na co miałam ochotę. Byłam zmęczona i osłabiona, chciałam się położyć.

Nagle Nathaniel cicho odetchnął i pokiwał głową.

— Dziękuję ci za to, co zrobiłaś. Że go znalazłaś.

Nieco zszokowana spojrzałam prosto w jego czarne oczy. W pierwszej chwili myślałam, że się przesłyszałam, ale on pozostał spokojny i wyglądał, jakby... jakby mówił szczerze. Nie widziałam w nim kpiny i ironii, patrzył na mnie z przekonaniem i pewnością.

Skinęłam głową nieco otępiała, bo prędzej spodziewałabym się tego, że zacznie się na mnie wydzierać za to, że wtrącam się w jego prywatne sprawy. Podejrzewałam, że naprawdę wiele go kosztowało to podziękowanie.

Shey się odwrócił i w końcu odetchnęłam, bo nie czułam już jego spojrzenia. Sztynnym krokiem ruszył w stronę drzwi, a ja, choć wiedziałam, że nie powinnam była tego robić, odezwałam się:

— Nie zmuszaj go do tego.

Chłopak zatrzymał się w miejscu, a następnie zerknął na mnie przez ramię. Jego wzrok wciąż był pusty i niechętny, jakby w tamtej chwili bardzo chciał wyjść z mojego domu.

— O czym mówisz? — zapytał chłodno.

Zastanawiałam się, czy to dobry pomysł, aby się wtrącać, w końcu tego nienawidził. Nie miałam do tego prawa, skoro od czterech lat nie

utrzymywaliśmy ze sobą kontaktu. Nie żyłam już jego życiem, a on nie żył moim, jednak nie potrafiłam ot tak odpuścić tego tematu. Charlie wzbudzał we mnie nieuzasadnioną sympatię i chciałam dla niego dobrze. Tak po prostu.

Czy to było dziwne?

— Wiesz, o czym mówię — wyszeptalam, posyłając mu znaczące spojrzenie. Jego twarz drgnęła, więc wiedziałam, że rozumiał. — Wiesz, jak to jest, gdy ktoś cię do czegoś zmusza. Więc nie zmuszaj go do tego, aby zawsze się z nią dogadywał.

— Victoria, nie wtrącaj się w to, o czym nie masz pojęcia — burknął na pozór spokojnie, ale jego głos mógł cięć diamenty.

Mimo tego obstawałam przy swoim.

— Zgadza się, nie znam dobrze Charliego i waszej obecnej sytuacji, ale ty najlepiej wiesz, jaką można wyrządzić drugiemu człowiekowi krzywdę, gdy wywiera się na nim presję i czegoś się od niego oczekuje — przypomniałam mu. — To mądry dzieciak, ale jeśli będziesz go do czegoś przymuszała, będzie uciekał coraz częściej. Dokładnie tak, jak ty uciekałaś.

Wiedziałam, że wypowiadając ostatnie zdanie, przesadziłam, ale powiedziałam to bez zastanowienia. Nathaniel również uciekał z domu na walki i aby spotykać się ze swoimi przyjaciółmi, gdy jego apodyktyczny ojciec czegoś od niego wymagał.

Moje słowa go zdenerwowały. Zacisnął mocniej szczękę i lewą dłoń w pięść.

— Nie masz o niczym pojęcia — warknął lodowatym tonem.

W środku nieco się skuliłam, na zewnątrz pozostałam jednak niewzruszona.

— Może nie jesteśmy tacy jak kiedyś, ale to nie zmienia faktu, że trochę się znamy, Nate.

Tych słów również nie przemyślałam i chciałam uderzyć głową w ścianę już w momencie, gdy wyszły z moich ust. Widziałam, że zdziwiły Nathaniela, ponieważ lekko rozchylił usta, ale nic nie powiedział. Zamiast tego wyszedł z kuchni, a po kilku sekundach usłyszałam trzaśnięcie zamykanych gwałtownie drzwi wyjściowych.

Odetchnęłam głośno i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak mocno drżą mi ręce. Co ja, do kurwy, najlepszego wyprawiałam? Dlaczego

postanowiłam się wtrącać i mówić takie rzeczy? Zmiliłam w ustach przekleństwo i ukryłam twarz w dłoniach. Co się ze mną działo?

Stałam tak, dopóki do kuchni nie wrócił Theo.

— Pojechali — poinformował mnie.

Skinęłam głową i wróciłam do swojej poprzedniej pozycji. Strzepnęłam dłonie i z neutralną miną zaczęłam sprzątać naczynia po kolacji gnojka.

— Severine jest bardzo miła — powiedział nagle mój brat.

— Zauważyłam — odparłam sucho. Jakoś nie uśmiechało mi się o niej rozmawiać, wystarczyło, że była w *moim* domu.

Przestań, do cholery!

— Powiedziała, że mamy bardzo ładny dom i że kiedyś trzeba się tutaj spotkać — dodał, na co ledwo zdusiłam kpiące parsknięcie. — Dobrze, że znalazłaś tego dzieciaka, ale mam nadzieję, że się do niego nie przywiązujesz.

— Co ty bredzisz, Theo? — zapytałam dużo ostrzej, niż miałam w zamiarze, jednak jego słowa naprawdę mnie zezłościły. — To zwykły dzieciak, tak się złożyło, że jest również bratem Sheya. Po prostu nie chciałam, aby coś mu się stało, nie dopowiadaj sobie do tego historii. Jest mi zupełnie obojętny.

— Okej, wierzę ci. — Theodor uniósł ręce w obronnym geście. — Ale chcę ci tylko przypomnieć, że jesteśmy tu na chwilę, a ty i Nate to historia, która wiele ci zabrała. Pamiętasz, jak ciężko było ci po wyjeździe. Nie chcę, by to się powtórzyło.

— Nie powtórzy się — zapewniłam go z mocą. — On ma tu swoje życie i narzeczoną, a ja mam swoje życie w Maine. Jestem tu tylko po to, żeby poznać prawdę.

To nie miało prawa się powtórzyć.

— Skoro tak mówisz — odpuścił. — Dobranoc, Vic.

Obserwowałam go, jak wspina się po schodach, a następnie znika na piętrze. Przez chwilę stałam nieruchomo, aż w końcu przymknęłam powieki i przycisnęłam dłoń do czoła. Nie miał racji, wiedziałam, co robić i do czego się nie posunąć. Nathaniel był historią.

Znów zaczęłam analizować cały ten dzień i jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Charlie powiedział, że czuje się przy mnie bezpiecznie. Czy naprawdę tak było, czy mogłam komukolwiek to dać? Nawet mnie nie

znał. Gdyby poznał prawdę, nigdy by tak nie pomyślał. Jednak to, jak mnie objął... to było tak zaskakujące. Nie spodziewałam się również tego, że nie poczuję się tak źle jak przy dotyku innych osób. To nie miało sensu, przecież rozmawiałam z nim trzy razy w życiu!

Już od dawna wiedziałam, że cudzy dotyk jest mi niepotrzebny, zawsze sprawiał, że czułam się gorzej. Nie lubiłam go, budził we mnie dyskomfort. Akceptowałam dotyk jedynie przy zbliżeniach, seks z przypadkowymi ludźmi uprawiałam, by zaspokoić swoje potrzeby i rozładować napięcie, bez pocałunków i przytulania. Poza seksem nie lubiłam bliskości fizycznej. Dotyk mnie brzydził. Byłam wybrakowana, ale gdy Charlie mnie przytulił... mój dyskomfort był o wiele mniejszy niż zwykle. Mniejszy niż przy większości ludzi. Nie tak mały jak przy Nathanielu, bo przy nim w ogóle go nie czuła...

Gwałtownie uniosłam powieki i wbiłam wzrok w okno przed sobą. Szybko przeanalizowałam swoje ostatnie spotkania z Nathanielem. Wróciłam pamięcią do momentu, gdy przy barze Parkera staliśmy tak blisko siebie. Nasze oddechy mieszały się ze sobą, czułam jego ciepło. Potem ta sytuacja przed klubem DEATH, gdy Nathaniel przyciskał mnie do swojego boku, a ja czułam się tak bezpiecznie. Dokładnie tak, jak mówił Charlie. *To było łatwe.*

— Nie — warknęłam sama do siebie i szarpnęłam za swoje włosy. — Nie ma takiej opcji, to przypadek.

Może był czas, gdy Nathaniel pozwalał mi poczuć się bezpiecznie, ale to już minęło. Musiało mi się wydawać. Nienawidziłam dotyku, nieważne, kto się do mnie zbliżał. Przy Sheyu o tym nie myślałam, bo byłam pod wpływem emocji. Nie był wyjątkiem, jego dotyk też mnie obrzydzał, tak samo jak dotyk innych oprócz mojego brata i Erika. Nie czułam się bezpiecznie, wmówiłam to sobie, bo zestresowałam się przez Sancheza. Zapach Nathaniela nie wzbudzał we mnie emocji, jego ciepło mnie nie ogrzewało. Byłam na pierdolonych lekach i dlatego tak się zachowywałam. Musiałam się położyć.

Nathaniel Shey był tylko historią, tylko wspomnieniem. Theodor miał rację, relacja z tym chłopakiem wiele mi zabrała.

I z całej siły chciałam wyrzucić z głowy myśl o tym, że równie wiele mi dała.

Zwycięstwo ponad życie

Następnego dnia poczułam się tak, jakbym pozbyła się pięciotonowej kuli u nogi. W końcu się wyspałam, a gdy wstałam z łóżka, nie towarzyszyło mi wrażenie, że przebiegłam maraton. Głowa bolała mnie tylko trochę, a po dobrych dwunastu godzinach snu byłam naprawdę wypoczęta. Lubiłam te pierwsze momenty po złych dniach, kiedy odychałam pełną piersią i nie sprawiało mi to żadnego bólu. Kiedy te wszystkie codzienne czynności mi go nie sprawiały, a nawet przynosiły radość, jak prysznic po przebudzeniu.

Zegar wskazywał wpół do pierwszej, kiedy kończyłam jeść swoje wielkie śniadanie poprzedzone dwoma papierosami i kawą. Przez kilka ostatnich dni żyłam jedynie na kilku łyżkach zupy i wodzie. Musiałam uzupełnić zapasy. Oglądałam jakiś durny program telewizyjny, a Theo kręcił się w tym czasie po domu, załatwiając sprawy w pracy i cały czas wisząc na telefonie.

Dalej miałam w głowie wydarzenia z poprzedniego dnia. Co jakiś czas zastanawiałam się, czy z Charliem wszystko w porządku, ale gdy tylko się na tym łąpałam, szybko się karciłam. To nie był mój brat, nie powinnam była się tak przejmować. Przestałam też drobiazgowo analizować swoje odczucia w reakcji na bliskość Nathaniela, dotarło do mnie, że nie myślałam trzeźwo. Gdy już poukładałam sobie to w głowie i przestałam się zamartwiać, zrobiło mi się lżej.

Zaległam na kanapie, oglądając telewizję. Śmiałam się właśnie z kolejnej kłótni między uczestnikami jakiegoś programu, gdy nagle mój

brat z telefonem w ręce zbiegł szybko ze schodów. Wbiłam w niego wzrok i zauważyłam, że jest zdenerwowany.

— Co jest? — rzuciłam, kiedy zatrzymał się tuż przed kanapą.

— To Erik — odparł cicho, wyciągając urządzenie w moją stronę. — Chce z tobą rozmawiać.

— Powiedziałeś mu? — zapytałam z lekkim oburzeniem.

— Musiałem — szepnął, potrząsając telefonem.

Westchnęłam, czując skurcz w żołądku, ale posłusznie chwyciłam urządzenie. Nadal było między nami nieprzyjemnie — od momentu, gdy przylecieliśmy do Culver City, Erik zadzwonił raz i cała rozmowa trwała kilka minut. Wymienialiśmy wiadomości, ale były to jedynie suche fakty i zapewnienia, że wszystko u nas w porządku. Mogłam się spodziewać, że Theo powie Erikowi o moim ataku, i nie miałam mu tego za złe. W końcu obiecaliśmy być ze sobą szczerzy. Nie mogłam kłamać.

Choć paradoksalnie robiłam to cały czas.

Przytknęłam urządzenie do ucha i aby się trochę uspokoić, zacisnęłam palec wskazujący i kciuk na grzbiecie swojego nosa.

— Cześć, Erik — powiedziałam spokojnie, siłąc się na pogodny ton. Chociaż czy można było zachować pogodę ducha, jeśli wiedziałam, że czeka mnie wywiad środowiskowy godny agenta FBI?

— Victoria! — zawołał z wyraźną ulgą.

Doszło do mnie, że stęskniłam się za jego głosem.

— Wszystko w porządku? Jak się czujesz? — zapytał szybko, a jego ton zdradzał troskę i zaniepokojenie.

To w nim uwielbiałam — mógł być na nas wściekły, ale gdy coś się działo, był gotowy rzucić wszystko, byleby nam pomóc. Tym razem było tak samo, odsunął swoje emocje na bok, ponieważ się o mnie martwił. Był kolejną osobą, na którą nie zasługiwałam.

— Wszystko jest już okej — mruknęłam. Kątem oka widziałam, jak Theo przechodzi do kuchni, aby zostawić mnie samą. — Naprawdę jest już dobrze.

— Bierzesz wszystkie leki? — zapytał poważnie mężczyzna.

— Tak. Theo pilnował, żebym wszystko brała.

— Ale brałaś benzodiazepiny? — ciągle się upewniał.

Westchnęłam ciężko, powoli tracąc cierpliwość, ale pozostałam spokojna. *Martwi się, zrozum go.*

— Tak. I wszystkie inne kolorowe tabletki. To były złe dni jak każde inne. Już jest okej. Naprawdę.

— Kochanie, martwię się — powiedział udręczonym głosem. — Nie ma cię tu. Nie chodzisz na terapię. Nie chcę, aby przez ten wyjazd znów ci się pogorszyło.

— Nie pogorszy mi się. Poradzę sobie. Jestem silna.

Naprawdę chciałam w to wierzyć. Może epitet „silna”, był ostatnim, jaki do mnie pasował, ale nie chciałam go niepokoić. Ani jego, ani Theo. Musiałam im pokazać, że jakoś daję sobie radę, musiałam zachować pozory, aby nikt już się o mnie nie martwił.

Terapią się nie przejmowałam. Jeszcze przed wyjazdem powiedziałam Sylvii o wszystkim. Jako jedyna wiedziała co nieco o sprawie z Vincentem oraz o moich wszystkich obawach. Była moim psychologiem, a ja obiecałam, że zawsze będę z nią szczerą, jeśli chcę, aby terapia coś dała. Poza tym wiedziałam, że nie może nic nikomu powiedzieć z uwagi na tajemnicę lekarską. Sylvia zaproponowała wizyty online, gdyby coś się działo. Na razie nie czułam jednak potrzeby, by się z nią umawiać. To były tylko zwykłe złe dni, jakich wiele, wzięłam swoje leki, leżałam w łóżku i nie miałam siły na myślenie. Potem poczułam się lepiej.

Zawsze w końcu było lepiej.

— Odebrałem ostatnio receptę od twojego psychiatry — poinformowałam mnie Erik. — Mam nadzieję, że leki ci się tam nie skończą.

— Nie, wszystko mam — mruknęłam. Gdziekolwiek jechałam, wiozłam ze sobą całą aptekę. — Kiedy Theo do ciebie zadzwonił?

— Ja zadzwoniłem do niego — odburknął naburmuszony. — Bo nikt mnie tu już nie informuje. Zadzwoniłem trzy dni temu i chciałem, aby dał mi ciebie do telefonu, ale zaczął się wykręcać. Chyba nie chciał mnie martwić. W końcu mi powiedział, że masz złe dni i nie dasz rady ze mną porozmawiać. Od tamtego dnia dzwonię kilka razy dziennie, ale dopiero dziś Theo mnie poinformował, że jesteś na siłach.

W myślach zanotowałam, aby dać Theo burę za to, że wcześniej nic nie wspomniał.

— Już jest dobrze, Erik — powtórzyłam jak mantrę. Kosmyk wilgotnych włosów połaskotał mnie w nos. — Nie chcieliśmy cię martwić.

— Ja jestem od tego, aby się martwić, kochanie. I od tego, by załatwiać sprawy. Dlatego zadzwoniłem do rektora twojej uczelni.

Zmarszczyłam brwi, bo tak, wiedziałam, że się znają. W końcu żona rektora była stałą klientką w klinice, w której pracował Erik. Była nie-
źle zafiksowana na punkcie operacji plastycznych. Przez to się zbliżyli,
a w weekendy chadzali razem na golfa. Wątpiłam, abym bez wstawien-
nictwa Erika dotrwała do końca pierwszego semestru na uczelni w Maine.
Cóż, pomógł on i pomogło zaświadczenie od mojego psychiatry.

— Po co do niego dzwoniłeś? — zapytałam zdezorientowana. — Coś
się stało?

— Miałaś termin egzaminu w przyszłym tygodniu.

Kiedy sens jego słów do mnie dotarł, wybałuszyłam oczy, zrywając się
z kanapy. Boże, naprawdę miałam mieć egzamin końcowy za kilka dni,
a ja kompletnie o tym zapomniałam! Przez całą sytuację w Culver City
to wszystko wypadło mi z głowy. Cholera! Nie dość, że ten termin był
wyblągany, to jeszcze tak nawaliłam. Jakim cudem ja w ogóle radziłam
sobie w dorosłym życiu?

Wiedziałam jakim. Dzięki Theo i Erikowi!

— Boże, na śmierć zapomniałam — szepnęłam na bezdechu, a mój
głos przypominał skrzek. Mogłam się pożegnać z dyplomem, bo nie było
szans, bym się ze wszystkim wyrobiła. — Przez te cholerne złe dni i to
wszystko...

Pierdolone *złe dni*. To zawsze była ich cholerna wina! Nienawidzi-
łam tego, że pojawiały się znikąd i rujnowały wszystko, że rujnowały
mnie. Zacisnęłam szczękę, przystając przy kominku, gdy Theo pojawił
się w salonie zaalarmowany moim nerwowym chodzeniem w tę i z po-
wrotem. Tyle lat starań i tyle załatwiania, aby tak to żałośnie skończyć.
Było mi wstyd.

— Victoria, spokojnie! — zawołał Erik, ustawiając mnie do pionu. —
Mówiłem, że to załatwiłem. Zadzwoniłem do niego i wyjaśniłem mu,
jak się sprawy mają. Trochę mi to zajęło i łatwo nie było, ale udało się.
Masz termin pod koniec stycznia. Po znajomości.

Zamilkłam pod wpływem szoku, wpatrując się w kominek przed sobą.

— Mówisz serio? — zapytałam z niedowierzaniem, na co cicho się
zaśmiał, a jego przyjemny baryton brzmiał jak muzyka.

— Tak, ale to ostatnia szansa. Musiałem też trochę nakłamać o twoim
stanie zdrowia, ale udało się. Mówiłem, że zawsze ci pomogę. To niczyja
wina, że spotkało cię to, co cię spotkało. A na pewno nie twoja.

Nie wiedziałam, jakimi słowami opisać swoją wdzięczność dla Erika, że to zrobił, że zawsze to dla mnie robił. Zawsze sprzątał mój bałagan. On i Theo naprawiali wszystko, co sama psułam, i zupełnie nie wiedziałam, czym sobie zasłużyłam na takich ludzi.

Odpowiedź przyszła zaskakująco szybko. Niczym, bo na nich nie zasługiwałam.

Przymknęłam oczy i oparłam się głową o wyłożoną kamieniem ścianę przy kominku. Jej przyjemny chłód promieniował na całe moje ciało, przynosząc mi delikatną ulgę.

— Dziękuję, Erik — odparłam jedynie, bo na nic innego nie było mnie stać.

Znów usłyszałam jego śmiech.

— Jesteśmy rodziną, a rodzina sobie pomaga — powiedział bez wahania. — A teraz opowiadaj, co robicie w tym Culver City.

To była miła półgodzinna pogawędka i nareszcie poczułam się tak jak kiedyś. Erik już nie był na nas zły i chyba nam wybaczył. Opowiedział mi, co tam w Maine i u Kota, a ja zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi go brakowało. Wypytywał, co u nas, ale nie był wścibski. Chyba wszyscy wychodziliśmy z założenia, że im mniej wie o celu naszego pobytu w Culver City, tym lepiej, chociaż byłam pewna, że nadal ma odrobinę żalu.

Po zakończonej rozmowie w o wiele lepszym humorze zamknęłam się w pokoju. Theo już wcześniej zabunkrował się w swojej sypialni, ponieważ ciągle musiał załatwiać jakieś sprawy służbowe, a jego laptop skrzeczał od kolejnych powiadomień. Nie chciałam mu przeszkadzać, więc postanowiłam zająć się czymś produktywnym — posprzątać syf u siebie. Jęknęłam cicho na widok rozwalonych ubrań i włączyłam w swoim telefonie pierwszą lepszą playlistę. Jedna z piosenek Radiohead cicho pobrzmiwała w tle, a ja wzięłam się do roboty.

Byłam w trakcie układania swoich ubrań w walizce, gdy piosenka przestała grać, bo zastąpiła ją melodyjka dzwonka. Westchnęłam i dźwignęłam się na nogi, a następnie podeszłam do szafki nocnej, na której leżał mój telefon. Na wyświetlaczu zobaczyłam imię i nazwisko Laury. Moje serce zabiło mocniej, ponieważ od razu zrozumiałam, po co dzwoni.

Tamtego dnia mieliśmy poznać datę walki Nathaniela.

Wypadło mi to z głowy jak większość rzeczy w ostatnim czasie. Skoro dzwoniła, to prawdopodobnie ktoś od Sancheza się do nich odezwał.

Musieli już wiedzieć, kiedy Shey ponownie stanie na ringu po czterech latach przerwy, a ja znów zobaczę Brooklyna White'a. Telefon nadal dzwonił, a w mojej głowie pojawiła się wątpliwość, czy ja w ogóle chcę go odbierać.

Wiedziałam jednak, że nawet gdybym nie odebrała, to i tak by nic nie dało. Zadręczałabym się tym i sama bym oddzwoniła, a mogłam oszczędzić sobie dodatkowego stresu. Odetchnęłam cicho i w ostatnim momencie odebrałam połączenie, przykładając telefon do ucha. Nawet nie wiedziałam, że aż tak mocno się denerwuję, dopóki nie poczułam, że muszę usiąść, bo trzęsą mi się nogi.

— Halo? — zapytałam na pozór obojętnym głosem. Było mi niedobrze.

— Vic, hej! — zawołała zadowolona Laura, na co zmarszczyłam brwi. Takiego entuzjazmu się nie spodziewałam. — Co robisz?

— Sprzątam — odparłam z lekką rezerwą.

— A lepiej się już czujesz? — zapytała z troską, co zbiło mnie z panatyku.

— Tak, jest już okej. Coś się stało?

— Tak sobie pomyślałam, że może pojechałabyś ze mną do galerii? Nate ma dziś spotkanie na siłowni i chyba pierwszy trening. Idzie tam ze Scottem, a ja nie będę miała co robić, więc wpadło mi do głowy, że może skoczmy na małe zakupy. Jeśli oczywiście czujesz się już lepiej po chorobie.

Chorobie? Jakiej... a tak. *Faktycznie*. Przecież według nich byłam chora.

Szczerze powiedziawszy, nie spodziewałam się takiej propozycji. Prędzej obstawiałabym, że zadzwoni do Jasmine, a nawet do Mii. Zraz jednak te myśli zeszły na drugi plan, bo dotarł do mnie sens reszty wypowiedzi Moore. Nathaniel miał spotkanie i trening, aby się przygotować. Nadal nie byłam pewna, czy znają już datę walki, ale skoro Laura była taka zadowolona, a nikt nie poinformował o niczym mnie i Theo, to zapewne nie została jeszcze ustalona. To spowodowało, że odetchnęłam z ulgą.

Lekki uśmiech samoistnie wypłynął na moją twarz. Nie widziałam żadnych przeszkód, by spotkać się z Moore. W końcu miałam dobry humor, moje złe dni minęły, rozmawiałam z Erikiem, a Theo i tak był zajęty. Mnie się nudziło, a spędzanie czasu z Laurą dawniej było naprawdę przyjemne.

Dopóki nie zaczynała się na mnie wydzierać za moje nieodpowiedzialne zachowanie.

— Jasne, bardzo chętnie — zgodziłam się z uśmiechem i wiedziałam, że ona również się ucieszyła.

Tak, zdecydowanie musiałam się trochę rozerwać, a wyjście z Laurą było idealnym rozwiązaniem.

— Super! — zawołała z ekscytacją. — Może po ciebie przyjadę, żebyśmy nie jechały na dwa samochody?

Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak wielką przysługę mi tym wyświadczyła. Gdybyśmy miały spotkać się na miejscu, musiałabym dostać się tam taksówką albo poprosić Theo, by mnie podwiózł. To zrodziłoby pytania, których chciałam uniknąć. Nie lubiłam, gdy ludzie pytali mnie, dlaczego pomimo posiadania prawa jazdy nigdy nie siadam za kółkiem.

— Byłoby świetnie — odparłam. — Możemy spotkać się za godzinę?

— Jasne. To do zobaczenia.

Odrzuciłam telefon na łóżko, a następnie wstałam i podreptałam do walizek, w których zrobiłam porządek jedynie w połowie. Nawet dobrze się złożyło, bo po kolejnych dziesięciu minutach wybierania ubrań wszystko znów leżało wokół nich, a pośród tego bałaganu siedziałam ja. Z coraz większym rozdrażnieniem skanowałam wzrokiem swoje ciuchy, nie mogąc doszukać się rzeczy, której potrzebowałam. Jęknęłam męczeńsko i zerknęłam na pustą szafę. Przygryzłam wewnętrzną stronę policzka, wpatrując się w wielki trzydrzwiowy mebel. Może powinnam była włożyć tam te wszystkie ubrania...

Nie. Jesteś tu tylko na chwilę. To niepotrzebne.

Zacisnęłam szczękę i z rozdrażnieniem chwyciłam pierwszą lepszą koszulkę, po czym wstałam, przeszłam do łazienki i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Głupota! Korzystając z tego, że mam nieco czasu, pomalowałam się trochę staranniej. Brakowało mi tego. Przez ostatnie dni czułam się tak źle, że nie miałam siły na tak podstawowe czynności jak dbanie o higienę. Wiedziałam, że w tym stanie to normalne, ale i tak mnie to męczyło. Chciałam poczuć się lepiej.

Z zadowoleniem spojrzałam na równe kreski przy linii rzęs zakończono delikatną jaskółką. Wyszły za pierwszym razem! Kiedy skończyłam makijaż, ogarnęłam włosy i się ubrałam.

Miałam jeszcze dziesięć minut zapasu. W końcu czułam się dobrze ze sobą i z tym, jak wyglądam. Miałam na sobie ładny komplet Prady składający się z przylegającej spódniczki do połowy uda oraz marynarki z długim rękawem, którą zostawiłam rozpiętą. Obie miały ten sam wzór — czarno-białą gęstą kratkę — oraz po trzy złote guziki przy połach marynarki i na przodzie spódnicy. Do tego wybrałam zwykłą obcisłą czarną koszulkę bez dekoltu. Dobrałam jeszcze długie kolczyki ze srebrnymi brylancikami, a na palce jak zwykle wsunęłam swoje pierścionki.

Zaczęłam zbierać najpotrzebniejsze rzeczy do niewielkiej torebki, a na koniec zadowolona opuściłam pokój.

Poinformowałam Theo, że wychodzę. Siedział przy biurku w swojej sypialni z telefonem przy uchu i robił coś na laptopie, więc nie chciałam mu przeszkadzać.

— Jeśli nie będziesz miała jak wrócić, to zadzwoń po mnie — rzucił na odchodne.

Kiwnęłam głową i opuściłam jego pokój, a on powrócił do przerwanej rozmowy.

W holu włożyłam zamszowe muszkieterki za kolano w kolorze czarnym, które miały gruby, stabilny obcas, i wcisnęłam na nos okulary przeciwsłoneczne z dużymi, okrągłymi szklami. Ostatni raz przejrzałam się w lustrze, gdy przez małą szybkę w drzwiach dostrzegłam czarny samochód. Laura już przyjechała.

Wyszłam z domu bez płaszcza, bo było naprawdę ciepło. Czarny SUV stał na podjeździe, a przez przednią szybę widziałam machającą do mnie Moore. Obok niej, na miejscu pasażera, siedział Scott. Podejrzewałam, że miałyśmy go podwieźć na trening. Odetchnąwszy pełną piersią, skierowałam się do auta. Tylne szyby w samochodzie były przyciemniane, więc bez obaw podeszłam do drzwi z prawej strony.

— Jesteś zabijająco punktualna — rzuciłam, kiedy tylko otworzyłam drzwi, a następnie wsiadłam.

Dopiero gdy znalazłam się w środku, dostrzegłam, że na kanapie nie siedziałam tylko ja. Miejsce po drugiej stronie zajmował Nathaniel.

Czy to jest jakiś nieśmieszny żart?

Z opóźnionym refleksem spojrzałam na jego twarz, ponieważ wydawało mi się, że mam zwidy. Zapomniałam nawet o ściągnięciu z nosa okularów. Chłopak siedział tam jak gdyby nigdy nic, oparty łokciem

o bok drzwi z głową wspartą na dłoni. Wiedziałam, że poczuł na sobie mój wzrok, ale nie zareagował, jak gdyby był żywym posągim. Nie wiedziałam, gdzie dokładnie patrzy, ponieważ na nosie miał ray-bany w czarnych oprawkach, ale jego twarz była skierowana w stronę zagłówek fotela kierowcy.

— Hej, Vic! — przywitała się wesoło Laura, odwracając się do mnie. Wiedziałam, że wypadaloby na nią spojrzeć, ale nadal byłam w szoku. — Dobrze cię widzieć.

Ogarnij się, kurwa.

— Tak, ciebie też. — Odchrząknęłam, nasunęłam okulary na głowę i z kamienną twarzą zmusiłam się do popatrzenia na roześmianą dziewczynę.

Co, do kurwy? Czy ja coś przegapiłam?

Czy ona poinformowała mnie podczas naszej rozmowy telefonicznej o czymś jeszcze, czego nie zarejestrowałam? Bo byłam pewna, że o Sheyu w jej samochodzie nie było ani słowa!

Nie zadałam żadnego z tych pytań. Zamiast tego przygryzłam wargę, uważając na czerwoną pomadkę.

— Zapomniałam ci wspomnieć. Najpierw odwieziemy chłopaków na trening — powiedziała.

Cóż, fajnie byłoby, gdyby wcześniej informowała o takich szczegółach.

Postanowiłam zrobić dobrą minę do złej gry, więc uniosłam kącik ust. Scott, który siedział na miejscu pasażera, posłał mi psotny uśmiech. Z całej siły starałam się zignorować obecność Sheya, który chyba nawet nie miał ochoty się przywitać. Ja również nie zamierzałam pierwsza wyciągnąć ręki. Może to było głupie, bo się nie pokłóciliśmy, ale panowała między nami niezręczna atmosfera. Przez zmęczenie dzień wcześniej powiedziałam za dużo i zdawałam sobie z tego sprawę. Miałam jednak nadzieję, że go nie uraziłam. Nie chciałam więcej wtrącać się w jego prywatne sprawy ani spotykać się z Charliem. Był mi obojętny.

Shey mnie ignorował, więc przyjąłem tę samą strategię.

Czy zachowywałam się jak przedszkolak? Tak. Czy było mi z tym źle? Nie, nieszczególnie.

— Młoda — odezwał się Scott, patrząc mi w oczy ze swoim popisowym uśmiechem — takie ciuchy na trening? Cóż, będzie ci trochę niewygodnie ćwiczyć, ale może dasz radę.

Zmarszczyłam brwi na jego słowa. O czym on bredził? Jaki trening? Przecież miałyśmy jechać na zakupy. Posłałam mu pytające spojrzenie, a moje tętno nieco przyspieszyło.

— O nie, ja na żaden trening się nie zgodziłam! — zawołałam z paniką w głosie.

Laura, widząc moje przerażenie, postanowiła się zlitować i cicho się roześmiała. Trzepnęła Scotta w ramię, a chłopak zaczął się śmiać, kręcąc głową.

— Przestań ją straszyć, głupku — mruknęła, a po jej minie było widać, jak bardzo sama hamowała śmiech. — Nie ma żadnego treningu, skarbie. Jedziemy do galerii, a temu idiocie się po prostu nudzi.

— Hej! — rzucił z teatralnym oburzeniem. — Nie wiem, jak wy, ale ja z chęcią zobaczyłbym Clark na ringu. Z jej temperamentem wybiłaby tam połowę zawodników, a na koniec z rozpędu znokautowałaby samą siebie.

Zacisnęłam zęby, patrząc spod byka na śmiejącego się w głos chłopaka. Laura również szeroko się uśmiechała, a Nathaniel pozostał cicho i nawet się nie poruszył. Ignorując jego nonszalancję, zmrużyłam złowrogo oczy i skrzyżowałam spojrzenie z Hayesem. Bez słowa uniosłam dłoń tak, aby pokazać jej zewnętrzną stronę roześmianemu chłopakowi.

— Widzisz to? — zapytałam, poruszając palcami, aby zobaczyć moje długie granatowe paznokcie. — Płacę za nie sto dwadzieścia dolców i są dużo lepsze niż rękawice bokserskie. Zostawiają ładne blizny. — Poruszyłam wyzywająco brwiami, unosząc kącik ust. — Chcesz się przekonać?

— Jestem pewny, że niektórzy chcieliby, abyś zostawiała te blizny na ich plecach — odparł z zabijającą pewnością siebie, na co szerzej otworzyłam oczy.

Może tylko mi się wydawało, ale siedzący obok mnie Nathaniel jakby nieco się spiął.

Z cisnącym mi się na twarz uśmiechem nachyliłam się do Hayesa, by trzepnąć go w tę jego pustą głowę, jednak chłopak był szybszy. Odchylił się, przez co nie mogłam go dosięgnąć. Na szczęście po swojej stronie miałam niezawodną Laurę, która bezceremonialnie uderzyła go za mnie pięścią w ramię. Chłopak skrzywił się teatralnie i zboliałym wzrokiem popatrzył na brunetkę, która starała się ukryć uśmiech, chociaż jej oczy błyszczały niczym słońce.

— No wiesz? — fuknął teatralnie. — Tak traktować miłość swojego życia?

— Miłość mojego życia zaraz znowu oberwie — odparła, na co westchnęła, z cwany uśmiechem puścił mi oczko i usiadł prawidłowo na fotelu. — Przystań ją katować.

Nie mogąc się powstrzymać, pacnęłam go lekko w tył głowy. Moore głośno się zaśmiała, a potem odpaliła silnik.

— Zołza — burknął Scott.

Laura wyjechała spod mojego domu na ulicę, a następnie zaczęła kierować się w stronę centrum. Nagle spowaźniałam, a mój humor znów się popsuł, bo przypomniałam sobie, kto siedzi obok mnie. Miejsce pomiędzy nami było puste, ale Nathaniel trzymał tam prawą dłoń. Nadal nawet na mnie nie spojrzął, co robiło się irytujące. Odliczałam sekundy do momentu, gdy się rozdzielimy.

I to nie było tak, że ja coś do niego miałam. Nie, wręcz przeciwnie. Dla mnie był czystą kartą, a przynajmniej tak było, kiedy zobaczyłam go pierwszy raz po tych czterech latach. Przecież rozstaliśmy się w pokojowych stosunkach. Niestety im więcej czasu z nim spędzałam, tym bardziej mnie drażnił. Do tego ta cała sytuacja z Charliem... Był taki frustrujący! Nigdy nie wiedziałam, o co mu chodzi, zachowywał się, jakby był wiecznie obrażony, stroił fochy, a jak już na mnie spojrzął, to miałam ochotę go uderzyć.

W tym wszystkim nie znosiłam jeszcze tej mimowolnej reakcji swojego ciała na jego bliskość. Nawet wtedy w tym cholernym samochodzie tak było. On tam siedział. Tylko siedział, z tą swoją wyraźnie zarysowaną szczęką, zmierzwionymi od wiatru włosami, posągową miną i zapachem, który choć mieszał się z innymi, to i tak był wyraźnie wyczuwalny. I to wystarczyło. Boże, jak on mnie irytował! A nawet się nie odezwał!

Może ten trening nie byłby takim złym pomysłem? Z chęcią wyżyłabym się na worku treningowym, wyobrażając sobie, że to twarz Sheya. Byłoby bosko, gdyby ktoś przyczepił do tego worka jego zdjęcie. Tak dla wizualizacji.

— Co dziś robiłaś, Vic? — zapytała Laura, wrywając mnie z rozmyślań. Wzdrygnęłam się lekko, spoglądając na jej włosy.

— Nic ciekawego. — Odchrząknęłam, aby oczyścić gardło. — Rozmawiałam z Erikiem.

— O, z chłopakiem twojej mamy? — zapytała zaciekawiona, szybko odwracając głowę w moją stronę. Nie żeby właśnie prowadziła samochód i wyprzedzała jakąś ciężarówkę. — Co u niego?

Przełknęłam ślinę, z przerażeniem obserwując wielki samochód obok nas. Ze zgrozą odkryłam, jak szybko jedziemy. Już zapomniałam, jak prowadzi Laura, i zdecydowanie za tym nie tęskniłam.

— Ehm, tak. Mieszka niedaleko nas. Pracuje w prywatnej klinice — dukałam zestresowana, w duchu dziękując za to, że znów popatrzyła na jezdnię.

— To bardzo fajnie! — zawołała radośnie jak gdyby nigdy nic, z ekscytacją wyprzedzając kolejne samochody.

Zacisnęłam szczękę i mimowolnie złapałam się mocniej za uchwyt po wewnętrznej stronie drzwi.

Kątem oka spoglądałam na niewzruszonego Nathaniela, a następnie na wyluzowanego Scotta, który zmieniał stacje muzyczne w radiu. Cóż, chyba byli przyzwyczajeni do jej jazdy, ale ja niekoniecznie. Całe szczęście, że droga nie była wyboista, bo skończyłabym z guzami na głowie od obijania się o dach auta. Aby ukryć swój strach, zdecydowałam się znów włożyć okulary. Uniosłam hardo brodę i wbiłam wzrok przed siebie.

— Całe szczęście, że zdecydował się z wami... — zaczęła Laura, ale urwała w połowie, a potem wszystko działo się już szybko.

Jeden z samochodów przejechał skrzyżowanie na czerwonym, przez co Moore gwałtownie skręciła kierownicą, aby uniknąć zderzenia. Naszym autem zarzuciło w bok. Nie miałam zapiętych pasów, więc kiedy poleciałam w lewo, automatycznie się podparłam, aby utrzymać równowagę. I to się udało, ale nie przewidziałam, że moja dłoń wyląduje na ręce Nathaniela, na której automatycznie zacisnęłam palce. Opony zapiszczały od gwałtownego hamowania, a potem SUV stanął w poprzek skrzyżowania, dokładnie tak jak kilka innych aut. Na szczęście nie usłyszałam żadnych uderzeń, jedynie głośny pisk hamulców i szorowanie gumy po asfalcie.

— Kto, do kurwy, dał ci prawo jazdy, frajerze! — krzyknęła ze złością Laurą, patrząc na samochód, przez który prawie doszło do kolizji.

Biały ford pomknął dalej ulicą odprowadzany głośnym trąbieniem klaksonów zdenerwowanych kierowców.

— Jak się nie umie jeździć samochodem, to zostaje rower albo hulajnoga, pieprzony kretynie! Wygrałeś prawo jazdy w paczce chipsów?!

Moje serce biło szybko i nierównomiernie przez adrenalinę, do tego źle mi się oddychało. Siedziałam bez ruchu, jedną dłońią kurczowo trzymając się za bok drzwi, a drugą... *właśnie*. Z gulą w gardle boleśnie powoli spoglądałam na miejsce pomiędzy sobą a Sheyem. Może przez szok tego nie czułam, ale doskonale widziałam, jak moje długie blade palce zaciskają się na zewnętrznej stronie dłoni chłopaka. Mój chwyt był tak mocny, że knykcie mi pobieleły, a jego palce lekko poszarzały, jakbym odcięła im dopływ krwi. Przełknęłam ślinę, nadal nie potrafiłam się poruszyć. Słyszałam krzyki Laury w tle, ale ich nie rejestrowałam. Widziałam, że ściskam dłoń Sheya, choć jej nie czułam. Słyszałam swoje szybko bijące serce i krew szumiącą mi w uszach.

Spomiędzy moich warg wyrwało się ciche westchnienie. Uniosłam głowę, aby spojrzeć na Nathaniela, który nawet nie drgnął. Był tak samo nieruchomy jak kilka minut wcześniej, z tą różnicą, że teraz również patrzył na nasze dłonie. Nie wyrwał ręki, chociaż pewnie sprawiałam mu niezły ból. Wydawało mi się, że zatrzymaliśmy się w czasie. W końcu Shey unosił głowę, tak jak ja wcześniej. Nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie. Nadal miał okulary, przez co nie widziałam jego oczu, i w tamtej chwili niesamowicie mnie to cieszyło. Wiedziałam, że przez ciemne szkła on nie widzi moich.

— Cholerni kretyni — mamrotała gdzieś w tle Laura, powoli ruszając. — Idioci nie powinni mieć prawa jazdy! Gdzie jakieś testy psychologiczne?! Przecież przez takich świrów zdarzają się wypadki!

To przywołało mnie do porządku. Zdałam sobie sprawę, że nadal zaciskam dłoń na dłoni Nathaniela i nie jest to w porządku, choć chłopak nie zareagował. Mimo że jeszcze kilka sekund wcześniej nie czułam zupełnie tego uścisku, nagle zabolalo, jakbym trzymała żarzący się węgiel. Moja dłoń zapiekła żywym ogniem od dotyku jego ciepłej skóry, która z każdą sekundą robiła się coraz zimniejsza. Zmusiłam skostniałe palce, by go puścić, chociaż każdy ruch przynosił mi ból. Wyprostowałam je wszystkie, a gdy odsunęłam rękę, ponownie zacisnęłam dłoń w pięść i schowałam za siebie. Nathaniel wciąż na mnie patrzył, gdy powoli przełknęłam ślinę, a następnie uniosłam brodę i wbiłam wzrok w załówek przed sobą. Ze wszystkich sił starałam się pokazać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

— Co zrobisz, kochanie — odparł Scott. — Teraz każdy tak jeździ.

— To straszne. Ludzie w ogóle nie uważają na drodze — rzuciła rozżalona Laura, a potem sama przekroczyła prędkość niemal dwukrotnie w terenie zabudowanym.

Jedyne, co czułam, to że moja dłoń płonie. Staralam się oddychać najciszej, jak mogłam, ale miałam z tym problem. Siedziałam wyprostowana jak struna, było mi gorąco i duszno. Nie powinnam była tak reagować na jego dotyk. To nie było właściwe, to było popieprzone i w każdym aspekcie nienormalne. Tłumaczyłam sobie, że stało się tak za sprawą szoku spowodowanego nagłym skokiem adrenaliny. Tylko tym i niczym więcej. Tylko dlatego moje serce biło tak szybko i poczułam w gardle gulę, której nie potrafiłam przełknąć.

Tylko dlatego.

— Matt i Cameron już są — mruknął nagle Scott. — Parker jedzie.

— W porządku — odpowiedział Nathaniel cichym, zachrypniętym głosem, wciąż patrząc prosto na mnie.

Staralam się nie dać po sobie poznać, jak cholernie trzęsę się w środku, więc z kamienną twarzą wlepiłam wzrok przed siebie.

— Jesteśmy — poinformowała nas w końcu Laura.

Zamrugałam gwałtownie, wyglądając przez szybę. Dziewczyna parkowała właśnie przed jakąś siłownią, pod którą stały dwie dobrze mi znane osoby. Kiedy zgasiła silnik, szarpnęłam za klamkę i z zaciśniętą szczęką wysiadłam. Powstrzymałam się od mocnego trzaśnięcia drzwiami. Odetchnęłam głośno świeżym powietrzem, przeczesując dłonią włosy. Byłam tak potężnie rozdrażniona, że ledwo nad sobą panowałam. Ogarnęła mnie złość na siebie, na Sheya, na tego pierdolonego kierowcę... na wszystkich! Staralam się spokojnie oddychać, chociaż było mi gorąco i miałam wrażenie, że jeszcze chwila i wybuchnę, niszcząc wszystko w promieniu pół mili.

To tylko w twojej głowie. Jesteś taka tylko w swojej głowie.

— Clark! — Rozbawiony głos Matta dotarł do moich uszu, kiedy starałam się głęboko i miarowo oddychać. Kątem oka dostrzegłam, jak Laura, Scott i Nate opuszczają samochód. — Czyżbyś przyjechała trochę poboksować?

Chłopak podszedł do mnie i chyba chciał zamknąć mnie w niedźwiedzim uścisku, ale sprawnie się wywinęłam i niby żartem sprzedałam mu kuksańca w ramię. Jego oczy rozbłysły, a uśmiech się poszerzył.

Zaraz po nim zbliżył się do mnie Cameron, który jedynie uśmiechnął się szarmancko, a następnie lekko skłonił na przywitanie, zachowując klasę i dystans. W duchu mu za to podziękowałam.

— Proponowałam jej to, ale odmówiła. Pech — zadrwił Scott, podchodząc do bagażnika auta wraz z Nathanielem, który znów nie zwracał na mnie uwagi.

Miałam ochotę coś rozwalić. Coś dużego i twardego. O! Może drzewo. Tak, drzewo było dobrym wyborem.

— Hm, szkoda, ale może to i lepiej. Jeszcze zrobiłaby komuś krzywdę tymi zabójczymi maszynami — wtrącił się Donovan, który z radością sobie ze mnie kpił. Na potwierdzenie swoich słów złapał jedną z moich dłoni i nią machnął.

Zacisnęłam szczękę, a następnie spięłam się i uderzyłam tą samą dłonią w klatkę piersiową Matta. Na jego nieszczęście uderzyłam zewnętrzną stroną, więc moje pierścionki wbiły się w jego ciało. Blondyn zawył, puszczając moją rękę i łapiąc się za obolałe miejsce, aby następnie zgiąć się wpół. Z niewzruszoną miną spojrzałam na niego z góry, Scott z Laurą zaczęli się głośno śmiać, a Cameron uśmiechnął się kpiąco, pokręcił głową i położył dłoń na ramieniu stękającego chłopaka, po czym poklepał go lekko.

— I po co było zaczepiać? — rzucił tonem mamy psotnego dziecka.

Odwrociłam się w stronę Scotta, który otworzył już bagażnik. Shey właśnie wyciągał z niego czarną sportową torbę. Jednym ruchem zarzucił ją sobie na ramię, a ja poczułam dziwne déjà vu. Ile to razy widziałam go z nią na walkach lub po treningach. Odchrząknęłam i spuściłam wzrok, znów czując ten wściekły przypływ gorąca.

— Wejdziecie z nami na chwilę? — zapytał Hayes, patrząc na Laurę.

Dziewczyna posłała mi pytające spojrzenie, ale ja jedynie wzruszyłam ramionami. Było mi wszystko jedno.

— Możemy wejść. I tak będziecie wszyscy siedzieć tu do wieczora — mruknęła.

Cała nasza szóstka weszła do siłowni. Matt uśmiechał się do mnie zaczepnie, na co przewróciłam oczami i teatralnie poprawiłam swoje pierścionki, aby zakomunikować mu, że możemy się tak dalej bawić. Kiedy znaleźliśmy się w środku, zdjęłam okulary z nosa, krzywiąc się przez specyficzny zapach gumy i potu. Siłownia zdecydowanie była prze-

znaczona dla bokserów, o czym świadczyły wiszące w kilku miejscach worki treningowe, a poza nimi sztangi oraz inne przyrządy. Na środku stał sporych rozmiarów ring, na którym właśnie walczyło dwóch kolesi w ochraniaczach na głowę. Za trzema linami stał jakiś starszy mężczyzna, który krzyczał do zawodników, informując ich, co mają poprawić. Kilka osób ćwiczyło samodzielnie albo z trenerami. Pomieszczenie miało klimat dawnych sal treningowych, ale było nowocześnie wyposażone.

— Łezka kręci się w oku na wspomnienie, co? — wymamrotał Scott, lekko trącając łokciem w bok Donovana, kiedy wszyscy rozglądali się po tej ogromnej hali niemalże z zachwytem.

Na twarzach Scotta, Matta, a nawet Camerona błąkały się nostalgiczne uśmiechy. Zrozumiałam, że mieli z tym miejscem wiele wspomnień. Nigdy wcześniej tam nie byłam, więc tylko surowo oceniałam stan siłowni. Laura nie była zbyt zainteresowana. Z twarzy Nathaniela nie sposób było nic wyczytać. Stał tuż obok mnie, nadal w ciemnych okularach.

— Nathaniel Shey! — Głośny okrzyk przebił się przez hałas panujący w pomieszczeniu.

Wysoki ciemnoskóry mężczyzna z czarnymi jak noc włosami, który stał na ringu, obserwował naszą grupę, już nie komentując pojedynku walczących na ringu chłopaków. Popatrzyłam na niego ze zmarszczonymi brwiami, kiedy mruknął coś do innego faceta obok, a następnie powoli ruszył w naszą stronę, przytrzymując się lin. Po chwilowym zastanowieniu przypomniałam sobie, skąd go znam. To był trener Nathaniela sprzed kilku lat. Raz nawet z nim rozmawiałam, kazał mi odwiedzić Sheya do mieszkania. Wtedy zrobił na mnie naprawdę dobre wrażenie, był kulturalny, ale stanowczy. Nic się nie zmienił, mimo wieku nadal dobrze się prezentował. Był bardzo wysoki, ale lekko się garbił, co odejmowało mu kilka cali. Przełknęłam ślinę, gdy z posępną miną stanął tuż przed nami.

— Witaj, Thiago — przywitał się pewnie Shey, jednak nie wyciągnął dłoni do mężczyzny ani nie zdjął okularów.

Trener nie odpowiedział, a jego twarz przybrała jeszcze poważniejszy wyraz. Byłam pewna, że wzbudzał respekt w większości osób będących na siłowni. Patrzył surowo na swojego byłego podopiecznego, marszcząc wielkie, krzaczaste brwi.

— Po coś tu przyszedł? — zapytał surowo.

Nathaniel nie ugiął się ani odrobinę pod ciężarem jego spojrzenia. Wręcz przeciwnie, wydawało mi się, że nawet nieco się rozluźnił.

— Jasmine ci nie powiedziała? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Powiedziała, ale dalej mam nadzieję, że to głupi żart — odparł Thiago.

Shey westchnął cicho, w końcu przesuwając okulary na głowę. Przeknęłam ślinę i przeniosłam wzrok na starszego mężczyznę.

— To nie żart — zaprzeczył znacznie poważniej Nathaniel, a ja czułam, że już się nie uśmiecha. — Mam walkę w przyszłym tygodniu. Muszę się przygotować.

Thiago jeszcze mocniej zmarszczył brwi, przez co wyglądały, jakby były ze sobą połączone. W międzyczasie telefon Scotta zaczął dzwonić, więc chłopak przeprosił i poszedł gdzieś na bok, aby odebrać. Reszta również odeszła o krok, ale ani Shey, ani Thiago nie drgnęli, tylko poważnie patrzyli sobie w oczy. Czułam to dziwne, ciężkie napięcie pomiędzy nimi i nawet chciałam się wycofać, ale wydawało mi się, że moje poruszenie się tylko pogorszy sprawę.

Nagle ciemne oczy trenera zapłonęły gniewem i unióś powoli rękę. Wskazał palcem na drzwi wyjściowe za nami i niemal warknął:

— Wyjdź z mojego klubu, Nate. Nie masz tutaj wstępu. Nie masz prawa przekraczać progu tego miejsca.

Byłam pewna, że po *takich* słowach, wypowiedzianych *takim* tonem przez *takiego* mężczyznę najwięksi twardziele uciekaliby w popłochu. Ale Nathaniel Shey był masochistą, więc ani drgnął i nawet nie spojrzał w stronę drzwi. Cały czas z pewną miną patrzył trenerowi w oczy.

— Dlaczego? — zapytał spokojnym tonem.

— Nie wejdiesz tu, dopóki nie zmądrzejesz — warknął Thiago, opuszczając rękę. — Jak się dowiedziałem, że będziesz walczyć z Sanchezem, to myślałem, że się przesłyszałem. Zgodziłem się na spotkanie, o które poprosiła Jasmine, tylko dlatego, że chciałem powiedzieć ci osobiście, że nie będziesz u mnie ćwiczył. Nie w moim klubie. Nie pošlę cię na rzeź.

— Thiago... — zaczął Shey, ale ten nie dał mu skończyć.

— Cztery lata nie walczyłeś! — przerwał mu. Jego ton był tak groźny, że się wzdygnęłam, a kilka osób stojących najbliżej nas przestało ćwiczyć i ze zdziwieniem zerknęło na mężczyznę. — W tydzień nic nie

zdziałasz. Sanchez to nie jest byle kto. Nie jest jak ci gówniarze, z którymi walczyłeś. To poważny zawodnik, a ty miałeś przerwę. Nie dam ci się zabić.

Mój szacunek do tego faceta wzrósł dwukrotnie. On też uważał, że walka Sheya to nieporozumienie. Dogadalibyśmy się.

— To, że nie walczyłem, nie oznacza, że nie trenowałem — odpowiedział spokojnie Nathaniel, chociaż czułam, że jest coraz bardziej spięty. — Thiago. To jedna walka. Zrób to dla mnie i o nic nie pytaj. Ze względu na naszą przyjaźń.

Starszy mężczyzna zasępił się i niechętnie spojrzął na torbę w dłoni Sheya. Jego brwi znów się zmarszczyły, tak jak orli nos. Warknął coś sam do siebie, a następnie odwrócił się i wrócił na ring. Nie bardzo wiedziałam, co się dzieje, więc niepewnie zerknęłam na Nathaniela, który ani na chwilę nie oderwał wzroku od pleców trenera. Thiago podszedł do innego mężczyzny, który był dużo niższy i bledszy. Zaczęli o czymś rozmawiać.

Pewnie powinnam była milczeć, ale ja byłam zła, sfrustrowana i chciałam wiedzieć.

— Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym miejscu? — zapytałam nagle obojętnym tonem, patrząc na bijących się na ringu mężczyzn. — Przecież możesz ćwiczyć gdzie indziej.

Zawodnicy wymieniali ciosy, przyciskając się na zmianę do narożników. Nieprzyjemny dreszcz przeszył moje ciało, kiedy przypomniałam sobie te wszystkie razy, gdy to Nathaniel walczył.

Jak ja tego nienawidziłam. Za każdym razem, kiedy wchodził na ring.

Wiedziałam, że mnie usłyszał, chociaż na początku nie zareagował. Oboje nie patrzyliśmy na siebie, tylko obserwowaliśmy mężczyznę. W pewnej chwili wydawało mi się, że Shey już nie odpowie, bo był wkurzającym Nathanielem, który często ignorował swojego rozmówcę. Ogarnęła mnie irytacja. Dlaczego on musiał sprawiać tyle problemów? Z małymi szczeniakami było łatwiej niż z nim. Już miałam zamiar odpuścić, gdy nagle chłopak cicho westchnął.

— Tu trenują najlepsi — odparł, nadal na mnie nie patrząc. — Zapewniają najlepsze warunki i całą ekipę potrzebną do walk. Lekarza, trenera i gościa od sprzętu — wyjaśnił ogólnikowo.

— Trenowałeś tu wcześniej?

— Tak — mruknął. — Ale kiedy przestałem walczyć, przenieśliem się w inne miejsce. W tym klubie trenują jedynie ci, którzy walczą.

— Długo go znasz? — zapytałam, wskazując podbródkiem na wysokiego mężczyznę, który nadal stał przy ringu, i spojrzałam na Nathaniela.

Dziwnie nieobecny wzrokiem patrzył przed siebie, a ja dopiero wtedy zauważyłam, jak jego oczy były podkrążone. Wyglądał tak, jakby nie spał pół nocy. Gorzej niż dzień wcześniej w klubie, choć już wtedy sińce pod jego oczami zwróciły moją uwagę. Nagle moja irytacja zmaleła, bo gdy zobaczyłam go w tym stanie, nie potrafiłam się tak na niego wściekać. Obudziło się we mnie nieprzyjemne przecucie.

Działo się coś złego.

Kiedy tak mu się przyglądałam z boku, zaczęłam zauważać coraz więcej szczegółów. To, że jego włosy były nieco bardziej potargane niż zazwyczaj. Jakby często wplątywał w nie palce i za nie pociągał. To, że jego skóra bardziej poszarzała, a malutkie żyłki stały się lepiej widoczne. To, że jego wzrok nie był taki elektryzujący jak zazwyczaj. Całą sobą czułam, że dzieje się coś niedobrego.

Może przesadzałam. Może dla wszystkich wokół te detale byłyby niezauważalne, ale ja czułam, że coś jest nie tak. Czy to przez sytuację z Charliem? Może z nim rozmawiał i dlatego był taki zmęczony. Tak, to na pewno było to, bo co innego?

— Od szesnastego roku życia — odpowiedział, a ja wyrwałam się z transu. Wzdrygnęłam się lekko. Jego ton nie był tak cyniczny jak zawsze. — To Thiago nauczył mnie wszystkiego.

Uniosłam ze zdziwieniem brwi.

— Był bokserem? — zapytałam, na co skinął.

— Najlepszym w Kalifornii — odrzekł, a następnie przekreślił głowę w moją stronę, krzyżując ze mną spojrzenie.

Niemal nie oddychając, patrzyłam w jego czarne oczy. Nie wiedziałam, dlaczego nadal stałam tak blisko niego. Dlaczego nie odeszłam jak reszta naszych znajomych, tylko wciąż trwałam u jego boku. Jednak kiedy na mnie spojrzał, zrozumiałam, że nie czułam tego cholernego wewnętrznego przymusu, by się odsunąć. Jego bliskość powinna była mi przeszkadzać. Przeszkadzała mi, na pewno mi przeszkadzała...

Ta i inne myśli uleciały z mojej głowy w momencie, gdy Nathaniel nachylił się w moją stronę, skracając dystans między nami. Nadal

znajdował się w bezpiecznej odległości, ale mimo to coś ścisnęło się w moim żołądku i nie chciało puścić. Oboje mieliśmy zacięte miny, ale na jego twarzy malowało się coś jeszcze. Kpina i poczucie wyższości. W jego zmęczonych oczach nie widziałam życia. Widziałam w nich zwycięstwo.

Ale nie życie. Jak gdyby zwycięstwo miało większą wagę. Zwycięstwo ponad życie.

— Cóż, najlepszym zaraz po mnie — mruknął z powalającą pewnością siebie, unosząc brew.

Miałam ochotę parsknąć śmiechem, był taki wyniosły. Tak bardzo zarozumiały. Tak bardzo niepowtarzalny.

— Wydaje mi się, że nieco przeceniasz swoje możliwości — odpowiedziałam powoli.

Dzielnie wytrzymałam jego spojrzenie i założyłam ręce na piersi. Nadal staliśmy przodem do ringu, ale twarzami byliśmy zwróceni do siebie. Grałam niewzruszoną tak dobrze, jak on to robił. Wychodziło mi to. *Zawsze*.

— Wątpisz we mnie? — zapytał z udawanym przejęciem, jawnie sobie ze mnie kpiąc. — Przecież kiedyś byłem najlepszy.

Po jego słowach lekko się uśmiechnęłam, a następnie pokręciłam głową, spoglądając na niego tak, jakby był kilkuletnim dzieckiem. Przełamałam się i nachyliłam w jego stronę, tak jak on wcześniej w moją. Teraz dzieliło nas jeszcze mniej, ale starałam się nie zwracać uwagi na jego zapach. Ten zapach, który niby był taki sam jak przed czterema laty, ale jednocześnie taki inny. Starałam się ignorować ciepło jego ciała. Jego spojrzenie, które było tak intensywne. Wszystko, co go dotyczyło.

Zamrugałam powoli, a następnie moje usta wygięły się w pełnym politowania grymasie.

— Jak to ktoś kiedyś powiedział... Byłeś najlepszy, bo cała reszta była jeszcze gorsza.

Z uśmiechem godnym zwycięzcy patrzyłam, jak cyniczny uśmieszek znika z jego twarzy i zastępuje go rozdrażnienie. Jego czarne oczy znów stały się nieco ciemniejsze. Zdziwiło mnie to, jak dobrze się poczułam. W końcu zobaczyłam dawnego Sheya, a nie tę jego marną imitację.

Byłam zadowolona. Zdenerwowałam go i przypomniało mi się, że kiedyś to uwielbiałam. Obraziłam, co też było przyjemne, a na dodatek

nieco ożywiłam. Całe szczęście, bo na te zmęczone oczy nie dało się patrzeć.

Tak, zdecydowanie byłam zadowolona.

Głośne chrząknięcie przywróciło nas do rzeczywistości. Oboje jak na zawołanie odwróciliśmy głowy w stronę trenera, który wrócił i znów stanął przed nami, czego nie zarejestrowałam. Poczułam zażenowanie, więc odsunęłam się o krok od Sheya, wbijając wzrok w ring, na którym na moje nieszczęście nikt już nie walczył. Splotłam dłonie za plecami, zaciskając usta w wąską linię i unosząc dumnie głowę. Odetchnęłam z ulgą, kiedy Thiago ponownie skrzyżował spojrzenie z niewzruszonym tą całą sytuacją Nathanielem.

— Dobrze, pomogę ci — powiedział w końcu.

Nie wiedziałam, czy się cieszyć, bo Shey zyskał dobre warunki do treningów, czy płakać, bo, kurwa, naprawdę miał walczyć.

— Dam ci ekipę. I robię to tylko ze względu na przeszłość.

— Dziękuję, Thiago — odpowiedział Nathaniel, co mnie zdziwiło, bo rzadko zdarzało się, by szczerze za coś dziękował.

Podziękował ci wczoraj.

— Kiedy masz walkę? — zapytał mężczyzna i na szczęście zepchnęło to moje myśli na inny tor.

— Nie ma jeszcze termi... — zaczął Shey, ale przerwał mu Scott, który właśnie do nas wrócił.

— Już jest — mruknął, na co wszyscy na niego spojrzeliśmy.

Matt, Cameron i Laura, którzy do tej pory stali z tyłu, również podeszli zaalarmowani miną Hayesa. Chłopak obracał w dłoni telefon, a coś w jego twarzy sprawiło, że poczułam dziwne zdenerwowanie.

— Właśnie zadzwonili, żeby mnie o wszystkim poinformować — dodał. — Vin przekazał organizatorom mój numer, aby łatwiej było nam się komunikować. Podali datę.

— I kiedy jest? — zapytał Cameron.

Zacisnęłam szczękę, czując ukłucie w klatce piersiowej.

— Szesnastego listopada.

Szesnasty, szesnasty, szesnasty.

— Ale to przecież... — zaczął Matt, marszcząc brwi.

— Dzień po twoich urodzinach — dokończyła Laura, wpatrując się w Nathaniela, którego mina nie wyrażała niczego.

— Dzień po festynie w Culver City — dodał Scott i westchnął. — Co oznacza dwa razy więcej policji i dwa razy większe prawdopodobieństwo, że nas złapią.

— I to nie tydzień na przygotowania, tylko cztery dni — powiedział poważnie Wilson.

Och, wprost cudownie! Nie dość, że ryzykowaliśmy tak wiele, to na datę walki wyznaczyli najgorszy możliwy dzień! Nie wierzyłam w to, że mamy takiego pecha. Tak się staraliśmy, a cały czas coś szło nie tak. Widziałam, że reszta uważa podobnie, świadczyły o tym ich posępne miny. Jak dla mnie, najlepszym wyjściem było odwołanie tego cyrku i znalezienie innego rozwiązania.

Matt mruknął coś pod nosem, a ja spjrzałam na wciąż niewzruszonego Nathaniela. Nie wiedziałam, o czym myśli, ale zapewne nie było to nic dobrego.

— W takim razie urodzin nie opijesz — mruknął ponuro Thiago. — Znasz zasadę. Od dziś pełna abstynencja.

Widziałam, jak Shey walczył, aby nie przewrócić oczami, ale skinął głową. Naprawdę szanował tego faceta.

— Dobrze, w takim razie chodź do szatni — burknął, jasno dając nam do zrozumienia, że ani trochę nie podoba mu się ten cały pomysł z walką. — Masz wszystko? — zapytał, a Nathaniel potaknął.

Thiago odwrócił się i nie zaszczycił nas już ani jednym spojrzeniem, znów ruszył ciężkim krokiem w stronę ringu. Kiedy był w połowie drogi, zatrzymał się nagle, a jego szerokie ramiona lekko opadły. Z gniewną miną odwrócił się do nas, ale ku mojemu zaskoczeniu nie popatrzył na Sheya. Wzrok wbił we mnie. Zrobił dziwną minę, a następnie zmarszczył nos, jakby uważał, że będę mu w czymś przeszkadzać. Sekundę później znów zerknął na Nathaniela, unosząc brew.

— Pamiętaj też, że niektórych rzeczy przed walką robić nie można — powiedział mętnie z wyraźną niechęcią.

Zmarszczyłam brwi, bo nie rozumiałam, o czym mówił, ale sądząc po reakcji reszty, to musiało coś znaczyć. Zauważyłam, jak starają się ukryć uśmiechy, odwracając głowy. Nawet pieprzony Cameron Wilson musiał przygryźć swoją pełną wargę, aby zachować poważny wyraz twarzy. To zastanowiło mnie jeszcze bardziej, a kiedy zobaczyłam, że

Nathaniel już się nie hamuje i po prostu przewraca oczami, potwierdziło się, że chodziło o coś istotnego.

— Chodź do szatni — burknął mężczyzna, odwracając się i przyspieszając kroku.

Shey nie protestował, ruszył za nim, zostawiając nas.

Ze zmarszczonymi brwiami odwróciłam się w stronę znajomych, którzy wydawali się dziwnie rozbawieni. Chciałam zapytać, co się właśnie stało, ale Donovan mnie wyprzedził, wskazując głową na drzwi.

— Odprowadzimy was — powiedział, a w jego oczach nadal tlił się uśmiech.

Laura szybko skinęła i pierwsza pognała do wyjścia, a za nią podążyli Scott i Matt. Cameron uprzejmie przytrzymał mi drzwi, abym przeszła przed nim. Wszyscy wyszliśmy na zewnątrz, a ja odetchnęłam, bo to była dobra pora, aby zapytać.

— Ej, o co mu tam chodziło? — udałam obojętną.

Reakcja znów była podobna, Matt ze Scottem się uśmiechnęli. Cameron tym razem starał się być poważniejszy, więc jedynie machnął ręką.

— O nic. Takie stare reguły. Nie przejmuj się — powiedział serdecznie, ale nie dałam się spławić.

— Ale chcę wiedzieć! — zawołałam, patrząc na nich wszystkich.

— Jest taka niepisana zasada w sportach, w których ważną rolę odgrywają nogi — mruknął Scott, wzruszając ramionami.

— A ta zasada to... — ciągnęłam.

Matt westchnął i w końcu mi to wyjaśnił:

— Po prostu na kilka dni przed walką nie można uprawiać seksu.

Zawiesiłam się na chwilę, ponieważ tego się nie spodziewałam. Może i był w tym jakiś sens, ale co to niby miało wspólnego ze mną? Dlaczego przed tym tekstem Thiago spojrział na mnie? Przecież...

Kurwa. Rozszerzyłam oczy, omal nie wypluwając swoich płuc.

— I jemu chodziło o mnie?! — zawyłam w szoku, wskazując na samą siebie, czym jeszcze bardziej ich rozbawiłam.

— Najwidoczniej tak. — Hayes pokiwał głową, opierając się plecami o czarny samochód.

— Ale Nate ma narzeczoną... — zaczęłam kulawo.

— Tak — potwierdził Cameron. — A Thiago o tym wie.

Po tych słowach całkowicie mnie wmurowało i chwilę mi zajęło, nim przetrwałam to, co usłyszałam. Skoro on wiedział, że Shey ma pieprzoną narzeczoną, to dlaczego sugerował, że mogło chodzić o mnie? Przecież nic mnie nie łączyło z Sheyem. To nie ja byłam jego narzeczoną i on o tym wiedział. Może łączyło nas coś w przeszłości, ale to było lata temu!

A potem spłynęło na mnie oświecenie.

Czy on pomyślał, że ja jestem jego... *och, kurwa*. To dlatego patrzył na mnie z dystansem i tak nieprzychylnie. Skoro znał Severine, musiał się zdziwić, że to ja byłam tam z Nathanielem. Plus zastał nas w tej dziwnej sytuacji, kiedy sobie dogryzaliśmy, i doszedł do wniosku...

Że musiałam być jego kochanką na boku. *Cholera!*

— Nie przejmuj się, Vic — mruknął na pocieszenie Donovan. — Thiago ma swój świat. Często rzuci coś, zanim pomyśli.

Nie wiedziałam, dlaczego oni nadal byli rozbawieni. To nie było, kurwa, śmieszne i stawiało mnie w okropnym świetle, chociaż niczego nie zrobiłam! Byłam ostatnią osobą na świecie, która wpięprzyłaby się w związek Sheya.

Jęknęłam cierpiętniczo.

— Naprawdę się nie przejmuj — mruknęła Laura, widząc moją reakcję. — Dla niego coś jest na rzeczy, nawet jeśli ludzie tylko ze sobą rozmawiają. Taki typ człowieka. Nie można brać tego na poważnie. Zaprzeczanie też nie miałyby sensu.

— Łatwo ci mówić — mruknęłam.

Tak, może zabawiałam się z różnymi facetami, ale nigdy w życiu nie rozbiłabym komuś związku. Ten zarzut godził w mój honor.

Chłopcy szybko nas pożegnali i wrócili do środka, a my wsiadłyśmy do samochodu. Nie miałam zamiaru więcej ryzykować, więc od razu zapięłam pas. Dla bezpieczeństwa. Laura z uśmiechem włączyła się do ruchu. Dalej męczyła mnie ta niezręczna sytuacja z trenerem Nathaniela, więc postanowiłam z nią o czymś pogadać, aby przestać o tym myśleć. Patrzyłam przez chwilę, jak manewruje kierownicą, i wtedy zauważyłam coś, co mnie zdziwiło. Na jej palcu nie było pierścienka zaręczynowego, a przecież przed ponad czterema laty Scott oświadczył się na jej urodzinach.

— Hej, mogę cię o coś spytać? — zaczęłam cicho.

— Jasne — odparła z uśmiechem.

— Czemu ty i Scott nie wzięliście ślubu?

Laura wyglądała na zmieszaną. Przygryzła wargę i posmutniała, a ja zaczęłam żałować, że zadałam to pytanie. Chciałam jej powiedzieć, że nie musi mi niczego mówić, ale mnie uprzedziła.

— Aktualnie nie jesteśmy nawet zaręczeni — mruknęła cicho i próbowała się uśmiechnąć, ale niezbyt jej to wyszło.

— Ale dlaczego? — zapytałam w szoku.

— Po wyjeździe z Culver City Scott i ja się rozstaliśmy.

W szoku otworzyłam usta. To było dla mnie irracjonalne, przecież oni byli dla siebie stworzeni! Od kiedy ich poznałam, byli w związku i nie mogłam sobie wyobrazić, że się rozeszli.

Laura, najwyraźniej zaniepokojona moim przedłużającym się milczeniem, spojrzała na mnie kątem oka. Gdy zobaczyła moją zszokowaną minę i wybałuszone oczy, zaśmiała się cicho pod nosem, czym rozładowała napięcie. Westchnęła i z rozbawieniem pokręciła głową.

— Zabawne, że każdy reaguje tak samo — skomentowała, skracając w jakąś uliczkę.

— Bo to niezły szok. Ale jak? Dlaczego? Przecież wy... — plątałam się, bo nie wiedziałam, jak ubrać w słowa to, że idealnie do siebie pasują.

— Po wyjeździe zaczęliśmy się więcej kłócić. Ja studiowałam, Scott pracował. Zamieszkaliśmy we wspólnym mieszkaniu, ale się mijaliśmy — mówiła ze spokojem, było jednak widać, że te wspomnienia są dla niej bolesne. — Coraz mniej czasu spędzaliśmy razem, a jeśli już się udawało, to kończyło się kłótnią. Scott chciał często przyjeżdżać do Culver City, a ja nie mogłam sobie na to pozwolić przez studia. I zaczęło się wyrzucanie sobie nawzajem różnych spraw. W końcu, po kolejnej kłótni, Scott powiedział, że nie chce takiego życia. Zabolalo mnie to tak bardzo, że nie byłam w stanie odpowiedzieć, więc ściągnęłam pierścioneł z palca, położyłam go na stole i odparłam, że ja też nie chcę. I wyszłam z mieszkania. Chyba zaskoczyłam tym nas oboje.

Było mi okropnie ciężko na duszy, gdy słuchałam tej historii. Nigdy nie sądziłam, że tak idealna para mogłaby rozstać się przez głupie sprzeczki. Przecież oni świata poza sobą nie widzieli.

— Potem spałam u koleżanki. Cóż, raczej leżałam, bo przepłakałam całą noc. W końcu... wiesz, Scott był zawsze. Od kiedy zaczęliśmy liceum, adorował mnie i starał się o mnie. Byliśmy ze sobą tyle lat,

mieliśmy wziąć ślub, a tu nagle koniec. — Odchrząknęła. — Następnego dnia wróciłam po swoje rzeczy, ale nie zastałam go w mieszkaniu, z czego nawet się ucieszyłam. Spakowałam wszystko, zostawiłam klucze i przeniosłam się do koleżanki.

— Na ile się rozstaliście?

— Na pół roku — odpowiedziała, przez co znów poczułam się, jakby ktoś zdzielił mnie po głowie. — Nie widywaliśmy się w ogóle, ale nie potrafię opisać, jak bardzo za nim tęskniłam. Byłam gotowa znów się z nim kłócić o głupoty, byleby tylko być przy nim. Ale wiedziałam, że on na to nie zasługuje. Wydawało mi się, że w końcu może być szczęśliwy. Więc nie kontaktowałam się z nim przez sześć miesięcy, aż zupełnie przypadkiem znaleźliśmy się na tej samej imprezie naszego znajomego. — Uśmiechnęła się delikatnie do swoich wspomnień. — Dobrze wiedział, że oboje na niej będziemy, ale nie powiedział nam tego. I kiedy zobaczyłam Scotta po tych sześciu miesiącach, zrozumiałam, że nie dam mu drugi raz odejść. A kiedy on na mnie popatrzył, poczułam, że myśli tak samo.

Z uśmiechem przyglądałam się jej twarzy, na której malowało się tyle emocji. Można było czytać z niej jak z otwartej księgi. Jedno spojrzenie na ten uśmiech, w te pełne szczęścia oczy i wiedziało się, że była całkowicie oddana Scottowi. Moja twarz zawsze była taka sama, kamienna i bez wyrazu. Sylvia na początku naszych spotkań stwierdziła, że zapewne zawsze wygrywałam w grę w nieuśmiechanie się. Nie potrafiłam inaczej, z biegiem czasu uznałam to nawet za wygodne.

— I znów jesteście razem — mruknęłam, unosząc kącik ust.

— Tak. Ale nie mówimy na razie o ponownych zaręczynach. Na razie jest dobrze tak, jak jest.

Pokiwałam głową. Zaczęłyśmy rozmawiać o jakichś głupotach i w końcu dotarłyśmy pod galerię. Słońce jeszcze świeciło na niebie, a na dworze było ciepło. Razem weszłyśmy do środka i zaczęłyśmy chodzić po sklepach. Na szczęście nie było wielkiego tłoku. Nie przyjechałam tam z zamiarem kupienia czegoś, tylko by dotrzymać towarzystwa Laurze, ale nie wykluczałam, że wrócę do domu z jakimś drobiazgiem.

— Co tam u Jasmine? — zapytałam nagle, przeglądając spodnie na wieszakach.

Laura wzruszyła ramionami.

— Chyba dobrze — odparła wymijająco. — Dzwoniłam dziś do niej, czy nie chciałaby wybrać się tu z nami, ale musiała pozatlatwiać jakieś sprawy na mieście. Z tego, co wiem, Mia pilnuje jej psa.

Nie mogłam nic poradzić na uśmiech, który wypłynął na moje wargi. Może i minęły cztery lata, ale co jak co, aferę, jaką zrobiłam Nathanielowi o tego psa, pamiętałam doskonale. Scott z Mattem nieźle namieszali, kiedy powiedzieli mi, że Shey będzie spędzał czas z jakąś Madison. Skąd mogłam wiedzieć, że Madison ma cztery łapy...

To były dobre czasy.

— Wydaje się dziwnie przygaszona, gdy się spotykamy — mruknęłam.

Laura chwilę się zastanawiała, przygryzając wargę. Spuściła wzrok na ubrania w swoich dłoniach.

— Wiesz, wydaje mi się, że to przez Theo — odparła cicho. — Strasznie przeżyła jego wyjazd i chyba trudno jest jej znów go spotykać. Przez pierwsze dwa miesiące po waszym wyjeździe nie wychodziła z domu. Całkowicie się odcięła i nie chciała z nikim rozmawiać. Nie dopuszczała do siebie nawet Nate'a. Dopiero po tym czasie zaczęła wracać do życia, ale ten temat stał się tematem tabu. Nikt nie mógł przy niej nawet wymawiać jego imienia. Nie przepracowała tego, tylko zakopała w podświadomości, chyba właśnie dlatego teraz jest jej tak ciężko i stała się taka wycofana.

Nie odpowiedziałam. Theo przeżywał rozstanie z nią miesiącami, więc mogłam sobie to wyobrazić. Zresztą podejrzewałam, że nadal coś do niej czuje — to było widać nawet w sposobie, w jaki na nią patrzył. Tak samo jak przed czterema laty, gdy była jego dziewczyną.

Tym wyjazdem do Maine rozpiardoliłam mu życie, a on się na to zgodził.

— Jasmine ma kogoś? — zapytałam obojętnie, odsuwając kolejny wieszak.

— Nie ma — zaprzeczyła od razu. — Jasmine nie jest fanką związków. Nigdy nie była.

Och, witaj w klubie, Jasmine.

Zrozumiałam, że nic nie było już tak jak kiedyś. Może i zjednoczyliśmy się we wspólnym celu, ale łączył nas tylko on. Wystarczyło spojrzeć na mnie i na Mię. Jak to się stało, że zgodziliśmy się ścigać niebezpiecznego psychola i ryzykować życie Nathaniela? Coś boleśnie się we mnie ścisnęło, kiedy pomyślałam sobie, że on właśnie stoi na

ringu, przygotowując się do swojej walki. Zapewne wylewał z siebie siódme poty, ale chociaż nie cierpiał. Na treningu nikt nie miał zamiaru zrobić mu krzywdy. To mogło się stać za cztery dni.

Cztery dni.

— Laura, jak myślisz... — zaczęłam, starając się poukładać sobie w głowie to, o co chciałam zapytać, a dziewczyna spojrzała na mnie pytająco ponad stoiskiem ze swetrami. — Czy Nate to wygra? W sensie, wiadomo, że jest dobry, ale cztery lata nie walczył. Nie da rady nadrobić tego w cztery dni...

Mój głos był papierowy, nie zdradzał żadnych uczuć, dokładnie jak mój wyraz twarzy. Laura zmarszczyła brwi, podczas gdy ja powróciłam do przeglądania ubrań, przygryzając wewnętrzną stronę policzka. Nie było to do końca to pytanie, które chciałam jej zadać, ale było do niego najbardziej zbliżone. Bo tak szczerze, nie obchodziło mnie to, czy wygra, czy nie. Prawdę mówiąc, chyba nie obchodziło mnie to nigdy. Zawsze liczyło się tylko jedno i wiedziałam, że nawet pomimo upływu lat to się nie zmieni. Liczyło się tylko to, aby zszedł z ringu na własnych nogach i nie ucierpiał. Jasne, życzyłam mu wygranej, ale jego zdrowie i życie było ważniejsze niż wynik. Chciałam zapytać, czy nic mu się nie stanie.

Chciałam, aby zapewniła mnie, że tak będzie.

— Luke nie kłamał, gdy powiedział, że Nate jest w lepszej formie niż kiedykolwiek. To, że nie walczył, nie oznacza, że nie trenował. Znasz Nate'a, w życiu nie zrezygnowałby z boksu i z aktywności fizycznej. Trenuje bardziej intensywnie niż kiedykolwiek, po prostu nie walczy. Parker nie pozwoliłby mu się narażać, gdyby nie był pewny, że sobie poradzi. Nikt z nas by na to nie pozwolił. Nate to twardy sukinsyn, on się nie poddaje — zapewniła mnie gorliwie i byłam jej za to wdzięczna. Właśnie tego potrzebowałam. — Poradzi sobie.

— Ale ostatnimi czasy nie wygląda za dobrze.

— O czym ty mówisz? — zapytała zdezorientowana.

— Wydaje się dziwnie zmęczony — westchnęłam. — Moim zdaniem coś go gryzie. Jest przygaszony i jakiś inny. I wygląda, jakby w ogóle nie spał.

Z każdym kolejnym spotkaniem sińce pod jego oczami pogłębiały się i był coraz bardziej zdenerwowany. To nie był Nathaniel Shey, jakiego zapamiętałam. To nie był *ten* Nathaniel Shey. Nie wiedziałam, co się dzieje, ale czułam, że mam rację.

Laura patrzyła na mnie zdezorientowana, więc chyba tego nie zauważyła... Ale, cholera, przecież to było widać gołym okiem! Nawet mówił inaczej i to się pogłębiało z każdym kolejnym dniem. Z każdym kolejnym spotkaniem był coraz bardziej zmęczony.

Dlaczego oni tego nie widzieli? Przecież ja widziałam, tak było.

— Wybacz, Vic, ale chyba... doszukujesz się rzeczy, których nie ma — mruknęła cicho, z zaraz potem szybko uniosła ręce w obronnym geście. — Nie zrozum mnie źle. Nie chodzi mi o to, że sobie wymyślasz. Może coś jest na rzeczy, ale to nic poważnego, Victoria. Z nim się nic nie dzieje. Każdy jest czasem zmęczony, ale Nate to Nate. Może jest trochę bardziej wkurzony, ale nic poza tym. Zachowuje się jak zawsze. I wygląda jak zawsze. Pewnie ma teraz gorszy okres, pewnie ta cała sytuacja z Charliem go przytłoczyła... może też coś z Severine, ale to tyle.

Przelknęłam ślinę, kiwając głową. Tak, miała rację, wyolbrzymiałam wszystko, bo stresowałam się jego walką. To zapewne dlatego. Skoro oni wszyscy ani razu o tym nie wspomnieli, to chyba rzeczywiście doszukiwałam się rzeczy, których nie ma. Znali go dłużej ode mnie i spędzali z nim więcej czasu. Minęły cztery lata, nie mogłam żyć przeszłością i przekonaniem, że widzę więcej od innych, bo tak nie było. Laura miała stuprocentową rację, wymyślałam sobie.

Głęboko w podświadomości czułam jednak, że to nie jest prawdziwy *on*. Ale czy ja w ogóle znałam prawdziwego Nathaniela Sheya?

— Tak, masz rację — mruknęłam, kręcąc głową i nerwowo przesuważąc wieszaki. — Tak. Wszystko jest okej. Wiesz, stresuję się tą walką, chyba dlatego tak mi odbija.

— To rozumiałe, Vic, ale nie martw się. Wszystko będzie dobrze — zapewniła mnie z uśmiechem.

Tak. Tak, będzie.

— W ogóle Luke powiedział nam o całej sytuacji z Charliem — dodała nagle, na co miałam ochotę warknąć.

Czyli wszyscy wiedzieli już o mojej znajomości z gnojkiem... Chciałam skończyć ten temat jak najszybciej.

— Zabawne, że spotkałaś go wcześniej i nawet nie wiedziałaś, że to brat Nate'a. Ale to dziwne, w końcu są tacy podobni.

— Nie, nie są — zaprzeczyłam.

Dziewczyna posłała mi pełne politowania spojrzenie.

— Przecież są jak dwie krople wody — parsknęła. — Widziałam się z nim kilka razy. To młodsza kopia Nate’a. I nie tylko z wyglądu, zachowanie i charakter ten sam!

Zdecydowałam się nie kontynuować tematu, ponieważ bredziła, tak samo jak Theo. Oczywiście, że nie byli podobni, gdyby tak było, to domyśliłabym się wcześniej!

— Super, że go znalazłaś. Luke mówił, że Nate odchodził od zmysłów — kontynuowała. — Szukali go wszędzie, ale nie mogli znaleźć. Nate ani słowem nie odezwał się do Severine. Nie wiem, o co poszło, ale chyba było niezłe spięcie między nimi, bo podobno prawie się popłakała. Charlie był pod jej opieką, pewnie się przejęła. Na szczęście uratowałaś sytuację. Oby po tym wszystkim szybko się dogadali.

— Oby — powiedziała bez cienia emocji, oglądając drogie torebki.

— Pewnie dzięki tobie szybko się pogodzą.

Dobroduszna Matka Victoria.

Na szczęście zakończyłyśmy ten temat i przeszłyśmy do kolejnego sklepu, gawędząc o studiach Laury. Bile dwie godziny snułyśmy się po sieciówkach, przymierzając wszystko, co wpadło nam w oko. Ostatecznie kupiłam dwie bluzy z kapturem, bo w jednym ze sklepów trafiłyśmy na limitowaną kolekcję. Motywem przewodnim były tematy biblijne. Naprawdę świetnie spędziłyśmy czas. Było już po ósmej, kiedy zmęczone zajęłyśmy stolik w jednej z kawiarenek w galerii. Zamówiłam mrożoną latte i kawałek sernika, a Laura wzięła kawę po wiedeńsku i blok czekoladowy.

— Nie wierzę, że założyliście się z Theo o to, że Cameron prześpi się z Chrisem! — zawołała, niemal dusząc się ze śmiechu.

— Cicho! — skarciłam ją, ale sama się roześmiałam, gdy ta rechołała w najlepsze jak mała żaba. — Najgorsze jest to, że mogę przegrać. Cameron za bardzo sobie pozwala.

— Kochana, to Cameron. — Zachichotała i dopiła resztkę swojej kawy. Jej ciasto było już zjedzone, zupełnie jak moje. — On zawsze taki był. Onieśmielający, czarujący i pewny swego. A muszę się zgodzić, ostatnio coraz częściej kręci się koło Chrisa.

— Serio? — zapytałam z powątpiewaniem.

Moje biedne dwadzieścia dolców chyba właśnie mnie pożegnało.

— Aha — przytaknęła, bawiąc się łyżeczką. — Od zawsze był otwarty, ale przez długi czas miał dziewczynę, więc tego nie pokazywał. Cameron

nie jest chłopakiem, który flirtuje z innymi, kiedy sam jest w związku. Jego kultura osobista by mu na to nie pozwoliła. Kiedy z kimś jest, daje tej osobie całego siebie. Rozstał się z dziewczyną niedługo po waszym wyjeździe z Culver City. Od tego czasu jest sam.

— I myślisz, że między nim a Chrisem coś będzie? — zapytałam.

— Cameron to ładny chłopiec, który lubi innych ładnych chłopców. — Wzruszyła ramionami z pięknym uśmiechem. — Czas pokaże.

Uśmiechnęłam się w duchu, ponieważ w liceum tymi słowami często opisywałam Chrisa. Czas miał pokazać, czy zachowam swoje pieniądze. Cholerny Theo. Tyle razy powtarzałam sobie, aby nie zakładać się z tym podstępny gadem, a jeszcze się nie nauczyłam.

— W hotelu, kiedy przyjechał do nas Cameron, chyba jako jedyna nic do niego nie miałaś — zauważyłam, bawiąc się resztką kawy w wysokiej szklance.

Laura pokiwała głową.

— Ja nigdy się z nim nie kłóciłam i nie mam zamiaru tego robić. Jest dla mnie jak brat.

— Inni chyba myślą inaczej... — ciągnęłam, zastanawiając się, czy dobrze robię.

Cholera, nie wiedziałam, czy zaczynać ten temat. Na początku nie chciałam się mieszać, ale moja ciekawość była zbyt duża. Intrygowało mnie, co spowodowało, że ta paczka przyjaciół, którzy byli jak rodzina, tak bardzo się skłóciła. Laura wiedziała, musiała wiedzieć. Nie miałam zamiaru wypytywać o wszystko, ale mogła dać mi chociaż wskazówki...

Moore nie wyglądała na spiętą po moim pytaniu, czego nie mogłam powiedzieć o sobie. Zastanawiałam się, jak to rozegrać. Dziewczyna chyba na razie niczego nie podejrzewała, bo po moich słowach roześmiała się cicho i pokiwała głową, nadal bawiąc się łyżeczką jak długopisem i przekładając ją między smukłymi palcami.

— To faceci — rzuciła. — Mają wielkie ego i wielką dumę. Przynajmniej w tym przypadku.

— Ale chyba jest lepiej? — bąknęłam, a widząc pytający wyraz twarzy Moore, szybko dodałam: — W końcu Cameron przyjechał dziś na trening. Już chyba się tak z Nate'em nie kłóć.

— Nie kłóć się, bo muszą zrobić coś ważnego — odrzekła nieco przygaszonym głosem. — Kochanie, to cudownie, że tak pozytywnie

o tym myślisz, ale oni się nie pogodzą. Przynajmniej nie teraz. Trzeba się cieszyć, że postanowili się ignorować i nie kłócić. Cóż, chyba wszyscy tak zdecydowaliśmy.

Nie ma to jak zabijanie nadziei. Postanowiłam drążyć dalej.

— O co oni się tak pozarli?

Prosto z mostu. Reakcja szokowa. Moje pytanie sprawiło, że dziewczyna przestała obracać łyżeczkę w dłoni i się spięła. Otwartość, jaką widziałam chwilę wcześniej w jej oczach, zastąpiły ostrożność i powściągliwość. Rozgadana Laura schowała się jak złężnione zwierzę. Odchrząknęła, starając się nie pokazać po sobie strachu, ale i tak doskonale go widziałam. Nerwowo zerkała to na nasz stolik, to na coś za szybą, i tak cały czas, a na mnie nie spojrzała ani razu. Kręciła się na swoim krześle, starając się znaleźć jakąś wymówkę.

— Raczej nie powinnam ci tego mówić. To nie moja sprawa, a chyba nie byłiby zadowoleni, gdybym rozgadywała — wymamrotała cicho.

— Laura, to jest kłótnia, która dotyczy was wszystkich — powiedziałam pewnie, nie dając się zbyć. — Mimo że toczy się głównie między Cameronem i Nate'em, to wszyscy jesteście w to zamieszani. Ty również.

— Vic, to nie jest takie proste... — szepnęła.

Wiedziałam, że mam dwie opcje. Albo to zostawić, albo siłą wyciągnąć ją z lasu. Stawiając wszystko na jedną kartę, wbiłam w nią wzrok, a pod stołem zacisnęłam dłonie w pięści.

— Pokłócili się o tę Naomi, prawda?

I to było to.

Dokładnie widziałam, jak w jednej sekundzie oczy dziewczyny się rozszerzyły, a łyżeczka wypadła z jej dłoni, poleciała w dół i odbiła się z metalicznym brzdękiem od pustego talerzyka. Kilka osób się ku nam obróciło, ale Moore ani drgnęła. Z czystym przerażeniem wpatrywała się w moją twarz, a jej oczy były wielkości piłek golfowych. Poczułam się lekko dziwnie i zaczęłam żałować tego pytania. Moje przypuszczenia się potwierdziły.

— Skąd ty... — zaczęła zaszokowana po kilku sekundach, nie potrafiąc zadać pytania. — Skąd o niej wiesz?

— Laura...

— Victoria, skąd o niej wiesz? — zapytała już dużo poważniej, a jej oczy płonęły, gdy nachyliła się w moją stronę nad stolikiem, żądając odpowiedzi.

Przełknęłam ślinę. Po spłoszonym zwierzątku nie było już śladu. Właśnie miałam przed sobą rozwścieżoną pumę. Wiedziałam, że nie ma co kłamać.

— Ashley Manson mi o niej wspomniała. Podobno kiedyś na jakieś imprezie powiedział o niej Matt... — zaczęłam ze skruczą, na co Moore zakłęła pod nosem, przymykając powieki, aby się uspokoić. — Ale nie powiedział nic więcej. Tylko imię i utkwiło mi to gdzieś w głowie, dlatego zapytałam. Nie wiedziałam, że to taka sprawa.

— Po prostu nie pytaj o nią więcej. — Laura odetchnęła, ale nadal była zła. Jej dłonie dygotały i nerwowo rozglądała się po pomieszczeniu.

To mnie zmartwiło. Kim była Naomi i co takiego zrobiła, że nawet Moore reagowała na jej imię w ten sposób?

— Ale Laura... — zaczęłam cicho, jednak znów nie dane mi było skończyć, bo dziewczyna spojrzała na mnie takim wzrokiem, że ciarki przeszły mi po plecach.

Nigdy nie wiedziałam na jej twarzy tyle zaciekłości i powagi, ile w tamtej chwili.

— Victoria, dla własnego dobra po prostu nie pytaj. — Jej szept był tak ostry, że boleśnie wrzynał się w moje uszy. Był tak daleki od jej miłego głosu, którym posługiwała się na co dzień. Z mocą nachyliła się do mnie ponownie, utrzymując ze mną kontakt wzrokowy. — Ty myślisz, że my się teraz kłócimy? — zapytała sarkastycznie. — Wydaje ci się, że relacja Camerona i Nate'a jest teraz napięta? Victoria, ty nie widziałaś piekła, które rozpętało się tu cztery lata temu. Ciebie tu nie było. Byłaś w Maine i nie widziałaś tego. Nie słyszałaś tych krzyków i kłótni. Nie widziałaś tych łez i nie patrzyłaś, jak ludzie, którzy są dla siebie jak rodzina, stają się sobie obcy. Ty nie masz pojęcia, co tu się działo.

W szoku dostrzegłam, że w jej poważnych oczach zbierają się łzy. Jednak żadna nie spłynęła po jej policzku.

— Dlatego nigdy, w obecności nikogo z nas, nie wypowiadaj jej imienia — wyszeptwała, heroicznie walcząc ze łzami.

— Laura, dobrze, ja... — plątałam się, chcąc jedynie, aby się uspokoiła. Nie zamierzałam doprowadzić jej do takiego stanu.

— Nie, Victoria — ucięła stanowczo. — Mogłaś wypaplać coś, co wiesz, o wielu osobach. Mogłaś powiedzieć o Darcy. O matce Nate'a. O jego całej rodzinie. O kimkolwiek z nas. I jeśli myślałaś, że Nate

zareagował gwałtownie, to naprawdę nie chcesz wiedzieć, co działoby się, gdybyś kiedykolwiek przy nim o niej wspomniała. Obiecuj mi, że tego nie zrobisz.

— Boże, Laura... — zaczęłam, chcąc złapać jej dłoń, aby jakoś ją uspokoić, bo w tamtym momencie się o nią bałam.

— Obiecuj mi — powtórzyła z naciskiem.

— Obiecuję. Przysięgam. Nigdy już o niej nie wspomnę. Nie będę się wtrącać — wyrecytowałam niczym przysięgę i dopiero to ją uspokoiło.

Nie mogłam pozbierać się po tym, czego właśnie stałam się świadkiem, byłam w szoku, że to imię wywołało tak gwałtowną reakcję Moore. Nie miałam pojęcia, kim była ta Naomi ani co zrobiła, i chyba nie chciałam już wiedzieć. Bałam się pomyśleć, jak zareagowałby Shey, skoro Laura walczyła ze łzami.

Po kilku trudnych minutach dziewczyna powoli wstała ze swojego miejsca, nawet na mnie nie patrząc.

— Chodź, odwiozę cię do domu — mruknęła.

Bez słowa pokiwałam głową.

Kiedy siedziałyśmy w samochodzie, plułam sobie w brodę, że zadałam to pytanie. Atmosferę między nami można było kroić nożem. Chyba nigdy w życiu Laura nie milczała tyle, ile wtedy. Nie odezwała się ani słowem, prócz tego jednego razu, gdy zapytała, czy możemy najpierw podjechać pod kamienicę Nathaniela, aby odebrać stamtąd Scotta. Nie miałam odwagi się nie zgodzić. Dziewczyna mocno zaciskała dłonie na kierownicy i nawet na sekundę nie spuszczała wzroku z jezdni. Jechała dziwnie przepisowo, nie przekraczając prędkości. Przerazało mnie to.

Kim była, do cholery, Naomi?

Z rozmyślań wyrwałam się dopiero wtedy, gdy dojechaliśmy pod dobrze znaną mi kamienicę. Wcześniej zastanawiałam się, czy Shey nadal w niej mieszka, i okazało się, że tak. Budynek nie zmienił się ani odrobinę. Przełknęłam ślinę, nagle czując, że dopada mnie stres.

Laura zgasiła silnik, ale nadal na mnie nie spojrzała.

— Idziesz? — zapytała cicho, otwierając drzwi od swojej strony, więc otworzyłam swoje.

Wysiadłyśmy z auta, a ja poczułam, jak pod wpływem stresu coś pęka w mojej klatce piersiowej. Z lekkim strachem patrzyłam na stary budynek, z którym łączyło się dla mnie tyle wspomnień. Dobrych i złych.

Laura bez słowa podeszła do drzwi wejściowych, a ja zrobiłam to samo, starając się zachować obojętność. Gdy znalazłam się w środku, poczułam, jakby wokół mnie jak bańki mydlane fruwały migawki z przeszłości. Było tak samo. Ta sama poobdzierana klatka schodowa, ten sam dziwny zapach, te same schody z poręczą. Sekundy dzieliły mnie od tego, aby znaleźć się w miejscu, gdzie uciekałam, gdy w moim życiu działo się źle. Gdy kłóciłam się z mamą, gdy wszystko mnie przytłaczało. Pamiętałam, jak wchodziłam tam, śmiejąc się razem z Nathanielem. Jak skradał mi pocałunki i objaliśmy się o każdą ścianę tej przeklętej klatki schodowej.

Ta kamienica była moim bezpiecznym schronem. To wszystko znów na mnie naparło.

Szybko zaparkowałam przed kamienicą Sheya i wypadłam z auta niczym pocisk z karabinu maszynowego. Rzuciłam się w stronę drzwi wejściowych, w biegu zamykając mercedesa z pilota. Działalam niczym zaprogramowany robot. Dostać się pod jego drzwi, zobaczyć go i upewnić się, że jest cały i zdrowy. To był mój cel. Nie potrafiłam opisać tego, co czułam. Moje ciało dygotało, a w głowie odbijały mi się echem słowa Parkera. W myślach błagałam, by to wszystko okazało się jedynie koszmarem. Doskonale zdawałam sobie sprawę, jak ważna jest dla Nate'a mama. Zrobił dla niej wszystko, co tylko mógł, ryzykując swoje życie. Nie mógł jej stracić. Nie po tym wszystkim.

Z urywaniem oddechem pokonałam schody. Podbiegłam do ciemnych drzwi i bez namysłu nacisnęłam dzwonek. Oparłam się jedną dłonią o framugę, aby utrzymać równowagę, bo wydawało mi się, że wyłożę się na klatce jak długa. Boże, tak bardzo chciałam go zobaczyć. Upewnić się, że nic mu nie jest. Kiedy po kilku sekundach nic się nie stało, znów nacisnęłam dzwonek. A potem kolejny i następny raz. Cisza. W mojej głowie powstał milion czarnych scenariuszy. Szarpnęłam za klamkę, ale nie ustąpiła. Mój oddech znacznie przyspieszył, miałam ochotę zacząć krzyczeć i jednocześnie płakać. Wplątałam dłonie we włosy i pociągnęłam. Oczywiście mogłam zadzwonić, ale Luke powiedział, że Nate ma wylączony telefon.

Już miałam odejść gotowa pojechać do kliniki za miastem, a potem przeszukać każdy pieprzony zakątek tego zapyziałego miasta, gdy usłyszałam odgłos przekręcanej zamka. Ręce opadły mi wzdłuż ciała i odetchnęłam z ulgą. Zamglonym wzrokiem patrzyłam na drzwi, które powoli się otworzyły. I w końcu go zobaczyłam.

Nie wiedziałam, czemu akurat to wspomnienie pojawiło się w mojej głowie. Czemu akurat ten moment, gdy chciałam się upewnić, że z Nathaniem wszystko w porządku. I zupełnie jak przed czterema laty, powoli ruszyłam w górę, pokonując kolejne stopnie. Jeden za drugim, aż w końcu dostrzegłam te same drzwi. To dobrze mi znane ciemne drewno. Poczułam żółć w przełyku, gdy przypominałam sobie te wszystkie razy, kiedy się do nich dobijałam, bo byłam na niego zła. Kiedy bezsilnie dzwoniłam, aby mnie wpuścił, bo musiałam się gdzieś ukryć.

To wszystkie było takie realne, że w pierwszej chwili nie zauważyłam Scotta, który siedział na kolejnym ciągu schodów prowadzącym na drugie piętro. Gdy Moore go dostrzegła, zmarszczyła brwi i podeszła bliżej. Hayes, usłyszawszy nas, uniósł głowę, a potem zerwał się na równe nogi. Jego wyraz twarzy bardzo mi się nie spodobał.

— Scott? — zapytała zaniepokojona Laura, a ja przystanęłam w miejscu. — Co jest?

— Ja, kurwa, nie wiem! — zawołał, wyrzucając ręce w powietrze. Był zdezorientowany i lekko zmieszany. — Przyjechaliśmy tu przed chwilą i... nie wiem, Severine zaczęła krzyczeć, potem Nate zaczął, a później to już wszystko poszło dalej i... kurwa.

Nic nie zrozumiałam z tej jego opowieści.

— Czekaj, jeszcze raz, bo... — zaczęłam, ale przerwałam i niemal podskoczyłam, gdy usłyszałam trzask za drzwiami mieszkania Sheya, a potem głośny krzyk Severine.

— Nienawidzę cię! — wrzasnęła, co było lekko przytłumione przez drzwi, ale nadal słyszalne.

Usłyszeliśmy, że chłopak burknął jej coś w odpowiedzi, ale zrobił to ciszej niż ona. Rozszerzyłam oczy, z niedowierzaniem wpatrując się w ciemnobrązowe drzwi.

— Widzicie?! — zawołał Scott, gdy spojrzałyśmy na siebie. — Tak jest od pierdolonych dwudziestu minut! Wyszedłem stamtąd od razu, ale ja nie wiem, czy oni się tam zaraz nie pozabijają.

— To zwykła kłótnia... — Moore próbowała jakoś to sobie wytłumaczyć, ale przerwał jej głośny huk, a po nim usłyszeliśmy wiązanek przekleństw, jaka wyszła z ust dziewczyny. — Och, dobra. Chyba jednak nie.

Gdy to powiedziała, drzwi otworzyły się z hukiem, a w progu stała Severine. Nie wyglądała tak, jak ją zapamiętałam. Jej rude włosy

były popłątane, oczy zaczerwienione, mina zacięta, a na jej policzkach malowały się rumieńce złości. Pod jedną pachą trzymała różową kurtkę, pod drugą zieloną paprotkę w donicze, z której sypała się ziemia, gdy dziewczyna wykonywała nerwowe ruchy. Do tego w jednej dłoni ścisnęła różową torbę sportową. Wyglądała, jakby była szalona.

Nawet nas nie zauważyła, gdy uderzyła dłonią w drzwi, a następnie obróciła się przez ramię w stronę wnętrza mieszkania.

— Zajebistego życia ci życzę, Shey! — warknęła, a jej głos ociekał złością i goryczą. Dokładnie tak, jak ona cała. — Powodzenia, ty dupku! Radź sobie sam z tym swoim gówniarzem! Fajnie, że tyle rzeczy jest przede mną!

Po tych słowach jej wzrok padł na nas. Nie poruszyliśmy się nawet o cal, bo byliśmy zbyt oszołomieni tym, co się dzieje. Rudowłosa zacięła szczękę i minęła nas bez słowa. Mogłam przysiąc, że posłała nam złe spojrzenie. Potem było słycać już tylko odgłos, jaki wydawały jej niskie czółenka, gdy schodziła po kolejnych stopniach schodów. Zupełna cisza zapanowała dopiero wtedy, kiedy dziewczyna wyszła z kamienicy.

Patrzyłam na otwarte drzwi mieszkania Nathaniela, starając się zrozumieć, co się stało, ale nie potrafiłam. Dobrą minutę zajęło mi przeanalizowanie tego wszystkiego od nowa i doszłam do jednego wniosku.

Nathaniel chyba właśnie rozstał się z Severine.

Huk, który usłyszeliśmy i który był zapewne odgłosem towarzyszącym zrzuconiu czegoś z półki, sprawił, że pomyślałam o czymś jeszcze.

Nathaniel chyba właśnie rozstał się z Severine cztery dni przed walką, w której przez jeden błąd mógł stracić zdrowie, a nawet życie.

Odgłos tłukącego się szkła spowodował, że w mojej głowie zaświtała kolejna złota myśl.

Nathaniel był bałaganem na cztery dni przed swoją walką, na której opierał się nasz cały plan.

Kolejny trzask — coś chyba skończyło rozbite na ścianie. I kolejna myśl.

Byliśmy w totalnej dupie.

ROZDZIAŁ 13.

Szlachetna próba pomocy

Często miałam tak, że mój organizm reagował zupełnie inaczej, niż oczekiwał tego mózg. Kiedyś to było nagminne — ciało na każdym kroku ujawniało moje emocje i można było czytać ze mnie jak z otwartej książki. Miesiące praktyki sprawiły, że wypracowałam przydatną umiejętność udawania obojętnej nawet wtedy, gdy w środku czułam, jakby coś mnie rozrywało. Korzystałam z niej tak często, że w pewnym momencie stałam się naprawdę obojętna na większość tego, co mi się przytrafiało. Osiągnęłam mistrzostwo w tuszowaniu swoich emocji, wydawało mi się nawet, że przestałam je czuć.

Wciąż jednak zdarzały się chwile, gdy zupełnie mnie odcinało. Kiedy ciało ignorowało impulsy pochodzące z mojego mózgu. Tak było między innymi podczas złych dni. Podobnie działałam, gdy coś naprawdę mocno mnie zszokowało.

Tamtego dnia nastął właśnie taki moment.

Stałam na poobdzieranej klatce schodowej, patrząc w szoku na wpół-otwarte drzwi wykonane z ciemnego drewna. Wydawało mi się, że nogi przyrosły mi do ziemi, i chociaż chciałam się poruszyć, po prostu nie mogłam. Podejrzywałam, że znalazłam się w jakimś surrealistycznym śnie. Severine, księżniczka Disneya i narzeczona Nathaniela, właśnie po niezłej awanturze wybiegła z jego mieszkania. Ta Severine, którą wszyscy uważali za kochaną i którą widziałam trzykrotnie, za każdym razem emanującą serdecznością i ciepłem. Ta, która mówiła do Nathaniela „kochanie”, siedziała mu na kolanach i słodkim głosem opowiadała o ich pierwszym spotkaniu. I ta sama Severine nazwała go dupkiem i po prostu zostawiła.

To musiał być sen.

Mrugałam i kręciłam głową, by wyrwać się z szoku. Kątem oka spojrzałam na Laurę, która nadal wyglądała tak, jakby jej szczęka miała zaraz z łoskotem uderzyć o posadzkę. Wpatrywała się w drzwi mieszkania Sheya, jakby to był portal do innego wymiaru, dokładnie tak jak znieruchomiały Scott.

Z wnętrza mieszkania wciąż dobiegały niepokojące odgłosy rzucania przedmiotami i tłukącego się szkła. Już nawet nie krzywiłam się przez te hałasy. Po siódmej roztrzaskanej rzeczy, która zapewne skończyła na podłodze w drobnych kawałeczkach, wszystko ucichło. Zapanowała niemal idealna cisza, słyszeliśmy jedynie własne oddechy. Zupełnie tak, jakby u Nathaniela nikogo nie było. Jakby nie odbyła się tam awantura między narzeczonymi.

Byłymi narzeczonymi?

Odchrząknęłam cicho, powoli odzyskując kontrolę nad swoim ciałem. Policzyłam do dziesięciu i się uszczypnęłam, żeby sprawdzić, czy aby na pewno nie obudzę się za chwilę we własnym łóżku. Jednak nic takiego nie nastąpiło.

Okej, czyli to prawda. Och, wow. Dobra, spokojnie.

Z pustką w głowie odwróciłam się do Laury i Scotta i wskazałam palcem na drzwi.

— Czy to, co się właśnie wydarzyło, miało miejsce w rzeczywistości, czy tylko w mojej głowie? — zapytałam cicho.

Moore drgnęła i zaczęła szybko mrugać.

— Nie mam pojęcia — odparła równie niewyraźnie, a następnie odetchnęła i pokręciła głową. — Czy ona właśnie...

— Laura, ona właśnie się z nim rozstała — powiedział Scott, jakby chciał jej to uświadomić, ale jego ton wskazywał, że sam nie wierzy w to, co mówi.

Nate i Severine się rozstali. Kurwa.

— Zrobiło się tam dziwnie cicho — zauważył Hayes, wskazując brodą w kierunku mieszkania.

— Mamy tam wejść? — zapytała niepewnie Laura.

— Nie mam bladego pojęcia — odparł Scott, kręcąc głową. Westchnął, nerwowo pocierając kark. — Dalej jestem w szoku. Cholera. Oni chyba naprawdę się rozstali. Przecież mieli się pobrać!

Rozstali się.

— Ale o co mogło pójść? — zapytała zdenerwowana Laura, gestykulując dłońmi. — Co wy zrobiliście na tym treningu?! — szepnęła z wyrzutem, wymierzając palec wskazujący w chłopaka, który uniósł ręce w obronnym geście.

— Nic! — zawołał, a jego głos znów był tak zabawnie piskliwy. — Nie mam pojęcia, co się stało. Luke podwiózł nas po skończonym treningu, niecałe trzydzieści minut temu. Miałem tu poczekać, aż po mnie przyjedziesz — tłumaczył, marszcząc gęste, czarne brwi. — Było okej, ale jeszcze dobrze nie weszliśmy i przyszła Severine. Była zdenerwowana, zaczęła krzyczeć na Nate'a, że o niczym jej nie mówi i jakieś inne pierdoły. I wydawało mi się, że Nate, jak to Nate, po prostu to oleje, albo rzuci jakimś tekstem, żeby się uspokoiła, i wyjdzie z domu, ale potem ona zaczęła temat Charliego i on... — zaciął się.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że wstrzymuję oddech.

— I on co? — dopytała zaniepokojona Moore, patrząc w oczy swojego chłopaka.

Scott westchnął.

— Powiedział jej, że ma dość jej obecności — odpowiedział, a ręce mu opadły.

Nam za to opadły szczęki.

— Nie krzyczał, ale był zły. Cholernie zły i nie hamował się. Myślałem, że Severine wybuchnie. Zaczęła się jeszcze głośniej drzeć, oskarżając go o to, że ma ją gdzieś i nawet nie stara się o ten związek. On na to, że ma już dość jej dramatyzowania, panikowania i wiecznych pretensji. Był spokojny, a ona zaczęła się jeszcze głośniej wydzierać. I uhm... wyszedłem z mieszkania wtedy, gdy pierwszy raz powiedziała, że jest dzieckiem, które nie potrafi dorosnąć. Przez następne kilkanaście minut wrzeszczała, że go nienawidzi i zmarnował jej życie. I coś jeszcze o tym, że myślała, że go zmieni, ale jest zbyt popieprzony.

Och, okej. To było... mocne i zaskakujące, z braku innego określenia. W przeszłości przeżyłam kilka wybuchów Nathaniela i nie były to najmilsze chwile. Scott mówił, że teraz nie krzyczał, ale... Shey nie musiał krzyczeć. Nawet nieco współczułam Severine, kłótnie z Nathaniem były wycieńczające. Ale to nie była zwykła kłótnia, oni się, do cholery, rozstali!

Mimo powagi sytuacji miałam dziwną ochotę się roześmiać. Czy ona naprawdę próbowała zmienić Nathaniela? To było z lekka żałosne.

Szybko skarciłam się za te myśli. Powinnam była im współczuć, ale odkryłam, że gdy minął szok, było mi to dziwnie obojętne. Nienawidziłam samej siebie za swoją nieczułość.

Nagle coś wpadło mi do głowy.

— Czekaj — odezwałam się i popatrzyłam na Scotta. — A gdzie jest Charlie?

Miałam nadzieję, że chłopiec nie był świadkiem tej awantury, zwłaszcza że Severine o nim wspomniała.

— Z tego, co wywnioskowałam, siedzi u jakiejś sąsiadki, która mieszka dwa piętra wyżej. Wrócił ze szkoły i czekał u niej na Nate'a — powiedział i uniósł wzrok na poobdzierany sufit.

— Był tu podczas tej całej kłótni?

— Nie, nie zdążył przyjść. Pewnie dalej czeka.

Nie wiedzieć czemu odetchnęłam z ulgą.

— Okej, ta cisza się przeciąga i to naprawdę niepokojące — mruknęła Laura, patrząc na drzwi.

Miała rację, ta głucha cisza budziła niepokój. Przygryzłam nerwowo słuzówkę policzka, zastanawiając się, co Laura ze Scottem zrobią dalej. Ja postanowiłam się nie wtrącać, w końcu nie byłam blisko z Sheyem. Scott jęknął męczeńsko, dając upust swojej frustracji. Wiedział, że każdy ruch musi być przemyślany, przecież mieliśmy do czynienia z Nathanielem.

— Może powinniśmy wejść? — zapytała niepewnie Laura. — Zobaczyć, co z nim. Czy wszystko w porządku. Pewnie bardzo cierpi, byli tyle lat razem.

Oczywiście.

— Masz rację — zgodził się Scott. — Kto idzie pierwszy?

Na to pytanie nikt nie odpowiedział, a ja z rękami założonymi na piersi obserwowałam drzwi. Po kilku sekundach z opóźnionym refleksem zerknęłam na Laurę i Scotta. I to było błędem, bo okazało się, że oboje wlepiają we mnie wzrok. Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, o co im chodzi. Sekundę później spłynęło na mnie oświecenie.

— Dłaczego niby ja?! — wyszeptałam gorączkowo.

Nie było opcji, że wkroczę jako pierwsza do jaskini lwa, o nie!

— Vic, jesteś najbardziej odporna z nas wszystkich — powiedziała pokojowo Laura, posyłając mi wymowne spojrzenie.

Hayes od razu ją poparł.

— Niby na co odporna? — zapytałam z lekkim wyrzutem, opierając dłoń na biodrze i mierząc ich wzrokiem z surową miną.

W tej samej chwili zwrócili się twarzami ku sobie i popatrzyli na siebie znacząco, a potem znów odwrócili się w moją stronę i niemal jednocześnie odpowiedzieli:

— Na Nate’a.

Prychnęłam, słysząc tę idiotyczną odpowiedź. Niby co to było za hasło? Na Nathaniela nie dało się być odpornym, po prostu chcieli ze mnie zrobić mięso armatnie. Dobrze sobie! Nie mieliśmy pojęcia, w jakim stanie jest Shey, ale podejrzewałam, że wciąż się wścieka. Poza tym mógł być smutny, zły, rozgoryczony, w końcu rozstał się ze swoją narzeczoną! Jakoś nie miałam ochoty sprawdzać i ryzykować, że oberwę doniczką.

Kiedy już miałam odpowiedzieć, że mogą sobie pomarzyć, dziwna myśl pojawiła się w mojej głowie. Myśl, która rzadko mnie nawiedzała. Myśl, która kazała mi zastanowić się nad tym, jak czuje się druga osoba.

Bo może... może on naprawdę był smutny? Przecież rozstał się z kimś, kogo *kocha*... z kim długo był. Kończenie długotrwałych związków chyba bardzo bolało. Nathaniel mógł udawać robota bez emocji, ale wiedziałam przecież, że bardzo przeżywał niektóre sytuacje, często bardziej niż inni. Może z tym rozstaniem też tak było? Może czuł się strasznie i potrzebował wsparcia oraz czyjejś obecności? Już nie było między nami tego, co dawniej, i działał mi na nerwy jak nikt inny, ale mimo to coś boleśnie ścisnęło mnie w dołku na myśl, że miałabym go zostawić i nie dowiedzieć się, jak się czuje. To mnie zdziwiło, ponieważ już od wielu miesięcy nie czułam czegoś podobnego.

Powinłam była odejść i mieć to gdzieś, ale... nie potrafiłam. Nawet jeśli Nathaniel był chodzącym soptem lodu.

Panie, byłam taka słaba.

Ale w końcu był moim starym znajomym, prawda? To właśnie dlatego tak czułam, dlatego musiałam się upewnić, że wszystko z nim w porządku. Przez wzgląd na naszą historię. *Tylko dlatego.*

Westchnęłam ciężko, zaciskając szczękę, i przelotnie spojrzałam na Laurę i Scotta, którzy dalej uparcie wpatrywali się w moją twarz. Przewróciłam oczami.

— Zawsze ktoś musi wpakować mnie w coś takiego — burknęłam, ale ruszyłam w stronę otwartych drzwi.

Zrobiłam trzy powolne kroki w przód, a stukot moich obcasów rozniósł się cichym echem po klatce schodowej. Czulałam na sobie wzrok pozostałej dwójki, kiedy stanęłam przed ciemnobrązowymi drzwiami. Coś dziwnie ukłuło mnie pomiędzy żebrami. Przebywanie w tej kamienicy było trudne, ale wejście do mieszkania Sheya to był zupełnie inny kaliber. Czy mogłam prosić o to, aby to w żaden irracjonalny sposób mnie nie zabolalo? Zaśmiałam się w duchu. Wiedziałam, że nie. Życie przyzwyczaiło mnie do tego, że nie ma sensu o nic prosić, bo moje prośby nigdy nie zostawały wysłuchane. Uodporniło mnie również na ból, stał się dla mnie codziennością.

Byłam na siebie zła, że tak się nad tym rozwodzę, więc odrzucając od siebie myśli, z zimną krwią położyłam dłoń na ciemnym drewnie i pchnęłam drzwi. Moim oczom ukazał się zaciemniony korytarz. Zaciśnęłam szczękę, a następnie bardzo powoli weszłam do środka. To było dziwne, bo minęły cztery lata, a gdy poczułam ten zapach, wydawało mi się, jakbym była w tym mieszkaniu zaledwie dzień wcześniej. Ta charakterystyczna nuta zapachu Nathaniela, cytrusów i drewna. I to właśnie ten zapach spowodował, że uśmiechnęłam się do siebie w duchu. Zaraz jednak szybko się za to skarciłam. Byłam żalosna i słaba.

W mieszkaniu było cicho, słyszałam jedynie bicie swojego serca i oddech. Ściany w korytarzu nadal były białe, było widać, że zostały niedawno odmalowane. Zobaczyłam ten sam wieszak na ubrania, na którym wisiały dwie kurtki Nathaniela, a pod nim szafkę na buty. Ruszyłam w stronę wejścia do salonu. Nie miałam pojęcia, czy Laura ze Scottem szli za mną, czy nie, byłam zbyt zaaferowana obserwowaniem wnętrza tak dobrze mi znanego mieszkania, by się nad tym zastanawiać.

W końcu przekroczyłam próg salonu i gdy tylko to zrobiłam, zaczęłam żałować, że zgodziłam się tam wejść. W pomieszczeniu świeciły jedynie małe lampki wokół nowego telewizora, przez co panował w nim półmrok. To znowu było jak uderzenie w brzuch, bo wszystko wyglądało tak jak kiedyś, a jednocześnie było takie inne. Ściany miały

nadal ten sam kolor, ale były odświeżone, podobnie jak w korytarzu, za to ustawienie mebli się nie zmieniło. Pod dużymi oknami stał sporych rozmiarów stół, a pod jedną ze ścian czarny skórzany narożnik, przed którym znajdował się biały stolik do kawy. Zauważyłam nową szafkę z szufladami. Leżały na niej jakieś podręczniki i stało kilka figurek bohaterów *Star Wars*. Podejrzywałam, że należały do Charliego. Drzwi prowadzące do sypialni Nathaniela były uchylone.

Z całej siły zacisnęłam szczękę, aby nie pokonały mnie wspomnienia. Wspomnienia momentów, gdy siedzieliśmy na tym cholernym narożniku, pijąc piwo i oglądając filmy. Kiedy rozmawialiśmy nocami, kiedy Nathaniel z całej siły mnie całował, przypierając do blatu stołu.

Czułam, jak moje długie paznokcie się wyginają, gdy mocno zaciskałam dłonie w pięści.

I choć to miejsce było tak znajome, tamtego dnia wyglądało inaczej, niż zapamiętałam. Nathaniel był człowiekiem pedantycznym, lubił porządek i ład, i takie było jego mieszkanie. Cóż, zazwyczaj, bo w tamtej chwili w salonie zastałam jedno wielkie pobojowisko. Na podłodze leżały odłamki szkła, kawałki naczyń i rozrzucone książki. Na stole stał kwiatek, a raczej jego resztki. Doniczka zielonej juki była roztrzaskana, a czarna ziemia rozsypała się na blacie i podłodze. Na czarnej kanapie leżały rozwalone ubrania i naprawdę nie chciałam wiedzieć, co musiało się tam dzieć wcześniej.

W tym całym bałaganie, tyłem do mnie, tuż przy oknie stał *on*. W czarnych jeansach i tego samego koloru bluzie, której kaptur przekrzywił mu się na bark, wyglądał tak samo jak zawsze, z tą różnicą, że w tamtej chwili nic nie świadczyło o tym, że jest żywą osobą. Znów przypominał posąg. Wiedziałam, że musiał mnie słyszeć, ale nijak nie zareagował na moje wejście i to mnie zestresowało. Moje serce zaczęło bić nieco szybciej.

Nathaniel był ciężkim przypadkiem. Nie wiedziałam, co zrobić, ale coś musiałam, skoro już tam weszłam. Nie chciałam się z nim kłócić, dlatego spokojnie postawiłam krok do przodu. Odgłos miażdżenia kawałków szkła, na których stanęłam, w moim umyśle był porównywalny do wystrzału fajerwerków. Mimo to szłam dalej, mając nadzieję, że chłopak w końcu się poruszy, ale on ani drgnął. Wciąż w tej samej pozycji wpatrywał się w widok za oknem, jakby nie kontaktował. Przystanąłam

w bezpiecznej odległości, splatając ręce na klatce piersiowej. Tego dnia znów czułam się tak, jakbym podchodziła do dzikiego zwierzęcia, z tą różnicą, że Shey był bardziej niezrównoważony niż Laura. Chciałam być delikatna na tyle, na ile potrafiłam, i pokazać mu, że przyszłam tam, aby... aby co?

Właśnie, po co ja tu przyszłam? Bo poprosili mnie o to Laura i Scott, tak? Tak, właśnie dlatego.

— Nate? — zapytałam cicho.

Nie odpowiedział, a ja zaczęłam się denerwować jeszcze bardziej, bo nie miałam żadnego planu. Niby kim dla niego byłam po tych czterech latach? To było takie frustrujące, bo dawno nie czułam się tak... tak rozdarta i bezsilna. Z jednej strony chciałam mu pomóc, ale z drugiej wiedziałam, że nie dam rady. I czy on w ogóle chciał pomocy?

Moje przemyślenia przerwał odgłos kroków, a chwilę później Scott wraz z Laurą znaleźli się obok. Przypatrywali się Nathanielowi z niepokojem i troską, której niestety ja nie potrafiłam pokazać. Czy w ogóle ją szczerze czułam?

— Nate, dobrze się czujesz? — zapytała w końcu Laura cichym, zachrypniętym głosem i wszyscy znów spojrzeliśmy na Sheya, czekając na jakąś odpowiedź. — Nie chcę pytać, czy wszystko okej, bo...

— Jest dobrze.

Poczułam się nieprzyjemnie, gdy Nathaniel niemal wysyczał te słowa. Użył tego przekłętego tonu, którego nie znosiłam. Lubiałam, kiedy jego głos był pogodny, kiedy pobrzmiwała w nim ta charakterystyczna nutka kpiny i cynizmu, a tym razem był taki oschły, lodowaty i pusty. Jakby Nathaniel samym głosem chciał nas odstraszyć. Zapewne taki był jego cel. Już wtedy wiedziałam, że jest gorzej niż źle. Nie był smutny, był zły. Był piekielnie zły, a ja nie byłam na tyle głupia, aby jeszcze bardziej go denerwować, więc cofnęłam się o krok.

Scott z Laurą posłali sobie niepewne spojrzenia, a ja z bezpiecznej odległości obserwowałam Nathaniela. Jego włosy były wilgotne i nieco bardziej zmierzwione niż zazwyczaj.

— Stary, na pewno jest dobrze? — dopytał Scott. — Bo to nie wygląda...

— Możecie już iść — przerwał mu chłodno Shey, a jego ciało lekko drgnęło. — Muszę posprzątać.

Był zimny i nieprzyjemny, zdystansowany tak, jakby oddzielała go od nas gruba ściana. Nie chciał nas tam i z każdą kolejną sekundą było coraz lepiej widać, że oczekuje naszego wyjścia. W pewnym sensie to rozumiałam, chciał zostać sam, ale mimo to nie potrafiłam zmusić się nawet do tego, aby odwrócić głowę. Widziałam determinację w oczach Laury i Scotta. Chcieli go uspokoić.

Jakby to kiedykolwiek coś dało — zakpiłam w myślach.

Próba uspokojenia Nathaniela była jak próba uspokojenia żywiołu. To było niewykonalne. Nie, skoro Nathaniel był piątym z nich. Oni się jednak nie poddawali i to był ich błąd.

— Nate, może... — zaczął znowu Hayes, ale nie dane mu było skończyć.

— Czy możecie stąd, kurwa, wyjść? — warknął chłopak, w końcu odwracając się w naszą stronę.

Niemal się gotował, zaciskał swoje duże dłonie w pięści, a białe knykcie niemal przebijały jego skórę. Gdyby to było możliwe, jego ciało by parowało. Wydawało mi się, że wcześniej, kiedy go widziałam, był zmęczony i zdenerwowany, ale to było nic w porównaniu z tym, co malowało się na jego twarzy w momencie, gdy tam staliśmy i na niego patrzyliśmy. Miał jeszcze większe sińce pod oczami, a jego czarne oczy płonęły gniewem. Sine żyłki były wyraźnie widoczne pod jego skórą, zaciskał szczękę, oddychając głośno przez nos, jakby starał się opanować i powstrzymać przed wybuchem. Ze wściekłością wbił wzrok w wyraźnie zmartwionego Scotta, który nadal przyglądał mu się z troską. Dokładnie tak jak Laura.

Nawet gdybym też chciała tak na niego spojrzeć, nie potrafiłam. Zamiast tego patrzyłam z obojętnością, może z lekkim zaciekawieniem, przygryzając wewnętrzną stronę policzka. Jakim cudem dziewczyna, z którą miał wziąć ślub, tak go rozwścieczyła?

— Nikt was nie prosił, abyście tu przyszli — odezwał się Shey, a jego głos był tak cierpki i zimny, że Scott odruchowo cofnął się o krok, zasłaniając przy tym swoim ciałem Laurę. — Dlatego wyjdźcie i zajmijcie się swoim życiem. Wszystko jest dobrze, to nie wasza sprawa. Więc macie wyjść. Teraz.

Tylko głupi by z nim dyskutował. Wiedziałam, że Scott i Laura nie będą się sprzeciwiać, bo nie mieli na to odwagi ani nerwów. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wcześniej widziałam Nathaniela w takim

stanie. Chłopak przekręcił głowę w stronę uchylonych drzwi do sypialni, a kiedy to robił, jego wzrok przypadkowo padł na mnie. Poczułam, jakby Titanic znów zderzył się z górą lodową. Spojrzenie pustych, czarnych oczu spoczęło na mojej twarzy na dosłownie trzy sekundy i nie było w tym niczego. Nie było iskerek, błysku, tylko martwota i mat. Mimo to nie uciekłam wzrokiem. Patrzyłam na niego bez emocji.

O dziwo, to Shey to przerwał. Odwrócił głowę, a następnie szybkim krokiem ruszył do swojej sypialni i z całej siły zatrzaskał za sobą drzwi.

Potem zapanowała cisza.

Przez kilkadziesiąt sekund po prostu staliśmy, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknęła. Spod drzwi nie wydostał się snop światła i nie usłyszeliśmy żadnego dźwięku. Martwe nic. Gdy wyobraziłam sobie Nathaniela samotnie siedzącego w ciszy i ciemności, poczułam nieprzyjemny skurcz żołądka.

To już nie twoja sprawa.

— Nie ma co męczyć go na siłę — mruknęła cicho Laura, aby Nathaniel nie usłyszał tego ze swojego pokoju. — Skoro chce zostać sam, to niech zostanie.

— Masz rację. Lepiej chodźmy — zgodził się Scott, a ja nadal patrzyłam na te drzwi, zastanawiając się, jaki będzie następny krok chłopaka.

Może pójdzie spać? Wyglądał na wyczerpanego. Albo nie zaśnie w ogóle?

A może chciał zadzwonić do Severine... Może żałował, że tak się to wszystko potoczyło, i pragnął, aby wróciła? W końcu tyle ze sobą byli...

— Victoria? Idziesz? — Do świata żywych przywrócił mnie głos Laury.

Wyrwałam się z letargu i spojrzałam na swoich znajomych, którzy czekali na mnie w korytarzu. Skarciłam się w duchu za swoje przemyślenia. To była jego sprawa, jego i Severine. Zrobiłam niewzruszoną minę, skinęłam i powoli ruszyłam w stronę drzwi. Gdy Laura i Scott byli już na schodach, jeszcze raz obejrzałam się przez ramię. Popatrzyłam na zabalaganiony salon, a następnie na zamknięte drzwi, zza których nie dochodził żaden odgłos. Pokręciłam głowę. *Och, Nate...*

Wyszłam z mieszkania i chciałam zejść po schodach, ale coś przykuło moją uwagę. Na najwyższym stopniu ciągu schodów, który prowadził na drugie piętro, stał Charlie. W szarych spodniach dresowych, w za dużej bluzie i w skarpetach. Patrzył prosto na mnie, jedną dłoń zaciskając

na poręczy. Gdy zerknęłam na jego twarz, coś boleśnie zakłuło mnie w środku. Nie płakał, nawet nie miał szklistych oczu, ale jego mina wyrażała ból i ogromne poczucie winy. Nigdy wcześniej nie widziałam w nim takich emocji i mimo że nie znałam go zbyt dobrze, w tamtej chwili byłam gotowa zrobić naprawdę wiele, aby mu jakoś pomóc.

Chłopiec zacisnął usta w wąską linię i pociągnął nosem.

— Rozstali się, prawda? — zapytał zachrypniętym głosem. — Słyszałem ich kłótnię na korytarzu. Rozstali się i to moja wina.

Nie miałam pojęcia, jak na to odpowiedzieć, bo to nie ja powinnam była się tym zająć. To nie była moja sprawa i nie miałam z tym nic wspólnego. Westchnęłam i zerknęłam w dół na Laure i Scotta. Patrzyli na mnie ze współczuciem, bo chociaż nie widzieli Charliego, słyszeli go. Wiedzieli, że znalazłam się w trudnym położeniu, i zdecydowanie mi nie zazdrościli.

W tamtym momencie powinnam była zacisnąć zęby, powiedzieć Charliemu, że nic nie wiem, i odejść, ale nie potrafiłam tak postąpić, dlatego ruchem brody wskazałam znajomym, by wyszli z budynku.

— Poczekamy na ciebie w samochodzie — powiedziała cicho Laura i po chwili już ich nie było.

Znów zerknęłam na smutną twarz Charliego. Nawet nie chciałam wiedzieć, co musiał sobie pomyśleć, jeśli słyszał słowa Severine.

— Co tu robisz? — zapytałam. — Powinieneś być u sąsiadki.

— Wiedziałem, że Nate już przyjechał, bo widziałem jego samochód z okna, więc chciałem wrócić do domu, ale jak usłyszałem ich krzyki... — odparł i spuścił wzrok na swoje ręce. — Severine mówiła coś o mnie. To przeze mnie się rozstali, prawda?

— Nie wiem, Charlie — westchnęłam ciężko i oparłam się bokiem o poręcz.

Chłopiec zszedł po kilku stopniach i zatrzymał się, gdy nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie.

— To wszystko jest świeże i twój brat pewnie potrzebuje teraz czasu na przemyślenie różnych rzeczy.

— Ja naprawdę chciałem być dla niej miły! — zawołał z mocą, a jego oczy błagały, abym mu uwierzyła. — Nawet przeprosiłem ją za ostatnie. Przeprosiłem, że nazwałem ją głupią i że uciekłem. Chciałem z nią dobrze żyć, serio. Naprawdę nic nie zrobiłem.

Nie wiedziałam, jak go przekonać, że to nie była jego wina. Zakląłam szpetnie w myślach. Nie byłam jego siostrą, do cholery, aby zajmować się takimi sprawami! Ale nie chciałam go tak zostawiać, nie wtedy, gdy Nathaniel był w złym stanie...

— Charlie, to nie przez ciebie — zapewniłam go z mocą. — Czasami tak się dzieje, że ludzie się kłócą i rozstają. Może to nie jest na zawsze, może to tylko sprzeczka i wszystko sobie wyjaśnią?

— Myślisz, że Nate jest na mnie zły?

— Co ty mówisz? — zapytałam, marszcząc brwi. Zdenerwował mnie tym pytaniem, więc popatrzyłam na niego groźniej. — Nic nie zrobiłeś, nie możesz tak myśleć. Zabraniam ci.

Może nie wiedziałam, jak dokładnie wyglądała relacja Nathaniela i Charliego, ale byłam pewna, że Shey nigdy nie winiłby brata. Był wobec niego opiekuńczy, zwracał się do niego z takim opanowaniem i spokojem, jakby był innym człowiekiem. Widziałam to dzień wcześniej w naszym domu, pamiętałam też, jak opowiadał o Charliem kilka lat wcześniej, gdy jeszcze razem nie mieszkali...

Chłopiec znów spuścił wzrok, a ja westchnęłam.

— Teraz tak głupio mi tam wrócić... — zaczął i spojrzał na mnie z nadzieją. — Mogę pojechać do ciebie? — zapytał, na co wybałuszyłam oczy. Już otwierałam usta, aby mu odmówić, gdy splótł dłonie i dodał błagalnie: — Proszę, nie chcę tutaj być. Nie, jeśli on jest na mnie zły...

Zacisnęłam szczękę, bo ten gnojek dobrze wiedział, jak manipulować ludźmi, robiąc te cholerne oczy biednego szczeniaczka. Niestety dla niego — byłam uodporniona na takie zagrania. Niestety dla mnie nie w stu procentach.

Zacisnęłam usta w wąską linię i wypuściłam powietrze nosem. Wiedziałam, że będę tego żałować.

— Posłuchaj, zrobimy tak. Spójrz na mnie — rozkazałam, a on posłusznie na mnie popatrzył. — Wrócisz teraz do sąsiadki i będziesz tam czekał, aż przyjdzie po ciebie Nate, ok?

— Ale...

— Charlie — powiedziałam nieco ostrzej. — Zrób to, o co cię proszę.

— Dobrze, Victoria.

— Wracaj już tam, bo się przeziębisz — mruknęłam, spoglądając na jego stopy w skarpetkach.

Pokiwał głową i zaczął wspinać się po schodach na wyższe piętro. Obserwowałam, jak znika na górze, a następnie westchnęłam i przetarłam oczy, zastanawiając się, co mam zrobić. Nie miałam żadnego planu, wiedziałam tylko, że muszę porozmawiać z Nathanielem. Z okropnie wściekłym Nathanielem.

Znów poczułam się, jakbym miała siedemnaście lat.

Zerknęłam na drzwi prowadzące do jego mieszkania i plując sobie w brodę, podeszłam do nich. Bez pukania weszłam do środka, starając się zachowywać jak najciszej. Czułam podenerwowanie i niepewność, ale ze wszystkich sił starałam się to w sobie zdusić. Próbowałam przygotować się na konfrontację. Na szczęście nie zastałam Nathaniela w salonie, a drzwi do jego sypialni były wciąż zamknięte, co oznaczało, że jeszcze z niej nie wyszedł. To nieco mnie uspokoiło. Mimo to przerażająca cisza wypełniająca ściany mieszkania sprawiała, że chciało mi się rzygać.

Rozejrzałam się dookoła. Nie chciałam, aby Charlie zobaczył ten bałagan. Może było to niegrzeczne, ale postanowiłam trochę tam posprzątać. Musiałam od czegoś zacząć, więc wzięłam się za zbieranie części rozbitej doniczki, książek oraz ubrań. Wszystko było ubrudzone ziemią. Odstawiałam kolejne rzeczy na stół, zastanawiając się, gdzie Shey trzyma zmiotkę i szufelkę.

— Możesz mi powiedzieć, co ty, do cholery, wyprawiasz?

Podskoczyłam w miejscu i odwróciłam się w stronę Nathaniela, który stał w drzwiach swojej sypialni. Z rękami założonymi na piersi opierał się barkiem o framugę, patrząc nieprzychylnym wzrokiem na moje poczynania. Wyglądał tak samo jak kilka minut wcześniej, z tą różnicą, że jego oczy jeszcze bardziej pociemniały.

Postanowiłam nie dać się ponieść emocjom, więc z nonszalancją wzruszyłam ramionami.

— Sprzątam — odpowiedziałam jak gdyby nigdy nic.

— Prosił cię ktoś o to? — zapytał niemiło, unosząc brwi.

Westchnęłam, czując, że tracę cierpliwość. Owszem, wiedziałam, że ma prawo tak się zachowywać i jego reakcja jest w pełni normalna, ale z biegiem lat zrobiłam się bardziej nerwowa. Naprawdę trudno było mi zachować spokój.

— Na klatce zatrzymał mnie Charlie — powiedziałam prosto z mostu i strzepnęłam dłonie.

Nathaniel zacisnął mocniej szczękę.

— Nie chciałem się z tobą kłócić, ale twoje zachowanie nie pomaga — wycedził przez zęby lodowatym głosem, który dawniej by mnie wystraszył, ale teraz nie wywołał we mnie żadnej reakcji poza chęcią przewrócenia oczami. — Dlaczego wciąż wpierdalasz się w moje prywatne sprawy? To cię nie dotyczy.

— To on mnie zatrzymał, nie ja jego — zaznaczyłam dobitnie, bo jeśli myślał, że się ugnę, bo się zezłościł, to grubo się mylił. — Słyszał waszą kłótnię. Teraz myśli, że to jego wina, boi się tu wrócić i chciał pojechać do mnie. Może go nie znam, ale mi go żal. Wiem, że pewnie masz kryzys, ale nie mieszkasz tutaj sam, jest jeszcze Charlie, więc przestań pluć na nas jadem. Szczególnie na osoby, które chcą ci pomóc — mówiłam pewnie i donośnie, aby to, co chciałam mu przekazać, dotarło do jego pustego łba.

Moje słowa wyraźnie podziały na Nathaniela, bo spuścił nieco z tonu. Zmarszczył brwi i chwilę nad czymś myślał. Przedłużająca się cisza zaczęła mnie nieco irytować, więc cicho odetchnęłam i postanowiłam podejść do tego delikatniej.

— Podejrzewam, że jest ci ciężko — zaczęłam, patrząc prosto w jego matowe oczy. — Nie wiem, co czujesz, i nie chcę o to wypytywać, bo to twoja sprawa, ale masz brata.

— Po co to robisz? — zapytał, wyginając usta w kpiącym uśmiechu. — Sama przyznałaś, że go nie znasz. Po co grasz taką dobroduszną i pocziwą? Podwyższa ci to samoocenę?

— Może to dla ciebie dziwne, ale ludzie czasami robią coś z dobroci, nie muszą grać — docięłam mu nieprzyjemnym tonem. Nie chciałam mu pokazać, że jego słowa mnie dotknęły, bo było w nich ziarno prawdy. — Wiem, że jesteś zły, może nawet wkurwiony, ale jeśli myślisz, że warczeniem i kilkoma niemiłymi słowami wzbudzisz we mnie strach, to się mylisz. Nie mam już siedemnastu lat, Shey.

Chłopak nie odpowiedział, wciąż tylko na mnie patrzył, a ja znów poczułam się jak wtedy w klubie. Wyglądał tak, jakby chciał coś znaleźć. Tylko czego on, do cholery, wciąż tak intensywnie szukał?

— Po co to wszystko? — zapytał w końcu i w tamtym momencie wyglądał na dziwnie... pokonanego. Wzruszył ramionami i parsknął słabym śmiechem. Był tak kurewsko zmęczony. — Masz swoje życie. Po co interesujesz się moim?

— Nie interesuję się — powiedziałam od razu. — Nie będę się wtrącać między ciebie i Severine, bo to nie moja sprawa, ale nie zamierzam udawać, że to, co było między nami, nigdy się nie wydarzyło. Byliśmy blisko i znam cię, Nate, dlatego...

Nie wiedzieć czemu moje słowa go rozbawiły. Nie dał mi dokończyć, bo roześmiał się donośnie i był to tak nieprzyjemny śmiech, że chciało mi się od tego rzygać. Zaczął tak kurewsko mnie drażnić.

— Nie mieliśmy kontaktu cztery lata i nagle zjawiasz się tutaj, żeby prawić mi morały na temat mnie i mojego brata? — zadrwił nieco głośniej, prostując się. Opuścił ręce wzdłuż ciała i zrobił dwa kroki w moją stronę, zachował jednak dystans. — Przestań to, do kurwy, robić.

— Niby co robić?! — krzyknęłam wściekle.

— Przestań zachowywać się tak, jakby ci zależało! Jakbyś przyjechała tutaj z własnej woli! — wrzasnął, gestykulując dłońmi. — Jesteś tutaj przez Vincenta! Jesteś tutaj, bo myślałaś, że chodzi o twojego ojca! Nigdy nie chciałaś tu wrócić! Dlatego zajmij się tym, co do ciebie należy, a moje życie zostaw w spokoju. I odpierdol się od Charliego.

Jego słowa we mnie uderzyły, ale nie miałam zamiaru tego pokazać. Nie chciałam pokazać, że ma rację. Nienawidziłam Culver City i gdyby nie ten jeden pierdolony telefon, nigdy bym nie wróciła. Nie chciałam, by dostrzegł, że tym, co powiedział, wywołał we mnie emocje, nawet te nieprzyjemne. Dlatego uniosłam brodę i spojrzałam na niego zimno.

— Więc może w końcu ty zacznij się nim zajmować — warknęłam.

Po jego minie wywnioskowałam, że nie spodziewał się takich mocnych słów, ale skoro rzucił w moją stronę oskarżenia, ja mogłam odpłacić mu tym samym, nawet jeśli tego nie chciałam. Bo nie chciałam, ale nie potrafiłam już inaczej. Byłam zbyt zepsuta, więc wołałam go zranić, zanim on zrani mnie.

Nathaniel zamilkł. Ruszyłam w jego kierunku i zatrzymałam się w odległości jakichś trzech stóp. Delikatny zapach jego wody kolońskiej dotarł do moich nozdrzy, ale nie przyćmił mi zmysłów. Nathaniel już tego nie potrafił.

Nikt nie potrafił.

— Masz rację, może nie wiem, jak jest między wami i jaka jest wasza relacja — powtórzyłam cicho, patrząc z obojętnym wyrazem twarzy w jego matowe oczy. — Ale wiem, że gdyby nie ja, wczoraj nie znalazłbyś

go tak szybko. Bo wolał się wyżalać obcej dziewczynie niż swojemu bratu. Wciąż możesz to naprawić, więc przestań skupiać się na sobie i zajmij się nim. Twój brat to jeszcze dzieciak i nie musi umieć radzić sobie z emocjami, ale ty jesteś dorosły. A co do nas... Masz rację, może nie przyjechałam tu z własnej woli i może obecnie łączy nas tylko ten cały plan, ale to nie jest powód, abyśmy mieli traktować siebie jak wrogów. Nie jesteśmy nimi. Zbyt wiele przeszliśmy, abyśmy byli wrogami, wiesz to doskonale.

Chłopak przez chwilę obserwował mnie w ciszy i widziałam, że intensywnie nad czymś myśli. Nagle delikatnie nachylił się w moją stronę, tak że poczułam jego ciepły oddech na swojej twarzy. Moje nerwy zapłonęły, a błędnik zaczął wariować. Mimo że wspomnienia chciały mnie zalać jak deszcz, zachowałam kamienną twarz.

— Więc kim jesteśmy? — wyszeptał.

Moje gardło, przetyk, płuca paliły. Widziałam tylko jego oczy, których głębia chciała mnie pochłonąć. Zupełnie tak jak przed laty.

Nie możesz, Victoria. Kiedyś, owszem, pozwoliłabym, aby mnie ze sobą pociągnął, aby znowu mnie zmanipulował. Jednak nic już nie było jak wcześniej.

— Jesteśmy historią — odpowiedziałam równie cicho, a później zmusiłam się do tego, by się odwrócić i ruszyć w stronę drzwi.

Nie pozwoliłam, by ciepło, zapach i moc jego spojrzenia mnie otumaniły. Nie popełniałam już dwa razy tych samych błędów.

Mimo że czułam na swoich plecach spojrzenie Nathaniela, nie trzęsłam się, pozostałam spokojna. Zatrzymałam się jeszcze, nim wyszłam na korytarz, nie popatrzyłam jednak na chłopaka.

— Ale to nie znaczy, że możemy się nie szanować — wyszeptałam ochryple. — Zrealizujemy ten plan, każde z nas dostanie to, czego chce, i znikniemy ze swojego życia. Tak jak cztery lata temu. Teraz przyszedłam tu tylko ze względu na Charliego. Siedzi u swojej sąsiadki i wróci dopiero, gdy po niego przyjdiesz. Zrób to, jak już ochłoniesz i tu posprzątasz.

Z tymi słowami zrobiłam kolejne dwa kroki, ale znów przystanąłam i przymknęłam powieki.

— Przykro mi z powodu Severine — powiedziałam i, o dziwo, to było szczere. — Mam nadzieję, że wszystko się u ciebie ułoży.

Wyszłam z mieszkania, a następnie z budynku. Zaciągnęłam się świeżym powietrzem, którego cholernie mi brakowało. Czułam się, jakby

przez ten cały czas, jaki spędziłam w tej kamienicy, coś uciskało mi płuca i chociaż oddychałam pełną piersią, ten dziwny ucisk nie zniknął. Tak samo jak obraz Sheya i wspomnienie naszej rozmowy. Zaciskając zęby, wsiadłam do czarnego samochodu. Laura spojrzała na mnie przez ramię.

— Długo cię nie było... — odezwała się niepewnie.

Pokręciłam głową, dając jej tym samym znak, aby nie pytała. Nie chciałam o tym rozmawiać. Na szczęście dziewczyna bez słowa przystała na moją prośbę i od razu odpaliła auto, a następnie ruszyła w stronę mojego domu.

Choć bardzo chciałam, nie potrafiłam nie myśleć o tym, co zaszło. Złapałam się na tym, że martwiłam się o pieprzonego Nathaniela! Nie chciałam tego, ale to działało się samo! Zirytowałam się, a głowa rozboleła mnie jeszcze bardziej.

— Nie wiem, co teraz. — Byliśmy już w połowie drogi, gdy cichy szepet Laury wypełnił wnętrze auta, w którym nie grało nawet radio.

Z całych sił próbowałam go nie słyszeć i skupić się na jadących obok samochodach, ale na niewiele się zdało.

— Przecież byli razem szczęśliwi. Wydawało mi się, że im się układa.

— Nie wiem, co się między nimi stało, ale chyba coś poważnego — odparł równie cicho Scott. — Dobrze wiesz, że Severine nie jest narwana. Nie jest nawet porywczą, a wyglądała tak, jakby chciała zmieść Nate'a z powierzchni ziemi. To na pewno nie była kwestia jednej sytuacji.

— Co masz na myśli? — zainteresowała się dziewczyna i ja też zaczęłam się uważniej przysłuchiwać, nadal wpatrując się w widok za szybą.

— Nie rozstałaby się z Nate'em bez powodu, przez jedną sprzeczkę. A on nie rozstałby się z nią nawet ze względu na Charliego — skomentował. — Może mieli kryzys, a dziś to wszystko wybuchło. Może im się nie układało tak, jak na początku? Cholera, nie wiem.

— Nie wyglądali, jakby było między nimi źle.

— W sumie masz rację — zgodził się Scott po głębszym przemyśleniu. — Przecież Nate wyglądał i zachowywał się tak jak zawsze.

To była ta chwila, ta, gdy bez namysłu odwróciłam głowę, a moje spojrzenie spotkało się w lusterku ze spojrzeniem Laury. Dziewczyna z dziwnym wyrazem twarzy popatrzyła mi w oczy, kiedy ja wpatrywałam się w odbicie jej błyszczących tęczywek. Toczyłyśmy jakąś dziwną rozmowę bez słów, której Scott nawet nie dostrzegł. Byłam pewna, że

myślała o tym samym, przecież mówiłam jej to kilka godzin wcześniej. Nate nie wyglądał jak zawsze. Nie wyolbrzymiałam.

Kilka sekund później dziewczyna znów skupiła się na drodze. Nic nie powiedziała, ale wiedziałam, że intensywnie się nad tym zastanawia.

— Mam nadzieję, że jakoś to wyjaśnią — mruknęła w końcu. — Może jeszcze się dogadają.

— Nie wiem, widziałas ich — odparł Scott. — Wydaje mi się, że to serio może być koniec, ale to ich sprawa. Martwi mnie to, że to stało się przed walką.

Kurwa.

— Cholera — zakląła Laura, skręcając na skrzyżowaniu. — Myślisz, że to będzie miało duży wpływ?

— Nate jest teraz wściekły — odrzekł Hayes. — Widziałas go. Jeśli się nie uspokoi, to te emocje go zjedzą. Wiesz, jak walczy, kiedy nie jest skupiony. I gdy jest zły. Sanchez będzie dla niego workiem do wyżycia się, ale jednocześnie sam Nate nie będzie ogarnięty na tyle, aby się obronić. Jak nie zbierze się do kupy, to będzie miał małe szanse.

Zacisnęłam szczękę, nie chciałam przyjąć tego do wiadomości. Nie dość, że wszystko się psuło, to jeszcze ta przekłeta walka. Oczami wyobraźni widziałam Sheya, który wściekły rzuca się na Sancheza, aby wyładować emocje i wyrzucić z siebie całą złość. Jak bije na oślep, aby tylko się wyżyć, jak chybia, nie broni się i finalnie przegrywa. Taka sytuacja miała już kiedyś miejsce i za nic nie chciałam, aby się powtórzyła. Wszystko niestety wskazywało na to, że może się tak stać. Poczułam żółć podchodzącą mi do gardła. Miałam już dość, chciałam wrócić do domu. Rósł we mnie gniew, bo oczywiście, że tak musiało być. Przecież los zawsze sobie z nas kpił. Zastanawiałam się, czy kogoś u góry bawiły nasze kolejne porażki.

— No nic, poczekamy i zobaczymy — westchnął Scott, kiedy Laura wjechała w ulicę prowadzącą do mojego domu. — Może Nate się uspokoi i ochłonie. Pewnie pogadają z nim Luke i Jasmine. A może rzeczywiście jeszcze się dogada z Severine?

— Miejmy nadzieję, że to się jakoś ułoży. Nie mogę patrzeć na niego, jak jest w tym stanie — mruknęła cicho Moore, a jej głos lekko się załamał.

— Będzie dobrze — uspokoił ją Scott.

W tym samym momencie zaparkowaliśmy pod moim domem.

Pomrugałam, wpatrując się w jasne okna. Theo zapewne nadal pracował. Westchnęłam cicho i aby nie zdradzać swojego podenerwowania całą sytuacją, posłałam Laurze i Scottowi błady uśmiech. Hayes zawadiacko mrugnął w moją stronę, unosząc kącik ust.

— Leć spać, Clark — rzucił zaczepnym tonem. — Już po dobranocce.

— Odezwało się duże dziecko. — Przewróciłam oczami, a następnie zwróciłam się do Laury: — Dzięki za dziś. Dobrze się bawiłam w tej galerii.

Było dobrze, dopóki nie zapytałam o tę cholerną Naomi i atmosfera stała się grobowa. Miałam nadzieję, że mimo to Laura nie zmieni do mnie podejścia. Odetchnęłam z ulgą, kiedy Moore ciepło się uśmiechnęła.

— Ja również — odparła.

— To był dobry dzień, chociaż koniec nieoczekiwany — mruknął Scott. — Oby wszystko się ułożyło.

Za dobrze znałam życie, aby wierzyć w takie głupoty.

Po szybkim pożegnaniu weszłam do domu, gdzie z ulgą zdjęłam buty. Byłam obolała, zmęczona i głodna. Miałam ochotę jedynie na kanapki z nutellą i sen. Ślamazarnie ruszyłam w stronę kuchni, w której zastałam Theo. W dresie i czarnej bluzie smażył jajecznicę, pogwizdując pod nosem. Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się lekko.

— Jak zakupy? — zapytał pogodnie, kiedy zmordowana usiadłam przy wyspie kuchennej na jednym z wysokich krzeseł, położyłam łokcie na blacie i oparłam brodę na dłoniach. — Wyglądasz na pokonaną.

Przewróciłam oczami. *Aдекватnie*.

— Bo mnie pokonano — odparłam. Było w tym ziarenko prawdy, po wymianie zdań z Sheyem zazwyczaj czułam się jak w wykolejonym tramwaju.

— Pokonały cię sklepy? — sarknął, wyciągając talerz z szafki. — Kupiłeś coś w ogóle? Nie masz żadnych toreb.

Zmarszczyłam brwi. Przez chwilę się zastanawiałam i w końcu doszłam do tego, że moje zakupy zostały w samochodzie Laury. W sumie to mnie nie dziwiło. Wydawało mi się, że od tego beztróskiego czasu, gdy wałęsałyśmy się po galerii, minął tydzień.

— Kupiłam, ale zapomniałam je zabrać z samochodu — odpowiedziałam, na co pokiwał głową, przekładając jajecznicę na talerz.

— Działo się coś ciekawego? — zapytał, a ja miałam ochotę parsknąć gorzkim śmiechem.

Odchyliłam się na stołku, zakładając ręce na piersi, i obserwowałam, jak kroci szczypior.

— Kupiłam sobie fajne bluzy, poprzymierzałam dużo ubrań, wypilałam kawę i zjadłam dobry sernik, a Nate rozstał się z Severine.

Po ostatnim wymienionym przeze mnie punkcie Theo w szoku otworzył szeroko oczy, unosząc gwałtownie głowę, podczas gdy jego ręka nadal siekała szczypiorek. Oczywiście się uciał, bo nóż uciekł mu w bok. Zaklął i spojrział w dół na formującą się kroplę krwi. Przewróciłam oczami, kiedy szybko przystawił palec do ust, aby wysssać krew i złagodzić ból.

— Nate rozstał się z Severine? — zapytał nadal w szoku. — Ale jak to? Dlaczego?

— Nie wiem. — Wzruszyłam ramionami. — Jak przyjechałam z Laurą do jego mieszkania, to się kłócili, a potem Severine wyszła, życząc mi szczęśliwego życia. — Westchnęłam, a cała ta sytuacja znów stanęła mi przed oczami. — Teraz Nate jest wściekły.

Zdecydowałam się nie wspominać mu o naszej rozmowie na temat Charliego.

— Miesiąc miodowy skończył się szybciej, niż się zaczął — zakpił Theo, na co posłałam mu piorunujące spojrzenie. — No co? — zawył, wyciągając z szafki z lekami opakowanie plastrów.

— Nie żartuj z takiej sytuacji — upomniałam go. — Jest mu ciężko. W końcu była jego narzeczoną.

— Och, yhym — mruknął, przyklejając plaster do skaleczenia. — Cóż, możliwe, ale to ich sprawa, tak? Nie zrozum mnie źle, współczuję mu i w ogóle, ale widziałem tę laskę dwa razy w życiu. Jeszcze do mnie nie doszło, że to jego narzeczoną, a już nie są razem, więc jakoś mi to lata. Będę sobie żył z myślą, że nigdy jej nie było, co nie będzie trudne. Nie wydawała się ciekawa.

— Theo! — zawołałam z wyrzutem, patrząc, jak z niewzruszoną miną wraca do siekania szczypioru. — Jak możesz tak mówić? Oni mieli się pobrać! Współczucia trochę, baranie!

— Nie znam jej, to co mam współczuć — odparł, a widząc mój wzrok, westchnął. — Tak, okej. Współczuję Nate'owi. Pewnie jest mu przykro i te inne gówna.

— Nie ma w tobie krzty empatii — burknęłam, znów zakładając ręce na piersi. — Może się zejść.

Theodor posłał mi pełne politowania spojrzenie.

— No błagam cię — mruknął z kpiącym uśmiechem. — Ty przejmujesz się tym tylko ze względu na Sheya. W dupie masz Severine i to, że się rozstali. Martwi cię, że teraz Nate jest przybity i zdenerwowany. Może jeszcze martwi cię jego brat, bo możesz mówić, co chcesz, ale polubiłaś tego dzieciaka.

W ciszy walczyliśmy na spojrzenia. Czułam narastające napięcie w swoim ciele. Chciałam zaprzeczyć, chciałam powiedzieć mu, że strasznie mi przykro z powodu całej tej sytuacji, ale wtedy bym po prostu skłamała. Theo miał pieprzoną rację. Miałam gdzieś Severine i to, że się rozstali. Prawdę mówiąc, odwołany ślub jakoś też mnie mało obchodził, podobnie jak ta cholerna walka. W tym całym bałaganie myślałam jedynie o Nathanielu i Charliem. I nie zmieniało się to nawet wtedy, gdy powtarzałam sobie, że nie powinnam się wtrącać!

Wydęłam wargi w tym samym momencie, gdy Theo wyszczerzył się z miną zwycięzcy. Czasami go nie znosiłam. Znów, jak już wiele razy, zastanawiałam się nad dobrym targiem niewolników, na którym mogłabym go sprzedać. Może ktoś dałby mi za tego barana owcę?

— Vic, prawda jest taka, że nawet jej nie znaleźliśmy — pociągnął wątek Theo, posypując jajecznicę na talerzu pokrojonym szczypiorkiem. — Nie będę udawał, że to dla mnie tragedia. Żal mi Sheya i mam nadzieję, że będzie u niego okej. Ale tak poza tym Nate i małżeństwo... Ta wizja jakoś do mnie nie trafia.

— Niby dlaczego? — Uniosłam brew. — Skoro chciał spędzić z nią resztę życia...

Pieprzenie.

Przestań.

— Jeśli tak ma być, to się pogodzą. — Wzruszył ramionami. — A jeśli nie, to nie. I stawiam na tę drugą opcję. Nie wiem, może będę teraz dupkiem, bo, powtórzę, widziałem ją dwa razy w życiu, ale ta dziewczyna jest tak bezbarwna jak woda mineralna.

To właśnie był cały Theo. W przeciwieństwie do Chrisa Adamsa, który gimnastykował się jak głupi, aby dyplomatycznie przekazać, że ma o kimś niepochlebny opinię, Theodor walił prosto z mostu. Nie mogąc

się powstrzymać, parsknęłam cichym śmiechem. Theo miał rację, jeśli mieli się pogodzić, to się pogodzą. Chciałam, aby Charlie nie ucierpiał, ale tym musiał zająć się Nathaniel.

— Jesteś okropny — jęknęłam, przecierając dłońmi zmęczoną twarz.

— Wiem — zgodził się z uśmiechem, chwytając talerz z jedzeniem. Ruszył w stronę stołu, zatrzymał się jednak obok mnie z zamyśloną miną. — Szybko z nią poszło. Myślałem, że zostanie z nami dłużej — mruknął, jakby rozmawiał ze mną o pogodzie, na co wyrzuciłam ręce w powietrze.

Zaśmiał się, czmychając przed moim piorunującym spojrzeniem.

Mój brat był sadystą.

Było wpół do jedenastej, kiedy z ulgą wśliznęłam się pod ciepłą kołdrę. Sięgnęłam po telefon, który leżał na szafce nocnej, i wystukałam wiadomość do Laury z podziękowaniem za wspólnie spędzony dzień oraz informacją, że zostawiłam u niej zakupy. Minutę później dostałam odpowiedź, że podrzuci mi je na dniach. Już miałam zablokować urządzenie i iść spać, gdy nagle dziwna myśl pojawiła się w mojej głowie. Wiedziałam, że nie powinnam była tego robić. Najlepszym rozwiązaniem było odłożyć ten przekłety telefon i pójść spać.

Ale to było silniejsze ode mnie.

Z tą myślą niemal automatycznie zjechałam w dół listy kontaktów. W końcu dotarłam do tego jednego, *szczególne*. W moim gardle pojawiła się gęsia skóra, a *jego* imię raziło mnie w oczy. Nie wybrałam tego numeru ani razu od czterech lat, nie wysłałam żadnej wiadomości i nie zadzwoniłam. Czasem zastanawiałam się, czy po prostu go nie usunąć i żyć bez niego. Miałam nawet kilka podejść, ale każde kończyło się fiaskiem. Potem zdałam sobie sprawę z tego, że to bez sensu, bo i tak znam ten rząd pieprzonych cyferek na pamięć. Więc tak sobie tam tkwił. *Numer Nathaniela*.

Przygryzłam dolną wargę, bijąc się z myślami. Od naszej rozmowy minęło kilka godzin, a ja wciąż o niej myślałam. Uznałam, że dobrze zrobiłam, wracając tam. Miałam czyste sumienie ze względu na Charliego i klarownie zaznaczyłam, że chcę, byśmy traktowali się z szacunkiem.

Weszłam w wiadomości i wpatrzyłam się w białe, puste pole. Wszystkie SMS-y, które wymieniliśmy, miałam zapisane w swoim starym telefonie, którego nie używałam już od trzech lat. I było to bardzo dobre rozwiązanie, bo doskonale pamiętałam te koszarne momenty, kiedy

przeglądałam je po wyjeździe do Maine. Cieszyłam się, że mi przeszło. Przeszłość pozostawała przeszłością. Nie było sensu rozgrzebywać dawnych ran.

Nie miałam pojęcia, ile tak leżałam, bijąc się z myślami. Telefon zaczął mnie parzyć i wydawało mi się, że cyfry numeru Sheya śmieją mi się w twarz. Po kolejnej minucie zawieszenia zacisnęłam zęby, zablokowałam iPhone'a i odrzuciłam go na miejsce obok siebie, wpatrując się w biały sufit.

Naprawdę nie chciałam o nim myśleć. O tym, czy było mu smutno, co właśnie robi i czy znowu nie jest dla siebie zbyt surowy, jak zawsze, gdy ogarniała go złość. Chciałam o tym nie myśleć.

Ale myślałam. Całą noc. Mimo że byliśmy historią.

Weekend był nie najlepszy, te dwa dni wydawały mi się jakoś dziwnie przytłaczające. Nie potrafiłam się na niczym skupić. Wstawałam z łóżka, jadłam, paliłam papierosy, gadałam z Theo, sprzątałam w domu. Uparcie starałam się wyprzeć myśli o Nathanielu. Nie miałam pojęcia, co się u niego dzieje, z nikim się nie kontaktowałam, więc żyłam w niewiedzy. Nie wiedziałam również, co z Charliem.

Shey prawdopodobnie przeżywał rozstanie z Severine, ale chyba nie wydarzyła się żadna katastrofa, skoro nikt nie zadzwonił. Pewnie był zwykłym zdenerwowanym i rozgoryczonym Nathanielem, który musiał ogarnąć swoje życie. Theodor miał sporo na głowie w pracy, więc nawet podczas weekendu wisiał na telefonie zamknięty w swoim pokoju, a ja starałam się wmawiać samej sobie, że wszystko będzie dobrze.

Nieudolnie.

W niedzielę późnym popołudniem Laura napisała mi, że przywiezie moje ciuchy. Ucieszyłam się, nawet nie dlatego, że miałam odzyskać swoje nowe ubrania, bardziej liczyłam na to, że może dowiem się czegoś odnośnie do walki i... i Charliego. *Tak, Charliego.*

Gdy usłyszałam dzwonek do drzwi, szybko poderwałam się z kanapy i poprawiwszy dres, w którym siedziałam od rana, ruszyłam w stronę holu.

Z lekkim uśmiechem otworzyłam drzwi wejściowe. Jakież było moje zaskoczenie, kiedy zamiast Laury zobaczyłam zadowolonego Parkera. Zmarszczyłam brwi, bo nie zapowiadał swojej wizyty.

— Witam królową lodu — mruknął zaczepnie i chociaż miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, wiedziałam, że w jego oczach mignął łobuzerski błysk.

Uśmiechnęłam się szczerze w odpowiedzi, bo Luke spadł mi z nieba.

— Witam księcia z bajki — odparłam tym samym tonem, na co zaśmiał się cicho, ukazując równe zęby. — Co tu robisz? — zapytałam.

Parker wyciągnął do mnie torby, które miała mi przywieźć Moore.

— Jestem dziś posłańcem — mruknął. — Laurze w ostatniej chwili coś wypadło. Musiała pojechać do mamy, więc poprosiła mnie, żebym ci to dostarczył.

— Nie musiałeś — powiedziałam, ale zrobiło mi się miło.

Luke, gdy chciał, potrafił być bardzo kochany.

— No wiesz — westchnął dramatycznie, przykładając rękę do serca, jakby składał jakąś przysięgę. — Taki już los dobrych ludzi.

Przewróciłam oczami, ale nie mogłam powstrzymać lekkiego uśmiechu. Otworzyłam szerzej drzwi, a chłopak ochoczo wszedł do środka i podał mi moje zakupy, które odłożyłam na szafkę z butami.

— Napijesz się czegoś? — zaproponowałam, kiedy przeszliśmy do salonu i Luke zajął miejsce na kanapie.

— Nie, dziękuję — odmówił, więc od razu usiadłam obok niego.

Przeszło mi przez myśl, że pierwszy raz od czterech lat byłam z nim sam na sam, ale czułam się swobodnie — jakby nic się nie zmieniło. Obawiałam się jedynie tego, że poruszy jakiś niewygodny temat, jak temat mojej relacji z Mią, która była, jaka była.

— Dziś nie w barze? — zagadnęłam.

Luke pokręcił głową, odchylając się na kanapie i wbijając we mnie spojrzenie.

— Moja zmiana zaczyna się za pół godziny.

Pokiwałam głową.

— Co u Mii? — ciągnęłam rozmowę. Skrzyżowałam nogi i usiadłam po turecku.

— Wszystko okej. Pojechała dziś do taty. Pytał ostatnio o ciebie.

Uśmiechnęłam się delikatnie. Musiałam odwiedzić ojca Mii.

Przez chwilę milczeliśmy, a ja się zastanawiałam, jak ugryźć temat, który mnie męczył. Chociaż wiedziałam, że powinnam była odpuścić, znałam siebie na tyle, aby wiedzieć, że ciekawość mi na to nie

pozwole. Nie chciałam wyjść na wścibską, więc niepewnie spojrzałam na chłopaka.

— A co u... Nate'a?

Po moim cichym pytaniu Luke nieco się zasepił, a na jego czole pojawiła się zmarszczka. Przygryzłam w napięciu dolną wargę, czekając na odpowiedź. Bałam się tego, co mogłam usłyszeć.

— Szczerze, to nie najlepiej — odpowiedział cicho, pocierając palcem wskazującym i kciukiem swoje skronie. Wyglądał, jakby nagle postarzał się o kilkanaście lat. — Jest właśnie na treningu.

— Dalej na nie chodzi? — jęknęłam, choć w sumie mnie to nie zdziwiło.

Nie było opcji, by pomyślał o odpuszczeniu tej walki. Był zbyt wielkim uparciuchem.

— Oczywiście — sarknął Luke, prostując się na kanapie. — Uznał nawet, że weźmie dodatkową godzinę na siłowni. Cudowny pomysł. — Jego głos ociekał ironią. Nie podobało mu się to.

— Wiesz, o co poszło między nim a Severine? — zapytałam.

— Nie mam pojęcia — odparł. Założył ręce na piersi, wciskając plecy w oparcie kanapy. — Nikomu nic nie powiedział. Kiedy go pytałam, odpowiedział, że nie chce o tym gadać i mamy zapomnieć. I że wszystko jest dobrze. Mamrotał coś o tym, że to jego sprawa i mamy się odpiardolić.

Te słowa nieźle mnie zdziwiły, byłam pewna, że Shey powie, o co chodziło, Parkerowi albo Jasmine. W końcu byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Mógł nie chcieć rozmawiać z innymi, ale z nimi? Nigdy nie należał do osób wylewnych, tylko że z Lukiem to było co innego. Czy miałam w tym swój udział i moje cierpkie słowa w jego mieszkaniu sprawiły, że zamknął się jeszcze bardziej? Zrobiło mi się niedobrze na samą myśl.

Chciałam jakoś pocieszyć Luke'a, ale byłam gównianym wsparciem, więc posłałam mu jedynie błądy uśmiech, a chłopak odwdzieczył mi się tym samym.

— Z nikim nie gada. Nawet ze mną. Tylko na treningach — mruknął cicho. — Wczoraj i dziś spędził w klubie bokserskim cały dzień, a potem pojechał do swojego mieszkania i się tam zaszył. Niby zachowuje się tak jak zawsze, ale wiem, że jest po prostu zły. Ta sytuacja go rozdrażniła,

przez co zrobił się strasznie rozkojarzony. Ma dość ludzi i pokazuje to cały czas. Toleruje tylko Charliego.

— Co u niego? — zapytałam.

Czemu, do cholery, byłam tym zainteresowana? Musiałam z tym skończyć.

— W porządku. Jest okej i cieszę się, że Nate nie siedzi w tym mieszkaniu kompletnie sam. Ma w nim duże wsparcie, chociaż Charlie nie wie o bardzo wielu rzeczach, jak ta walka — westchnął. — Nate nie może być z nim w stu procentach szczery i to chyba drażni go jeszcze bardziej. Przysięgam, że miałem ochotę strzelić mu w zęby, kiedy setny raz przewrócił oczami na coś, co powiedziałem.

Parsknęłam cichym śmiechem. Był rozdrażniony zachowaniem Sheya i mu się nie dziwiłam. Nathaniel, kiedy miał te swoje humorki, był nie do zniesienia. Z autopsji wiedziałam, że w takich sytuacjach człowiek wychodzi z siebie.

— Kurwa, najgorsze w tym wszystkim jest to, że on się tak zachowuje. Jakby nic się nie stało. Ale jest przy tym kurewsko zły i rozdrażniony, co odbija się na treningach. Wali na osłep, w ogóle nie słucha trenera, nie wykonuje poleceń... — jęknął.

Widać było, że ta sytuacja go męczy.

— Wiesz, jutro są jego urodziny — mruknął. — Więc zaproponowałam mu, że może gdzieś wszyscy skoczmy, aby poświętować, bo treningi do upadłego to głupi pomysł, zwłaszcza że on naprawdę jest w formie życia... powinien wyjść i się odstresować, bo jest cholernie spięty. Ale on zupełnie mnie nie słuchał, a gdy to zasugerowałam, zaczął coś pieprzyć o tym, że dzień przed walką musi się skupić i nigdzie nie idzie. Charlie wychodzi na festyn ze znajomymi z klasy, więc Nate wieczorem będzie sam, ale nie ma opcji, aby ktoś go gdzieś wyciągnął. Jest tak cholernie uparty.

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Z tego, co mówił Parker, wynikało, że z Sheyem było gorzej, niż myślałam. Może naprawdę powinien być pogadać z Severine? Skoro tak mu na niej zależało... Westchnęłam i pokręciłam głową.

— Wiesz, w sumie nie ma znaczenia, czy Nate wygra tę walkę, czy nie — rzucił cicho Luke. — Tu liczy się tylko to, aby Brooklyn na nią przyszedł. Ale Nate nie powinien jej przegrać przez głupie zdenerwowanie i brak skupienia. Nie chcę, aby coś mu się stało.

Pokiwałam głową, bo wszyscy wiedzieliśmy, że walka miała być tylko pretekstem, aby ściągnąć White'a, i wystarczyło, by Nathaniel wziął udział w tym cyrku. Pół miasta o tym gadało, więc akurat to szło po naszej myśli. Kiedy dzień wcześniej robiłam zakupy, usłyszałam za sobą rozmowę dwóch podekscytowanych facetów, że znów będzie co oglądać. Byłam pewna, że zasługę miał w tym Chris, który sporo plotkował o pewnych wydarzeniach. Wystarczyło, aby powiedział kilku osobom, a domino ruszyło. Z tego, co mówił Scott, sam Sanchez również przechwalał się tym, że ściągnął na ring sławnego Sheya. Mieliśmy wszystko, co było potrzebne na tym etapie, plan, rozgłos, ale w tym wszystkim... zupełnie niezorganizowanego Nathaniela.

Nathaniela, który jeden błąd mógł przyplącić zdrowiem albo, co gorsza, życiem.

— Może odwołamy tę walkę... — zaproponowałam cicho, na co Luke prychnął.

— Clark, zasugerowałam mu to tylko raz i nie mam zamiaru robić tego ponownie. Nie ma sensu. Jest zbyt uparty. Wejdzie na ten ring, nawet jeśli mieliby go tam zabić.

Och, kurwa. Nie musiałeś tego mówić.

Oboje zamilkliśmy i każde z nas pogrzyżyło się we własnych myślach. Po trzech minutach Luke powiedział, że musi się zbierać. Moment później patrzyłam, jak odjeżdża spod mojego domu, a kiedy jego samochód zniknął mi z oczu, jęknęłam, uderzając czołem w drzwi. Było jeszcze gorzej, niż sądziłam.

Tamtego wieczoru myślałam o tym wszystkim dwa razy bardziej intensywnie, bo wiedziałam, że u Sheya jest źle. O dziesiątej wieczorem upiekłam cholerną szarlotkę, której i tak nie miałam ochoty jeść. Nie mogłam zasnąć. Wierciłam się w swoim łóżku, przewracając się z boku na bok, aż w końcu mój wzrok padł na cyferblat zegarka ustawionego na szafce nocnej. Północ. Zamrugałam powoli, gdy zdałam sobie sprawę, że nastał właśnie piętnasty listopada.

Urodziny Nathaniela.

Ten cholerny dzień był jedną wielką kpiną od momentu, gdy uniosłam powieki po nieprzespanej nocy. Zasnęłam grubo po drugiej, ponieważ

wcześniej nie mogłam zmusić swojego umysłu do wyciszenia się. Choć próbowałam myśleć o czymś innym, w głowie miałam tylko tę jedną myśl: Nathaniel ledwo skończył dwadzieścia pięć lat, a następnego dnia mógł leżeć martwy na ringu.

Było po pierwszej, kiedy zwlekłam się z łóżka i wcisnęłam w dres. Miałam paskudny nastrój, więc zjadłam obfite śniadanie — odgrzewaną chińszczyznę — i wypaliłam dwa papierosy, popijając je kubkiem czarnej kawy. Mój organizm musiał mnie nienawidzić. Wszystko leciało mi z rąk, prawie rozwaliłam odkurzacz przy sprzątaniu, a potem odbijałam się od ścian. Theo nijak tego nie komentował, ale widziałam jego pełne politowania spojrzenia. Co roku tego dnia byłam... dziwna, z braku lepszego określenia, ale tym razem ten przeklęty piętnasty listopada przyniósł jakieś pierdolone apogeum. Znowu nie wiedziałam, co zrobić ani jak się zachować. To były jego urodziny, więc wypadałoby złożyć życzenia, ale Shey powiedział Luke'owi, że nie chce się z nikim widzieć i nigdzie wychodzić.

— Idziesz dziś na ten festyn? — zapytał Theo, wyciągając sok porzeczkowy z lodówki, podczas gdy ja ze skupioną miną bawiłam się jabłkiem, siedząc na stołku barowym.

Zmarszczyłam brwi, kiedy dotarł do mnie sens jego słów. No tak, festyn...

Westchnęłam, spoglądając na twarz brata, kiedy pił prosto z butelki.

— Nie wiem, chyba nie — mruknęłam mętnie. — A ty?

— Chyba tak. — Wzruszył ramionami. — Laura wspominała coś o tym, że cała reszta idzie, to połączę z nimi. Ty pewnie też będziesz musiała pójść. Chris ci nie odpuści. Zaczyna się o ósmej i podobno to duże przedsięwzięcie.

— Kolorowe Culver City. Cudownie — prychnęłam i zamyśliłam się.

Nie miałam ochoty na zabawę, nie w takich okolicznościach. Myśl, że miałabym się bawić, podczas gdy następnego dnia czekał nas taki syf, jakoś mnie odpychała. Spojrzałam na zegar w kuchni, aby upewnić się, ile mam czasu przed tym, aż ktoś wpadnie do naszego domu, by mnie z niego wyciągnąć. Było po piątej.

Zdecydowałam się iść pod prysznic w nadziei na to, że pomoże mi to oczyścić umysł i pozbyć się tych cholernych myśli, których nie winnam była mieć. Dobre pół godziny stałam pod strumieniem ciepłej

wody, ale to zdało się na nic. Kiedy wyszłam, nadal to czułam. Owinęłam się białym ręcznikiem i zerknęłam do lustra. Wyglądałam okropnie z podkrążonymi oczami i bladą cerą. Wysuszyłam włosy, a następnie delikatnie się pomalowałam. Kiedy skończyłam, weszłam z powrotem do swojego pokoju. Włożyłam bieliznę, ale zanim wciągnęłam dres, mój wzrok zatrzymał się na zegarku stojącym na szafce nocnej. Poczułam, jak czas zwalnia. Podczas tych kilku sekund, gdy tak patrzyłam, skumulowały się we mnie wszystkie dręczące mnie myśli i wspomnienia naszych rozmów. Może warto byłoby...

Moje myśli przerwał dzwonek do drzwi. Miałam nadzieję, że otworzy Theo, jednak po kolejnych kilku sekundach dźwięk się powtórzył. Przewróciłam oczami, ale szybko wskoczyłam w dresy i bluzę, a następnie wyszłam z pokoju i zeszałam po schodach. Dzwonek znów zabrzączał, a po odgłosach dobiegających z łazienki na parterze zorientowałam się, że Theo bierze prysznic. Westchnęłam i podeszłam do drzwi, a gdy je otworzyłam, poczułam się zdezorientowana.

— Charlie?

Chłopiec stał na moim ganku jak gdyby nigdy nic, z wielkim uśmiechem zadowolenia na twarzy. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakiś omam, więc z głupią miną zerknęłam w prawo, a następnie w lewo. Na zewnątrz było bardzo przyjemnie, ciepło, ale nie gorąco, a lekki wiatr powodował, że nie było też duszno. Nie dostrzegłam nikogo więcej, więc wróciłam wzrokiem do chłopca, który dalej wlepiął we mnie wielkie oczy.

— Hej, Victoria! — zawołał radośnie.

Pomrugałam i opuściłam ręce wzdłuż ciała.

— Co ty tu robisz? — zapytałam, a z każdą sekundą moje zdenerwowanie rosło. — Nate wie, że tu jesteś? Znowu uciekłeś?

W pierwszej chwili miałam ochotę urwać mu głowę, ponieważ wiedziałam, że jeśli znowu zwiął i przyszedł do mnie, to czeka mnie kolejne starcie z Nathanielem. Po minie młodego, który w reakcji na moje pytanie zacisnął usta w wąską linię i spuścił wzrok, poznałam, że jego starszy brat nie ma pojęcia o tej wizycie. Wciągnęłam głośno powietrze.

— No bo... — mruknął cicho chłopiec. — No Nate nie wie, ale ja zapamiętałem twój adres i musiałem się z tobą spotkać. Ale spokojnie, nie uciekłem!

Jego zapewnienie niezbyt mnie uspokoiło.

— Jak się tu dostałeś? — westchnęłam i opanowałam nerwy, aby sobie to wszystko poukładać. Na krzyki miałam jeszcze czas.

— Mama mojego kolegi z klasy przywiozła mnie tu na chwilę, bo ją poprosiłem — wyjaśnił, jak gdyby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. Wskazał głową na ulicę, więc tam popatrzyłam.

Dopiero wtedy dostrzegłam, że przy krawężniku stał jasnoniebieski chevrolet. Za kierownicą siedziała jakaś kobieta w średnim wieku, na fotelu pasażera chłopiec w wieku Charliego, z tyłu również kogoś dostrzegłam. Jeszcze bardziej zdziwiona znów spojrzałam na młodego.

— Nate wie, że razem z kolegami z klasy jadę na festyn — zaczął chłopiec, wciskając ręce do kieszeni białej bluzy. — Mama jednego nas podwozi. Właśnie tam jedziemy, ale poprosiłem ją, żeby podrzuciła mnie do ciebie. No... o tym to Nate nie wie, ale to lepiej!

— Po co to zrobiłeś? — Zmarszczyłam brwi.

Wyglądał, jakby mówił szczerze, ale musiałam pozostać czujna. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w ciszy, a on dziwnie się speszył. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nerwowymi ruchami raz po raz odgarniał niesforne kosmyki z czoła i miał problem z utrzymywaniem kontaktu wzrokowego. To mnie zaniepokoiło.

— Charlie — powiedziałam poważniej, patrząc na niego intensywnie.

W końcu głośno westchnął i spojrzął mi prosto w oczy.

— Oj, no bo ty wiesz, że Nate zerwał z Severine. I miałaś rację, ani razu mi nie powiedział, że to moja wina, i niby jest w porządku, ale... — zrobił krótką przerwę — ale jest smutny. Niby jest dobrze, ale nie jest, i ja to wiem. Wiesz, że ma dziś urodziny?

— Coś obito mi się o uszy... — odparłam, zaciskając mocniej dłoń na klamce.

— No ma, dwudzieste piąte! — zawołał energicznie, gestykulując coraz bardziej. — I zawsze w ten dzień jest tak fajnie, bo robimy różne rzeczy. Zaproponowałem, żebyśmy poszli razem na festyn, ale on powiedział, żebym poszedł z kolegami. Od rozstania z Severine jest smutny i mało się odzywa. W ogóle o niej nie mówi, ale chyba dużo o tym myśli... Jest mi przykro, bo nie chcę, żeby tak się czuł. Dlatego do ciebie przyjechałem.

— Ale co mam z tym wspólnego ja? — zdziwiłam się, znów marszcząc brwi.

Charlie przewrócił oczami i westchnął cicho. Wyglądało to tak, jakby właśnie stracił do mnie cierpliwość. Co za gnojek!

— To chyba oczywiste — rzucił kpiąco, ale widząc moją minę, szybko się zreфлектовał i wyjaśnił: — Bo widzisz, Victoria. Tak sobie pomyślałem, że może ty mu pomożesz i jakoś go pocieszysz. Nate cię lubi i się znacie, i może pogadałabyś z nim...

Byłam w szoku po jego słowach. Czy on naprawdę poprosił mnie o coś takiego? Z jednej strony byłam na niego zła, że chciał mnie w to wciągnąć i przekonać do spotkania z Nathanielem, ale z drugiej... poczułam miłe ciepło w okolicach serca, że tak bardzo troszczy się o swojego starszego brata.

— Charlie... — jęknęłam, ale nie dał mi dokończyć.

— Ja nie mówię, że musisz pogadać z nim dziś, ale może... jak znajdziesz czas. Może mu jakoś pomożesz i zrobi mu się lepiej. Przecież ty też nie chcesz, żeby był smutny, prawda?

— Ale dlaczego zwracasz się z tym do mnie, a nie do jego przyjaciół? — zapytałam znacznie ciszej.

Charlie popatrzył na mnie z ciepłym uśmiechem.

— Bo mój brat patrzy na ciebie inaczej.

Zdziwiłam się, gdy to powiedział, i już miałam zapytać, o co mu chodzi, ale wtedy Charlie pokręcił głową i zrobił krok w tył.

— Nie zmuszam cię do niczego, ale strasznie bym się ucieszył, gdybyś z nim pogadała i jakoś mu pomogła. Ja już muszę wracać.

— Ale... — zaczęłam, jednak znów nie dał mi skończyć.

— Pa, Victoria!

Zeskoczył z ganku, a następnie pobiegł do samochodu. Obserwowałam, jak wsiada do środka, a następnie kobieta za kierownicą ostrożnie ruszyła i po chwili chevrolet znikł mi z oczu.

Nie wierzyłam w to, że ten mały gnojek wymyślił taki perfidny plan. Bezczelnie mną manipulował i namącił mi w głowie. I co niby miały oznaczać te słowa, że Nathaniel patrzy na mnie inaczej? Przecież młody nie miał o niczym pojęcia, chciał mnie tylko przekonać, że bym zrobiła to, o co prosił!

Prychnęłam pod nosem i wróciłam do domu, po czym zatrzasnęłam ze złością drzwi. Nie miałam zamiaru dać się w to wplątać, nie inte-

resowało mnie, że Shey był smutny, małomówny i... nie! Nie mogłam się wtrącać.

— Pieprzyć to — zakląłam.

Szybko wróciłam do swojej sypialni, w której wskoczyłam w jeansy z wysokim stanem i musztardową bluzę z kapturem, która była trochę za duża, przez co moje dłonie chowały się w rękawach, a na piersi po lewej stronie miała wyszyty mały czarny znaczek Nike. Moje serce biło szybko i nierównomiernie, gdy skakałam po pokoju, wkładając białe skarpetki. Kiedy skończyłam, wyprostowałam się i popatrzyłam w lustro wiszące na ścianie.

Byłam popieprzona, ale wiedziałam, że już się nie cofnę. Wróżyłam gnojce światłą przyszłość, potrafił dostać to, czego chciał.

Zadzwoiłam po Filipa, który poinformował mnie, że będzie za kilkanaście minut. Wzięłam telefon i jakieś pieniądze, po czym wyszłam ze swojego pokoju i zbiegłam do salonu. Ruszyłam w stronę holu.

— Idziesz gdzieś? — zapytał ze zdziwieniem siedzący na kanapie w salonie Theo. Jego włosy były mokre po prysznicu. Miał na sobie czarne jeansy i tego samego koloru koszulkę z krótkim rękawem.

— Tak — wysapałam, przetykając ciężko ślinę.

Uniósł brew.

— Na festyn?

— Nie wiem — odpowiedziałam szczerze.

Prawda była taka, że sama nie wiedziałam, co dokładnie chcę zrobić. Po prostu coś musiałam przez tego cholernego dzieciaka!

Mój brat spojrział na mnie jak na osobę niespełna rozumu. Chyba chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zaciął się i tylko westchnął, machnąwszy dłonią.

— Nie będę pytał — mruknął, za co w duchu mu podziękowałam.

Włożyłam białe, niskie air force'y i wyszłam z domu. Nie wzięłam nawet kluczy, ale nie przejmowałam się tym. Przymknęłam oczy, wdychając świeże powietrze. *Będzie dobrze. Musi być.* Nie miałam pieprzonego pojęcia, co chcę zrobić, bo nie wymyśliłam żadnego, kurwa, planu! Ale już niejednokrotnie działałam spontanicznie. *Może czas do tego wrócić?*

Pięć minut później pod dom podjechała żółta taksówka. Wsiadłam do niej, przywitałam się z Filipem i podałam mu dobrze mi znany ad-

res. Mężczyzna całą drogę paplał jak najęty o tym, że jeszcze godzina i kończy swoją zmianę, a potem z rodziną idzie na festyn. Nie słuchałam go jednak, bo całą swoją uwagę skupiałam na tym, aby wymyślić jakąś strategię, co i tak spaliło na panewce. Miałam pustkę w głowie, a moją irytację pogłębiały kosmiczne korki na niemal każdej drodze w mieście. Przez festyn wszędzie był ścisk, główne ulice zostały odcięte, trzeba było korzystać z objazdów.

Po trudnych dwunastu minutach udało się. Zatrzymaliśmy się pod kamienicą Sheya.

— Jesteśmy — powiedział pogodnie Filip, kiedy z gulą w gardle patrzyłam na stary budynek. — Zaczekać tu na ciebie?

Nie potrafiłam odpowiedzieć, więc jedynie pokiwałam głową.

Już dawno nie czułam tak szybkiego bicia serca, gdy starając się udawać pewną, ruszyłam w stronę drzwi wejściowych. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów aż tak mocno stresowałam się spotkaniem z kimś. To było do mnie niepodobne, już zapomniałam, jak to jest. Zaczęłam w myślach przeklinać tego dzieciaka i te jego cholerne wielkie oczy! Nie miałam pojęcia, jak to będzie wyglądać, skoro od piątku nie rozmawialiśmy, ale... może to miało nam wyjść na dobre?

Albo byłam masochistką. To też by się zgadzało.

Zestresowana weszłam do kamienicy, układając w międzyczasie jakąś wypowiedź w głowie, ale nawet wtedy, gdy stanęłam już przed ciemnymi drzwiami, nadal niczego nie wiedziałam. W tamtym momencie moje ciało postanowiło się zbuntować. Czy powinnam była to robić? I kiedy już się poddałam, zdecydowałam się zawrócić i pojechać do domu, moja dłoń samowolnie nacisnęła dzwonek do drzwi.

Co, do kurwy?!

Wytrzeszczyłam oczy, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co zrobiłam, a sekundę później błagałam w myślach, aby dało się cofnąć czas. Cholera, ja nie byłam na to gotowa! Modliłam się, by jakimś cudem nie było go w domu. Niestety usłyszałam przekręcanie klucza w zamku, a następnie ciche skrzypnięcie drzwi, które powoli się uchyliły.

Powinnam chyba brać mocniejsze leki, bo te są zdecydowanie za słabe na mój chory łeb!

Zrobiłam obojętną minę, chociaż w środku coś mnie zżerało. Zmierzyłam Nathaniela wzrokiem. Miał na sobie czarne dresy oraz czerwoną

koszulkę z luźnymi rękawami do łokci. Jego włosy były w nieładzie, a jego twarz, cóż... Tak oschle i nieprzychylnie nie patrzył na mnie chyba nawet podczas naszego ostatniego spotkania w jego mieszkaniu. Przełknęłam ślinę, wpatrując się w czarne, matowe oczy chłopaka. Wyglądał groźnie, ale z ulgą dostrzegłam, że jego twarz nie wskazywała, by był tak wymęczony jak przed czterema dniami. Sińce pod oczami miał tylko lekko czerwone, a skórę mniej poszarzałą. Nie przypominał już chodzącej śmierci, co naprawdę podniosło mnie na duchu, ale to nadal nie był stuprocentowy Shey.

No i przyglądał mi się tak, jakbym była natrętnym komarem.

Przez pierwsze kilka sekund oboje milczeliśmy, aż w końcu odchrząknęłam. Jego mina nie zmieniła się ani odrobinę. Nie był zszokowany czy zdziwiony moją wizytą. Patrzył na mnie pustym wzrokiem, a cała jego postawa wyrażała niechęć do jakiegokolwiek rozmowy, ale skoro powiedziałam A, to musiałam powiedzieć B.

— Cześć, Nate — przywitałam się miło, wypuszczając powietrze. Jeszcze chwila nieoddychania i straciłabym przytomność.

Chłopak uniósł jedną brew, spoglądając na mnie oceniająco.

— Co tu robisz? — zapytał bez ogródek. Jego głos był zimny i oschły. — Charliego nie ma. Nie musisz udawać pracownika opieki społecznej.

To było cholernie nieprzyjemne, ale nie dałam tego po sobie poznać. Zamiast tego z obojętną miną wzruszyłam ramionami. Nie mogłam znowu dać się sprowokować.

— Nie jestem tu z jego powodu. Cóż, prawdę powiedziawszy, uznałam, że... — zaczęłam, ale mi przerwał.

— Nie mam ochoty na odwiedziny. Cześć. — Z tymi słowami zamknął mi drzwi przed nosem.

Zszokowana wielkimi oczami wpatrywałam się w ciemne drewno, a do moich uszu znów dotarł odgłos przekręcanego klucza. Nie bardzo wiedziałam, co się właśnie stało. On zamknął te drzwi, nie dał mi nawet dokończyć zdania, po prostu mnie zignorował i sobie poszedł. Miał mnie totalnie gdzieś, a ja przyjechałam dla niego! A on... ten cham...

Zamknął. Mi. Drzwi. Przed. Nosem.

Właśnie wtedy poczułam, że cały stres, który we mnie siedział, przerodził się w gniew. Co ten kretyń sobie w ogóle wyobrażał?! Zmrużyłam oczy, patrząc ze złością na drzwi, które *przede mną zamknął*. Odeszłam

o krok, zaciskając szczękę. Wiedziałam, że ich nie otworzy, a ja nie miałam zamiaru walić w nie i dzwonić dzwonkiem jak wariatka. Miałam swoją godność. Nazywałam się Victoria Joseline Clark i żaden frajer nie miał prawa mnie tak traktować. Nawet Nathaniel.

Na fali złości wpadła mi do głowy pewna myśl. Uniosłam brew i uśmiechnęłam się niemal diabolicznie. Shey chyba zapomniał, z kim ma do czynienia. Nie byłam żadną Severine, do której najwyraźniej przywykł. Mną się nie pomiatało i jeżeli myślał, że odpuszczę, bo szanowny książe tego chciał, to grubo się pomylił. *Oj, grubo.*

Szybko skierowałam się do wyjścia z klatki schodowej, w międzyczasie wyciągając swój telefon. Wysłałam na zewnątrz i znów wsiadłam do taksówki, z pamięci podając Filipowi adres. Szybko wyszukałam w kontaktach odpowiedni numer, a później wybrałam go i przyłożyłam iPhone'a do ucha. Nerwowo poruszałam nogą, odliczając kolejne sygnały, kiedy przemierzaliśmy zakorkowane miasto. Tu już nie chodziło o prośbę Charliego, ale o honor.

Co za dupek.

— Moja ulubiona Victoria — zaczął zaczepnie Parker, kiedy w końcu odebrał. — Czym sobie zasłużyłem na twój telefon, o pani?

— Nadal mieszkasz w tym samym miejscu? — zapytałam bez ogródek.

— Tak, a coś się stało? — odparł zdziwiony poważniejszym głosem.

— Jesteś w domu? — zadałam kolejne pytanie.

Czułam, że był coraz bardziej zdezorientowany.

— Tak — odrzekł z rezerwą. — Właśnie z Mią szykujemy się na festyn. Coś się stało, Victoria?

— Wpadnę na chwilę za pięć minut, okej?

— No okej, ale...

Nie dałam mu dokończyć. Rozłączyłam się, zaciskając w gniewie palce na telefonie. Pieprzony Nathaniel Shey. Dobrze sobie. Coś we mnie buzowało, miałam dziwną ochotę skakać i kogoś uderzyć. Konkretną osobę.

Niemal krzyknęłam, kiedy znaleźliśmy się pod kamienicą Parkera. Powiedziałam Filipowi, aby na mnie poczekał, a następnie wyskoczyłam z taksówki. Szybko pognałam do odpowiedniej klatki i po chwili znalazłam się pod właściwymi drzwiami. Z mocą w nie zapukałam, nie-

cierpliwą się coraz bardziej. Nie musiałam czekać zbyt długo. Drzwi otworzyła Mia.

— Hej, Vic — przywitała się. Nie wyglądała na zdziwioną moją wizytą, więc Luke musiał jej o niej powiedzieć. — Co się stało?

— Mam sprawę — mruknęłam, a dziewczyna skinęła i od razu przepuściła mnie w drzwiach.

Po chwili z salonu wyszedł Luke. Uśmiechnął się do mnie lekko, ale był wyraźnie zaniepokojony. Musiałam ich nieźle zdziwić, ale nie miałam czasu na tłumaczenia.

— Co się dzieje? — zapytał, nawiązując ze mną kontakt wzrokowy. Odchrząknęłam.

— Mam w planach szlachetną próbę pomocy. Pamiętasz, jak kiedyś przyszedłeś z Mattem i Scottem do mieszkania Nate'a i byłem tam ja? — zaczęłam, na co zmarszczył brwi coraz bardziej zdezorientowany.

Och, to wspomnienie nie było zbyt przyjemne, bo wywoływało we mnie potężne zażenowanie. Doskonale pamiętałam, jak po kłótni z mamą spędziłam noc u Nathaniela. On musiał rano gdzieś jechać, a ja nadal spałam. Kiedy myślałam, że wrócił, okazało się, że to była ta nieszczęsna trójka. Zrobiło się niezręcznie, bo wyszłam z sypialni Sheya w jego koszulce, a chłopaka nigdzie nie było, ale to właśnie wtedy dowiedziałam się o czymś, co teraz mogło mi się przydać.

Luke przez chwilę milczał, ale w końcu sobie przypomniał. Wtedy zdziwił się jeszcze bardziej. Mia przysłuchiwała się nam w milczeniu, patrząc poważnie na moją twarz.

— No tak, ale co w związku z tym? — zapytał.

— Nadal masz klucze do jego mieszkania?

Bonnie i Clyde

Luke zastygł w reakcji na moje pytanie, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. Kiedyś miał zapasowe klucze do mieszkania Nathaniela i ja tych kluczy potrzebowałam. Parker milczał, jakby nie wierzył, że naprawdę powiedziałam to, co powiedziałam. Mia również milczała, przypatrując mi się z zaciekawieniem.

— Victoria, po co ci te klucze? — zapytał w końcu chłopak, na co miałam ochotę przewrócić oczami, ale siłą się powstrzymałam.

— Luke, wiem, że proszę cię o wiele, ale naprawdę ich potrzebuję — odpowiedziałam ze spokojem.

— Victoria, czy ty wiesz, o co mnie prosisz? — upewnił się nadal zszokowany. — To Nate. I to mieszkanie Nate’a. To nie jest czas na żarty.

— Wiem i właśnie dlatego proszę — mruknęłam. Widziałam, że nie jest ani trochę przekonany, postanowiłam więc spróbować inaczej: — Jeśli nie chcesz patrzeć, jak jutro dławi się własną krwią, to po prostu mi je daj. — Wiedziałam, że moje słowa to obietnica bez pokrycia. Najzwyczajniej w świecie nie miałam pewności, jak to wszystko się potoczy. Od początku działałam spontanicznie, a na dodatek kierowana złością.

Dzięki tym słowom zobaczyłam jednak zawahanie na twarzy chłopaka. Patrzyłam mu prosto w oczy, aby mi uwierzył, a on z każdą sekundą łamał się coraz bardziej. Kiedy znów chciałam się odezwać, by go przekonać, Mia westchnęła i podeszła do porcelanowej miski ustawionej na szafce z butami. Szybko coś z niej wyciągnęła i wróciła z tym do mnie. Zdezorientowana spojrzałam na jej wyciągniętą w moją stronę dłoń. Podała mi dwa kluczyki z breloczkiem.

— Ten większy jest od mieszkania — mruknęła.

Nawiązałam z nią kontakt wzrokowy, a ona uniosła kącik ust i posłała mi oczko. To spowodowało, że uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Jak zawsze ratowała mi tyłek i pomagała w realizacji moich głupich pomysłów, a ten z pewnością taki był. Chwyciłam klucze i ścisnęłam je w dłoni.

— Mia... — jęknął Luke, przecierając twarz dłonią.

— Najwyżej będzie na mnie. — Przewróciła oczami, odwracając się w stronę chłopaka, który patrzył na nią niepewnie.

— To się źle skończy. — Parker pokręcił głową, ale nie protestował i nie próbował odebrać mi kluczy.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

— Prawdopodobnie tak — odparłam, a następnie otworzyłam drzwi.

— Mam ci życzyć powodzenia? — zapytała z uśmiechem Roberts, na co zmrzyłam figlarnie jedno oko, wzdychając.

— Może nie, ale jeśli nie odezwę się do jutra, to będzie znaczyło, że zostałam brutalnie zamordowana i zapewne zakopana gdzieś w lesie — mruknęłam. — Na pogrzeb ubierzcie się kolorowo i przynieście storczyka! — zawołałam, kiedy zamykałam drzwi przy akompaniamencie śmiechu Mii i jęków Luke'a.

Wypadłam z kamienicy i wsiałam do taksówki, sapiąc do Filipa, że ma wrócić pod poprzedni adres. Mężczyzna był niezłe zdziwiony moim zachowaniem, ale nijak tego nie skomentował. Ścisnęłam w dłoni klucze, zastanawiając się, co ja najlepszego wyrabiam. Naprawdę miałam jakieś odruchy masochisty. Nikt o zdrowych zmysłach by tego nie zrobił. Znow zaczęłam się lekko denerwować, ale ten stres nie był zły. Wręcz przeciwnie, napędzał mnie.

Po dziesięciu minutach zatrzymaliśmy się przed kamienicą Nathaniela. Chciałam wysiąść i powiedzieć, by Filip na mnie zaczekał, ale mężczyzna był szybszy i odwrócił się w moją stronę.

— Wybacz, Victorio, ale za dwadzieścia minut kończę zmianę — powiedział miło.

Pokiwałam głową i wyciągnęłam pieniądze. Moja misja drogo mnie kosztowała.

A wszystko przez tego frajera.

Kiedy taksówka odjechała, westchnęłam i ponownie weszłam do kamienicy. Obracałam w dłoni ciepłe już klucze, zastanawiając się, czy

to aby na pewno był dobry pomysł, ale kiedy spojrzałam na ciemne drzwi mieszkania Sheya, znów przypomniało mi się, jak chamsko mnie potraktował. Zmrużyłam gniewnie oczy i nabuzowana wsadziłam odpowiedni klucz do zamka. Przekreśliłam i bez namysłu weszłam do środka. Zatrzasnęłam za sobą drzwi z głośnym hukiem, aby Nathaniel mnie usłyszał. Stałam w wąskim korytarzu z zaciętą miną i głośnym oddechem.

— Jestem w środku, więc z łaski swojej przestań robić wszystkie idiotyczne rzeczy, które robisz! — krzyknęłam poważnym głosem.

Wzburzona ruszyłam do salonu. Zrobiłam kilka kroków i zobaczyłam, jak chłopak wychodzi ze swojej kuchni z talerzem pełnym kanapek. Nie skupiłam się jednak na tym, tylko na jego minie, która w końcu wyrażała coś więcej niż tę irytującą obojętność. Totalnie zdezorientowany patrzył na moją twarz, na której malowała się wściekłość. Jego usta były lekko rozchyłone, a brwi delikatnie zmarszczył. Zatrzymał się w miejscu, dokładnie tak jak ja. Z bezpiecznej odległości posyłał mi sobie zdecydowanie zbyt niebezpieczne spojrzenia.

Kiedy pierwszy szok minął, dostrzegłam, że jego oczy stopniowo ciemnieją coraz bardziej. Wydawało mi się, że talerz w jego dłoniach zaraz pęknie przez to, jak mocno ścisnął jego brzóg. Uniosłam hardo głowę, a on się spiął i jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej przerażające.

— Jak ty tu, do kurwy, weszłaś?

Poczułam nieprzyjemny dreszcz na plecach, ale zachowałam kamienną twarz.

Naprawdę był wściekły.

— Nie zamyka mi się drzwi przed nosem — odwarknęłam równie nieprzyjemnym tonem, a chłopak w końcu spuścił wzrok z mojej twarzy na dłoń, w której trzymałam klucze.

Nie wiedziałam, że było to w ogóle możliwe, ale wydawał się jeszcze bardziej wściekły.

— Zabiję go — wycharczał, a potem zrobił uspokajający wdech, który na nic się zdał.

Dalej wyglądał, jakby miał wybuchnąć, ale jakoś mi to latało. Odchrząknęłam i wzięłam się pod boki, patrząc na niego z powagą.

— Ubieraj się — nakazałam nagle, a na jego twarzy dostrzegłam cień zdziwienia.

— Wyjdź z tego mieszkania — sarknął, unosząc jedną brew i spoglądając na mnie, jakbym miała trzy głowy. — To w sumie, kurwa, włamanie, więc oddaj mi te klucze i idź sobie.

— Skoro miałam klucze, to raczej nie włamanie — odpowiedziałam kpiąco. O nie, nie miałam zamiaru się z nim bawić. — Więc się ubieraj, bo nie mamy czasu.

Nie wiedziałam czemu, ale gdy tak na niego patrzyłam, zachciało mi się śmiać. Naprawdę musiałam go zaskoczyć. Wyglądał trochę tak, jakby nie wiedział, co zrobić, bo chyba nie wyobrażał sobie, że znajdzie się w takiej sytuacji, w końcu normalni ludzie nie posuwali się do takich zagrań. Zapewne myślał, że damy mu spokój i pozwolimy być zrzedliwym dupkiem, który postanowił dać się zakatować na ringu.

Byłam pieprzoną masochistką ze skłonnościami samobójczymi, ale nikt nie miał prawa zamykać mi drzwi przed nosem. Shey nie był Bogiem, może miał zły czas, właśnie rozstał się z narzeczoną i mógł odreagowywać w sposób, w jaki chciał, ale nie dzień przed walką! Plus — miał urodziny. Wtedy zrozumiałam w stu procentach prośbę Charliego i byłam nawet zadowolona, że przyszedł z tym do mnie. Nathaniel nie mógł się tak zachowywać i musiałam coś z tym zrobić.

Do tego zamknął przede mną drzwi! Idiota.

Minęły jeszcze dwie minuty i w końcu wrócił dawny Shey, a jego dezorientacja zamieniła się w chłodną obojętność. Zmierzył mnie wzrokiem z taką niechęcią, że aż mnie to ubodło, ale zachowałam kamienną twarz. Przewrócił oczami i jak gdyby nigdy nic zajął miejsce na kanapie, stawiając talerz z kanapkami na stoliku do kawy. Zignorował mnie i wbił wzrok w telewizor. Dopiero wtedy zorientowałam się, że na plazmie był zatrzymany mecz Fify, a obok Nathaniela leżał pad.

— Ubieraj się — powtórzyłam groźniejszym tonem.

Shey cicho parsknął, nie posyłając mi ani jednego spojrzenia.

— Kiedy będziesz wychodzić, zamknij za sobą drzwi — rzucił jedynie, wygodnie się opierając i wznawiając grę.

Ciche odgłosy meczu wypełniły salon, podczas gdy ja stałam na środku, niemal dygocząc z nerwów.

Teraz w tym mieszkaniu znajdowały się dwa wulkany. Nie wiedziałam, który był bardziej niebezpieczny.

Zacisnęłam szczękę i bez słowa ruszyłam przez salon, który nie przypominał tego pobojowiska sprzed kilku dni. Czułam, że chłopak na mnie nie patrzył, ale wiedziałam, że bardzo chciał. Duma nie pozwoliła mu jednak przerwać zabawy w ignorowanie mnie. Bez zastanowienia otworzyłam drzwi do jego sypialni i weszłam do środka, włączając przy okazji światło. Znów poczułam, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch. Tam też niewiele się zmieniło. Jasne ściany, brązowe meble, wielkie łóżko na środku.

Zacisnęłam szczękę i odgoniłam wspomnienia, które chciały wdrzeć się do mojej głowy. To nie był odpowiedni czas.

Zebrawszy w sobie całą energię, podeszłam do dużej szafy. Zastanawiałam się, czy Nathaniel jakoś zareaguje, ale jego ego było zbyt wielkie. Był naprawdę dobrym aktorem, bo z pewnością ostatkiem sił powstrzymywał się, aby nie przyjść do sypialni. Z zadowoleniem zaczęłam otwierać kolejne szafki, aż w końcu natrafiłam na jego spodnie. Nic się nie zmieniło, nadal wszystkie pary dresów i jeansów były koloru czarnego i leżały poskładane w równiutką kostkę. Nathaniel miał na tym punkcie obsesję. Wzięłam pierwsze lepsze jeansy i zarzuciłam je sobie na ramię, aby mieć wolne ręce. Minutę później znalazłam tego samego koloru oversize'ową, ciężką bluzę z kapturem.

Zamknęłam szafę i wróciłam do salonu. Chłopak siedział na swoim miejscu, nadal grając, jednak jego szczęka była mocno zacisnięta. Widziałam, że z całej siły naciskał przyciski na padzie. Znów na mnie nie spojrział. Rzuciłam ubrania na miejsce obok niego, ale i to nie zwróciło jego uwagi.

— Wkładaj — warknęłam, zakładając ręce na piersi.

Ani drgnął.

W takich chwilach żałowałam, że jestem dziewczyną i nie mam tyle siły, ile on. Mogłabym wywlec go stamtąd za włosy, a tak... nie bardzo miałam pomysł, co zrobić, skoro mnie ignorował. Nawet nie pytał, gdzie i po co chcę jechać, bo miał to gdzieś. Czekał, aż się poddam i dobrowolnie opuszczę jego mieszkanie. Mógł mnie wyrzucić, ale to nie było w jego stylu, bo musiałby użyć siły. Wiedziałam, że w stosunku do mnie by tego nie zrobił. Może byłam naiwna, ale wierzyłam w to bardziej niż w cokolwiek innego.

A do tego byłam uparta.

Nagle znów spłynęło na mnie olśnienie. Może brakowało mi siły, ale za to miałam trochę oleju w głowie. Nabuzowana ruszyłam w stronę

łazienki. Oddychałam głośno i ciężko, kiedy weszłam tam i włączyłam światło. W niej też niewiele się zmieniło. Bez zastanowienia podeszłam do wanny, a następnie zatkałam korkiem odpływ i odkręciłam kran. Z dłońmi zaciśniętymi w pięści obserwowałam, jak gorąca woda powoli wypełnia wannę.

— Jeśli chcesz się wykąpać, to ręczniki są w szafce nad pralką! — usłyszałam sarkastyczny głos Sheya.

Miałam ochotę wypchnąć go z okna na czwartym piętrze, ale opanowałam się, by nie dać mu satysfakcji. Chciał, abym odpuściła, a ja nie miałam zamiaru tego zrobić. Mógł sobie ze mnie kpić, ale i tak wiedziałam, że wyjdzie na moje. Dlatego postanowiłam to wytrzymać i spróbować się uspokoić. Wizja jego pokiereszowanego ciała trochę mi pomogła. Może i trzeba było dać mu wejść na ten ring w takim stanie? Chociaż nie, sama chciałam go pobić, więc nie dałoby mi to satysfakcji. Z takimi myślami zakręciłam kran, kiedy woda sięgała już trochę ponad połowy wanny. Była bardzo gorąca i parowała, przez co w pomieszczeniu zrobiło się nieco cieplej. Odetchnęłam ostatni raz i skierowałam się do salonu.

Kiedy do niego weszłam, Shey siedział tam, gdzie siedział wcześniej, nadal grając w tę cholerną grę. Z pewnością był ciekawy, co robiłam, ale nijak tego nie pokazywał. Wolał mnie ignorować. Uniosłam głowę i z niewzruszoną miną podeszłam do niskiej szafki pod telewizorem, na której stał dekoder, a obok leżała jego ukochana *konsola*. Gdy się zorientowałam, do czego była podpięta, w ekspresowym tempie stanęłam tuż przed nią. Bez namysłu odłączyłam ją od telewizora i jednym szarpnięciem wyciągnęłam wtyczkę z gniazdka. Ekran plazmy zrobił się czarny i dopiero to spowodowało, że poczułam na swoich plecach wzrok Nathaniela. Nie przejęłam się tym. Nawet na niego nie zerknąwszy, chwyciłam konsolę w dłonie i się wyprostowałam. Szybkim krokiem ruszyłam w stronę łazienki.

— Co ty robisz? — zapytał zezłoszczony, ale teraz to ja go zignorowałam.

I co? Miło ci, he?

Weszłam do pomieszczenia i stanęłam przed wanną. Wyciągnęłam nad nią ręce, w których trzymałam czarne PlayStation. Doskonale słyszałam, że Shey zerwał się z miejsca, gdy tylko zniknęłam mu z oczu.

Z kamienną twarzą trzymałam drogą konsolę nad gorącą wodą. Chłopak znalazł się przy drzwiach dwie sekundy później. Z niewzruszoną miną powoli spojrzałam w jego kierunku, jakbym robiła to z łaską. Stał w progu łazienki, z dłońmi po obu stronach futryny. Patrzył ze wściekłością na urządzenie w moich dłoniach, a jego oczy płonęły. Nie przejęłam się tym, chociaż powinnam była to zrobić, oj tak.

Skoro tak chciałeś się bawić, to proszę bardzo.

— Victoria, oddaj mi to — powiedział na pozór spokojnie, ale jego głos przerażał.

Naprawdę był zły, a ja miałam ochotę zacząć się śmiać.

— Jesteś uroczy, jeśli myślisz, że kilka ostrych spojrzeń może mnie przekonać. O, patrz... — zaczęłam z udawaną radością, zaciskając palce na konsoli. — Jest jeszcze ciepła. Ciekawe, czy wybuchnie. A może lepiej podłączyć ją do prądu i dopiero wrzucić do wody? Ale będzie się smażyć.

Z każdym kolejnym słowem, które wypowiadałam, żyła na szyi Sheya pulsowała jeszcze bardziej. Doprowadziłam go do granicy i zastanawiałam się, w którą stronę to pójdzie. Byłam nieubłagana, bo miałam dość jego humorków i teraz to ja rozdawałam karty. Posłałam mu nonszalanckie spojrzenie i wytrzymałam jego morderczy wzrok. Aby zdenerwować go jeszcze bardziej, uśmiechnęłam się słodko od ucha do ucha. Ciężko oddychał, a jego oczy mówiły tylko tyle, że ma ochotę mnie zabić. *Och, jak przykro.*

— To edycja limitowana — wycharczał niemal niesłyszalnie, zaciskając palce na futrynie. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby zostawił w tych miejscach wgniecenia. — Bardzo droga edycja. I bardzo niedostępna. Więc oddaj mi ją, bo zaraz przestanę być miły.

— Och, edycja limitowana? — mruknęłam, spoglądając uważnie na nowoczesną konsolę. Ale miałam fart. — Zobaczymy, czy też wodoodporna.

Kątem oka dostrzegłam, że Nathaniel spróbował zrobić krok w moją stronę, ale nie miałam zamiaru mu na to pozwolić. Nie mógł się zbliżyć, bo jeszcze pokrzyżowałby mi plany. Wypuściłam jeden z kabli, który poleciał w dół. Mogłam przysiąc, że chłopak przeżył zawał, kiedy patrzył, jak jedna z wtyczek leci ku wodzie. Znieruchomiał, a kabel zawisł tuż nad taflą. Uniosłam brew, to było ostrzeżenie.

— Lepiej nie podchodź — powiedziałam dobitnie. — Po prostu idź się ubierz, to ci ją oddam.

Po moich słowach Nathaniel prychnął, kręcąc głową z politowaniem, jakby sam pomyślał, że go do czegoś zmuszę, był równie głupi jak ja. Najwyraźniej postanowił zmienić taktykę, bo na jego wargi wkraść się kpiący uśmiech. Odchrząknął, wyprostował się i popatrzył na mnie z wyższością.

— Wiesz co? — zapytał nagle o wiele lżejszym tonem. — Jak chcesz. Możesz ją tam wrzucić. Mam to gdzieś. — Zrobił krok w tył, a następnie odwrócił się i znów poszedł do salonu.

Uniosłam brew. *Och, niezły jest.*

Jednak ja znałam go zbyt dobrze. Uwielbiał swoje zabawki, a ta była droga i limitowana. Nathaniel kochał rzeczy, które były trudne do zdobycia. Westchnęłam, z uśmiechem przewracając oczami, i uważnie chwyciłam konsolę pod pachę, aby uchronić ją przed ewentualnym uszkodzeniem. Obrzuciłam wzrokiem żele i płyny do kąpieli, które były ustawione na półeczce przy wannie. Chwyciłam największą butlę, odsunęłam się o krok i z całej siły wrzuciłam ją do wody. Przedmiot z łoskotem uderzył o dno wanny i sporo wody wylało się na podłogę. Przy okazji nieco się ochlapałam.

Nie musiałam długo czekać, ponieważ Shey niemal natychmiast pojawił się w drzwiach łazienki i z przerażeniem popatrzył na wannę, oddychając przy tym głośno i ciężko. Kiedy się zorientował, że w wodzie pływa butelka płynu do kąpieli, boleśnie powoli przekreślił głowę w moją stronę, na co uśmiechnęłam się chytrze, poprawiając konsolę pod pachą.

— Masz to gdzieś, mówisz? — zakpiłam, unosząc brwi.

— Przysięgam, że zaraz ci coś zrobię — warknął ciężko, przymykając powieki, by ukryć, że mu ulżyło.

— Następnym razem do wody wpadnie konsola — ostrzegłam go. — Dlatego pójdziesz się ubrać i nie będziesz dyskutować, bo wiesz, że jestem do tego zdolna. Skoro to edycja limitowana, to zapewne trudno zdobyć drugą taką samą, a gdyby ci się to udało, to bardzo byś przepłacił. Jeśli mnie posłuchasz, oddam ci ją. A jeżeli się nie zgodzisz, wrzucę ją do wody, a potem wyjdę sobie z tego mieszkania. Ty będziesz miał konsolę w plecy, a ja wrócę do domu i pójdę spać.

Po moich słowach patrzyliśmy sobie w oczy i żadne z nas nie chciało odpuścić. Nathaniel znów mordował mnie wzrokiem. Mijały kolejne sekundy i w końcu na jego dotąd kamiennej twarzy wykwitł grymas

niezadowolonia. Przewrócił oczami, a następnie warknął cicho i się wyprostował.

— Nie cierpię cię — syknął i wrócił do salonu. — Oby wypadły ci te wszystkie sztuczne rzęsy.

— Nie mam sztucznych! — zawołałam oburzona.

Odetchnęłam z ulgą, wycierając dłonią pot z czoła. Dopiero wtedy zorientowałam się, ile nerwów mnie to kosztowało. Chwilę później uśmiech wykwitł na mojej twarzy, bo osiągnęłam swój cel. Z czułością popatrzyłam na konsolę, która uratowała mi tyłek. Naprawdę byłam niespełna rozumu, skoro robiłam takie rzeczy. Przez cztery kolejne minuty stałam przy wannie, aby się jakoś uspokoić, a po tym czasie Shey znów pojawił się w progu łazienki. Tym razem miał na sobie ubrania, które mu wybrałam. Tylko ta mina... naprawdę wyglądał, jakby chciał kogoś zabić.

— Zadowolona? — sarknął, posyłając mi nieprzyjemne spojrzenie.

— Tak. Teraz daj mi swoje klucze.

— Co? — zdziwił się, marszcząc brwi i znów patrząc na mnie tak, jakbym była przybyszem z kosmosu. — Chyba sobie żartujesz.

— Nate. Klucze — powiedziałam poważnie, wyciągając dłoń i potrząsając konsolą.

— Jesteś wariatką — skwitował bez emocji. Pokręcił z niedowierzaniem głową, ale się wycofał, a po chwili wrócił z kluczami do mnie.

Wskazałam palcem na blat przy umywalce. Położył je tam, przewracając oczami jak obrażony dzieciak.

— Super, to teraz możesz poczekać na mnie na zewnątrz — dodałam z zadowoleniem.

— Masz coś z głową.

Oj, zdziwiłbyś się.

— Nate — ostrzegłam go, zerkając wymownie na sprzęt w swoich dłoniach.

Widziałam, że prawie zatrząsł się z nerwów, ale bez słowa się odwrócił, a następnie słyszałam, że wkłada buty. Trzasnął drzwiami tak mocno, że mógłby obudzić połowę kamienicy, a ja byłam z siebie niebywale zadowolona. Wyciągnęłam korek z wanny i pozwoliłam gorącej wodzie spłynąć do ścieków. Wyszłam z łazienki, zgasilałam za sobą światło i zabrałam klucze. Wróciłam do salonu, gdzie zostawiłam konsolę, która

naprawdę mi pomogła, i podłączyłam ją jak gdyby nigdy nic. Wyszłam z mieszkania, sprawdzivszy najpierw, czy Shey gdzieś się nie przyczaił, ale na klatce go nie było. Zamknęłam drzwi na klucz i wzięłam uspokajający oddech.

Czas na spotkanie z lwem.

Schowałam klucze do głębokiej kieszeni swojej bluzy, w której znajdował się również komplet kluczy od Luke'a. Odchrząknęłam i zbiegłam po schodach, po czym wyszłam na zewnątrz. Rozejrzałam się i zauważyłam Nathaniela, który opierał się plecami o ścianę kamienicy. Dłonie miał schowane w kieszeniach spodni, a jego głowa była lekko zwieszona. Oświetlała go jedna z latarni ulicznych. Kiedy mnie usłyszał, uniósł na mnie wzrok.

— Naprawdę mam ochotę coś ci zrobić — powiedział szczerze, na co posłałam mu delikatny uśmiech. Uwielbiałam go drażnić. — I co teraz?

— Teraz pojedziesz ze mną na festyn.

Zareagował tak, jak w sumie się spodziewałam. Parsknął prześmiewczo, odwracając głowę w kierunku ulicy, jakbym opowiedziała jakiś zabawny żart.

— Nie. Nie pojedę — zapewnił mnie, a następnie się wyprostował i ruszył powoli w moją stronę. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości, wyciągając dłoń. — Klucze.

Teraz to ja parsknęłam śmiechem, tak jak on kilka chwil wcześniej.

— Nie oddam ci kluczy — powiedziałam poważnie, nadal się uśmiechając. — Jeśli ze mną nie pojedziesz, to pojedę sama, ale kluczy ci nie oddam. Co oznacza, że albo będziesz musiał wzywać ślusarza, albo rozwalisz sobie drzwi. Obie opcje są, moim zdaniem, nie za fajne, ale skoro tak bardzo nie chcesz jechać... — droczyłam się.

— Wiesz, że sam mogę je odzyskać? — zapytał, jakby to była najprostsza rzecz na świecie.

Cholera, miał rację, bo wystarczyłoby, żeby sięgnął do mojej kieszeni, a cały mój plan spaliłby na panewce. Dlatego, niewiele myśląc, zaczęłam improwizować.

— No właśnie nie bardzo — mruknęłam, zachowując niewzruszony wyraz twarzy.

— A to niby dlaczego? — Uniósł brew.

— Bo są schowane w miejscu, w którym twoja próba odzyskania ich byłaby uznana za napaść seksualną — odpowiedziałam ze śmiertelną powagą.

Na moje słowa nie odpowiedział, tylko powoli pomrugał. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy w całkowitej ciszy, aż w końcu zjechał wzrokiem w dół i zatrzymał go na moich piersiach ukrytych pod za dużą bluzą. Westchnął ciężko, po czym odwrócił się, odszedł kilka kroków i złapał się za głowę.

— Kurwa, ty jesteś nienormalna — skwitował cicho, splatając dłonie na karku.

Tak, tak, byłam, ale przynajmniej zyskałam pewność, że nie będzie grzebał mi po kieszeniach. Według niego trzymałam te cholerne klucze w staniku i nie zamierzałam wyprowadzać go z błędu. *Tam nie będzie sprawdzać. Chyba. Cholera.* Założyłam ręce na piersi, obserwując go. Wiedział już, że przegrał, i musiał zgodzić się na moje warunki. To znów niebywale mnie ucieszyło. Wygięłam usta w uśmiechu, kiedy zatrzymał się w miejscu i odetchnął. Zaciśnął szczękę, przez co jego kości policzkowe stały się jeszcze bardziej wyraźne. Kaptur bluzy opadł mu na bark.

— Więc możemy jechać? — zapytałam z zadowoleniem, przez co wyprostował się i popatrzył na mnie tak, jakbym wymordowała mu połowę rodziny.

— Nie cierpię cię — ponowił swoje wyznanie, na co słodko się uśmiechnęłam.

— Ale dziś dramatyzujesz. — Westchnęłam i wyciągnęłam telefon z kieszeni. — Zaraz zamówię taksówkę.

— Taksówkę? — Zmarszczył brwi. — Nie mam zamiaru tłuc się taksówką.

— Jakoś musimy dojechać do centrum...

— I dojedziemy — odpowiedział i ruszył chodnikiem przed siebie.

Zdezorientowana obserwowałam, jak przemierza kilkanaście jardów, a następnie znika za kamienicą. Niewiele myśląc, pognałam w tamtą stronę. Okazało się, że znajdował się tam mały parking, na którym stało kilka samochodów. Kiedy w ciemności odszukałam wzrokiem Sheya, niemal ścięło mnie z nóg.

Stał tuż obok lśniącego czerwonego mustanga, który dumnie prezentował się na swoim miejscu, przyćmiewając wyglądem resztę aut. Nie

zmienił się ani odrobinę, byłam pewna, że na jego lakierze nie pojawiło się ani jedno zadrapanie. Nie spodziewałam się, że Nathaniel nadal ma to auto, z którym wiązało się dla mnie tak cholernie dużo wspomnień. Przyjeżdżał nim do mnie w środku nocy, gdy wykradałam się do niego przez okno. Jechaliśmy nim razem do Vegas i Los Angeles. Tyle razy jeździliśmy nim bez celu po mieście, słuchając starych piosenek. Zdążyłam pogodzić się z jego brakiem, a teraz znów przede mną stał.

Nathaniel spojrział na mnie z niechęcią, kiedy ja wpatrywałam się z zachwytem w jego czerwony samochód. W moim brzuchu coś się ścisnęło i poczułam się tak, jakby ktoś właśnie podarował mi piękny prezent. Może to było głupie, ale tak się właśnie czułam. *Obdarowana.*

— Wsiadasz? — zapytał cicho chłopak, otwierając drzwi kierowcy.

Otrząsnęłam się z pierwszego szoku i powoli podeszłam do samochodu. Z każdym krokiem czułam się coraz bardziej podekscytowana. Tyle razy tam siedziałam, tyle razy nim jeździłam. *Z nim.*

Z delikatnym uśmiechem otworzyłam drzwi, a następnie wsiadłam do auta. Nawet zapach się nie zmienił. Jak dawniej w środku było czysto i schludnie. Oczarowana obserwowałam wnętrze samochodu, a Nathaniel odpalił silnik. Prawie podskoczyłam z radości przez ten znajomy dźwięk. Piękny ryk rozległ się na cichym parkingu. Shey włączył reflektory i ruszył, a po chwili wyjechał na główną ulicę.

— Nie miałam pojęcia, że dalej go masz — powiedziałam z uśmiechem, obserwując deskę rozdzielczą.

Nathaniel wzruszył ramionami.

— Za bardzo lubię ten samochód, aby się go pozbyć.

— Ale w ostatnim czasie zawsze jeździłeś z kimś — zauważyłam, spoglądając na jego profil, i... och, Panie.

To było jak kolejne uderzenie, widok Nathaniela za kółkiem. Kiedy z nonszalancją prowadził czerwonego mustanga i ze zblazowaną miną obserwował ulicę. Lewy łokieć opierał o drzwi, a dłonią trzymał bok kierownicy. Prawą rękę położył na drążku zmiany biegów, a jego idealny profil był doskonale widoczny mimo mroku wokół. To było tak cholernie sentymentalne, ale jednocześnie takie piękne, bo tak wyglądała większość nocy, które spędziliśmy razem. On prowadził samochód, a ja się w niego wpatrywałam. Mogłam patrzeć na niego godzinami, gdy tak jeździliśmy. Po raz kolejny przypomniałam sobie, że wyglądał,

jakby urodził się za kierownicą. Prowadził w taki niewymuszony sposób i z widoczną przyjemnością.

— Musiałem wymienić w nim skrzynię biegów — odpowiedział. — Dlatego przez pewien czas go nie miałem.

Pokiwałam głową na znak, że rozumiem. Znów utknęliśmy w korku, bo teraz samochodów było jeszcze więcej. Ponownie spojrzałam na profil chłopaka.

— O czym myślisz? — wypaliłam bez zastanowienia.

W końcu skoro mieliśmy spędzić razem ten czas, to wypadałoby popatrzeć na siebie przychylniej. No cóż, Nathaniel nadal tykał na mnie jak morderca na przyszlą ofiarę.

— Zastanawiam się — odparł, patrząc przed siebie.

— Nad czym?

— Nad tym, kiedy zaczęliby cię szukać, gdybym teraz wywiózł cię do lasu za miastem — odpowiedział, jakby właśnie mówił o tym, co chce zjeść.

Przewróciłam oczami, bo te słowa jakoś niezbyt mnie przstraszyły. Westchnęłam i oparłam głowę o zagłówek, a potem znów na niego popatrzyłam. Chłopak akurat powoli ruszył, ponownie wybierając drogę objazdową. Jechał zgodnie z przepisami, bo wszędzie było pełno policji.

— Obstawiam kilka godzin. Mój brat jest niecierpliwy — rzuciłam równie obojętnie, na co nie zareagował. — Nate, przepraszam, że wyciągnęłam cię na siłę — powiedziałam w końcu, czując, że muszę to zrobić.

— Mogłaś po prostu odpuścić — odparł oschle, nie zaszczycając mnie ani jednym spojrzeniem. — Wiesz, kiedy ktoś ma gorszy czas, to po prostu pozwala mu się pobyć samemu. Jeśli ten ktoś tego chce. A ja chciałem. I nadal chcę.

Zamilkłam, czując dziwny ucisk w sercu. *Och, tak.* Wiedziałam, że tak jest, i może postąpiłam nieco pochopnie, ale miałam kilka powodów. Pierwszym był oczywiście Charlie. Drugim to, że chciałam wyciągnąć go z domu, bo miał urodziny, a chciał je spędzić sam, w miejscu, które na pewno przypominało mu o Severine. Poza tym nie chciałam, aby dzień przed walką spędził samotnie. Nie chciałam, by w ogóle myślał o tej walce, bo tamtego dnia to nie było ważne. Istotne było tylko to, że to był jego dzień i powinien być go uczcić. Nie martwić się ani nie zaдрęczać. Choć na jeden dzień oczyścić głowę. Chyba właśnie dlatego się

na to wszystko zgodziłam. Jasne, mogło to też mieć związek z tym, że... do cholery, *zamknął mi drzwi przed nosem*, ale tak naprawdę chciałam oderwać go od tych wszystkich złych myśli.

Mimo to zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie, gdy widziałam jego puste spojrzenie utkwione w ulicy. Na zewnątrz było coraz głośniejsze. Słyszałam rozgadanych ludzi i dźwięki muzyki na żywo. Neony i światła rozjaśniały wszystko wokół, a w oddali było widać zarys diabelskiego młyna w wesołym miasteczku. Ja jednak potrafiłam skupić się jedynie na Nathanielu, który z beznamietną miną wymijał kolejne samochody. W tamtej chwili nie byłam już dumna z tego, że wyciągnęłam go z domu. Mogłam w ogóle do niego nie jechać. Nie, bo widziałam, jak go męczę.

— Po prostu nie chce mi się być w towarzystwie innych ludzi. W tym całym tłoku — dodał bez emocji. — Zaraz ktoś zacznie pytać, ktoś zacznie się kłócić. Nie chce mi się w tym uczestniczyć.

Zmarszczyłam brwi, kiedy wypowiedział te słowa.

— Kto miałby zacząć o coś pytać?

— Nie wiem. Mia, Laura, Matt. Ktokolwiek. — Wzruszył ramionami, wymieniwszy kolejne imiona. — Nie mam ochoty na żadne spotkania.

Wtedy mnie olśniło, cóż, ponownie tego dnia. Chyba miałam dobrą passę. Odwróciłam się w jego stronę, bo wpadłam na pewien pomysł. Niby na początku miałam plan, aby dołączyć do reszty i wspólnie się pobawić, ale Nathaniel tego nie chciał. Tu nie chodziło o to, że musiał wyjść z domu i że pojechaliśmy razem na ten festyn. On po prostu nie miał ochoty widzieć się z resztą swoich przyjaciół, bo nie chciał pytań. Zamknął się w domu, żeby odpocząć, ale tam, na festynie, też mógł to zrobić, mimo tego całego zgiełku. Wydało mi się to jeszcze lepszą opcją niż samotne przesiadywanie w mieszkaniu. Nathaniel był bardzo specyficzny, a ja zdawałam sobie z tego sprawę.

Dlatego oblizałam dolną wargę i zaczerpnęłam powietrza, aby jakoś się uspokoić. W mojej głowie momentalnie zrodził się nowy plan. To mogło się udać albo zakończyć totalną katastrofą, ale i tak postanowiłam podjąć próbę.

— Okej, zrobimy tak — zaczęłam poważnie. — Co ty na to, żebyśmy byli tu tylko we dwoje? Zero pytań. Zero umoralniających gadek. Skoro nie chcesz spotkać się z resztą, to połazimy sami, zjemy to okropnie drogie żarcie z budek, pogramy w te głupie gry na straganach, w które

i tak nie da się wygrać, a potem będziemy czekać godzinę w kolejce do wesołego miasteczka, żeby popatrzeć, jak jakiś dzieciak rzyga hot-dogami na karuzeli. Co ty na to?

Z lekkim niepokojem obserwowałam jego niewzruszoną twarz, a kolejne minuty mijały. Zastanawiałam się, czy nie przesadziłam, w końcu mógł nie chcieć mojego towarzystwa. Próbowałam mu tym pokazać, że wyjście z domu nie musiało być mordęgą. Nathaniel milczał, a ja czułam coraz większy stres. W pewnej chwili byłam już pewna, że moja propozycja to było przegięcie. Poczułam dziwne ukłucie żalu, a mój entuzjizm gdzieś wyparował. Odwróciłam głowę w stronę szyby, zachowując kamienną twarz, aby nie pokazać swojego zawodu.

— Ale zdjęć w tych debilnych fotobudkach robić nie będę — odpowiedział nagle z nonszalancją.

Ze zdziwieniem uniosłam na niego wzrok. Zastanawiałam się, czy naprawdę to powiedział, ale chyba tak było. Nadal patrzył obojętnie przez przednią szybę, teraz jednak wiedziałam, że się zgadza, że chce tam ze mną pójść. To sprawiło, że fala dziwnego zadowolenia i ulgi zalała moje ciało. Uśmiechnęłam się delikatnie, ale nic nie powiedziałam. Zamiast tego pozwoliłam, by prowadził w ciszy. Wyciągnęłam telefon z kieszeni i zerknęłam na sporo powiadomień, które dostałam. Miałam kilka nieodebranych połączeń od Chrisa i reszty, ale zignorowałam je. Od razu wybrałam numer Luke'a. Widziałam, że on również wysłał mi dwie wiadomości.

Luke: Żyjesz?? Jesteśmy już wszyscy na festynie. Twój brat też jest z nami

Luke: Chris pyta gdzie jesteś bo nie odbierasz

Szybko mu odpisałam.

Victoria: jestem już, ale przyjechałam z nate'em. nie dołączymy dziś do was, ale nie martw się. wszystko jest okej.

Nie minęło pół minuty, a dostałam odpowiedź.

Luke: Nie ma kurwa opcji że wyciągnęłaś go z domu. On nienawidzi tego festynu

Mój uśmiech lekko się poszerzył.

Victoria: jestem czarodziejką. bawcie się dobrze.

Po wysłaniu tej wiadomości zablokowałam telefon i znów włożyłam go do tylnej kieszeni. Z uśmiechem patrzyłam, jak Nathaniel zajmuje chyba ostatnie miejsce na zapchanym parkingu. Wjechał na oznaczone pole, a następnie zgasił silnik i cicho westchnął, spoglądając w moją stronę. Był zmęczony i bez chęci do niczego, ale przynajmniej nie wyglądał już tak, jakby miał mnie uśmiercić samym spojrzeniem.

— To co? — zapytał zblazowanym głosem.

Wyrzuciłam ręce w górę, uśmiechając się szeroko.

— Ahoj, przygodo! — zawołałam i wyskoczyłam z auta, po czym zamknęłam za sobą drzwi.

Mogłam przysiąc, że nie pamiętałam dnia, gdy byłam aż tak zadowolona. W sumie zapomniałam już, że potrafię tak się czuć. Z ekscytacją patrzyłam na wielki plac w środku miasta, który na tę noc zamienił się w świecące koło. Mimo że to było kiczowate, miało swój urok. Wokół ustawiono sporo kolorowych budek, gdzie można było w coś zagrać i zgarnąć nagrodę — wszystkie okupowane przez ludzi. Po lewej stronie mieliśmy wesołe miasteczko, a jego największą atrakcją był oczywiście diabelski młyn. Na wprost od nas stała scena, na której grał jakiś zespół. Było tam też kilkanaście straganów z jedzeniem, a do tego dom strachów, punkt z teleskopami, gdzie patrzyło się w gwiazdy, oraz wiele, wiele innych atrakcji. Nigdy nie sądziłam, że w Culver City kiedykolwiek odbędzie się coś tak magicznego. Przyszło chyba całe miasto. Było tłumnie, głośno i wesoło i to wszystko w połączeniu z tymi neonami i muzyką zupełnie mi nie przeszkadzało.

— Dlaczego tego nie było, kiedy tu mieszkałam? — gderałam.

Nathaniel, który wysiadł z auta z dużo mniejszym zapałem niż ja, przewrócił oczami, zamykając samochód.

— Uwierz, niczego nie straciłaś — bąknął, przypatrując się biegającym dzieciakom, które z entuzjazmem wyrzucały w ciemne niebo świecące wiatraczki. Te powoli opadały w dół, wyglądając przy tym jak kwiaty. — Nie ma tu niczego ciekawego.

— No coś mi się nie wydaje — odparłam, gdy zostawiliśmy auto i ramię w ramię ruszyliśmy w stronę wejścia.

Włożyłam ręce do kieszeni bluzy i przygryzłam dolną wargę, kiedy w jednej wyczułam klucze. Szybko wyjęłam dłoń i opuściłam ją wzdłuż ciała. Spojrzałam kątem oka na niewzruszonego Nathaniela, który beznamyślnym wzrokiem wodził od straganu do straganu.

— Więc gdzie idziemy najpierw? — zapytałam z entuzjazmem.

W przeciwieństwie do niego ja byłam tam pierwszy raz i to wszystko wydawało mi się takie niesamowite. Mógł być marudą, ale przyjechał tam ze mną, a ja miałam zamiar się dobrze bawić. I skorzystać z jak największej liczby atrakcji.

Shey wzruszył ramionami, przeczesując dłonią włosy.

— A gdzie chcesz iść? — zapytał, patrząc na mnie z góry.

Zaczęłam się zastanawiać, a gdy mój uśmiech stał się tak szeroki, że aż niepokojący, chłopak znów przewrócił oczami i odwrócił się w kierunku wesołego miasteczka. Bez słowa ruszył w tamtą stronę.

— Skąd wiedziałeś?! — zawołałam, biegnąc za nim.

Szybko go dogoniłam, ale nadal prawie biegłam, starając się dotrzymać mu kroku, co nie było łatwe przez te jego długie nogi.

— Jesteś dużym dzieckiem — odparł, wkładając ręce do kieszeni.

Nie mogłam się nie zgodzić.

Podeszliśmy do wyznaczonego pola. Nie było tam jeszcze wielu ludzi, chociaż do niektórych atrakcji kolejki były niebotyczne. Zmarszczyłam brwi, kiedy ujrzałam, że do diabelskiego młyna nie ma aż tylu chętnych. Dziwne, myślałam, że to największa atrakcja. Szturchnęłam Nathaniela łokciem w bok, na co posłał mi pytające spojrzenie.

— Czemu tam nie ma kolejki? — zapytałam, patrząc na wielkie urządzenie, na które zerknął i Shey.

— Ludzie zazwyczaj czekają do północy. O północy puszczają fajerwerki, a stamtąd najlepiej je widać, więc zabijają się o te miejsca — mruknął z politowaniem, jakby to było dla niego żałosne.

— Cóż, ja nie potrzebuję północy. — Wzruszyłam ramionami. — Chodźmy tam — zdecydowałam i ruszyłam do budki, w której kupuje się bilety. W połowie drogi zorientowałam się, że Shey nie idzie za mną, więc ze zdziwieniem odwróciłam się w jego kierunku. Nadal stał tam, gdzie chwilę wcześniej, z dłońmi w kieszeniach. Patrzył pusto na moją twarz. — No co? Chodź.

— Idź sama — mruknął, na co zmarszczyłam brwi.

— Dlaczego?

— Nie chce mi się — odparł szczerze.

Uparty kretyn.

Bez słowa wróciłam do niego, a następnie stanęłam za nim i położyłam dłonie na jego plecach. Z całej siły popchnęłam go, więc automatycznie zrobił pierwszy krok do przodu, choć stawiał opór. Zebrałam w sobie wszystkie siły i cały czas popychałam go w kierunku budki. Zapewne z perspektywy osoby trzeciej wyglądaliśmy jak para kretynów, ale nie miałam zamiaru się tym przejmować.

— Idziesz ze mną i nie ma, że nie — tłumaczyłam mu jak dziecku, wciąż go popychając, a on wzdychał i robił kolejne kroki. — Chyba że masz lęk wysokości.

— Nie mam — odpowiedział.

Wiedziałam to, ale chciałam być miła.

— Więc idziesz — zawyrokowałam.

Chyba nie miał ochoty się ze mną kłócić, bo zaczął dobrowolnie iść w kierunku młyna. Mimo to ja nadal go pchałam, trzymając dłonie na ciepłym materiale jego bluzy, na wypadek gdyby chciał mi uciec.

Kupiłam bilety, które swoją drogą były kurewsko drogie, i razem podeszliśmy do miłego pulchnego pana, który zaprowadził nas do ostatniego pustego wagonika. Nathaniel przepuścił mnie na platformie, a ja zajęłam miejsce. Wagonik miał kształt prostopadłościanu z wysokimi barierkami, aby nikt nie wypadł. Chłopak z beznamiętną miną usiadł obok mnie, a ja z ekscytacją patrzyłam na wszystko wokół. Uwielbiałam wesołe miasteczka, bo kochałam ten rodzaj adrenaliny. Uśmiechnęłam się szeroko, spoglądając na Nathaniela, który zerknął na mnie kątem oka. Jego mina nadal nie wyrażała nawet najmniejszej emocji.

Ale przynajmniej w jego czarnych oczach nie widziałam niechęci.

Diabelski młyn powoli ruszył, a nasz wagonik oderwał się od ziemi. Mój uśmiech powiększył się jeszcze bardziej, kiedy powoli pieliśmy się ku górze. Wychyliłam się lekko, aby spojrzeć na plac. Robił się coraz mniejszy, ale z lotu ptaka prezentował się jeszcze bardziej niesamowicie. Neony oświetlały całą przestrzeń, a ludzie wyglądali jak małe mrówki.

Kiedy dotarliśmy na sam szczyt, z zapartym tchem wodziłam wzrokiem po panoramie Culver City. Tysiące świateł odznaczały się w ciemnościach, gwiazdy błyszczały na niebie, a lekki wiaterek owiewał moją twarz. To był piękny widok.

Dopiero po chwili się zorientowałam, że w podwójnym wagoniku siedzi jeszcze Nathaniel. Spojrzałam na niego z opóźnionym refleksem. Zmarszczyłam brwi, bo jego puste oczy wwierały się w moją twarz.

— Co jest? — zapytałam zaniepokojona, ponieważ nie wiedziałam, o co mu chodzi.

— Nic — odparł, przenosząc wzrok na widok, jaki rozciągał się przed nami.

Zaczęliśmy znowu zjeżdżać w dół.

Zmrużyłam powieki, przyglądając się dziwnej minie chłopaka, a po chwili uśmiechnęłam się zaczepnie. Usadowiłam się bokiem do niego, podpierając się łokciem, żeby wygodniej patrzyło mi się na jego profil. Przez moje wiercenie się cały wagonik się zatrząsał. Shey przewrócił oczami, ale nie wydawał się podenerwowany.

— Pieprzysz. — Mój uśmiech poszerzył się jeszcze bardziej. — Może serio masz ten lęk wysokości.

— Uważaj, bo wypadniesz — upomniał mnie głosem z reklamy domu pogrzebowego.

Zupełnie zignorował moją zaczepkę.

— O, przejmujesz się. Uroczo — zakpiłam i wydełam dolną wargę. Nathaniel posłał mi beznamiętne spojrzenie.

— Masz klucze do mojego domu — przypomniał mi. — Jak je oddasz, to możesz wypadać stąd do woli.

Przewróciłam oczami, ale nie skomentowałam tego. Wolałam wrócić do poprzedniego tematu.

— No, ale przyznaj się. Masz lęk wysokości?

— Nie — zaprzeczył stanowczo.

— Niech będzie. Ale powiedz... — zaczęłam z lekką dramaturgią, wbijając w niego wzrok — ...czego boi się wielki Nathaniel Shey?

Wiedziałam, że to osobiste pytanie, a rozmowy na temat lęków są trudne, bo wymagają odkrywania swoich słabości. Ale byłam ciekawa. Każdy miał jakiś lęk. Nawet nieustraszony Nate.

Nie zareagował na moje pytanie, po prostu patrzył na oświetlony plac. W jego oczach odbijały się neony i co chwilę widziałam jego twarz w innym kolorze. Z lekko rozchylonymi wargami i włosami zmierzwionymi od wiatru wyglądał tak, jakby był mieszkańcem niebios. Przypomniałam sobie, że kiedyś kojarzył mi się z upadłym aniołem, ale to odpadało. Nikt o zdrowych zmysłach nie wyrzuciłby go z nieba.

— Nie wiem — odparł chłodno, na co prychnęłam.

— Och, daj spokój. Każdy się czegoś boi — mruknęłam. — Mnie na przykład przerażają klauni — wyznałam zupełnie poważnie.

Nathaniel spojrział na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Pierwszy raz tego dnia dostrzegłam cień uśmiechu na jego ustach. To było wystarczającą nagrodą za ten cały trud.

— Klauni? — powtórzył, jakby chcąc się upewnić.

— Tak. Nie cierpię ich. No wiesz, te czerwone nosy, peruki i białe twarze. Okropność. — Wzdrygnęłam się. — Nienawidzę klaunów od dziecka. Przed naszymi szóstymi urodzinami rodzice wpadli na genialny pomysł i zamówili nam jednego. Nadal zdarza się, że w koszarach widzę tę okropną mordę, która wtedy szczyrzyła się do mnie z góry. Mój brat się nie przejął, ale ja zaczęłam płakać i impreza skończyła się szybciej, niż się zaczęła. Po tym obejrzałam jeszcze kilka horrorów z klaunami, a jakiś czas później zaczęła się ta cała akcja z klaunami mordercami, którzy czyhali na swoje ofiary w parkach w Ameryce. I znienawidziłam tych skurwysynów jeszcze bardziej.

Nathaniel wpatrywał się we mnie poważnie, chyba nie wiedząc, jak zareagować na tę traumatyczną dla mnie historię.

— Ale ty wiesz, że tu jest wielu klaunów, prawda? — zapytał powoli.

Otworzyłam szeroko oczy, wpatrując się w niego z niedowierzaniem.

— I wiesz, że jesteś trochę pierdolnięta?

— Nieee! — zawyłam, nie skupiając się na drugim pytaniu.

— Tak. — Pokiwał głową. — Łazi ich tu sporo, jak co roku.

I już wiedziałam, że muszę mieć oczy dookoła głowy.

— A co z tobą? — zapytałam, wiercąc mu dziurę w brzuchu, gdy znów popatrzył przed siebie. Gadanie jak ze ścianą. — No daj spokój. Ja ci powiedziałam. Teraz twoja kolej.

— Ale ja naprawdę nie wiem — westchnął.

— Okej, to będę wymieniać — zaproponowałam, zakładając ręce na piersi. — Pająki, ciemności, małe pomieszczenia, otwarte przestrzenie, oceany, pobieranie krwi... — Nathaniel nie reagował, ale próbowałam dalej: — Owady, gryzonie, latanie, dentysta...

Chciałam wymieniać dalej, ale po moim ostatnim słowie oko Sheya ledwie zauważalnie drgnęło.

Bez jaj.

— Boisz się dentystów?! — zawołałam w szoku, starając się powstrzymać uśmiech.

Nathaniel ponownie przewrócił oczami.

— Nie boję się, ale nie przepadam za nimi. — Odchrząknęła, ale ja wiedziałam, że ściemnia. Kto by pomyślał, że wielki Nathaniel Shey boi się pana z wiertłem. — Jak chyba większość ludzi.

— Cholera, ty się ich naprawdę boisz.

Bez wahania przystawiłam palec wskazujący do jego górnej wargi. Uniosłam ją i moim oczom ukazał się równy rząd białych zębów. Nathaniel popatrzył na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

— A są takie ładne — mruknęłam i dla Sheya było to już chyba za dużo, bo raptownie otworzył usta, a następnie zacisnął zęby na moim palcu. Nie było to mocne ugryzienie, ale i tak lekko podskoczyłam, a potem błyskawicznie cofnęłam dłoń i rozmasowałam bolące miejsce. Z obrażoną miną spojrzałam w stronę chłopaka, gdy jakby nigdy nic wrócił do oglądania widoków. — Mam nadzieję, że byleś szczepiony.

— Nie prowokuj mnie — ostrzegł, więc teraz to ja przewróciłam oczami.

— W sumie to dziwne — zastanawiałam się na głos. — W końcu kiedyś często się biłeś. Aż cud, że masz jeszcze wszystkie zęby.

— Umiesz być chociaż przez chwilę cicho? — westchnął zmęczony.

— Umiesz być chociaż przez chwilę mniej dołujący? — odparłam takim samym tonem. — Komplementuję twoje zęby. Powinno ci być miło.

I po tym głupim tekście to się po prostu stało, mięśnie jego twarzy drgnęły, a potem jego usta wygięły się w uśmiechu. Chociaż chciał z tym walczyć, nie był w stanie wygrać. Pokręcił z politowaniem głową, a jego piękny uśmiech właśnie zakończył jakiś konflikt zbrojny na świecie. Nie był zbyt duży, ale wystarczający, wydał mi się taki zwyczajny, bez cienia kpiny czy cynizmu. Bez tej cierpkiej nuty. Był to po prostu uśmiech

rozbawienia, który odbił się nawet w jego oczach, i nie zdołał go ukryć. Popatrzył gdzieś w bok, ale ja i tak go zauważyłam.

Również się uśmiechnęłam, wpatrując się w panoramę miasta. Byłam zadowolona, cholernie zadowolona, bo Nathaniel znów się uśmiechał. Do końca przejazdu na diabelskim młynie już się do siebie nie odezwaliśmy.

Trzy minuty później znaleźliśmy się z powrotem na ziemi. Wyszliśmy z wagonika, zwalniając miejsce innym ludziom. Westchnęłam, patrząc na Sheya, który już się nie uśmiechał, ale jego wzrok nie był taki pusty jak wcześniej. *Było dobrze.*

— Co dalej? — zapytałam, ale kiedy dostrzegłam coś za jego plecami, sama postanowiłam. — Nie musisz mówić. Wiem.

Bez zbędnych słów ruszyłam w stronę wielkiego pola autodromu, gdzie po ciemnym podłożu jeździło wiele samochodzików. Musiała to być atrakcja przeznaczona dla trochę starszych osób, bo w pojazdach siedzieli raczej ludzie w naszym wieku. Chwilę później zorientowałam się, że dla młodszych również był plac z samochodzikami, ale obok. Pojazdy były tam mniejsze i bardziej bezpieczne.

— Nie ma, kurwa, takiej opcji — wyartykułował Shey, kiedy oboje staliśmy już przed placem.

Obserwowaliśmy szybkie autka, które śmigały po torze i obijały się o siebie z głośnym hukiem. Ja z ekscytacją, a Shey tak, jakby spoglądał na cmentarz. Posłałam mu spojrzenie z dołu, ale stanowczo pokręcił głową.

— Tchórz — powiedziałam tylko, na co wzruszył ramionami.

— Mów sobie, co chcesz.

Przewróciłam oczami, nie miałam zamiaru rezygnować z takiej atrakcji. Szybko podeszłam do odpowiedniej budki i kupiłam jeden bilet, podczas gdy Nathaniel nie ruszał się z miejsca. Wróciłam do niego, a po drodze zauważyłam niskiego chłopca, który również szykował się na ten tor. Zdziwiłam się, bo dzieciak miał może ze dwanaście lat, a plac był od szesnastu. Dopiero po chwili ogarnęłam, że ma przywileje, bo do sprzedawcy biletów wołał „wujku”.

— Ej, młody! — krzyknęłam, kiedy chłopiec wsiadał do dużego samochodu.

Odwrocił się do mnie i pewnie popatrzył mi w oczy. Czułam, że Nathaniel mi się przygląda, ale nijak tego nie skomentował.

— Pościgasz się ze mną? Bo ten tu jest zbyt wielkim tchórzem — mruknęłam, wskazując palcem na swojego towarzysza.

Oczy dzieciaka rozbłyły i ochoczo pokiwał głową.

— Jasne, psze pani! — zawołał pewnie.

Posłałam Sheyowi ostatnie spojrzenie i wsiałam do swojego czerwonego samochodziku. Całe szczęście, że był duży, bo spokojnie mieściły mi się nogi. Wrzuciłam żeton do otworu.

Z zapaltem dziecka wcisnęłam jeden z dwóch pedałów, a następnie złapałam za kierownicę i ruszyłam przed siebie. I... ten dzieciak ewidentnie przesiadywał tam często, bo rozniósł mnie w pył. Plac miał kształt dużego prostokąta, a kiedy ścigaliśmy się od barierki do barierki, wygrywał za każdym razem. Kątem oka patrzyłam, jak Nathaniel się uśmiecha, widząc moją porażkę, ale nijak na to nie reagowałam. W pewnej chwili zapomniałam, że w ogóle tam jest, bo ścigałam się z nieznaną dziewczyną. Nawet nie wiedziałam, kiedy to się stało. Była mniej więcej w moim wieku i uśmiechała się do mnie za każdym razem, kiedy ze mną wygrała. Zdecydowanie byłam w to gówniana.

Stałam właśnie na środku placu i zastanawiałam się, w którą stronę pojechać, gdy nagle poczułam uderzenie w tył samochodziku. Huk był ogromny i szarpnęło mną do przodu. Zaciśnęłam szczękę, odwracając się do tyłu, aby opieprzyć tego kogoś, kto we mnie wjechał, i przeżyłam niezły szok. W czarnym autku siedział zadowolony Nathaniel i patrzył na mnie wyzywająco. Mogłam przysiąc, że spodziewałam się wielu rzeczy w życiu, ale nie tego, że kiedykolwiek zobaczę Nathaniela Sheya w zabawkowym aucie na placu w wesołym miasteczku. Nie wyglądał w nim źle, ale nie miałam pojęcia, jak się w nie wcisnął z tymi swoimi długimi nogami. Uniosłam brew, starając się pohamować uśmiech.

— Myślałam, że jesteś na nie! — zawołałam, aby przekrzyczeć hałas zderzających się pojazdów.

Wtedy to zrozumiałam, że tor był dla dorosłych, ale dorośli byliśmy tylko z nazwy. Podczas gdy na tym dla dzieci wszyscy jeździli normalnie i bezpiecznie, na nasz ludzie wchodził chyba tylko po to, by pozderzać się tymi metalowymi zabawkami. Coś czułam, że Shey też ma na to ochotę.

— Ten dzieciak tak skopał ci tyłek, że aż boleśnie się to oglądało — odparł, a następnie odjechał trochę w tył, aby sekundę później z rozpędu wjechać w moje auto.

Znów mną zarzuciło i musiałam złapać się kierownicy, aby utrzymać równowagę. Spojrzałam na niego gniewnie.

— Więc postanowiłem dołączyć — dodał złośliwie.

— Nie masz szans! — zawołałam, chociaż wiedziałam, jak dalekie było to od prawdy.

Przez następne kilka minut jeździliśmy po torze. W sumie „jeździliśmy” to było za duże słowo. Głównie uciekałam przed Nathanielem, któremu wielką radość sprawiało wjeżdżanie w mój samochodzik. Moje ciało było już jednym wielkim siniakiem. Klęłam jak szewc, podczas gdy Shey bawił się w najlepsze, bo nieważne, czy jeździł prawdziwym autem, czy zabawkowym, wciąż robił to genialnie. Po dwudziestym razie, kiedy we mnie wjechał, warknęłam coś pod nosem i wystawiłam w jego kierunku środkowy palec. Rzuciłam też szpetnym przekleństwem, a ktoś obok mnie głośno zawył.

— No wie pani?!

Spojrzałam w bok na wysoką, szczupłą kobietę po pięćdziesiątce, która trzymała za rękę małego chłopca. Oboje stali na trawie za placem, ale wciąż blisko mnie, ponieważ znajdowałam się przy barierkach. Dzieciak z naburmuszoną miną jadł swoje lody, a jego twarz była umazana czekoladą. Przypominał mi małego chłopca z czwartej części *Shreka*.

— To miejsce publiczne! A nie klub! — piekliła się dalej kobieta.

— Przepraszam! — zawołałam zażenowana, kiedy odchodzili.

Kątem oka zauważyłam Sheya, który przejeżdżał obok mnie. Na jego ustach malował się uśmiech jeszcze szerszy niż ten na diabelskim młynie. Nie wiedziałam, czy się nie przesłyszałam przez te wszystkie rozmowy, trzaski i odgłosy zderzeń, ale mogłabym przysiąc, że usłyszałam jego cichy śmiech.

Dwie minuty później mój czas się skończył, a samochodzik przestał jeździć. Zeszedłam z placu, mój towarzysz również, chociaż jego żeton był jeszcze ważny. Stwierdził, że nie będzie jeździł sam. Oboje zdecydowaliśmy, że koniec wesołego miasteczka na ten wieczór. Ruszyliśmy w stronę straganów.

— Mam siniaka na siniaku — zrzędziłam, pocierając rękę, gdy szliśmy obok siebie jedną z alejek.

— Sama chciałaś — odparł zadowolony, na co strzeliłam go łokciem w brzuch.

— A teraz chcę na lody, więc chodź.

Nim zdążył zaprotestować, złapałam go za rękaw bluzy i pociągnęłam w stronę jednej z budek, przy której była spora kolejka. Stojąc w niej, zaczęliśmy rozmowę o lodach. Nathaniel mieszał z błotem miętowe z kawałkami czekolady. Ja dzielnie ich broniłam, ponieważ to był jeden z moich ulubionych smaków.

— Mówię tylko, że ten smak to ściek — skwitował oschle, patrząc na kolorowe masy za szklaną szybą.

W kolejce przed nami stały już tylko dwie osoby.

— Sam jesteś ściek — burknęłam niczym dziecko z podstawówki, na co westchnął. — To jedne z najlepszych lodów. Tak jak bakaliowe i cytrynowe.

— Czy już nikt nie docenia wanilii? — zapytał sam siebie, zerknąwszy z odrazą na rożek jakiegoś dzieciaka wypełniony kolorowymi kulkami, zapewne wybieranymi ze względu na barwę, a nie smak.

— Czekoladowe są lepsze — odparłam, kiedy jedna z osób przed nami zrezygnowała, bo okazało się, że w budce nie mieli lodów z maszyny, tylko same gałkowe. Lody waniliowe uważałam za okropne.

— Zamilcz — rzucił Nathaniel.

Miałam ochotę się roześmiać, ale zamiast tego złożyłam zamówienie. Z perfidną miną wzięłam trzy gałki lodów o smaku miętowym z kawałkami czekolady i popatrzyłam prosto w oczy Sheya, który odwrócił się do mnie tyłem, jakby nie mógł tego znieść. Zaśmiałam się cicho, przez co kobieta w budce posłała mi zdziwione spojrzenie. Kiedy dostałam swoje lody, z uwielbieniem popatrzyłam na ten cud, ale wtedy Shey z kpiącym uśmiechem zamówił trzy gałki waniliowych. Zmrużyłam oczy, wpatrując się w jego profil.

Kiedy i on dostał swoje zamówienie, zapłacili i razem ruszyliśmy alejką, mijając kolejne oblegane przez ludzi stragany.

— Nie masz za grosz gustu — mruknęłam, liżąc swoje lody.

Nathaniel, który szedł obok mnie, prychnął.

— To ty wzięłaś to ścierwo — odrzekł, rozglądając się po kolejnych stanowiskach, gdzie można było wziąć udział w jakimś konkursie i wygrać nagrodę.

Zmrużyłam złowrogo oczy, a następnie spojrzałam na swoje lody, a potem na niewzruszonego Sheya, który jadł swoją porcję. Staralam się zi-

gnorować dziwną suchość w ustach, którą poczułam, gdy zobaczyłam, jak jego język przesuwa się po lodach, a na wargach zostaje mu nieco mleka.

Och, okej. Zdecydowanie powinnam była się od niego odsunąć. Odchrząknęłam, próbując zignorować dziwny ucisk w brzuchu. *Co, do cholery?*

Kolejne minuty spędziliśmy w komfortowej ciszy, dojadając lody i łażąc po całym placu. Nie chciałam na siłę wciągać Nathaniela w rozmowę, skoro już i tak nieźle nam szło. To było tak cholernie miłe, zobaczyć, jak na jego twarzy pojawia się uśmiech, a oczy stają się nieco bardziej żywe. Poczułam, że to był jednak dobry pomysł, by wyciągnąć go z domu. W końcu na chwilę zapomniał, a nawet jeśli nie, to chociaż próbował udawać, że zapomniał. Jednak miałam nadzieję, że to pierwsze.

— Nate, patrz! — zawołałam, dostrzegłszy jedną z fotobudek, która była ustawiona na skraju placu.

Nie był to typowy domek, do którego się wchodzi. Wyglądała jak zwykły aparat, który sam robi zdjęcia na tle oświetlonego miasta.

— Mówiłem już, że nie.

Nasze lody były zjedzone, a ja chciałam zrobić to cholerne zdjęcie, bo lubiłam tego typu fotografie o wiele bardziej niż zdjęcia robione telefonem.

— Och, pieprzenie — odparłam, zupełnie się nie przejmując jego odmową, i pociągnęłam go za bluzę w stronę aparatu.

Ostatecznie Shey stanął w odpowiedniej odległości od kamery — a raczej to ja go tam ustawiłam — i wrzuciłam monetę. Kiedy aparat na górze się włączył, na ekranie pojawiły się ustawienia. Wybrałam liczbę fotografii, decydując się na trzy. Kiedy już wszystko ogarnęłam, nacisnęłam „Start” i szybko stanęłam obok Nathaniela. Zaczęło się odliczanie, więc wyszczerzyłam się od ucha do ucha i błysnął flesz. Przy następnym zdjęciu założyłam ręce na piersi, odchylając się, a przy trzecim wyprostowałam palce obu dłoni, pokazując symbol zwycięstwa, i znów się uśmiechnęłam.

— Uwielbiam to — powiedziałam, nawet nie patrząc w stronę chłopaka, który stał tuż przy mnie, ale ani razu się nie poruszył. Cieszyłam się, że chociaż nie protestował.

Z zadowoleniem podeszłam do budki, która wydała nam dwa podłużne listki. Z uśmiechem chwyciłam fotografie, aby je obejrzeć.

Nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Już wiedziałam, dlaczego Nathaniel nie protestował. Owszem, ja może wyglądałam debilnie, ale przynajmniej coś robiłam. W przeciwieństwie do niego. Na fotografiach prezentował się równie nienagannie, co w rzeczywistości. I to byłoby okej, gdyby nie fakt, że na każdym zdjęciu jego mina pokazywała, jak bardzo jest zmordowany, i na każdym z rękami założonymi na piersi przewracał oczami! Naprawdę przewracał tymi pierdolonymi oczami. Na każdym zdjęciu! Wszystkie zmarnowane, tak jak moje pieniądze!

— Nie cierpię cię — mruknęłam, odwracając się w jego stronę, na co sztucznie się uśmiechnął.

— Ups — rzucił, nawet nie udając, że mu przykro.

Szybko wcisnęłam nieudane zdjęcia do tylnej kieszeni jeansów, a następnie znów wrzuciłam monetę do urządzenia.

— Nie ma „ups”. Mamy zrobić sobie ładne zdjęcie na pamiątkę — powiedziałam poważnie, nie kontrolując swoich słów.

Och, nie przemyślałam tego.

Poczułam wzrok Sheya na swojej twarzy, kiedy szybko spojrzałam na ekran, by ponownie wybrać ustawienia. Nie pomyślałam nad tym, zanim to powiedziałam. W sumie po co nam była pamiątka, skoro ja przyjechałam do Culver City na chwilę i zapewne po wszystkim znów miałam o nim zapomnieć? To nie miało sensu, przecież to nie tak, że chciałam tworzyć z nim nowe wspomnienia. To było głupie od początku.

Odchrząknęłam i przywołałam na twarz obojętną minę. Znów wcisnęłam „Start” i podeszłam do chłopaka. Tylko że ja też jakoś nie potrafiłam się uśmiechnąć. To był idiotyczny pomysł, bo atmosfera zgęstniała, kiedy wpatrywałam się w kolejne cyferki na ekranie.

— Po co ci taka pamiątka? — zapytał nagle Shey, a jego zachrypnięty głos był cichy i pobrzmiwała w nim nieznamoma nuta.

Poczułam, jak moje serce w dziwny sposób przyspiesza bicie.

Niedobrze.

— To wspomnienia — odparłam cicho, a w międzyczasie błysnął flesz.

Już wiedziałam, że te zdjęcia będą jeszcze gorsze od poprzednich.

— A nie historia? — zapytał.

Zaczął się kolejne odliczanie.

Zignorowałam to. Powoli odwróciłam głowę w stronę Nathaniela, a nasze spojrzenia się zderzyły i przeskoczyła między nami dziwna iskra.

Brakło mi tchu, gdy zobaczyłam, jak intensywnie na mnie patrzy. Pierwszy raz, odkąd zobaczyliśmy się po tych czterech latach, w jego oczach było tyle mocy. Nie tylko ta przerażająca, wciągająca głębia. W końcu było w nich życie. Jego twarz pozostała jednak niewzruszona, dokładnie jak moja. Patrzyliśmy na siebie z bliskiej odległości. Ja zadzierałam lekko głowę, a on pochylał i to było tak... irracjonalne.

Zdecydowałam się odetchnąć, ale to był błąd, bo poczułam jego intensywny zapach. Ta woda kolońska, która była przeklętym wspomnieniem.

— Będziesz je oglądać? — zadał kolejne pytanie.

Przełknęłam ślinę, wzruszając ramionami.

— Może.

Trzeci błysk skutecznie wyrwał mnie z transu i sprawił, że przestałam wpatrywać się w te magnetyzujące tęczęwki. Nadal czułam na sobie wzrok chłopaka, gdy odchrząknęłam i podeszłam po zdjęcia, które właśnie wysunęły się z maszyny. Rzuciłam na nie okiem, choć naprawdę nie chciałam. Tak jak się spodziewałam, dwa były rozmazane i niewyraźne. Przypuszczałam, że trzecie też takie będzie, dlatego lekko mnie zaskoczyło to, że aparat uchwycił tę chwilę, kiedy patrzyliśmy sobie w oczy. Nasze twarze były puste i wyprane z emocji, ale w tym spojrzeniu... *coś* w nim było. Fotografia wydała mi się ładna, była taka prosta, ale tajemnicza, i miała coś w sobie.

— I jak? — zapytał Shey powracając do swojego oschłego i zimnego tonu.

Wiedziałam, że muszę wyłączyć emocje, chociaż serce waliło mi w piersi jak oszalałe.

— Nie jest źle, ale... — zaczęłam, po czym, niewiele myśląc, z obu pasków oderwałam trzecie zdjęcie. Kiedy już to zrobiłam, podałam mu jedno, nie patrząc na niego. — Masz. Na pamiątkę — zacytowałam samą siebie, chowając resztę zdjęć do kieszeni bluzy.

Kątem oka widziałam, jak zerka na fotografię, a następnie chowa ją do kieszeni spodni. Byłam pewna, że ją zgubi albo wyrzuci. Nawet nie chciał tego zdjęcia. Gdybym mogła cofnąć czas, też bym go nie chciała. Chociaż było ładne.

Pociągnęłam nosem i wcisnęłam dłonie do kieszeni bluzy, rozglądając się po straganach. Nie wiedziałam, co zrobić dalej, i liczyłam, że Nathaniel coś zaproponuje. Atmosfera między nami zrobiła się dziwna i nie podobało mi się to. Chciałam wrócić do nastrojów sprzed budki.

— Chodź — mruknął chłodno chłopak. — Zobaczymy, co jest dalej.

W ciszy szliśmy alejką. Nie patrzyłam na niego, zamiast tego wpatrywałam się w poustawiane na półkach wielkie miśki, które były nagrodami w konkursach. Wiedziałam, że muszę coś zrobić, aby rozładować napięcie, a kiedy mój wzrok padł na pewne stanowisko, uśmiechnęłam się pod nosem. Cokolwiek, byleby tylko uratować ten wieczór.

— Zakład o dziesięć dolców, że wygram z tobą w tę grę? — zaproponowałam, wskazując palcem na stoisko obok nas.

Shey popatrzył na miejsce, które pokazałam. Przy budce znajdowali się dwaj mężczyźni. Trzymali w dłoniach pistolety i strzelali w małe metalowe blaszki. Chodziło o to, aby ustrzelić jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Blaszki miały różną wielkość, niektóre były nieruchome, inne poruszały się po torze. Chłopak chwilę się zastanawiał, a z jego twarzy nie potrafiłam niczego wyczytać.

— A jesteś gotowa na porażkę? — zapytał zaczepnie, unosząc brew.

Uśmiechnęłam się i ruszyłam do budki, zostawiając go w tyle. Słyszałam jednak jego kroki za sobą. Podeszliśmy akurat wtedy, gdy mężczyźni skończyli grę, narzekając, że wszystko było ustawione.

— Dzień dobry — przywitała się miło kobieta, która była niewiele starsza od nas. — Pojedynek czy pojedyncza gra? — zapytała, opierając się o blat przed nami.

— Pojedynek — odpowiedziałam, podając jej banknot.

Kobieta skinęła głową i dała nam dwa pistolety, które wyglądały jak małe karabiny. Jeden był czerwony, a drugi niebieski. Chwyciłam ten drugi i zaśmiałam się pod nosem.

— Oj, przegrasz — mruknęłam, patrząc kątem oka, jak Shey przysuwa pistolet do twarzy.

Uśmiechnąłem się z politowaniem, ale nie zaszczycił mnie ani jednym spojrzeniem.

— W pistolecie jest dziesięć nabojów. Wygrywa ta osoba, która w szybszym czasie trafi w więcej punktów — poinformowała nas kobieta, odchodząc na bok. — Za bezbłędne trafienie we wszystkie jest nagroda główna, a do dwóch chybień ta mniejsza.

Chwilę później metalowe blaszki, które przedstawiały jakieś potworki, zaczęły się poruszać. Ze skupieniem zaczęliśmy strzelać. Od razu chciałam trafić w te większe, aby mnie nie uprzedził, ale raz spudło-

wałam. Obrałam więc za cel te poruszające się, chociaż trafienie w nie było nie lada wyczynem. Po kilkudziesięciu sekundach mój pistolet się zablokował, co oznaczało, że wystrzelałam wszystkie naboje. Nie minęła chwila, a pistolet Nathaniela również wydał z siebie ciche kliknięcie. Odetchnęłam. Jeśli się nie myliłam, tylko dwa razy spudłowałam. Nie wiedziałam, jak było u niego.

Nathaniel odłożył pistolet na blat i z zaciekawieniem spojrzął na tablicę interaktywną. Podskoczyłam jak mała dziewczynka, kiedy wyświetlił się wynik.

— Osiem do sześciu, frajerze! — zawołałam z radością.

Shey przewrócił oczami, ale nijak tego nie skomentował. Jedyne uniósł kącik ust, odchodząc o krok.

— Bardzo ładnie — pochwaliła mnie z uznaniem kobieta. — Proszę wybrać nagrodę. — Wskazała na rząd małych miśków obok.

Kiedy na nie spojrzałam, pewna myśl pojawiła się w mojej głowie.

— Poproszę jeszcze jeden bilet. Tym razem pojedynczy — mruknęłam, na co ze zdziwieniem skinęła i chwyciła mój pistolet, aby go nabić.

— Victoria, co ty robisz? — zapytał Shey, ale zignorowałam go. — Tak, wiem. W końcu coś w życiu wygrałaś. Możemy iść.

— Poczekaj chwilę — odpowiedziałam, nawet na niego nie patrząc. Musiałam się skupić.

Kobieta podała mi broń, a ja odetchnęłam, gdy blaszki znów zaczęły się poruszać. Za dzieciaka chodziłam i na łucznictwo, i na strzelnicę. Znałam się na tym trochę lepiej niż przeciętna osoba, która nie miała szans wygrać. Mój ojciec był szeryfem i dzięki temu wiedziałam, na czym opierało się naciąganie w takich grach. Wielkie nagrody, których nikt nie potrafił zdobyć, przyciągały uwagę dzieci i zakochanych nastolatków, pragnących, by ktoś je dla nich wygrał. Po grze z Nathaniem wiedziałam już, jak działały te pistolety i jak je wyczuć. Odetchnęłam jeszcze raz i zaczęłam strzelać.

Po dziesiątym niechybionym strzale coś w budce zaczęło piszczeć, a kanty blatu podświetliły się, przez co podskoczyłam w miejscu. Kilka osób poszło w naszą stronę zdziwione spojrzenia, ponieważ to było niespodziewane. Popatrzyłam na właścicielkę budki, która już nie wyglądała na zadowoloną. Nie spudłowałam ani razu, co oznaczało, że musiała pozbyć się jednej ze swoich nagród głównych, i ani trochę jej się to nie podobało.

— Świetny cel — mruknęła, a ja wyczułam niechęć w jej głosie. — Proszę wybrać nagrodę. — Wskazała dłonią na rząd gigantycznych miśków.

Nie musiałam się nawet zastanawiać. Bez wahania wzięłam tego w kolorze czekoladowym, który miał na szyi czerwoną kokardkę. Podała mi go, a ja w pierwszej chwili się skrzywiłam, bo nagroda była niemal mojego wzrostu. Choć miś był ciężki, sprawnie złapałam go nad blatem i ostatni raz podziękowałam kobiecie, która chciała się nas szybko pozbyć. Odwróciłam się i spojrzałam na Nathaniela, który patrzył na mnie z uznaniem.

— Nieźle — skwitował, gdy odeszliśmy od budki. — Potwierdziło się, że lepiej się z tobą nie zakładać.

Przystanęliśmy przy końcu alejki, gdzie było mniej osób. Ścisnęłam pod pachą swoją nagrodę.

— Nadal wiesz mi dziesięć dolców — mruknęłam, a następnie przygryzłam policzek, znów czując przyspieszone bicie serca.

Okej, weź się w garść.

Zbierając w sobie całą odwagę, spojrzałam mu w oczy, gdy stał naprzeciw mnie. Mój oddech lekko przyspieszył, ale pomimo tego całego zdenerwowania złapałam miśka w obie dłonie i wyciągnęłam go w stronę chłopaka. Nogi pluszaka niemal dotykały ziemi, gdy tuż nad jego głową patrzyłam na lekko zdezorientowanego Nathaniela.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Po moich słowach nastąpiła cisza. Shey patrzył to na mnie, to na nagrodę w moich dłoniach, a z jego twarzy nie potrafiłam nic wyczytać, przez co zaczęłam się stresować jeszcze bardziej, bo nie wiedziałam, czy się nie wygłupiłam. Chciałam mu tylko pokazać, że pamiętałam. Choć wcześniej tego nie planowałam, chciałam dać mu coś od siebie, a że nie miałam pomysłu, to wydało mi się dobrą opcją. Tyle że w tamtym momencie nie byłam już tego taka pewna.

— Nieprzyjęcie prezentu przynosi pecha — wypaliłam, ponieważ intensywność jego spojrzenia była, kurwa, przytłaczająca. — I sprawia, że drugiej osobie jest przykro — dodałam, lekko potrząsając miśkiem.

On jednak znów nie odpowiedział, tylko dalej wpatrywał się w moje oczy, nawet się nie poruszając. Miałam ochotę zniknąć, ale postanowiłam wytrzymać jego spojrzenie. Jeśli go nie chciał, to nie. Jasne, byłoby mi

trochę przykro, bo wygrałam tego pluszaka z myślą o nim, ale nie zamierzałam do niczego go zmuszać. Już miałam się odezwać, aby przerwać jakoś tę nieprzyjemną ciszę, ale Nathaniel mnie uprzedził.

— Pamiętałaś — powiedział nagle prawie szeptem i musiałam dobrze się wsłuchać, aby zrozumieć jego słowa. — To dlatego wyciągnęłaś mnie z domu i zrobiłaś to wszystko.

— Oczywiście — potwierdziłam od razu. — To taki ważny dzień. Patrz, całe miasto robi dla ciebie imprezę — zażartowałam, ale on się nie zaśmiał. — Dziwnym trafem, choć znamy się od pięciu lat, nigdy nie obchodziłam z tobą twoich urodzin. Tak że przyjmij ten prezent, który w pocie czoła dla ciebie zdobyłam.

W końcu Nathaniel zareagował. Odetchnęłam z ulgą, gdy zobaczyłam, jak unosi dłonie, a następnie bierze miśka. Zrobiło mi się jakoś lżej, kiedy objął go jednym ramieniem, chwytając pod pachę, jakby ważył tyle, ile piórko. Przy tym wszystkim nadal patrzył na mnie.

— To Bonnie — powiedziałam nagle, wskazując na gigantyczną przytulankę. Nie miałam pojęcia, co z nią zrobi.

— Czemu Bonnie? — zapytał, marszcząc brwi.

— Nie wiem. Wygląda na Bonnie — odpowiedziałam, wzruszając ramionami.

— Więc Bonnie. — Skinął głową, a jego spojrzenie nadal było intensywne.

Bez słowa ruszył przed siebie jakąś alejką, więc poszłam za nim, starając się uspokoić oddech. Och, Chryste, to było stresujące bardziej niż praca u Bena. Staralam się wyhaczyć, jak Shey się czuje, ale nie było szans, bo ledwo za nim nadążałam. Zastanawiałam się, dlaczego tak pędzi. Jakby czegoś szukał, bo rozglądał się po kolejnych straganach.

Gwałtownie zatrzymał się przed jedną z budek, przez co prawie wpadłam na jego plecy. W ostatniej chwili wyhamowałam. Zerknęłam na niego z dołu, gdy z dziwną zaciętością patrzył przed siebie. Nim zdążyłam zapytać, o co chodzi, siłą wcisnął mi w ręce Bonnie.

— Potrzymaj — powiedział, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Podszedł do straganu, który na pierwszy rzut oka nie różnił się od innych. Nadal w szoku ścisnęłam wielkiego misia, zastanawiając się, co on najlepszego wyprawia. Tymczasem Nathaniel zbliżył się do mężczyzny obsługującego to stoisko i rzucił na blat banknot. Starszy facet

skinął głową i wskazał na coś obok siebie, co dopiero wtedy zauważyłam. Była to sporych rozmiarów maszyna, z której wystawał mały worek treningowy w kształcie piłki. To właśnie takie automaty stały na plażach i totalnie nawaleni faceci próbowali dzięki nim udowodnić, jacy są silni. Uniosłam brew, kiedy skupiony chłopak stanął tuż przed urządzeniem, a właściciel budki obok, uśmiechając się.

Wtedy Nathaniel uderzył. Huk, jaki wydała z siebie maszyna, spowodował, że kilka najbliższych stojących osób podskoczyło w miejscu i z przerażeniem spojrzało w stronę Sheya. Ja sama się wzdrygnęłam. Pod wpływem siły ciosu worek aż się schował. Chłopak lekko się zachwiał, kaptur opadł mu na głowę, ale po chwili odetchnął i wyprostował się, patrząc na licznik. Wartość rosła, a uśmiech właściciela budki malał. Wreszcie liczenie się zakończyło i maszyna zapiszczała, ukazując trzycyfrowy wynik. Mężczyzna zaklął pod nosem, kiedy ściągał dla Nathaniela wielkiego białego miśka. Był takiego samego kształtu jak Bonnie, ale chyba jeszcze przerastał ją rozmiarem.

Chłopak nawet się nie pożegnał po tym, jak odebrał nagrodę. Po prostu odwrócił się i ignorując spojrzenie mężczyzny, podszedł do mnie. Z lekko rozdziawionymi ustami obserwowałam, jak staje naprzeciw mnie, a następnie wyciąga śliczną białą nagrodę w moją stronę. Uniosłam pytająco brew.

— Kiedyś przyszedłem na twoje urodziny i nic ci nie dałem.

W szoku patrzyłam na jego twarz, bo tego się nie spodziewałam. Nie sądziłam, że wygra dla mnie nagrodę, że w ogóle pamięta o tych urodzinach sprzed kilku lat. Nie wiedziałam, co powiedzieć, to było tak cholernie miłe, że aż się zdziwiłam. Odetchnęłam cicho i wyciągnęłam ręce, skupiając się na tym, aby nie drżały. Przyjęłam białego miśka, podczas gdy Nathaniel zabrał czekoladowego. Spojrzałam na śliczną czarną kokardkę na szyi swojej przytulanki, a następnie w tego samego koloru oczy.

— Jest piękny — szepnęłam, a mój głos był zachrypnięty. — Dziękuję — dodałam z uśmiechem. — Jak cię nazwiemy? — zapytałam misia, zaciskając palce na miękkim futerku.

— Clyde.

Uniosłam głowę, kiedy Nathaniel wypowiedział to imię. Przez moment wpatrywałam się w jego oczy, a gdy znów dostrzegłam w nich tę

iskierkę, uśmiechnęłam się delikatnie. Chociaż jego twarz pozostała beznamiętna i chłodna, oczy go zdradzały. To mi wystarczyło.

— Bonnie i Clyde — powiedziałam cicho.

— Bonnie i Clyde — zgodził się ze mną Shey.

I tak, może było to patetyczne, ale nie chciałam w tamtej chwili niczego więcej. Mocno chwyciłam białego miśka pod pachę, spoglądając na chłopaka, który zrobił to samo ze swoim prezentem.

— Jesteś głodna? — zapytał nagle.

— Cholernie.

— Wydaje mi się, że już koniec na dziś tego festynu — mruknął cicho i się odwrócił. — Chodź.

Więc poszliśmy przed siebie, trzymając gigantyczne miśki pod pachami, przez co zwracaliśmy uwagę bawiących się mieszkańców Culver City, ale nie obchodziło mnie to. Wyszliśmy z oświetlonego placu, a następnie ruszyliśmy chodnikiem w stronę mniej zatłoczonej części miasta. Shey powiedział, że zna fajną knajpę niedaleko, więc zaufałam mu i tam się skierowaliśmy. Rzeczywiście była blisko, ponieważ trzy minuty później już do niej wchodziliśmy. W środku było ciepło i przytulnie, jedynie przy kilku stolikach siedzieli ludzie, więc nie było tłumów. Rozejrzeliśmy się wokół, a po chwili pojawił się przy nas kelner w białej koszuli.

— Witamy w *Victorii* — przywitał nas chłopak, na co posłałam zadowolonemu Sheyowi pytające spojrzenie. Nie zareagował, ale jego oczy zamigotały figlarnie. *Kretyn*. — Czym mogę służyć?

— Poprosimy stolik dla dwo... — zaczął Nate, ale szybko mu przerwałam.

— Dla czworga — wtrąciłam się, na co Shey popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

Wskazałam głową na Bonnie i Clyde'a, a on przewrócił oczami, ale nie zareagował.

— W takim razie zapraszam za mną — powiedział miło kelner i poprowadził nas do kwadratowego stolika przy długim oknie, gdzie nas zostawił. Było stamtąd widać całą oświetloną ulicę i kawałek placu, na którym odbywał się festyn.

Zajęłam miejsce, usadzając Clyde'a obok siebie, Shey zrobił to samo z Bonnie. Rozejrzałam się dookoła, a gdy mój wzrok padł na kolejnego kelnera, który sięgał po menu zapewne po to, by nam je przynieść, szyb-

ko poderwałam się z drewnianego krzesła. Nathaniel spojrzął na mnie ze zdziwieniem. Siedział naprzeciwko i wyglądał po prostu komicznie w towarzystwie tych dwóch wielkich miśków. Zdusiłam w sobie śmiech i popatrzyłam mu w oczy.

— Co jest? — zapytał, na co pokręciłam głową.

— Zaraz przyjdę — odpowiedziałam tylko i ruszyłam w stronę kelnera.

Spotkaliśmy się w połowie drogi. Wysoki Włoch spojrzął na mnie z uśmiechem.

— Coś się stało? — zapytał, kiedy dyskretnie wskazałam głową na bok, abyśmy odeszli nieco dalej od naszego stolika.

Przygryzłam policzek.

— Czy przygotowujecie tu lasagne?

Mężczyzna od razu skinął głową.

— Oczywiście. Najlepsze w mieście — odparł.

Uśmiechnęłam się.

— To w takim razie poproszę dwa razy. I sok pomarańczowy — zamówiłam, a mężczyzna od razu skinął głową i odszedł.

Wróciłam zadowolona do stolika i znów spotkałam się z czujnym spojrzeniem Sheya. Usiadłam na swoim poprzednim miejscu, w końcu nawiązując z nim kontakt wzrokowy. Zmrużył oczy.

— Co to było? — zapytał podejrzliwie, na co nonszalancko wzruszyłam ramionami.

— Prezent dla ciebie. Już zamówiłam, więc się nie przejmuj.

— A jeśli chcesz mnie otruć? — rzucił zaczepnie, unosząc jedną brew i odchylając się na krześle.

— Musisz mi zaufać. Jeśli wyczujesz posmak arszeniku, zignoruj to.

Przewrócił oczami, ale tego nie skomentował i coś czułam, że jego dobry dzień się kończy, więc nie chciałam tego psuć. Nathaniel miał swoje limity, w tym limit rozmów. I tak było bardzo dobrze, więc odpuściłam. Nie wciągałam go w rozmówki, po prostu oboje wpatrywaliśmy się w widok za oknem. Czułam, że potrzebuje pomilczeć.

Uśmiechnęłam się sama do siebie.

Dziesięć minut później kelner przyniósł nasze dania. Nathaniel zmarszczył brwi, kiedy talerz z lasagne wylądował tuż przed jego nosem. Zaburczało mi w brzuchu, gdy poczułam ten cudowny zapach.

Kelner wyprostował się i uśmiechnął, a następnie z lekkim zakłopotaniem popatrzył na miśki obok nas.

— Czy... również coś podać... państwa przyjaciółom? — zająknął się. Oboje spojrzeliśmy na niego jak na idiotę.

— Nie jesteśmy psychiczni — odparł Shey, na co kelner szybko pokiwał głową, po czym wrócił do kuchni.

Ja za to starałam się powstrzymać śmiech. Chłopak znów zerknął na lasagne, a następnie na mnie, gdy upiłam łyk soku, który przeniesiono nam wcześniej.

— Nie jadłem tego od wieków — wyznał.

Wytrzeszczyłam oczy.

— Mówi to chłopak, który miał w swojej zamrażarce dwanaście opakowań.

Roześmiałam się, on również uniośł kącik ust, po czym zaczęliśmy jeść. Danie było pyszne i tak, zamówiłam je z sentymentu. Jeśli chodzi o jedzenie, nic tak nie kojarzyło mi się z Nathanielem, jak lasagne. Z tym wspomnieniem w głowie znów na niego popatrzyłam.

— Wiesz, Nate — zaczęłam, nawet nie myśląc o tym, co chcę powiedzieć. To wypłynęło ze mnie samo. — Obiecałam, że nie będę pytać, i nie zapytam. Ale... chcę, byś wiedział, że w razie czego jestem obok. Może nie pomogę za wiele, ale wysłucham. I nie wiem tego na sto procent, bo nie mam pojęcia, jak wszystko dalej się potoczy, nie jestem jasnowidzem... I może to puste słowa, ale... wszystko będzie dobrze. Kiedyś w końcu musi. Wszystko się ułoży.

Dobrze wiedziałam, że zdawał sobie sprawę z tego, do czego nawiązałam. Do sprawy z Severine i jego trudnym momentem. Chciałam, aby wiedział, że jestem obok, chociaż może nie byłam już nikim szczególnym. Może byłam jedną z jego zamkniętych historii, wspomnieniem, które się zacierało. To nie zmieniało faktu, że nadal się o niego martwiłam. Może ze względu na sentyment, może na starą znajomość. Nie wiedziałam tego, ale byłam pewna swoich słów.

Nathaniel znów popatrzył na mnie pusto. W pewnym momencie zaczęłam się nawet zastanawiać, czy może nie przesadziłam z tym zapewnieniem, ale uspokoił mnie, kiwając powoli głową.

I coś było w tych naszych gestach, w tych słowach, w tej sytuacji. Coś, co pozostawało nieodkryte.

Oboje wróciliśmy do jedzenia i nie odzywaliśmy się więcej. Kiedy skończyliśmy, Nathaniel zapłacił za posiłek, a później wyszliśmy na zewnątrz, niosąc ze sobą miśki. Po drodze do auta nadal milczeliśmy, bo nie czuliśmy potrzeby, by rozmawiać. Zapakowaliśmy Bonnie i Clyde'a na tył i sami zajęliśmy miejsca w mustangu. Podczas jazdy w radiu pobrzmiwała cicha muzyka. Czułam się naprawdę dobrze, oglądając zmieniający się krajobraz za oknem i po prostu ciesząc się chwilą. Piętnaście minut później chłopak zaparkował pod moim domem. Westchnęłam cicho i odwróciłam się do niego z lekkim uśmiechem.

— Pomogę ci go wyciągnąć — mruknął nagle, wskazując głową na miśki za nami.

Zgodziłam się i oboje opuściliśmy samochód, a Nathaniel sprawnie wy dostał z niego Clyde'a. Mocno złapałam swój prezent i spojrzałam na chłopaka, gdy zatrzymał się naprzeciw mnie. Westchnął ciężko. Przez chwilę panowała między nami cisza, aż w końcu postanowił ją przerwać.

— Dziękuję za dziś — powiedział szczerze, co lekko mnie zszokowało, bo tego się nie spodziewałam.

Uśmiechnęłam się, kiwając głową.

— Mam nadzieję, że było okej, chociaż musiałam uciec się do brutalnego szantażu. — Zaśmiałam się, wspominając akcję z konsolą. — A, właśnie. — Zmarszczyłam brwi, sięgając do kieszeni. Wyjęłam z niej dwa komplety kluczy i podałam je Sheyowi, który znów lekko uniósł kąćki ust.

— Czyli nie w staniku? — zapytał zaczepnie, na co wzruszyłam ramionami, uśmiechając się.

— Nigdy mi nie wierz.

I nie zdawał sobie sprawy z tego, ile w tych słowach było prawdy.

— Zapamiętam — rzucił, a następnie odwrócił się i okrążył samochód.

Skierowałam się w stronę domu w naprawdę dobrym humorze. Wspinałam się po schodach na ganek, trzymając pod pachą Clyde'a, gdy nagle usłyszałam ciche wołanie, które sprawiło, że zatrzymałam się w pół kroku.

— Hej!

Odwróciłam się przodem do Nathaniela, posyłając mu pytające spojrzenie. Chłopak z nieodgadnioną miną patrzył mi intensywnie

w oczy. Stał przy otwartych drzwiach swojego auta, ale jeszcze do niego nie wsiadł. Uniósł lekko kącik ust.

— Cześć, Clark.

Po tych dwóch słowach, które rozpały w moim wnętrzu coś niebywale niepokojącego, wsiadł do mustanga, a chwilę później odjechał spod mojego domu.

I dopiero wtedy poczułam, że naprawdę wróciłam do Culver City.

Starcie dwóch królów

Westchnęłam, wrywając następne źdźbło wysokiej trawy, która rośla obok naszego ganku. Zaczęłam się nim bawić, łamiąc je i wyginając w różne strony. Kiedy po krótkiej chwili zrobiło się wiotkie i poszarpane, z niezadowolaniem odrzuciłam je na bok. Zmaltretowany chwast wylądował na wysokiej kupce podobnych wymęczonych źdźbeł. Bez zastanowienia sięgnęłam po kolejne i ponowiłam cały proces. Robiłam tak od dobrych czterdziestu minut i byłam niemal pewna, że gdybym posiedziała tam jeszcze trochę, z nudów wyrwałabym ręcznie całą trawę, która wyrosła wokół budynku podczas naszej czteroletniej nieobecności.

Siedziałam na schodach prowadzących na ganek naszego domu zdecydowanie za długo, bo zdążyły mi zdrętwieć plecy. Z cichym jękiem niezadowolenia poprawiłam się na swoim miejscu i wyprostowałam nogi, wkładając skostniałe dłonie pomiędzy uda. Spojrzałam na wielkiego miśka, który siedział obok mnie, opierając się bokiem o kolumnę podtrzymującą zadaszenie. Zmrużyłam powieki, w ciszy patrząc w czarne, puste oczy pluszaka.

— Nie wiem, jak tobie, ale mnie zaczyna się robić trochę zimno — mruknęłam. Rozejrzałam się po raz milionowy tego wieczoru, przygryzając wewnętrzną stronę policzka. — Tak, wiem. Tobie pewnie nie jest. W końcu masz futro — mamrotałam, mocniej opatulając się swoją musztardową bluzą. — Ale ja futra nie mam. Kiedy on, do cholery, przyjdzie?! Miał być dwadzieścia minut temu! — zawołałam rozszłoszczona, znów spoglądając na Clyde'a. Przewróciłam oczami. — Tak, wiem, że to moja wina, bo zapomniałam kluczy, ale mógłby się pospieszyć.

Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że szukam zrozumienia u pie-przonego miśka, z kamienną twarzą zawiesiłam wzrok na szklanych oczach maskotki.

— A teraz gadam do zabawki — stwierdziłam fakt, kiwając delikatnie głową. — Powinnam zwiększyć dawkę leków.

Westchnęłam, bo od ponad czterdziestu minut czekałam na powrót swojego brata, który był na festynie. Nie miałam pojęcia, co siedziało w mojej głowie, kiedy wychodziłam z domu prawie trzy godziny wcześniej bez kluczy, ale na pewno nic mądrego. Theodor telefonicznie poinformował mnie, że będzie za dwadzieścia minut, bo i tak chciał już wracać. Tylko że do jego dwudziestu minut doszło właśnie kolejne dwadzieścia, a mój tyłek zaczął boleć. Na domiar złego telefon mi się rozładował, więc nie miałam możliwości pograć w Sudoku. Pozostało mi tylko gadanie do zabawki i wrywanie trawy.

Spojrzałam w lewo na pustą ulicę. Ciszę wokół przerywało jedynie szczekanie psów i cykanie świerszczy. W niektórych domach były włączone światła, ale większość wydawała się pusta i cicha. Zapewne sąsiedzi przebywali aktualnie na festynie, który w założeniu miał trwać do białego rana. Zadarłam głowę, by popatrzeć na niebo. Dostrzegłam na nim jeszcze więcej gwiazd niż zazwyczaj i piękny księżyc.

Zerknąwszy na Clyde'a, który — *zadziwiająco* — nadal nie zmienił pozycji, uniosłam lekko kącik ust. Z przerażeniem zarejestrowałam, że mój uśmiech sam się poszerza, i zmusiłam się do tego, by utrzymać obojętną minę. Zazwyczaj przychodziło mi to łatwiej, ale tamtego wieczoru musiałam się postarać. Przygryzłam dolną wargę, opierając głowę o drewnianą belkę obok.

To był miły prezent, cały ten wieczór był zaskakująco przyjemny, chociaż się na to nie zanosilo. Jadąc do mieszkania Nathaniela, nie myślałam o tym, że wylądujemy razem na festynie Culver City, a finalnie bawiłam się świetnie...

Koniec końców, byłam zadowolona z efektów swoich działań. Nathanielowi zrobiło się chyba trochę lżej, przynajmniej tak wyglądał. Nie byłam pewna na sto procent, bo przecież miałam do czynienia z Nathanielem Gabrielem Sheyem, fizyka kwantowa wydawała się przy nim mało skomplikowaną krzyżówką.

Sporo mnie to wszystko kosztowało, ale ujrzałam jego uśmiech i to było wystarczającą nagrodą za cały mój trud. Z niewiadomych powodów wywołał we mnie naprawdę dziwne emocje.

Po prostu się martwię jego stanem, ponieważ ma walękę i musi być skupiony. Tak, to stąd te dziwne myśli — powtarzałam sobie.

Pokręciłam głową, czując rosnące rozdrażnienie. Dlaczego myślałam o takich głupotach, skoro to był tylko jeden wieczór, a ja najzwyczajniej w świecie chciałam pomóc?

Cześć, Clark.

I miałam swoją odpowiedź.

Nie zdążyłam tego przeanalizować, ponieważ mój wzrok padł na Theo, który szedł chodnikiem. Głowę miał lekko zwieszoną, a dłonie schowane w kieszeniach czarnych jeansów. Jęknęłam z ulgą, kiedy wszedł na nasz podjazd. Niewzruszona czekałam, aż się zbliży. Zatrzymał się tuż przed schodkami na ganek i popatrzył na mnie z góry, więc zadarłam głowę.

— Wygodnie ci się siedzi? — zapytał z przekąsem, unosząc kącik ust.

Uśmiechnęłam się sztucznie.

— Wybornie — odparłam.

Theo przekreślił głowę. Zerknął na miśka, a następnie znów na mnie.

— Przynajmniej miałas towarzystwo — dociął mi, ale naprawdę nie miałam siły tego komentować, więc tylko niezgrabnie dźwignęłam się na nogi i westchnęłam z politowaniem.

Theodor zaczął otwierać drzwi, a ja powoli podniosłam Clyde'a. W końcu weszłam do ciepłego wnętrza i poczułam ogromną ulgę. Nie ściągając butów, ruszyłam korytarzem w stronę salonu, gdzie rzuciłam miśka na kanapę. Theo, który szedł za mną, włączył światła. Skierował się do kuchni, więc podążyłam za nim, obserwując jego plecy. Usiadłam na swoim standardowym miejscu na wysokim stołku przy wyspie kuchennej. Przyglądałam się bratu, który podszedł do lodówki i wyciągnął z niej jakiś gazowany napój.

— Jak było na festynie? — zapytałam luźno, ponieważ czułam, że atmosfera zrobiła się jakaś dziwna. Cały Theo był dziwny.

Chłopak wzruszył ramionami, a jego beżowy sweter lekko pozaginał się w niektórych miejscach.

— Okej — odparł lakonicznie.

— Byli wszyscy?

— Yhym — mruknął, w końcu odwracając się przodem do mnie.

Nadał na mnie nie patrzył. Ustawił dwie szklanki na blacie, a następnie zaczął nalewać do nich napój, w pełni skupiając się na tym zadaniu. Już wtedy wiedziałam, że coś jest nie tak, wydał mi się dziwnie przybity i unikał mojego wzroku. Pod jego oczami dostrzegłam delikatne sińce, a włosy miał w nieładzie. Przyjęłam szklankę, którą mi podał, jednocześnie przytrzymując jego dłoń. Zignorowałam swój własny opór przed tym gestem, bo nie zamierzałam odpuścić, skoro był w kiepskim stanie. Podziałało i wreszcie na mnie popatrzył.

— Co jest? — zapytałam poważnie. Uniosłam brew, skanując wzrokiem jego twarz.

Przez chwilę Theo milczał, po czym westchnął ciężko i zwiesił głowę. Puściłam jego dłoń i automatycznie cofnęłam rękę, za co skarciłam się w duchu. Chłopak oparł się o blat wyspy kuchennej.

— Dlaczego wróciłeś na piechotę? Nie pojechałeś mercedesem?

— Chciałem coś wypić, więc przyjechali po mnie Laura ze Scottem — odparł cicho.

— To dlaczego cię nie odwieźli?

Theo nie odpowiedział od razu, jakby chwilę się zastanawiał, co powiedzieć. Nerwowym ruchem przejechał palcami po włosach, zahażając o nie lekko swoimi srebrnymi obrączkami, przez co cicho zaklął pod nosem. Był dziwnie rozdygotany.

— Bo musiałem się... przejść — wymamrotał, wracając do wcześniejszej pozycji.

— Słuchaj, Theo. Nie będę wypytywać cię na siłę, ale jeśli chcesz pogadać, to jestem — mruknęłam z bladym uśmiechem, a on zdobył się na lekkie uniesienie kącika ust.

— Po prostu... rozmawiałem z Jasmine.

Otworzyłam szerzej oczy, bo tego się nie spodziewałam. Theo założył ręce na piersi i przygryzł wargę, a ja czekałam, bo nie miałam pojęcia, czy będzie chciał powiedzieć coś więcej. Rozmowa z dawną miłością musiała być dla niego trudna, zwłaszcza że on ciągle o niej myślał. Gdyby nic do niej nie czuł, czy trzymałby w swoim pokoju w Maine jej zdjęcie, do którego wdychał za każdym razem, gdy był pijany?

— O — wymsknęło mi się.

Nie wiedziałam, co więcej miałabym powiedzieć.

Theo znów westchnął.

— Spotkaliśmy się tam wszyscy. Nawet Cameron był — mruknął i głośno przełknął ślinę. — Luke powiedział, że ciebie i Nate’a nie będzie. Nikt nie dopytywał, bo wszyscy wiedzą, jaka jest teraz sytuacja z Sheyem. Myślałem, że przez to ona nie przyjedzie, ale potem ją zobaczyłem i... było okej. To był całkiem przyjemny wieczór. Ludzie dużo się śmiali i udało się uniknąć spięć, ale widziałem, że Jasmine była smutna. Prawie w ogóle się nie odzywała i najpierw pomyślałem, że to ze względu na Nate’a, ale potem zacząłem się zastanawiać, czy to nie z mojego powodu. Później jakoś tak wyszło, że się rozdzieliliśmy. Scott poszedł gdzieś z Laurą i Mattem, a Chris i Cameron z Parkerem i Mią. My zostaliśmy sami i... — zaciął się, uparcie wpatrując się w kuchenkę mikrofalową.

— I? — zachęciłam go, by kontynuował.

— I na początku było tak dziwnie niezręcznie, ale potem... zaczęliśmy rozmawiać. O tym, co się u nas działo. I to było takie naturalne i proste, ona się roześmiała, a ja... — urwał, a emocje, jakie malowały się na jego twarzy, były powalające. Jakby wiosna budziła się do życia. Liść po liściu, pąk za pąkiem.

Theo był wiosną, a Jasmine jego słońcem.

— Nadal coś do niej czujesz — nawet nie zapytałam, po prostu stwierdziłam.

Takie były fakty, Theo nigdy nie wyleczył się z uczucia do Jasmine, a jej zachowanie wskazywało, że ona też wciąż coś do niego czuła.

— To głupota, co? — Zaśmiał się, nawet nie zaprzeczając. — W końcu minęły ponad cztery lata, a my niedługo i tak wyjedziemy. Nie powinienem zawracać sobie tym głowy, wiem — wymamrotał pod nosem i nerwowo sięgnął po swoją szklankę.

Poczułam, jak coś nieprzyjemnie ściska się w moim wnętrzu, ponieważ to, co było między nimi, nigdy się nie skończyło. Była jego pierwszą miłością, dziewczyną, której oddał swoje serce. Czuł się nieszczęśliwy, bo wiedział, że ona została w Culver City, a jego życie toczyło się gdzieś indziej.

I to wszystko twoja wina, bo to z twojego powodu wyjechał.

— Theo... — zaczęłam, a mój głos lekko się załamał.

Mój brat chyba tego nie wyczuł, ponieważ tylko machnął ręką, kończąc swój napój.

— Nieważne — uciął.

Z kamienną twarzą spuściłam wzrok na szklanke. Próbowalam uciścić myśli, które pojawiały się w mojej głowie. *Bezskutecznie.*

Byłam okropna, nie zasługiwałam na niego. Nie zasługiwałam na nikogo. Byłam problemem, którego nie dało się rozwiązać. Theo wyjechał przeze mnie i to przeze mnie rozstał się z Jasmine. Z mojej winy był cholernie nieszczęśliwy, bo musiał zajmować się swoją popieprzoną siostrą, zamiast zacząć żyć tak, jak na to zasługiwał.

Przygryzłam wewnętrzną stronę policzka odrobinę za mocno, bo poczułam metaliczny posmak krwi. Skrzywiłam się lekko, ale ten ból pomógł mi się trochę rozluźnić. Nie mogłam dopuścić do tego, by te cholerne myśli sprowadziły kolejne złe dni.

Zauważyłam, że Theo przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami.

— Wszystko w porządku? — zapytał zmartwiony.

Mój przełącznik znów zadziałał, bo mimo że chciało mi się ryczeć, uśmiechnęłam się i nie pokazałam po sobie tego, co czułam. W końcu byłam w tym mistrzem, w okłamywaniu innych i samej siebie. Mój brat dał się nabrać, zmarszczka na jego czole się wygładziła i odpowiedział mi lekkim uśmiechem. *Wszystko było pięknie.*

— Jasne — odpowiedziałam neutralnym tonem i skinęłam. Czułam palenie w gardle przy każdym oddechu, a głowa mi pulsowała. — Wszystko okej. Jestem trochę zmęczona przez ten festyn.

— No nie dziwię się — mruknął z kwaśnym uśmieszkiem.

Poczułam się zdezorientowana.

— A co to ma znaczyć? — zapytałam z rezerwą.

Theo uniósł ręce w obronnym geście, chociaż nadal miał na twarzy ten głupi uśmieszek.

— Cóż, teren, gdzie odbywały się obchody, nie jest ogromny, więc... nietrudno kogoś spotkać — odparł, a następnie westchnął, widząc mój pytający wyraz twarzy. — Może ze dwa razy widzieliśmy ciebie i Nate'a.

Kiedy dotarł do mnie sens jego słów, otworzyłam szeroko oczy. *Że co?!*

— Że co widzieliście? — zapytałam cicho i śmiertelnie poważnie. Wyrzuciłam ręce w powietrze, a Theo przewrócił oczami na moją reakcję. — Kiedy?

— Pierwszy raz, jak jedliście lody — powiedział powoli i chociaż starał się to ukryć, był naprawdę rozbawiony. — A drugi, jak graliście w tę grę na straganie. Tę z pistoletami.

Nie odpowiedziałam, po prostu na niego patrzyłam, czując dziwne zawstydzenie, a ono towarzyszyło mi bardzo rzadko. Nie miałam pojęcia, że ktoś znajomy mógł nas widzieć. Prawdę mówiąc, w ogóle nie zwracałam uwagi na ludzi dookoła, co było błędem. Nie chciałam, aby ktokolwiek wysnuł mylne wnioski odnośnie do mnie i Nathaniela.

Odchrząknęłam, starając się nie pokazać po sobie emocji, ale mina Theodora jasno wskazywała, że wie, jak zaskoczyła mnie ta informacja. Splotłam dłonie, niby od niechcienia je oglądając. Czułam jego wzrok na swojej twarzy.

— Dlaczego nie podeszłiscie? — zadałam to pytanie na pozór obojętnym głosem, nadal na niego nie patrząc.

— Napisałaś wcześniej do Parkera, że do nas nie dołączycie, więc zrozumieliśmy, że nie chcecie, aby ktoś wam przeszkadzał — odparł i... o Panie, po tych słowach poczułam się jeszcze gorzej. — Więc gdy tylko was zauważaliśmy, skręcaliśmy w inną alejkę.

— Nie widziałam was — burknęłam, na co Theo parsknął prześmiewczo.

— Nie dziwi mnie to — skomentował. — Twoją uwagę absorbował ktoś inny.

W końcu spojrzałam na brata, który zaczepnie uniósł brew. Nienawidziłam, kiedy tak sobie ze mną pogrywał, a fakt, że mówił o Nathanielu, jeszcze pogarszał sprawę. Nie chciałam wiedzieć, co sobie pomyślał, a miał bujną wyobraźnię. Zbyt bujną.

— O co ci chodzi? — zapytałam, przybierając bojową postawę.

— O nic. — Theo wzruszył ramionami. — Po prostu... to może i było zabawne, ale jednocześnie... nieco mnie zmartwiło — dodał zdecydowanie poważniej.

— Niby co cię zmartwiło?

— To, że chyba znów angażujesz się w tę relację — odpowiedział, a gdy zobaczył, że już otworzyłam usta, by zaprotestować, szybko wyjaśnił: — Nie zrozum mnie źle, nie naskakuję na ciebie ani o nic cię nie oskarżam, wiem, że to dla ciebie trudne. Nie mówiłem tego, ale zawsze się bałem, co mogłoby się stać, gdybyś znów spotkała się z Sheyem.

W Maine byłem pewny, że to niemożliwe, a potem spotkaliśmy się u Vincenta... nic nie mówiłem, ale dalej się martwiłem. Nie chcę, żebyś znów cierpiała.

— Theo, bredzisz. Shey jutro ma walkę — przypominałam mu poważnie, na co pokiwał głową. Jego uśmiech lekko przygasł, ale nie zniknął całkowicie. — Był w rozsypce... i chyba widział to nawet Charlie, mimo że nie wie o walce, bo przyjechał do mnie i poprosił, żebym coś zrobiła.

— Więc to przez tego dzieciaka? — zapytał, a ja nie odpowiedziałam. — Vic, kolejna osoba, do której się przywiązujesz? Czy ty wiesz, co robisz? Chcesz powtórkę z rozrywki? Pamiętasz, co działo się cztery lata temu?

— Pamiętam, dlatego już nigdy tak nie będzie — zaznaczyłam. — I to nie przez dzieciaka, tylko przez to, że nie mam zamiaru patrzeć, jak Nate się wykrwawia, bo wszyscy bylibyśmy za to odpowiedzialni. Spędziliśmy miło czas, jak starzy znajomi, zjedliśmy dobre jedzenie, a na koniec odwiózł mnie do domu. Koniec historii.

— I dał ci miśka w prezencie? — zakpił, czym wyprowadził mnie z równowagi. — Czy jesteś silną, niezależną kobietą, która sama wygrywa dla siebie prezenty?

— Dostałam go tylko dlatego, że wygrałam dla Nate'a podobnego pluszaka i podarowałam mu go w prezencie urodzinowym. On nie lubi być dłużny. Staralam się poprawić mu jakoś humor. I nic sobie nie dopowiadaj. Nie mam obowiązku z niczego ci się tłumaczyć. Powinieneś zająć się swoim życiem, drogi bracie. Wszyscy powinniście. — Zdenerwowana zeskoczyłam ze stołka barowego i ruszyłam do salonu.

Theodor uśmiechnął się pod nosem, a ja postanowiłam jak najszybciej się ewakuować, żeby nie miał szans kontynuować tej rozmowy. Zgarnęłam pod pachę Clyde'a i prawie pobiegłam w stronę schodów. Kiedy stanęłam już na trzecim stopniu, głos mojego brata sprawił, że się zatrzymałam i odwróciłam.

Theo, który nadal stał w kuchni, uśmiechał się od ucha do ucha. Zmrużyłam złowrogo oczy, mocniej ściskając Clyde'a.

— Hej, przecież mówiłem, że gdy tylko was widzieliśmy, szliśmy w inną stronę! To nie tak, że fałziliśmy za wami w perukach i okularach, śledząc każdy wasz krok. — Przewrócił oczami, a następnie zastygł

w bezruchu, jakby poważnie się nad czymś zastanawiał. — Cholera, czemu ja nie wpadłem na to wcześniej?

— Jesteś idiotą — podsumowałam.

Theo uniósł ręce w obronnym geście.

— Nie moja wina, że się martwię. Po prostu nie chcę, żebyś się w tym pogubiła. I jestem prawie pewny, że Nate raz nas zauważył. To, że ci nie powiedział, to inna sprawa.

Mało brakowało, bym ze złością tupnęła nóżką jak rozszoszczona księżniczka, ale powstrzymałam się i po prostu ruszyłam schodami na piętro. Jak to Nate ich zauważył? Skoro wiedział, że nas widzieli, to dlaczego mi nie powiedział?! Weszłam do sypialni i trzasnęłam drzwiami tak, aby Theo doskonale to usłyszał. Odetchnęłam głośno i włączyłam światło, a następnie położyłam Clyde'a na łóżku. Zajmował jego znaczną część, ale i tak wiedziałam, że będę z nim spać. Nie z jakiegoś szczególnego powodu, po prostu lubiłam miękkie rzeczy, które dawały ciepło i do których mogłam się przytulić. W odróżnieniu od ludzi.

Westchnęłam, w ciszy wpatrując się w szklane oczy miśka. To nie tak, że miałam coś do ukrycia, przecież niczego z Sheyem nie robiliśmy. Tak samo mogłam pójść tam z Mattem czy Parkerem. Chciałam pomóc Charliemu i jakoś wesprzeć Nathaniela. Miał walkę, zrobiłabym to dla każdego. Spędziliśmy miło czas i to wszystko, a Theo lubił sobie ze mnie pożartować. *Nic się nie zmieniło*. Ja nadal byłam Victorią mieszkającą w Maine, która przyjechała do Culver City na chwilę. On był nadal Nathanielem, z którym łączyły mnie piękne wspomnienia, ale na wspomnieniach się kończyło. Nie było niczego więcej.

Znów popatrzyłam na maskotkę, czując dziwny ucisk w żołądku, bo chociaż nie chciałam przyznać tego nawet przed samą sobą, moja podświadomość wiedziała. To, że Clyde'a wygrał dla mnie akurat Nathaniel, było jednym z powodów, by z nim spać.

Nic się nie zmieniło. Nie było niczego, co mogłoby coś zmienić.

Cześć, Clark.

Zamknęłam oczy. Dlaczego musiałeś to powiedzieć?

Gdybym powiedziała, że nie spałam za dobrze tej nocy, byłoby to kolosalnym niedopowiedzeniem. Przez kilka godzin przekręcałam się

jedynie z boku na bok, a w mojej głowie kłębiły się myśli, wątpliwości i popaprane koncepcje. Zmrużyłam oko dopiero nad ranem, ale dwie godziny później przez okropny koszmar obudziłam się z przyspieszonym oddechem i mocno walącym sercem.

Cholernie realny sen przedstawiał walkę Nathaniela. Nie potrafiłam wyrzucić z głowy pieprzonego obrazu jego zakrwawionego ciała, które leżało bezwładnie na ringu. Ludzie wokół krzyczeli, a Jasmine z Lukiem głośno płakali nad jego zwłokami. Wszędzie było tyle krwi, a on się nie ruszał.

Po takim śnie nie było mowy, abym znów zasnęła, więc o ósmej byłam już na nogach po czterech papierosach i dwóch filiżankach kawy. Wiedziałam, że nie jestem jedyną osobą, która się przejmuję, mój brat również obudził się dość szybko i smętnie snuł się po domu. W milczeniu zjadł swoje śniadanie, podczas gdy ja tylko popiłam pastylki, bo nie byłam w stanie niczego przełknąć.

Nadszedł dzień sądu. To tego dnia wszystko miało się rozstrzygnąć, mieliśmy się dowiedzieć, czy nasz plan ściągnięcia Brooklyna do miasta się powiodł. Chociaż było mi niedobrze na samą myśl o spotkaniu z tym człowiekiem, miałam nadzieję, że tak. Nie chciałam, aby nasz trud okazał się bezcelowy. White miał przybyć do Culver City i spotkać jedno z nas. Miał spotkać mnie. Uwolniłam się od niego, a świadomość, że z własnej woli miałam odnowić kontakt z tym mężczyzną, była okropna.

Bardziej niż fakt, że spotkam się z człowiekiem, który mnie prześladował, gdy miałam siedemnaście lat, martwiła mnie jednak ta pieprzona walka. To było chore. Powtarzałam sobie, że Shey wie, co robi, a ja powinnam zająć się swoją częścią planu. Powinnam przestać martwić się nim i zacząć przejmować się sobą.

O trzeciej Theo musiał gdzieś pilnie wyjść, ale nie powiedział mi gdzie. Nie pytałam, nie interesowało mnie to. Wrócił godzinę później, a następnie zamknął się w swoim pokoju. O czwartej Parker wysłał mi adres miejsca, gdzie miała się odbyć walka, i powiadomił, że mamy być przed dziesiątą. Od tego momentu czułam się jeszcze gorzej. Cudem wmusiłam w siebie dwie kanapki i powstrzymałam się, aby ich nie zwymiotować. Zastanawiałam się, czy Brooklyn aby na pewno się zjawi, czy Shey sobie poradzi. Czy wszystko się ułoży i czy to, co mogliśmy osiągnąć, było warte naszego wysiłku, poświęcenia i nerwów.

Czy poznamy prawdę, która wszystko zmieni.

Nie było już odwrotu.

Zaczęłam się szykować kilka godzin wcześniej, aby zabić jakoś czas. Wzięłam gorący prysznic, ale mi nie pomógł. Wybrałam ubrania — ciemnoczerwony komplet, który składał się z materiałowych spodni z wysokim stanem, z grubym paskiem z klamrą w tym samym kolorze, oraz z marynarki. Dobrałam do tego czarny koronkowy bralet na ramiączkach, szpilki, złoty zegarek i pierścionki oraz duże kolczyki z czarnymi kamieniami. Włożyłam to wszystko niemal automatycznie, a potem zaczesalam włosy na żelu, pozwalając, by część kosmyków opadła mi na ramiona. Później nakładałam kolejne warstwy kosmetyków, które miały ukryć to, że byłam wykończona. Postawiłam na mocniejszy makijaż, z grubą czarną kreską na powiece i ciemną szminką. Gdy wpatrywałam się w swoje odbicie w lustrze, w mojej głowie dźwięczała tylko jedna myśl.

Co, jeśli coś mu się stanie?

To nie była byle jaka walka. To miało być starcie dwóch królów. Nathaniel był legendą, ponieważ kilka lat wcześniej wygrywał niemal każdą walkę i należał do człowieka, który rządził połową Kalifornii. Stawiano na niego potężne sumy pieniędzy i wiedziały o nim naprawdę wpływowe osoby. Jego przeciwnikiem był nowy mistrz, nie jakiś podrzędny zawodnik bez umiejętności. Czekala nas pieprzona walka tytanów, jakiej jeszcze nie oglądałam, a wygrana Sheya wcale nie była oczywista.

Może skończyć się tym, że będą musieli go stamtąd wynosić.

Z tymi myślami skończyłam się szykować. Czułam się tak słaba, jakby mocniejszy podmuch wiatru mógł mnie przewrócić. Z głośnym oddechem stanęłam przed lustrem, zacisnęłam drżące palce na kantach umywalki i z ogromnym wysiłkiem przywołałam na twarz obojętną minę.

Musiałam się ogarnąć, już dawno nie byłam słabą Victorią Clark. Życie chciało mnie złamać setki razy, a ja nigdy się nie dałam. Byłam ponad to, byłam ponad świat. Byłam zbyt wysoko, aby się bać.

Nagle rozległo się ciche pukanie, a następnie drzwi się uchyliły i do łazienki zajrzała głowa mojego brata.

— Hej — powiedział i wszedł do środka, wkładając dłonie do kieszeni czarnych jeansów. — Jesteś już gotowa?

— Tak — mruknęłam, unosząc kącik ust, aby ukryć zdenerwowanie.

Theo tym razem nie dał się nabrać.

— Victoria, pamiętaj, że nie musisz tego robić — zaczął, a jego zachrypnięty głos lekko drżał. Mimo to twardo patrzył mi w oczy, gdy robił kilka kroków w moją stronę. — Jeśli czegoś nie chcesz, nie musisz tego robić. Nie musisz robić nic wbrew sobie. Jeśli nie jesteś na to gotowa, po prostu odpuść.

Zapanowała między nami chwilowa cisza. Theo był zmartwiony i widziałam, że się o mnie boi.

Cicho westchnęłam, lekko zwieszając głowę. Był kochany, że tak się martwił, ale nie pomagało mi to w tym i tak zbyt trudnym momencie. Potrzebowałam, aby ktoś mnie zachęcił do działania, a nie zniechęcił.

Wiedziałam, że powinnam była martwić się o siebie i o spotkanie z Brooklynem, ale ja byłam popieprzoną masochistką i potrafiłam myśleć tylko o walce Nathaniela.

Wciąż myślałam o nim. Dużo częściej, niżbym tego chciała.

— Wiem, Theo — odpowiedziałam w końcu, a moja twarz z sekundy na sekundę coraz bardziej przypominała maskę. — Wiem, co mam robić, nie jestem dzieckiem i nie trzeba mnie tak traktować.

— Wiem, że nie jesteś, nie odbieraj tego jako ataku — westchnął ciężko.

Wiedziałam, że powstrzymał się od przewrócenia oczami.

— Jest dobrze.

— Na pewno? — dopytał, na co pokiwałam głową, chociaż nie było to do końca zgodne z prawdą. — Jeśli tak, to chodźmy. Jest za dwadzieścia dziesiąta, musimy już jechać.

Potaknęłam i zebrawszy wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy, ostatni raz rozejrzałam się po pomieszczeniu. Mój wzrok padł na wielkiego miśka, który dumnie siedział na moim łóżku. Poczulałam, jak coś boleśnie się we mnie zaciska.

Musi dać radę.

Wyszliśmy z domu, a następnie bez słowa zajęliśmy miejsca w aucie i ruszyliśmy. Zrezygnowałam z płaszcza, bo z nerwów było mi zdecydowanie za gorąco. Z każdą milą czułam, że serce bije mi coraz szybciej. Choć powtarzałam sobie, że wytrzymywałam gorsze sytuacje, stres nie chciał mnie opuścić. Próbowалаłam sobie wmówić, że przejmuję się prawdopodobnym spotkaniem z Brooklynem, ale to było perfidne kłamstwo.

Theo wjeżdżał w nieznane mi uliczki, a okolica robiła się coraz bardziej nieprzyjemna.

— To chyba tu — mruknął mój brat po kolejnych trzech minutach błądzenia.

Uniosłam wzrok na ogromny budynek, przy którym stało sporo samochodów. Znajdował się na uboczu i nie wyglądał, jakby coś się w nim działo. Nie świeciły się żadne światła i niczego nie słyszałam. Dopiero gdy podjechalśmy bliżej i go okrążyliśmy, odnaleźliśmy tylne wejście, do którego ustawiała się kolejka ludzi. Jeden po drugim wchodzili do środka przez metalowe drzwi garażowe.

— Będzie się działo — mruknął cicho mój brat, skręcając na parking.

Gdy zatrzymał się na wolnym miejscu, oboje wysiedliśmy z mercedesa. Theo wyciągnął z bagażnika średniej wielkości metalową walizkę, a ja spojrzałam na niego pytająco. Nie odpowiedział, tylko uniósł kącik ust.

— Potem ci pokażę — rzucił.

Wzruszyłam ramionami, bo nie byłam pewna, czy w ogóle chcę wiedzieć.

Z resztą mieliśmy się spotkać przy jednym z wejść w lewym skrzydle budynku, więc bez słowa się tam udaliśmy. W miarę jak przemierzaliśmy kolejne jardy, robiło się coraz ciszej, aż w końcu odgłosy rozmów całkowicie ustały. Oddychałam ciężko i ze wszystkich sił starałam się zgrywać niewzruszoną. Wreszcie dotarliśmy do wyznaczonego punktu. Już z oddali dostrzegłam grupkę kilku osób, a gdy podeszliśmy bliżej, rozpoznałam ich twarze. O wielkie, zamknięte drzwi opierał się Cameron, a obok niego stała Mia. Naprzeciw nich w półkołu ustawili się kolejno Laura, Scott, Matt i Chris. Kiedy usłyszeli, że się zbliżamy, od razu na nas popatrzyli.

— Dobrze, że już jesteście — mruknął Scott.

Nie odpowiedziałam, jedynie skinęłam na powitanie.

— Walki zaczynają się za piętnaście minut — poinformował nas Cameron, a ja poczułam kolejny bolesny skurcz żołądka.

Dzieliło nas piętnaście minut od momentu, gdy zapanuje chaos.

— Walki? — zdziwił się Theo, na co Wilson pokiwał głową.

— Jest pięć zwykłych. Walka Nathaniela i Patricka jest szósta i ostatnia, ponieważ jest finałowa. Będzie po północy.

Super, czekanie mnie wykończy.

— Gdzie reszta? — zapytał mój brat.

— Nate się przygotowuje, a Jasmine i Luke są razem z nim — mruknął Chris ubrany w bordowy garnitur o oryginalnym kroju. Zrobił kilka kroków w moją stronę. — Potem jeszcze do nich zajrzemy.

Ponownie pokiwałam głową. Nie chciałam nic mówić, ponieważ bałam się, że ktoś może wyłapać, jak bardzo się stresuję. Nie zamierzałam zdradzać, jak potężnie to wszystko na mnie wpływa. Chris chyba nawet nie oczekiwał, że się odezwę, ponieważ z bladym uśmiechem od razu mocno mnie objął. Jego dotyk parzył mi skórę i prawie zawylałam, by mnie puścił. To było nienormalne, ja byłam nienormalna. Na szczęście Adams po dwóch sekundach się odsunął. Dawniej nie pomyślałabym, że bliskość człowieka, który był dla mnie jak brat, będzie dla mnie taka trudna...

Tylko że tamto życie już nie istniało. Nie było człowieka, przy którym czułabym się w stu procentach komfortowo.

Ale czy na pewno?

— Jaki jest plan? — zapytał Theo, wyrывая mnie z tych głupich rozmyślań.

Poczułam, jak atmosfera gęstnieje. W przeszłości robiliśmy wiele różnych, niekoniecznie mądrych czy bezpiecznych rzeczy, ale nie dało się ich porównać z tym chaosem. To już nie było kombinowanie i snucie domysłów, przeszliśmy do etapu realizacji kluczowej fazy naszego szalonego planu.

— Są cztery wejścia — zaczął poważnym głosem Scott. — Jeśli Brooklyn przyjdzie, wejdzie jednym z nich.

— Nie ma go jeszcze? — zdziwił się Theo, na co Hayes pokręcił głową.

— Nie, nikt z nas ani z moich znajomych go nie widział, ale to mnie nie dziwi. Nigdy nie zjawiał się na zwykłych walkach. Tylko na tych najważniejszych, więc jeśli przyjdzie, to później.

— Ale co zrobimy, jeżeli nie zjawi się w ogóle? — zapytała cicho Laura, na co Hayes zacisnął usta w wąską linię, kręcąc głową.

Nikt nie musiał odpowiadać.

Wtedy to koniec.

— Trzeba obstawić każde z czterech wejść, a potem zrobić coś, aby Brooklyn wpadł na Victorię — wyjaśnił Matt, a ja, słysząc to, nerwowo przełknęłam ślinę.

Poczułam się tak, jakby ktoś kopnął mnie w żebra. Obserwowałam, jak nasi znajomi niepewnie zerkają w moją stronę, i choć bałam się jak cholera, nie mogłam dać tego po sobie poznać. Z niewzruszoną miną patrzyłam na ich zmartwione twarze.

— Trzeba wymyślić, w jaki sposób będziemy się ze sobą komunikować — mruknęła cicho Mia. — Przecież musimy być w stałym kontakcie.

— O to zadbałem — wtrącił się nagle Theo.

Spojrzeliliśmy na niego ze zdziwieniem.

Theodor podszedł do jednego z wielkich okien, a następnie na betonowym parapecie położył walizkę, którą wyciągnął z bagażnika naszego auta. Zaskoczona patrzyłam, jak odpina klipsy, a potem unosi wieko. Zmarszczyłam brwi, gdy zobaczyłam czarne, plastikowe przedmioty umieszczone w piankowym usztywnieniu, które kształtem przypominały kulki. Nie wiedziałam, czym są, a miny reszty wskazywały, że nie byłam odosobniona. Zdezorientowana spojrzałam na uśmiechniętego Theo. Zapadła cisza i nie wiedziałam, jak ją przerwać. Chyba nikt nie wiedział.

— Wow, to imponujące — mruknął Chris, chociaż po jego minie widziałam, że nie ma bladego pojęcia, co to jest.

Theodor tego nie zauważył, bo uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Prawda? — zapytał nieco podenerwowany. — To najnowszy model.

— Jest... świetny — rzuciła cicho Laura, po czym otworzyła szerzej usta i zmrużyła oczy. Chyba starała się znaleźć odpowiednie słowa, ale nie za bardzo jej to wychodziło.

Znów zapanowała chwilowa cisza.

— Co to właściwie jest?

W tamtym momencie miałam ochotę podziękować Donovanowi za to, że zawsze mówił wszystko, co mu ślina na język przyniosła. Theo zmarszczył brwi, jakby zastanawiając się, czy Matt pyta poważnie, ale kiedy zauważył, że wszyscy patrzymy na niego pytająco, przewrócił oczami, wdychając. Ostrożnie wyjął dwie małe kulki i z zadowoleniem się im przyjrzał, a jego uśmiech znów się powiększył.

— To słuchawka bezprzewodowa — mruknął, wskazując na jedną z kulek. — A to mikrofon — dodał, pokazując drugą. — Wszystkie już ze sobą sparowałem, więc jeśli nie pojawią się żadne komplikacje, będziemy się doskonale słyszeć. Są ustawione na odpowiednią częstotliwość. Hałas w środku nie powinien być problemem, o ile dobrze ustawicie mikrofony.

Uniosłam brwi z uznaniem, bo tak, to było pomysłowe. Nawet bardzo.

— Okej, ale skąd, do cholery, to masz? — zapytałam, na co wzruszył ramionami.

— Od Vincenta.

Rozszerzyłam oczy pod wpływem szoku i wiedziałam, że i tym razem nie byłam w swoich odczuciach odosobniona. Jakim cudem od Vincenta? Kiedy on w ogóle się z nim kontaktował i spotkał? Przecież nic nie mówił.

Theo, widząc naszą reakcję, ponownie przewrócił oczami, po czym włożył słuchawkę do ucha. Była mała, poręczna i niezbyt widoczna, a jego przydługie włosy całkowicie ją maskowały.

— Nie patrzcie tak na mnie — mruknął, umieszczając drugie urządzenie w materiale marynarki, po wewnętrznej stronie. — Już wcześniej się nad tym zastanawiałem i wiedziałem, że coś takiego będzie nam potrzebne, więc zadzwoniłem do Guevy, żeby skontaktował mnie z Vincentem — tłumaczył spokojnie, poprawiając mikrofon. — Umówił nam spotkanie i wyjaśniłem, co i jak. To jest naprawdę drogie i słabo dostępne, ale on ma kontakty i pieniądze, więc bez problemu załatwił to w jeden dzień. Od początku powtarzał nam, że gdy czegoś będzie nam potrzeba, on to zorganizuje. To jemu najbardziej zależy.

— Kiedy to odebrałeś? — zapytałam zszokowana.

— Dzisiaj — odparł wprost.

Staralam się do przetrwać, ale umysł mojego brata był dla mnie wielką niewiadomą, więc jedynie pokręciłam głową. To pewnie dlatego zniknął tego dnia na godzinę i od rana wisiał na telefonie. Poczułam się zażenowana, bo podejrzewałam, że potajemnie spotkał się z Jasmine...

Wszyscy wzięliśmy swoją parę tego... czegoś. Zostały jeszcze trzy dla Jasmine, Sheya i Luke'a, ale oni, ze względu na to, że mieli zająć się walką, nie potrzebowali tego sprzętu. Ostrożnie wsadziłam słuchawkę do ucha, była wygodna. Mikrofon, który przez swój kształt przypominał guzik, wpięłam w marynarkę wzorem Theo. Czułam się idiotycznie.

— Ale kozackie — ekscytował się Matt, wsadzając kulkę do ucha.

Zmrużył jedno oko, a następnie uniosł głowę, zakładając ręce na pierś i przyjmując postawę mafiosa. Laura spojrzała na niego jak na idiotę.

— Nie jesteś Jamesem Bondem, wiesz o tym? — zadrwiła, na co Matt przewrócił oczami.

— Na drugie mam James — obruszył się. — Za to ty jesteś jedzą.

Cameron zmarszczył brwi i spojrzął na chłopaka ze zdziwieniem.

— Na drugie masz Arnold — przypomniał mu.

Ta uwaga niebywale rozwścieczyła Matta, który z oburzeniem wyjął usta i założył ręce na piersi.

— Dobra, bo zaraz się zaczniesz — mruknął mój brat, ściągając na siebie naszą uwagę. — Jeśli chcecie to wyłączyć, po prostu stuknijcie dwa razy w słuchawkę. To samo z wyłączeniem.

Na próbę uderzyłam palcem wskazującym w małe urządzenie w swoim uchu. Usłyszałam ciche piknięcie. Pozostali również to zrobili.

— Wszystko słychać? — zapytał Theo, a jego głos usłyszałam i obok, i w swoim uchu. Po minach reszty poznałam, że i u nich wszystko działa. — To dobrze. Jeśli nie będziemy mówić jednocześnie i się przekrzykiwać, wszystko będziemy słyszeć wyraźnie. Możecie na razie to wyłączyć.

Każde jego słowo słyszałam idealnie w słuchawce. Ponownie postukałam w urządzenie, wyłączając je. Wszyscy spojrzeliśmy na siebie i było w tym coś tajemniczego. Chociaż denerwowałam się jak jasna cholera, decyzja została podjęta i nie było już odwrotu.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że zaczęliśmy beczelnie igrać z czymś, z czym igrać nie należało.

— Chodźcie. Zajrzyjmy do Nate'a — powiedział Scott, na co wszyscy się zgodziliśmy.

Theo zamknął walizkę i odniósł ją do samochodu, a gdy wrócił, razem ruszyliśmy w stronę głównego wejścia obleganego już przez ludzi. Przed metalowymi drzwiami stało dwóch barczystych mężczyzn, którzy byli o dobre dwie głowy wyżsi ode mnie. Zastanawiałam się, czy nas wpuszczą, ale kiedy zobaczyli Scotta, zrobili to bez problemu, choć miny mieli groźne.

Po chwili znaleźliśmy się w długim korytarzu bez okien, który oświetlały jedynie podłużne jarzeniówki zamontowane na sufitach.

— To twoi znajomi? — zapytałam cicho, mając na myśli ochroniarzy.

Hayes uśmiechnął się lekko, patrząc przed siebie. Prowadził nas pewnie po obskurnym budynku.

— Powiedzmy. Może już w tym nie siedzę, ale znajomości z podziemia pozostały.

— Milusi — mruknęłam, na co ponownie się uśmiechnął.

W końcu, po dość długim marszu, stanęliśmy przed poobdzieranymi brązowymi drzwiami pomazanymi na różne kolory farbą w sprayu. Słyszałam dochodzące gdzieś z dołu przytłumione krzyki ludzi, pewnie siedzących na głównej sali. Czułam ich rosnącą ekscytację. Tam, gdzie się znajdowaliśmy, mieli wstęp jedynie zawodnicy i członkowie ich ekip. Scott zapukał dwa razy, a następnie, nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi i weszliśmy do środka.

Znów poczułam *déjà vu*, przypominając sobie te wszystkie razy przed walkami Nathaniela.

Ściany miały kolor brudnego beżu, niektóre były odrapane. Po jednej stronie stała duża szafa, a dalej kanapa, kilka krzeseł i stolik. Okno zabito deskami, jedyne źródło światła stanowiły małe lampki na suficie.

Przy ścianie zobaczyłam Jasmine z Parkerem, którzy od razu ku nam ruszyli. Thiago stał przy stoliku, o który tyłem opierał się Nathaniel. Dwóch starszych mężczyzn zawiązywało rękawice chłopaka, cicho nad czymś debatując, podczas gdy jego trener coś do niego mówił. W tym gwarze nie słyszałam, o czym rozmawiali, i nie widziałam reakcji Sheya, ponieważ Thiago zasłaniał mi widok.

— Cześć — odezwał się Luke. — Wszystko załatwione? — zapytał, witając się z Theo głośną piątką.

— Tak, zaraz idziemy — odparł Matt. — Z Nate'em wszystko w porządku?

— W jak najlepszym — powiedział zadowolony Parker, spoglądając kątem oka na Nathaniela, który był zajęty rozmową ze swoim trenerem. — To będzie ciekawa walka.

— Oby nikt nikogo nie zabił, a będzie dobrze — mruknął Scott, na co mocniej zacisnęłam dłoń w pięści.

Długie paznokcie pozostawiły ciemnoczerwony ślad na mojej skórze.

Może to miał być żart, ale i tak poczułam żółć w gardle. Nie było takiej możliwości, żeby ktoś kogoś... Do cholery, nie, to wszystko miało skończyć się dobrze. Musiało skończyć się dobrze, bo jeśli nie...

— Ma dziś dobry humor — mruknął cicho Luke i niemal automatycznie na mnie spojrzął.

Popatrzyłam na niego spod byka, gdy uśmiechnął się jak niewiniątko. Wyglądał jak typowy rozrabiaka. Jego czekoladowo-złote oczy zamigotały, jakby sugerował coś, co naprawdę by mi się nie spodobało.

Cholerny Parker. Właśnie tego się bałam, nie chciałam, aby ktokolwiek wyciągnął błędne wnioski po tej całej sytuacji z festynu.

Odcchrząknęłam, zakładając ręce na piersi. Nie miałam siły na analizowanie spojrzeń Parkera. Na szczęście nie kontynuował tej zabawy, po prostu odwrócił się w stronę Sheya, który skończył rozmowę z trenerem, odbił się od blatu stolika i wyprostował. Dwaj mężczyźni wymamrotali coś do niego, na co pokiwał głową, uderzając rękawicami o siebie. Thiago z posępną miną ciężkim krokiem odszedł na bok, a za nim podążyła reszta ekipy. Zaczęli bardzo cicho o czymś dyskutować.

To było tak, jakbym przeniosła się w przeszłość, i ta myśl sprawiła, że na ułamek sekundy straciłam oddech. Obserwowałam ciało Nathaniela w czarnych sportowych szortach ze złotym paskiem, które kończyły się trochę przed kolanem. To nadal były jego kolory. *Ten sam Shey.* Na stopach miał czarne wiązane buty, a na dłoniach zasznurowane już rękawice w kolorze białym, co lekko mnie zdziwiło, ponieważ przeważnie jego rękawice były czarne. Nie miałam czasu się nad tym zastanawiać, bo mój wzrok zawiesił się na jego odkrytym torsie i... *och, cholera.* Nienawidziłam siebie za swoją słabość do jego ciała. Chryste, minęły cztery lata, a ja nadal reagowałam na niego jak rozchwiana emocjonalnie nastolatka, w której buzują hormony, choć idealnie to maskowałam.

Jego ciało od zawsze było dla mnie przedmiotem uwielbienia. Uwielbiałam jego tors, te szerokie, muskularne barki oraz ramiona. Nigdy nie był zbyt opalony, ale również nie blady. Kątem oka obserwowałam jego szyję oraz wyraźne obojczyki, które odznaczały się przy każdym ruchu rąk. Ten szczegół kiedyś fascynował mnie u niego szczególnie. Te ładnie wyrzeźbione mięśnie brzucha, nie przesadnie i nie niezdrowo. Zarys mięśni jego klatki piersiowej był...

Przełknęłam ślinę, przenosząc pozornie obojętny wzrok na ścianę obok, jakby była dla mnie w tamtej chwili bardziej interesująca.

Uspokój się.

Udałam nonszalancję, aby ukryć to, co właśnie się we mnie działo. Co, do kurwy? Dlaczego gdy zobaczyłam go bez koszulki, zareagowałam w taki głupi sposób?! Tak, Nathaniel Shey był przystojny. Był piekielnie gorący, a ja zupełnie obiektywnie to oceniłam. Każdy człowiek, który ma oczy, stwierdziłby to samo. *Tak. Dokładnie.*

Było mi duszno.

— I jak? Rękawice w porządku? — zapytał Luke, idąc w kierunku Nathaniela.

Shey skinął, przekręcając nadgarstki, aby wszystko dokładnie sprawdzić. Z poważną miną pochylił głowę, a jeden kosmyk włosów opadł mu zawadiacko na czoło. Zacisnęłam szczękę, spoglądając na jego skupioną twarz. Kiedy tak mu się przypatrywałam, znów dostrzegłam czarny tusz na jego skórze. Na lewej ręce tuż nad wewnętrzną częścią łokcia znajdował się mały czarny pasek, który zauważyłam u niego już kiedyś w warsztacie.

Nathaniel naprawdę miał tatuaż.

— Jest dobrze — potwierdził w końcu cierpkim głosem, który spowodował kolejny dziwny skurcz w moim brzuchu.

Miałam naprawdę dość samej siebie.

— To zaraz pomogę ci je ściągnąć. Do twojej walki jest jeszcze sporo czasu — powiedział Luke.

Nathaniel skinął głową, a potem uniósł wzrok i przesunął nim po twarzach swoich przyjaciół. Na końcu zatrzymał go na mnie. Niewzruszona uniosłam brodę, wytrzymując jego spojrzenie. Mimo że widzieliśmy się raptem dzień wcześniej, wydawało mi się, że od tego czasu minęły wieki. To było tak irracjonalne, poprzedniego dnia siedzieliśmy razem na diabelskim młynie, rozmawiając o głupich rzeczach, których się boimy, a dwadzieścia cztery godziny później staliśmy naprzeciw siebie w obskurnym pokoju, czekając na jego walkę i moje ponowne spotkanie z Brooklynem.

— Jak się czujesz, stary? — zapytał jak gdyby nigdy nic Matt, podchodząc do chłopaka.

Nathaniel przerwał nasz kontakt wzrokowy i popatrzył na Donovana bez emocji.

— Jest okej — odparł lakonicznie. — Wiecie coś o Brooklinie?

— Jeszcze nic, ale będziemy obserwować — odparł Scott. — Ty się skup na swojej robocie.

Nagle do pomieszczenia wpadł jakiś młody chłopak, by nas poinformować, że pierwsza walka ma się za chwilę zacząć. W jednej sekundzie atmosfera zrobiła się mniej przyjemna i ciężkie chmury powagi zawisły nad naszymi głowami. Thiago burknął coś do swoich towarzyszy i we trzech wyszli. Laura westchnęła, niepewnie spoglądając na profil Sheya.

— Musimy chyba już iść — mruknęła. — Powodzenia, Nate.

Chłopak skinął głową, nie odpowiadając. Każdy pożegnał go jakimś motywującym tekstem, nawet Cameron kiwnął w jego stronę. Nathaniel siłą powstrzymał się od przewrócenia oczami, podejrzewałam, że zaczynają irytować go te ckliwości. W pewnym momencie poczułam jednak, że i ja muszę coś powiedzieć. Scott z resztą zastanawiali się na głos, w jakich grupkach powinniśmy iść na główną salę oraz kto ma pilnować których drzwi, ale nie skupiłam się na tym.

Zbierając w sobie odwagę, powoli ruszyłam w kierunku Sheya, przez co ściągnęłam na siebie jego wzrok. Już nie widziałam w nim tego chłopaka z festynu, który kłócił się ze mną o smak lodów, jakby nie miał żadnych większych zmartwień. Nie widziałam w nim tego dwudziestopięciolatka ze zdjęcia z fotobudki. Widziałam czarne oczy, które patrzyły na mnie hardo i z niebezpiecznym błyskiem. Widziałam zaciętą minę bez śladu emocji. Widziałam kogoś, kto za wszelką cenę chciał wygrać. Dokładnie tak jak kilka lat wcześniej. Znow powrócił tamten Nathaniel.

I nie wiedziałam, czy bardziej mnie to przerażało, czy fascynowało.

Stałam tuż przed chłopakiem w bezpiecznej odległości, wpatrując się w jego twarz. Mimo moich wysokich szpilek nadal był wyższy ode mnie. Nie stałam zbyt blisko, ale i tak czułam jego zapach. Zignorowałam dziwne uczucie, jakie mnie ogarnęło.

— Pamiętaj, że nie możesz osierocić Bonnie — wypaliłam nagle, chyba nieźle go tym zaskakując.

Trochę liczyłam, że ten głupi tekst rozluźni atmosferę, no i nie chciałam, żeby poprzedni wieczór i czas, który razem spędziliśmy, tak po prostu się zatarł. Pragnęłam, by nie zapomniał i wiedział, że ja też pamiętam.

Chyba dopiero po chwili dotarł do niego sens mojej wypowiedzi. Jego czarne oczy wpatrzyły się we mnie jeszcze bardziej intensywnie, ale twarz pozostała niewzruszona.

Nagle do naszych uszu dobiegło ciche stęknięcie. Kątem oka spojrzałam na Donovana, którego mina wyrażała konsternację.

— Stary, ty masz dzieciaka? — zapytał śmiertelnie poważnie.

Po jego pytaniu rozległo się kilka męczeńskich jęków. Ja sama przymknęłam powieki, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Choć, Mattie — powiedziała miękko Laura, łapiąc go za dłoń, podczas gdy chłopak nadal wpatrywał się w Sheya z przerażeniem w oczach. — Poszukamy automatów z orzeszkami.

— Ale tu nie ma...

Dziewczyna nie dała mu skończyć, niemal siłą wypchnęła go z pomieszczenia, a następnie sama ruszyła za nim. Reszta również zaczęła się zbierać.

Ponownie popatrzyłam na Nathaniela, który przez ten cały czas nie spuścił ze mnie wzroku ani na sekundę, co nieco mnie speszyło, ale nie dałam tego po sobie poznać. Jego oczy znów były puste i matowe, a okoliczności sprawiły, że wydawały mi się też nieco przerażające.

— Maskotka, którą w pocie czoła dla ciebie wygrałam, jest w końcu kimś ważnym. To prezent na urodziny, nie możesz jej osierocić — przywołałam na nowo przerwany wątek.

Ku mojemu zdziwieniu Nathaniel podjął rozmowę.

— Zawsze możesz się nią zaopiekować — wyszeptał ochryple.

Powinni spalić go w piekle za to, jak brzmiał wtedy jego głos. Pokręciłam hardo głową.

— Takiej odpowiedzi nie przyjmuję.

Niewiele myśląc, zacisnęłam dłoń w pięści, a następnie wyciągnęłam je w stronę chłopaka. Nathaniel zawiesił na nich wzrok na dwie sekundy, a później ponownie popatrzył mi w oczy i zmarszczył brwi.

— Na szczęście — mruknęłam.

Zrozumiał, o co mi chodzi. Przewrócił oczami, ale posłusznie uniósł swoje rękawice. Z zapalem małego dziecka uderzyłam w nie lekko pięściami, a towarzyszący temu cichy odgłos zgubił się w gwarze, który docierał do nas z głównej sali.

— Nie daj się zabić, Shey — rzuciłam zawadiacko.

Chociaż czułam się tak, jakby ktoś przejeżdżał po mnie walcem, nie chciałam dokładać mu stresu.

Mogłam być kłębkim nerwów, trząść się w środku i w myślach rwać włosy z głowy. Mogłam robić to wszystko, ale w tamtym momencie w tym pieprzonym pokoju chciałam przekazać mu swoje wsparcie i wiarę w to, że wszystko będzie dobrze.

A czy w to wierzyłam? Cóż, tego nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że chcę, aby to on wierzył.

Posłałam mu ostatnie spojrzenie, a następnie odwróciłam się i ruszyłam ku drzwiom, ciągle czując na sobie jego wzrok. Pokój opuścili już niemal wszyscy, w środku, prócz Sheya, został jedynie Luke.

Gdy znalazłam się na korytarzu, odwróciłam się ponownie w stronę Nathaniela, bo przysłała mi do głowy głupia myśl. Stał nadal w tym samym miejscu, patrząc na mnie, więc niewiele myśląc, uniosłam lekko kącik ust i puściłam mu oczko na szczęście. Po moim geście znów przewrócił oczami, kręcąc głową, a ja parsknęłam pod nosem i ruszyłam korytarzem przed siebie.

Mogłabym przysiąc, że na jego wargach pojawił się mały uśmieszek.

Szłam w stronę głównej sali, słuchając ustaleń reszty. Cameron i Laura mieli kręcić się obok tylnego wejścia, Matt w pobliżu bocznego, Mia z Chrisem przy zachodnim skrzydle, a Scott miał zająć się głównymi drzwiami. Theo dostał za zadanie krążyć po całej sali, tak jak ja. Mieliśmy szukać Brooklyna w tłumie i modlić się, aby ktoś z nas go znalazł.

W końcu pokonaliśmy ostatni ciąg schodów, który prowadził do głównej sali. Im bliżej się znajdowaliśmy, tym wyraźniejsze stawały się głosy i krzyki. Przeszliśmy przez wielkie drzwi, wchodząc do środka. Wtedy dotarło do mnie jedno: nie tak to zapamiętałam.

Byłam w życiu na kilku walkach, więc spodziewałam się czegoś innego. Surowych jarzeniówek, które oświetlałyby ustawiony na środku ring. Zabitych dechami okien, smrodu, brudnych ścian. Do tego przywykłam i w pierwszej chwili wydawało mi się, że źle trafiliśmy. Pomieszczenie, do którego weszliśmy, było wielkie, wypełnione krzyczącymi ludźmi i... świeciło. Ono naprawdę świeciło. Zastanawiałam się, co się dzieje, ale szybko zrozumiałam, że do zwyczajnych lamp dodano reflektory fluorescencyjne, które rzucały snopy światła w różnych kierunkach, i oświetlenie włączano na zmianę co jakiś czas. Dlatego momentami wszystkie białe przedmioty świeciły w ciemności. Sporych rozmiarów kwadratowy ring stał na podwyższeniu, a z każdej strony otaczał go tłum. Ludzie tłoczyli się również na balkonach, z których mieli dobry widok na miejsce walk. Na dodatek po lewej całej ścianę zajmował gigantyczny telebim, na którym pojawiały się dziwne neonowe znaczki.

Rozglądałam się w szoku po pomieszczeniu, zastanawiając się, jakim cudem takie przedsięwzięcia miały rację bytu. Nie miałam pojęcia,

kto był inwestorem w przypadku tego gówna, ale ten ktoś musiał mieć wyobraźnię i pieniądze.

— Trochę się pozmieniało! — zawołałam w stronę reszty, aby przekrzyczeć hałas.

— Policja już nawet nie udaje, że coś z tym robi! — odkrzyknął Scott. — I zmienili się inwestorzy. Oprócz dobrej walki mają być też efekty wizualne!

Chyba wszyscy byliśmy zdziwieni, że nielegalne walki organizowano z takim rozmachem. Rzuciliśmy sobie ostatnie spojrzenia, a następnie się rozdzieliliśmy. Poszliśmy w wyznaczonych kierunkach i włączyliśmy słuchawki.

Przełknęłam ślinę, aby opanować stres, gdy weszłam w tłum ludzi. Trzymałam się możliwie najbardziej z boku, rozglądając się uważnie dookoła. Zaczęłam nieco żałować, że wybrałam na tę akcję szpilki, bo utrudniały poruszanie się w tym ścisku. Obchodziłam halę i przyglądałam się każdej twarzy, aby wyłapać tę znajomą, która niegdyś nawiedzała mnie w koszmarach, ale Brooklyna nigdzie nie było. Krzyki przybrały na sile, gdy na ring wszedł wysoki mężczyzna, który z ekscytacją zaczął zapowiadać pierwszą walkę.

I się zaczęło.

Z odrazą zerkałam co jakiś czas na zawodników, którzy wymierzali sobie potężne ciosy. Krew lała się strumieniami, ludzie szaleli, pragnąc większej rzezi, a sumy pieniędzy z zakładów prowokowały pierwsze klótnie na widowni. Z rezerwą przyglądałam się przez chwilę drugiej walce, ale szybko skupiłam się wyłącznie na szukaniu Brooklyna i słuchaniu głosów w słuchawce. Nikt go nie spotkał, a ja miałam ochotę wyjąć urządzenie z ucha, gdy między Theo a Mattem wywiązała się dyskusja na temat prawego sierpowego jednego z zawodników, której musieliśmy słuchać wszyscy. Zaczęłam się stresować, że White w ogóle się nie zjawi i niepotrzebnie narażaliśmy Nathaniela.

W pewnym momencie zobaczyłam kogoś znajomego. W tłumie ludzi stała Alice, nasza sąsiadka, która niemal włamała się nam do domu. Dziwnie się poruszała, ciesząc się i skacząc, co totalnie nie pasowało do tego wydarzenia, a że miała na sobie dopasowany komplet z Adidasa w białym kolorze, wyglądała jak wielka, świecąca kula dyskotekowa. Wciąż machała rękami, jakby była na szkolnej imprezie. Włosy miała

potargane i bawiła się świetnie. Spojrzałam na nią z niedowierzaniem, a następnie szybko skierowałam się w przeciwną stronę.

Trzecia walka już się kończyła, gdy zauważyłam niską blondynkę, która stała pod jednym z filarów. Była drobna, ubrana w różowy sweter i jasne jeansy, i zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Miała nie więcej niż osiemnaście lat. Bardziej niż fakt, że się tam znalazła, zaskoczyło mnie to, że z jej zaciśniętej w pięść dłoni wystawał kawałek różańca. Nastolatka ze zmartwieniem wypisanym na twarzy wpatrywała się w ring, mamrocząc coś pod nosem. Rozejrzałam się po hali, a potem westchnęłam i stuknęłam dwa razy w swoją słuchawkę, aby ją wyłączyć. Dziewczyna wyglądała na przerażoną. Postanowiłam ją zagadnąć.

— Hej — mruknęłam cicho, na co podskoczyła w miejscu i popatrzyła na mnie ze strachem. — Nie chciałam cię przestraszyć. Dobrze się czujesz? — zapytałam, obserwując jej nienaturalnie bladą skórę.

Dziewczyna lekko odetchnęła, widząc, że nie mam zamiaru jej niczego zrobić.

— Cześć, tak, wszystko okej — odpowiedziała miło, a jej głosik był dźwięczny i melodyjny.

Wydawało mi się, że już go kiedyś słyszałam. Ona cała wydawała się dziwnie... znajoma.

Stanęłam obok niej, zerkając to na ring, to na nią.

— Wydajesz się strasznie zdenerwowana — zauważyłam, a następnie uniosłam lekko ręce. — Nie chcę się wtrącać, ale po prostu nie wyglądasz najlepiej. Może chcesz się przewietrzyć?

— Nie, to... — zaczęła, po czym odchrząknęła i założyła kosmyk włosów za ucho. Była ładna, taka naturalnie urocza. — Po prostu mój chłopak będzie walczył w następnej walce. Martwię się o niego.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. Już mnie nie dziwiło ani jej zdenerwowanie, ani to, że tak mocno ścisnęła ten różaniec. Gdybym była wierząca, sama bym się w takiej chwili modliła.

— Rozumiem cię — mruknęłam z bladym uśmiechem. Nawet nie wiedziałam, dlaczego kontynuowałam tę rozmowę. — Mój znajomy też dziś walczy.

Dziewczyna posłała mi pełne współczucia spojrzenie, a następnie uniosła kącik ust i różaniec. Chyba zastanawiała się, czy mówić dalej. W końcu jednak westchnęła cicho, znów zerknęła na ring i spochmur-

niała. Cholera, naprawdę mi kogoś przypominała, nie wiedziałam tylko kogo. Patrzyłam na nią intensywnie, pragnąc sobie przypomnieć, ale nic nie przychodziło mi na myśl.

— Nienawidzę tych walk — mruknęła cierpko, a w jej oczach pojawił się smutek. — Za każdym razem, kiedy wchodzi na ring, mam ochotę zwymiotować. Dosłownie, ale on jest taki uparty i to kocha. Kim ja jestem, aby mu tego zabraniać, skoro go to uszczęśliwia?

W ciszy wpatrywałam się w jej smutny uśmiech. Świetnie ją rozumiałam, to było aż dziwne, utożsamiać się z kimś, kogo się nie zna, do tego stopnia. Cichy głosik w środku podpowiadał, by zakończyć to spoufalanie się i zająć się swoją robotą, ale mimo to dalej stałam w miejscu, obserwując dziewczynę.

— Rozumiem cię lepiej, niż może ci się wydawać. — Słowa zaczęły wypadać ze mnie szybciej, niż zdążyłam o tym pomyśleć.

Chyba popełniłam błąd, bo gdy tylko to powiedziałam, poczułam na sobie zaciekawione spojrzenie dziewczyny.

— To znaczy? — zapytała nadal lekko nieśmiało.

Przygryzłam dolną wargę, wpatrując się zamglonym wzrokiem w ring. Właśnie jeden z mężczyzn uderzył drugiego, a krew obryzgała niektórych ludzi na widowni, przez co zaczęli się wydzierać z jeszcze większą ekscytacją. Nie skupiłam się na tym, byłam już w swoim świecie. W świecie sprzed czterech lat. Może nie powinnam była tego mówić obcej dziewczynie i wracać myślami do tamtych chwil przed jego walką, ale...

Ale tylko może.

— Kiedyś... coś mnie łączyło z pewnym zawodnikiem — mruknęłam cicho i uśmiechnęłam się z nostalgią.

Blondynka popatrzyła na mnie z jeszcze większym zaciekawieniem, podczas gdy ja wciąż obserwowałam ring.

— Też często walczył. Był najlepszy, nie do pokonania. Ludzie kochali go oglądać, przyjeżdżali z innych miast, aby zobaczyć jego walki — ciągnęłam z lekkim uśmiechem, kręcąc głową. — Byli tym tacy podekscytowani, ale ja miałam ochotę się rozplakać za każdym razem, kiedy wychodził na ring — wyszeptalam, nie zwracając uwagi na to, czy dziewczyna mnie usłyszy, czy nie. — Często spędzał ze mną ostatnią noc przed walką. Potem szedł walczyć, a ja zastanawiałam się, czy to nie ostatni raz. Czy jeszcze w ogóle go zobaczę. Nienawidziłam

tęgo, że narażał życie w ten sposób, i chciałam zmienić jego myślenie. Ale w końcu zdałam sobie sprawę z tego, że on kochał to robić. Kochał tę adrenalinę, tę całą otoczkę i ten sport. Nie obchodziło go, ilu ludzi przyjdzie go oglądać ani ilu postawi na niego pieniądze. Dla niego liczyło się tylko to, by walczyć. *Bo boks go uratował*. Zawsze tak mówił, a ja się zastanawiałam, gdzie w tym logika, skoro po każdej walce nie mógł ruszać dłońmi i ledwo stał na nogach. Bo jak może cię ratować coś, co tak cię krzywdzi?

Wszystko wokół stawało się coraz mniej widoczne. Głosy ludzi lekko wyciszyły się w mojej głowie. Przypomniała mi się każda jego walka, każdy siniak na jego ciele. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć jego miłości do boksu. Tęgo, jak był temu oddany. To było takie głupie, narażał życie, a ja za każdym razem błagałam bogów, aby nic mu się nie stało i abym jeszcze go zobaczyła. To było dla mnie tak cholernie ważne, że nie liczyło się nic więcej. Od kiedy go poznałam, był tylko *on*. Choć może na początku się do tego nie przyznawałam.

Pomrugałam gwałtownie, gdy zdałam sobie sprawę z tego, że się zawiesiłam. Odchrząknęłam i wróciłam do realnego świata. Odsunęłam od siebie nostalgię i zrobiłam obojętną minę. Uniosłam lekko kącik ust, zerknąwszy na blondynkę, która przypatrywała mi się z żalem. Wzruszyłam ramionami, by pokazać, że to nic takiego.

Minęły cztery lata, tamto było przeszłością.

— Bardzo mi przykro — szepnęła dziewczyna ze szczerym smutkiem.

— Cóż, ja już tego nie przeżywam, więc współczucie należy się tobie — odpowiedziałam pustym głosem. — Ale... jak źle by nie było, nie każ mu wybierać. Nigdy nie stawiaj mu ultimatum.

Ja postawiłam. I długo tego żałowałam.

Blondynka skinęła głową, a następnie zmarszczyła lekko jasne brwi i zerknęła na mnie z dziwną radością.

— Okropnie go kocham. Wiem, że to miłość na całe życie — westchnęła rozmarzona.

Miałam ochotę zaśmiać się jej w twarz, była taka naiwna. Nie istniało coś takiego.

— Jak byłam młodsza, czytałam o tym w powieściach. Wiesz, o takiej pięknej, może niebezpiecznej miłości, ale pełnej pasji. Nie wiedziałam, czy takie coś istnieje i czy można przeżyć taką przygodę, ale później

spotkałam taką parę... — Roześmiała się, wspominając. — To była dziewczyna z chłopakiem. Włamali się do mojego rodzinnego domu i kapali się w naszym basenie. Ta dziewczyna zgubiła klucze, a ja jej te klucze oddałam, żeby nie mieli kłopotów z policją...

Nie słuchałam jej dalej, bo trybiki w mojej głowie pracowały na najwyższych obrotach. Nie, to nie było możliwe, abym po ponad pięciu latach zobaczyła dziewczynę, która uratowała mi życie, gdy byłam w trzeciej klasie liceum. Doskonale pamiętałam tamten moment, kiedy Nathaniel wepchnął mnie do cudzego basenu, aby się na mnie zemścić. Wypadły mi klucze i gdyby nie córka właściciela posiadłości, która nam je oddała, zapewne włamanie widniałoby w mojej kartotece.

Dlatego wydawała mi się taka znajoma. Taylor, już nie dziewczynka, tylko młoda kobieta.

— ...nigdy więcej ich nie zobaczyłam, ale to zapadło mi w pamięć.

Powróciłam na ziemię, przysłuchując się jej słowom.

— Wtedy zdałam sobie sprawę, że coś takiego może istnieć naprawdę. Byli tacy jak w tych książkach. Żywi, pełni emocji i pasji. Robili, co chcieli, nie bali się. A wydawali się tacy młodzi... i to mnie natchnęło. Pokazało mi, że życie można tak przeżyć, nawet jeśli to głupia droga.

— Z tego, co mówisz, to bardzo głupia — ledwo dałam radę wydobyć z siebie te słowa.

Nie wierzyłam, że to się wydarzyło, że po tylu latach spotkałam tę dziewczynę i że wraz z Nathanielem jakoś ją zainspirowaliśmy. W jeden z najgłupszych możliwych sposobów. Przemknęło mi przez głowę, że może i Taylor mnie rozpoznała, ale szybko uznałam, że to niemożliwe. Zmieniłam się od tamtego czasu. Wtedy miałam siedemnaście lat, byłam przemoczona i bez makijażu, a do tego było okropnie ciemno.

Ona nie wiedziała, że mówiła o mnie.

— Wiem, jak to brzmi, ale nie widziałas ich — westchnęła, uśmiechając się do siebie. — Już nigdy więcej ich nie zobaczyłam, jakby byli duchami, które miały mi pomóc zacząć podejmować własne decyzje. To spotkanie trwało kilka minut, ale dzięki niemu zrozumiałam, że chcę czegoś więcej. Chciałam tego, co mieli oni.

— Problemów z policją? — zakpiłam z pełnym politowania uśmiechem, ale to nie zraziło dziewczyny.

Pokręciła głową.

— Chciałam wolności — odparła, patrząc na ring. — Chciałam spróbować życia. Chciałam mieć tyle pasji, ile oni. Możesz uznać mnie za wariatkę, ale w ich oczach widziałam pożar. I wtedy zrozumiałam, że jeśli mam naprawdę przeżyć życie, to tylko w ten sposób. Dlatego cieszę się, że poznałam Dantego. Pokazał mi prawdę i otworzył oczy. Niczego nie żałuję.

Przełknęłam ślinę i spuściłam wzrok. Nie chciałam jej mówić, że to mnie spotkała przed laty, ale z całych sił pragnęłam, aby jak najszybciej zawróciła z tej popierdolonej drogi, która zniszczyła mi życie. Ta pozorna wolność i przygody, które osobom patrzącym na to z boku mogły się wydawać atrakcyjne, w rzeczywistości okazały się zapowiedzią piekła. A ja byłam głupia, ponieważ to piekło zaakceptowałam.

Byłam głupia, bo doprowadziłam się do samozagłady.

— Może jakieś rady od kogoś, kto również to przeżył? — zapytała miękko.

Wpatrywałyśmy się w siebie, chociaż bez wątpienia intensywność naszych spojrzeń była inna. W pewnym momencie dziewczyna trochę się speszyła, co wydało mi się w sumie urocze. Była ładna, słodka i tak bardzo nie pasowała do tego miejsca, ale przyszła tam dla chłopaka, którego kochała, chociaż nie znosiła walk. Wtedy mnie olśniło — wiedziałam już, kogo mi przypominała. Kogo w niej zobaczyłam i dlaczego do niej podeszłam. Wydała mi się znajoma nie tylko dlatego, że była tą dziewczyną, która przed laty mi pomogła.

Widziałam w niej Victorię Clark sprzed czterech lat. Ona również przepadła dla pewnego chłopca.

— Zrezygnuj, póki nie jest za późno.

Gołym okiem było widać, że Taylor nie tego się spodziewała.

Nie dodając nic więcej, odwróciłam się i ruszyłam przed siebie. Wiedziałam, że droga, którą obrała dziewczyna, zawsze kończy się smutkiem i makabrycznym cierpieniem, i czułam wyrzuty sumienia, że się do tego przyczyniłam. Jednak odsunęłam to od siebie, miałam zadanie. Z kamienną twarzą weszłam w tłum ludzi i dwa razy stuknęłam w słuchawkę. Trafiłam na debatę Matta i Chrisa na temat walki, co oznaczało, że zapewne niczego nie straciłam. Jak gdyby nigdy nic powróciłam do skanowania wzrokiem tłumy.

Jak gdyby to nigdy się nie wydarzyło.

Kiedy dwie następne walki również się skończyły, nadszedł ten moment, którego tak bardzo się bałam. Ludzie już się nie hamowali, było głośno i wszystko wokół zlewało mi się w jedną plamę. Nawet nie wiedziałam, kiedy przystanęłam. Na ringu pojawił się wyraźnie zadowolony prowadzący, który zapowiedział finałową walkę. Jego tubalny głos mieszał się z ciężką muzyką wydobywającą się z potężnych głośników. Nawet nie skupiłam się na tym, o czym mówił. Z szybko bijącym sercem patrzyłam na ring, gdy okrzyki stały się jeszcze głośniejsze — za sprawą jednego z zawodników, który właśnie wszedł na salę.

Patrick Sanchez w połyskującym ciemnoniebieskim szlafroku podchodził do ringu w towarzystwie swojej ekipy. Na głowie miał kaptur, a jego rękawice świeciły. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, dlaczego były białe. Przez te światła, które właśnie włączono, wyglądały jak jarzące się kule, co wyglądało naprawdę efektownie. Jakoś nie zwróciłam na to uwagi wcześniej.

Sanchez wszedł na sam środek maty i uniośł ręce w geście zwycięzcy, po czym zrobił rundkę wzdłuż lin, przez co ludzie jeszcze głośniej zawyli. Było widać, że go lubią. Minęło kilkadziesiąt sekund i udał się do swojego narożnika. Wtedy znów podniosła się wrzawa, głośniejsza niż dotąd. Czuję, jak moje serce zwalnia, gdy z korytarza po prawej stronie wyłoniło się kilka postaci. Ja widziałam tylko jedną. Chłopak powoli, niczym zjawą, przemierzał kolejne jardy. Jego spuszczoną głowę okrywał czarny kaptur szlafroka. Wyglądał jak śmierć udająca się po swoją następną ofiarę. Publiczność darła się do niego, on jednak niezbyt się tym przejmował. Obok szedł Thiago, a dalej kroczyli pozostali członkowie ekipy, do których dołączył Luke. Nathaniel wszedł na ring, ale, jak to on, nawet nie obrócił się w stronę ludzi. Od razu podszedł do swojego narożnika.

Uważnie obserwowałam, jak zawodnicy ściągają szlafroki, a następnie wkładają ochraniacze na zęby. Shey uderzył rękawicami, strzelił z karku i odwrócił się w kierunku przeciwnika. Obaj wyszli na środek maty, mierząc się wzrokiem. Z tej odległości nie widziałam ich min, ale coś czułam, że spojrzenia, jakimi się obrzucili, nie były przyjazne. Shey nieco górował nad Sanchezem, jednak ten drugi wyglądał, jakby niezbyt mu to przeszkadzało. Sędzia podszedł do nich i powiedział im coś cicho, a kiedy skinęli głowami, odszedł na bok, krzycząc, aby zaczęło się przedstawienie.

— Start! — wrzasnął ktoś z sali.

Pierwszy cios wymierzył Patrick. Musiałam zamknąć oczy, gdy zobaczyłam, jak jego rękawica potężnie uderza w tułów Nathaniela. To musiało być niesamowicie bolesne, jednak Shey nie zareagował i chwilę później odpowiedział atakiem prosto w twarz Sancheza. Potem wszystko działo się już szybko. Na przemian wymierzali sobie mocne ciosy, a ludzie darli się i przepychali, aby znaleźć się jak najbliżej. Już po pierwszych dwóch minutach pojawiła się krew, która ściekała z rozwalonego łuku brwiowego Patricka. Wiedziałam, że powinnam była skupić się na szukaniu Brooklyna, ale nie mogłam. Ze ściśniętym gardłem patrzyłam na każdy ruch na ringu, błagając w myślach, aby następny cios nie przyniósł Nathanielowi bólu.

Walka była wyrównana, żaden z przeciwników nie zyskał prowadzenia, chociaż Nathanielowi kilka razy udało się przycisnąć Patricka do lin. Widziałam jego pot i coraz mocniejsze zaczerwienienia od uderzeń. Było mi słabo i duszno, a gdy Sanchez przyparł Nathaniela do narożnika, sprzedając mu serię potężnych ciosów w brzuch, musiałam odwrócić wzrok, bo nie potrafiłam patrzeć na te uderzenia, na tę krew... *Było tam tyle krwi*. Nie umiałam stwierdzić, która to runda, ponieważ nie rejestrowałam upływu czasu. W słuchawce słyszałam nerwowe rozmowy reszty, więc wiedziałam, że nikt nie znalazł Brooklyna. Czyli wszystko poszło na marne. *On ryzykował swoje życie na marne*.

Kolejny cios. I kolejny strumień ciemnoczerwonej krwi, który zalał jasną matę.

— Kurwa! — usłyszałam w słuchawce ciche przekleństwo, które padło z ust Matta.

Zmarszczyłam brwi.

— Co jest? — zapytał Scott.

— Popatrzcie na balkon po prawej stronie telebimu.

Bezwiednie uniosłam głowę i spojrzałam na ludzi, którzy tłoczyli się na balkonie i wychylali przez barierki. Początkowo nie rozumiałam, o co chodziło Donovanowi, ale gdy się lepiej przyjrzałam, dostrzegłam wysoką, chudą sylwetkę. Brooklyn White. Pierdolony Brooklyn White stał pośród tłumu ludzi, w obstawie barczystych ochroniarzy, obserwując to, co działo się na ringu. Niebieskie światła co jakiś czas oświetlały jego trupioblądą twarz. Naprawdę tam był.

Udało się.

Przez szok nie wiedziałam, jakie emocje we mnie siedzą. Ktoś znowu krzyknął, więc z przerażeniem popatrzyłam na ring. Odetchnęłam z ulgą, bo rozumiałam, że to Nathaniel uderzył Patricka z taką siłą, że ten zachwiał się na nogach. Zaraz jednak mój wzrok znów powędrował na balkon i zlokalizowałam mężczyznę, który nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest obserwowany.

— Jakim cudem on wszedł do środka? — pieklił się coraz bardziej podenerwowany Scott. — Przecież nikt z nas go nie widział!

— Sukinsyn — burknął Matt.

— Co teraz mamy robić? — zapytała Laura.

Mój rozbiegany wzrok przeskakiwał od ringu do Brooklyna i tak w kółko.

Serce już mi nie wyrabiało, dłonie zaczęły lekko dygotać, oddech miałam krótki i urywany. Znaleźliśmy White'a, a ja nie miałam pojęcia, co dalej. W dodatku walka zaczęła robić się jeszcze bardziej krwawa, a Shey opadał z sił. Wszyscy głośno krzyczeli i zaczęło mnie to tak cholernie irytować! Spazmatycznie brałam kolejne wdechy, próbując jakoś opanować panikę, która mnie ogarnęła, ale na niewiele się to zdało. Chaos z nami wygrywał.

— Victoria musi jakoś się tam dostać — powiedział spokojnie Cameron.

— Niby jak, do cholery?! — warknęłam zła, w końcu zmuszając nogi do ruchu. Zaczęłam przeciskać się przez tłum, rozpychając się łokciami.

— Musisz wejść na balkon. Gdzieś powinny być schody — odezwała się Mia, gdy ja rozglądałam się wokoło.

— Victoria, szukaj ich — nakazał Scott.

— A co, do kurwy, mam zrobić potem?! — zapytałam głośno, przekrzykując tłum.

Na oślep szukałam odpowiedniego dojścia do balkonu, na którym stał mężczyzna, chociaż nie miałam żadnego planu. Popychałam kolejne osoby, które i tak tego nie zauważały, zbyt skupione na walce. Ja również kilka razy zerknęłam na ring, aby upewnić się, że wszystko w porządku, ale gdy dostrzegłam zakrwawioną twarz Nathaniela, szybko odwróciłam wzrok. Chciało mi się krzyzczyć i wyc jednocześnie. Nagle gwałtownie nabrałam powietrza, bo dostrzegłam wąski ciąg schodów w rogu hali. Zacisnęłam szczękę, a następnie, niewiele myśląc, ruszyłam w tamtym kierunku.

— Znalazłam — mruknęłam do mikrofonu.

Szybko zaczęłam wspinać się po stopniach, na których również stali ludzie. Na drżących nogach weszłam na balkon i spojrzałam na ring akurat w momencie, gdy Nathaniel dostał cios w szczękę, przez co się zatoczył. Moje serce stanęło, kiedy obserwowałam, jak słania się na nogach, ale stara się nie upaść. Sanchez też ledwo stał o własnych siłach, a przez krew ściekającą z twarzy chyba niewiele widział. Zaciśniłam dłonie w pięści, z całej siły wbijając paznokcie w skórę. Shey był coraz słabszy.

— Zaraz zaczynają piątą rundę! — krzyknęła wysoka brunetka obok mnie.

Wytrzymaj jeszcze trochę, proszę.

Wyciągnęłam szyję, szukając Brooklyna. Stał po drugiej stronie i chociaż wciąż nie miałam pojęcia, co robić, po prostu ruszyłam przed siebie. Cały czas słyszałam rozmowy w słuchawce, ale ich nie rejestrowałam. Skupiłam wzrok na mężczyźnie, który z każdym moim kolejnym krokiem był coraz lepiej widoczny. Nagle gwałtownie się zatrzymałam.

Co ja najlepszego wyprawiam?!

Nie mogłam tak po prostu do niego podejść. Nie mieliśmy żadnego planu, zostałam sama. Rozejrzałam się wokół, rozchyłając usta, i wydawało mi się, że każdy cios w Nathaniela był ciosem prosto we mnie. Coraz trudniej mi się oddychało.

— Victoria?

Drgnęłam, kiedy niski, zachrypnięty głos dotarł do moich uszu. Zastygłam w bezruchu, powoli mrugając, a następnie jak w zwolnionym tempie przeniosłam wzrok na wysokiego mężczyznę, który dostrzegł mnie w tłumie ludzi. Stał przede mną mój koszmar. Pięć lat wcześniej byłam gówniarą, a musiałam tyle przejść przez tego psychopata, który ubzdurał sobie, że mnie zdobędzie i wykorzysta Nathaniela.

Widziałam, jak White robi kilka kroków w moją stronę, nie spuszczając ze mnie wzroku. Jego zielone podkrążone oczy błysnęły niebezpiecznie. Wyglądał na jeszcze bardziej zniszczonego niż przed laty. Tatuaż węża, który był jego znakiem rozpoznawczym, lekko wyblakł, a czarne włosy miał jak zawsze zaczesane do tyłu. Ubrany w drogi czarny garnitur, kroczył ku mnie, a ja nie potrafiłam się poruszyć. Nie przygotowałam się na to, że sam będzie szukał kontaktu, więc jedynie go obserwowałam, gdy stanął naprzeciw mnie. Był wysoki i strasznie chudy, chyba chudszy,

niż zapamiętałam. Popatrzył na mnie z góry, lustrując moje ciało. W jego spojrzeniu było coś takiego, że przeszedł mnie dreszcz.

— Victorio, tyle lat — powiedział, oglądając mnie, jakbym była jakimś ciekawym okazem w muzeum. Nie z lubieżnością, raczej z dziwnym zafascynowaniem.

— Victoria, odpowiedz coś. — Cichy głos Laury rozległ się w słuchawce, podczas gdy ja nadal milczałam, wpatrując się w twarz mężczyzny.

Miałam coś odpowiedzieć? Ale co, do cholery? Stałam oko w oko z facetem, który kilka lat wcześniej niszczył mi życie, podczas gdy Nathaniel walczył obok nas.

Nathaniel.

Myśl o nim spowodowała, że wyrwałam się z letargu. Shey walczył dla nas, bo mieliśmy plan i musieliśmy go wykonać. Ryzykował życie, a ja musiałam ogarnąć swoje zadanie. Zebrałam w sobie całą energię i z obojętną miną spojrzałam White'owi w oczy. Wyprostowałam się, unosząc hardo głowę.

— Witaj, Brooklyn — odparłam bezbarwnym tonem, na co znów się uśmiechnął, ukazując rząd śnieżnobiałych sztucznych zębów, które tak bardzo nie pasowały do jego bladej, zmęczonej twarzy. — Dawno się nie widzieliśmy.

— Nieco nad tym ubolewam — mruknął, cały czas się we mnie wpatrując. — Co tu robisz? Myślałem, że wyjechałaś z Culver City.

Czyli Vincent miał rację, wiedział. Zdusiłam w sobie chęć ucieczki gdzie pieprz rośnie i pokiwałam głową.

— Tak — odparłam lakonicznie. — Przyjechałam do Culver City na kilka dni. A że akurat odbywa się walka, to postanowiłam wpaść.

— Dobrze, teraz się upewnił, że nie jesteś już nietykalna — poinformował mnie Scott.

— To dziwne, nie sądzisz? — zapytał Brooklyn. — Nate tak długo nie walczył, a nagle, po ponad czterech latach, wraca na ring. To zastanawiające.

Po tych słowach spojrzał na to, co działo się między zawodnikami, a ja patrzyłam na jego profil. Mimo że zgrywałam niewzruszoną, w środku drżałam. Zastanawiałam się, co odpowiedzieć i jak to rozegrać. Z pomocą przyszedł mi Theo.

— Powiedz, że nie masz już z nim kontaktu.

— Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym — mruknęłam pusto, wbijając wzrok w zaintrygowanego Brooklyna. — Straciliśmy kontakt.

Po moich słowach, które nie do końca były kłamstwem, oczy mężczyzny dziwnie zamigotały. Uśmiechnął się leniwie, kiwając głową. Nadal był lekko wycofany i wypowiadał kolejne słowa z rezerwą, podczas gdy ja z udawanym znudzeniem rzuciłam okiem na ring. Torturą było z obojętną miną obserwować, jak Nathaniel cierpi, chwieje się i spluwa krwią. Mimo to byłam jak kamień. Zimna, twarda i niezainteresowana. Jakbym patrzyła na obcą osobę. Brooklyna chyba coraz bardziej to fascynowało, widziałam to w jego spojrzeniu.

— Więc po co tu przyszłaś? — zapytał, na co wzruszyłam ramionami.

— Dla rozrywki.

Zapanowała między nami chwilowa cisza, podczas której mężczyzna nadal mi się przypatrywał. Zastanawiałam się, co powiedzieć, ale mnie uprzedził, lekko nachylając się w moją stronę. Opanowałam dreszcz obrzydzenia, kiedy jego twarz znalazła się nieco bliżej mojej, chociaż wciąż w bezpiecznej odległości. Zachowałam obojętną minę i popatrzyłam mu prosto w oczy.

— Victoria, zechciałabyś może zjeść ze mną kolację? — odezwał się nagle cicho, intensywnie się we mnie wpatrując.

Znieruchomiałam, bo nie spodziewałam się takiej propozycji. Nie tak szybko. Myślałam, że to ja będę musiała szukać kontaktu, ale najwyraźniej informacja, że nie zadaje się już z Sheyem, zachęciła go do działania. To mnie zdziwiło, bo naprawdę uważałam, że po czterech latach nie będę go już interesować. Najwyraźniej Vincent miał rację. Brooklyn miał przerośnięte ego, a jego duma była zszargana po walce, którą Nathaniel dla mnie wygrał. Chciał zemsty.

— Nie zgadzaj się — powiedział stanowczo Cameron, na co zmarszczyłam brwi.

Czy nie chodziło o to, żebym się do niego zbliżyła?

— Co? — zdziwiła się Mia, mówiąc to, czego ja nie mogłam. — Przecież to nam ułatwi sprawę.

— Wie, że Victoria go nie cierpi przez to, co zrobił. Jeśli od razu się zgodzi, będzie to zbyt podejrzane — wytłumaczył, a ja musiałam przyznać mu rację.

Brooklyn nadal cierpliwie czekał.

Przelknęłam ślinę, lekko się wycofując.

— Wybacz, ale muszę odmówić — mruknęłam cicho i chyba tej odpowiedzi się spodziewał.

— Wiem, że nie pałasz do mnie sympatią po tym wszystkim, ale zależy mi tylko na jednej kolacji. Niedługo i tak wyjeżdżam z Culver City — przekonywał.

— Nie mieszkasz tu już? — zapytałam z zainteresowaniem, chociaż znałam odpowiedź.

Mężczyzna wyraźnie się podenerwował.

— Nie — odpowiedział oschle, a na jego twarzy znów wykwitł obrzydliwy uśmiech. — I chciałbym jakoś odkupić swoje winy. Jedna kolacja, Victorio — nalegał, ale o to właśnie chodziło.

— Nie wiem — ciągnęłam tę grę, udając coraz bardziej niepewną, co Brooklyn od razu zauważył, bo znów poprosił. Popatrzyłam na niego z powątpiewaniem i westchnęłam. — Dobrze. W porządku. Tylko jedna kolacja, ale w miejscu publicznym — postawiłam warunek.

Mogliśmy mieć plan, ale nie było opcji, że zgodzę się zostać z nim sam na sam na jego terenie.

White przez chwilę się zastanawiał, aż w końcu kiwnął głową, choć zrobił to niechętnie. Wiedziałam, że wszystko poszło lepiej, niż mogłabym się spodziewać, ale i tak czułam się źle. Usłyszałam, że Scott zaczął coś mówić, ale szybko przerwał, bo tłum nagle zawył.

Ja i Brooklyn niemal jednocześnie odwróciliśmy się w kierunku ringu. Cały czas musiałam utrzymywać obojętną maskę, która niemal pękła, gdy zobaczyłam, co się dzieje. Sanchez i Shey byli zmordowani, spoceni i zakrwawieni. Patrick leżał na boku na macie, jednak nadal był przytomny. Chyba próbował się podnieść, ale nie był w stanie. Shey stał po przeciwnej stronie. Cóż, „stał” było nie do końca adekwatnym określeniem, bo ledwo trzymał się na nogach, opierając się tyłem o liny i głośno oddychając. Wyglądał, jakby resztkami sił powstrzymywał się od upadku. Mógł być legendą. Mógł być najlepszy, ale miał swoje granice. Byłam pewna, że w tamtym momencie modlił się o to, aby Patrick się nie podniósł, bo nie dawał już rady.

Sędzia wbiegł na środek, zaczynając liczyć, a tłum ludzi liczył razem z nim. Jedni krzyczeli w euforii, inni w rozpacz. Sanchez kilka razy

starał się wstać, ale za każdym razem opadał ponownie na matę, całkowicie wycieńczony. Serce boleśnie obijało mi żebra, kiedy bez tchu patrzyłam na scenę rozgrywającą się przed moimi oczami.

Jeszcze trochę. Jeszcze trochę.

Wybuchła prawdziwa wrzawa. Nathaniel opierał się o liny, chwijając się na nogach.

Dwa, trzy, cztery...

— Uwielbiam zasady, jakie tu panują — mruknął pustym głosem Brooklyn, gdy nadal z obojętnymi minami obserwowaliśmy to, co się działo. — Nie ma ustalonej liczby rund. Nie ma czasu. Walczy się do momentu, gdy któryś z zawodników nie będzie mógł wstać.

Pięć, sześć, siedem...

— Nie ma limitów.

Osiem, dziewięć...

Tylko chwilowa awaria

Dziesięć.

Rozległ się głośny gong. Walka się zakończyła.

Pierdolony Nathaniel Gabriel Shey wygrał po czterech latach przerwy.

Widzowie tego krwawego spektaklu całkowicie oszaleli i zaczęli wydzierać się wniebogłose. Do Sancheza podbiegli jego ludzie, a do Nathaniela Thiago wraz z Lukiem i dwoma mężczyznami, którzy pomagali mu w szatni. Kiedy Shey puścił liny, niemal od razu bezwładnie poleciał do przodu, a członkowie jego ekipy złapali go w ostatniej chwili pod ramionami, by nic mu się nie stało. Był wykończony, a jego widok łamał mi duszę i serce, choć już dawno zapomniałam, że je mam. Mimo to zmusiłam się, by ze znudzoną miną popatrzeć na Brooklyna, który przyglądał mi się z tajemniczym uśmiechem.

— Cóż, legendarny Nathaniel Shey jak zwykle niepokonany — mruknął, a w jego głosie było słycać ironiczną nutę. — Niektóre rzeczy się nie zmieniają — dodał, a następnie poprawił marynarkę, spoglądając na trzech barczystych mężczyzn, którzy natychmiast znaleźli się przy nim. — Skontaktuję się z tobą w kwestii kolacji. Bardzo miło było mi cię zobaczyć, Victorio.

Nie odpowiedziałam, a White skinął głową na pożegnanie i szybko odszedł, po czym zniknął w tłumie. Dopiero wtedy poczułam, że wraca mi oddech. Westchnęłam ciężko i przetarłszy lekko spocone czoło, oparłam się łokciami o barierkę balkonu, spoglądając na ring, na którym było już bardzo dużo osób. Thiago i Parker niemal nieśli Nathaniela w stronę wąskiego korytarza, zapewne po to, aby stamtąd udać się do

szatni. Sanchez siedział na ringu i ktoś opatrywał jego rany, starając się zatamować krwawienie. To było brudne, surowe i tak bardzo obrzydliwe.

Szybko ruszyłam w stronę schodów, aby wydostać się z balkonu. Przepychałam się między kolejnymi osobami, które jak na złość szły tak cholernie powoli.

W końcu zeszałam na parter, w międzyczasie wyłączając słuchawkę, bo rozmowy reszty zaczynały mnie drażnić. Pobiegłam w stronę korytarza, w którym zniknął Nathaniel, uważając, aby nie przewrócić się w tych cholernych szpilkach. Może działałam za szybko i powinnam była pocze-kać, ale musiałam go zobaczyć i upewnić się, że nic poważnego mu się nie stało. To było silniejsze ode mnie i od zdrowego rozsądku. Dotarłam do pomazanych sprayem drzwi i bez pukania wparowałam do środka.

W pokoju znajdowali się członkowie ekipy Sheya, jego trener, Jasmine i Luke. Dziewczyna szybko pakowała torbę przyjaciela, a Parker podawał jej kolejno jego rzeczy. Niemal instynktownie wyszukałam wzrokiem Nathaniela. Siedział na krześle przy stoliku bokiem do mnie, a przed nim stał Thiago, który zasłaniał mi widok. Jeden z mężczyzn odkażał rany na twarzy chłopaka. Odetchnęłam po raz kolejny, wchodząc głębiej do pokoju. Jasmine posłała mi szybkie spojrzenie i powróciła do pakowania rzeczy. Luke blade się uśmiechnął.

— Wszystko okej? — zapytałam dziwnie drżącym głosem.

Bałam się popatrzeć na Nathaniela, nie wiedziałam, czy zniosę ten widok.

Przestałam nad tym myśleć, gdy trener odsunął się na bok, tym samym odsłaniając Sheya, bo... och, kurwa. Kiedy go zobaczyłam, myślałam, że wypluję własny żołądek. Ledwo siedział na krześle, mokre od potu włosy przylepiły się do jego twarzy. Nie było już na niej tyle krwi, ile na ringu, ale przez to lepiej było widać jego rany. Miał rozcięty łuk brwiowy, na policzkach czerwono-fioletowe sińce, a jego lewe oko było bardzo opuchnięte, przez co pewnie ledwo widział. Wargę też miał skaleczoną i był cały potłuczony. Jeszcze gorzej wyglądał jego rozgrzany i spocony tors. Widziałam ślady po uderzeniach, które miały pozostawić po sobie bolesne siniaki.

Nadal był ubrany w spodenki i buty, nie miał już jednak rękawic, a poobijane dłonie leżały nieruchomo na jego udach. Wydawało mi się, że nawet mnie nie zauważył, bo nie reagował na żadne bodźce. Nie

krzywił się, gdy przemywano mu rany. Ledwo mrugał, trochę zjeżdżając na krzesło, więc mężczyzna, który się nim zajmował, szybko go podciągnął, aby nie spadł.

Wyglądał okropnie, jak nie on. Nie jak ten cholerny Nathaniel Shey, który rządził zawsze, wszędzie i wszystkim. Wyglądał jak ktoś, kto czeka już tylko na kostuchę, i to przeraziło mnie do tego stopnia, że zastygłam w bezruchu.

— Cóż, bywało lepiej — odparł w końcu Luke, krzywiąc się. — Udało się? Był?

Pokiwałam głową, przez co chłopak odetchnął z ulgą, ale zaraz znowu spowaźniał, patrząc z troską na swojego przyjaciela. Shey może i wyglądał na przytomnego, ale chyba odplynął. Już miałam się odezwać, gdy do pokoju wpadli Scott, Laura, Matt, Cameron i Mia, a za nimi Theo i Chris. Kiedy zobaczyli Nathaniela, zareagowali jeszcze bardziej emocjonalnie niż ja.

— Kurwa mać, on potrzebuje szpitala — zaklęła Mia, szybko podchodząc do Sheya.

Przykucnęła przy chłopaku, dotykając delikatnie jego kolana, ale nawet nie zareagował.

— Na razie musimy... — zaczął Luke, coś mu jednak przerwało.

Wycie syren policyjnych.

Z przerażeniem popatrzyliśmy na siebie, gdy dźwięk stawał się coraz bardziej słyszalny. Towarzyszyły mu okrzyki panikujących ludzi uciekających z budynku. Poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Sekundę później Luke odwrócił się w stronę zabitego deskami okna.

— Zabierzcie go stąd! — ryknął Thiago i brzmiało to jak grzmot podczas nawałnicy. — My zajmiemy się resztą. Już.

Członkowie ekipy Nathaniela rzucili się, aby pozbierać pozostałe rzeczy, a Luke ze Scottem niemal w jednej chwili ruszyli ku Sheyowi, który nadal nie reagował. Szybko dźwignęli go na nogi i zarzucili sobie jego ręce na ramiona. Złapali go mocno w pasie, aby nie upadł, bo nie potrafił ustać na nogach. Jego dłonie nadal były nieruchome, a głowa lekko zwieszona. Mia otworzyła szerzej drzwi i kolejno w pośpiechu wychodziliśmy z szatni. Wcisnęliśmy się w tłum ludzi uciekających z budynku. W końcu wyszliśmy na zewnątrz, gdzie syreny były jeszcze lepiej słyszalne.

— Prowadzisz jego mustanga — mruknęła Jasmine, wyciągając kluczyki z kieszeni. Rzuciła je Mattowi, który bez wahania skinął i pobiegł w stronę pełnego ludzi parkingu.

Z szybko bijącym sercem spojrzałam na wycieńczonego Nathaniela, a następnie na dwóch chłopaków, którzy dzielnie podtrzymywali jego ciało. Nerwowo się rozglądali, gorączkowo czegoś szukając. Było mi coraz bardziej niedobrze.

— Gdzie jest twoja mazda? — zapytał Luke Mię, która przełknęła ślinę.

— Po drugiej stronie — odparła, na co zaklął siarczyście.

— Nasz też tam stoi — dodał Scott.

— Gdzie jest najbliższy samochód?! — pieklił się Luke coraz bardziej zdenerwowany.

Mój wzrok zatrzymał się na białym wozie, który stał trzy auta dalej. Popatrzyłam znacząco na Theo. Od razu zrozumiał, o co mi chodzi, i szybko pokiwał głową.

— Chodźcie — powiedziałam zduszonym głosem. — Pojedziemy naszym.

Luke przystał na to i odetchnął z ulgą, więc poprowadziłam ich w stronę naszego auta. W tym samym czasie reszta rozpieczętowała się w kierunku swoich samochodów. Umówiliśmy się, że spotkamy się pod kamienicą Nathaniela. Theo szybko otworzył tylne drzwi mercedesa, a Scott z Parkerem ostrożnie wsadzili Sheya do środka. Chłopak nie miał w ogóle siły i przypominał szmacianą lalkę, co było naprawdę przerażające. Nigdy nie widziałam go tak bezbronno i zdanego na łaskę innych.

— Kurwa, muszę zadzwonić — zaklął nerwowo Luke, gdy mój brat zajął miejsce kierowcy.

— Siadaj z przodu. Ja siadę z nim z tyłu — zarządziłam.

— Na pewno?

— Tak.

Z tymi słowami wsiałam do tyłu, a Parker zajął fotel pasażera. Gdy tylko zamknęłam drzwi, Theo ruszył z piskiem opon i wyjechał z parkingu, na którym niemal w tym samym momencie pojawiły się dwa radiowozy, uniemożliwiając niektórym autom wyjazd. Przełknęłam ślinę, nerwowo zerkając na Nathaniela, który siedział przy oknie. Jego

głowa opadała to na zagłówek, to na drzwi, bo nie miał siły, aby trzymać ją prosto. Bez wahania wyciągnęłam z ucha słuchawkę, a z marynarki mikrofon i wrzuciłam je do kieszeni, a następnie przesunęłam się na środkowe miejsce.

Ciało Nathaniela było rozgrzane, brudne i nadal spocone, ale nie przeszkadzało mi to. Theo skręcił w jedną z uliczek, a głowa Sheya opadła na mój bark. Chyba zasnął, miał przymknięte powieki i jego oddech był lekko chrapliwy, ale się stabilizował. Nie zamierzałam pozwolić na to, aby latał po samochodzie, więc uniosłam rękę i go objęłam. Delikatnie przycisnęłam jego głowę do swojego ramienia, a potem oparłam na niej brodę. Zaciśnęłam dłoń na jego ciepłym przedramieniu, mocniej przytulając go do siebie. Odetchnęłam cicho i starałam się uspokoić, gdy kierowaliśmy się w stronę jego mieszkania. Byliśmy względnie bezpieczni.

Nawet nie wiedziałam, w którym momencie zaczęłam bezwiednie przejeżdżać palcami po mokrych włosach Nathaniela. Trzymałam go mocno i stabilnie, ale jednocześnie na tyle delikatnie, by go nie urazić. Nie protestował, gdy mocniej go objęłam, bo zapewne nie wiedział, co się dzieje. W tamtej chwili liczyło się tylko jego dobro i bezpieczeństwo.

I może obejmując go, nie powinnam była czuć się aż tak komfortowo, jak się czułam.

Pierwszy raz od bardzo dawna byliśmy tak blisko. Czułam jego zapach, jego ciepło i jego zmęczenie. Mięśnie nie chciały z nim współpracować, umysł też się poddał.

Podczas jazdy Luke wykonał kilka telefonów, a Theo zrelacjonował mu pokrótce przebieg naszych poszukiwań i moje spotkanie z Brooklynem. Parker był zdenerwowany i co chwila zerkał na Nathaniela. Gdy zobaczył, że staram się go asekurować, przytulając go do siebie, by nic mu się nie stało, uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością. Na jego bladej twarzy znów wymalowała się ulga.

Jechaliśmy dalej, a mój wzrok skupił się na lewej ręce Nathaniela i jego tatuażu. Zmarszczyłam brwi, gdy zobaczyłam z bliska rząd sześciu cyfr wykonanych estetyczną prostą czcionką. Nie były za duże, ale ładne i rozmieszczone w równych odstępach.

2 8 1 7 1 2

— Kurwa — zaklął nagle Luke, wrywając mnie z zamyślenia.

Dopiero wtedy się zorientowałam, że podjechaliśmy pod kamienicę Sheya. Nie chciałam się ruszać, aby nie obudzić chłopaka, więc tylko zapytałam:

— Co jest?

— Policja — warknął Parker i westchnął ciężko.

— Przecież podobno nie interesują ich walki, a najpierw te radiowozy pod halą, teraz tutaj... jakby urządzili obławę — zdziwił się Theo.

— Większość funkcjonariuszy siedzi w tym bagnie, ale nowy kometant ich ciśnie, więc dla niepoznaki udają, że coś robią. Muszą zgarnąć kilka osób, aby nie przyczepił się nowy burmistrz. Z Sharewoodem byli dogadani, teraz muszą kombinować. W całym mieście stoją patroli. Tutaj też się kilka kręci. Jak zobaczą Nate'a w tym stroju i w takim stanie, od razu go aresztują.

Następnie poszła wiązanka przekleństw, gdy Theodor zapytał, co ma robić.

Wyrzałam przez szybę i zauważyłam radiowóz i kilku policjantów, którzy chodzili po okolicy. Potem znów spojrzałam na śpiącego Nathaniela, który wyglądał tak niewinnie i krucho. Krew już zaschła na jego twarzy, ale opuchlizna ciągle się powiększała. Jego długie rzęsy delikatnie drgały, a kosmyki włosów lepiły mu się do czoła. Miarowo oddychał z głową opartą na moim barku i dłońmi ułożonymi na udach. Nie było szans, aby udało nam się wprowadzić go do mieszkania bez zwrócenia na siebie uwagi policjantów. Przecież musielibyśmy go wnieść. Najlepszą opcją byłoby udanie się z nim do szpitala, ale to też nie wchodziło w grę. Znów zaczęłam się martwić.

— Co robimy? — powtórzył pytanie Theo.

Luke zamyślił się na chwilę. Wtedy wpadł mi do głowy pewien pomysł.

— Zawieźmy go do nas.

Obaj popatrzyli na mnie ze zdziwieniem, podczas gdy ja, o dziwo, zachowałam spokój. Dzielnie wytrzymałam ich spojrzenia, bezwiednie mocniej przyciskając do siebie chłopaka. Parker zmarszczył brew.

— Do was? — zapytał, jakby chcąc się upewnić.

— Cóż, wątpię, że na naszym osiedlu będzie policja, a w domu nie ma nikogo oprócz nas. Może tam przeczekać — mruknęłam.

To był dobry plan, mógł nas uratować. W końcu nie było sensu krążyć po ulicach, jeśli można było zająć się Nathanielem w domu. Zapro-

ponowałam to ze zwykłej życzliwości i tłumaczyłam sobie, że to była najrozsądniejsza opcja.

Luke się zastanowił, po czym skinął, więc Theo bez słowa ruszył i wyminął samochód policyjny. Westchnęłam cicho i oparłam policzek o głowę Sheya, gdy Parker dzwonił do reszty, aby powiedzieć im o zmianie planów. Oddech Nathaniela owiewał kawałek mojego odkrytego obojczyka, przez co czułam gęsią skórę, ale było to dziwnie... miłe. *Po prostu miłe.*

A ja zdecydowanie nie powinnam była o tym myśleć.

Dziesięć minut później parkowaliśmy na podjeździe pod naszym domem. Nasi znajomi również zdążyli już przyjechać, a Theo zgasił auto i wysiadł. Luke spojrzał niepewnie na śpiącego Sheya.

— Trzeba go obudzić, bo inaczej go nie wniesiemy — mruknął, na co skinęłam głową.

Zdziwiłam się, bo Parker bez słowa wysiadł z auta, tym samym pozostawiając zadanie obudzenia Nathaniela mnie. Zakląłam szpetnie w myślach i zastanowiłam się, jak najlepiej się do tego zabrać. Spojrzałam z góry na chłopaka, a kiedy zobaczyłam jego twarz, lekko rozchyłone usta i usłyszałam cichy oddech, już wiedziałam, czemu Luke mnie z tym zostawił. To było jak brutalne wybudzenie śpiącego szczeniaka! Moje skamieniałe serce dziwnie zakłuło.

Delikatnie potrząsnęłam Nathanielem, to jednak nic nie dało, bo ani drgnął. Ponowiłam próbę jeszcze dwa razy, za każdym razem mocniej. Chłopak zmarszczył brwi, nadal się nie budząc, a ja westchnęłam, mocniej trącając jego ramię.

— Nate, wstawaj — mruknęłam cicho.

Zero reakcji.

— Nathaniel, obudź się — spróbowałam trochę głośniej. — Hej, wstawaj! — krzyknęłam tuż przy jego uchu, tracąc resztki cierpliwości.

To w końcu podziało, bo Shey wzdrygnął się i powoli zamrugął. Miał z tym problem przez to spuchnięte oko. Jego głowa nadal leżała na moim barku i nie miał siły jej podnieść, więc tylko obserwował wnętrze auta, coraz głośniej oddychając. Nawet na mnie nie spojrzał, po prostu znów przymknął powieki. Wiedziałam, że się z nim nie dogadam, był zbyt wyczerpany.

— Zaraz chłopcy pomogą ci wejść do domu — mruknęłam, delikatnie odsuwając ramię.

Nie przyciskałam go już do swojego ciała, niechętnie odsunęłam go od siebie.

Niechętnie, do kurwy? Ogarnij się.

— Dziś będziesz spał u mnie — poinformowałam go jak dziecko, chociaż i tak mnie nie słuchał. W tym momencie mało go obchodziło to, gdzie się znajduje.

Posadziłam go stabilnie, a następnie wysiadłam z auta i nie zamknęłam za sobą drzwi. Odetchnęłam świeżym powietrzem — nie zdawałam sobie sprawy z tego, że wewnątrz tak pachniało krwią. Gdy opuściłam pojazd, wszyscy zamilkli.

— Obudził się, ale zaraz znowu zaśnie, więc się pospieszcie. — Wskażałam głową na mercedesa.

Ponownie to Luke ze Scottem zajęli się przetransportowaniem Nathaniela. Trochę się namęczyli, ale udało im się wyciągnąć go z samochodu, a kiedy to zrobili, zarzucili sobie jego ręce na ramiona i podparli go po bokach. Nathaniel nie szedł już w ogóle, jego nogi po prostu sunęły po chodniku. Musiałam odwrócić wzrok, bo to był makabryczny widok. Zacisnęłam z całej siły szczękę, aby złagodzić dziwny ból w okolicach żeber, ale na niewiele się to zdało. Theo otworzył drzwi i włączył światła, a potem w końcu weszliśmy do budynku. Scott spojrział na mnie pytająco.

— Dacie radę wnieść go po schodach? — zapytałam. — Nie mamy sypialni na dole.

Hayes jęknął, ale nie protestował. Kolejne kilka minut walczyli z tym, aby zatargać Nathaniela na piętro, raz po raz prosząc go o to, aby choć trochę współpracował. Ku zdziwieniu chyba wszystkich nawet Cameron złapał Sheya i pomagał mu utrzymać równowagę. W końcu pokonaliśmy ciąg schodów i podeszliśmy do drzwi mojej sypialni. Pierwsza weszłam do środka i szybko ściągnęłam z łóżka Clyde'a. Usadziłam go w kącie pomieszczenia, gdy Scott i Luke położyli półśpiącego Sheya na materacu. Laura zaczęła ściągać jego buty, a Mia poprawiła mu poduszki pod głowę. Znowu nie kontaktował.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że mogłam położyć go w którymś z pokoi gościnnych, ale nawet nie myślałam o tym, gdzie ma spać. Instynktownie wybrałam swój pokój, bo moje łóżko było wygodne, a on musiał odpocząć. Ja mogłam zająć inny.

— Trzeba go jakoś opatryć — mruknął Scott, na co Luke pokręcił głową.

— Margo już oczyścił te najgorsze rany — odparł cicho. Wszyscy wpatrywaliśmy się w śpiącego chłopaka. — Dajmy mu trochę pospać. To była ciężka walka.

— Ale wygrał — wyszeptała Laura, a atmosfera znów zrobiła się ciężka.

— Chodźcie na dół. Pozwólmy mu odpocząć.

Po słowach Luke'a wszyscy skierowaliśmy się do wyjścia. Gdy opuszczałam pokój, ostatni raz popatrzyłam na śpiącego chłopaka i delikatnie się uśmiechnęłam, gasząc światło i zamykając drzwi. Powoli zeszałam po schodach, czując się wykończona, jakbym miała co najmniej osiemdziesiąt lat. W połowie drogi zrzuciłam ze stóp szpilki i boso weszłam do salonu, gdzie w ciszy czekali na mnie wszyscy. Podeszłam do fotela, na którym siedział mój brat, i usiadłam na podłokietniku. Atmosfera była niemalże grobowa, a z każdą sekundą robiło się coraz gorzej.

Po kolejnej minucie milczenia Chris westchnął cicho, splatając dłonie.

— To co teraz? — odezwał się, w końcu przerywając tę okropną ciszę.

Luke wzruszył ramionami, stojąc przy kominku z pustym wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie przed sobą.

— No co? — zapytał dziwnie wypranym z emocji głosem, bo myślami był zupełnie gdzie indziej. — Victoria umówiła się z Brooklynem. Teraz czekamy, aż ją gdzieś zaprosi.

— A potem? — dopytał mój brat.

— A potem zobaczymy, jak to się potoczy. Victoria będzie musiała wzbudzić w nim zaufanie. Jeśli to w ogóle jest możliwe.

Nikt nic już nie powiedział, bo chyba nie mieliśmy ochoty o tym rozmawiać. Ja sama milczałam, choć wizja bratania się z tym popaprańcem wcale mi się nie uśmiechała. Wiedziałam, że sprowadzenie Brooklyna do Culver City nie wystarczyło. Mogliśmy powiadomić o tym Vincenta, ale istniała opcja, że White się dowie i przepadnie na amen. No i ta cholerna walizka... nie było gwarancji, że udałoby się ją odzyskać. Musieliśmy być ostrożni i cierpliwi, ale nie tamtej nocy. Tamtej nocy chciałam o tym zapomnieć.

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę, aż w końcu nasi znajomi postanowili, że będą się zbierać. Nie miałam siły, aby ich odprowadzić, więc jedynie

im pomachałam, a Theo poszedł z nimi do drzwi. Luke powiedział, że gdyby coś się działo, od razu mam dzwonić, i zostawił mi torbę Sheya, w której były jego ubrania. Zdążył ją zabrać po walce.

Po chwili w całym domu znów zapanowała względna cisza. Theo stanął w progu drzwi, wsadzając dłonie do kieszeni spodni.

— Powiedz — zaczął, spoglądając na mnie niepewnie — to wszystko jest tego warte?

Nie odpowiedziałam.

Zegar wskazywał już drugą trzydzieści, jednak mnie nie chciało się spać. Weszłam do swojej sypialni i cicho zamknęłam za sobą drzwi. Było ciemno, więc po omacku podeszłam do komody, a następnie zapaliłam małą lampkę. Żółte światło rozjaśniło część pokoju, ale nie padało na łóżko, na którym nadal spał Nathaniel. Leżał w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiliśmy. Po wyjściu wszystkich zdążyłam przebrać się w wygodne spodnie dresowe i bluzę z kapturem, rozczesać włosy i zmyć makijaż. Potem przygotowałam wszystko, co mogło mi się przydać, i wróciłam do chłopaka.

Przysiadłam na krawędzi łóżka i przez chwilę obserwowałam jego posiniaczoną twarz. Oddychał miarowo, a jego poturbowana klatka piersiowa unosiła się i opadała w równych odstępach czasu. Spojrzałam na jego lekko spuchnięte ręce i odsuwając od siebie wszystkie nieprzyjemne myśli, chwyciłam dwa worki z lodem, które owinęłam bawełnianymi ściereczkami. Ułożyłam je na dłoniach Nathaniela, bo doskonale pamiętałam, że po każdej walce to one bolały go najbardziej. Robiłam to wszystko bardzo delikatnie, aby go nie obudzić. Zasłużył na odpoczynek.

Kiedy skończyłam z okładami, chwyciłam miękką szmatkę, którą przyniosłam wraz z miską z wodą chwilę wcześniej. Przysunęłam się do Nathaniela i nachyliłam się nad jego twarzą, po czym zmyłam z niej zaschniętą krew i wszelkie zabrudzenia. Przecierałam każdy fragment jego skóry, unikając otwartych ran. Woda w misce zabarwiła się na czerwono. Uniosłam kącik ust i odsunęłam z czoła chłopaka kosmyk włosów. Przez kilka sekund po prostu na niego patrzyłam i myślałam o tym, jaki jest piękny. O tym, że podczas snu jedna z jego masek opadła,

przez co wyglądał jak zwykły chłopak. Wędrowałam wzrokiem od jego kształtnych ust, przez prosty nos, aż do równych brwi. Minęły cztery lata, a on wciąż był tak samo idealny.

Pokręciłam głową. Odrzuciłam szmatkę do miski, wstałam i zaniosłam naczynie do łazienki. Wylałam wodę i umyłam miskę, a potem westchnęłam ciężko i wróciłam do pokoju. Z opóźnionym refleksem spojrzałam na łóżko. Nathaniel patrzył na mnie spod półprzymkniętych powiek, wciąż leżąc w tej samej pozycji. W pierwszej chwili lekko mnie to zdziwiło, ale kiedy dotarło do mnie, że się obudził, uśmiechnęłam się z ulgą i podeszłam bliżej.

— Hej — szepnęłam.

Przysiadłam na brzegu materaca na ugiętej nodze. Nathaniel patrzył na mnie w milczeniu, wciąż powoli mrugając. Staralam się, by mój głos brzmiał ciepło, tak aby go nie denerwować.

— Jak się czujesz? — zapytałam cicho.

Nie odpowiedział od razu. Zamiast tego spojrział na sufit, lekko się krzywiąc.

— Boli mnie każdy fragment ciała — odparł w końcu z zabijającą szczerością. Jego głos był zachrypnięty i zmęczony.

Parsknęłam cichym śmiechem, a on przełknął ślinę, spoglądając na mnie kątem oka.

— Czy ja jestem w twoim pokoju?

— Tak. — Skinęłam głową. — Obok twojej kamienicy kręciła się policja, więc musieliśmy cię gdzieś przetransportować.

Uważnie słuchał moich słów, analizując je. Nagle wypalił:

— Kto prowadził mój samochód?

Miałam ochotę przewrócić oczami i się rozeźmiać. Zamiast tego tylko pokręciłam z politowaniem głową.

— Właśnie stoczyłeś walkę, po której traciłeś przytomność trzy razy, a ty się martwisz o to, kto jechał twoim autem? — zapytałam z niedowierzaniem, choć mogłam się tego spodziewać. To w końcu był Nathaniel Shey, mógł prawie umierać, ale i tak najważniejsze było to, kto prowadził tego jego cholernego mustanga. — Odpowiedź może ci się nie spodobać, więc zapytam, czy chcesz coś do picia.

— Która godzina? — spytał, znów na mnie patrząc. Jego oczy były matowe i zmęczone.

— Dochodzi trzecia nad ranem — odparłam cicho, zerknąwszy na zegarek.

— Dlaczego nie śpisz? — Wciąż mnie obserwował.

— Nie jestem zmęczona — skłamałam i wzruszyłam ramionami.

Prawda była taka, że byłam wyczerpana, ale się nie położyłam, bo łóżko w pokoju gościnnym było cholernie niewygodne, a do tego miałam zbyt wiele myśli w głowie. No i chciałam zrobić mu okład, przemyć twarz i upewnić się, że wszystko w porządku. Czułam się źle z tym, że to zapewne przeze mnie się obudził, ale przynajmniej trochę się uspokoiłam, bo kontaktował i nie był już taki bezwładny.

Chłopak ponownie przełknął ślinę i znów popatrzył na sufit.

— Czy ja w ogóle wygrałem?

Nie mogąc się powstrzymać, parsknęłam cichym śmiechem. To było tak rozbijające i w jakiś pokręcony sposób urzekające, że nie mogłam zareagować inaczej. Nathaniel, słysząc mój śmiech, znów na mnie popatrzył, tym razem z lekkim zaciekawieniem. Przez to, że był dalej zaspany, mimo ran prezentował się naprawdę...

Uroczo.

— Tak, wygrałeś — potwierdziłam z uśmiechem, patrząc mu w oczy. — Patrick nie mógł wstać. Zniszczyłeś go — chwaliłam go, aby podbudować jego i tak wielkie ego.

— Tak szczerze, to nie pamiętam niczego od piętnastej minuty — wyznał, a ja znowu się roześmiałam.

Przez chwilę milczeliśmy. Nie było niezręcznie, choć mogło, bo w końcu byliśmy sami w moim pokoju, w którym kiedyś często potajemnie się spotykaliśmy, aby nie wiedziała o tym moja mama. Automatycznie spojrzałam na lekko uchylone okno, za którym panowała ciemność. Doskonale pamiętałam te wszystkie razy, kiedy wspinał się do mnie tą drogą, aby mnie zaskoczyć.

— Nigdy nikomu tego nie powiedziałem, ale w pewnym momencie ta rynna, po której wchodziłem, zaczęła się trochę odrywać.

Zaskoczona przeniosłam na niego wzrok i zobaczyłam, że on również patrzy na okno. Zdziwiłam się, że też o tym pomyślał, i choć może nie powinnam była, poczułam, jak fala ciepła rozlała się po moim wnętrzu, gdy zdałam sobie sprawę z tego, że i on o tym pamiętał. Ucieszyłam się, że to nie był temat tabu, że możemy o tym pogadać. To nie było *złe*.

— I co? Miałeś zamiar się przyznać dopiero wtedy, jak całkiem odpadnie? — droczyłam się.

— Nie, wtedy też bym się nie przyznał — odparł nonszalancko, rzucając mi cwane spojrzenie.

Zaśmiałam się cicho, kręcąc z niedowierzaniem głową przez jego zuchwałość. Po chwili jednak Nathaniel nieco spowaźniał, marszcząc brwi.

— Brooklyn był? — zapytał.

— Tak. Wszystko się udało. Nawet zaprosił mnie na kolację — dodałam z patosem, kładąc dłoń płasko na klatce piersiowej, aby pokazać, jaki to był zaszczyt.

— Kolacja? — zadrwił. — Zawsze był taki banalny.

— Ty też jesteś — zarzuciłam mu, na co przewrócił oczami, po czym spojrzął na okłady na swoich dłoniach. Westchnęłam. — Nieźle dziś oberwałeś. Powinieneś spać. Musisz odpocząć.

— Nie jestem zmęczony.

Popatrzyłam na niego z politowaniem.

— Przypominam, że straciłeś dziś przytomność jakieś trzy razy. Moim zdaniem potrzebny ci szpital, więc lepiej wybierz opcję spania — zagroziłam i wstałam.

Czułam na sobie jego wzrok, gdy porządkowałam rzeczy na szafce nocnej, a następnie podeszłam do okna. Zasunęłam rolety i odwróciłam się w jego stronę, opierając się tyłem o parapet. Zauważyłam, że wpatrywał się w dużego miśka, który znajdował się obok mnie. Również na niego spojrzałam i uśmiechnęłam się delikatnie, trącając go nogą.

— Patrz, jednak nie osierociłeś Bonnie — mruknęłam.

Nathaniel skinął głową, wciąż obserwując maskotkę, ale na jego wargach nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

— Clyde nadal ma towarzyszkę — dodałam.

Chłopak nie odpowiedział, wciąż milczał, analizując coś w głowie. Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że powinnam była już iść. On musiał się wyspać, a ja musiałam chociażby się położyć. Odbiłam się od parapetu i już miałam się pożegnać, gdy nagle o czymś sobie przypomniałam.

— A co z Charliem? — zapytałam i momentalnie poczułam ochotę, by przewrócić oczami, gdy zauważyłam, jak w reakcji na moje pytanie ściąga usta. — Nie denerwuj się, nie chcę wpietrzać się w twoje prywatne sprawy. Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest teraz i czy wszystko w porządku.

Nathaniel westchnął ciężko, jakby myślał nad odpowiedzią na to pytanie, a może nad tym, czy w ogóle chce mi jej udzielić. Miałam nadzieję, że coś powie, bo naprawdę martwiłam się o Charliego. Gdybym na jego miejscu zobaczyła swojego starszego brata w takim stanie, byłabym przerażona. Wątpiłam, że wie o walkach, więc może Shey próbowałby go przekonać, że to siłownia i sparing, ale takie obrażenia... chyba gnojek nie był aż tak naiwny.

W końcu Shey odetchnął.

— Jest u mojej starej znajomej Felicity — mruknął prawie niesłychalnie.

To imię wzbudziło we mnie nieuzasadnioną złość, ponieważ podejrzewałam, o jaką Felicity chodzi. To była stara znajoma Sheya, którą spotkałam dawno temu na jakiejś imprezie. Gołym okiem było widać, że podobał jej się Nathaniel i miała co do niego plany, zresztą powiedział mi o tym Matt. Podejrzywałam, że coś ich łączyło, ale nigdy o to nie zapytałam. Tylko dlaczego to ona zajmowała się jego bratem? Może po rozstaniu z Severine Shey znów się z nią spotkał, aby się z nią... *Nie, to w końcu nie moja sprawa.*

Z obojętną miną skinęłam głową i nie chciałam kontynuować tematu, jednak chłopak sam pociągnął wątek.

— Ma młodszego brata w wieku Charliego, chodzą do jednej klasy — westchnął i znów wbił wzrok w sufit. — Są dobrymi przyjaciółmi, a ja ufam Felicity, więc gdy wiem, że mój brat nie powinien czegoś zobaczyć, jeździ do niej na dłuższy czas. Nie wie o tym, że miałem walkę, i chcę, by tak pozostało.

— Felicity mieszka poza miastem? — zapytałam, nim zdążyłam ugryźć się w język.

— Raptem kilka mil, więc jej mąż bez problemu podwozi chłopaków do szkoły. Wcześniej ona to robiła, ale urodziła kilka miesięcy temu i teraz więcej zajmuje się dzieckiem, ale chętnie przyjmuje Charliego.

Mąż. Dziecko. Och, kurwa...

— Chyba idę już spać — mruknęłam, bo poczułam się zażenowana z powodu własnych podejrzeń. — Ten dzień nie był dla mnie zbyt przyjemny.

— Spotkania z Brooklynem nie są przyjemne — odparł cierpkim tonem. — Wiem z autopsji.

Przygryzłam dolną wargę i nie odpowiedziałam. Miał rację, ale to nie był jedyny powód mojego złego samopoczucia tamtego dnia, bo nawet gdy stałam oko w oko z White'em, potrafiłam myśleć tylko o bezpieczeństwie Nathaniela. Gdzieś wewnątrz coś mi podpowiadało, abym nie kontynuowała tej rozmowy i po prostu wyszła, ale nigdy nie byłam zbyt mądrą i rozważną osobą. Z beznamiętną miną, ignorując wszystkie nakazy w swojej głowie, podeszłam do łóżka. Zamiast na nim sięść, z cichym stęknieniem zajęłam miejsce na podłodze i oparłam się o nie plecami. Czułam wzrok Sheya na swojej twarzy, gdy objęłam ramionami zgięte nogi.

— Tak, nie są — zgodziłam się w końcu, patrząc na swoje kolana. — Ale to nie było dziś najgorsze.

— A co było? — zapytał cichym i poważnym głosem.

Popatrzyłam na niego przez ramię, a nasze spojrzenia znów się zderzyły. Ponownie zobaczyłam tę maleńką iskierkę i znów się w tym zatraciłam. Nie tak mocno jak kiedyś, ale intensywniej niż wcześniej. Wpatrywałam się w czarne tęczówki, które niegdyś płonęły ogniem. Po czasie pozostał w nich popiół.

— Nate, może minęły cztery lata, ale ja wciąż nienawidzę momentu, gdy wychodzisz na ring. — Mój cichy szept sprawił, że to wszystko stało się jeszcze bardziej intymne. Byłam szczera, nienawidziłam, gdy walczył.

Chłopak nie odpowiedział od razu, tylko wpatrywał się we mnie dziwnym spojrzeniem, które zaczęło mnie... peszyć. Ta myśl mnie przeraziła, ponieważ ja się nie peszyłam! Zastanawiałam się, czy nie przesadziłam, nie musiałam z czymś takim wyjeżdżać. Nathaniel raczej nie miał zamiaru odpowiadać, więc odchrząknęłam cicho i odwróciłam wzrok, chcąc wyjść z pokoju. Musiałam odejść z godnością, nadwyrężoną, ale godnością.

— Nigdy tego nie lubiaś — wychrypiał cicho Shey, zaskakując mnie tym, że się odezwał. Jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej intensywne. — Dlaczego?

Wzruszyłam ramionami. Odpowiedź na to pytanie była prosta.

— Trudno jest patrzeć, jak ktoś, kogo znasz, naraża się na ból — wytłumaczyłam. — Szczególnie gdy sam tego chce. I sam zadaje ból innym.

— To tylko sport — mruknął, jakby tłumaczył coś małemu dziecku.

— Wiem — odparłam szybko. Zaczęłam się bawić dłońmi, które oparłam o kolana. — Ale to niczego nie zmienia.

Wiedziałam, że nie powinnam była tego kontynuować, ale słowa same wydostawały się z moich ust.

— Za każdym razem, gdy wychodziłeś na ring, miałam ochotę wyć — powiedziałam pustym głosem, wpatrując się w ścianę. — Nienawidziłam tego, że tam jesteś. Że znów zaczniesz się bić. Nienawidziłam tego, że nie wiedziałam, czy wygrasz. Czy wyjdiesz z tego cało i czy ktoś nie będzie cierpiał. Nienawidziłam też świadomości, że nie mogę zmienić twojej decyzji, choć tak cholernie tego chciałam. — Spojrzałam na jego twarz, która nie wyrażała żadnej emocji. Czarne oczy wciąż mnie obserwowały. — Dlatego tak ich nie znoszę. I nawet dzisiaj błagałam, aby stało się coś, przez co nie będziesz mógł wziąć udziału, mimo że to było potrzebne i była to część naszego popieprzonego planu.

Może mogłam zachować to dla siebie, ale nie kontrolowałam tego, tak jak nie kontrolowałam szybkiego bicia swojego serca i przyspieszonego oddechu. Mimo że czułam, jakbym zaraz miała wybuchnąć, na zewnątrz pozostałam nad wyraz spokojna i opanowana. Szeptaliśmy, bo nie chciałam mówić głośniej. Czułam, że to mogłoby popsuć atmosferę, ale przecież to nie miało już znaczenia. W końcu już nie byliśmy *czymś*.

— Skoro za każdym razem tak się czułaś, dlaczego zawsze byłaś?

Gula wyrosła mi w gardle, gdy z jego ust padło to pytanie. Patrzyliśmy sobie w oczy, nie potrafiąc przerwać kontaktu wzrokowego. Czułam, jak z każdą kolejną sekundą jego spojrzenie wciąga mnie coraz bardziej. Znowu tego próbował i znowu musiałam to przerwać.

— Nie wiem — skłamałam cicho.

Jako pierwsza się poddałam, odwracając głowę. Jednak nie byłam taka mocna, jak myślałam. Zerwałam się na równe nogi i odchrząknęłam.

— Idę się położyć — mruknęłam. — Dobranoc, Nate.

Po tych słowach ruszyłam do drzwi, czując na sobie do samego końca jego intensywne spojrzenie. Nim wyszłam, kierowana jakimś dziwnym przeczuciem zatrzymałam się i zerknęłam na niego przez ramię.

— Wczoraj, na festynie — zaczęłam, patrząc mu prosto w oczy — wiedziałeś, że inni nas widzą? Theo powiedział, że przyłapałeś ich na tym, jak nas obserwowali. Wiedziałeś?

Nurtowało mnie to. Miałam nadzieję, że mojemu bratu się pomyliło, bo tylko w logiczny sposób wytłumaczyłoby tę sytuację. Jednak gdy patrzyłam na Nathaniela, coś mi podpowiadało, że to wszystko nie jest takie proste.

Przez długą chwilę milczał, ale nie zamierzałam odpuścić. Do samego końca wytrzymałam jego pozbawione emocji spojrzenie. Wreszcie chłopak lekko skinął głową.

— Wiedziałem — odparł cicho.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Bo wiem, że gdybym to zrobił, chciałabyś do nich podejść — odparł.

Wszystko stało się cięższe, atmosfera znów zgęstniała. Czułam swój niespokojny oddech, który wypełniał pustą przestrzeń. Wpatrywałam się w czarne oczy Nathaniela, wiedząc, że chcą mnie porwać. Czy byłam na tyle wytrwała, aby to wytrzymać? Czy mogłam wytrzymać to, jak na mnie patrzył, jak skupiał całą swoją uwagę tylko na mnie? Jak wymawiał każde słowo, coraz ciszej i coraz bardziej zachrypniętym głosem...

Panie, dopomóż.

— I co z tego? — wyszeptalam. — Mogliśmy podejść na chwilę albo powiedzieć im, żeby nas nie obserwowali...

— Nie — przerwał mi poważnie.

Zmarszczyłam brwi.

— Wiem, mówiłeś, że nie chcesz się z nikim widzieć, ale mogłam pójść do nich sama i to trwałoby chwilę. Nie byłoby mnie tylko sekundę...

— Sekunda to za długo.

Zamilkłam, wpatrując się w jego matowe oczy. Te słowa sprawiły, że wszystkie lampki w mojej głowie zaczęły migać na czerwono. Mimo że nie powiedział niczego wprost, to było tak wymowne, że odwróciłam się i szybko wyszłam ze swojego pokoju. Ze wszystkich sił powstrzymywałam się, aby nie trzasnąć drzwiami.

Uciekłam? Być może, ale ucieczka była lepsza niż autodestrukcja, a to mi przy nim groziło. Gdy był blisko, niszczyły mnie te dziwne emocje, które chciały wydostać się na zewnątrz, choć powinny zniknąć. Tak było lepiej. Łatwiej. Dlaczego on mówił takie rzeczy? Dlaczego chciał, aby sytuacja między nami znów stała się skomplikowana?

Szybko wróciłam do pokoju gościnnego.

Miałam rację, nie spałam do rana, a mój wycieńczony organizm pozwoli odmawiał mi posłuszeństwa. Do rana miałam przed oczami jedynie obraz czarnych tęczówek, a w głowie to jedno zdanie. Sekunda to za dużo.

Czy według niego sekunda beze mnie była za długa?

Nie mogłam o tym myśleć, dlatego zaczęłam zastanawiać się nad pytaniem, które mi zadał. Dlaczego zawsze byłam.

Znałam odpowiedź, ale nie odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Okłamałam Nathaniela, bo chciałam, by było inaczej. Cały czas sobie wmawiałam, że kłamstwo powtórzone tysiąc razy może w końcu stać się prawdą. Nie udało się.

Byłam, bo nie potrafiłam odejść i żyć w świecie, w którym go nie było.

Kiedy wstałam po tej koszmarnej nocy, w swoim pokoju zastałam jedynie puste łóżko. Nathaniel zniknął bez żadnej wiadomości i nie zdziwiło mnie to. Nie czułam rozczarowania, gdy siedziałam na materacu, na którym kilka godzin wcześniej leżał.

Zbyt często znikał z mojego życia, a ja zniktałam z jego, abyśmy jeszcze mogli się rozczarować.

Nie czułam zawodu. Ale czułam zapach jego ciała na swojej pościeli.

Minęły trzy dni, a Brooklyn nadal się nie odezwał. Zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno chciał tej kolacji, ale wszyscy mnie przekonywali, że musimy dać mu trochę czasu. Od walki Nathaniela się nie widzieliśmy, ale byliśmy w stałym kontakcie. W mojej firmie zaczął się gorący okres, więc nawet na urlopie musiałam być stale pod telefonem. Inni również pogрузyli się w swoich sprawach, co pozwoliło nam trochę odetchnąć i wrócić do realnego życia. Z Theo zdecydowaliśmy również, że trzeba w końcu wykosić tę przeklętą trawę przed domem, bo straszyla, więc cały dzień mocowaliśmy się z przywracaniem podwórka do stanu używalności. Chociaż tego nie chciałam. Po prostu Theo nalegał...

Z Nathanielem nie widziałam się ani nie kontaktowałam od naszej rozmowy w moim pokoju, podczas której powiedziałam i dowiedziałam się zdecydowanie za dużo. Następnego dnia Luke mnie poinformował, że Shey dotarł do swojego mieszkania. Przez całą środę wyrzucałam sobie, że mogłam nie przychodzić do tej cholernej sypialni, bo atmosfera stała się przez to cięższa. Niestety nie dało się cofnąć czasu, więc po

piątym papierosie i trzeciej herbacie zdecydowałam, że najlepiej będzie o tym zapomnieć. Przecież nie byliśmy jakoś szczególnie blisko. Wręcz przeciwnie, aktualnie łączył nas tylko głupi plan związany z chęcią odkrycia prawdy o naszej przeszłości. Ja po wszystkim miałam wrócić do Maine, a on zapewne mógł pogodzić się z Severine i znów zacząć żyć normalnie. To była tylko chwilowa awaria.

Awaria.

W piątek zegar wskazywał godzinę szóstą po południu, kiedy mój telefon zaczął dzwonić. Ściągnęłam okulary, a następnie odłożyłam książkę, którą czytałam, na bok. Spojrzałam na wyświetlacz i uśmiechnęłam się, widząc numer Luke'a.

— Tak, wiem. Stęskniłaś się. Nie musisz mówić — rzucił na wstępie, gdy tylko odebrałam, więc nawet nie miałam czasu, aby się przywitać.

Przewróciłam oczami.

— Dziękuję, że mi tego oszczędziłeś — sarknęłam, co wywołało jego cichy śmiech. — Coś się stało?

— Mój znajomy organizuje dziś imprezę na plaży — odparł jak zadowolony kocur. — Zimne piwo i gorące ogniska. Wpadniesz z Theo?

Zastanowiłam się nad jego pytaniem. Chwila relaksu mogła mi się naprawdę przydać, Theo pewnie myślał tak samo. Pić nie mogłam, ale spędzenie czasu wśród zwyczajnych ludzi i udawanie, że jest się normalną, było całkiem dobrym pomysłem. No i od lat nie widziałam pijanego Chrisa, nie chciałam tego przegapić.

— Jasne, przyjdziemy — odpowiedziałam pewnie. — O której i która plaża?

— O dziewiątej i wyślę ci adres — wiedziałam, że na jego twarzy właśnie pojawił się ten jego łobuzerski uśmieszek. — W końcu się odstresujemy. I może trochę poprawimy humor Nate'owi.

— Nate'owi? — zdziwiłam się, czując nagły skurcz w brzuchu, gdy w mojej głowie pojawiły się przebłyski naszej ostatniej rozmowy. A miałam już o tym nie myśleć! Przecież to nie było nic takiego.

Super, zdradziło mnie własne ciało. Który to już raz?

— Yhym — mruknął. — Po rozstaniu z Severine stał się nieznośny, ale myśl o walce jakoś trzymała go w ryzach, bo miał zajęcie. Teraz jest już po, a nie może jeszcze wrócić do pracy, bo musi wydobrzeć. Przez to jest nie do wytrzymania! Już z pięć razy pokłócił się z Jasmine o to,

że źle zawiązała jego bandaż, a wczoraj myślałem, że wrzucę go pod ciężarówkę, gdy narzekał na zupę Mii. Zachowuje się jak stary dziad i wszyscy mamy już tego dość.

Przygryzłam dolną wargę, a przed oczami stanęła mi wizja wściekłego Sheya sprzed tygodnia, gdy rozstał się z rudowłosą. Współczułam Luke'owi i reszcie, ale nie dziwiłam się Nathanielowi. Nie miał czasu na to, aby przeboleć rozstanie, bo musiał stanąć do tej choliernej walki.

W mojej głowie pojawiła się czerwona lampka, gdy dotarło do mnie, że Nathaniel miał być na tej imprezie, ale w końcu... dlaczego miałoby mnie to obchodzić? Przecież szliśmy większą paczką. Przelknęłam ślinę, ignorując te myśli.

— Jesteś pewny, że to dobry pomysł, aby szedł w takim stanie na imprezę? — zapytałam nieprzekonana.

— Coś musi ze sobą zrobić. Namawiałem go pół dnia, w końcu się zgodził. Chcę, by wyszedł do ludzi, Clark — westchnął ze znużeniem. — I chcę jakoś poprawić mu humor. Musi odreagować to wszystko. Będę pilnował, by nie przesadził z alkoholem, jest przecież na lekach.

— W takim razie w porządku. Znasz go najlepiej, wiesz, czego mu trzeba — zakomunikowałam i poczułam, że się uśmiechnął. — Wyślij adres. Spotkamy się tam o dziewiątej.

— Czekam na ciebie, moja kobieto — wymruczał zaczepnie, na co przewróciłam oczami, rozłączając się z uśmiechem.

Ponad dwie godziny później stałam na ganku, a Theo zamykał drzwi. Zerknęłam na swoje białe air force'y, które były już zdecydowanie zbyt brudne. Wypadałoby je wyprać, ale uznałam, że w ciemności może nikt nie zauważy. Dobrałam do nich długie białe skarpety. Włożyłam jasnoniebieskie jeansy z szerokimi nogawkami, które ładnie opinały moje biodra, oraz o kilka rozmiarów za dużą bluzę w kolorze granatowym z małym białym znaczkiem Nike.

Spojrzałam ponagląco na Theo, który właśnie chował klucze do kieszeni czarnych jeansów w stylu vintage.

— Na pewno nie będziesz pił? — zapytałam, gdy kierowaliśmy się w stronę samochodu. — Jak coś, to możemy pojechać taksówką.

— Nie, nie będę.

Podróż minęła nam na rozmowie o tym, co trzeba kupić następnego dnia. Nim się zorientowałam, wyjeżdżaliśmy już z miasta i kierowaliśmy

się na małą plażę, którą otaczał las. Jak byłam młodsza, często jeździliśmy tam z rodzicami, chociaż za nią nie przepadałam. Było tam pełno komarów i szyszek, które wbijały się w bosc stopy.

W końcu wjechaliśmy na małą polankę, na której stało sporo samochodów. Kręciło się tam już wielu pijanych ludzi. W ciemności zaparkowaliśmy auto na wolnym miejscu i wysiedliśmy. Nieopodal, w zaroślach, dostrzegłam jakąś napaloną parę, która chciała zaznać trochę prywatności, czyli uprawiać seks w plenerze. Jak kto woli.

Poczułam dziwne podenerwowanie, kiedy ruszyliśmy w kierunku smug światła, które przebijały się pomiędzy drzewami. Nawet nie wiedziałam, skąd się wziął we mnie ten stres.

— Wszystko okej? — zapytał Theo, zerknąwszy na mnie kątem oka, gdy szliśmy ramię w ramię ścieżką.

Pokiwałam głową, robiąc obojętną minę.

— Jasne.

W końcu wyszliśmy na piaszczystą plażę, na której w równych odległościach od siebie paliły się gigantyczne ogniska. Płomienie sięgały kilku stóp i to była głupota, bo znajdowaliśmy się w lesie. Większości ludzi nie znałam — jedni pili, inni ze śmiechem wskakiwali do wody, która zapewne musiała mieć temperaturę lodu. Muzyka rozbrzmiewała z głośników zainstalowanych w bagażniku zaparkowanego tam sportowego samochodu. Przypuszczałam, że głos Drake'a można było usłyszeć milę dalej. Westchnęłam ciężko, wsadzając ręce do tylnych kieszeni spodni. Poczułam się jak w liceum.

Szukałam wzrokiem znajomych, gdy nagle poczułam, jak ktoś od tyłu szybko podciąga moją bluzę, a następnie kładzie mokre, zimne dłonie na moich bokach. Wciągnęłam gwałtownie powietrze i szybko odskoczyłam, czując potężne rwanie w żołądku. Jak oparzona odwróciłam się do osoby, której miałam zamiar dać w mordę. Zważyłam jednak we wszechświat, gdy zobaczyłam Matta, który śmiał się na całego. Donovan prócz szortów do kolan nie miał na sobie niczego. Był cały mokry i kapała z niego woda. To wyjaśniało, dlaczego jego dłonie były lodowate. Chłopak nie miał pojęcia, że tym jednym dotykem sprawił, że serce prawie mi stanęło, i to wcale nie przez chłód. Uniosłam brew i próbowałam szybko przywołać się do porządku. Ledwie się zmusiłam, aby go nie uderzyć, gdy zaśmiewał się w najlepsze.

— Bardzo zabawne, Matthew. No pogratulować — warknęłam z przekąsem, ale chłopak uznał, że żartuję, bo tylko skłonił się lekko.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł zadowolony.

Nie wiedział, że w tamtej chwili chciało mi się rzygać.

— Serio? — zapytał z niedowierzaniem Theo, gdy ja próbowałam się jakoś uspokoić. — Kąpiesz się?

— Oczywiście. — Uśmiechnął się od ucha do ucha Matt. — A co? Też chcesz? — zażartował i zrobił krok w stronę mojego brata, unosząc ręce.

Ten się odsunął i spojrzał na niego groźnie.

— Ani się waż! — warknął, a Donovan przewrócił oczami.

— Chodźcie. Pójdziemy do reszty — rzucił.

Przełknęłam ślinę, a Theo posłał mi pytające spojrzenie. Skinęłam głową, aby dać mu znać, że jest dobrze, chociaż wcale się tak nie czułam. Nie chciałam się paniki, nie chciałam, aby tamten wieczór zepsuł się przeze mnie, i to z powodu tego, że dotknął mnie kumpel, nawet jeśli chciało mi się przez to wyć. Musiałam być silniejsza.

Ruszyliśmy za Mattem. Po drodze chłopak co chwile witał się z jakimiś nieznanymi mi ludźmi. Poprowadził nas do jednego z palenisk, gdzie już z daleka zobaczyłam naszych znajomych, którzy trzymali w dłoniach piwa i rozmawiali. Donovan głośno zawył, wyrzucając ręce w powietrze, i ściągnął tym na siebie ich uwagę. Od razu wziął od Laury piwo i pociągnął zdrowy łyk.

— Witam moje słońca! — zawołał Chris, a jego głos wskazywał, że jest już nieco wstawiony. Z piwem w ręku ruszył w moją stronę, o mało nie potykając się o własne nogi.

Chciał mnie przytulić, ale szybko się schyliłam, aby udać, że zawiązuję sznurówkę. Theodor od razu zrozumiał, o co chodzi, i zastąpił mu drogę. Wyrwał mu piwo z ręki i uśmiechnął się cwanie, co zirytowało Adamsa. Momentalnie o mnie zapomniał. Zaczął dla zabawy przepychać się z moim bratem, więc odetchnęłam w duchu i znów się wyprostowałam.

— Oddawaj moje piwo, złodzieju! — zawył Chris.

Znów byłam tak cholernie wdzięczna Theo.

— A gdzie Nate i Cameron? — zapytałam, witając się z resztą skiniem głowy.

— Cameron jeszcze nie przyjechał i nie wiemy, czy się w ogóle zjawi — odpowiedziała Laura. — A Nate... się bawi.

— Bawi? — Uniosłam brew, słysząc to dziwne określenie.

Laura uśmiechnęła się blado, wskazując głową na drewniane stoliki pod zadaszeniem niedaleko nas.

Było tam z piętnaście osób, spośród których znałam tylko jedną. Nate siedział na ławce bokiem do nas. Miał na sobie oversize'ową czarną koszulkę z rękawami do łokci oraz tego samego koloru jeansy i converse'y. Ludzie, z którymi się... bawił, byli głośni i pijani, słyszałam ich nawet z miejsca, gdzie staliśmy. Jednak nie to było najciekawsze. Patrzyłam na Nathaniela, który pociągał wódkę prosto z butelki, z niewzruszoną miną spoglądając gdzieś w bok. Obok niego siedziały dwie dziewczyny, które cały czas dotykały jego karku i ramion, śmiejąc mu się nad uchem i popijając alkohol. Uwiesiły się na nim jak na pierdolonym drzewie. Obserwowałam, jak długie paznokcie jakiejś brunetki muskają jego ucho, a następnie dziewczyna przybliżyła się do niego, szepcząc coś, po czym wybucha perlistym śmiechem. Shey nie zareagował, pił swoją wódkę, odpowiadając zdawkowo na pytania ludzi. Był w centrum zainteresowania. Wyglądał jak bożek, którego adorowała rzesza wyznawców. W pewnym momencie dziewczyna, która siedziała na blacie stolika, chwiejnie nachyliła się w jego stronę i przygryzła płatek jego ucha, a potem zaczęła się głośno śmiać.

Cóż.

— Wygląda na to, że nieźle się bawi — mruknął Theo.

— Odreagowuje — mruknął Luke, ale nie wyglądał na zachwyconego zachowaniem swojego przyjaciela. — Miał dużo stresu w ciągu ostatnich dni. Teraz to z niego wychodzi. Chyba źle zrobiłem, że namówiłem go na tę imprezę.

— Chciałeś dobrze — westchnął Scott.

— W ciągu niecałej godziny wypił już ponad pół litra wódki — mruknęła Mia. — Twierdzi, że nie brał dziś leków, ale jest osłabiony po walce, więc pewnie zaraz go zetnie i będziemy musieli nieść go do samochodu.

— Jesteśmy takimi dobrymi przyjaciółmi — westchnął teatralnie Parker.

Matt chciał rozładować napięcie, więc rzucił jakiś głupi żart i płynnie zmienił temat.

Zaproponowali nam piwa, ale oboje z Theo odmówiliśmy. Było wesoło, rozmowy się nie kończyły, ja jednak nie mogłam się skupić. Mój

wzrok cały czas uciekał w stronę ławek przy linii lasu, gdzie ludzie bawili się coraz głośniej. Jakieś dziewczyny zaczęły się całować, a jeden chłopak zrobił salto w tył ze stołu. Pili, pili i pili. Nathaniel siedział cały czas w tym samym miejscu, pociągając łyk za łykiem ze swojej butelki, która z każdą minutą robiła się coraz bardziej pusta. W pewnym momencie miałam ochotę parsknąć śmiechem, gdy zobaczyłam, jak jedna z dziewczyn ochoczo wskakuje na jego kolana, ponieważ nigdzie nie było już miejsca. Myślałam, że ją zepchnie i każe jej odejść, ale on objął ją jedną ręką w pasie, aby ją przytrzymać. Brunetka uśmiechnęła się do niego, zarzucając ramię na jego kark, a potem pociągnęła łyk z jego butelki. Shey nie zareagował, rozmawiał z jakimś chłopakiem, który z zaangażowaniem mu coś tłumaczył, żywo gestykułując. Nie zrobił nic nawet wtedy, gdy skąpany w wódce język brunetki zaczął przesuwac się po jego widocznym przez dekolt czarnej koszulki obojczyku.

Naprawdę chciałam to zrozumieć. Rozstał się z narzeczoną, wygrał trudną walkę i widocznie musiał rozładować napięcie. Miał prawo odreagować, ale zastanawiałam się, dlaczego tam. Tak, to byli zapewne jego znajomi, mógł spędzać czas, z kim chciał, ale zdziwiło mnie, że nawet do nas nie podszedł. Siedział z nami jego najlepszy przyjaciel, siedziały jego przyjaciółki. Kurwa, ludzie, którzy podobno byli dla niego ważni, a on wolał chlać z przypadkowymi osobami, które go adorowały, i z napalonymi laskami, które robiły wszystko, by go dotknąć.

Tak cholernie tam nie pasował.

Minęło kilkadziesiąt minut, podczas których nie bawiłam się dobrze. To nie tak, że przejmowałam się Nathanielem, wręcz przeciwnie, im więcej razy patrzyłam na tę grupę, z którą „odreagowywał”, tym bardziej miałam go gdzieś. Coś mi jednak nie pasowało. Gdy Matt ze Scottem postanowili popływać, a reszta się rozdzieliła — część ruszyła to zobaczyć, a część poszła pogadać z innymi znajomymi — uznałam, że zrobię sobie samotny spacer. Nie miałam ochoty na rozmowy i towarzystwo. Chodziłam powoli po całej plaży, uśmiechając się, gdy słyszałam zabawne zaczepki bardzo pijanych ludzi rzucone w moją stronę. Doszłam do niewielkiego pomostu, który był nieco oddalony od głównej plaży.

Przeszłam na sam koniec drewnianej konstrukcji i usiadłam na skraju. Pomost nie był długi, ale gdybym wpadła do wody, z pewno-

ścią byłabym cała mokra. Rozsiadłam się wygodniej, spuszczać nogi. Podeszwy moich butów dotykały tafli wody, zostawiając na niej małe zmarszczki. Podparłam się dłońmi o deski, wpatrując się w niebo, na którym było mniej gwiazd niż zazwyczaj, ale dalej był to piękny widok. Panująca wokół cisza i przytłumione głosy ludzi dobiegające z głównej plaży działały na mnie kojąco. Musiałam zagłuszyć natarczywe myśli.

Niestety niedługo byłam sama. Usłyszałam za sobą jakiś hałas, a następnie niewyraźne głosy. Pomost lekko się zatrzęsł, co oznaczało, że ktoś na niego wszedł.

— Puść mnie, poradzę sobie.

Zmarszczyłam brwi, kiedy się zorientowałam, że to był głos Nathaniela.
No oczywiście, kurwa.

Bez namysłu odwróciłam się w tamtą stronę. Shey i dziewczyna, która wcześniej siedziała mu na kolanach, weszli właśnie na deski, ale mnie nie zauważyli. Brunetka obejmowała Nathaniela w pasie, a on lekko się chwiał, nie patrząc pod nogi. Był zupełnie pijany. Niższa od niego, krępej budowy ciała dziewczyna ledwo go utrzymywała. Starła się, by się nie przewrócił, a on jej tego nie ułatwiał.

— Daj spokój, Shey — mruknęła cicho. — Zaraz się przez ciebie przewrócimy. Złażmy z tego cholernego pomostu.

— To idź — odpowiedział nieco niewyraźnie i dziwnie powoli, a jego przepity głos był zachrypnięty jeszcze bardziej niż zazwyczaj. — Mówiłem, że... dam sobie... sobie radę.

— Wpadniesz do wody — westchnęła. — I coś ci się stanie.

— Idź stąd, bo... bo mnie chole... cholernie wkurwiasz — burknął niemiło.

Widziałam, że brunetka zacisnęła szczękę, a następnie popatrzyła na niego spod byka.

— Chciałam ci pomóc, ale jak jesteś chujem, to proszę bardzo. Utop się — warknęła i puściła go, po czym zeszła z pomostu i prawie pobiegła w stronę plaży.

Nathaniel nadal mnie nie widział. Nawet gdy stał w bezruchu, to i tak chwiejnie. Nie chciałam wiedzieć, ile wypił, ale było z nim źle. Nieudolnie wsadził dłonie do kieszeni spodni, pociągnął nosem i zamglonym wzrokiem patrzył na oddalającą się dziewczynę. Wzruszył ramionami, jednak to nie był dobry pomysł, ponieważ stracił

równowagę i mimowolnie przechylił się do tyłu. Bez zastanowienia zerwał się ze swojego miejsca i podbiegł do niego, bo stał praktycznie na krawędzi pomostu.

— Hej, stop! — zawołałam.

W ostatniej chwili złapałam go za nadgarstek i przytrzymałam. Pociągnęłam go do przodu, aby stanął nieco pewniej na nogach. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, jakby zastanawiając się, kim jestem. Taksował moją twarz nieprzytomnym wzrokiem, aż w końcu coś w tych czarnych oczach drgnęło. Uniósł brwi, odchylając głowę.

— Clark? — zapytał niepewnie.

Clark. Dlaczego musiał zwracać się do mnie po nazwisku?

— Nate, naprawdę zejdz z tego pomostu, bo się utopisz. Ta dziewczyna miała rację — mruknęłam, choć te słowa ledwo przeszły mi przez gardło.

Chłopak parsknął prześmiewczo pod nosem, patrząc na mnie z góry. Choć był zalany w trupa, w jego spojrzeniu widziałam wyższość i kpinę. Obrzuciłam wzrokiem jego twarz. Nadal była posiniaczona, ale nie tak spuchnięta. Jego oko wyglądało już prawie normalnie, a na łuku brwiowym miał przyklejony plaster. Od zawsze rany goiły się na nim jak na psie. Wciągnął powoli powietrze, a następnie pokręcił głową. Bez słowa zrobił kilka kroków w przód, wymijając mnie, podczas gdy ja uważnie obserwowałam każdy jego ruch.

— Nie — odpowiedział tylko, po czym ruszył w stronę końca pomostu.

Wiedziałam, że nie było sensu się z nim kłócić. Sprzeczką z trzeźwym Sheyem mogła skończyć się trwałym uszczerbkiem na psychice. Sprzeczką z pijanym była samobójstwem. Chłopak szedł chwiejnie, nie przejmując się tym, a ja go asekurowałam, idąc zaraz za nim. Chyba nawet mnie nie słyszał, bo gdy doszedł do końca, zatrzymał się i chwilę tak stał. Nagle pochylił się, a ja już chciałam go złapać, bo myślałam, że stracił równowagę. On jednak tylko niezgrabnie próbował usiąść na krawędzi drewnianej konstrukcji. Z lekką kpiną patrzyłam na to, jak pokraczny był w takim stanie. W sumie nic dziwnego, pewnie wypił cholerne wiadro wódki.

Gdy usiadł, westchnął, przeczesując palcami potargane włosy. Spuścił nogi i byłam pewna, że zamoczył swoje converse'y, ale nic nie powiedział. Siedział tak chwilę, a ja nadal obserwowałam jego szerokie plecy,

aż w końcu odwrócił głowę w bok. Chyba nie chciało mu się przekreślać jej w moją stronę, więc popatrzył w las.

— Siądziesz? — wybełkotał.

— Po co? — zapytałam, ale do niego podeszłam.

Powoli zajęłam miejsce obok niego, pilnując, aby nasze ramiona się nie zetknęły. Spuściłam nogi i znów oparłam się dłońmi o deski pomostu, tym razem zerkając kątem oka na jego profil. Chłopak patrzył przez chwilę na nocny krajobraz przed nami, aż w końcu powoli się do mnie odwrócił. Jego puste oczy w tamtym momencie były tak cholernie martwe i bez życia. Cały taki był.

— Ktoś musi mnie ratować, gdy już spadnę.

Po tych cichych słowach, które miały nieco dziwny wydźwięk, znów odwrócił się w stronę jeziora.

Przez chwilę patrzyłam na jego twarz. Nie odpowiedziałam, wydawało mi się, że nie było to konieczne. Zapanowała między nami cisza, gdy on spoglądał przed siebie, a ja na swoje buty. Czułam się nieco dziwnie, siedząc tam z pijanym Nathanielem, który nie za bardzo kontaktował. Byłam na dziewięćdziesiąt procent pewna, że nie będzie tego pamiętać.

— Kiedy przyjechałaś? — zapytał jakby trzeźwiej. Delikatny wiatr bawił się jego potarganymi włosami.

— Jakiś czas temu — odpowiedziałam lakonicznie.

— Nie widziałem cię — mruknął, na co mocniej zacisnęłam palce na deskach pomostu.

Najwyraźniej byłeś zajęty.

— Zdarza się — rzuciłam z niewzruszoną miną.

Znów zapanowała między nami cisza. Naprawdę się zastanawiałam, co ja tam jeszcze robię. Powinnam była powiadomić kogoś, gdzie jest Nathaniel, i pojechać do domu, bo tylko na to miałam ochotę. Nie chciałam z nim siedzieć, nie chciałam go widzieć ani tam przebywać. Nie powinnam była jechać na to pierdolone ognisko. Byłam zirytowana, a Shey jeszcze potęgował moją irytację. Shey i jego pierdolony stan, i... i on cały!

Nie. Dość tego.

— Będę się zbierać — mruknęłam, nawet na niego nie patrząc.

Podparłam się jedną dłonią o deskę, aby wstać, ale Nathaniel najwyraźniej nie chciał mnie puścić. Kiedy nieco się uniosłam, położył dłoń na

mojej dłoni i pociągnął mnie w dół, przez co opadłam na swoje miejsce, lekko nachylając się w jego stronę. Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co się stało, przelknęłam ślinę. Spojrzałam na swoją dłoń, na której spoczywały długie palce Sheya. Czułam, że tracę oddech, gdy przerażająco powoli unosiłam wzrok na jego twarz. Znajdowała się zdecydowanie zbyt blisko mojej. Czarne oczy Nathaniela wpatrywały się we mnie z żarem, a ja nie potrafiłam się odwrócić. Jego pijacki oddech owiewał moją twarz, gdy niemal stykaliśmy się nosami, patrząc sobie w oczy.

Dlaczego mi to robisz?

— Jesteś naprawdę pijany, Nate — powiedziałam cicho, akcentując każde słowo.

Ani drgnął, a ja nie potrafiłam się ruszyć. Nie potrafiłam oddychać, zaczęłam drżeć. Serce niemal wrywało się z mojej klatki piersiowej i byłam pewna, że on to słyszał. Widziałam jedynie jego czarne oczy, które zaczęły mnie pochłaniać, i wiedziałam, że jeśli czegoś nie zrobię, pochłoną mnie bez reszty. Najgorsze było to, że nie potrafiłam tego zatrzymać. Wyglądał jak skała. Posąg, ulubieniec bogów. Z każdą kolejną sekundą, która upływała, coraz bardziej kuliłam się w sobie. Nathaniel oddychał prosto w moją twarz przez lekko rozchylone wargi, patrząc przy tym tylko na mnie. Osaczał mnie swoim spojrzeniem, jakby wiedział, że to wystarczy, abym się poddała. Nie zdawał sobie sprawy, ile cierpienia mi to przynosiło.

Nie mogłam tego zrobić. Nie z nim. Nie ponownie. Raz już się odważyłam, na drugi raz nie miałam siły.

Wtedy jego wzrok padł na moje wargi. A ja widziałam swój upadek.

— Nie zrobisz tego — wyszeptalam niemal niesłyszalnie, nie kontrolując słów, które wyszły z moich ust.

Nathaniel znów spojrzał mi w oczy.

— Nie dziś. Nie w tej chwili — ciągnęłam, z pasją wbijając w niego wzrok. — Nie, kiedy ty jesteś pijany, a ja chcę wrócić do domu. Nie, kiedy to wszystko tak wygląda. Może kiedyś. W przyszłości. Może moglibyśmy to zrobić, gdybyśmy byli pewni, że tego chcemy. Tylko tu pojawia się problem, Nate. Nigdy nie będziemy. Nigdy nie będziemy pewni. — Kolejne uderzenia serc. Nie tylko mojego. Słyszałam też bicie jego serca. Albo już wariowałam? — Jeśli jednak to zrobimy... Jeżeli jakimś cudem to się stanie... Może przez tę jedną chwilę znów będzie jak kiedyś.

To był błąd. Powrót do Culver City był błędem.

— Wierzysz, że może być jak kiedyś? — zapytał.

— A ty wierzysz? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

— Skąd wiesz, że nie jestem pewny? — spytał cicho, a jego głos rozpląnął się w powietrzu.

Westchnęłam. Odpowiedź była prosta.

— Bo jeszcze nigdy nie widziałam kogoś tak zagubionego.

— To jest nas dwoje, czyż nie?

Nie odpowiedziałam. Zamiast tego zacisnęłam powieki i wyszarpnęłam dłoń spod jego dłoni. Gwałtownie wstałam i ruszyłam w stronę plaży. Sekundy dzieliły mnie od zwymiotowania. Nawet nie czułam na sobie jego wzroku. Chciałam wrócić do domu. Do Maine.

Właśnie wtedy Nathaniel Shey potwierdził to, co doskonale wiedziałam.

— Lepiej byłoby, gdybyś tu nie wróciła.

Te ciche słowa sprawiły, że wsiadłam w taksówkę i przez całą drogę do domu powstrzymywałam cisnące mi się do oczu łzy. Nie pozwoliłam ani jednej wypłynąć. Powtarzałam sobie, że płaczę tylko podczas złych dni i nikt tego nie zmieni. Był dla mnie nikim, przeszłością, wspomnieniem, historią. Moim upadkiem. Obiecałam sobie dawno temu, że już nigdy nikt nie sprawi, że znów będę w takim stanie, w jakim byłam przez niego. Przez kilka lat udawało mi się dotrzymać danego sobie słowa. Tamten wieczór uświadomił mi, że było tak, ponieważ tylko Nathaniel potrafił sprawić, że na oślepek rzucałam się w ogień.

Nigdy już przez ciebie nie zapłaczę.

Przez tę sytuację zrobiłam również coś, czego nie powinnam była robić. Nawet nie wiedziałam, jak do tego doszło, ale wyjęłam telefon. Wybrałam numer Federica Guevy, przyłożyłam urządzenie do ucha i powiedziałam pustym głosem:

— Chciałabym spotkać się z Vincentem.

Najcelniejsza definicja miłości

Westchnęłam cicho, stukając delikatnie łyżeczką o ściankę kubka, tak by spłynęły z niej krople gorącej herbaty. Siedziałam na ławce na gan-ku, spoglądając na pustą ulicę obok swojego domu. Była dopiero trze-cia po południu, na zewnątrz było stosunkowo ciepło i słonecznie, ale nasi sąsiedzi, którzy uwielbiali przesiadywać w ogródkach, zaszyli się w swoich domach. Cieszyłam się z tego, bo potrzebowałam samotności. Ciszy.

Upiłam łyk herbaty, delektując się jej przyjemnym zapachem, któ-ry przypominał mi dzieciństwo. Siedziałam tak już od ponad godzi-ny, myśląc zupełnie o niczym, gdy nagle drzwi frontowe się otworzyły, a w progu stanął mój brat w wygodnym dresie i z włosami wilgotnymi po prysznicu. Na jego pulchne wargi wpłynął lekki uśmiech, który niemrawo odwzajemniłam, chociaż nie miałam ochoty się uśmiechać. Nie chciałam jednak, aby uznał, że coś jest nie tak.

Wszystko jest okej.

— Co tak tu siedzisz? — zapytał cicho miękким głosem, podchodząc bliżej.

Wzruszyłam ramionami, a on włożył ręce do kieszeni dresów i usiadł obok mnie na wiklinowej ławeczce.

— Spędzam czas sama ze sobą — odparłam bezbarwnym głosem. Znów upiłam łyk herbaty, z przykrością stwierdzając, że zostało jej niewiele na dnie kubka.

— A nie mówiłaś kiedyś, że nie lubisz tego robić, bo zaczynasz samą siebie denerwować? — zadrwił zaczepnie.

Czułam jego wzrok na swojej twarzy, gdy obserwowałam zaniedbane drzewka w wielkich donicach, które stały na ganku. Dopiero po jakimś czasie dotarł do mnie sens jego słów, więc znów zmusiłam się do uśmiechu, który zapewne przypominał grymas.

— Czasami wolę denerwować samą siebie, niż żeby to ktoś denerwował mnie — odparłam wprost, co wywołało jego cichy śmiech. Lubiłam ten dźwięk.

Znów zapanowała między nami komfortowa cisza, ale po chwili milczenia zorientowałam się, że Theo nie jest tak rozluźniony, jak na początku mi się wydawało. Wzdychał i błędził wzrokiem po całym ganku, ale raz po raz zatrzymywał go na mnie. Po kolejnej minucie nie wytrzymałam i zerknęłam na niego kątem oka. Przyłapałam go na tym, że znów na mnie patrzy, i nie wytrzymałam.

— Czy coś się stało? — zapytałam poważnie i spokojnie, marszcząc brwi.

Wydawał się nieco przygnębiony i to mi się nie spodobało. Nie odwrócił oczu, przygryzł dolną wargę i znów westchnął.

— Nie, po prostu... — zaczął, odchylając się na ławce.

Ogarnął mnie niepokój. Widziałam, że próbuje ułożyć sobie w głowie to, co chciał mi powiedzieć.

— Od wczorajszego ogniska na plaży zachowujesz się dziwnie. Czy wszystko jest okej?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadałam, po prostu patrzyłam na jego twarz, zastanawiając się, jakim cudem on zawsze wiedział, gdy coś się działo. No cóż, może nie zawsze, ale w większości przypadków. Poczułam, że ogarnia mnie stres.

W pewnym momencie bezwiednie ścisnęłam kubek tak mocno, że w moim palcu serdecznym coś dziwnie przeskoczyło i to spowodowało pulsujący ból. Gdyby naczynie było z mniej wytrzymałego materiału, zapewne bym je zgmiotła, ale to właśnie wtedy, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaczęłam się uspokajać. Nieprzyjemne odczucie w palcu się nasilało, przez co szum myśli w mojej głowie nieco ucichł. Nawet nie drgnęłam i nie spojrzałam na swoją dłoń, tylko bez emocji wzruszyłam ramionami.

— Wszystko jest jak najbardziej w porządku. Nie wiem, czemu pytasz — odpowiedziałam pustym głosem i upiłam łyk herbaty. Zacisnęłam z całej siły szczękę, gdy poczułam silne ukłucie w palcu.

Theo milczał przez chwilę, a potem znów cicho westchnął i splótł ze sobą dłonie, opierając łokcie o kolana.

— Jesteś dziwnie nieobecna — zaczęła ostrożnie. — Wczoraj nie powiedziałaś, że wracasz do domu. Po prostu zniknęłaś w środku imprezy i wzięłaś taksówkę, chociaż umawialiśmy się inaczej.

— Mówiłam ci już, że źle się poczułam i nie chciałam cię martwić — powtórzyłam swoją wymówkę.

— Okej, ale mogłaś coś wspomnieć. — Wzruszył ramionami. — Nawet się z nikim nie pożegnałaś.

— Dobrze się bawiliście, a ja nie chciałam tego psuć, więc zamówiłam taksówkę i wróciłam. Tyle — odrzekłam nieco zniecierpliwiona.

— Stało się tam coś? — zapytał nagle, a jego głos był cichy i poważny.

Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odezwało, po prostu wpatrywaliśmy się w siebie. Mój brat był lekko spięty, a jego oczy wyrażały troskę i chęć zaopiekowania się mną, podczas gdy moje pozostały chłodne i bez wyrazu. On cały czas się martwił, a ja nie byłam w stanie wykrzesać z siebie ani krzty emocji i wdzięczności. Uśmiechnęłam się do niego z wyuczonym spokojem, którego w środku nie czułam już od wielu dni.

— Nic się nie stało. Przysięgam — skłamałam, patrząc mu prosto w oczy.

Wiedziałam, że tym razem uwierzył, ponieważ odetchnął cicho i też się uśmiechnął.

— To dobrze. Wiesz, myślałem, że tak, bo od wczoraj naprawdę jesteś jakaś inna. Mało się odzywasz i unikasz rozmowy. Martwiłem się.

— Każdy ma gorsze chwile, Theo, a wiesz, że ja mam tak trzy razy bardziej. — Mój kiepski żart, który nie do końca był żartem, chyba go rozbawił. — Jest w porządku. Ostatnio czuję się po prostu zmęczona. Tyle.

Tyle.

— Ostatnio chyba każdy tak ma — westchnął. — Dlatego to ognisko wczoraj dobrze nam zrobiło.

Wybornie.

— Działo się coś ciekawego, gdy już pojechałam? — zapytałam, udając zainteresowanie, aby uspokoić go jeszcze bardziej i sprawić, by już nie drażył. Tak naprawdę miałam to gdzieś, sama myśl o tym spotkaniu uruchamiała mój odruch wymiotny.

— Niewiele. Matt z Chrisem się upili, więc Laura z Mią musiały ich ogarnąć. Ale to i tak nic w porównaniu z Nate'em.

Poczułam, jak coś ścisnęło się w moim żołądku, gdy te słowa padły z ust niczego nieświadomego Theo. Chciałam zapanować nad biciem swojego serca, które znów z sekundy na sekundę przyspieszało, ale było mi coraz trudniej. Przed oczami miałam tę cholerną scenę z pomostu, o której nie chciałam myśleć, ale wróciła do mnie już jakiś milion razy. Nie potrafiłam o tym zapomnieć, chociaż tak bardzo się starałam. Powtarzałam sobie, że to nie powinno być mnie w żaden sposób ruszyć, że to nic nie znaczyło.

„Lepiej byłoby, gdybyś tu nie wróciła”.

Sześć głupich słów, które sprawiły, że poczułam przejmujący ból. Sześć słów, przez które zawładnęła mną chęć wyjechania z tego pierdolonego miasta silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Sześć słów, przez które powinnam była go znienawidzić. I tu pojawiała się słowo klucz. *Powinnam*. Bo powinnam była to zrobić, ale nie mogłam. Choć należało się odciąć, moje myśli wracały do tego cholernego pomostu, gdzie pijany Nathaniel wypowiedział słowa, które sprawiły, że pęłam.

Te słowa spowodowały, że zrobiłam coś, czego mogłam gorzko pożałować.

Czując obrzydzenie do samej siebie przez swoją cikliwość i słabość, z kamienną twarzą uniosłam brwi. Udałam ciekawość i to, że palec wcale mnie cholernie nie boli. Skupiłam wzrok na chwastach, które wykosiliśmy z Theo i których nadal nie pozbieraliśmy z trawy.

— A co z Nate'em? — zapytałam i poczułam dumę, że mój głos nie zadrżał.

Przygryzłam policzek, nienawidząc samej siebie za to, że w ogóle w to brnę. Byłam masochistką.

Theo wypuścił teatralnie powietrze, kręcąc głową, co lekko mnie zainteresowało. Nie chciałam myśleć o tym, co się działo z Nathanielem, jak już zostawiłam go na tym pieprzonym pomoście, ale ciekawość wzięła górę. Próbowałam się nie martwić, wmawiałam sobie, że się nie martwię, choć jadąc do domu po tym całym syfie, nadal byłam przerażona, bo nie wiedziałam, czy czegoś przez przypadek i alkohol sobie nie zrobi. Przez kilkadziesiąt minut zastanawiałam się nawet, czy nie wrócić, aby sprowadzić go z tego pieprzonego pomostu,

by nie wpadł do wody. Był pijany i mogło mu się coś stać, wystarczyło tylko, by się zachwiał.

Nie wróciłam, chociaż musiałam mocno ze sobą walczyć. Walczyłam również z chęcią, by zadzwonić do kogoś i powiedzieć, gdzie jest Shey, aby ktoś go pilnował. Powstrzymała mnie myśl, że nasi znajomi zaczęliby zadawać pytania, a tego starałam się unikać. Odetchnęłam dopiero wtedy, gdy Theo wrócił do domu i nie wspomniał o żadnych nieprzyjemnych wypadkach. Nathaniel był bezpieczny.

A mnie zależało na tym bardziej, niż powinno.

— Ostro przesadził z wódką — mruknął Theo, ale jego głos nie zdradzał, aby kryło się za tym coś złego. Wydawał się jakby rozbawiony całą sytuacją, a na jego wargach malował się kpiący uśmiešek.

— To znaczy? — zapytałam mimowolnie, chociaż mój mózg mi powtarzał, abym się ogarnęła i przestała katować samą siebie.

Na marne.

— Jak jeszcze byłaś, to już był pijany, ale jak pojechałaś, to dopiero się zaczęło — zakpił. — Nie mam pojęcia, ile wypił, ale dużo za dużo. Od początku imprezy siedział ze swoimi znajomymi, a potem nagle zniknął na dobre pół godziny. Ty w tym czasie chyba pojechałaś do domu. Mia z Parkerem zaczęli go szukać, bo długo się nie pojawiał, a potem i my, bo trochę się zmartwiliśmy. Znaleźliśmy go po piętnastu minutach. Siedział na pomoście i kończył butelkę wódki. Był w takim stanie, że prawie wpadł do wody. Naprawdę, pierwszy raz w życiu widziałem go tak pijanego, a co jak co, Nate ma mocną głowę. Nie wiem, ile musiał wypić. Kto wie, może skłamał, że nie brał leków, pomieszał i go odcięło.

Kurwa.

— Gdy do niego podeszliśmy, nawet nie wiedział, kim jesteśmy. Scott z Parkerem musieli go podnieść. Był tak odcięty od rzeczywistości, że nie protestował. Zasnął w drodze do samochodu Mii — mruknął, a następnie cicho odchrząknął, jakby lekko zmarkotniał. — Luke z Jasmine zawieźli go do domu. Parker potem wrócił na imprezę, a Jasmine została z Nate'em w jego mieszkaniu, aby się nim zająć — dodał i wyprostował się na ławce, przenosząc wzrok na coś naprzeciw siebie. — Nate nieźle się zabawił. Pewnie nic nie pamięta, a dziś cały dzień leczy kaca. I współczuję mu, bo taki zgon nie jest niczym przyjemnym.

Ze zdławionym oddechem słuchałam opowieści Theo. Gdy rozmawiałam z Nathanielem, nie było z nim aż tak źle. Nie miał przy sobie wódki, więc dopiero później musiał *zaszaleć*. Nie wiedzieć czemu sama świadomość tego spowodowała, że poczułam ochotę, by dać mu w pysk. Był taki głupi i nieodpowiedzialny, że naprawdę mogło mu się coś stać.

To przez ten pierdolony alkohol odbyła się nasza rozmowa, ale nie sądziłam, że będzie pił dalej. Zastanawiałam się, czy te słowa, które między nami padły, powiedzielibyśmy sobie, gdyby był trzeźwy. Czy byliśmy zbyt wielkimi tchórzami albo może wcale tak nie myśleliśmy? Może on tak nie myślał, może to wszystko było jednym wielkim pijackim bełkotem?

Męczyło mnie również inne pytanie. Czy pamiętał... naszą rozmowę i to, co powiedział, gdy odchodziłam. Może żałował i zastanawiał się nad tym, czy w jakiś sposób mnie to zabolowało?

Chciałam powiedzieć coś, co będzie adekwatne, ale nic nie przychodziło mi na myśl. Theo i reszta nie wiedzieli, że rozmawiałam z Sheyem. Nie wiedzieli o naszym głupim starciu. O słowach, jakie między nami padły, o wspomnieniach, zerknięciach na usta... Zacisnęłam wargi w wąską linię, bo znów ogarnęło mnie to kurewsko nieprzyjemne uczucie, które promieniowało na całe moje ciało. Nie powinnam była tego czuć, nie miałam prawa tego czuć!

Panie, tak bardzo chciałam uciec z tego miasta.

— No cóż, ma do tego prawo. — Wzruszyłam ramionami, unikając wzroku brata. — Jest wolny, dorosły i może żyć po swojemu. Plus rozstał się z narzeczoną, a ten cały syf z Brooklynem pewnie też na nim siadł.

— Pewnie tak — odparł. — Mnie tam nic do tego. Niech robi, co chce. Dobrze, że ty też tak uważasz.

Pokiwałam głową, zgadzając się z nim i chcąc zakończyć ten temat. Znów zamilkliśmy, a ciszę przerwały dopiero wibracje mojego telefonu. Odstawiłam kubek na stolik i wyjęłam iPhone'a z kieszeni dresów, krzywiąc się nieznacznie przez pulsujący ból palca. Wbiłam wzrok w pasek powiadomień i zamarłam.

Federico Gueva: Witam. Umówione spotkanie z panem Foixem dziś o ósmej w jego posiadłości. Przyjedzie po Panią kierowca. W razie jakichkolwiek pytań proszę kontaktować się ze mną. Pozdrawiam,
Federico Gueva

Moje oczy błędziły po tekście wiadomości, która spowodowała szybsze bicie mojego serca. Dopadł mnie stres, jednak w żaden sposób nie dałam tego po sobie poznać, to w końcu była moja inicjatywa. *Mój mały misterny plan*. Wiedziałam, że ta wiadomość przyjdzie prędzej czy później, i przez cały dzień na nią czekałam.

Zastanawiałam się tylko, jak mocno miałam tego żałować.

— Co jest? — Pytanie Theo wyrwało mnie z letargu.

Pomrugałam gwałtownie i ze zmarszczonymi brwiami popatrzyłam na jego twarz.

— Huh? — mruknełam głupio, ponieważ nie do końca rejestrowałam, co się dzieje.

Theodor posłał mi pytające spojrzenie.

— Co jest? Zawiesiłaś się — odparł rozbawiony i tak bardzo niczego nieświadomy. — Kto napisał?

Patrzyłam na jego uśmiech, który był taki piękny, a potem poczułam, jakby telefon, który trzymałam mocno w dłoni, zaczął mnie palić żywym ogniem. Moja skóra płonęła, a te płomienie były zapowiedzią zguby, którą sprowadziłam na siebie, dzwoniąc do współpracownika Vincenta dzień wcześniej, gdy po rozmowie z Sheyem jechałam do domu tą przeklętą taksówką. Kiedy poprosiłam o spotkanie z człowiekiem, który odebrał mi spokój. Najgorsze było to, że nikt nie podejrzewał, co miałam zamiar zrobić.

I kiedy Theo patrzył tak na mnie tymi swoimi szczerymi, pełnymi miłości oczami, zdałam sobie sprawę, że nieważne, ile razy bym próbowała, ile słów bym wypowiedziała... zawsze będę miała w sobie to coś, co niszczy wszystko, czego tylko dotknę. Byłam jak bomba bez zegara, która w każdej chwili mogła wybuchnąć. Nikt nie wiedział kiedy. Miałam świadomość, że jeśli zrobię to, co zamierzałam zrobić, prawdopodobnie stracę zaufanie Theo i reszty naszych znajomych już na zawsze, ale mimo to nie chciałam zrezygnować.

Bo lepiej byłoby, gdybym nigdy nie wróciła.

Uśmiechnęłam się delikatnie i zablokowałam urządzenie, a następnie wsunęłam je do kieszeni spodni.

— Pamiętasz taką Marie, z którą chodziłam na hiszpański w liceum? — zapytałam, a on zmarszczył brwi, patrząc na mnie z konsternacją.

— No może i tak, ale co w związku z tym?

— Spotkałam ją ostatnio w sklepie. Postanowiłyśmy się umówić i powspominać. Właśnie napisała mi wiadomość, czy nie chciałabym dziś o ósmej do niej wpaść — kłamałam z uśmiechem, obserwując, jak zmarszczki na jego czole się wygładzają i jak się rozluźnia. — Więc chyba kupię jej jakieś wino i do niej pojadę.

— To świetny pomysł — odparł zadowolony, na co pokiwałam głową.
Tak. Cudowny.

— Idę coś zjeść, a potem zacznę się zbierać — powiedziałam, podnosząc się. — Wiesz, że trochę mi to zajmie.

Zmierziłam mu czuprynę, na co fuknął na mnie, odpychając moją dłoń. Uśmiechnęłam się i weszłam do domu, gdzie moja maska opadła niemal natychmiast. Nogi miałam jak z waty, więc aby nie upaść, oparłam się plecami o drzwi, przymykając powieki.

Kiedy pół godziny przed ósmą stałam przed lustrem w swoim pokoju, nie miałam już wątpliwości. Wmówiłam sobie, że robię to dla własnego dobra i dla bezpieczeństwa Theo. Wypuściłam z ust drżący oddech, kładąc dłoń płasko na brzuchu. Byłam ubrana w komplet od Diora, na który składała się czarna spódnica i tego samego koloru marynarka ze złotymi wstawkami i guzikami. Na stopy wsunęłam czarne szpilki na platformie. Z sercem w gardle patrzyłam na swoją twarz, która mimo podkładu, pudru i korektora nadal była blada. Nawet makijaż nie mógł ukryć tego, że byłam wyczerpana życiem.

Przeczesałam drżącymi palcami rozpuszczone włosy i chwyciłam czarną kopertówkę, do której wrzuciłam najpotrzebniejsze rzeczy, a następnie wyszłam z pokoju. Zerknęłam na swój palec, który lekko spuchł. Nasmarowałam go wcześniej maścią, ale bałam się, że mogłam go uszkodzić. Zignorowałam to jednak, bo miałam ważniejsze rzeczy na głowie. Przywołałam na twarz wyuczony uśmiech i zesłam do salonu, w którym siedział Theo i oglądał telewizję. Spojrzył na mnie z opóźnionym refleksem.

— Ładnie wyglądasz — skomplementował mnie, a po chwili na jego wargi wpłynął ten głupi uśmieszek. — W końcu.

— Ha, ha — sarknęłam.

— O której wrócisz? — zapytał, a ja poczułam, że mam ochotę wymiotować własny żołądek.

Przełknęłam ślinę, kierując się w stronę drzwi.

— Późno. Nie czekaj na mnie — odparłam cicho i z mniejszą energią.

— Baw się dobrze! — zawołał za mną, a ja zatrzasnęłam za sobą drzwi nieco mocniej, niż trzeba było.

Zacisnęłam z całej siły powieki, gdy poczułam, jakby przygniótł mnie kamień wielkości Manhattanu. I ten pieprzony kamień wciąż spychał mnie w dół. Zimne powietrze owiewało moje rozgrzane od emocji policzki. Gdy odważyłam się otworzyć oczy, świat wcale mi się nie spodobał. Był zimny, pełen kłamstw i nieszczęścia. Najbardziej bawiło mnie to, że sama ten świat wykreowałam, bo mój świat był taki jak ja.

Uniosłam wzrok na granatowe niebo. Gwiazdy były prawie niewidoczne, co w Kalifornii zdarzało się rzadko. Najczęściej oznaczało to zbliżającą się burzę. Wyrównałam oddech i przeszłam na chodnik. Już wcześniej napisałam Guevie, aby kierowca, który moim zdaniem był zupełnie niepotrzebny, przyjechał ulicę dalej, ponieważ nie chciałam, by mój brat przypadkiem zobaczył, że wsiałam do czyjegoś samochodu.

Z burzą myśli w głowie dostrzegłam czarne bmw, które stało na przystanku autobusowym. Było piękne, luksusowe i zapewne niebotycznie drogie, a że miało wszystkie szyby przyciemniane, od razu się zorientowałam, do kogo należy. Wysiadł z niego wysoki mężczyzna w średnim wieku ubrany w garnitur. Gdy mnie zauważył, z posągową miną ruszył w moją stronę. Wiedział, że przyjechał tam po mnie.

— Witam, panno Clark. — Skinął, zatrzymawszy się w odległości trzech jardów ode mnie. — Pan Foix już czeka. Możemy?

Wtedy jeszcze miałam wybór. Mogłam wrócić do domu, do Theo, który niczego nie podejrzewał. Jak gdyby nigdy nic zjeść z nim kolację, śmiać się z jego żartów, patrzeć mu w oczy ze świadomością, co chciałam zrobić. Tę opcję wybrałby każdy, komu choć trochę zależało na drugim człowieku, ale ja byłam zbyt narcystyczna, zbyt egocentryczna.

Uniosłam hardo głowę, przywołując na twarz obojętną minę i prezentując wyniosłą postawę. W tamtej chwili zrobiłam najgorszą rzecz, jaką może zrobić człowiek. Całkowicie odcięłam się od wyrzutów sumienia i dręczących myśli. Byłam w tym piekielnie dobra, miałam doświadczenie. Gdy już się to wyćwiczyło, stawało się to takie proste.

— Tak — odparłam oschłym tonem. — Możemy jechać.

Bez wahania ruszyłam za mężczyzną, który poprowadził mnie do drogiego samochodu. Obojętnie patrzyłam, jak otwiera mi tylne drzwi. Jedną dłoń założył za plecy, prostując się. Nie zaszczycając go ani jednym spojrzeniem, wsiadłam do bmw i od razu poczułam chłód z klimatyzacji.

Wbiłam wzrok w fotel pasażera przed sobą, przez natłok myśli nawet nie zapinając pasów. Słyszałam, jak kierowca wsiada do środka, a następnie odpala auto, które nie wydało z siebie praktycznie żadnego dźwięku. Patrzyłam na widoki za szybą, gdy stopniowo oddalaliśmy się od znanych mi ulic, aż w końcu wjechaliśmy w dróżkę, którą nigdy nie jechałam. Nie było tam latarni, po obu stronach rozciągały się jedynie pola, gdzieś tam dostrzegłam stawy.

— Nie jedziemy do posiadłości w pobliżu centrum? — zapytałam niby spokojnym głosem, choć w środku nie byłam już taka opanowana.

Może było to nielogiczne, ale chyba czułabym się tam bezpieczniej, o ile w ogóle mogłam czuć się bezpiecznie w takiej sytuacji. Już tam byłam, więc wiedziałam, co i jak. Nie chciałam jechać w obce miejsce, choć i tak nie miałam wyboru.

— Nie — odparł spokojnie mężczyzna. — Pan Foix nie chce, aby ktokolwiek niezauwany wiedział o jego obecności w Culver City, więc co jakiś czas zmienia miejsce pobytu.

— A mogę wiedzieć, gdzie dokładnie jedziemy? — zapytałam lekko podirytowana tą tajemniczością.

— Tego niestety nie mogę zdradzić. Przykro mi — uciął, a ja wiedziałam, że nie ma sensu dążyć.

Po pewnym czasie czułam już tylko irytację i złość, ponieważ od jakichś trzydziestu minut wciąż jechaliśmy. Nie wiedziałam nawet, czy dalej byliśmy w Culver City! Kierowca był miły, ale mało mówny, zresztą ja też nie miałam ochoty na pogaduszki. W końcu zatrzymaliśmy się przed wysokim murem i wielką bramą. Zdziwiłam się, bo nigdzie nie dostrzegłam żadnego domu, i już chciałam zapytać o to mężczyznę, ale nagle skrzydła bramy zaczęły się otwierać.

Wjechaliśmy i poruszaliśmy się dalej po prostej asfaltowej drodze. Po jej obu stronach były posadzone wysokie drzewa, przez co utworzył się pewnego rodzaju tunel. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Wreszcie droga się skończyła i wjechaliśmy na wielki, wyłożony kostką

plac, a następnie zatrzymaliśmy się przed gigantyczną posiadłością. Widziałam w życiu wiele budynków, ale ten był... czymś innym.

Imponujący kompleks w kolorze karmelu prezentował się bajecznie. Był symetryczny i miał bogato zdobioną fasadę. Ogromne marmurowe schody prowadziły do szerokich drzwi, dobrze komponując się ze strzelistymi oknami i dachem. Przez późną porę latarnie ogrodowe były włączone i pięknie oświetlały budynek i rośliny przed nim. Misternie zdobiona fontanna również była jasno podświetlona. Bogactwo, przepych, złoto. Te trzy słowa określały tę rezydencję i te trzy słowa pasowały do Vincenta.

Kierowca wysiadł z auta i otworzył mi drzwi, więc też opuściłam samochód. Rozejrzałam się wokół, a mężczyzna gestem ręki wskazał mi schody.

— Pan Foix już na panią czeka. Proszę za mną — powiedział i ruszył podświetlonymi schodami w stronę wejścia do tego małego pałacu.

Ostatni raz odetchnęłam, uniosłam głowę i poszłam śladem kierowcy. Znow ten cholerny stukot szpilek, który działał mi na nerwy. To był kolejny raz, gdy żałowałam, że nie włożyłam płaskich butów. W końcu pokonałam schody, ale nawet nie doszliśmy pod drzwi, a te nagle zostały otworzone przez dwóch mężczyzn w garniturach, którzy mieli w uszach słuchawki. Nie spojrzeli w naszą stronę, po prostu stali tam wyprostowani i poważni. Minęłam ich i udałam się za kierowcą w głąb budynku. Wystrój wnętrza był podobny do tego, jaki widziałam w poprzedniej posiadłości Vincenta. Dużo złota, obrazów, brązu i brylantów. Świece w kandelabrach na ścianach oświetlały nam drogę. Przeszliśmy długi korytarz, nie spotkawszy po drodze ani jednej osoby. Nagle mężczyzna zatrzymał się przed ciemnymi drzwiami i popatrzył na mnie z góry.

— To tutaj — poinformował.

Nie chciałam pokazać, że się boję, więc skinęłam głową jak gdyby nigdy nic i niewiele myśląc, nacisnęłam klamkę. Naprawdę zaczęłam żałować, że przyjechałam na to spotkanie, ale mleko się rozlało. Zaciskając z całej siły szczękę, pchnęłam wypolerowane skrzydło drzwi i zrobiłam krok do przodu.

Znalazłam się w niewielkim pomieszczeniu, które mimo to wydawało się dosyć przestronne dzięki jasnym ścianom, dużym oknom i małej liczbie mebli. Było tam dziwnie... spokojnie.

Z letargu wyrwało mnie zatrzaśnięcie drzwi za moimi plecami. Wzdrygnęłam się i zerknęłam za siebie.

— Witam, panno Clark.

Kolejny raz podskoczyłam w miejscu, odwracając się z prędkością światła w stronę głosu dochodzącego z rogu pomieszczenia.

Vincent Foix siedział na dużym białym fotelu, a w jego dłoni znajdowała się otwarta książka. Na nosie miał okulary, zza których spoglądał na mnie z delikatnym uśmiechem. Zdziwił mnie nieco jego wygląd. Do tej pory dwukrotnie widziałam go w drogim garniturze, a tym razem miał na sobie jasne lniane spodnie oraz białą koszulę i narzucony na nią karmelowy sweter. W takim wydaniu wyglądał jak dziadek, który czekał na wizytę swojej wnuczki, i ani trochę mi się to nie podobało. Grając jak najbardziej opanowaną, nawiązałam z nim kontakt wzrokowy. Uśmiechnął się szerzej, a zmarszczki na jego twarzy wyraźnie się pogłębiły.

— Och, Victorio. Bardzo się cieszę z twojej wizyty — poinformował mnie ze szczerym zadowoleniem, a następnie wskazał na fotel obok siebie.

Pomiędzy dwoma siedziskami stał niewielki szklany stoliczek. Vincent odłożył na niego książkę, którą zapewne chwilę wcześniej czytał, a wraz z nią swoje okulary.

Z kamienną twarzą podeszłam do fotela i ostrożnie na nim usiadłam. Założyłam nogę na nogę, układając swoją torebkę na udach. Między nami zapanowała chwilowa cisza, a mój wzrok padł na starą i lekko zniszczoną książkę na stoliku. Zmarszczyłam brwi z obrzydzeniem, gdy odczytałam tytuł dramatu, którego nienawidziłam. Nie uszło to uwadze Vincenta, który cicho się zaśmiał przez moją reakcję.

— Czyżbyś nie pałała sympatią do tej lektury? — zapytał z lekkim rozbawieniem.

Uniosłam wzrok i popatrzyłam w jego szare oczy.

— Nie należy do moich ulubionych — odparłam szczerze, odzywając się pierwszy raz. Mój głos był oschły i papierowy. Przez chwilę zastanawiałam się, czy w ogóle należy do mnie.

Moje słowa wyraźnie zainteresowały mężczyznę, bo obserwował mnie z ciekawością.

— Dlaczego? *Romeo i Julia* to klasyk sam w sobie. Jedna z największych historii miłosnych na świecie.

— Jest irracjonalna. To zapewne dlatego — odrzekłam hardo, zastanawiając się, czemu ja w ogóle dałam się wciągnąć w tę idiotyczną rozmowę.

Nie przyszedłam tam debatować o książkach i sztuce, a już na pewno nie miałam zamiaru dzielić się z tym przeklętym facetem przemyśleniami na temat lektur. Zaczęłam się zastanawiać, jak zacząć właściwą rozmowę, ale niestety ten badziew leżący na stoliku absorbował Vincenta bardziej niż cel mojej wizyty. Nie odpuszczał, gładząc palcami grzbiet zniszczonej okładki.

— Dlaczego irracjonalna? — zdziwił się, a we mnie aż się zagotowało, no bo... *do cholery!*

Już miałam zamiar odwarunknąć coś niemiłego, ale zdałam sprawę, że to się mija z celem. On i tak by nie odpuścił, a ja nie miałam zamiaru marnować więcej czasu, niż było konieczne. Westchnęłam, poddając się.

— Ile oni się znali? Tydzień? — zaczęłam w końcu zinnym tonem, patrząc w jego spokojne oczy. — Nie znali się w ogóle, a uważali, że kochają się nad życie. Byli głupimi nastolatkami, a przez ich domniemaną miłość zginęło z sześć osób — odpowiedziałam najbardziej ogólnie, jak potrafiłam. — Plus katowali nas tą lekturą w liceum.

— Uważasz, że to niemożliwe? — zapytał, na co zmarszczyłam brwi.

— Co?

— Zakochać się w tak krótkim czasie — wyjaśnił.

Wygięłam usta w kpiącym uśmiechu. Przewróciłam oczami, wzdychając.

— Żeby kogoś pokochać, trzeba go poznać i zrozumieć. Aby poznać człowieka, potrzeba czasu i wspólnie spędzonych chwil. Miłość... ona jest wtedy, kiedy widzisz człowieka nagiego, ale nie w aspekcie cielesnym. W tym emocjonalnym. Kiedy ktoś zburzy dla ciebie każdy swój mur. I gdy ta osoba jest całkowicie bezbronna, szczerza i gotowa, by zrobić dla ciebie wszystko, tak jak ty zrobisz wszystko dla niej... to jest miłość. To jest najcelniejsza definicja miłości.

Kolejne słowa wypływały ze mnie same, a kiedy skończyłam, pomrukałam zdziwiona, nie wierząc, że to opuściło moje usta. Nigdy nie sądziłam, że powiem coś tak głupiego, nie wiedziałam, skąd mi się to wzięło. Byłam na tyle zdezorientowana, że nie dostrzegłam reakcji Vincenta.

Znów milczeliśmy, a ciszę nagle przerwał Foix, przez co się wzdręgnęłam i uniosłam na niego wzrok. Patrzył na mnie ze zdziwieniem, spokojem, ale i lekkim... podziwem? Nie wiedziałam, co wybijało się na pierwszy plan.

— To bardzo ładne — mruknął. — To, co powiedziałaś.

Skinęłam słabo głową, mając nadzieję, że ta gówniana konwersacja się zaraz skończy. Mężczyzna miał jednak inne plany.

— Ale ja uważam inaczej, wiesz? — ciągnął, przez co popatrzyłam na niego ze zmarszczonymi brwiami. — Uważam, że można zakochać się w jeden dzień. Ba! Uważam, że da się zakochać w godzinę.

— To niemożliwe — zaprzeczyłam. — W godzinę można się jedynie zauroczyć.

— A czy taka właśnie nie jest miłość? — zapytał z uśmiechem. Mówił tak dziwnie beztrosko, że aż poczułam się z tym niekomfortowo. — Miłość ma taka być. Niemożliwa. O to w niej chodzi i dlatego jest piękna. Bo dzięki niej dzieją się rzeczy, które bez niej nigdy by się nie wydarzyły.

— Ale... — zaczęłam, jednak nie dał mi dojść do głosu.

— Można zakochać się w godzinę. Zdecydować, że chce się spędzić ze sobą resztę życia, w minutę, a umrzeć z tej miłości w dosłownie sekundę. Czas w miłości nie ma żadnego znaczenia. Miłość jest bardzo skomplikowanym uczuciem, panno Clark, ale jednego nie można jej odmówić. *Niemożliwości*.

Jego słowa nie bardzo do mnie trafiały, tak naprawdę nigdy nie słyszałam większej głupoty. Ten człowiek był kilkadziesiąt lat starszy ode mnie, a zachowywał się jak nastolatka na social mediach i tak też się wysławiał. Chociaż wiedziałam, że się nie dogadamy, znów się odezwałam:

— Tak, to też całkiem ładne, tyle że ja przeżyłam już co nieco i wiem, jak się sprawy mają. Słowa są piękne, dlatego napisano tyle powieści o miłości. Bo słowa się czyta. Tak, można wczuć się w akcję, w bohaterów i w emocje, ale słowa nadal pozostają tylko słowami, które nie mają odniesienia do rzeczywistości. Książkę odkłada się na półkę, zapomina i zostawia, a następnie wraca się do niej i czyta po raz kolejny tysiące zdań o pięknej miłości. Ale życie realne nie ma z tym zbyt wiele wspólnego — kontynuowałam, patrząc na grzbiet książki — życie to brutalny ściek i nie łączy się z tym wymyślanym zakochaniem, o którym

pisze się dramaty, wiersze i tyle się gada. Zabawny wydaje mi się za to fakt, że historie o bezgranicznej miłości zwykle kończą się źle, a ludzie, którzy je opisują, są zazwyczaj cholernie nieszczęśliwi. Ale o tym się nie mówi, bo łatwiej powiedzieć, że miłość jest niemożliwa.

Popatrzyłam na Vincenta i przez dłuższy czas toczyliśmy bitwę na spojrzenia. W końcu westchnęłam, poddając się, bo to nie miało sensu. Byłam zła na siebie, że wciąż o tym rozmawiamy. On nie był moim uroczym dziadkiem, z którym mogłabym grać w szachy i dyskutować o życiu. Był popieprzonym psychopatą ze zbyt dużą ilością pieniędzy.

— Dobrze, mamy inne spojrzenie na pewne sprawy. Możemy zakończyć tę rozmowę? — zapytałam nieco bardziej burkliwie, niż miałam w zamiarze, co chyba go rozbawiło.

— Oczywiście, Victorio — zgodził się, odwracając się bardziej w moją stronę i splatając dłonie na stoliku. Na jego małym palcu lśnił złoty sygnet, odznaczając się na bladej skórze. — Więc w czym mogę ci pomóc? Muszę przyznać, że lekko zdziwił mnie twój telefon, ale byłem niezmiernie ciekawy, co chcesz mi przekazać, więc od razu się zgodziłem na to spotkanie.

Ucisk w moim żołądku znów się pojawił, bo nadszedł ten moment. Zbierając w sobie całą odwagę i odsuwając wszystkie myśli o Theo, Mii, Chrisie, Nathanielu... zacisnęłam szczękę i skrzyżowałam spojrzenie z Vincentem.

— Chciałam porozmawiać z tobą o czymś ważnym — zaczęłam, a jego oczy zrobiły się bardziej czujne, nie zniknęła z nich jednak ta iskierka zadowolenia.

— To wiem. — Skinął głową. — Ale nie rozumiem, czemu przyszłaś tu sama. Twój przyjaciele nie mogli?

Przyjaciele.

— Oni... o tym nie wiedzą. To była moja samodzielna decyzja — mruknęłam ciszej, na co mężczyzna uniósł brwi.

Trochę trwało, nim przetrwał tę informację, a kiedy to zrobił, jego usta rozciągnęły się w przerażającym uśmiechu. Na jego twarzy dostrzegłam zadowolenie i pewnego rodzaju uznanie. Zrelaksowany odchylił się na fotelu, również zakładając nogę na nogę i opierając się wygodnie. Ani na chwilę nie spuścił ze mnie wzroku, zaciskając dłonie na podłokietnikach.

— Och, a to ciekawe. Nawet Theo nie wie? — zapytał, na co skinęłam głową. — A mogę wiedzieć dlaczego?

— Cóż, powiedzmy, że nasze wspólne działanie będzie korzystniejsze zarówno dla mnie, jak i dla ciebie — odparłam, przez co zaczął patrzeć na mnie jeszcze bardziej intensywnie. — I przyniesie szybsze efekty, a właśnie na czasie nam zależy, prawda?

— Naprawdę będziesz w stanie zdradzić własnego brata i przyjaciół? Miałam ochotę umrzeć.

— Zdrada to za duże słowo — powiedziałam pewnie, a z mojej twarzy nie można było niczego wyczytać. Byłam jak czysta kartka.

Ani na chwilę nie ugięłam się pod ciężarem jego spojrzenia i chyba to mu zaimponowało. Rozsiadłam się wygodniej, również ściskając podłokietniki. Dużo mocniej niż on, a mój obolały palec znów dał o sobie znać. Dzięki temu nieco się uspokoiłam, robiąc dobrą minę do złej gry. Bardzo zlej.

— Doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że współpraca ze mną bez ich wiedzy jest zdradą. Tylko nie chcesz się do tego przyznać — mruknął, a miły dziadek gdzieś zniknął. Teraz widziałam przed sobą bezwzględnego i oschłego mafiosa. — A coś czuję, że chcesz ich wykluczyć.

Tak bardzo tego nienawidziłam. Jego, siebie, tego całego syfu.

— Po co angażować w to kilkanaście osób, skoro wystarczą dwie? — zapytałam, jak gdybym rozmawiała z nim o pogodzie. — Nikt nie musi wiedzieć. Ty odzyskasz walizkę, oni dostaną swoje odpowiedzi, ja poznam prawdę i wrócę do Maine. Po kłopotcie.

Vincent przez chwilę się zastanawiał, aż w końcu nachylił się delikatnie w moją stronę.

— Moi dobrzy przyjaciele wywodzą się z Włoch. Dokładniej z Rzymu — zakomunikował mi, przez co odwróciłam oczy, nie pokazując emocji. — Wiesz, jak nazywał się Włoch, którego mi przypominasz, kochana? *Kochana.*

— *Brutus* — wyszeptał, a jego cichy głos brzmiał w moich uszach jak najgłośniejszy huk. — To on odwrócił się od Cezara i go zdradził.

— Ale czy przypadkiem nie zdradził go w słusznej sprawie? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

Właśnie wtedy na ustach Vincenta wykwitł przebrzydły uśmiech, który zwiastował najgorsze. Wiedziałam, że po wszystkim nie będę

mogła spojrzeć samej sobie w oczy, i to było jak kosa wbita między żebra. Mężczyzna znów się odsunął i oparł się wygodnie, a potem z leniwym uśmiechem splótł dłonie.

— W takim razie zamieniam się w słuch.

— Już jesteśmy, panno Clark — powiedział nagle kierowca Vincenta, wyrwijąc mnie z transu.

Wyrzłałam przez szybę. Zatrzymał się na przystanku, z którego dwie godziny wcześniej mnie odbierał.

Skinęłam głową, nadal lekko otępiała. Mężczyzna wysiadł z auta, a następnie okrążył je i otworzył mi drzwi, przez które wysiadłam. Wszystko robiłam automatycznie. Przewiesiłam przez ramię torebkę, cały czas spoglądając w zamyśleniu na ziemię.

— Do widzenia, panno Clark — pożegnał się miło kierowca i wsiadł do samochodu w tym samym momencie, gdy bez słowa weszłam na chodnik.

Odjechał, a ja skierowałam się w stronę domu. Szłam przed siebie, patrząc na swoje szpilki. Staralam się przetrwać to wszystko, co się stało, ale nijak mi to nie wychodziło. Miałam totalną pustkę w głowie.

Gdy dotarłam na miejsce, zauważyłam na podjeździe bordową mazdę Mii. Zdziwiłam się, ponieważ było sporo po dziesiątej i to był raczej dziwny czas na odwiedzin.

W tej samej sekundzie mój mózg ponownie się odpalił. Cholera, czy coś się stało? Czyżby wiedzieli o mojej wizycie u Vincenta? Ale skąd... To było niemożliwe. Nikt o tym nie wiedział, to miało zostać między nim a mną. Mimo to dopadł mnie strach. A może... może stało się coś równie złego? Bo niby dlaczego Mia miałaby zjawiać się o tak późnej porze? W dodatku nikt mnie nie poinformował, ani ona, ani mój brat. Bez zastanowienia szybko ruszyłam w stronę budynku i cicho weszłam do środka.

Jakież było moje zdziwienie, gdy usłyszałam głośne śmiechy dochodzące z salonu mieszające się z dźwiękami płynącymi z włączonego telewizora. Jeden głos należał do Mii, a drugi do mojego brata i to było naprawdę dziwne. Nagle dotarł do mnie donośny okrzyk Parkera.

— Naprawdę tak było! — zawołał z rozbawieniem, na co pozostała dwójka jeszcze głośniejszym zarchotała.

W tamtym momencie byłam już zupełnie zdezorientowana. Najciszej, jak mogłam, ruszyłam korytarzem w stronę salonu i niepewna tego, co zastanę, weszłam do pomieszczenia. Mia z Theo siedzieli na jednej kanapie, a na drugiej miejsce zajmował Parker. Wszyscy głośno się z czegoś śmiali i było widać, że się dobrze bawią. Jednak nie to było najbardziej szokujące. Najbardziej w tym wszystkim zszokowało mnie, że na jednym z foteli siedział Nathaniel.

Och, kurwa.

Kiedy zdali sobie sprawę, że jestem już w domu, przenieśli na mnie wzrok. Stałam jak wryta, patrząc po kolei na każde z nich. Mia z Parkerem posłali mi wesołe spojrzenia, a Theo uśmiechnął się w moją stronę.

— O, Victoria. Już jesteś — powiedział Theodor jak gdyby nigdy nic, nie ruszając się ze swojego miejsca. — I jak spotkanie? Udane?

Zmroziło mnie, bo przed oczami stanęła mi rozmowa z Vincentem. Dopiero po kilku sekundach zdałam sobie sprawę z tego, że mój brat spytał o Marie. Przełknęłam ślinę, szybko kiwając głową i robiąc najbardziej neutralną minę, na jaką było mnie w tamtym momencie stać. Starłam się zignorować czarne oczy, których spojrzenie czułam na swoim ciele, ale nieudolnie mi to szło. Mój umysł zamienił się w rozmięktą papkę, bo nie wiedziałam niczego, a ich obecność... *jego*... Cholera.

— W porządku — odparłam zdawkowo, patrząc na Mię. — A wy co tu robicie? Nie dzwoniliście — mruknęłam, próbując nie brzmieć tak, jak się czułam, czyli jak całkowicie rozstrojona emocjonalnie osoba.

— Wczoraj na imprezie Theo pożyczył mi swoją bluzę, bo zamarałam. A że przejeżdżaliśmy niedaleko, to postanowiliśmy wpaść i ją podrzucić — wyjaśniła Roberts. — Przyjechaliśmy jakieś dwadzieścia minut temu.

— Och, okej — powiedziałam, odpowiadając jej uśmiechem.

Naprawdę nie chciałam tego robić, to stało się samo. Mój wzrok padł na Nathaniela, który wciąż siedział cicho i cały czas mnie obserwował. Zerknęłam na niego dosłownie na sekundę, a i tak zobaczyłam więcej, niż powinnam była zobaczyć. Jego twarz była nadal posiniaczona, ale jakby mniej niż poprzedniego dnia. Ubrany w czarne spodnie i tego samego koloru bluzę z kapturem prezentował się lepiej, niż powinien. Nikt nie powinien wyglądać tak dobrze.

Szybko odwróciłam głowę.

— Jak się w ogóle czujesz? — zapytała Roberts, patrząc na mnie ze zmartwieniem. — Wczoraj tak szybko zniknęłaś. Wszystko okej?

— Tak — skłamałam. — Strasznie bolała mnie głowa, więc wróciłam do domu, żeby nie psuć wam zabawy — ciągnęłam, zachowując się najbardziej naturalnie, jak potrafiłam, chociaż paraliżujący wzrok Nathaniela wypalał we mnie dziury.

— Ale już w porządku? — upewnił się Parker.

Pokiwałam głową.

— Ominęła cię fajna zabawa, chociaż ktoś tu zaliczył niezły zgon — powiedział, z politowaniem patrząc na Nate'a.

Kątem oka również na niego zerknęłam. Nathaniel leniwie odwrócił wzrok w stronę swojego przyjaciela i obdarzył go morderczym spojrzeniem, ale Parker był już na to uodporniony, więc tylko przewrócił oczami. Shey wyglądał jak wilk gotowy do ataku. Jego oczy złowrogo połyskiwały, choć nadal były chłodne i beznamienne. Siedział na fotelu z dłońmi na podłokietnikach. Na jego palcu serdecznym jak zwykle tkwił czarny sygnet.

— Już tak na nas nie patrz tym straszliwym wzrokiem — zakpiła Mia, drażniąc się z nim.

Nathaniel uniósł jedną brew, przenosząc chłodne spojrzenie na jej twarz.

— To cud, że nie musieliśmy zabierać cię do szpitala przez zatrucie alkoholowe — dodała.

— Jednocześnie podziwiam twoją wątrobę i jej współczuję — powiedział Luke i tym razem to Nate przewrócił oczami. Ewidentnie miał dość tego, że traktowali go jak dziecko, ale chyba wiedział, że po tym, co zrobił, mieli do tego prawo. — Ale może to dobrze. Teraz pomyślisz dwa razy, zanim weźmiesz do ust alkohol.

— Ty w ogóle coś pamiętasz z tej imprezy? — zapytał nieprzejęty Theo, a ja zamarłam.

Jeśli pamiętał, to mógł pamiętać również naszą rozmowę i moje słowa, których żałowałam. Może i były szczere, i może przydatne, ale gdybym miała możliwość cofnąć czas, nie powiedziałabym tego. Zostawiłabym to tak, jak było, bo niepotrzebnie namieszałam. Czekałam na odpowiedź Sheya, jakbym czekała na czwartego jeźdźcę Apokalipsy.

Serce waliło mi jak młotem, gdy stałam wśród ludzi, którzy nie wiedzieli, że odpowiedź Nathaniela mogła zaważyć dosłownie na wszyst-

kim. Nie wiedziałam, czy on zdawał sobie z tego sprawę, bo wtedy już na mnie nie patrzył. Tak jakbym dosłownie nie istniała. Skupiał się na moim bracie i swoich przyjaciółach, bawiąc się kciukiem swoją czarną obrączką. I to nie powinno było boleć, ale potem przypomniałam sobie tamten moment.

Lepiej byłoby, gdybyś tu nie wróciła.

Nathaniel potrafił zranić słowami. Czy słowa pijanego były myślami trzeźwego? Czy naprawdę tak uważał?

— Już nawet nie udawaj, że tak, bo doskonale słyszałem, jak mówiłaś Jasmine, że odcięło cię po pierwszych dwudziestu minutach — odpowiedział za niego Parker, karcąc go wzrokiem jak starszy brat.

Nie pamiętał.

Prawdopodobnie nie pamiętał słów, które sprawiły, że podjęłam jedną z najbardziej istotnych decyzji w moim życiu. To był tylko pijacki bełkot. Może powinnam była się z tego cieszyć i wrócić do swojego życia, ale, cholera... w tym całym syfie i w swojej chorej głowie uznałam, że chyba wolałabym, by pamiętał. Chciałabym, by spojrzał na mnie i jakoś zareagował, przeprosił, wyjaśnił... Dlatego mimowolnie zerknęłam na jego profil, plując sobie w brodę, ponieważ miałam nadzieję. Nadzieję, która umarła, gdy Nathaniel ponownie przewrócił oczami.

Parker miał rację. Nie pamiętał.

Czy mogłam się dziwić? Był tak pijany, że prawdopodobieństwo zapamiętania tamtego momentu było bliskie zeru. Mimo to... miałam tę głupią nadzieję.

— Nieźle — parsknął Theo, a następnie odwrócił się w moją stronę. — Chcesz herbaty?

Nie. Chcę stąd wyjechać. I stanie się to już niedługo.

— Jestem cholernie zmęczona — mruknęłam wymijająco. — Chyba pójdę się położyć.

— W porządku. — Theo pokiwał głową.

Znów poczułam na sobie to spojrzenie i tym razem poddałam się niemal od razu, odwracając twarz w stronę Sheya. Nawiązałam z nim kontakt wzrokowy pierwszy raz tego wieczoru, pierwszy raz od naszej rozmowy na pomoście. Wpatrywałam się w jego beznamietną minę i w te cholernie puste oczy, które patrzyły na mnie, jakbym była dla niego obca. To dodatkowo utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie pamiętał. Znów

byliśmy dla siebie dwojgiem obcych ludzi z przeszłością, o której się nie mówiło. Ta myśl sprawiła, że zachciało mi się śmiać.

Trzy sekundy później odwróciłam się do pozostałej trójki, aby już się nie katować.

— Idę. Miło było was zobaczyć. Dobranoc — pożegnałam się.

— Karaluchy do poduchy, Clark — mruknął zawadiacko Luke, na co blade się uśmiechnęłam i ruszyłam w stronę schodów.

Gdy się po nich wspinałam, wciąż czułam na sobie ten elektryzujący wzrok.

Zmęczona weszłam do swojego pokoju, powstrzymując się przed trzaśnięciem drzwiami. Oparłam się o nie plecami, przymykając powieki. Miałam dość tego wszystkiego. Chciałam po prostu wyjechać.

Chwilę tak stałam, aż w końcu postanowiłam po prostu iść spać. Musiałam się odprężyć i oczyścić głowę. Rzuciłam torebkę na łóżko i ściągnęłam szpilki. Włączyłam lampkę na szafce nocnej i przeszłam do łazienki, w której spędziłam następne dwadzieścia minut. Zmyłam makijaż, a potem wzięłam krótki, orzeźwiający prysznic. Wyszorowałam włosy i całe ciało, jakbym chciała zmyć z siebie jakiś nieistniejący brud, ale nie udało mi się tego dokonać. To wypełniało mnie od środka.

Wyszłam spod prysznica i osuszyłam się ręcznikiem, a następnie owinęłam go wokół ciała. Podeszłam do zaparowanego lustra i przetarłam je dłonią. Miałam ochotę jęknąć, gdy spoglądałam na swoją wymęczoną twarz. Kosmyki włosów przykleiły mi się do szyi i dekoltu, a moje podkrążone oczy wpatrywały się we mnie z obrzydzeniem.

Zacisnęłam szczękę i odwróciłam wzrok. Wtedy zorientowałam się, że nie mam w łazience pizamy, więc ruszyłam w stronę drzwi do pokoju. Pchnęłam je i weszłam do swojej sypialni, skupiając uwagę na ręczniku, który lekko mi się przekrzywił. Zaczęłam poprawiać wiązanie przy biuście, jednocześnie unosząc głowę. Z moich ust wyrwał się cichy pisk, kiedy z opóźnionym refleksem spoglądałam na swoje łóżko, na którym jak gdyby nigdy nic siedział... Nathaniel.

— Zwariowałaś?! — zawołałam, zatrzymując się gwałtownie na środku pokoju.

W pierwszej chwili pomyślałam, że mam zwidy spowodowane chronicznym zmęczeniem, i dopiero po dobrych pięciu minutach doszło do

mnie, że on naprawdę tam siedzi. Serce waliło mi jak młotem, a oddech miałam szybki i urywany. Przyciskałam do siebie ręcznik, jak gdyby był moją tarczą. Wpatrywałam się w chłopaka z niedowierzaniem, błagając w myślach, aby był tylko wytworem mojej wyobraźni.

Niestety nie był.

Siedział na materacu, lekko pochylony, ze splecionymi dłońmi i łokciami opartymi o kolana. Bawił się swoim sygnetem, patrząc prosto na moją twarz. Minę miał beznamietną, a wzrok tak samo pusty jak wcześniej w salonie.

Nic z tego nie rozumiałam. Myślałam, że jakoś mi wyjaśni swoje wtargnięcie do mojej sypialni, ale on milczał. Po kolejnej sekundzie zrodziła się we mnie irytacja. Zmiliłam w ustach przekleństwo.

— Zapytam raz i oczekuję natychmiastowej odpowiedzi — warknęłam lodowatym głosem, mocniej zaciskając dłoń na ręczniku. — Co, do cholery, robisz w moim pokoju?

Chłopak nadal milczał. Zaczął pocierać dłonią o dłoń i dopiero wtedy zauważyłam, że rękawy oversize'owej bluzy miał podciągnięte do połowy przedramion. Kilka zabłąkanych kosmyków jego zmierzwionych włosów opadło mu na czoło i był to... boleśnie znajomy widok.

Moment później Nathaniel wreszcie odetchnął cicho, spojrzał gdzieś w bok i przejechał językiem po dolnej wardze delikatnie rozchylnych ust. To sprawiło, że poczułam dziwne ukłucie w brzuchu. Natychmiast skarciłam za to samą siebie, bo nie powinnam była tak reagować.

— Chciałem z tobą pogadać — mruknął cicho głosem bardziej zachrypniętym niż zazwyczaj. Odwrócił głowę w stronę okna i pocierał dłonie, tak jakby był to jakiś nerwowy tik.

— Koniecznie teraz? — warknęłam mało przyjaźnie. — Nie uważasz, że zakradanie się do cudzego pokoju bez pozwolenia jest niegrzeczne? Może nauczyłbyś się pukać? I czekać na właściciela sypialni, do której wchodzisz? — wyrzucałam z siebie pytania jak pociski z karabinu maszynowego.

Byłam coraz bardziej wściekła i najchętniej roztrzaskałabym coś na tym jego durnym łbie! Byłam świeżo po prysznicu, z mokrymi włosami i w samym ręczniku. Pod nim nie miałam na sobie absolutnie nic i ta myśl sprawiła, że zrobiło mi się dziwnie gorąco. I niedobrze.

Najgorsze było jednak to, że nie czułam się niekomfortowo.

Shey przewrócił oczami, wciąż patrząc na okno. Zmarszczyłam brwi w reakcji na jego dziwne zachowanie. W salonie obserwował mnie niemal bez przerwy, a teraz nagle nie mógł na mnie spojrzeć?

— Pukałem, ale nie odpowiedziałaś, więc wszedłem — powiedział, jakby była to najbardziej normalna rzecz na świecie.

Zamrugałam kilka razy i cofnęłam brodę, patrząc na niego jak na kretyna.

— Logika od zawsze szwankowała czy na starość pada ci na mózg? — zadrwiłam i wskazałam palcem na drzwi. — Jak nikt nie odpowiada, to znaczy, że się nie wchodzi! — zawołałam wściekle, ale niezbyt głośno, bo nie chciałam, aby ktokolwiek nas usłyszał.

— Nie będę stać na korytarzu — fuknął i machnął ręką.

Nathaniel był imbecylem. Ta irracjonalna sytuacja zupełnie mnie przerosła. Westchnęłam, błagając niebiosa o odrobinę cierpliwości.

— Dobrze, w takim razie powiedz, po co dokładnie tu przyszedłeś, a potem wyjdź, bo sprawiasz, że czuję się cholernie niekomfortowo — burknęłam niezbyt miło i niezbyt szczerze, bo nie wiedzieć czemu wciąż nie czułam się ani trochę skrzępowana. — Równie dobrze mogłam tu wejść nago.

Spodziewałam się jakiegoś ironicznego tekstu, ale chłopak ponownie mnie zaskoczył. Wciąż ze wzrokiem wbitym w okno zacisnął usta w wąską linię.

— Tak, mój błąd — westchnął cicho. — Myślałem, że masz piżamę. Wiem, że powinienem był poczekać.

Pomrugałam zdziwiona, bo takiej odpowiedzi się nie spodziewałam. Odkąd wróciłam, częściej zachowywał się jak dupek albo mnie ignorował, niż był miły. Jego postawa złagodziła moją złość, więc odchrząknęłam i postanowiłam spuścić z tonu. Byłam zbyt zmęczona na kłótnie, a i on nie wyglądał, jakby przyszedł szukać zwady.

— Dobrze więc. — Odetchnęłam. — Ile już tu tak siedzisz?

— Z dziesięć minut.

Zaczynało mnie irytować, że dalej na mnie nie patrzy, i sama zerknęłam na to cholerne okno, bo może było w nim coś ciekawego, ale nie, wyglądało jak zawsze.

— Czekałem, aż zaczniesz śpiewać pod prysznicem — rzucił.

Chyba chciał być śmieszny, ale mu nie wyszło.

— Ale jesteś zabawny. — Przewróciłam oczami. — Gdzie reszta?

— Są na dole. Powiedziałem, że muszę coś z tobą obgadać odnośnie do Brooklyna i tej walki dedykowanej sprzed pięciu lat.

W moim gardle pojawiła się gula, bo niby dlaczego chciał o tym ze mną rozmawiać? Czyżby czegoś się domyślał? Nie, to było niemożliwe, a ja powoli zamieniałam się w paranoiczkę. Przeczesałam palcami mokre włosy i odrzuciłam je na plecy, a następnie wbiłam wzrok w profil jego twarzy. Jego postawa mnie drażniła, ale i... ciekawiła.

— A chcesz o tym porozmawiać? — zapytałam ciszej i to pytanie wystarczyło, aby atmosfera wokół nas jeszcze bardziej zgęstniała. Czulałam, że na moim dekolcie pojawiają się czerwone plamy. Próbowalam zwalić winę na temperaturę, ale w sypialni było chłodno.

Nathaniel chwilę się zastanawiał. Miałam ochotę się ubrać, ale ta sytuacja była tak absurdalna, że nie potrafiłam się poruszyć.

— Niekoniecznie o tym — powiedział z lekką rezerwą, a jego tajemniczość zaczęła mnie drażnić.

— To o czym, jeśli... i czemu ciągle patrzysz w to cholerne okno?! — zawołałam, tracąc cierpliwość.

Czy byłam aż tak okropna, że nie mógł nawet na mnie spojrzeć? Może wtedy na moście mówił szczerze i nie chciał mnie więcej widzieć? Nagle poczułam ochotę, by się gorzko rozeźmiać. Poczułam, że dobrze zrobiłam, dzwoniąc do Vincenta. To było chore, nie miałam zamiaru dać się tak traktować. Za bardzo mnie to rozwalało.

— Bo to nie jest konieczne — odparł, bawiąc się sygnetem z beznamiętną miną.

Jego bezczelność nie miała granic.

— Przychodzisz do mnie, aby ze mną porozmawiać, bo to ty czegoś ode mnie chcesz, i mówisz, że patrzenie na mnie nie jest konieczne? — zakpiłam, wpatrując się w niego z niedowierzaniem. — Twoje ego jest jeszcze większe, niż było, a myślałam, że to niemożliwe.

— Czy możemy w spokoju porozmawiać? — zapytał, a jego ton zdradzał, że też się zdenerwował.

— A czy możesz mieć w sobie choć trochę kultury i na mnie spojrzeć? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie. Mój ton był jeszcze ostrzejszy niż jego.

- Nie mogę. — Po tych słowach jeszcze mocniej zacisnął szczękę.
- Niby dlaczego?!
- Bo chcesz, żebym zachowywał się kulturalnie.
- I to się niby wyklucza?! — wybuchnęłam.

Całkowicie zgłupiałam. On był naprawdę niepoważny, a najgorsze było to, że nie wyglądał, jakby sobie ze mnie żartował.

— Tak, dopóki stoisz tylko w tym cholernym ręczniku — wycedził przez zęby, po czym odwrócił głowę w moją stronę i popatrzył mi prosto w oczy.

Nagle zaschło mi w gardle, bo dotarł do mnie sens jego słów i dopadła mnie moc jego spojrzenia. Poczułam się bardziej naga niż przed dziesięcioma sekundami. Z całej siły przyciskałam do siebie ręcznik, nie potrafiąc oderwać wzroku od jego czarnych oczu, które w tamtym momencie patrzyły na mnie i w których widziałam coś, czego nie potrafiłam opisać.

Dlaczego on znów to robił? Dlaczego mieszał mi w głowie i jeszcze bardziej komplikował naszą już i tak trudną relację?

Te myśli nie sprawiły jednak, że przestałam na niego patrzeć. Czulałam, jak moje ciało płonie, choć jego wzrok nawet na ułamek sekundy nie zjechał z mojej twarzy. Klęłam w myślach jak szewc, że los postawił mnie w takiej sytuacji, ale musiałam wyłączyć wszelkie emocje. Nie mogłam mu pokazać, że to mnie ruszyło, bo nie ruszyło. Nie mogło, to tylko głupie słowa...

Musiałam zmienić temat, aby nie dać się wciągnąć na grząski grunt. Ponownie zrobiłam niewzruszoną minę i uniosłam głowę.

— Cóż, to nie moja wina, że nie potrafisz się opanować — warknęłam oschle. — To mój pokój i będę chodzić ubrana, jak chcę. A ty patrz mi w oczy.

Moje słowa musiały go nieźle zaskoczyć, bo unióśł delikatnie brew, jakby z uznaniem, jednak zaraz szybko powrócił do swojej standardowej chłodnej pozy. Mimo że na początku miałam plan, aby najpierw się przebrać, a dopiero później z nim pogadać, odpuściłam. Choć to oznaczało, że miałam wysłuchać go owinięta w krótki i wilgotny ręcznik.

Nathaniel zamierzał chyba coś odpowiedzieć, ale się nie odezwał, bo skupił się na mojej dłoni, gdy odlepiałam kosmyk mokrych włosów z szyi. Zmarszczył brew.

— Co ci się stało? — zapytał i w końcu się poruszył.

Powoli wstał z miejsca, a ja zaskoczona zerknęłam na swoją rękę. Od razu się zorientowałam, że chodziło mu o mój palec serdeczny, który stał się jeszcze bardziej siny i opuchnięty niż kilka godzin wcześniej. Nawet nie zauważyłam, że tak źle wygląda. Ostro pulsował i przysparzał mi bólu, ale uparcie to ignorowałam.

— Przytrzasnęłam go rano drzwiczkami od szafki kuchennej — skłamałam.

Z przerażeniem zauważyłam, że Nathaniel się do mnie zbliża, wciąż wpatrując się w mój palec. Lampki w mojej głowie znów zamigotały na czerwono, gdy zatrzymał się naprzeciw mnie i bez pytania chwycił mój nadgarstek. Przyciągnął moją rękę przed swoją twarz i uważnie zaczął ją oglądać. Choć zrobił to w zdecydowany sposób, był delikatny. Wzdłuż mojego kręgosłupa przeszedł dreszcz, kiedy poczułam ciepłe opuszki palców chłopaka, które muskały moją lodowatą skórę.

Nie wiedziałam, dlaczego nie zabrałam ręki, tylko wpatrywałam się bez słowa w jego skupioną twarz, błagając w myślach o to, aby nie usłyszał, jak szybko bije mi serce. Dzielił nas zaledwie krok, a ja poczułam znajomy zapach jego wody kolońskiej. Zakręciło mi się w głowie.

Nagle Nathaniel zerknął na mnie, wciąż zaciskając palce na moim nadgarstku.

— To nie wygląda jak przytrzaśnięcie — powiedział cicho, co mnie zirytowało.

Wyrwałam rękę, a on mi na to pozwolił. Mocniej przycisnęłam rękę do ciała. Był zbyt blisko mnie, więc cofnęłam się dla bezpieczeństwa o krok, ale nie dlatego, że ogarnęło mnie obrzydzenie jak przy innych. Odsunęłam się, ponieważ przeraziło mnie właśnie to, że nie poczułam dyskomfortu.

— Jesteś lekarzem, że wiesz takie rzeczy? — zapytałam oschle.

Musiałam go do siebie zrazić, zniechęcić, sprawić, że sam będzie chciał się odsunąć, bo moje myśli zaczęły mnie przerażać.

Niestety miałam do czynienia z Nathanielem Sheyem.

— Nie, ale jestem na tyle inteligentny, aby wiedzieć, jak wygląda przytrzaśnięcie — odpowiedział, a ja miałam ochotę przewrócić oczami, słysząc jego wyniosły ton. — Gdzie masz apteczkę?

— Co? — Zmarszczyłam brwi. — Nie będziesz nic...

— Gdzie masz apteczkę? — przerwał mi i tym razem jego głos brzmiał tak, że nie mogłam się sprzeciwić.

Zamilkłam, wpatrując się w jego podkrążone oczy. Wyglądał, jakby on również za dobrze nie spał. Zastanawiałam się, czy jest sens, by się z nim kłócić, ale szybko porzuciłam ten pomysł. Był zbyt uparty, a ja czułam się za bardzo zmęczona.

— Pierwsza szuflada w łazience — wymamrotałam.

Skinął, a następnie wyminął mnie i ruszył w tamtym kierunku. Przyknełam powieki, kiedy znów dotarł do mnie jego zapach. Powinam była znieawidzić tę pierdoloną wodę kolońską, ale nie potrafiłam, bo była zbyt przyjemna i zbyt dobrze mi się kojarzyła. Nie widząc innego wyjścia, poszłam za chłopakiem. Stał przed szufladą, z której wyciągnął domową apteczkę. Położył ją na umywalce, odkręcił zimną wodę i wskazał głową na strumień.

— Włóż tu rękę. Musisz go schłodzić.

— Bawisz się w pielęgniarce? — zakpiłam, ale posłusznie podłożyłam opuchnięty palec pod zimną wodę. Poczułam nieopisaną ulgę.

— W naszej historii to ty zazwyczaj się w nią bawisz. Po mojej ostatniej walce znów to zrobiłaś, więc tylko się odwdzięczam.

Przygryzłam wewnętrzną stronę policzka. Miał trochę racji, zdarzało się, że pomagałam mu po walkach. Wpatrywałam się w jego twarz, kiedy ze skupieniem zaczął szukać czegoś w apteczce.

— Szczerze? — zapytałam, sama nie wiedząc, dlaczego znów zaczynam ten temat. — Nienawidziłam tego.

— Czego?

— Tej zabawy w pielęgniarce. — Wzruszyłam ramionami, spoglądając na strumień wody. — Tych wszystkich chwil, kiedy cię takiego widziałam. Tego ścierania krwi, opatrywania ran, przykładania lodu... — wymieniałam, a mój głos stawał się coraz cichszy.

Czułam na sobie jego intensywne spojrzenie i wiedziałam, że on też wyczuł zmianę atmosfery.

— To dlaczego to robiłaś? — wychrypiął i gdybym stała zaledwie kawałek dalej, zapewne bym go nie usłyszała.

— Bo za każdym razem chciałam zrobić wszystko, aby chociaż odrobinę złagodzić twój ból.

Odważyłam się unieść głowę, a kiedy nasze spojrzenia się spotkały, to już nie przypominało zderzenia. Wręcz przeciwnie, to było miękkie, ciepłe i delikatne. I tak bardzo do nas nie pasowało, bo byliśmy zbyt zepsuci, by którymkolwiek z tych określeń dało się nas opisać.

Nathaniel chwilę mnie obserwował, aż w końcu z niewzruszoną miną powrócił do grzebania w apteczce.

— Przyszedłem tu, bo chciałem zapytać o wczorajsze ognisko.

Zamarłam i znów zaczęłam się denerwować, bo może jednak Luke się mylił, a Nathaniel wszystko pamiętał? Wcześniej miałam nadzieję, że tak, ale teraz się zestresowałam. To mogłoby strasznie namącić i doprowadzić do szczerej rozmowy, której absolutnie nie chciałam odbywać. Postanowiłam udawać, że nie wiem, o co mu chodzi.

— Masz jakieś pytania? — rzuciłam.

Znów na mnie nie patrzył. Zajął się odmierzaniem wąskiego bandaża — jego palce sprawnie poruszały się po białym materiale.

— Przyznaję, że trochę przesadziłem z alkoholem — zaczął cicho, a jego głos znów stał się papierowy.

— Może jednak nie masz takiej mocnej głowy? — zakpiłam, ale zamilkłam od razu po tym, jak posłał mi mordercze spojrzenie. Zaciśnęłam usta w wąską linię, aby powstrzymać nerwowy śmiech.

— Dlatego też niewiele pamiętam — kontynuował. Przeciął bandaż i zakręcił wodę. — Mam tylko przebłyski z czasu, gdy siedziałem na pomoście. Nie pamiętam, jak tam trafiłem, ale wydaje mi się, że siedziałem tam z kimś. Z jakąś brunetką — ciągnął, a mnie coraz trudniej było oddychać i zachować spokój. Nathaniel spojrzał mi w oczy i widziałam, że jest zagubiony. — To byłaś ty?

Czyli to jednak była prawda, Nathaniel nie pamiętał. Dostałam szansę, mogłam powiedzieć mu wszystko i opisać to, jak się poczułam, gdy usłyszałam z jego ust tamto zdanie. Mogłam powiedzieć, że mnie ranił, wbijał mi szpilki wielkości cholernych widelców. Mogłam wyznać, że przez niego posunęłam się do ostateczności, zmieniając naszą umowę z Vincentem. Ale ja milczałam.

Milczałam, bo wtedy na pomoście miał rację. Nie powinnam była wracać.

Dlatego też wcisnęłam przełącznik, uśmiechnęłam się kpiąco i spojrzałam na niego z rozbawieniem.

— Naprawdę urwał ci się film — parsknęłam i z niedowierzaniem pokręciłam głową. — Nie mam pojęcia, z kim tam siedziałeś, bo widziałam wokół ciebie wiele osób, ale nie ze mną. Na początku imprezy trzymałam się z resztą naszych znajomych, a potem zamówiłam taksówkę, bo się źle czułam. To nie byłam ja — kłamałam jak z nut, patrząc mu prosto w oczy, i wiedziałam, że mi uwierzył.

Nie miał powodów, aby zrobić inaczej. Już nie czytał ze mnie jak z otwartej książki, nauczyłam się wznosić mury tak wysokie, że nikt nie zdołałby za nie zajrzeć.

Nathaniel zacisnął usta w wąską linię, a następnie skinął głową. Nie potrafiłam opisać tego, co zobaczyłam w wyrazie jego twarzy. Czy była szansa na to, abym w jego oczach dostrzegła... rozczarowanie? Nie, to nie było możliwe, musiało mi się wydawać.

Musiałam o tym zapomnieć i skupić się na swoim planie.

Nathaniel sięgnął po ręcznik, który wisiał na wieszaku obok i ostrożnie przyciągnął moją dłoń. Zaczął ją osuszać, a jego dotyk przypominał muśnięcia skrzydeł motyla. Wszystko robił uważnie, tak aby mnie nie zabolalo, i było w tym coś... ujmującego. Znów dotykał mojej dłoni, ale robił to inaczej niż wtedy na pomoście. Wtedy był szorstki, chciał, abym została, bo tego oczekiwał. Nie zważał na to, że mógł sprawić mi ból. Opatrując mnie w łazience, obchodził się ze mną jak z jajkiem. To było inne, *intymne*.

Ze wszystkich sił starałam się zdusić w sobie te durne myśli i pozbyć się dziwnego palenia w przętyku. Chłopak zaczął obwiązywać mój palec serdeczny razem ze środkowym, aby go usztywnić, i gołym okiem było widać, że ma w tym wprawę. Cisza stała się lekko niekomfortowa, więc postanowiłam ją przerwać.

— Co u Charliego? — zapytałam niby od niechcienia.

To nie tak, że mnie to jakoś szczególnie interesowało, ale to mógł być dobry temat. Miałam nadzieję, że Shey nie zacznie swojej tyrady pod tytułem „nie wtrącaj się w moje prywatne i rodzinne sprawy”, i na szczęście mi tego oszczędził.

— Zostaje u Felicity jeszcze na kilka dni — westchnął i wzruszył ramionami. — Dopóki w pełni nie dojdę do siebie.

— Czujesz się już lepiej? — zapytałam.

— Tak, leki pomagają.

Sprawnie dokończył opatrunek, a następnie wrzucił apteczkę na miejsce. Zerknęłam na swoją dłoń i musiałam przyznać, że poczułam się dużo lepiej. Uniosłam kącik ust.

— Dziękuję — powiedziałam szczerze i skrzyżowałam z nim spojrzenie.

— Wiem, że nie przycięłaś go drzwiami — wrócił do tematu, na co uśmiech automatycznie spelzł mi z warg.

Zrobiłam niewzruszoną minę i uniosłam brodę.

— Nie musisz mi wierzyć — odpowiedziałam oschle. Nie chciałam, aby wpięprzał się w coś, co go nie dotyczyło. — Nie mam powodu, aby kłamać.

— Wydaje mi się, że masz ich więcej, niż chcesz przyznać nawet przed sobą — odparł spokojnie. Nawet na sekundę nie wytrąciłam go z równowagi.

Prychnęłam kpiąco i założyłam ręce na piersi.

— Więc znasz mnie lepiej, niż ja znam samą siebie, tak?

— Sama zasugerowałaś, byśmy nie udawali, że nie mamy wspólnej historii.

Jego słowa, które cicho wyszeptał, uderzyły mnie z taką mocą, z jaką nie powinny. Pomrugałam i z całych sił próbowałam znaleźć kontrargument, ale mi się nie udało. Nathaniel stał naprzeciw mnie, patrząc na mnie z góry tymi matowymi oczami, które wzbudzały we mnie sprzeczne emocje. Czułam jego zapach i ciepło jego ciała. Nagle poczułam się mała, jakbym nie była sobą. Jakbym znów była tą słabą Victorią Clark z liceum, która nie potrafiła sama o siebie zadbać. Nie byłam nią już, ona nie żyła.

Dlaczego ze wszystkich sił starał się ją wskrziesić?

— Dlaczego ciągle to robisz? — wyszeptałam, zloszcząc się na siebie za to, jak słaby był mój głos. — Dlaczego musisz zjawiać się tu i mówić to wszystko? Dobrze wiesz, jaka była i jest między nami sytuacja. Czy nie możemy zachowywać się normalnie i tego nie komplikować? Czy nie możemy żyć ze sobą normalnie?

— Ja się zjawiam? — wyszeptał ochryple, a w kącikach jego ust dostrzegłam błądy, lekko kpiący uśmiech. Ale ten uśmiech nie był bezczelny, Nathaniel wyglądał raczej jak dorosły, którego rozbawiła naiwność dziecka. — To ty wróciłaś, nie ja.

— Nie miałam wyboru — powiedziałam, co nie do końca było prawdą. Zawsze był wybór. — Jestem w takiej samej sytuacji jak ty. Czemu to robisz? O co ci chodzi? Dlaczego tak mącisz? I dlaczego nawet teraz, tutaj, musisz być tak blisko? — zapytałam, gestykulując ręką.

Prawie oddychał mi w usta, a ja nie potrafiłam się poruszyć. Stykaliśmy się ciałami, a jego twarz była tak cholernie blisko mojej... To było zbyt wiele, ktoś musiał mnie uratować, bo ja sama nie umiałam tego przerwać i się odsunąć, więc oskarżałam jego. I najgorsze było to, że on wziął na siebie winę.

— Wiem, Clark. Nie powinienem tego robić, ale trudno mi zachowywać się inaczej — odparł. W jego oczach widziałam walkę, zmuszał sam siebie do wypowiedzania tych słów.

— To dlaczego to robisz? — Spojrzałam na niego z bólem.

Był piękniejszy niż sekundę wcześniej. I wiedziałam, że będzie jeszcze piękniejszy sekundę później.

— Bo wróciłaś, a to ty zdefiniowałaś dla mnie bliskość.

Po tych słowach zupełnie opadłam z sił, nie mogłam uwierzyć, że to powiedział. Nathaniel chyba również stwierdził, że pozwolił sobie na za dużo, bo natychmiast odszedł o krok, a jego twarz stężała. Patrzył na mnie ostro, a nawet nieprzyjemnie. Zastanawiałam się, czy to kolejna z jego masek, czy prawdziwy on. Sama już nie wiedziałam.

— I nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile bym dał, aby to zmienić.

Po tych słowach wyszedł z łazienki, a następnie z pokoju i z całej siły trzasnął drzwiami. Dopiero wtedy się zorientowałam, że wstrzymuję powietrze. Wypuściłam je z płuc i przymknęłam powieki. Nasza relacja powoli wymykała się spod kontroli i zaczęłam się w tym gubić. Wydawało mi się, że on również.

Dlaczego nie potrafiłszy być daleko od siebie? Dlaczego czułam się dobrze z jego bliskością, choć nienawidziłam, gdy ktokolwiek inny był tak blisko mnie? To nie miało sensu, a ja miałam już dość tego, że raniliśmy się słowami. Kiedyś to on się bronił, by ukryć uczucia, i choć dawniej tego nie rozumiałam, po tych kilku latach zachowywałam się podobnie.

Słyszałam, jak na dole mój brat żegna się z Mią, Lukiem i Sheyem, co oznaczało, że zaraz zostaniemy sami w naszym bezpiecznym azylu. Bez tego głosu. Bez tych czarnych oczu, które patrzyły na mnie tak

pusto. Bez jego gorącego oddechu i dotyku jego zimnych palców na mojej dłoni...

W tym samym momencie telefon leżący na moim łóżku zawibrował. Na drżących nogach przeszłam do sypialni i podniosłam go, a kiedy zobaczyłam wiadomość, jaką mi przysłano, urządzenie prawie wypadło mi z rąk.

Federico Gueva: Pan Foix bardzo się cieszy z zaistniałej sytuacji i dziękuje za spotkanie. Pozdrawiam, Federico Gueva

Dwanaście grzechów głównych

To wszystko zaczęło się kilka dni po spotkaniu w domu Vincenta. Przez jakiś czas nie działo się nic szczególnego, Theo zachowywał się tak jak zawsze, a nasi znajomi czasami dzwonili, aby zapytać, czy może ruszyło się coś z Brooklynem. White milczał, a ja zaczęłam się nieco obawiać, bo co, jeśli się rozmyślił? Albo jeżeli się dowiedział, że współpracujemy z Foixem? Popadałam w paranoję.

Z Nathaniem nie miałam kontaktu od naszego ostatniego spotkania i cieszyłam się z tego. Po jego wizycie w mojej sypialni utwierdziłam się w przekonaniu, że dobrze postąpiłam, decydując się na zmianę umowy z Vincentem. Musiałam jak najszybciej wyjechać i znów zapomnieć o spojrzeniu tych pieprzonych czarnych oczu...

Był już koniec tygodnia, gdy wychodziłam z supermarketu po skończonych zakupach. Miałam raptem jedną reklamówkę, więc postanowiłam się przejść, bo potrzebowałam świeżego powietrza. Szczelniej opatuliłam się płaszczem, ponieważ pogoda w Culver City w ostatnim czasie nieco się zepsuła. Wszystkie stacje trąbiły o nadciągających burzach i ulewach. Już chciałam przejść na drugą stronę ulicy, gdy nagle wielki czarny motocykl zatrzymał się tuż obok sklepu, niedaleko mnie. Pisk opon sprawił, że kilkoro najbliższych stojących ludzi spojrzało na motocyklistę z lekkim strachem. Mężczyzna nie miał kasku, więc od razu rozpoznałam jego twarz, a przerażenie zaczęło wyżerać mi przełyk.

Brooklyn White, kurwa.

Miał na sobie skórzaną kurtkę i czarne spodnie. Zsiadł z maszyny, przejechał palcami po zaczesanych na żelu włosach i popatrzył prosto

na mnie, jakby już wcześniej mnie namierzył. Nie byłam w stanie nawet przełknąć śliny, aby zwilżyć suche gardło. Stałam jak wryta i przyglądałam się, jak z przerażającym uśmiechem kieruje się w moją stronę. Wydawało mi się, że nogi przyrosły mi do ziemi, a na mojej klatce piersiowej spoczął ogromny ciężar. Sekundę później mężczyzna znalazł się przede mną.

— Witaj, Victorio — powiedział cicho.

Miałam ochotę zwymiotować, ale moje gardło było tak ściśnięte, że zapewne nic by z tego nie wyszło.

— Brooklyn — odparłam jedynie, nie potrafiąc wydusić z siebie ani słowa więcej.

— Bardzo mi miło, że w końcu znów się widzimy.

Jakimś cudem udało mi się opanować. Spięłam się w sobie i postawiłam krok w tył, odsuwając się, ponieważ zdecydowanie naruszał moją przestrzeń osobistą.

— Cóż, gdybyś poinformował mnie wcześniej, że się tu spotkamy, to może i ja nie miałabym z tym problemu — mruknęłam nieco bardziej oschle, niż planowałam, ale poczułam w sobie nagły przypływ gniewu. Co on sobie wyobrażał? — Śledziłeś mnie? Stalking nie jest fajny. I jest karalny.

— Cóż, wydaje mi się, że nie jest tak źle, jak mogłoby być — odpowiedział, wcale nieprzejęty tym, że zachowuje się jak pieprzony psychopata. Nigdy się tym nie przejmował.

— Skąd wiedziałeś, że tu będę? — zapytałam, unosząc hardo głowę.

Chociaż cholernie się stresowałam, musiałam zachować zimną krew.

— Mam swoje sposoby — odparł, na co bezwiednie przewróciłam oczami, patrząc gdzieś w bok z bojową miną.

— Super — bąknęłam, co sprawiło, że jego chory uśmiech jeszcze się poszerzył. — Jaki jest cel tego spotkania?

— Obiecałaś mi kolację, Victorio — powiedział niemal z wyrzutem.

Miał rację, ale przez stres byłam dziwnie zamroczona. Musiałam zrealizować swoją część planu, choć ta nieco się... zmieniła w stosunku do wersji, która obowiązywała, gdy umawiałam się z nim podczas walki Nathaniela. Odetchnęłam cicho, zbierając myśli, aby odpowiedzieć właściwie i niczego nie zepsuć. Wtedy na walce miałam ochotę zabić resztę za to, że ciągle gadali mi coś do ucha, ale tym razem przydałaby

mi się taka słuchawka z ich podpowiedziami. Zastanawiałam się, jak to rozegrać, podczas gdy Brooklyn cały czas patrzył na mnie wyczekująco.

— Robię to tylko dlatego, że nie chcę, aby były między nami jakiegokolwiek nieprzyjemności — skłamałam. — To, co było, minęło, tak?

— Oczywiście — odparł mężczyzna z zadowoleniem. — Czy pasowałyby ci jutrzejszy wieczór? Znam świetną restaurację. Odebrałbym cię z domu.

— Raczej wolałabym wiedzieć, gdzie to, i po prostu przyjechać tam.

Nie byłam jeszcze tak zdesperowana, aby znaleźć się z nim w jednym samochodzie. Raz w życiu odbyłam taką przejażdżkę i nigdy więcej nie zamierzałam popełnić tego błędu.

— Nie ufasz mi? — zapytał z udawanym smutkiem.

— Nie bardzo — odparłam szczerze, przez co mężczyzna westchnął, ale skapitulował.

Całe szczęście, że nie robił problemów.

— Dobrze, w takim razie skontaktuję się dziś z tobą i podam ci adres.

Po tych słowach ostatni raz się uśmiechnęła, a następnie odwrócił się z zamiarem odejścia. Kiedy wyszłam z szoku, zmarszczyłam brwi i spojrzałam na jego plecy.

— Przecież nie masz mojego numeru! — zawołałam za nim, na co przystanął, zerkając na mnie przez ramię. W jego oczach dostrzegłam, że to nie ma znaczenia. — Po co ja w ogóle się odzywam...

Brooklyn skinął głową z uśmiechem, który wywołał ciarki na moim ciele, po czym podszedł do swojego motocykla, wsiadł i odjechał. Po dobrych kilkudziesięciu sekundach odważyłam się głośniejsz odetchnąć.

Wszystko poszło tak, jak powinno, i o to chodziło, ale to nie zmieniało faktu, że byłam przerażona. White mnie obrzydzał, tak samo jak cztery lata wcześniej, a po opowieści Vincenta chyba nawet bardziej. Udawanie, że tak nie jest, że jestem w stanie się z nim spotkać, porozmawiać i być blisko, było koszmarem. Nie chciałam tego robić, ale nikt inny nie mógł mnie zastąpić w tej roli. Ta nieczysta gra trwała i nadeszła pora na mój ruch. Nawet nie liczyłam na szczęście, bo ono i tak nie miało znaczenia. Wygrać miał ten, kto był w lepszej pozycji, a moje pionki i figury na szachownicy niestety zostały rozstawione niefortunnie.

Zebrałam w sobie całą energię i ruszyłam chodnikiem, po drodze zrywając i zgniatając w dłoniach suche liście. Wyobrażałam sobie, że

każdy z nich to Brooklyn. Dwadzieścia minut później weszłam do domu i głośno trzasnęłam drzwiami, aby dać upust swojej irytacji. Wszłam do kuchni, w której stał Theo, jedząc kanapkę z pomidorem. Widząc moją wściekłą minę, zmarszczył brwi.

— Wyglądasz, jakby ktoś połamiał ci pomadkę — zakpił.

Posłałam mu spojrzenie godne bazyliuszka. Z rozwianymi włosami i rumieńcami złości na policzkach podeszłam do lodówki. Nerwowo zaczęłam pakować do niej kolejno zakupy.

— Co jest?

I kiedy już miałam na końcu języka to, że właśnie spotkałam Bro-oklyna, jestem zła, smutna i wściekła, bo przeraża mnie to, że muszę z nim wyjść... przypominałam sobie, że nie mogę tego powiedzieć. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cała negatywna energia gdzieś ze mnie uleciała, a zastąpiły ją koszmarne wyrzuty sumienia oraz złość na samą siebie. Szybko pokręciłam głowę i odchrząknęłam, znów sięgając do reklamówki, tym razem ostrożniej. Czułam na sobie poważne spojrzenie brata.

— Nic, tylko... Po prostu ludzie są irytujący — wymyśliłam na poczekaniu. — Jakiś idiota prawie wjechał we mnie wózkiem w sklepie i jeszcze się wyklócał — mruknęłam, ustawiając mleko w odpowiedniej przegródce.

— Idioci są wszędzie. — Theo wrzuszył ramionami i wepchnął sobie całą kanapkę do ust. — A tak poza tym stało się coś ciekawego?

Kolejne uderzenie w sam środek klatki piersiowej.

— Nie, nic — skłamałam, uśmiechając się delikatnie. — Wszystko okej. I kupiłam ciasto orzechowe, więc jest cudownie.

Poczułam się jak najgorsze ścierwo, gdy zobaczyłam minę Theodora, który pokiwał głowę z zadowoleniem. Wierzył w każde moje słowo. Musiałam odwrócić wzrok, udając, że wyglądam przez okno, by nie patrzeć na jego twarz. Zacisnęłam palce na brzegu blatu i zerknęłam na zapuszczony ogród, który mimo pobieżnego wykoszenia znów zaczęła zarastać.

— Nudzi ci się może? — zapytałam nagle, kiedy Theo wpychał w siebie kolejną kanapkę.

— A co? — zapytał z pełnymi ustami, przez co zabrzmiało to jak „a szczo”.

Posłałam mu pełne politowania spojrzenie i przewróciłam oczami, odbijając się od blatu. Musiałam się czymś zająć, by przestać myśleć.

— Mama musi przewracać się w grobie, gdy widzi, co stało się z jej ukochanym ogrodem — mruknęłam.

Theo popatrzył na mnie z nieukrywanym zdziwieniem, wycierając ręce w swoją bordową koszulkę.

— Przecież sama mówiłaś, że nie chcesz tu niczego ruszać, skoro i tak zaraz wyjeżdżamy — powiedział i nie wiedziałam, czy to tylko moje wyobrażenia, czy...

Czy wyczułam w jego głosie, że ma do mnie żal.

— Wiem, ale w sumie i tak się nudzimy, więc możemy to ogarnąć. Szczególnie że jest dopiero jedenasta. Możemy spędzić tam cały dzień i najwyżej skończyć jutro. — Wzruszyłam ramionami, zastanawiając się, co ja najlepszego wyrabiam.

— Jestem za — zgodził się z radością Theo, a energia w jego głosie była nie do podrobienia.

Ucieszył mnie jego entuzjazm, bo lubiłam, gdy był szczęśliwy. Mimo to poczułam też smutek, bo kiedyś, gdy byliśmy młodszy, kłóciliśmy się o to, kto ma skosić trawę i pielic wokół drzewek. Gdy rodzice nas do tego gonili, oboje mieliśmy ochotę uciec z domu przez okno. Prace w ogrodzie to było jedno z najgorszych zadań, jakie nam wyznaczali, a po tylu latach on cieszył się jak głupi, że może to zrobić. Mieliśmy zająć się tym sami, ponieważ mamy już z nami nie było. Zastanawiałam się, jak to będzie wyglądało bez jej krzyków nad uchem, bez darcia się na Theo, że znowu przez przypadek wykosił krzaki róży. Bez mrożonej herbaty, którą przynosiła nam, gdy już się zmęczyliśmy. Bez naszego narzekania, by sobie poszła, bo nie możemy już jej słuchać. Oddałabym wszystko, aby znów posłuchać jej krzyków...

Dlaczego zaczynamy doceniać pewne rzeczy dopiero wtedy, gdy je stracimy?

— To chodź. Pójdziemy do garażu i zobaczymy, czego nam brakuje — zaproponowałam, na co skinął głową.

Okazało się, że brakowało nam dosłownie wszystkiego. Od różnych preparatów po narzędzia, sadzonki, szlauchy ogrodowe, zraszacze i rękawice. Po godzinnej wizycie w sklepie ogrodniczym wróciliśmy obładowani rzeczami i bez zbędnego gadania wzięliśmy się do pracy. Przebrałam się w krótkie spodenki oraz bluzę z kapturem, bo akurat się wypogodziło.

Theo włożył szorty i tank top, który odsłaniał wszystkie jego tatuaże. Staliśmy na tarasie, ja wiązałam włosy, a mój brat rozpakowywał nową paczkę rękawic.

— Masz — mruknął, podając mi parę. — Bo jeszcze złamiesz sobie paznokiec i będziesz płakać — zakpił, na co przewróciłam oczami, robiąc do niego głupią minę i wystawiając środkowy palec.

A to, że miał rację, to już inna sprawa.

Włączyłam losową piosenkę Drake'a i pierwsze słowa *Toosie Slide* przerwały ciszę. Westchnęłam, nakładając rękawice i klaszcząc w dłonie.

— Bierzemy się do roboty.

Oczywiście to ja, jak zawsze, musiałam przegrać w papier, kamień, nożyce, więc to mnie przypadło zadanie pielienia wokół drzewek, a Theo złapał za kosiarkę. Czasami go nienawidziłam.

Kiedy zaczęliśmy, zdałam sobie sprawę, jak to wszystko urosło. Gdy byłam małą dziewczynką, drzewa owocowe były mojego wzrostu, a po latach stały się wielkie i rozłożyste. To miejsce było pełne wspomnień. Przypomniałam sobie nasze urodziny, które rodzice zawsze urządzali w ogrodzie. Torty, których jedna połowa była czekoladowa dla mnie, a druga śmietankowa dla Theo. Zabawy w berka z Mią i Chrisem, opalanie się w czasie wakacji, siedzenie przy grillu z rodziną, która kiedyś była mi bardzo bliska.

Pamiętałam również swoje dorastanie. Pierwsze papierosy za żywopłotem, uciekanie z domu, zapraszanie kilkunastu osób na małe imprezy, gdy mama gdzieś wyjeżdżała. Palenie skrętów za krzakami róż, gdy wymykałam się do ogrodu pod pretekstem zerwania kwiatów do wazonu. Moje kłótnie i bójki z Theo, które kończyły się tarzaniem się w trawie, i złość mamy, która miała problem z dopraniem zielonych plam na naszych ciuchach. Zabawy z Kotem, który zawsze skakał na zraszacze. Pamiętałam to wszystko i cholernie tęskniłam, a jednocześnie wiedziałam, że to już nigdy nie wróci.

Potrząsnęłam głową, aby odgonić od siebie coraz bardziej depresyjne myśli. Wrzuciłam chwasty do taczki i chwilowo zajęłam się przycinaniem sektorem drzewek, które zaczęły rosnać w dziwne strony. Theo nadal kosił trawę i to wszystko nagle wydało mi się... po prostu dobre. Pracowaliśmy szybko i sprawnie, nie szczczędząc sobie typowych złośliwości na poziomie przedszkolaków. Na początku ignorowałam jego

zaczepki, ale moja cierpliwość się skończyła, gdy mój brat obrzucił mnie garścią skoszzonej trawy, która wylądowała w moich włosach. Zmrużyłam niebezpiecznie oczy, a następnie z prędkością gazała zerwałam się na nogi i sięgnęłam po garść ziemi i chwastów z taczki. Zamachnęłam się i wypuściłam swoją broń prosto na niego. Zaczęłam się histerycznie śmiać, bo trafiłam w jego twarz i szyję. Szybko się otrzepał, ale nadal był brudny. Odskoczyłam w bok, gdy zobaczyłam, że miał zamiar ruszyć w moją stronę w akcie odwetu.

Nagle naszą zabawę przerwał rozbawiony głos:

— No jak dzieci.

Oboje odwróciliśmy się w stronę Chrisa, który szedł właśnie w naszym kierunku, a za nim zobaczyliśmy równie rozbawionych Laure, Scotta i Matta.

— Cyrk odjechał, ale klaunów zostawili — zakpił.

— Ha, ha. Bardzo śmieszne — sarknęłam, otrzepując włosy z trawy, podczas gdy Theo starał się ogarnąć swoją twarz. — Co wy tu w ogóle robicie? — zapytałam zdziwiona, bo nie zapowiedzieli swojej wizyty.

— A tak chcieliśmy do was wpaść — odpowiedziała Laura, która chyba zamierzała mnie przytulić, ale zrezygnowała, widząc, jak brudne mam ubranie. *Na całe szczęście*. — Nawet nie dzwoniliśmy dzwonkiem, bo słyhać was aż przed domem.

— Robimy małe porządki — wyjaśnił Theo.

Do jego spoconego czoła przykleiły się maleńkie grudki ziemi.

— W końcu. Za chwilę domu nie byłoby widać — skomentował z ironią Scott, na co zmrużyłam oczy i teatralnie uderzyłam go w ramię.

Widząc moją minę, i on udał, jakbym co najmniej mu je odcięła. Złapał się za nie i zaczął się krzywić z bólu.

— Rodzeństwo Clarków dobrowolnie wykonuje prace w ogrodzie. Wow — mruknął Chris, przejeżdżając dłońmi po swoich uroczych loczkach. — Kiedyś wasi rodzice musieli wam chować kabel do wi-fi, żebyście coś tu zrobili.

— Sam lepszy nie byłeś. Omijałeś wasze grządki szerokim łukiem — odparłam, na co udał obrażonego.

— O przepraszam bardzo, zawsze otwierałem ogrodnikowi bramę — fuknęła na mnie, przez co Laura zaczęła się śmiać, a ja sama próbowałam powstrzymać uśmiech.

— Otwierałeś ją z pilota. Nie musiałeś nawet wychodzić ze swojego pokoju — przypomniałam mu.

— Szczegóły. — Machnął ręką i przewrócił oczami. — To jak, Theo? — zagadnął mojego brata, no co ten zerknął na niego pytająco. — Dasz mi jakieś ciuchy na zmianę i rękawice?

Zmarszczyłam brwi, a w tym samym momencie Laura popatrzyła na mnie tak, jakby oczekiwała tego samego. Scott nawet nie prosił, po prostu odszedł o kilka kroków, ściągnął koszulkę i rzucił ją na jeden z leżaków na tarasie. Przyglądałam się ze zdumieniem, jak bez słowa chwyta czyste rękawice i podchodzi do kosiarki, a następnie odpala ją i po prostu zaczyna kosić nam podwórko.

— Czekajcie, to wy nam pomożecie? — zapytał równie zdziwiony Theo, a Chris z Laurą popatrzyli na niego, jakby zadał najgłupsze pytanie na świecie.

— A widzisz inną opcję? — odparła pytaniem na pytanie. — Tylko musisz pożyczyć mi coś na przebranie, bo w tym nie bardzo — dodała, zwracając się do mnie i wskazując na swoją kwiecistą sukienkę, spod której było widać fragment jej tatuażu.

— Ej, Theo!

Wszyscy odwróciliśmy się w stronę Scotta, który wyłączył urządzenie, patrząc na mojego brata.

— Wymieniłeś w niej olej?

Theo oczywiście o tym zapomniał, ale to pytanie upewniło mnie, że nasi znajomi zostaną u nas na dłużej. Razem Laurą i Chrisem udałam się na piętro, gdy reszta zajęła się wymianą oleju. Zdjęłam rękawice i weszliśmy do pokoju Theo, aby znaleźć coś dla Adamsa. Nadal byłam w szoku, że tak ochoczo zgłosili się do pomocy, ale poczułam się naprawdę wdzięczna.

Przecież dobrze wiesz, że przez to, co zrobiłaś, nie zasługujesz na to.

— Co tam ogólnie u was? — zapytałam, aby uciszyć jakoś te cholerne myśli.

Nie myśl o tym, nie myśl o tym.

Przekopywałam markowe ubrania Theo, które ja mu kupowałam albo przynosiłam z firmy, ponieważ miałam o wiele lepszy gust. Mój brat wyglądał w nich cudownie, ale wątpiłam, aby sweter Gucci nadawał się do pracy w ogrodzie. Laura z uśmiechem usiadła na krześle,

a Chris zdjął swoją jasnorożową koszulkę, którą następnie rzucił na łóżko.

— Zaczęłam pisać z takim fajnym chłopakiem na Grindrze — mruknął, na co spojrzałam na niego przez ramię. — Jest gorący. I dominuje, więc jestem jak najbardziej na tak.

— Ty zawsze jesteś na tak, bo jesteś wiecznie napalony. — Uśmiechnęłam się, rzucając mu w twarz jakąś starą koszulkę.

— Jestem po prostu młodą osobą potrzebującą bliskości — fuknął, wciągając na siebie T-shirt.

— Czyli napalony — podsumowała Laura, na co uśmiechnęłam się w jej stronę, a ona posłała mi oczko. — I nie możesz się z nim spotkać. Popsujesz mi zakład.

— Jaki zakład? — zdziwił się Chris, na co i ja spojrzałam na nią z ciekawością.

— Założyłam się z Mattem, że do Halloween prześpisz się z Cameronem — odpowiedziała nonszalancko, jak gdyby nigdy nic oglądając swoje wypielęgnowane paznokcie.

— O cholera, ty też? — zapytałam, nim zdążyłam się ugryźć w język.

Wnioskując po minie Chrisa, chyba raczej nie powinnam była tego mówić, ale nieźle się zdziwiłam. W końcu gdy jakiś czas temu w kawiarni opowiadałam Moore o swoim zakładzie z Theo, była zaskoczona, że wpadliśmy na taki pomysł.

Chłopak wyglądał, jakby nie przyswajał, co właśnie powiedziałyśmy. Jego mózg prawdopodobnie nie łączył. Popatrzył najpierw na mnie, a następnie na Laurę, która w ogóle nie przejmowała się tym, że Adams właśnie dostał zapaści. Czekałam, jak rozwinie się sytuacja, a on w końcu pomrukał, co było jakąś oznaką tego, że żyje, i wytrzeszczył oczy.

— WY CO?! — wydarł się i byłam pewna, że jego krzyk usłyszeli nawet chłopcy na dole.

— Czemu tak na nas patrzysz? — zapytała niewzruszona Laura. — Pożeracie się wzrokiem, od kiedy się poznaliście. Myślałam o tym trochę i zaczęłam się wam przyglądać. To nastąpi prędzej czy później, a ja postawiłam pięć dych na to, że prędzej, więc masz mi nie psuć zakładu, jasne? — powiedziała poważnie, wskazując na niego palcem, a następnie zerknęła w moją stronę, podczas gdy ja przygryzałam mocno dolną wargę, by nie wybuchnąć śmiechem. — Kochanie, dasz mi w końcu coś na zmianę?

— Halo, ja wciąż tu jestem! — zawołał zdenerwowany Adams, a na jego policzkach i nosie wykwitły różowe plamki, co oznaczało, że się zawstydził.

— Ale czemu robimy z tego taki problem? — zapytała dziewczyna. — Widać gołym okiem, że ci się podoba. I to jest odwzajemnione.

Po jej słowach złość i zażenowanie na twarzy Chrisa ustąpiły miejsca zdziwieniu i pewnemu... niedowierzaniu. Chłopak zmarszczył brwi i przygryzł wargę, spuszczać wzrok na łóżko.

— Odwzajemnione? — zapytał cicho i chociaż chciał udawać, że to nic, w jego głosie słychać było nutkę ekscytacji.

Wymieniłyśmy z Laurą porozumiewawcze spojrzenia. Faceci byli czasami tacy głupi. Chociaż sama założyłam się z Theo, że nic między nimi nie zajdzie, szybko zmieniałam zdanie. Nie mogłam ignorować tych sygnałów, które obaj wysyłali. Chrisa znałam zbyt długo, to rumienienie się przy każdym przypadkowym dotyku, spuszczenie wzroku, ciągłe powtarzanie, że nie lubi Wilsona. Rozmowa z Laurą po zakupach sprawiła z kolei, że zaczęłam inaczej interpretować podobne znaki u Camerona. Między nim a Adamsem było seksualne napięcie.

— Kochanie, znam Camerona już długo i uwierz mi... — zaczęła Laura, posyłając Chrisowi ciepłe spojrzenie — on teraz czeka, ale gdy już zdecyduje się zrobić ten pierwszy krok... Będiesz go błagała na kolanach, by wykonał kolejny.

Przeżony chłopak wytrzeszczył oczy jeszcze bardziej, tak że w pewnej chwili miałam wrażenie, że mu wypadną. Moore znów popatrzyła w moją stronę, uśmiechając się niewinnie, i złapała mnie za rękę, a następnie pociągnęła w kierunku mojego pokoju.

— Może teraz to jakoś przyspieszy. — Wzruszyła ramionami.

Bez słowa dałam jej spodenki i top, a ona szybko się przebrała. Moje rzeczy były na nią sporo za duże, ale wyglądała w nich uroczo.

— Mam na sobie ubrania, które są warte więcej niż połowa mojej szafy — parsknęła Moore, przytrzymując jedną dłonią spodenki, które zsuwały się z jej wąskich bioder. — A idę tylko wrywać chwasty w ogródku.

Zaśmiałam się cicho i wygrzebałam z walizki pasek, a potem go jej podałam.

— Połowa to może nie, ale tak dwie piąte... — zażartowałam.

Chris dołączył do nas chwilę później, gdy już w miarę doszedł do siebie, chociaż po jego minie było widać, że nadal jest w szoku. Nie mężczyliśmy go już i wróciliśmy razem do ogrodu, gdzie Scott nadal kosił trawę, a Theo i Matt grabili suche liście. Gdy Hayes nas zobaczył, wyłączył kosiarkę i popatrzył na Laurę.

— Dzwoniła do ciebie Mia — powiedział, wskazując na telefon, który leżał na stoliku na tarasie.

— Co chciała? — zapytała dziewczyna, wciągając rękawiczki na swoje małe dłonie.

— Zapytać, czy idziesz z nią i z Jasmine na zakupy. Do ciebie też miała dzwonić — odparł, zerkając na mnie.

Uniosłam lekko brwi w zdziwieniu. Zrobiło mi się miło, zwłaszcza że ostatnio nie byłam zbyt towarzyska...

I tak na nią nie zasługujesz.

— Powiedziałem, że jesteśmy tutaj, i jakoś tak wyszło, że zaraz przyjadą — mruknął trochę ciszej, patrząc na mnie niepewnie. — Nie masz nic przeciwko?

— Oczywiście, że nie — odpowiedziałam od razu.

Skoro chciały się spotkać, to czemu miałabym odmówić?

Po prostu chcesz uciszyć wyrzuty sumienia.

— To super. Zgarną jeszcze Camerona i Parkera.

Skinęłam z uśmiechem głową, choć tak naprawdę czułam się jak gówno.

— Nate będzie? — zapytała Laura, na co mina Scotta zrzedła.

— Jasmine powiedziała, że nie jest w nastroju.

Cholera, co to mogło oznaczać? Może źle się czuł? Wtedy w mojej sypialni nie wyglądał najgorzej, ale może później się rozchorował... Tak też mogło być, ale skłaniałam się ku innej opcji, która wydawała mi się bardziej realna. Nathaniel po prostu nie chciał przyjechać, i to zapewne przeze mnie. Nasza ostatnia interakcja była... intensywna i pewnie miał już dość tego ciągłego napięcia między nami. Ja również miałam. A poza tym żył swoim życiem i nie miał obowiązku spędzania z nami każdej wolnej chwili.

Tak będzie lepiej, musisz zredukować kontakt z nim do zera, aby znów nie przeżywać tego samego koszmaru.

Zdecydowałam się zrobić tak, jak podpowiadała mi moja podświadomość.

Czterdzieści minut później cała nasza dziesiątka uwijała się w ogródku za domem, pieląc, przycinając krzewy, sadząc nowe roślinki i wyrwijając te stare i zeschnięte. Cameron, Mia, Jasmine i Parker przyjechali dość szybko i odpowiednio ubrani, bo wiedzieli, co ich czeka. Oni również nie mieli nic przeciwko, a kiedy w okularach przeciwsłonecznych, koszulkach i szortach wkroczyli do naszego ogrodu, wyglądali jak prawdziwa Załoga G. Gdy zobaczyłam Jasmine w tenisówkach, doznałam chwilowego szoku, ponieważ nie widziałam jej nigdy w innych butach niż kozaki. Jeszcze bardziej zszokował mnie Cameron, który prezentował się zabójczo w czarnej sportowej koszulce z długim rękawem, która odsłaniała jego wystające obojczyki, oraz w tego samego koloru szortach.

Nie wiedziałam, w którym momencie Matt włączył ikoniczną piosenkę Nicki Minaj. Kojarzyła mi się z Mią, bo dawno temu moja przyjaciółka często ją śpiewała. Roberts wyglądała koszmarnie, gdy z łopatką do kopania w jednej dłoni i z ubrudzoną od ziemi twarzą kręciła biodrami w rytm *Starships*, ale to wszystko miało w sobie życie. Wokół panował gwar, co było tak inne od tego, do czego się przyzwyczyłam. Od kiedy wróciliśmy do Culver City, w domu było cicho, a tamtego dnia... zrobiło się *tak jak kiedyś*. Matt ewidentnie leciał w kulki, przysypiając pod rozłożystymi paprociami, a Parker ze Scottem siłowali się na środku wykoszonego trawnika, przez co przewrócili taczkę z liśćmi, jednak nikt się tym nie przejął. Chris ukrywał się za jabłonią, aby jak najmniej widzieć Camerona, podczas gdy ten przycinał krzewy z Jasmine, która niewiele się odzywała. Nie miałam pojęcia, czemu za każdym razem przychodziła, chociaż nie wypowiadała praktycznie żadnego słowa. Theo przez większość czasu patrzył tylko na nią, a mnie to zabijało od środka, bo widziałam, jak się męczył.

Teoretycznie było super. Przez chwilę poczułam się tak, jakby te cztery lata przerwy nie miały miejsca. Rozmawialiśmy na różne tematy, wspominaliśmy dzieciństwo i licytowaliśmy się, kto zrobił wtedy większą głupotę. W pewnym momencie przyjechało zamówione przez Theo jedzenie, a Mia z Laurą przyniosły mrożoną herbatę. Była trzecia,

kiedy zmordowani siedzieliśmy na trawie, jedząc i po prostu będąc ze sobą. To wszystko było naprawdę cudowne i cieszyłam się z tego, ale...

Ale nie do końca, i to z dwóch powodów. Bo miałam przed nimi sekret i dlatego, że choć wciąż bolały mnie słowa Nathaniela i dalej nie wiedziałam, na czym stoimy, brakowało go.

Nikt o nim nie wspominał, każdy omijał ten temat, ale wiedziałam, że i oni się martwili. To on nas połączył, a siedzieliśmy razem bez niego. Ja sama nie odzywałam się za wiele, powoli jadłam swoją porcję, nawet nie słuchając, o czym rozmawia reszta. Powinnam była to wszystko pieprzyć, bo nieobecność Nathaniela działała korzystnie na moją psychikę. To on wypowiedział słowa, przez które wykluczyłam ich wszystkich i weszłam w układ z Vincentem. To on to zaczął, to on mieszał mi w głowie swoim zmiennym nastrojem i tą pierdoloną bliskością...

A ja mimo to dalej się zastanawiałam, jak się czuje i czy wszystko u niego w porządku.

— Halo, ziemia do Victorii!

Zamrugałam gwałtownie, kiedy czyjaś ręka pojawiła się przed moją twarzą.

Wyrwana z letargu, spoglądałam przed siebie i od razu napotkałam dziewięć par oczu wpatrujących się we mnie. Mia, która machała mi przed twarzą, obserwowała mnie z nieznacznym uśmiechem.

— Co? — zapytałam zdezorientowana.

Musiałam mieć głupią minę, bo wszyscy zaczęli się śmiać.

— Jesteś dziś zupełnie odcięta od rzeczywistości — parsknął Parker, na co uniosłam kącik ust.

— Ta, czasami lubię sobie odlecieć — mruknęłam, puszczając mu oczko, aby jakoś ich uspokoić. Grzebałam plastikowym sztućcem w swoim makaronie, bo jakoś straciłam na niego ochotę.

— Pytaliśmy cię, czy coś już wiadomo w sprawie Brooklyna — powiedziała poważniej Laura. — Odzywał się?

Patrzyłam na nich w ciszy, zastanawiając się, jak odpowiedzieć na to pytanie. W końcu westchnęłam i robiąc jak najbardziej neutralną minę, pokręciłam głową.

— Nie. Przykro mi — odparłam.

— Niedobrze — burknął Scott.

— Może się rozmyślił? — zapytał Matt.

— Nie wiem, ale to wszystko już za długo trwa. Victoria musi zdobyć jego zaufanie, a jeśli się nie pośpieszymy, Brooklyn może znowu wyjechać — wytłumaczył. — Trzeba dobrze to rozegrać.

Poczułam, jakbym miała zwymiotować ten przekłety makaron, którego i tak niewiele zjadłam. Odchrząknęłam cicho i szybko odłożyłam pojemnik z resztą porcji na trawę. Otrzepałam ręce i wstałam.

— Idę do łazienki — poinformowałam resztę, a kiedy wchodziłam do domu, słyszałam ich wesołe głosy i donośny śmiech któregoś z chłopaków.

Gdy zamknęłam za sobą drzwi, odetchnęłam głębiej, ponieważ w środku było dużo ciszej i spokojniej. Wyrzucałam sobie w myślach własne zachowanie, bo powinnam była zrobić tak jak oni. Nie przejmować się, żyć, śmiać się i spędzać miło czas, a ja tymczasem nie potrafiłam ogarnąć chaosu w swojej głowie i zaakceptować konsekwencji własnych działań. Zamiast skierować się do łazienki, usiadłam na kanapie w salonie. Nie umiałam przestać myśleć o Nathanielu i o tym, co robi. Czy czuje się dobrze, czy nie. Powinnam była odpuścić, a ja... nie mogłam.

— Przerywam upragnioną chwilę samotności?

Podskoczyłam w miejscu w reakcji na cichy głos Luke'a.

— No co ty, Clark. Myślałam, że do odważnych świat należy. — Chłopak parsknął śmiechem.

— Na pewno nie do skradających się psychopatów — burknęłam, ale gdy zobaczyłam jego rozbawioną minę, cała moja złość gdzieś uleciała.

— Można? — zapytał, wskazując na miejsce obok mnie.

Zmrużyłam oczy.

— A co mi za to dasz? — zapytałam, na co teatralnie uniósł brwi i spojrzał przez ramię na drzwi tarasowe, za którymi siedziała reszta.

— Wiele rzeczy, ale moja dziewczyna musi wyrazić zgodę — powiedział konspiracyjnym szeptem. — Raz zrobiłem jej striptiz i nie jest tego fanką, ale może tobie się spodoba.

Przewróciłam oczami, ale nie potrafiłam się nie uśmiechnąć. Pokręciłam głową, przesuwając się i robiąc mu miejsce na sofie, które zajął. Oboje przez krótką chwilę milczeliśmy, a gdy nagle poczułam na sobie jego spojrzenie, zerknęłam na niego kątem oka. Ze zdziwieniem zarejestrowałam, że już się nie uśmiecha, był zmartwiony.

— Wszystko u ciebie okej? — zapytał, na co zmarszczyłam brwi. — Jesteś dziś cały dzień nieobecna.

— Wydaje ci się — odparłam, ale pokręcił głową.

— Chodzi o Nate'a, prawda?

Nie odpowiedziałam, bo po prostu nie widziałam w tym sensu. Nie chciało mi się, pierwszy raz od dawna po prostu nie chciało mi się kłamać. Cała byłam jednym wielkim kłamstwem, musiałam kontrolować każdy swój ruch, każde słowo. Luke i tak wiedział swoje, więc po co znowu miałam udawać? Siedząc z nim w tym pieprzonym salonie, zdałam sobie sprawę z tego, że to nie było łatwiejsze wyjście.

Westchnęłam cicho, kuląc się jeszcze bardziej i obserwując swoje splecione dłonie, aby nie patrzeć mu w oczy. W moim żołądku znów coś się przekreśliło.

— Martwisz się i zastanawiasz, czemu nie przyjechał — nawet nie pytał, po prostu stwierdził.

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadałam. W końcu otworzyłam usta, jednak po sekundzie znowu je zamknęłam, rezygnując z jakichś pokrętnych wyjaśnień. Może najprostsze rozwiązania były najlepsze? Oblizyłam spierzchnięte wargi, czując suchość w gardle.

— Co z nim, Luke? — zapytałam wprost, nie bawiąc się w podchody.

Ku mojemu zdziwieniu chłopak parsknął gorzkim śmiechem. Odwrócił wzrok, a ja postanowiłam dać mu trochę czasu.

— To trwa od rozstania z Severine — zaczął w końcu. — Jest taki... obcy. Najpierw nie chciał z nikim gadać i nas zbywał, zresztą sama wiesz. Myślałam, że po walce coś się zmieni, ale nie. Niby zachowuje się normalnie, ale to nie jest normalne. Prawie z nami nie rozmawia, dopuszcza do siebie tylko Charliego, ale to dlatego, że z nim mieszka. Chociaż teraz nie ma nawet jego, bo przed walką postanowił, że Charlie pojedzie do Felicity na kilka dni. To jego dawna koleżanka i Charlie często...

— Wiem, pojechał do niej, aby nie widzieć Nate'a po walce — prze-rwałam mu, a gdy dostrzegłam jego zdziwioną minę, szybko dodałam: — Wiem o tym, Nate mi powiedział.

— Powiedział, mówisz? — Uniósł brwi jeszcze bardziej. — Czemu mnie to nie dziwi... Zawsze wiedziałaś więcej niż inni.

— Luke — upomniałam go. Nie chciałam, aby poruszał niebezpieczne tematy.

Na szczęście skapitulował i kontynuował poprzedni wątek:

— Nate jest na jego punkcie bardzo przewrażliwiony. — Westchnął ciężko. — Jego dziadkowie przez długi czas nie chcieli, aby Charlie z nim zamieszkał, ale w końcu się zgodzili. Decyzja Nate’a, by Charlie przeprowadził się do Culver City, była natychmiastowa, po prostu któregoś dnia oznajmił, że go sprowadzi. Nate jest dobrym bratem, chociaż chyba sam tak nie uważa. Są bardzo do siebie przywiązani, a Nate jest naprawdę opiekuńczy. Tylko że dziś zadzwoniła do mnie Felicity i pytała, czy z Nate’em po walce wszystko okej, bo poprosił ją, aby zajęła się Charliem jeszcze przez kilka dni. Zdziwiło mnie to, bo wydawało mi się, że będzie chciał jak najszybciej mieć go znowu przy sobie. A jeśli nie chce mieć blisko nawet brata, to ja już nie wiem, co robić.

Słuchałam go, a każde jego słowo zadawało mi ból. Nie potrafiłam tego zrozumieć, co się działo i dlaczego Nate się tak zachowywał? Dlaczego odpychał od siebie najbliższych, nawet swojego brata?

— Gdy chcę się spotkać, zawsze się wykręca, a jeśli już się widzimy, jest markotny i roztargniony. — Luke wyglądał, jakby go to naprawdę bolało. — Ostatnio przyjechałam do jego mieszkania bez zapowiedzi. Gdy wszedłam do środka, siedział przy stole z butelką wódki — parsknął gorzko, a na jego twarzy wymalowała się paleta trudnych emocji.

Na pierwszy plan wybijał się strach. Bał się o Nathaniela.

— Pije. Dużo pije — mruknął. — Od ostatniej imprezy na plaży upił się co najmniej trzykrotnie. Cały dzień spędza w warsztacie albo na treningach. Chodzi jak maszyna i tak się zachowuje. Zawsze był zamknięty, ale gdy coś się działo, rozmawiał ze mną. Jest dla mnie jak brat, a teraz... nic. Kompletnie nic. Unika tematu, a jak pytam, każe mi to zostawić. Jest sam. Zupełnie — dodał, a zaraz potem na jego twarzy pojawił się uśmiech pełen gorzkości. — No, jeśli nie jest adorowany w barze przez swój fanklub. Przez ludzi, którzy zadają się z nim tylko dlatego, że to wielki Nathaniel Shey.

Luke wyglądał jak rozdrapana rana. Shey był dla niego jednym z najważniejszych ludzi na świecie i nie dziwiłam się, że nie potrafił patrzeć na jego autodestrukcję. Do tego się obwiniał, bo nie umiał mu pomóc, i w tym go rozumiałam. Obserwowanie, jak osoba, za którą mogłoby się oddać życie, sama się niszczy, jest potwornym doświadczeniem.

Hipokrytka.

Nagle Luke spojrział mi w oczy i zobaczyłam w nim tyle bólu, że miałam ochotę powiedzieć cokolwiek, nawet gdyby miało to być kłamstwo, byleby tylko poprawić mu humor. Wydawało mi się, że pierwszy raz to z siebie wyrzucił, i to stanowiło dla niego pewnego rodzaju... *oczyszczenie*.

— Nigdy nie widziałem go w takim stanie — wyszeptał. — To nie jest Nate. To jest jakaś jego marna imitacja... Ostatnio znów pożarł się z Cameronem. Ja nie wiem, co robić, Victoria. Nie mam pojęcia.

— Luke, jesteś dla niego jak brat — powiedziałam pewnie. — On to wie. Może dla ciebie to niewystarczające, ale uwierz, on docenia samo to, że przy nim jesteś. Nate to specyficzny człowiek. Może potrzeba trochę czasu? Właśnie rozstał się z narzeczoną. Może to nadal go boli.

Cóż, może naprawdę tak strasznie tęsknił za Severine, w końcu to od rozstania z nią wszystko się zaczęło. Może po prostu... ją *kochał*. I chociaż nienawidziłam za to samej siebie, bo widok ich dwojga razem był dla mnie... trudny, to wiedziałam, że gdyby naprawdę chodziło o nią, wydobyłabym ją nawet spod ziemi i do niego zaprowadziła. On nie mógł sobie tego robić.

— Nie wiem, ale... nie wydaje mi się, Victoria. — Westchnął ciężko, znów patrząc mi w oczy. — Miał już kilka dziewczyn, a nigdy tak nie było. Przeżywał to w różny sposób, ale nigdy się ode mnie nie odcinał. Tu nie chodzi o to. Przynajmniej tak mi się wydaje. Spotykał się z kilkoma w liceum, potem też. Miał cholerną Darcy, miał cie... — urwał w pół słowa.

Spojrzął na mnie przepaszająco, na co wzruszyłam ramionami, bo czy powiedział coś, co nie było prawdą?

— Nie patrz tak na mnie, masz rację — mruknęłam, a te słowa paliły mój przetyk jak trucizna. — Nie byliśmy razem oficjalnie, ale Nate mnie miał. I wiedział to chyba każdy — parsknęłam, ale w moim głosie nie było ani krzty rozbawienia. To była smutna prawda. — Miał mnie w każdym tego słowa znaczeniu. I zawsze się na to zgadzałam — dodałam i uśmiechnęłam się cierpko do chłopaka, ponownie wzruszając ramionami.

Było mi zimno.

— Jakim cudem to wszystko się tak skomplikowało? — zapytał zrezygnowany, na co pokręciłam głową.

— Nie wiem, Luke.

Zamilkliśmy. Ignorując lekki dyskomfort, delikatnie oparłam głowę o jego bark.

— Jak myślisz? — zapytał nagle. — Naprawi się to jakoś?

Gdy się dowiecie, co zrobiłam, zniechęć mnie.

— Może — odparłam cicho.

Przez kilka minut tak po prostu siedzieliśmy, aż w końcu postanowiliśmy wrócić do ogrodu, aby nie wzbudzać podejrzeń. Kiedy znów stanęliśmy na podwórku, nie obyło się bez komentarzy, które rzucała nawet Mia. Już dawno nie widziałam jej tak rozbawionej. Żadnego z nich. Z powrotem usiedliśmy na swoich miejscach, ale ja już nie mogłam nawet patrzeć na swój posiłek, więc przesunęłam go w stronę Matta, którego niebieskie oczy rozbliły. Od razu rzucił się na mój makaron.

— A właśnie — zaczęła Laura. — Za dwa dni trzecie Halloween. Robimy coś?

— Pewnie pójdziemy do klubu. — Scott wzruszył ramionami, na co Moore trzepnęła go w ramię. Chłopak zawył, krzywiąc się. — Ała, no co?!

— Ja chcę coś fajnego — burknęła. — Chcę się przebrać, a nie tylko pójść do klubu i się napić.

— Ale... — zaczął, a Laura znów go uderzyła, tym razem mocniej. — Ała, no dobrze! Dobrze już! Uspokój się, kobieto! Zrobimy coś fajnego!

Zadowolona Laura uśmiechnęła się, a następnie nachyliła się do niego i pocałowała go w ramię tam, gdzie wcześniej uderzyła.

Wszyscy dokończyli jedzenie, rozmawiając o imprezie, podczas gdy ja błądziłam myślami w swoim świecie. Niedługo później nasi znajomi zaczęli się zbierać. Zanieśliśmy narzędzia do garażu, a Laura z Chrisem się przebrali. Zostało nam jeszcze trochę pracy, ale gdy patrzyłam na ogród, znów widziałam w nim życie. Było dużo lepiej.

— Dzięki, że nam pomogliście — mruknął Theo, gdy zbił piątkę z Parkerem.

Staliśmy na ganku przed domem. Reszta już wsiadała do swoich samochodów, a chłopak jako ostatni się z nami żegnał.

— Nie ma problemu — odpowiedział i skinął w naszą stronę głową, zatrzymując na mnie wzrok nieco dłużej.

Wiedziałam, że było to nawiązanie do naszej rozmowy.

Razem z Theo patrzyliśmy, jak samochody naszych znajomych kolejno odjeżdżają, aż w końcu zostaliśmy sami. Mój brat westchnął, zerknąwszy na ciemne niebo. Było już zimno i zerwał się mocniejszy wiatr, a ciężkie chmury zwiastowały zapowiadaną burzę.

— To był dobry dzień — powiedział z zadowoleniem.

Zmusiłam się, by unieść kąciki ust.

— Tak — zgodziłam się od niechcenia.

— Idę się myć. Tobie też radzę, bo straszysz. — Z zadowoleniem wszedł do domu, podczas gdy ja jeszcze chwilę tak stałam, wypatrując pierwszych błyskawic na niebie.

Po kwadransie pokręciłam głową i również weszłam do środka. Theo zajął łazienkę na parterze, więc ja wybrałam tę na piętrze. Stałam pod prysznicem przez długi czas, skupiając się na tym, jak gorąca woda spływa po moich plecach. Moja skóra była już cała czerwona i parowała, ale mimo to nadal tam stałam, zaciskając powieki, bo to nie przynosiło ukojenia. Woda nie zmywała popełnionych grzechów. Nie chciałam już tego wszystkiego. Nie chciałam wciąż udawać, że jest w porządku, choć nie było. Płatałam się we własnych kłamstwach i we własnych myślach.

Z całej siły zacisnęłam dłonie w pięści i znów poczułam ból palca, którym kilka dni wcześniej zaopiekował się Nathaniel. Było z nim dużo lepiej, ale wciąż dawał o sobie znać. Znów myśl o Nathanielu... Mimo wolnie przekręciłam głowę i spojrzałam w miejsce, gdzie tamtego wieczoru staliśmy tak blisko siebie. Ciało przy ciele, oddech na policzkach...

Chwyliłam się za głowę i uderzyłam nią niezbyt delikatnie o płytki. To wszystko mnie przerastało. Śmianie się, kiedy w środku umierałam. Uśmiechanie się, chociaż nie miałam na to siły. Uniosłam brodę, a gorący strumień wody trafił w moją twarz. Kolejna nieudana próba oczyszczenia.

Nie chciałam już tego. Chciałam do mamy.

Kilka minut później wyszłam z kabiny. Nago podeszłam do zaparowanego lustra, wytarłam je i popatrzyłam na swoje odbicie. Woda ściekała ze mnie na jasne płytki, gdy wpatrywałam się we własne sińce pod oczami i bladą skórę. Poczułam obrzydzenie do samej siebie. Nie myślałam nad tym, co robię, po prostu chwyciłam szczotkę do włosów, zacisnęłam szczękę i się zamachnęłam. Z całej siły wbiłam jej rączkę w sam środek lustra, a przez to, że na jej końcu znajdowała się niewielka metalowa kuleczka, szkło niemal od razu pękło. Nie roztrzaskało się,

ale na całej jego powierzchni powstały pajęczki, które zniekształciły mój obraz.

Głośno odetchnęłam, zrobiło mi się nieco lepiej. Wrzuciłam szczotkę do umywalki i nie przejmując się szkodami, wyszłam z łazienki, w międzyczasie owinąwszy się ręcznikiem.

Godzinę przesiedziałam na swoim łóżku, było mi zimno, a moje włosy prawie wyschły. Nie miałam siły nawet na to, by zapalić światło, chociaż było ciemno, a wiatr targał roletami.

Spojrzałam na okno i właśnie wtedy znów to poczułam. *Ten impuls*. Zerwałam się na równe nogi i choć każdy ruch był męczarnią, zaczęłam po ciemku wyjmować kolejne ubrania. Włożyłam czarną bieliznę, a następnie tego samego koloru jeansy i białą bluzę z kapturem za dużą o kilka rozmiarów. Wskoczyłam w czarne vansy i nawet nie rozczesawszy włosów, wyszłam z pokoju. Nie wzięłam ze sobą pieniędzy ani telefonu, nie miałam niczego, po prostu szłam.

— Dziś w nocy w Culver City ulewny deszcz i burze z piorunami oraz silny wiatr. Możliwe przerwy w dostawie prądu. Radzimy pozostać w domach. — Głos prezenterki w radio nie brzmiał optymistycznie.

Theo siedział w salonie, ale przeszłam obok i nawet nie zerknęłam w jego kierunku.

— Hej! Gdzie ty idziesz?! — usłyszałam, jak szybko dźwiga się z kanapy.

— Muszę się przejść — powiedziałam, nadal idąc przed siebie.

— Victoria, zaraz będzie burza! — zawołał nerwowo. — Co się dzieje?

— Nic — odparłam, nadal na niego nie patrząc. — Pójdę do Chrisa. Posiedzę u niego.

— Chodź, zawiozę cię... — mruknął, gdy w końcu na niego spojrzałam, wyciągając włosy zza kołnierza bluzy. Jego wzrok mówił, że mam siedzieć w domu, ale ja nie mogłam. Jeszcze chwila w tym budynku, a mogłabym się udusić.

— Wróć taksówką — poinformowałam i wypadłam z domu.

Czułam się fatalnie, że tak go potraktowałam, ale potrzebowałam oddechu. *Oczyszczenia*. Objęłam się ramionami i zerknęłam na groźne niebo. Deszcz jeszcze nie padał, ale było blisko, bo zerwał się silny wiatr, który targał moimi włosami. Zrzuciwszy kaptur bluzy na głowę, bez namysłu weszłam na chodnik. Na ulicach nie widziałam żywej duszy, co

nie było dziwne na moment przed ulewą. Szłam szybko, prawie biegłam, by jak najprędzej znaleźć się daleko od domu.

Nie mogłam już patrzeć na Theo, który zawsze chciał dla mnie jak najlepiej i który niczego nie wiedział. Byłam tchórzem, a lęk i strach maskowałam sztucznym uśmiechem. Pociągałam nosem, przebiegając przez ulicę. Latarnie powoli gasły, jak zawsze podczas takiej pogody. Nie myślałam o tym, gdzie idę, moja podświadomość zadecydowała za mnie. Zaufałam jej.

Dwadzieścia minut później stałam już pod *jego* kamienicą. Dokładnie wtedy poczułam na sobie pierwsze krople deszczu.

Bez namysłu weszłam do budynku i pokonałam ciąg schodów. Nie miałam pojęcia, co robię, gdy podeszłam do dobrze mi znanych drzwi. Byłam bałaganem i potrzebowałam znaleźć się przy jednej jedynej osobie, której bliskość mi... nie przeszkadzała. Dlaczego tak było? Dlaczego tylko jego dotyk nie sprawiał, że chciało mi się płakać? Przymknęłam oczy i bezszelestnie oparłam czoło o drzwi, zaciskając szczękę. Bolały mnie kości, stawy, bolało wszystko w środku. Gdy uniosłam powieki, obraz był rozmazany, ale nadal widziałam klamkę. Patrzyłam, jak moja dłoń delikatnie na nią naciska. Może to dziwne, ale nie byłam zaskoczona, gdy okazało się, że drzwi były otwarte. Kiedy miał problemy, często zapominał o takich drobnostkach.

Pchnęłam drzwi i rozejrzałam się dookoła. W korytarzu było ciemno, a blade światła mrugały z salonu. Jeśli nie spał, zapewne mnie usłyszał, chociaż zachowywał się cicho. Weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Z beznamiętną miną ruszyłam w kierunku salonu, w którym zastałam nieciekawą widok.

Wszędzie było cicho i świeciło się zaledwie kilka lampek, telewizor był wyłączony. Obrzuciłam pomieszczenie wzrokiem, nie wierząc, że znalazłam się w mieszkaniu Sheya. Tak bardzo nie pasowało do jego pedantyzmu. Na stoliku kawowym walało się mnóstwo rzeczy, pomięty koc leżał na sofie, a na panelach zobaczyłam rozrzucone ubrania i ręczniki. Przy stole siedział Nathaniel. Opierał łokcie na blacie, a dłońmi podtrzymywał głowę, wplatając palce we włosy. Przed nim stała kryształowa karafka z bursztynowym płynem, która była do połowy pusta. Prócz tego zobaczyłam jeszcze szklanę i — ku mojemu przerażeniu — zapalniczkę oraz paczkę papierosów. Na szczęście nie

dostrzegłam w popielniczce żadnych niedopałków i nie śmierdziało dymem.

Przedemną siedział człowiek, którego znałam, ale nie potrafiłam rozpoznać. Nie tak go zapamiętałam. Nie takiego go zostawiłam.

Przez chwilę milczałam, spoglądając na niego z góry z niewzruszoną miną. Wiedziałam, że zdawał sobie sprawę z mojej obecności i czuł, jak na niego patrzę, ale nie drgnął ani o cal. Jedynie jego powoli poruszające się ramiona upewniały mnie w tym, że mam do czynienia z żywym człowiekiem, a nie z posągiem.

Miał na sobie czarne jeansy, czerwoną za dużą bluzę z kapturem, który w połowie zarzucił na głowę. Spod jego bluzy wystawała biała koszulka, a na stopach miał tego samego koloru buty Nike.

— Co ty ze sobą zrobiłeś... — wyszeptalam, ale nie było to pytanie.

Mój głos był papierowy, lekko zachrypnięty i cichy. Drażnił mi uszy, ale nie potrafiłam mówić inaczej. Bez emocji, bezbarwnie i płasko. Dokładnie tak, jak się w tamtej chwili czułam. Może to właśnie ten ton sprawił, że w końcu dostałam od niego coś więcej niż milczenie. On po prostu... zaczął się śmiać.

Jego ramiona drżały od cichego śmiechu, który wypełnił ściany mieszkania, ale to nie był miły śmiech. Nie słyszałam w nim rozbawienia, radości, zadowolenia. Z przerażeniem stwierdziłam, że nie było w nim nawet ironii i drwiny, które tak często serwował ludziom. To był przerażający śmiech przepełniony jadem i nienawiścią, głośny i chrapliwy. Jakby śmiał się w twarz swojemu największemu wrogowi, którego miał zaraz zgładzić. Tylko że Nathaniel na mnie nie patrzył, a ja nie byłam jego wrogiem. To nie był ten Shey, którego znałam. Od kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się po moim powrocie do Culver City, głupio łudziłam się, że jest taki sam. Że wszystko się zmieniło, ale nie on. Myliłam się.

Siedziało przede mną coś, co ledwo przypominało tamtego chłopaka, dla którego cztery lata wcześniej mogłabym zabić.

Powoli uniósł głowę, rozprostował dłonie i przyglądał się im przez chwilę, a następnie wbił wzrok we mnie. Moje gardło się ścisnęło, gdy popatrzyłam na niego z pogardą. Nie miałam pojęcia, skąd się we mnie wzięła, ale poznałam, że to ona. Chłopak obserwował mnie z rozbawieniem i nonszalancją. Jakby sama moja osoba go bawiła.

Jego twarz była w tragicznym stanie. Może i rany bardzo ładnie się na nim goiły, w zasadzie pozostały po nich jedynie delikatne zasinienia, ale nie o to chodziło. Pod jego oczami rozciągały się ciemne kręgi, jakby nie spał od wielu dni. Białka miał przekrwione, włosy potargane. Wyglądał źle, koszmarnie.

— Ja? — zapytał kpiąco. Jego ton sprawił, że miałam ochotę wyjść i nigdy więcej go nie spotkać. — A ty?

Jego słowa zabołały tak, jak miały zabolec. Nie był mocno pijany, raczej lekko wstawiony. Patrzył na moją twarz bez emocji, z uśmiechem, którego nie znosiłam. Z wyższością. Czy ja tak samo patrzyłam na niego? Zapewne tak, ale dlaczego? Czy nie potrafiliśmy już inaczej?

Rozejrzałam się ponownie po mieszkaniu, a mój wzrok padł na ręcznik na podłodze. Traciłam go nogą, kątem oka widząc, jak chłopak nalewa sobie bursztynowego trunku do szklanki.

— Zamierzasz się zapić na śmierć? — zapytałam oschle, z obrzydzeniem zerknąwszy na alkohol.

Shey znów się zaśmiał w ten nieprzyjemny sposób, a ja czułam, jak włoski na karku stają mi dęba.

— Nawet jeśli, to nie przychodź na pogrzeb — odparł kpiąco, upijając łyk ze szklanki. — Obejdzie się bez ciebie.

W tamtym momencie poczułam się tak, jakby dał mi w twarz.

— Nie miałam zamiaru — rzuciłam lodowatym tonem. — Jeśli dalej będziesz się tak zachowywać, to coś mi się wydaje, że niewiele osób przyjdzie.

— Więc po co tu jesteś? — zapytał, chociaż jego głos zdradzał, że niezbyt go to obchodzi.

Dobre pytanie, ale czy mogłam być szczerą?

— Chyba chciałam się przekonać, czy Parker mówił prawdę. I dalej nie wierzę.

— O, czyli teraz rozmawiacie o mnie za moimi plecami? — zapytał ironicznie, unosząc brwi. — Cudownie.

Czara goryczy się przelała. Miałam już dość jego zachowania, tego, jak traktował bliskich. Jak traktował Luke'a. Jak traktował mnie, mówiąc mi po pijaku okropne słowa, których nie pamiętał następnego dnia, a potem pierdoląc coś o jakiejś bliskości. Miałam dość tego, że traktował innych jak jebane śmieci, bo w jego życiu działa się coś, co może nie było

przyjemne i czego nie przewidział. Nawet jeśli chodziło o Severine, nie miał prawa tak się zachowywać. Moja wściekłość na niego rosła z każdą sekundą. Na to, jak się zachowywał i co mówił. Na to, że o siebie nie dbał, i na to, że widziałam, jak blisko jest autodestrukcji.

Zmrużyłam złowrogo oczy, już nawet nie kontrolując swojego ciała. Popatrzyłam na niego z nienawiścią i chyba się tego nie spodziewał, bo kpiący uśmiech spełził z jego twarzy. Teraz był przerażający i poważny, a ja nie wiedziałam, co było gorsze.

— Tak, rozmawiamy — powiedziałam. — Wiesz, dziś rozmawialiśmy. Kiedy przyjechał do mojego domu. Rozmawiałam z nim, a on mi się żalił, że już nie wie, co ma robić. Że się martwi i chce dla ciebie jak najlepiej. Rozmawialiśmy i widziałam, jak boli go to, że traktujesz go jak śmiecia, a jesteś jedną z najważniejszych osób w jego życiu. I wiesz co? Mam wyjebane na to, co aktualnie przeżywasz. Możesz pluć na mnie jadem. Mówić mi rzeczy, przez które nie mogę spać po nocach. Zachowywać się w stosunku do mnie jak ostatni chuj. Ale nie pozwolę ci tak traktować ludzi, którzy się o ciebie martwią. Nie pozwolę ci traktować tak Luke'a, bo gdy skończysz w kolejnym klubie z bandą obcych osób, które tak naprawdę mają cię gdzieś, to Luke zbierze cię pijanego z chodnika i odwiezie bezpiecznie do domu. To Luke będzie za ciebie i o ciebie walczył. Więc skończ zachowywać się jak gówniarz i zacznij szanować ludzi.

Powiedziałam to wszystko z taką pasją i zaangażowaniem, że w pewnym momencie przeraziłam samą siebie. Kiedy skończyłam, zamknęłam usta, ale nie żałowałam, choć moje zaciśnięte w dłonie pięści dygotały. Na twarzy Nathaniela nie malował się już ten głupi uśmiech, był w pełni poważny, a jego oczy na nowo nabrały barw, które składały się na tę głęboką czern.

— Mam w dupie, co o mnie myślisz, ale nie chcę, abyś przez swoje zachowanie stracił kogoś, kto się o ciebie troszczy. — Odetchnęłam głośno. — Jesteś popierdolony, masz syf w głowie, ale zasługujesz na dobro. Twoi przyjaciele są dobrzy i jeśli mają dalej przy tobie być, musisz zrozumieć, że pewne rzeczy powinno się robić inaczej. I tak, masz prawo być smutny, zły i chcieć samotności, ale nie masz prawa na nikim się przez to wyżywać.

Od czasu mojego wybuchu Nathaniel nie spuścił ze mnie wzroku ani na sekundę. Jego dłoń wciąż była zaciśnięta na szklance, ale już jej nie

uniósł. Westchnęłam i odwróciłam głowę, ponieważ intensywność jego spojrzenia była zbyt duża. W pewnym momencie na zewnątrz rozległ się głośny grzmot, a w szybę zaczęły mocniej uderzać krople deszczu.

Burza się zaczęła.

— Nie musisz od razu się zwierzać i o wszystkim mówić, ale możesz być po prostu bardziej ludzki dla tych, którzy cię kochają. Bo kiedyś możesz zostać sam. Możesz nie mieć przy sobie nikogo i żałować każdego słowa, które sprawiło, że to, co miałeś, się rozpadło.

— Może zasługuję na to, aby zostać sam?

Od razu pokręciłam głową.

— Nikt na to nie zasługuje.

Prócz mnie.

— Od zawsze taka byłeś — powiedział pustym głosem.

— Niby jaka? — zapytałam oschle, zerkając na niego kątem oka.

— Zawsze byłeś wyżej od innych — odparł cicho. — Dlatego, że zawsze troszczyłaś się o ludzi, o których nie powinnaś była się troszczyć.

Nie skomentowałam jego słów, ponieważ wiedziałam, że ma rację. Nie powinnam była się nim przejmować. Zapanowała między nami krótka cisza, aż w końcu do moich uszu ponownie dotarł jego cichy głos:

— Victoria, boisz się burzy?

Początkowo myślałam, że oprócz nas dwojga w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z tego, że te słowa wypowiedział Shey, tylko że z początku nie rozpoznałam jego głosu, ponieważ był taki... inny. Cichy, lekko zachrypnięty bas chłopaka był tym razem miękki i bez tego całego jadu, który wcześniej w nim słyszałam. Zaskoczyło mnie to, ponieważ jeszcze chwilę wcześniej odzywał się zupełnie innym tonem. Nadal mówił tak płasko i beznamiętnie, ale było w tym nieco więcej... *człowieczeństwa*.

Zdezorientowana spojrzałam w jego przekrwione oczy. Nie było w nich obrzydzenia i pogardy, znów stały się obojętne i matowe. Nie dostrzegłam w nich życia, ale nie było tam też nienawiści. Przeszło mi przez myśl, że być może w ostatnich dniach nie poprzestawał na alkoholu.

Nie rozumiałam go. Nie rozumiałam go tak bardzo, jak nie rozumiałam samej siebie. A mimo wszystko rozumiałam nas bardziej niż kogokolwiek innego.

— Dlaczego pytasz? — zapytałam zmęczonym głosem, czując, jak wszystko ze mnie uchodzi.

Nie miałam pojęcia, czy dotarło do niego to, co powiedziałam, ale liczyłam, że jednak tak. Chciałam mu przekazać, by się nie zamykał, skoro miał przy sobie tak dobre i kochane osoby.

— Gubię się, Victoria — powiedział cicho, a jego pusty, pozbawiony emocji szept sprawiał, że czułam ucisk w okolicach żeber. — I chcę się w końcu oczyścić.

Przez niemruganie moje oczy się zaszklily, a obraz zaczął mi się zamazywać. Popatrzyłam na niego z bólem, kręcąc delikatnie głową. To wiedziałam, był tak cholernie zagubiony. *Nie takiego go zostawiłam.* Nathaniel, którego pamiętałam, żył i był w stanie zdobyć każdą gwiazdę. Był popieprzony, tak, ale wołałam tamtego nierozważnego chłopaka niż tego młodego mężczyznę, który sam niszczył sobie życie.

— Wiem, Nate — wyszeptałam. — I nie, nie boję się burz.

Chłopak ponownie popatrzył na okno, za którym szalała ulewa. Ze zmarszczonymi brwiami obserwowałam, jak zastygł w miejscu, a po kilku sekundach zerwał się na równe nogi, o mało nie przewracając butelki z alkoholem. Odrzucone w tył krzesło przesunęło się ze zgrzytem po panelach, przez co się wzdrygnęłam, wciągając gwałtownie powietrze. Nathaniel z roztargnieniem rozejrzał się wokół, a potem jego wzrok padł na mnie.

Jego czarne oczy patrzyły prosto w moje. Klatka piersiowa unosiła mu się i opadała dwa razy szybciej niż zwykle. Nie miałam pojęcia, co się z nim działo, ale jego oczy nie były już tak matowe i puste, a to dało mi nadzieję.

— Victoria, chodź — rzucił nagle poważnym głosem.

Zmarszczyłam brwi.

— Co... gdzie? — zapytałam, ale nie odpowiedział, tylko ruszył w stronę korytarza, wymijając mnie. — Nathaniel! — zawołałam za nim, nie mając bladego pojęcia, co on najlepszego wyrabia.

Patrzyłam na jego szerokie plecy, gdy kierował się do drzwi wyjściowych.

— Chodź ze mną — powiedział jedynie, a jego cichy szept brzmiał jak dawniej.

Wracał. Mój Nathaniel wracał.

— Nate, na dworze jest ulewa — przypomniałam mu, ale on wydawał się tym nie przejmować. Wręcz przeciwnie, chyba właśnie dlatego chciał wyjść. — Nate, nie.

— Więc pójdę sam — oznajmił, a następnie otworzył drzwi i tyle go widziałam.

Przez dobre dziesięć sekund stałam jak wryta, zastanawiając się, co się właśnie stało. Jeszcze chwilę wcześniej rozmawiałam z nim i się kłóciliśmy, a moment później on po prostu wyszedł.

Sam. Na zewnątrz. Pijany. Podczas okropnej burzy. Kurwa.

— Nate! — wrzasnęłam i rzuciłam się w stronę wyjścia.

Wybiegłam z mieszkania i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Popędziłam po schodach w dół i prawie wypadłam z budynku na zewnątrz, czego od razu pożałowałam.

Nie żartowali z tymi potężnymi ulewami. Deszcz lał jak z cebra, przez co wszędzie zrobiło się siwo, a widoczność była słaba. Głośny szum zagłuszał wszystkie inne dźwięki i tylko na nim potrafiłam się skupić. Mimo że stałam tam kilka sekund, czułam, że jestem przemoknięta do suchej nitki. Przez nieuwagę wbiegłam prosto w kałużę na chodniku i przemoczyłam buty. Zdenerwowana rozejrzałam się wokół, aby odszukać chłopaka, który tak nagle zniknął.

Nie miałam pojęcia, co on wymyślił. Rozważałam różne opcje, a najbardziej prawdopodobną była ta, że po prostu zwariował. Naprawdę zwariował. Mrużyłam powieki, wyteżając wzrok, gdy nagle ujrzałam wysoką postać na chodniku niedaleko mnie. Nie miałam pewności, czy to rzeczywiście on, ale musiałam spróbować.

— Nate, co ty, do cholery, robisz?! — krzyknęłam, mając nadzieję, że to naprawdę on.

Podziałało, bo chłopak odwrócił się w moją stronę. On też był całkiem przemoczony.

— Chodź — powiedział nagle nieco głośniejszym głosem, aby nie zagłuszył go deszcz, a następnie ruszył chodnikiem przed siebie.

— On zwariował — wyszeptałam.

Nie potrafiłam za nim nadążyć, gdy przemierzał kolejne jardy, nawet nie odwracając się w moją stronę. Po prostu szedł i szedł, co pewien czas skręcał w jakąś uliczkę, a ja próbowałam go nie zgubić i nie utopić się przy

okazji. Trzymałam się kilkanaście kroków za nim, klnąc na ten cholerny deszcz. Byłam cała mokra, włosy kleiły mi się do czoła, a w moich butach chlupotała woda. Żadne z nas się nie odzywało, bo i tak byśmy się nie usłyszeli. Co jakiś czas się wzdrygałam, gdy niespodziewanie uderzał piorun.

Po kolejnych krętych uliczkach naprawdę miałam tego dość. Szłam za nim chyba tylko po to, aby upewnić się, że temu kretynowi nic się nie stanie. Jednak i ja miałam swoje granice. Gdy kolejny raz wpadłam w kałużę, już miałam się na niego wydrzeć i kazać mu spierdalać, ale nagle niespodziewanie się zatrzymał. Ja również to zrobiłam i rozejrzałam się dookoła. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że już dawno nie byliśmy na jego osiedlu. Staliśmy na jakiejś pieprzonej łące, z dala od jakichkolwiek bloków i domów. Jedynym źródłem światła było kilka latarni niedaleko nas przy nieznanej mi szosie.

Byliśmy na łące. W czasie burzy. Na pustej przestrzeni. Tam, gdzie często uderzały pioruny.

— Co ty wyprawiasz? — jęknęłam ze zrezygnowaniem.

Spojrzałam na chłopaka, którego twarz w końcu widziałam. Ubrania przykleiły mu się do ciała, a włosy miał, tak jak ja, przyklepione do czoła, ale w odróżnieniu ode mnie wyglądał, jakby mu to nie przeszkadzało. Z dziwną miną i głośnym oddechem zadarł głowę, by popatrzeć na niebo. Na jego twarz padały krople deszczu, jabłko Adama mu drżało, a mokre usta miał rozchylone. I kiedy tak stałam naprzeciwko, oglądając go w tej scenarii...

Nigdy nie widziałam piękniejszego obrazu.

To już nie było ładne. Tak, Nathaniel był przystojny i od zawsze tak uważałam, ale w tamtej chwili to nie było najistotniejsze. Może to sposób, w jaki strugi deszczu spływały z jego idealnej twarzy? Może to, jak woda błyszczała na jego kształtnych ustach i długich rzęsach? Jak mokre włosy przyklejały mu się do twarzy? A może po prostu to on cały, gdy stał z głośnym oddechem, patrząc wprost w ciemne niebo? Był piękny. Boże, był taki piękny.

— Nathaniel... — zaczęłam cicho, a moja złość gdzieś wyparowała.

— Lubię to — powiedział. Posłałam mu pytające spojrzenie. — Lubię, gdy mówisz do mnie moim pełnym imieniem.

Nie wiedziałam już, co myśleć. Nie wiedziałam, co tam, do cholery, robimy ani dlaczego mówił to wszystko i mieszał mi w głowie. Do tego

zaczęło się coraz bardziej błyskać i grzmieć, a on zachowywał się tak... tak irracjonalnie i nieprzewidywalnie, ale był w tym jakiś porządek. Jakby tak miało być. Chciało mi się wyć, bo to wszystko było takim bałaganem. Każde z nas miało tyle na głowie, a po prostu staliśmy na tej przeklętej łące. On patrzył w niebo, a ja patrzyłam na niego. Chciałam coś powiedzieć, ale nie dał mi dojść do głosu.

— Ciii — uciszył mnie, unosząc delikatnie dłoń, aby mnie powstrzymać.

Kolejny raz zagrzmiało, a ja ze zdziwieniem obserwowałam, jak jego usta zaczynają się poruszać, jednak żaden dźwięk się z nich nie wydostał. W szoku obserwowałam jego skupioną twarz i dopiero po chwili wyłapałam, co on właściwie robił. Liczył. Odliczał kolejno cyfry, ze skupieniem patrząc w niebo. Zmarszczyłam brwi, nie widząc w tym najmniejszego sensu, gdy nagle uderzył kolejny piorun, a ziemia zadrżała. Podskoczyłam, podczas gdy chłopak z zadowoleniem przestał liczyć, unosząc jeden kącik ust. W końcu jego wzrok spoczął na mnie. Wyglądał na usatysfakcjonowanego.

— Dwanaście — mruknął cicho.

— Nate, co ty robisz? — zapytałam, bezsilnie opuszczając ręce wzdłuż ciała.

Znów uniósł kącik ust, a następnie spojrział w niebo, wyglądając przy tym tak pięknie.

A co, jeśli Bóg rzeczywiście istnieje? Bo kto inny stworzyłby taką perfekcję?

— Nate, ja nie chcę umrzeć z powodu uderzenia pioruna — dodałam błagalnie.

— Po każdej kłótni z ojcem mama zawsze czekała na burzę — zaczął cicho, a jego jabłko Adama znów zadrżało. — Zawsze wychodziła wtedy do ogrodu i liczyła sekundy od jednego uderzenia do drugiego.

— Po co? — zapytałam, nie wiedząc, co to miało na celu.

Nathaniel wydawał się tym zafascynowany. Wyglądał jak ktoś, kto powrócił do żywych.

— Zawsze powtarzała, że jej organizm nie składa się z komórek, tylko z toksyn — powiedział znacznie ciszej, a jego oczy znów zasnuł mat. Wciąż patrzył w to cholerne niebo. — Mówiła, że deszcz przynosi jej prywatne *oczyszczenie*. Moja mama była wierząca, ale nie lubiła chodzić do spowiedzi. Zawsze przed burzą robiła sobie rachunek sumienia

i liczyła czas między uderzeniami do chwili, gdy pokrywał się z liczbą jej grzechów.

Przez dobre pół minuty analizowałam jego słowa, aby jakoś je zrozumieć, a kiedy w końcu mi się udało, zdałam sobie sprawę, że cała jego rodzina była nieźle popieprzona. W pierwszym momencie zastanawiałam się, czy się ze mnie nie naigrywa, ale potem zdałam sobie sprawę, że nie było opcji, aby wymyślić coś takiego na poczekaniu. Otwierałam i zamykałam usta, ale nie mogłam wpaść na nic sensownego, więc po prostu się poddałam, wzdychając i patrząc na tego chłopaka, u którego zmiany nastroju były równie szybkie jak u mnie.

— Przecież to nie ma sensu — mruknęłam, na co uniósł brew.

— Też zawsze jej to powtarzałem, gdy przychodziła do domu przemoczona — odparł, ale ja pokręciłam głową.

— Ale to naprawdę nie ma sensu — broniłam swego. — Bo co, jeśli ten czas nigdy nie pokryje się z liczbą grzechów?

— Też zawsze ją o to pytałem. Odpowiadała, że jeśli tak się stanie, to człowiek nie żałuje ich tak, jak powinien.

— Przepraszam, Nate, ale to jest po prostu głupie — skwitowałam, na co blade się uśmiechnął.

— Zawsze jej to powtarzałem, a ona zawsze uparcie tego broniła. — Uniósł delikatnie dłoń, po której spływały strugi deszczu. — Aż w końcu po jej pogrzebie sam przyszedłem tu pierwszy raz podczas burzy i to zrobiłem.

— Po co? — zapytałam.

Długo nie odpowiadał, patrząc na granatowe chmury. Zastanawiało mnie, czy mówił mi to wszystko pod wpływem alkoholu, czy po prostu chciał. Obstawiałam pierwszą opcję, ale po tym, co się wydarzyło tamtego dnia, niczego nie mogłam wykluczyć. Ja również nie miałam już oporów, aby pytać. Ta sytuacja była surrealistyczna.

— Bo chciałem się poczuć tak, jak ona się czuła — odparł, a jego głos był ledwie słyszalny przez szum deszczu. — Chciałem się *oczyścić*.

Nie wiedziałam dlaczego, ale te słowa zabołały mnie bardziej, niż powinny.

— Więc po to jesteś tu teraz? — zapytałam. — Aby się oczyścić?

Nathaniel znów uniósł kącik ust, wyginając wargi w najbardziej smutnym uśmiechu, jaki widziałam w całym swoim życiu.

— Nie da się oczyścić czegoś, co jest w całości zatrute.

Westchnął, a jego uśmiech zniknął. Jakby moment jego chwilowego szczęścia się skończył i miał się już nigdy nie powtórzyć. Jego twarz znów przysłonił mrok i przestał patrzeć na niebo. Po naszych ciałach spływała woda, a słowa chłopaka wisiały między nami. Nie potrafiłam spuścić wzroku z jego pięknych, pustych oczu, w których naprawdę nie było życia.

Jakby był martwy.

— Zawsze jest ich tyle samo — powiedział chłopak. — Mam dwa-naście grzechów głównych. A ty ile masz swoich?

— Jeśli miałabym czekać od jednego uderzenia do drugiego na moment, gdy liczba sekund pokryłaby się z liczbą moich złych uczynków, prawdopodobnie skończyłaby się burza — odpowiedziałam, na co chłopak przewrócił oczami, ale widziałam w kącikach jego ust blade uśmiechy.

Choć ta odpowiedź mogła wydawać się zabawna, wcale taka nie była. Wyrządziłam zbyt wiele krzywd ludziom, aby pamiętać chociaż połowę z nich.

Zastanawiałam się przez chwilę.

— Teraz też doliczyłeś do dwunastu? — upewniłam się, na co skinął głową. — Więc wychodzi na to, że ich żałujesz?

Chłopak uniósł kącik ust.

— To już rozmowa na inną okazję — bąknął cicho, a następnie włożył ręce do kieszeni swojej bluzy. — Możemy wracać.

Nawet na mnie nie spojrzał i po prostu mnie wyminął, ruszając w stronę, z której przyszliśmy. Zamiast od razu za nim pójść, westchnęłam i zerknęłam na niemal czarne niebo. Przecięła je kolejna błyskawica, tworząc ładny zygzak, a ja się zastanawiałam, czy jednak nie było odrobiny nadziei w tym szaleństwie. Byłam niewierząca, nie uznawałam spowiedzi ani niczego w ten deseń. Więc może to było rozwiązanie? Liczenie pie-przonych sekund podczas burzy? Oczyszczanie się wodą wprost z nieba?

Ale to był tylko deszcz, nie Boże łzy, a Nathaniel miał rację. Nie dało się oczyścić czegoś, co było już zatrute. Choć można było próbować.

Nie warto było natomiast oczyszczać czegoś, co samo w sobie było trucizną.

Odwróciłam się i ruszyłam za chłopakiem. Droga powrotna minęła mi zdecydowanie szybciej niż ta na łąkę. Znów szłam kilka jardów za Nathanielem, w ciszy nasłuchując uderzeń piorunów. Już nawet nie

przeszkadzało mi to, jak mokra byłam. Nie przeszkadzało mi nic. Po kilku minutach znaleźliśmy się pod jego kamienicą. Chłopak poczekał, aż do niego dołączę, a potem otworzył drzwi i mi je przytrzymał, abym weszła pierwsza.

Nie wiedziałam, po co ja w ogóle wracam do jego mieszkania, a to, że dla niego było to chyba oczywiste, był dla mnie zaskoczeniem. Nie wiedziałam nawet, po co tam przyszłam. Tamtej nocy dosłownie nic nie miało sensu.

Woda ściekała z nas strumieniami, gdy wchodziliśmy po schodach, a następnie wkroczyliśmy do mieszkania. Od razu ruszyłam w stronę łazienki, zostawiając za sobą mokre ślady. Nathaniel w tym czasie zniknął w salonie i nawet nie chciałam wiedzieć, jaki bałagan tam powstanie. Zapaliłam światło i weszłam do jasnego pomieszczenia. Czułam, jakbym miała na sobie zbroję, więc jak najszybciej ściągnęłam z siebie bluzę. Kiedy ją zdjęłam, zaczęłam wyciskać materiał nad umywalką. Po chwili się poddałam, bo i tak nie mogłam jej osuszyć, więc po prostu wrzuciłam ją do wanny. Nie chciało mi się z tym walczyć, tak samo jak z mokrymi włosami, które opadły mi na ramiona.

Stałam w tej łazience w samym staniku, przemokniętych spodniach i butach, w których pływałam. Znalazłam się w takim momencie swojego życia, że nawet mi to nie przeszkadzało. Nie myślałam o tym, czy Nathaniel mnie zobaczy, czy nie. Nawet jeśli miałby mnie taką widzieć, to jakoś mi to nie przeszkadzało.

— Chcesz ręcznik? — usłyszałam cichy głos za plecami.

Nathaniel stał w progu łazienki.

Zerknęłam w bok, ale nie popatrzyłam na niego. Pokręciłam głową, a następnie mój wzrok padł na mokre płytki. Byłam tak wyczerpana, że bez słowa podeszłam do wanny, odwróciłam się do niej plecami i pozwoli osunąć się na podłogę. Usiadłam na niej i wyprostowałam nogi, opierając się o emaliowaną powierzchnię i odchylając głowę. Czułam na sobie spojrzenie Sheya, ale nie wywołało ono we mnie dyskomfortu. Może powinno, jednak cała ta sytuacja nie pozwoliła mi na to. Bo my już tacy byliśmy. Po raz pierwszy od dawna w stu procentach czułam się tak, jakby w końcu nikt mnie nie oceniał. Jakbym nie musiała udawać.

Nie walczyłam już z tym, że moje ciało akceptuje jego bliskość. Może to przez przeszłość i wspólnie spędzone chwile? A może przez to, że on

był pierwszą osobą, która pokazała mi znaczenie tego słowa, dokładnie tak jak ja jemu?

Nathaniel chyba poczuł to samo, bo wszedł głębiej do łazienki. Założyłam ręce na piersi i przekręciłam głowę w jego stronę, obserwując, jak ściąga przemoczoną bluzę i koszulkę. Pozostał jedynie w spodniach i butach. Nawet nie wyciskał bluzy, po prostu wrzucił ją do wanny, tak jak ja wcześniej swoją. Zaczesał mokre włosy do tyłu, a ja patrzyłam na jego idealny tors. Czarny tatuaż odznaczał się na jego ręce. Byłam ciekawa, skąd się wziął, ale nie miałam zamiaru pytać. Chłopak w ciszy usiadł naprzeciw mnie, oparł się o pralkę i również wyciągnął swoje długie nogi, które wylądowały obok moich. Z westchnieniem odchylił głowę, przymykając oczy, a ja zrobiłam to samo.

Nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym opisać wagi tej chwili. Tego, jak intymne to było, chociaż nic takiego się nie działo. Tkwiła w tym jakaś magia. Światła w pomieszczeniu były słabe i blade, przez co i nasze ciała tak wyglądały. Wokół nas potworzyły się kałuże, ale mieliśmy to gdzieś. Nasze klatki piersiowe powoli unosiły się i opadały. Milczeliśmy w błogiej ciszy. Jakby to właśnie było potrzebne, jakby ta chwila oczyściła nas bardziej niż ten pieprzony deszcz. Kiedy mokrzy i zmęczeni siedzieliśmy naprzeciw siebie w łazience Nathaniela, mając syf w głowach i w życiu.

— Pogubiłem się.

Uniosłam powieki, słysząc jego szept.

Wciąż siedział na swoim miejscu, jednak jego wzrok był czujny. Wpatrywał się w jakiś punkt przed sobą, a na jego twarzy nie malowało się nic prócz chłodu i pustki. Mimo to jego cichy, zachrypnięty głos zdradził to, co najważniejsze.

Kolejny mur runął.

Milczałam, nie chcąc naciskać. Nie mogłam tego zepsuć, bo on nigdy się nie zwierzał. Był osobą, która chowała się ze swoimi problemami. Dawniej pewne rzeczy wyciągałam z niego siłą, ponieważ wiedziałam, że wyrzucenie z siebie zmartwień jest dobre. Powiedziałam mu, że zawsze go wysłucham, i może to miał być ten moment. Chciałam dać mu czas, więc siedziałam na swoim miejscu bez słowa, patrząc na jego piękną twarz.

Pierwszy raz od dawna nie czułam niepokoju.

— Nie wiem, co mam robić, Clark. — Przełknął ślinę, a jego głos był przerażająco zimny i pusty.

— Co się dzieje, Nate? — wyszeptałam cicho, mimowolnie patrząc na niego z troską.

Patrzyłam tak, choć nie chciałam. Nie chciałam być taka opiekuńcza. Ale to zawsze wygrywało.

— Wszystko było poukładane. Spokojne — zaczął beznamiętnie, a jego mina się nie zmieniła. — Po twoim wyjeździe ogarnąłem swoje życie. Nie chciałem wyrzucać sobie na starość, że przez własną głupotę zrezygnowałem z relacji z rodzonym bratem, więc ściągnąłem go do Culver City. Załatwiłem mu szkołę, wyjaśniłem sytuację z rodzicami, powiedziałem, że oboje nie żyją, bo nie chcę, aby pytał o ojca. Wydał się szczęśliwy, a ja w końcu poczułem, że mam przy sobie cząstkę mamy — kontynuował, a mnie coraz trudniej było tego słuchać. Był tak okropnie zmęczony. — Ciesz się, że tu wrócił, a ja chcę być dla niego lepszy. Zrezygnowałem z nielegalnego syfu, miałem się ożenić. Miałem już nie wrócić do swojego starego świata, w którym się wychowałem. Nie chciałem więcej patrzeć na cierpienie ludzi i sprawiać im bólu. Nie chciałem wstawać rano z myślą, że ktoś zabije moich najbliższych, jeśli czegoś dla niego nie zrobię. Chciałem żyć spokojnie, bez obawy o ludzi, na których mi zależy. Z dobrą pracą, planami i tym całym gównem.

Po tych słowach uniósł wzrok i utkwił go we mnie. Pierwszy raz wyglądał tak... krucho. Był takim bałaganem.

— Tęsknisz za nią? — zapytałam, a oczekiwanie na odpowiedź rozrywało mi umysł i serce. — Jeśli tęsknisz, powinieneś o nią walczyć. Jeśli sprawiała, że byłeś szczęśliwy, to tylko to się liczy. Bo zasługujesz na szczęście jak nikt inny. Zasługujesz na to, by kochać i być kochanym.

I chociaż na myśl o nich razem chciałam wrywać sobie włosy z głowy, to jeśliby go to uszczęśliwiło, mogłabym być świadkiem na ich ślubie. Bo on był zagubiony, był jednym wielkim znakiem zapytania, ale był dobry. Nieco porywczy i zamknięty w sobie, ale dobry. Spędziłam z nim najlepszy rok swojego życia. Może nie znałam go perfekcyjnie, ale znałam go wystarczająco. Miał tyle pięknych zalet. Nieważne, ile razy powiedziałby mi coś, co doprowadziłoby mnie do płaczu. Ile razy by mnie odepchnął i zamknął się w sobie. Ile razy miałabym go dość i krzyczałabym, że go nienawidzę. Po wszystkim i tak wrócilibyśmy do punktu wyjścia.

Po moich słowach Nathaniel chwilę się zastanawiał, a następnie westchnął głośno, patrząc gdzieś w bok.

— Ja nawet nie wiem, czy w ogóle chciałem tego ślubu — powiedział w końcu.

On... *co?* Poczułam się zupełnie dezorientowana.

— Więc o co chodzi? — zapytałam.

Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, jakby walczył sam ze sobą, by nic nie mówić. Ale byliśmy na to zbyt zmęczeni, a ja widziałam w jego oczach porażkę. Westchnął i przetarł dłońmi oczy.

— Charlie nigdy się z nią nie dogadywał — zaczął. — Jest podobny do mnie, ale jeszcze bardziej introwertyczny. Trudno nawiązuje mu się nowe znajomości, a Severine jest otwarta i chce robić wszystko szybko. Gdy zaczęliśmy się spotykać, nie dała mu czasu na to, aby się do niej przyzwyczaił, tylko traktowała go tak, jakby znali się od lat. Często dochodziło między nimi do kłótni i nie wytrzymałem już tego, bo chciałem spokoju.

— To dlatego Charlie uciekał? — dopytałam, a Nathaniel skinął głową.

— Lubi być sam, potrzebuje tego, aby przemyśleć pewne rzeczy. — Westchnął i znów ułożył dłonie na udach. — Zazwyczaj starałem się jakoś łagodzić ich spięcia, ale ostatnio Severine mi zarzuciła, że zawsze stoję za nim murem, i się pokłóciliśmy. Powiedziałem jej, co o tym myślę, i tak to poszło. I znowu wszystko się zepsuło — odparł, a potem zacisnął szczękę. Jego piękne oczy zaśniły jak dwa czarne onyksy. — A potem ta walka, która wytrąciła mnie z równowagi, choć myślałem, że mam to pod kontrolą. Znowu wszystko się miesza i sypie, a mnie nawet nie chce się tego ogarniać. Gdy już coś zaczyna się układać, po chwili musi się spieprzyć. Od zawsze tak jest. Od kiedy byłem gówniarzem. Przez ojca nigdy nie było w naszym domu równowagi. Albo było zajebiście dobrze, albo zajebiście źle.

Znowu skrzyżowaliśmy spojrzenia. Był tak bardzo zmęczony. Oboje byliśmy, gdy siedzieliśmy w tej pieprzonej łaźnicy i rozmawialiśmy o czymś, o czym nie porozmawialibyśmy z nikim innym. Bo tak już było. To było *nasze*. Intymne, osobiste i tak bardzo potrzebne. W końcu nie graliśmy.

— Dlatego nie chcę, aby Charlie teraz wracał. Muszę jakoś to sobie ułożyć — wyjaśnił, ale w jego oczach widziałam, że to nie wszystko, o czym chciał mi powiedzieć.

— Coś jeszcze cię martwi — mruknęłam i skrzyżowałam z nim spojrzenie. — Wiem to.

Oczywiście, że miałam rację.

Nathaniel westchnął ciężko. Cieszyłam się, że chce ze mną porozmawiać. Nie gadał ani z Lukiem, ani z Jasmine, więc musiało go to męczyć.

— Walczyłem, a obiecałem, że dopóki Charlie jest w Culver City, nie wrócę do tego. Przysiągłem sobie, że zrobię wszystko, by on nie przeszedł przez to samo gówno co ja, i nie pozwolę mu dorosnąć za szybko — mruknął. Widziałam po jego zaciętej minie, jak bardzo siebie nienawidzi za to, że złamał tę przysięgę. — Ale po spotkaniu z Vincentem zrozumiałem, że nie uwolniłem się od tego całkowicie. Ktoś mnie wykupił i kto wie, czy nie będzie czegoś ode mnie chciał. Przez te lata zachowywałem się tak, jakby to było za mną, ale Vincent mi uświadomił, że nie jest. Nie mogę narażać Charliego. Chcę poznać prawdę. Nie dam rady być znowu czyjąś własnością.

Wtedy zrozumiałam, dlaczego tak łatwo się zgodził na nasz plan. Chciał chronić osobę, która była mu bliska. Jak zawsze.

— Już nigdy tak nie będzie — obiecałam mu.

Może były to słowa rzucone na wiatr i nie miały większej wagi, ale w tamtej chwili, siedząc w tej cholernej łazience, poprzysięgłam sobie, że zrobię wszystko, aby spełnić tę obietnicę.

Nathaniel uniósł blado kącik ust i spojrzał na mnie nieodgadzionym wzrokiem.

— Nie chcę, żeby zaczął się martwić. Charlie jest wrażliwy i od zawsze ma problemy z zaufaniem. Dlatego na początku nie rozumiałem, dlaczego tak szybko zaufał tobie. Pytałem go o to, ale on powiedział, że po prostu tak jest. — Uniósł kącik ust, na co i ja się słabo uśmiechnęłam.

Miło było to słyszeć i poczułam się dobrze przez wzmiankę o tym, że rozmawiał o mnie ze swoim bratem, bo to oznaczało, że... że o mnie myślał.

— I ja wiem dlaczego.

— Dlaczego? — zapytałam szczerze zaciekawiona.

— Masz w sobie coś, co przyciąga ludzi. — Wzruszył ramionami.

Nieco speszyły mnie jego słowa. Nie wiedziałam, że tak o mnie myśli.

Czy naprawdę przyciągałam ludzi? Przez ostatnie lata myślałam, że wręcz przeciwnie...

— Ja nie mam już siły, by kolejny raz starać się to wszystko naprawić — wyszeptał, zaciskając usta w wąską linię. — Jestem zmęczony, Victoria. Bardzo zmęczony. I z każdym dniem, odkąd spotkaliśmy Vincenta, uświadamiam sobie bardziej, że mogę nigdy nie wydostać się z tego pierdolonego świata. Że już na zawsze będę tam należeć, a ja tego nie chcę. Nie chcę krzywdzić ludzi.

Nawet nie wiedziałam, jak to się stało, że samotna łza spłynęła po moim policzku. Nie kontrolowałam tego. Niewiele myśląc, podparłam się rękami o zimne kafelki, a następnie przesunęłam się tak, by sięść bliżej Nathaniela, i wyciągnęłam nogi tuż obok jego nóg. Może nie powinnam była tego robić, ale w tamtym momencie to nie miało znaczenia.

Nasze ramiona się zetknęły, kiedy przysunęłam się bliżej. Moje zimne, a jego rozgrzane. Ten kontrast był uderzający. Nie patrzyłam na niego, on nie patrzył na mnie, bo to nie było potrzebne. Pociągnęłam nosem i położyłam głowę na jego barku, a w tym samym momencie on oparł swoją o moją. Ten gest był tak naturalny, jakbyśmy mieli to wyćwiczone do perfekcji. Czułam jego gorącą skórę oraz ciche bicie serca i wiedziałam, że on słyszy moje. Wdychałam jego kojący zapach, który kojarzył mi się z bezpieczeństwem. Czułam delikatny dotyk jego policzka na czubku swojej głowy i oddech na swoim czole.

To było takie dobre i takie niewłaściwe. Chciałam uratować go od autodestrukcji i nie zauważyłam, że sama jestem jej bliska.

— Poradzisz sobie i nic się nie stanie Charliemu — powiedziałam pewna swoich słów.

— A co, jeśli nie? Zobacz, jaki jestem popieprzony, i mnie znienawidzi? — mruknął równie cicho.

— Kocha cię nad życie. Odwiedził mnie w dniu festynu i poprosił, abym poprawiła ci humor.

Moje słowa musiały go zaskoczyć, bo poczułam, jak się spina. To mnie jednak nie zraziło, dalej siedziałam w tej samej pozycji.

— To dlatego wtedy przyjechałaś? — zapytał. Jego ton stał się trochę ostrzejszy.

— Tak, to był główny powód. — Zachowałam spokój. — Ale potem byłam tam z tobą, bo chciałam.

I nagle, jak za dotknięciem magicznej różdżki, jego ciało znów się rozluźniło. Miałam ochotę się roześmiać, bo czy to naprawdę coś dla niego znaczyło? Może więcej, niż pokazywał?

— Też jestem zmęczona — wyszeptalam po chwili. — Zmęczona ciągłym udawaniem, że jest okej.

— Ktoś się na to nabiera? — zażartował, a ja poczułam, że delikatnie się uśmiecha, przez co również uniosłam kącik ust.

— Wielu ludzi — odparłam.

— Cóż, może w pewnym momencie i my sami w to uwierzymy — mruknął, na co nie odpowiedziałam.

Nathaniel sięgnął do kieszeni spodni. Nie zmieniając pozycji, uważnie obserwowałam, jak wyciąga z niej paczkę papierosów i zapalniczkę. Te same, które leżały na stole w salonie. Papierosy nie były przemoknięte, co mnie zdziwiło. Gdyby zabrał je ze sobą, nie byłoby opcji, aby przetrwały. To oznaczało, że wziął je ze stołu po tym, jak wróciliśmy. Kiedy nad tym myślałam, wyciągnął przed siebie rękę i oboje w ciszy przyglądaliśmy się opakowaniu.

— Po co ci one, skoro nie palisz? — zapytałam.

— Od jakiegoś miesiąca walczę ze sobą codziennie, aby nie zapalić — mruknął cicho. Jego ton był dziwny, jakby się nad czymś poważnie zastanawiał. — I nie wiem, czy wciąż mi się chce.

— Nate. Zastanów się dwa razy.

Zapewne powinnam była zrobić coś więcej, wyrwać mu paczkę, a następnie splukać ją w ubikacji, ale nie mogłam. Dotarło do mnie, że to tylko jego decyzja. W jednej chwili mógł zaprzepaścić trzy lata, ale nie mogłam za niego wybrać, nie po tej rozmowie. Bez słowa obserwowałam więc, jak otwiera paczkę i wyciąga z niej jedną fajkę. Obracał ją między palcami przez dobrą minutę. Do końca miałam nadzieję, że jednak nie zapali.

Ale ta nadzieja zgasła, gdy wsadził papierosa pomiędzy wargi, a następnie odpalił go zapalniczką.

Charakterystyczny zapach wypełnił moje nozdrza. Usłyszałam, jak chłopak mocno się zaciągnął i zatrzymał nikotynę w płucach najdłużej, jak się dało. Jak narkoman po odwyku, który znów wziął działkę. Powoli

mrużąc, czując, jak jego mięśnie rozluźniają się jeszcze bardziej, a pomieszczenie wypełnia dym. Może powinnam była przekonywać go, by przestał, ale w tamtej chwili chciałam jedynie, by zrobił to, na co miał ochotę. Nawet jeśli było to złe i szkodliwe.

— Właśnie zmarnowałeś trzy lata niepalenia — bąknęłam, gdy wyciągnął dłoń z fajką w moją stronę. Bez wahania chwyciłam ją i się zaciągnęłam.

— I mam to w dupie — odparł z zabójczą szczerością, na co uśmiechnęłam się lekko i skończyłam papierosa.

Nathaniel odpałał już drugiego.

Tak spędziliśmy następną godzinę, wypalając kolejne papierosy, milcząc i po prostu siedząc obok siebie. Nie odsunęliśmy się i było to w pewnym sensie piękne. Słabe światło, nasze półnagie ciała, kłęby dymu i zbyt wiele papierosów, z których popiół strzepywaliśmy na podłogę. Choćbym chciała żałować, nie mogłabym. Siedziałam w ciszy, paznokciem rysując wzorki na przedramieniu Nathaniela. Nagle poczułam, że jego głowa zrobiła się ciężka, a oddech się wyrównał. Zrozumiałam, że zasnął.

Jak najostrożniej odsunęłam się od niego, uważając, aby się nie obudził. Uniosłam wzrok na jego twarz. Powieki miał zamknięte, usta lekko rozchylone. Wyglądał przepięknie, tak spokojnie i chłopcę, a ja patrzyłam na niego zdecydowanie o kilka sekund za długo. Delikatnie odgarnęłam mu z czoła wilgotny kosmyk włosów i poprawiłam jego głowę, aby wygodniej opierał się o pralkę. Cicho przykucnęłam i ostatni raz zerknęłam na jego twarz. Przygryzłam policzek i niewiele myśląc, nachyliłam się w jego stronę, przymykając oczy.

Wtedy moje wargi spoczęły na jego wargach.

To było jak muśnięcie skrzydeł motyla. Prawie nie dotknęłam jego ust, ale poczułam ich ciepło oraz przyjemną fakturę. To nie był pocałunek, nie było w tym niczego romantycznego. Po prostu przyłożyłam usta do ust Nathaniela, a potem szybko się odsunęłam, aby nie pozwolić sobie na za dużo. Już i tak zrobiłam za wiele. Dalej spał. Przejechałam opuszką palca po jego policzku i wstałam. Z błędym uśmiechem popatrzyłam na niego z góry, wyciągając swoją bluzę z wanny. Na palcach wyszłam z łazienki, a następnie podeszłam do drzwi wyjściowych, w międzyczasie wkładając mokrą bluzę, która była nieprzyjemnie zim-

na. Wysłałam z jego mieszkania, nie zerknąwszy ani razu za siebie. Nie mogłam patrzeć za siebie.

Bo może kolejny mur runął, ale było między nami jeszcze sto tysięcy następnych.

Wsadziłam ręce do kieszeni bluzy, zesłałam po schodach i wysłałam z klatki. Na zewnątrz odetchnęłam, napawając się świeżym powietrzem. Deszcz już nie padał, ale wszystko tak pięknie nim pachniało. Przymknęłam powieki, zaciągając się tą wonią.

I wtedy to się stało.

Najpierw poczułam czyjaś dłoń na ustach, a następnie ktoś chwycił mnie w talii. Przerazona rozszerzyłam oczy. Próbowałam krzyczeć, ale moje wrzaski zagłuszała ręka napastnika na moich wargach. Jak oszalała zaczęłam się wyrывać, szarpiąc się na wszystkie strony, ale niewiele to dało, ponieważ osoba za mną była dużo silniejsza. Poczułam adrenalinę, która uciszyła strach. Jedyne, co w tamtej chwili się liczyło, to ucieczka i ratowanie siebie. Jak narwana walczyłam i w pewnym momencie ugryzłam w dłoń osobę za sobą. Męski głos przeklął szpetnie, po czym ktoś chwycił mnie mocniej. Z każdym kolejnym ruchem opadałam z sił. Zaczęłam panikować, tracąc zdolność logicznego myślenia.

Gdy po chwili poczułam, jak drugi napastnik łapie moje nogi, wspomagając tego za mną, zrozumiałam, że to koniec. Chociaż się szarpałam, łąkałam i wyrывałam, zdzierając gardło bezsensownym krzykiem, którego i tak nikt nie mógł usłyszeć, to nic nie dało. Było ciemno, a w pobliżu nie widziałam żywej duszy. Mężczyźni zaczęli prowadzić mnie w stronę czarnego SUV-a, a ja zdałam sobie sprawę z tego, że już po wszystkim.

Jeden z napastników otworzył tylne drzwi. Moje nogi znów dotknęły ziemi, a potem zaczęli mnie wpychać do środka. Ostatkiem sił zaparłam się dłońmi, ale byli silniejsi. Wcisnęli mnie do auta i ekspresowo zatrzasnęli za mną drzwi. Zaczęłam głośno się drzeć, waląc dłońią w przyciemnioną szybę i szarpiąc za klamkę. Wszystko na nic, auto było zamknięte. Żołądek podszedł mi do gardła, a obraz przed moimi oczami zaczął się zamazywać. Cała się trzęsłam, wciąż wrzeszcząc.

— Spokojnie, Victorio.

Wzdrygnęłam się i odwróciłam w stronę głosu. Dopiero wtedy się zorientowałam, że w samochodzie jest jeszcze jedna osoba. Z przerażeniem i szybkim oddechem popatrzyłam na twarz Brooklyna White'a,

który ze spokojem obserwował swoje paznokcie, siedząc na miejscu obok mnie. A kiedy uniósł głowę i posłał mi przerażające spojrzenie, dotarło do mnie, że jest źle.

— Teraz odpowiesz mi na kilka pytań, a potem zdecyduję, czy cię zabić, czy może jednak nie.

Wiedziałam, że z własnej woli władowałam się w gówno.

Wiedza to dar

Nigdy się nie zastanawiałam, co czuje człowiek w takim momencie. W końcu czemu miałabym? Może moje życie było niespokojne, pełne niespodzianek i szalone, ale dlaczego miałabym się zastanawiać, co poczuję, widząc lufę pistoletu tuż przy swojej skroni? Najgorsza w tym wszystkim była świadomość sytuacji. Nie można tego przewidzieć, nie można się na to odpowiednio przygotować. I gdy patrzysz na osobę, która trzyma palec na spuście i decyduje o twoim życiu, zastanawiasz się. W twojej głowie jest jedno pytanie. Nie ma wielkich podróży po wspomnieniach. Nie ma heroicznego planu. Nie ma miliona myśli. Pozostaje tylko to jedno pytanie.

Jeśli umrę, co czeka mnie po drugiej stronie?

Przeżona patrzyłam na profil Brooklyna, który ze spokojem przyglądał się mojej twarzy. Wydawał się aż nadto zrelaksowany, w przeciwieństwie do mnie. Oddzielało nas tylko jedno siedzenie, a ja starałam się maksymalnie od niego odsunąć, więc wciskałam się plecami w zamknięte drzwi. Palce jednej dłoni zaciskałam na zagłówku siedzenia pasażera, a drugą ręką szarpałam się z klamką, mając nadzieję, że samochód magicznie się otworzy. Bezskutecznie. Byłam mokra i było mi zimno, ale w tamtej chwili nie myślałam o niczym prócz tego, jak się stamtąd wydostać.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Bałam się wydobyć z siebie chociażby słowo, aby nie sprowokować mężczyzny. White nie wyglądał jednak, jakby miał zaatakować. Przypominał dzikie zwierzę, które czeka, osaczając i obserwując swoją ofiarę. Chciało mi się wyć, ale desperacko próbowałam udawać odważną. Wzdrygnęłam się, kiedy Brooklyn

w końcu westchnął, a następnie uniósł głowę. Światło w aucie słabo się jarzyło, rzucając bladą poświatę na skupioną twarz mężczyzny. Automatycznie wcisnęłam się jeszcze bardziej w drzwi.

— Widzisz, Victoria — zaczął w końcu White, a jego głos był tak samo przerażający jak jego postawa. — Zawiodłaś mnie — wyrzucił mi, przesuając wzrokiem po wnętrzu auta, podczas gdy ja patrzyłam na niego wielkimi oczami.

Nie miałam odwagi, aby chociaż odwrócić się w stronę szyby i zobaczyć, czy może na ulicy nie ma kogoś, kto mógłby mi pomóc. Całą uwagę skupiłam na mężczyźnie, by wiedział, że go słucham. Bałam się być nieposlušna. Jego ludzie dalej stali obok samochodu, żaden z nich nie wsiadł.

— A wiesz, dlaczego mnie zawiodłaś? — zapytał z błyskiem w tych przerażających oczach.

Moje gardło paliło i było wysuszone. Nie potrafiłam odpowiedzieć, cudem zmusiłam się do tego, by pokręcić głową. Wciągnęłam gwałtownie powietrze, gdy mężczyzna raptownie się do mnie zbliżył, opierając dłoń na zagłówku obok mnie. Z całej siły zacisnęłam zęby, aby nie krzyknąć. Poczulałam jego oddech na swoim policzku, zapach jego wody kolońskiej, marihuany i wzrok, który prześlizgiwał się po mojej twarzy. Zacisnęłam z całej siły powieki, bo bałam się na niego patrzeć. Bałam się być blisko niego.

— Bo uważasz mnie za idiotę — warknął cicho, a ja poczułam w ustach gorzkawy smak żółci. — Dlaczego uważasz mnie za idiotę?

Byłam zbyt przerażona, aby odpowiedzieć, więc tylko na niego spojrzałam, co chyba niezbyt mu się spodobało. Jego zielone oczy pociemniały, a zmarszczki wokół nich wyraźnie się pogłębiły.

— Zadałem ci pytanie! — huknął twardym głosem, na co ze strachem ponownie zacisnęłam powieki. Byłam niemal pewna, że zaraz coś mi zrobi. — Odpowiedz mi — rozkazał nieco ciszej i spokojniej, ale to nie sprawiło, że było mi lepiej.

— Ja... Nie, ja... — wychrypiałam cienkim głosem, a język plątał mi się tak, jak myśli. Nie potrafiłam się skupić. Myślałam jedynie o tym, że zaraz stanie mi się krzywda, a w mojej głowie roilo się od czarnych scenariuszy.

— Naprawdę myślałaś, że nie dowiem się o twoich kłamstwach? — zapytał z pogardą.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy poczułam, że odsuwa się ode mnie i powraca do poprzedniej pozycji. Ten ruch sprawił, że otworzyłam oczy. Brooklyn nerwowo przygładził włosy, westchnął ciężko, a następnie znów wbił we mnie wzrok.

— Dlaczego mnie okłamałaś, Victorio? — wycedził oschłym tonem.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie miałam pojęcia, o czym dokładnie mówi, więc postanowiłam milczeć i dać mu skończyć. W takich sytuacjach lepiej było poczekać, żeby przez przypadek nie chlapanąć czegoś, co mogłoby mnie zaprowadzić do grobu. I chociaż mój mózg działał na najwyższych obrotach, a ciało było sparaliżowane przez strach, uważnie patrzyłam White'owi w oczy, starając się jakoś z tego wybrnąć i nie wkopać się jeszcze bardziej.

— Myślałaś, że nie dowiem się o tym, że spotykasz się z Sheyem? Mam wielu znajomych. Liczyłaś, że nikt mi nie powie o twoich spotkaniach z nim i jego przyjaciółmi w różnych miejscach? — parsknął, a po chwili na jego twarzy zagościła pełna powaga. Znów nachylił się w moją stronę, jednak tym razem nie tak gwałtownie jak poprzednio. — Wiem, co się działo. Wiem, że wyjechałaś z Culver City w tym samym roku, gdy Nathaniel zrezygnował z walk. I nagle, po twoim przyjeździe, znów wszedł na ring. A ja jakimś cudem spotkałem ciebie. Twierdzisz, że nie macie już kontaktu, choć kilka dni wcześniej widziało was razem tylu ludzi. A teraz wychodzisz z jego mieszkania — przerwał na chwilę, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał. — Więc powstaje pytanie... czy jest jakiś konkretny powód, dla którego mnie okłamałaś?

Przełknęłam ślinę, bo Brooklyn zapędził mnie w kozi róg. Mogłam brnąć dalej w kłamstwa, ale wiedziałam, że to nie przejdzie. Mimo to postanowiłam spróbować. Odetchnęłam cicho, myśląc nad tym, jak ubrać w słowa to, co chciałam mu przekazać.

— Cóż, chciałam... odnowić kontakt — mruknęłam zachrypniętym głosem, patrząc mu prosto w oczy.

Nie zadziało.

— Nie kłam — skarcił mnie i widziałam, że go to rozzłościło, więc pokornie spuściłam wzrok. — Nie jestem głupi. Nigdy mnie nie lubiłaś,

a zaskakująco szybko zgodziłaś się na kolację ze mną. Wygląda to tak, jakbyś mnie szukała. Po co?

To był mój koniec, wiedziałam to. Nie było sensu więcej kłamać, miał mnie, więc nadszedł moment, by zacząć realizować mój własny plan. Byłam świadoma, że prędzej czy później ta chwila nadejdzie, ale i tak nie czułam się na nią gotowa. Chciałam porozmawiać z nim na tej przeklętej kolacji, z której mogłam nie wyjść w jednym kawałku, i uspokajałam się, że mam jeszcze trochę czasu. Zamierzałam go spędzić z Theo...

Brooklyn znów delikatnie się pochylił, wpatrując się we mnie. Skupiłam się na wyblakłym tatuażu węża pod jego lewym okiem. W tamtej chwili White przypominał boa dusiciela, który owijał się wokół mojego ciała z każdą sekundą coraz mocniej.

— Dlaczego wróciłaś do Culver City? — wyszeptał.

Tylko ode mnie zależało, jak potoczy się cała gra. Przełącznik znów zadziałał, a w mojej głowie pojawiło się to jedno pytanie, przez które robiłam większość głupich rzeczy. *Niby co masz do stracenia?* Poczułam, jak moje ciało lekko się rozluźnia, choć nadal pozostaje czujne. Nie wciskałam się już tak mocno w drzwi auta, nadal jednak zachowywałam dystans. Na mojej twarzy już nie było lęku, teraz moja mina była beznamiętna. Ściągnęłam usta, przejeżdżając językiem po zębach.

— A dlaczego ty wróciłeś? — zapytałam nagle, odbijając piłeczkę, co wyraźnie mu się nie spodobało.

Poczułam, że się spina.

— Nie graj w to ze mną, bo nie jestem cierpliwym człowiekiem — warknął.

Przeklełam samą siebie. Brooklyn był niebezpieczny, a moja postawa go drażniła. Lekko mnie to otrzeźwiło.

— Wróciłeś, bo chciałeś zobaczyć walkę Nate'a — powiedziałam szybko i przełknęłam ślinę.

Mimo że jego twarz pozostała niewzruszona, widziałam w jego oczach kalejdoskop niebezpiecznych emocji.

— Wróciłeś, bo chciałam, abys wrócił. — Westchnęłam, decydując się na ostateczny cios. — Wróciłeś, bo Vincent tego chciał.

Kiedy wypowiedziałam to imię, Brooklyn zastygł w bezruchu, jakby ktoś go właśnie postrzelił. Nie znałam go zbyt dobrze. Ba! Nie znałam go wcale. Był koszmarem z przeszłości, który wciąż mnie prześladował.

Prócz tego nie łączyło nas nic, ale jedno mogłam o nim powiedzieć — wydawał się człowiekiem, którego nie dało się powstrzymać. W tamtym momencie w jego zielonych oczach ujrzałam coś, czego nie widziałam w nich nigdy wcześniej. Strach, a do tego milion innych emocji, które kotłowały się z prędkością światła. Nie spuszczając ze mnie wzroku, gwałtownie się odsunął. Z sekundy na sekundę jego skóra bladła coraz bardziej, w kilka chwil zmienił się w innego człowieka.

Jego szok nie trwał jednak długo. Nawet nie zdążyłam odetchnąć, a on już do mnie doskoczył. Palce jednej dłoni boleśnie wbił w moje policzki, które mocno chwycił, unieruchamiając mi głowę, a drugą zgniatał moje lewe przedramię. Jęknęłam cicho z bólu, zbyt zszokowana, aby zrozumieć, co się dzieje. Widziałam każdą jego zmarszczkę i bliznę na nierównej fakturze skóry. Wyglądał jak wariat, ciężko dyszał, a oczy miał rozbiegane. Chciałam krzyknąć, wierzgać i uciec jak najdalej z tego pieprzonego samochodu, ale wiedziałam, że to się nie uda.

— Skąd go znasz? — zapytał nerwowo. Z każdym momentem coraz mocniej ścisnął moją głowę, co bolało, ale zniosłam to, zaciskając z całej siły szczękę. — Skąd go znasz, pytam?!

— To przez niego tu jestem — wydukałam cicho. Czułam pieczenie pod powiekami, więc gwałtownie zamrugałam, aby jak najszybciej pozbyć się tego uczucia. — To on mnie tu sprowadził — wyszeptałam, błagalnie patrząc mu w oczy.

Po moich słowach jego uścisk lekko zelżał, a następnie poczułam, że mnie puszcza i się odsuwa. Odetchnęłam lekko, ponownie wciskając się w drzwi, aby nie narażać się na kolejny atak. Jego emocje błyskawicznie się zmieniły, zbladł jeszcze bardziej, drżał, a oczy miał niespokojne i lekko zamglone. Nie potrafił ukryć tego, czego ukryć się nie da. Strachu. Bał się. Widziałam to. Bał się od czubka głowy po koniuszki palców. Nie spodziewałam się, że Vincent wzbudzał w nim aż takie przerażenie. Wiedziałam za to, że to była moja szansa, mój as w rękawie. Z trudem się opanowałam i skupiłam na obserwowaniu bladej twarzy mężczyzny.

— Wie, że tu jesteś — mruknęłam cicho, a White nie poruszył się ani o cal. — I pewnie zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli cię znajdzie, nie cofnie się przed niczym — kontynuowałam. Nigdy nie sądziłam, że będę prowadzić debatę o czymś życiu i o tym, czy to życie zachowa. — Chyba że mnie wysłuchasz i zrobisz to, co ci powiem.

Moje słowa spowodowały, że Brooklyn ocknął się z letargu i wbił we mnie wzrok. Patrzyłam na niego z największym spokojem i powagą, na jakie w tamtym momencie było mnie stać. Sprawiałam, że grunt zaczął osuwać mu się spod nóg, i w każdej chwili mógł się na mnie wyładować, bo był niepoczytalny.

— Mogę ci pomóc. Vincent sprowadził mnie tu pod pretekstem konieczności wyjaśnienia jakiejś sprawy dotyczącej testamentu mojego ojca. Nie znałam wcześniej ani jego, ani tej całej historii — tłumaczyłam powoli, aby nie doprowadzić go do wybuchu. — Wiedział, co się między nami wydarzyło. Dlatego zaproponował mi układ. Miałam cię sprowadzić w zamian za kilka istotnych informacji o mojej rodzinie.

— A ty się zgodziłaś? — zapytał oschle.

— Tak. — Skinęłam głową. — I mam dla ciebie propozycję. Jeśli się zgodzisz, będziesz mógł zniknąć i nie obawiać się Vincenta już nigdy więcej.

Musiałam wykorzystać okazję.

— *Brutus* — wyszeptał, a jego cichy głos brzmiał w moich uszach jak najgłośniejszy huk. — To on odwrócił się od Cezara i go zdradził.

— Ale czy przypadkiem nie zdradził go w słusznej sprawie? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie, patrząc mu w oczy.

Właśnie wtedy na ustach Vincenta wykwitł przebrzydły uśmiech, który zwiastował najgorsze. Wiedziałam, że po wszystkim nie będę mogła spojrzeć samej sobie w oczy, i to było jak kosa wbita między żebra. Mężczyzna znów się odsunął i oparł się wygodnie, a potem z leniwym uśmiechem splótł dłonie.

— W takim razie zamieniam się w słuch.

W mojej głowie trwała gonitwa myśli, bo nie chciałam zrobić niczego pochopnie. Tylko czy sam ten pomysł taki nie był? Zacisnęłam szczękę, odpychając od siebie wszystkie obawy. Nachyliłam się lekko, splatając dłonie, i zdecydowana wbiłam w niego wzrok. Vincent cierpliwie czekał, obserwując mnie z zaciekawieniem.

Będziesz żałować.

— Dotarła już do ciebie informacja, że Brooklyn wrócił do Culver City, prawda? — zapytałam, na co skinął głową. — Nie zamierzasz nic

z tym zrobić? W końcu po czterech latach wiesz, gdzie się znajduje. Możesz działać — mruknęłam, a mężczyzna zmarszczył siwe brwi i ciężko westchnął.

— Widzisz, to nie takie proste. Znam go. Prawdopodobnie lepiej, niż on zna siebie. Nawet gdybym go dopadł, nie oddałby mi mojej własności — wyjaśnił, a w jego głosie słyszałam zarówno rozdrażnienie, jak i pewnego rodzaju podziw. — Alboby znów uciekł, albobym go zabił. Nic pomiędzy.

Wzdrygnęłam się na jego słowa, czując narastające mdłości. Dlaczego mówił o tym z takim spokojem? Jak mógł bez emocji stwierdzić, że pozabawiłby kogoś życia? I jakim cudem siedziałam obok niego, chcąc z nim negocjować? Z człowiekiem, który może zabić i który zapewne zabijał.

— Dlatego zostawiam to wam. Macie odebrać moją walizkę. Tak jak się umawialiśmy. Kiedy ją odzyskam, wtedy będę mógł się z nim spotkać — dodał. — Ale to już nie będzie wasza sprawa.

— W porządku — zgodziłam się, zachowując względny spokój, aby nie dać po sobie poznać, jak wstrząsnęły mną jego słowa. Czy naprawdę ludzkie życie było dla niego tak niewiele warte? — Cóż, wymyśliliśmy plan, który miał nam pozwolić zdobyć twoją własność. Tylko to nie jest dobry plan.

— Dlaczego? — zapytał z zainteresowaniem.

— Bo jego realizacja wymaga czasu — odpowiedziałam od razu. — Chcą, abym zdobyła jego zaufanie. Spędzała z nim czas, by uwierzył, że jestem po jego stronie. Brooklyn myśli, że nie mam już kontaktu z Nate'em. Gdybym się do niego zbliżyła, mogłabym jakoś dostać twoją walizkę. Przynajmniej w teorii.

— I dlaczego nie podoba ci się ten pomysł? Ja uważam, że jest bardzo dobry.

— To za długo potrwa. Sam mówiłeś, że Brooklyn nie ufa byle komu. Kto wie, ile zajęłoby mi przekonywanie go, że jestem po jego stronie. Nie wiemy, czyby się czegoś nie domyślił. A może wcale by mi nie pozwolił się zbliżyć? Za dużo niewiadomych.

— Czas ci przeszkadza? — dopytał.

Westchnęłam, z trudem przyzymkając powieki. Czułam ucisk w żołądku. Było mi cholernie ciężko.

— Chodzi o to, że ja tego czasu nie mam — wymamrotałam cicho.

Czułam na sobie jego poważne spojrzenie, ale nie miałam siły popa-
trzeć mu w oczy. Włosy przysłaniały lekko moją twarz, przez co było mi
niewiele lepiej, ale to nie zmieniało faktu, że miałam ochotę stamtąd uciec.

— Muszę jak najszybciej wyjechać z Culver City.

— Dlaczego?

Lepiej byłoby, gdybyś tu nie wróciła.

Zacisnęłam szczękę. Musiałam w końcu wyrzucić te pieprzone słowa
z głowy i wmówić sobie, że to nie było przyczyną. Po coś tam przyje-
chałam i nie miałam zamiaru się załamać. Chciałam załatwić tę sprawę,
wrócić do Maine i o wszystkim zapomnieć. Odrzuciłam włosy na plecy,
a zaintrygowany mężczyzna uśmiechnął się delikatnie. Zignorowałam
to, zakładając nogę na nogę i ponownie splatając dłonie.

— To nieistotne — uciełam. — Istotne jest to, że można to zrobić
lepiej. Wydaje mi się, że tobie również zależy na czasie i nie chcesz
przedłużać tego w nieskończoność. — Brak odpowiedzi i lekkie zmru-
żenie oczu jasno potwierdziły, że mam rację. — Dlatego znalazłam inne
rozwiązanie. Szybsze i być może skuteczniejsze.

— Być może? — Uniósł brwi.

— Czy to, co zawiera walizka, jest dla Brooklyna cenne? — zapyta-
łam wprost.

W ciszy toczyliśmy bitwę na spojrzenia i żadne z nas nie zamierzało
odpuścić. Odgłos tykania zegara ściennego wypełniał cztery ściany
tego sterylnego pokoju. Czułam się, jakbym wkroczyła w inny wymiar,
wchodząc tam. Byliśmy tylko my. Człowiek, który jednym słowem mógł
zmieść dowolną osobę z powierzchni ziemi, oraz ja. Dziewczyna, której
działanie na własną rękę mogło skończyć się katastrofą.

Widziałam, że moje pytanie okazało się dla Vincenta niewygodne,
ale było kluczowe. Chyba on również to wiedział, bo po kilkudziesięciu
sekundach westchnął ciężko.

— Nie jest — odrzekł, a mnie naprawdę ulżyło. — Brooklyn ją zabrał,
aby się zabezpieczyć. Nic nie może z nią zrobić. To pamiątki po mojej
matce, a on nawet jej nie znał.

— I dlatego to może się udać — powiedziałam z większym zapałem,
lekkim nachylając się w jego stronę nad szklanym stolikiem. Miałam
szansę. — Nie wiemy, czy udałoby nam się zabrać ją Brooklinowi. On
wie, że go szukasz. Wie, że ta walizka jest dla ciebie ważna, i wie, że nie

poprzestaniesz, dopóki jej nie znajdziesz — mówiłam z pasją, niemal na jednym wydechu. — Boi się. Jest przerażony i cały czas ucieka, bo cały czas ją ma. Jednocześnie nie może z nią nic zrobić. Jestem pewna, że najchętniej by się jej pozbył i ci ją zwrócił, ale nie może, bo wie, że wtedy mógłbyś go... zrobić mu coś — zająknęłam się, ponieważ to jedno słowo nie chciało mi przejść przez usta.

Po moich słowach Vincent prychnął.

— Nie mógłbym, tylko zrobiłbym. Dlatego powiedziałem, że to, co stanie się po tym, jak odzyskam walizkę, już was nie dotyczy — dodał, na co znów się wzdrygnęłam.

Przełknęłam ślinę, starając się o tym nie myśleć.

— Powiedz szczerze — zapytałam śmiertelnie poważnie. — Co jest dla ciebie ważniejsze, walizka czy jego śmierć?

Nie odpowiedział od razu. Patrzył mi w oczy, oczekując, że się poddam, ale nie zrobiłam tego. Czekałam na odpowiedź, która mnie zadowoli, i nie zawiodłam się. Vincent pokręcił głową, przykładając dłoń do skroni.

— Walizka — mruknął. Potężny złoty sygnet załśnił na jego palcu, odbijając światło lamp.

Uniosłam kącik ust, znów się prostując.

— Więc zróbmy to szybciej. Skorzystajmy z tego, że znów jest w Culver City. Sprawmy, aby oddał ją dobrowolnie. Pójdźmy na kompromis.

— Co masz na myśli? — zdziwił się, a po wyrazie jego twarzy poznałam, że zrobił się nieufny.

— Gdy się z nim spotkam, zdradzę mu wszystko — odparłam, a on wyglądał na zdumionego moim pomysłem. — Powiem mu o tobie i o tym, że mnie tu ściągnąłeś. I że chcę mu odebrać twoją walizkę.

Ponownie nastała między nami chwilowa cisza, podczas której starałam się wyczytać coś z jego twarzy, ale nieskutecznie. Potrafiłam tylko wnioskować, że mój pomysł mu się nie spodobał. Spodziewałam się tego.

— Tak, wiem, że to ryzykowne, ale to nie jest głupie. Wie, że go szukasz. Wie, że musi uciekać, bo w końcu go znajdziesz. Myślisz, że nie będzie chciał wolności? Nie będzie chciał być znów na szczycie? — pytałam, starając się przekierować jego myślenie na inne tory. — Więc jeśli zaproponuję mu układ, przysięgnę, że nic mu nie zrobisz, a wasz

konflikt zostanie zażegnany, jeśli tylko odda mi twoją własność... Myślisz, że na to nie pójdzie?

— A skąd wiesz, że ja tego chcę? — zapytał nonszalancko, chwytając okulary, które leżały na stoliku pomiędzy nami. Z beznamiętnym wyrazem twarzy zaczęła obracać je w dłoni.

Błądziłam wzrokiem od jego szarych oczu do okularów, którymi się bawił.

— Nasz układ był prosty. Wy zdobywacie walizkę, ja wam daję informacje, a reszta was nie interesuje. Nie powinnaś myśleć o mojej relacji z Brooklynem. Nie znasz tematu i nie powinnaś się w to mieszać — powiedział to formalnym i oschłym tonem, więc nietrudno było się domyślić, że nieco go zdenerwowałam.

Może to było głupie, ale w tamtym momencie miałam ochotę przewrócić oczami. Podsunęłam mu idealne rozwiązanie problemu, a on szukał dziury w całym i do tego był nieprzyjemny.

— Sam powiedziałeś, że walizka jest dla ciebie ważniejsza niż jego śmierć — przypomniałam mu, na co uniósł wzrok na moją twarz. — Możemy pójść na pewien układ. Wiesz, że tu jest. Twoi ludzie łatwo go znajdą. Jeśli nie uda mi się go przekonać i coś mi zrobi, sam go dorwiesz. Nawet jeśli ci nie powie, gdzie jest walizka, będziesz miał przynajmniej przyjemność z... zabicia go — przedostatnie słowo niemal z siebie wyplułam, czując się tak cholernie podle. — A jego ludzie zapewne i tak coś powiedzą. Posłuchaj, wiem, że cię zawiódł. Wiem, że cię skrzywdził...

— Mylisz się, Victorio — przerwał mi zimnym tonem, nawet na mnie nie zerknąwszy. W tamtej chwili emanował wyższością. Włożył okulary, a następnie delikatnie zacisnął na nich palce. — Niczego nie wiesz. O niczym nie masz pojęcia. Nie wiesz, jak działa świat. Przeżyłaś dużo, nie przeczę, ale to nie oznacza, że *wiesz* — mówił beznamiętnie, patrząc na mnie z politowaniem. — Nie wiesz bardzo wielu rzeczy. Bo wiedza to dar, którego nie posiadasz.

Milczałam, nie chcąc powiedzieć dwóch słów za dużo. Mógł sobie być panem, ale to nie dawało mu z automatu prawa do oceniania mnie. Szczególnie że tak naprawdę gówno o mnie wiedział. W ostatniej chwili ugryzłam się jednak w język, czekając na ciąg dalszy jego wypowiedzi.

W końcu Vincent westchnął ciężko, układając dłonie na podłokietnikach fotela. W zamyśleniu wpatrywał się w jakiś punkt przed sobą, analizując coś.

— Dobrze, mogę przystać na taki układ. Zostawię go, jeśli zwróci mi moją własność — mruknął, kiwając głową. — Ale skąd masz pewność, że on się zgodzi? Wybacz, znam go trochę lepiej niż ty. Jeśli się nie mylę, a mylę się rzadko, kiedy tylko powiesz, że dla mnie pracujesz, zabije cię, nim dojdiesz do końca zdania, a potem ucieknie — powiedział z taką lekkością, jakby właśnie opowiadał mi o tym, co zjadł na śniadanie, a mnie w głowie zadźwięczały dwa słowa: *zabije cię*. — A ja nie mogę sobie pozwolić na to, by znów mi się wymknął. Zbyt długo go szukam.

— Zajmę się tym — bąknęłam, mając nadzieję, że nie będzie drażył, bo o tym, jak to zrobię, jeszcze nie myślałam... Cóż, może trochę, i z pewnością nie były to myśli przyjemne. Wiedziałam, że ryzykuję własne życie... i w imię czego? Prawdy? — Gdy się spotkamy, odpowiednio mu wszystko przekażę.

— W porządku — zgodził się. — Ale walizkę ma mi oddać osobiście. Chciałbym się z nim zobaczyć.

— Ale... — zaczęłam, ponieważ to rodziło komplikacje.

Czułam, że Brooklyn nie będzie skory do takiego poświęcenia.

— Koniec tematu — ponownie mi przerwał, unosząc delikatnie dłoń. — Ciekawi mnie tylko jedno... — Dlaczego przyszłaś tu sama? Dlaczego nie powiedziałaś swoim przyjaciółom? Bratu?

Spuściłam wzrok na swoje kolana. Nie miałam ochoty rozmawiać na ten temat, ale wiedziałam, że mężczyzna nie odpuści. Cierpliwie czekał, podczas gdy ja milczałam.

— Nie chcę ich w to mieszać — odpowiedziałam w końcu szczerze, na samą myśl o tym czując ukłucie pomiędzy zębami. — Jeśli coś pójdzie nie tak, im nic się nie stanie. Brooklyn nie będzie podejrzewał, że mieli z tym coś wspólnego. Będzie przekonany, że zaangażowałam się w to tylko ja.

— Szlachetne, ale nie uważasz, że to postawa męczennicy?

— Nie — odparłam z przekonaniem. — Po prostu chcę to załatwić szybciej i bez zbędnych ofiar.

— Mogą źle się poczuć, jeśli coś ci się stanie — powiedział to, co dobrze wiedziałam, ale i tak dopadł mnie kolejny skurcz w brzuchu. — A to bardzo prawdopodobne.

— Nigdy nie dowiedzą się prawdy — odpowiedziałam pustym głosem, krzyżując z nim spojrzenie. — Jeśli coś mi się stanie, to będzie nieszczęśliwy wypadek. Wypadek, który, mam nadzieję, potwierdzisz. Nic związanego z tą sprawą.

Mężczyzna uniósł kącik ust, a następnie pokręcił z rozbawieniem głową.

— Cóż, mogę na to przystać — odparł.

— A jeśli się uda, również nic im nie powiesz. Przekażesz nam wszystkie informacje i wytłumaczysz, że sprawa rozwiązała się sama dzięki sprowadzeniu przez nas Brooklyna. Podziękujesz nam i koniec tematu. Nigdy nie wspomnisz, że brałam w tym udział — zażądałam.

— Wszystko sobie przemyślałeś, prawda? — zapytał z uznaniem, na co nie odpowiedziałam. — W porządku. To zostanie tylko między nami, ale pamiętaj — wyszeptał zachrypniętym głosem, wskazując na mnie palcem. — Jeśli to nie wyjdzie, on znów ucieknie, a tobie cudem uda się przeżyć... nie pożyjesz za długo. Zaufałem ci w tej sprawie. Twój plan ma się powieść, bo to ty go wymyśliłaś. Jeśli coś pójdzie nie tak, to ty stracisz głowę. Potrafię być miły i przyjazny, ale pilnuję swoich interesów. Nie możesz tego zepsuć.

Przez jego słowa na moment straciłam oddech, więc nie odpowiedziałam od razu. Z całych sił starałam się utrzymać beznamietną minę, jakby to, co właśnie powiedział, w ogóle mnie nie ruszyło. Nie było to jednak takie proste. Świadomość, że przez jeden błąd mogę umrzeć, nie napawała optymizmem, ale chyba nadal nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę, dlatego skinęłam głową.

Vincent wydawał się zadowolony. Nagle wyciągnął swoją dużą dłoń w moją stronę. Patrzyłam to na jego pomarszczoną skórę, to na szare oczy i plułam sobie w brodę, że muszę podpisać cyrograf, ale nie widziałam innego wyjścia. Trzeba było to jak najszybciej zakończyć, aby zniknąć z tego przeklętego miasta.

Nie rób tego.

Zacisnęłam szczękę i niewiele myśląc, uściśnęłam dłoń Vincenta. Wzdrygnęłam się, czując jego zimny sygnet, więc szybko wysunęłam swoją rękę z jego uścisku, aby nie spoufalać się za długo. Odchrząknęłam, zabrałam torebkę i wstałam z fotela. Moje nogi były jak z waty i czułam się tak, jakbym miała zemdleć. Mimo to spojrziałam na niego hardo.

— Będę informować cię na bieżąco — powiedziałam, na co skinął głową.

— Mój kierowca cię odwiezie.

Bez słowa się odwróciłam, a następnie ruszyłam w stronę drzwi. Czulałam wzrok mężczyzny na swoich plecach, a stukot moich szpilek odbijał się echem w pomieszczeniu. Musiałam stamtąd zniknąć.

Czulałam się brudna. Spiskowałam za ich plecami... za plecami Theo, ale przecież ich nie zdradziłam. Chciałam to po prostu szybciej załatwić, aby oni nie musieli ryzykować. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś się stało mojemu bratu. Mogłam być w tym hipokrytką, bo przecież on też by sobie nie wybaczył, gdyby coś złego spotkało mnie, ale to było co innego. Theo był silny, wiedziałam, że by sobie poradził. Znów znalazłby szczęście, a może i żyłoby mu się lepiej? Zaslugiwał na wszystko, a ja byłam ciężarem. Oni wszyscy zasługiwali na to, aby dowiedzieć się prawdy bez narażania się.

Chwycałam klamkę i otworzyłam drzwi. Nim jednak przeszłam przez próg, ponownie dobiegł mnie głos mężczyzny:

— Mam jeszcze jedno pytanie.

Przystanąłam, ale się nie odwróciłam. Zaciśkałam skostniałe palce na klamce, wpatrując się w martwy punkt przed sobą.

— Dlaczego akurat ty?

Jego głos dudnił w moich uszach i głowie, sprawiając mi fizyczny ból. Był tak cichy i spokojny, ale wiedziałam, że będzie mnie prześladował w koszmarach. Świadomie wystawiałam się na niebezpieczeństwo. Może naprawdę byłam męczennicą? Jednak czy tak można nazwać osobę, która chce zapewnić bezpieczeństwo swoim bliskim?

Tylko czy prócz Theo dalej byli mi bliscy?

Przekreściłam głowę lekko w prawo, a mój wyraz twarzy był dokładnie taki sam jak mój wzrok. Pusty. Atmosfera między nami zgęstniała, kolejne sekundy mijały, a ja trwałam w zawieszaniu.

Dlaczego akurat ja?

— Bo nie mam już nic do stracenia.

Po tych słowach wyszłam z pomieszczenia i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Między nami panowała idealna cisza, w której było słycać jedynie mój głośny oddech. Brooklyn wyglądał, jakby ktoś zamienił go w kamień. Nie poruszał się i nie mrugał, nawet jego ramiona się nie unosiły. Patrzył na mnie zamglonym wzrokiem, podczas gdy ja starałam się poukładać sobie w głowie słowa, aby mimo przerażenia rozegrać to jak najlepiej. White znów nie wyglądał, jakby chciał zaatakować. Szczerze powiedziawszy, pierwszy raz widziałam go w stanie takiego zawieszenia.

Zignorowałam nieprzyjemne bóle brzucha i przełknęłam ślinę, aby zwilżyć wysuszone gardło.

— Człowiek Vincenta zadzwonił do mnie kilka tygodni temu, abym przyleciała do Culver City — zaczęłam spokojnie, chociaż w środku panikowałam. — Podał się za prawnika mojego ojca. Więc przyleciałam. Okazało się, że ściągnął mnie, bym pomogła mu odnaleźć ciebie. I ty wiesz dlaczego.

— Przez walizkę — odparł tak pustym głosem, że aż zadzwoniło mi w uszach. Mimo że patrzył na mnie, wydawało mi się, że myślami był już zupełnie gdzie indziej.

— Tak. — Skinęłam głową. — Chce ją odzyskać.

Brooklyn nie odpowiedział, zamiast tego odchylił się delikatnie, a następnie przeniósł pusty wzrok na siedzenie naprzeciw. Zastanawiałam się, co siedzi mu w głowie i jak bardzo mam przesrane. Jednak skoro już zaczęłam, musiałam pójść dalej.

— Nie mógł cię znaleźć, więc poprosił mnie o pomoc. Nie widziałam w tym sensu, bo nie sądziłam, że uda mi się coś wskórać — mruknęłam, skupiając się na tym, aby niczego nie pomylić. — Ma potrzebne mi informacje o mojej rodzinie, więc się zgodziłam. Zastanawiałam się, co zrobić, aż w końcu przypomniałam sobie, że zawsze byłeś na walkach Nate'a. — Przełknęłam ślinę. — Więc musiałam taką zaaranżować.

— Shey jest w to wplątany? — warknął przez zaciśnięte zęby.

Żył na jego szyi zaczęła mocno pulsować, blada skóra na twarzy poczerwieniała. Czułam, jak jego kościste ciało się spina, a dłonie drżą od zaciskania ich w pięści.

— Nie — skłamałam. — Nie miałam z nim kontaktu, ale był mi potrzebny, więc do niego zadzwoniłam. Do reszty jego znajomych również. W końcu udało mi się podpuścić Nate'a i zgodził się na walkę. Nie było to trudne. Zawsze był narwany.

Po moich słowach Brooklyn lekko się uspokoił, ale nadal przypominał tykającą bombę. Najważniejsze było dla mnie to, aby nie wiedział o udziale reszty. Byłam w tym tylko ja i jeśli komuś miało się coś stać, to mnie. Nerwowo zaciskałam palce na siedzeniu, patrząc na jego profil.

— I pojawiłeś się na walce.

— Dlatego tak łatwo zgodziłaś się na kolację.

— Tak. — Skinęłam głową.

W tamtej chwili Brooklyn wyglądał, jakby nie spał przez tydzień, i to sprawiło, że wydał mi się jeszcze bardziej przerażający. Czując nieprzyjemny ucisk w żołądku, spróbowałam się odsunąć. Liczyło się tylko to, aby być od niego jak najdalej.

— Podaj mi teraz jeden powód, dla którego miałbym nie przestrzelić ci głowy.

To pytanie zadane cierpkim głosem sprawiło, że każdy włoszek zjeżył się na moim ciele, ale najgorsze było to, że sama ściągnęłam na siebie zagrożenie. Chociaż trzęsłam się ze strachu, a ciało powoli odmawiało mi posłuszeństwa, spojrzałam hardo w te jego szalone, rozbiegane oczy.

— Tylko ja mogę ci pomóc — wyszeptałam zachrypniętym głosem.

Atmosfera w aucie stała się jeszcze bardziej napięta. Ledwo oddychałam. Czułam się tak, jakby dach wozu z każdą sekundą napierał na mnie coraz bardziej.

— Tak? — zapytał, a jego wargi rozciągnęły się w szaleńczym uśmiechu. — Niby jak?

Patrzyłam właśnie na wariata. Jego oczy rozbłysły nieprzyjemnym blaskiem, a twarz wykrzywiła się w kpiącym grymasie.

— Wiem, że się boisz — mruknęłam, używając tego samego tonu, który pomógł mi przekonać Vincenta. — Jesteś przerażony tym, co może ci zrobić. Cały czas uciekasz, chociaż tego nie chcesz. Popełniłeś jeden błąd i spadłeś na samo dno. Ale możesz się od niego odbić. Oboje wiemy, że to, co znajduje się w walizce, nie jest dla ciebie ważne. Masz ją, bo jesteś zbyt przerażony możliwością spotkania z Vincentem. I masz rację. Nawet nie wiesz, jakie ma wobec ciebie plany.

Każde moje słowo było jak sztylet wbijany w jego wychudzone ciało. Pociemniałe oczy mężczyzny zdradzały, że jest na granicy wybuchu, a ja stąпам po bardzo cienkim lodzie. Z przyspieszonym oddechem lekko nachyliłam się w jego stronę, nie spuszczając wzroku z jego twarzy.

— A raczej miał, załatwiłam to — wyszeptałam, na co zaskoczony uniósł brew. — Możesz znów być wolny. Nie uciekać i powrócić do tego, co miałeś kiedyś. Musisz tylko zrobić jedną prostą rzecz. Oddać walizkę.

— On mnie zabije — powiedział pustym głosem. — Dobrze to wiemy.

— Nie, jeśli oddasz mu jego własność. — Pokręciłam głową. — Jemu zależy tylko na tym cholernym badziewiu. Nie bądź głupi. Oddaj mu to i ciesz się wolnością. Wróc na szczyt.

Brooklyn również pochylił się ku mnie. Czułam od niego złą energię, a nieprzyjemna woń jego wody kolońskiej drażniła moje nozdrza. Choć chciałam uciekać gdzie pieprz rośnie, siedziałam nieruchomo i... czekałam.

— To ty jesteś głupia, że mu zaufałaś — odparł równie cichym głosem, patrząc na mnie z politowaniem. — Naprawdę myślisz, że tak to zostawi? Weszłaś z nim w układ i naprawdę ci się wydaje, że dotrzyma słowa?

— Tak — powiedziałam, ukrywając wahanie, które się we mnie pojawiło. Nie znałam Vincenta zbyt długo, ale wydawał się człowiekiem godnym zaufania. Nie okłamałby mnie w takiej sprawie... *prawda?* — Załatwiłam to.

— Jesteś pewna?

Spuściłam wzrok na jego dłoń, którą powoli uniósł. Przysunął się, a potem opuszek jego palca wskazującego dotknął mojej brody i zaczął obrysowywać mój policzek. Z całej siły starałam się zachować obojętny wyraz twarzy, chociaż ogarniało mnie obrzydzenie i poczułam się brudna. Nie chciałam, by mnie dotykał. Nie chciałam znajdować się blisko niego. Chciałam uciec, jednak musiałam być ponad to. Ucisząc myśli, znów spojrzałam mu w oczy. Już nie kryłam tego, że go nienawidzę. Już nie musiałam udawać, bo nie musiałam zdobywać jego zaufania. Wiedział, że to wszystko było zaplanowane. Starałam się zignorować to, jak piekła mnie skóra w miejscach, gdzie mnie dotknął.

— Masz moje słowo, że gdy oddasz walizkę, nic ci się nie stanie i odejdziesz wolno. Jeśli teraz mi coś zrobisz, Vincent i tak cię dopadnie. A potem zabije. I będzie to bolesna śmierć — wypluwałam z siebie z nienawiścią kolejne słowa i chociaż strach oplatał moje ciało coraz bardziej, nie miałam zamiaru ustąpić.

Brooklyn uniósł brew, a następnie cofnął dłoń. Popatrzył na mnie z dziwnym uznaniem i wyraźnie się uspokoił. Nie wyglądał już tak,

jakby miał wybuchnąć, choć jego wzrok wciąż był rozbiegany, a ciało miało spięte. Uniósł kącik ust, przechylając lekko głowę i przyglądając mi się, jakbym była zwierzątkiem w cyrku.

— I wymyśliłaś to wszystko sama? — zapytał, jednak nie dałam się zbić z tropu.

— Dzięki mnie nie umrzesz — zapewniłam go, na co mężczyzna westchnął i się odsunął. — Nie bądź głupi. Dobrze wiesz, że taka szansa drugi raz się nie powtórzy.

W pełnej napięcia ciszy czekałam na jego odpowiedź. Nie mógł odmówić, był zbyt zdesperowany.

— Doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że straciłeś status i pozycję. Nie chcesz już uciekać, a ja spadam ci z nieba. Nie bądź głupi.

Jego odpowiedź mnie nie zdziwiła.

— Dobrze, zgadzam się — powiedział, na co w duchu odetchnęłam z ulgą. — Ale musisz wiedzieć jedno, droga Victorio. — Po tych słowach znów się do mnie zbliżył i chociaż zrobił to już tyle razy, ja ponownie miałam ochotę zwymiotować.

Zerknęłam na niego z obrzydzeniem, gdy złapał splątany kosmyk moich włosów, a następnie zaczął przeplatać go między palcami. Z obojętnością popatrzył mi prosto w oczy, a w jego spojrzeniu było tyle zła, że odruchowo się wzdrygnęłam.

— Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, możesz być pewna, że chociażbym miał skonać, przed śmiercią odstrzelę ci tę śliczną główkę — wyszeptał i położył palec na moim czole pomiędzy brwiami. Delikatnie nim popukał, przez co zacisnęłam szczękę. — A jeśli mi się nie uda, to gwarantuję ci, że moi ludzie poruszą niebo i ziemię, aby cię znaleźć i mnie pomścić. To, co ci zrobią, będzie niewyobrażalnie bolesne.

— Nie musisz się martwić — zapewniłam go.

— Ja nie, ale ty owszem — powiedział, po czym się odsunął. — Skontaktuję się z tobą, kiedy będę gotowy ją oddać.

Skinęłam głową.

Mężczyzna odwrócił się w stronę przyciemnianej szyby i opuścił ją do połowy. Zimne powietrze wpadło do wnętrza ciepłego auta, wywołując ciarki na mojej skórze.

— *Åben døren* — mruknął w niezrozumiałym dla mnie języku, po czym zamknął okno.

Zmarszczyłam brwi, usłyszawszy jego akcent.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem do moich uszu dobiegł odgłos odblokowywania zamka i drzwi po mojej stronie się otworzyły. Podskoczyłam z przestрахem. Jeden z mężczyzn, którzy tak brutalnie wpakowali mnie do środka, stał jak gdyby nigdy nic, czekając, aż wysiądę. Popatrzyłam na jego twarz, zaciskając szczękę.

— Będziemy w kontakcie — mruknął Brooklyn, więc bez słowa wygramoliłam się z auta.

Zimne powietrze uderzyło we mnie z jeszcze większą siłą, a przez to, że byłam przemoczona, czułam ten chłód dużo mocniej. Objęłam się ramionami, aby się nie trząść. Ostatni raz popatrzyłam na White'a, który śledził mnie wzrokiem z wnętrza auta.

— Pamiętaj. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, ty za to zapłacisz.

Jeden z jego ludzi zamknął drzwi, a ja obserwowałam, jak razem z drugim wsiada do samochodu. Chwilę później samochód Brooklyna odjechał spod kamienicy Nathaniela.

Przez szok i natłok emocji stałam nieruchomo na środku ulicy, patrząc na drogę, którą odjechali mężczyźni. Wokół mnie nie było żywej duszy, nie paliły się latarnie ani inne światła. W ciemności nocy obejmowałam swoje skostniałe ciało, jakbym chciała je obronić przed całym złem, które już niedługo mogło mnie spotkać. Nie wierzyłam, że wyszłam z tego w jednym kawałku.

Kiedy zaczął do mnie docierać sens słów Brooklyna, przytknęłam dłoń do ust, aby zdusić jęk. Palce drugiej wplątałam we włosy. Z całej siły zacisnęłam powieki, walcząc ze sobą, aby nie upaść na mokry asfalt. Pociągnęłam nosem, spoglądając na kamienicę Nathaniela, który zapewne nadal spał w łazience, niczego nieświadomy. Nikt nie mógł się dowiedzieć. Opuściłam ręce wzdłuż ciała, patrząc pustym wzrokiem przed siebie. Musiałam dostać się do domu. Do Theo.

Więc ruszyłam przed siebie, nie przejmując się tym, że idę środkiem ulicy. Nie myślałam o tym, aby wejść na chodnik. Powoli powłóczyłam nogami, a każdy mój kolejny krok był cięższy od poprzedniego. Wyprana z emocji szłam i szłam, a drogę oświetlał mi jedynie księżyc. W pewnym momencie było mi już tak zimno, że moje ciało przestało reagować na jakiegokolwiek bodźce. Wiatr targał moimi poplątanymi włosami na wszystkie strony. Słyszałam bicie swojego serca, oddech

i szuranie gumowych podeszew po asfalcie. Szłam bez celu i chęci, z pustym wzrokiem, nie bojąc się mroku. Czy po tym wszystkim ja jeszcze w ogóle się czegoś bałam?

Kilkadziesiąt minut później wchodziłam do swojego domu. Wszystkie światła były pogaszone, co oznaczało, że Theo musiał już spać. Oczywiście, że mój brat zostawił otwarte drzwi, w razie gdybym wróciła. Zachciało mi się wyć. On zawsze się martwił, zawsze się troszczył.

Zacisnęłam szczękę i na oślep ruszyłam cichym korytarzem do salonu.

Leciałam już na oparach, bo każdy krok był katogą. Kurwa, to tak bolało. Fizycznie i psychicznie. W końcu doszłam do kominka, w którym nie palił się ogień. Wtedy nie wytrzymałam, nogi się pode mną ugięły i wycieńczona upadłam na kolana, boleśnie je sobie tłukąc. Głuchy odgłos mojego upadku wypełnił ściany domu. Spuściłam głowę, bo nie byłam w stanie dłużej utrzymać jej prosto. Przymknęłam powieki, wzdychając cicho.

I tak trwałam w ciemnym, cichym domu, w którym się wychowałam. Tam, gdzie spędziłam najlepsze lata swojego życia. Klęczałam, bo nie byłam na tyle silna, aby dłużej stać. Nie byłam na tyle silna, aby się podnieść. Klęczałam wśród najlepszych i najszczęśliwszych wspomnień. Klęczałam, bo upadłam. A upadłam, bo byłam słaba.

Byłam słaba, bo nie zasługiwałam na nic.

— Naprawdę uwielbiam niektóre tradycje w Culver City — powiedział z zadowoleniem Theo, wchodząc do kuchni.

Spojrzałam na niego zaskoczona, ponieważ dawno nie widziałam go w tak dobrym humorze. W czarnym dresie i w za dużym swetrze stał przede mną i pogwizdywał cicho pod nosem. Jego włosy sterczały w różne strony, a oczy miał jeszcze lekko opuchnięte po drzemce, którą sobie urządził. Zmrużyłam powieki i popijając kawę, obserwowałam, jak podchodzi do lodówki.

— Kiedyś ich nienawidziłeś — mruknęłam, po czym upiłam łyk kawy i usiadłam na wysokim krześle barowym.

Theo przewrócił oczami, a następnie wyciągnął z lodówki mleko w szklanej butelce. Skrzywiłam się, kiedy napił się prosto z gwinta, ale tego nie skomentowałam.

— Bo w większości przypadków są totalnie głupie — odrzekł, wpatrując się w zawartość lodówki, jakby od tego patrzenia miało pojawić się w niej coś nowego. — Ale potrójne Halloween to zdecydowanie moja ulubiona.

Culver City od lat słynęło z tego, że w tym mieście wiele rzeczy robiło się inaczej. Tak samo było z Halloween, które było szczególnie lubiane przez dzieci, młodzież i dorosłych. Zresztą jak w całej Ameryce. Od kiedy pamiętałam, w Culver City Halloween świętowało się trzy razy. Od września do listopada w ostatni dzień miesiąca. Mama kiedyś opowiadała nam jakąś starą legendę, w której złe duchy były odpędzane właśnie trzy razy, i niby stąd się to wzięło. Cóż, moim zdaniem u źródeł naszej tradycji leżała raczej chęć, by się trzy razy napić, ale nie chciałam się kłócić. Oczywiście „prawdziwe” Halloween obchodziliśmy trzydziestego pierwszego października. To właśnie wtedy ludzie się przebierali, a dzieci chodziły po domach, prosząc o cukierki. Jednak ostatniego dnia września i listopada stawialiśmy bardziej na zabawę utrzymaną w klimacie „nocy duchów”.

— Fakt, trzy razy możesz wystąpić jako klaun — mruknęłam mimochodem, dopijając swoją kawę. — Chociaż nie. Czekaj. W Halloween chodzi o to, aby się przebrać, więc to odpada.

Nie musiałam nawet patrzeć na jego twarz, aby wiedzieć, że przewrócił oczami.

— Ależ jesteś zabawna — fuknął i zamknął lodówkę. — Powinnas chyba zacząć się zbierać, jeśli chcesz się wyrobić przed dziewiątą.

— Jest dopiero piąta — mruknęłam, zerknąwszy na zegarek na ścianie. — Poza tym mówiłam ci, że nie chce mi się iść.

Jakoś nie miałam ochoty na huczną imprezę w klubie, o której powiadomiła nas Laura z samego rana. W przeciwieństwie do mnie była podekscytowana i jasno wszystkim oznajmiła, że każde z nas ma się pojawić, a jeśli tego nie zrobi, to będzie mieć z nią do czynienia. Od trzech dni żyłam, nie żyjąc, więc zabawa jakoś nie wpisywała się w mój harmonogram. Plus odczuwałam wahania nastroju i musiałam brać przez to więcej leków, co oznaczało tylko jedno. Naprawdę chciałam unikać sytuacji, gdy mogły mi puścić hamulce.

— Okej, ale to ty masz przekazać to Laurze — powiedział Theo, chwytając jabłko z koszyka ustawionego na wyspie kuchennej. — Jeśli

zdołasz coś wtrącić, gdy będzie krzyczała — dodał, na co przewróciłam oczami.

— Nie mam ochoty na imprezę — burknęłam po raz kolejny.

— A moim zdaniem powinnaś się zrelaksować — oznajmił i odgryzł kęs jabłka.

Założyłam ręce na piersi, patrząc na niego spod byka, kiedy oparł się bokiem o szafki kuchenne.

— Każdy z nas powinien. To ciężki czas. Lada moment Brooklyn może się z tobą skontaktować, a to już nie będzie przyjemne.

Zastygłam w bezruchu, kiedy Theo wspomniał o mężczyźnie. Nie wiedział, że miałam już wątpliwą przyjemność rozmowy z White'em i trzy dni wcześniej mój plan wszedł w życie. Znów poczułam kolosalne wyrzuty sumienia, które niemal mnie zjadły. Z beznamietną miną spuściłam wzrok na podłogę. Theo chyba mylnie odebrał moją postawę.

— Hej, ale wiesz, że nikt cię do niczego nie zmusza, prawda? — zapytał, przez co uniosłam głowę, krzyżując z nim spojrzenie. Był poważny i skupiony, a w jego brązowo-zielonych oczach zobaczyłam troskę. — Jeśli nie chcesz spotkać się z Brooklynem, to nie ma tematu, wymyślimy coś innego. Jeżeli jest ci z tym źle, powiedz. Nie musisz tego robić.

W tamtym momencie poczułam się jak najgorsze ścierwo. Theo tak się martwił i chciał, abym ze wszystkim czuła się dobrze i komfortowo. Nie zamierzał mnie narażać, a ja wykręcałam mu taki numer. Coś boleśnie zacisnęło się na moim gardle. Patrzyłam w jego szczerze oczy, przeklinając w myślach samą siebie, bo ja nie mogłam tak spojrzeć na niego. Nigdy nie powiedział mi, że mu to przeszkadza, ale ja wiedziałam swoje. Staralam się, naprawdę się starałam wykrzesać z siebie trochę więcej życia, aby go uszczęśliwić, ale to nie było takie proste. Szczególnie w sytuacji, gdy tak podle go oszukiwałam.

Nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić, więc uśmiechnęłam się delikatnie, starając się, aby wyglądało to jak najbardziej wiarygodnie. Podziałało, twarz mojego brata nieco się rozluźniła, a oczy lekko rozbłyły.

— Nie, nie o to chodzi — odpowiedziałam, siląc się na swobodny ton. — Naprawdę jest okej. Poradzę sobie z tym wszystkim — kontynuowałam, czując się brudna przez te kłamstwa. Pomrugałam szybko, robiąc kilka kroków w stronę korytarza. — Dobra, masz rację. Już piąta, więc mam mało czasu, aby się ogarnąć.

— To jednak idziesz? — zawołał za mną, kiedy już wbiegałam po schodach.

— Ktoś musi cię pilnować! — zawołałam.

— Victoria? — zapytał nagle, więc zerknęłam na niego przez ramię. Dalej się uśmiechał, ale był trochę poważniejszy niż kilka chwil wcześniej. — Nie pytałem, bo czekałem, aż sama powiesz, ale minęły trzy dni i chyba się już nie doczekam... Widziałem lustro w łazience. Chyba samo się zbiło, prawda?

W ciszy toczyliśmy bitwę na spojrzenia. W końcu zdecydowałam się na delikatne skinienie głową.

— Tak myślałem. Na dniach je wymienimy. — Na szczęście Theo nie drażył.

Po tych słowach ruszył do salonu, a ja pognałam na górę, by nie widzieć już jego wzroku i nie czuć się tak bardzo podle.

I tak się czułam.

Przez prawie cztery godziny robiłam wszystko, aby nie myśleć o całej sprawie z Vincentem i Brooklynem. W stu procentach oddałam się szykowaniu na imprezę przy akompaniamencie piosenek Lady Gagi puszczonej na cały regulator. Umyłam ciało, zrobiłam włosy i mocniejszy niż zazwyczaj makijaż. Postawiłam na wyraźnie podkreślone na czarno oko i krwistoczerwone usta. To chociaż na chwilę oderwało mnie od nieprzyjemnych myśli.

W sypialni włożyłam komplet czarnej bielizny i po dwudziestu minutach zastanawiania się w końcu wybrałam strój. Zdecydowałam się na nieco bardziej gotycki styl, który pasował do mojego makijażu. Z trudem wcisnęłam się w czarną, opinającą ciało sukienkę, która sięgała mi do połowy uda. Była lekko pomarszczona, z opadającymi, długimi do nadgarstków bufiastymi rękawami wykonanymi z czarnej prześwitującej siateczki. Taka sama siateczka ozdabiała także dół kreacji. Przez krój tej sukienki moje obojczyki, dekolci oraz ramiona były w pełni widoczne. W sumie nie wiedziałam, po co zabrałam ją z Maine. Rzadko w niej chodziłam, bo była odważna i nie w moim stylu, ale skoro mieliśmy Halloween, to czemu nie.

Było dwadzieścia po ósmej, gdy zapinałam na szyi czarny zamszowy choker z małą obręczą z przodu. Jak zwykle wsunęłam na palce kilka pierścionków. Spryskałam się perfumami i wrzuciłam kilka potrzebnych

rzeczy do czarnej torebki. Gdy wkładałam wysokie czarne szpilki na platformie, drzwi mojego pokoju się otworzyły, a w progu stanął mój brat. Wprostowałam się i zlustrowałam go wzrokiem, marszcząc brwi.

— A gdzie twój strój? — zakpiłam.

Theodor wyglądał fantastycznie. Miał na sobie czarne materiałowe spodnie, w które wsadził tego samego koloru luźną koszulę z rękawami do łokci. Do tego czarne szelki i eleganckie buty. Jego włosy były zaczesane do tyłu, a kilka kosmyków opadało mu na czoło.

On również zjechał mnie wzrokiem, unosząc brwi.

— A twój? — odpowiedział pytaniem na pytanie. — Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zacząć odprawiać czarną mszę.

— Cóż, ty wyglądasz, jakby właśnie zapakowali cię na Titanica — mruknęłam.

Przewrócił oczami, jednak nijak tego nie skomentował.

— Taksówka już jest. Chodź.

Potaknęłam i oboje wyszliśmy z mojego pokoju, uprzednio zgasiwszy światło. Theo przy drzwiach wyjściowych założył jeszcze czarny, sięgający do połowy łydki płaszcz. Ja zrezygnowałam ze swojego, bo było mi ciepło.

Taksówkarzem okazał się jakiś obcy typ, który na szczęście nie był skory do rozmowy. Podaliśmy mu adres klubu, a mężczyzna skinął głową i ruszył.

Przez następne piętnaście minut maltretowałam zębami swój policzek, zastanawiając się, czy zdołam udawać, że się dobrze bawię. Nie chciałam zawieść znajomych, ale naprawdę nie miałam humoru na imprezowanie. Plus mieli tam być wszyscy, co oznaczało również Nathaniela, z którym nie widziałam się od trzech dni. Czyli od czasu, gdy zostawiłam go śpiącego w łazience. Nie wiedziałam, jak się zachować po tamtej sytuacji, bo sama myśl o nim sprawiła, że mój żołądek zacisnął się ze stresu.

Skarciłam się w myślach, bo nie miałam się czego obawiać. Byłam z Sheyem w neutralnych stosunkach.

Ale to przez niego robisz to wszystko.

— Jesteśmy. — Z letargu wyrwał mnie głos kierowcy.

Pomrugałam gwałtownie i wyrzałam przez szybę. Znajdowaliśmy się przed jednym z popularnych klubów w Culver City, do którego często

chodziłam w liceum. Jak zwykle ustawiła się do niego długa kolejka. Budynek znajdował się nieco na uboczu. Wokół rosły drzewa, a parking był wypełniony. W końcu tamtego dnia przypadało trzecie Halloween, a ludzie chcieli świętować.

Theo zapłacił kierowcy i oboje wysiedliśmy z auta. Obciągnęłam sukienkę nieco w dół, bo niebezpiecznie się podwinęła. Dlatego za nią nie przepadałam.

— Reszta już jest? — zapytałam.

— Laura i Scott czekają przed wejściem.

Pokiwałam głową i razem ruszyliśmy w tamtą stronę. Przeklinałam pod nosem jak szewc, ponieważ droga była bardzo nierówna, a szpilki miałam cholernie wysokie. Niebezpiecznie chwiałam się za każdym razem, gdy mój obcas wpadał w małą szczelinę. Dwie minuty i trzydzieści „kurew” później w końcu znaleźliśmy się niedaleko wejścia. Dostrzegłam Laurę, która machała do nas, podskakując.

Uśmiechnęłam się na ten widok i mój humor od razu stał się jakiś lepszy. Może warto było przyjść dla Moore? Dziewczyna miała na sobie małą czarną, w której wyglądała cudownie, a włosy związała w wysoki kucyk. Do tego czubek jej nosa był pomalowany na czarno, a na policzkach miała narysowane wąsy. Na jej głowie tkwiła różowa opaska z kocimi uszami.

— Hej! — zawołała, kiedy tylko podeszliśmy. Złapała Theo w niedźwiedzi uścisk, a kiedy chciała podejść również do mnie, w mojej głowie szybko zapaliła się czerwona lampka.

— Lepiej nie — powiedziałam o oktawę wyższym głosem, czując narastającą panikę.

Moore zatrzymała się i spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Wiesz... ostatnio coś słabo się czuję. Boję się, że to znowu jakaś choroba, wolę dmuchać na zimne, żeby was nie pozarażać.

Theo zerknął na mnie kątem oka, ale nie skomentował mojego kłamstwa. Laura uwierzyła, spojrzała na mnie ze zmartwieniem i odpuściła sobie bliskie przywitanie.

— Och, serio? — zapytała.

Powinłam była poczuć się źle z myślą, że martwiła się na darmo, ale w tamtej chwili potrafiłam się tylko cieszyć, że się wymigałam.

— Masz chyba obniżoną odporność... może przydałby ci się lekarz?

— Pomyślę — odparłam i postanowiłam zmienić temat. — Ładny kostium.

— Ej, a wy czemu nie w przebraniach? — zapytała z jękiem.

— Jak to nie? — oburzył się Theo, a następnie wskazał na mnie kciukiem. — Przyprowadziłem ci satanistkę.

Przewróciłam oczami, nie komentując tego głupiego tekstu. Przywitałam się skinieniem głowy ze Scottem, który również się nie przebrał. Miał na sobie czarne jeansy i koszulę.

— Gdzie reszta? — zapytał Theo.

— Właśnie mieli... — zaczęła Laura, gdy jej wzrok padł na coś za naszymi plecami. — O! Idą! — zawołała z szerokim uśmiechem, podskakując w swoich piekielnie wysokich kozakach.

Odwróciłam się i zobaczyłam Camerona oraz Matta, którzy zmierzali w naszą stronę. Obaj wyglądali niesamowicie. Byłam niemalże pewna, że Wilson się pomylił i zabłądził w drodze na Fashion Week. Czarny, idealnie skrojony garnitur ze złotymi wstawkami prezentował się tak, jakby został uszyty specjalnie dla niego. Gdy nas zobaczył, na jego ustach pojawił się szelmowski uśmiech.

— Witam prześliczne panie — powiedział.

Uklonił się i chwycił dłoń Laury, po czym złożył na niej delikatny pocałunek. Tak samo przywitał się ze mną. Przewróciłam oczami, ale na moich wargach pojawił się uśmiech, bo Cameron był rozbrajający i szarmancki, przez co jego bliskość nie była dla mnie szczególnie inwazyjna.

Jasmine, Mia i Luke dotarli do nas chwilę później. Podczas gdy Roberts z Parkerem wyglądali na zadowolonych, Sharewood miała standardowo kwaśną minę. Na szczęście mój blef z możliwym początkiem choroby, który konsekwentnie powtórzyłam, uchronił mnie przed dotykiem także z ich strony.

— Clark! — zawołał z zadowoleniem Luke. — Pijemy dziś, oj, pijemy.

Pokręciłam głową, ale nie skomentowałam. Zamiast tego odwróciłam się do Mii i posłałam jej uśmiech, który odwzajemniła. Wyglądała ślicznie w różowej sukience na cienkich ramiączkach i z brokatowym, artystycznym makijażem. Jasmine jak zwykle stanęła z boku i założyła ręce na piersi, wbijając wzrok w swoje kozaki. A Theo jak zawsze patrzył tylko na nią. *Dla niego* była dziełem sztuki.

— A gdzie Nate? — zapytała Laura.

Przełknęłam ślinę.

— Trochę się spóźni, bo musi coś załatwić — odpowiedział z zadowoleniem Parker.

Uniosłam brew, bo ostatnimi czasy, gdy wspominał o Sheyu, był taki ponury i zdołowany. To była miła odmiana.

— Witam moje suki!

Wszyscy odwróciliśmy się w kierunku donośnego głosu, który rozbrzmiał nieopodal. Chris Adams szedł w naszą stronę w drogim lawendowym garniturze w kwiaty i z idealnie ułożonymi lokami. Wyglądał bogato, stylowo i abstrakcyjnie. Zbliżył się do nas z uśmiechem od ucha do ucha.

Uniosłam brew, patrząc na niego wyzywająco.

— Nie jestem twoją suką — droczyłam się.

Wyszczerzył się, a jego piwne oczy zalśniły. Stał tuż obok mnie, mrużąc powieki.

— Oczywiście, że jesteś — mruknął, a następnie wyciągnął okulary przeciwsłoneczne z kieszeni marynarki i płynnym ruchem wsunął je na nos. Wyglądał jak rozpieszczony spadkobierca fortuny i w sumie nim był. — Wszyscy jesteście. I wszyscy to lubicie.

— Ale ty jesteś głupi — skomentowałam, nic nie mogłam jednak poradzić na uśmiech, który pojawił się na mojej twarzy.

Rozejrzałam się i od razu zauważyłam wzrok Camerona. Chłopak całą swoją uwagę skupił na Adamsie, który nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, zajęty rozmową ze Scottem. Ja jednak widziałam dokładnie, jak zielone oczy Wilsona skanowały cal po calu ciało Chrisa. Był poważny i czujny, a spojrzenie miał tak elektryzujące, że mógłby nim zabić. Oj, Cameronowi zdecydowanie spodobał się wygląd mojego przyjaciela.

— Idziemy się bawić! — zawołała Laura, wyrzucając ręce w powietrze i ruszając w stronę wejścia.

Wyglądała jak mała księżniczka, która właśnie dostała nowy pałac. Popatrzyliśmy na nią, a następnie na Scotta, który jedynie westchnął, obserwując swoją ukochaną.

— I jak miałbym jej nie kochać? — zapytał sam siebie, na co uśmiechnęłam się pod nosem.

Oczywiście weszliśmy bez kolejki, ponieważ Scott znał ludzi stojących na bramce. Podejrzewałam, że znał każdego ochroniarza w klubach i barach w Kalifornii. To było naprawdę przydatne.

W środku zajęliśmy odpowiedni boks. Musiałam się przyzwyczać do tego smrodu typowej imprezy, do dymu, kolorowych świateł oraz głośnej muzyki. Obserwowałam dziesiątki ludzi tańczących na parkiecie w rytm popowej piosenki. Dostrzegłam sporo halloweenowych dekoracji, a niektórzy ludzie się poprzebierali. Matt ze Scottem nie próżnowali, od razu zamówili po kolejce szotów. Na całe szczęście nikt nie naciskał, gdy grzecznie odmówiłam.

Laura wiodła prym. Wszędzie było jej pełno, jakby właśnie obchodziła swoje urodziny, co wydało mi się na swój sposób urocze. Nie minęło pięć minut i wyciągnęła Scotta na parkiet. W ślad za nimi poszli Matt z Chrisem. Chciało mi się śmiać, gdy Cameron zmusił Jasmine, aby wstała. Pokręciłam głową, kiedy z miną męczennicy ruszyła z Wilsonem na parkiet, a zaraz za nimi kroczyli Theo z Mią. W boksie pozostałam sama z Lukiem, który uśmiechnął się w moją stronę, siadając bliżej mnie.

— I jak leci, Clark? — zapytał głośno, aby przekrzyczeć dudniącą muzykę. Wyzerował szota i z hukiem odstawił fiolkę na stół.

Wzruszyłam ramionami.

— Powoli — odparłam.

— Wyglądasz, jakbyś nie chciała tu być — mruknął, opierając łokieć na okrągłym stole przed nami.

Boks był kwadratowy, a światło słabe, dlatego musiałam dobrze mu się przyjrzeć, aby zobaczyć jego minę. Jak zwykle posyłał mi te swoje cwaniackie spojrzenia, a na wargach miał nonszalancki uśmiech.

— Źle spałam — odparłam.

Parker skinął i wyciągnął z kieszeni telefon, ponieważ dostał wiadomość. Rozejrzałam się po klubie, kiedy odpisywał. Zaśmiałam się cicho, gdy dostrzegłam Matta i Chrisa, którzy wywijali do piosenki Rihanny.

— To Nate — mruknął, co spowodowało, że od razu odwróciłam się w jego stronę. Z uśmiechem zablokował telefon i znów wsunął go do kieszeni. — Powinien być za jakieś dwadzieścia minut.

— Okej. — Pokiwałam głową i lekko spoważniałam. — Nie musisz odpowiadać, ale i tak zapytam... czy już wszystko między wami okej?

— Bardziej niż okej. Cholera, nie mam pojęcia, co się stało. Sam jestem zszokowany, ale znów jest normalnie. Znaczący, na tyle normalnie, na ile można tym słowem określić Nate'a — odpowiedział, marszcząc brwi, przez co parsknęłam śmiechem. — Od dwóch dni jest tak jak kiedyś. Nie

odsuwa mnie od siebie. Odbiera telefony i sam się odzywa. Jak wczoraj do niego przyszedłem, mieszkanie było czyste, a on trzeźwy — mówił, a jego ton zdradzał szczerą radość i ulgę. Znów był sobą. — Nie wiem, co jest tego powodem, ale niech ten stan trwa jak najdłużej. Jak całkowicie wydobrzeje, chce pojechać po Charliego.

Spojrzałam na tańczących ludzi, przygryzając dolną wargę. Podejrzywałam, co było przyczyną tej zmiany, ale nie mogłam być pewna na sto procent. Trzy dni wcześniej Nathaniel oczyścił się w czasie burzy, zmywając z siebie swoje prywatne toksyny. To wtedy spędziliśmy godzinę w jego łazience, paląc papierosa za papierosem. Wiadomość, że z nim lepiej, przyniosła mi ulgę i dziwny wewnętrzny spokój.

Odchrząknęłam, powracając wzrokiem do twarzy Luke'a. Wymusiłam uśmiech, kiwając głową.

— Cóż, to chyba cud. — Wzruszyłam ramionami.

— Z pewnością — odparł niczego nieświadomy chłopak.

Nagle usłyszeliśmy głośny pisk, a potem chichot. Oboje spojrzeliśmy na parkiet. Mia śmiała się perliście, mocno obejmując Theo za szyję, aby nie upaść, ponieważ mój brat podnosił ją i obracał w każdą możliwą stronę. Pokręciłam głową z rozbawieniem. Choć nigdy nie przyznałby się do tego na trzeźwo, Theodor uwielbiał tańczyć. Kiedy był młodszy, nie tańczył i nie bawił się prawie w ogóle, bo miał tę fazę *zdołowanego-emo-dzieciaka*, któremu nie wypada, bo to nie jest *cool*, czy coś w tym stylu. Jednak potem się odblokował i w takich chwilach dawał się ponieść. Roberts nie pozostawała w tyle. Wywijali w najlepsze, przyciągając pełne podziwu spojrzenia.

— Wygląda niesamowicie — mruknął cicho Luke.

Zerknęłam na niego kątem oka. Uwielbiałam sposób, w jaki na nią patrzył. Tak jakby nic innego się nie liczyło. Jakby cały świat sprowadzał się do tej wysokiej blondynki. Pośród tylu pięknych dziewczyn, pośród tylu pięknych chłopców... on widział jedynie Mię. Uniosłam kącik ust, ponownie spoglądając na dziewczynę, którą Theo właśnie w tym momencie obrócił. Jej sukienka zafalowała, a głośny śmiech wtopił się w bity piosenki. Mia była słiczna, na zewnątrz i w środku. Była jedną z najsilniejszych osób, jakie poznałam w całym swoim życiu.

— Zawsze tak wyglądała — odszepnęłam, wpatrując się w jej zarumienioną twarz.

— Victoria, nie chcę się wtrącać, ale nie sądzisz, że to już czas na rozmowę? — zapytał.

Nie musiałam go pytać, o co mu chodzi, świetnie to wiedziałam. Poczułam lekkie ukłucie żalu. Przygryzłam dolną wargę, a następnie skrzyżowałam spojrzenie z Parkerem, który wydawał się zmartwiony, gdy tak mnie obserwował. Jego czekoladowo-złote tęczyówki zalśniły w promieniach kolorowych świateł.

— Boję się, że czas na tę rozmowę już minął — odpowiedziałam szczerze, bo wiedziałam, że przed nim nie muszę kłamać.

Po moich słowach Luke zmrużył oczy, marszcząc nos. Uśmiechnęłam się delikatnie.

— Nie bądź niemądra — upomniał mnie, a po chwili powrócił do swojej poważnej postawy. — Victoria, znamy się już trochę, więc będę szczery. Tak, wyjechałaś. Nie, to nie jest nic złego. Tak, miałaś prawo być szczęśliwa, tak jak Mia. I sądzę, że wiesz, co się z nią działo po twoim wyjeździe. A dlaczego wiesz? Bo jestem pewny, że z tobą działo się to samo — mówił spokojnie i rzeczowo. — Byłaś, jesteś i będziesz jedną z najważniejszych osób w jej życiu. Nawet nie wiesz, ile razy wspominała o tobie podczas tych czterech lat. Nie było tygodnia, aby czegoś nie powiedziała, i uwierz, prawdopodobnie wiem teraz o tobie więcej, niż ty sama o sobie wiesz. — Westchnął, a ja blado się uśmiechnęłam, czując pieczenie w przełyku. — Skoro macie szansę, nie zaprzepaście jej. Nie chcę drugi raz patrzeć na to, jak się męczy. I nie chcę, żebyś ty się tak męczyła.

Nie odpowiedziałam, bo nie wiedziałam jak. Mia od zawsze i na zawsze była dla mnie ważna, wraz z Chrisem nauczyła mnie przyjaźni i wspierała mnie, kiedy nie dawałam rady. Kochałam ją jak siostrę.

Znów popatrzyłam na jej roześmianą twarz. Może Luke miał rację? Może warto było o to zawalczyć?

— A teraz dość smętów — zarządził i zerwał się na równe nogi. Ukłonił się lekko w moją stronę, wyciągając dłoń. — Pokażemy tym frajerom, jak się tańczy.

— Nie będzie co zbierać — rzuciłam z cwany uśmiechem i złapałam go za rękę.

Może jednak nie popełniłam błędu, przychodząc tam. Przez następną godzinę tańczyłam, śmiałam się i paliłam zdecydowanie zbyt dużo.

Wszyscy mieli aż nadto dobre humory i tamtego dnia znów poczułam się tak, jakby te cztery lata nas nie rozdzieliły. Zaliczyłam nawet piosenkę z Jasmine. Wprawdzie tańczyły z nami jeszcze Mia i Laura, ale wciąż był to taniec z Jasmine. Większość towarzystwa była ewidentnie wstawiona, bo narzuciła sobie strasznie szybkie tempo.

Zdziwiłam się, kiedy w pewnym momencie ujrzałam na parkiecie Alice. Nasza sąsiadka wywijiała w najlepsze, ubrana w pomarańczowy dopasowany dres z Adidasa. Naprawdę nie miałam pojęcia, ile miała ich w szafie, ale podejrzewałam, że sporo. Wyglądała jak wielka dynia i chyba taki był jej zamysł. Tak energicznie machała rękami i nogami, że kopnęła jakąś dziewczynę w ramię. Szybko ewakuowałam się z jej pola widzenia, aby mnie nie zauważyła. Wołałam unikać jej towarzystwa.

Było już koło jedenastej, kiedy roześmiana wróciłam ze Scottem i Mattem do boksu. Mój uśmiech jednak od razu zniknął, gdy w środku ujrzałam Nathaniela. W końcu dotarł, Luke wspominał, że się spóźni. Siedział na czerwonej kanapie, ubrany w czarne jeansy i białą koszulkę z luźnymi rękawami do łokci, przez którą, o zgrozo, widać było fragmenty jego wystających obojczyków. Srebrny łańcuszek z krzyżykiem odznaczał się na opalonej skórze jego szyi. Niemalże jęknęłam, gdy na kanapie zobaczyłam jeansową kurtkę z futerkowym kołnierzem, którą tak często nosił przed czterema laty. Obok niego stał Luke, który zerował kolejnego drinka, bujając się w rytm piosenki. Shey patrzył w telefon, który trzymał w dłoni, i zupełnie nie interesowało go to, co działo się wokół. Jego czarne oczy beznamiętnie śledziły duży ekran. Przez to jego idealna twarz była lekko podświetlona i... *och, kurwa*.

— Chodźcie, szoty są — powiedział Parker na nasz widok, omal się nie zachłsynął.

— Nate! — zawołał zbyt pijany Matt, podchodząc do Sheya.

Nathaniel chyba dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że ktoś pojawił się w łóżu. Uniósł wzrok na Donovana, który wyciągnął do niego rękę. Zablockował urządzenie i wsunął je do kieszeni czarnych spodni. Wstał ze swojego miejsca, a następnie bez słowa przywitał się z chłopakiem. Później przybił piątkę ze Scottem.

— Co tak długo? — zapytał Matt, chwytając drinka.

— Miałem kilka spraw do załatwienia — odparł chłodno Shey, odwracając głowę w moją stronę.

Powstrzymałam się, aby nie uciec wzrokiem, gdy poczułam na sobie to elektryzujące spojrzenie. Przygniótł mnie dziwny ciężar, a moje ciało przeszył prąd, którego, o Chryste, tak kurewsko nie znosiłam. Mina Nathaniela jak zwykle pozostała oziębła i nonszalancka. Nasi znajomi bełkotali o czymś między sobą, całkowicie nas ignorując, tak jak ja ignorowałam ich. Trwałam w zawieszaniu. Czułam chłód, jaki bił od chłopaka, kiedy patrzył na mnie z zabijającą obojętnością. Z takim zniechęceniem, że mogło to zabołeć.

To mnie zdziwiło, ponieważ wtedy w łazience... myślałam, że będzie lepiej. Ale czego ja się spodziewałam? Przecież we wracaniu do punktu wyjścia byliśmy mistrzami. Dlaczego znowu musieliśmy to sobie robić? Dlaczego nie mógł się do mnie chociaż uśmiechnąć? Co znowu mu zrobiłam?

Gdybym wtedy wiedziała, jak zakończy się ta noc, prawdopodobnie w tamtej chwili wyszłabym z tej cholernej łóżki.

Ale nie wiedziałam. Bo wiedza to dar, który nie był mi dany.

Cisza była piękna

Zebrałam w sobie wszystkie siły, aby grać niewzruszoną i taką pozostać. Skoro on obrał tę taktykę, zrobiłam to samo, choć nadal się zastanawiałam, skąd wynikało jego negatywne nastawienie. Nathaniel cały czas patrzył mi w oczy, ani razu nie spojrzał na moje ciało. Na ramiona, talie, nogi. Czy chociażby na włosy, nie. Jego wzrok był utkwiony w moich oczach. Tak jak mój w jego.

Wszystko w nim w dziwny sposób krzyczało, abym się nie zbliżała, chociaż tak naprawdę otaczała nas *cisza*. Jego postawa była klarowna. Miałam trzymać się z daleka. Gdy to zrozumiałam, mój umysł zareagował automatycznie i zrobiłam to, co wychodziło mi najlepiej. Odpowiedziałam mu tym samym. Z dziwną mocą, która pojawiła się dosłownie znikąd, posłałam mu najbardziej puste i beznamienne spojrzenie, na jakie było mnie stać. To było tak kurewsko nieprzyjemne, świadomość, że patrzy na mnie z taką antypatią. Że po wszystkim on się tak zachowuje.

Czy ja również patrzyłam tak na innych? Czy to właśnie czuł Theo? Łód uderzył o łód. Może dlatego było to takie smutne.

— Pijesz, prawda? Jasne, że tak! — zapytał i odpowiedział sam sobie Matt, podając Nathanielowi kieliszek.

Chłopak odwrócił głowę i popatrzył najpierw na Donovana, a następnie na alkohol. Przejechał dłonią po włosach, lekko je mierzwiąc.

— Nie, prowadzę — mruknął cicho, na co niepokieszony Matt machnął ręką i sam opróżnił kieliszek.

— Idę tańczyć — burknęłam w stronę pijącego Scotta, który pokiwał głową.

Shey nie zareagował, całkowicie mnie ignorując. Odwróciłam się szybko i wpadłam na Mię i Laurę, które właśnie weszły do boksu.

— A ty już wracasz? — zapytała lekko wstawiona Roberts, łapiąc mnie za ramię, aby utrzymać równowagę po naszym zderzeniu.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, ponieważ Moore, widząc Nathaniela, pisnęła głośno i ruszyła w jego stronę.

— W końcu jesteś! — zawołała, po czym stanęła na palcach i zarzuciła mu ręce na szyję, mocno go przytulając.

Shey nie lubił kontaktu fizycznego, wiedziałam to od zawsze. Wzbraśniał się przed uściskami, jak mógł, było jednak kilka wyjątków od reguły, więc nawet mnie nie zdziwiło, że objął jedną ręką talię dziewczyny. Moore była przy nim taka mała i drobna, że całkowicie chowała się w jego szerokich ramionach.

Czy to, że nie zachował się w stosunku do mnie nawet w jednym procencie podobnie, powinno tak mnie poruszyć? Zdecydowanie nie.

— Zaraz ze mną zatańczysz, tak? — zapytała, na co chłopak spokojnie pokręcił głową, a kącik jego ust drgnął.

Patrzył na nią jak na małą, psotną dziewczynkę, którą wtedy bardzo przypominała. Starła się, aby każdy się dobrze bawił i cieszył wieczorem, więc dlaczego ja nie mogłam?

— Wiesz, że nie tańczę — odpowiedział jej, na co spojrzała na niego błagalnie, marszcząc pomalowany nos.

— Proszę! — zawołała.

Tęgo było już dla mnie za wiele, bo, kurwa, nie rozumiałam jednego. Nie oczekiwałam, że będzie skakał z radości na mój widok, ale nie obraziłabym się, gdyby po prostu się ze mną przywitał i nie był przy tym taki oschły. I nie patrzył na mnie, jakbym wymordowała mu rodzinę. Szczególnie że trzy dni wcześniej mówił mi o tym, co go męczyło, a ja starałam się pomóc, bo chciałam, aby się ogarnął i był szczęśliwy. Ucieszyłam się, kiedy Luke mi powiedział, że rzeczywiście się poprawiło. Przestałam się nawet stresować, że go spotkam. Jednak po tym powitaniu... Nic mu nie zrobiłam, a on potraktował mnie w taki sposób. Nie liczyłam na wiele, ale chociaż na zwykłą uprzejmość i na to, że będziemy żyli w pokojowych stosunkach.

Przecież on cię tu nie chce. Czego się spodziewałaś?

— Idę do łazienki — mruknęłam w stronę Mii, która posłała mi dziwne spojrzenie.

Bez oglądania się za siebie precisiśnęłam się przez tłum ludzi i weszłam na korytarz obok parkietu. Czułam się źle, choć nie powinnam była tak się czuć. Mój nastrój nie powinien zależeć od żadnej osoby, a w szczególności nie od tego narcystycznego dupka, którego humorki zmieniały się jak w kalejdoskopie. Miał mi popsuć imprezę, bo coś sobie ubzdurał? Dobrze sobie. Liczyłam, że będzie w porządku, ale widocznie dla Nathaniela byłam jedynie natrętną dziewczyną, której obecność musiał znosić. Przynajmniej tak to wyglądało w tej pierdolonej łoży.

Z wzajemnością!

Zacisnęłam szczękę, czując nagły przypływ gniewu. Zawsze zachowywał się tak wyniośle i nonszalancko, a nie był nikim szczególnym. Wredny, irytujący bachor.

Nagle poczułam, jak ktoś łapie mnie za ramię. Podskoczyłam w miejscu i od razu się odwróciłam. Zmarszczyłam brwi, widząc Mię.

— Hej, wszystko gra? — zapytała spokojnym głosem, patrząc na mnie uważnie.

Uspokoiliam się trochę i przełknęłam ślinę, kiwając głową. Nie wiedziałam, że za mną poszła.

— Tak, wszystko okej — skłamałam.

Posłała mi zmartwione spojrzenie, a potem obie ruszyłyśmy zatłoczonym korytarzem, kierując się do łazienki.

— Czemu miałoby nie być? — rzuciłam, zmuszając się do uśmiechu. Wzruszyła ramionami, wygładzając dłońmi przód sukienki.

— Wyglądałaś na złą w łoży — odparła.

Przeklełam w myślach, bo miałam nadzieję, że nikt tego nie zauważył. Westchnęłam ciężko, przez chwilę zastanawiając się, co odpowiedzieć i czy nie skłamać, ale wiedziałam, że to nie ma sensu.

— Po prostu niektórzy ludzie mnie drażnią — mruknęłam i wypuściłam ze świstem powietrze.

— A mówiąc „niektórzy ludzie”, masz na myśli Nate’a? — zapytała zaczepnie z błyskiem w oku, a na jej pomalowanych na beżowo ustach pojawił się delikatny uśmieszek, który niegdyś tak często widywałam, kiedy się ze mną drażniła.

Popatrzyłam na nią spod byka, ale widząc jej minę, nie mogłam się nie uśmiechnąć. Pokręciłam głową, czując się nagle nieco lepiej. Skłamałabym, mówiąc, że to nie było miłe i że za tym nie tęskniłam. Zrobiłam kilka kroków w przód, a zadowolona Mia szła dumnie tuż za mną.

— Mówiąc „niektórzy ludzie”, mam na myśli... o ja pierdole — rzuciłam zszokowana, zatrzymując się gwałtownie.

— O ja pierdole? — powtórzyła cicho Mia. — A to nie znam.

W szoku złapałam ją za nadgarstek i pociągnęłam, aby stanęła obok mnie. Trochę płątały jej się nogi, więc zrobiła to pokracznie. Kiedy zatrzymała się bliżej i stała już w miarę stabilnie, posłała mi zdziwione spojrzenie. W tamtej chwili tak mnie zamroczyło, że nie byłam w stanie nawet jęknąć, więc rozchyliłam usta i wskazałam głową na korytarz przy toaletach naprzeciw nas. Mia popatrzyła w tamtą stronę, szukając wzrokiem powodu mojego dziwnego zachowania, a kiedy zobaczyła to, co ja, szczęką opadła jej niemal do samej ziemi.

— Czy to się dzieje naprawdę, czy mam zwidy? — zapytałam na jednym wydechu nieco piskliwym głosem.

Och, kurwa.

Myślałam, że śnie, gdy w zaciemnionym, zadymionym korytarzu przy łazienkach, który oświetlało jedynie kilka ciemnoniebieskich neonów, ujrzałam Chrisa i Camerona. Chrisa i Camerona, którzy całowali się namiętnie przy jednym z filarów. Palce Adamsa mierzwiły włosy Wilsona, podczas gdy ten trzymał dłonie na biodrach naszego przyjaciela, przyciskając go do siebie. Całowali się z pasją i chyba zapomnieli o otaczającym ich świecie. Kompletnie nie zwracali uwagi na to, co działo się wokół. W pewnym momencie Cameron zrobił krok do przodu, a Adams poddał się temu bez żadnego sprzeciwu, nie odrywając od niego ust. W dwie sekundy znaleźli się przy ścianie, na którą Cameron niemal rzucił Chrisa. Plecy Adamsa mocno się od niej odbiły, ale chłopak nie miał czasu na wytchnienie, bo jego partner przygwoździł go i osaczył. Stanowczo złapał Chrisa za szczękę, przytrzymując jego głowę, a ten zgadzał się na wszystko, całkowicie mu się poddając.

O mój Boże.

— Tu jesteście. W końcu was znała... — obok nas rozległ się głos Laury, która jednak ucieła w połowie, kiedy spojrzała na scenę, jaka się tam rozgrywała.

Z Mią nawet na nią nie popatrzyłyśmy, nadal wlepialiśmy wzrok w chłopaków. Prawdopodobnie nie powinnyśmy były się tak temu przyglądać, ale... och, Panie. Znajdowałyśmy się w sporej odległości, coś mi jednak podpowiadało, że nawet gdybyśmy stanęły pięć cali od nich, i tak nie zwróciliby na nas uwagi. Błądzili dłońmi po swoich ciałach i nadal się całowali. Chris z niemałą siłą ciągnął Camerona za włosy, gdy ten obsypywał jego usta i szczękę kolejnymi pocałunkami.

— Okej, czy tylko ja się teraz dziwnie nakręciłam? — zapytała cichym, zdławionym głosem Laura, stając obok nas.

— Nie, nie tylko ty — odpowiedziała równie cicho Mia.

Piękno tej sytuacji było wręcz porażające. To, jak idealnie w tamtym momencie do siebie pasowali. Ciało wbijające się w ciało. Gucci i Saint Laurent. Szyk i klasa przy bogactwie i abstrakcji. Objijące się o siebie złote zegarki i sygnety. Ich rozgrzane twarze, brutalne pocałunki, które pozostawiały czerwone ślady na skórze. Uległy Chris zniknął przy pewnym sobie Cameronie, oddając mu się w pełni.

W końcu oderwali się od siebie, głośno dysząc. Posłali sobie zaledwie jedno spojrzenie, a następnie Cameron złapał dłoń Chrisa. Bez słowa szybkim krokiem ruszyli w stronę drugiego korytarza, który prowadził do wyjścia z klubu. Byli niecierpliwi i niespokojni, a po kilku sekundach zniknęli nam z oczu, wtapiając się w tłum.

Nawet nie drgnęłyśmy, stojąc zszokowane w tym samym miejscu. Moje oczy niemalże wyschły od niemrugania. Minęło kilka dobrych chwil, nim Laura odchrząknęła.

— Znaczy, ja wiedziałam, że to się wydarzy, ale... o kurwa — powiedziała, na co zamrugalam, wyrывая się z letargu. Spojrzałam na dziewczyny, które chyba też ledwo dochodziły do siebie po tej scenie. — Zdecydowanie chcę zdjęć.

— Jesteś niewyżyta — skomentowała Mia, a na jej wargach błdził delikatny uśmiech.

— Być może. — Moore wzruszyła ramionami. — Ale tak ładnie ze sobą wyglądali. I Cameron w końcu się przełamał! I to oznacza, że wygrałam zakład! — zawołała ucieszona, klaszcząc dłońmi.

Jęknęłam cicho, bo to oznaczało również, że ja przegrałam swój z Theo. No cóż, podejrzewałam, że to może się stać, ale nie żałowałam. Chris wydawał się zadowolony, a to było najważniejsze. Coś czułam, że

jego noc będzie naprawdę udana. Parsknęłam pod nosem, nadal lekko nie dowierzając. Chris i Cameron, kto by pomyślał.

— Chodźcie. Wracamy — mruknęłam.

— Nie chcesz do łazienki? — zapytała zadziornie Mia, wskazując głową na drzwi, przy których chwilę wcześniej doszło do niezbyt niewinnego aktu.

— Chyba odpuszczę — zaśmiałam się.

We trzy wróciliśmy do boksu, gdzie siedzieli nasi znajomi prócz dwóch małych rozrabiaków. Zadowolona Laura jak na skrzydłach wleciała do środka, a następnie opadła na kolana Matta, który siedział na kanapie. Ten, nieco wstawiony, przytrzymał ją jedną ręką, aby nie spadła, i spojrzał na nią z uniesionymi brwiami.

— Zgadnij, kto wygrał zakład — rzuciła zadowolona, klepiąc go po policzku, na co zmarszczył czoło. — Cameron i Chris właśnie wyszli razem z klubu. Pięćdziesiąt dolców — oznajmiła, wyciągając dłoń w jego kierunku.

Donovan jęknął niepokieszony, a Scott, który siedział obok niego, cicho się zaśmiał.

— Skąd wiesz, że się ze sobą prześpią? — zapytał.

— No czytać Biblii to oni raczej nie pojechali — prychnęła Mia, która przeszła przez boks i usiadła na miejscu obok Parkera. Ten od razu objął ją ramieniem, przyciskając do piersi.

— Oj, ktoś tu chyba przegrał... — mruknął z udawanym smutkiem Theo, który znalazł się obok mnie.

Przewróciłam oczami, ale bez słowa chwyciłam swoją torebkę leżącą na kanapie. Wyciągnęłam z niej dwadzieścia dolarów i oddałam swojemu bratu.

— Masz, harpio — burknęłam.

Odrzuciłam torebkę, po czym rozejrzałam się po boksie. Mój wzrok mimowolnie padł na Nathaniela, który siedział na swoim wcześniejszym miejscu, patrząc pusto na fiolki po szotach. Znów wydawał się nieobecny, jakby wcale nie chciał tam być. Reszta zamówiła następną kolejkę i chyba planowała nadal bawić się w najlepsze. Pokręciłam głową, kiedy Scott zaproponował, abym przy nim usiadła. Gdybym się zgodziła, wyładowałabym obok Sheya. Uśmiechnęłam się i znów poinformowałam ich, że idę tańczyć.

Kiedy odchodziłam, by wtopić się w tłum ludzi, czułam to przeklęte spojrzenie na swoich plecach.

DJ właśnie puścił remiks *Pour It Up* Rihanny. Było tłoczno i gorąco, kiedy przeciskałam się między ludźmi, aby dojść do miejsca jak najbardziej oddalonego od naszej łoży. Nie chciałam na niego patrzeć, myśleć o nim i rzucać mu ukradkowych spojrzeń. Chciałam odpocząć i się bawić. Zatrzymałam się, a następnie przymknęłam powieki i ze zmęczeniem westchnęłam, odchylając głowę. Czułam światła neonów, które rozplywały się na mojej twarzy, gorąco bijące od innych i zapach dymu papierosowego połączony z wonią alkoholu. Muzyka dudniła mi w uszach. Co chwilę ktoś się o mnie ocierał, ktoś trącał mnie rękami. Stopy bolały mnie od wysokich szpilek, a na plecach czułam strużkę potu, która prześlizgiwała się w dół. Ludzie tak głośno krzydzeli.

„Patron shots, can I get a refill?”

— *Wypij jeszcze! — zawołali głośno.*

Zaśmiałam się perłście. Byli tacy zabawni. Tacy niesamowici.

Naczynie wypełnione różowym, brokatowym płynem zostało wciśnięte w moją dłoń. Złote pierścionki z diamentami, które tkwiły na moich palcach, odbiły się z cichym brzdękiem od cienkiego szkła. Śmiejąc się jeszcze głośniej, uniosłam kieliszek, a następnie przechyliłam go. Różowy trunek wpłynął do moich ust i gardła, jednak było go tak dużo, że strużki pociekły po moich wargach i szczęce, a potem wdarły się na dekolt. Z szerokim uśmiechem odrzuciłam naczynie gdzieś na bok. Głośny odgłos tłuczonego szkła dotarł do moich uszu i spowodował jeszcze weselszy śmiech całej reszty. Zimne dłonie przejeżdżały po mojej szyi, rozmazując drogi alkohol na mojej skórze.

Przymknęłam powieki, odchylając głowę. Czułam wokół siebie tłum napierających na mnie ludzi. Każdy się śmiał. Czy ja się śmiałam? Chyba tak. Śmiałam się. Śmiałam się, nie zważając na to, że z oczu ciekły mi słone łzy, które mieszały się z lepkiem alkoholem na mojej twarzy. I nikt nie zauważył.

Bo oni również się śmiali.

Z letargu wyrwał mnie nagły dotyk. Otworzyłam oczy, wracając do rzeczywistości. Od razu zarejestrowałam czyjąś obecność tuż za sobą. Twarda klatka piersiowa dotykała moich pleców, a po chwili poczułam męską dłoń na swoim biodrze. Wyższy ode mnie mężczyzna zaczął bujać się w rytm muzyki, czekając, aż i ja to zrobię. Umieśniona ramiona dość nieśmiało objęły moją talię.

Chciałam zareagować instynktownie, czyli odskoczyć, aby nikt mnie nie dotykał, ale coś mnie zablokowało. Myśl o tym, że może to jest wyjście, aby choć przez chwilę odpocząć i się zabawić. Przez pierwszych kilka sekund jedynie stałam, z pustą miną patrząc w nieokreślony punkt przed sobą. Czekałam, aż dyskomfort opuści mnie na tyle, abym mogła się odwrócić do mężczyzny za sobą. Miałam dość tego wszystkiego. Tak strasznie mi się nie chciało. Byłam słaba, niewystarczająca, by to udźwignąć. Coraz łatwiej było mi zaakceptować ruchy nieznanego, gdy po prostu stałam pośrodku tłumu, czując, jakbym była tam sama. Bo w głębi duszy byłam. Dłonie mężczyzny zaczęły powoli sunąć wzdłuż mojej talii, jednak nie było to obcesowe ani nachalne. Starał się namówić mnie do tańca, jednak ja nie potrafiłam od razu odpowiedzieć.

Czułam się, jakby sufit miał mi spaść na głowę. Wokół mnie panowała cisza. Było tak cicho. Chociaż ludzie bawili się, tańczyli, a dudniąca muzyka mieszała się z ich krzykami, gdy zdzierali sobie gardła, ja miałam wrażenie, jakbym znalazła się w wygłuszonym pomieszczeniu. Przymknęłam powieki, kiedy poczułam oddech nieznanego na swoim barku. Zgrabnym ruchem odrzucił mi włosy z ramienia. Moja głowa bezwiednie opadła na bok, a zimne usta mężczyzny dotknęły skóry na mojej szyi. Nie towarzyszyło temu nic, jak zwykle. Jak zwykle nic nie czułam. Za każdym razem zaczynało się to i kończyło pustką. Wychodziłam z nieznaną osobą, spędzałam z nią noc, a nad rankiem znikałam i nigdy więcej już się nie spotykaliśmy. Uprawiałam seks machinalnie i bez zaangażowania, aby na moment pozbyć się natarczywych myśli i zrelaksować się fizycznie. Nie czułam kompletnie niczego oprócz chwilowego spełnienia. Jakbym była rzeźbą bez uczucia.

Rozchyliłam powoli powieki, czując na sobie czyjeś spojrzenie. Moje oczy niemal od razu znalazły te czarne tęczęwki. Nathaniel stał pod jedną ze ścian na podwyższeniu w znacznej odległości ode mnie, ale mimo to widziałam go lepiej niż kogokolwiek innego. Nie potrafiłam spuścić wzroku z jego kamiennej twarzy. Nasze spojrzenia się zderzyły i nawet tańczący wokół mnie ludzie nie mogli przerwać naszego kontaktu wzrokowego. Nathaniel pozostał w cieniu, choć światła co jakiś czas padały na jego sylwetkę, a jego biała koszulka świeciła się na niebiesko. Nie wiedziałam, dlaczego na mnie patrzył. Nie wiedziałam, dlaczego i ja na niego patrzyłam.

Ale wiedziałam jedno. Obraz mi się wyostrzył. Cisza nie była już tak ogłuszająca, tłum ludzi już tak nie napierał. Dłonie nieznanego mężczyzny mocniej zacisnęły się na moich biodrach, gdy przycisnął mnie do siebie. Bez emocji na twarzy pusto wpatrywałam się w czarne oczy. Byłam żywym trupem. Moje ciało ani trochę nie współpracowało z mężczyzną za mną, ale jemu to nie przeszkadzało. Jego usta składały kolejne mokre pocałunki na boku mojej szyi. *Wszystko nieistotne. Wszystko bez wyrazu.* Nathaniel nawet na chwilę nie spojrzął na poczynania mężczyzny, bo nie badał niczego innego prócz moich oczu.

To, że w tamtym momencie każda sekunda wydawała się wiecznością, było takie... niezwykle. Każde uderzenie mojego serca dzwoniło mi w uszach, wyrывая mnie z ciszy i czarnej otchłani. Chociaż otaczały nas dziesiątki ludzi, wydawało mi się, że byliśmy tam tylko ja i on. Chociaż ktoś właśnie całował moją szyję. Byłam głupia. *Och, taka głupia.* Wiedziałam, że najlepszą opcją byłoby odwrócenie wzroku, ale nie potrafiłam, bo gdy patrzyłam mu w oczy, w końcu wyrывałam się z pustki. W końcu zaczynałam słyszeć odgłosy życia. Widzieć żywe barwy.

— Jesteś śliczna. — Cichy głos nieznanego dotarł do moich uszu, jednak nie zwróciłam na niego większej uwagi.

Jego pocałunki stały się jeszcze mocniejsze, a uścisk zrobił się pewniejszy. Uważnie obserwowałam, jak Nathaniel delikatnie pochyla głowę, a jego mina staje się dziwnie groźna. Intensywność naszych spojrzeń wzrosła kilkukrotnie. Dziwne iskry, które przeskakiwały między nami, sprawiły, że poczułam znajome skurcze w podbrzuszu. W ciągu kilku sekund gardło prawie wyschło mi na wiór, a temperatura mojego ciała nienaturalnie wzrosła. Wypuściłam z płuc drżący oddech. Obcy mężczyzna mnie dotykał, ale w tamtej chwili mogłam myśleć jedynie o *nim*. O tym, jak niegdyś błędził dłońmi po moim ciele. Jak zaciskał swoje długie palce na moich biodrach. Jak jego oddech, który owiewał mi skórę, potrafił wywołać na niej ciarki. O tym, jaką kontrolę nade mną miał. Moje nogi stały się miękkie i niebezpiecznie drżały, a plecy oblał mi zimny pot.

Przełknęłam ślinę, gdy nagle do mnie dotarło, co się dzieje. Co ja najlepszego wyprawiałam, do cholery?! Zamrugałam i zerknęłam gdzieś w dół, aby to przerwać. Zacisnęłam szczękę i z przyspieszonym oddechem odwróciłam się w stronę mężczyzny za sobą. Spojrzałam na jego

twarz, a on posłał mi dziarski uśmiech. Był przystojny, miał niebieskie oczy i rudawe włosy, a na jego nosie dostrzegłam kilka piegów. Oceniałam go na mniej więcej trzydzieści lat.

Wiedziałam, że Nathaniel wciąż na mnie patrzy.

— Co ty na to, aby znaleźć ustronne miejsce? — zapytał mężczyzna, a ja bez namysłu pokiwałam głową.

— Tak, to dobry pomysł — odparłam.

Nieznajomy złapał mój nadgarstek, a następnie pociągnął mnie w stronę wyjścia.

Wszystko, byleby tylko o nim nie myśleć.

Jak w amoku przemierzałam kolejne jardy, aż w końcu znaleźliśmy się w jednym z korytarzy przy wyjściu z klubu, gdzie było sporo innych osób. Mężczyzna cały czas coś do mnie mówił, ale ja nie potrafiłam zarejestrować żadnego słowa. Rzadko ich słuchałam. Próbowałam opanować swoje ciało, na marne. Moje serce biło zdecydowanie zbyt szybko i niestety nie było to zasługą niebieskookiego rudzielca. Jednak on nie zdawał sobie z tego sprawy. Opierałam się plecami o zimną ścianę, mając nadzieję, że to mnie jakoś otrzeźwi. Mężczyzna położył jedną dłoń tuż obok mojej głowy, nachylając się ku mnie. Cały czas coś szeptał i nagle jedno zdanie przykuło moją uwagę.

— I będziesz mogła zrobić ze mną, co tylko zechcesz... — mruczał cicho, na co zmarszczyłam brwi, w końcu skupiając się na tym, co mówi.

Czekaj, co?

— Uwierz, pozwolę ci na wszystko. Będziesz decydowała o każdej rzeczy... — ciągnął, a mnie zapaliła się w głowie czerwona lampka.

Z jednego prostego powodu już wiedziałam, że nasza potencjalna wspólna noc nie dojdzie do skutku. Gdy poszłam na studia i zaczęłam eksperymentować, dowiedziałam się wielu rzeczy o sobie, swojej seksualności i tym, co mnie podnieca. Zdecydowanie nie było to dominowanie w łóżku. Słuchając słowotoku coraz bardziej nakręconego chłopaka, który powtarzał, że będę mogła zrobić z nim wiele rzeczy, a on mi na wszystko pozwoli, zrozumiałam, że on również należał do osób uległych. Taki seks nigdy nie kończył się dobrze, ani trochę mnie to nie kręciło. Może na co dzień byłam wyszczekana i wiedziałam, czego chcę, ale skłamałabym, mówiąc, że lubię rządzić w łóżku. Prawda była taka, że uwielbiałam być poddana komuś i zależna od drugiej osoby. Długi czas

zajęło mi odkrywanie tego, co najbardziej mi się podoba, i zdecydowanie preferowałam rolę uległej.

Cóż, może było jeszcze kilka innych rzeczy, którymi się nie chwaliłam.

Zacisnęłam usta w wąską linię, zastanawiając się, jak się z tego wykręcić. Słowa mężczyzny były coraz odważniejsze i wydał mi się mniej przyjazny niż na początku. Czułam się nieco niekomfortowo, bo zbliżał się coraz bardziej i zaczął pieprzyć coś o tym, że mogłabym go związać. Tego było już za wiele, znalazłam się w naprawdę nieprzyjemnej sytuacji. Oczywiście, że każdy ma prawo się rozmyślić, ale nie lubiłam dawać nikomu złudnej nadziei. Mimo to po prostu musiałam go zostawić.

— Wiesz, muszę wracać do przyjaciół. Pewnie mnie szukają — mruknęłam nagle, zmuszając się do uśmiechu.

Zdziwiony mężczyzna odsunął się lekko, patrząc na mnie z uniesioną brwią.

— Naprawdę miło było cię poznać i przepraszam, że tak znikam, ale muszę już iść. Cześć — pożegnałam się i korzystając z tego, że zaniemówił, szybko wyśliznęłam się z jego uścisku.

Odeszłam prędko w stronę głównej sali, jednak po zaledwie kilku krokach zastygłam. Nathaniel stał przy ścianie niedaleko miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą rozmawiałam z rudowłosym. Naprzeciw niego zobaczyłam ochroniarza, który z uśmiechem mu o czymś opowiadał. Shey uważnie go słuchał, skupiając na nim całą swoją uwagę. Zastanawiałam się, jakim cudem go nie zauważyłam, skoro stał tak blisko. Przestałam, gdy dostrzegłam mały uśmieszek, który malował się na jego kształtnych wargach. Znałam ten uśmiech, oj, znałam. Poprzez ten lekko uniesiony kącik ust, z kpiną i zadowoleniem, Nathaniel pokazywał ludziom, jak go bawią. Coś mi podpowiadało, że chociaż na mnie nie patrzył i skupiał się na konwersacji z ochroniarzem, ten uśmiech był przeznaczony dla mnie.

Sukinsyn.

Zacisnęłam szczękę i zła wróciłam do boksu, gdzie zastałam jedynie Matta z Laurą. Donovan był już naprawdę pijany, o czym świadczyły jego pijackie przyspiewki. Co chwilę czkał i kładł się na kanapie, aby po sekundzie wstać i znów śpiewać. Moore patrzyła na niego z politowaniem, pilnując, aby nic mu się nie stało. Szybko poinformowałam ich, że idę zapalić, bo naprawdę tego potrzebowałam. Chwyciłam swoją

paczkę i zapalniczkę, po czym wyszłam z boksu. Przepchnęłam się do wyjścia i opuściłam zadymiony klub.

Na zewnątrz wciągnęłam gwałtownie świeże, lekko mroźne powietrze. Było chłodno, jednak nie przeszkadzało mi to. Musiałam się orzeźwić. Wokół klubu jak zwykle stało sporo osób, niektórzy palili papierosy, inni blanty. Tam również było głośno, więc bez zastanowienia skierowałam się w stronę parkingu, aby znaleźć się na uboczu.

Kolejne trzy minuty spędziłam na przejściu w tych cholernych szpilkach po tych pieprzonych nierównościach. Dwa razy o mało nie upadłam i byłam bliska ściągnięcia butów, ale w końcu jakoś mi się udało dojść do celu. Znalazłam się na nieoświetlonej części parkingu, gdzie było cicho i spokojnie. Nogi naprawdę mnie bolały, więc szukałam czegoś, na czym mogłabym usiąść. Rozejrzałam się dookoła i nagle mój wzrok zatrzymał się na jednym z aut. Ręce mi opadły, gdy zrezygnowana mu się przyglądałam.

— To chyba jakieś jaja — warknęłam sama do siebie, patrząc na czerwonego mustanga.

Naprawdę? Właśnie wtedy, gdy nie chciałam myśleć o Nathanielu, bo miałam ochotę go uderzyć, musiałam wśród dziesiątek aut napotkać właśnie to? Czy życie aż tak bardzo mnie nienawidziło?

Przewróciłam oczami, mając to wszystko gdzieś, bo przynajmniej mogłam na czymś usiąść. Nie obchodziło mnie, że to by mu się nie spodobało. Mnie też wiele rzeczy się nie podobało. Podeszłam do mustanga, powoli usadowiłam się na jego masce i nieco się podciągnęłam. Odetchnęłam z ulgą, gdy moje stopy oderwały się od ziemi i nie czułam już nacisku. Wyciągnęłam papierosa z paczki i wsadziłam go pomiędzy wargi, a następnie szybko odpaliłam i zaciągnęłam się nikotyną.

Bezmyślnie obserwowałam dym, który wypuszczałam z ust. Chciałam się uspokoić, ale niestety pierwszy papieros nie przyniósł mi ukojenia. Kolejne dwa również. Byłam w trakcie czwartego, gdy nagle usłyszałam kroki. Odwróciłam głowę i niemalże jęknęłam, widząc Sheya, który szedł w moją stronę. W jednej dłoni trzymał swoją jeansową kurtkę, a w drugiej kluczyki od auta. Odwróciłam wzrok, odchrząkując i próbując grać niewzruszoną, gdy chłopak dostrzegł mnie na swoim samochodzie. Ściągnęłam usta i udawałam, że go nie widzę, bo poczułam się nieco głupio. Nathaniel podszedł do mustanga i zatrzymał się obok.

— Czy przypadkiem nie pomyliły ci się miejsca? — zapytał nagle, odzywając się do mnie po raz pierwszy.

Wow, progres.

Ku mojemu zdziwieniu nie wydawał się zły, mimo że siedziałam na masce jego dziecka, o które troszczył się bardziej niż o kogokolwiek innego. W dodatku moje ostre obcasy były niebezpiecznie blisko błyszczącego czerwonego lakieru, a popiół z mojego papierosa w każdej chwili mógł na niego spaść, chociaż pilnowałam się, aby strzepywać go na ziemię. Dlatego byłam nieźle zaskoczona, że powiedział to swoim zwykłym, wypranym z emocji głosem.

Wzruszyłam ramionami.

— Musiałam gdzieś usiąść — burknęłam niemiło, w końcu odwracając głowę w jego stronę.

Przewrócił oczami, nie komentując moich słów. Najwidoczniej nie miał ochoty na kłótnie i sprzeczki. Mój papieros był w połowie wypalony, a ja nie miałam zamiaru zejść, póki go nie skończę. Wewnętrznie klóciłam się sama ze sobą, ponieważ widok Sheya spowodował, że poczułam chęć mordy.

Panie, jak ja go nie znosiłam.

— Co tu robisz? — zapytałam z obojętną miną, na co uniósł brwi, patrząc na mnie tak, jakbym zadała najdurniejsze pytanie na świecie.

Właściwie tak było, ale musiałam to przedłużyć, bo naprawdę nie planowałam jeszcze wstawać.

Czy to był jedyny powód?

— Jadę do domu. A raczej chcę jechać — odpowiedział znudzonym tonem, patrząc na miejsce, na którym siedziałam. Włożył kluczyki do kieszeni spodni.

— Impreza nie podpasowała? — zakpiłam.

Wypuściłam z ust dym, patrząc na to, jak beznamyślnie obserwuje moją twarz.

— Jest na niej zdecydowanie zbyt wielu ludzi — odparł, wpatrując się w moje oczy.

Może nie o to mu chodziło, ale zabrzmiało to tak, jakby to mnie miał na myśli. Nie wiedzieć czemu, te słowa spowodowały dziwne ukłucie żalu w mojej klatce piersiowej. To zdecydowanie nie powinno było tak zaboląć. Bo niby kim on był? *Nikim*. Skinęłam głową, strzepując popiół z papierosa.

— Tak, uważam tak samo — mruknęłam oschle, po czym wyrzuciłam niedopałek. — Ale wydaje mi się, że zaraz się trochę przerzedzi.

Bawiałam się dobrze, póki się nie pojawił. I wszystko zepsuł.

Naprawdę chciałam, abyśmy byli dobrymi *kumplami*, ale on nam na to nie pozwalał. Nie, bo mówił i robił takie rzeczy. Nie, bo mieszał mi w głowie. Ale tak właśnie z nim było. W jednej chwili zajebiście dobrze, a w drugiej zachowywał się tak niezrozumiale i oschle. Nie oczekiwałam wiele, ale liczyłam na wzajemny szacunek.

Bez słowa zeskoczyłam z maski na ziemię i na szczęście ustałam na nogach. Poprawiłam sukienkę, czując wzrok Nathaniela na swoim ciele. Strzepnęłam dłonie i zabrałam paczkę papierosów oraz zapalniczkę, a następnie wyprostowałam się i hardo uniosłam głowę. Popatrzyłam mu w te jego czarne, elektryzujące oczy, nie kryjąc niechęci. Zaciskał dłoń na materiale kurtki, przez co nawet w ciemności zauważyłam jego uwydatnione żyły i ścięgna. Nie miałam pojęcia, co miał w tej swojej popieprzonej głowie, ale szczerze... mało mnie to już obchodziło.

— Bezpiecznej drogi — rzuciłam niedbale.

Nawet nie drgnął, więc postanowiłam przerwać ten cyrk i wrócić do środka. Nie zrobiłam jednak ani jednego kroku, ponieważ zatrzymał mnie jego głos.

— Wracasz tam? — zapytał bez emocji, na co zmarszczyłam brwi.

— Niby dlaczego miałabym nie wracać? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

— Bo jest tam zbyt wielu ludzi.

Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Patrzył mi w oczy, a w jego tęczęwkach załśniła dziwna iskra. Znałam życie na tyle, aby stwierdzić, że te iskry zwiastowały coś niebezpiecznego. Był taki męczący i skomplikowany. Dlaczego był oschły, a chwilę później chciał ze mną rozmawiać? Czy nie mógł po prostu odjechać i nie psuć mi wieczoru jeszcze bardziej? Już i tak czułam zbyt wiele negatywnych emocji. Byłam na siebie wściekła, bo przez niego pozwalałam sobie na to, by je czuć.

— Cóż — zaczęłam cicho, a mój głos był płytki i bezbarwny — może znajdzie kogoś wartego uwagi.

Po moich słowach, które niosły jasny przekaz, Nathaniel popatrzył na mnie z jawną kpina. Lewy kącik jego ust drgnął w ironicznym uśmiechu,

ale nie dałam się sprowokować. Bezczelnie spojrzałam na niego z wyższością, zakładając ręce na piersi.

— Wcześniej chyba niezbyt ci się udało — mruknął zaczepnie, zgrabnie nawiązując do nieznanego mężczyzny z klubu, a we mnie aż się zagotowało.

Cholera, jaki on miał tupet! *Sukinsyn*. Patrzyłam na jego nonszalancką postawę i na tę pierdoloną kpinę na jego twarzy, marząc jedynie o tym, aby zetrzeć mu ten głupi uśmieszek. Najlepiej swoją pięścią. To nie była jego sprawa. Nic, co mnie dotyczyło, nie było. Poczułam dumę, bo mimo nerwów zachowałam zimną krew. Przejechałam językiem po górnej wardze. Nathaniel wciąż patrzył mi w oczy, podczas gdy ja sztucznie się uśmiechałam, lekko przechylając głowę w bok.

— Śledzisz mnie? — zapytałam sucho.

— Mam ciekawsze rzeczy do roboty.

— To się nimi zajmij, bo chyba ostatnio nudzisz się w życiu. Albo idź się napij i zachowaj się jak gówniarz. To też ci zajebicie wychodzi.

Po tych słowach, którymi niemal splunęłam mu w twarz, ruszyłam w kierunku klubu. Niestety nie było mi dane odejść, bo kiedy znalazłam się obok chłopaka i już miałam go wyminąć, poczułam nagle szarpnięcie. Palce Sheya mocno zacisnęły się na moim ramieniu. Syknęłam z bólu, a Nathaniel pchnął mnie z powrotem w stronę samochodu. Zrobiłam kilka kroków w tył, cudem zachowując równowagę. Uderzyłam w maskę auta, a zapalniczka wraz z paczką papierosów wypadły mi z rąk, gdy podparłam się dłońmi o chłodną blachę. Odetchnęłam głośniejsz, czując wzbierający we mnie gniew. Jak on śmiał się tak zachowywać?! Zacisnęłam szczękę i gotując się ze złości, uniosłam głowę, ale wszystko, co chciałam mu wygarnąć, gdzieś uleciało, gdy zobaczyłam jego spojrzenie.

Nawet się nie zorientowałam, kiedy znalazł się tak blisko mnie. Nasze ciała dzieliły zaledwie cale. Patrzył na mnie z góry i widziałam w nim wściekłość. Krzyczała o tym każda komórka jego ciała, a najbardziej jego czarne oczy, które przybrały jeszcze ciemniejszy odcień.

Przełknęłam ślinę, zaciskając szczękę, aby nie dać się wyprowadzić z równowagi. Ani na chwilę nie spuściłam wzroku z jego oczu, ponieważ też byłam na niego wściekła. Czy on myślał, że mnie nastraszy tym spojrzeniem? Znałam go zbyt długo, by się go bać.

I to było moim błędem.

— Słuchaj, możesz sobie myśleć, co chcesz, ale nie masz prawa tak do mnie mówić — powiedział, a raczej wysyczał, nie szczędząc mi jadu. Zacisnął mocno szczękę i w tamtym momencie wydawał się jeszcze większy, niż był w rzeczywistości.

Jego głos sprawił, że poczułam ciarki na plecach. Nienawidziłam, kiedy używał tego ostrego i przerażającego tonu.

— Czyżbym trafiła w czuły punkt? — wyszeptałam kpiąco.

Wiedziałam, że igram z ogniem, ale nie zamierzałam przestać. Musiał wiedzieć, że ta szopka nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Och, naprawdę miałam skłonności samobójcze. Nikt o zdrowych zmysłach nie doprowadzałby Nathaniela specjalnie do takiego stanu. Atmosfera między nami była już tak gęsta, że trudno mi się oddychało. Było mi duszno, chociaż na zewnątrz panował chłód, a jedyne, na czym mogłam się skupić, to te przekłete oczy.

— Nie graj w to, Victoria — warknął powoli i cicho. Akcentował niemal każde słowo.

Z tak bliskiej odległości widziałam jego twarz w każdym calu.

— Nie rozumiem cię, wiesz? — rzuciłam nagle, a złość znów zawrzała w moich żyłach. — I nie będę starała się zrozumieć. Nie, kiedy zachowujesz się w ten sposób. I będę grała, w co będę miała ochotę. Nie masz tu nic do powiedzenia. W moim świecie nie masz.

Po tych słowach wyprostowałam się i chciałam odejść, ale chłopak ponownie mi nie pozwolił. Zacisnęłam szczękę, aby nie jęknąć z bólu, gdy znów złapał mnie za ramię i pchnął w to samo miejsce. Oparłam się tyłem o maskę, z zaciętą miną patrząc gdzieś za niego. Wiedziałam, że jedno spojrzenie w te czarne oczy, które cały czas bacznie mnie obserwowały, mogło mnie zgubić. Ku mojemu przerażeniu Nathaniel nachylił się do mnie i rzucił swoją kurtkę na maskę mustanga.

Zmusiłam się, by nawet nie drgnąć, kiedy uniósł dłonie, a następnie oparł je na masce samochodu po obu stronach mojego ciała. Serce waliło mi jak młotem, a myśli w mojej głowie mieszały się ze sobą w zastraszającym tempie. Nie miałam już żadnej drogi ucieczki.

— Puść mnie — zażądałam, bo jego bliskość była otumaniająca. Nie myślałam trzeźwo, a powinnam była. Nie mogłam tracić przy nim głowy. Musiałam pozostać czujna, bo jedna chwila zawahania i mogło być po mnie. — Chcę wrócić do środka.

Chcesz?

— Dlaczego nie poszłaś z tym typem? — zapytał nagle, co mnie zaskoczyło. Patrzył na mnie ostro, a jego oddech owiewał moje policzki. Nie czułam już niczego prócz jego wody kolońskiej, miętowej gumy, którą właśnie żuł, i... zapachu papierosów. *Tak jak kiedyś.* — Przecież chciałaś. Prawda?

Jego cichy szept unosił się między nami i sprawił, że zakreśliło mi się w głowie. Był tak blisko, oplatał całe moje ciało jak trujący bluszcz. Musiałam się skupić, aby zrozumieć to, co powiedział. O kim on... Zamrugałam i nagle pojęłam, a na moją twarz wkraśl się bezczelny uśmiech.

— Cóż, to nie twoja sprawa — odpowiedziałam równie cicho, z mocą patrząc w jego oczy, które niczego nie zdradzały. — Ale masz rację. Chciałam. I chyba nadal chcę, więc pójdę go poszukać — skłamałam, bo te słowa kierowane w jego stronę przyniosły mi dziwną radość.

Jego twarz ani drgnęła.

— Więc, jeśli pozwolisz... — mruknęłam, chcąc się wydostać, jednak jego reakcja była taka, jakiej oczekiwałam. Jego ramiona zacisnęły się wokół mnie jeszcze bardziej.

A trujący bluszcz wypuszczał kolejne pędy.

— Ślicznie kłamiesz — wyszeptał nagle, na co uniosłam brew.

— To nie jest kłamstwo — znów skłamałam.

Prawda była taka, że nie było mowy, abym wróciła do tamtego mężczyzny.

To było tak bardzo popierdolone. Dobrze wiedziałam, że dla własnego dobra powinnam skończyć tę niepoprawną gierkę, ale nic nie mogłam poradzić na to, że tego nie chciałam. Pragnęłam, aby ta rozmowa ciągnęła się w nieskończoność. Byłam tak bardzo głupia, bo mój mózg podpowiadał mi scenariusz, który ani trochę nie był prawdą.

Bo Nathaniel *nie* był *zazdrosny*.

— Oboje wiemy, że jest — szepnął poważnie.

— Dlaczego tak myślisz? — zapytałam równie cicho, patrząc na niego spod zmrużonych powiek. Zaciskałam palce na materiale swojej sukienki.

Bogowie, to było tak złe. Tak cholernie złe.

A kiedy na jego ustach wykwitł ten delikatny, dobrze mi znany uśmiech, którego pozazdrościłby mu sam Szatan, wiedziałam, że to koniec.

— Bo wiesz, że on nie da ci tego, czego chcesz.

To było w każdym aspekcie niemoralne. W ciszy przyglądałam się tym pieprzonym oczom, które pochłaniały mnie bez reszty, i dopiero skurcz w dole mojego brzucha przywrócił mnie do rzeczywistości. Nie, nie, musiałam się opanować! To był Nathaniel. Nathaniel Gabriel Shey!

Co ty wyprawiasz, dziewczyno? Mało ci kłopotów?

— Bo jeszcze pomyślę, że jesteś zazdrosny — mruknęłam, aby jakoś się obronić, ale chłopak nie dał się zbić z tropu.

— Przestałam być o ciebie zazdrosny lata temu.

Jego słowa w szybki sposób mnie otrzeźwiły. Wiedziałam, że dawniej był zazdrosny, bo był władczy i lubił, kiedy wszystko szło po jego myśli. Gdy byłam głupią małolată, uwielbiałam to. To, w jaki sposób patrzył na innych facetów, którzy kręcili się wokół mnie. Było to dla mnie zajebicie cenne, ponieważ wtedy czułam, że jestem dla niego ważna. Z perspektywy czasu wiedziałam, że to było gównno warte. Byłam szczęśliwa jedynie przez chwilę, a potem przychodziły kłótnie, wyrzuty i zimne traktowanie.

Byłam głupia, myśląc, że Nathaniel znów był o mnie zazdrosny? Dlaczego miałby, skoro nic nas nie łączyło? Do tego to, co mówił i jak się wobec mnie zachowywał, wskazywało, że nie pała do mnie sympatią.

Nie znosiłam go. Tak cholernie nie znosiłam jego całego i tego, że tak łatwo traciłam przy nim kontrolę.

Pod wpływem złości, która rozsadzała mi żyły, zacisnęłam zęby, a następnie uniosłam prawą dłoń. Dość brutalnie złapałam go za szczękę, zaciskając na niej palce. Odwdzięczałam się za ramię.

Nathaniel nie był nawet zaskoczony. Z dziwnym zadowoleniem patrzył mi w oczy, podczas gdy ja obserwowałam go z zaciętą miną.

— Gratuluję refleksu — powiedziałam chłodno. — Teraz wiem, że nie opłacało się być zazdrosną o ciebie. Bo nie było o co. — Z tymi słowami z całej siły odepchnęłam jego twarz, a mój paznokciec przejechał mu po policzku, zostawiając na jego skórze czerwoną szramę.

Włożyłam w to naprawdę sporo siły, więc Nathaniel się odsunął i odszedł kilka kroków w tył z kamienną twarzą i pustym wzrokiem. Dotknął miejsca, gdzie go podrapałam, a ja zebrałam zapalniczkę i papierosy z ziemi.

Byłam głupia, że dałam się w to wciągnąć.

Nagle telefon Nathaniela zaczął dzwonić. Nawet nie zerknąwszy na chłopaka, ruszyłam w stronę klubu.

— Co się stało, Laura? — zapytał, co sprawiło, że przystanęłam w miejscu. Bałam się, że wydarzyło się coś złego.

Ignorując swoją złość na tego idiotę, popatrzyłam na jego twarz, gdy uważnie słuchał, co mówi do niego dziewczyna. Zmarszczyłam brwi, posyłając mu pytające spojrzenie, na co pokręcił głową. Mój wzrok padł na draśnięcie na jego policzku. Było trochę czerwone, ale nie leciała z niego krew. Cóż, należało mu się.

Po chwili rozmowy Shey westchnął ciężko, a następnie ze znużeniem przewrócił oczami.

— Dobrze, już idę — mruknął, rozłączył się i schował urządzenie do kieszeni.

— Co się stało? — zapytałam od razu.

— Nic. — Wzruszył ramionami. — Matt już nie kontaktuje i muszę pomóc przenieść go do taksówki, bo cała reszta jest zbyt pijana.

Znów ciężko westchnął i chwycił swoją kurtkę, która leżała na masce mustanga. Skierował się w stronę klubu, a kiedy się zorientował, że dalej stoję w miejscu, odwrócił się i popatrzył na mnie z uniesionymi brwiami i jawnym zdudzeniem. Przewróciłam oczami, ale poszłam za nim. W końcu i tak musiałam wrócić, chociaż najchętniej wybrałabym trasę oddaloną od niego o tysiąc mil. Niezgrabnie stąpałam po nierównościach, przeklinając pod nosem. W pewnym momencie cudem zachowałam równowagę. Niewiele dzieliło mnie od uderzenia twarzą w beton.

Nathaniel szedł przede mną i wyprzedzał mnie o dobre kilka jardów. Co jakiś czas odwracał się w moją stronę, przewracając oczami i wdychając. Był rozdrażniony przez moje powolne ruchy, na co fukałam pod nosem. Mógł mnie zostawić, nie obraziłabym się. Prawdę powiedziawszy, byłabym szczęśliwa, bo nie musiałabym znosić jego obecności.

Przy kolejnej wiązance przekleństw, jaką z siebie wyrzuciłam, i gdy zaczęłam iść jeszcze wolniej, zrozumiałam, że Nathaniel nie wytrzyma. Byłam pewna, że machnie ręką i zostawi mnie w tyle, więc jakież było moje zdziwienie, kiedy się zatrzymał, a następnie odwrócił. Uniosłam głowę i zerknęłam na jego zdenerwowaną i pełną determinacji twarz. Patrzył prosto na mnie, a jego oczy jasno mówiły, że ma tego dość. Jego cierpliwość się skończyła. Szybkim krokiem ruszył ku mnie, a ja na

początku nie rozumiałam, co planuje. Pojęłam to dopiero wtedy, gdy do mnie podszedł, objął mnie w talii i się schylił, a potem sprawnie przewiesił mnie sobie przez jedno ramię i uniósł. Moje nogi oderwały się od ziemi. Jedyne, co widziałam, to tył jego pleców. Włosy opadły mi na twarz, przysłaniając i tak ograniczony widok.

— Zwariowałeś?! — wydarłam się, kiedy bez słowa ruszył w stronę klubu.

Zszokowana podparłam się dłońmi o jego plecy, wyginając ciało w łuk. Czułam jego silne ramię, które mocno przytrzymało mnie w talii, abym nie spadła. Jego dłoń spoczywała na dole moich pleców i ani trochę mi się to nie podobało. Odrzuciłam włosy, przekręcając się na tyle, na ile mogłam, aby cokolwiek zobaczyć, ale dostrzegłam tylko tył jego głowy. Szedł szybko przed siebie, jakby mój ciężar w ogóle mu nie przeszkadzał.

— Odstaw mnie, ty kretynie! — warknęłam, wierzgając i machając nogami, jednak na niewiele się to zdało, bo był o wiele silniejszy. Jeszcze bardziej wzmocnił swój uścisk. Nie reagował. — Nate, do kurwy!

— Nie mam zamiaru siedzieć tu w nieskończoność tylko dlatego, że się wleciesz — burknął znużony. — Następnym razem włóż jakieś gówno, przez które się nie zabijesz.

— To gówno jest warte więcej niż ty — rzuciłam ze złością, zaciskając palce na jego koszulce. Z nienawiścią spojrzałam na tył jego głowy, marząc o tym, aby go uderzyć. Idiota! Znów wierzgnęłam, jednak niewiele mi to dało. — I było pójść samemu! Ja bym sobie poradziła.

Po moich słowach prychnął prześmiewczo, ale nawet tego nie skomentował. Byliśmy coraz bliżej klubu.

— Nate, moja sukienka jest naprawdę krótka, nie chcę świecić tyłkiem przed tymi wszystkimi ludźmi — jęknęłam.

Czułam, że kiecka już i tak się podwinęła, i naprawdę nie podobała mi się wizja tego, że moje pośladki są tuż obok jego twarzy. A już na pewno nie chciałam, aby moje czarne figi oglądali inni.

— Było założyć dłuższą — odparł jedynie, na co z całej siły uderzyłam go pięścią w plecy.

Nie zdziwiłam się, gdy nawet się nie wzdrygnął.

— Nate! — zawylałam piskliwie.

W wyobraźni widziałam, jak przewraca oczami. Już miałam nadzieję, że mnie puści i nie będzie robił z nas darmowego przedstawienia, gdy

nagle poczułam zimny materiał jego jeansowej kurtki, który narzucił na mój tyłek, przykrywając go. Zacisnęłam szczękę, czując wybuch złości w każdej komórce swojego ciała. Z nienawiścią popatrzyłam na tył jego głowy. Niemal widziałam ten kpiarski, parszywy uśmiech.

— Proszę bardzo — powiedział z namacalnym zadowoleniem. — Teraz już nikt nie będzie nic widział.

— Nienawidzę cię, o Boże — jęknęłam męczyńsko i opadłam bezwładnie na jego plecy, przymykając powieki.

Po kilku chwilach byliśmy już obok klubu. Ku mojej radości Nathaniel w końcu się pochylił i odstawił mnie na ziemię, jednocześnie zabierając swoją kurtkę. Odetchnęłam, kiedy stanęłam na pewnym gruncie. Od razu poprawiłam sukienkę. Czułam, że kilka par oczu przygląda nam się ze zdziwieniem i rozbawieniem, za co nie znosiłam Sheya jeszcze bardziej. Z mordem w oczach popatrzyłam na zadowolonego z siebie chłopaka, który właśnie wkładał kurtkę. Oddychałam szybko, a włosy miałam potargane i zapewne wyglądałam jak siedem nieszczęść. Najwyraźniej bawiłam tego matoła, który uniósł kpiąco kącik ust, poprawiając ubranie.

— W piekle jest specjalne miejsce dla takich jak ty — warknęłam zachrypniętym głosem, kiedy Nathaniel schował swój krzyżyk z powrotem pod koszulkę.

— Wiem, a teraz idź — odparł, wskazując na wejście do środka.

Bez słowa odwróciłam się i wmaszerowałam do klubu. Chłopak szedł cały czas za mną. Szybko znaleźliśmy się w loży, gdzie siedzieli Scott, Laura oraz Matt. No cóż, ten ostatni raczej spał rozwalony na skórzanej kanapie. Moore, widząc nas, szybko się podniosła. Również się chwiała, ale kontaktowała bez problemu. Hayes natomiast był w niewiele lepszym stanie od Donovana i coś czułam, że może skończyć podobnie.

— Dobrze, że jesteście — mruknęła dziewczyna. — Tu już nie ma co zbierać — powiedziała cicho, trącając butem nogę Matta.

Chłopak ani drgnął.

Nathaniel westchnął, ale posłusznie podszedł do chłopaka. Ja w tym samym czasie odnalazłam swoją torebkę. Wrzuciłam do niej papierosy wraz z zapalniczką i wyciągnęłam telefon, aby sprawdzić, która godzina. Zegarek wskazywał dopiero za dwadzieścia pierwszą. Pokiwałam głową i już miałam odłożyć iPhone'a, gdy dostrzegłam powiadomienie. Kliknęłam i przeczytałam wiadomość.

Nieznany: Sprawy się pozmieniały. Mogę oddać walizkę dziś o pierwszej. Później mnie już tu nie będzie. Pierwsza droga po lewej obok znaku wjazdu do Culver City. Nie spóźnij się.

Ponownie przeczytałam treść wiadomości, mając nadzieję, że coś źle zrozumiałam, a następnie zamarłam. Wiedziałam, że SMS był od Brooklyna, ale... Cholera! Z przerażeniem spojrzałam na datę i godzinę. Wiadomość została wysłana kilkadziesiąt minut wcześniej. Moje dłonie zaczęły się trząść, a oddech mi przyspieszył. Mój umysł zaczął pracować na najwyższych obrotach. *Boże, to dzisiaj. Kurwa.* Nie byłam na to gotowa, to nie miało wydarzyć się tak nagle. Miałam to dobrze rozplanować. Potrzebowałam czasu, a zostało mi jedynie pierdolone dwadzieścia minut.

— Chryste — szepnęłam zdławionym głosem.

Niewiele myśląc, szybko ruszyłam w stronę wyjścia, w jednej dłoni trzymając swój telefon, a w drugiej torebkę. Nie obchodziły mnie nawoływania reszty. Jak w amoku przepychałam się przez tłum ludzi, objając się o nich. Drżącymi dłońmi zaczęłam szukać numeru osoby, z którą musiałam się skontaktować. Klęłam pod nosem, bo przez stres nie potrafiłam go namierzyć. Gdy mi się udało, wybiegłam z klubu.

— Szybciej — mruczałam pod nosem, słuchając kolejnych sygnałów.

Wiedziałam, że jeśli nie znajdę się w ustalonym miejscu w przeciągu dwudziestu minut, Brooklyn znów wyjedzie, a tego Vincent by mi nie podarował. Nie było mowy, aby udało się przesunąć termin, więc nawet nie próbowałam. White był sukinsynem, a do tego bał się Vincenta. W każdej chwili mógł zmienić zdanie i uciec. Strach był powodem wielu głupich i pochopnych decyzji.

— Federico Gueva przy telefonie. — Miły formalny głos odezwał się po drugiej stronie słuchawki.

— Brooklyn White chce się spotkać za dwadzieścia minut na ulicy przy wyjeździe z miasta — powiedziała na wydechu, przewieszając sobie w międzyczasie torebkę przez ramię. — Ma ze sobą walizkę, a po pierwszej nie będzie go już w Culver City.

— Zrozumiałem — odpowiedział poważnie mężczyzna. — Gdzie się pani znajduje? — zapytał, więc podałam mu adres. — Dobrze. Proszę czekać. Auto będzie po panią za dziesięć minut.

Po tych słowach się rozłączył. Wciągnęłam głośno powietrze, a ręce opadły mi po obu stronach ciała. Znów działałam w stresie i w strachu. To nie miało tak być, nie tak szybko. Nie, bo nie spędziłam wystarczająco dużo czasu z Theo. Nie, kiedy jeszcze się z nim nie pożegnałam, bo choć wciąż miałam nadzieję, że się uda, wiedziałam, że prawdopodobieństwo porażki jest duże. Brooklyn nie miał pojęcia, że będzie tam też Vincent. Miałam mu to przekazać w odpowiednim czasie, przygotować go.

Zacisnęłam powieki, wplątując palce we włosy. Przed oczami miałam swojego brata, Mię, Luke'a, Laurę, Nathaniela... Widziałam Erika, który nam zaufał. Widziałam pełne zawiści twarze Brooklyna i Vincenta. I byłam świadoma tego, że mam znaleźć się w samym środku piekła. To był mój plan, tak, ale to nie miało wydarzyć się tak szybko. Chciałam to sobie wszystko poukładać i spędzić więcej czasu z ludźmi, na których mi zależało. Co im miałam powiedzieć? Nawet nie wiedziałam, gdzie znajdował się Theo. Nie mogłam się pożegnać, bo nie miałam czasu, aby go szukać. Samochód miał być po mnie lada chwila...

— Clark? — Cichy głos za mną spowodował, że odwróciłam się w stronę klubu.

Niedaleko wejścia, w odległości kilkunastu stóp ode mnie, stał Nathaniel, patrząc na mnie ze zdziwieniem. Oddychałam nierówno, zaciskając palce na swoim telefonie. Przełknęłam ślinę, w ciszy przyglądając się chłopakowi.

— Theo cię szukał — mruknął bezbarwnym głosem, ale coś w jego czarnych oczach dziwnie zalśniło. Chwilę ze sobą walczył, aż w końcu westchnął ciężko i jeszcze uważniej na mnie popatrzył. — Dobrze się czujesz? — zapytał, a ton jego głosu przekonał mnie, że naprawdę chce wiedzieć. Że naprawdę się interesował, że go to obchodziło.

Może wariowałam? Może chciałam uwierzyć w coś, czego nie było?

W końcu to Nathaniel Shey, którego od zawsze nie potrafiłam zrozumieć. Nathaniel Shey, który na początku naszej znajomości przerażał mnie i onieśmielał. Chłopak, z którym dorosłam. Któremu w pewnym momencie mojego życia ufałam najbardziej na świecie. Był taki dziwny, skomplikowany i poplątany. Był pierwszym chłopakiem, który stał się dla mnie naprawdę ważny, i choć minęły cztery lata, wiedziałam, że potrzebowałabym kolejnych czterystu, aby zapamiętać. Choć pewnie i po

takim czasie bym pamiętała. Wszystko. Każde kojące i każde brutalne słowo, każdy delikatny dotyk i każdy szczery uśmiech.

Wiedziałam, że nie myślę trzeźwo. *Vincent, Brooklyn, układ, walizka, Theo, plan*. Nie odpowiedziałam Nathanielowi, zamiast tego powoli odwróciłam się w stronę wjazdu na parking, gdzie właśnie zatrzymało się eleganckie czarne auto. To samo, którym jechałam na spotkanie z Vincentem. Chciało mi się wymiotować ze stresu. Za dziesięć minut miałam być świadkiem prawdziwej wojny.

Znów odwróciłam się do Nathaniela. Widziałam rosnące zdziwienie malujące się na jego twarzy. Patrzył na mnie tak, jakby nic nie rozumiał, co nie zdarzało się często. Bo *nie rozumiał*, a ja wiedziałam, że nie mogę mu tego wytłumaczyć. Nasze spojrzenia spotkały się pośrodku, jednak tym razem się nie zderzyły. Dotąd, gdy nasze oczy się spotykały, to zawsze był sztorm. Otaczały nas pioruny, błyskawice i tornada. To wszystko było mocne. Nieprzyjemne i gwałtowne albo cholernie intensywne. Bo my tacy byliśmy. To nas definiowało. Cztery lata wcześniej i teraz. Byliśmy jak tornado, ale w tamtej chwili... to był zaledwie lekki deszczyk. Ten przyjemny, po którym zawsze wychodziło słońce. Który orzeźwiał i sprawiał, że na błyszczącej trawie osiadały kropelki wody. Który tworzył piękną poświatę na lekko zachmurzonym niebie. Po którym powietrze pachniało świeżością i wiosną. Niczym dotyk skrzydeł motyla. Delikatne, finezyjne i *nasze*. Nate nie patrzył na mnie z wrogością. Pierwszy raz od dawna i ja nie przywołałam na twarz pustej, beznamiętnej maski. Nie chciałam tak go zostawić. To nie miało tak wyglądać.

I wtedy już nie myślałam. Z całą mocą, jaką w sobie poczułam, ruszyłam w jego kierunku, wciąż patrząc mu pewnie w oczy. Znalazłam się naprzeciw niego, bez zastanowienia położyłam dłonie na jego policzkach, a potem wpiłam się w jego wargi.

Byłam grzesznicą, nie wierzyłam w Boga ani w Raj. Od dawna uważałam, że po śmierci niczego nie ma, że rozplywamy się w nicości. To przemawiało do mnie najbardziej ze wszystkiego. Nie wierzyłam w Szatana ani w piekło. W upadłych aniołów i w tych, którzy sprawowali pieczę w niebie. Boskość i tematy biblijne przemawiały do mnie jedynie w sztuce. Tylko tam były w pewnym sensie piękne, ale nigdy nie odnosiłam tego do rzeczywistości. Moja mama, jako osoba o głębokiej wierze, za życia często mawiała, że trzeba być dobrym człowiekiem, aby

nie skończyć w piekle. Żałować swoich grzechów, kochać innych. Każdy wierzący tego chciał. Znaleźć się w Raju. Być wiecznie szczęśliwym u boku Pana. I gdybym w to wszystko wierzyła, gdybym ufała... gdyby ktoś powiedział mi, że tak właśnie wygląda piekło, nie żałowałabym żadnego popełnionego na ziemi grzechu.

Bo *cisza* przestała być straszna. Wciąż przy mnie była, ale nie wydawała się ciemną, zimną otchłanią. Przypominała raczej wschód słońca. Moment, kiedy powoli wznosiło się ku górze, muskając ciepłymi promieniami zmarzniętą ziemię. Gdy pierwsze ptaki zaczynały swoje symfonie. Kiedy świat budził się do życia. Po mroźnej nocy spędzonej w mroku nagle przychodziła światłość. I to było takie piękne uczucie. Nie bałam się już. Nie bałam się ciszy ani tego, że znów mnie pochłonie i będę sama. Bo teraz wiedziałam, że chociażbym miała spędzić sto tysięcy samotnych, ciemnych nocy, na końcu i tak miało pojawić się słońce. *Cisza wreszcie stała się piękna.*

Z zamkniętymi oczami i pasją całkowicie oddałam się tej chwili, całując pięknego chłopaka. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale było wystarczające. Zaciskałam palce na jego policzkach, czując znajomą fakturę jego idealnych warg. Czułam jego kojący zapach i to ciepło. Po cholernych czterech latach to nadal było takie samo. Elektryzujące i otumaniające. Całowałam go z mocą, zapewniając samą siebie, że wszystko się ułoży. Wydawało mi się, że po miesiącach suszy w końcu przyszedł upragniony deszcz.

Nathaniel nie zdążył nijak zareagować, bo po trzech sekundach, które dla mnie były wiecznością, odsunęłam się delikatnie od jego ust. Nie oddał pocałunku, bo mu nie pozwoliłam, i nie wiedziałam, czy uczyniłby to, gdyby to trwało dłużej. Cóż, nie miałam się tego dowiedzieć. Nie mogłam pozwolić, aby go oddał. To nie miał być cudowny pocałunek kochanków po latach. To nie był nasz powrót. To był jedynie mój egoizm.

Nadal stałam blisko, wciąż trzymając swoje zimne dłonie na jego policzkach. Czułam jego lekko przyspieszony oddech na swoich wargach. Jego gorące ciało. Czas się zatrzymał. Bogowie, czas rzeczywiście się zatrzymał.

Dzieliły nas zaledwie cale, gdy zdecydowałam się unieść dotychczas zamknięte powieki. Spod rzęs, lekko zamglonym wzrokiem popatrzyłam w jego czarne oczy. Nie było w nich pytania. Nie było również odpowie-

dzi. Dostrzegłam tam tylko kilka prawie niewidocznych iskierek, które mogłyby oświetlić drogę zbłąkanym wędrowcom. Ja nim byłam. Byłam wędrowcem. I czułam się wdzięczna, że mi na to pozwolił. Nawet jeśli to był ostatni raz, a po wszystkim miał nie chceć mnie znać.

Cisza była piękna.

— „Straciliśmy świat i świat stracił nas” — wyszeptalam, nie wiedząc czemu, słowa z lektury czytanej w liceum.

Mój zachrypnięty głos był niemal niesłyszalny. Lekki i rozplywający się w powietrzu jak ta chwila. Obserwowałam idealną twarz Nathaniela, by zapamiętać każdy szczegół. Wiedziałam jednak, że nie mam więcej czasu. Uniosłam smutno kącik ust, odrywając dłonie od policzków chłopaka. Nie spuszczać wzroku z jego czarnych oczu, zrobiłam dwa kroki do tyłu. Znów dopadł mnie chłód. Nie czułam już ciepła jego ciała, zostałam sama.

— Kurwa, tak strasznie cię za to przepraszam, Nate.

Po tych słowach się odwróciłam i nie patrząc za siebie, ruszyłam w stronę auta. Wiedziałam, że mnie obserwował, kiedy szłam do samochodu i gdy wsiadłam do środka. Ja nie spojrzałam na niego ani razu. Bez słowa usiadłam na tylnym siedzeniu i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Serce boleśnie obijało mi żebra, a cisza dzwoniła w uszach. Staralam się opanować swój oddech, ale nie było to łatwe. Wtedy już nic nie było łatwe.

— Życie to seria niełatwych wyborów. — Spokojny głos Vincenta przerwał ciszę.

Przełknęłam ślinę, spoglądając na mężczyznę, który siedział na miejscu obok mnie, obserwując obraz za przyciemnianą szybą.

— A i tak każdy wybór prowadzi nas do nieuchronnego końca. Naszym zadaniem jest jedynie dokonywać takich wyborów, aby ta droga była jak najdłuższa — dodał, po czym spojrzał mi w oczy, uśmiechając się. — Doprawdy, stanowicie we dwoje bardzo ładny obrazek. Pasujecie do siebie w sposób, który trudno opisać słowami, bo z zewnątrz wyglądacie pięknie, ale waszą historię, to, co przeszliście, można opisać jako tragedię. Ale chyba tak to już jest, że piękno często łączy się z zagładą.

Spojrzałam na niego spod byka.

— Jedź — rzucił do kierowcy, który od razu ruszył spod klubu.

Wiedziałam, że Nathaniel wciąż tam stał i obserwował samochód, w którym siedziałam, ale byłam zbyt przestraszona, aby posłać mu

ostatnie spojrzenie, którego i tak by nie zobaczył. Podejrzewałam, że mój telefon zaraz zacznie wariować z powodu nadchodzących połączeń. Bez namysłu go wyłączyłam. Nie potrafiłabym znowu skłamać. Nie mogłabym napisać Theo, by się nie martwił, skoro wiedziałam, że coś może mi się stać. Nie zasługiwał na to.

Samochód z zawrotną prędkością pokonywał kolejne ulice. W kompletnej ciszy patrzyłam na ciemne miasto za oknem, zastanawiając się, czy widzę je ostatni raz. Czy dane mi będzie znów jeździć po tych uliczkach... Każdy błąd mógł mnie kosztować życie. Znalazłam się w środku chaosu, w którym coraz bardziej się gubiłam.

Skłamałabym, mówiąc, że się nie bałam. Cholernie bałam się tego, co nastąpi. Bałam się, że nie wyjdę z tego cało, ale najbardziej tego, że więcej ich nie zobaczę. Theo, Erika, Mii i całej reszty... Że nigdy nie zobaczę już *jego*.

— Chciałbym, abyś wiedziała, że jestem ci bardzo wdzięczny — mruknął Vincent, wrywając mnie z letargu.

Nie spojrzałam w jego stronę, dalej wpatrując się w ciemną szybę. — Za wszystko, co robisz.

— Nie robię tego dla ciebie — burknęłam.

— Wiem — odparł od razu. — Ale i tak jestem wdzięczny. Twoja odwaga i szlachetność są zaskakujące.

Raczej egoizm i hipokryzja.

— Zapamiętam to — dodał, a auto się zatrzymało. — Najpierw wysiądziesz ty. Niech myśli, że jesteś sama. Odda ci walizkę i wtedy z nim porozmawiam.

Czułam, że blednę pod wpływem stresu i negatywnych emocji. Widziałam przez szybę zarys dwóch dużych samochodów, które stały niedaleko. Kręciło się przy nich trzech mężczyzn. Moje dłonie drżały, było mi niedobrze i słabo. Podskoczyłam w miejscu, gdy kierowca opuścił auto. W głuchej ciszy obserwowałam, jak je okrąża, a potem drzwi z mojej strony się otworzyły. Nie potrafiłam zmusić się do tego, by wysiąść. Zastygłam w jednej pozycji, wpatrując się przed siebie.

Kierowca, widząc mój stan, złapał moją dłoń, a następnie mnie pociągnął, zmuszając do ruchu. Wysiadłam i stanęłam na trzęsących się nogach, a mężczyzna zamknął za mną drzwi. Splótł ręce i z kamienną twarzą stanął przy aucie.

Staliśmy na małej polance. Wokół rosły wysokie drzewa, a pod stopami miałam trawę. Czułam, jak moje szpilki zatapiają się w mokrej ziemi, i pierwszy raz chciałam utonąć. Kilkanaście jardów dalej były zaparkowane dwa auta, których reflektory oświetlały wszystko wokół. Zmrużyłam powieki, kiedy jeden ze stojących przy nich mężczyzn nachylił się nad lekko uchyloną szybą.

Po kilku chwilach Brooklyn White wysiadł z auta i stanął na trawie. Otrzepał przód swojej skórzanej kurtki, po czym wbił we mnie wzrok. Jego cienkie wargi rozciągnęły się w przerażającym uśmiechu, od którego dostałam gęsiej skórki. Zebrałam w sobie całą odwagę, by wytrzymać to spojrzenie. Mężczyzna z zadowoleniem zrobił kilka kroków ku mnie, zatrzymał się jednak w bezpiecznej odległości. Jego ludzie obserwowali to mnie, to kierowcę za mną, upewniając się, że niczego nie kombinujemy.

— Jednak jesteś — rzucił donośnie, abym dobrze go usłyszała. Jego wzrok zjechał z mojej twarzy na ciało. — Cudownie wyglądasz — pochwalił mnie, czego nie skomentowałam. Popatrzył z uznaniem na eleganckie auto za mną, w którym wszystkie szyby były mocno przyciemniane, przez co nie było widać Vincenta. — Zapewne transport zapewnił ci mój drogi przyjaciel.

— Przejdźmy do rzeczy — powiedziałam cicho, a moje gardło płonęło żywym ogniem.

Pragnęłam zakończyć to jak najszybciej i wrócić do domu.

Brooklyn, widząc moją postawę, uniósł z uznaniem brwi. Skinął głową w stronę jednego ze swoich ludzi. Wielki, łysy mężczyzna podszedł do drugiego auta, a następnie wyjął z bagażnika zwykłą metalową walizkę w srebrnym kolorze. Była średnich rozmiarów i nie wyglądała na taką, która posiadałaby jakieś mocne zabezpieczenia. Wydawało mi się, że tak właściwie to nie miała nawet szyfru, tylko zwykłe klipsy. Mężczyzna złapał za jej rączkę i skierował się do mnie. Zaciśnęłam usta, skupiając się na walizce, aby nie patrzeć na jego pociętą twarz. Zanim do mnie podszedł, zatrzymał się jeszcze na moment. Zmarszczyłam brwi, bojąc się, że coś się stało.

— Wiesz, jakie są warunki — powiedział nagle White, ściągając na siebie moje spojrzenie. — Obiecałaś mi spokój. Jeśli usłyszę, że Vincent znów mnie szuka, wrócę tu i podetnę ci gardło, rozumiesz?

Gdybym mogła, w tamtej chwili po prostu bym się rozpląkała. Kurwa, jakim cudem ja się w to wpackowałam?! Musiałam jednak zachować pozory, więc z powagą na twarzy pewnie pokiwałam głową.

Brooklyn machnął ręką, mężczyzna podszedł do mnie i podał mi walizkę, a ja zacisnęłam palce na jej metalowej ręczce. Nie była zbyt ciężka. Człowiek White'a wrócił na miejsce i stanął obok swojego szefa. Wyraźnie zadowolony Brooklyn znów uśmiechnął się w moją stronę.

— W takim razie... — zaczął, ale nie dane mu było skończyć.

Wszystko potoczyło się szybko.

Najpierw usłyszałam odgłos silników, a sekundę później trzy potężne auta wjechały na polankę. Światła ich reflektorów mnie oświectliły i nagle poczułam mocne szarpnięcie. Kierowca, który dotychczas stał za mną, szybko pociągnął mnie za siebie, ustawiając się z przodu. W tym samym momencie zza paska spodni wyjął czarny pistolet, który skierował na stojącego na świeczniku Brooklyna. Przeżrana automatycznie zacisnęłam powieki. Usłyszałam głośne krzyki pomieszane z odbezpieczaniem kilkunastu pistoletów. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Z całej siły zaciskałam trzęsące się dłonie na walizce, kuląc się przy samochodzie. Nie potrafiłam złapać powietrza. Wydawało mi się, że ktoś właśnie odciął mi dopływ tlenu, chociaż oddychałam dwa razy szybciej.

Nie wiedziałam, ile czasu minęło, nim odważyłam się otworzyć oczy. Nie usłyszałam żadnego wystrzału, co i tak mnie nie uspokoiło. Chciałam stamtąd uciec. Do domu. Do mamy. Zacisnęłam blade palce na walizce i przytuliłam ją do swojego ciała, obejmując ją ramionami. Powolutku wychyliłam się zza pleców kierowcy, który cały czas stał przede mną. Kiedy spojrzałam na to, co się dzieje na środku polany, zrozumiałam, że to koniec.

Było tam przynajmniej piętnastu nowych ludzi, którzy wysiedli z dużych SUV-ów. Każdy z nich był wielki, umięśniony i każdy trzymał w ręku pieprzoną broń. Wszystkie pistolety były wycelowane w Brooklyna i jego ludzi, którzy również celowali w nowo przybyłych. White, którego twarz pobladła, w trzęsącej się dłoni trzymał glocka. Nie celował w nikogo konkretnego, raczej skakał od jednego do drugiego mężczyzny, jakby chciał zabić ich wszystkich. Jego usta były ściągnięte, a szczęka drżała od mocnego zaciskania. Znów przypominał obłąkanego.

Na polanie panowała śmiertelna cisza. Nagle dwóch mężczyzn podeszło do auta za mną, a jeden z nich otworzył drzwi samochodu.

Z SUV-a wysiadł Vincent, na którego widok Brooklyn pobladł jeszcze bardziej. Mężczyzna z niewzruszoną miną zapiął swoją drogą marynarkę, po czym westchnął i wbił wzrok w White'a.

— Ach, Brook — powiedział z uśmiechem, splatając dłonie. — Jak miło cię widzieć po latach.

White nie odpowiedział. Przełknął nerwowo ślinę i wciąż ściskając glocka, popatrzył w moją stronę. Skuliłam się jeszcze bardziej. W jego zielonych oczach widziałam tylko jedno. *Zabiję cię.*

— Przysięgam, że jesteś martwa — warknął.

Chciałam krzyknąć w akcie protestu, bo przecież nie miałam o tym pojęcia. Nie wiedziałam, że Vincent planuje coś takiego! Musiałam to wszystko wyjaśnić, ale nie powiedziałam niczego, a zamiast tego z przerażeniem obejmowałam walizkę. Strach uniemożliwił mi logiczne myślenie. Było mi duszno i ostatkiem sił powstrzymywałam wymioty. Vincent, nie robiąc sobie nic z gróźb Brooklyna kierowanych w moją stronę, zaśmiał się cierpko.

— Nic się nie zmieniłeś. Wciąż ten sam Brooklyn White — westchnął, kręcąc głową z politowaniem. — Wciąż nieuważny i zbyt narcystyczny.

— Czego chcesz? — warknął nerwowo Brooklyn. — Oddałem walizkę.

— Walizkę, którą ukradłeś — powiedział znacznie poważniej Foix. — Ukradłeś po tym, jak się tobą zaopiekowałem. Mimo że mój najlepszy przyjaciel cię wychował i włączył do rodziny. Mimo że daliśmy ci wszystko — mówił, a w jego głosie było słychać żal i rozczarowanie. Jakby karmił nieposłusznego syna.

Brooklyn słuchał, zaciskając dłoń na glocku. Jego rozbiegany wzrok nie potrafił zatrzymać się na niczym na dłużej niż na sekundę, a jego ludzie, których było znacznie mniej niż ludzi Vincenta, wyglądali na zdeterminowanych, ale i zrezygnowanych. W tym starciu nie mieli najmniejszych szans.

— A wiesz, jak karzemy złodziei i zdrajców.

— Mieliśmy umowę — warknął przez zaciśnięte zęby Brooklyn.

— Ze mną nie miałaś żadnej. — Foix się roześmiał, na co White posłał mi złe spojrzenie.

Właśnie wtedy w końcu udało mi się zareagować.

— Vincent, ale przecież... — zaczęłam — mieliśmy umowę. Doga-
daliśmy się...

Popatrzyłam na starszego mężczyznę, który przyglądał mi się z de-
likatnym uśmiechem. Pokręcił głową i westchnął. Znów wyglądał jak
dziadek, który daje złotą radę wnuczce.

— Życie to seria niełatwych wyborów, Victorio — powtórzył to, co
powiedział mi już wcześniej.

Nie. Nie, nie, nie. On nie mógł.

— Nie! — wydarłam się, a mój głos rozniósł się po lesie, który otaczał
polankę.

I to znów stało się tak szybko, ktoś krzyknął, a następnie usłyszałam
dwa strzały. Nie zdążyłam zamknąć oczu. Gdybym mogła cofnąć czas,
zrobiłabym to. Och, zrobiłabym. Jeden z ludzi Brooklyna wycelował
w Vincenta, nie zdążył jednak oddać strzału, ponieważ uprzedził go
człowiek Foixa. Jakby w zwolnionym tempie patrzyłam na to, jak klatkę
piersiową mężczyzny przebiły dwie kule z pistoletu. Siła uderzenia była
tak duża, że odrzuciło go w tył. Krew trysnęła z jego rany, ochlapując
karoserię samochodu obok. Runął na ziemię, wypuszczając broń z dłoni.
Z rozchylonymi ustami i zdławionym oddechem patrzyłam, jak przez
chwilę jego ciało trzęsie się w konwulsjach. Dławił się krwią, która wy-
pływała z jego ust. Dusił się. W oczach miał strach, a twarz wykrzywił
mu grymas bólu.

Trwało to kilkanaście sekund, chociaż miałam wrażenie, że minęły
godziny. Nikt mu nie pomógł. Brooklyn nawet na niego nie zerknął,
skupiając się na Vincencie, a ja nie potrafiłam odwrócić wzroku od
konającego mężczyzny. Nie potrafiłam się poruszyć. Spojrzeć gdzie in-
dziej, byle nie na tę siną twarz. Patrzyłam. Obserwowałam go przez cały
czas. Kiedy jego ubrania nasiąkały krwią. Kiedy jego ciało przestawało
walczyć. Kiedy już ledwo oddychał.

Obserwowałam go, kiedy umarł.

To stało się tak nagle. Po prostu. Jego ciało przestało się trząść. Prze-
stał się dusić. Znieruchomiał. Z daleka wyglądał, jakby po prostu leżał.

Obraz powoli zamazywał mi się przed oczami. Moja broda drżała,
więc przytknęłam dłoń do ust, bojąc się, że zaraz może nastąpić wybuch.
Widziałam właśnie śmierć człowieka i nikt się tym nie przejmował. Nikt

o to nie dbał. Ten mężczyzna leżał tam na zimnej ziemi, ubrudzony krwią. Nie żył.

Nic mnie już nie interesowało. Miałam gdzieś to, że nagle na polanę wjechał jeszcze jeden samochód. W mojej głowie tkwił obraz trzęsącego się ciała mężczyzny, którego nawet nie znałam, a którego już nie było. Który mógł mieć rodzinę. Dzieci. Pustym wzrokiem wpatrywałam się w ciało, wciąż obejmując walizkę.

— Kim jesteś? — Z letargu wyrwało mnie pytanie Vincenta.

Czułam się jak we śnie, gdy powoli odwróciłam głowę. Moim oczom ukazała się nieznana mi wysoka, szczupła kobieta w eleganckim damskim garniturze. Nie miała więcej niż czterdziestu lat. Jej długie rude włosy były związane w ciasny kucyk. Pewnym krokiem szła przez polanę, chociaż była w nią wycelowana większość pistoletów. W pewnym momencie zatrzymała się, a następnie uniosła dwie kartki, które trzymała w dłoniach.

— Przesyłka — mruknęła ciężkim głosem.

Po tym słowie wyciągnęła obie ręce. Jedną w stronę Brooklyna, a drugą ku Vincentowi. Ich ludzie podeszli do niej i odebrali kartki. Kobieta wydawała się w ogóle nie przejmować tym, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła. Jej wzrok padł na mnie, a następnie uśmiechnęła się miło i skinęła głową.

— Dobry wieczór, panno Clark. Bardzo mi miło panią widzieć.

Po tym przywitaniu odwróciła się do Vincenta i Brooklyna, którzy czytali wiadomości. Znów nie wiedziałam, co się dzieje. Kim była ta kobieta, skąd mnie znała i dlaczego się tam pojawiła. Prawdopodobnie była cudem, bo kiedy Brooklyn przeczytał treść wiadomości, spojrział na mnie, a w jego wzroku nie zauważyłam już agresji i nienawiści. Nie było chęci, by mnie zabić. W tamtym momencie patrzył na mnie z dziwną... obawą. Jakbym mogła mu coś zrobić. Przełknął ślinę, po czym zerknął na Vincenta. Starszy mężczyzna z kamienną twarzą pokręcił głową. W szoku obserwowałam, jak White bez słowa kiwa na swoich ludzi, a następnie kieruje się do swojego auta. Wydawało mi się, że ani ta kobieta, ani Vincent nie byli zdziwieni jego zachowaniem. Ku mojemu zaskoczeniu Foix go nie zatrzymał. Patrzyłam, jak White i jego ludzie szybko wsiadają do aut, po czym odjeżdżają z polany. Nawet nie spojrzeli w kierunku martwego mężczyzny.

— Cóż, mam nadzieję, że się zrozumieliśmy — powiedziała formalnym tonem kobieta, splatając dłonie. — Nie chcemy więcej takich sytuacji. To się nie powtórzy, prawda? — zapytała, a w jej tonie kryła się złowieszcza nuta.

Vincent odchrząknął i schował kopertę do kieszeni marynarki. Pierwszy raz widziałam go w takim stanie. Był podenerwowany i niepewny.

— Tak, tak. Oczywiście — potwierdził.

— Cieszę się. — Nieznajoma znów się uśmiechnęła i popatrzyła na mnie. — Do widzenia, panno Clark.

Po tych słowach wsiała do auta, które chwilę później powoli odjechało żuźlową drożką. Kierowca Vincenta, który stał przede mną, w końcu schował broń. Dwóch mężczyzn wyciągnęło z dużego samochodu czarny foliowy wór. Kiedy podeszli do martwego ciała, a następnie bez żadnych emocji zaczęli je owijać, nie wytrzymałam. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Upadłam na kolana, a walizka wypadła z moich rąk. Pustym wzrokiem patrzyłam na zwłoki. Obserwowałam, jak wrzucali zafoliowane ciało do bagażnika auta, a potem znów zerknęłam na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżało. Jedyнным dowodem, że ktoś tu zginął, była krew na trawie.

Widziałam, jak ktoś przy mnie umarł. Jak kogoś zamordowano, jak odebrano mu najcenniejszy dar — życie. I chociaż miałam milion zmartwień na głowie, tylko o tym mogłam myśleć. Tylko na tym potrafiłam się skupić.

— Cóż, Victorio — odezwał się stojący nade mną Vincent.

Nawet na niego nie popatrzyłam. Z rozchylonymi ustami i drżącą brodą obserwowałam miejsce śmierci tamtego człowieka.

— Niejedna sprawa wymaga ofiar. To nic osobistego — mruknął obojętnie, po czym rzucił papierową teczkę na trawę obok mnie. — Tu masz wszystko, czego potrzebujecie, by poznać odpowiedzi na wasze pytania. Tak jak się umawialiśmy. Teraz możesz poznać prawdę.

Nie skupiłam się na tym, co do mnie mówił. Żadnateczka mnie nie interesowała. Interesowało mnie tylko to, że ktoś właśnie stracił życie i ja się do tego przyczyniłam.

— Dziękuję za owocną współpracę, Victorio — powiedział Foix, a następnie chwycił walizkę i wsiał do samochodu.

Słyszałam, jak auta jedno po drugim wyjeżdżają z polany, aż w końcu zostałam sama. Otaczała mnie ciemność, którą rozjaśniał tylko księżyc. Wiatr targał moimi włosami. Wciąż klęczałam na trawie, obserwując to przekłete miejsce. W pewnym momencie bezwiednie spojrzałam na białą teczkę obok, a kiedy to zrobiłam, głośny wrzask pełen gniewu, strachu i niemocy wyrwał się z moich płuc i poniósł się echem po całym lesie. Krzyczałam, zdzierając sobie gardło do krwi. Krzyczałam tak, aby ktoś mnie usłyszał. Ktokolwiek.

Ale w odpowiedzi dostałam tylko *ciszę*.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 